DZIEŁA POLSKIE

KRYSTYNA OSTROWSKIEGO

DRAMATA I KOMEDIE

ULOTNE JAMBY — NOWE FRASZKI — DODATEK

(WYDANIE ZUPEŁNE)

W PARYŻU

ALPHONSE LEMERRE, WYDAWCA

31, PASSAGE CHOISEUL, 31

1876

DZIEŁA POLSKIE

KRYSTYNA OSTROWSKIEGO

Znak autora i drukarza :

IMPRIMERIE J. CLAYE
RUE SAINT BENOIT 7
LABOR
PARIS

Ostrowski

DZIEŁA POLSKIE

KRYSTYNA OSTROWSKIEGO

DRAMATA I KOMEDIE

ULOTNE JAMBY — NOWE FRASZKI — DODATEK

(*WYDANIE ZUPEŁNE*)

W PARYŻU

ALPHONSE LEMERRE WYDAWCA

31, PASSAGE CHOISEUL, 31

—

1876

SPIS RZECZY

DRAMATA I KOMEDIE.

ULOTNE JAMBY.

NOWE FRASZKI.

DODATEK.

PRZEDMOWA.

Żaden rodzaj literatury, równie jak dramatyczny, niemógł obejść się bez zasilania się wzorowemi utworami innych narodów. Jest to sztuka któréj uczyć się potrzeba jak każdéj innéj, i wpierw przyswajać sobie cudze utwory, zanim się zdobędzie na własne. Możnaby wprawdzie zapytać, ażali Polska nie jest w stanie wysnuć ze siebie dramat, jak wysnuwa inne rodzaje literatury? lecz na to trzeba zrodzić się tak szczęśliwym jak Grecya, która go stworzyła u siebie, doskonaląc coraz wyżéj, od prostego dialogu na tespisowym wózku, do wspaniałéj przedstawicielki ducha i dziejów tragedyi Sofoklesowéj, — i do cieniującéj najdelikatniejsze niewieście uczucia tragedyi Eurypidesa.

Zazwyczaj mniéj hojnie uposażone narody pożyczały tajemnic sztuki dramatycznéj od zamożniejszych sąsiadów. Rzym od Grecyi, Francya od Hiszpanii, Anglja, kiedy przez chwilę niepoznała się na swoim Szekspirze, od Francyi, a Niemcy od wszystkich. Zdawałoby się, że geniusz każdego narodu piętnując się w dramacie, robi go tém samém przeciwnym smakowi, obyczajom i wyobrażeniom drugiego narodu, a więc niezdatnym do użycia gdzieindziéj; lecz właśnie rzecz się ma inaczéj, a to z przyczyny, że podstawą dramatycznéj poezyi jest znajomość serca ludzkiego, z wszystkiemi odcieniami namiętności i uczuć. Podstawa ta zatém będąc wspólną ludzkiemu plemieniu sprawia, że do każdego przydaje się szczepu, wszędzie bywa zrozumiałą i obudzającą interes. Tak dobrze obchodzi nas miłość Duszianty do Sakontali w

dramacie hinduzkim, poświęcenie się Antygony w greckim, obłąkanie Ofelji w angielskim, jak rezygnacya naszéj Jadwigi, czyniącéj ofiarę z uczuć osobistych, na korzyść wielkości i sławy Ojczyzny. Co głęboko ludzkie, najwięcéj interesuje w dramacie; przybory charakterowi narodowemu odpowiednie, grają wprawdzie niemałą rolę, ale nie są *alfą* i *omegą* sztuki. Widzimy to u nas, jak pisarze dramatyczni biorą przedmioty z dziejów, starannie wyszukują rysy swojskich charakterów, nieszczędzą przyboru archeologicznego, nawet w archaizmach wkładanych w usta rozmawiających osób, — ale mimo tego niepotrafili zdobyć się jeszcze na dramat tyle znośny, żeby dla siebie obudzał od początku do końca żywe zajęcie. W czytaniu, jako tako zadawalnia się czytelnik bądź poetycznemi ustępami, bądź wzruszającemi alluzyami; lecz na teatrze, gdzie niemożna się obejść bez umiejętnego układu scen płynących naturalnie jedna z drugiéj, gdzie obrazki choćby najmisterniéj oddane nie są w stanie zastąpić logicznéj akcyi, ciągle mającéj postępować, rozwijać się i doprowadzać do ostatecznego rozwiązania, niedając uwadze widza ani na chwilę spocząć, a tém samém trzymając ją w równém natężeniu, — na teatrze powtarzam, — dramata nasze robią z małym wyjątkiem najsmutniejsze *fiasco*. Wszystko znajdziesz w nich, prócz dramatyczności.

Wątpimy ażali to jest skutkiem organizacyi głów naszych; prędzéj pochodzi z nieobeznania się z tajemnicami sceny, a również i ze słabego wpływu jaki ma u nas publiczność na swój teatr. Jest on bowiem instytucyą zostającą po za obrębem pragnień publiczności, a tém samém i autorów dramatycznych, którzy nieufając żeby ich sztuki mogły się dostać na scenę, piszą najwięcéj do druku, jak się pisze poemat lub powieść; albo też, jeżeli chcą koniecznie widzieć swe utwory przedstawianemi, muszą radzi nieradzi stósować się do jéj wymagań, najczęściéj z samą teorją sztuki niemających żadnego związku.

Te uwagi, które zrobi sobie każdy myślący znawca, zpowodowały znanego z wielu pism swoich tak w ojczystym jak francuzkim języku Krystyna Ostrowskiego, że powziął zamiar przysłużyć się najstaranniejszém i prawdziwie artystyczném przerobieniem kilku obcych arcydzieł dramatycznych, aby przedstawione na naszéj scenie, mogły wszczepić w publiczność smak dobry, a piszącym wskazać prawidła, i zachęcić ich żeby wprzódy na téj drodze szukali udoskonalenia, zanim zaczną cóś tworzyć ze siebie. « W téj pracy — mówi w treściwym wstępie, — autorowie nasi nabiorą niezbędnéj wprawy do logicznego osnowania sztuki, w którém celują dzisiaj francuzcy, a bez którego żaden dramat, choćby też z najcenniejszych żywiołów złożony, stanowczéj próby kilkorazowego przedstawienia nie przeżyje. Zbyt mało mamy dotąd dzieł harmonijnie i foremnie zbudowanych, nieprzerwanie uwagę i czucie zajmujących, jednem słowem *scenicznych;* a to dlatego że nikt u nas, wcale nikt, wyłącznie się sztuce teatralnéj nie poświęcał, téj sztuce najtrudniejszéj ze wszystkich, bo będącéj ich syntezą i ostatnim wyrazem. »

W ciągu swego jednorocznego pobytu w Krakowie (w r. 1860), wiedziony temi zasadami K. Ostrowski zajął się naszą sceną, i kilka dzieł dramatycznych

dla niéj przerobił. Tym sposobem powstał *Czatterton*, *Lichwiarz*, *Macocha*, *Wiesław*, i t. d.

Alfred de Vigny autor *Czattertona*, należy do szkoły romantycznéj francuzkiéj; lecz tém się różni od swoich kolegów, że lubo mniéj płodny, zazwyczaj głębszy bywa od wielu : a co najważniejsza, jest to prawdziwy kompozytor, który długo obmyśla przedmiot i formę w jaką ma je odlać, aby dzieło się urodziło i pozostało żywém. Już to samo, że u nas kilkakroć tłómaczono jego dramat, dowodzi, że tkwi w nim cóś żywotniejszego niż w tylu nowszych utworach francuzkich, równie skwapliwie czytanych jak prędko zapomnianych. To ma do siebie *Czatterton*, że w nim wymowna obrona praw poety, nadzwyczajnie wzruszała świat piszący. Zarzucano z początku niemoralność temu utworowi, z powodu samobójstwa Czattertona; poeta bowiem najwięcéj winien cierpieniu, a właśnie samobójstwo dowodzi, że mu brakło odwagi. Jednakże w tym przypadku da się ta zbrodnia dramatycznie usprawiedliwić, zwłaszcza ze względu na ułomność natury ludzkiéj; bo jest to rzeczywisty człowiek, nie ideał. Jakoż kiedy się rzuca w obłąkaniu rozpaczy na flaszeczkę z opium, zupełnie tak nam się przedstawia jak jeleń co ścigany przez złaję gończych, nie widzi innego ratunku jak rzucić się w wodę; jeżeli w niéj utonie, niedowodzi to żeby mu knieja obrzydła: podobnie i trujący się Czatterton, bynajmniéj nie pała nienawiścią do życia i świata, lecz tylko tak srodze jest ścigany przez nikczemność ludzi, że musi szukać ocalenia w znęcającym go oceanie wieczności... I taka jest właściwie moralność tego dramatu, że winę i hańbę samobójstwa zwala nie na rozpacz nieszczęśliwéj ofiary, lecz na tych ciemięgów i potwarców co ją do gwałtownego kroku przywiedli.

Tłómacz z żywą miłością wziął się do przekładu tego dramatu, który chociaż w oryginale pisany prozą, on go chciał podnieść jeszcze miarowym wierszem. I w rzeczy saméj bardzo szczęśliwie wywiązał się z tego żadania. Koturn, w który ozuł Kitty Bell, Kwakra i pustych lordów, nic tu nie zaszkodził; i owszem, tak zkoncentrował potęgę słowa, iż ani wątpić jako sztuka ta przedstawiona w teatrze, mogłaby sprawić niesłychany efekt. Co do wiersza miarowego użytego w tym przekładzie, można jeszcze zrobić tę uwagę, że rodzaj ten tylko wtenczas bywa znośnym, kiedy rzecz sama pełna jest zajmującéj treści; pusty deklamacyjny wiersz najgorzéj się wydaje bez rymu : — przeciwnie tam gdzie myślą, obrazem ciężarny, tam, osobliwie w dramacie, rym zdaje się być rzeczą zbytkową.

W przekładzie *Czattertona* zachodzi właśnie ten przypadek, że wszystko tu potrzebne, ściśnięte, ważne myślą. Tłómacz zatém miał wszelkie prawo obejść się bez rymu; i winniśmy oddać mu tę słuszność, że go się czyta z prawdziwym smakiem, a w niektórych ustępach daje nam wzór porywającéj dykcyi. Radzibyśmy oglądać na scenie *Czattertona* przepolszczonego, żeby przynajmniéj słyszeć jak się ten pentameter jambowy u nas wydawać będzie. Tłómacz w zwięzłém przedsłowie podaje prawidła dramatycznéj prozodyi, z wykształconych obcych języków do własnego zastosowanéj. Lecz najlepszém

podobno prawidłem jest sam jego wiersz, który jeżeli dobrze się wyda w ustach prawdziwych aktorów, może i powinien uzyskać prawo obywatelstwa w naszéj literaturze.

Kupiec Wenecki rymowo-miarowym wierszem przerobiony, z pięciu stopił się w trzy akty odpowiedniejsze dla naszéj sceny. Tłómacz związawszy dwie akcye w jednę, uprościł całą kompozycyę; — a jeszcze miał i to na względzie, że główna komedyi téj figura Szylok, żyd lichwiarz, u nas więcéj nierównie ma znaczenia, niż w Anglji. « Szylok Szekspira, to *ucieszny exemplarz osobliwego ludu,* jak światły krytyk Henley powiada : — Szylok w Polszce, — to ważne zadanie społeczne, do którego rozwiązania niepodległość narodowa nieodbicie jest potrzebną. » Na próbę jak autor ślicznie włada językiem, po trzydziestoletniéj pielgrzymce, jak umie być treściwym i naturalnym w dykcyi, weźmy pierwszą lepszą scenę, choćby i tę gdzie Szylok czyta pod latarnią rynkową ów sławny oblig, który dał pomysł do całéj komedyi Szekspirowi :

« *Jezeli o dwunastéj, za trzy dni,*
Żyd niedostanie swoich trzech tysięcy
Trzechset dukatów... » Ja nieżądam więcéj.
Ma prawo pierś mi rozciąć, bez wyroku,
Najbliżéj serca, by z mojego boku
Funt ciała wyrznąć... » Podpis... nu, to śmiało!
Bassania złoto, lub Antonia ciało;
Ten stary głupiec ręczy za młodszego,
Niech oba pilnie zemsty méj się strzegą :
Ja żyd, nie zchybię! (i t. d.)

Niebędzie przesadzone zdanie, jeżeli powiemy że ten przekład jest najwierniejszém odbiciem genialnéj poezyi angielskiego wieszcza. Ogień jego cały się przelał, choć w ciaśniejsze ramy przerobienia. Szekspir tu nieznikł jak w Kefalińskim : poeta pojął poetę do głębi. Dzieła dramatyczne w tym zbiorze zawarte są niezaprzeczenie najdokładniejszym wzorem poezyi rytmicznéj dotąd u nas istniejącym.

Zdaje się jednak, że intencya szlachetna autora, mająca na celu wzbogacenie naszego zużytego repertoaru, nieosiągła i zapewne nieprędko osiągnie pożądany skutek, z téj przyczyny, że tak *Czatterton*, jak *Lichwiarz*, jak nawet Balzakowa *Macocha*, wymagają potężniejszych indywidualności artystycznych jak te co się spotykają na naszéj ziemi. Takie olbrzymy role, nie na każde piersi i barki.

Pozostaje powiedzieć słówko o *Wiesławie*, chociaż jest to przedmiot który autorowi, po krótkim jego pobycie w kraju, przyniósł same tylko gorzkie wspomnienia. Stanąwszy na ojczystéj ziemi po tak długiém niewidzeniu jéj, mniemał, że powinien jéj oddać z najbezinteresowniejszą miłością cały zasób swoich uczuć i wiedzy; widząc zatém scenę dość ubogą w sztuki mogące żywiéj zajmować publiczność, mniemał że się jéj przysłuży dając na okaz

libretto przerobione z ulubionéj Brodzińskiego sielanki. I w rzeczy saméj przyjęto tę operetkę z upodobaniem w Krakowie, a przyjęto nie na raz jeden, bo dotąd bywa często powtarzaną. Ztąd złości, gniewy, a nawet szkalujące przymówki, od pewnych podszarzanych lwowskich krytyków, ani autora ani jego pracy nieznających, które mu na długo może pióro z ręku wytrąciły.

Cóż bardziéj rzewnego naprzykład, i szczęśliwiéj wyrażonego, jak ta piosenka z *Wiesława* w któréj bieg Wisły, w tysiącznych jéj zakrętach, porównanym jest do narodowego tańca naszych ojców:

« Tak nasza rodzinna rzeka,
Wisła poważna i hoża,
Odkąd ze szczytu gór zcieka,
Polaka tańczy do morza.
Kolebką jéj, śnieżne Tatry,
Jéj wieńcem, pradziadów dzieła;
I wiecznie grają jéj wiatry:
« *Jeszcze Polska nie zginęła!* »

« Z tą pieśnią zwiedza nasz Kraków,
Wawel, trzy święte mogiły,
Warszawę, serce Polaków
Gdzie nowe budzą się siły.
Niezgięta jarzmem szatańskiém,
Dwieście mil skrapia w swym pędzie;
I w morze wpada pod Gdańskiem,
Który był naszym, i będzie! » i t. d.

Przytoczymy tutaj wyjątek z *Macochy*, w którym cała myśl tego wysokiéj doniosłości dramatu dobitnie się wyraża:

« W jak rychłym czasie żona zła lub głupia,
Dewotka zwłaszcza, jak zaraza trupia
Rodzeństwo całe zniszczy lub rozproszy!
Już sam przez siebie zdrożny stan macoszy,
Dla żądz niewieścich zgubną jest podnietą;
A cóż dopiero kiedy z tą kobietą
Zawita zbrodnia do pasierbów kółka?...
Jak w obcém gnieździe szerszeń lub kukułka,
Sierocéj dziatwie wydrze jéj spuściznę;
Z jéj ręki wszystko zmienia się w truciznę,
Gdzie stąpi krokiem, świeży grób wyrasta...
Tak u nas rządzi czarna ta niewiasta!...
Bóg w sercu matki twór swój uwydatnia;
Ta święta miłość, pierwsza i ostatnia,
Gdy wśród obcego krzewi się plemienia,
W macoszéj duszy w zdradę się zamienia;
I ta co była cnót nadludzkich wzorem,
Z anioła stróża, staje się potworem...
Kraj by powinien, biorąc z niéj początek,

Niemowląt biednych życie i majątek
Od tak zawistnych wpływów raz ochronić,
I własną przyszłość tarczą praw zasłonić;
A wtędy prawo ludzkiém zwać by wolno... »

Co za straszna, lecz zbyt często dająca się zastósować przestroga! W ten sposób pojmowany teatr jest to coś więcéj jak umysłowa zabawa; w nim bowiem upatrujemy zbiór prawd jeszcze nie wprowadzonych w życie, obyczajową szkołę ludzkości...

Dodać tu winniśmy, że całą pierwszą dzieł swych edycyę zrobioną własnym nakładem, ofiarował Krystyn Ostrowski na dochód potrzebujących uczniów Uniwersytetu Jagiellońskiego. Rok pobytu jego między nami, zostawił dwie pamiątki: repertoar sceny ojczystéj wzbogacony, — uczącéj się młodzieży podana ręka.

Lucyan Siemieński.

10 Stycznia, 1862.

WSTĘP.

Ten plon jednorocznéj pracy, w pierwszéj radości powrotu do kraju poczętéj, a w głębokiéj żałobie serca i myśli dokonanéj, przypisuję i poświęcam tobie, szlachetna młodzi, która wśród codziennych starań około materjalnego życia, wśród cierpień i trudności wszelkiego rodzaju, umysł twój nieskażony do wyższych krajowych usług sposobisz. Chcę ci nią zawdzięczyć, o ile jestem w stanie, za twoje prawdziwie braterskie przyjęcie w starym naszym Jagiellońskim grodzie; i jako dar pożegnalny, na pamiątkę zbyt krótkiego z tobą pożycia, w ręku twojém zostawić. Winienem ci oraz, winienem moim przyjaciołom, treściwe objaśnienie o sposobie w jaki tego przeciągu czasu, przy nieprzerwanéj prawie samotności użyłem.

Wiadome są przyczyny, dla których poezya dramatyczna, ta z duchem naszego wieku działania postępu najściśléj związana, bo najbliższy stosunek do czynu mająca, dotąd u nas rozwinąć się nie mogła. Starożytna latorośl, ręką Jana Kochanowskiego w epoce świetności naszéj zaszczepiona, przez Felińskiego, Wężyka, Korzeniowskiego i t. d. tak bujnie rozkrzewiona, pod wiatrem północy uschnęła i od wielu lat żadnych już owoców nie wydaje. W muzyce, w balecie, w kilku *tendencyjnych* komedyjkach bez układu, bez wydatnych charakterów, bez narodowego tchnienia, schroniła się cała żywotna siła naszego dramatu, o wiele niżéj od wszelkich innych gałęzi krajowéj literatury stojącego. Nieśmiertelne wzory, arcydzieła klassycznych perjodów, jako zbyt wznoszące ducha, surowo są zakazane, lub tam tylko dozwolone, gdzie ani godnych przedstawicieli ani uzdolnionych słuchaczy miećby nie mogły. Artyści nasi (a mamy kilku znakomitych, idących w parze ze wszystkiemi tegoczesnymi), w coraz ciaśniejszém kółku obracać się zmuszeni, obsługują się tylko najlichszemi płodami sceny zagranicznéj, zwykle tłómaczonemi dorywczo, jakby na pańszczyznę, z wykluczeniem całych scen i sytuacyi, mogących stać się powodem do politycznych lub prywatnych przymówek: albo też, jak to się dzieje teraz w Warszawie, Wilnie, Kijowie, Poznaniu, całkiem zamilkli. Inni zaś, niezaprzeczonym talentem obdarzeni, lecz nieledwie o żebranym chlebie żyjący, od miasta do miasta toczą tespisowy swój wózek, skazani na wieczne odgrywanie zużytych już od pół wieku lub zeszpeconych niezgrabném tłómaczeniem utworów.

W obec tych niezwalczonych przeszkód, w obec krytyki niemiecko-żydowskich szpargałów, będącéj dotąd u nas na stopie pierwotnéj dzikości, jakiż dział zostaje piszącemu dla polskiéj sceny, chcącemu podnieść ją do wyniosłości budzącego się tak silnie życia narodowego? Oto przysposabiać materjały do jéj przyszłéj budowy potrzebne; zająć się wyborem najwłaściwszéj formy, według któréj wzrastać i kształcić się powinna; przerabiać celniejsze obce dramata z naszym duchem zpowinowacone, lecz tak przerabiać, aby w nich zupełnie zatrzeć ślad exotycznego pochodzenia: aby mową, zwyczajem, układem, stały się całkiem polskiemi, bez rażącéj za każdym wyrazem obczyzny. Tak czynili Rzymianie za Cezarów, przyswajając sobie greckie, tak Francuzi za Ludwika XIV, pożyczając łacińskie, hiszpańskie i włoskie przedmioty; tak nareszcie arcymistrz nowoczesnego dramatu, Szekspir, większą połowę pomnikowych dzieł swoich z obcego kruszcu tworząc, nadawał im niestarte piętno

własnego geniuszu. Dział ten nie jest tak szczupłym, jakby się wydawać mogło nieobeznanym ze sceną pisarzom; gdyż w téj pracy autorowie nasi nabiorą niezbędnéj wprawy do logicznego osnowania treści, w którém celują dzisiaj francuzcy, a bez którego żaden dramat, choćby z najcenniejszych żywiołów złożony, stanowczéj próby kilkorazowego przedstawienia nie przeżyje. Zbyt mało mamy dotąd dzieł harmonijnie i foremnie zbudowanych, nieprzerwanie uwagę i czucie zajmujących, jedném słowem *scenicznych;* a to dlatego że nikt u nas, wcale nikt, wyłącznie się sztuce teatralnéj nie poświęcał, téj sztuce najtrudniejszéj ze wszystkich, bo będącéj ich syntezą i ostatnim wyrazem; że nikt w niéj wziętości, a tém mniéj godziwego zarobku szukać nie zamyślał. Inaczéj być nie mogło w kraju na wpół zdobytym, rozćwiertowanym; tam, gdzie światło narodowego współistnienia, którego sztuka jest tylko estetyczném odbiciem w dziedzinie myśli, od stulecia prawie utajoném zostało. O kwiaty trudno tam gdzie kłosów niema.

Temi zasadami wiedziony i gorącém uwielbieniem naszego języka przejęty, chciałem to przynajmniéj uczynić co było pod ręką, i jedyną drogę przed nami otwartą wskazać młodszym, silniejszym i szczęśliwszym odemnie. Niejakie doświadczenie w tym zawodzie, choć na obcym gruncie i przy obcych wzorach nabyte, chciałem przenieść na rodzinną rolę, i do naszych dziejów, najobfitszych w odrębne charaktery, w dramatyczne przesilenia, według możności zastósować. Przeświadczony o niedostateczności wiersza trzynasto lub jedenastozgłoskowego, zbyt w jednobrzmienność lub śpiewkę wpadającego, zamierzyłem wiersz miarowy, najzwięźlejszy, a zatém do treści dramatu najszczelniéj przystający, zpolszczyć i w używanie wprowadzić. Do naszéj już tak bogatéj poezyi lirycznéj, jak himn błagalny ku niebu z piersi całego narodu bijacéj, chciałem dołączyć jeszcze wdzięk rytmu i prozodyi; i tę nową stronę na lutni wieszczów naszych nawiązać. W téj formie już uświęconéj przez wieki, chociaż u nas całkiem nieznanéj, przerobiłem dla polskich artystów *Czattertona,* ów fatalistyczny obraz natchnienia walczącego z niedołęztwem, egoizmem, niekiedy potwarczą zawiścią zpodlonego chucią zysku towarzystwa; następnie *Macochę,* najcelniejszy utwor dramatyczny Balzaka; *Szyloka,* ów posągowy choć nieco przedrzeźniony pierwowzór żyda lichwiarza; i nareszcie przysposobiłem dla sceny sielankę *Wiesława,* ten arcywierny obrazek naszego krakowskiego ludu, w czerwonéj czapce z pawiém piórkiem, jak święcony skaplerzyk przy sercu każdego z nas od lat dzieciństwa spoczywający. Wszystkie cztery są pisane *pięciomiarem jambowym,* w najściślejszém zachowaniu wskazanych przez mistrzów prawideł; trzy ostatnie opatrzone końcówką. Wiersz ten, na greckim lądzie zrodzony, zapewne współcześnie z ideałem Afrodyty, jest zaiste bliskim pokrewnym naszego jedenasto-zgłoskowego; lecz śmiało można powiedzieć, że jest jego uzupełnieniem w rytmie i melodyi. Wszystkie uczone języki, nie wyłączając wschodnich, miarowéj mowy do dramatu używały; z pomiędzy żyjących, jeden tylko francuzki jest prozodyi a zatém rytmu pozbawiony : ten téż jest najmniéj, podług samychże Francuzów zeznania, do wszelkiéj poezyi, zwłaszcza dramatycznéj dogodnym. Proza, jako daleko doskonalsza, wyłącznie po dziś dzień nawet na tak zwanych literackich scenach panuje. Inaczéj się ma z naszym źródłowym, samoistnym, naczelnym z pochodzenia słowiańskiego językiem. Czy mi się udało uśpioną w nim prozodię rozbudzić, w niezmienną i zgodną z jego brzmieniem rytmową miarę ująć i ustalić, jak to już w dwóch bratnich narzeczach uczyniono, to czytelnicy, a wkrótce może i widzowie osądzą.

Lichwiarz, (Kupiec Wenecki) związaniem dwóch akcyi w jednę, i z pięciu aktów szekspirowéj improwizacyi do trzech obrazów streszczony, zdawał mi się jeszcze w innéj sferze jak w sceniczném wykonaniu dla polskiéj publiczności przydatnym. Genialny utwor angielskiego mistrza odnosi się wyraźnie do naszéj najdawniejszéj, tak już zastarzałéj choroby, że jéj prawie nie czujemy, że przeszła w naszą krew i organizm, że się do niéj nawet z pewną potulną uległością przymilamy. Tym trądem, na grobie Esterki wylęgniętym, który nasz kraj jak szeroki i długi ogarnął, jest owe wpół zwierzęce plemie które się w nasze wmięszało, zachowując dotąd uporczywie swoje nałogi, zabobony i drapieżne żądze, wprost sprzeczne z usposobieniem naszego ludu; jest ta karykatura człowieka, żyd, wszędzie i zawsze do siebie podobna, a któréj odwieczne znamiona, wpół egipskie, wpół syryjskie, przechowały się w całéj swéj piękności na naszym Kazimierzu. Nie mówi się tu wcale o tych kilku szanownych członkach izraelskiéj rodziny, którzy wyjątkowo naszą mowę, a z nią i nasze uczucia przejęli; lecz o téj większości ślepo zagorzałéj, niezbłaganie szkodliwéj, obcéj wyznaniem, obyczajem, językiem, tworzącéj drugi naród w narodzie; szczególnie zaś o téj chałastrze bez czci, bez odwagi, bez sumienia, w hrabiowskie wieńce i szambelańskie klucze przebranéj, za złoto wszystkim naszym wrogom służącéj, a któréj, w dzisiejszym stanie bezsilności, niechybną padlibyśmy zdobyczą. To, co dla ulubieńca królowéj Elżbiety było tylko umysłową igraszką, dobitnym i uciesznym wzorem wśród tylu innych przed jego twórczą wyobraźnią stojącym : « *an exemplar of that pecu-*

liar people » jak go światły krytyk Henley w komentarzu Szekspira nazywa, jest dla nas ważném, społeczném zadaniem, ostatnią zgubą nam grożącém, a do którego rozwiązania niepodległość narodowa jest nieodbicie potrzebną. Żydzi, mówiący dotąd zepsutą niemczyzną, są u nas najsilniejszém narzędziem germanizacyi; czego dowodem od pół wieku oderwany, już na pół zniemczony Poznań. Podobnemu losowi uległyby po kolei wszystkie nasze dzielnice, dzięki tak pożądanéj przez wielu klęsce *równouprawnienia*. Codziennie wmyślamy najzgubniejsze nam reformy, gdy jedno tylko szczere uwłaszczenie ludu (przez Rząd narodowy w 1863 roku zadekretowane), byłoby jak na teraz dostateczném. Z tego względu barbarzyńska nawet Moskwa (a dziś Rumunia) o wiele jest od nas oględniejsza; wie ona dobrze że car Wszechrossyi przestałby być carem, bogiem i papieżem prawosławnym, od chwili w któréj cały majątek, cały handel, cała gotówka caryzmu przeszłyby tak jak u nas w nienasycone szpony tych szubrawców. Sama Anglja nawet, najliberalniejszy kraj na świecie, zupełnego równouprawnienia z Żydami bynajmniéj nie przypuszcza. Są tam małoliczne wprawdzie, lecz nieprzełamane dla nich zastrzeżenia. My tylko Polacy, pomimo najsmutniejszego doświadczenia przeszłości, rzucamy się zapamiętale w otchłań żydowszczyzny, to jest publicznéj i prywatnéj ruiny; krzywdzimy lud nasz, przyznając Żydom to co przemocą z rąk jego wydarli lub podstępem wyłudzili. Ta zjadliwa plaga, nieprzestannie od sześciu wieków wszystkie żywotne siły narodu trawiąca, stała się główną upadku naszego przyczyną; ona to sprowadziła do nas swój własny azyatycki żywioł, niechlujstwo i pustynię... Żydzi stanowią już w całym obrębie dawnéj Polski, szóstą część ludności!... Wszelako tuszę, że i w téj mierze czas naprawi to co zepsuł, byle się do tego ludzie, ścisłém *rozgraniczeniem* dwóch plemion, przyłożyć umieli: ma się rozumieć w dwóch odrębnych dzielnicach (n. p. we wschodniéj Galicyi), gdyż razem żyć im niepodobna. Chciałem tylko zwrócić uwagę mych ziomków na to najwyższe grożące nam niebezpieczeństwo, które jeszcze w téj chwili możnaby łącznem, energicznem działaniem zażegnać i usunąć. Powiedzmy przytém, dla tych którzyby chcieli wątpić o prawdopodobieństwie saméjże treści dramatu, że krwiożercza chętka Szyloka, wyrznięcia funta ciała z piersi chrześciańskiéj, najzupełniéj się zgadza z drapieżnym charakterem i obyczajem izraelskiéj dziczy, tchnącéj nienawiścią dla wszystkich różnowierców. Tak jak w *Czattertonie*, tłómaczenie dialogu, oprócz zwięźlejszego układu niektórych scen, jest często dosłowne. *Lichwiarz* miał służyć za podstawę podobnego wypracowania na kilku innych dramatach Szekspira... *Sed homo proponit*...[1]

W przysposobieniu *Wiesława* dla sceny, wiersz Brodzińskiego płynny i rzewny, samym układem zgłosek w miarowy przekształciłem, nie zmieniając bynajmniéj toku myśli; a niekiedy całkiem utworzony w tekscie znalazłem i wypisałem. Do dwóch piosenek już w nim istniejących, kilka moich własnych ludowéj treści dołączyłem. Mam nadzieję, że na tém mozaikowém przerobieniu ucho nie straci; że mi je mój dawny mistrz i przyjaciel (o ile na to różnica wieku pozwolić mogła) chętnie by przebaczył, przez wzgląd na wspólne nam zamiłowanie ludu krakowskiego. *Święty Wojciech*, przez zacnego i utalentowanego mistrza Wojciecha Sowińskiego tak szczęśliwie w muzyczną formę ujęty, i *Azael*, poemat wyrobieniem tylko fantastyczny lecz rzeczywisty duchem, wraz z kilką *Ulotnemi jambami* z różnych perjodów tułaczego życia, stanowią tego zbioru uzupełnienie.

Że nasz język jest towarzyskim, bo najdelikatniejsze odcienia myśli i uczucia wyrażającym, zarazem prostym i wytwornym; że nie potrzebujemy udawać się do innego w rozmowie z kobietami, lub obcemi go wyrazami dopełniać i być dowcipnymi tylko po francuzku (jak się to zbyt często w naszych wpół wynarodowionych salonach słyszeć daje) : to przekonanie było mi pochopem i zachętą w przerobieniu *Macochy*. Francuzkiego języka zwykle używają ci, którzy ani swojego ani obcego nie umieją; którzy są dotąd, jak zawsze byli, Polakami we Francyi, Francuzami w Polszce, a raczéj w obu krajach... niczém. Głęboki ten pomysł Balzaka, jest nowoczesną *Fedrą* i tę samą naukę co dawna zawierającą. Wykrywa ona śmiało, bez ogródki, nierządy i klęski z powtórnych małżeństw na rodziny zpływające; tę opłakaną lukę po wszystkie czasy w prawodawstwie ludów otwartą, począwszy od Tezeusza do zbyt słynnego w téj chwili barona Vidil, którato w ręce macochy lub ojczyma wychowanie, majątek, całą przyszłość obcych im pasierbów oddaje. Tej nauki, z głębi przedmiotu wynikającéj, wielu z recenzentów nie postrzegło lub téż uznać nie raczyło; i właśnie dlatego, że ten obraz prawdziwy, przerażający, całe zgorszenie podobnych związków wyjawia, nazwano go niemoralnym; z równą zaiste słusznością jak treść dramatu *Czattertona*, który zpotwarzony za najchlubniejsze prace, wyszydzony za szlachetnie cierpiane ubóstwo, w obłędzie rozpaczy ucieka się do samobójstwa. Otóż *Klitemnestra*, *Hamlet*, *Ryszard III*, *Don Karlos*, *Mazepa* i wiele innych, jednem

1. Wstęp ten był pisanym w dziesięć lat przed świetném przedstawieniem *Hamleta* na scenie Warszawskiéj.

(*Przypisek wydawcy.*)

pociągnięciem pióra w imie moralności z rzędu sztuk uczciwych wykreślone! Żaden zarzut nie mógł mi być dotkliwszym. To są dziwnego rodzaju konserwatyści; ich teorja jest po prostu zaprzeczeniem całéj sztuki teatralnéj, któréj powołaniem jest stawianie przed oczyma widzów kary niezbędnéj obok występku, śmieszności nieodłącznéj od każdéj przywary serca i umysłu. Stosując się do ich zdania, należałoby przesądy, kłamstwa, zdrożności naszego niedokształconego lub przekwitłego społeczeństwa, pod piramidą wieńców pochwalnych uwieczniać.

Do tych ostatnich pisarzy niniejsze dzieło bynajmniéj się nie odnosi; i owszem, bardzo byłbym upokorzonym, gdyby przychylność ich otrzymało: lecz do ciebie, szlachetna i nieskalana młodzi, w któréj pracowitości, odwadze, zamiłowaniu wszystkiego co jest dobre i piękne, świetną dla kraju przyszłość upatruję, w jednem zemną źródle czerpiącéj natchnienie, i najbliższą moją uczuciem, myślą, dążeniem, stanowiącéj rodzinę.

W Krakowie, 1 sierpnia 1861.

CZATTERTON

DRAMAT W TRZECH AKTACH, PODŁUG ALFREDA DE VIGNY

PRZEDSŁOWO

Wiersz wprzepolszczeniu tego dzieła (i wszystkich następnych) użyty, jest « pentameter » czyli «pięciomiar jambowy, » ten sam którego dawniéj używali Grecy i Rzymianie, którego dotąd używają Anglicy, Włosi i Niemcy, w celniejszych utworach scenicznych, od Eschylesa i Plauta, do Szekspira, Alfierego i Szyllera. W istocie jest on daleko stosowniejszym do dramatu, aniżeli solenny lecz trochę ociężały wiersz trzynasto-zgłoskowy, dotąd przez naszych tragików używany; gdyż, podobnie do zbyt długiéj szaty, nasz « rymowy hexameter » zwalnia prąd akcyi, dyalog rozciąga, i treść jakąś krasomówczą ogładą rozrabia. Temi przymioty jest on szczególnie uzdolniony do rzeczy opisowych, do epopei; nie zaś do rzeczy na scenie działanych, gdzie każda myśl jak iskra zapalać się i uderzać powinna. Wiersz jedenasto-zgłoskowy, dla łatwości rymu przeplatany, dyalog niby zmienia w ciągłą piosenkę z kuplecikami i zwrotką, w «libretto» do układu w muzykę gotowe. Do komedyi najlepszy, w dramacie niedogodny, do trajedyi całkiem nieprzydatny. Jakiż nam więc pozostaje, kiedy chcemy pisać dramat polskiéj scenie przeznaczony, lub téż przeszczepić na naszym języku utwór obcy, blaskiem zeszłych wieków lub uwielbieniem współczesnych jaśniejący? Zapewne ten, którym ci dawniejsi mistrzowie przemawiali, i już doświadczony niezmiennѐm nowszych dramaturgów użyciem. Po Janie Kochanowskim, który w « Odprawie posłów greckich » pierwsze potrzeby onego wyraził przeczucie, wielu piszącym się zdawało iż ich wiersze nierymowe będą uchodzić za miarowe, byle w każdym jednostajna ilość zgłosek się znajdowała. W podobnym stylu znamy bardzo liczne sztuki teatralne w ostatnich szczególniéj czasach pisane, bez końcówki, bez miary a często i bez sensu, grywane tu i owdzie, drukowane w Lipsku, Wrocławiu, Żytomierzu, Kijowie i t. d. Są to potwory ani wierszem ani prozą, do żadnego rzędu istot żyjących nie należące. Takiemi są... Niech mi wolno będzie tytuły dzieł i nazwiska autorow, dla ważnych powodów przemilczeć. Oprócz krótkich ustępów z B. Zaleskiego lub W. Pola, nie zdarzyło mi się napotkać dotąd ani jednego dziełka, nibyto miarowym wierszem, któreby istotnym warunkom prozodyjnego ruchu odpowiadało. A przecież nasz język, tak jak wszystkie pierwotne, jest w iloczas bogatym, łatwo się w rytm układającym, nawet śpiewnym na równi z włoskim, czego nasze melodye karpackie, krakowskie, biało-ruskie, oczywistym są dowodem. Nasza prozodya jest tém doskonalszą, że posiada jedno tylko lecz nieomylne prawidło; przedostatnia zgłoska każdego wyrazu jest długa, krom pewnéj liczby wyrazów złożonych i nazwisk zagranicznych. Wiersz jambowy jest zaiste trudniejszym od rymowego; bo każda zgłoska, od pierwszéj do ostatniéj, w niezmienną formę rytmu jest ujętą: lecz podług mego przekonania, może się u nas przyjąć i rozkrzewić, byle piszący nim, z prawami ustanowionemi przez mistrzów dokładnie się zapoznali i oswoili. — Jest on dziesięcio-zgłoskowym i pięcio-miarowym, naprzemian z krótkich i długich zgłosek złożonym. Dwie zgłoski, krótka i po niéj długa, stanowią « Jambę. » — « Cezura » czyli spoczynek, w ciągu każdego wiersza konieczna, przypada na parzystą, a zatém długą zgłoskę drugiéj miary; jak naprzykład:

˘ — ˘ — ˘ — ˘ — ˘ —
« Zmarźnięta dłoń, (a w głowie płonie żar, »

lub trzeciéj:

˘ — ˘ — ˘ — ˘ — ˘ —
« By porwać błędną myśl (i przenieść ją, »

lub czwartéj:

˘ — ˘ — ˘ — ˘ — ˘ — o
« Stracony bez nadziei! Sąd, (więzienie! »

Bez takiéj średniówki, wiersz miarowy całkiem nie istnieje. — Ostatnia zgłoska jeżeli krótka, jak w poprzedzającym przykładzie, do składu wiersza się nie liczy. — W ogólności postawić można to naczelne prawidło, że złożone wyrazy wymawiają się podług iloczasu źródłowych, do ich składu wchodzących. — To samo stosuje się do cudzoziemskich. — Jamby dwu-miarowe w naszym języku są bardzo liczne, jako to : « Zaniechałbym, Widzieliście, Słyszeliśmy, Cokolwiekbądź, Aniżeli, » i t. p. — Jamby jedno-miarowe są nieco rzadsze, istnieją wszakże, jak n. p. « Choćbym, Codzień, Bodaj, Jakem, Wyście, Musim, Widzim, Będziem, Dwakroć, Niemniéj, Odkąd, Dajże, Wtenczas, » i t. p., to jest wszystkie « trzy-zgłoskowe skrócone, » lub « dwu-zgłoskowe złożone » wyrazy, w których ostatnia jest długa, zwłaszcza tam gdzie tok myśli przycisk na nią wskazuje lub dozwala. Jedno-zgłoskowe wyrazy są długie lub krótkie, podług potrzeby, znaczenia, a szczególniéj zwyczaju dobrego wymawiania; zawsze długie w średniówce lub na końcu wiersza.

Te są zebrane w kilku słowach dramatycznéj Jamby prawidła. Myśl schwycona w tę miarę już nie ulega żadnéj przewłoce, żadnemu przeistoczeniu dziwném zrządzeniem rymu zmuszonemu, czasem w zupełnie różną od pierwotnéj; i owszem, zachowuje całą swoją czerstwość i potęgę, skupia się raczéj i zgromadza. Wyraża w zupełności to co autor chciał wyrazić, ani mniéj ani więcéj. Jest to mowa zwyczajna, lecz bardziéj ścisła, dobitna, że tak powiem uskrzydlona, i w ustach celniejszych aktorów włoskich lub angielskich których słyszeć mi się zdarzyło, jakąś uroczą barwę namiętnéj jenialności przybierająca.

Teraz parę słów co do pobudek, dla których dramat « Czattertona » na tę pierwszą próbę wybrałem. Autor tego arcydzieła, choć sam znakomity między współczesnymi rymotwórca, napisał je prozą, i słusznie; bo przedmiot z potocznego życia wyjęty, w przelaniu na wiersz francuzki, byłby wiele na rzeczywistości i efekcie swoim stracił. Tak jak wszystkie śmiałe pomysły społeczne, gorące uwielbienia i gwałtowne zawiści wywołało; czytelnik sam najlepiéj osądzi, które słuszniejsze. Chciałem podług wyłożonego systemu przepolszczyć twór obcy, noszący na sobie cechę niezaprzeczonéj wyższości, którejby nigdy oryginalny nie posiadał; tak więc wszystkie niedostatki w czytaniu lub też w przedstawieniu spostrzeżone, mnie samemu, nie zaś panu Alfredowi de Vigny przypisane będą. Prócz tego, « Czatterton » zawiera w sobie głęboką naukę, dla wszystkich krajów przydatną, ale zwłaszcza dla naszego, gdzie co krok można spotkać lordów Talbot lub Beckford, a gdzie, niestety ! charaktery Kitty Bell i Kwakra, są dziś płonnym i bolesnym, bo zbyt rzadko sprawdzającym się w życiu ideałem.

CZATTERTON

OSOBY

CZATTERTON.
KWAKIER.
KITTY BELL.
RACHELKA, sześcioletnia jéj córka.
JOHN BELL*), rękodzielnik.
LORD BECKFORD, Lord-major Londynu.
LORD TALBOT.

*) Wymawia się: Dżon Bell, Loderdel, i t. d.

LORD LAUDERDALE.
LORD KINGSTON.
TRZÉJ MŁODZI LORDOWIE.
DWAJ DŻOKEJE.
SŁUŻĄCY LORDA BECKFORD.
SŁUŻĄCY JOHNA BELL.
ÓŚMIU WYROBNIKÓW.
U JOHNA BELL, W OKOLICY LONDYNU.

Aktorowie szykują się porządkiem na czele każdéj sceny wskazanym.

« ... *despair and die.* »
SHAKESPEARE.

AKT PIERWSZY.

Obszerny zakład handlowy; izba porządna i dostatnia, za którą widać, przez drobne szybki szklannéj przegrody, dobrze zaopatrzony sklep bławatny.
— Po prawéj stronie (od sceny), komin nałożony węglem ziemnym; w głębi, schody kręte prowadzące do kilku ciasnych izdebek, między któremi pokoik Czattertona. Po lewéj, drzwi do sypialni Kitty Bell.
— Kwakier czyta siedząc, na prawo. Kitty Bell szyje przy stoliku z przeciwnéj strony; u stóp jéj synek na ławeczce, przy nim Rachelka z książką w ręku.

SCENA I.

KWAKIER, RACHELKA, KITTY BELL.

KITTY BELL do Rachelki, pokazującéj bratu obrazki w książce.

To pana głos w przedsionku; ciszéj dzieci.
(do Kwakra.)
Mój Boże! pewno znów zdarzenie jakie!
(Kwakier wzrusza ramionami.)
Pan dzisiaj gniewny! to po głosie znać. —
Rachelko, przestań biegać jak szalona!
(upuszcza robotę i słucha.)
Wszak już mniéj groźny; czy nieprawda, panie?
(Kwakier potakuje skinieniem głowy i czyta.)
Zdejm zaraz te paciorki, proszę cię;
Błyskotek marnych tknąć nam się nie godzi. —
A któż ci dał tę książkę? Co ja widzę!
To biblia! czyli nie ten młody pan,
Nasz gość od trzech miesięcy?

RACHELKA.

On, mamuniu.

KITTY BELL.

O Boże! coś zrobiła! — Mówię wciąż
Byś od nikogo nic nie przyjmowała,
Szczególniéj zaś od niego... taki biedny!
A kiedyś go widziała, moje dziecię?
Wiem żeście z rana śmieli wejść oboje,
Codzienny pierwszy dać mu pocałunek;
A czy to pięknie?
(całuje dzieci.)
Wszak on pisał jeszcze,
Bo lampa się świeciła całą noc.

RACHELKA.

I nawet płakał.

KITTY BELL.

Płakał! on, jak zwykle...
Nie gadać o tém więcéj, bardzo proszę;
On płakał! — Trzeba zwrócić mu ten dar,
Gdy was zawoła; lecz mu nie przeszkadzać,
I nie brać nic od niego, wcale nic.
Od trzech miesięcy jak w tym domu mieszka,
Jam, ani razu mówić z nim nie śmiała,
A wy tę książkę wzięliście mu z rąk.
To bardzo źle. — Niech Kwakier was uściska,
On wasz przyjaciel, z nieba wam zesłany.
(Dzieci biegną do Kwakra.)

KWAKIER.

Dziateczki, chodźcie, chodźcie tu oboje,

Słuchajcie pilnie... Tak. —
(sadza je na kolanach.)
Powiedzcie matce
Że serce jéj cnotliwe i nabożne,
Lecz że jak wasze, chęci jéj dziecinne;
Że swoich słów nie dosyć rozważyła,
I że ją proszę rozkaz swój odwołać.
Bo zwrócić nieszczęsnemu dar serdeczny
Jest upokorzyć go za dobry czyn,
I całą jego nędzę mu wyjawić.

KITTY BELL, zrywając się z siedzenia.
Ach! prawdę mówi; tak, najświętszą prawdę! —
Rachelko, daj tę książkę. — Trzeba ją
Zachować całe życie! — Nasz przyjaciel
To żywa prawda. — Matka twa zbłądziła.

KWAKIER głęboko wzruszony, całując jéj rękę.
Ach! nie mów o mnie tego, Kitty Bell!
Aniele tęskny! — Mądrość, to złudzenie. —
Patrz, jeślim chciał powiedzieć prawdę szczerą,
Zmyliłem się w téj prawdy wysłowieniu.
Czym dzieci przestrzedz miał o błędzie matki? —
O! niemasz wiedzy tak rozumnéj w świecie
By sprostać mogła duszy twéj przeczuciom,
Lub warta łzy wylanéj z twego serca.
(Słychać grzmiący głos za sceną.)

KITTY BELL, zalękniona.
O Boże! jeszcze gniew, ten sam co wczoraj!
Ochłonąć muszę.
(pada na krzesło.)
Burza nie daleka,
A wszystkie burze biją tu, aż w serce.

KWAKIER.
Już wiem co w głowie ma twój mąż i pan;
Z wyrobnikami swymi wciąż się swarzy.
Wysłali z Norton ośmiu do Londynu,
O przebaczenie dla jednego z nich.
Dwie mile pieszo, bez żadnego skutku! —
Oddalcie się; was trojga tu nie trzeba...
Ten człowiek was zamęczy... jest to sęp
Co własne gniazdo dziobem swym rozdziera.
(Kitty Bell wychodzi z jedną ręką na sercu, a drugą wsparta na głowie synka, którego wraz z Rachelką wyprowadza.)

SCENA II.

KWAKIER, JOHN BELL, OŚMIU WYROBNIKÓW za nim u drzwi stających.

KWAKIER, patrząc na wchodzącego Johna Bell.
Nachodzi bogacz i właściciel hardy,
Szczęśliwy gbur i samolub udzielny!
Mąż sprawiedliwy według praw, i siebie.

JOHN BELL do wyrobników, z gniewem.
Nie, nie, raz jeszcze! — Precz mi ztąd! Będziecie
Pracować więcéj; ja tak chcę i kwita.

JEDEN WYROBNIK, do towarzyszów.
A mniéj zarabiać; pan tak chce i kwita.

JOHN BELL.
Co! Niech się dowiem kto tak odpowiada,
Wypędzę go natychmiast, jak tamtego.

KWAKIER.
I słusznie, Johnie Bell! Wspaniałyś w gniewie,
Jak samowładca, gdy przed ludem stoi.

JOHN BELL.
Ty jesteś Kwakrem, więc ja cię nie słucham.
Lecz gdybym wiedział który się odzywa!
O, ten buntownik niema czci ni wiary!
I jakżem przyszedł do majątku mego;
Czym wyrobnikiem nie był tak jak wy?
Czym Norton kupił od jednego razu?
Choć wszystkie domy, choć przędzalnia moja,
Wszak dałem przykład pracy i rządności?
Powiedzcie sami; czym intraty rocznéj
Każdego dnia zarobkiem nie zasilał?
Czym kiedy był leniwym i rozrzutnym?
Tak czyniąc, każdy z was bogatym będzie.
Warsztaty moje płacę wam zmniejszają,
Lecz mnie przynoszą zysk; żałuję was,
A sam się cieszę : bo niech będą wasze,
I produkt ich do was należeć będzie.
Kupiłem je za pracę moich rąk;
Pracujcie więc, i szczędźcie tak jak ja! —
Pomnijcie na przysłowie naszych ojców :
« Pilnujcie grosza, szeląg sam się strzeże. »
A teraz już za Tobym się nie wstawiać;
Wygnałem go na dobre, bo zasłużył.
Precz ztąd, nie szemrać! bo kto jeszcze piśnie,
Z przędzalni moiéj razem z nim wyleci,
Bez chleba, pracy, domu i odzieży.
(Rzemieślnicy wychodzą.)

KWAKIER.
Cóż daléj, Johnie Bell? I w parlamencie
Wymowniejszego głosu nie słyszałem.

JOHN BELL, wracając jeszcze rozdąsany i ocierając sobie czoło.
A ty, nie ufaj w to że Kwakrem jesteś
By wszystko psuć i mącić w koło siebie.
Choć rzadko mówisz, lepiéj milcz zupełnie. —
Bo słowa twoje w każdy czyn rzucone
Podobne są do pchnięć ostrego noża.

KWAKIER.
To tylko zdrowy rozum, i nic więcéj;
Ból głowy daje temu kto ją traci.
Lecz ja mych słów bynajmniéj nie żałuję;
Wrażenie ich jest wątłe i przelotne,
Po jednéj chwili nic się nie zostaje.

JOHN BELL.
Inaczéj sądzę; wiesz że lubię z tobą
Rozmawiać o pokoju lub o wojnie :
Lecz błędnie wszystko na swój łokieć mierzysz.
W kościele naszym Kwakry są wyjątkiem,
A tyś wyjątkiem w sekcie twéj wyłącznéj.
Synowcom cały swój majątek dałeś;
Prócz lichéj spłaty nic ci nie zostało,
I kończysz życie w myśli bez uczynku. —
Jeżeli ci z tém dobrze, zgoda na to;
Lecz nie pozwolę byś w mym własnym domu
Zachęcał do zuchwalstwa moich sług.

KWAKIER.
A w czém ci to zuchwalstwo szkodzić może?
Twych owiec bek czy nie pozwala ci
Ich wełnę strzydz lub krwawe mięso jeść?

Wszak wolno ci każdego pościel sprzedać?...
Czy każda matka nie wysyła dzieci
Schnąc, blednąc, kasłać nad przędziwem twojém?
Czy w ich istnieniu jest nie twoja chwila?
Czy każda potu kropla po szelągu
Ci nie przynosi? Norton, twa dziedzina,
Spoczywa w ręku twoim, jak w Karola
Wielkiego dłoni ziemski krąg jaśnieje;
Mocarzem jesteś lennéj twéj przędzalni.

JOHN BELL.

To prawda, lecz to słusznie. — Ziemia moją,
Bo ją kupiłem; domy mą własnością,
Bom je zbudował; jéj mieszkańcy moi,
Bo mi czynszują; ich robota moją,
Bo za nią płacę: — więc, w obliczu prawa,
Jam sprawiedliwym.

KWAKIER.

Dobrze; a czy prawo
Jest sprawiedliwém przed obliczem Boga?

JOHN BELL.

Za takie słowa wisiałbyś niechybnie;
Lecz jesteś Kwakrem.

KWAKIER.

Sam bym się powiesił,
Do ciebie gdybym mówić miał inaczéj;
Bo chociaż Kwakier, jam przyjaciel wasz.

JOHN BELL.

Od lat dwudziestu gdybym cię nie znał,
I gdybyś syna niebył mi wyleczył,
Już dawno, bracie, z domu byś wyjechał.

KWAKIER.

Tém gorzéj; bom uleczyć chciał i ciebie
Zaślepionego tą chciwością zysku,
Niemniéj jak dzieci wieku ich słabością. —
Chcę żebyś twego sługi nie wyganiał. —
Nie proszę cię, lecz po bratersku radzę;
Prośb nieznam.

JOHN BELL.

Co się stało, to się stało. —
Dla czego wszyscy mnie nie naśladują?
Niech u nich wszystko służy jak u mnie. —
Czy ja do pracy żony nie napędzam?
Nie słychać jéj, lecz jest tu cały dzień;
Choć oczy spuszcza, wciąż zarabia niemi.
Przędzalnie po przedmieściach moim działem;
Niech ona też folwarkiem tym zarządza,
Gdzie z końcem dnia zjeżdżają się lordowie
Po parlamencie, łowach lub przechadzce.
Na późniéj ztąd wysokie znajomości. —
I Toby był dość zręcznym rzemieślnikiem,
Lecz nie przezornym. — Każdy człek porządny
Zarobek w domu ze wszystkiego ciągnie. —
Żyjące rzeczy, jak i nieżyjące,
Powinny zysk przynosić. — Ziema płodzi,
I pieniądz rodzi, z czasu grosz pochodzi. —
Kobiety żyją w czasie, jak my sami;
Więc oczywisty dochód ten marnuje
Kto żonie czas zostawia bez użytku. —
Że Toby swéj z córkami dał próżnować,
Dla niego szkoda; mnie to nie obchodzi.

KWAKIER.

On złamał rękę, przy warsztacie twoim.

JOHN BELL.

I warsztat złamał.

KWAKIER.

A ja wiem z pewnością
Że żal ci większy za stalową dźwignią,
Niż za ramieniem z ciała i krwi ludzkiéj.
Stalowe twoje serce jak warsztaty. —
Spółeczność stanie się jak twoje serce;
Jéj bogiem złoty pręt, wyznaniem lichwa,
A szachraj żyd kapłanem i cesarzem. —
Nie twoja wina; ty rostropnie działasz.
Na świat przychodząc, takim go zastałeś,
I całkiem tego niemam ci za złe.
Tyś synem twéj epoki, przymiot rzadki. —
Lecz skoro mówić szczerze mi nie wolno,
Mam prawo czytać.
(bierze książkę i odwraca się na krześle.)

JOHN BELL.

Widzisz go, braciszek;
(głośno, otwierając drzwi od pokoju żony.)
Tu, mistress Bell!

SCENA III.

CIŻ, KITTY BELL, DZIECI.

KITTY BELL trzymając za rękę dzieci, kryjące się pod jéj odzieniem.

Cóż, panie?

JOHN BELL.

Gdzie rachunki!
Ten młody człowiek co na górze stoi,
Pan Piotr lub Tomasz... jak się tam nazywa,
Czy rychło się wyniesie?

KWAKIER.

Samolubie!
Ty w życiu sam zostaniesz.

KITTY BELL, biorąc rejestr ze stolika i przynosząc.

Na rejestrze
Zapisał Tom, nic więcéj. — Oto są
Rachunki dzienne, z przeszłych dwóch tygodni.

JOHN BELL, czytając.

Tyś mniéj porządna, Kitty, mniéj przykładna! —
(patrząc jéj w oczy, z wyrazem nieufności.)
Ten mądry Tom po całych nocach ślęczy,
A lichą ma wyprawę. — W tém cóś jest. —
(przejrzawszy rachunki.)
Ty źle się rządzisz.

KITTY BELL.

Zkąd ten wyrzut, panie?

JOHN BELL.

Czy pani nie wie?

KITTY BELL.

Cyfry źle dodane?

JOHN BELL.

Najszczersza kręci, jak przed psami lis.
Odpowiedz wprost, i patrz mi w oczy śmiało!

KITTY BELL.

Lecz cóż cię gniewa w tém co tu znajdujesz?

JOHN BELL.
Mię gniewa właśnie czego nie znajduję;
Ten brak mię dziwi...

KITTY BELL, zmięszana.
Lecz ja niewiem dobrze;
Wszak można przejrzeć.

JOHN BELL.
Za spojrzeniem jednem,
Widocznie zbywa pięć lub sześć gwinei.

KITTY BELL.
Racz mi wyjaśnić...

JOHN BELL, biorąc ją za ramię.
Wróć do siebie, proszę;
Szczerości więcéj, a marzenia mniéj.
Próżnują dzieci, ja nie lubię tego.
W obłoki patrzysz, ja po ziemi chodzę...
Mój dom w nieładzie, niczém się nie trudnisz.
Rachelka źle ubrana, prawie naga...
To wszystko nic do rzeczy.
(Rachelka biegnie strwożona do Kwakra.)
Idź, i czekaj;
Ten szereg dodać i przez siedm pomnożyć.
(wchodzi za żoną do sypialni i zamyka drzwi z łoskotem.)

SCENA IV.

KWAKIER, RACHELKA.

RACHELKA.
O, ja się boję!

KWAKIER.
Tak się będziesz bać
Przez całe życie, aż cię Bóg wyzwoli;
Bać męża kiedyś, jak dziś ojca twego.
(Czatterton wygląda z izdebki, i zwolna schodami zstępuje; — patrzy nieruchomy na starca i na dziecię.)
O dziecię, igraj aż kobietą będziesz;
Aż dotąd śnij o niebie, o aniołach,
Zapomnij potém: o, zapomnij mówię!
Bo czego w życiu doznasz, tak jest różném
Od twoich snów, że żal ci po nich będzie. —
Ta ziemia nie jest rajem, lecz wygnaniem
Zkąd wzniosłe dusze tęsknią do Ojczyzny. —
Baw się bez przerwy, nie rozmyślaj nigdy;
Myśl jest cierpieniem. — Co, ty płaczesz dziecię?
Ty chylisz główkę na mém łonie? Patrz,
Przyjaciel schodzi; witaj go z uśmiechem.

SCENA V.

KWAKIER, RACHELKA, CZATTERTON.

CZATTERTON, dając pocałunek Rachelce biegnącéj ku niemu, ściskając rękę Kwakra.)
Dzień dobry ojcze, zbyt surowy radzco.

KWAKIER.
Nie dość jak radzca, a tém mniéj jak ojciec.
Twa dusza ciało trawi, masz gorączkę.
Ognista dłoń, a twarz jak całun blada. —
Jak długo myślisz żyć w podobnym stanie?

CZATTERTON.
O, jak najkrócéj! — Gdzie jest mistress Bell?

KWAKIER.
Czy życie twe nie przyda się nikomu?

CZATTERTON.
I owszem; wszystkim ciąży, jak i mnie.

KWAKIER.
Czy silnie wierzysz w to co mi powiadasz?

CZATTERTON, z cierpkim uśmiechem.
Jak ty, w braterską miłość i sumienie.

KWAKIER.
Czy dawno żyjesz? serce masz tak młode
Jak dziecka tego; a twoj duch posępny
Już doświadczeniem stary, tak jak mój.

CZATTERTON.
Dziś kończę rok ośmnasty.

KWAKIER.
Biedne dziecię!

CZATTERTON.
Oj biedne, prawda! — Dziecię? nie zupełnie...
Przeżyłem tysiąc lat.

KWAKIER.
Więc nieznasz jeszcze
Połowy złości ludzkiéj na tym świecie. —
Wszechwiedzą duszy jest cierpienie.

CZATTERTON.
Zgoda!
Więc zemnie mądry starzec!... Ja myślałem
Że panią Bell tu znajdę. — Oto list,
Pisany z wielkim trudem.

KWAKIER, czytając napis.
Do Beckforda! —
Tyś nadto dobry. Strzeż się tego, synu.
Są ludzi dwa rodzaje; męczennicy
I kaci: los cię zrobił męczennikiem
Każdego z nich, jak matkę tego dziecka.

CZATTERTON, z nagłém uniesieniem.
Człowieka dobroć czyni zeń ofiarę,
Dopóki sam zezwala; dzień swobody
Jest w jego ręku.

KWAKIER.
Co przez to rozumiesz?

CZATTERTON, całując Rachelkę, najtkliwszym głosem.
Czy mam to dziecię trwożyć? tuż przy matce!

KWAKIER.
Jéj matki ucho jest dotknięte głosem
Mniéj rzewnym jak twój głos; do niéj nie dojdzie.
(na stronie.)
Już oto trzeci raz o nią się pyta.

CZATTERTON, wsparty na krześle na którém Kwakier siedzi.
Ty wciąż mię łajesz; lecz mi powiedz jeno
Czy się nie godzi iść za swym popędem,
I rzucić walkę przed znużenia chwilą?
Jam postanowił nie przylepiać maski
Na moją twarz; być tém czém Bóg mię stworzył,
Słuchając serca w gniewie lub zachwycie,
I dotrwać w przeznaczeniu aż do końca.
Czy mam udawać cnotę, ja chwiejący?
Surowym być, do pobłażania skłonny?

Pod mą srogością każdyby rozpoznał
Litości uśmiech; anibym potrafił
Opony dosyć gęstéj wdziać na duszę. —
Zdradzony zewsząd, o czém wiem oddawna,
Tak mało cenię siebie, świat i ludzi,
Że od téj zdrady bronić się nie raczę.
Zazdroszczę głupcom téj radości dzikiéj
Że mię podstępem grubym chcą pokonać;
Zdaleka patrzę jak stawiają sieci :
A niechcę skłonić głowy, by choć jedną
Ich nić rozerwać, tak nie dbam o życie.
Zemszczony dosyć jestem ich podłością
Co w oczach własnych wznosi mię nad siebie,
I czekam chwili gdy nas Bóg rozsądzi.
Czy niemiał celu tworząc ich i mnie?
Czy ja natury prawa mam przetwarzać?
Czy moją rzeczą, kłam zadawać Twórcy?

KWAKIER.

Marzenie w tobie już zabiło czyn.

CZATTERTON.

Cóż z tego, gdy godzina w tém marzeniu
Dzieł więcéj płodzi, niż dwadzieścia dni
Czynności drugich? Sądź pomiędzy nami;
Czy praca ciała jedną dla człowieka?
Czy myśli trud niegodzien choć litości?
Czy sztuka liczb najwyższą sztuką ducha?
Czy Pytagoras jest przyrody bogiem?
Czy mam powiedzieć duszy méj natchnieniom :
Nieschodźcie z nieba, wyście nie potrzebne?

KWAKIER.

Fatalném piętnem skroń ci naznaczyły...
Ja cię nie ganię, lecz nad tobą płaczę.

CZATTERTON, siadając.

Mój dobry Kwakrze, w twém myślącém bractwie,
Czy jest opieka nad katuszą myśli?
O, ja tak sądzę! tyś dla wszystkich ostrym,
A mnie pobłażasz, to mię z życiem godzi.

(Rachelka siada na kolanach Czattertona.)

Od trzech miesięcy prawiem tu szczęśliwy;
Nikt nie zna mię, ja nieznam też nikogo,
I piękne dziatki na kolanach pieszczę.

KWAKIER.

Ja lubię cię za twój poważny rozum.
Tyś godzien zasiąść w sekty méj zebraniu,
Gdzie wrzask papistów przed obrazem złotym
Ni śpiew dziecinny lutrów nie dochodzi.
Ja lubię cię, bo świat cię nienawidzi.
Marząca dusza jest ciężarem wszystkim
Ruchawym głupcom co trząsają ludźmi.
Ja lubię cię za czułość twą, chorobę
Dla któréj żaden gap nie miał litości!
Ty ani wiesz nazwiska tajnych wrogów
Krążących koło ciebie; lecz ja wiem
Że cię nie cierpią, bo cię znać nie mogą.

CZATTERTON, z zapałem.

Czy niemam prawa do miłości braci,
Ja który dzień i noc dla nich pracuję?
Com z takim trudem w gruzach méj Ojczyzny
Rozkrzewił piękny kwiat poezyi dawnéj,
Chcąc nowy blask zaszczepić na koronie
Téj wspólnéj matki? ja, co w tylu morzach
I w tylu rzekach perły téj szukałem?

(Rachelka porzuca Czattertona, siada przy Kwakrze na krzesełku i przegląda ryciny.)

Ach, gdybyś znał me prace!... Przerobiłem
Mój kąt w klasztorną celę; myśl i życie
Świętością przyodziałem; wzrok stępiłem,
Zaćmiłem dlań oświaty naszéj słońce,
By z prostszém sercem łatwiéj się nauczyć
Dziecięcéj mowy tych spłynionych lat.
Pisałem jak król Harold do Wilhelma.
Jak Sas do Franka, wierszem dwu-plemiennym;
Tę muzę wpół zakonną, na ołtarzu
Jak świętą postawiłem. — O! ci ludzie
Strzaskaliby ją pewnie, gdyby doszli
Że z ręki méj stworzona : czcili ją,
Jak utwor mnicha co nie istniał nigdy,
Któregom ochrzcił Sasem i Rowleyem.

KWAKIER.

Zabijać żywych, a umarłych wskrzeszać,
To ich uciecha.

CZATTERTON.

Przecież, ktoś wyjawił
Że książka ta jest moją. Zniszczyć późno;
Więc żyć jéj dano. Lauru liść zyskałem,
A z lauru nikt nie żyje. — Ja, poeta,
Daremnie chciałem nagiąć się do czynu;
A pisać jest jedyném mém rzemiosłem.
Bez skutku wziąłem się do ścisłych prac.
O, niech ci ludzie Bogu raz przebaczą
Że tak mię stworzył! — Czy to zbytek sił,
Czy też haniebna słabość, nie wiem sam. —
Lecz nigdy w ciasnych i wytkniętych groblach
Nie mogłem ująć myśli méj powodzi,
Swe brzegi rwiącéj jak wezbrany prąd.
Niezdolny w żółwich czołgać się działaniach
Codziennych rachub, sam się ich wyrzekłem.
Uznawszy cyfr zwycięztwo nad mą duszą,
Powziąłem zamiar ciałem mém zarabiać. —
Niestety, bracie! znów upokorzenie,
Znów cierpka boleść! — Ciało, od dzieciństwa
Strawione żarem idei bezsennéj,
Choć od najlżejszéj wzbrania się roboty.

(coraz gwałtowniéj.)

Stu Herkulesów choćbym moc posiadał,
Pomiędzy mną a pracą wiecznie stoi
Ta współzrodzona, ta złośliwa wróżka,
Zapewne w méj kolebce znaleziona,
Poezya, rozmarzenie! — Ta mię ściga,
Czaruje świat i kirem swym pokrywa,
Kolejno w raj lub piekło mię unosi;
Oddaje wszystko, wszystko mi wydziera :
W niéj me zbawienie, w niéj i zguba moja!

KWAKIER.

Co teraz robisz?

CZATTERTON.

Nic... Harolda piszę. —
Dla czego? niewiem... Pewnie bo tak trzeba.

(pada na krzesło; i już niesłuchając odpowiedzi Kwakra patrzy na Rachelkę i przywołuje ją do siebie.)

KWAKIER.

Choroba nie do wyleczenia.

CZATTERTON.

Moja?

KWAKIER.

nie! ludzkości. — Sercem twém sie rządząc,
Litujesz się nąd tymi co ci mówią :
Nie bądź poetą; — ja, słuchając głowy,
Pogardzam niemi; bo ci mówić chcą :
Zejdź nam od słońca, tu nie twoje miejsce.
Niech ich kto chce wyleczy. Jam bezsilny;
Lecz ich do zgonu chłostać nie przestanę.

CZATTERTON głośno do Rachelki, z którą po cichu rozmawiał podczas odpowiedzi Kwakra.

Gdzie moja biblia? gdzie mamunia twoja?

KWAKIER, wstając.

Wyjdź zemną.

CZATTERTON.

Gdzie ta książka, miss Rachelko?

KWAKIER.

Pan znowu burczy.

JOHN BELL, za sceną.

Nie, ja tego nie chcę. —
To być nie może. — Na to nie pozwolę.

KWAKIER do Czattertona, biorąc spiesznie kapelusz i laskę.

Twe oczy zaszły krwią od nocnéj pracy;
Chodź na przechadzkę. Ranek cię ochłodzi.

CZATTERTON, czekając wejścia Kitty Bell.

I ona także jest ich męczennicą.

KWAKIER.

Cóż ci do tego? Niech tu nie zastanie
Nikogo, płacząc. Daj klucz od twéj celi. —
Niech sama znajdzie. Na domowe kłótnie
Nie trzeba zważać. — Chodźmy więc. — To ona.

CZATTERTON.

Jak szlocha, biedna! Nie, ja płaczu jéj
Niemogę znieść.

(wychodzą.)

SCENA VI.

KITTY BELL, RACHELKA, JOHN BELL.

KITTY BELL, odsyłając Rachelkę do swego pokoju.

Rachelko, idź do brata.
Za chwilę przyjdę. (do męża, ze łzami.)
Proszę cię i błagam
Po tysiąc razy, nie wymagaj więcéj.
Bym ci wyznała zkąd ten brak pochodzi;
Czy sześć gwinei znaczy cóś u ciebie?
Wszak mogłam je utaić bez trudności
Zmieniając kilka liczb; lecz ja nie skłamię,
O własne dzieci choćby mi chodziło.
Wolałam prosić cię o dzień lub dwa,
I milczeć; gdyż nie mogę prawdy mówić
Ni skłamać bez występku.

JOHN BELL.

Odkąd ksiądz
Połączył nasze ręce przed ołtarzem,
Jam jeszcze cię nie widział tak upartą.

KITTY BELL.

Sądź więc jak święty powód mię zniewala.

JOHN BELL.

Lub też... zbrodniczy.

KITTY BELL, z oburzeniem.

Ach! nie myślisz tego.

JOHN BELL.

Kto wie?

KITTY BELL.

Miéj litoć nad służebną twoją!
Ty mię zabijasz.

JOHN BELL.

Ba! mocniejsza jesteś
Niż sama sądzisz.

KITTY BELL.

Temu zbyt nie ufaj...
Zaklinam cię na dzieci!

JOHN BELL.

Dosyć tego.
Gdzie tajemnicę, tam i grzech znajduję.

KITTY BELL.

A jeśli właśnie spotkasz czyn litości,
O, żal ci będzie!

JOHN BELL.

Czemu z nim się kryjesz?

KITTY BELL.

Bo twoje serce tak już skamieniało
Że nie uwierzy gdy ci go wyjawię,
I nie dozwoli mi mojego słuchać;
A kto ubogim, ten i Bogu daje.

JOHN BELL.

Na dobry procent grosz pożyczać wolę.

KITTY BELL.

Niech Bóg uczucia takie ci przebaczy!

JOHN BELL, przechadzając się niecierpliwie.

Zbyt wiele czytasz od pewnego czasu;
W kobiecie narów ten jest tylko śmieszny,
W mężczyźnie to cóś więcéj : bo mężczyzna
Powiniem żyć przez siebie nie przez innych. —
Inaczéj jest nie pszczołą, lecz szerszeniem...
Czy chcesz być literatką?

KITTY BELL.

Ach, mój drogi!
Więc będziesz mną pomiatać za to tylko
Żem pierwszy raz cię ślepo nie słuchała?
Niewiastą jestem prostą i ułomną;
Chrystusa słowo, to nauka moja.

JOHN BELL.

Znać je a niewypełniać, to zgorszenie.

KITTY BELL.

Daj mi choć tydzień, bym rachunki zdała;
A wyraz pierwszy z moich ust do ciebie,
Błagalnym głosem będzie za tę zwłokę.
Za drugim wszystko, wszystko ci wyjawię.

JOHN BELL.

Ja chcę byś nic przedemną nie taiła.

KITTY BELL.

Bóg wie, że w życiu mém i chwili niema
Za którąbym powinna się rumienić.

JOHN BELL.

A jednak dotąd jam o wszystkiém wiedział.

KITTY BELL.

Do kłamstwa często zmusza nas obawa.

JOHN BELL.

Więc umiesz kłamać?

KITTY BELL.

Będąc czém mię sądzisz,
Czy taką prośbą trudzić bym cię chciała? —
Tyś srogim dla mnie sędzią.

JOHN BELL.

Niezbłaganym!
Gdzie są pieniądze?

KITTY BELL.

Jutro ci odpowiem.

JOHN BELL.

Więc dziś nie będę już się dopominać.

KITTY BELL, całując mu rękę.

Tyś znów jak dawniéj, dobry! — Bądź nim zawsze.

JOHN BELL.

Już dosyć, dosyć! czekam aż do jutra.

(wychodzi.)

SCENA VII.

KITTY BELL, sama.

Dla czego, gdym dotknęła jego ręki,
Uczułam żal na książki téj wspomnienie,
I skryta w sercu mém powstała trwoga?

(rozmyśla.)

Ja oddam ją. Sumienie, to głos Boga!

(wychodzi wolnym krokiem.)

AKT DRUGI.

SCENA I.

KWAKIER, CZATTERTON.

CZATTERTON, wchodząc spiesznie, jak gdyby uciekał.

Schroniłem się nareszcie.

KWAKIER.

Co za szał!

CZATTERTON.

Ja wiem co czynię.

KWAKIER.

Przed kimże uciekasz?

CZATTERTON, niespokojny.

Ten jeździec mię nie widział?

KWAKIER.

Ani razu
Nie raczył się odwrócić. Pędził cwałem,
A za nim dobrym kłusem dwa dżokeje.
Lecz cóż w tym młodym lordzie tak strasznego?

CZATTERTON.

Czyś tylko pewien że nie poznał nas?

KWAKIER.

Przysięgać jest bezbożnie, lecz zaręczam.

CZATTERTON.

Oddycham więc. — Ty nie wiesz, to lord Talbot,
Przyjaciel mój!

KWAKIER.

Cóż z tego? Wszak przyjaciel
Od obcych ludzi w niczém się nie różni.

CZATTERTON, chodząc zasępiony.

Gorszego nic mi trafić się nie mogło.
Przytułek mój poznany, spokój zdjęty,
Zdradzone imie.

KWAKIER.

Wielkież to nieszczęście!

CZATTERTON.

Czy wiesz kto jestem?

KWAKIER.

Wiem żeś dziki bardzo;
Że tak się kryjąc, ujdziesz za złoczyńcę.
Dziecinnie bać się ludzi, bliźnich swoich.

CZATTERTON.

Potrzebniem z tobą wyszedł.

KWAKIER.

Cóż to szkodzi?
Bez tego kiedyś musiałby cię poznać;
Wracając z łowów często tu przybywa.

CZATTERTON.

On sam?

KWAKIER.

Zazwyczaj w swych przyjaciół gronie.

CZATTERTON.

Więc wszędzie przyjaciele, i natręty!
Spokojnie nigdzie głowy méj nie złożę.

KWAKIER.

Ten wiele już ucierpiał kto tak mówi.

CZATTERTON, z niechęcią.

Tyś jeszcze nigdy tak nie zwalniał kroku.

KWAKIER.

Łaj mię za twoją rozpacz. W téj przechadzce
Nic zająć cię nie mogło. Biedne dziecię!
Przyroda cała martwa przed twém okiem.

CZATTERTON.

Czy mistress Bell jest bardzo świątobliwą?
Widziałem w ręku jéj nabożną książkę.

KWAKIER, porywczo.

Mnie nic do tego. Kitty jest małżonka
Przykładna, bogobojna i cnotliwa;
Co jéj po książkach?

(na stronie.)

Gdzie on myślą goni!
O czém śmie marzyć? Raczéj niech utonie
Nim chwyci tę gałązkę. —

(w głos.)

Kitty Bell
To zimna dusza; prócz słabości dziatek
Nic jéj nie dręczy. Znam ją od kolebki.

CZATTERTON.

A ja zakładam się o sto gwinei
Że to spotkanie wróży mi nieszczęście.

KWAKIER.

A w jaki sposób?

CZATTERTON.
W jaki? Nie wiem sam.
Lecz się to spełni, rychło i niechybnie.
O, jeśli Kitty ma pokochać kogo,
Niech sobie w łeb wypali, nim ją zwiedzie;
To byłoby nikczemnie, czy nie prawda?

KWAKIER.
Wiec każdą myślą lecisz do zwątpienia?

CZATTERTON.
Nieszczęście nieuchronne mię otacza.
Przeczuwam je, do niego już przywykłem.
Daremna walka! Sam to będziesz widział;
Napatrzysz się do woli. — Tum chciał spocząć,
Lecz tu mię wróg doścignie.

KWAKIRE.
Jaki wróg?

CZATTERTON.
Zwij go jak chcesz; konieczność, los, przypadek:
Rzecz jedna w trzech—Czy wierzysz w przeznaczenie?

KWAKIER.
Czy wierzysz w Boga?

CZATTERTON.
Wiem o co się lękasz. —
Spokojnym bądź. Bezbronny jak niemowle,
(idzie ku niemu i za rękę chwyta.)
Nieszczęścia mego nie chcę wnieść w jéj dom. —
Widziałeś nędznych którym trąd lub dżuma
Rozdarła piersi? Pierwsza myśl twa była
Usunąć ich od pomieszkania ludzi. —
Odepchnij mię lub zostaw mię samego.
Ja sam się struję nim zarażę drugich
Trucizną méj niedoli.
(Słychać róg myśliwski i trzaskanie z harapów, jak po zaczętych łowach.)
Patrz w podwórze;
Odyńca samotnego już stropili!

SCENA II.

CIŻ, JOHN BELL, KITTY BELL.

JOHN BELL, do żony.
Nie dobrze, Kitty, żeś mi znać nie dała
Że mamy w domu tak zacnego gościa.
(Służący zastawia herbatę.)

KITTY BELL.
Czy tak, w istocie? Sama nie wiedziałam.

JOHN BELL.
I wielmożnego! Milord mi oznajmił
Że Czatterton jest jego przyjacielem,
Co w ściślém incognito kryć się chce.

KITTY BELL.
A więc nie jest ubogim? — Ach! tém lepiéj.
Lecz mówić z nim nie będę. Odejść muszę.

JOHN BELL.
Zaczekaj. Proś go na herbatę z nami;
Lordowi Talbot to przyjemném będzie.
(siada na lewo, przy zastawionéj herbacie.)

KWAKIER, do Czattertona, chcącego wychodzić.
O tobie mowa. słuchaj.

KITTY BELL, do Kwakra.
Racz zapytać
Czy niechce siąść do stołu z naszą dziatwą?

KWAKIER.
Napróżno go zapraszać, on nie przyjmie.

KITTY BELL.
Mój mąż tak chce.

KWAKIER.
Mąż panem w swoim domu. —
(do Czattertona.)
Ci państwo mi zlecili prosić gościa,
By raczył pić herbatę z ich rodziną.
(na stronie.)
Nie trzeba przyjąć; to z rozkazu męża,
Lecz się jéj saméj rozkaz nie podoba.

JOHN BELL czytając dziennik, do Kitty Bell.
Czy zaproszony?

KITTY BELL.
Doktor mię wyręcza.

CZATTERTON, do Kwakra.
Do siebie wracam.

KWAKIER, do Kitty Bell.
Gość do siebie wraca.

KITTY BELL, do Johna Bell.
Pan Czatterton do siebie wraca.

JOHN BELL, zdejmując okulary.
Tfu!
Poeta; niechże wraca zkąd przychodzi.
(bierze się do herbaty.)

CZATTERTON, do Kwakra.
Sam bym odmówił, bo z litości proszą.
(chce odejść, Kwakier go wstrzymuje. — Służący przyprowadza dzieci, i sadza na prawo przy matce; John Bell tyłem do sypialni, Kwakier w pośrodku.)

SCENA III.

CIŻ, LORD TALBOT, LORD LAUDERDALE, LORD KINGSTON, TRZÉJ MŁODZI LORDOWIE, wszyscy w stroju myśliwskim.

LORD TALBOT, trochę podpiły.
Gdzie jest przyjaciel mój, kolega szkolny?
To on, on sam! Ukłońcie się panowie!
(Lordowie się kłaniają.)
A cóż u diabła robisz w téj pustyni?
Tyś nas opuścił? Wszystko więc skończone?
Czy gardzisz nami za to żeś uczony,
Żeś nieśmiertelny? Prawda że w Oxfordzie
Prócz gry na pięści małom się nauczył;
Lecz nie wzgardziłem przeto twą przyjaźnią. —
Panowie, czapki! to przyjaciel mój!...
(Lordowie się kłaniają.)

CZATTERTON, przerywając.
Milordzie...

LORD TALBOT.
Nasz przyjaciel, Czatterton!

CZATTERTON podając mu rękę, z powagą.
Więc jeszcze, Jerzy, mierzyć słów nie umiesz

LORD TALBOT.
Czy cię to smuci? — Oto jest, panowie,
Ów sławny mąż, erudyt i poeta;
Jam w szkole wyższéj był spółuczniem jego!
(Lordowie się kłaniają.)

CZATTERTON.
Już dość!

LORD TALBOT.
O twym talencie nie wiedziałem.
A chytry, jak mię złapał! — Oto są
Lordowie młodzi Lauderdale i Kingston;
Na pamięć oba znają pieśń Harolda.
Jeżeli chcesz być z nami na wieczerzy,
Ich dobry smak ci wielce się spodoba.
Sam Garrick na Pegazie tak nie jeździ. —
ałuję że myślistwo cię nie bawi,
Bo klacz Rebekę byłbym ci pożyczył,
Kupioną niegdyś od rodzica twego.
Wiesz że po łowach zawsze tu się schodzim;
Wypijem wasze zdrowie... Cóż u licha!
Czyś ty w żałobie?

CZATTERTON, smętnie.
Tak, po moim ojcu.

LORD TALBOT.
Stuletni starzec! Jesteś więc dziedzicem.

CZATTERTON, z goryczą.
A tak! wszystkiego co przy śmierci miał.

LORD TALBOT.
Jeżeli dotąd sypiesz tak pieniędzmi
Jak dawniéj w szkole, to ci zaszczyt niesie;
Choć już w Oxfordzie trocheś był odludnym.
Ja też zaprawdę takim sam się staję.
Mam spleen godzinę, lub najwięcéj dwie. —
A, mistress Bell! Nadobna purytanko,
Dziś jeszcze rączki dać mi nie raczyłaś!
To grzech być purytanką; bom ci chciał
Polecić gościa i spółucznia mego.

JOHN BELL, do żony.
Odpowiedzże! — Milordzie, Godność wasza
Przebaczyć raczy; żona tak nieśmiała!
(do Kitty.)
Dla tego pana bądź grzeczniejszą trochę.

KITTY BELL.
Nie wątpi milord, że mój mąż ma względy
Dla wszystkich gości w domu tym bawiących.

JOHN BELL.
Czy milord wierzy, że od trzech miesięcy
Jak pan tu mieszka, głosu jéj nie słyszał?

LORD TALBOT.
Z téj nieśmiałości trzeba ją wyleczyć.
Ty, Czattertonie, bądźże jéj lekarzem.

KWAKIER, siedząc.
Od pięciu minut bawisz tu, młodzieńcze;
A wszystko coś powiedział, nic do rzeczy.

LORD TALBOT.
Cóż to za zwierz? Podobnych mało w lesie.

JOHN BELL.
Milordzie, to nasz Kwakier, z przeproszeniem.
(Śmiech ogólny.)

LORD TALBOT.
A, prawda! Kwakier! Cieszmy się, panowie!
(patrząc przez szkiełko.)
Zwierzyny takiéj jeszcześmy nie szczuli.
(Śmiech głośniejszy.)

CZATTERTON spiesząc do lorda Talbot, półgłosem.
To wszystko, Jerzy, nadto nie rozważnie;
Przypomnij sobie Primrose-Hill! Ty wiesz
Że mój charakter żartów tych nie znosi...
Jak wrócisz z pola, mam ci cóś powiedzieć.

LORD TALBOT, osłupiały.
Czy znowu duet na krucice? Zgoda!
Lecz jam był pewien że ci to przyjemnie.
Czym cię obraził? Prawda, że dziś rano,
Wsiadając na koń, piliśmy strzemienne.
I cóż w tém złego? Widzę co się święci;
Gospodę pewnoś przyjął, dla gosposi.

CZATTERTON.
Milordzie! dość już tego, ani słowa!

LORD TALBOT.
A, w złym humorze pan dziś rano wstał!
Nie dawaj mu zielonéj pić herbaty,
Bo mógłby zginąć, ręka by mu drżała.
Wszak szkoda, mistress Bell?

KITTY BELL, na stronie.
Jak on bezczelnie
Do mnie przemawia!

LORD LAUDERDALE, ściskając rękę Czattertona.
Przyjm usługi moje;
Piosenki pana mocno mię bawiły.

CZATTERTON.
Czy tak? bawiły?

LORD LAUDERDALE.
Tak; i ciesze się
Żeś pan tu osiadł. Lepiéj mu się wiedzie
Niż Talbotowi; zakład mój wygrany.

LORD KINGSTON.
Daremnie złotem męża trzos ładuje,
On nie dostanie Kasi... czy tam Kitty.

CZATTERTON.
Więc milord zna spieszczone jéj nazwanie?

KITTY BELL, na stronie.
Czy jeszcze? Przed nim palcem mię wskazują!

LORD KINGSTON.
I dla Jerzego byłaby łaskawsza;
Lecz pan tak zręcznie dałeś mu od kosza!
Nasz Jerzy zresztą gniewać się nie będzie,
On złości nie ma. — Czy pan dziś cierpiący?

CZATTERTON.
Tak, zwłaszcza teraz.

LORD TALBOT.
Dość, panowie, dość!
Ten pan u siebie.

DWAJ DŻOKEJE, wchodząc.
Konie są gotowe.

LORD TALBOT, trącając Johna Bell po ramieniu.
Mój mości Bell, na honor, nigdzie wina
Francuzkie i hiszpańskie nie są lepsze
Niż u nabożnéj małéj twéj gosposi.
Wypijem je wracając; a niech wezmę
Sforami w skórę, jeśli nie przyniosę
Dziesięciu lisów, dla niéj, na futerko. —
Odprowadź nas. — Ty, Lauderdale, idź przodem.

Tu zjazd wieczorem, jeśli mi Rebeka
Nie skręci karku. Więc na koń!

LORDOWIE.

Na koń!

JOHN BELL, do Czattertona.

Ach, panie! co za szczęście pana znać!
(ściska mu rękę aż do wyłamania.)
Dom cały na usługi.
(do wychodzącéj Kitty Bell.)
Ależ, Kasiu,
Piękniejszy pokój, droższy trza mu dać.
Pogadaj z panem.

KITTY BELL.

Dzieci mię czekają.

JOHN BELL.

Nie; zostań, bądź uprzejmą, ja tak chcę!

CZATTERTON, do Kwakra.

Wychodźmy ztąd. Ostatnie me schronienie
Zdobyte gwałtem; mir i spokój błogi
Wtrącony w przepaść, i zawistne światło
Wrzucone w moją noc, o to męczarnia!
Ostrzegłem cię... uchodźmy ztąd czémprędzéj.

JOHN BELL.

Doktorze, proszę; pan zostanie z żoną.
Koniecznie chcę z doktorem się rozprawić,
Pojednać go z milordem.

KWAKIER.

Ja zostaję.

(Wszyscy wychodzą. — Kwakier w pośrodku sceny siedzący, obok niego Czatterton i Kitty stoją zadumani.)

SCENA IV.

CZATTERTON, KWAKIER, KITTY BELL.

KWAKIER, trzymając rękę Czattertona w jednéj swojéj a drugą przykładając mu do serca.

Niewinne, młode serca nie umieją
Niechęci taić dla powszednich ludzi. —
Mój drogi synu, mój nieszczęsny synu,
Samotność często zgubną jest roskoszą.
W téj górnéj sferze, trudno znieść poziome
Ludzkości tchnienia. Życie jest to burza;
W niéj trzeba się przyswoić do żeglugi. —
Wszak się nie godzi, mistress Bell, by żeglarz
W tak młodym wieku wzdychał do przystani?
Zostawiam was, wyłajesz go do woli.

KITTY BELL, zmięszana.

Ach, zostań, ojcze! Mąż mój wnet powraca,
I chce się z nim rozmówić sam na sam.
Pan musi tęsknić do przyjaciół swoich?
Mię dziwi nawet że nie poszedł z niemi.

CZATTERTON, na stronie.

Chce mię odesłać.

KWAKIER, do Kitty Bell.

Zgiełk ich ci dokuczył?

KITTY BELL.

Ich zgiełk i myśli! Pan je zna zapewne?

CZATTERTON, na stronie.

Odgadła ich i gniewna! Co za zmiana!

KITTY BELL do Kwakra, tłumiąc oburzenie.

Nie dość samotną żyłam, dla tych panów.

KWAKIER.

Niech ich szaleństwa zbytnie cię nie troszczą.

KITTY BELL.

Tę książkę w ręku córki méj znalazłam.
Od pana może wzięła ją niebacznie?

CZATTERTON.

Istotnie, moją była; i żałuję
Żem się jéj pozbył, dając ją Rachelce.

KITTY BELL, na stronie.

To dar był szczery, dar nieoceniony!
Ach! nieśmiem teraz przyjąć jéj, ni zwrócić.

KWAKIER, na stronie.

Zakłopotani mocno są oboje.
(chowa biblią do kieszeni, patrząc półokiem na ich zmięszanie. — do Czattertona.)
Milcz, ani słowa; widzisz łzy w jéj oczach.

KITTY BELL, spokojniéj.

Znajomi pana bardzo cóś ucieszni.

KWAKIER.

On ich nie prosił; zacóż mu wymawiać?

KITTY BELL.

Pan Czatterton ich może tu nie czekał.

CZATTERTON.

Spojrzenie wroga, niech mi pani wierzy,
Znośniejszém by mi było, niż ich twarze.

KITTY BELL.

Tak dobrze znają pana; my, tak mało!

KWAKIER do Czattertona, półgłosem.

Zranili ją w głąb serca, o nikczemni!

CZATTERTON.

A mnie?

KITTY BELL.

Pan dawno znał ich obyczaje;
Jak oni też zamiary jego znając,
Pobytu z nami dobrze nie tłómaczą.

KWAKIER, wstając.

Przekleństwo téj szarańczy plądrującéj
Po obcych polach, a na świecie zwanéj
Dobrego tonu ludźmi! toż ich dzieło!
Próżniacy! w jednym dniu tak wiele szkody!

CZATTERTON, sadzając go.

Nie wychodź, w imie Boga, nim się dowiem
Com jéj zawinił. To mię trapi srodze.

KITTY BELL.

Mój mąż mi zlecił spytać go, chy niechce
Droższego mieć w tym domu pomieszkania.

CZATTERTON.

Do mych zamiarów moje mi wystarczy.

KITTY BELL.

Lecz tając swe zamiary, można wreszcie
Bojaźni więcéj wzniecić niż zajęcia;
Ja zaś...

CZATTERTON.

Co, pani?

KITTY BELL.

Sądzę...

KWAKIER.

Cóż takiego?

KITTY BELL,

Że ci panicze słuszie się dziwili

Iż pod tak skromnym dachem jak jest nasz,
Pan ukrył życie swoje i nazwanie.

KWAKIER, do Czattertona.

Do serca tego nie bierz; ona mówi
Żeś nie wyglądał za przybyciem twojém
Na podczaszego tych rozkłutych dzbanów.

CZATTERTON, z powagą.

Nie byłbym wchodził, gdyby mię spytano
O mój majątek, imie i tok życia...
Spytany dzisiaj, wyszedłbym podobnie.

KWAKIER.

Masz; niema pycha złe domysły płodzi.

CZATTERTON zrywając się do odpowiedzi, wstrzymuje się nagle i woła.

Cóż jeden cierń w męczeńskim wieńcu znaczy!

(uchodzi spiesnie.)

KITTY BELL, z przestrachem.

O Boże! czemu tak ucieka nagle?
Czy pierwsze moje słowa go zraniły?...
Wszak on mi obcy!... Po co tu się schronił?...
Ja nie pojmuję, lecz chcę wiedzieć czemu
Cierpiemy wszyscy przezeń lub dla niego!
Com ja mu winna i téj całéj zgrai?
Czyś był powinien do mnie go sprowadzać? —
Ja kryć się muszę przed nim i przed niemi!
O gdybym nigdy ich nie była znała!

KWAKIER, smętnie i niecierpliwie.

Coś chciała mówić, mnie to mówić było.
Już niema dla mnie smutku i zniewagi;
Lecz jemu, co za błąd!

KITTY BELL.

Słyszałeś, ojcze,
Tych młodych panów? — Jak ci ludzie śmieją
I mają władzę mącić tak me życie
Któremu sam Zbawiciel błogosławi! —
Tyś jest mężczyzną lepszym od tych ludzi,
Poważnym, słodkim i wierzącym w duszę;
Więc powiedz mi jak żona żyć powinna,
I w jakiéj puszczy ma się skryć przed światem?
Spuszczałam wzrok ku ziemi; rozciągnęłam
Nad życiem mém samotność jak zasłonę,
A oni ją rozdarli, podeptali.
Myślałam że sam Bóg o mnie pamięta,
A jestem znana tak jak ich kochanki.
Bez jednéj plamy chciałam żyć, umierać,
A jakiś zakład o mą cześć się toczy!
Cóż mi pomoże ta zakonna cisza,
I jaka matka świętą jest przed ludźmi,
Jeżeli dosyć téj szyderskiéj bandzie
Raz, na swéj drodze, widzieć ją, przypadkiem,
By porwać razem imie, cześć i sławę,
I grać jak w piłkę z rąk do rąk rzucaną?

(głos jéj w płacz przechodzi.)

Ach, drogi ojcze, zlituj się nad nami!
Niech oni nigdy, nigdy tu nie wrócą!

KWAKIER.

Kto?

KITTY BELL.

Oni wszyscy... wszyscy.

KWAKIER.

I on także?

KITTY BELL.

I on... szczególniéj.

(szlocha.)

KWAKIER.

Więc go zabić chcesz?

KITTY BELL, z żywością.

Ja... Coś powiedział? Ja go zabić mam? —
Ja cobym chciała... O przedwieczny Boże!
Ty do którego dzień i noc się modlę,
Ty wiesz, o panie, czy mu śmierci życzę!
Ja błagam cię, a niewiem czy mię słuchasz;
Otwieram serce, czy ty czytasz w niém?
A jeśli w nie spozierasz, niewiem jeszcze
Czyś mi przebaczył, czym twéj łaski godna!
Ach, czemuż dzieckiem ojciec mię zostawił!

(biorąc rękę Kwakra.)

Do rzymskiéj wiary czasem też mi tęskno,
Jedynie dla spowiedzi. Spowiedź święta
To wynurzenie serca przed Chrystusem;
Więc przebóstwione... mnie spowiedzi trzeba!

KWAKIER.

Jeżeli głos sumienia i modlitwa
Nie dość cię wspiera, zbliż się córko do mnie!

KITTY BELL.

Wyjaśnij mi tę trwogę mimowolną
Na widok jego w sercu mém zawartą;
Dla czego patrząc nań, ach! patrząc tylko!
Łzy ronić muszę?

KWAKIER.

O niewiasto biedna!
Niewiasto słaba! zakryj łzy i trwogę,
On sam powraca.

KITTY BELL.

Boże! jak zmieniony!

CZATTERTON, wpada jak szalony, z odkrytą głową. — Przebiega pokój niewidząc nikogo, i mówiąc bezładnie.

...A z resztą, skarby te czy ich własnością?
Tak jak ten pokój moją. — Świat jest słowo. —
Na wiarę można wygrać go lub przegrać
W minucie jednéj. — « Nikt z nas niema więcéj
Nad sześć stóp ziemi, » stary Will to mówi[1]. —
Na zawołanie oddam wam izdebkę;
Mnie innéj trzeba, lecz ciaśniejszéj jeszcze.
Jam czekać chciał na skutek tego listu;
Już niedoczekam.

(pada na krzesło.)

KWAKIER powstawszy ku niemu, reką obejmując głowę; półgłosem.

Wstrzymaj się w zapędzie. —
Uspokój wrzącą głowę. Niech ten szał
W milczeniu przejdzie; nietrwóż nim lękliwéj
A tobie obcéj, synu, téj niewiasty.

CZATTERTON zrywając się na wyraz « obcéj » z drgającym przekąsem.

Obcymi teraz wszyscy mi na świecie.
Przed każdym muszę kłaniać się i milczeć.
Mnie mowić nieprzystojnie i zuchwale;
Przepraszam ich pokornie za ten błąd...
W tym domu chciałem parę chwil wypocząć,
Choć dla sklejenia kilku stron ulotnych;
A którem winien odnieść, jak czeladnik

1. William Shakespeare.

Zrównany pień majstrowi musi zdać. —
Jam wyrobnikiem słowa i nic więcéj. —
Pracowni szerszéj już mi niepotrzeba;
Pan Bell zbyt czuły na przyjaciół mowy.
Lord Talbot ma tu prawo być kochanym;
Lecz jego przyjaźń dla mnie, to błazeństwo.
Ten żart spoczywa na fałszywéj myśli,
Niezdolnéj przeżyć nędzy méj wyznanie;
Na mylnéj cyfrze, którą przy wieczerzy
Wystrzałem jednym z głowy mu wykreślę.
Już ją mój ojciec porwał w swym całunie;
Dość znaczna cyfra, bo za nią zyskałem
Pokłony liczne i ściśniena rąk. —
To wszystko żarty, jam rzeźbiarzem słowa. —
Bądź pani zdrowa; bądź pan zdrów. Czas leci!
Cha, cha! Pracować muszę! do roboty!
(wbiega na schody i zamyka drzwi za sobą.)

SCENA V.

KWAKIER, KITTY BELL, oboje patrząc za nim.

KWAKIER.

Tyś przerażona, córko?

KITTY BELL.

Ach! drżę cała.

KWAKIER.

Ja także.

KITTY BELL.

Ty, mój ojcze? Ty, tak silny,
Że nic jak żyję wzruszyć cię nie mogło? —
Cóś w tém niezrozumiałe dla mnie biednéj;
On przybył tu nędzarzem, a bogaty,
Lord Talbot mówi z nim jak z równym sobie.
On wszystkich nas oszukał. Czego chce?
Litości naszéj czemu się domaga?
Wszelako mówić zdaje się od serca,
I w bladéj twarzy jawném jest nieszczęście.

KWAKIER.

Dla niego śmierć by pożądaną była.

KITTY BELL.

Ach! czemu?

KWAKIER.

Lepiéj umrzeć, niż oszaleć.

KITTY BELL.

A więc ty mniemasz... Boże! ja truchleję.
(siada bezwładna.)

KWAKIER.

Że najsilniejszy rozum nie wytrzyma
Połowy cierpień które w nim się łączą. —
Lecz muszę ci mą całą myśl wyjawić.
Aniołów czystość w duszy twéj jaśnieje;
Dziewica-Matka pod zbawienia krzyżem,
Na Syna twarz litośniéj nie spoglądа,
A przecie wiele złego tu zrządziłaś.

KITTY BELL.

O Chryste! czy być może?

KWAKIER.

Słuchaj mię. —
Jak złe z dobrego czasem się wyradza,
Z porządku nieporządek, to rozumem
Nie łatwo pojąć; równie, by go zgubić,
Jednego dosyć było ci spojrzenia,
Choć natchnionego czcią lub miłosierdziem,
Najświętszą cnotą z pod prawicy Boga. —
Młodzieniec ten, z umysłem już dojrzałym,
Pod słońcem ducha, jak w cieplarni róże,
Zachował serce proste i dziewicze.
Rodziny niema, innéj więc zażądał;
Niewiedząc o tém, przywykł żyć przy tobie,
Natchnienie czerpiąc w czułéj twéj postawie,
I w macierzyńskim oczu twych wyrazie.
Ten urok cichy który cię otacza,
Dla tęsknéj duszy tak był niebezpiecznym,
Jak sen pod pięknym, lecz zatrutym kwiatem.
Nie twoja wina, że wygnaniec biedny
Z przyjęcia twego tyle był szczęśliwym,
Iż niemy zamian myśli i współczucia
Stał się potrzebą, życiem dla sieroty. —
Czy ma kto prawo wydrzeć mu ten skarb?

KITTY BELL.

Więc, twojém zdaniem, on niezwodził nas?

KWAKIER.

Uchowaj Boże! Lovelace miał więcéj
Jak lat ośmnaście. — Czy na jego czole
Wstydliwéj nędzy piętno nie wyryte?
Sam ją zgłębiłem; przepaść to bezdenna.

KITTY BELL.

O, jak me słowa musiał czuć boleśnie!

KWAKIER.

I ja tak sądzę, pani Bell.

KITTY BELL.

Ach, ojcze!
Ja, pani? — Ty się gniewasz! Gdybyś wiedział
Co ja zrobiłam, i com zrobić chciała!

KWAKIER.

Mów, pilnie słucham.

KITTY BELL.

Dziś, zgniewałam męża
O drobne sumy skrycie już wydane
Na odzież jego. Mówić mu nie śmiałam,
Więc jeszczem dłużna. Mąż mój się domyślił.
W téj chwili właśnie miałam się upomnieć.
O, dzięki tobie żeś mi nie pozwolił
Dokonać skąpstwa... ach! co mówię, zbrodni!
Gdyż to by zbrodnią było, bez wątpienia.

KWAKIER.

On sam ja spełni aby cię zasłonić.
Znam jego dumę, więc ci ręczyć mogę.
Miéj wzgląd na niego, gdyż on jest dotkniętym
Chorobą straszną, prawie bez nadziei;
Choroba ta, udzielić się mogąca,
Powszechnie czepia się niewinnych serc,
Bijących dla wszystkiego co na ziemi
Jest piękném, dobrém; a na świat zrodzonych
By spotkać wszystkie nędze i niecnoty,
W społecznéj ciżbie źle zlepionéj pychą.
Ten zgubny wstręt do życia, miłość śmierci,
Nazywa się: uparte samobójstwo.

KITTY BELL.

Ach! przebacz, wielki Boże! czy to prawda!
(kryje głowę oburącz i płacze.)

KWAKIER.

Uparte mówię; rzadko ci nieszczęsni
Zmieniają zamiar w duszy raz powzięty.

KITTY BELL.

On chciałby umrzeć? Czyś ty pewien tego?
Ach! ojcze, powiedz wszystko! Niech nie ginie!
Ja niechcę jego śmierci! Cóż on winien?
Tak młode serce! dusza tak promienna!
Anielska dobroć i prostota dziecka!
Duch jaśniejący tak uroczém światłem,
Spaść aż do zbrodni którąby sam Chrystus
Zaledwie śmiał przebaczyć! To nie będzie.
On tak nie skończy. Czegóż mu potrzeba?
Czy trochę złota? Znajdziem. — Ja dostanę.
Patrz, oto me klejnoty, nienoszone;
Weź je, i sprzedaj. — On się zabić chce!
Tu, w moich oczach, przed mojemi dziećmi! —
Ach! sprzedaj wszystko, powiem co wypadnie.
Ja kryć się zacznę; chcę dla niego téż
Popełnić grzech : ja skłamię, on niech żyje!

KWAKIER.

Daj ręce córko, niech uścisnę obie!

(całując jéj ręce złączone.)

Niewinne są twe winy, święta zbrodnia!
I twoje siostry w niebie nad twém czołem,
By zakryć je, gwiaździste chylą wieńce.
Zachowaj twe klejnoty; Czatterton
Dwadzieścia razy skonałby przed złotem
Niezarobioném, lub nie po swym ojcu.
Daremnie walczyć z wadą w nim jedyną,
Ze szczytnym grzechem i cnotliwym prawie,
Z ubóstwa dumą nigdy nie ugiętą.

KITTY BELL.

Wszak mówił nam o liście już pisanym
Do pewnych osób, z dawna mu znajomych?

KWAKIER.

Ach, prawda! To wypadło z méj pamięci,
Lecz żaden dźwięk nie ginie w sercu twém;
Ostatnia to kotwica miłosierdzia,
Na niéj spoczniemy.

(chce wyjść.)

KITTY BELL.

Co te słowa znaczą :
« Lord Talbot ma tu prawo być kochanym? »
Co chciał powiedzieć?

KWAKIER.

Nie myśl o tém wcale.
Cierpieniem, pracą, dusza tak zajęta
Jest nieprzystępną złym zazdrości radom,
A jeszcze mniéj próżności tych latawców.
Zkąd te wyrazy? Czy przypuścić można
By jego zdaniem Talbot był szczęśliwym
W zwodzeniu Kitty Bell; a Czatterton
Miał prawo tego szczęścia mu zazdrościć?
Czy można wnieść że współcierpienie wasze
W namiętną miłość mogło się zamienić?...
Ach, gdyby tak być miało!

KITTY BELL.

Dosyć, ojcze...
Uciekam.

(uchodzi zakrywając uszy.)

KWAKIER, głosem za nią goniąc.

Jeśli tak, niech raczéj zginie!

(Słychać róg myśliwski i głośną rozmowę za sceną.)

Ktoś idzie... byle nie z przyjaciół naszych. —
Lord Talbot! byłem pewien że powróci.

SCENA VI.

KWAKIER, LORD TALBOT, JOHN BELL.

LORD TALBOT.

Niech sobie karki łamią, niech polują!
Jam już nie wesół, dość mam ich zabawy.
Bezemnie będą pić, bezemnie strzelać.
Uciecha dziwna, widzieć ich trwoniących
Chudobę swoją goniąc za mym zbytkiem!
Ta gra mię nudzi. Mości Bell, dwa słowa. —
Czyś ostrzegł mię o smutkach i ubóstwie
Naszego Czattertona?

JOHN BELL.

Lecz, milordzie,
Za jego smutki ja nie odpowiadam;
Ubóstwa nie znam, bo mi nic nie winien.

LORD TALBOT.

Ach, jak on żyje! Gdybyście słyszeli,
I wy, mój ojcze, co mi powiedziano!
A najprzód jego dzieła mu nie dały
Kawałka chleba. — Wiersze, to rzecz prosta,
I bardzo piękne; tak się zwykle dzieje.
Powtóre, jakiś partacz bez sumienia,
Gryzmoła lichy równie jak szkodliwy,
Ogłosił drukiem (tego mu nie mówcie!)
Bezczelną potwarz. Twierdzi, że król Harold
I dalsze poemata, są kradzione.
Lecz ja mu kłamstwo zadam. Ja widziałem
Gdy składał je przedemną, dzieckiem prawie.
Zaświadczę, wydrukuję i podpiszę :
« Lord Talbot. »

KWAKIER.

Ach! to dobrze, to zaszczytnie!

LORD TALBOT.

Lecz to nie wszystko. Czyście tu widzieli
Pewnego żyda co się Skirner zowie?

JOHN BELL.

Właściciel kilku domów w téj stolicy?

LORD TALBOT.

Z piętrami.

JOHN BELL.

Był tu wczoraj.

LORD TALBOT.

Chce go znaleść
I pojmać, on, trój-milionowy pan,
Za lichy grosz komorny niespłacony.
A Czatterton... — To zbyt okropna myśl. —
To tak mój kraj zawstydza, że chciałbym
Podziemnym głosem mówić, by powietrze
Niedosłyszało słów. — Przystąpcie oba.
Chcąc wynieść się od niego, Czatterton
Zaręczył i podpisał... — wiecie co?...

Czytałem... Że w dniu bliskim, już ubiegłym,
Zapłaci dług, a jeśli umrze wprzód,
Medycznéj szkole... tego nie wypowiem...
Sprzedaje ciało swoje : a ten łotr
O trzech milionach, wziął haniebny skrypt!

KWAKIER.

O nędzo! szczytna nędzo!

LORD TALBOT.

Dług, to fraszka;
Ja wszystko dam, bez jego wiedzy dam.
Lecz kto zrozumie tę spokojność jego?

KWAKIER.

A czy ty znasz, młodzieńcze, jego dumę?

LORD TALBOT.

Jam znał go pierwéj niż go pan poznałeś. —
Chcę z nim się widzieć; wiem jak doń przemawiać,
Jak miłość sławy w nim obudzić można.
Przyszłością, losem, niech się zajmie szczerze...
A z resztą, pewną rzecz naprawić muszę.

JOHN BELL.

Do kata! zły interes, zły interes.
Z milordem widząc go tak poufale
Jam sądził że to istny gentleman;
To wszystko w domu cóś plotkami trąci.
Mnie dosyć tego. Milord mu oświadczy
Że jutro może sobie iść gdzie chce.

LORD TALBOT.

Już jutro? zgoda; jeśli mu to miło,
Mój dom, jak tuszę, stanie mu za twój.

KITTY BELL, wchodząc trwożliwie z Rachelką.

Nim milord wyjdzie, mam o cóś go prosić,
Za pozwoleniem pana Bell.

JOHN BELL, chodząc zacietrzewiony w głębi.

Mów śmiało.
Mojego pozwolenia ci ni trzeba.

KITTY BELL.

Wszak milordowi nasz Lord-major znany?

LORD TALBOT.

Lord Beckford, czy go znam! A nawet, pani,
Jesteśmy trochę krewni po kądzieli.
Widzim się raz w rok, na Zielone-Świątki,
Gdy jestem pewien że mię nie zanudzi. —
On łaje mię za długi; ja, choć milczę,
Mam go za głupca... lecz go świat poważa.

KITTY BELL.

Pan doktor nam powiedział że tak światły,
Tak dobroczynny...

LORD TALBOT.

A, na prawdę mówiąc,
To najpoczciwszy mąż w królestwie całem.
Dla pani méj... odwiedzę go dziś jeszcze.

(Rachelka wstępuje na schody i puka; Czatterton otwiera drzwi od swego pokoju, a widząc lorda Talbot nagle zamyka.)

KITTY BELL.

Tu jest ktoś taki co się doń odwołał.

JOHN BELL.

Czyś oszalała? co ty mówić śmiesz?

KITTY BELL, z ukłonem.

Co panu się spodoba.

LORD TALBOT.

Dajże skończyć.

JOHN BELL.

A jak ty wiesz o jego interesach?

KWAKIER.

Odemnie, jam powiedział.

JOHN BELL, groźnie.

Jeśli kiedy...

KITTY BELL.

Nie zżymaj się, nie sami tu jesteśmy.

JOHN BELL.

Już nie mów o nim.

KITTY BELL.

Jak mi pan rozkaże.

LORD TALBOT.

Nietracąc chwili, lecę do milorda,
A raczéj sam go tutaj przyprowadzę.

KWAKIER.

Ach! uczyń to; niech Bóg ci błogosławi!

(Wychodzą lord Talbot, John Bell, Rachelka.)

SCENA VII.

KWAKIER, KITTY BELL.

KITTY BELL.

Więc sądzisz że Lord-major mu pomoże?
Że lepszéj doli wkrótce się doczeka!
Ja skłonię się do wszystkich twoich rad.

KWAKIER, zamyślony.

Nie długo ztąd mu wynieść się wypadnie.

KITTY BELL.

Błogosławiony dom, gdzie znajdzie szczęście
Którego tu nie doznał ani chwili;
Niech tylko żyje, ja nie żądam więcéj.

KWAKIER.

O téj przemianie zaraz mu nie wspomnę;
Powoli go z tą myślą chcę oswoić.

KITTY BELL, lękliwie.

A gdybym sama to mu poradziła?

KWAKIER.

O nie! zawcześnie.

KITTY BELL.

Jeśli, jak powiadasz,
To tylko zmiana miejsca i zwyczaju?

KWAKIER.

Cóż więcéj może być? — Poeci nic
Nie zwykli kochać, prócz swych rękopismów...
On duszy swéj niewiąże do nikogo,
O sławę tylko dba... lecz to zawcześnie.

KITTY BELL.

Obecność jego, mówisz, jest fatalną.

KWAKIER.

To moja myśl, i nie zapieram się.

KITTY BELL.

Więc mu oznajmię...

KWAKIER.

Wszystko byś zgubiła.

KITTY BELL, wpół uradowana.

A jeśli tu zostanie, przyznaj sam
Że ja nie mogę źle się z nim obchodzić,
I dolę jego słodzić mu powinnam.

Me dzieci chcą mu zanieść podwieczorek,
Owoce, ciasta, trochę z nim zabawić,
Oderwać go na chwilę od roboty;
Czy one grzeszą? lub czym ja występna?
(Kwakier siada i odwraca się, ocierając łzę.)
Czy prawda że on świetne dzieła pisze?
Czy je czytałeś?

KWAKIER, niby obojętnie.
To narodu chwała.

KITTY BELL.
Tak młody! czy podobna? — Niechcesz mówić,
To źle; bo wiesz że słowa twe pamiętam.
Mówiłeś mi naprzykład dzisiaj z rana:
« Że zwrócić nieszczęsnemu dar serdeczny
Jest upokorzyć go za dobry czyn,
I całą jego nędzę mu wyjawić. »
Czy tak? więc jestem pewna żeś téj książki
Nie oddał jeszcze. — Przyznaj, wszak to prawda!

KWAKIER, oddając jéj zwolna biblią, po namyśle.
Masz, moje dziecię; masz odemnie, schowaj.

KITTY BELL, siadając u stóp jego, z dziecięcém przymileniem.
Ach, ojcze drogi, dobroć twa niekiedy
Wygląda jakby złość, lecz to najlepsza!
Tyś od nas wszystkich wyższym twą mądrością.
Spokojnie widzisz u twych stóp, daleko,
Te drobne burze serc, któremi gardzisz,
A przecie z nami dzielisz się litośnie;
Wyrzekniesz kilka słów natchnionych z nieba,
Wnet słońce błyszczy, chmury się rozchodzą,
I uśmiech tęczy wita twe spojrzenie:
Boś ty nasz ojciec!

KWAKIER, całując ją w czoło.
Wiem, o córko droga,
Że po téj książce żal mi nie zostanie.
(błogosławiąc.)
Ten dar, to dziecię, racz zachować Panie!

AKT TRZECI.

Izdebka Czattertona, ponura, ciasna, licha, nieogrzana; — łóżko nędzne i nie posłane.

SCENA I.

CZATTERTON, siedząc na łóżku i pisząc na kolanie.

Że mię nie kocha, tu już wiem... A ja?
Ja chcę o niéj zapomnieć... Zimno mi...
Zmarźnięta dłoń, a w głowie płonie żar...
Z pańszczyzną moją sam na sam zostaję...
Już niczém dobroć, uśmiech i pokłony,
Ściśnienia rąk... ta farsa odegrana;
Ja drugą tu zaczynam z samym sobą. —
Dziś wola moja być tak silną musi
By porwać błędną myśl, i przenieść ją
W zbutwiałe trupy z dawnych lat wskrzeszone,
I w rój widziadeł com je sam wymarzył. —
A raczej trzeba by przed Czattertonem
Zgłodniałym, chorym, myśl ta postawiła
Innego Czattertona, ku zabawie
Gawiedzi próżnéj wciąż wzruszenia chciwéj,
Strojnego wieńcem na rycerskiém czole,
Z truwera złotą lutnią na ramieniu;
I żeby tego, tamten jéj wyśpiewał,
Ja żebrak, mię poetę!... to mój los,
Poezya cała w dwóch postaciach różnych. —
Rozczulać tłum, lub śmiech litości budzić,
Grać w lalki, lub samemu lalką być
I tém małpiarstwem chleba się dorabiać!
Rozpłatać serce na kramarskim stole,
Tém lepiéj jeśli ranne; bo kalectwo
Jest droższéj płatne...
(powstaje.)
Wstań, obrazie Boga!
Żyjący trupie, chełp się z twéj nicości! —
(śmieje się i siada. — Stary zegar bije wpół, dwoma uderzeniami.)
Nie, nie! Godzina cię przestrzega; siedź
I pracuj, najemniku! Czas upływa,
Czas drogi, myśląc... jedna myśl ci starczy,
Żeś ty jest nędzny, biedak bez przytułku. —
Czy słyszysz? nędzny, o żebranym chlebie!
Minuta każda w płonnym twym zachwycie
Okrada nędzę twoją. — Na co myśl,
Gdy tylko słowo zysk ci przynieść może?
Są pewne słowa płatne po szelągu;
Myśl sama niema ceny... Precz odemnie,
Na Boga, precz! wystygłe zniechęcenie,
Pogardo siebie, w przepaść mię nie wtrącaj!
Bo teraz imie moje i mieszkanie,
Już wszystkim znane; a przed jutrem, jeśli
Roboty méj nie skończę, jam zgubiony,
Stracony bez nadziei; sąd, więzienie! —
O wstydzie! hańbo! pracy nie chwalebna!...
(pisze.)
To pewna że mię Kitty nie pokocha. —
A cóż! téj myśli nigdy nie odpędzę?...
(długie milczenie.)
Pokornym bardzo marzyć o tém jeszcze,
Lecz niech kto powie zkąd bym dumnym był?
Ja, pyszny? ja wygnaniec w kraju własnym,
Odarty z méj spuścizny... Przecież wiem
Że ta wrodzona duma mię podpiera.
Wciąż ona woła bym sam siebie żywił,
Jałmużny bym nie żądał. Bo dla kogóż
Udajem wszyscy szczęście? Dla kobiety;
W nieswoje szaty stroim się przed nią.
O biedne dusze! biorą cię za tron
Nikczemna sławo! a tyś jest pręgierzem,
Gdzie lada gawron może bić po twarzy
Wybranych twoich!... Lecz niemylnie sądzą
Gdy lubią tych co nigdy się nie płaszczą. —
Przynajmniéj ta co na mnie tu spogląda
Nie ujrzy mię spodlonym. Nie, przez Boga! —
O gdyby mię kochała!...
(długo marzy i budzi się nagle.)
Pisz, nieszczęsny;

Niech wola twa zwycięży!... Co, bezsilna?
Nie ruszy z miejsca téj niesfornéj myśli
Co krok stającéj mimo jéj rozkazu?
Więc nowe dla mnie, nowe to zhańbienie! —
Przed jeźdzcem dotąd zawsze się zrywała;
Jéj cugla trzeba było, dziś ostrogi!...
Despoto ciała! ty, wypływie boski!
Ty, nieśmiertelny! czyś ty skrzepnął nagle
Pod tą wilgotną mgłą co pokój lichy
Przenika i zasępia?... czyli dość
Téj mroźnéj pary by pokonać duszę?
(zarzuca kołdrę na ramiona.)
Ta gęsta mgła za oknem się rozciąga
Jak biały całun... tak wisiała w dzień
Gdy ojciec mój umierał... tam, na dole,
Tamiza płynie, mętna i leniwa,
Jak w piekle rzeka co niepamięć daje.
Nie jeden jęk rozpaczy w niéj stłumiony...
(Zegar bije trzy kwadranse.)
Więc jeszcze? czas cię nagli, kończ, zarabiaj!
(czyta.)
«Haroldzie!... królu mój!... przedwieczny Boże! —
Gdzie książę Wilhelm?... » Co mię tam ten król
Obchodzi, proszę? — Czym to ja napisał?
(rozdziera rękopism; — z poczynającym szałem.)
Udałem katolika, więc skłamałem;
Bo stałbym się trapistą, gdybym wierzył.
Trapista ma za łoże własną trumnę,
Lecz w trumnie śpi.—Tak! wszyscy ludzie drzémią
W spokojném łożu; ja tu ślęczę w mojém.
(ręką ociera czoło.)
Gdzie lecę, gdzie? mój wyraz myśl unosi...
O zgrozo! czy szaleństwo tak nie stąpa?
Najśmielsze serce to przestraszyć może.
Uspokój się, dla Boga!... Com ja czytał? —
To dzieło nie dość piękne, nie dojrzałe;
Pisane za pieniądze... O katuszy!...
« Gdy zwiedli bitwę Sas i Normand dzielny,
Pod Hastings... » Brednie! Czy mię to zajęło?
Nie! Na cóż pisać gdy tak mówić wiele?
(wstaje i chodzi raźnym krokiem.)
Popioły stare budzić mym oddechem,
Gdy wszystko drga i cierpi w koło mnie?
Gdy Cnota w jarzmie kona bez pomocy;
Gdy krwawa Praca bez szacunku ginie;
Gdy Miłość jest bezdzietna; gdy Nadzieja
Jest bez kotwicy; Wiara bez kielicha;
Gdy Prawo jest bezbożne i zepsute
Jak nierządnica; gdy głos Ziemi woła
O pomstę do poety na złodziei
Co kopią sól i złoto w jéj wnętrznościach,
I bluźnią że bez Nieba się obejdzie! —
A ja, czujący to, ja bym zaniemiał?
Odpowiem jéj! na honor, ja odpowiem!
Uderzę biczem niecnych tych fałszerzy,
Jeremiasz Miles i Warton niechaj drżą!
Ach! to... satyra! potwarz! ja, nikczemny!
Ja złym się staję!
(płacze długo i boleśnie.)
Pisz na martwéj mgle
Co cię zasłania, jak ojcowski zgon!
(bierze ze stołu tabakierkę.)
To on, mój ojciec; on, zsiwiały majtek,
Waleczny żeglarz, król na swym okręcie,
Co w dzień się bił, a w nocy spał spokojnie.
On niebył tak jak ja, parjaszem myśli,
Od ludzi odepchniętym... O mój ojcze!
Ten biały papier jest to żagiel moja;
A jeśli jutro nie zwiniętą będzie,
Więzienie, wstyd; a niemam w duszy méj
Jednego tchnienia bym ją mógł zapełnić!
Sprzedałem z głodu dyament jedyny
Co jaśniał na twém czole jak jutrzenka;
Już niemam nic, a został głód i śmierć!...
Mam jeszcze dumę twą, dla któréj milczę...
Ty, stary, ty wiedziałeś że za sławę
Nie można żyć : że złoto zabrał wróg,
A nacóż starcze, dałeś mi istnienie!
(rzuca tabakierkę; — bieży za nią, podnosi, klęka całując i płacze.)
Ach! przebacz mi, mój ojcze srebrnowłosy! —
Tyś mię na łonie twém tak czule ściskał;
Po życiu pełném zasług i poświęceń,
Umarłeś na wygnaniu, jak złoczyńca!
To sprawiedliwość królów na tym świecie!
Jam winien sam! ja wieszczem się mniemałem!
Lecz imie twe nie pójdzie do więzienia!
Na twoją krew, przysięgam! Patrz, trucizna!
Ja głodny, jeść nie będę... lecz wypiję!
(łzami rosi portret ojca.)
Ktoś ciężkim krokiem po mych schodach stąpa...
Ten skarb ukryję... Czemu? czym niewolny?
I kogóż mam się bać? Czy stary Kato
Przed rzeszą krył swój miecz? więc, Rzymianinie,
Bądź tém czém jesteś, patrz na ludzi śmiało! —
(stawia flaszkę na stole.)

SCENA II.

KWAKIER, CZATTERTON.

KWAKIER, postrzegłszy truciznę.
Ach!...

CZATTERTON.
Cóż takiego?

KWAKIER.
Znam ja tę truciznę. —
Sześćdziesiąt granów opium i z okładem.
Zażywszy ją, miałbyś przyjemny szał
Jak dla poety; późniéj dreszcz z gorączką,
Nareszcie, sen głęboki, niezbudzony. —
Tak długoś sam pozostał, Czattertonie!

CZATTERTON.
A jeśli sam chcę zostać wiecznie, mów,
Czy niemam prawa?

KWAKIER, siedząc na łóżku (przed nim stoi Czatterton, z obłąkanym wzrokiem.)
Tak poganie mówią.

CZATTERTON.
Daj mi godzinę szczęścia, to uwierzę;
Chrześcianinem będę! — Co... cię trwoży,
Stoicy zwali to : « przystojném wyjściem. »

KWAKIER.

Twierdzili nawet że przyczyny zwykłe
Wiążące nas do życia, sa błahemi;
Więc z błahych przyczyn też je rzucić wolno.
Mój synu, zważ że los się często zmienia,
Że jest wszechmocnym, lecz dla żywych jeno.

CZATTERTON.

A przeciw martwym cóż on zdziałać może?
Los ślepy, mniemam, samo złe wyrządza;
Więc dobrze czyni kto przed nim się chroni.

KWAKIER.

Ten kto ucieka, ja go mam za tchórza. —
Odważny się nie kryje w ciemny grób,
Pod wielki głaz; bo to nie mężnie wcale.

CZATTERTON.

Jakiego samobójcę znasz nie mężnym?

KWAKIER.

Choć i Nerona.

CZATTERTON.

Temu ja niewierzę.
Narody gardzą ludźmi bez odwagi,
A Neron sam jest w Rzymie popularnym.

KWAKIER.

Popularności to pochwała wielka. —
Lecz się nie sprzeczam. Idź za twym popędem,
A mocno uszczęśliwisz twych rywalów.
Nie jeden z nich bezbożnie szydzić będzie,
Rozśmieszać gmin dziejami śmierci twéj;
A coby nigdy sami nie zdołali,
To dla nich czynisz, schodząc im z widowni.
Wspaniale bardzo dajesz im twą sławę,
Tę suchą kość o którą się gryziecie.

CZATTERTON.

Zbyt wiele cenisz mię. Kto zna me imie?

KWAKIER, na stronie.

Ta struna jeszcze drga; wnet ją rozdźwięczę.
(w głos.)
Tém lepiéj znane że je kryjesz sam.

CZATTERTON.

Doprawdy? to mię cieszy. — Po méj śmierci,
Głośniejszém będzie.

KWAKIER, na stronie.

Wciąż ta jedna myśl,
I wszystkie drogi do niéj go prowadzą.
(w głos.)
Mówiłeś mi żeś ufał w jakiś list?

CZATTERTON.

Pisałem do Beckforda, Lord-majora;
On ojca mego dawniéj znał i zbliska.
Już często pomoc jego mi stręczono,
Lecz ja nie lubię być protegowanym. —
Liczyłem stale na księgarską pracę,
Na myśli... Co za szał! odbiegły wszystkie;
Została jedna, list do protektora.

KWAKIER.

Lord Beckford słusznie za najpoczciwszego,
Światłego nawet, w mieście tém uchodzi.
Lecz pocóż zamiar twój przemieniasz w inny?

CZATTERTON.

Jednego lorda dość mi było znać.

KWAKIER.

Szaleniec cię uraził, weź mądrego.
Cóż tamten cię obchodzi?

CZATTERTON.

Na co zwlekać?
Natchnieni ludzie są na krzyżu wiecznie;
Szyderstwo, nędza, to dwa gwoździe krzyża:
I mamże trzeci gwóźdź w me serce wbijać,
Zgryzotę płonną żem się sam upodlił?
Chcę « wyjść przystojnie; » to mój los konieczny.

KWAKIER.

Niech Bóg przebaczy to co czynić muszę! —
O Czattertonie! jam już długo żył;
Jam chrześcianin i z najczystszéj sekty
Powszechnéj wiary z rąk Chrystusa zlanéj.
Jam dni me spędził, w pracy i modlitwie,
Z mojemi braćmi; powiem ci więc święcie
Prawdziwą rzecz: a mówiąc jak ci mówię,
Chcąc cię ratować, biały włos mój plamię! —
O Czattertonie! chcesz twą duszę zgubić;
Lecz niemasz prawa gubić dwie zarazem...
A jest i druga z twoją tak związana,
I którą tak zwabiło twe nieszczęście,
Jak podług Szkotów, słoma kwiat przyciąga:
I tak jak ty, na wieki potępiona,
Niegodna stanąć przed obliczem Boga! —
O Czattertonie! wątpisz o wieczności;
Lecz ona wierzy w nią w prostocie ducha.
Ty będziesz sądzon wedle twéj niedoli,
I możesz się spodziewać miłosierdzia;
Nie ona, chrześcianka i szczęśliwa.
Młodzieńcze! dla niéj błagam cię klęczący,
Gdyż ona jest na ziemi jak me dziecię!

CZATTERTON.

O drogi ojcze! coś ty mi powiedział?
Czy cię rozumiem? wstań! mię wstyd za ciebie.

KWAKIER.

Litości! jeśli umrzesz to i ona...

CZATTERTON.

Kto?

KWAKIER.

Ona, słaba ciałem i umysłem,
Choć sercem silna.

CZATTERTON.

Czym ja sądzić śmiał?...
Jéj imie!...

KWAKIER, wstając.

Jeśli jéj to kiedy powiesz,
Już wtenczas samobójstwa ci nie trzeba,
Zabiję cię, jak zdrajcę.

CZATTERTON.

To więc ona?...

KWAKIER.

Małżonka, matka dwóch aniołków.

CZATTERTON.

Kitty!

KWAKIER.

Tak, Kitty Bell cię kocha... Chcesz ją zgubić?

CZATTERTON, padając w objęcia Kwakra:

Więc już umierać ani żyć nie mogę!

KWAKIER.

Żyć trzeba, milczeć, i dziękować Panu!

CZATTERTON.

Ach, ojcze, tyś mi raj na ziemi dał!...

SCENA III.

CZATTERTON, KWAKIER, KITTY BELL z DZIEĆMI.

KITTY BELL u drzwi, zaglądając.

Ostrożnie dzieci, za mną tu oboje! —
Z uczynkiem dobrym zawsze kryć się trzeba;
Podajcie kosz i schodźcie bez hałasu,
Bo pan pracuje.

(Dzieci stawiają kosz z owocami na stole; — do Kwakra.)

Ach, to wy, mój ojcze!
Ja nie wiedziałam że was tu zastanę...
Te dziatki chciały zanieść wam wieczerzę,
Nie mogłam wzbronić... przebacz im, i mnie!

KWAKIER.

Z całego serca.

KITTY BELL, do Czattertona.

Z darem tym... od dzieci,
Przynoszę dobrą wieść: lord Talbot sam,
Przyjaciel pana, raczył nam oznajmić
Że dziś lord Beckford z miasta tu przybędzie,
Chcąc go zapoznać.

CZATTERTON.

Mię?

KWAKIER.

Czy cię to dziwi?

CZATTERTON.

Bynajmniéj; czego list mój nie dokaże,
To przyjaźń lorda Talbot mi wyprosi...
Innego nie mam wsparcia na tym świecie.

KITTY BELL.

Więc pan go przyjmiesz?

CZATTERTON, całując dzieci.

Przyjmę, bez wątpienia.
Jam wszystko przyjąć rad... dla ciebie, Kitty.

KWAKIER.

Spokojniéj, synu; pomnij na te dzieci...
Rywalność błoga dwóch protekcyi możnych!
Lord stary będzie chciał wspanialszym być
Niż młody... zysk niechybny z obu stron.

(Słychać róg myśliwski, i powóz jadący po bruku.)

Wszak słyszę powóz.

KITTY BELL.

Zejdźmy więc...

KWAKIER.

O nie!
Ten widok pewniéj serce ich poruszy,

(wskazując izdebkę Czattertona.)

Jeżeli mają serce.

SCENA IV.

CIŻ, LORD BECKFORD, LORD TALBOT, LORD LAUDERDALE, LORD KINGSTON, TRZÉJ MŁODZI LORDOWIE, JOHN BELL.

(Lordowie wprowadzają Beckforda z serwetami w ręku i w myśliwskim ubiorze. — Czterech lokai wchodzi z rozpalonemi głowniami, i stają rzędem przy ścianie.)

KITTY BELL.

On, Lord-major!
U Czattertona! dzieci, co za szczęście!
Pocałuj mię, Rachelko!

(bieży do dzieci i całuje z uniesieniem.)

JOHN BELL, wchodząc.

Co tu robisz?

KWAKIER.

Jam ją wprowadził.

(na stronie.)

Matka, nie świadoma,
Kochanki całus dzieciom swym oddaje.

JOHN BELL.

Niewiasty często dziwny szał napada.

LORD BECKFORD, usiadłszy i mówiąc głośno.

A, witam tu zebranych miłych gości.
Cóś hucznie wam czas płynie, mości Bell,
Mój wierny kumie! bo mię tu prowadzą
Pocieszne twarze, choć Bachusem tchnące,
Nad miarę trochę. — Lecz ich wiek po temu.

JOHN BELL.

Dostojność jego zbyt łaskawa dla mnie,
Że drugi raz mój dom odwiedzać raczy.

LORD BECKFORD.

A, prawda! prawda że to drugi raz
Wstępuję w progi wasze; bom już był
W tym domu, dla sprawdzenia pomyślności
Zakładów waszych; dziś piękniejszy jeszcze.
A, ładna żonka rządzi nim, to słusznie.
Te śliczne dziatki, pewnie jéj?

JOHN BELL.

I moje!

LORD BECKFORD.

I wasze? zgoda. — Wszak jéj wiek po temu.
Aż tu z podagrą moją wejść musiałem,
Pod strych wysoki, gdzie koczują zwykle
Rodzeni bracia, szczury i poeci...

(Młodzi lordowie się śmieją.)

Te wiercipięty drogę mi wskazały. —
A, Talbot, kuzyn mój... ty nic nie mówisz!
Przerwałem ci uciechę, mości Jerzy;
Tyś imieniny święcił z twą drużyną?
Talbocie, oj ty trzpiocie, czy do śmierci
Latawcem bedziesz? — Lecz twój wiek po temu.

LORD TALBOT.

Nie trudnij się mym losem, drogi lordzie

LORD LAUDERDALE.

Co milord mówi, to mu wciąż mówimy.

LORD BECKFORD.

A, Lauderdale, i Kingston w jednéj bandzie?
Wy zawsze z nim? śpiewając, pijąc, grając,
Po całych nocach? Wszyscy źle skończycie.

LORD KINGSTON.

Nasz wiek po temu.

LORD BECKFORD.

Lecz wam tego nikt
Za złe nie weźmie; każdy z was ma prawo
Majątek trwonić jak mu się podoba. —
Lecz gdzie jest Czatterton? ja chcę go widzieć.

CZATTERTON.

To ja, milordzie, list odemnie był.

LORD BECKFORD.

A, przystąp bliżéj! niech ci zajrzę w oczy.
To istny ojciec! Znałem go przed laty;
Szlachetny żołnierz, gracz zapamiętały,
Lecz męztwem swém dostąpił świetnéj rangi.
Więc Tomasz Czatterton? nieszpetny chłopiec.
Bawiłeś się wierszami; dobrze raz,
Lecz trwać nie trzeba w płochéj téj zabawce.
Tę śmieszną wszyscy mieliśmy gorączkę.
Jam także klecił wiersze w méj młodości;
A nigdy Littleton, lub Swift i Wilkes,
Dla pięknéj płci nie nabazgrali tyle
Zalotnych zwrotek co ja sam, to ręczę.

CZATTERTON.

O! bardzo wierzę.

LORD BECKFORD.

Lecz jam święcił Muzom
Stracony tylko czas. Bo pamiętałem
Co prawi gdzieś Ben Jonson, że najmilsza
Nie może chleba dać wieszczowi swemu;
Że trzeba mieć te panny za kochanki
A nie za żony.

(Lordowie się śmieją.)

LORD LAUDERDALE.

Brawo! bez wątpienia.

CZATTERTON.

Że to jest prawdą, dziś to sam poznaję.

KWAKIER.

Przy wolnym ogniu chcą go żywcem piec.

LORD BECKFORD.

Tysiące młodych ludzi tak zginęły!
Przeklęte wiersze tylkoś miał na myśli;
A ja cię pytam na co się to zda? —
Na nic, mospanie. Bo z każdego człeka
Powinien kraj mieć plon. — A mówże, proszę,
O naszych obowiązkach co ty myślisz?

CZATTERTON, na stronie,

Dla niéj ten kielich aż do dna wychylę!

(w głos.)

Ja sądzę że je znam jak każdy z nas. —
Brytania jest eskadrą. Wyspa nasza,
Naczelnym statkiem. Patrząc ku północy,
Jak na kotwicy wśród dwóch Oceanów
Ma w straży stały ląd. Z płodnego łona
Wyrzuca łodzie matce swéj podobne,
I które barwy jéj roznoszą wszędzie.
Lecz na pokładzie téj olbrzymiéj nawy,
Tam wspólna praca nasza. Król, lordowie,
Komuny, są przy igle magnesowéj,
Przy fladze lub u steru; my zaś wszyscy
Piąć się musim na maszty, dźwigać liny,
Rozciągać żagle lnb nabijać działa;
My wszyscy jéj osadą, nikt w jéj ruchu
Nie jest zbytecznym: wszyscyśmy żołnierze.

LORD BECKFORD.

A, nieźle! nieźle! choć on jeszcze marzy.
Lecz dajmy na to, przecie wyznasz mi
Żem słusznie sądził. Bo i cóż u djabła
Poeta może robić na twéj nawie?

(Chwila oczekiwania.)

CZATTERTON.

On czyta w gwiazdach drogę jéj wskazaną
Przez palec boski.

LORD TALBOT.

No, i cóż, milordzie?
Wszak bez sternika łódź nie ruszy z miejsca?

LORD BECKFORD.

To szał lub urojenie, mój kochany!
Głupstwami temi głowę masz nabitą,
I strzelasz jak z moździerza. — Wiem o tobie;
Tyś do niczego... więc...

LORD TALBOT.

Milordzie, proszę;
To mój przyjaciel, mówże z nim po ludzku.

LORD BECKFORD.

Przyjaciel twój? to co innego zgoła.
Więc będziesz kontent ze mnie, gdy ci powiem
Żem już dla niego zrobił cóś, pomimo
Wyjawień pana Bale...[1] Twój Czatterton
Podobno nie wie że już nam odkryto
Pisarskie jego figle i podejścia;
Niewinny błąd, i pobłażania godny. —
Magisterial jest pismo wyśmienite;
Chcę cię nawrócić: masz je, z listem tym
Gdzie ci zaręczam sto gwinei rocznie.
Nie gardź tym darem; ojciec twój, chłopaku,
Z Adamowego żebra nie pochodził,
Królewskim bratem nigdy się nie pisał;
A tyś do tego zdatny co ci daję.
Początek dobry; wciąż przy mnie zostaniesz,
Ja zblizka będę czuwał nad twym losem.

CZATTERTON po chwili wahania, spoglądając na Kitty.

Przyjmuję wszystko.

LORD LAUDERDALE.

Ach, jak milord dobry:

JOHN BELL.

Czy pierwszy toast Lord-major przyjąć raczy?

KITTY BELL, do córki.

Pocałuj pana w rękę.

KWAKIER, do Czattertona.

Daj mi twoją;
Odważnym byłeś.

LORD TALBOT.

Kuzyn mój się spisał. —
Z okrętem twym do portu zawinąłeś.
Przebaczysz mi dzisiejsze moje żarty;
Podcięty byłem, sam to ci wyznaję.

LORD BECKFORD.

Więc, mości Bell, prowadźcie nas do stołu
Z łotrami temi, niech przy nas zasiędą. —
To mię odmłodzi.

LORD TALBOT.

Nikt się nie wymówi,
Sam Kwakier zejdzie. — Przez was czy przezemnie,

1. Wymawia się: *Beel*.

Milordzie, sternik nasz spokojnym będzie. —
Do stołu!...

LORD KINGSTON.

Wszyscy za milordem w pary!

JOHN BELL, do żony.

Ty zejdziesz na usługi, ja tak chcę.

CZATTERTON, do Kwakra.

Czym wszystko według woli twéj uczynił?

(w głos, do lorda Beckford.)

Mam do zniszczenia parę pism ulotnych,
Za chwilę służę.

LORD BECKFORD.

No! z czytania w gwiazdach
Nasz majtek się poprawia; dobrze, dobrze.

(Wszyscy odprowadzają lorda Beckford.)

JOHN BELL do żony, porywczo.

Słyszałaś mię, czekamy przy wieczerzy.

KITTY BELL, stając u progu i patrząc z obawą na Czattertona.

Dla czego sam chce zostać, Boże mój!

SCENA V.

CZATTERTON sam, chodząc po pokoju.

A teraz, precz mi ztąd, jaśnie wielmożni!
To dziw że los mój tak się nagle zmienia.
To sen przelotny, choć na pozór szczery.
Byt ustalony. — Co ten starzec mówił
O mych podejściach? Tak! co wszyscy mówią,
Odgadli to com sam wyznawał śmiele,
Żem twórcą moich dzieł, a nie kto inny.
Subtelny domysł! godzien ich dowcipu!
Ten urząd czém też będzie? na predmieściu,
Brukowym redaktorem? cóż, to chlubnie!
Potrafię żyć niepisząc płaskich rzeczy
Co chleb mi dają. — Kwakier wnet odzyszcze
Straconą przez mój wpływ pogodę ducha;
Zaś ona, Kitty, już nie umrze dla mnie.
Choć ja niewierzę bym ją zgubić miał. —
Co tak upornie w sercu swém taiła,
Nie może być gwałtownem; dusza jéj
Za nadto macierzyńska na kochankę.
Co bądź to bądź, już niechcę z nią się widzieć.
Tak lepiéj będzie... umrzeć, wszak to jedno.
Gdy trup pod ziemią, któż o niego dba?
Przezorny Kwakier... on o wszystkiém myśli...
On tego jéj nie powie... Mamże żyć?
Dla kogo? czemu?... tak, dla jéj zbawienia;
To dość!... Ponura myśli, stój... nie wracaj...
Czytajmy to...

(czyta dziennik.)

«*Pan Czattertonnie jest
Autorem swoich pism...*» Masz dowód jasny.
« *Te szczytne poemata są utworem
Rowleya mnicha, który je przekładał
Z Turgota również mnicha; ten zaś żył
W dziesiątym wieku... Podstęp tak widoczny
Żakowi ledwie daje się przebaczyć;
Lecz późniéj, mieniłbym to zbrodnią...* Bale...»
Sam się podpisał żądłem swém zjadliwém...

A z jakiéj nory płaz ten łeb wychyla?
Com mu zawinił? — Imie me stłumione,
Zaćmiona cześć i honor pokrzywdzony! —
Marnować muszę na obronę własną
Te siły które niosły plon Ojczyznie...
Tak mówi sędzia!... Co protektor daje?

(zrywa pieczęć z listu, czyta... i woła z oburzeniem.)

Kamerdynera miejsce w swéj usłudze!
Ach!... niecny kraju! ziemio łez i wzgardy!
Przeklinam cię na wieki!

(chwyta opium.)

Duchu mój,
Jam cię zaprzedał! tém cię wykupuję.

(pije truciznę.)

Skirnera dług spłacony! — Wolnym teraz!
I wszystkim od dziś równy! Stało się.
Spoczynku pierwsza chwilo w mém istnieniu,
Ostatnia męki, zorzo dnia bez końca,
Bądź pozdrowiona! — Żegnam was na zawsze
Szyderstwa, złości, prace bez wytchnienia,
Rozpacze, nędze, kłamstwa i rozboje,
Tortury serc, wy wszystkie precz odemnie!
O co za radość że się żegnam z wami!
Ten ktoby wiedział jak szczęśliwy jestem,
O życie mniéjby dbał! Swobody gończe,
Aniele śmierci, jak twój spokój błogi!
Ja czciłem cię, choć zdobyć cię nie śmiałem. —
Wiem że twe kroki wolne są, lecz pewne.
Cherubie groźny, patrz jak ja przed braćmi
Zacieram ślady moje po téj ziemi!

(otwiera gwałtownie okno i rzuca w rzekę swoje pisma.)

Szlachetne myśli, dla niewdzięcznéj zgrai
W bezsennych cieniach nocy mych zebrane,
Niech was do morza rzeka ta zaniesie,
Jak wolny duch ulata ku wieczności!

(z wzniesionemi oczyma rozdziera powoli swoje poezye, w poważnéj i natchnionéj postawie stanowczo spełnionéj ofiary.)

SCENA VI.

CZATTERTON, KITTY BELL.

(Kitty Bell zwolna drzwi otwiera, patrzy na Czattertona i staje milcząc między nim a oknem. — Ten pisma nagle z rąk upuszcza.)

KITTY BELL, na stronie.

Ach! cóż on robi? mówić chcę, niemogę.
Cóś rzuca w rzekę... Mroźna mgła mię trwoży
Twarz jego strasznie blada w jéj całunie.

(w głos.)

Czy pan nie zejdzie do przyjaciół swych?

CZATTERTON, drżąc całém ciałem.

Toś ty! aniele... Kitty! Już! — Ach, pani!
Zapomnij mię! klęczący proszę! błagam!

KITTY BELL.

Zapomnieć! czemu? jak?

CZATTERTON.

Wybieram się
W daleki kraj. — Bądź zdrowa, Kitty Bell! —
Nie trzeba by kobiety dłużéj były
Igrzyskiem naszém; to ci radzę szczerze.

Poetów żądze ledwo że istnieją.
Nie kochaj już tych ludzi... samolubów.
Nie!... oni nawet siebie nie kochają.
Ich serca zimne mózg ognisty żywią.
Nie baw się z niemi i nie czytaj nigdy;
Jam od nich wszystkich gorszym był.

KITTY BELL.

O Boże!
Dla czego mówisz pan : jam był?

CZATTERTON.

Bo niechcę
Już być poetą; patrz, podarłem wszystko.
Czém później będę, to nielepsze może;
Ciekawym wiedzieć. Bądź mi zdrowa. Słuchaj!
Czy kochasz dzieci twe?

KITTY BELL.

Nad życie własne.

CZATTERTON.

Więc kochaj własne życie im oddane.

KITTY BELL.

Dla nich je tylko cierpię.

CZATTERTON.

Cóż na świecie
Od nich piękniejszém, Kitty, i od ciebie!
Gdy te aniołki trzymasz na kolanach,
Podobnaś wtedy do Litości boskiéj.

KITTY BELL.

Odstąpią mię.

CZATTERTON.

To skarb najdroższy twój,
To prawda żywa! Miłość bez obawy
I bez goryczy. W nich krew twojéj krwi,
Twéj duszy dusza; kochaj więc je pani
Jedynie, nadewszystko. Chcę być pewnym
Że tak je kochać będziesz!

KITTY BELL.

O mój Boże!
Uśmiecha się, a w oczach stoją łzy!

CZATTERTON.

Niech oczy twe nie znają nigdy łez;
Niech uśmiech wieczny lica twe upiększa!
Niech nigdy z obcych stron przychodzień smętny,
Nie stanie między tobą a rodziną!

KITTY BELL.

Czy żal od nas zależy?

CZATTERTON.

Precz z obcemi!...
Przez nich nieszczęście w każdy dom się wkrada.
Są pewne myśli co wstęp serca chronią.
Zapytaj o nie Kwakara, on nastręczy. —
Ja niemam czasu; już wychodzić muszę.
(idzie ku drzwiom.)

KITTY BELL.

O Boże! jak pan cierpi!

CZATTERTON.

Ja? bynajmniéj.
Jam już wyleczon; choć mi głowa wre. —
Dobroci zbytkiem gubią się anioły.
Ta dobroć trapi mię sto razy srożéj
Niż złość szatanów.

KITTY BELL.

Czy o własnéj mówisz?

CZATTERTON.

To ona cię tu wiedzie. Tam cię czeka
Wesołe grono! czemu tu zostajesz?

KITTY BELL, z obłąkaném spojrzeniem.

Ach! gdyby teraz cały świat mię czekał,
Ja tu zostaję.

CZATTERTON.

Spieszę wnet, za tobą.
Bądź zdrowa, Kitty!

KITTY BELL.

Ja nie wierzę temu.

CZATTERTON.

Niebawem schodzę.

KITTY BELL.

Nie! pan nie masz zejść!

CZATTERTON.

Ten dom jest pani, ta godzina moją.

KITTY BELL.

A jak jéj pan użyjesz?

CZATTERTON.

Kitty Bell! —
Są chwile gdy niemożem schylić głów
Do waszych serc; tém mniéj rozpieścić głosu
By wam pochlebiać. Zostaw mię samego.

KITTY BELL.

Niespoczną nigdy jeśli ztąd odejdę,
A pan zostaniesz.

CZATTERTON.

Jakie złe natchnienie
Do mnie cię zsyła? mów!

KITTY BELL.

Niezwykły strach.

CZATTERTON.

A strraszniéj będzie jeśli nie chcesz wyjść.

KITTY BELL.

O panie! masz-li jakie złe zamiary?

CZATTERTON.

Czym niedość już powiedział? Oddal się!

KITTY BELL.

Czy mogę teraz?

CZATTERTON.

Musisz... Ja cię kocham.

KITTY BELL.

Ach! jeśli to wyznajesz, chcesz umierać.

CZATTERTON.

Mam prawo umrzeć. — To przysięgam tobie,
I tam przysięgnę, gdy przed Bogiem stanę!

KITTY BELL.

A ja przysięgam że to czyn zbrodniczy;
Pan go nie spełnisz.

CZATTERTON.

Już skazany jestem.

KITTY BELL.

Co słyszę! jeden dzień! ach, myśl o duszy!

CZATTERTON.

Ja w duszy méj o wszystkiém już myślałem.

KITTY BELL.

Godzinę tylko! chwilę, dla modlitwy!

CZATTERTON.

Ja się nie modlę... już nie czas po temu.

KITTY BELL.

Więc ja cię błagam! ja, dla saméj siebie;
To mię zabije...

CZATTERTON.

Już za późno, mówię.

KITTY BELL.

A jeśli kocham ciebie?

CZATTERTON.

To wiedziałem,
Dla tego właśnie Bóg mą śmierć przebaczy.

KITTY BELL.

Twą śmierć! Coś zrobił?

CZATTERTON.

Kitty, już umarły
Do ciebie mówi.

KITTY BELL padając na kolana, z rękami wzniesionemi.

Wy, anieli w niebie!
Wy módlcie się nad biednym! zbawcie go!

CZATTERTON.

Precz!

KITTY BELL.

Ja nie mogę...

CZATTERTON.

Więc bądź moją wiecznie,
I módl się za mną w niebie i na ziemi.

(całuje ją w czoło, chwieje się i pada.)

KITTY BELL.

Ach!... Wielki Boże! ratuj nas, mój ojcze!

(znajduje flaszkę.)

Cóż to? — Trucizna! przebacz mu i mnie!...

SCENA VII.

KITTY BELL, CZATTERTON, KWAKIER.

KWAKIER, wbiegając.

Zgubiona jesteś! Co ten krzyk ma znaczyć?

KITTY BELL, przechylona przez poręcz łóżka nad Czattertonem.

Patrz, patrz! on kona!... zbaw go, zbaw... na Boga!

KWAKIER.

Twój mąż cię szuka... uchodź ztąd, co żywo!

(Kitty Bell, na wpół zemdlona, idzie ku drzwiom, co krok wspierając się na sprzętach lub o ścianę; sili się otworzyć drzwi, i upada. — Słychać na dole głos wołającego ją Johna Bell. — Kwakier ją podnosi, sadza na stołku i drzwi otwiera. — Czatterton kona w jego ręku.)

KITTY BELL, z donośnym krzykiem.

Ach!

JOHN BELL.

Kitty! mistress Bell!

(Kitty zrywa się jak na sprężynie; — dzieci przybiegają i czepiają się jéj sukni.)

Gdzie wasza matka?

(Kitty chwyta biblią i czyta po cichu, modląc się, niedosłyszane wyrazy.)

KWAKIER.

O! strzeżcie jéj anieli! Córko moja!

JOHN BELL wchodząc gwałtownie, w głębi.

Więc jeszcze tu zastaję moją żonę?
Gdzie ten zwodziciel? Niech go ztąd wywloką!

(Wpadają słudzy.)

KWAKIER.

Niech raczéj go wyniosą.

JOHN BELL.

Co, nie żyje?

KWAKIER.

Przyjęliście tułacza tak rozumnie,
Że musiał nędzarz schronić się aż w trumnie.

JOHN BELL, do konającéj żony.

Co tobie? Wstań!

KWAKIER.

Umarła. Weźcie syna,
Niech zgonu jéj nie widzi.

(wyrywa dzieci z pod stóp Kitty Bell, oddaje ojcu, i bierze konającą w objęcia. — John Bell je odprowadza, i staje we drzwiach oniemiały. — Kitty umiera.)

Twoja wina!
Sam będziesz teraz...

(klękając.)

Patrz, jéj anioł stróż,
Do Boga ztąd unosi dwoje dusz!...

HAMLET

KRÓLEWIC DUNSKI

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH W. SZEKSPIRA

OSOBY

KLAUDYUSZ, król duński.
HAMLET, jego synowiec.
HORACY, przyjaciel Hamleta.
POLONIUSZ, podkomorzy.
LAERTES, jego syn.
WOLTYMAND, } dworzanie.
KORNELJUSZ, } dworzanie.
ROSENKRANTZ, } dworzanie.
GILDENSTERN, } dworzanie.
OZRYK, łowczy.
KLAUDIO, stary dworak.

*. Osoby, ustępy i wiersze, między dwoma gwiazdkami objęte, można w przedstawieniu pominąć. Z wyłączeniem kilku wyrazów objaśniających, z konieczności scenicznéj dodanych, tekst Szekspira zostaje w całym ciągu sztuki nietknięty.

KSIĄDZ.
MARCELLI, } oficerowie.
BERNARDO, } oficerowie.
FRANCISKO, żołnierz.
RYNALDO, sługa Poloniusza.
Rotmistrz, Posłowie.
DUCH OJCA HAMLETA.
FORTYNBRAS, książe Norwegii.
DWÓCH GRABARZY.
GERTRUDA, królowa duńska, matka Hamleta.
OFELIA, córka Poloniusza.

PANOWIE, DAMY, OFICEROWIE, ŻOŁNIERZE, AKTOROWIE, MAJTKOWIE, GOŃCE I SŁUŻĄCY.

Scena w Elsynorze.

AKT PIERWSZY.

*SCENA I[1].

Taras zamkowy.

FRANCISKO na warcie; BERNARDO zbliża się ku niemu.

BERNARDO.

Kto idzie?

FRANCISKO.

Stój, odpowiedz mi : zdaj hasło.

BERNARDO.

Niech żyje król, nasz pan!

FRANCISKO.

Bernardo?

BERNARDO.

Sługa.

FRANCISKO.

W sam raz przybywasz na godzinę straży.

BERNARDO.

Już północ biła : dobranoc, Francisko.

FRANCISKO.

Za obluz ci dziękuję. Mróz porządny,
Przeziąbłem wskróś.

BERNARDO.

Czyś wartę miał spokojną?

1. Scena I może być pominiętą w przedstawieniu.

FRANCISKO.
Szczur nie przeleciał.
BERNARDO.
No, wypocznij sobie.
Jak spotkasz Horacego i Marcella,
Na posterunek proś niech się nie lenią.
(Horacy z Marcellem wchodzą.)
FRANCISKO.
Toć oni właśnie kroczą. — Stój, kto idzie!
HORACY.
Dwaj słudzy Danii.
MARCELLI.
I lennicy króla.
FRANCISKO.
Więc żegnam was.
MARCELLI.
Bądź zdrów, żołnierzu zacny.
Kto cię zluzował?
FRANCISKO.
Oto mój następca.
Pomyślnéj straży.
(wychodzi.)
MARCELLI.
Hej, Bernardo!
BERNARDO.
Cóż?
Wszak to nasz brat, Horacy?
HORACY.
Ja, podobno.
BERNARDO.
Serdecznie witam ciebie i Marcella.
HORACY.
A czy to widmo znów się wam zjawiło?
BERNARDO.
Jam nic nie widział.
MARCELLI.
Bo nie pora jeszcze.
A nasz Horacy zwie to przywidzeniem,
I ani weź uwierzyć, jak powiada,
W to cośmy oba dwakroć już widzieli.
Dlategom go uprosił, aby społem,
Na czatach z nami, spędził noc dzisiejszą;
By, jeśli znów ten upiór się nawinie,
Przemówił doń, i stwierdził sąd mych oczu.
HORACY.
Ba, ba! to płonne strachy.
BERNARDO.
Siądźcie przy mnie;
I posłuchajcie na oboje uszy,
Choć uprzedzeni przeciw méj powieści,
Co nam się tu zdarzyło.
HORACY.
Siądźmy więc;
I niech Bernardo rzecz opowie.
BERNARDO.
Wczora,
Gdy księżyc szedł na zachód od bieguna,
Jasnością srebrząc nieba część tę samą
Gdzie teraz błyszczy, staliśmy z Marcellem,
A pierwsza właśnie biła, —
MARCELLI.
Milcz, coś idzie!
(Godzina bije, duch się zjawia.)

BERNARDO.
To istny król nieboszczyk, co, nie prawda?
MARCELLI.
Tyś jest łacinnik; przemów doń, Horacy.
BERNARDO.
Ta sama postać, ten sam hełm i zbroja!
HORACY.
Tak jest: — widziadło dziwne i straszliwe.
BERNARDO.
Chce z tobą mówić.
MARCELLI.
Pierwéj sam zagadnij.
HORACY.
Ktoś ty, co w nocnéj zjawiasz się godzinie,
W postawie razem pięknéj i rycerskiéj
A w któréj niegdyś pan nasz i monarcha
Za życia stąpał? klnę cię w imie Boga!
MARCELLI.
Czyś go uraził?
BERNARDO.
Patrzcie, w głąb odchodzi.
HORACY.
Stój! przemów do mnie! Klnę cię na zbawienie!
(Duch znika.)
MARCELLI.
Już odszedł, milcząc.
BERNARDO.
Cóż, tyś drżący, blady?
Nie jestże to coś więcéj niż złudzenie?
Jak ci się zdaje?
HORACY.
Nigdybym nie wierzył
Gdyby nie to świadectwo nieomylne
Mych własnych oczu.
MARCELLI.
Do zmarłego króla
Czy niepodobny?
HORACY.
Jak ty sam do siebie.
Bo taki pancerz nosił i kołczugę,
Z Norwegiem butnym kiedy szedł w zapasy:
Tak marszczył brwi, gdy w najzaciętszéj walce,
Lechicką sannę rozbił w puch na lodzie.
BERNARDO.
Tam, gdzie Poloniusz był pojmany jeńcem;
Dziś podkomorzy, kanclerz i podskarbi,
Bóg wie co jeszcze, bo przyjaciel dworu.
MARCELLI.
Ten cień po dwakroć, i w sam raz o pierwszéj
Marsowym krokiem naszą straż okrąża.
HORACY.
Co myśleć o tém, nie wiem, jak Bóg żywy.
Lecz według miary méj rozwagi, sądzę
Że jakieś klęski to dla kraju wróży.
MARCELLI.
Zasiądźmy tu; niech powie, kto świadomy,
Zkąd owe ścisłe i nużące czaty
Rycerstwo nasze noc po nocy dręczą?
Co znaczy ciągłe dział spiżowych lanie,
Lub te wojenne z obcych miast przybory?
Ten zgiełk warsztatów, tak że czeladź morska

Już nie rozróżni piątku od niedzieli?
Cóż się to święci, że ten znój żarliwy
Robocie dziennéj noc w posiłek daje?
Kto mi to wytłómaczy?

HORACY.

Ja, Marcellu;
Przynajmniéj wieść jest taka. Król nieboszczyk,
Którego cień się właśnie nam ukazał,
Jak wiecie, przez Norwega Fortynbrasa,
Tchnącego pychą i zawiścią srogą,
Do boju był zmuszony; Hamlet dzielny
(Gdyż tak go zwie ta część znanego świata),
Zgniótł najezdnika. Nim zaczęto wojnę,
Akt zatwierdzony herbem i przysięgą,
Norwega wszystkie kraje i dzierżawy
Przekazał lenném prawem na zwycięzcę:
Podobnie król nasz, równą ziem połowę
Zaprzysiągł oddać, jako plon zdobyczy,
Następcom i dziedzicom Fortynbrasa,
W przypadku gdyby on miał nas pokonać.
Nam los posłużył. Owóż syn wygnaniec,
Zajadłą zemstą i rozpaczą wrzący,
W Norwegii portach zebrał, tu i owdzie,
Zuchwałą tłuszczę zbiegów i korsarzy
Za obietnicę strawy lub rabunku,
Na jakiś zamysł bardzo dlań ponętny
(A jak z czujności naszéj wnieść należy),
By nam odebrać, czy oręża siłą,
Czy też podstępem, te rzeczone kraje
Od ojca wzięte. Ztąd, jak mi się widzi,
Przyczyna główna téj wojennéj wrzawy,
Początek pierwszy naszych czat, i źródło
Téj zagorzałéj koło nas roboty.

BERNARDO.

I ja tak myślę jak Horacy mówi:
Tém bardziéj że złowrogie to zjawisko
Kroczące pośród nas, podobne temu
Co był i jest zaburzeń tych powodem.

HORACY.

Tak światło ducha lada dźbło zamroczy.
Gdy Rzym się wznosił do potęgi szczytu,
Cokolwiek przed Juljusza nagłą śmiercią,
Pękały groby, a pradziadów roje
Błądziły jęcząc po ulicach miasta.
Widziano gwiazdy z krwawéj mgły łańcuchem,
Na słońcu skazy; a wilgotną tarczę
Pod któréj wpływem stoi rząd Neptuna,
Zchorzałą, zmierzchłą, jak na sądny dzień;
I strasznych dziejów tym podobne wróżby,
Pewniejsze niż sybilskie przepowiednie,
Prologi smętne do nieszczęścia księgi. —
Tak też i dzisiaj, nieba głos i ziemi
Tchnie groźbą dla mieszkańców téj półwyspy! —

(Duch powraca.)

Lecz, cicho! patrzcie, tam! ów cień powraca!
Zastąpię drogę, bądź co bądź! — Stój, maro!
Czy mieścisz w piersi ludzki głos lub trupi,
Mów do mnie: — Jest-li jaki czyn godziwy
Co tobie ulgą, mnie zasługą będzie,
Mów do mnie: — Wiesz-li przyszły los Ojczyzny,
A który wcześnie możnaby zażegnać,
Daj znak: — Czyś ukrył, jeszcze za żywota,
Złupiony skarbiec, pod cmętarną ziemią,
Mów do mnie, stój! — Zatrzymaj go, Marcellu.

MARCELLI.

Czy mam toporem ubić?

HORACY.

Niech przepadnie,
Lub da odpowiedź.

BERNARDO.

Tu jest!

HORACY.

Tu!

(Duch znika.)

MARCELLI.

Już niema.
Krzywdzimy, sądzę, postać tę królewską,
Chcąc ją uwięzić choć pozorem gwałtu;
Powietrza równie żaden cios nie rani,
A płochym groźbom lotny duch urąga.

BERNARDO.

Już miał coś mówić, aż tu zapiał kur.

HORACY.

I cały wzdrygnął się jak zbrodzień z lochu
Przed sąd wezwany. Nieraz ja słyszałem
Że ranny goniec w trąbkę gdy zadzwoni,
Wesołém drganiem dźwięcznéj swéj gardzieli
Rozbudza słońce; że nim piać przestanie,
Rój duchów błędny w ogniu lub powietrzu,
Na ziemi, w morzu, wraca zkąd przychodzi,
A ten wypadek jasno rzecz dowodzi.

MARCELLI.

Tak jest, bo rozwiał się z koguta pieniem.
A ci znów twierdzą że w zimowéj porze
Gdy Narodzenie pańskie świat obchodzi,
Ten ptak, od mroku śpiewa do jutrzenki:
Że wtedy, mówią, żaden duch nie wstanie,
Noc szczęści zdrowiem a spokojem gwiazda,
Czar nie zaszkodzi, wróżka nie urzeknie,
Tak dobroczynnym jest ten czas dla ludzi.

HORACY.

Jam też to słyszał, i po części wierzę.
Lecz, patrzcie, ranek w płaszczu swym różanym
Po mgle wstępuje na gór wschodnich szczyty.
Czas wartę zwinąć; lecz ja radzę szczerze
Uprzedzić o tém cośmy tu widzieli
Młodego księcia; bo na moją duszę,
Cień dla nas niemy, pewnie doń przemówi.
Czy zgoda na to, abyśmy spełnili
Co każe nam powinność, bracia mili?

MARCELLI.

Zupełna zgoda. Mam u niego służbę,
We troje pójdziem zanieść mu tę wróżbę.*

(Wychodzą.)

SCENA II.

Tamże. Sala tronowa.

KRÓL, KRÓLOWA, HAMLET, POLONIUSZ, LAERTES, *WOLTYMAND, KORNELJUSZ.* Panowie, Służba.

KRÓL.

Jakkolwiek niespodziany zgon Hamleta,
Naszego brata, w świeżéj tkwiąc pamięci,

Aż po dziś dzień zasępia myśl i serce,
A cały kraj w żałoby kir odziewa;
Rozwaga przecież nąd uczuciem władnie,
Tak że miarkując żal nasz obowiązkiem
Na was i siebie pomnieć nam zaleca.
Ztąd, siostra dawniéj, dziś małżonka nasza,
I spółkrólowa nad rycerską Danią,
*Z tęskliwém szczęściem, że się tak wysłowię, —
Z pogodą w oku, a ze łzą na licach,
W żałobie strojna, smętna wśród wesela,
Na równi ważąc radość i cierpienie, —*
Ślub nasz przyjęła : w czém powszechne zdanie,
W swobodzie całéj przy nas objawione,
Pomocném było. Dzięki wam, panowie.
Następnie, młody Fortynbras, jak wiecie,
Czy lekceważąc lud nasz i potęgę,
Czy sądząc że po zgonie poprzednika
W królestwie znajdzie niemoc i zwątpienie,
Zbyt sprzyjające jego snom zaborczym,
Już nieprzestaje naglić nas posłami
O zwrot tych krain, które z rąk rodzica
Waleczny brat nasz zdobył i przekazał
Na własność Danii. — O nim dość dwa słowa.
*A co do nas, i celu tej narady,
Tak rzecz się ma. Pisaliśmy dziś właśnie
Do jego stryja, — bo złamany wiekiem,
Obłożnie chory, może nie zasłyszał
O synowcowych spiskach i robotach, —
By wstrzymał i zabronił wszelkie zbiory,
Zaciągi wojska przeciw nam czynione
Z poduszczeń księcia. Ztąd, was wybieramy,
Was Korneljuszu, was cny Woltymandzie,
Na posłów i rzeczników do Norwega,
Z tą tylko władzą do układów z królem,
Do jakiéj nasze pismo was mocuje.
Żegnamy; pospiech będzie wam zasługą.

KORNELJUSZ i WOLTYMAND.

W tém, jak we wszystkiém, służyć mu gotowi.

KRÓL.

Nie wątpim o was : zatém, bądźcie zdrowi.*

(Woltymand i Korneljusz wychodzą.*)

O tobie teraz; zbliż się, Laertesie.
Trwożliwą prośbę widzę w twém spojrzeniu;
Nie stracisz słów, żądając od monarchy
Co jest godziwém; bo co masz na myśli,
Nim ty zapragniesz, my dopełnim chętnie.
*Mniéj bliską głowa jest pokrewną sercu,
Mniéj wiernym ręka ustom jest przyrządem,
Niż ojcu twemu tron nasz, Laertesie.*
Więc czego chcesz? Mów śmiało.

LAERTES.

Proszę Waszą
Królewską Mość, o przejazd mój do Francyj;
Zkąd chętniem przybył na jéj koronacyę,
Poddańczy hołd mój złożyć; lecz wyznaję,
Że po spełnieniu dziś téj powinności,
Ku Francyi znowu dąży myśl swobodna,
Błagając o łaskawe przyzwolenie.

KRÓL.

Waszmości rodzic czy się dał uprosić?

POLONIUSZ.

Wciąż łaził za mną, Najjaśniejszy panie;
Tak żem nareszcie musiał to żądanie
Pieczęcią stwierdzić, choć mi serce krwawi
Sam niewiem czemu; niech go król odprawi.

KRÓL.

No, Laertesie, jedź więc; według woli
Rozrządzaj czasem i królewską łaską. —
Lecz ty, Hamlecie, mój synowcze, synu, —

HAMLET, na stronie.

Cóś mniéj jak synu, więcéj jak synowcze.

KRÓL.

Czy jeszcze chmury wiszą ci nad czołem?

HAMLET

O, chmur już nie ma, słońce mi dokucza.

KRÓLOWA.

Hamlecie, odrzuć te ponure szaty,
Przyjaznem okiem spójrz na twego stryja.
Poprzestań wreszcie, z tą spuszczoną w ziemię
Powieką smętną, marzyć o twym ojcu :
To zwykły los, co rodzi się, umiera,
Przechodząc drogą życia do wieczności.

HAMLET.

Tak, nadto zwykły.

KRÓLOWA.

Jeśli tak być musi,
Dlaczego ci szczególnym się wydaje?

HAMLET.

Wydaje, pani! wiem że jest w istocie.
O pozór nie dbam; bo ni płaszcz ten bury,
Ni dworskiéj sukni ta żałobna barwa,
Ni dech łkający z piersi méj wyrwany,
I nawet płonny strumień łez w mém oku,
Z tą niekłamaną rysów mych bladością,
Te wszystkie cechy lub oznaki smutku
Nie są rzetelną prawdą : to się zdaje,
Gdyż lada komu taki strój przystaje;
Lecz jest cóś we mnie czego nikt nie uda,
Cnotliwy pozór może mieć obłuda.

KRÓL.

To ci zaletą chlubną, bez wątpienia,
Że tak pamiętasz o czcigodnym ojcu;
Lecz on podobnież ojca miał i stracił,
Ten znów swojego. Prawda, że po zgonie
Rodziców, żal jest obowiązkiem dzieci,
Na pewien czas; lecz trwać w upornym smutku,
To rzecz bezbożna, płocha i niewieścia;
*To zdradza duch niesforny z wolą nieba,
Nie mężne serce, umysł nie spokojny,
Wyrozumienie płytkie i surowe.
Bo skoro wiemy że cóś być powinno,
I żadna moc odwrócić go nie zdoła,
Na cóż w uporze śmiesznym a bezsilnym
Brać to do serca? Nie! to grzech przed Bogiem,*
Obraza zmarłym, bunt przeciw naturze
I dziejom świata, których tłem odwieczném,
Jest śmierć rodziców; które od najpierwszéj
Aż po dzisiejszą wołać nie przestały :
« Tak musi być ». Prosimy, rzuć nareszcie

Ten żal niewczesny; pomnij że masz ojca
W żyjącym stryju, bo świat wiedzieć będzie
Żeś ty najbliższym jest naszego tronu:
*Że go z ojcowską wiarą i miłością
Dla ciebie strzeżem. Gdy zaś nam wiadomo
Że wrócić chcesz do Wittembergskiéj szkoły,
Życzenie to jest naszym wręcz przeciwne;*
Więc prosim cię pozostać w Elsynorze,
Pod opiekuńczym nas obojga wzrokiem,
Jak pierwszy z dworzan, krewny, jak nasz syn.

KRÓLOWA.

Wysłuchaj prośbę matki twéj, Hamlecie,
Do Wittembergu nie jedź; zostań z nami.

HAMLET.

Posłusznym pani, wedle méj możności.

KRÓL.

To mi odpowiedź piękna i serdeczna;
Bądź odtąd mym współrządcą. — Idźmy, pani;
Niewymuszony wyraz ten Hamleta
Tak rozpromienia serce, że na zamku,
Przy każdém zdrowiu które dziś wychylim,
Moździerzy huk w obłoki je poniesie;
A nieba zagrzmią na królewskie słowo
Wiwatem ziemi! Żegnam. Chodź, królowo.
(Odgłos trąb — Wszyscy, prócz HAMLETA, wychodzą.)

HAMLET.

Bodaj to skrzepłe, to zawiędłe ciało,
Jak mgła przed słońcem, w parę się rozwiało;
Lub ten nie istniał, co swój grom wymierza
Na samobójcę. Boże! o mój Boże!
Jak nudnym, nędznym, lichym i jałowym
Zda mi się świata cały ruch codzienny!
O hańba! wstyd! to raj zarosły chwastem,
Gdzie zdrowy plon marnieje, a trucizny
Tak bujnie kwitną! Aż do tego przyszło!
Sześćdziesiąt dni żałoby! — nie, mniéj jeszcze.
Tak dobry, zacny król, a po nim kto?
Plugawy satyr po Hyperionie!
*Tak matkę czcił, że z nieba wiatr zbyt żywy
Od czoła rad odwrócił. Boże wielki!*
Mamże pamiętać? tak do niego lgnęła
Jakby do pieszczot rosło w niéj pragnienie,
Przy samém źródle; tak, a w miesiąc później, —
Obmierzła myśl! — Zmienności, tyś niewiastą! —
Nie miesiąc, mniéj! — trzewików tych niezdarła
Z któremi szła za trupem nieboszczyka,
Jak Niobe spłakana; — i z powrotem,
(O Boże! nieme i bezmyślne bydlę
Wszak dłużéj by płakało) — nuż do ślubu,
Z ojcowskim bratem, lecz doń mniéj podobnym
Niż ja do Herkulesa: w pół miesiąca;
*Nim jeszcze słony osad łzy nieszczeréj
Wilgoci pozbył w jéj zbolałém oku, —*
Już za mąż. — Co za pospiech, tak obrotnie
Przesunąć się na pościel kazirodną!
To nie jest, ani może wyjść na dobre;
Lecz pękaj serce, cierp że język milczy!
(Wchodzą HORACY, BERNADO i MARCELLI.)

HORACY.

Dzień dobry, książę.

HAMLET.

Dzięki za życzenie.
Wszak to Horacy, — lub mię pamięć myli?

HORACY.

On sam, i zawsze na usługi księcia.

HAMLET.

Weź imię brata; mię nazywaj sługą.
A po co tu przyjeżdżasz z Wittembergu?
Wszak i Marcelli?

MARCELLI.

Tak jest.

HAMLET.

Dobry wieczór.
Jam bardzo rad wam w smętnym Elsynorze. —
Lecz z Wittembergu co cię tu przynosi?
* Miłostki jakieś? To się nas nie tyczy.*

HORACY.

Wrodzona skłonność do próżniaczki, książę.

HAMLET.

Twój wróg by nie śmiał tak cię lżyć przedemną;
I nie czyń mi téj krzywdy, bym od ciebie
To miał usłyszeć; wiem żeś pracowity.
Więc cóż do Elsynoru cię sprowadza?
Nauczym cię pić tęgo, nim odjedziesz.

HORACY.

Na pogrzeb króla jam przyjechał, książę.

HAMLET.

Nie żartuj ze mnie, bo na ślub królowéj.

HORACY.

W istocie, jedno szło jak w trop za drugiém.

HAMLET.

Oszczędność, bracie! bo z królewskiéj stypy
Przygrzane reszty wzięto do wesela.
Oj w niebie, chętniéj spotkałbym twarz wroga,
Niż dożył téj godziny, mój Horacy! —
Nieszczęsny ojciec, — zda się że go widzę.

HORACY.

Gdzie, mości książę?

HAMLET.

Przed oczyma duszy.

HORACY.

Jam znał go niegdyś; pan przystępny, ludzki.

HAMLET.

On był człowiekiem, nie mniéj i nie więcéj;
Równego cnotą w Danii nie zobaczę.

HORACY.

Mnie też się zdaje żem go widział wczora.

HAMLET.

Gdzie, kogoś widział?

HORACY.

Jego cień.

HAMLET.

Co słyszę!

HORACY.

Umiarkuj zbytni podziw, choć na chwilę,
I słuchaj bacznie co ci mam oznajmić
Za potwierdzeniem dwóch naocznych świadków
O tém zjawisku.

HAMLET.

Mów, na miłość Boga!

HORACY.

Przez parę nocy, dwaj ci towarzysze,
Bernardo i Marcelli, podczas warty

Wśród głuchych jarów i północnéj ciszy,
Ten cud widzieli. Cóś jak król nieboszczyk
Od stóp do głów zawarte w pełnéj zbroi,
Na jaw stanęło; i poważnym krokiem
Stąpając zwolna, raz po raz trzykrotnie
Do truchlejącéj straży się zbliżyło,
*O długość jednéj włóczni; drżąc jak liście,
Nie śmieli doń przemówić; lecz z porankiem,
Pod tajemnicą o tém znać mi dali;*
Gdym trzeciej nocy z niemi stał na warcie
W rzeczonym czasie i w tém samém miejscu,
Toż same widmo przeszło tuż przedemną.
To istny król nieboszczyk; te dwie ręce
Do siebie mniéj podobne.

HAMLET.

Gdzież to było?

MARCELLI.

Tam, na tarasie, gdzie się straż odbywa.

HAMLET.

Czyś z nim rozmawiał?

HORACY.

Chciałem, lecz daremnie,
Bez żadnéj odpowiedzi; choć, raz jeden,
O parę kroków ku nam przystępując,
Podniosło głowę, jakby chcąc przemówić:
Gdy w tém kur zapiał, i zjawisko nagle
Z mych oczu znikło.

HAMLET.

Dziwna rzecz, jak żyję.

HORACY.

Tak, mości książę, dziwna lecz prawdziwa;
*I mieliśmy za obowiązek sobie
Zdać wierną sprawę.

HAMLET.

To mię trapi srodze.*
Stoicie dziś na warcie?

WSZYSCY TRZEJ.

Od północy.

HAMLET.

Król był z orężem?

WSZYSCY TRZEJ.

Tak jest.

HAMLET.

W pełnéj zbroi?

WSZYSCY TRZEJ.

Po samą skroń.

HAMLET.

Więc twarzy nie widziałeś?

HORACY.

I owszem, zbliska; szyszak miał otwarty.

HAMLET.

A groźnie patrzał?

HORACY.

Raczéj miał tęsknotę
Niż gniew na twarzy.

HAMLET.

Blady, czy rumiany?

HORACY.

Okropnie blady.

HAMLET.

Wzrok na was wlepiony?

HORACY.

Bez przerwy.

HAMLET.

On to mnie wyglądał pewnie!

HORACY.

O, byłbyś książe drżał jak my.

HAMLET.

Doprawdy?
Być może z resztą. Długoż się zatrzymał?

HORACY.

Tak długo że do stu bym zliczył snadnie.

MARCELLI i BERNARDO.

O więcéj, więcéj.

HORACY.

*Nie gdym ja był z wami.

HAMLET.

A broda, siwa?

HORACY.

Jak za życia prawie,
Kir posrebrzony.*

HAMLET.

Razem dziś czatujem:
Mnie też się może zjawi.

HORACY.

Za to ręczę.

HAMLET.

A jeśli w postać ojca się przybiera,
Ja doń przemówię, choćby toń piekielna
Ryknęła mi przekleństwem. Proszę was,
Jeżeliście milczeli do téj doby,
Cobądź w następnéj nocy się wydarzy,
Na rozum bierzcie, nie na język, bracia;
Zawdzięczę wam tę łaskę. Bądźcie zdrowi,
A przed północą, na tarasie stajem.

WSZYSCY TRZEJ.

Usługi nasze.

HAMLET.

Moje wam nawzajem.

(Horacy, Bernardo i Marcelli wychodzą.)

Duch ojca, zbrojny! tak, on zemsty czeka;
Przeczuwam jakieś klęski: noc daleka!
Aż dotąd serce, milcz. O czarna zbrodnio,
Piekielną dziś wyświecę cię pochodnią!

(wychodzi.)

SCENA III.

Pokój w domu Poloniusza.

LAERTES i OFELIA.

LAERTES.

Bądź zdrowa, siostro; sprzęty na pokładzie,
Odjeżdżam. Jeśli szczęsny wiatr zawieje
A statek się nadarzy, nie zasypiaj,
Lecz daj mi znać o sobie.

OFELIA.

Bez wątpienia.

LAERTES.

Co do Hamleta i oświadczeń jego,
Miéj to za dworski kaprys, jak fiołek
Wiosenną wonią tchnący, lecz przelotny;
Za wdzięk godziny jednéj i nic więcéj.

OFELIA.

Nic więcéj, myślisz?

LAERTES.

Wierzaj mi, kochana;
Zewnętrzna piękność jest objawem tylko
Piękności duszy; nad tym kwiatem z nieba
Bez przerwy czuwaj. Serce twe dziewicze,
To jak świątynia, nim jéj głąb rozświeci,
Małżeństwa słońce. Że cię teraz kocha
Miłością szczerą, jak kochają młodzi,
Że żadna skaza dotąd nie splamiła
Uczciwych jego chęci, to być może;
Lecz lękaj się, zważywszy stan Hamleta,
By chęć niewolna z wiatrem nie sfrunęła.
On swego rodu pierwszym jest poddanym,
I nie ma prawa, jak pośledni ludzie,
Swém sercem rządzić. Od wyboru księcia,
Królestwa Danii przyszły los zależy;
*Więc z góry jest już określonym ściśle
Powagą i uznaniem tego ciała
Którego król jest głową. Ztąd, gdy mówi
Że kocha cię, wierz mu o tyle tylko,
O ile zdolnym jest książęce słowo
Przemienić w czyn, co spełni się jedynie
Gdy głos powszechny Danii je potwierdzi.*
Zważ jaki zakał sławie twéj zagraża,
Jeżeli miłą śpiewką w sieć złowiona
Lub stracisz serce, lub otworzysz skarby
Bezbronnéj duszy przed natrętem śmiałym.
Strzeż się, Ofelio, strzeż się, siostro luba,
I stój w odwodzie własnéj twéj skłonności,
Zakryta przed strzałami płochéj żądzy.
Najszczersze dziewcze dość już jest rozrzutne,
Gdy przed księżycem wdzięki swe odsłania.
*Na samą cnotę potwarz jad swój ciska,
Wiosenną dziatwę czerw podziemny toczy,
Zanim z jéj pączków kwiaty się rozwiną;
A w rannym brzasku i perłowéj rosie,
Mgły zaraźliwe mają wpływ śmiertelny.*
Uważaj więc; najlepsza straż w obawie.

OFELIA.

Treść téj nauczki od dziś dnia postawię
Na straży serca; lecz, braciszku drogi,
Nie idź za śladem owych złych pasterzy
Ścielących nam ciernisty tór do nieba,
Gdy sami, krocząc po roskoszy kwiecie,
Jak rozpustniki w cnoty strój przebrane,
Z rad własnych szydzą.

LAERTES.

Bądź o mnie spokojna.
Już mię odeszlij. — Ojciec nasz nadchodzi.

(Wchodzi POLONIUSZ.)

*Z podwójném szczęściem wezmę od rodzeństwa,
W uścisku jednym, dwa błogosławieństwa.*

POLONIUSZ.

Laertes jeszcze w domu? wstyd, sromota!
Osada czeka, wiatr żaglami miota;
*Błogosławieństwo weź na zapomogę,
Odpływaj. A na drogę masz przestrogę: *
Ojcowskie rady niech cię darzą zdrowiem,
Lecz dla pamięci, tak ci je wypowiem.

(kładąc rękę na głowę Laertesa.)

Niech płochy język myśli twéj nie zdradza,
I myśl dojrzeje, nim się w czyn przeradza.
Bądź towarzyskim, nigdy zaś powszednim:
Masz przyjaciela, nim się zwierzysz przed nim,
Stalową klamrą przykuj go do siebie,
możesz nawet służyć mu w potrzebie;
Lecz nie psuj sobie rąk, na uściśnienia
Z ladacą lub hołyszem. Poróżnienia
Chroń się jak brzytwy; gdyś napotkał trutnia,
Na tym kto zaczął niech się skończy kłótnia.
*Nie szczędź twych uszu, skąpym bądź w rozmowie,
Gdzie zdrowa rada, własny sąd ci powie.*
Gdy grosza starczy, na to zważaj bacznie,
Noś się porządnie, suto, nie dziwacznie;
Jak się kto nosi, tak o sobie głosi.
A pod tym względem choć celują Włosi,
We Francyi także dobry jest obyczaj.
Nie bierz w pożyczkę, ani nie pożyczaj;
Bo z przyjacielem stracisz twe posługi,
A gospodarstwo liche gdzie są długi.
*Bądź ludzkim sam dla siebie, w każdym kroku,
A za tém pójdzie, jako dzień po mroku,
Że równie ludzkim dla bliźniego będziesz,
I że powszechną cześć i mir posiędziesz. *
Idź więc; z radami ojca, szczęść ci Boże!

LAERTES.

U stóp rodzica ścielę się w pokorze.

POLONIUSZ.

Czas nagli; spiesz się, służba już gotowa.

LAERTES.

Ofelio, pomnij na braterskie słowa.

OFELIA.

Coś mi powiedział, chowam tu jak w grobie;
Od serca siostry, ty masz klucz przy sobie. —

(Laertes wychodzi.)

POLONIUSZ.

*Krew bujna we mnie tak rozumem włada,
Że co bądź mówię, sam się wiersz układa:
Za moje grzechy Bóg mię skarał rymem,
I jakoś zawsze myśl ulata z dymem. — *
Cóż tam braciszek szeptał ci z ubocza?

OFELIA.

Cóś o Hamlecie.

POLONIUSZ.

Właśnie, od półrocza,
Zbyt często z tobą bawi po kryjomu,
A ty zbyt chętnie dajesz wstęp do domu.
Jeżeli tak jest, jak mię wieść dochodzi,
To wiedz że córce targać się nie godzi
Na cześć rodzica i na własną sławę.
Co macie z sobą, pacierz czy zabawę?

OFELIA.

Poddaństwa czułą składa mi przysięgę.

POLONIUSZ.

Poddaństwa? proszę! czy mię za ciemięgę
Królewic bierze ?* nadto mię zaszczyca.
A ja wypędzę za drzwi królewica,
By cię nie nęcił dłużéj tym wabikiem,
I z poddanego nie stał się zwierzchnikiem!
A, daj go katu!* gadasz jak podlotka
Bez doświadczenia, u prostego kmiotka.
A czy ty wierzysz téj książęcéj baśni?

OFELIA.

Ja nie wiem sama; może czas wyjaśni.

POLONIUSZ.

Ja wiem i powiem że masz pustą główkę,
Jeżeli szych przyjmujesz za gotówkę,
Co grosza niewart. Niech ci nieprzysięga,
A ty mu nie wierz gdy za serce sięga.
Przyjaciel, patrzaj! niechcę téj przyjaźni,
Bo mię ta przyjaźń i przysięga zbłaźni!

OFELIA.

On się oświadcza, lecz uczciwie, grzecznie.

POLONIUSZ.

Zbyt grzecznie może, a tém mniéj bezpiecznie.

OFELIA.

I gdy od serca mówi mi z przejęciem,
Najświętszém w niebie świadczy się zaklęciem.

POLONIUSZ.

To siatki na dzierlatki. Gdy krew gore,
Wiem że i serce do zaklęcia skore;
Lecz te płomyki które wiatr przetrąca,
Bo więcéj dają światła niż gorąca, —
Zanim z przysięgą i zaklęciem zgasną, —
To nie jest ogień. Krótko więc i jasno:
*Bądź nieco skąpszą twéj dziewiczéj twarzy,
I twa rozmowa niech cóś więcéj waży
Niż gwar kramarski. Co się tyczy księcia,
Wierz w to że młokos, łatwy do zaklęcia,
I że rad buja na wolniejszéj wstędze
Niż tobie dano. Nie wierz więc przysiędze
I czułym baśniom: gdyż to są pokusy
Ubrane w strój mieniący chociaż kusy;
Z obliczem często świętém i surowém,
By łatwiéj w grzech wprowadzić Jedném słowem*,
Prawami ojca nie waż się szafować;
I proszę odtąd czasu nie marnować
Na płonną z księciem schadzkę lub gawędę.
Słyszałaś, ja tak chcę.

OFELIA.

Posłuszną będę.

(Wychodzą.)

SCENA IV.

Na tarasie.

HAMLET, HORACY i MARCELLI.

HAMLET.

Wiatr kąsa srodze, mróz szatański, wściekły.

HORACY.

Norwegski raczéj.

HAMLET.

Która też godzina?

HORACY.

Niespełna północ.

MARCELLI.

Owszem, już wybiła.

HORACY.

* Już? niesłyszałem. Więc się pora zbliża,
O któréj cień ów zwykłą ma przechadzkę*.

(Odgłos trąb i strzał armatni za sceną.)

Cóż to ma znaczyć?

HAMLET.

Że dziś król ucztuje,
Przy dźwięku czar i wśród pijanych pląsów;
A jak reńskiego pełny dzban wychyli,
Wrzask trąb i kotłów huczy mu: niech żyje!

HORACY.

Czy taki zwyczaj?

HAMLET.

Taki, żal się Boże.
Lecz podług mnie, — choć jestem tu zrodzony
I doń przywykły — chlubniéj by wypadło
Zapomnieć o nim, *jak co noc odnawiać.
Opilstwo to, na Wschodzie i Zachodzie,
Wydaje nas na pośmiewisko ludów;
Przydomkiem wieprzów lub dziurawych beczek
Hańbiących naszą nazwę: gdyż w istocie,
To jedno z naszych cnót i dzieł chwalebnych,
Na zawsze zdziera rdzenną ich zaletę.
Wszak pojedynczym ludziom to się zdarza,
Że gdy kto w sobie skazę ma z nałogu
Lub z urodzenia (czemu sam nie winien,
Bo człek nie radzi zkąd go Bóg prowadzi),
Czy to przez nadmiar krwi łamiącéj w pędzie
Rozumu groble, czy przez narów szpetny
Z obyczajnością sprzeczny; — gdy kto, mówię,
Napiętnowany choć jedyną plamą,
Bądź organicznie, bądź li przypadkowo, —
Niechby zkąd inąd cnoty miał tak świetne,
Tak niezliczone jak te gwiazd szeregi,
Tą drobną wadą już skalanym będzie
W obliczu świata. Jeden gram zepsucia
Najzdrowsze cząstki życia w nim zatruje,
I w pył obróci*.

(Godzina bije, duch się zjawia.)

HORACY.

Tam, czy widzisz, książę?

HAMLET.

Miłości boskiéj brońcie nas posłańce!
Błogosławionym jesteś, czy przeklętym,
Tchniesz-li tchem niebos czy wyziewem piekła,
Masz-li zamiary zgubne, czy przyjazne,
W tak tajemniczéj zjawiasz się postaci
Że muszę cię zagadnąć. O Hamlecie,
Mój ojcze, królu, władco nasz, odpowiedz!
Niepewność mię zabija;* mów, dla czego
Twe święte kości przez nas pochowane,
Zerwały całun? czemu grób rodzinny
Gdzieśmy na wieczny pokój cię złożyli,
Krzemienne, ciężkie wieka swe rozdwaja,
By cię na świat wyrzucić?* Co to znaczy,
Że ty, trup zimny, w pełną stal odziany,

W miesięcznym blasku suwasz się po ziemi,
Zgęszczając noc, a nas, istoty marne,
Z przestrachu drżące, gnębisz tak okropnie
Myślami nad pojęcie ludzkiéj duszy?
Ktoś jest? zkąd wracasz? czego chcesz odemnie?

(Duch woła go skinieniem.)

HORACY.

Patrz, daje znak, jakby się chciał z osobna
Rozmówić z tobą.

MARCELLI.

I skinieniem ręki
Uprzejmie wzywa na postronne miejsce;
Lecz nie idź z nim.

HORACY.

O nie idź, w imię Boga.

HAMLET.

Tu nie chce mówić; pójdę gdzie rozkaże.

HORACY.

Ach, nie czyń tego.

HAMLET.

Czegoż mam się lękać?
Złamanéj szpilki życie to nie warte;
A co do duszy, w czém jéj szkodzić może,
Gdy nieśmiertelna jak on sam istota?
Znów skinął na mnie: — pójdę z nim, lub zginę.

HORACY.

A jeśli cię sprowadzi ku otchłani,
Lub do groźnego skał nadbrzeżnych szczytu,
Sterczących słupem nad powierzchnią morza,
I tam w upiora postać się przedzierzgnie,
Mogącą ci odebrać władzę zmysłów
I w obłąkanie wprawić? Ach! uważaj:
Już samo miejsce, bez innego czaru,
Jest tak rozpaczne, że się mózg zawraca,
Na tyle sążni widząc toń pod sobą,
I słysząc jéj ryczenie.

HAMLET.

Duch mię woła: —
Idź, wskaż mi drogę.

HORACY.

Nie, ja cię nie puszczę.

HAMLET.

Rozwiążcie ręce! Niech się los mój spełni.
On każdą żyłkę w piersi méj uzbraja
Potęgą lwa Nemei. Znów skinienie! —
Rozstąpcie się, panowie! — Jak Bóg żywy,

(wyrywając się.)

Kto chce mię wstrzymać sam upiorem będzie: —
Na stronę, precz! — *A teraz, idę z tobą[1].

(*Duch z Hamletem wychodzą.)

HORACY.

*Prąd wyobraźni wprawia go w szaleństwo.

MARCELLI.

W trop za nim, bracie: na bok posłuszeństwo.*

HORACY.

Za broń, i naprzód. Co też ztąd wypadnie?

MARCELLI.

Kraj chory; na co? to sam Bóg odgadnie.

(wychodzą.)

1. ODMIANA. — A teraz, mów, kto jesteś?
DUCH: Hamlecie, (i t. d.)

*SCENA V.

Inna część tarasu.

DUCH i HAMLET.

HAMLET.

Gdzie mię prowadzisz? mów, nie pójdę daléj*.

DUCH.

Hamlecie.

HAMLET.

Słucham.

DUCH.

Zbliża się godzina
O któréj w srogie i siarczyste żary
Znów muszę wrócić.

HAMLET.

O wygnańcze biedny!

DUCH.

Nie lituj się; wysłuchaj mię do końca,
Z uwagą.

HAMLET.

Duch mój w jeden zmysł przechodzi.

DUCH.

A wysłuchawszy, myśl o naszéj zemście.

HAMLET.

O zemście?

DUCH.

Jam jest ojca twego cieniem,
Skazanym nocą tułać się doczeźnie,
A we dnie więźniem jęczéć wśród płomieni,
Aż kał spełnionych grzechów za żywota
Do szczętu się nie strawi. *Gdybym tobie
Wyjawić mógł méj męki tajemnice,
Najlżejszy rys obrazu téj katuszy
Przeraziłby twą myśl, krew młodą zwarzył,
Wysadził oczy jak dwie gwiazdy błędne,
I tak rozwinął włosów twych kędziory
Że każdy dębem stanąłby nad czołem,
Jak igły sterczą na jeżowym grzbiecie.
Lecz oddźwięk kar wieczystych nie stworzony
Dla istot z krwi i ciała. — *Słuchaj daléj! —
Jeżeli pamięć ojca jest ci drogą, —

HAMLET.

O Boże!

DUCH.

Pomścij jego zgon morderczy.

HAMLET.

Morderczy?

DUCH.

Tak jest. Każdy mord ohydny;
Lecz ten haniebny, dziwny, bez przykładu.

HAMLET.

*Cóż daléj? spiesz się, bym lotniejszém skrzydłem
Jak myśl kochanków lub modlitwa święta
Ku zemście zdążył.

DUCH.

Widzę cię gotowym;
A byłbyś nikczemniejszym jak to zielsko
Gnusnością tuczne nad brzegami Lety,
Gdybyś na to nie struchlał: więc, mój synu*,

Puszczono wieść że wąż mię żądłem ranił
Śpiącego w mym ogrodzie; tém zmyśleniem
O śmierci króla, cały kraj zwiedziono;
Lecz wiedz, Hamlecie, że ten wąż zjadliwy
Co zabił ojca twego, dziś piastuje
Koronę Danii.

HAMLET.

O przeczucia duszy!
Mój stryj!

DUCH.

Mój brat! ów niecny bratobójca,
* To cudzołożne bydle, swym dowcipem*,
Wymowy czarem (O przeklęty wiecznie
Ten dar szatana który zwiódł niewiastę!)
Obłudną żonę skłonił ku swéj chuci.
O jakiż to upadek niezgłębiony!
Od męża jéj, którego miłość wzniosła
Dłoń w dłoń chodziła z wiarą i szczerością
Na ślubie przysiężoną, spaść tak nagle
W objęcia téj gadziny. * O niewdzięczni! —
Lecz jako cnota skusić się nie daje
Sprosności choć przebranéj za niebiankę,
Tak żądza, choć ją ślub z aniołem wiąże,
Najświętszém łożem gardząc, dla odmiany,
Przerzuci się na barłóg.* Już od wschodu,
Chłód ranny mię przejmuje, czas upływa,
Więc kończę. — Gdym spoczywał w mym ogrodzie,
Jak po południu mym zwyczajem było,
Twój stryj się zakradł na mój sen jak zbójca,
I w otwór uszu moich wlał truciznę
Z blekotu ziół zebraną, któréj kropla
Ma tak zabójczą siłę, że piorunem,
Jak żywe srebro, ciało w krąg przebiega,
Rozkłada krew, jak mleko kwasem ścięte,
I zdrową zmienia w martwą : tak się stało;
Bo natychmiast plugawy trąd rozlany
Po wszystkich członkach, strącił mię w Łazarza!
Tak byłem śpiąc odarty bratnią dłonią
Z korony, szczęścia, życia i zbawienia;
* Skoszony w pełnym grzechów mych rozwoju;
Bez namaszczenia, bez ostatniéj skruchy, *
Bez porachunku, tam przed sąd wysłany,
Niezmyty z win ciążących mi na głowie :
Okropny dzień! okropny! zbyt okropny!
*Masz-li choć iskrę czucia, nie ścierp tego;
Nie dopuść, by królewskie Danii łoże,
W rozpusty dzikiéj gniazdo się zmieniło. *
Jakkolwiek jednak masz dokonać zemstę
Twéj duszy nie splam; nie czyń nic przeciwko
Występnéj matce : zostaw sąd jéj Bogu,
Sumienia cierniom, które pierś jéj bodą
Za mężobójstwo. Żegnam cię raz jeszcze.
Świecąca muszka ranek mi zwiastuje
Coraz mdlejącym swéj perełki blaskiem :
Bądź zdrów! Hamlecie, myśl o mnie, pamiętaj!

(znika.)

HAMLET.

Niebieskie duchy, ziemio, i cóż więcéj?
Czy mam zawezwać piekło? — Milcz, ty serce,
Wy młode nerwy, nie pękajcie w piersi
Przed czasem zwiędłe! — Myśleć nam o tobie?
Nieszczęsny ojcze, choćby świat zbłąkany
Miał cię zapomnieć, ja pamiętać będę!
Dziś pamięć moja, z księgi swéj wykreśli
*Co w niéj zostało miałkie lub powszednie; *
Piśmienną mądrość, szkolnych lat wrażenia,
Przez młodocianą wiedzę w nią wpisane,
*I to najdroższe, miłość méj Ofelii, *
By rozkaz twój na białéj karcie myśli,
Samotny jaśniał, jak promienne słońce!
Tak mi dopomóż, ty przedwieczny Boże!
O wiarołomna matko! nie, macocho!
O łotrze! szpetny łotrze! jak upiory
Wciąż uśmiechnięty! — to zapiszę sobie,
Że można śmiać się, śmiać się, będąc łotrem,

(zapisując w karnecie.)

Przynajmniéj w Danii. Zasiądź tu stryjaszku;
A tuż przy tobie to królewskie słowo :
« Bądź zdrów! Hamlecie, myśl o mnie, pamiętaj! »
Przysiągłem i dotrzymam.

HORACY, za sceną.

Mości książe!

MARCELLI, za sceną.

* Hamlecie! królewicu!

HORACY, za sceną.

Zbaw go Panie!

MARCELLI, za sceną.

Na wieki, amen.

HORACY, za sceną.

Tu jest, hej, Marcelli!

HAMLET.

Hej, towarzysze! do mnie tu, sokoły!

(HORACY i MARCELLI wchodzą.)

MARCELLI.

Cóż, drogi książe?

HORACY.

Czy przemówił wreszcie?

HAMLET.

O dziwy!

HORACY.

Co powiedział?

HAMLET.

Rzec nie mogę,
Bo rozgłosicie.

HORACY.

Nie ja, za to ręczę.

MARCELLI.

I nie ja także.

HAMLET.

Ktoby też uwierzył?
Lecz przyrzekacie milczeć?

HORACY I MARCELLI.

Jak Bóg w niebie.

HAMLET.

Nie jeden w Danii mieszka łotr otwarty,
Lecz skryty łotr jest gorszy.

HORACY.

To są żarty;
Nie trzeba u nas duchów zmartwychwstałych,
By wiedzieć o téj prawdzie.

HAMLET.

Bardzo słusznie.
A więc bez dalszéj zwłoki się rozejdziem,
Ścisnąwszy sobie ręce po dawnemu;

Wy tam gdzie skłonność i powinność woła,
Bo każdy człowiek jedno ma lub drugie,
Mniéj więcéj pilne; ja zaś do kościoła,
Pomodlić się.

HORACY.

To słowa bez namysłu.

HAMLET.

Czym was uraził? żal mi tego bardzo;
Przebaczcie mi.

HORACY.

Urazy żadnéj nie ma.

HAMLET.

I owszem, jest uraza, na sumienie,
I wielka. Co się tyczy tego widma,
To duch uczciwszy od żyjących wielu.
Co zaś pomiędzy nami się zgadało,
To moja rzecz. A teraz, przyjaciele,
Jak zgodni bracia, jak współucznie wierni,
Do prośby méj się skłońcie.

HORACY.

Z całéj duszy.

HAMLET.

Nie mówcie o tém coście tu widzieli.

HORACY I MARCELLI.

I na to zgoda.

HAMLET.

Złóżcie mi przysięgę.

HORACY.

Ja nie przysięgam.

MARCELLI.

Ani ja nie zgrzeszę.

HORACY.

Lecz obiecuję znowu.

MARCELLI.

Ja podobnie.

HAMLET.

Przysiążcie razem na ten miecz.

DUCH, pod ziemią.

Przysiążcie!

HAMLET.

Ha, ha! tyś jeszcze tu, mój nocny ptaku?
No cóż, słyszycie gościa, tam, w ciemnicy, —
On chce przysięgi.

HORACY.

Sam ją wymów, książe.

HAMLET.

Że nikt nie będzie wiedział co tu zaszło,
Przysiążcie ze mną na ten miecz.

DUCH, pod ziemią.

Przysiążcie!

HAMLET.

Hic et ubique? zmienim więc obroty. —
Tu chodźcie, bracia, tu przyłóżcie dłonie,
I niechaj głośno każdy z was wypowie
Że zapomniecie coście tu słyszeli;
Przysiążcie, mówię, na ten miecz.

DUCH, pod ziemią.

Przysiążcie!

HAMLET.

*Ha, stary krecie! nie źle ryjesz w ziemi;
Wyborny z ciebie górnik! — Tu, panowie!*

HORACY.

Na Boga! wszak to dziwy niepojęte!

HAMLET.

I jako takie, badać ich nie trzeba.
O wielu rzeczach w niebie i na ziemi,
Mądrości ludzkiéj ani się przyśniło.
Na miejscu tém składacie ślub niezłomny,
Jakkolwiek dziwnym będę się wydawał
W obejściu z ludźmi, co być kiedyś może
Gdy mi wypadnie grać szaleńca rolę, —
*Iż w obce mnie, podnosząc tak ramiona,
Tak trzęsąc głową, lub wątpliwém słowem,
Naprzykład: «Ot jest;» — albo: «Już rozumiem;»
Lub: «Gdybym śmiał;» — «Są tacy coby mogli;» —*
Iż jakim bądź wyrazem obosiecznym,
Nie dacie znać że wiecie co zamyślam
I co dopełnię: — na zbawienie wieczne,
Przysiążcie w głos.

DUCH, pod ziemią.

Przysiążcie!

HORACY I MARCELLI.

Przysięgamy.

HAMLET.

Strapiona duszo, spocznij pod całunem,
Cześć tobie! — Waszéj łasce się polecam:
A na co Hamlet żebrak się zdobędzie
By wam zawdzięczyć, przy pomocy boskiéj,
To was nie minie. Więc, na zamek z księciem;
A palce wciąż na ustach, pod zaklęciem.
Nasz wiek się spaczył, — wstyd, na moją duszę,
Że sam ułomny, złe naprawiać muszę!

(Wychodzą.)

AKT DRUGI.

SCENA I.

U Poloniusza.

POLONIUSZ i RYNALDO.

POLONIUSZ.

Rynaldo! weź ten list i te pieniądze.

RYNALDO.

Na rozkaz pański.

POLONIUSZ.

Dobrze by też, sądzę,
Nim go zobaczysz, starać się wywiedzieć
Jak się tam sprawia.

RYNALDO.

Właśniem chciał powiedzieć

POLONIUSZ.

A dobrze, bardzo dobrze. Więc. w pobliżu,
Wypytasz się kto z naszych jest w Paryżu;
I jak, i gdzie, zkąd przybył, przy kim gości,
O schadzkach, o wydatkach jegomości;

A gdy po tych pytaniach, dojdziesz z bliska
Że kto zna mego syna choć z nazwiska,
Do ściślejszego przystąp z nim wywodu:
Naprzykład, powiedz żeś go znał za młodu,
Ot tak: — «Znam ojca, krewnych i przyjaciół,
A w części, jego.» — Byleś się nie zaciął.

RYNALDO.

Mam pamięć dobrą.

POLONIUSZ.

Więc mu rzeknij śmiele:
«A w części, jego;» dodaj: «lecz nie wiele;
Bo jeślim się nie zmylił, to wędrowiec,
Rozrzutnik, hultaj;» — już tam sobie powiedz
Co sam wymyślisz; wszakże nic takiego
Coby nas mogło splamić, mię i jego,
Lecz same psoty lub ucieszne kozły,
Do jakich młokos bujny a rozwiozły
Jest nadto skłonny.

RYNALDO.

Że grać lubi wściekle.

POLONIUSZ.

Tak, albo pić, rozbijać, kląć jak w piekle,
Wałęsać się, nic więcéj.

RYNALDO.

To go splami.

POLONIUSZ.

Gdzie tam; to bardzo zgodne z ich myślami.
Nie masz innego rzucać nań oszczerstwa
Jak tylko, że ma żyłkę do szermierstwa,
Do gry, do szklanki, do rozpusty trochę;
Lecz daj zrozumieć że te wady płoche
Są zwykłym skutkiem lat dwudziestu pięciu,
Nadmiarem krwi gorącéj, jak w źrebięciu,
Lub cóś takiego.

RYNALDO.

Aż mi w głowie puka, —

POLONIUSZ.

Na co to wszystko?

RYNALDO.

Tak jest.

POLONIUSZ.

Na tém sztuka,
Byleś wykonał ściśle me rozkazy.
Bo gdy mu zadasz te drobniutkie skazy,
A z trochą brudu wszystko się wyrabia,
To nasz jegomość, baron czy margrabia,
Jeżeli kiedy był tych grzechów swiadkiem,
Wnet ci odpowie, głośno lub ukradkiem:
«Mój mości Piotrze, Pawle czy Macieju,
Laskawy,» lub: «Wielmożny dobrodzieju,»
Lub: «Jaśnie panie,» jak do ekscellencyi,
Stosownie do godności, do attencyi,
Głupoty zwłaszcza.

RYNALDO.

Jak to u nas wszędzie.

POLONIUSZ.

A wtedy będzie, — bo z pewnością będzie —
Cóżem ci miał powiedzieć? — a, do diabła,
Na czém stanąłem? — pamięć mi osłabła.

RYNALDO.

«Mój mości Piotrze, Pawle czy Macieju,
Łaskawy,» lub: «Wielmożny dobrodzieju,» —

POLONIUSZ.

A! będzie mówić, o tytuły fraszka; —
Więc: «Widzisz waćpan, znam ja tego ptaszka,
Widziałem go zawczoraj, z tym lub owym,
Lub téż innego dnia, w atłasie nowym;
Tam grał zawzięcie, tam znów burdę zrobił,
W czub sobie nalał i strażników pobił;
Onegdaj wchodził do pewnego domu,
Videlicet karczemki, pokryjomu:»
I tym podobnie. *Gdy się tak wysłowi,
Na wędę fałszu prawdy karp się złowi.
Bo my, rozumni, których świat ocenia,
Zachodząc boczkiem, niby od niechcenia,
Na prawą drogę trafim przez rozdroża.
Tak o mym synu, jak ostrzygi z morza,
Języka weźmiesz. *Sakwy już za progiem;
Chwyciłeś mię?

RYNALDO.

Chwyciłem.

POLONIUSZ.

Ruszaj z Bogiem.

RYNALDO.

A za co?

POLONIUSZ.

Z resztą, sądź o nim po sobie;
Skacz jak ci zagra.

RYNALDO.

Ale cóż zarobię?

POLONIUSZ.

Bądź zdrów!

(zamyka drzwi za Rynaldem; OFELIA z przeciwnéj strony wchodzi.)

Ofelio, tyś przedemną klękła?
Wstańże, cóż ci iest?

OFELIA.

Straszniem się przelękła.

POLONIUSZ.

Przelękła! czego?

OFELIA.

Szyłam w méj komnacie,
Gdy książe Hamlet, w szubie wzdłuż rozpiętéj,
*Z odkrytą głową, i zbrukane wlokąc
U nóg pończochy aż do kostek zwisłe, *
Jak całun blady, wszedł chwiejącym krokiem;
Z tak dzikim w całéj twarzy swéj wyrazem
Iż się zdawało że powstaje z piekła,
Z rozpacznym żarem w oku.

POLONIUSZ.

Coś wyrzekła!
Z miłości by zwarjował?

OFELIA.

Nie wiem o tém,
Lecz się obawiam.

POLONIUSZ.

Cóż ci mówił potém?

OFELIA.

Przystąpił do mnie, dłoń uwięził w dłoni,
O całe ramie cofnął się milczący,
I z drugą ręką tak do brwi przytkniętą,
W oblicze moje wlepił wzrok badawczy,
Jakby je chciał rysować. Tak stał długo:
Nareszcie, — lekko wstrząsnął mém ramieniem,

Trzykrotnie chyląc i podnosząc głowę, —
I z głębi piersi jęknął tak boleśnie
Iż by mówiono że mu serce pęka,
I życie zeń uchodzi. Odszedł zwolna,
Wciąż z odwróconą głową po za siebie;
Przez cały pokój, bez pomocy wzroku,
Ku drzwiom się suwał jak lunatyk senny,
I wyszedł z okiem w moją twarz utkwioném.

POLONIUSZ.

Chodź zemną : z królem trzeba się naradzić.
Ten szał miłosny mógłby tu sprowadzić
Najgorsze skutki; jak nienawiść wrząca,
Tak zbytnia miłość sama się roztrąca,
I wiedzie do występku. Żal mi księcia, —
Bo gdyby nie to, przyjąłbym za zięcia :
Przystojny młodzian, choć nie szczędzi grosza, —
Zbyt ostro może dałaś mu odkosza?

OFELIA.

Nie, ojcze; tylko, woli twéj posłuszna,
Zwróciłam listy, prosząc by zaniechał
Odwiedzin dalszych.

POLONIUSZ.

Ztąd i rozum stracił.
Żałuję bardzo żem tak źle mu płacił
Za jego względy : bałem się, by żartem,
Z baranka w domu nie stał się lampartem;
*Przeklęta mądrość! ta nas często zdradza,
Jak młodych brak jéj w ciężki błąd wprowadza. *
Już dość, do króla; on nas może zbawić,
Zapobiedz złemu łatwiéj niż naprawić.

(Wychodzą.)

SCENA II.

Sala w zamku.

KROL, KROLOWA, ROSENKRANTZ, GILDENSTERN, Orszak i Służba.

KRÓL.

A, Rosenkrantz i Gildenstern, witajcie.
Prócz tego żeśmy wam serdecznie radzi,
Potrzeba waszych usług i pomocy
Zjazd nasz przyspiesza. Wiecie już zapewne
O zmianie zaszłéj w księciu, tak zupełnéj,
Że jak na zewnątrz, tak nie jest i w duszy
Podobnym sobie. *Co by też być mogło,
Krom śmierci ojca, co go tak przygnębia
Że samowiedzę myśli mu odbiera,
Nie znamy wcale :* prosim więc usilnie
Byście, od dziecka prawie z nim zażyli,
A spokrewnieni wiekiem i zwyczajem,
Z Hamletem chcieli parę dni pozostać
Na naszym dworze; bądź to dla przykładu,
Do dawnych zabaw by się dał nakłonić,
Bądź dla wykrycia, jako czas pozwoli,
Tajemnych przyczyn téj tęsknoty dziwnéj,
Na którą środek znajdziem po zbadaniu.

KRÓLOWA.

Tak jest, panowie, często was wspomina;
I wiem że niema ludzi dwóch na świecie,
Tak mu przyjemnych. Jeśli wam jest miło
Wyświadczyć nam tę łaskę i posługę,
*A chcecie z nami pewien czas przepędzić,
Nadzieje wesprzeć i podzielić troski,*
Za wasze odwiedziny tak zawdzięczym
Jak tylko nam przystoi.

ROSENKRANTZ.

Wszak obojga
Królewskich Mości, prawem ich wszechwładzy,
Najwyższa wola raczéj jest rozkazem,
Niż prośbą.

GILDENSTERN.

Oba będziem jéj posłuszni;
*I najpokorniéj ścieląc się pod stopy,
Wypełnim chętnie co nam zlecić raczą.*

KRÓL.

Najmilsi Rosenkrantz i Gildenstern, —

KRÓLOWA.

Przezacni Gildenstern i Rosenkrantz :
Dziękując państwu, prosim do Hamleta.
Zaledwie go poznacie. — Jest tam który;
Prowadzić panów na pokoje księcia.

GILDENSTERN.

*Bodaj przezorność nasza i działanie
Pociechę mu przyniosły!

KRÓLOWA.

Daj nam Panie!*

(Wychodzą Rosenkrantz, Gildenstern i kilku dworzan. — POLONIUSZ wchodzi.)

POLONIUSZ.

*Posłowie do Norwega, z rannem słońcem
Witają króla.

KRÓL.

Zawsześ nam był gońcem
Przyjaznych wieści.

POLONIUSZ.

W myśli, co na ręce.
Jak obowiązek, tak mą duszę święcę
Zarówno Bogu, stanom i królowi :
(I chyba mózg mój, gdy mu serca łowi,
Lub czuwa w radzie nad królewskiem stadłem,
Trop prawdy stracił) sądzę iż odgadłem
Obłędu księcia powód i przyczynę.

KRÓL.

Ach! radbym słyszeć.

POLONIUSZ.

Pierwéj racz w gościnę
Posłańców przyjąć według ich zalety;
Po uczcie, spożyć owoc mój, na wety.

KRÓL.

Idź więc ich sam zaprosić i wprowadzić.

(Poloniusz wychodzi.*)

Gertrudo droga, nasz przyjaciel mówi
Że zgłębił już chorobę twego syna.

KRÓLOWA.

Nie jest to nic innego, mojém zdaniem,
Jak śmierć ojcowska i nasz związek rychły.

KRÓL.

*Pomyślim o tém.

(POLONIUSZ wraca z WOLTYMANDEM i KORNELJUSZE

A witajcież państwo.

Mów, Woltymandzie, co nam Norweg zleca.

WOLTYMAND.

Uprzejme hołdy, w życzeń ich zamianę.
Na pierwszy wstęp, zabronił synowcowi
Zaciągi wojska, które się zdawały
Być raczéj wymierzone na Polaków;
Lecz skoro jawnie poznał je na Waszą
Królewską Mość podjęte, takim gniewem
Zapłonął starzec, — że z niemocy jego
Synowiec się natrząsał, — iż niebawem
Zarządził śledztwo, stawić się rozkazał;
Na co posłuszny Fortynbras, przed nami
Wyrzuty stryja przyjął, i nareszcie
Zaprzysiągł nigdy nie podnosić broni
Przeciw możnemu ziemi téj monarsze.
Czém ucieszony Norweg, trzy tysiące
Czerwonych złotych rocznie mu zapisał,
Co więcéj, wojska w kraju swym zebrane
Przeciwko Polszce zwrócić mu rozkazał,
Nam zaś doręczył własny list, proszący

(podając pismo.)

Królewską Waszą Mość, o przejście wolne,
Dla stu chorągwi, przez dzielnice duńskie,
Przy zapewnieniu wsparcia i rękojmi,
W tym liście wymienionych.

KRÓL.

Na to zgoda.
W stosownéj chwili przejrzym to podanie,
Rozważym i pospieszym z odpowiedzią.
A teraz, wdzięczni za skuteczne trudy,
Dziś, po spoczynku, prosim na wieczerzę.
Serdeczne dzięki.

(Woltymand i Korneljusz wychodzą.)

POLONIUSZ.

To się kończy szczerze. —*
Przed Najjaśniejszém państwem chcieć wykładać
Dla czego ludem król ma prawo władać,
Zkąd dzień jest dniem, noc nocą a czas czasem,
To wszystko troje byłoby nawiasem,
Daremnie trwonić.* Dość już powiedziałem;
Rozwlekłość bujna jest wymowy ciałem,
Treściwość duszą :* a że nad gawędę
Treść jéj przenoszę, więc treściwym będę.
Syn wasz oszalał, — snać nad nim przekleństwo.
Oszalał, mówię; bo czém jest szaleństwo,
Jeżeli nie to że ktoś w szał zapada?
A zatém, —

KRÓL.

Dalipan, on pięknie gada.

KRÓLOWA.

Być może. — Mniéj wymowy, więcéj treści.

POLONIUSZ.

Kto kocha prawdę, słowem się nie pieści.
Oszalał, prawda; prawda że to smutne,
To smutne że to prawda : zwroty rzutne;
Lecz bywaj zdrów, bo nie chcę być wymownym.
Więc obowiązkiem dla nas nieodzownym
Jest wykryć gdzie ten skutek ma przyczynę.
Że na tém sęk, to pewna. Mam dziewczynę;
Mam ją, bo moja, skromna i przykładna;
A która, jako woli méj podwładna,
Oddała mi tę ćwiartkę drobnych głosek.
Rozważcie teraz, i postawcie wniosek.
— « Anielska, ubóstwiona i przecudna
Ofelio, » — Słowa próżne, treść obłudna :
« Anielska, ubóstwiona » — Cóż to znaczy?
Lecz daléj czytam. Pani mi wybaczy :
« Do twéj śnieżystéj piersi, » et cetera. —

KRÓLOWA.

Czy to napisał Hamlet?

POLONIUSZ.

Jest litera
Ha wielkie, dowód jasny, jak na stole.
Lecz to nie wszystko, wiersze są na dole. —

(czyta.)

« Wątpij o gwiazdach w północnym cieniu,
Wątpij o słońcu w promiennem niebie;
Wątpij o prawdzie i o zbawieniu,
O tém nie wątpij, że kocham ciebie.

« Ofelio droga! przebacz mi te wiersze :
Źle wyrażają czucia me najszczersze;
Lecz że swą wiarę Hamlet ci zachowa,
W to wierz, o mój aniele! Bywaj zdrowa.
Na zawsze twój, dopóki duch mój smętny
Jest więźniem ciała. » Co za styl namiętny!
Przybiegłszy do mnie z tym zalotnym listkiem,
Posłuszna córka dała znać o wszystkiém;
Przysięgi, prośby, nawet łzy, znajdziecie
Świadectwem jéj stwierdzone.

KRÓL.

Lecz to dziecię
Jak je przyjęło?

POLONIUSZ.

Co król o mnie trzyma?

KRÓL.

Żeś naszą strażą, słuchem i oczyma.

POLONIUSZ.

Tom rad okazać. Cóż byście mówili,
Gdybym tę sprawkę znał od pierwszéj chwili,
*(Bom śledził ją, zamilczam o sposobie,
Przed córki méj zeznaniem) cóżby sobie
Królowa pani o mnie myśleć mogła,
Gdyby się skrycie aż do czynu wzmogła,*
A jam grał rolę teki lub szufladki;
Pobłażał w sercu, jak zbyt czułe matki,
Lub głuchoniemy w téj miłośnéj walce,
Śmiejącém okiem patrzał nań przez palce?
Cóżby kraj myślał? Wziąłem się do dzieła,
I panna młoda tak za swoje wzięła :
« Nasz gość i książe nad twój stan i drogę;
Tyś nie dla niego ; » dałem jéj przestrogę,
By z nim współczucia nie przebrała miarki,
Zwracała listy, wiersze i podarki.
On zaś odparty, że pokrótce skończę,
Pokuty ciężkiéj smętną wdział opończę;
Apetyt stracił; poddał się niemocy;
Ztąd w dzień gorączka; ztąd bezsenność w nocy;
Ztąd szał okropny, w którym brnie i błądzi
Z powszechnym żalem.

KRÓL.

Co królowa sądzi?

KRÓLOWA.
Że to być może.

POLONIUTZ.
Przysiągłbym stokrotnie.
Gdym wyrzekł: « Tak jest, » możeż być odwrotnie?

KRÓL.
U dworzan szczerość, to zbyt rzadka chluba.

POLONIUSZ, wskazując na głowę.
Jeżelim skłamał, zdejmcie to z kadłuba.
Przy danéj sposobności, ja wyłuszczę
Najgłębszą prawdę, choć się za nią spuszczę
Do środka ziemi.

KRÓL.
Jakby dojść naocznie?

POLONIUSZ.
Po tym przysionku, gdy dworzaństwo spocznie,
Zwykł się przechadzać.

KRÓL.
Mam to na uwadze.

POLONIUSZ.
Gdy zjawi się, ja córkę tu wprowadzę:
Przez ten kobierzec głos ich dosłyszycie;
Jeżeli zaś nie kocha jéj nad życie,
I nie szaleje za kochanki tropem,
Z podkomorzego niech zostanę chłopem,
Lub prostym klechą.

KRÓL.
Chorych strzedz się godzi.

(HAMLET wchodzi, czytając.)

KRÓLOWA.
Patrz, oto biedny z książką tu nadchodzi.

POLONIUSZ.
Zaklinam Was, oddalcie się oboje.
Ja doń przystąpię, strachów się nie boję.

(Król, Królowa i Orszak wychodzą.)

A jak się miewa książe?

HAMLET.
Jak się zdarzy.

POLONIUSZ.
Czy książe mię poznaje?

HAMLET.
Do sprzedaży
Kupujesz ryby.

POLONIUSZ.
Sklep zamknąłem, z wiekiem.

HAMLET.
Tém gorzéj; radbym widzieć go człowiekiem
Tak zacnym.

POLONIUSZ.
Zacnym?

HAMLET.
Tak jest, dla wyjątku.
Być zacnym u nas, zwłaszcza bez majątku,
To wyszczególniać się na trzy tysiące.

POLONIUSZ.
A, wielka prawda.

HAMLET.
*Bo jeżeli słońce [1]
Robactwo gnieździ w zdechłym psie za kłodą,
Duch płodzi z trupem, — Masz córeczkę młodą?*

POLONIUSZ.
Podobno mam.

HAMLET.
Po słońcu niech nie chodzi,
Bo począć może; mir i szczęście rodzi
Poczęcie dobre: — lecz kto źle poczyna,
Ten źle zakończy.

POLONIUSZ, na stronie.
Śni mu się dziewczyna:
Słyszycie państwo? — Choć był dawniéj szpakiem
Dziś mię nie poznał, zowiąc mię rybakiem.
Głęboko zabrnął: *ja w młodzieńczym szale,
Z miłości téż cierpiałem zagorzale,
Jak on, o niemal. *Wracam do spowiedzi. —
Co książe czyta?

HAMLET.
Słowa, dla gawiedzi.

POLONIUSZ.
A o czém mowa?

HAMLET.
Między kim?

POLONIUSZ.
Powiadam,
W téj oto książce.

HAMLET.
Prawdy z niéj nie zbadam.
Ten łotr oszczerca miota swe potwarze
Na brody starców i zmarszczone twarze;
*Ich oczy ropią; mózg i rozum płytki;
Zbyt krągły żywot, a zbyt cienkie łytki:
Co do mnie, chociaż wierzę mu potężnie,
Wszelako, pisać jest to niedołężnie,|*
Że pan byś młodym był jak my junakiem,
Gdybyś od grobu w tył mógł stąpać rakiem.

POLONIUSZ.
Choć to szał jawny, jest w nim skład rozumny, —
Czybyś nie raczył na dół zejść?

HAMLET.
Do trumny?

POLONIUSZ.
To na dół, prawda. — Jego spryt mię dziwi.
Szaleńce czasem w słowach są szczęśliwi;
Zbyt rzadkie szczęście u rozumnych osób.
Niech sam zostanie; ja wynajdę sposób
Na zejście z córką. Zdam królowi sprawę. —
Od księcia pana muszę wziąść odprawę.

HAMLET.
A tego nigdy panu bym nie skąpił,
I wszystko w świecie nawet bym odstąpił:
Prócz duszy méj, prócz duszy méj, prócz duszy.

POLONIUSZ.
Upadam do nóg.

HAMLET.
Starzec się pokruszy.
Jakże mię zmęczył, to prawdziwy dworak!

(Wchodzą ROSENKRANTZ i GILDENSTERN.)

POLONIUSZ.
Szukacie księcia? Oto jest, — nieborak!

ROSENKRANTZ.
Bóg zapłać.

1. ODMIANA. — H. Córkę masz jak słońce? — P. Podobno mam, i t. d.

POLONIUSZ.
Kłaniam.
(wychodzi.)

ROSENKRANTZ.
Mój najdroższy książe!

GILDENSTERN.
Najmiłościwszy!

HAMLET.
Pycha serc nie wiąże,
Lecz bratni duch. No, jak się wam powodzi?

ROSENKRANTZ.
Jak to pachołkom na królewskiéj łodzi.

GILDENSTERN.
Szczęśliwym że do wiosła się zaprzęgli,
I że Fortuny czuba nie dosięgli.

HAMLET.
*Bo łysa z tyłu. Wzięliście za nogi?

ROSENKRANTZ.
Ni to, ni tamto.

HAMLET.
Więc w pośrodku drogi?
Cóś koło pasa?

GILDENSTERN.
Niżéj, ku spódnicy.

HAMLET.
W żywocie samym? wszak to wzór sprośnicy.*
Co tam nowego?

ROSENKRANTZ.
Wieści mam z Paryża;
Świat poczciwieje.

HAMLET.
Sądny dzień się zbliża!
To wieść fałszywa. Lecz za jakie zbrodnie
Fortuna was odsyła do więzienia?

GILDENSTERN.
Nas, do więzienia!

HAMLET.
Dania jest więzieniem.

ROSENKRANTZ.
Ba, i świat cały.

HAMLET.
Pełném turm i lochów;
Lecz z tych katowni, Dania jest najgorszą.

ROSENKRANTZ.
Tak źle nie sądzim.

HAMLET.
Dla was nie, być może;
Nic samo przez się nie jest złém lub dobrém;
Nasz sąd jedynie stwarza tę różnicę:
Kraj dla mnie piekłem.

ROSENKRANTZ.
Bo dla jego dumy
Zbyt ciasno w kraju.

HAMLET.
Boże! i w łupinie
Orzecha sądziłbym się panem świata,
Gdybym złych snów nie miewał.

GILDENSTERN.
Sny ambitne,
Marzenia pychy, to mydlane bańki,
I z cieniem snu pękają.

HAMLET.
Sen jest cieniem.

ROSENKRANTZ.
Nic więcéj; lecz i pycha tak znikoma,
Że cieniem cienia zwać by się powinna.

HAMLET.
Więc my śmiertelni, więc królowie dumni,
Zwycięzcy zbyt rozgłośni, zgoła wszyscy,
Jesteśmy cieniem śmierci. Król nas czeka;
Bo się na słowa z wami bić nie mogę.

ROSENKRANTZ i GILDENSTERN.
*Służymy chętnie.

HAMLET.
Nic takiego, proszę:
Z mych sług czeredą nie chcę was pobratać,
Bo, na uczciwość, służą mi bezecnie.
Potoczniéj mówiąc, pocoście przybyli?

ROSENKRANTZ.
Odwiedzić księcia, to nasz cel jedyny.

HAMLET.
Doprawdy? Żebrak swą podzięką płaci;
Więc wam dziękuję: lecz ostrzegam panów,
Że taki pieniądz nie wart pół szeląga.*
Czy z dobréj woli, czy z natchnienia króla
Przybyliście do kraju? trochę więcéj
Szczerości ze mną; mówcie.

GILDENSTERN.
Cóż powiemy?

HAMLET.
*Co bądź, do rzeczy. Więc po was posłano?
Milczycie? w oczach lśni wyznanie jawne,
A barwą wstydu skryć go nie możecie:
Że miłościwy król nasz i królowa
Pisali po was.

ROSENKRANTZ.
W jakimby zamiarze?

HAMLET.
Ja sądzę, w dobrym. Lecz zaklinam święcie,
Na dawne lata, na harmonię błogą
Dusz młodocianych, na niezgasłe prawa
Przyjaźni naszéj dotąd nie zachwianéj,
Na wszystko wreszcie na co by wprawniejszy
Odemnie mówca zakląć się ośmielił,*
Wyznajcie mi otwarcie i rzetelnie,
Posłano po was, tak czy nie?

ROSENKRANTZ, do Gildensterna.
Co myślisz?

HAMLET, na stronie.
Mam na was oko. — Jeśli mię kochacie;
Milczenie mię obraża.

GILDENSTERN.
Więc posłano.

HAMLET.
A ja wam powiem na co; tym sposobem
Uprzedzę wasze śledztwo, a przysięga
Królowi dana, piórka nie postrada.
Od niejakiego czasu (nie wiem z czego),
Tak zesmutniałem, żem zarzucił wszystkie
Rozrywki dawne; wpadłem w tak ponure
Usposobienie, że ten gmach wspaniały,
Ta ziemia, płonną zda mi się pustynią;
Że te przezrocza nad nią jaśniejące,

Ten sklep niezłomny złotą skrą zasiany,
To wszystko dziś jest u mnie niczém więcéj,
Jak martwym kłębem kurzu i zarazy.
A człowiek, Twórcy to najwyższe dzieło!
Jak wielki myślą! jak niewyczerpany
W zdolnościach swoich! co za ruch, postawa!
Pięknością rysow równa się z aniołem,
Ogromem pojęć aż do bóstwa wznosi!
To kwiat stworzenia! arcywzór wszechżycia!
A przecież, u mnie, czémże syn téj ziemi?
Kłamiący pawian, bratnią krwią pijany!
Człowiekiem gardzę, równie jak niewiastą;
Choć wasz ten uśmiech myśli méj urąga.

ROSENKRANTZ.

Z téj prawdy szydzić ani mi się śniło.

HAMLET.

Więc czemu się zaśmiałeś, gdym powiedział,
Człowiekiem gardzę?

ROSENKRANTZ.

Bom pomyślał sobie
Że w takim razie znajdą złe przyjęcie
Ci aktorowie, których dziś na drodze
Spotkaliśmy jadących do stolicy.

HAMLET.

Cóż to za jedni?

ROSENKRANTZ.

Ci podobno, słyszę,
Którymi dawniéj nie gardziłeś, książe,
Choć byli ludźmi.

HAMLET.

Więc kompania sławna,
Przezwana miejską, bo wędruje z dawna.
Ten co gra króla, chociaż król żołędny,
Hołd mój odbierze; ów kawaler błędny,
Wyciągnie miecz, pawężą się zasłoni;
Kochanek westchnień z wiatrem nie uroni,
Bo serca męki pomści na kochance;
Posępny skończy lament swój przy szklance;
Tych będzie trefniś leczył na suchoty;
A piękna płeć wywnętrzy swe zaloty,
Choć głodny krytyk zmienność jéj nagani. —
Lecz, zkądże dziś wędrują jak cygani?
Dla pracy przecież u nas jest gotówka,
I sława dla talentu.

ROSENKRANTZ.

Ich wędrówka
Współubieganiem dworu się tłómaczy.

HAMLET.

Wszak mają równie wzięcia i słuchaczy?
Wszak w naszym kraju nie ma nic lepszego?

ROSENKRANTZ.

Dyrektor się powiesił.

HAMLET.

A dla czego?
Czy kilka sztuk rozbiło się na szmaty?
Czy zestarzeli jak zużyte szaty?

ROSENKRANTZ.

Nie, ich talentu móle nie dosięgły:
Lecz odkąd pewne gąski się wylęgły
W królewskim kojcu, a piszczące wściekle,
Za co poklaski sypią się jak w piekle,
Tak zagłuszyły swą piosenką sowią
Poniższe sceny (jak i miejską zowią),
Że drab nie jeden co pałaszem trzęsie
Nie śmie doń chodzić, drżąc na krzyki gęsie.
Ztąd wiele było sprzeczek i hałasu;
Lud je podżegał od pewnego czasu:
Tak że nikt sztuką grosza nie zarobił,
Aż z aktorami autor się niepobił.
Nie mało czubów z obu stron wydarto.

HAMLET.

A kronikarze?

ROSENKRANTZ.

Wspomnieć ich nie warto.

HAMLET.

I gęsi zwyciężyły?

ROSENKRANTZ.

Za gąskami;
Herkules pierzchnął przed Pigmejczykami.

HAMLET.

Koleje losu. Stryj dziś jest potęgą;
Ci co go zwali łotrem lub ciemięgą
Za życia ojca, płacą dziś czterdzieści,
Sześćdziesiąt, gdzie tam, co się w ręku zmieści
Czerwonych złotych, za portrecik jego;
W tych zmianach jest cóś nadprzyrodzonego:
Filozofowie niech je wytłómaczą.

(Odgłos trąb za sceną.)

Cóż to?

GILDENSTERN.

Aktorzy snać do drzwi kołaczą.

HAMLET.

Witajcie mi panowie w Elsynorze.
Ściśnienia rąk, umizgi, na tym dworze,
Niezbędnym są przysmakiem gościnności;
Więc was pozdrawiam, według méj możności,
Bym dla was mniéj uprzejmym się nie zdawał
Niż dla tych skoczków, którzy nam karnawał
Chcą uprzyjemnić. Tu, wesołość rzadka.
Lecz mój stryj-ojciec, i stryjenka-matka,
Tą zbrodnią się zawiedli.

GILDENSTERN.

Jaką zbrodnią?

HAMLET.

Jam warjat, jesli wiatr północno-wschodnio-
Północny; gdy z południa się wygłębia,
Rozróżnić umiem dudka od jastrzębia.

(POLONIUSZ wchodzi.)

POLONIUSZ.

Pomyślne wieści!

HAMLET.

Zkąd?

POLONIUSZ.

Bajeczne dziwy!

HAMLET.

Nadstawcie uszy; — dzieciak ten sędziwy
Nie wyszedł z pieluch.

ROSENKRANTZ.

Raczéj wszedł powrotnie;
Zgrzybiali ludzie, dziećmi są dwukrotnie.

HAMLET.

Ja ręczę że chce mówić o aktorach. —
To było w poniedziałek, po nieszporach.

POLONIUSZ.

Mam coś nowego; aż się będziem trzęśli...

HAMLET.

On, coś nowego? — kiedy grał na gęśli
Ów słynny Rosciusz, —

POLONIUSZ.

Mam aktorów dwieście.

HAMLET.

A ba!

POLONIUSZ.

Na honor, —

HAMLET.

*« Każdy aktor na swym ośle
Ryczał głośno i doniośle. » —*

POLONIUSZ.

I najlepszych w mieście,
Czy do tragedyi, czy do poematu,
Powieści historycznéj lub dramatu,
Czy do komedyi, do sielanki rzewnéj,
Opowiadanéj lub liryczno-śpiewnéj,
*Tragiczno- lub komiczno-dramatycznéj,
A nawet i plastyczno-fantastycznéj,*
Bez lub z jednością, z rymem lub bez rymu;
Seneka dla nich lżejszym jest od dymu,
A Plaut od ognia. Tak w improwizacyi
Są niezrównani, jak i w deklamacyi!

HAMLET.

Hebrajski sędzio, jaki skarb posiadłeś,
O wielki Jefte!

POLONIUSZ.

Co za skarb?

HAMLET.

Nie zgadłeś? —
« Jedną córkę masz, nie więcéj,
Którą kochasz najgoręcéj: »

POLONIUSZ, na stronie.

Wciąż o méj córce.

HAMLET.

Rychło się rozwiąże?

POLONIUSZ.

Jeżeli zwiesz mię Jefte, mości książe,
Wiedz że ją równie kocham, i nie szaléj.

HEMLET.

Nie, dalszy ciąg jest inny.

POLONIUSZ.

Cóż więc daléj?

HAMLET.

« Hamuj twoją krew i ciało, »
A potém stoi,
« Co się stało, być musiało, »
Pieśni téj początek
Zawiera koniec; ktoś nam skraca wątek.

(Wchodzi jakie pięć aktorów.)

A chodźcież tu panowie, przyjaciele; —
Więc po żałobie będziem mieć wesele. —
*O stary rządco! bródkę masz tak piękną,
Że wszystkie kozły w kraju się przelękną. —
A ty, nadobna gwiazdo, czy jutrzenko!
Od czasu jakem widział cię tak cienką,
Podrosłaś w górę na wysokość korka.
Bodaj twój głos, jak dukat spadły z worka
W lichwiarską kieszeń, nie zbił swéj obrączki.
Witajcie wszyscy, i podajcie rączki.*
Polować mamy, jak sokoły w pędzie,
Na co się zdarzy: pastwy nam nie zbędzie.
Biegłości waszéj dajcie mi na próbę
Coś namiętnego.

PIERWSZY AKTOR.

Fedrę, czy Hekubę?

HAMLET.

Słyszałem cię w ustępie pewnéj sztuki, —
Niegranéj nigdy, raz lub dwa najwięcéj.
Bo jak się kawior wszystkim nie podoba,
Tak publiczności jakoś nie przypadła;
Zbyt rzadkie przecież były w niéj zalety,
Gdyż podług mnie, i wielu których zdania
W podobnych rzeczach wyższy sąd stanowią,
Niepospolitą była i w osnowie,
I w obrobieniu gładką i sumienną.
*Ktoś jéj zarzucał, pomnę, że przysmaków
Korzennych brakło, że zbyt pojedyncza,
Styl nadto prosty a nie nastrzępiony;
Lecz dodał że jest ujmującéj treści,
Myśl zdrowa, więcéj wdzięku niż ozdoby.*
W niéj pewien ustęp zajął mię szczególnie,
Eneaszowa powieść u Dydony,
A zwłaszcza gdy opiewa mord Pryama.
Jeżeli ją pamiętasz, proszę zacząć
Od tego wiersza: — pozwól, sam przytoczę.
« Okrutny Pirrus, jak ów lew hirkański, »
— Nie, spadek inny, choć się tak zaczyna.
« Okrutny Pirrus, o pawęży czarnéj
« Jak jego zamiar, gdy podobny śmierci
« W złowrogim koniu gnieździł się zdradliwie,
« W téj chwili drugą jeszcze i straszniejszą
« Przyodział barwę; gdyż od stóp do głowy
« Rozczerwieniony leciał i zbryzgany
« Krwią matek, ojców, dziewic *i rycerzy,
« Zarzewiem spiekły, wśród pożogi miasta
« Swiecącéj blaskiem srogim i piekielnym
« Na rzeź mieszkańców, jak pieczywo wrzące
« Posoką skrzepłą zlane,* i z oczyma
« Zaiskrzonemi jak dwa karbunkuły;
« Tak wściekły Pirrus biegł i szukał wszędzie
« Pergamu króla; » — Dokończ.

POLONIUSZ.

Jak Bóg żywy,
Mistrzowski głos ma książe; dźwięk prawdziwy,
Poczucie dobre.

PIERWSZY AKTOR.

« Wreszcie go spotyka
« Wśród zgrai Greków; miecz już nieposłuszny
« Bezwładnéj ręce, lub odbity spada,
« Lub ledwie rani. Z całą sił przewagą
« Zajadły Pirrus ślepo nań uderza;
« *I choć go chybił, wiatr świszczącéj stali
« Obala starca. Wtém zgorzała Troja,

« Jakby ten cios uczuła, szczyt płomienny
« Do stóp nachyla; i łoskotem grzmiącym
« Pirrusa ucho więzi : bo miecz jego
« Już wymierzony w śnieżną skroń Pryama,
« Zawisnął nad nim, jak w powietrze wbity.
« Tak stał podobny do bożyszcza z głazu,
« Zwycięzca nieruchomy i bezmyślny.
« Lecz jako widzim przed jesienną burzą
« Na niebie ciszę, pośród chmur milczenie,
« Wiatr oniemiały; tam na ziemi, w dole,
« Śmiertelny pomrok; wtém, gdy błysk piorunu
« Przestrzeli obszar, lasy grzmią i morze
« Zalewa brzegi, tak po chwili zemsta
« Pirrusa budzi do zaciętszéj walki :*
« A nigdy Cyklop silniéj nie ugodził
« W Marsową zbroję dla wieczności kutą,
« Niż niezbłagany, krwawy miecz Pirrusa
« W Pryama głowę. — O Fortuno zmienna,
« Wstydź się, ty nierządnico! Wy, bogowie,
« W Olimpu radzie władzę jéj odbierzcie;
« Pokruszcie wszystkie koła jéj obręcze,
« I krągła piasta niech od niebios szczytu,
« Aż w piekło runie! »

POLONIUSZ.

Cóś się długo toczy.

HAMLET.

Chcesz podciąć brodę, balwierz jest ochoczy. —
Praw banialuki lub smalone duby,
Inaczéj zaśnie. — Teraz, do Hekuby.

PIERWSZY AKTOR.

« Lecz rozczochraną kto by widział wdowę » —

HAMLET.

* Zkąd rozczochraną?

POLONIUSZ.

Bo rozczesać głowę
Niemiała czasu.

PIERWSZY AKTOR.

« Gdy chromiącym krokiem
« I bosą stopą biegła, łez potokiem
« Płomieniom grożąc, z chustą na téj skroni
« Gdzie złoty wieniec jaśniał; a za suknię*
« Dokoła bioder suchych i zawiędłych,
« Noszącą płachtę z łoża jéj zerwaną;
« *Kto by to widział, przekląłby językiem
« Kąpanym w żółci tę Fortuny zdradę :
« Bogowie nawet gdyby nań spojrzeli
« Pirrusa gdy dobiegła szydzącego,
« Na miazgę siekąc jéj małżonka zwłoki,*
« Załosny jęk z jéj piersi wyrzucony
« (Jeżeli bogów ludzki los obchodzi)
« Zdrój rosy byłby z oczu gwiazd wycisnął,
« I nieśmiertelnych zmusił do litości! »

POLONIUSZ.

Już dość! a brawo! łzy mu z powiek trysły,
Aż pobladł, patrzcie!

HAMLET.

Bracie, zbierz twe zmysły;
Usłyszym resztę przy wolniejszéj chwili.
Cny podkomorzy, skoro się stawili
Na naszą prośbę, racz im dać gościnę,
Serdeczną, szczerą; przyjąć jak rodzinę. —
Czy słyszysz waćpan?

POLONIUSZ.

Taką mam nadzieję.

HAMLET.

To są streszczone lat obecnych dzieje :
Po śmierci lepszy wiersz na grobie wstrętny,
Niż za żywota wyraz ich niechętny.

POLONIUSZ.

Postąpię w miarę zasług i urody.

HAMLET.

Nie, panie, lepiéj : gdybyś twe nagrody
Tą stopą mierzył, któżby rózg nie dostał?
I nawet siebie pewnobyś wychłostał.
Chciéj więc ich podjąć wedle twéj godności,
Uraczyć hojnie tak uczciwych gości :
I m mniéj zasługi, tém uprzejmość większa;
Wszak ich obecność zimę nam upiększa?

POLONIUSZ.

Więc proszę z sobą.

HAMLET.

Wina wam dostarczę.
Na jutro pierwszy występ.

(Poloniusz wychodzi z kilkoma aktorami.)

Ty, mój starcze,
Czy możesz dać nam « Straszną śmierć Gonzagi? »

PIERWSZY AKTOR.

Jest w naszéj tece.

HAMLET.

Przedmiot do rozwagi.
A mógłbyś też nauczyć się w potrzebie
Przemowy krótkiéj, którą bym dla ciebie
Do sztuki wtrącił? dwa lub trzy perjody.

PIERWSZY AKTOR.

Mam czas do jutra.

HAMLET.

Zatém, do gospody;
Lecz proszę tylko nie drwij z gospodarza.

(Aktor wychodzi. — Do Rosenkrantza i Gildensterna.)

Więc, lepszym węchem, niech was Bóg obdarza.

ROSENKRANTZ.

Zbyt wiele łaski.

(Rosenkrantz i Gildenstern wychodzą.)

HAMLET.

Wreszcie, sam zostaję.
O jaki zemnie leniuch i niezdara!
Czy to nie zgroza że ten aktor błędny,
W kłamanym szale i we śnie uczucia,
Do własnych zmyśleń tak natęża duszę
Iż z jéj podniety cała twarz się mieni,
Łzy z oczu płyną, żyły krwią nabiegły,
Że drżący głos, postawa, życie całe,
Przyjłęy piętno żalu? — dla Pryama!
Cóż mu zawinił stary mąż Hekuby,
Że po nim szlocha? Coby też uczynił,
Gdyby tak silny bodziec miał do płaczu
Jak ja? O łzami zalałby podłogę,
Rozpaczy jękiem widzów słuch przeraził,
Występnych trwogą, dreszczem zdjął niewinnych,
Bezwiednych zmięszał, i każdego zmysły
Do szczętu zmącił. Kiedy ja, nieczuły,
Ja, gnuśny nędznik, sprawy méj niepomny,
Nie śmiem się ująć za rycerza, króla,
Któremu berło i szlachetne życie

Wydarła zbrodnia. *Czym ja tchórz nikczemny?
Kto mi zarzuci podłość? w kark uderzy?
Włos wyrwie z brody, i na twarz mi ciśnie?
Kto kłamstwo jawne wtłoczy mi do gardła,
Po same płuca? Kto by śmiał bezkarnie?
Ha! musiałbym to ścierpieć; bo sam czuję,
Że serce mam gołębie, brak mi żółci
By krzywdę nią zaprawić, gdyż inaczéj
Już wnętrza głodnych sępów bym nakarmił
Złoczyńcy ścierwem.* O ty krwawy łotrze!
Bezwstydny, podły, ty wszeteczny zbójco!
O, biada tobie! Któż o zemstę woła?
Czym ja się mułem zrodził? Czy to mężnie,
Bym ja, ostatni zgasłéj krwi potomek,
Ja, podżegany z niebios i z otchłani,
Dla ulgi serca lżył niewieściém słowem,
Klął jak przekupka, jak uliczna ścierka!
Fuj, wstyd! ohyda! Dość już łez, do czynu!
Słyszałem że grzesznicy, gdy na scenie
Swych tajnych zbrodni widzą kłąb rozwity,
Tak silnie są wzruszeni, że otwarcie,
Przed całym ludem, głoszą swe występki;
Bo mord, choć niemy, krwi przelanéj wonią
Sam się oskarża. Więc aktorom zlecę
Cóś podobnego do zabójstwa ojca,
Przed stryjem zagrać : wzrok mu w oczy wlepię,
Rozdraźnię do żywego. Duch wczorajszy,
To może szatan : on przybiera czasem
Anielską postać; może téż nadużył
Znużenia mego i tęsknoty wiecznéj,
Bo silniéj włada nad zwątloną duszą,
By mię potępić. Lepszéj chcę rękojmi
Niż to zjawienie. W drugiéj dnia połowie,
Sumienie króla na tę sztukę złowię.

(Wychodzi.)

AKT TRZECI.

SCENA I.

Pokój na zamku.

KRÓL, KRÓLOWA, POLONIUSZ, OFELIA, ROSENKRANTZ i GILDENSTERN.

KRÓL.
Nie mogliście zasięgnąć od Hamleta
Wskazówki żadnéj, zkąd ten odmęt myśli
Burzący dlań urocze dni spokoju,
Tak niebezpiecznym i gwałtownym szałem?

ROSENKRANTZ.
Przyznawał iż się czuje obłąkanym;
Lecz ani chciał nadmienić o przyczynie.

GILDENSTERN.
Do wynurzenia zdał nam się niechętnym,
I wciąż dwuznacznym zbijał nas wybiegiem,
Gdyśmy na stan prawdziwy jego duszy
Zwracali mowę.

KRÓLOWA.
Przyjął was uprzejmie?

ROSENKRANTZ.
Z godnością wszelką.

GILDENSTERN.
Lecz nie bez przymusu.

ROSENKRANTZ.
W pytania szczodrym, lecz nadmiarę skąpym
Był w odpowiedzi.

KRÓLOWA.
Chcieliścież go skłonić
Do zwykłych zabaw?

ROSENKRANTZ.
Właśnie na przejeździe,
Spotkaliśmy aktorów towarzystwo
Dążące ku stolicy. Wieść tę książe
Radośnie przyjął. Już stanęli w mieście,
I za rozkazem jego, dziś wieczorem
Po pierwszy raz wystąpią.

POLONIUSZ.
*Przez uprzejmość,
Polecił mi bym Najjaśniejszą Jejmość
I króla, sam zaprosił.*

KRÓL.
Z całéj duszy;
Serdeczniem rad, że się do tego skłania.
Starajcie się go trzymać w tym nastroju,
Posępne myśli zwracać ku zabawie;
Niech dziś ją z nami cały dwór podzieli.

ROSENKRANTZ.
Najniższe służby.

(Rosenkrantz i Gildenstern wychodzą.)

KRÓL.
Zostaw nas, Gertrudo;
Posłaliśmy dopiero po Hamleta :
On tu, przypadkiem, zejdzie się z Ofelią.
My zaś (przez błogi podstęp), z jéj rodzicem
Zaczaim się, i widząc niewidzialni,
Usłyszym z bliska całą ich rozmowę;
Na pewno wniesiem, z własnych słów synowca,
Czy to miłosny żar, czy też cóś więcéj,
Tak w nim szaleje.

KRÓLOWA.
Zawszem ci posłuszna.
Naśladuj mię, Ofelio; mocno pragnę
By wdzięki twe niewinném były źródłem
Wybryków księcia; wtedy, mam nadzieję,
Że twoja cnota zwróci go na drogę
Uczciwszą i zacniejszą.

OFELIA.
Daj nam Boże!

(Królowa wychodzi.)

POLONIUSZ.
Ofelio, chodź tu. — Z nią się wprzód ułożę.
My dwaj, na ustęp. —
(do Ofelii.)
Ty zostaniesz z księciem;
Weź książkę, czytaj, aby tém zajęciem
Twéj samotności dać przystojną barwę. —
Tak ludzka chytrość, gdy przybierze larwę
Prostoty serca, i pobożną postać,
W cukrowy lep najłatwiéj może dostać
Samego diabła.

KRÓL, na stronie.

O! jak bicz katowski
To słowo prawdy smaga mi sumienie!
Twarz zalotnicy pod farbami lśniąca,
Jest mniéj szkaradną, gdy bieli dło zleci,
Niż moje czyny barwą słów odziane!
Okropny ciężar!

POLONIUSZ.

Zbliża się : za ścianę!

(Król z Poloniuszem wychodzą; — HAMLET wchodzi.)

HAMLET.

Czy żyć, czy umrzeć; oto jest zadanie : —
Co z dwojga jest wznioślejszém, czy wytrzymać
Zawistnych losów ciosy lub zniewagi;
Czy przeciw morzu cierpień się uzbroić,
I siłą je pokonać? — Umrzeć, — zasnąć, —
To jedno; — gdybyśmy, w tym śnie, zrzucili
Męczarnie serca, łzy, tysiączne troski,
Przyrodni dział ludzkości, taki koniec
Byłby dla nas najlepszym. Umrzeć; — zasnąć : —
Zasnąwszy, może śnić! — tu myśl przepada;
Bo gdyśmy zdarli te śmiertelne więzy,
Uśpionych w trumnie jakie sny zwiedzają?
Kto wie, kto zgłębi! Ta zagadka groźna
Nużące pasmo długich lat przeciąga:
Bo któżby ścierpiał braci swych sromotę,
Tyranów ucisk, możnych wzrok zelżywy,
Miłości zdradę, ludzkich praw odwłokę,
Urzędu pychę, i te wstręty jakie
Zasługa cicha od nikczemnych znosi,
Któżby wytrzymał, mówię, te katusze,
*Gdyby mógł sam podpisać kwit zwolnienia
Stalowym rylcem? któżby pod ohydnym
Ciężarem życia znoił się do końca,*
Gdyby ten przestrach czegoś po za grobem, —
*Zamkniętéj wiecznie strefy, bo z jéj brzegów
Nikt nie powrócił, nie krępował woli,*
Nie zmuszał raczéj trwać w obecnéj męce,
Niż chronić się do innéj, nam nieznanéj?
Ta jedna trwoga w tchórze nas przerabia;
*Bo zamiar zmienia swą pierwotną barwę,
Gdy rozmyślania bladość ją powlecze;*
Bo przedsięwzięcie śmiałe i stanowcze,
Przed progiem tym swój prąd na wspak odwraca,
I traci nazwę czynu. — Ktoś mię słucha!
Ofelia piękna. — W modłach twych, aniele,
O grzechach mych pamiętaj

OFELIA.

Jak się wiodło
Przez tyle dni, książęcéj waszéj mości?

HAMLET.

O nie źle, nie źle; co tam słychać w niebie?

OFELIA.

Odnoszę mu tę parę upominków;
Oddawna już je zwrócić mu powinnam,
Racz więc odebrać.

HAMLET.

Już? to nadto dziwnie;
Jam nic jéj nie dał.

OFELIA.

Ja zaś wiem przeciwnie;
Z listami księcia oddać bym pragnęła
Te zwiędłe kwiaty : woń ich tak spłonęła
Jak jego miłość; a gdy dawca zmienny,
Dla wzniosłéj duszy wszelki dar bezcenny.
Więc proszę wziąść.

(Król i Poloniusz przechodzą w głębi.)

HAMLET.

Ha, ha! czyś ty uczciwa?

OFELIA.

Co, panie!

HAMLET.

Czyś ty piękna?

OFELIA.

Co to znaczy?

HAMLET.

Że jeśli zacną jesteś i nadobną,
Z pięknością cnota nigdy się nie zgodzi.

OFELIA.

Wszak to są, książe, dwie rodzone siostry.

HAMLET.

Tak dawniéj było; lecz za naszych czasów,
Twa piękność wprzód uczciwość twą przetworzy
Na nierządnicę, nim podobnym sobie
Uczciwość zrobi piękność twą aniołem;
Paradox dawny, czas mu dał sprawdzenie.
Kochałem cię, Ofelio.

OFELIA.

I zaprawdę,
Jam w to wierzyła.

HAMLET.

Miłość, to czcze słowo.
* W nasz pień jéj kwiatek wszczepić się nie daje,
Tak byśmy pierwszą płonką nie trącili.*
Nie kocham cię.

OFELIA.

Tém srożéj się zawiodłam.

HAMLET.

Wstąp do klasztoru : na co mnożyć grzechy?
Jam też się zacnym zrodził; lecz na sobie
Mam takie skazy, żeby lepiéj było,
Bym w łonie matki zasnął był na wieki.
Namiętny jestem, pyszny i zazdrosny,
Mam więcéj w duszy przywar i przesądów
Niż umysłowych sił do ich odparcia,
Niż wyobraźni do spełnienia czynem,
Niż czasu do naprawy. Na cóż mają
Podobne mnie gadziny, między niebem
I ziemią pełzać? Wszyscyśmy hultaje;
Żadnemu nie wierz. Idźże do klasztoru.
Gdzie jest twój ojciec?

OFELIA.

Jest u siebie, książe.

HAMLET.

Na klucz go zamknij, by nie grywał błazna
Gdzie indziéj jak u siebie. Bądź mi zdrowa.

OFELIA.

O zlituj się nad nim, wszechmocny Boże!

HAMLET.

Jeżeli za mąż pójdziesz, do wyprawy
Dam ci przestrogę : bądź od lodu czystszą,
Od śniegu bielszą, potwarz cię nie minie.
Więc zostań mniszką, to ci radzę z duszy.

Lub jeśli ci koniecznie trzeba męża,
Weź głupca, bo rozumny się domyśli
Jak szpetnym wyjdzie z waszych rąk potworem.
Idź do klasztoru; i to prędko. Żegnam.

OFELIA.

Niebieskie siły, zbawcie go z otchłani!

HAMLET.

Słyszałem też o waszych malowidłach.
Bóg dał wam jedną twarz, a szatan drugą.
Mizdrzycie się świegocąc, przedrzeźniacie
Stworzenia boskie, i pustotę waszą
Każecie zwać prostotą. Dość obłudy,
To czyni mię szalonym. Ja ci mówię
Że ślub, to zbrodnia. Ci co mają żony,
Ci, prócz jednego, niech tam z niemi żyją;
A reszta się nie żeni. Do klasztoru.

(wychodzi.)

OFELIA.

O, jak szlachetny duch strącony z nieba!
Myśl mędrca, miecz rycerza, godność księcia,
Nadzieja ludu, kwiat Ojczyzny naszéj,
Źwierciadło sztuki, wzór dobrego smaku,
Cel wszystkich spojrzeń, nic w nim nie zostało!
A ja sierota, odrzut płci niewieściéj,
Com śpiewnych przysiąg miodem się poiła,
Ja mam dziś widzieć tę spękaną lutnię
Rozdźwięcznym tonem i niesfornie brzmiącą;
Ten czysty zdrój natchnienia i miłości
Zmącony szałem. Biada mi, o biada,
Że śniąc o niebie, sen mój w głąb zapada!

(*KRÓL i POLONIUSZ wchodzą.)

KRÓL.

*Nie, tam nie miłość, tam jest inna żądza;
W tém co jéj mówił, choć bez ładu trochę,
Obłędu nie znać. Tkwi cóś w jego duszy,
Pod skrzydłem smutku, co gdy się wylęgnie,
Być może niebezpieczném. Chcąc zaradzić
Przygodzie wszelkiéj, tak chcę i tak będzie:
Wyszlemy go do Anglii bez odwłoki,
By podnieść haracz jeszcze nie spłacony;
Ta podróż, widok różnych miejsc i rzeczy,
Zapewne zdoła znieść to cóś ukryte
W tajnikach myśli, co mózg mu zaprząta
I przeciw nam podnieca. Wszak to słusznie?

POLONIUSZ.

Tak, bardzo słusznie. Przecież wiem na pewno,
Że bezwzajemna miłość jest pokrewną
Choroby księcia. — Zostaw nas, Ofelko!
Że ty go szczędzić masz ochotę wielką,
Rzecz nam wiadoma. — Król ma wszystko w mocy;
Więc, po skończonéj sztuce, ku północy,
Niech się z królową zejdzie na czas krótki,
I przed nią się wynurzy bez ogródki;
Ja, za kobiercem, pilny słuch przykładam
Do ich rozmowy. Jeśli nic nie zbadam,
Wygnanie, lub klauzura.

KRÓL.

Ja tak myślę;
Szaleńców możnych strzedz nam trzeba ściśle.*

(wychodzą.)

SCENA II.

Galerja, tamże.

HAMLET i kilku AKTORÓW.

HAMLET.

Racz ustęp mój wygłosić jak słyszałeś,
Więc potoczyście, żwawo; lecz jeżeli
Masz w niebogłosy wrzeszczeć, jak niektórzy
Koledzy, niech go miejski stróż wytrąbi.
Nie koś mi wiatru tak, zamachem ręki;
Lecz wszystko w miarę: bo w powodzi, burzy,
W odmęcie (że tak powiem) namiętności,
Zachować trzeba pewien ład uczciwy,
By zmiękczyć jéj wrażenie. To mię gorszy,
Gdy pod peruką jaki gbur pleczysty
Na drobne szmaty drze i myśl i czucie,
By grzmiącym krzykiem widzów słuch przerazić,
Nie pojmujących nic wśród głuchéj wrzawy
I niemych gestów. Oj, takiego chama
Ściąć mi rózgami by się w grze hamował,
I w rzezi uszu nie chciał przejść Heroda:
Chroń się téj wady.

PIERWSZY AKTOR.

Z księcia rad skorzystam.

HAMLET.

Nie bądź też nadto ckliwym; niech rozwaga
Natchnieniem rządzi: stosuj grę do słowa,
A słowo do gry, mając to na względzie
Byś nie przekraczał prawdy i natury;
Przesada bowiem jest zboczeniem sztuki,
A któréj cel, jak zdawna tak obecnie,
Był, jest i będzie, prawdy być źwierciadłem,
Przedstawiać własne jéj oblicze cnocie,
Jéj obraz zbrodni, a duchowi wieku,
Światowym dziejom, postać ich i piętno.
Gdy to prześcigniesz lub gdy niedościgniesz,
Choćbyś w motłochu śmiech jałowy zbudził,
Zasępisz tylko zdrowy sąd mających;
A z których grona jeden głos naganny,
Przeważa tłumnéj publiki poklaski.
*Widziałem też, — i tacy się znaleźli
Co ich cenili, nawet aż do zbytku, —
Aktorów którzy, mówiąc mniéj powszednio,
Nie mieli w sobie nic chrześciańskiego,
W akcencie, twarzy, ruchu i postawie,
Nic pogańskiego nawet i ludzkiego,
A tak stąpali rycząc, iż myślałem
Że jakiś partacz, w najem od natury,
Człowieka stworzył i w stworzeniu chybił,
Gdy ludzkość tak bezecnie przedrzeźniali.*

PIERWSZY AKTOR.

Te kilka przywar u nas poprawiono.

HAMLET.

Poprawcie je do szczętu. *A ten znowu
Co gra pachołków, niech się ani waży
Do roli wtrącać to co w niéj nie stoi:
Niektórzy bowiem łechcą się do śmiechu,
Chcąc by nieuki śmiechem ich parsknęły;

I wtenczas właśnie, gdy wypada zwrócić
Na główny sztuki przedmiot ich uwagę :
To niegodziwie, i próżności lichéj
Dowodzi w takim łotrze.* Więc czekamy.

(Wchodzą POLONIUSZ, ROSENKRANTZ i GILDENSTERN)

Cóż, mości radzco, król jegomość będzie
Na przedstawieniu?

POLONIUSZ.

Cały dwór zasiędzie
Z królowéj służbą.

HAMLET.

Niech aktorzy spieszą. —
(Poloniusz wychodzi.)
Pomóżcie im panowie.

OBAJ.

Bardzo chętnie.
(Rosenkrantz i Gildenstern wychodzą.)

HAMLET.

A gdzie Horacy!
(HORACY wchodzi.)

HORACY.

Na usługi księcia.

HAMLET.

Jak ja na twoje. Tyś najlepszym z ludzi
Z którymi kiedy miałem do czynienia.

HORACY.

Zbyt wiele chluby, —

HAMLET.

Ja ci nie pochlebiam;
Bo czegoż bym spodziewał się od ciebie,
Co nie masz nic, prócz skarbu czystéj duszy,
Na stół i odzież? *Któż się biednym łasi?
Słodkawém żądłem niech dworacy liżą
Nadętą pychę, lub tam gną kolana
Gdzie wietrzą korzyść. * Tyś nie królem bracie!
Odkąd samotna dusza ta wybiera
I rozpoznaje ludzi, wśród miliona
Tyś jéj wybranym : bo gdy cierpisz wszystko
Co cierpieć można, zdajesz się szczęśliwym;
Bo z równém losu łaski lub zniewagi
Przyjmujesz mężtwem : *a błogosławiony
Ten w którym krew i myśli tak swobodne,
Że nie da grać na sobie jak na fletni
Fortuny palcom.* Pokaż mi człowieka
Co nic nie pragnie, nigdy się nie czołga,
Umieszczę go aż w sercu mego serca,
Najbliżéj ciebie. — Dość o tym przedmiocie.
Przed królem sztuka ma być odegrana;
W niéj jeden ustęp właśnie się odnosi
Do pewnych wieści o rodzica zgonie :
Upraszam cię, gdy scena ta nastąpi,
Wraz zemną zwróć uwagę najpilniejszą
Na twarz stryjaszka : jeśli mord podziemny
Przy tym ustępie sam się nie wyszczuje,
To chyba nam się zjawił duch przeklęty,
A moje myśli czarną rdzą zaćmione
Jak młot Wulkana. Z oczu go nie spuszczaj;
Ja też mój wzrok przykuję mu do twarzy,
I potém, oba zlejem sąd niezmienny
W stanowczą formę wniosku.

HORACY.

Niech tak będzie;
A gdy skra jedna ujdzie méj baczności,
I na bok zleci, stratę ja zapłacę.

HAMLET.

Nadchodzą : znowu mam udawać gapia;
Niech szczere złoto w ołów się przetapia.
Na miejsce.

(POCHÓD DUŃCZYKOW z Trębaczami.— Wchodzą KRÓL, KRÓLOWA, POLONIUSZ, OFELIA, ROSENKRANTZ, GILDENSTERN, Dwór, Orszak, Służba.)

KRÓL.

Jak się ma nasz kuzyn drogi?

HAMLET.

Wybornie; jak kameleon ubogi,
Nadzianą wiatrem karmię się nadzieją;
Kapłonów lepiéj tuczyć nie umieją.

KRÓL.

Odpowiedź taka litość we mnie rodzi.

HAMLET.

I we mnie także. —
(do Poloniusza.)
Grałeś pan dobrodziéj,
Gdyś bywał w szkole?

POLONIUSZ.

Tak jest, i gdy grałem,
Oklaski nawet od płci pięknéj brałem.

HAMLET.

A co pan grałeś?

POLONIUSZ.

Na farsalskiém polu,
Juljusza Cezara; i w Kapitolu,
Poległem trzykroć przez Brutusa pchnięty.

HAMLET.

O brutal rzeźnik! musiał być podcięty,
Gdy nożem pchnął to kapitalne ciele.
Daj znać aktorom.

ROSENKRANTZ.

Hasło im udzielę.

KRÓLOWA.

Siądź przy mnie, synu; wzrok twój pogodniejszy.

HAMLET.

Nie, matko, wybacz, magnes tam silniejszy.

POLONIUSZ.

A co! król słyszał?

HAMLET.

Jak mi głowa płonie! —
Czy mi też wolno spocząć na jéj łonie?
(ścieląc się u stóp Ofelii.)

OFELIA.

Bynajmniéj, książe.

HAMLET.

A skroń złożyć, wolno?

OFELIA.

Do takich usług czuję się niezdolną.

HAMLET.

To roztargnienie.

OFELIA.

Być uważnym proszę.

HAMLET.

U stóp swéj damy leżéć, to roskosze!

OFELIA.

Tak lepiéj; książe dziś roskoszny bardzo.

HAMLET.

W jasełka gramy : panie tém nie gardzą.
Cóż robić na tym świecie? śmiać się wiecznie,
Śmiać się; aż do szlochania : wszak to grzecznie?
Bo patrz jak matka bawi się w żałobie,
Choć od dwóch godzin mąż jéj leży w grobie.

OFELIA.

Gdzie tam, dwa razy już od dwóch miesięcy.

HAMLET.

Czy już? niech djabeł weźmie strój książęcy,
Gdym ja w téj czerni. Boże! już umarły
Od dwóch miesięcy, i łzy się nie starły?
Jest więc nadzieja, że trzy roku ćwierci
Bohater, mędrzec, będzie żył po śmierci,
Szczególnie jeśli sławiał tum cmętarny.
Inaczéj przepadł... Życie to puch marny.

(Odgłos trąb; scena w głębi się otwiera.)

*Pantomima.

Wchodzi Król z Królową w serdecznéj pogadance: Królowa ściska Króla, klęka do niego z przysięgą dozgonnéj wiary. Król ją podnosi, głowę schyla na jéj ramieniu, siada na darni i zasypia. Ona, upewniwszy się o uśpieniu męża, wychodzi. Wtém, zjawia się jakiś przybylec, zabiera koronę, całuje ją, Królowi w ucho wlewa truciznę i znika. Królowa wraca, znajduje męża bez życia, i gwałtownie rozpacza. Złoczyńca, z orszakiem kilku dworzan, wchodzi znowu i żal Królowéj podziela. Wynoszą trupa; zabójca darami zdobywa serce królowéj; ta z razu niechętna i gniewna, nareszcie miłość jego przyjmuje. Wychodzą.

OFELIA.

Cóż to jest, książe?

(Wchodzi PROLOG.)

HAMLET.

Ten jegomość powie :
Bo żaden baśni nie dotrzyma w głowie,
Wyplecie wszystko, jakby był dziewczęciem.

OFELIA.

Na sztukę zważam; już nie mówię z księciem.

PROLOG.

« Dla was, prześwietne damy,
Ten dramat nasz oddamy,
I waszych łask żądamy. »

HAMLET.

To prolog, lub epigraf na klejnoty.

OFELIA.

Trwał cóś nie długo.

HAMLET.

Jak niewieście cnoty.

(Wchodzi KRÓL i KRÓLOWA dramatu.)

KRÓL, na scenie.

Trzydzieści kroć Apolla wóz okrąża
Tellusa glob, i w otchłań się pogrąża;
Trzydzieści kroć, z odbitym blaskiem w morzu,
Dwanaście pełni kroczą po przestworzu;
Jak nasze serca Kupido rozżarzył,
A Hymen dłonie złączył i skojarzył.

KRÓLOWA, na scenie.

Daj Boże przeżyć znów tak liczne słońca,
Nim nasza miłość zbliży się do końca!
Lecz, biada! gdzież jest moc i czerstwość dawna?
Bo w twojém zdrowiu zmiana jest tak jawna,
Że aż mi straszno. Troska to dziecinna,
Więc cię, mój mężu, martwić nie powinna;
*Obawa, miłość, bliźnich sióstr obrazem,
Lub razem żyją, lub konają razem.*
Dzień każdy stwierdza że ci jestem wierną,
Więc jak uczucie, trwoga jest niezmierną.
Im trwalsza miłość, tem obawa większa;
I choć ta szpeci, tamta ją upiększa.

KRÓL, na scenie.

Tak, droga żono, niemoc mię ogarnia;
Gdy méj starości skończy się męczarnia,
Żyć będziesz, po mnie, na tym pięknym świecie,
Kochaną, czczoną; może téż, w lat kwiecie,
Małżonek drugi —

KRÓLOWA, na scenie.

Stój, ach stój! Czy można
Drugiego kochać? Nie, to myśl bezbożna!
O, niech przeklętą będzie ta nieczuła,
Co z drugim żyje, gdy pierwszego struła!

HAMLET, na stronie.

Przed ucztą, piołun.

POLONIUSZ.

Styl i myśli piękne;
Czy wiersz czy proza, prawdy się nie zlęknę.

KRÓLOWA, na scenie.

Powtórne śluby, związek dwóch podłości,
Pochodzą z chuci, ale nie z miłości :
Ta swego męża drugi raz zabija,
Co w jego całun z drugim się obwija.

KRÓL, na scenie.

Że szczerze mówisz, ja w to wierzę święcie;
Lecz w sercu ludzkiém, cóż jest przedsięwzięcie?
Nim czyn je spełni, jest pamięci sługą,
Zrodzone silnie, trwać nie może długo;
Jak świeży owoc tkwi na szczycie drzewa,
A bez wstrząśnienia spada gdy dojrzewa.
*Nie dziw że rzadko płaci dług na dobie,
Kto tylko dłużnym jest samemu sobie;
W zapale żądzy gdy się zamiar spłodzi,
Jak prędko zawrzał, tak się też ochłodzi :
A zbytni smutek, jak wesele zbytnie,
Swój płód niwecząc, w jednym dniu przekwitnie.
Bo gdzie gwałtowne śmiechy lub rozpacze,
Tam żal się śmieje, śmiech radosny płacze.*
Świat nie jest wiecznym; nic téż dziwniejszego,
Że zmienne losy zmiennych serc nie strzegą;
I w téj zagadce rzadko kto nie zbłądzi,
Czy miłość losem, los miłością rządzi.
*Potężny runął, skryli się pochlebce,
A biedny powstał, wróg umizgi szepce;
I miłość szczęściu tak poddały nieba,
Że ma przyjaciół komu już nie trzeba :
Kto zaś w potrzebie za przyjaźnią goni,
Ten w przyjacielu wroga wnet odsłoni.*
Lecz by zakończyć właśnie zkąd zacząłem,
Nasz los i chęć tak różnym są żywiołem,
Że los roztrąca to co chęć zamierzy,
I choć myśl wierna, czyn ją sprzeniewierzy :
Tak też, choć z drugim nie chcesz być złączona,
Myśl umrze w tobie, a żyć będzie żona.

KRÓLOWA, na scenie.

Niech ziemia strawy, niebo swych promieni,
Snu nieda serce, dzień się w noc zamieni,
Nadzieja w rozpacz, odtąd, tu i wszędzie,
Więzienie w lochu mym obszarem będzie:
Niech ten przed którym ludzka myśl truchleje
Nieszczęścia wszystkie na mą głowę zleje,
Niech mię doścignie potwarz i przekleństwo,
Nim wdową w drugie rzucę się małżeństwo!

HAMLET.

Niech to przełamie, —

KRÓL, na scenie.

Zostaw mię na chwilę;
Duch mój ociężał, może snem zasilę
Znękane ciało.

(zasypia.)

KRÓLOWA, na scenie.

Śnij błogiemi snami;
Niech żadne złe nie stanie między nami!

(wychodzi.)

HAMLET.

Jak zda się matce sztuki téj potęga?

KRÓLOWA.

Królowa, myślę, wiele cóś przysięga.

HAMLET.

O! ta dotrzyma.

KRÓL.

Koniec téj powieści,
Czy niezdrowego w sobie nic nie mieści?

HAMLET.

Nie, nic; aktorzy to są cyruliki.

KRÓL.

A jaki tytuł?

HAMLET.

Łapka na króliki.
Przenośnie tylko. To mord jakiś dawny
Zdarzony w Wiedniu, i po świecie sławny:
Gonzaga księciem, księżną jest Baptysta.
Stryj się przekona, sprawka to nieczysta;
Cóż nam do tego? to nas nie dotyka:
Więc plecy zdrowe, choć kobyła bryka.

(Wchodzi LUCYAN.)

Ten zwie się Lucyan, chce zaślubić wdowę.

OFELIA.

Jak rzymski chór wykładasz nam osnowę.

HAMLET.

I gdybym dostał dwie skaczące lalki,
Ułożyłbym chór ślubny, dla Westalki.

OFELIA.

*Zbyt ostrym jesteś książe, to niepięknie.

HAMLET.

Westchnieniem jednóm ostrze to rozmięknie.*

KRÓLOWA.

Coraz to gorzéj.

HAMLET.

Jak powtórne śluby. —
No, zbliż się, zbójco, przestań giąć przeguby,
Wykrzywiać okiem; śmiało staw nam czoła,
I zacznij. Chodźże: — Kruk o zemstę woła!

LUCYAN, na scenie.

Myśl czarna, ręka pewna, czas nam sprzyja;
Niczyje ślady ani twarz niczyja;
Zabójczy płynie z ziół północnych zdjęty,
Hekaty klątwą po trzykroć natchnięty,
Trucizno dzielna, straszna po spożyciu,
Twą siłę wywrzéj na bezsilném życiu.

(wlewa truciznę w ucho śpiącego króla.)

HAMLET.

Patrz, on go truje, by mu skraść koronę.
To brat rodzony księcia. Żart na stronę,
Prawdziwa powieść, tu spisana w księdze.
Zobaczy państwo jak ów łotr w siermiędze
Wyłudzi wdowie serce jéj niewieście.

KRÓL.

Już dość!

OFELIA.

Król powstał.

HAMLET.

Co! czy pożar w mieście?

KRÓLOWA.

Cóż ci jest, panie?

POLONIUSZ.

Zamknąć te podwoje.

KRÓL.

Precz! — światła!

WSZYSCY.

Światła, światła!

(Wszyscy wychodzą, prócz HAMLETA i HORACEGO.)

HAMLET.

Masz za swoje!

(śpiewa.)

Niechaj ranny jeleń płacze,
Koźle pląsa w pośród łąk;
Jeden śpiewa, drugi skacze,
Tak się toczy świata krąg.

Jeżeli los mój zturczy się do szczętu,
I z komicznego zacznę żyć talentu,
Czy mi ta sztuka, z wieńcem piór u sprzączki,
Na starych łapciach dwa różane pączki,
Nie dadzą wstępu do aktorów kółka,
Jak myślisz?

HORACY.

Ja, sufleram.

HAMLET.

Żadna wspólka!

(śpiewa.)

Bo ty widzisz, mój Damonie,
Że nam kraj przewrócił bies;
Gdzie sam Jowisz był na tronie,
Tam dziś podły, podły — paw.

HORACY.

Pies, na końcówkę.

HAMLET.

Paw.

HORACY.

Pies.

HAMLET.

Szał dziecięcy,

Lecz powieść ducha warta sto tysięcy.
Widziałeś?

HORACY.

Wszystko.

HAMLET.

Wzrok iskrzący, dziki,—

HORACY.

Zbójecki.

HAMLET.

A, ha! — Grajków, i muzyki!
Bo gdy ma takie do komedyj wstręty,
Zagramy duet, aż mu pójdzie w pięty. —

(Wchodzą ROSENKRANTZ i GILDENSTERN.)

Otóż i grajki!

GILDENSTERN.

Książe mi dozwoli
Choć jedno słowo.

HAMLET.

Tysiąc, jak w twéj roli.

GILDENSTERN.

Nasz król jegomość, —

HAMLET.

Co, rupiecie wiąże?

GILDENSTERN.

Jest mocno chory.

HAMLET.

Upił się?

GILDENSTERN.

Nie, książe,
Na żółć.

HAMLET.

Serdecznie pański żal podzielam;
Puszczenie krwi mu radzić się ośmielam,
*Bo gdybym ja zapisał mu na rznięcie,[1]
Ten ból żółciowy wzmógłby się w żółtaczkę.*

GILDENSTERN.

Racz, mości książe, mówić mniéj bezładnie,
Inaczéj z tego nie wiem co wypadnie.

HAMLET.

Pokornie słucham; — więc?

GILDENSTERN.

Królowa matka,
W najgłębszym smutku k'niemu nas wysyła.

HAMLET.

Na rozkaz pański.

GILDENSTERN.

Grzeczność ta nie w porę.
Jeżeli łaska dać odpowiedź zdrową,
Wypełnim co polecić nam raczyła;
Jeżeli nie, przepraszam i odchodzę.

HAMLET.

Nie mogę.

GILDENSTERN.

Czego?

HAMLET.

Dać im odpowiedzi
Odemnie zdrowszéj; sam cierpiący jestem;
Na jaką stać mię, taką służyć będę,
Wam, lub jejmości: więc do rzeczy, prosto.
Królowa matka, —

1. Bo przeczyszczeniem gdybym go kurował,
Na żółć tém cięższéj król by zachorował.

ROSENKRANTZ.

Mówi że czyn księcia
Jéj serce wprawia w zachwyt i zdumienie.

HAMLET.

To dziwny syn co matkę tak zachwyca! —
Pod jéj zachwytem, czy się też nie kryje
Przypisek jaki?

ROSENKRANTZ.

W swym alkierzu z księciem
Chce się rozmówić sam na sam, téj nocy.

HAMLET.

Choćbym jéj synem był dwadzieścia razy,
Posłusznym będę. Cóż panowie daléj?

ROSENKRANTZ.

Był czas gdyś lubił mię, łaskawy panie.

HAMLET.

I jeszcze lubię, niech mię diabli wezmą.

ROSENKRANTZ.

Niemocy jego jaka jest przyczyna?
Przysłowie mówi: «Kto ma przyjaciela,
Ten z nim jak szczęściem, troską się podziela.»

HAMLET, na stronie.

To już nie zachwyt, to jest podchwycenie.

(w głos.)

Brak mi awansu.

ROSENKRANTZ.

Jakto, gdy głos króla
Następstwo tronu Danii mu zapewnia?

HAMLET.

A znasz przysłowie, też zwietrzałe trochę,
« Nim szczaw urośnie, » —

(Wchodzą muzycy.)

Otóż i fujarki: —
Dać mi też jedną. — Proszę tu na stronę: —
Dlaczego tak mię wietrzysz nielitośnie,
Jakbyś mię chciał zapędzić w lisią jamę?

GILDENSTERN.

O panie! jeślim zbyt natrętny z musu,
Mam prawe chęci.

HAMLET.

To nie dosyć jasno.
Weź flet, i zagraj.

GILDENSTERN.

Kto, ja?

HAMLET.

Bardzo proszę.

GILDENSTERN.

Lecz ja nie umiem.

HAMLET.

Lecz ja cię zaklinam.

GILDENSTERN.

Ja z niego nawet głosu nie dobędę.

HAMLET.

To łatwiéj jak źle kłamać. Przyłóż palce
Do dziurek, i przerabiaj; dmuchnij w trąbkę,
Tak, flet ci wyda dźwięk najprzyjemniejszy.
Patrz, tu są klapy.

GILDENSTERN.

Lecz chcąc być fletnistą
Nauki trzeba: a jam jest, —

HAMLET.

Nieukiem.
Patrz za jakiego miałeś mię nędznika.
Chcesz zagrać na méj duszy; wmawiasz w siebie
Że znasz jéj nastrój, chwytasz jéj tajniki;
Chcesz ją rozdźwięczyć od najniższéj nuty
Aż do dyszkantu; w tym organie wątłym
Jest głos wyborny, jest harmonia żywa,
Lecz w twoim ręku milczy. Cóż u kata,
Czy sądzisz waćpan że grać na mnie łatwiéj
Jak na fujarce? Możesz pan tę duszę
Rozstroić, przedąć, na niéj grać, o nigdy!

(Wchodzi POLONIUSZ.)

A, podkomorzy; to jak żółw na bagnie.

POLONIUSZ.

Jejmość królowa z nim się widzieć pragnie,
I zaraz.

HAMLET.

Zaraz; stań i oczy w górę,
Tak, nieco wyżéj. Widzisz pan tę chmurę
Podobną do wielbłąda?

POLONIUSZ.

Do wielbłąda?
A prawda, wielbłąd istny.

HAMLET.

Nie, wygląda
Cóś na łasiczkę.

POLONIUSZ.

Tak, łasiczka drobna,
Grzbiet pręgowaty.

HAMLET.

Raczéj jest podobna
Do wieloryba.

POLONIUSZ.

To wieloryb, właśnie.

HAMLET.

No, idę zaraz, nim królowa zaśnie. —
Przed szałem nawet płaszczy się dworzaństwo. —

POLONIUSZ.

Sam jéj obwieszczę.

(wychodzi.)

HAMLET.

A więc, żegnam państwo.

(Wychodzą Rosenkrantz, Gildenstern, Horacy i muzycy.)

Nadchodzi wreszcie ta złowroga chwila,
Gdy wstają zmarli, gdy z otchłani zieje
Na świat zaraza; teraz krew bym chłepał
I takie czynił rzeczy, że przelękły
Dzień by się zaćmił. Mam więc iść do matki. —
O nie skamieniéj serce, nie dopuszczaj
By mężną pierś owładnął duch Nerona:
Chcę być okrutnym, nie wyrodnym synem.
Gdy sztylet w ustach, dłoń bezbronną będzie;
Niech język raz uczuciu kłamstwo zada,
I gdy ten gromiąc iskrzy się i sroży,
Do słów pieczęci dusza nie przyłoży!

(wychodzi.)

SCENA III.

Pokój tamże.

KRÓL,* ROSENKRANTZ i GILDENSTERN.*

KRÓL.

*Ja mu nie ufam; byłoby szaleństwem
Wciąż mu pobłażać. Zatém, niech odjedzie:
Przepisy wasze skoro wam dostawię,
Udacie się do Anglii z królewicem.
Naszego państwa dobro nam zaleca
Usunąć klęski zrodzić się mogące
Z wybryków księcia.

GILDENSTERN.

Jużeśmy wybrani.
To najzacniejsza i najświętsza troska,
Od złego chronić te tysiące ludzi
Zawdzięczające życie swe królowi.

ROSENKRANTZ.

Ktokolwiek żyje, jest obowiązanym
Obronną ręką i siłami ducha,
Zasłaniać się od krzywdy; a tém więcéj
Ten, na którego głowie są złożone
Milionów losy. Król sam nie umiera;
Lecz jako powódź wszystko to pochłania
Co jest w pobliżu: lub jak krąg olbrzymi
Stojący na wierzchołku stroméj góry,
Z krociami kółek mniejszych a przykutych
Do sprych i dzwonów; niech to koło runie,
Wraz z sobą każdą z tych jednostek strąca
W bezdenną przepaść, gdzie z łoskotem pęknie.
Ztąd, gdy król cierpi, cały lud zajęknie.

KRÓL.

Gotujcie się panowie do podróży,
I to najspieszniéj; niech wam zdrowie służy.
W tym kraju chcemy, nim się zbyt rozhula,
Złe ująć w pęta.

ROSENKRANTZ i GILDENSTERN.

Na rozkazy króla.

(Rosenkrantz i Gildenstern wychodzą. *POLONIUSZ wchodzi.)

POLONIUSZ.

Już do jéjmości zbliża się komnaty.
Ja za obiciem skryję się na czaty,
Wysłucham wszystko, księcia i królowę,
A pewien jestem, że mu zmyje głowę.
A jako rzekłeś mądrze, iż prócz matki,
Bo te z natury stronne, chcesz na świadki
Mieć najśmielszego z dworzan, ja tam będę,
I na szwank życia nawet się zdobędę.
Królowi memu całą treść dostarczę
Nim zaśnie z Bogiem.

KRÓL.

Idź, uczciwy starcze.

(Poloniusz wychodzi.)

O! swąd méj zbrodni sięga aż w niebiosa;
Nad sobą czuję tę najstarszą klątwę,

Kaima piętno! — Modlić się nie mogę,
Bo gdy konieczność twardy grzbiet ugina,
Silniejsza rozpacz moc méj woli kruszy;
A jako człowiek przed podwójnym trudem,
Sam niewiem odkąd mam się wziąść do dzieła,
I nic nie czynię. Cóż, ta dłoń przeklęta,
Choćby krwią bratnią dwakroć tak nasiąkła,
Czy miłosierdzia zdrój nie dość obfity
By jako śnieg zbielała? Na cóż łaska,
Jeżeli zbrodni nie śmie zajrzeć w oczy?
Czy modły nie są tą dwuistną siłą, —
Człowieka zdolną wesprzeć, przed upadkiem,
A dźwignąć, gdy upadnie? — Więc, do góry:
Mój błąd już minął. Lecz, o! jakiém słowem
Pomocy żebrać? przebacz mi morderstwo!
To być nie może; gdyż posiadam jeszcze
To wszystko co do mordu mię przywiodło,
Koronę, władzę i małżonkę brata.
Kto ma plon grzechu, czy rozgrzeszon będzie?
W zepsutych prądach świata, dłoń zbrodniarza
Napchana złotem, karny miecz usuwa,
Za cło występku prawo się sprzedaje,
Tu, między ludźmi, lecz nie tam, u Boga:
Tam fałsz nie płaci, każdy grzech się zjawia
W ohydnéj swéj nagości; my, stawieni,
Naprzeciw złym uczynkom oko w oko,
Sąd ich stwierdzamy. Cóż więc? gdzie ratunek?
Doświadczyć raz co szczery żal odniesie?
Lecz cóż on może, bez możności skruchy?
O straszny losie! duszo jak śmierć czarna!
I tak ugrzęzła, że chcąc wyjść z otchłani
Brniesz coraz głębiéj! Brońcie mię, anieli!
Kolana krnąbrne, klęczeć; w stal okute,
Rozmięknij serce jak niemowląt rączki.
Tak, wszystko Bóg naprawi.

(klęka na stronie. HAMLET wchodzi.)

HAMLET.

Sam, klęczący!
Mógłbym dokonać teraz, gdy się modli;
Zabiję ciało, dusza w raj odleci:
Czym tak pomszczony? To rozważyć trzeba:
Łotr zgładził ojca mego; za tę zbrodnię,
Ja, syn jedyny, łotra szlę w niebiosa.
To by zapłatą było, a nie zemstą.
On podszedł ojca zdradą, struł nikczemnie,
W sytości ciała, w pełnym win rozwoju;
Bóg wie jak ciężki tam rachunk jego?
Po chrześciańsku sądząc i po ludzku,
Źle z nim być musi; czy to zemstą będzie,
Jeżeli zginie gdy otrząsa grzechy,
Przysposobiony w drogę do zbawienia?
Nie. — Skryj się, mieczu; srozszy cios gotuję.
Gdy nędznik zaśnie, wściekły lub opiły;
Wśród kazirodnych uciech, wśród biesiady;
Gdy grać, kląć będzie, lub nareszcie skłamie;
Ugodzisz tak że w niebo zadrze pięty,
A duch się wyrwie czarny, i przeklęty
Jak piekło, gdzie przepadnie. Matka czeka:
To mdłe lekarstwo pewną śmierć odwleka.

(wychodzi — Król powstaje.)

KRÓL.

Gdy wyraz wzlata, myśl się w prochu grzebie
Bezmyślne słowo bez odgłosu w niebie.

(wychodzi.)

SCENA IV.

Pokój Królowéj tamże; z boku framuga zasłonięta kotarą.

KRÓLOWA i POLONIUSZ.

POLONIUSZ.

Już idzie. Pani wyłaj go porządnie;
Daj uczuć, że się sprawia nierozsądnie,
Żeś ty mu była tarczą i schronieniem
Przed gniewem króla. Zagroź mu więzieniem,
Zakonnym ślubem; lecz dobitnie, gładko,
Zbyt czułą nie bądź.

HAMLET, za sceną.

Matko, matko, matko!

KRÓLOWA.

Bądź pan spokojny; zrobię co należy: —
Racz odejść.

(Poloniusz się kryje; HAMLET wchodzi.)

HAMLET.

Jestem! czego chcesz odemnie?

KRÓLOWA.

Twój ojciec mocno żali się na ciebie.

HAMLET.

Mój ojciec mocno żali się na ciebie.

KRÓLOWA.

Szalonym śmiesz zasłaniać się językiem.

HAMLET.

Kłamliwym śmiesz oskarżać mię językiem.

KRÓLOWA.

Hamlecie, cóż to!

HAMLET.

O cóż idzie, pani?

KRÓLOWA.

Czy mię już nie znasz?

HAMLET.

Znam, na krzyż i mękę:
Królową jesteś, i małżonką szwagra;
A przytém, — żal się Boże! moją matką.

KRÓLOWA.

Zawołam, inny z tobą się rozmówi.

HAMLET.

Nie, siadaj pani; na krok ztąd nie ruszysz:
Nie wyjdziesz, nim przystawię ci źwierciadło
Gdzie przejrzysz się do głębi twego serca.

KRÓLOWA.

Okrutny! czy chcesz zabić mię? Ratunku!

POLONIUSZ, ukryty.

Ratunku! héj, ratunku!

HAMLET, dobywając szpady.

Szczur w oborze?
Dukata żem go zmiótł.

(zadaje pchnięcie przez kotarę.)

POLONIUSZ, ukryty.

Umieram! Boże!

(pada i kona.)

KRÓLOWA.

Coś zrobił?

HAMLET.

Nie wiem : czy to król?

podnosi kotarę i wyciąga Poloniusza).

O, biada!

KRÓLOWA.

To czyn bezbożny!

HAMLET.

Tak bezbożny prawie,
Jak zgładzić króla, i poślubić brata.

KRÓLOWA.

Co, króla zgładzić!

HAMLET.

Tom powiedział, pani. —

(do Poloniusza.)

Bądź zdrów, ty nędzny, ty natrętny sługo.
Ja wziąłem cię za pana; znieś twą dolę :
A widzisz jak to źle być nadto sprawnym. —
*O jam samotny teraz i zgubiony;
Za twoją krew ostatnie łzy mych oczu! — *

(do Królowéj.)

Poprzestań łamać ręce. Siądź i słuchaj!
Ja muszę dziś twe serce łamać, jeśli
Nie jest ukutém z nieprzełomnéj stali;
I złym nałogiem tak zahartowane,
Że żaden cios uczucia go nie zgniecie.

KRÓLOWA.

Zkąd tak nieludzką rzucasz mi zniewagę?
Cóżem popełnić mogła?

HAMLET.

Czyn tak szpetny,
Że kazi w tobie czysty kwiat skromności;
Zadaje kłamstwo cnocie; rwie i strąca
Z miłości prawéj czoła jéj ozdobę,
A sadza na niém wrzody; ślub małżeński
W szulerski oblig zmienia, i religię
W igraszkę słów : O! nieba twarz się płoni,
I wiecznotrwały świat się nocą kryje,
Jak w dobie dnia sądnego, truchlejący
Przed takim czynem.

KRÓLOWA.

Przebóg! co za zbrodnia,
Tak straszną klątwą w serce mi uderza?

HAMLET.

Spojrz na ten obraz, i na tamten pani ;
To wizerunki dwóch rodzonych braci.
Patrz, jaki wdzięk w obliczu tém spoczywa :
Jowisza skroń; Hyperiona włosy;
Marsowy wzrok, do groźby lub rozkazu;
Postawa Merkurego, gdy z Olimpu
Na wschodnie wzgórza świt promienny znosi;
Tu, wszystko tak jest pełne i skończone,
Jakby swe piętno każdy bóg wycisnął,
Chcąc na świat wydać arcywzór człowieka.
To był twój mąż : a teraz patrz co z bliska.
To jest twój mąż; kłos próżny, zaśniedziały,
Trujący zdrowe ziarno. Gdzie masz oczy?
*Żeś mogła wzgardzić tą pożywną górą
Dla paszy na tém bagnie? Gdzie masz oczy? *
Miłością się nie składaj; bo w tym wieku,
Krew mniéj swawolna już pokorniéj słucha
Rozwagi głosu; a czy to rozważnie,
Od tego spaść do tego? Masz i zmysły,
Bo przecie żyjesz; lecz te już bezwładne;
Bo nigdy szał nie zbłądził tak zupełnie,
Niczyje zmysły tak się nie zwichnęły,
Że w nich nie został ani błysk pojęcia,
By dostrzedz tę różnicę. Jakież licho
Jak w grze dziecinnéj wzrok ci zawiązało?
Dotknięcie ślepe, oczy bez dotknięcia,
Sam słuch bez rąk i oczu, węch jedyny,
Lub tylko drobna część każdego zmysłu
Tak chybić by nie mogła. O sromoto!
Gdzie twój rumieniec? O piekielna chuci,
W matrony członkach jeśli tak szalejesz,
Młodzieńcza skromność niech jak wosk rozmięknie,
I w ogniu własnym spłonie : precz ze wstydem,
Gdy popęd krwi gorącéj się rozhuka,
Tam gdzie lód martwy żarzy się tak silnie,
A myśl faktorką żądzy.

KRÓLOWA.

Milcz! Hamlecie!
Ty oczy moje zwracasz w głąb méj duszy;
A takie w niéj dostrzegam czarne plamy,
Że zmyć ich nie potrafię.

HAMLET.

Ha, żyć lepiéj
W cuchnącym pocie łoża téj gadziny;
W zepsuciu, w hańbie, pieścić się radośnie,
Gnić na barłogu; —

KRÓLOWA.

Ach, ty mię zabijasz!
Twe słowa w uszy godzą jak sztylety :
Już milcz, przez litość.

HAMLET.

Zbójca, łotr bez duszy;
Nikczemnik, nie wart i dwusetnéj cząstki
Pierwszego męża : — wstyd, ohyda królów!
Ten rzezimieszek prawa i swobody,
Koronę duńską skradł w szufladce brata,
I schował do kieszeni! Król łatany, —

KRÓLOWA.

Dość już!

(DUCH się zjawia.)

HAMLET.

Anieli, skrzydłem nas osłońcie!
Mów, czego żądasz, ty ojcowski duchu?

KRÓLOWA.

Ach! bezrozumny.

HAMLET.

Czy mię chcesz potępić,
Za czas stracony marnie, za odwłokę
W spełnieniu zemsty zdanéj mi przez ciebie?
O, mów!

DUCH.

Pamiętaj o mnie. Dziś przychodzę
Zaostrzyć zamiar twój na wpół stępiony.

Lecz, patrz! tam drżąca i pobladła matka;
O! stań pomiędzy nią a jéj sumieniem;
Myśl działa silniéj na wątlejszém życiu,
Mów do niéj, synu.

HAMLET.

Cóż ci jest, królowo?

KRÓLOWA.

Co tobie raczéj, że patrzący w próżnię,
Z mgłą bezcielesną zdajesz się rozmawiać?
W otwartém oku dzikie lśni spojrzenie;
A jak zbudzeni hasłem trąb strażnicy,
Twój gładki włos podnosi się na głowie
I wyprężony stoi. O mój synu!
Umiarkuj płomień twéj gorączki, kroplą
Rozwagi zimnéj. W co twój wzrok uderza?

HAMLET.

Tam! — Czy nie widzisz jak okropnie blady!
Postawa smętna głazy by zmiękczyła,
I łzy z nich wycisnęła. — Nie patrz na mnie;
Byś tém spojrzeniem władzy méj nie skruszył:
I zamiar srogi z woli twéj podjęty
Nie zmienił barwy; krwi, nie łez mi trzeba!

KRÓLOWA.

Do kogo mówisz?

HAMLET.

Czy nie widzisz, pani?

KRÓLOWA.

Tam nie ma nic, a przecie wszystko widzę.

HAMLET.

Nie słyszysz głosu?

KRÓLOWA.

Wszak jesteśmy sami.

HAMLET.

W tę stronę spojrzyj, tam! już się przesuwa!
Twój mąż, mój ojciec, jak za życia zbrojny!
Tam, blisko drzwi; a teraz, już za progiem!

(Duch znika.)

KRÓLOWA.

To chorobliwe myśli twéj złudzenie:
Ty jak w obłędzie marzysz.

HAMLEL.

Jak w obłędzie!
Mój puls, jak twój, swobodnie w takt uderza,
I równie zdrowo dźwięczy. Co ci mówię,
To prawdą, nie obłędem: chcesz dowodu?
Powtórzę wszystko, czego szał niezdolny,
Bez jawnych zboczeń. Matko, na zbawienie,
*Zwodniczym lepem nie naciągaj duszy,
Że nie twa krewkość, lecz mój szał przemawia:
To plewką tylko wrzód by zasłoniło,
A ranę jad nurtowałby do końca.*
Na miłość moją, wyznaj grzech przed Bogiem;
Za przeszłe żałuj; chroń się od przyszłego,
I nie ściel mierzwy na cmętarne ziele,
By bujniéj rosło. Przebacz mi tę cnotę,
Jam u stóp twoich; bo w tym dusznym wieku,
Przychodzi cnocie korzyć się przed zbrodnią,
Na klęczkach błagać o jéj krzywd naprawę.

KRÓLOWA.

Hamlecie! serce zdarłeś mi na dwoje.

HAMLET.

O rzuć i zdeptaj jego część poślednią,
I zacznij z drugą tém uczciwsze życie. —
Idź, matko, spocznij; lecz nie tam do stryja!
Pokonaj nałóg; tyś niewiastą słabą,
Zaledwie cząstkę masz mężkiego ducha,
A wszystkie namiętności, tém silniejsze
Im głębiéj skryte: wstrzymaj się téj nocy.
Ta wstrzemięźliwość będzie ci łatwiejszą
W następnéj, w dalszéj; matko, śpij spokojnie:
Jeżeli pragniesz być błogosławioną,
Mię pobłogosław. — Co do jegomości,

(pokazując Poloniusza.)

Żal mi go bardzo: lecz dziś Bóg tajemnie
Chciał mię w nim skarać, skarać go przezemnie,
Oprawcą jego czyniąc mię i katem.
Ja pogrzeb sprawię, i opłacę światem
Śmierć mu zadaną. Dobranoc, raz jeszcze. —
*Chcąc być pomocnym, srogim być musiałem:
Złe już zaczęte, a zostaje gorsze. —
Lecz jeszcze słowo.

KRÓLOWA.

Rozkaż, co mam czynić?

HAMLET.

Nie to co powiem, ale czyń odwrotnie:
Gdy cię do łoża skusi król pijany,
Uszczypnie w twarz i nazwie swą gołąbką;
Gdy mętny całus do twych ust przyłoży,
Lub krwawym palcem szyję twą załechce,
Stryjowi wszystko wyjaw, jak na stole,
Żem w saméj rzeczy nie jest obłąkanym
Lecz szał udaję. To by słusznie było;
Bo na cóż piękna, zacna i roztropna
Królowa, żona, miałaby zataić
Przed żmiją, kundlem, tak przeważne sprawy?
O nie, w brew radom serca i rozumu,
Jak owa małpa, otwórz kosz na dachu,
Daj ptakom uciec, sama wsiądź na próbę,
I zleć aż na dół, na złamanie karku.

KRÓLOWA.

Bądź pewien, jeżli słowa są z oddechu,
A oddech z życia, pierwéj żyć przestanę
Nim słowo rzeknę.

HAMLET.

Wiesz o méj podróży?

KRÓLOWA.

Niestety! Król do Anglii cię wysyła.

HAMLET.

Z listami państwa, dwaj koledzy moi,
A którym ufam jak padalcom w lesie, —
Zlecenie mają drogę mi torować,
I wprawiać do szalbierstwa. Niech się trudzą;
To dobry żart, wysadzić ogniomistrza
Petardem jego własnym: ja wykopię
Pod niemi dołek o dwa sążnie głębszy,
I puszczę aż pod księżyc. Gra wyborna,
Gdy przeciw sobie staną dwa podstępy. —*
Bądź bez obawy; zwłoki te umieszczę
W pobliskiéj sali. Radca nasz nadworny
Cóś teraz cichy, skromny i pokorny,

On co za życia wściekłym był gadułą;
Że nic nie powie, ręczyłbym cedułą.
Chodź, waszmość; musim skończyć rzecz za progiem.
Więc, droga matko, śpij spokojnie z Bogiem.
(Wychodzi, wlokąc ciało Poloniusza.)

AKT CZWARTY.

SCENA I.

Sala przyległa do pokoju Królowéj.

KRÓL, KRÓLOWA, ROSENKRANTZ i GILDENSTERN.

KRÓL.

W tych jękach cóś być musi : to wzruszenie
Ma jakiś powód; znać go nam wypada.
Gdzie syn twój, Hamlet?

KRÓLOWA.

Samych nas zostawcie.—
(Rosenkrantz i Gildenstern wychodzą.)
Ach, mężu, cóżem nocy téj widziała!

KRÓL.

Gdzie Hamlet? co porabia?

KRÓLOWA.

Znów szaleje
Jak morze wzdęte, gdy się z wichrem spiera
Kto z nich silniejszy. Gdy w napadzie wrzącym,
Niezwykły szmer usłyszał za kotarą,
Zawołał w głos : « To szczur! » dobywszy miecza
Zapamiętale pchnął, i jednym ciosem
Ofelii ojca zgładził.

KRÓL.

Syn wyrodny.
Niewdzięczny, gdyż tak z nami stać się mogło!
Swawola jego, bez hamulca myśli,
Mnie, tobie saméj, wszystkim tu zagraża.
Niestety! któż odpowie za tę zbrodnię?
Nam ją przypiszą, bo przezorność nasza
Powinna była wziąść szaleńca tego
W straż najściślejszą; lecz, tak go kochałem,
Żem nie chciał uznać co koniecznem było,
I wciąż tłumiłem w sobie tę zarazę,
Aż życia rdzeń strawiła. Gdzież się kryje?

KRÓLOWA.

Zmarłego zwłoki sam pokątnie składa;
Przy czém szał jego, jak odłamek złota
W podlejszym kruszcu, czystym lśni promieniem,
Bo nad swym czynem łzy szlachetne roni.

KRÓL.

O! zanim słońce szczyty gór oświeci,
On musi ztąd odpłynąć; nam zaś trzeba
Z powagą zwykłą i zręcznością całą
Ten straszny grom odwrócić. — Gildensternie!
(Wchodzą ROSENKRANTZ i GILDENSTERN.)
Niech książe więźniem stawi się przed nami.
Przybierzcie kilku dworzan do pomocy;
W obłędzie Hamlet zadał cios śmiertelny
Naszemu radcy, gdzieś wyprzątnął ciało;
Cdy go znajdziecie, prośbą lub rozkazem
Nakłońcie go, by wyznał gdzie ukryte,
I wnieście do kaplicy. Tylko spiesznie.
(Wychodzą Rosenkrantz i Gildenstern.)
Gertrudo, zbierzem radnych i przyjaciół,
W tém prawie miejscu gdzie spełniona zbrodnia:
Dla przełożenia tego co się stało,
I co uczynić chcemy; * tak, daj Boże,
Zjadliwa potwarz, — która w lot po świecie
Celniejszym rzutem niż armatnia kula
Zatruty strzał przenosi, — minie króla,
I w martwy wiatr ugodzi. * — O, chodź zemną!
W strapionéj duszy groźno jest i ciemno.
(Wychodzą. — Z drugiéj strony wchodzi HAMLET.)

HAMLET.

Bezpiecznie skryty. —
(Słychać wołanie.)
Czyj to głos?

ROSENKRANTZ i GILDENSTERN, za sceną.

Hamlecie!

HAMLET.

Znów gończe psy za lisem.
(Wchodzą ROSENKRANTZ, GILDENSTERN i kilku dworzan.)
Czego chcecie?

ROSENKRANTZ.

Coś książe zrobił? gdzie zmarłego ciało?

HAMLET.

Powstałe z prochu, w proch się rozleciało.

ROSENKRANTZ.

Lecz w jakiém miejscu; by go przyzwoicie
Wniesiono do kaplicy.

HAMLET.

Źle sądzicie.

ROSENKRANTZ.

O czém?

HAMLET.

Bym język, za przykładem dziewic,
Miał wciąż w obrocie. Przytém, ja, królewic,
Na zapytanie gąbki, cóż odpowiem?

ROSENKRANTZ.

Czy książe zwiesz mię gąbką?

HAMLET.

Tak; albowiem,
Żywiołem twoim jest królewska łaska.
Lecz taka gąbka, choć zazwyczaj płaska,
Najlepiéj służy gdy się całkiem spłaszczy :
Z uśmiechem słodkim król ją trzyma w paszczy,
Połgębkiem cmokta, i nareszcie rzuci;
To czém nasiąkła wnet do niego wróci.
Dość mu ściąć zęby, gąbka na urzędzie
Zostanie suchą; — tak i z wami będzie.

ROSENKRANTZ.

Lecz, mości książe, to się nas nie czepia.

HAMLET.

Bo w tępéj głowie, pycha słuch zasklepia.

GILDENSTERN.

Pod strażą jesteś, książe.

HAMLET.

To rzecz jawna;
Wy, strażnikami : o tém wiem oddawna.

ROSENKRANTZ.

Gdzie trup złożony? jakim bądź okupem,
Jegomość król nam kazał,

HAMLET.

Król nie trupem,
Choć trup jest królem. On i jego blizcy
Są —

GILDENSTERN.

Czémże?

HAMLET.

Niczém : jak dworzanie wszyscy.
(Wchodzą KRÓL, KRÓLOWA, Rada i Dworzanie.)
Lecz otóż on, i cała z nim obława;
Przyczajmy się.
(odchodzi na stronę.)

RADA i DWORZANIE.

Królowi cześć i sława!
(Zasiadają obok Króla.)

KRÓL.

Wiadomo wam o śmierci Poloniusza,
W gorączce przez Hamleta mu zadanéj;
Kazałem ująć go, i znaleść ciało,
Przez niego skryte. Czyn ten sądzić macie.
Choć taki człowiek jest powszechną klęską,
Wszechmocą prawa skarcić go nie możem :
Gdyż on ma wziętość u ciemnego gminu,
Lud zaś na oko bierze, nie na rozum,
I chętniéj sądzi karę niż występek.
To wszystko chcąc pojednać i złagodzić,
Odprawa księcia zdaje nam się środkiem
Jedynie dziś możliwym : złe gwałtowne,
Gwałtowném tylko zbywa się lekarstwem,
Lub żadném. — Cóż więc, gdzie złożone zwłoki?

ROSENKRANTZ.

Nie mogliśmy wybadać.

KRÓL.

Gdzie jest Hamlet?

GILDENSTERN.

Pod strażą czeka na rozkazy króla.

KRÓL.

Przystąpcie. — Gdzie Poloniusz?

HAMLET.

Na śniadaniu.

KRÓL.

U kogo? gdzie?

HAMLET.

Nie tam gdzie on zajada,
Lecz tam gdzie jego jedzą. Nad nim właśnie
Robaków politycznych sejm się zbiera,
Obradujących nad ustawą życia,
Pod przewodnictwem ich marszałka, śmierci.
Przy stole, robak jest najwyższym sędzią :
Tuczymy trzody, aby nas tuczyły,
A siebie, dla robactwa; król opasły,
I chudy żebrak, są to dwie potrawy
Z dwóch różnych ścierw, na jeden stół : skończyłem

KRÓL.

Nieszczęsny!

HAMLET.

Można też nałożyć wędkę
Robakiem, który jadł królewskie ciało :
I rybę zjeść robakiem tym złowioną.

KRÓL.

Cóż to dowodzi?

HAMLET.

Nic, lecz ta biesiada,
To podróż króla przez wnętrzności dziada.

KRÓL.

Gdzie jest Poloniusz?

HAMLET.

Każ go szukać w niebie :
W przypadku, gdyby tam go nie zastano,
Racz sam poszukać, gdzieś pod sobą, głębiéj.
To pewna, że jeżeli nie znajdziecie
W miesiącu tym, zwietrzycie go w następnym
Na schodach prowadzących do galeryi.

KRÓL.

Ach, spieszcie państwo.
(Kilku dworzan wychodzą.)

HAMLET.

On wam nie ucieknie.

KRÓL.

Wydajcie sąd.

JEDEN Z RADNYCH.

Śmierć lub wygnanie wieczne.

KRÓL.

Zapominacie, że to syn Hamleta;
Synowca na śmierć wydać król nie może.
Hamlecie, czyn twój, i twe własne dobro, —
Którego pragniem, jak żałujem z duszy
To coś popełnił, — każą nam niezwłocznie
Ztąd cię wydalić : dziś więc bądź gotowym.
Łódź opatrzona, orszak na pokładzie,
Wiatr wschodni wieje, hasło twe do Anglii.

HAMLET.

Do Anglii?

KRÓL.

Lub więzienia.

HAMLET.

Dość, rozumiem.

KRÓL.

Rozumiesz, że przychylne mam zamiary.

HAMLET.

Cheruba widzę, który je przenika.

KRÓL.

Ja widzę słuszność : tu lub tam, wybieraj.

HAMLET.

Do Anglii więc! — Bądź zdrowa, matko droga

KRÓL.

Jam też serdecznym ojcem twym Hamlecie.

HAMLET.

Wszak matka z ojcem, jako mąż i żona,
To jedno ciało; lecz o innéj myślę,
Tu się zrodziłem : więc, bądź zdrowa matko.
Panowie, za mną.
(wychodzi.)

KRÓL.
Nie odstąpcie krokiem
Aż wsiędzie z wami; niechaj dziś odpływa.
Szczęść Boże, listy lennik nasz odbierze;
Ruszajcie więc, do Anglii : żegnam szczerze.
(Wychodzą Rosenkrantz i Gildenstern.)
Ty, królu, jeśli dbasz o łaskę moją,
(Jakoś już poznał dłoni méj przewagę,
Gdyż krwawe blizny dotąd się czerwienią
Tym mieczem ci zadane, i zwycięzcy
Sromotny haracz płacisz) nie waż lekce
Wszechwładnéj woli która cię zaklina
Naglącym listem, w imie twéj swobody,
O rychłą śmierć Hamleta. Będziesz wolnym,
Gdy z téj choroby moją krew trującéj
Potrafisz mię wyzwolić. Tym sposobem,
Spokojny będę pierwszy raz przed grobem.
(Wychodzą.)

*SCENA II[1].

Otwarte pole w Danii.

FORTYNBRAS i Wojsko w pochodzie.

FORTYNBRAS.
Rotmistrzu, masz pozdrowić króla Danii.
Przypomnij mu, że z jego poręczeniem
Zaciężne wojska Fortynbras prowadzi
Przez to królestwo. Wiesz, gdzie zejść się mamy.
A jeśli ze mną sam się widzieć pragnie,
Najchętniéj stawię się przed jego tronem,
I hołd powinny złożę.
ROTMISTRZ.
Koń gotowy.
FORTYNBRAS.
Więc naprzód.
(Oddala się z wojskiem; HAMLET, ROSENKRANTZ i GILDENSTERN wchodzą z Orszakiem.)
HAMLET.
Panie, czyjeż to chorągwie?
ROTMISTRZ.
Norwegii księcia.
HAMLET.
A racz nam powiedzieć
Gdzie one dążą?
ROTMISTRZ.
Ku granicom Polski.
HAMLET.
Kto jest na czele?
ROTMISTRZ.
Fortynbras, synowiec
Starego króla.
HAMLET.
Czy kraj cały mają,
Czy tylko część owładnąć?
ROTMISTRZ.
Prawdę mówiąc,
I bez okrasy, to pustkowie liche
Gdzie nic nie zbierzem nad wojenną sławę.
Za pięć dukatów nie wziąłbym w dzierżawę;
I w czynsz puszczone, więcéj nie da ziarna
Polakom lub Norwegom.
HAMLET.
Korzyść marna;
Więc nigdy Polak bronić jéj nie będzie.
ROTMISTRZ.
I owszem; zginie, nim ją wróg posiędzie:
*Garść każda ziemi snać dla niego świętą,
Bo męczenniczym prochem jest przejętą;
Obcego jarzma Polak znieść nie zdoła,*
I już załogą zbroi się do koła.
HAMLET.
Dusz dwa tysiące, sto tysięcy szkudów
Zaledwie starczą na tę płonną walkę!
To jak wrzód ślepy, w zdrowiu i czerstwości,
Co wewnątrz pęka, bez żadnego śladu
Którędy śmierć się wkradła. — Do widzenia.
ROTMISTRZ.
Bóg zapłać.
(wychodzi.)
ROSENKRANTZ.
Przystań o dwa kroki, książe.
HAMLET.
Więc idźcie przodem. Wnet za wami zdążę.
(Wychodzą Rosenkrantz i Gildenstern z Orszakiem.)
O jak boleśnie wszystko mię potępia
Za zbyt leniwą zemstę! Czém jest człowiek,
Jeżeli jeść i spać zadaniem głównem
I pierwszą sprawą życia? czém, bydlęciem.
Zapewne ten co stworzył nas myślących,
Z przeczuciem i pamięcią, te zdolności,
Ten boski siew nie na to nam udzielił,
By w nas jałowo zmarniał. Czy to nazwę
Zwierzęcém zadumaniem, lub chwiejnością
Rozwagi zbyt oględnéj na złe skutki, —
A która z czterech, na mądrości cząstkę
Trzy czwarte ma tchórzostwa, — czy być może
Iż wciąż powtarzam : « To uczynić trzeba ; »
I na tém koniec, gdy mam wolę, siłę,
I miecz pod ręką. Nie brak mi przykładów :
Choćby to wojsko tak przeważnéj liczby,
Wiedzione przez wątłego niedorostka,
Którego duch, natchniony żądzą sławy,
Na wszelkie losów rzuca się przygody;
Na łup wystawia wszystko co niepewne,
Zagładzie pewnéj, za co? za wylęgłą
Skorupę jaja. Wielkim być w istocie,
To nie jest zbierać tam gdzie plon obfity,
Lecz wielkomyślnie walczyć o pęk słomy,
Gdy honor każe! Cóżem wart, zaprawdę,
Ja, który ojca zgon, zhańbienie matki,
Podniety serca, własnéj krwi wołanie
Przepuszczam śpiąco? gdy ze wstydem widzę
Niechybną śmierć tysięcy młodych ludzi,
Dla urojenia, dla znikoméj chwały,
Biegnących w grób jak w łoże narzeczonéj,
O skibę, gdzie dwie roty się nie zmieszczą;
Niedostateczną nawet na mogiłę

1. Pominąć.

Dla tych co zginą. — Srogą bądź i twardą
Jak miecz ten, duszo, lub okryta wzgardą! *

(wychodzi.)

SCENA III[1].

W Elsynorze, u Horacego.

HORACY i Służący.

HORACY.

Cóż to za ludzie chcą się widzieć ze mną?

SŁUŻĄCY.

Majtkowie jacyś; mają list do pana.

HORACY.

Niech wejdą.

(Służący wychodzi.)

Nie wiem zkąd mi list przyjść może,
Jak świat przestrony, jeśli nie od księcia.

(Majtkowie wchodzą.)

PIERWSZY MAJTEK.

Szczęść Boże, jegomości.

HORACY.

Wam nawzajem.

PIERWSZY MAJTEK.

Bóg szczęści majtkom gdy mu się podoba.
Posłaniec króla do angielskiéj rzeszy
Dla jegomości wręczył nam to pismo:
Nazwisko stoi na kopercie.

HORACY.

Proszę.

(czyta.)

« Horacy, po przejrzeniu tego listu, racz oddawcom ułatwić przystęp do króla: mają też list i do niego. Zaledwie dwa dni spędziliśmy na morzu, gdy statek rozbójniczy, mocno uzbrojony, puścił się w pogoń za nami. Mniéj silni w żagle, musieliśmy przyjąć bitwę, wśród któréj wskoczyłem, walcząc, na pokład nieprzyjacielski: w téj właśnie chwili, ów statek odczepił się od nas, i sam jeden zostałem korsarzy jeńcem. Obeszli się ze mną jak uczciwi rabusie, przyjmując oblig na okrągłą sumę mającą być wypłaconą, skoro będę królem; pod tym warunkiem wpłynąłem z niemi do przystani. Postaraj się, aby stryj odebrał to co do niego piszę; i pospiesz do mnie jak gdyby śmierć za tobą biegła. Oniemiejesz, gdy ci powiem cóś na ucho; a przecież słowa nie dorównają ważności przedmiotu. Ci dwaj zacni ludzie doprowadzą cię do statku. Rosenkrantz i Gildenstern wędrują do Anglii, o nich także dowiesz się niesłychanych rzeczy.

« Do serca wierny Hamlet cię przytula. »

(do Majtków.)

Więc idźmy, Klaudio da wam wstęp do króla;
Ja do królowéj: z wami lżéj mi będzie
Do księcia trafić, gdy na ląd wysiędzie. *

(Wychodzą.)

1. Pominąć.

SCENA IV.

W Elsynorze, u Królowéj.

KRÓLOWA, HORACY i KLAUDIO.

KRÓLOWA.

Nie chcę jéj widzieć.

KLAUDIO.

Lecz usilnie prosi,
Jéj stan wymusza litość.

KRÓLOWA.

Cóż jéj trzeba?

KLAUDIO.

Za ojcem tęskni; żali się na ludzi,
Na świat skażony; jęczy, w pierś uderza;
Za lada dźbło się gniewa; w dziwném słowie,
Zaledwie pół pojęcia, pół obłędu;
Lecz w tym niełądzie jest uroku tyle
Że własną myślą słuchacz je dopełnia;
Gdyż tak wymowna ruchem i spojrzeniem,
Że można przysiądz, iż w tym śnie zawarta
Myśl niewyraźna, lecz nadzwyczaj smętna.

HORACY.

Już lepiéj z nią pomówić, bo źli ludzie
Na złe jéj skargi mogliby tłómaczyć.

KRÓLOWA.

Niech wejdzie.

(Horacy wychodzi.)

Wszystko, dla występnéj duszy,
Przedmową cięższéj zdaje się katuszy:
W grzesznika trwodze tyle jest przesady,
Iż sam się zdradza, chroniąc się od zdrady.

(HORACY wraca z OFELIĄ.)

OFELIA.

Gdzie najświetniejsza Danii jest ozdoba?

KRÓLOWA.

Ofelio, czyś ty chora?

OFELIA śpiewa.

Któż mi powie, cni drużbowie,
Gdzie kochanek mój?
Kij, sandały, z konch nagłowie,
Ach, to dziwny strój!

KRÓLOWA.

Biedne dziewcze!
Co znaczy śpiew ten?

OFELIA.

Ja nie śpiewam; płaczę.

(śpiewa.)

W życia wiośnie, nielitośnie,
Już opuścił nas;
Tam, nad czołem, trawa rośnie,
U stóp, zimny głaz.

Oh, oh!

KRÓLOWA.

Ależ, Ofelio,

OFELIA.

Proszę słuchać.

(śpiewa.)

Snieżne włosy wieńczą wrzosy,
Głóg i zwiędły bez ;

(KRÓL wchodzi.)

KRÓLOWA.

Ach, patrz, mój mężu!

OFELIA.

Płaczcie nad nim, wonne rosy,
Bo już nie mam łez.

KRÓL.

Jak się masz, najmilsza?

OFELIA.

Bóg zapłać! nie źle. Czy to sowa była
Piekarza córką? Wiemy czém jesteśmy,
Lecz kto wie co nas czeka. Bądźcie zdrowi!

KRÓL.

Jéj śni się ojciec.

OFELIA.

Dość już o tém, proszę;
Lecz gdy was pytać będą co to znaczy,
Powiedźcie tak :

(śpiewa.)

Dziś świętego Walentego,
Znika nocny cień ;
Stuk w okienko do lubego,
Szląc mu dobry dzień :
Przed blondyną Walentyną,
On się kryje w kąt;
Dziewcze wchodzi, lecz dziewczyną
Już nie wyjdzie ztąd.

KRÓL.

Ofelio!

OFELIA.

Dajcież pokój;
Na co przysięgi! wszak ja wnet zakończę :

(śpiewa.)

Głos anioła we mnie woła,
To piekielny żart!
Młodzian broi, kiedy zdoła,
Coby nie śmiał czart.
Słów potęga w serce sięga,
Tyś mię żoną zwał :

On odpowiada.

Dla dziewicy ta przysięga,
A jam z tobą spał [1].

(śmieje się i szlocha.)

KRÓL.

Dawno już w tym stanie?

OFELIA.

Nadzieja w Bogu, wszystko się naprawi.

1. Wstyd żem ci ją dał.

Cierpliwie tylko; lecz na łzy się zbiera,
Gdy pomnę, że go w zimnym grobie złożą.
Mój brat się na tém pozna, więc dziękuję
Za przemilczenie. Powóz niech zajeżdża!
Już czas; łaskawe panie mi wybaczą,
Spokojnéj nocy wszystkim : do widzenia,

(wychodzi.)

KRÓL.

Idź waćpan za nią; strzeż jak oka w głowie.

(Horacy wychodzi.)

O! żal głęboki serce jéj zatruwa;
To wszystko przez Hamleta. Patrz, Gertrudo!
Tak zawsze klęski jawią się zastępem,
A nie w rozsypce. Ojciec jéj zabity;
Twój syn wygnany, a wygnany słusznie,
Za bunt otwarty; lud szemrzący głośno,
Zwiedziony myślą błędną i niezdrową
O śmierci Poloniusza i pogrzebie
Zbyt spiesznie zarządzonym; ta nieboga,
Z rozumu władzy ciosem tym odjęta,
*Bez któréj człowiek larwą lub zwierzęciem; *
Nakoniec, i to dla nas najgroźniejsze,
Jéj brat, Laertes, już powrócił z Francyi;
Z pochmurném czołem, w gniewie swym zajadły,
Nadstawia ucho stu kłamliwym wieściom
Rozsianym koło nas o tém zdarzeniu;
A przeciw którym prawda bez dowodu,
Niezdoła nas ochronić od potwarzy
Płynącéj z ust do ust. O, ten sąd boży,
Jak trójząb śmierci w moją pierś utkwiony,
Potrójnie mię zabija.

(Wrzawa za sceną.)

KRÓLOWA.

Cóż tam znowu?

(Wchodzi KLAUDIO.)

KRÓL.

Za broń, Szwajcary! niech obsadzą wrota!
Co znaczy zgiełk ten?

KLAUDIO.

Miłościwy panie,
Z mętnego łoża Ocean wybiegły
Mniéj bystrym pędem brzegi swe pochłania,
Niż ów Laertes, na powstańców czele,
Twą straż rozbija! Gmin się za nim tłoczy;
I jakby świat miał zacząć się na nowo,
Niwecząc dawne prawa i zwyczaje,
Rękojmie wszelkich swobód i porządku,
Podnosi krzyk : « Niech żyje nasz Laertes! »
Ust, dłoni, czapek, wtórzą mu tysiące,
« Laertes królem, on przez lud wybrany! »

KRÓLOWA.

Jak raźno lud na mylny trop się zwraca!
Pod wiatr gonicie, duńskie psy niewierne.

KRÓL.

Drzwi wyłamano.

(Wrzawa coraz wzrasta; LAERTES uzbrojony wchodzi z ludem.)

LAERTES.

Gdzie ten król? — Zostańcie.

LUD.

Za tobą wszyscy.

LAERTES.

Proszę stać, i milczeć.

LUD.

Niech wejdzie sam.

(Stają za drzwiami.)

LAERTES.

Dziękuję: strzeżcie bramy. —
Tyranie, gdzie mój ojciec?

KRÓLOWA.

Co za słowo!
Spokojniéj trochę.

LAERTES.

Kropla krwi spokojna,
Bękarctwa piętnem ród mój by zhańbiła,
Bezwstydem plamiąc czystą skroń méj matki.
Jam jest Laertes!

KRÓL.

A ja, twoim królem.
Za jaką winę taki bunt olbrzymi? —
O mnie, Gertrudo, troska twa zbyteczna:
Tak boskim prawo wieńczy nas urokiem,
Że pocisk zdrady kruszy się, padając
U naszych stóp; nie lękaj się królowo. —
Mów, Laertesie, co twój gniew roznieca?

LAERTES.

Gdzie ojciec mój?

KRÓL.

Zabity.

KRÓLOWA.

Nie przez niego.

KRÓL.

Daj pokój, niech oświeci się do woli.

LAERTES.

A jak zabity? Próżne tu szalbierstwo.
Do czarta dziś uległość i przysięga!
Sumienie, cnota, w samą głąb otchłani!
Wyzywam piekło. Na tym szczeblu stoję,
Że oba światy są w mych oczach niczém;
Niech sam przepadnę, bylem był pomszczony
Za ojca i za siebie.

KRÓL.

Któż ci broni?

LAERTES.

Kto? własny popęd, nie całego świata:
A co do środków, sam je tak wybiorę,
Że przejdą co zamyślam.

KRÓL.

Laertesie,
Jeżeli chcesz upewnić się o prawdzie,
I skarcić winnych, czy w twéj zemście stoi
Jednaka zguba wrogów i przyjaciół,
Jak w grze, tracących i biorących stawkę?

LAERTES.

Nie, wrogów tylko.

KRÓL.

Chceszże znać ich wreszcie?

LAERTES.

Kto ze mną, ja z nim, duszą i ramieniem;
I jak pelikan życiem się dzielący,
Przyjaciół ojca własną krwią nakarmię.

KRÓL.

To drugi Hamlet; więc jak on, — zobaczym. —
Tyś nieodrodny syn, i szlachcic prawy,
Żem ojca śmierci jak ty sam niewinny,
Najmocniéj, owszem, jestem nią dotknięty,
To się tak jasno duszy twéj okaże
Jak dzień twym oczom.

LUD, za sceną.

Puścić ją.

LAERTES.

Co widzę!

(OFELIA wchodzi.)

Ofelia! piekło, spal mi mózg twym żarem!
Niech jad rozpaczy zgasi to spojrzenie!
Na Boga, szał twój tak spłaconym będzie,
Że krew przeważy łzy. Wiosenna różo!
Ty siostro biedna, ty Ofelio droga! —
O nieba, czy podobna by myśl córki
Tak wątłą była jak ojcowskie życie?
Tak wzniosła miłość w sercu twém kwitnęła,
Że najzacniejsza część onego w grobie
Gdzie ojciec nasz spoczywa.

OFELIA śpiewa.

Już nad skronią piasek ronią;
Panie, duszy świeć!
W raj ulata z kwiatów wonią; —

Leć, mój gołąbku, leć!

LAERTES.

Przy zdrowym zmyśle,
Wymowniéj byś nie mogła, jak tym jękiem,
Do zemsty mię rozpalać.

OFELIA.

Zaśpiewajcie,
Już po nim, po nim, jemu też zadzwonim.

Jak się to składa, wiersze, śpiew i kwiaty!
Niecnota wójt, co panu córkę kradnie!

LAERTES.

To nic jest więcéj warte niż świat cały.

OFELIA.

Mam tu rozmaryn, kwiat pamięci szczeréj;
Pamiętaj, luby: to są bratki smętne,
Myśl o mnie, po mnie.

LAERTES.

Myśl w pamięci gaśnie:
To znak obłędu.

OFELIA.

Koper, i orliki: —
Dla pani ruta; dla mnie też gałązka:
Niedzieli kwietnéj różczką zwać ją możem,
I obie nosić: — choć z odmienną taśmą. —
Mam i stokrocie: lecz fiołków brakło;
Gdy ojciec konał, wszystkie mi powiędły. —
Nabożnie skończył, tak mówiono w niebie, —
Mój luby Jasiu, listki te dla ciebie. —

LAERTES.

Dziewicza miłość, żal i piekło same,
W niéj wszystko jest urokiem i pieszczotą.

OFELIA śpiewa.

*On powróci, żale skróci,
Jasio nigdy cię nie rzuci,
Z nim cię czeka ślub;
Nie, tęsknota życie skróci,
Jasio nigdy nie powróci,
Patrz, tam jego grób!*

Skroń zgrzybiała jak śnieg biała,
Broda z wiekiem posiwiała;
Próżny śpiew i płacz:
Boże, Boże, tobie chwała,
Ciało ziemia pochowała,
Duszę przyjąć racz!

Za dusze w czyszcu, Ojcze nasz. Bóg z wami!
(przechodząc koło framugi.)
To tu... mój ojciec...
(wychodzi.)

LAERTES.

Boże!

KRÓL.

Ja chcę z tobą
Podzielić się cierpieniem, Laertesie,
I prawo mam do tego. Niech przysięgli
Z najmędrszych twych przyjaciół, treść téj sprawy
Poznawszy dziś rozsądzą między nami.
Jeżeli mię, czy wprost czyli pośrednio,
Uznają winnym, oddam ci koronę,
Królestwo, życie, wszystko co posiadam,
By cię przebłagać; lecz, w przeciwnym razie,
Twój żal synowski powierz méj rozwadze,
A wtedy, łącznie z niemi się naradzim
Jak ci zadość uczynić.

LAERTES.

Niech tak będzie:
Ta nagła śmierć, ten pogrzeb równie spieszny,
Bez tarczy, miecza, herbu nad zwłokami,
Bez żadnéj czci należnéj i obrzędu,
To wszystko się domaga w niebogłosy
O ścisłe śledztwo.

KRÓL.

Razem je wytoczym;
I topór spadnie, tam gdzie winę zoczym.
Zostawcie nas.
(Królowa i Dworzanie wychodzą.)
Twe serce mię rozgrzeszy,
I poznasz we mnie krzywdy twéj wspólnika,
Gdy nieodbitą prawdą ci dowiodę
Że ten co śmiał uderzyć ojca twego,
Na moje życie godził.

LAERTES.

Lecz, w tym razie,
Dla czego nie skarciłeś, mocą prawą,
Téj zbrodni przeciw Bogu i naturze,
Jak bezpieczeństwo, godność i mir własny,
Do tego cię skłaniały?

KRÓL.

Z dwóch powodów,
Mogących tobie zdawać się błahemi,
Lecz dla mnie bardzo ważnych. Wiesz, królowa,
Spojrzeniem jego żyje; ja zaś jestem
Tak całą duszą do niéj przywiązany,
(Czy mam to zwać miłością lub zaklęciem)
Że jak rój gwiazd w swéj sferze tylko krąży,
Tak bez niéj żyć nie mogę. Drugi powód
Broniący mi zaskarżać go zbyt jawnie,
Jest ta szczególna dlań przychylność tłuszczy,
Co jak ów strumień drzewo w głaz przemienia,
Swym prądem kryjąc jéj bożyszcza błędy
Naganę w cześć obraca. Strzały moje,
Za tępe żeby zwalczyć wiatr tak silny,
Do méj cięciwy nazad by wróciły
A celu nie dosięgły.

LAERTES.

Więc, prócz ojca,
Straciłem siostrę pchniętą w głąb rozpaczy;
Tę któréj cnota, choć jéj żal nie wskrzesi,
Ściągała wszystkie blaskiem swym spojrzenia.
Cóż teraz mi zostaje? nic, prócz zemsty.

KRÓL.

Niech ci to snu nie płoszy; nie sądź bowiem
Iżbym dopuścił krzywdę lubzniewagę,
I zwał to fraszką. Wnet ci więcéj powiem:
Kochałem ojca, lecz i siebie kocham;
I to jak sądzę, na dziś ci wystarczy, —
(Wchodzi Posłaniec.)
Cóż tam?

POSŁANIEC.

Dwa listy.

KRÓL.

Zkądże?

POSŁANIEC.

Od Hamleta.
Ten, w ręce własne, drugi do królowéj.

KRÓL.

Hamleta pieczęć! kto je tu przynosi?

POSŁANIEC.

Dwaj obcy ludzie; lecz ich nie widziałem:
Mam je od Klaudia, który je odebrał
I mnie doręczył.
(wychodzi.)

KRÓL.

Zbliż się, Laertesie,
Posłuchaj.
(czyta.)

«Królewską Waszą Wszechmoc mam sobie za powinność uwiadomić, żem ja sam i prawie nago był wysadzony na duńską ziemię. Nie mogłem zdala obejść się bez niego; więc jutro się stawię przed jego królewskiem obliczem, a wtedy, błagając aby mi raczył przebaczyć, opowiem mu wypadki, które ten dziwny i przedwczesny mój powrót spowodowały.

«Hamlet.»

Jakto! czy poselstwo wraca?
Czy jaki nowy podstęp się gotuje?

LAERTES.

Wszak ręka księcia?

KRÓL.

Tak jest, oczywiście;
*W tém słowie, patrz: «*Ja sam, i prawie nago*:»*
Cóż sądzisz o tém?

LAERTES.

Ja w domysłach ginę.
Niech wraca : myśl ta serce mi rozognia,
Że gdy go spotkam, wręcz mu powiem w oczy :
« Tyś ojca zabił. »

KRÓL.

Chcąc ugodzić króla
(Bo tak jest, nie inaczéj). Laertesie,
*Czy rady méj usłuchasz?

LAERTES.

Gotów jestem
Na wszystko, byleś mi nie radził zgody.

KRÓL.

Miéj ufność we mnie. Jeśli już powraca, —
Znużony tą podróżą, i niesk łonny
Do przedsiębrania drugiéj, — ja go zwabię
Do matni, już w zamiarze mym osnutéj;
W tę sieć niezdartą złowi się i zginie.
Podejrzeń żadnych sprawa ta nie wznieci,
I saméj matce będzie się zdawała
Przypadku dziełem.

LAERTES.

Radź więc; ja ci służę
Tém chętniéj, jeśli tak urządzisz rzeczy,
Że udział w nich mieć będę.

KRÓL.

To się składa.
Mówiono wiele, od wyjazdu twego,
I to w obec Hamleta, o rozgłośnym
Talencie twoim : wszystkie twe zalety
Zazdrości tyle w nim nie rozbudziły,
Co ten szczególny dar, choć w moich oczach,
Najlichszéj ceny.

LAERTES.

Jaki dar?

KRÓL.

Mniéj warty
Niż marna wstążka na młodzieńczéj skroni,
Potrzebny wszakże; bo jak lotne stroje
Przystoją bujnéj młodzi, tak sobole,
A długie suknie starcom, bądź dla zdrowia,
Bądź dla powagi. — Dwa miesiące temu,
Normandzki rycerz zjawił się na dworze, —
Gdym z Polską wojnę toczył, sam widziałem
Jak dzielną jéj konnica; lecz ten śmiałek
To istny czart przyrosły do rumaka,
I tak cudowne z nim wyrabia harce
Że koń i jeździec z dwojga ciał się zdają
Spojeni w jedno : tak mię oczarował,
Żem ani mógł wymarzyć o téj sztuce
Podobnych rzeczy.

LAERTES.

Wszak z Normandyi rodem?

KRÓL.

Podobno.

LAERTES.

Lamord, jakem żyw.

KRÓL.

On właśnie.

LAERTES.

To mój znajomy : klejnot i ozdoba
Narodu swego.

KRÓL.

Mówiąc mi o tobie,
Gdyż jednocześnie byliście w Paryżu,
Nie mógł się dość nachwalić twéj biegłości
W robieniu bronią, a rapierem zwłaszcza.
« Ciekawém, wołał, byłoby zdarzeniem,
By kto mu sprostał : pierwsi z nas szermierze
Przytomność tracą, oko, ruch, postawę,
W spotkaniu z tym Duńczykiem. » Ta pochwała
Hamleta próżność tak zawiścią wzmogła,
Że nic nie pragnął odtąd jak powrotu
Twojego z Francyi, by się zmierzył z tobą.
Ztąd wnoszę, —

LAERTES.

Słucham; cóż więc?

KRÓL.

Laertesie,
Czy siostrę kochasz i kochałeś ojca,
Lub czy twój smutek jest jak malowidło,
Jak twarz bez duszy?

LAERTES.

Czemu to pytanie?

KRÓL.

Nie żebym wątpić miał o twéj miłości,
Lecz wiem że miłość jest poczętą z czasu;
A doświadczenie codzień mię naucza,
Że czas miarkuje jéj żywotną siłę.
Jest zawsze w samym środku jéj płomienia
Cóś nakształt knota co żar jego tłumi,
W jednakiéj mocy nic nie trwa na świecie;
I nadmiar zdrowia, gdy dostanie pleury,
Pełnością własną ginie. Masz ochotę
Co zrobić, zróbże; gdyż ta chęć przelotna
Spotyka tyle przeszkód i niechęci,
Co jest języków, rąk, wypadków różnych;
A wtedy owo « zróbże » to westchnienie
Szulera po przegranéj. Więc, do rzeczy.*
Gdy Hamlet wróci, co też chcesz uczynić
By synem Poloniusza się okazać
Nie tylko w słowach?

LAERTES.

Zdławić go w kościele.

KRÓL.

Gdy zemsta jest konieczną, świętość miejsca
Nie chroni winnych. Lecz, mój Laertesie,
Chcesz ją pewniejszą, zamknij się i czekaj.
Gdy Hamlet o przybyciu twém usłyszy,
Postaram się by zręczność twą głoszono,
*Podwójny kładąc nacisk na to wszystko
Co prawił Francuz; obu was zaprosim,*
Urządzim walkę : on zbyt ufny w sobie,
Szlachetny z resztą równie jak niebaczny,
Kling nie obejrzy; zatém, jak z niechcenia,
Lub skrzętnym ich wyborem, weźmiesz w ręke
Miecz niestępiony, i za pierwszém pchnięciem
Śmierć ojca na nim pomścisz.

LAERTES.

Ja? co słyszę!

KRÓL.

Dla przezorności, sam ci miecz dostarczę.
Nabyłem taką maść od włoskich kupców,

Że gdy się ostrze szpilki w niéj umoczy,
Pod słońcem nie ma tak dzielnego płynu,
Choćby z najrzadszych roślin był zebrany,
Którego moc by śmierć odwrócić mogła
Dla żywéj duszy szpilką tą drasniętéj.
Tym zgubnym jadem twoją broń zaprawię;
Dotknięcie jedno trupem go położy.

LAERTES.

Lecz, to morderstwo!

KRÓL.

Wyraz bez znaczenia,
Gdy spór się toczy o zgładzenie wroga.
Lecz skoro nie śmiesz, sam rozważę głębiéj
Co może nam posłużyć, według czasu,
I sposobności. *Jeśli plan podjęty
W złém wykonaniu ma na wierzch wypłynąć,
To lepiéj coś innego : więc, w odwodzie,
Mieć trzeba drugi, który się utrzyma,
Gdy tamten spełznie. *Czekaj! — niech pomyślę : —
Wyznaczym suty zakład o zwycięzcę, —
Już wiem : gdy w starciu da się czuć pragnienie,
(A silne pchnięcia zagrzać go powinny)
Gdy pić zawoła, każę mu przystawić
Osobną czarę; jedna łza napoju,
Choćby miał tysiąc dusz w stalowéj piersi,
Dokona coś zamierzył.

LAERTES.

Przez otrucie!
Nic nie przyrzekłem.

KRÓL.

Ciszéj! ktoś sie zbliża.

(KRÓLOWA wchodzi.)

Królowa!

KRÓLOWA.

Klęska sypie się za klęską,
Jak w burzy grom za gromem. — Laertesie,
Twa siotra utonęła.

LAERTES.

Gdzie? mów, pani!

KRÓLOWA.

Pochyła wierzba stoi nad krynicą,
Warkocze srebrne kąpiąc w jéj przezroczu;
Tam plotła, śniąca, swe czarowne wianki,
Z jaskierek, cierni, bzu i amarantów,
Palcami zmarłych przez dziewice zwanych
*Choć im lud prosty szpetne dał znaczenie : *
Tam, na gałązce zwisłéj chcąc zaczepić
Uwity krążek, wspięła się na drzewo,
Złamała gałąź, i z wiankami razem
W toń bystrą wpadła. Jéj sukienka wzdęta
Jak żywą lilję niosła ją po wodzie,
Nucącą, jakby zguby swéj bezwiedną,
Urywki dawnych piosnek i różańców;
Lub jak łabędzie z gniazda już przywykłe
Do téj kąpieli ; lecz to krótko trwało,
Bo szaty wskróś przemokłe, pociągnęły
Za sobą dziewcze, z jéj śpiewnego raju
W muł zimny śmierci.

LAERTES.

Więc, i moja siostra?

KRÓLOWA.

Tak, utonęła.

LAERTES.

Dość już łez i wody,
W obojgu nas, Ofelio: lecz, przysięgam
Że krew mieć będziesz; wszakże, to rzecz ludzka,
Wstyd musi milczeć przed natury prawem:
Ta łza ostatnia, z nią niewiasta ginie,
Zostaje mściciel. — Rozkaż, jam gotowy;
Już się nie waham. Dziś, nie mogę więcéj :
Płomienny wyraz buchnął by z méj duszy,
Lecz gaśnie w tém zemdleniu.

(wychodzi.)

KRÓL.

Idź, królowo;
Na taki żal, najlepsze matki słowo.

(Królowa wychodzi.)

Więc miłość jego zemsty méj narzędziem,
I ciosem jednym obu się pozbędziem.
Hamlecie! wzrok twój wściekły gniew rozbudzi;
Do dzieła! — Rządzić, to znać serca ludzi.

AKT PIATY.

SCENA I.

Na cmętarzu.

Dwóch GRABARZY, z rydlami, i t. d.

PIERWSZY GRABARZ.

Czy chrześciański pogrzeb się należy
Téj, która w rzece szuka swe zbawienie?

DRUGI GRABARZ.

Co się ta pytasz; bierz się do roboty :
Nasz fizyk puls jéj macał, i pozwala
Na chrześciański pogrzeb.

1. GRABARZ.

A kapłaństwo?
Wszak utonęła za przyczyną własną.

2. GRABARZ.

Tak fizyk zeznał.

1. GRABARZ.

Otóż ta przyczyna
Fizyczny punkt stanowi. Gdy się topię,
Popełniam czyn, a każdy czyn trojaki;
Namyślić się, przedsięwziąść i wykonać:
Ergal, za swą przyczyną utonęła.

2. GRABARZ.

Czy ona przedsięwzięła?

1. GRABARZ.

Milcz mi wasze.
Tu, dajmy na to, rzeka, tu topielec;

Gdy on do rzeki pójdzie i utonie,
To rad nie rad utonął z własnéj woli;
Lecz jeśli rzeka przyszła do topielca,
I wzięła go, to mówić już nie można
Że tonie z własnéj woli : ząd nie winien
Swéj śmierci, kto nie topi się z umysłu.

2. GRABARZ.

Czy takie prawo?

1. GRABARZ.

Takie, dla fizyka.

2. GRABARZ.

Chcesz wiedzieć prawdę? gdyby nie szlachcianka,
Toby ją na cmętarzu nie chowano.

1. GRABARZ.

Łepskoś powiedział; więc tém gorzéj szlachcie,
Że jéj uchodzi topić się lub wieszać,
Nie nam, poślednim braciom jéj w Chrystusie.
Dajże mi rydel. A najstarszą szlachtą
Są chłopy, ogrodnicy i grabarze,
Bo ci rzemiosło mają od Adama.

2. GRABARZ.

Czy Adam był szlachcicem?

1. GRABARZ.

Wszak on pierwszy
Krzyż nosił.

2. GRABARZ.

Jaki krzyż?

1. GRABARZ.

Czyś ty poganin?
Czy Pismo tak rozumiesz? Pismo mówi
Że Adam ziemię kopał: a bez krzyża,
To ani weź nachylić się do ziemi.
Na jedno jeszcze masz mi odpowiedzieć;
A jeśli nic do rzeczy, to cię nazwę —

2. GRABARZ.

No, gadaj.

1. GRABARZ.

Kto mocniejsze domy stawia
Niż mularz, cieśla, lub wyrobnik morski?

2. GRABARZ.

A szubienicznik; jego dom przetrzyma
Stu komorników.

1. GRABARZ.

Nie źle, ani słowa :
I szubienica nie zła; lecz dla kogo?
Dla takich co źle czynią: ty źle czynisz
Że ją powiadasz trwalszą niż kościoły :
Ergal, dla ciebie nie zła szubienica.
O com się pytał?

2. GRABARZ.

Kto buduje mocniéj
Niż mularz, cieśla, lub wyrobnik morski?

1. GRABARZ.

Odgadnij mi to, żywo.

2. GRABARZ.

Wiem już teraz.

1. GRABARZ.

No, mów.

2. GRABARZ.

Do licha, nie wiem.

(HAMLET i HORACY wchodzą i stają w głębi.)

1. GRABARZ.

Nie psuj sobie
Już nad tém mózgownicy; kij połamiesz,
A nie popędzisz osła. Więc odpowiedz
Na to pytanie, grabarz : co zbuduje,
To trwa po sądny dzień. Idź do Jawgana,
I przynieś kwartę wódki.

(Drugi Grabarz odchodzi.)

1. GRABARZ śpiewa i kopie.

Gdym za młodu kochał wściekle,
Słodkim był miłości miód;
Dziś na poły dusza w piekle,
A gorętsza niźli wprzód.

HAMLET.

Czy ten bałwan
Pojmuje to co czyni, gdy grób kopie
I śpiewa?

HORACY.

Zwyczaj stępił w nim uczucie.

HAMLET.

Dłoń mniéj robocza lżejsze ma dotknięcie;
Tak też i myśl.

GRABARZ śpiewa.

Starość wilczym idąc krokiem,
Już stępiła wzrok i słuch;
Dziś na dziewki patrzę bokiem,
Jakbym nigdy nie był zuch.

(wyrzuca czaszkę.)

HAMLET.

Wszak język był w téj czaszce,
I śpiewać niegdyś mogła? Jak bezecnie
Ten śmieciuch nią pomiata, jakby była
Kaima szczęką! Może też to głowa
Człowieka stanu, którą dziś ten osioł
Przewraca rydlem, choć jéj mózg był zdolnym
Oszukać pana Boga?

HORACY.

To być może.

HAMLET.

Lub szambelana, co się kłaniał nisko
Świegocąc : « Dobry dzień! Jak się też wiedzie
Królewskiéj Waszéj Mości? » Lub szlachcica
Bankruta, który u wielkiego pana
Przechwalał szkapę, chcąc ją mieć za darmo!

HORACY.

I to być może.

HAMLET.

Służy dziś u Jaśnie
Wielmożnéj Glizdy, już opadły z ciała,
I ciur cmętarny trąca go łopatą.
Ciekawy przewrót rzeczy, jak Bóg żywy.
Czy kości ludzkie są tak mało warte,
Że wolno w kręgle niemi grać po śmierci?
Aż dreszcz przechodzi moje.

GRABARZ śpiewa.

Rydel, rydel i motyka,
Całun, a w całunie trup,
Dla kochanka nieboszczyka,
Slubny dom, to świeży grób.

(wyrzuca drugą czaszkę.)

HAMLET.

Masz i drugą.
Jurysty może! Gdzież są jego kruczki,
Wykręty, bałamuctwa i fortele?
Jak może znieść, by gbur ten bił go w ciemię
Plugawym rydlem, i przed sąd nie pozwał
Za obrażenie ciała i zniewagę?
Ha! może też to był swojego czasu
Właściciel ziemski dóbr nabytych drogą
Donacyi, konfiskacyi lub tranzakcyi,
Lub subhastacyi bez uczciwéj racyi,
Nareszcie kurateli lub opieki,
A koniec końców i nieruchomości,
Sam nieruchomy, głowę ma nabitą
Ruchomém błotem? na cóż mu piśmidła,
*Ewikcye zbierać, gdy ewinkujący
Nie więcéj roli wzdłuż i w szerz mu dają
Jak co szpargałów parę by pokryło?*
Przekazy ziemskie ledwie by zmieszczono
W téj skrzynce, a sam dziedzic miljonowy
Tak ciasne ma mieszkanie?

HORACY.

Co do joty.

HAMLET.

Wszak pargaminy są z kozłowéj skóry?

HORACY.

Z cielęcéj tańsze.

HAMLET.

Więc to są cielęta
Lub kozły, ci hrabiowie za pieniądze.
Pomówię z tym bałwanem. — Przyjacielu,
Czyjże to grób?

GRABARZ.

A mój.

(śpiewa.)

Dla kochanka nieboszczyka,
Slubny dom, to świeży grób.

HAMLET.

Że twój, nie przeczę,
Bo siedzisz w nim.

GRABARZ.

Pan w nim nie leżysz jeszcze,
Więc nie waćpana: ja też w nim nie leżę,
A przecie mój.

HAMLET.

Nie leżysz, bo w nim stoisz.

GRABARZ.

Nie stoję w nim; tam stoję, pod kościołem.

HAMLET.

A jaki człowiek ma tu stać?

GRABARZ.

Nie człowiek.

HAMLET.

Kobieta?

GRABARZ.

Nie kobieta.

HAMLET.

Więc dziewczyna?

GRABARZ.

Czy była, nie wiem; Panie, spuść jéj duszy.

HAMLET.

To cięty łotr! z nim trzeba ważyć słowa,
Bu dwuznaczności żądłem cię przebije.
*Już od trzech lat, Horacy, to uważam,
Świat tak przemądrzał, i parobek wiejski
Z tak bliska stąpa za dworaka piętą,
Że wielkim palcem ściera mu nagniotki, —*
'ak często groby kopiesz?

GRABARZ.

Co dni w roku.
Zacząłem tego dnia gdy król nieboszczyk
Wyczubił Fortynbrasa.

HAMLET.

Czy to dawno?

GRABARZ.

Udajesz asan, lada smyk pamięta.
W tym dniu, nasz młody Hamlet się urodził;
Ten co zwarjował i wygnany został
Do Anglii.

HAMLET.

Prawda; za cóż go wygnano?

GRABARZ.

Bo rozum stracił: ma go tam wyszykać;
A choć nie znajdzie, to nie wielka strata.

HAMLET.

Tak sądzisz?

GRABARZ.

Tego w Angli nie dopatrzą;
Tam wszyscy ludzie pono, są szaleni.

HAMLET.

Od czegóż on oszalał?

GRABARZ.

Różnie mówią.

HAMLET.

Co mówią?

GRABARZ.

Że od pomięszania zmysłów.

HAMLET.

Gdzie zaś!

GRABARZ.

A w Danii, gdzie od lat trzydziestu
Tę ziemię kopię.

HAMLET.

Nim kto zgnije w ziemi,
Jak długo leżeć może?

GRABARZ.

Jak się zdarzy;
Jeżeli kto nie przegnił już za życia,
(Bo mamy mnóstwo ciał tak zarażonych,
Że ledwie grobu warte) to wytrzyma
Ośm lat, lub dziewięć: garbarz do dziewięciu.

HAMLET.

Dla czego, garbarz?

GRABARZ.

Snać że to rzemiosło
Garbarza skórę tak wygarbowało,
Że kawał czasu wodą nie przesiąknie;
A woda, widzisz asan, jest okropną
Ścierw naszych niszczycielką. Ta skorupa
Od lat dwudziestu trzech już pewnie leży.

HAMLET.

A czyja?

GRABARZ.

Był to błazen nad błaznami:
O kim waść myśli?

HAMLET.

Nie wiem.

GRABARZ.

Niech go trzysta
Za taki żart! Raz wylał mi na czaszkę
Reńskiego całą flaszkę. To był Yoryk,
Królewski trefniś.

HAMLET.

Yoryk?

GRABARZ, zbierając czaszkę.

Waść go znałeś?

HAMLET.

Daj. Biedny Yoryk! — Dzieckiem go lubiłem:
Wybornie zmyślał, sprytu co nie miara,
Po tysiąc razy nosił mię na karku;
A dziś, jak jego postać mię odraża,
Aż gardło ściska! — Gdzie są twoje wargi
Gdzie moje pocałunki? gdzie powiastki,
Przycinki, śpiewki, figle, a koziołki,
Od których cały stół się trząsł od śmiechu?
Dziś już nie szydzisz, choć wyszczerzasz zęby!
Skostniałe lica! Idź do modnéj damy,
I powiedz, że się takiéj płci doczeka,
Choćby na cal się grubo malowała;
To może ją rozśmieszy. — Mój Horacy,
Chciałbym coś wiedzieć.

HORACY.

Co, łaskawy książe?

HAMLET.

Czy Aleksander tak wyglądał w grobie?

HORACY.

Zupełnie tak.

HAMLET.

I cuchnął? pfe!

(rzuca czaszkę.)

HORACY.

Podobno.

HAMLET.

Do jakich niecnych usług zejść możemy!
*Myśl nasza w trop za prochem Aleksandra,
Czy go nie znajdzie na dziurawéj beczce,
Glinianym szpuntem?

HORACY.

To daleko sięgać.

HAMLET.

Bynajmniéj; łatwo tam go przeprowadzę,
A szczeréj prawdzie w niczém nie uchybię
W ten sposób: Aleksander się urodził,
Więc Aleksander umarł; po pogrzebie,
W proch się obrócił; proch ten Aleksandra,
To ziemia, z ziemi glina, czy tą gliną
Browarnéj beczki zatkać by nie można?*
Sam rzymski Cezar, dziś zmieniony w błoto,
Zalepia ścianę przed zimową słotą:
I ziemia w któréj jaśniał duch tak wielki,
Lgnie, mrozem ścięta, do spruchniałéj belki! —
Lecz oto król, królowa i dworzanie.

(Wchodzą KSIĘŻA i t. d. z procesyą; OFELII ciało na marach; LAERTES i Żałoba; KRÓL, KRÓLOWA, Orszak i t. d.)

Na bok, i milczeć. Kogóż tu prowadzą,
Z orszakiem nieco kusym? To ma znaczyć,
Że ten za którym idą, sam zbrodniczo
Swe życie skrócił: ktoś to z wyższéj kasty.
Ciekawym znać.

(schodzi na bok z Horacym.)

LAERTES.

Modlitwy czy skończone?

HAMLET.

*Laertes, pan uczciwy.

LAERTES.

Czy to wszystko?*

PIERWSZY KAPŁAN.

Tak uroczyście pogrzeb ten obchodzim,
Jak nam jest wolno, przy wątpliwéj śmierci:
I gdyby nakaz nie przeważał prawa,
Spoczęłaby w niepoświęconéj ziemi,
Aż po dzień sądu; miasto łez i modłów,
Kamienie, gruzy, na nią by zwalono;
Tu zaś, zachowa swój dziewiczy wieniec,
Okryta kwiatem i wśród jęku dzwonów,
Do grobu zstąpi.

LAERTES.

Więc to wszystko?

KAPŁAN.

Wszystko.

Obrzędu zmarłych byłoby zgwałceniem,
Jéj grzesznéj duszy *requiem* zanucić,
Jak zgasłym w Bogu.

LAERTES.

Spuście ją do ziemi.
Niech z nieskalanych szczątków téj dziewicy
Fiołki wstaną! — *Ty, nieludzki księże,
Gdy moja siostra wstąpi w raj aniołem,
Ty zlecisz w otchłań.*

(Kapłan odchodzi.)

HAMLET.

Co! jéj brat! Ofelia?

KRÓLOWA, sypiąc kwiaty.

O kwiecie, weź te kwiaty: bywaj zdrowa.
Kochałam cię, jak narzeczoną syna:
Słać niemi chciałam twe małżeńskie łoże,
A nie twój dół grobowy.

LAERTES.

O! przeklęty
Trzykroć trzydzieści razy ten szaleniec,
Którego dłoń mordercza ci wydarła
Tak wzniosłą duszę! — Nie! nie sypcie jeszcze,

W uścisku bratnim niech się nią napieszczę.
(rzuca się w grób.)
A teraz, walcie proch na mnie żywego,
I martwą siostrę, aż stworzycie górę
Nad Pelion wyższą, lub nad szczyt Olimpu
Sterczący w błękit nieba.

HAMLET, postępując.

Któż tak szumnie
Swój żal wygłasza? skargi swéj zaklęciem
Aż w niebo sięga, i struchlałym gwiazdom
Na wspak się toczyć każe?

LAERTES.

Kto ty jesteś?

HAMLET.

Ja, Danii syn.
(wstępuje w grób.)

LAERTES.

Idź w piekło, potępieńcze!
(pasuje się z Hamletem.)

HAMLET.

To chęć bezbożna. Puść mi gardło, proszę;
Bo choć nie jestem dziś do walki skłonny,
Mam przecie w sobie cóś rozpaczliwego,
Z czém radzę być ostrożnym. Precz z rękami.

KRÓL.

Rozdzielić ich.

KRÓLOWA.

Hamlecie! mój Hamlecie!

WSZYSCY.

Panowie, —

HORACY.

Książe, racz się uspokoić.
(Dworzanie ich rozdzielają i obadwaj wychodzą z grobu.)

HAMLET.

Więc będę walczyć z nim tą samą bronią,
Dopóki życie mą powieką władnie.

KRÓLOWA.

O synu! jaką bronią?

HAMLET.

Jam ją kochał:
I sto tysięcy braci by nie mogło
Złączoném czuciem, sprostać méj miłości. —
Cóż byś ty dlań uczynił?

KRÓL.

Laertesie,
On szałem zdjęty.

KRÓLOWA.

Litość miéj dla niego.

HAMLET.

Mów! do pioruna, cobyś dlań uczynił?
Czyś gotów jęczeć? bić się? pierś rozedrzeć?
Gadzinę połknąć? otruć się? Ja także. —
Czyś skoczył w grób jéj skomląc, by mię zhańbić?
Niech cię pogrzebią żywcem, i mię także:
A jeśli gór ci trzeba, niech miljony
Włók roli nas pokryją; aż z poziomu
Wyrosły kopiec w głąb eteru sięgnie,
Podobną czyniąc Ossę do brodawki!
Ja też wyrzekać umiem.

KRÓLOWA.

To szaleństwo:
Po chwili, skoro ta gorączka minie,
Łagodny jak turkawka białoskrzydła,
Gdy złote jéj pisklęta się wylęgną,
Schyliwszy skroń, zamilknie.

HAMLET.

Powiedz bracie:
Przecz tak niegodnie pastwisz się nademną?
Jam kochał cię, a ty: ty mię odpychasz!
*Niech sam Herkules krztusi się i wścieka,
Kot miauczyć będzie, zanim pies zaszczeka.*

KRÓL.

Horacy, nie odstępuj go na chwilę.
(do Laertesa.)
Pamiętaj o tém co stanęło wczora;
Do téj szermierki powód sam nastręczę. —
*Synowi twemu przydaj straż Gertrudo. —
Grobowiec ten mieć będzie pomnik żywy:*
Zanim spokoju nam użyczą nieba,
Przezornym krokiem stąpać doń potrzeba.
(Wychodzą. —* Słychać organy. — Po nieméj scenie nad grobem Ofelii, Hamlet i Horacy wychodzą.*)

SCENA II.

Sala tronowa w zamku.

HAMLET i HORACY.

HAMLET.

*Już o tém dość: przystąpmy do drugiego. —
Uważaj na szczegóły méj przeprawy.

HORACY.

Uważam.

HAMLET.

Długo biłem się z myślami,
Tak żem nie zmrużył oka: wciąż marzyłem
Żem w ciężkich dybach jęczał jak opryszki;
W tém nagle, — niech się to natchnienie święci, —
Bo w nagłych razach prędkość jest zbawienną,
Gdy plan rozmyślny pełznie; co nasz uczy
Że jakieś bóstwo, ludzkich rąk utworom
Rzeźbionym z prędka, daje kształt ostatni.

HORACY.

Tak sądzę.

HAMLET.

Naglem wybiegł z méj kajuty,
Odziany w morską gunię, po omacku
Zacząłem szukać śpiących na pomoście;
Złowiłem pakiet i wróciłem żywo
Do méj izdebki: tak mię strach ośmielił,
Bez względu na niegrzeczność, żem otworzył
Depeszę stryja; gdziem wyczytał, bracie,
Królewskie, nie! szelmowskie polecenie, —
Upstrzone mnóstwem wniosków i dowodów,
Tyczących Anglii dobra i naszego,
Żem odszczepieniec, rabuś, i tam daléj, —
By za odbiorem onéj, bez wyroku,
Ba, nie czekając aż się miecz naostrzy,
Raczono zdjąć mi głowę.

HORACY.

Czy podobna?

HAMLET.

Tak jest, oto depesza : weź, przeczytaj.
Chcesz teraz wiedzieć com uczynił?

HORACY.

Proszę.

HAMLET.

To mi do smaku wcale nie przypadło.
Z hultajskich sideł trzeba wyjść lub zginąć, —
Po rozum więc do głowy; bez prologu
Akt pierwszy się rozpoczął. — Wnet siedzący
Wyciąłem inny list ozdobném pismem.
Choć dawniéj miałem, jak statyści nasi,
Za ujmę pięknie pisać, i z umysłu
Zepsułem sobie rękę; lecz w téj chwili
Wybornie się sprawiła. List ciekawy;
Chcesz może znać osnowę?

HORACY.

Bardzo proszę.

HAMLET.

Zaklęcie groźne od naszego króla, —
Że jako Anglik wiernie hołd mu płaci,
A między niemi mir jak palma kwitnie,
Że jako zgoda pod pszenicznym wieńcem
Jak złoty średnik w ich sojuszu stoi,
I takich ważnych jako dwa tuziny, —
Za doręczeniem listu, król angielski
Bez dalszych narad, nie mniéj i nie więcéj
Ma zdziałać, jak wyprawić dwóch oddawców
Na śmierć najprędszą.

HORACY.

List był bez pieczęci?

HAMLET.

I owszem, pomoc boska to zrządziła.
Ojcowski sygnet zawsze mam przy sobie,
Z królestwa Danii godłem i koroną;
Złożywszy tedy list na wzór tamtego,
Z pieczęcią i z adresem, najspokojniéj
Podrzutka zostawiłem. W dniu następnym
Stoczona bitwa morska i więzienie,
Z którego wolny wracam do rodziny.

HORACY.

Więc Rosenkrantz i Gildenstern zabici?

HAMLET.

A jakże, sami śmierci swéj szukali,
To pozłocona szlachta. Los tak smutny
Podszeptom swoim i zabiegom winni;
Tém gorzéj dla nich, gdy podrzędni ludzie
Rzucają się na ślepo w bój zawzięty
Możniejszych wrogów.

HORACY.

Co za król, o nieba!

HAMLET.

co za rządy! już ich znieść nie mogę —
On ojca zgładził, on zbezcześcił matkę;
On zwichnął prawo do następstwa tronu;
Zarzucił wędkę na me własne życie,
Czy z tym szalbierzem, zdrajcą, mi nie wolno
Dać piękne za nadobne? czy się godzi
Pozwolić by ten rak nurtował dłużéj
Narodu wnętrza?

HORACY.

Z Anglii wnet się dowie
O skutku swéj wyprawy.

HAMLET.

Pierwéj zginie!
Aż wieść nadejdzie, do mnie czas należy;*
Człowieka sprzątnąć, to jak jeden zliczyć.
To srodze mi dokucza, mój Horacy,
Żem co do Laertesa źle postąpił;
Los jego własny widzę w méj niedoli,
Jak wzór w obrazie : skłonię go ku sobie :
Choć te przechwałki dumne mię wprawiły
W niezwykłą wściekłość.

HORACY.

Ciszéj! ktoś nadchodzi.

(Wchodzi OZRYK.)

OZRYK.

Pod nóżki księcia składam cześć niegodną.

HAMLET.

Pokorne dzięki. Znasz tę muchę wodną?

HORACY.

Bynajmniéj.

HAMLET.

Tém korzystniéj dla twéj duszy,
Znać go jest grzechem. Lowczy i koniuszy.
Niech jedno bydle tysiąc ma w zasobie,
Wnet znajdzie paszę przy królewskim żłobie;
To struś lub gawron, lecz ma piękne włości.

OZRYK.

Mam księciu zdać od króla jegomości...

HAMLET.

Gotówkę drobną? ręczę że fałszywa.
Niech pan czapeczki w ręku nie zużywa;
Wszak ją zrobiono do nakrycia głowy.

OZRYK.

Dziękuję księciu, wiatr dziś południowy.

HAMLET.

Przeciwnie, bo północny; mróz nastaje.

OZRYK.

A prawda, trochę mroźno.

HAMLET.

Mnie się zdaje
Że jakieś duszne tu powietrze trąci.

OZRYK.

Nadzwyczaj duszne, — aż się w głowie mąci, —
Com miał powiedzieć? — A! że król jegomość
O walném starciu dając mu wiadomość,
Zakłada stawkę, że mu niedostoją
Najtęższe głowy, —

HAMLET, pokazując czapkę.

Włóż to pan na swoją —

OZRYK.

Nie, proszę księcia; to dla méj wygody.
Jest tu na dworze gość odważny, młody,
Laertes, rycerz, tom zaręczyć gotów,
Najrzadszych pełen ozdób i przymiotów;
I że nad wszelkie wyższym jest świadectwa,
Jest to źwierciadło, czyli wzór szlachectwa,
Bo w nim to wszystko łącznie się prze gląda,
Co choć w ułamku każdy z nas mieć żąda.

HAMLET.

A, pan, jak widzę, pochwał mu nie skąpisz;
Choć ten inwentarz jeśli mu odstąpisz
Sam Archimedes zlęknie się roboty
I nie domierzy zbyt wysokiéj cnoty.
Ja, lubo nie mam sił Archimedesa
Do zadań tak olbrzymich, Laertesa
Mam za młodzieńca ze wszech miar przedniego,
Mam to za chlubę że był mym kolegą,
I towarzyszem broni. Więc kto patrzy
Na to źwierciadło, nieba twór najrzadszy,
Jest jego cieniem, lub ułamkiem cienia,
I niczém więcéj.

OZRYK.

Tak go świat ocenia.

HAMLET.

Co nam do tego? że rozmową przetnę,
Na co nam dmuchać w to źwierciadło świetne?

OZRYK.

Jak?

HORACY.

Niechaj książe mu to wytłómaczy
Na język strusi.

HAMLET.

Cóż on u mnie znaczy?

OZRYK.

Laertes?

HAMLET.

Właśnie.

HORACY.

Worek już ma próżny,
Wyrzucił złoto, dać mu grosz jałmużny.

OZRYK.

Szczęśliwym bardzo że świadomy książe —

HAMLET.

Świadomość rzadko się ze szczęściem wiąże. —
Cóż daléj?

OZRYK.

Że świadomy o wyższości
Dzielnego Laertesa —

HAMLET.

W grze na kości,
Lub co do wzrostu? Poznam ją w potrzebie.
Znać drugich, jest to znać samego siebie.

OZRYK.

Ja mówię o wyższości w ręcznéj broni;
Od jego pchnięcia nikt się nie uchroni.

HAMLET.

A w czém tak mocny?

OZRYK.

W szabli lub rapierze.

HAMLET.

Aż dwie ma bronie tak odrębne! wierzę.

OZRYK.

Król stawił w zakład krymskich sześć ogierów,
On, sześć francuzkich szabel i rapierów,
Z przyrządem najwłaściwszym do potyczki,
To jest pętlice, troczki lub rzemyczki,
Kutasy, pochwy... jak to bywa zawsze.
Pomiędzy niemi trzy są najciekawsze,
Od złota zaprzęg i perłowy trzonek,
To wszystko wyrobione jak z koronek.

HAMLET.

Co zowiesz pan, zaprzęgiem?

HORACY.

Jak w powieści,
Przypisku szukasz, gdyś nie pojął treści.

OZRYK.

Zaprzęgiem są pendenty.

HAMLET.

To jaśniejsze.
Nazwanie z rzeczą byłoby zgodniejsze,
Gdybyś rusznicę nosić mógł za pasem:
Rapciami wolę nazwać je tymczasem.
Więc krymskich sześć ogierów z jednéj strony,
Za sześć francuzkich rożnów dla obrony.
To duński zakład i francuzka stawka.
Lecz o cóż idzie!

OZRYK.

Zwykła tu zabawka.
Król swoją łaskę chcąc okazać księciu
Założył się, że po dwunastém pchnięciu
Laertes przegra, dawszy mu trzy fory.
Więc we grze stoim, to przyczynek spory,
Jak trzy do czterech, i nim broń ostygnie,
Za przyzwoleniem księcia, sąd rozstrzygnie.

HAMLET.

A jeśli nie przyzwolę?

OZRYK.

Boże drogi,
Ja rzecz prowadzę; sąd nie będzie srogi.

HAMLET.

Więc będę się przechadzał po tarasie.
Za przyzwoleniem króla, o tym czasie
Wytchnienia chwil używam; znieść tu miecze
Z przyrządem; jeśli gość nasz nie ucieczе
A najłaskawszy król przyzwolić raczy,
Na jego rzecz rozegram; lub inaczéj
Na mój rachunek od francuzkich młyńców
Odniosę wielki wstyd i parę sińców.

OZRYK.

W tych słowach mamże sprawę zdać?

HAMLET.

W téj myśli
Z przyrządem jaki dowcip mu nakreśli.

OZRYK.

Polecam się książącéj Waszéj Mości.

(wychodzi.)

HAMLET.

Sam się poleca; to dla przezorności,
Bo nikt by nie chciał. Strusich głów nie lubię.

HORACY.

Skorupę z jaja dotąd ma na czubie.

HAMLET.

On stroił już umizgi do swéj mamki,
Nim ssać ją zaczął. On i wielu innych
Z téj saméj szajki, których gmin uwielbia,
W światowy szczebiot, w modny strój przebrani,
To istny zbiór szumowin, wewnątrz pusty;
Te salonowe sroki, tu i owdzie
Roznoszą, jak zaraza, najszaleńsze,
Od lat niepomnych już zwietrzałe zdania:
Lecz dmuchnij w pianę, bańki się rozlecą.

(Wchodzi KLAUDIO.)

KLAUDIO.
*Nasz Najjaśniejszy pan, przesławszy księciu
Królewskie pozdrowienie, przez łowczego,
Dowiedział się że książe nań wygląda
W tronowéj sali: teraz mię przysyła
Zapytać go, czy chce się z Laertesem
Dziś jeszcze spotkać, lub czy żąda zwłoki.

HAMLET.
Jam stały w mych zamiarach; a te zgodne
Z życzeniem króla: jeśli chęć mu służy,
Jam także gotów; dziś, lub kiedykolwiek,
Byłem do tego równie był sposobny.*

KLAUDIO.
Z królewską parą cały dwór się zbliża.

HAMLET.
I owszem.

KLAUDIO.
Lecz królowa życzy sobie
By książe, nim się złoży z Laertesem,
Przemówić raczył kilka słów uprzejmych.

HAMLET.
Życzenie słuszne.
(Klaudio wychodzi.)

HORACY.
Lękam się przegranéj.

HAMLET.
Tak źle nie sądzę: odkąd kraj porzucił,
Wciąż się ćwiczyłem; wygram w tych warunkach.
Ty nie uwierzysz jak mi coś dolega,
Tu, koło serca.

HORACY.
Co, mój drogi książe?

HAMLET.
Dziecinne widmo; takie złe przeczucie,
Niewiastę chyba mogłoby nastraszyć.

HORACY.
Jeżeli w duszy wstręt masz do spotkania,
Przyjm to za wróżbę: wstrzymam dwór i powiem
Żeś nieco chory.

HAMLET.
Zostań, z wróżb ja szydzę:
Bo w spadku wróbla dłoń opatrzną widzę.
Co ma być jutro, dziś się nie wydarzy,
Dziś, co nie jutro, jak to mówią starzy;
Co zaś nie teraz, to w przyszłości będzie:
Gotowym zawsze trzeba być i wszędzie.
Gdy nikt nie bierze w trumnę co posiada,
Cóż ztąd jak, gdzie i kiedy je postrada?
(Wchodzą KRÓL, KRÓLOWA, LAERTES, OZRYK, KLAUDIO, Dworzanie, Służba z bronią, i t. d.)

KRÓL.
Hamlecie, przystąp, weź tę dłoń odemnie.
(łączy rękę Laertesa z ręką Hamleta.)

HAMLET.
Racz mimowolną krzywdę mi przebaczyć;
Lecz przebacz pan, jak obu nam przystoi.
Ci państwo wiedzą i sam wiesz zapewne,
Jak ciężką los mój karze mię niemocą.
Oświadczam przeto, że com bądź uczynił
Z obrazą serca, sławy lub honoru,
Nie było mojém, lecz obłędu dziełem.
Czy Hamlet odpowiada za tę krzywdę?
Bynajmniéj, Hamlet był tam nieprzytomny:
A skoro nieprzytomny, więc niewinny,
*Dziś, w obec wszystkim, Hamlet ją zaprzecza.
Kto ją wyrządził? Jego szał. Ztąd wnoszę
Że Hamlet sam się do skrzywdzonych liczy;
Szaleństwo jego jest Hamleta wrogiem.*
Niech mię to jawne chęci złych zaparcie
Tak uniewinni w twéj szlachetnéj duszy,
Jak gdybym na wiatr strzelił, po za domem,
I brata zranił.

LAERTES.
Dość na tém, dla serca,
Którego głos, w tym razie, krwawéj zemsty
Wymagał: przecież według praw honoru,
Opodal stoję, nie chcąc pojednania,
Aż kilku starszych wiekiem i powagą,
Do zgody mię nie skłonią, zaręczeniem
Ze sławy méj nie splami. Nim to będzie,
Przyjmuję szczery dar uczciwéj chęci,
Jak obu nam przystoi.

HAMLET.
Dzięk serdeczny,
A teraz, bratni spór niech się rozwiąże. —
Podajcie tępe szpady.

LAERTES.
Mnie najbliższą.

HAMLET.
Ja tępo bić się będę, Laertesie:
Przy mnie, poślednim, biegłość twa zabłyśnie
Jak w nocy gwiazda.

LAERTES.
Książe mi urąga.

HAMLET.
Nie, na uczciwość.

KRÓL.
Klaudio broń przyniesie. —
Hamlecie, znasz warunki?

HAMLET.
Tak jest, panie;
Dla słabszéj strony trzy koleje luźne.

KRÓL.
Nie przeto bym się lękał, znam was obu;
Lecz on się wprawił, lżejsza gra z méj strony.

LAERTES.
Ta nieco szływna: inną sam wybiorę.

HAMLET.
Ta mi do ręki. Czy zupełnie równe?

OZRYK.
Tak, mości książe.
(Gotują się do walki.)

KRÓL.
Stół nastawić winem. —
Gdy Hamlet wygra pierwszy raz lub drugi,
Lub w trzeciém starciu będzie miał przewagę,
Niech ognia dadzą z wszystkich dział strzelnice;
Król spełni zdrowie syna i następcy:
Do czary wrzuci perłę tę cenniejszą,
Niż owa którą trzéj królowie duńscy
Koronę swą zdobili. Przy spełnieniu,
Dźwięk trąb i kotłów hasło da moździerzom;
Moździerze niebu, a niebiosa ziemi,

Oznajmią że król pije do Hamleta! —
Zacznijcie; — wy, sędziowie, uważajcie.

HAMLET.

Na miejsce.

LAERTES.

Baczność.

(Składają się.)

HAMLET.

Raz.

LAERTES.

Nie.

HAMLET.

Proszę sądu.

OZRYK.

Dotknięcie było jawne.

LAERTES.

Więc, na nowo.

KRÓL.

Zaczekać. — Synu, perła ta dla ciebie;
Niech żyje Hamlet. — Podać mu tę czarę.

(Odgłos trąb i salwaz dział za sceną.)

HAMLET.

Z koleją drugą pierwéj się załatwię.

(Składają się.)

Na miejsce; baczność. — Jeszcze raz! nie prawda?

LAERTES.

Dotknąłeś mię; nie przeczę, mości książę.

KRÓL.

Nasz syn wygrywa.

KRÓLOWA.

Tusza tchu mu skąpi. —
Weź moją chustkę, niech ci skroń ochłodzi.
Twa matka pije na twą cześć, Hamlecie.

HAMLET.

Dziękuję pani, —

KRÓL.

Nie waż się, Gertrudo.

KRÓLOWA.

Dla czego nie? to zdrowie mego syna.

KRÓL, na stronie.

To śmierć; zatruta czara! już za późno.

HAMLET.

Za chwilę, matko; teraz pić nie będę.

KRÓLOWA.

Chodź, niech ci sama znój obetrę z czoła.

LAERTES.

Ja wreszcie go dosięgnę.

KRÓL.

Czyś jest pewien?

LAERTES, na stronie.

Choć będzie to ze wstrętem, niesumiennie.

HAMLET.

Na trzecią kolej. Proszę nie żartować:
Nacieraj na mnie silnie i na dobre;
Bo mógłbym myśleć że mię masz za tchórza.

LAERTES.

Czy tak? na miejsce.

(Składają się.)

OZRYK.

Z obu stron chybione.

LAERTES.

Ten trzeci mój!

(rani Hamleta.)

KRÓL.

Rozdzielić ich! szaleją.

HAMLET.

Nie, baczność. —

(wytrąca zwinięciem szpadę z rąk Laertesa; zbiera i podaje mu swoją.)

Czwarty raz!

(rani Laertesa.)

OZRYK.

Królowa mdleje!

HORACY.

Krew płynie z obu stron. — Tyś ranny, bracie?

OZRYK.

Laertes także ranny?

LAERTES.

Tak, śmiertelnie.
Jak słomka w sidła własne się złowiłem,
I staję się ofiarą własnéj zdrady.

HAMLET.

Cóż jest królowéj?

KRÓL.

Widząc krew, omdlała.

KRÓLOWA.

Nie, napój, napój ten, — Hamlecie, synu! —
Otrutą jestem: napój ten, — umieram.

(pada.)

HAMLET.

O zbrodnio! — Zamknąć drzwi! szukajcie zdrajcy!

(Laertes pada.)

LAERTES.

To ja. Hamlecie, ja ci śmierć zadałem;
Śmierć już niechybną: bo lekarstwo żadne,
Na pół godziny wstrzymać jéj nie zdoła;
Narzędzie zdrady oto jest w twéj ręce,
Zatrute i bez gałki. Podstęp niecny,
Sam przeciw mnie się zwraca: patrz! tu leżę,
I nigdy nie powstanę. Przy mnie matka;
Jam był wspólnikiem: król, sam król jéj sprawcą.

HAMLET.

I ostrze téż zatrute! — Więc, trucizno,
Kończ coś zaczęła.

(przebija króla.)

WSZYSCY.

Zdrada! król zabity?

KRÓL.

Ratujcie mię! to nic; draśnięcie tylko.

HAMLET.

Masz, ty bezwstydny, ty przeklęty zbójco,
Pijże coś nalał: — a gdzie twoja perła?
Za matką, łotrze.

(Król umiera.)

LAERTES.

Słuszną ma zapłatę;
Do swego źródła jad śmiertelny wraca. —
Przebaczmy sobie i podajmy dłonie;
Niech ojca śmierć i moja ci nie cięży;
A mnie twój zgon!

(umiera.)

HAMLET.

Przyjm nas, litosny Boże!
Za tobą spieszę. — Żegnam cię, nieszczęsna! —
Wam oniemiałym świadkom tych męczarni,

Wam, bladym, drżącym, *którzy tu stoicie,
(Gdyby wierzyciel śmierć mniéj natarczywy
Dał mi przewłokę) * O! mógłbym objawić,
Lecz brak mi tchu, — Horacy mój, umieram;
Ty żyjesz: ty podniesiesz moją sprawę,
Obronisz ją przed ludźmi.

HORACY.

Tak nie będzie:
Jam Rzymianinem więcéj niż Duńczykiem;
Ta kropla mi wystarczy.

HAMLET.

Na twą duszę,
Na życie wieczne, oddaj mi tę czarę;
Ja chcę ją mieć! — O jak sromotném piętnem
Ta śmierć poczwórna imie me naznaczy? —
Jeżelim kiedy miał cię wiernym bratem
Na kilka chwil wyrzeknij się zbawienia,
I miéj odwagę przeżyć mię w téj kaźni,
Daj mi świadectwo prawdy i przyjaźni. —
(* Marsz i wystrzały z dala.)

HORACY.

* Słyszycie?

OZRYK.

Fortynbras powraca z Polski,
Angielskim posłom szląc radosną salwę.

HAMLET.

Horacy! ginę; jad przenika serce:
Już się poselstwa z Anglii nie doczekam;
Lecz przepowiadam że wybory padną
Na Fortynbrasa: z grobu głos mu daję;
Opowiedz mu rzetelnie, co się stało; *
Wiesz że najdroższém było mém życzeniem
Dla kraju zginąć: — Spokój jest milczeniem.
(kona.)

HORACY.

Duch wielki gaśnie. — Dobranoc, Hamlecie;
Aniołów śpiewy niech twój sen kołyszą!
Do nieba z ojcem już otwarta droga.

DUCH, zjawiając się.

Hamlecie! wolnym jesteś. — Tam, do Boga!
(schyla się nad nim i znika.)

HORACY.

* Cóż to?
(Marsz za sceną; wchodzi FORTYNBRAS, Angielscy posłowie z Orszakiem i t. d.)

FORTYNBRAS.

Niech sam obaczę.

HORACY.

Co chcesz widzieć?
Jeżeli cóś strasznego, przestań szukać.

FORTYNBRAS.

Z téj pastwy trąci mord, — O dumna śmierci!
W piekielnéj głębi czy twój dzień świąteczny,
Żeś tyle głów królewskich, jedném cięciem,
Tak srogo zmiotła?

PIERWSZY POSEŁ.

Widok ten przeraża.
Przybycie nasze z Angli się spóźniło,
Bo posłuchania zmarli nam nie dadzą;
Jak donieść im że rozkaz ich spełniony,
Że Rosenkrantz i Gildenstern straceni?
Zkąd mamy wziąść podziękę?

HORACY.

Nie z ust jego,
Choćby nieżywe wam dziękować mogły:
Gdyż on ich śmierci nie dał wam rozkazu.
Lecz skoroście tak rychło po téj rzezi,
Wy z polskiéj wojny, wy posłami z Anglii
Przybyli do nas, każcie by te zwłoki
Podjęto i na marach wystawiono;
Ja zaś opowiem przed bezwiednym ludem,
Jak wszystko to się stało: słyszeć macie
O krwawych, dzikich i potwornych czynach,
Dorywczych sądach i tajemnych zbrodniach,
O śmierciach skutkiem zdrady lub rozpaczy,
Nakoniec, o knowaniach które spadły
Na wynalazców głowę. Ja sam wiernie
Zdam o tém sprawę.

FORTYNBRAS.

Pragniem ją wysłuchać
Gdy panów radnych zbierzem na wybory.
Co do mnie, z żalem dolę mą przyjmuję:
Do tronu Danii mam odwieczne prawa,
A z ludzkich praw najlepszém jest zwycięztwo.

HORACY.

Ja też mam prawo cóś do rady wtrącić,
Z tych ust powzięte, których głos przeważa:
Lecz pierwéj, niech się pogrzeb ten odbędzie,
By ślepy błąd nie sprawił więcéj złego
Niż co zdarzone.

FORTYNBRAS.

Niech rotmistrzów czworo
Na tron wyniosą księcia i zabiorą.
Byłby niechybnie, gdyby doń dostąpił,
I bratobójca życia mu nie skąpił,
Wspaniałym był monarchą: lecz w tym rodzie,
Nieszczęście jest dziedziczném. Przy pochodzie,
Wojenny obrzęd, i ta łza słumiona,
Czém był zaświadczą. — Zwłoki na ramiona. —
Rycerskie ciało w polu cześć odbierze,
Tu jest od rzeczy. Ognia dać, żołnierze!*
(Marsz żałobny. — Wynoszą zwłoki. — Strzał armatni.)

SPRAWOZDANIE.

Zawsze to wielki nabytek dla literatury każdego narodu, jeżeli się zbogaci przekładem jakiego z arcydzieł świata, ma się rozumieć przekładem godnym wzoru. Tym bowiem, a nie innym sposobem odrębności narodowe powinowacą się z tém, co jest ogólno ludzkie, dostrajają się do tych szczytnych tonów, jakiemi grają arcydzieła przez wszystkie wieki, które właśnie dla tego uznanemi zostały za takie, że w nich najgenialniéj i najdoskonaléj schwycone są strony serca i ducha ludzkiego.

Jest nawet obowiązkiem każdéj literatury niemającéj pierwszorzędnego znaczenia w wielkiéj rodzinie literatur świata, przyswajać sobie te utwory, co noszą piętno geniuszu, co zyskały poklask tylu pokoleń, co obudziły tyle współzawodnictw, co nareszcie wpływem swoim stworzyły nowe arcydzieła.

Przyczyna niespożytości takich tworów musi zależeć od czegoś innego, jak od mody, reklamy, chwilowéj tendencyi, koteryjnéj admiracyi. Każdy z nich przeszedł czyszczowe próby; niekiedy rósł w znaczenie, niekiedy spadał do zera, znowu wychodził na świecznik wyniesiony spotęgowanym entuzyazmem, który nie raz odzywał się w kilka wieków późniéj, jakby wynagradzając ten dług, jaki współczesność zaciąga względem geniuszów i talentów, na których poznać się nie umiała.

To pewna, że ta współczesność, nie zawsze bywa ostatnią instancyą w swoich wyrokach — przedmioty jéj admiracyi i uniesień, zwykle wypędzone w górę bieżącemi okolicznościami, blakną po czasie, i ledwo służą za materyał dla historyka, lub bibliografa. Żyły życiem zewnętrznem, a wewnątrz nie miały go; duszy im brakowało, jak i znajomości serca ludzkiego... czyli tych dwóch warunków, bez których żaden utwór nie może mieć przyszłości.

Współczesność nie była dla Szekspira tém, czém jest dzisiaj świat cały... Właśni jego ziomkowie, acz z razu nie mogli obojętnymi być na te cuda geniuszu, jakie przed niemi roztaczał, na te myśli, któremi zdobywał ich serca przebojem, jednakże ulegając wpływom panującéj teoryi literackiéj, długi czas nie śmieli uważać go za to, czém jest. Kwestya formy miała swój przywiléj, którym tyranizowała wszystkie inne własności oryginalnéj kreacyi ducha. Szekspir z prawdą na uściech, bez dworskiéj konwencyonalnéj maniery, namiętny, niepohamowany w języku, gdy przyszło co nazwać po prostu, i bez szkieł różowych zajrzeć w najgłębsze tajniki duszy — uchodził za genialnego dziwaka, który dziwił jak fenomen, ale i odpychał jak dziki człowiek.

Niemal dwa wieki przeszło, zanim świat poznał się na nim i postawił na piedestalu wysokim jak piramida.

W naszéj literaturze ledwo trzy dziesiątki lat, jak się zajęto Szekspirem, i pomyślano o przełożeniu go na język ojczysty. Po wielu nieudatnych i częściowych próbach wziął się do niego na serjo L. Ulrych i rozpoczął przepolszczenie wszystkich jego dzieł, z sumiennością i erudycyą przynależną autorom klasycznym. Praca na ten rozmiar podjęta, nie odstraszyła innych od wystąpienia w zapasy z Anglikiem.

Swieżo P. Krystyn Ostrowski, znany z wielu swoich pism tak po francuzku jak po polsku, zmierzył się z tym olbrzymem sceny, który zwie się Hamletem.

Przekład jego cały miarowym jambem, gdzie niegdzie rymem, wdzięczny do czytania, a w wielu miejscach silny i malowniczy. Znać, że tłómacz dobrze mozolił się, żeby myśli i wyrażenia oryginału nie tylko się nie zatarły w polskim tekscie, lecz owszem godnie stanęły obok. Jest to przekład literackiéj wartości; tłómacz czuł piękności oryginału i starał się oddać je tym językiem, jaki wyrobili nasi najlepsi poeci. Staranność o piękną sukienkę posunął nawet tak daleko, że te miejsca, które u Szekspira są prozą, oddał miarowym wierszem, którego łatwa potoczność nie fałszuje bynajmniéj charakteru oryginału, a w całość wprowadza pewną harmonię. Wszakże tu i owdzie napotkać się zdarza parę zmian w scenach i dodanych kilka wierszy, co choć nie szpeci, ale i nie ozdabia przekładu. Szekspir powinien zostać, jakim jest. Wszakże tych tam kilka drobiazgów objaśniających, nie powinno się liczyć za uchybienie przeciw majestatowi nieśmiertelnego wzoru; nie jest to bowiem takie przeistoczenie Hamleta, jakiego dokonał Schräder, ani takie, jakie zalecał sam Göthe, który plackiem leżąc przed Szekspirem, olśniony jego wielkością, przecież nie może wytrzymać, aby nie przyganić skomplikowanéj akcyi téj tragedyi, doradzając wyrzucenie mnóstwa ustępów pasożytnych; jak najazd Fortynbrasa na Danię, poselstwo do Klaudyusza, wyprawa Fortynbrasa do Polski, powrót jego w ostatnim akcie; przyjazd Horacego z Wittembergu, podróż Laertesa do

Francyi, odjazd Hamleta do Anglii, wzięcie go przez korsarzy, niepotrzebna śmierć dwóch dworaków i t. d.

Za tą wskazówką Göthego obcinane bywają na różnych scenach pomienione dłużyzny, o które jak o krzaki zaczepia się akcya; droga wyrównana, przetrzebiona przez ten las zdarzeń, ma prosto prowadzić do celu... Odkąd duch nieboszczyka króla włożył jéj miecz w rękę, posuwa się naprzód, nie utyka za każdym krokiem, nie błąka się w labiryncie scen. Lecz Hamlet przestaje być tym samym Hamletem, który mając powinność do spełnienia w Danii, daje się wsadzić na okręt i wieźć do Anglii, nie jest to ten sam Hamlet co wzięty przez korsarzy mimowolnie wraca do Danii, co nie mogąc się zdecydować na krok stanowczy, żyje w tak długim wahaniu się, że przez ten czas Laertes podróż odbywa do Francyi, a Fortynbras robi dalekie wyprawy wojenne.

Słowem taki obcięty Hamlet nie jest Hamletem.

Göthe pomylił się chcąc okrzesywać i trzebić las przedpotopowy.

Bez głębokiego zastanowienia się nie można przerabiać takich arcydzieł, fałszować takich testamentów przeszłości. Szczegóły wydające się dla powierzchownego sądu małoznacznemi, tak przecież związane są z całością, że kiedy chcemy usunąć luźny niby epizod, kaleczymy pomysł główny.

Nic podobnego nie spotyka się w tłómaczeniu K. Ostrowskiego — jestto Hamlet całkowity — Hamlet prawdziwy, który do niecierpliwości przyprowadza, gdy go widzimy w tragicznym sporze między ogólném chceniem, a wyłączną powinnością. W téj właśnie postaci tak oryginalnie pojętéj przez Szekspira, dwie sprzeczne walczą ze sobą skłonności: nieograniczony, bezbrzeżny idealizm, i ograniczona ścisła rzeczywistość; wolność i konieczność; jego Hamlet chcieć może wszystkiego, co mu przez głowę przejdzie — lecz spełnić ma tylko jedno — i właśnie ta okoliczność, że chęci jego sięgają po wszystko, czyni go niezdolnym do spełnienia jednéj powinności.

Charakter ten wysoce tragiczny, na wskróś jest nowożytnym. Hamlet wie co robić powinien, objawił mu to duch ojca, głos z za grobu rozkazał... Ma on wolę do spełnienia téj powinności; wszystko co go otacza, ten bratobójca na tronie, ta matka żoną mordercy swego męża — przypomina mu, aby zemsty za spełnioną w skrytości zbrodnię nie zwlekał... Co więcéj, on sam podnieca w sobie determinacyę przedstawieniem żywego obrazu na scenie — a mimo tego nie może się na czyn zdobyć; od postanowienia sam się odwodzi argumentami, w które mota się jak w pajęcze sieci i staje się niezdolnym do działania. Nie darmo chodził on na kurs filozofii w Wittembergu, gdzie nauczył się szperać w subtelnościach i szermować *pro* i *contra*. Na wszystko ma gotowy argument, kazuistyczny wybieg, utrzymujący go w ciągłéj wątpliwości, a nie dający ani krzty przekonania. I tak, kiedy towarzysze zaklinają go, aby nie szedł za duchem, który go woła za sobą — odpowiada:

Czegoż mam się lękać?
Złamanéj szpilki życie to nie warte;
A co do duszy — w czém jéj szkodzić może,
Gdy nieśmiertelna jak on sam istota?

Pięknie rzekł — ale nie z przekonania — bo zkądże znowu ten sławny monolog: Czy żyć czy umrzeć? w którym straszy się tém, co go za grobem czeka:

Ta jedna trwoga w tchórze nas przerabia;
Bo zamiar zmienia swą pierwotną barwę,
Gdy rozmyślania bladość ją powlecze;
Bo przedsięwzięcie śmiałe i stanowcze
Przed progiem tym swój prąd na wspak odwraca
I traci nazwę czynu...

Rozpadnięcie się wewnętrznéj jego istoty, wypowiedziane tu, pokazuje że z tym usposobieniem nigdy do czynu nie przyjdzie — a jednak poprzysiągł był duchowi swego ojca, że pamięć jego

z księgi swéj wykreśli
Co w niéj zostało miałkie, lub powszednie,
Piśmienną mądrość, szkolnych lat wrażenia...
By rozkaz twój na białéj karcie myśli
Samotny jaśniał, jak promienne słońce.

I mimo tego — prawdziwy student niemiecki — notuje sobie w pularesie, żeby przypadkiem nie zapomniał co ma zrobić... Rys komiczny, lecz mistrzowsko charakteryzujący tę naturę młodzieńca z głową nabitą książkową uczonością, a niesposobną do energii czynu. Hamlet może być i dyplomatą i filozofem i erudytą i salonowcem — ale nigdy tym, jakim być powinien. Natura dyletancka, perełka towarzyskiego życia, gdyby nie to przeznaczenie które go ciśnie koniecznością czynu — niezdolny do wykonania, co chwila wpada na manowce, wykręca się jak może, sam siebie przeklina, że tchórz, że nie ma żółci; porównywa się z aktorem, który udaną sceną potrafił go wzruszyć, kiedy on, co tak straszną zbrodnię ma pomścić, cofa się przed rzeczywistością.

Za każdym krokiem, gdzie Hamletowi działać potrzeba, zastępuje mu drogę nieszczęśliwa mania analizy; naciągane skrupuły i sentencye...

Najsposobniejszą ma chwilę do zamordowania króla, gdy ten zbrodniarz, szarpany zgryzotą, modli się — lecz Hamletowi zaraz przychodzi uwaga:

Sam, klęczący!
Mógłbym dokonać teraz, gdy się modli;
Zabiję ciało — dusza w raj odleci... —

W powiedzeniu tém widać, jak chciałby, aby kara równała się okropności popełnionéj zbrodni — odkłada więc na inny raz... Za to w następnéj scenie zabija biednego Poloniusza skrytego za oponą... Zkądże zdobył się na tyle odwagi? Oto bo mniemany wróg nie stał przed nim oko w oko, a najbardziéj, że nie miał czasu do namysłu.

Genialność Szekspira najpotężniéj występuje w wynalezieniu tych wszystkich dramatycznych sytuacyj, z których każdą porównałbym do mistrzowskich cięć dłuta rzeźbiącego ten charakter nowożytnego człowieka miotanego mnóstwem nieograniczonych żądz, a niezdolnego do spełnienia jednéj powinności — człowieka, na którym jak starożytne fatum cięży wołanie z tamtego świata: pomścij mię synu! ukarz mordercę! Duch tajemniczy wskazuje mu co ma robić, jaką powinność spełnić — a on do

spełnienia jéj nie ma siły, nie ma heroizmu antyku — istota marząca, miękka, idealna, kobieca, łamie się o tę konieczność.

Hamlet tak pojęty, nie mógł być inaczéj przeprowadzony tylko w sposób, w jaki go Szekspir przedstawił, z wszystkiemi temi epizodami, które nie raz wydają się jakby niepotrzebne zawady w pochodzie akcyi. Gdyby poecie nie szło o nic więcéj tylko o historyczną anegdotę, byłby się z nią prędko uwinął, król uzurpator mógł ginąć z ręki Hamleta, czy to podczas przedstawienia komedyi, kiedy zdradził swoje pomięszanie, czy potém, kiedy go tenże zeszedł na modlitwie. Ale nie! poecie szło o to, żeby Hamlet padł pod brzemieniem téj powinności —jakoż, kiedy w końcu ją spełnia, to i sam z ofiarą swéj zemsty stacza się do grobu... Jest to tragedya w całém znaczeniu wielkości i mocy. Żelazna konieczność spoiła się w niéj tak szczelnie z naszém chceniem, które zawsze bywa słabe i małe, że wydała to arcydzieło tragiczne. Dzisiejsze dramata obfitujące w bohaterów umiejących tylko chcieć, a nie troszczących się o powinność, odpowiadają naszéj słabości i wyciskają łzy, ocierając je nakoniec skutkiem szczęśliwego obrotu wypadków. W dzisiejszym dramacie niezawodnie autor ożeniłby Hamleta z Ofelią — i żyliby szczęśliwi, dopóki by nie pomarli.

Co jeszcze ma Szekspir, czego nie spotyka się w dzisiejszych dramatycznych utworach — a co uważam za potrzebne dla zbudowania piszących i ocucenia smaku dobrego w publiczności zbyt może pobłażliwéj dla potworów przechadzających się po deskach — to przedmiot, że jego kreacye, czy należące do kategoryj szlachetnych i dobrych, czy nikczemnych i złych, zawsze są interesującemi, i raz widziane i poznane zostają w pamięci, dla tego, że każda z nich ma piętno charakteru, jaki zatrzymuje, dopóki nie zniknie ze sceny; kiedy nowe kreacye zazwyczaj bywają dziećmi wypadków, podobne do kamyków w łożysku rzeki wytartych i wyszlifowanych jéj prądem, a zatém nie mogących rywalizować z Szekspirowskiemi granitami, co nieraz kładą się na poprzek prądu i zmieniają bieg rzeki wypadków.

Przypatrzmy się z osobna kilku figurom téj jego tragedyi. Hamlet — ów niezdecydowany Hamlet, ów marzyciel, paradoksista, pedant, a na domiar ironista w każdém słowie, że nie wiedzieć kiedy na prawdę mówi, a kiedy szydzi — jakiż to sympatyczny młodzieniec w kole swoich przyjaciół, jaki uroczy kochanek, kiedy taką miłością natchnął piękną Ofelię!... Portret jego skreślony przez kochankę w tych słowach:

> Myśl mędrca, miecz rycerza, godność księcia,
> Nadzieja ludu, kwiat Ojczyzny naszéj,
> Źwierciadło sztuki, wzór dobrego smaku,
> Cel wszystkich spojrzeń...

wcale nie trąci pochlebstwem... takim on jest w gruncie — czujesz to, że takim jest, choć się przedstawia w barwie splenisty, szaleńca.

A król? ów uzurpator i morderca, który wstręt obudzać powinien, gdy go nam Hamlet maluje w czarnych kolorach — bynajmniéj nie robi osobą swoją tego wrażenia, owszem interes znajduje się i dla niego, jako dla bardzo nieszczęśliwego człowieka omotanego w sieć popełnionéj zbrodni, wreszcie jak dla pana pełnego godności, który ma dar ujmowania, tak jak ujął serce wdowy po zamordowanym bracie.

Poloniusz — to prawdziwy dworak-polityk, roztropny, dobry do rady, w potrzebie przebiegły. Miłości Hamleta do swéj córki, przypisuje powód jego stanu obłąkania i lęka się odpowiedzialności, w razie, gdyby go podejrzywano o sprzyjanie tym miłostkom — to robi go tak roztargnionym, tak nawet śmiesznym w rozmowie z Hamletem. Śmierć jego przez pomyłkę nie jest obojętną dla widza...

A Ofelia! Urocza ta postać ledwo kilkoma rysami naznaczona, a ile tam wdzięku, kokieteryi, miłości, dowcipu, powagi błyska w przelocie, żeby pogrążyć się w rozpacz i obłąkanie, w którém jak w potłuczoném źwierciedle odbija się cała jéj kobiecość niegdyś tak czarująca...

> W jéj słów niełądzie jest uroku tyle,
> Że własną myślą słuchacz je dopełnia;
> Gdyż tak wymowna ruchem i spojrzeniem,
> Że można przysiądz, iż w tym śnie zawarta
> Myśl niewyraźna, lecz nadzwyczaj smętna.

Głębokie to psychologiczne studyum ta Ofelia, piękna i czarująca nawet po stracie rozumu! Geniusz Szekspira robiąc ją obłąkaną, przerzuca ją, tę świetną gwiazdę królewskiego dworu, w dziewczynę z gminu śpiewającą piosenkę ludową, zbierającą zioła po polu, podobną do tych żebraczek siadających pod kościołem... Szaleństwo damy wielkiego świata, przedstawione w tym charakterze, wypłynęło z niezmiernéj znajomości życia ludzkiego... Dziewczyna z gminu wpadłszy w obłąkanie, miałaby się za królowę...

Od czasu Szekspira kuszono się nieraz wprowadzać obłąkane istoty na deski teatralne, do poematów, do romansów; atoli są to zaledwo blade kopie Ofelii — mogą mieć odmienny, inny nawet rodzaj obłąkania — a przecież kreacyami nie są. Szekspir jak Jehowa, raz tylko stwarzał swoich ludzi.

Możnaby jeszcze przejść całą litanię Hamletowskich osób, tych dworaków, wojowników, aż do grabarza filozofującego o marnościach życia, żeby pokazać, jak każda z nich stoi na własnych nogach, rusza się o własnéj sile — żyje... Ale to rzecz wiadoma, że Szekspir z abstrakcyami nie mając nic do czynienia, nie wyprowadzał na scenę manekinów, mających reprezentować idee. On spowiadał naturę człowieka i brał go takim, jakim jest — w tém jego specyalność. Naśladowcom zdaje się, że on brał idee i kostiumował je. Aplikują więc tę teoryę do swoich wyrobów, i w rezultacie otrzymują — martwe dusze.

Czy Hamlet cały jak jest, pokaże się u nas na deskach sceny? to mało obchodzi. Więcéj bowiem niż przedstawienia téj tragedyi, życzyćby należało czytania jéj, tak, jak nieboszczyk Tiek na literackich wieczorkach u siebie w Dreznie, zwykł był czytywać. Ci którzy go słyszeli, jednogłośnie przyznają, że wychodzili z pełniejszém wrażeniem po takim odczycie, niż z przedstawienia w teatrze. Szekspir ma to bowiem do siebie, a jestto spostrzeżenie Göthego, że sztuki jego można słuchać z zamkniętemi oczyma, i z pomocą własnéj fantazyi kostiumować osoby i dekorować scenę. Wtedy nic nas nie razi, ani niedostatki gry aktorów zwykle niedorosłych do miary olbrzyma, ani przybory dekoracyi i maszyneryi. Pierwsi spektatorowie w budzie teatralnéj Szekspira, gdzie scena

ubraną była tylko w kobierce i sprzęty, zastępujące pałac, las, morze, miasto, a zmianę dekoracyi oznaczały napisy, że scena w Troi, w Weronie, w Danii, w Rzymie, winni byli resztę dopełniać wyobraźnią... Już tu nic nie przeszkadzało jéj polotowi; żadna trudność nie krępowała jéj skrzydeł porwanych wszechmocném poety słowem, z którego sypały się wszystkie te akcesorja, jakie malarz i maszynista sili się dziś uzmysłowić.

Szekspir bowiem ma ten przymiot nieoceniony, że dość słyszeć co mówią osoby jego dramatów, aby zrozumieć działanie, nie patrząc na nie. Świat zewnętrzny, zmysłowy, tak odbija się w świecie jego wnętrznym, że same słowa wystarczają na odmalowanie i uobecnienie go. Jest to zatém prawdziwy dramat charakterów, z których rozwija się całość, będąca konsekwentnym ich wynikiem. Dość żeby ta lub owa osoba otworzyła nam tajniki duszy, a już sama z siebie narysuje się jéj zewnętrzna postać i fizyonomia. Dla tego, jak rzekło się wyżéj, słuchać Szekspira z zamrużonemi oczyma, więcéj dać może zadowolenia niż zmysłowe przedstawienie. Dobrze ktoś powiedział, że z pojawieniem się tego utworu tak współczesnym, jak dzisiejszym, przybył jeden zmysł więcéj.

Lucyan Siemieński.

19 maja 1870.

ANTONIUSZ I KLEOPATRA

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH W. SZEKSPIRA

OSOBY

MAREK-ANTONIUSZ, OKTAWIUSZ-CEZAR, M. EMILJUSZ-LEPID. — Tryumwirowie.

SEKSTUS-POMPEJ.

DOMICYUSZ-ENOBARBUS, *WENTYDYUSZ,*[1] EROS (rola żeńska), SKARUS, DERCETAS, *DEMETRJUSZ,* *FILON.* — Stronnicy Antoniusza.

MECENAS, AGRYPPA, DOLABELLA, PROKULEJ, TYRREUSZ, GALLUS. — Stronnicy Cezara.

1. Można wypuścić, dla łatwości przedstawienia.

MENAS, *MENEKRAT,* *WARJUSZ.* — Stronnicy Pompeja.

TAURUS, namiestnik Cezara.

KANIDYUSZ, namiestnik Antoniusza.

SYLJUSZ, rotmistrz Wentydyusza.

EUFRONIUSZ, postaniec Antoniusza.

ALEKSAS, MARDYAN, SELEUKUS i DYOMED, dworzanie Kleopatry.

WIESZCZ i PACHOŁEK.

KLEOPATRA, królowa Egiptu.

OKTAWIA, siostra Cezara, żona Antoniusza.

CHARMION, IRAS, — dziewczęta Kleopatry.

ROTMISTRZE, ŻOŁNIERZE, POSŁAŃCE I SŁUŻBA.

Scena w różnych częściach rzymskiego państwa.

AKT PIERWSZY.

SCENA I.

W Aleksandryi. Pokój w pałacu Kleopatry.

DEMETRJUSZ i FILON[1].

FILON.

Wiesz co, ten dziwny szał naszego wodza
Przechodzi wszelką miarę; te spojrzenia,
Co nad rotami wśród wojennych znaków
Jak zbrojny Mars jaśniały, dziś przyćmione,
Spływają z wątłym swych promieni blaskiem
Na śniadą skroń kochanki: to lwie serce
Co dawniéj w zgiełku strasznych walk zrywało
Pancerza łuski, dziś bez hartu bije
Jak miech lub wachlarz, niby dla chłodzenia
Cygańskiéj chuci. Otóż on i ona.

(Odgłos trąb. ANTONIUSZ i KLEOPATRA wchodzą z Orszakami. Rzezańce wachlujące królowę.

Uważaj pilnie, poznasz w nim ze smutkiem
Ów trzeci filar świata dziś przebrany
Za śmieszka téj wietrznicy; patrz i słuchaj.

1. *Kanidyusz i Enobarbus.*

KLEOPATRA.

To miłość, mówisz; jakaż jéj potęga?

ANTONIUSZ.

Do morskiéj głębi żaden wzrok nie sięga.

KLEOPATRA.

Jéj kres ostatni dziś mi poznać trzeba.

ANTONIUSZ.

W niéj nie ma kresu, jak w obszarze nieba.

SŁUŻĄCY, wchodząc.[1]

Posłowie z Rzymu.

ANTONIUSZ.

Dręczą mię: mów żywo.

KLEOPATRA.

Racz, Antoniuszu, dać im posłuchanie:
Czy Fulwia może gniewna? lub, zapewne
Bezwłosy Cezar listem ci oznajmia
Najwyższą wolę: « Uczyń to lub owo;
Weź to królestwo, temu daj swobodę;
Tak postąp, ja ci każę. »

ANTONIUSZ.

Dość, kochanko!

KLEOPATRA.

A może też, — to najpodobniéj będzie, —
Nie wolno ci tu bawić; sam Oktawiusz
Przysyła ci odprawę; bądź posłuszny. —
Gdzie Fulwii list? Cezara? — nie, obojga? —
Przywołać gońców. — Jakem z krwi królewskiéj,
Rumienisz się, mój drogi; twój rumieniec
Hołd Cezarowi składa, czy małżonce;
Wstyd mu swarliwéj Fulwii. — Gdzie posłowie?

ANTONIUSZ.

Niech Rzym się w Tybr zapadnie, niech powały
Cesarstwa runą! Tu mój świat, przy tobie.
Królestwa to są śmieci: ziemia karmi
Bydlęta z ludźmi: cześć najwyższa życia
To kochać się jak my, gdy jedna dusza,
W dwóch bliźnich sercach płonie; w tym uścisku
Wyzywam świat, by zeznał pod zaklęciem,
Że równych nam nie było.

KLEOPATRA.

Milcz, obłudny!
Czyś bez kochania Fulwię wziął za żonę?
Jam przecież nie szalona, choć udaję;
Tyś Antoniuszem zawsze.

ANTONIUSZ.

Twém igrzyskiem. —
Na miłość méj miłości, na twe szczęście,
Nie traćmy chwil na te dotkliwe spory:
Niech każda w życiu nam otwiera nowych
Słodyczy zdroje. Jaka dziś zabawa?

KLEOPATRA.

Przyjęcie gońców.

ANTONIUSZ.

Fe, królowo sprzeczna!
U któréj wszystko wdziękiem, złość, uśmiechy,
A nawet płacz; bo żądza lub cierpienie,
Upiększa się powabem jéj oblicza.
Precz z posłańcami; sam na sam chcę z tobą
Przechadzać się po mieście, by dokładniéj
Obyczaj ludu poznać. Chodź, królowo,
Na rozkaz twój. — O gońcach ani słowo.

(Antoniusz i Kleopatra wychodzą z Orszakami.)

DEMETRJUSZ.[1]

No cóż, Cezara poseł tak przyjęty?

FILON[2].

A tak; Antoniusz, gdy tym szałem tknięty,
Zbyt często z siebie tę powagę zrzuci
Co z Antoniuszem wzrosła.

DEMETRJUSZ.

To mię smuci,
Że sam potwierdza wszystko co w téj dobie
Rzym o nim głosi. Bogom cześć i tobie.

(Wychodzą.)

SCENA II.

Tamże.

CHARMION, IRAS, ALEKSAS i WIESZCZ.

CHARMION.

Aleksas, Aleksuniu mój najsłodszy,
Najzupełniejszy z mężczyzn, i najmłodszy,
Gdzie wieszcz któregoś pani wciąż zalecał?
Ja chcę go poznać. Wszakeś jéj obiecał
Że nam przepowie złą i dobrą dolę?

ALEKSAS.

Wróżbito!

WIESZCZ.

Jestem.

CHARMION.

Starzec i pachole:
Ach, on nie widzi!

WIESZCZ.

Lecz w przyrody księdze,
Oczyma duszy, badań mych nie szczędzę.

ENOBARBUS, wchodząc.

Zastawiać ucztę! gości tłum jak mrowie:
Dziś będziem pić na Kleopatry zdrowie.

CHARMION.

Mój światły wieszczu, daj mi wróżbę szczęścia.

WIESZCZ.

Nie tworzę jéj, zgaduję.

ALEKSAS.

Trzy zamęźcia

CHARMION.

Czy mam z miłości umrzeć, lub gorączki?
Dziewicą, lub małżonką?

ALEKSAS.

Daj mu rączki

CHARMION.

Wszak jednéj dosyć.

WIESZCZ.

Obie. — Krąg zawarty;
Duch mi wskazuje twéj przyszłości karty. —
Urośniesz w piękność pod roskoszy skrzydłem.

1. *Mardyan.*

1. *Kanidyusz.*
2. *Enobarbus.*

CHARMION.
Utyję trochę.
IRAS.
Schudniesz pod bielidłem.
CHARMION.
Fe, nie chcę zmarszczek!
ALEKSAS.
Nie bądźże natrętną;
Uważaj.
CHARMION.
Cicho!
WIESZCZ.
Masz odwagi piętno:
Od ulubieńca kochać masz goręcéj.
CHARMION.
Napojem grzać go będę. I cóż więcéj?
ALEKSAS.
Aż biedak zaśnie.
CHARMION.
Wywroż mi co lubię!
Więc, niech trzech króli w jednym dniu zaślubię,
I wszystkich w rok utracę: w pięćdziesięciu
Gdy mi się syn urodzi, przy dziecięciu
Judejski Herod będzie bił pokłony:
Oktawiusz Cezar gdy zapragnie żony
Niech mię wybierze a nie Kleopatrę,
Tak blaskiem własnym ród królewski zatrę.
WIESZCZ.
Przeżyjesz ją.
CHARMION.
Wybornie! Precz intrygi;
Mnie życie słodsze niż zatrute figi.
WIESZCZ.
*Co było lepsze, niż co będzie z bliska.
CHARMION.
To jest, że spłodzę dzieci bez nazwiska.
A iluż synów Izys mi przysądza?
WIESZCZ.
O! jeśli każda twa miłosna żądza
Zapłodni żywot, najmniéj dwa miljony.
CHARMION.
Ja mu przebaczam, guślarz ten szalony.
ALEKSAS.
Twój rąbek świadkiem żeś jest przy nadziei.
CHARMION.
Na ciebie, Iras.
ALEKSAS.
Każdy po kolei.*
ENOBARBUS.
Ja zaś wywróżę wielu z was i sobie,
Na śmierć hulankę.
IRAS.
Wszak te ręce obie
Zwiastują czystość.
CHARMION.
Tak jak wylew Nilu
Zwiastuje głód.
IRAS.
Zalotny mój motylu,
Nie znasz się na tém.
CHARMION.
Jeśli dłoń tak wiotka
Nie jest płodności znakiem u podlotka,
To ja nie mogę skubnąć się po uszku. —
Wróż jéj poślednią dolę, mój staruszku!
WIESZCZ.
Do twéj podobna, jak dwie krople deszczu.
IRAS.
Wszak moja dłuższa choć o cal, mój wieszczu!
CHARMION.
Cal czy dwa sążnie, skądże ci ta mrzonka?
Co chcesz mieć dłuższém?
IRAS.
Toć nie nos małżonka.
CHARMION.
*Od grzesznych myśli chrońcie nas bogowie!
Zbliż się, Aleksas, — niech ci też przepowie. —
Nastręcz mu żonę szpetną, jak on właśnie,
Zaklinam cię, cna Izys: gdy ta zgaśnie,
Racz mu dać gorszą, po niéj gorszą jeszcze;
Aż co najgorsza, spiąwszy go jak w kleszcze,
Powlecze go na cmentarz, niby z płaczem,
Pięćdziesiąt razy wdowcem i rogaczem.
Choćbyś mię odjąć miała z twéj opieki,
Spraw to, cna Izys!
IRAS.
Amen i na wieki.
Wszak ludzka prośba boską moc zwycięża;
Bo jeśli to zgorszenie widzieć męża
Zacnego z lichą żoną, to sromota
Gdy jaki bałwan, urwisz i niecnota
W małżeńskim wieńcu rogów nie dostanie;
Bogini wielka, spełnij to żądanie,
I obdarz go porządnie!
CHARMION.
Niech tak będzie.
WIESZCZ.
Wysoko się wyniesiesz na urzędzie,
Bo będziesz wisiał.
ALEKSAS.
Każę cię ochłostać. —
Już wolę mężem niż wisielcem zostać.
Patrz, te gołąbki, by mi rogi sprawić,
Gotowe same na targ się wystawić.*
ENOBARBUS.
Antoniusz idzie.
CHARMION.
Nie, królowa gniewna.
KLEOPATRA, *wchodząc.*
Gdzie pan wasz?
ENOBARBUS.
Nie wiem.
KLEOPATRA.
Był tu, jestem pewna,
Bo zbiegł przedemną.
CHARMION.
Jam go nie widziała.
KLEOPATRA.
Zdał się wesoły; nagle go zawiała
Myśl jakaś rzymska, spojrzał na mnie krzywo, —
Wszak Enobarbus?
ENOBARBUS.
Zdrów.

KLEOPATRA.

Znajdź go co żywo,
I sprowadź mi. Aleksas!

ALEKSAS.

Na usługi. —
Otóż się zbliża.

(ANTONIUSZ wchodzi z Posłańcem [1] i Służbą.)

KLEOPATRA.

Nie chcę mu raz drugi
Przebaczyć : chodźmy.

(Wychodzą Kleopatra, Enobarbus, Aleksas, Iras, Charmion, Wieszcz i Słudzy.)

POSŁANIEC [2].

Fulwia bój zaczęła.

ANTONIUSZ.

Z Lucyuszem, moim bratem?

POSŁANIEC.

Tak : lecz wkrótce
Zawarto pokój ; a gdy wzgląd przeważny
Skojarzył ich przeciwko Cezarowi,
Ten, obrotniejszy, zmiótł ich z pól Italii,
Przy pierwszém starciu.

ANTONIUSZ.

Nic gorszego nie ma?

POSŁANIEC.

Zła wieść zaraża tego kto ją głosi.

ANTONIUSZ.

Tak, jeśli spotka tchórza, lub ciemięgę. —
Więc dalej : dla mnie, to co przeszło, niczém. —
Kto głosi prawdę, choćby śmierć w niéj była,
Ten mi pochlebia. Cóż więc?

POSŁANIEC.

Labienus
(To przykra wieść) z Partyjskim swym zastępem
Aż po za Eufrat Azyi kres posunął;
Zwycięzkim znakiem wionął z gór Libanu
Przez Lidyą i przez Jonią : gdy —

ANTONIUSZ.

Antoniusz,
Chcesz mówić, —

POSŁANIEC.

Panie!

ANTONIUSZ.

Mówże bez ogródek,
Powszechnéj wieści nie szczędź mi odgłosu;
Zwij Kleopatrę jak ją zwie lud rzymski;
Szydź z nas przekąsem Fulwii, skarć obłędy
W swobodzie całéj, z jaką złość potępia
Gdy zbrojna prawdą. O! my chwasty płodzim
Gdy życia prąd mniéj silny; mówić szczerze,
To pleć ten kąkól. Zostaw mię na chwilę.

POSŁANIEC.

*Powolne służby.

(wychodzi.)

ANTONIUSZ.

Jest tam kto z Sycyonu?

SŁUŻĄCY.

Od świtu goniec czeka.

1. Z Kanidyuszem.
2. *Kanidyusz.*

ANTONIUSZ.

Niech się zjawi. —
Rozerwać muszę te egipskie pęta,

(Drugi Posłaniec wchodzi.)

Lub zginę w nich splątany. — Kto ty jesteś?*

DRUGI POSŁANIEC. [1]

Twa żona Fulwia zmarła.

ANTONIUSZ.

Gdzie?

DRUGI POSŁANIEC.

W Sycyonie :
Choroby przebieg, i szczegóły bliższe
Tyczące ciebie, w liście tym zawarte.

(list mu oddaje i wychodzi.)

ANTONIUSZ.

Duch wielki gaśnie. Tegom się spodziewał:
Co zbyt porywczo przez nas odtrącone,
To pragniem znów posiadać; skarb dzisiejszy
Przez nawyknienie, staje się bezcennym
A nawet wstrętnym : żal mi jéj po zgonie;
Wzgardziłem żywą, a za martwą gonię.
Z téj czarodziejki sideł się wyzwolę;
Jéj gusła mi zwiastują gorszą dolę
Niż jest obecna, sto tysięcy razy. —
Héj! Enobarbus!

ENOBARBUS, wchodząc.

Jestem na rozkazy.

ANTONIUSZ.

Dziś, co najspieszniéj, w drogę się gotujem.

ENOBARBUS.

Więc wszystkie żony na raz wymordujem.
O lada kłótnię łzy im z oczu płyną :
A cóż dopiero gdy uciekniem, zginą.

ANTONIUSZ.

Mnie trzeba ztąd wyruszyć.

ENOBARBUS.

Na to zgoda,
Gdy jest konieczność; lecz inaczéj, szkoda
Tak czułe serca taką truć boleścią.
Już Kleopatra, za najmniejszą wieścią
Odjazdu mdleje : stokroć już widziałem
Jak u niéj chętnie duch się żegna z ciałem.
Śmierć jakąś roskosz musi nań wywierać,
Gdy jéj tak lubo konać i umierać.

ANTONIUSZ.

Kobieta chytra jak prawników dwieście.

ENOBARBUS.

Bynajmniéj! wszystkie żądze jéj niewieście,
To czysty żar miłości. Jéj tęsknoty,
Łzy lub omdlenia, to nie drobne słoty;
To burze srozsze niż o jakich wzmianka
W stu kalendarzach : jeśli ta kochanka
Jest chytrą, zmokniesz i trzęsiączkę złowisz;
Bo mgły ma gęstsze niż ulewny Jowisz.

ANTONIUSZ.

Bodajbym jéj nie poznał!

ENOBARBUS.

Ciesz się raczéj
Żeś widział cud Egiptu! gdyż inaczéj
Nie było po co jeździć aż za morze.

1 *Kanidyusz.*

ANTONIUSZ.

Wiesz, Fulwia zmarła.

ENOBARBUS.

Zmarła? być nie może!

ANTONIUSZ.

Tak jest.

ENOBARBUS.

Dzięczynną bogom złóż ofiarę.
Gdy zgon rozłączy źle dobraną parę,
W ich sądzie człowiek swych poznaje zbawców:
I ma w tém ulgę, że z przemysłem krawców,
Z łatanéj sukni, mu wykroją nową.
Gdyby płeć żeńska zgasła z twą połową,
O! byłbyś godzien ich litości, bracie:
Lecz na pociechę w téj dotkliwéj stracie,
Za szare płótno tafty cię otulą;
Chcesz po niéj płakać? natrzéj brwi cebulą.

ANTONIUSZ.

W cesarstwie rzymskiém sprawy z niéj poczęte,
Nie cierpią zwłoki.

ENOBARBUS.

Te zaś co napięte
Przez Kleopatrę, z łaski twéj kolego,
Zależą całkiem od spoczynku twego.

ANTONIUSZ.

Dość płochych rozmów. Idź oznajmić wodzom
Zamiary nasze. Ja zaś Kleopatrze
Wyjaśnię sam konieczność téj podróży,
I serce jéj przychylę: bo nietylko
Śmierć nagła Fulwii, i ważniejsze względy,
Wzywają nas do Rzymu, lecz usilne
Spólników naszych i przyjaciół listy
Ku temu dążą. Sekstus, syn Pompeja,
Wszczął bój z Cezarem; już wyłącznie rządzi
Na oceanie: a nasz lud niewdzięczny
(Co zasłużonym winną część przywraca,
Gdy służyć mu przestaną) wskrzesza ojca
Potęgę, wielkość i godności wszelkie,
W żyjącym synu: który krwią, nazwiskiem,
Wybitniéj jeszcze męztwem się odznacza
I w sławę wzrasta; te przymioty z czasem
Groźnemi stać się mogą. Są to kiełki
Jak włos rumaka, już mające życie,
Nim węża jad mieć będą. Naszą wolę
Setnikom odnieś, powiedz że dziś jeszcze
Chcę ztąd odpłynąć.

ENOBARBUS.

Rozkaz twój obwieszczę.

(Wychodzą.)

SCENA III.

Tamże.

KLEOPATRA, CHARMION, IRAS i ALEKSAS.

KLEOPATRA.

Gdzież on jest?

CHARMION.

Jeszczem spotkać go nie mogła.

KLEOPATRA.

Idź zobacz gdzie jest, z kim i co porabia:
Lecz nie mów nic od kogo. — Jeśli smutny,
Gotowam tańczyć; jeśli przy zabawie,
Poprosisz o lekarza: idź, i wracaj.

(Aleksas wychodzi.)

CHARMION.

Jeżeli pani lubym jest, ja myślę
Że nie tą drogą zmusić go potrafim
Do wzajemności.

KLEOPATRA.

Cóż byś ty czyniła?

CHARMION.

Schlebiałabym we wszystkiém, bez oporu.

KLEOPATRA.

Szalona jesteś, wnet by mię porzucił.

CHARMION.

Wciąż mu przymawiasz, drażnisz bez potrzeby:
Do czasu znosim to co nas uciska.

(ANTONIUSZ wchodzi.)

Patrz, oto wchodzi.

KLEOPATRA.

Słabam i stęskniona.

ANTONIUSZ.

Z boleścią wielką jéj wynurzyć muszę, —

KLEOPATRA.

Odprowadź mię ztąd, Charmion, bo upadnę:
To trwać nie może, żadna pierś niewieścia
Nie zniesie tylu cierpień.

ANTONIUSZ.

Racz łaskawie, —

KLEOPATRA.

Ach, oddal się cokolwiek.

ANTONIUSZ.

Nie rozumiem.

KLEOPATRA.

Ja z oczu twych zgaduję wieść radosną.
Co pisze ci małżonka? Możesz jechać:
I nawet żal mi żeście się rozstali!
O! niech nie myśli że to ja cię wiążę,
Do tego nie mam prawa; tyś jéj mężem.

ANTONIUSZ.

Bogowie świadczą, —

KLEOPATRA.

Bo też nigdy żadna
Nie była tak zdradzoną; choć od razu
Dostrzegłam szczep téj zdrady.

ANTONIUSZ.

Kleopatro, —

KLEOPATRA.

Jak mogłam wierzyć żeś jest moim, szczerze,
Chociaż Olimpem trzęsły twe zaklęcia,
Ty coś jéj skłamał? To szalona zbrodnia,
Dać się uwikłać w te przysięgi szumne,
Nim przebrzmią już złamane!

ANTONIUSZ.

Pozwól, pani, —

KLEOPATRA.

Nie szukaj czczych wymówek, jedź do domu,
Szczęśliwa droga: gdyś się mnie zalecał,
Na słowa czas był wtedy; nierozłączna

Osiadła wieczność w ustach i spojrzeniach;
Łuk brwi promienił szczęściem ; skroń i członki
Nosiły piętno niebios : jam ta sama,
Lub ty, największy dziś wojownik w świecie,
Tyś jest największym kłamcą.

ANTONIUSZ.

Dość, królowo!

KLEOPATRA.

Twój wzrost bym rada mieć; byś się przekonał
Że nie brak serc w Egipcie.

ANTONIUSZ.

Racz mię słuchać.
Niezbędny los odemnie dziś wymaga
Chwilowych usług, lecz to serce nigdy
Niewiernem ci nie będzie. Nad Włochami
Lśni miecz domowéj wojny : syn Pompeja
Nadpływa zbrojno do przystani Rzymu:
A równość dwóch walczących stron podwaja
Zaciętość walki. Wróg, rosnący w siłę,
I w miłość wzrasta : ztąd wygnaniec dawny,
Zamożny w cześć ojcowską, garnie serca
Tych wszystkich którzy na obecnym rządzie
Nic nie zyskali, a tych liczba groźna;
I co by radzi, choć gwałtownym środkiem
Swój los naprawić. Co mój wyjazd nagli,
Ten wzgląd u ciebie winien mieć uznanie,
To śmierć méj żony.

KLEOPATTA.

Jeśli nie z płochości,
Z dzieciństwa przecież wiek mój mię wyzwala, —
Czy Fulwia może umrzeć?

ANTONIUSZ.

Już nie żyje.
Masz list, przy wolnéj chwili niech ci powie
Co burz podniosła; w końcu, to najlepsze,
Gdzie, jak i kiedy zmarła.

KLEOPATRA.

O niewdzięczny!
Gdzie święte bańki które łzy małżonka
Napełnić mają? Teraz już przeczuwam
Po śmierci Fulwii, co mię samą czeka.

ARTONIUSZ.

Już przestań bluźnić, dowiedz się nareszcie
Co w mym zamyśle żyje lub umiera,
Jak sama mną rozrządzisz : na to słońce
Co Nilu muł zapładnia, jam dozgonnie
Twym jeńcem, sługą, zdając mir lnb wojnę
Na twoją łaskę.

KLEOPATRA.

Przetnij mi sznurówkę. —
Nie, Charmion, zostaw. — Mdleję, znów mi lepiéj,
To jak twa miłość.

ANTONIUSZ.

Ja od serca mówię;
Więc ufaj téj miłości która zniosła
Stanowczą próbę.

KLEOPATRA.

To mi Fulwia radzi.
Wiesz co, twarz odwróć, rozpłacz się do woli;
A potém mię pożegnasz, ja poczytam
Te łzy za swoje : scenę tak odegraj
Z królewską sztuką, by mi się zdawała
Najszczerszą prawdą.

ANTONIUSZ.

Krew rozpalasz we mnie.

KLEOPATRA.

Mógłbyś grać lepiéj, lecz to już uchodzi.

ANTONIUSZ.

Dość, na ten miecz, —

KLEOPATRA.

I tarczę. — Coraz piękniéj;
Lecz jeszcze wznieść się możesz. Patrzaj, Charmion,
Jak Alcyd rzymski nam przedstawia dzielnie
Gniew swego przodka.

ANTONIUSZ.

Żegnam.

KLEOPATRA.

Choć dwa słowa.
Musim się rozstać, książę, — nie, inaczéj :
Kochaliśmy się, książe, — jeszcze nie to;
Już wiem i ty wiesz dobrze : to rzecz dziwna, —
W pamięci mam prawego Antoniusza,
Ztąd myśli mi się plączą.

ANTONIUSZ.

Gdyby płochość
Nie była jéj poddaną, mieniłbym królowę
Płochością samą.

KLEOPATRA.

Ach, to znój nie lada
Tak smętną płochość zmuszać do uśmiechu,
I znosić jak ją znoszę. Przebacz, panie;
Mię własne czary trują, gdy dla ciebie
Nie mają wdzięku : czyń co honor każe;
Nie lituj się nad mym bezsilnym szałem.
Bogowie mocni! niechaj laur zwycięzki
Ten miecz uwieńczy, szczęścia kwiat niezwiędły
Uściele mu tę drogę!

ANTONIUSZ.

Chodź, kochanko;
Pożegnań chwila tak nam trwa i znika,
Że tu zostając, zamną szlesz twą duszę,
Ja zaś, odchodząc, żyć przy tobie muszę.

(Wychodzą.)

SCENA IV.

W Rzymie. Pokój w domu Cezara.

OKTAWIUSZ CEZAR, LEPID i Służba.

CEZAR.

Lepidzie, odtąd poznasz sam dowodnie,
Że jest i będzie myśli méj daleką
Nienawiść dla współrządców. Z Aleksandryi
Donoszą że poluje, gra i pije,
Hulając noc i dzień; mniéj męzki duchem
Niż Kleopatra, która też od niego
Mniéj zniewieściałą; gońców nie przyjmuje,
Zaledwie zna swych równych : w nim się mieści
Zbiór wszystkich skaz i błędów, rozdzielonych
Na całą ludzkość.

LEPID.

Przecież, złe narowy
Wspaniałych zalet zatrzeć w nim nie mogą:
Te drobne skazy, to jak mgły na niebie,
Jaśniejsze wśród pomroku; ze krwi raczéj
Niż z własnéj woli; bez poprawy może,
Lecz nie bez skruchy.

CEZAR.

Umiesz mu pobłażać.
Bo dajmy na to, jeśli mu przystoi
Targnąwszy się na łoże Ptolemeja,
Królestwem żart opłacać; z niewolnikiem
W gospodzie siadać; pić do upadłego;
W południe bruki zbijać, lub szermierzyć
Z cuchnącą zgrają: jeśli to uczciwie,
(A dziwnie rzadką musi mieć przyrodę
Kto duszy tém nie splami) nasz tryumwir
Wymówki nie ma, skoro my znosimy
Płochości jego brzemię. Niech po trudzie
Swobodne chwile spędza wśród roskoszy,
Niestrawność, rwanie kości mu wystarczą
Na słuszną karę; lecz ten czas marnować
Co dźwiękiem trąb go budzi, równie głośnym
Jak wzgląd na wspólne dobro, — to występne,
To jak ów uczeń, już świadomy złego,
A zrywający wśród szalonéj uczty
Kwiat swéj młodości.

(Posłaniec wchodzi [1].)

LEPID.

Pewnie cóś z obozu.

POSŁANIEC.

Rozkazy już spełnione; co godzina,
Wszechwładny Cezar będzie mieć wiadomość
Od wojska. Pompej ma przeważną flotę;
I snać ma miłość wielu z tych, dla których
Oktawiusz był postrachem: do przystani
Niechętnych tłum się zbiega, głos powszechny
Skrzywdzonym go mianuje.

CEZAR.

Nic dziwnego.
Uczymy się od najdawniejszych czasów
Że kto przy władzy, miłość wnet postrada;
Kto zaś upadnie, chociaż jéj niegodny,
Znów staje się najmilszym. *Tłum chwiejący,
To jak te błędne zielska na strumieniu
Niesione zmiennym prądem tu i owdzie,
Aż w ruchu swym zmarnieją.*

POSŁANIEC.

Oprócz tego,
Menekrat, Menas, dwaj korsarze sławni,
Plądrują morze, prując je łodziami
Wszelkiego kroju: wściekłe ich napady
Lud rzymski płoszą; brzegów zaś mieszkańce
Na samą myśl truchleją, wojsko pierzcha:
Najśmielszy statek, skoro się pojawi,
Już jest schwytanym; Pompej swém nazwiskiem,
Bez walki już zwycięża.

CEZAR.

Antoniuszu,
Zapomnij o biesiadach. Gdyś uchodził
W porażce z pod Modeny, po zabiciu
Konsulów Pansy i Hircyusza, z głodem
Goniącym cię, powtórną zwiodłeś walkę;
Choć miękko wychowany *bez odrazy,
Jak dzicy ludzie, piłeś mocz źrebięcy,
I te złocone męty na kałuży
Na które bydło parska*: twym pokarmem
Był głóg najtwardszy na najlichszym krzewie;
Jak jeleń, kiedy śnieg odziewa łąki,
Ustami rwałeś korę drzew*: na Alpach
Jak niesie wieść, spożyłeś pewną strawę,
Szerzącą śmierć w zarazie; a* to wszystko
(Sromotna dziś pamiątka dla twéj sławy)
Walecznie zniosłeś, tak że twe oblicze
Zaledwie schudło.

LEPID.

Żal mi go serdecznie.

CEZAR.

Niech własny wstyd sprowadzi go do Rzymu,
I to najrychléj. Czas byśmy z nim oba
Ruszyli w pole; w tym zamiarze chcemy
Naradę zwołać: bo nieczynność nasza
Pompeja siły wzmaga.

LEPID.

W przyszłéj dobie,
Zdolniejszym będę zdać ci wierną sprawę
Co mamy sił na morzu i na lądzie,
By wrogom czoło stawić.

CEZAR.

W tym przeglądzie,
Do wspólnéj pracy radbym się ośmielić.

LEPID.

Bądź zdrów, Cezarze. Raczysz mi udzielić
Co ważniejszego ci doniosą straże.

CEZAR.

Bądź o tém pewien; tak powinność każe.

(Wychodzą.)

SCENA V.

W Aleksandryi. Pokój w pałacu.

KLEOPATRA, CHARMION, IRAS
i MARDYAN.

KLEOPATRA.

Chodź, Charmion, — ha, ha! — Chcę pić mandragorę.

CHARMION.

Co mówisz?

KLEOPATRA.

Jakoś przespaćbym pragnęła
Ten czas nieznośny aż Antoniusz wróci.

CHARMION.

Zbyt za nim tęsknisz.

KLEOPATRA.

On mię zdradza!

CHARMION.

*Pani,
Ja tak nie sądzę.

1. *Prokulej.*

KLEOPATRA.

Zbliż się, pół człowieku —

MARDYAN.

Co łaska słyszeć?

KLEOPATRA.

Nie twój śpiew słowiczy :
Co eunuch może jest mi obojętném.
Ciesz się, bezwładny, że myśl twa spokojna
Za Egipt nie ulata. Masz ty żądze?

MARDJAN.

O, mam.

KLEOPATRA.

Doprawdy?

MARDJAN.

Nie doprawdy, pani;
Jam zuch doprawdy tylko w tém co skromne;
Mam przeto wściekłe żądze, i pamiętam
Co przy Wenerze czynił Mars.

KLEOPATRA.

O, *Charmion!
Gdzież myślisz że jest teraz? Śpi czy stoi?
Czy na przechadzce? lub czwałuje konno?
Szczęśliwy koń co Antoniusza niesie!
Pędź, skrzydłonogi, wiesz kto cię dosiada?
To Atlas pół-stworzenia, prawe ramię
I hełm ludzkości. — Słuchaj, on cóś mówi,
Lub szepce : « Gdzie mój wąż złotego Nilu? »
Bo tak mię zwykł nazywać. Jak nektarem,
Łez poję się trucizną : *o mnie myśli
Już ogorzałéj od pieszczoty słońca,
O mnie, latami zwiędłéj?* O Juljuszu
Szerokoczoły, gdyś tu szedł olbrzymem,
Pięknością gwiazd jaśniałam; Pompej wielki
Stał oniemiały, wzrok wlepiwszy we mnie :
Jakby zachwytem zdjęty, chciał umierać
Oddając mi swe życie.

ALEKSAS, wchodząc [1].

Cześć królowéj!

KLEOPATRA.

O jakżeś różny od bożyszcza mego;
Lecz cię Antoniusz widział, to spojrzenie
Wszechmocnym czarem w klejnot cię przemienia.
Co też porabia mój Antoniusz dzielny?

ALEKSAS [2].

Ostatni jego czyn, to pocałunek, —
Z tysiącem innych, — na téj perle wschodniéj : —
A jego słowa w sercu mém utkwione.

KLEOPATRA.

Niech w moje się przeleją.

ALEKSAS.

« Mój Aleksas [3],
Jéj sługa, mówił, szle królowéj Nilu
Ten skarb perłowéj muszli; by w jéj oczach
Ten dar bezcenny podnieść, chcę nasadzić
Jéj możny tron państwami : Azya cała
Ją nazwie swą boginią. » Skinął ręką,
I dosiadł konia, który pod swym jeźdzcem
Tak głośno zarżał, że cobądźbym mówił
Na wiatr by poszło.

1. Z Mardyanem.
2. *Mardyan.*
3. Mój Mardyanie,

KLEOPATRA.

Tęskny, czy wesoły?

ALEKSAS.

Ni to ni owo, jak w jesiennéj porze
Ni mróz ni upał : tak cóś, między dwoma.

KLEOPATRA.

To równowaga, nie! to wielkość duszy! —
Uważaj, Charmion, lecz uważaj tylko :
On nie był tęskny, bo chciał rozpromienić
Spojrzenia sług i dworzan : nie wesoły,
Bo rad ich ostrzedz że połowę serca
Zostawił przy mnie; lecz tak, między dwoma :
Nastroju boski! — radość i tęsknota
W najwyższym szczeblu, lepiéj ci do twarzy
Niż komu z ludzi. — Gońców mych spotkałeś?

ALEKSAS.

Tak jest, królowo, liczę ich dwadzieścia.
To jakoś gęsto.

KLEOPATRA.

Kto się zrodzi w dobie
Gdy mu wysyłać listy me przestanę,
Ten umrze z nędzy. — Daj mi co potrzeba,
Chcę pisać, Charmion. — Powiedz, za Cezarem
Czym tak szalała?

CHARMION.

O Juljuszu wielki!

KLEOPATRA.

Śmiéj to powtórzyć, język twój cię zdławi.
Mów, Antoniuszu dzielny.

CHARMION.

O Cezarze!

KLEOPATRA.

Milcz, na Izydę, zęby ci wybiję,
Jeżeli się odważysz znów porównać
Juljusza z mym wybranym.

CHARMION.

Przebacz, pani,
Ja po niéj wtórzę.

KLEOPATRA.

To zielenne lata,
Zaledwie dźbło rozsądku : — trzeba było
Mieć jeszcze krew zastygłą! — Idźmy, Charmion;
Przywołasz gońca, list mu dam codzienny,
Aż się wyludni Egipt mój promienny.

AKT DRUGI.

*SCENA I [1].

W Messynie. Pokój w domu Pompeja.

POMPEJ, MENEKRAT i MENAS.

POMPEJ.

Sprawiedliwymi jeśli są bogowie,
Za naszą sprawę walczą.

1. Pominąć.

MENEKRAT.
Wiesz, Pompeju,
Że co w odwłoce, jeszcze nie stracone.

POMPEJ.
Gdy klęczym przed ich tronem, nasze modły
Z przedmiotem ich marnieją.

MENEKRAT.
My, śmiertelni,
Gdy własnéj zguby pragniem, ich wszechwiedza
Odtrąca chęć bezwiedną; tak zyskujem
Na niespełnionych modłach.

POMPEJ.
Ja zwyciężę :
Lud kocha mię, ocean drży przedemną;
Potęga moja wzrasta, mam nadzieję
Że dojdzie pełni. Marek zaś Antoniusz
Na godach przy kochance, ani myśli
Bić się za morzem : Cezar skarb ładuje
A serca traci : Lepid im pochlebia,
Ci mu nawzajem; lecz nie cierpi obu,
I obaj go nie cierpią.

MENAS.
Już z Cezarem
Wyruszył w pole : siły ma przeważne.

POMPEJ.
Zkądże to wiesz? to kłamstwo.

MENAS.
Od Sylwiusza.

POMPEJ.
On marzy : wiem że w Rzymie bawią społem,
Czekając Antoniusza. Bóg miłości
Niech zetrze zmarszczki warg twych, Kleopatro!
Urokiem żądzy wdzięki twe podniesie :
Szaleńca zaklnie w ciągłych uczt odmęcie,
Przytępi mózg pijaństwem; sto kucharzy
Epikurejskich, niech mu smak zaostrzą,
Aż sen i jadło w nim stłumiwszy męztwo,
W głąb Lety go zanurzą. — Cóż, Warjuszu?

WARJUSZ, wchodząc.
Wiadomość niewątpliwą ci przynoszę;
Antoniusz w lada chwili ma zawinąć
Do Rzymu; odkąd Nilu brzeg porzucił,
Miał czas na przejazd.

POMPEJ.
Chętniejbym dał ucho
Mniéj ważnéj wieści. — Menas, czy podobna
By ten lubieżnik przywdział hełm i zbroję
Dla tak podrzędnéj wojny? jako żołnierz
Dwa razy wart ich obu. Lecz tém wyżéj
Nasz mir podniesiem, że z podniety naszéj
Od Kleopatry łona się odrywa
Niesyty jéj kochanek.

MENAS.
Ja nie wierzę
By Cezar mógł iść w parze z Antoniuszem :
Gdyż mu i Fulwia dała się we znaki,
I brat z nim walczył; chociaż nie z wyraźnéj
Namowy Antoniusza.

POMPEJ.
Nie wiem, Menas,
Jak mniejsze gniewy pod większemi zgasły;
Lecz gdyby nie to że wraz walczą z nami,
Widoczném jest, że z sobą by walczyli.
Dość nienawiści trwa pomiędzy niemi
By spór odnowić : czy ta jedna trwoga
Zawziętość ich uśpiła, godząc nagle
Pokątne sprzeczki, tego dziś nie wiemy.
Bogowie niech rozsądzą! Nam wypada
Sił wszelkich użyć, jakie świat posiada.*

(Wychodzą.)

SCENA II.

W Rzymie. Pokój w domu Lepida.

ENOBARBUS i LEPID.

LEPID.
Cny Domicyuszu, dawny mój kolego,
Przystałoby nakłonić wodza twego
Do słów uprzejmych, ludzkich.

ENOBARBUS.
Niech tak czyni
Jak mówi : jeśli Cezar mu zawini,
Niech na Cezara spojrzy po nad głową,
I Marsa krtań zagłuszy swą wymową.
Włos Antoniusza gdybym miał na brodzie,
Dziś nie dałbym się golić.

LEPID.
Przy narodzie
Domowe kłótnie niczém.

ENOBARBUS.
Niech godzina
To wszystko spełni co się z nią poczyna.

LEPID.
Nad sprawą drobną wyższa ma pierwszeństwo.

ENOBARBUS.
Nie, jeśli tamta pierwszą.

LEPID.
Na przekleństwo
Zasłużysz, krocząc tym swarliwym torem.
Antoniusz idzie.

(Wchodzą ANTONIUSZ i WENTYDYUSZ. [1])

ENOBARBUS.
Tam, wasz Cezar z dworem.

(CEZAR wchodzi z AGRYPPĄ i MECENASEM.)

ANTONIUSZ.
Jeżeli zgoda stanie, w trop za Partem :
Słyszałeś, Wentydyuszu [2].

CEZAR, do Mecenasa.
Zbyć pół żartem?
Agryppy się zapytaj.

LEPID.
Przyjaciele,
Gdy nas tu łączą tak przeważne cele,
Niech wszelki spór ucichnie. Krzywdy zgasną
W mgle zapomnienia : kto urazę własną
Zbyt szumnie głosi, ten chcąc goić blizny
Popełnia mord. A więc, na cześć Ojczyzny,
(Na to uczucie pierwsze i najżywsze)

1. I Kanidyusz.
2. Kanidyuszu.

Lżejszemi słowy trącim co drażliwsze,
By ran tych nie zajątrzyć.

ANTONIUSZ.

To przestroga.
Na czele wojska, przed spotkanium wroga,
Takbym przemówił.

CEZAR.

Witaj nam w stolicy.

ANTONIUSZ.

Nawzajem.

CEZAR.

Siądźmy.

ANTONIUSZ.

Siądź, Cezarze.

CEZAR.

Dzięki. —

ANTONIUSZ.

Za złe mi masz, jak słyszę, co godziwém,
Lub tylko mnie się tyczy.

CEZAR.

Byłbym śmiesznym
Gdybym za nic, lub za drobnostkę marną,
Miał mieć urazę, zwłaszcza też do ciebie:
Śmieszniejszym jeszcze, gdybym twe nazwisko
Wymienił z ubliżeniem, bez powodu.

ANTONIUSZ.

A w czém, Cezarze, pobyt mój w Egipcie
Miał cię obchodzić?

CEZAR.

Nie mniéj i nie więcéj
Niż ciebie tron mój w Rzymie: przecież, jeśli
Tam zdrady knułeś, pobyt twój w Egipcie
Najmocniéj mię obchodził.

ANTONIUSZ.

Jakie zdrady?

CEZAR.

Myśl moją łatwo pojmiesz, po tém wszystkiém
Co mię spotkało. Brat twój, żona twoja,
Walczyli zemną; ich zawiści ku mnie
Tyś był przyczyną, ty wojenném hasłem.

ANTONIUSZ.

Sam siebie chcesz uwodzić: brat mój nigdy
O los mój się nie troszczył: znam go dobrze;
I mam świadectwo stu przyjaciół wiernych,
Co z tobą broń podnieśli. Czy nie raczéj
Chciał wydziedziczyć z władzy mię i ciebie;
I wojnę toczył przeciw méj prawości,
Wiążącéj mię z narodem? Listy moje
To ci dowiodły. Jeśli chcesz niezgody
Nie braknie ci pozorów do zaczepki,
Lecz nie téj treści.

CEZAR.

Wielbisz się, twą winę
Składając na mój sąd; obrona taka
Tém silniéj cię potępia.

ANTONIUSZ.

O, bynajmniéj.
Wiem że nie jesteś w stanie, choć wszechwładny,
Téj prawdzie przeczyć, że ja, twój zastępca,
Twój wspólnik w sprawie przeciw nam podjętéj,
Nie mogłem chętnie patrzeć na rozruchy
Mój własny mir burzące. Co do Fulwii,
Radbym ci sprawić z duchem jéj małżonkę:
Część trzecia świata lejcom twym posłuszna,
Ujeżdzisz ją, lecz taką żonę nigdy.

ENOBARBUS.

Bodaj nam dostać żonki, w tym zakroju,
By każdy dwójką stanąć mógł do boju!

ANTONIUSZ.

Nieposkromione żądze jéj, Cezarze,
(Przy pewnéj przebiegłości) a wynikłe
Ztąd nieporządki, z żalem to wyznaję,
Twój spokój zakłóciły: lecz nie moja
W tém wina.

CEZAR.

Wszak cię listy moje doszły,
Gdyś w Aleksandryi hulał; do kieszeni
Schowałeś je starannie, i z przekąsem
Pozbyłeś się posłańca.

ANTONIUSZ.

Lecz, Cezarze,
Z nienacka mi się zjawił, przed wezwaniem:
I gdy trzech króli goszcząc, już nie byłem
Czém zwykle jestem z rana; lecz nazajutrz,
Odpowiedź dostał, co znaczyło tyle
Co przeprosiny. Niechże ten pachołek
Nie waśni nas; a jeśli są zwaśnienia,
Wykreślim go z rachunku.

CEZAR.

Sam zerwałeś
Złożoną mi przysięgę, o co nigdy
Oskarżyć mię nie zdołasz.

LEPID.

To zbyt ostro.

ANTONIUSZ.

Lepidzie, pozwól gderać mu dla zdrowia.
Mnie świętszym jeszcze honor niż przysięga,
I nigdy go nie splamię. Mów, Cezarze;
Cóżem ci przysiągł?

CEZAR.

Pomoc, broń i ramię
Poświęcić mi w potrzebie; jam zawołał
A tyś odmówił.

ANTONIUSZ.

Lub zaniedbał raczéj;
I to w zjadliwych tych godzinach, kiedy
Sam siebie nie posiadam. Lecz niebawem
Nagrodzę ci tę stratę; prawość moja
I męztwo chodzą w parze: to bez tego
Jest dla mnie niczém. Świadczę więc że Fulwia
By ściągnąć mię z Egiptu, wojnę wszczęła;
Za co ja sam, bezwiedna jéj przyczyna,
Przepraszam cię, o ile cześć rycerza
Na słowie tém nie straci.

LEPID.

To szlachetnie.

MECENAS.

Jak Lepid radził, już przestańcie jątrzyć
Wzajemne krzywdy płonném ich wspomnieniem;
By tylko myśleć o potrzebie Rzymu
Nad wszystko wyższéj.

LEPID.

Prócz nad Mecenasa.

ENOBARBUS.
Lub też na krótki czas pożyczcie sobie
Wzajemną przyjaźń; na Pompeja grobie
Dług odbierzecie, by znów bójkę zwodzić,
Aż nowy Pompej przyjdzie was pogodzić.

ANTONIUSZ.
Tyś tylko żołnierz, zbyt nadrabiasz głową.

ENOBARBUS.
Już milczę, prawda musi być niemową.

ANTONIUSZ.
Tak zacne grono krzywdzisz tym wyrazem.

ENOBARBUS.
Upadam do nóg, najkorniejszym głazem.

CEZAR.
Mnie więcéj treść niż układ się podoba
Słów Domicyusza; radbym mieć nadzieję,
Byśmy tak różni myślą i zwyczajem
Zawarli trwałą zgodę. Jest-li przecież
Niezłomny łańcuch związać nas mogący
Wyszukam go na świecie, lub za światem.

AGRYPPA.
O głos, Cezarze, —

CEZAR.
Mów, Agryppo.

AGRYPPA.
Marek
Antoniusz wie, że siostrę masz po matce,
Oktawię piękną : tobie zaś wiadomo
Że on dziś wdowcem.

CEZAR.
Dość, bo Kleopatra
Niechże to zwietrzy, będziesz miał za swoje
Żeś nierozważnie radził.

ANTONIUSZ.
Jam bezżenny :
Daj mi wysłuchać co Agryppa mówi.

AGRYPPA.
By między wami zgody cześć ustalić,
Miłością bratnią dwoje serc rozpalić
I wiecznie związać, niech Antoniusz pojmie
Cezara siostrę; oną, za rękojmię
Trwałego szczęścia, w nim dostanie męża,
Którego cnoty, godność, moc oręża
Jak słońce świecą. *Przez ten związek, wszelkie
Drobniejsze zwady, dziś na pozór wielkie,
I wielkie trwogi z drobnych zwad wynikłe,
Do szczętu pełzną : w kłam się prawdy zwykłe,
Błąd w prawdę zmienia* : miłość jéj dla obu,
Strażnicą waszéj staje się do grobu,
I wszystkich dla was. Com powiedział ściśle,
To raczcie spełnić, gdyż to po namyśle
Sumiennie rzekłem.

ANTONIUSZ.
Cezar niech odpowie.

CEZAR.
Antoniusz pierwéj zdanie swe otworzy
O tém co słyszał.

ANTONIUSZ.
Jaką moc Agryppa
Posiada, gdybym odrzekł : « Niech tak będzie »,
By wniosek stał się czynem?

AGRYPPA.
Moc Cezara,
Wpływ bratni na Oktawię.

ANTONIUSZ.
Ani myślę
Śnić o przeszkodzie w tym zamiarze błogim,
Tak dla mnie chlubnym! — Podaj mi prawicę :
Dokonaj czyn twéj łaski, od téj chwili
Braterskie czucia niech sercami rządzą,
I światu szczęście wróżą!

CEZAR.
Weź tę rękę.
Z nią siostrę ci oddaję, którą kocham
Jak żaden brat przedemną : niechaj żyje
Łącznikiem serc i krajów, i niech nigdy
Nasz węzeł się nie skruszy!

LEPID.
*Daj nam Panie.

ANTONIUSZ.
Nie chciałem podnieść miecza na Pompeja;
Bo miewał dla mnie przed niedawnym czasem
Szczególne względy : przeszlę mu podzięki,
Bym się nie zdawał płochym lub nieludzkim;
I wręcz mu powiem : broń się*.

LEPID.
Czas upływa :
Musim wytropić świeży ślad Pompeja,
Inaczéj nas wytropi.

ANTONIUSZ.
Gdzie ma flotę?

CEZAR.
W zatoce pod Mizeną.

ANTONIUSZ.
Jego siły
Na lądzie?

CEZAR.
Już przeważne i rosnące;
Na morzu on Cezarem.

ANTONIUSZ.
Tak wieść niesie.
Radbym mu zajrzeć w oczy! Więc do czynu;
Lecz nim oręże chwycim, niech się spełni
To cośmy tu zaczęli.

CEZAR.
Z całéj duszy.
Oktawię racz odwiedzić; u méj matki
Sam będę twym zwiastunem.

ANTONIUSZ.
Wszak na świadki
Nasz Lepid stanie?

LEPID.
I na wszelkie drużby;
Śmierć mię nie wstrzyma od tak miłéj służby.

(Odgłos trąb. Cezar, Antoniusz i Lepid wychodzą)

MECENAS.
A witaj nam serdeczny przyjacielu.

ENOBARBUS.
Cny Mecenasie, ty najmędrszy z wielu! —
Wymowny nasz Agryppo, dziś i zawsze! —

MECENAS.
Z Egiptu gwiazdy świecą nam łaskawsze

Dziś lepiéj tuszyć o przyszłości możem.
Jak tam służyło zdrowie po za morzem?

ENOBARBUS.

O, jak najświetniéj; spaliśmy dzień cały,
A noc puharów dźwięki nam skracały.

MECENAS.

Ośm dzików na śniadanie dla dwunastu;
Czy może być?

ENOBARBUS.

Tak jest; cześć temu miastu
I téj królowéj! lecz to sen co dalsze:
Tam były uczty większe i wspanialsze!

MECENAS.

To musi być królowa jakich mało,
Cud, jednóm słowem.

ENOBARBUS.

Słowo nie skłamało;
W jéj sieć Antoniusz wpadł poczwórnym biegiem,
Gdy się spotkali nad Cydnusu brzegiem.

AGRYPPA.

Tam się zjawiła, jak posłańce gwarzą,
W bogini stroju.

ENOBARBUS.

I z bogini twarzą.
Siedziała w łodzi; perły i klejnoty
Jéj tron zdobiły: przód był szczerozłoty;
Z purpury żagle, woń ich tak podniosła,
Że wiatr aż omdlał: srebrny maszt i wiosła,
Bijące w miarę przy stu fletni śpiewie.
Dotknięta fala, jak w miłosnym gniewie
Za łodzią goniąc, z lekka ją kołysze.
Co do niéj saméj, tego nie opiszę:
Leżąca pod namiotem, w pół korabiu,
(Złotogłow lity, jasne tło z jedwabiu)
Kwiat sypie w kąpiel gdzie się słońce płuka;
Piękniejsza od Wenery, w któréj sztuka
Przewyższa wdzięk przyrody: u jéj boku,
Z dołkami w licach i z uśmiechem w oku,
Swawolnych dziatek pląsa rój wiosenny
Z wachlarzem pawim w ręku; wiatr w pół-senny
Skroń ich całując pod różanym wieńcem,
Ubarwia żywszym gładką twarz rumieńcem
I chłodzi ją naprzemian.

AGRYPPA.

To ponęta
Dla Antoniusza!

ENOBARBUS.

Śliczne jéj dziewczęta,
Jak nimfy wodne, luk jak Nereidy,
Z wlepionym wzrokiem w oczy swéj Tetydy,
Skłonieniem jéj się wdzięczą: tam, przy sterze,
Syrena rządzi; jak łabędzie pierze
Podnosi żagle, zwalnia lub przyspiesza
Bieg złotéj łodzi. Lud i miejska rzesza
Zalewa brzegi, gdzie w dziewiczém gronie
Jéj syn ją wita. W rynku, sam na tronie,
Nasz wódz westchnienia szle na cztery wiatry;
Co też by rade mknąć do Kleopatry,
Opróżnić przestwór, by się jéj przyglądać.

AGRYPPA.

Szczęśliwy Egipt! niema już co żądać.

ENOBARBUS.

Wylądowano; gońca wódz wyprawia,
Zaprasza na wieczerzę; ta odmawia:
« Przystojniéj będzie, gdy nasz gość wspaniały
Wprzód nas odwiedzi. » Ten, w zalotach śmiały,
Choć « nie » płci pięknéj nigdy nie powiada,
Sześćkroć zgolony, z nią do stołu siada;
Swém sercem płaci to co zjadł oczyma,
I wstaje głodny.

AGRYPPA.

Więcéj wnet otrzyma!
Jak Cezar gdy mu dała Cezarjona.

ENOBARBUS.

Raz tu przebiegła skoczkiem, jak szalona,
Czterdzieści kroków; brakło jéj oddechu.
Cóś chciała mówić, wśród omdlenia, śmiechu,
Jéj śmiech był czarem, a jéj mdłość potęgą.

MECENAS.

Wódz ją zapomni.

ENOBARBUS.

Nigdy; pod przysięgą.
Czas jéj nie dotknie, zwyczaj żądz nie spłoszy:
Jéj rozmaitość wzmacnia wdzięk roskoszy.
Kobiety zwykłe tępią smak przesytem:
Ta coraz nowym rzeźwi go zachwytem.
Przelotna słabość tak ją czyni piękną,
Że błogosławiąc, aż kapłani miękną
Gdy zgadną że cierpiąca.

MECENAS.

Jeśli cnota,
Rozwaga, skromność, lepsze niż pieszczota
Egipskiéj wróżki, wszystko to przedstawia
W najżywszym blasku wiosny swéj Oktawia.

AGRYPPA.

Rycerzu dzielny, niech cię w dom podejmę,
Tyś moim gościem.

ENOBARBUS.

Dzięki wam uprzejme.
(Wychodzą.)

*SCENA III.

Tamże. *Pokój w domu Cezara.*

*CEZAR, ANTONIUSZ, OKTAWIA między niemi, Służba.

ANTONIUSZ.

*Świat, moje rządy, z ramion twych łańcuchem
Zbyt często mię rozłączą.

OKTAWIA.

Dniem i nocą,
Na klęczkach będę błagać o twe szczęście
Domowych bogów.

ANTONIUSZ.

Żegnam cię, Cezarze. —
Oktawio, mniejsza co świat o mnie mówi:
Nie zawszem był czém jestem, lecz wzór cnoty
Mam w twéj osobie. Dobranoc méj pani,
Do jutra, bracie.

CEZAR.
Żegnam.
(Wychodzą Cezar i Oktawia.)*

ANTONIUSZ[1].
Hej, wróżbito!
(Wieszcz wchodzi.)
Czy radbyś być w Egipcie?

WIESZCZ.
Antoniuszu,
Bodajbym nie był tu zawitał z tobą!

ANTONIUSZ.
Jak to rozumiesz?

WIESZCZ.
Przyszłość ci odpowie,
Lecz innym głosem: wracaj zkąd przybyłeś.

ANTONIUSZ.
Co wyżéj stanie, los mój czy Cezara?

WIESZCZ.
Cezara. O! nie zbliżaj się do niego.
Duch opiekuńczy co nad tobą czuwa,
Jest śmiałym, wzniosłym i niezwyciężonym,
Gdzie nie jest duch Cezara; gdy się zejdą,
Twój drży, blednieje, gaśnie: ja ci radzę
Pół-światem się rozdzielić.

ANTONIUSZ.
Nie mów tego.

WIESZCZ.
Nikomu, nigdy, prócz samemu tobie.
Gdy gracie z sobą, tak mu szczęście służy
Żeś pewien przegrać, choć przy wyższéj stawce;
On zbije cię po ciemku: w jego świetle
Twój promień znika. Mówię ci raz jeszcze,
Twój duch się trwoży przed Cezara duchem,
Gdy zdala, znów mężnieje.

ANTONIUSZ.
Idź do licha:
Wentydyuszowi powiedz że go czekam. —[2]
(Wieszcz wychodzi.)
Na Partów ruszym. — Gusła czy przypadek,
Powiedział prawdę: los mu wiecznie sprzyja;
*I w każdéj grze, rachuby moje pełzną
Przed jego szczęściem: rzucam kość, wygrywa:
Koguty jego wciąż dławiły moje,
Gdy zakład stał na równi; a przepiórki
Nad memi się znęcały. Do Egiptu: *
I choć przyjąłem ślub dla zgody państwa,
(Wentydyusz wchodzi.)
Mój duch swobodny wstydzi się poddaństwa. —
Na Partów, bracie: żagiel dziś rozwiniesz;
Krassusa śladem, pomścisz go, lub zginiesz.

*SCENA IV.

Tamże. Ulica.

LEPID, MECENAS i AGRYPPA.

LEPID.
*Nie trudźcie się już daléj: bardzo proszę,
Przyspieszcie raczéj odjazd.

1. Antoniusz; wchodząc:
Oktawię pożegnałem. Hej, wróżbito!
2. Kanidyuszowi.

AGRYPPA.
Mąż jéj, skoro
Z Oktawią się rozłączy, wnet wyruszym.

LEPID.
Aż oba się zjawicie w stroju Marsa,
Tak wam do twarzy, żegnam.

MECENAS.
Jak miarkuję
Z długości téj przeprawy, pod Mizeną
My pierwsi staniem.

LEPID.
Pochód wasz jest krótszy;
Mój jest półkolem: więc dwa dni zyskacie.
Bywajcie zdrowi.

MECENAS i AGRYPPA.
Szczęść Minerwo, bracie.*
(Wychodzą.)

SCENA V.

W Aleksandryi. U Kleopatry.

KLEOPATRA, CHARMION, IRAS i ALEKSAS[1].

KLEOPATRA.
Muzyki, Charmion! śpiew to pokarm cienki
Tych co miłości łakną.

SŁUŻĄCE.
Hej, piosenki
(Mardyan wchodzi.)

KLEOPATRA.
Nie, co innego; Charmion: do kręgielni.

CHARMION.
Mnie ramię boli, są tu gracze dzielni,
Naprzykład Mardyan[1].

KLEOPATRA.
*Grać z eunuchem jedno
Co grać z kobietą. — Chcesz mię bawić biedną?

MARDYAN.
Chcę, bylem zdołał.

KLEOPATRA.
Mniejsza o twe chęci.
Gdy w grze swéj aktor da mi znak pamięci,
Niezdolność mu przebaczam.* Już nie trzeba. —
Do rzeki, Charmion, — tam, w odblasku nieba,
Przy dźwięku lutni, chcę zarzucać wędę
Na złote płocie; kłuć haczykiem będę
Ich śliskie skrzela, i przy każdéj rybie
Zdobytéj, myśląc że kochanka zdybię,
Wyrzeknę: Znów cię trzymam!

CHARMION.
Śmiech był tani,
Gdy łowiąc z nim o zakład, nurek pani
Soloną rybę przypiął mu do wędki,
A on wyciągnął.

KLEOPATRA.
Gdzież ten czas tak prędki, —
Te dnie przymówek, aż w nim gniew zapłonął;

1. I Dyomed.
2. Dyomed lub Aleksas.

Bezsenne noce śmiechu, aż ochłonął:
Gdy podciętego, z ranną mgłą jutrzenki,
Składałam w łoże, ścieląc nań sukienki;
A strojąc się, jak Pallas, w ubiór męzki,
I z pod Filippi jego miecz zwycięzki.

(Posłaniec wchodzi [1].)

O! z Włoch zapewne? — Siéj twe wieści płodne
W to wdowie ucho, już oddawna głodne.

POSŁANIEC.

Królowo, —

KLEOPATRA.

Co! Antoniusz mój nie żyje? —
Ta wieść, nikczemny, panią twą zabije:
Lecz powiedz zdrów i wolny, będę szczodrą,
I skłonisz usta na tę żyłkę modrą,
Przy tym pierścieniu na méj ręce, którą
Całował Herod klęcząc pod purpurą.

POSŁANIEC.

Co do pierwszego, zdrów.

KLEOPATRA.

Masz więcéj złota.
Lecz słuchaj, często głosi nam hołota
Że zmarli zdrowi: jeśli tam chcesz tropić,
To złoto co ci daję każę stopić,
I wlać do gardła.

POSŁANIEC.

Pani, —

KLEOPATRA.

Znasz twą służbę,
Więc mów; na twarzy masz niedobrą wróżbę.
Jeżeli zdrów, — zkąd szpetne te pozory
Dla wieści tak nadobnéj? jeśli chory,
Zjaw się jak jędza z wężów ćmą na skroni,
Nie z głową ludzką.

POSŁANIEC.

Niech mię Izys chroni!

KLEOPATRA.

Ochotę mam cię wybić, nim uciekniesz:
Lecz zdrów i wolny, jeśli to wyrzekniesz,
Cezara przyjacielem, nie zaś jeńcem,
Obsypię cię perłami, złotym wieńcem,
Włos twój ozdobię.

POSŁANIEC.

Zdrów jest.

KLEOPATRA.

To nie długo.

POSŁANIEC.

Z Cezarem w zgodzie.

KLEOPATRA.

Tyś uczciwym sługą.

POSŁANIEC.

W przyjaźni większéj żyją niż poddani.

KLEOPATRA.

Z méj łaski się wzbogacisz.

POSŁANIEC.

Przecież, pani, —

KLEOPATRA.

Nie lubię tego; nie wiesz sam co pleciesz:
Początek lepszy; wstydź sie za to « przecież! »
To « przecież » to jak strażnik co wygrzebie
Złoczyńcę z pod pręgierza. Proszę ciebie,
Zbierz we dwa słowa zapas twej powieści,
Złe razem z dobrém. Cezar z nim się pieści;
On zdrów, powiadasz; i dodajesz, wolny.

POSŁANIEC.

Już wolnym nie jest; tegom rzec nie zdolny:
Bo związał się z Oktawią.

KLEOPATRA.

W jakiéj sprawie?

POSŁANIEC.

W téj zkąd się rodzim [2].

KLEOPATRA.

Żonę ma, Oktawię?

POSŁANIEC.

Tak jest.

KLEOPATRA.

Patrz, Charmion, bladość mię powlekła.—
Niech wszystkie zmory porwą cię do piekła!

(bije go i rzuca o ziemię.)

POSŁANIEC.

Ach, zmiłuj się.

KLEOPATRA.

Co mówisz? — Masz, ty trupie,

(znowu go uderza.)

Precz ztąd, wisielcze! oczy ci wyłupię,
O ziemię rzucę: włos ci każę zgolić,

(tarza go za włosy.)

Oćwiczyć drutem, rozciąć i nasolić
W kipiącym oczcie.

POSŁANIEC.

Pani, jam niewinny,
Jam doniósł tylko, ślub im dał kto inny.

KLEOPATRA.

Mów że tak nie jest, dam ci z méj potęgi
Udzielny kraj, majątek: a twe cięgi
Wystarczą za to żeś mię zwiódł nikczemnie:
Obdarzę cię tém wszystkiém coś odemnie
Wyżebrać pragnął.

POSŁANIEC.

On jest, —

KLEOPATRA.

Co? ja czekam.

POSŁANIEC.

Żonaty.

KLEOPATRA.

Zginiesz, łotrze!

(dobywa sztylet.)

POSŁANIEC.

Nóż! uciekam.

(wybiega.)

CHARMION.

Łaskawa pani, przebacz, to ciemięga.

KLEOPATRA.

Są więksi głupce których grom dosięga. —
Niech Egipt Nil zaleje; niech wyrzuci
Rój wściekłych gadzin! — Wołać go, niech wróci:
Gryźć go nie będę, choć mam w piersi żmiję.

(Aleksas wychodzi.)

CHARMION.

On nie śmie, pani.

1. *Mardyan.*

1. Jak mąż i żona.

KLEOPATRA.
Ja go nie zabiję. —
Niestarta wyjdzie na méj dłoni plama,
Gdy pastwiąc się nad niższym, ona sama
Mnie saméj zawiniła. — Zbliż się do mnie.
(Posłaniec wraca [1].)
A widzisz jak to brzydko i nieskromnie
Złe wieści nosić : daj języków tysiąc
Pomyślnym; innych możesz się wyprzysiądz,
Aż same się rozgłoszą.

POSŁANIEC.
Jam powiedział
Rzetelną prawdę.

KLEOPATRA.
Już dozgonny przedział,
O nieba! — Mówże, to mię już nie zrani
Gdy mi powtórzysz : Tak jest.

POSŁANIEC.
Tak jest, pani.

KLEOPATRA.
Niech ziemia cię pochłonie! więc obstajesz
Przy swojém? zdrajco, ty mi serce krajesz!

POSŁANIEC.
Czy będę kłamał?

KLEOPATRA.
Zmyślaj, kręć obłudnie,
A pół Egiptu niech się zmieni w studnię
Dla krokodylów. Za drzwi z tym potworem :
Choćbyś miał twarz Narcyza, ty upiorem
Mnie byś się zdawał. Mów, gdzie Fulwii wdowiec?

POSŁANIEC.
Niech pani się zlituje.

KLEOPATRA.
Nie, odpowiedz!

POSŁANIEC.
Ach, wybacz pani, nie chcę jéj obrazić :
Jéj rozkaz pełniąc, mamże się narazić
Na pewną śmierć? On jest Oktawii mężem.

KLEOPATRA.
Bodajbyś przepadł, lub ztąd uciekł wężem,
Jeśli to prawda! Czy na pewne głosisz? —
Ten towar który z Rzymu mi przynosisz,
Weź go na plecy : dziś nie jestem hojną,
Niech ci kark zgniecie!
(Posłaniec wychodzi.)

CHARMION.
Pani, bądź spokojną.

KLEOPATRA.
Czcząc Antoniusza, krzywdzę cześć Cezara.

CHARMION.
I nie raz pierwszy.

KLEOPATRA.
To mój błąd i kara.
Odprowadź mię. O Charmion! trochę słońca! —
To nic. — Aleksas, idź i spytaj gońca
O wiek Oktawii, jaka twarz, i oczy,
A nie zapomnij barwę jéj warkoczy :
Co powie, zaraz donieś. —
(Aleksas wychodzi.)
Niech go stracę

1. *Mardyan.*

Na wieki : — gdzie tam, — życiem to przypłacę!
Bo z jednéj strony ma Gorgony postać,
A z drugiéj Marsa. —
(do Mardyana [1].)
Masz mi jeszcze dostać
Wiadomość o jéj wzroście. — Już nie szlocham,
Spokojna jestem. — Charmion, ja cię kocham.
(Wychodzą.)

SCENA VI.

W pobliżu Mizeny.

Odgłos trąb. Z jednéj strony wchodzą POMPEJ i MENAS z trębaczem i kotłami, z drugiéj CEZAR, LEPID, ANTONIUSZ, ENOBARBUS i MECENAS z zastępem żołnierzy.

POMPEJ.
Mam twoich zakładników, ty masz moich;
Rozmówim się przed bitwą.

CEZAR.
Bardzo słusznie
Że słowa wprzód zamienim; w tymże celu
Wysłałem ci na piśmie co żądamy.
Jeżeliś już rozważył, radbym wiedzieć
Czym zdołał miecz twój wstrzymać od napaści,
Sycylji wrócić tę dorodną dziatwę,
Co zginąć ma dla ciebie.

POMPEJ.
Więc oświadczam
Przed wami, łączną ziemi téj starszyzną,
Przed zastępcami bogów, — iż nie widzę
Zkąd ojciec mój by nie miał być pomszczonym,
Gdy odżył w synie swym; gdy Juljusz Cezar,
Co pod Filippi zjawił się zabójcy,
Was trzech miał za mścicieli. Czy nie wiecie
Co knował blady Kassyusz? lub dlaczego
Przezacny Brutus, swych pradziadów godny,
Wśród sprzysiężonych dla wolności świętéj
Kapitol krwią zrumienił? bo nie chcieli
W człowieku mieć tyrana. W tejże myśli
Zebrałem flotę, pod brzemieniem któréj
Pieniący nurt się wzdyma; z nią zamierzam
Ojcowską krzywdą pomścić na wzgardliwym
I nienawistnym Rzymie.

CEZAR.
Czyń do woli.

ANTONIUSZ
Nie straszysz nas, Pompeju, twoją flotą;
Rozprawim się na morzu : bo na lądzie,
Znasz naszych sił przewagę.

POMPEJ.
Tak, na lądzie,
Bo tam przeważasz mię ojcowskim domem :
Kukułki też dla siebie gniazd nie ścielą,
Więc możesz być mym gościem.

1. Do Iras.

LEPID.

Racz powiedzieć,
(Gdyż ustęp ten od rzeczy) co też myślisz
O punktach ci przesłanych.

CEZAR.

To pilniejsze.

ANTONIUSZ.

O łaskę cię nie prosim; rozważ tylko
Gdzie większa korzyść.

CEZAR.

Na co cię naraża
Podjęta wojna.

POMPEJ.

Wiem że mi dajecie
Sycylję i Sardynię; jam zaś winien
Oczyścić brzeg z korsarzy; sypy zboża
Do Rzymu przewieść: skutkiem téj ugody,
Rozejdziem się z niewyszczerbionym mieczem,
I z nieskalaną tarczą.

CEZAR, ANTONIUSZ i LEPID.

To przyznajem.

POMPEJ.

Więc wiedzcie żem tu wszedł, przygotowany
Ten układ przyjąć; lecz mię znów Antoniusz
Rozjątrzył do żywego. — Choć utracę
Zasługę jéj wspomnieniem, właśnie kiedy
Twój brat i żona wiedli bój z Cezarem,
W Sycylji, przy mnie, matka twa znalazła
Przytułek i gościnę.

ANTONIUSZ.

To pamiętam;
I gotów jestem złożyć ci ofiarę,
Na jaką stać mię będzie.

POMPEJ.

Daj prawicę.
Jam ani myślał że się tu spotkamy.

ANTONIUSZ.

Egipskie łoża pulchne; dzięki tobie
Żeś mię tu ściągnął wcześniéj niż pragnąłem,
Bom na tém zyskał.

CEZAR.

Odkąd cię widziałem,
Zmieniłeś się do szczętu.

POMPEJ.

Nie wiem jakie
Zła dola bruzdy ryje na méj twarzy,
Lecz wiem że serca nigdy nie dosięgnie,
By zrobić mię jéj sługą.

LEPID.

Zatém, zgoda.

POMPEJ.

Umowę zaszłą pismo niech uświęci,
Pod wszystkich trzech pieczęcią.

CEZAR.

Co najrychléj.

POMPEJ.

Losujmy przed rozjazdem, kto z nas pierwszy
Ugości swych przyjaciół.

ANTONIUSZ.

Ja, Pompeju.

POMPEJ.

Gdy los wyrzecze, pierwszy lub ostatni,
Rozgłośną sławę twéj egipskiéj kuchni
Z nadmiarem sprawdzisz. Juljusz, jak wiadomo,
Na niéj się roztył.

ANTONIUSZ.

Jak wiadomo tobie.

POMPEJ.

Myśl mam uprzejmą.

ANTONIUSZ.

I uprzejme słowa.

POMPEJ.

Prócz tego, jakiś tam Apollodorus
Dostawił mu —

ENOBARBUS.

To prawda.

POMPEJ.

Cóż dostawił?

ENOBARBUS.

Królowę młodą mu w kobiercu sprawił.

POMPEJ.

Tyś Enobarbus: jak tam szło, pod zbroją?

ENOBARBUS.

Nie źle; tu lepiéj: bo się jakoś roją
Aż cztery uczty.

POMPEJ.

Daj mi rękę, zuchu:
Jam walcząc z tobą ci zazdrościł w duchu,
Lecz nigdym nie był twym nieprzyjacielem.

ENOBARBUS.

Jam walcząc z tobą był twym wielbicielem,
Lecz od mych pochwał twa zasługa większa.

POMPEJ.

Żołnierska szczerość twoją twarz upiększa.
Niech cię uścisnę. — Czy wam służyć mogę
Do méj galery?

CEZAR, ANTONIUSZ i LEPID.

Racz pokazać drogę.

(Wychodzą Pompej, Cezar, Antoniusz, Lepid, Żołnierze i Służba.)

MENAS, na stronie.

Twój ojciec krwią by zmazał ich przekąsy. —
Tę brodę gdzieś widziałem.

ENOBARBUS.

Ja te wąsy.
Tyś był na statku.

MENAS.

Tyś był na wielbłądzie.

ENOBARBUS.

Na morzu zuchem byłeś.

MENAS.

Ty na lądzie.

ENOBARBUS.

Łysego chwalę, powiem że nie garbus;
Choć świat pamięta czém jest Enobarbus.

MENAS.

Czém sławny Menas.

ENOBARBUS.

Lecz jest cóś takiego
Co nie podnosi sławy twéj, kolego:
Żeś wielkim łotrem zawsze był na morzu.

MENAS.

A ty na lądzie.

ENOBARBUS.
Na co kąkól w zbożu?
Kochajmy się: czy kto z Cezara kmotrów
Nie patrzy na nas? widziałby dwóch łotrów
Tulących się do serca.

MENAS.
Co bądź ramię
Przeskrobać może, mężka twarz nie kłamie.

ENOBARBUS.
Najszczersza z kobiet zawsze twarz ma zdradną.

MENAS.
I bez oszczerstwa; bo nam serca kradną.

ENOBARBUS.
Przychodzim bić się z wami.

MENAS.
Wielka szkoda,
Że się na piciu skończy ta przygoda:
Bo Pompej zemstę do kielicha wrzuci.

ENOBARBUS.
I w śmiech zamienia, czego płacz nie wróci.

MENAS.
To wielka prawda. Któżby się spodziewał:
Antoniusz w Rzymie? A twój list opiewał
Że z Kleopatrą Fulwii ślub odnawia.

ENOBARBUS.
Cezara siostra zowie się Oktawia.

MENAS.
Marcella wdowa jest powszechnie czczoną.

ENOBARBUS.
Taż sama dziś jest Antoniusza żoną.

MENAS.
Co mówisz?

ENOBARBUS.
Prawdę.

MENAS.
Więc związani wiecznie?

ENOBARBUS.
Gdybym ich losy wróżyć miał koniecznie,
Tak bym nie sądził.

MENAS.
Myślę że te śluby,
Mniéj są miłości dziełem, niż rachuby.

ENOBARBUS.
I ja tak myślę: lecz ten związek rychły,
Pod którym ich zwaśnienia dziś ucichły,
Rozerwie nowa i zawziętsza walka.
Oktawia skromna, czysta jak Westalka.

MENAS.
To skarb dla męża.

ENOBARBUS.
Nasz Antoniusz Marek,
Cokolwiek tańszy radby mieć podarek.
On wróci zkąd przyjechał, później nieco:
Oktawii łzy, westchnienia, znów rozniecą
Cezara zawiść; a jak powiedziałem,
Co ich przyjaźni duszą dziś i ciałem,
O głębszy rozdział wkrótce ją przyprawi.
Antoniusz serce tam gdzie ma, zostawi:
On tu z Cezara żeni się fortuną.

MENAS.
To przyszłość powie. Los, to złote runo:
Kto umie doń żeglować, ten dostanie.
Czy łaska wsiąść na okręt, kapitanie?
Mam trochę win z Egiptu.

ENOBARBUS.
To roskosze:
Tam nasze gardła się wprawiły.

MENAS.
Proszę.

(Wychodzą.)

SCENA VII.

Na łodzi Pompeja, pod przylądkiem Mizeny.
Muzyka. Dwóch lub trzech Służących zastawiają ucztę.

PIERWSZY SŁUŻĄCY.
Niebawem przyjdą. Już niektórych pięty
Jak przestrzelone: Cezar sam podcięty,
Antoniusz kwaśny, Lepid za wesoły;
Niech wietrzyk dmuchnie, wszyscy trzéj pod stoły.

DRUGI SŁUŻĄCY.
Choć sam przez grzeczność wypił ich ostatki.
Gdy ci się gryźli jak przebiegłe swatki,
On krzyczał: « basta; » godził ich nienawiść,
A siebie z kuflem.

PIERWSZY SŁUŻĄCY.
Lecz tém gorszą zawiść
Pomiędzy sobą szerzył, a rozumem.

DRUGI SŁUŻĄCY.
Tak, by do wyższych liczył się przed tłumem:
Ja bym już wolał trzcinę mieć, niż kosę
Lub hałabardę, któréj nie podniosę.

PIERWSZY SŁUŻĄCY.
Być w pierwszym rzędzie, a nie umieć władać,
To jak ślepemu chcieć o świetle gadać.

(Przygrywka. Wchodzą Cezar, Antoniusz, Pompej, Lepid, Agryppa, Mecenas, Enobarbus, Menas i inni Wodzowie.)

ANTONIUSZ, do Cezara.
To ich obyczaj. Mierzą nurt Nilowy,
Kreskami wzdłuż piramid: téj skazówki
Wysokość, lub głębokość, im zwiastuje
Urodzaj lub drożyznę. Im Nil wyższy,
Tém lepsze plony: gdy opadnie, rolnik
Na bruzdę szlamu ziarno swe zasiewa,
I wnet ma żniwo.

LEPID.
Macie tam szczególne
Gadziny.

ANTONIUSZ.
I zjadliwe.

LEPID.
Wasze węże
Wasz muł egipski płodzi, przez działanie
Waszego słońca: tak i wasz krokodyl.

ANTONIUSZ.
Tak jest.

POMPEJ.
Siadajmy, — wino i puhary!
Lepida zdrowie.

LEPID.
Trochę mi gorąco.
Lecz się nie poddam.

ENOBARBUS.

Aż pod stół cię wtrącą :
Tam prześpisz się wygodnie.

LEPID.

Piramidy
Ptolemejowe, słyszę, są wspaniałe;
Tom słyszał, na uczciwość.

MENAS, na stronie.

Jedno słowo,
Pompeju.

POMPEJ, podobnież.

Mów do ucha : cóż takiego?

MENAS.

Wstań z kresła, wodzu ; proszę cię, zaklinam.
Choć jedno słowo.

POMPEJ.

Czekaj. — Do Lepida!

LEPID.

A wasz krokodyl, cóż to za stworzenie?

ANTONIUSZ.

Stworzone, jak się zdaje, przy stworzeniu :
Podobne całkiem wszerz i wzdłuż do siebie;
Porusza się według właściwych ruchów;
Tém żyje co go żywi, a gdy zdechnie,
Przechodzi w inne.

LEPID.

Teraz, co do maści.

ANTONIUSZ.

Maść jego własna.

LEPID.

To ciekawa żmija.

ANTONIUSZ.

Tak jest; i łzy ma mokre.

LEPID.

Być nie może!

CEZAR.

No, jeśli opis ten go zadowolni, —

ANTONIUSZ.

Do niego Pompej wypił, i ja także;
Epikurejskie zwierzę nie ubodzie.

POMPEJ do Menasa, na stronie.

Bodajbyś wisiał! Bredzisz! Idź do kata!
Rób co ci każę. — Dajcież mi tę czarę!

MENAS, podobnież.

Na pamięć moich zasług, myśl o sobie,
Wstań z krzesła, wodzu.

POMPEJ.

Myślę żeś oszalał.
Cóż, gadaj?

(Odchodzą na stronę.)

MENAS.

Zawszem rudło miał zwrócone
Ku twemu szczęściu.

POMPEJ.

Wiernie mi służyłeś,
To prawda. I cóż potém? —

ENOBARBUS.

Tu mielizny,
Lepidzie, toniesz.

MENAS.

Na te stare blizny,
Czy chcesz być panem świata?

POMPEJ.

Co ty mówisz!

MENAS.

Czy chcesz być panem świata? po raz drugi.

POMPEJ.

A w jaki sposób?

MENAS.

Słuchaj co ci powiem :
Choć mię ubogim sądzisz, ja twój sługa,
Ja światem cię obdarzę.

POMPEJ.

Czyś pijany?

MENAS.

Mych ust, Pompeju, czara nie dotknęła.
Być możesz, jeśli śmiesz, Jowiszem ziemskim :
Cobądź ocean kąpie, dzień oświeca
To twojém, jeśli zechcesz.

POMPEJ.

A gdzie droga?

MENAS.

Ci trzéj współrządcy trzech okręgów świata,
Są na twéj łodzi : pozwól zdjąć kotwicę;
A gdy odbijem, skoczyć im do gardła :
Świat nasz, i oni.

POMPEJ.

Ach! to zrobić było
Nic mi nie mówiąc. Dla mnie, to podłością,
Co wyszłoby dla ciebie na zasługę.
Wiedz że nie korzyść mym honorem rządzi,
Lecz on korzyścią. Żałuj że twe słowa
Zdradziły czyn twój, który bez téj zdrady
Zasłużyłby w przyszłości na pochwałę,
A dziś wart jest nagany. Pij, nie gadaj.

MENAS, na stronie.

Czy tak? twéj zguby nie chcę paść ofiarą.
Kto szukał, a nie zbierze gdy wypatrzy,
Ten nigdy nic nie znajdzie.

POMPEJ.

Do Lepida!

ANTONIUSZ.

Ja go wyręczę. — Na ląd go wynieście.

ENOBARBUS.

Do ciebie, Menas.

MENAS.

Lat swobodnych dwieście.

POMPEJ.

Lej, aż przepełnisz.

ENOBARBUS.

Patrz, to zuch, jak żyję!

(wskazując na Służącego podnoszącego Lepida.)

Podnosi trzecią świata część za szyję.

MENAS.

Więc trzecia część pijana : bodaj cały,
Koleje szczęścia prędzéj by wracały.

ENOBARBUS.

Nasmaruj duszkiem.

POMPEJ.

Na Egipskim dworze
Bywało lepiéj.

ANTONIUSZ.

Tam jest Nil, tu morze. —
Zadzwońmy w czary! w krąg Cezara zdrowie.

CEZAR.

Co za potrzeba mózg zalewać w głowie,
By jeszcze był mętniejszym.

ANTONIUSZ.

To na czasie.

CEZAR.

Niech czas ci służy, w zbroi lub atłasie;
Lecz ja bym wolał pościć pół tygodnia,
Niż tyle wypić w jednym dniu : to zbrodnia.

ENOBARBUS.

Cóż, naczelniku, póki śmiech pod wąsem,
Czy się nie pozna Rzym z Egipskim pląsem?

POMPEJ.

Prosimy.

ANTONIUSZ.

Zgoda, wszyscy dłoń do dłoni,
Aż nasze zmysły winna mgła zasłoni
I w Lety zdrój pogrąży.

ENOBARBUS.

Daléj w szyki. —
Niech w słuch i serce bije prąd muzyki;
Ja was ustawię : téj bachantki pienia
Niech każdy wtórzy zgodnie, bez wytchnienia,
I z całéj piersi.

(Przygrywka. Enobarbus wszystkich w krąg ustawia.)

SPIEW.

Chodź, monarcho winopłodny,
Chodź, Bachusie nasz urodny :
W twéj beczułce szczęścia kwiat;
Niech twój liść nam skronie wieńczy;
Lej roskoszy zdrój młodzieńczy,
Aż się w krąg potoczy świat!

CEZAR.

Coż nam więcéj trzeba?
Pompeju, dobréj nocy. — Niech was nieba
Snem błogim darzą : żegnam. — Chodź, mój bracie,
Ważniejsze sprawy cierpią, na téj stracie
Drogiego czasu. Ty, choć tęga głowa,
Jak winny szczep kulejesz; moje słowa
Lgną jakoś w ustach : wpadliśmy w obłędy
Zbyt pieszcząc się z puharem. Droga tędy. —
Bywajcie zdrowi.

POMPEJ.

Na brzeg was wysadzę.

ANTONIUSZ.

Daj rękę.

POMPEJ.

W ręku masz ojcowską władzę
I dom ojcowski. — Lecz do czasu zgoda.
Na łódkę zemną.

ENOBARBUS.

Strzeżcie się, tam woda. —

(Wychodzą Pompej, Cezar, Antoniusz i Służba.)

My do kajuty, Menas.

MENAS.

Do kielicha. —
Hej! — kotły, trąby, fletnie, cóż u licha! —
Niech Neptun słyszy, jak cenimy wielce
Tak wielkich ludzi : trąbcież wy, wisielce!

(Zatrąbka.)

ENOBARBUS.

Hej, hola! — Za Cezarem, w górę czapka!

MENAS.

Chodź, kapitanie! jest na spodzie kapka.

(Wychodzą.)

AKT TRZECI.

*SCENA I[1].

Pobojowisko, w Syrji.

WENTYDYUSZ wchodzi w zwycięzkim Orszaku; SYLJUSZ, Rzymianie, Rotmistrze i Żołnierze w żałobnym Pochodzie za zwłokami PAKORUSA.

WENTYDYUSZ.

Uległaś, Partio, mimo strzał zjadliwych,
Wszechwładzy Rzymskiéj; zgon Krassusa Marka
O pomstę wołał. — Syn twój, Orodesie,
Pakorus mężny, wśród zwycięzkich szyków,
Żałobną cześć odbierze.

SYLJUSZ.

Wentydyuszu,
Nim ze krwi Partów twoja broń ostygnie,
Puść się za niemi : tropiąc ich przez Medyą,
Mezopotamią, zapędź aż w bezludne
Północne stepy : tak nasz wódz Antoniusz
Na tryumfalny rydwan cię podniesie,
I laurem skroń uwieńczy.

WENTYDYUSZ.

O Syljuszu!
Jam swoje skończył : wódz podrzędny musi
Na mniejszym czynie przestać; bo pamiętaj
Że lepiéj nic nie zrobić, niż zbyt głośne
Pozyskać imię, gdy nasz pan w namiocie.
I on i Cezar więcéj przez podwładnych
Niż siebie ziem zdobyli : Sossyusz dzielny
Poprzednik mój, namiestnik jego w Syrji,
Za zbytni pospiech w sławy swéj rozwoju,
Skaranym został wieczną już niełaską.
Kto więcéj sprawi niż naczelnik może,
Za wodza mu się stawia; chęć podbojów,
Żołnierska cnota, woli skryć przegraną,
Niż głosić zdobycz która jéj ubliża.
Dla Antoniusza więcéj bym dokonał,
Lecz lękam się urazić; a zasługi
W urazie by przepadły.

SYLJUSZ.

Masz to w sobie,
Bez czego żołnierz ledwo się odróżnia
Od swego miecza. List mu przesłać miałeś?

1. Pominąć.

WENTYDYUSZ.

Donoszę kornie com imieniem jego,
Czarownėm bojów hasłem, dłań uczynił;
Żem z wojskiem dobrze płatném i orłami
Niezbitą Partów po dziś dzień konnicę
Za świat przepędził.

SYLJUSZ.

Gdzież on teraz bawi?

WENTYDYUSZ.

Do Aten dąży; gdzie, jak nam pozwolą
Z tak ciężkim plonem naszych wojsk obroty,
Zapewne się złączymy. — Naprzód, roty!

(Wychodzą.)

SCENA II.

W Rzymie. Przedpokój u Cezara.

AGRYPPA i ENOBARBUS.

AGRYPPA.

Cóż! to przymierze już zawarte święcie?

ENOBARBUS.

Dobili targu: Pompej na okręcie;
Oktawia płacze, klnąc na los okrutny
Że musi Rzym opuścić; Cezar smutny;
A Lepid, skutkiem uczty, ma blednicę,
Jak Menas mówi.

AGRYPPA.

Tak poważne lice!

ENOBARBUS.

Tak bystry rozum! Jak on czci Cezara!

AGRYPPA.

Lecz Antoniusza kocha, co niemiara.

ENOBARBUS.

Co, Cezar? bóstwo, Jowisz sam barłogiem.

AGRYPPA.

A co Antoniusz? On Jowisza bogiem.

ENOBARBUS.

Rzecz o Cezarze? Większych serc nietrzeba.

AGRYPPA.

O Antoniuszu? Spadł feniksem z nieba.

ENOBARBUS.

Chcesz wielbić go, mów, — Cezar; — i nic więcéj.

AGRYPPA.

Którego widzi, tego czci goręcéj.

ENOBARBUS.

Gdy razem idą, równa w nich zaleta.
O! serce, język, liczba, wieszcz, poeta,
Krwią, mową, pismem, śpiewem! nie wyrażą
Czém dłań Antoniusz. Przed Cezara twarzą,
Klękajcie ludy, korzcie się z modłami.

AGRYPPA.

On bąkiem dla nich.

ENOBARBUS.

Oni dłań skrzydłami.

(Zatrąbka.)

Agryppo, żegnam; trąbka na koń woła.

AGRYPPA.

Niech świeże laury wam ozdobią czoła.

(Wchodzą CEZAR, ANTONIUSZ, LEPID, OKTAWIA.)

ANTONIUSZ.

Już nie pozwolę daléj iść, Cezarze.

CEZAR.

*Zabierasz mi połowę mnie samego;
Mię w niéj uszanuj.—Siostro, bądź w małżeństwie
Czém jesteś w myśli bratniéj, niech twe serce
Z nadmiarem sąd mój spełni. — Antoniuszu,
Niech ten wzór cnoty wpośród nas stojący
Jak trwały cement naszych serc przymierza,
Nie stanie się taranem téj budowy
By wyłom w niéj otworzyć; lepiéj było
Pozbawić się téj spójni, niż ją widzieć
Zmienności twéj ofiarą.

ANTONIUSZ.

To krzywdząca
Nieufność.

CEZAR.

Rzekłem.

ANTONIUSZ.

Nie, Cezarze, nigdy
Jakkolwiek o mnie sądzisz, niedopuszczę
Byś taką miał obawę. Niech bogowie
Do twych zamiarów Rzymski lud nakłonią! *
Tu się rozejdziem.

CEZAR.

Siostro, bądź mi zdrowa:
Niech los ci sprzyja wszędzie i we wszystkiém,
Zachowaj myśl pogodną! żegnam ciebie.

OKTAWIA.

Najdroższy bracie! —

CEZAR.

Kwiecień w twém spojrzeniu;
To wiosna serca. Deszczyk maj zwiastuje. —
Uspokój się.

OKTAWIA.

Nasz dom odwiedzać raczysz;
I —

CEZAR.

Cóż, Oktawio?

OKTAWIA.

Powiem ci z osobna.

ANTONIUSZ.

Jéj serca głos nie słucha, ani serce
Nie śmie nim rządzić; to jak puch łabędzi,
Co nad jeziorem lśniąc barwami tęczy,
I tu i tam się chwieje.

ENOBARBUS do Agryppy, na stronie.

Cezar jęczy?

AGRYPPA.

Mgłę ma na czole.

ENOBARBUS.

Jego wuj nie łakał;
Co w koniu plamą, to w Cezarze zakał.

AGRYPPA.

Wszak i Antoniusz nad Juljusza ciałem,
Potwornym rykiem jęknął; sam widziałem
Płacz jego szczery, przy Brutusa stosie.

ENOBARBUS.

Miał wtedy katar tak zawzięty w nosie,

Że kwilił nad tém co sam zbroił chętnie:
Wierz w to, aż łkaniem w ucho ci zatętnię.

CEZAR.

Otrzymasz bratni list o każdéj dobie:
Czas nie prześcignie myśli méj ku tobie.

ANTONIUSZ.

Miłości méj potęgą cię przemogę:
Jak tym uściskiem.

CEZAR.

Dość już.

ANTONIUSZ.

Teraz, w drogę.

LEPID.

Niech roje gwiazd jéj podróż błogosławią!

CEZAR.

Bądź zdrów, bądź zdrowa.
(całuje Oktawię.)

ANTONIUSZ.

Czekam cię, Oktawio.
(Zatrąbka. Wychodzą.)

SCENA III.

W Aleksandrji. Pokój w pałacu.

KLEOPATRA, CHARMION, IRAS i ALEKSAS.

KLEOPATRA.

Gdzie jest ten człowiek?

ALEKSAS.

Drży w służbowéj sieni.

KLEOPATRA.

Sprowadzić go tu.
(Posłaniec wchodzi [1]).

ALEKSAS.

Najjaśniejsza ksieni,
Sam Herod nie śmie spojrzeć na królowę,
Gdy twarz jéj gniewna.

KLEOPATRA.

Ściąć Heroda głowę
I przynieść na puklerzu... chęci płoche,
Antoniusz ich nie spełni. — Zbliż się trochę.

POSŁANIEC.

Co Najjaśniejsza pani, —

KLEOPATRA.

Wszak jéj imię
Oktawia?

POSŁANIEC.

Tak jest.

KLEOPATRA.

Gdzieś ją widział?

POSŁANIEC.

W Rzymie.
Patrzałem na nią, gdy w odzieniu szarém
Szła między Antoniuszem i Cezarem.

KLEOPATRA.

Ma wyższą być odemnie?

POSŁANIEC.

Gdy podrośnie.

KLEOPATRA.

A jak też mówi? cicho, czy donośnie?

POSŁANIEC.

Zazwyczaj cicho: modli się i przędzie.

KLEOPATRA.

To nieźle: długo kochać jéj nie będzie.

CHARMION.

O Izys! kochać? nie, to niepodobna.

KLEOPATRA.

Tak myślę, Charmion: cichy głos i drobna! —
Czy ma wspaniały chód? przypomnij sobie,
Królowę przecież znałeś w méj osobie.

POSŁANIEC.

Chód pełzający: stoi lub się rusza,
To raczéj piękny trup niż żywa dusza;
Kamienny posąg, jak w Ramzesa krypcie.

KLEOPATRA.

Czyś pewien?

POSŁANIEC.

Lub się nie znam.

CHARMION.

Trzech w Egipcie
Nie znajdziesz takich znawców.

KLEOPATRA.

Bez wątpienia,
Ma smak wyborny. — Postać jak z kamienia. —
A co do wieku? To wyrachuj ściśle.

POSŁANIEC.

Już wdową po Marcellu. Niech pomyślę. —
A więc, około lat trzydziestu liczę.

KLEOPATRA.

Czy słyszysz, Charmion, wdową! — Jéj oblicze?
Okrągłe, czy podłużne?

POSŁANIEC.

Wpół okrągłe,
Jak księżyc w pełni. Lecz ma rysy ściągłe.

KLEOPATRA.

Twarz bez wyrazu; to zapewne gąska. —
Jéj włos?

POSŁANIEC.

Jasno brunatny; skroń tak wązka
Jak liść wierzbiny.

KLEOPATRA.

Zbieraj te pieniądze:
Źle cię przyjęłam; dziś cię lepiéj sądzę.
Chcę znów do Rzymu cię wyprawić gońcem:
Lepszego posła nie znał nikt pod słońcem.
Na list poczekasz.
(Posłaniec wychodzi.)

CHARMION.

Zda się człek porządny.

KLEOPATRA.

Jest nim w istocie, Charmion, i rozsądny:
Żal mi żem uszu trochę mu natarła.
Oktawia, to lichota.

CHARMION.

To pół karła.

KLEOPATRA.

On wie co jest królewskość, tam jéj niema.

1. *Mardyan.*

CHARMION.

Co jest królewskość, on? Co pani mniema,
On od dzieciństwa w jéj usłudze karmion!

KLEOPATRA.

Mam o cóś jeszcze go zapytać, Charmion:
W czytelni mojéj sama list mu wręczę.
Antoniusz do mnie wróci.

CHARMION.

Za to ręczę.

(Wychodzą.)

*SCENA IV[1].

W Atenach. Pokój u Antoniusza.

ANTONIUSZ i OKTAWIA.

ANTONIUSZ.

Nie tylko to, jak wiesz, Oktawio droga,
To możnaby przebaczyć, i tysiące
Podobnych krzywd, — lecz wznawia bój z Pompejem;
Testament pisze, czyta go przed ludem:
O mnie słów skąpi: gdy konieczność każe
Należną czcią mi płacić, z chłodnym wstrętem
Przytłumia głos, i lichą stopą mierzy.
Z najlepszéj sposobności nie korzysta,
Lub chwali mię przez zęby.

OKTAWIA.

O mój mężu!
Wszystkiemu nie wierz; lub, gdy wątpić trudno,
Nie tłómacz na złe. Jeśli to zerwanie
Nastąpić musi, jakiż los mię czeka,
Modlącą się co dzień za obie strony:
Bogowie będą szydzić z méj modlitwy,
Gdy powiem: « Zbawcie męża i obrońcę! »
A zniszczę ją, wołając równie głośno:
« I brata zbawcie! » Brat czy mąż wygrywa,
Z modlitwą wraz przepadam bez ratunku
Pomiędzy tym i tamtym.

ANTONIUSZ.

Lecz, Oktawio,
Najszczersza miłość temu się należy,
Kto ją najwyżéj ceni. Z mym honorem
Ja życie stracę: lepiéj nie mieć męża,
Niż mieć go tak ztarganym. Skoro żądasz,
Stań między nami: przez ten czas, Oktawio,
Gotując się do walki, może wstrzymam
Wyzwanie twego brata. Spiesz do Rzymu:
Tak ziszczą się twe chęci.

OKTAWIA.

Dzięki tobie.
Niech boska wszechmoc wątłą mię uczyni
Rozjemcą waszym! On walczący z tobą,
To jakby świat się rozpadł; krocie trupów
Szczeliny nie zapełnią.

ANTONIUSZ.

Skoro wątku
Téj kłótni dojdziesz, zwróć twój gniew na sprawcę;
Gdyż naszych win tak zrównać nie podobna,
Byś równo nam sprzyjała. Do podróży
Przybocznych wybierz; nim na okręt wsiędziesz,
Cobądź zapragniesz, natychmiast mieć będziesz.

(Wychodzą.)

*SCENA V[1].

Inny pokój, tamże.

ENOBARBUS i EROS.

ENOBARBUS.

Właśnie cię szukał.

EROS.

Dziwna wieść tu chodzi.

ENOBARBUS.

No, cóż?

EROS.

Znów Cezar na Lepida godzi.

ENOBARBUS.

To stare: kto zwycięża?

EROS.

Kto szczęśliwszy.
W poprzednich walkach jego sił używszy,
A niechcąc uznać za równego sobie,
Lepida wnętrze ptak Cezara dziobie;
I mimo to, zarzuca mu otwarcie
Że pismem prosił o Pompeja wsparcie;
Pod tym zarzutem wzięty do niewoli,
Tryumwir w kozie, aż go śmierć wyzwoli.

ENOBARBUS.

Świat więc już tylko parę szczęk posiada;
Wrzuć między nie cokolwiek wojna zjada,
Wciąż gryźć się będą. Gdzie Antoniusz, dziecię?

EROS.

W ogrodzie się przechadza; — rwie i gniecie
Co wpadnie mu pod rękę; — « To ten głupiec,
To Lepid! » woła: radby żywcem upiec
Setnika który śmiał Pompeja zgładzić.

ENOBARBUS.

Już flotę zbroi.

EROS.

Sam ją ma prowadzić.
Chce bić Cezara, Włochy, co się zmieści.
A, wzywa cię na radę: moje wieści
Odkładam więc na późniéj.

ENOBARBUS.

Znowu spory
O jakieś bzdurstwo. — Ludzie, to upiory. *

(Wychodzą.)

SCENA VI.

Pokój w domu Cezara.

CEZAR, AGRYPPA i MECENAS.

CEZAR.

W pogardzie Rzymu działa wciąż; co więcéj,
Tak sprawił się niedawno w Aleksandrji.

1. Pominąć.

1. Pominąć.

W targowym rynku, na podstawie srebrnéj,
W złocistych krzesłach, on i Kleopatra,
Zabrali miejsce : u ich stóp Cezarjon,
Juljusza synem błędnie przez nich zwany,
I cały ród nieprawy, bo wynikły
Z dziewięciu lat rozpusty. Swéj kochance
Zostawił rząd Egiptu; nazwał panią
Udzielną i królową Cypru, Lidyi
I niższéj Syrji.

MECENAS.

Czy to w obec ludu?

CEZAR.

Na rynku, gdzie przeglądy wojsk odbywa.
Królami królów synów swych ogłosił :
Aleksandrowi dał Armenią, Partią
I wielką Medyą : dział zaś Ptolemeja
Cylicya, Syrja i Fenicya. Ona
Zjawiła się w Izydy boskiéj stroju,
Rozumiesz; w którym, jak donoszą gońce,
Już często ją widziano.

MECENAS.

Daj Rzymowi
Znać o tém.

AGRYPPA.

Rzym, znużony do ckliwości
Zuchwalstwem jego, już mu nie przychylny.

CEZAR.

Lud wie o wszystkiém; znowu dziś odbiera
Skarżące listy.

AGRYPPA.

Kogóż on oskarża?

CEZAR.

Cezara; o to żem z Sycylji rządów
Pompeja złupił, a nie przyznał jemu
Należnéj części : daléj, żem nie zwrócił
Przysłanych mi okrętów : gromi, wreszcie,
Za odsunięcie od tryumwiratu
Lepida, i zabranie mu przychodów
Na własny skarb.

AGRYPPA.

To zarzut niegodziwy :
Bez odpowiedzi tego znieść nie można.

CEZAR.

Przez umyślnego już mu ją posłałem.
Tryumwir, rzekłem, za okrutne czyny,
Za nadużycie swéj wysokiéj władzy,
Na stratę jéj zasłużył; co do wyspy,
Część jéj odbierze, byle mi w Armenii,
I w innych państwach które sam owładnął,
Wyznaczył moją.

MECENAS.

Na to nie przystanie.

CEZAR.

Tak téż na jego zgadzam się żądanie.

(Wchodzi OKTAWIA z małym Orszakiem.)

OKTAWIA.

Mój bracie, witaj! tobie cześć, Cezarze!

CEZAR.

Czym się spodziewał zwać cię odrzuconą!

OKTAWIA.

Tak mię nie nazwiesz panie, bez powodu.

CEZAR.

Cóż mogło zajść? Nie jak Cezara siostra
Powracasz do nas : Antoniusza żonie
Za przednią straż huf cały mieć przystało,
Rumaków rżenie winno jéj przybycie
Z daleka głosić : drzewa nad gościńcem
Żyjącą mieć osadę, * tłum stęskniony
Przyspieszać jéj zjawienie; nawet ziemia
Wzruszona stopą licznych jéj szeregów
Aż w niebo prochem ciskać.* Gdy tymczasem
Do Rzymu wchodzisz jak przekupka biedna,
Uprzedzasz z góry objaw méj miłości
Bez niego płonnéj : radbym cię powitać
Na morzu i na lądzie, w każdym kroku
Hołd wyższy niosąc.

OKTAWIA.

Panie zbyt łaskawy,
Przybywam tak nie z musu, lecz to czynię
Z méj własnéj woli. Mąż mój, gdy zasłyszał
Że zbroisz się na wojnę, raczył zemną
Podzielić się tą wieścią, i zezwolił
Na powrót mój do Rzymu.

CEZAR.

Zbyt skwapliwie,
Boś między nim stanęła i nierządem.

OKTAWIA.

O, nie mów tego.

CEZAR.

Wiem już co zamyśla,
Postępki jego z wiatrem mię dochodzą.
Gdzież teraz bawi?

OKTAWIA.

Jest w Atenach, panie.

CEZAR.

Nie, siostro, tyś skrzywdzona; Kleopatra
Skinieniem go zwabiła : téj sprośnicy
On rząd swój oddał; i oboje wiodą
Pół świata na tę wojnę. * Już zebrani
Król Libii Bochus; przy nim Archelaus
Król Kapadocyi; jest król Paflagonii
Filadelf; daléj Tracyi król Abdallas :
Arabii Malchus i Judejski Herod,
Król Pontu, a Mitrydat Komageny;
Polemon i Amintas, ten król Medyi,
Ten Likaonii, że nie wspomnę wielu
Mniéj znanych sprzymierzeńców. *

OKTAWIA.

O nieszczęsna,
Żem rozdzieliła serce na dwie części,
Tak wstrętne jedna drugiéj!

CEZAR.

Ta ci wierna.
Twym listom zadość, długom się ociągał,
Aż wielkość twéj zniewagi mię znagliła
Do przyspieszenia zemsty. Bądź spokojna,
Otrzymasz ją zupełną; *jakiekolwiek
Nad twojém szczęściem czas gromadzi burze,
Niech rzeczy pójdą bez przeszkody, torem
Przez los wytkniętym. Dziś cię Rzym pozdrawia;
Tyś droższą mi nad wszystko. Twoja krzywda
Przechodzi zakres myśli; a bogowie
Wzywają nas, i wszystkich nam przyjaznych,

By słuszność ci wyrządzić*. Twoja sprawa
Jest naszą sprawą.

AGRYPPA.

I całego Rzymu.

MECENAS.

Witamy cię, Oktawio. Co ma serce
To wszystko ciebie kocha i poważa:
Antoniusz sam, ten cudzołożnik hardy,
W rozpuście swéj zagrzęzły, cię odtrąca,
I rządy swe powierza Kleopatrze,
Przeciwko nam wichrzącéj.

OKTAWIA.

Czy być może?

CEZAR.

Bądź o tém pewna. Zbrodni téj zbyt ostro
Nie możem skarcić. Chodź, najmilsza siostro.

(Wychodzą.)

SCENA VII.

Obóz Antoniusza, nad przylądkiem Actium.

KLEOPATRA i ENOBARBUS.

KLEOPATRA.

Ja chcę się zemścić, zanim gniew mój zgaśnie.

ENOBARBUS.

Lecz za co, za co, za co?

KLEOPATRA.

Za to właśnie
Żeś mię w obozie, przed wodzami kilką,
Szkodliwą mienił.

ENOBARBUS.

Za to, za to tylko?

KLEOPATRA.

Czy więcéj trzeba? zkądże, to mi dowiedź,
Nie wolno mi tu zostać?

ENOBARBUS, na stronie.

Mam odpowiedź: —
* Jeżeli z jazdą klaczy pułk przybędzie,
Na cóż rumaki? każdą klacz dosiędzie
Wierzchowiec, z jeźdzcem.

KLEOPATRA.

Śmieszysz mię; cóż potém?

ENOBARBUS.

Okropnym dla nas będziesz tu kłopotem; *
Nasz wódz nadwątli serce swe olbrzymie,
Czas, mózg i zdrowie. Już go łają w Rzymie
Za lekkomyślność; wojskiem, jak tam sądzą,
Rzezaniec Fotyn i kobiety rządzą.

KLEOPATRA.

Niech Rzym przepadnie; niech języki zwiędną,
Co mię szkalują, mię wśród was niezbędną!
Mię, com powinna, z królów krwi królowa,
Dać przykład mężom. Dość już, ani słowa;
Ja wam dostoję.

ENOBARBUS.

Wara z nią szermierzyć.
Otóż naczelnik.

(ANTONIUSZ wchodzi z KANIDYUSZEM.)

ANTONIUSZ.

Któżby śmiał uwierzyć
Że pominąwszy Tarent i Brundusium,
Jońskiego morza rozciął już obszary,
I Toryn zabrał? — Wiesz o tém, kochana?

KLEOPATRA.

Wiem że pospiechu nikt nie ceni więcéj
Niż opieszały.

ANTONIUSZ.

Przekąs nie pośledni,
Bo najczujniejszym przystałby rycerzom,
W zgromieniu gnuśnych. — A więc, Kanidyuszu,
Spotkamy się na morzu.

KLEOPATRA.

Gdzieżby lepiéj?

KANIDYUSZ.

Na morzu, czemu?

ANTONIUSZ.

Bo mię tam wyzywa.

ENOBARBUS.

Wyzwanie twoje nieraz już odrzucił.

KANIDYUSZ.

Gdyś chciał odnowić tę Farsalską bitwę
Gdzie Cezar zniósł Pompeja, on przeczuwał
Nierówną walkę, więc ustąpił śmiało;
Tak z nim dziś uczyń.

ENOBARBUS.

Nędzne masz osady;
Majtkowie to mulnicy lub żniwiarze,
Spędzeni pod naciskiem: gdy u niego
Są ci co dawniéj bili się z Pompejem.
Ich statki zwrotne, twoje są przysiadłe:
Bez hańby więc odmówisz morską walkę,
Gdy stajesz mu na lądzie.

ANTONIUSZ.

Nie, na morzu.

ENOBARBUS.

Przezacny wodzu, sam niweczysz przeto
Stanowczą wyższość jaką masz na lądzie;
Rozdzielasz zastęp twój, złożony zwłaszcza
Z piechoty bitnéj; tracisz bez użytku
Tak słynną twą świadomość; i pomijasz
Jedyną pewną drogę do zwycięztwa,
By wszystko rzucić na bezdenną szalę
Zwodniczych nurtów.

ANTONIUSZ.

Nie, na morzu sprawa.

KLEOPATRA

Sześćdziesiąt statków ja postawię w rzędzie.
Spalimy nadmiar floty; co zostanie,
Z osadą pełną, pod przylądkiem Actium
Rzucimy na Cezara: po przegranéj,

(Posłaniec wchodzi [1].)

Dopiero rzecz na lądzie. — Co mi niesiesz?

POSŁANIEC.

Wieść była słuszną: Cezar jest w pobliżu;
A Toryn wzięty.

ANTONIUSZ.

Co, już? niepodobna;
I z całém wojskiem? — Niech Kanidyusz weźmie

1. *Mardyan.*

Legionów dziewiętnaście i dwanaście
Tysięcy jazdy : my na statek z tobą,

(Wchodzi SKARUS.)

Tetydo piękna! — Skarus, zbliż się śmiało!

SKARUS.

Prześwietny wodzu, chroń się walki morskiéj;
Nie wierz spróchniałym deskom. Masz w usłudze,
Ten miecz, te moje blizny! Niech tam kaczki
Egipskie lub Fenickie nurkiem płyną;
My zwykliśmy po ziemi co nas płodzi,
Krok w krok za wrogiem stąpać.

ANTONIUSZ.

Precz! — Do łodzi.

(Wychodzą Antoniusz, Kleopatra i Enobarbus.)

SKARUS.

Na Herkulesa, prawdę mu wyrzekłem.

KANIDYUSZ.

Cóż z tego, jeśli prawda nim nie rządzi.
Nasz wódz jest wiedzon : wierzchem są kobiety,
A my na spodzie.

SKARUS.

Wszak legionów pieszych,
I całéj jazdy oddał wam dowództwo?

KANIDYUSZ.

Oktawiusz Marek i Justejus drugi,
Publikola i Celius mają morze;
Ja wszystko co na lądzie. Lot Cezara,
To jak lot orli.

SKARUS.

*On był jeszcze w Rzymie,
A wojsko szło drobnemi oddziałami
By zwiady zmylić*. Kto pod nim dowodzi?

KANIDYUSZ.

Jak słyszę, Taurus.

SKARUS.

Z tym nie łatwa sprawa.

POSŁANIEC, wchodząc [1].

Naczelnik prosi.

KANIDYUSZ.

Sądnym dniem brzemienny,
Czas wszystko zmienia, chociaż sam niezmienny.

(Wychodzą.)

*SCENA VIII.

*Równina, w pobliżu Actium.

*CEZAR, TAURUS, Rotmistrze i Inni.

CEZAR.

*Gdzie Taurus?

TAURUS.

Służę.

CEZAR.

Stój w odwodzie, słupem :
Nie ruszaj ztąd, aż wrócę z morskim łupem.
Masz na téj karcie treść rozkazu ścisłą :
Od jednéj stawki wszystko dziś zawisło*.

(Wychodzą.)

*(Wchodzą ANTONIUSZ i ENOBARBUS.)

1. *Mardyan.*

ANTONIUSZ.

*Ustawisz flotę pod przylądku brzegiem,
Ku ziemi wklęsłym łamiąc ją szeregiem;
Cezara łodzie ztąd policzym snadnie,
I według tego natrzem jak wypadnie*.

(Wchodzą z jednéj strony KANIDYUSZ z piechotą w głębi; z drugiéj TAURUS, namiestnik Cezara. Po ich wejściu słychać wrzawę bitwy morskiéj. — Odgłos trąb i kotłów.)

ENOBARBUS, wracając.

Skończona rzecz! Wstyd oczy mi wyjada.
Egipski prom naczelny, Antoniada,
W sześćdziesiąt żagli, zwraca ster i ginie :
Aż mi się ćmi.

SKARUS, wchodząc.

Bogowie i boginie,
Z Olimpu całym zborem!

ENOBARBUS.

Cóż, u kata!

SKARUS.

Przegraliśmy najdroższy klejnot świata :
Za całus tracim w hańbie i ohydzie
Królestwa i prowincye.

ENOBARBUS.

Jak tam idzie?

SKARUS.

Najlepiéj dla Cezara, *jakby piekło
Z nim się sprzysięgło. Niech tę szkapę wściekłą
Egipski trąd roztoczy!* Ćma przeklęta! —
Gdy los się z losem ważył, jak bliźnięta
Podobne sobie, nam się lepiéj wiodło; —
Jak w czerwcu krowę [1] coś ją tam ubodło,
Zwróciła ster i pierzchła [2].

ENOBARBUS.

*To widziałem :
Oślepłem prawie patrząc, i musiałem
Aż oczy zmrużyć.*

SKARUS.

Gdy ta sprosna mara
Zniknęła, wódz nasz, złudzeń jéj ofiara,
Jak dziki kaczór gdy go spłoszą sieci,
Wśród najzaciętszéj walki, za nią leci.
Jeszczem nie widział tak szpetnego czynu :
Rozwaga, męztwo, wodzów cześć i gminu
Nie były tak splamione.

ENOBARBUS.

Biada, biada!

KANIDYUSZ, wchodząc.

Nasz los na morzu tchnieniem już nie włada,
I tonie bez ratunku. Gdyby raczéj
Wódz mię był słuchał, poszłoby inaczéj :
O! dał nam wzór ucieczki swym przykładem,
Na wpół zwycięztwa.

ENOBARBUS.

Tym idziecie śladem?
Więc bywaj zdrów.

KANIDYUSZ.

My do Peloponezu
Żeglujem.

1. Piekielnym czarem.
2. Gdy ta mara.

SKARUS.
Droga łatwa; z pod Efezu
Za wami zdążę.

ENOBARBUS.
Więc bywajcie zdrowi;
Szczęśliwa droga.

KANIDYUSZ.
Ja zdam Cezarowi
Legiony z jazdą: już mu się w niewolę
Oddało sześciu królów.

ENOBARBUS.
Ja zaś wolę
Zwichniętéj sprawie służyć, choć rozwaga
Tam zbiegów ciągnie, gdzie się szczęście wzmaga.
(Wychodzą.)

SCENA IX.

W Aleksandrji. Pokój w pałacu.

ANTONIUSZ, ENOBARBUS, EROS, i Służba.

ANTONIUSZ.
Słyszycie! ziemia wichrzy się podemną,
Ze wstydu że mię znosi. — Chodźcie bliżéj;
Takem zapóźnił się w żegludze życia,
Żem zbłądził od przystani. — Mam galerę
Ładowną złotem; weźcie ją, rozdzielcie,
I zgódźcie się z Cezarem.

SŁUDZY.
My? O, nigdy!

ANTONIUSZ.
Ja sam uciekłem, jam nauczył tchórzów
Jak wrogom tył podawać. — Przyjaciele,
Odstąpcie mię; wybrałem się w przeprawę,
Do któréj was nie trzeba; bądźcie zdrowi: —
Mój skarb jest na zatoce, weźcie wszystko. —
Przed tém com kochał dziś się płonić muszę:
Aż włos mój się buntuje! gdyż ten siwy
Czarnego łży za prędkość, czarny łaje
Siwemu za lenistwo. — Przed rozstaniem,
Weźmiecie pismo do przyjaciół, które
Wstęp Rzymu wam otworzy. Bez wyrzutów
Lub odpowiedzi wstrętnych się rozejdziem;
Porzućcie tego kto się sam porzuca:
Uwłaszczam was tym skarbem i tą łodzią.
Zostawcie mię samego; jam bezwładny,
Rozkazać już nie mogę, więc was proszę: —
Odejdźcie ztąd. Pokrótce się zobaczym.
(siada.)
(Wchodzą Iras i Charmion prowadzące Kleopatrę.)

EROS.
Łaskawa pani, zbliż sie doń, z pociechą.

IRAS.
* To on, królowo.

CHARMION.
Przystąp, cóż ci wzbrania?*

KLEOPATRA.
Pozwólcie, niech usiądę. * O Junono!

ANTONIUSZ.
Nie, nie, nie, nie.

EROS.
Racz spojrzeć.

ANTONIUSZ.
Tfu, to hańba!

CHARMION.
O pani, —

IRAS.
O królowo — *

ENOBARBUS.
Naczelniku, —

ANTONIUSZ.
Naczelnik, ja? — Gdy pod Filippi trzymał
Swój miecz jak istny tancerz, jam na odlew
Zwiędłego ściął Kassyusza; jam szlachetną
Brutusa krew wytoczył: on jedynie
Przez wodzów swych zwyciężał, bez żadnego
Poczucia wojny; teraz — * o to mniejsza.

KLEOPATRA.
Pomóżcie mi.

EROS.
Królowa, Kleopatra.

IRAS.
Racz podejść trochę, przemów cóś od serca:
On przygnębiony wstydem.

KLEOPATRA.
O! nie mogę.

EROS.
Przezacny wodzu, wstań; królowa idzie:
Jéj skroń się słania, śmierć ją chwyci, jeśli
Nie wesprzesz jéj otuchą. *

ANTONIUSZ.
Nieuczciwie
Nazwisko me splamiłem.

ENOBARBUS.
To królowa.

ANTONIUSZ.
Gdzieś mię zawiodła, ty egipska wiedźmo?
Patrz, niechcąc tobie w oczy pluć mym sromem,
Odwracam się, i widzę po za sobą
To wszystko com zniesławił.

KLEOPATRA.
Przebacz, panie,
Trwożliwym żaglom: ani śnić bym mogła
Że zamną zbiegniesz.

ANTONIUSZ.
Owszem, tyś wiedziała
Że do twéj łodzi serce to przykute,
Pociągniesz tam gdzie zechcesz: znałaś twoją
Przewagę nad mym duchem; tyś wiedziała
Że mię skinieniem zmusisz do zdeptania
Rozkazu bogów.

KLEOPATRA.
Przebacz!

ANTONIUSZ.
Dziś mi trzeba
Do niedorostka korne słać błagania,
W matactwach podłych czołgać się przed wrogiem,
Mnie com pół-światem trząsał dla rozrywki,
Niwecząc to com stworzył. Tyś wiedziała
Żem był zdobyczą twoją; że stępione
Płomieniem żądzy miecz ten i to ramię,
We wszystkiém ci służyły.

KLEOPATRA.
Przebacz, panie!

ANTONIUSZ.
Ni jednéj łzy: O! jedna z nich przeważa
Com zyskał lub utracił. Całus jeden
Opłaca mi świat cały. Gdzie Eufroniusz,
Przewodnik dzieci? — Ołów mam na sercu. —
Dać wina i wieczerzę! O Fortuno,
Drwię z twoich ciosów, aż niebiosa runą.
(wychodzi.)

*SCENA X[1].

Obóz Cezara w Egipcie.

CEZAR, DOLABELLA, TYRREUSZ
i Inni.

CEZAR.
Niech Antoniusza zjawi się posłaniec.
Czy znacie go?

DOLABELLA.
To nauczyciel dziatek:
Snać oskubany z pierza, gdy do ciebie
Tak liche piórko skrzydeł swych wysyła,
On co miał ciżbę królów na rozkazy,
Zaledwie miesiąc temu.
(Wchodzi EUFRONIUSZ.)

CEZAR.
Chodź, mów śmiało.

EUFRONIUSZ.
Antoniusz, pan mój, szle mię do Cezara:
Mię com tak drobne miał przy nim znaczenie,
Co kropla rosy na mirtowym liściu
Przy oceanie.

CEZAR.
Dosyć słów. Do rzeczy.

EUFRONIUSZ.
Wszechwładnym panem cię wódz nasz pozdrawia,
Chce żyć w Egipcie; w razie zaś odmowy,
Swą prośbę ścieśnia, prosząc o to tylko
By wolnym był oddychać między niebem
A ziemią, jako prosty mąż w Atenach:
Zaś Kleopatra, ufna twéj opiece,
Poddaje się twéj mocy, lecz uprasza
O Ptolemejów berło dla swych dzieci,
Od dziś dnia twych lenników.

CEZAR.
Co do niego,
Nie słucham nawet jego próśb. Królowéj
Nie zbędzie na mych względach: byle tylko
Zausznik jéj z Egiptu był wygnanym,
Lub życie stracił: jeśli to wykona,
Jéj chęć się spełni czynem. Gdzie Tyrreusz?

EUFRONIUSZ.
Szczęść ci Fortuno.

CEZAR.
Dać mu wolne przejście.
(Eufroniusz wychodzi. — Do Tyrreusza.)
Dla twéj wymowy masz otwarte pole;
Odstręczyć masz królowę od wspólnika:
Nie szczędź obietnic; daj co tylko zechce,
Co wreszcie sam wymyślisz. Płeć niewieścia
W najlepszéj doli wątła, lecz w nieszczęściu
Westalka wiarę złamie. Bądź przezorny;
Wyznaczysz sam zapłatę za twe trudy,
Ja zaś uświęcę prawem.

TYRREUSZ.
Do twéj woli.

CEZAR.
Uważaj jak on znosi swą przegranę,
Przez jakie czyny jego myśl objawia
Zamiary dalsze. Cezar cię pozdrawia.
(Wychodzą.)

*SCENA XI.

W Aleksandrji. Pokój w pałacu.

KLEOPATRA, ENOBARBUS, CHARMION
i IRAS.

KLEOPATRA.
Co mamy począć?

ENOBARBUS.
Dumać i umierać.

KLEOPATRA.
Kto w tém winniejszy?

ENOBARBUS.
Że się nie chcę spierać
Więc on, Antoniusz, bo w nim żądza wściekła
Przemogła rozum. Czemu, gdyś uciekła
Z téj wielkiéj walki, gdy się dwa zastępy
Straszyły wzajem jak zażarte sępy,
Zbiegł za twym śladem? Czy nie była świętsza
Powinność wodza nad zachcianki wnętrza;
I to w téj chwili gdy się świat ze światem
O niego ścierał? To sromotą zatém
Niemniéj jak zgubą, czepiać się twéj flagi
W obliczu całéj floty.

KLEOPATRA.
O! zniewagi!
(ANTONIUSZ wchodzi z Eufroniuszem[1].)

ANTONIUSZ.
Czy taką dał odpowiedź?

EUFRONIUSZ.
Taką, panie.

ANTONIUSZ.
Jéj samej względy, nam śmierć lub wygnanie.

EUFRONIUSZ.
Lub to lub tamto.

ANTONIUSZ.
Sprawę zdać jéj trzeba. —
Przed niedorostkiem rzuć tę siwą głowę,
On za to z górą chęci twe wypełni
Państwami Wschodu.

KLEOPATRA.
Co, tę głowę twoją?

1. Pominąć.

1. Z Dercetasem.

ANTONIUSZ.

Wróć do Cezara. Powiedz że go zdobi
Młodzieńcza róża, któréj woń zwiastuje
Najrzadsze cnoty : skarb, legiony, statki,
To wszystko tchórz mieć może ; a wodzowie
Bić się tak dobrze pod chłopięcia znakiem,
Jak pod Cezara : zatém go wyzywam,
Złożywszy pychę tych korzyści świetnych,
By zmierzył się z upadłym Antoniuszem;
Miecz z mieczem, oko w oko. Chodź : napiszę.

(Antoniusz wychodzi z Eufroniuszem.)

ENOBARBUS.

Tak, bardzo wierzę, iż zwycięzca możny
Wda się z szermierzem, jak ów drab narożny
Z podobnym sobie. — Snać rozsądek ludzi
Z ich szczęściem złączon; mózg niedola studzi,
A blask zewnętrzny zwykł za sobą gubić
Wewnętrzną godność. Jakże mógł się chlubić
By Cezar nadmiar swéj potęgi raczył
Zlać z jego próżnią! — Wielki duch się spaczył
W téj wielkiéj klęsce.

SŁUŻĄCY, wchodząc [1].

Od Cezara goniec.

KLEOPATRA.

Bez prośby wstępnéj? — To wielkości koniec.
Przed zwiędłą różą ten dziś węchu skąpi,
Co klęczał przed jéj pączkiem. — Niech przystąpi.

ENOBARBUS, na stronie.

Uczciwość moja zemną spór wytacza.
Bo wierność dla szaleńcow przeistacza
W szaleństwo naszą wiarę; choć kto wiernie
Uprawia rolę gdzie mu płacą ciernie,
Krajowi służąc po zdarzonéj klęsce,
Zwycięzcom jego staje za zwycięzcę,
I w dziejach się uwiecznia.

(TYRREUSZ wchodzi.)

KLEOPATRA.

Cezar żąda?

TYRREUSZ.

Z osobna powiem.

KLEOPATRA.

Dwór na cię spogląda :
Mów śmiało.

TYRREUSZ.

Czy przed Antoniusza dworem?

ENOBARBUS.

On tylu ma przyjaciół, i z honorem,
Co Cezar szpiegów. Jeśli pan twój skłonny,
Wódz pójdzie doń z ochotą, i bezbronny :
My zaś gotowi, taka w nas ofiara,
Pójść za nim wszędzie, choćby do Cezara.

TYRREUSZ.

Czy tak? — Więc, pani, Cezar cię zaklina,
Byś na to jedno miała dziś baczenie
Iż Cezar jest Cezarem.

KLEOPATRA.

To rzecz jawna.

TYRREUSZ.

On wie żeś z Antoniuszem nie miłością
Związana, lecz bojaźnią.

KLEOPATRA.

O!

TYRREUSZ.

Więc blizny
Na twym honorze, budzą w nim współczucie,
Bo skutkiem są przemocy.

KLEOPATRA.

On jest bogiem,
On wie co prawdą. Ta stęskniona dusza
Zdobyta, nie oddana.

ENOBARBUS, na stronie.

Antoniusza
Zapytam o to. — Wodzu, twe okręty
Tak skołatane, że nadroższe sprzęty
Spadają w morze.

(wychodzi.)

TYRREUSZ.

Czy mam przed Cezarem
Obwieścić czego żądasz? On zachęca
Twą prośbę by ją spełnić. Wielce pragnie
Byś jego berło wzięła za podporę
Dla własnéj doli; lecz rad mieć przezemnie
Wiadomość iż porzucasz Antoniusza,
I chronisz się pod opiekuńcze skrzydło
Wszechwładcy świata.

KLEOPATRA.

Jakże ci na imię?

TYRREUSZ.

Tyrreusz, pani.

KLEOPATRA.

Mój wymowny gościu,
Zdaj Cezarowi to : Iż przez zastępcę
Wszechwładną dłoń całuję : żem gotowa
Koronę złożyć klęcząc u stóp jego :
Że los Egiptu sam wszechmonym głosem
Oznajmić raczy.

TYRREUSZ.

Zamiar to szlachetny;
Gdy mądrość walczy z losem jéj przeciwnym,
A tyle śmie co może, żadna klęska
Jéj nie dosięgnie. Niech mi będzie wolno
Dłoń ucałować.

KLEOPATRA.

Juljusz, wuj Cezara,
Gdy miał na myśli zgarnąć z niéj królestwo,
Przykładał usta do téj kornéj dłoni;
Aż mdlał całując.

(Wchodzą ANTONIUSZ i ENOBARBUS.)

ANTONIUSZ.

Cóż to, do pioruna! —
Coś ty za jeden?

TYRREUSZ.

Ja wypełniam ściśle
Co mi przykazał ten kto swéj potęgi
Jest najgodniejszym.

ENOBARBUS.

Ty dostaniesz cięgi.

ANTONIUSZ.

Tu, chodźcie. — A ty sępie! — Wy złoczyńce!
Już mię odbiegli : dawniéj, gdym zawołał,
Tłum królów do mnie pędził na wyścigi,

1. *Mardyan.*

Chwytając w lot rozkazy. Czy słyszycie?

(Służący wchodzą [1].)

Jam jest Antoniusz. Wziąść, oćwiczyć trutnia.

ENOBARBUS.

Łatwiejsza z lwiątkiem, niż lwem starym kłótnia,
Gdy ranny zwłaszcza.

ANTONIUSZ.

Piekło i niebiosa!
Zbić go. — Gdybym którego z tych dwudziestu
Wielmożnych sług Cezara, widział kiedy
Tak śmiałym z ręką téj — jakże się zowie,
Ta dawniéj Kleopatra? — zbić go, chłopcy,
Aż jak urwisza twarz mu się wykrzywi,
I łkać i skomleć będzie. Precz z tym łotrem.

TYRREUSZ.

O Marku Antoniuszu, —

ANTONIUSZ.

Ściąć rózgami,
I wrócić tu. — Cezara pełnomocnik
Odpowiedź weźmie. —

(Wychodzą Służący z Tyrreuszem [2].)

Zanim cię poznałem,
Już byłaś na wpół zwiędłą: ty niegodna!
Dziewicze łoże czym zostawił w Rzymie,
Czym wyrzekł się być ojcem prawych dzieci,
Z najświętszéj żony, by mię ta zhańbiła
Co mizdrzy się włóczęgom?

KLEOPATRA.

Antoniuszu, —

ANTONIUSZ.

Wietrznicą zawsze byłaś i dziś jeszcze: —
Lecz gdy w narowach stajem się niezgięci,
(O nędzo!) Jowisz oczy nam zasklepia,
Sąd zdrowy tarza w brudzie, i zniewala
Czcić własne błędy; szydząc z nas gdy lecim
Na oślep w otchłań.

KLEOPATRA.

Aż do tego przyszło?

ANTONIUSZ.

* Poznałem cię ogryzkiem już ostygłym
Z Juljusza stołu: nie, okruchem ojca
Pompeja; że nie wspomnę chwil roskoszy,
Niezaciągniętych do powszechnéj wieści,
A ślubom twym skradzionych; bom jest pewien,
Że jeśli się domyślasz co jest cnota,
Znać jéj nie możesz.

KLEOPATRA.

Przecież znam i ciebie! *

ANTONIUSZ.

Dozwolić by najemnik co ci powie
Za grosz: « Bóg zapłać! » tak się poufalił
Z tą ręką, mém pieścidłem; z tym sygnetem,
Królewskich serc ofiarą! — *O! niech wstąpię
Na wzgórze Bazan, gdzie zagłuszę jękiem
Ryczące trzody, bom skrzywdzony dziko;
Bo miałbym postać, żaląc się po ludzku,
Wisielca, który, gdy mu sznur zarzuca,
Wysławia zręczność kata. — *

(Służący wracają z Tyrreuszem.)

Czy wziął w skórę?

PIERWSZY SŁUŻĄCY [1].

Porządnie.

ANTONIUSZ.

*Krzyczał?

PIERWSZY SŁUŻĄCY.

W głos o litość prosił *.

ANTONIUSZ.

Jeżeli ojca masz, niech pożałuje [2]
Że córką cię nie spłodził; ty podobnie
Żeś twego pana chlubił się zwycięztwem,
Boś za to rózgi dostał: od téj chwili,
Niech biała rączka wprawia cię w omdlenie;
Drżyj, gdy ją zoczysz. — Wracaj do Cezara,
Opowiedz mu coś wskórał: niech się strzeże
By więcéj mię nie jątrzył; gdyż niepomny
Na to com był, znieważać to czém jestem,
To niecnie i zuchwale. On mię drażni,
W téj chwili właśnie gdy się mnie nie lęka,
Gdy szczęsne gwiazdy co mię dotąd wiodły,
Zboczywszy z dróg odwiecznych, swoje blaski
*Rzuciły w piekło. Jeśli się oburzy [3]
Na to co mówię i co czynię, wszakże
Jest przy nim Hiparch, to mój wyzwoleniec:
Niech każe go powiesić, ściąć, umęczyć,
Do woli, dla odwetu *. Spraw się dobrze:
A teraz precz, uciekaj!

(Tyrreusz wychodzi.)

KLEOPATRA.

Czy skończyłeś?

ANTONIUSZ.

*Niestety! księżyc nasz zaćmieniem świadczy
Upadek Antoniusza.

KLEOPATRA.

Ja poczekam *.

ANTONIUSZ.

By schlebiać panu, wdać się ze służalcem
Co szaty mu przypina!

KLEOPATRA.

On mię krzywdzi!

ANTONIUSZ.

Twe serce dla mnie z lodu!

KLEOPATRA.

Ach, okrutny!
Niech piorun lód ten w ostry grad roztłucze,
Zatruje żółcią, i niech pierwsze ziarno
W mą pierś wrzucone, stopi się z mém życiem!
W skroń Cezarjona drugie niech ugodzi,
Aż wszystkie żywe mojéj krwi pamiątki,
Wraz z całą rzeszą mych Egipcyan dzielnych,
Pod gradobiciem téj śmiertelnéj burzy
Bez grobu legną, póki much i gadów
Nilowych nie nakarmią!

ANTONIUSZ.

Milcz, już dosyć.
Pod Aleksandrją Cezar się rozłożył,
Więc z bliska się rozprawim. Wojsko piesze
Cios wytrzymało; flota zaś w rozsypce,
Zebrawszy się, wspaniale nurty pruje.

1. Z Mardyanem.
2. I Mardyanem.

1. *Mardyan.*
2. Ojciec twój niech pożałuje.
3. Rzuciły w toń piekielną. Spraw się dobrze.

Azali z pola jeszcze raz powrócę,
Uściskasz mię zlanego krwią mych wrogów;
Ten sierp mi zbierze plon wieczystéj sławy :
Tu jest nadzieja.

KLEOPATRA.

Oto znów mój luby!

ANTONIUSZ.

Muszkuły, serce, zmysły się potroją,
Bić będę ślepo : gdy me dni płynęły
Szczęśliwie, świetnie, lada żart wytrącał
Zabójczy topór; dziś zacisnę zęby,
I w piekło poszlę co mi się nawinie. —
Chodź, jeszcze noc wesołą. — Każę zwołać
Rotmistrzów smętnych : będziem pić do koła,
Aż kur zapieje.

KLEOPATRA.

Dzień urodzin moich
Przepłakać miałam; lecz gdy pan mój znowu
Jest Antoniuszem, jam jest Kleopatrą.

ANTONIUSZ.

Pogodzim się serdecznie.

KLEOPATRA.

Na wieczerzę
Zaprosić wodzów[1].

ANTONIUSZ.

Rad im będę szczerze,
Aż przez ich rany wino się przeciśnie.
Mam ogień w żyłach. Jutro, gdy dzień błyśnie,
Smierć we mnie się rozkocha, bo z jéj kosą
Ten miecz chcę zbratać, krwi przelanéj rosą.

(*Wychodzą Antoniusz, Kleopatra i Służba*.)

ENOBARBUS.

On teraz piorun zwalczy. Wściec się w boju,
To strachem strach odpędzić; w tym nastroju,
* Turkawka strusia dziobnie : ztąd wynika,
Że gdy się ścieśnia mózg u naczelnika
Duch w sercu rośnie. Szał gdy rozum grzebie,
Przetrąca miecz co służył mu w potrzebie*.
Zostawię go szczęśliwéj Kleopatrze,
Pewniejszą służbę może gdzieś wypatrzę[2].

AKT CZWARTY.

*SCENA I[3].

Obóz Cezara pod Aleksandrją.

CEZAR, czytając list; AGRYPPA, MECENAS i Inni.

CEZAR.

Zwie mię chłopięciem, lży bezsilną groźbą
Że wygna mię z Egiptu; mego sługę
Oćwiczyć kazał, wyzwał mię na rękę,
Ja bić się z nim : niech wie lubieżnik stary,
Że zginąć tak nie myślę; że tymczasem,
Z groźb jego szydzę.

MECENAS.

Cezar niech rozważy
Że gdy się wściecze taki mąż, widocznie
Ostatkiem goni. Nie daj mu wytchnienia,
Korzystaj z jego błędów. Mózg bezwiedny,
To dom bez stróża.

CEZAR.

Racz oznajmić wodzom
Że jutro chcemy z tylu walk pamiętnych
Ostatnią stoczyć. Jest w szeregach naszych
Dość Antoniusza zbiegów, by na zwiady
Mieć kogo posłać. Wojsko do biesiady;
Zapasów jest dostatkiem : wnet na karku
Antoniusz nas obaczy. Biedny Marku! *

(Wychodzą.)

*SCENA II.

W Aleksandrji. Pokój w pałacu.

*ANTONIUSZ, KLEOPATRA, ENOBARBUS, CHARMION, IRAS, ALEKSAS i Inni.

ANTONIUSZ.

* On nie chce bić się zemną?

ENOBARBUS.

Nie.

ANTONIUSZ.

Dla czego?

ENOBARBUS.

Że ma dwudziestu ludzi na jednego;
Gdyż on szczęśliwszym po dwadzieścia razy.

ANTONIUSZ.

To zła wymówka. Słuchaj!

ENOBARBUS.

Na rozkazy*.

ANTONIUSZ.

Stanowcza jutro bitwa : lub żyć będę,
Lub czci méj taką kąpiel krwi zdobędę
Że w niéj odżyję. Skonać tak, to pięknie.
Wszak mi pomożesz?

ENOBARBUS.

Aż ten miecz nie pęknie.

ANTONIUSZ.

Dobrześ powiedział. Niech tu wejdą słudzy. —

(Słudzy wchodzą[1].)

W ostatniéj uczcie będziem, ja i drudzy,
Równymi sobie. — Dajcież mi te ręce.
Rzetelność waszą tym uściskiem święcę; —
I ty, — i ty, — wy wszyscy : — w waszém gronie,
Mniéj zacni od was, płaszcząc się w koronie,
Królowie hołd mi nieśli.

KLEOPATRA.

Cóż to znaczy?

1. Mardyan wychodzi.
2. Wchodzą : Skarus, Dyomed, Wodzowie i Rotmistrze. (Scena daléj się ciągnie :)
Antoniusz. Stanowcza jutro bitwa, i t. d.
3. Pominąć.

1. Aleksas, Mardyan, i t. d.

ENOBARBUS.
To jakiś wybryk, którym szał rozpaczy
Przedrzeźnia radość.

ANTONIUSZ.
*Dla was, przyjaciele,
Ja sam z jednego w kilku się rozdzielę;
Wy, w Antoniusza wszyscy się złączycie,
By mógł wam służyć, jak wy mu służycie.

SŁUDZY.
To zbytnia łaska*.

ANTONIUSZ.
Jeszcze noc przyjemną
Chcę z wami spędzić; więc ucztujcie zemną,
Jak kiedy kraj ten królem zwał żołnierza,
I w służbie wam pomagał.

KLEOPATRA.
Gdzież on zmierza?

ENOBARBUS.
Chce nas do łez rozczulić.

ANTONIUSZ.
Tę noc jeszcze;
Gdyż jutro martwą piersią wam obwieszczę
Kres waszych usług: lub, nim wejdzie słońce,
Mój duch innego wskaże wam obrońcę.
Choć pożegnania słowem was pozdrawiam,
Wasz pan do śmierci, ja was nie odprawiam;
Nie, lecz ostrzegam tą niemylną wróżbą,
Spokrewnion z wami już dozgonną służbą.
Dwie godzin tylko, więcéj mi nie trzeba,
Za tę przewłokę wam nagrodzą nieba.

ENOBARBUS [1].
Co czynisz, wodzu?* wszyscy w płacz, jak osły!
Od słów tak rzewnych uszy nam urosły:
Cebulę mam w źrenicy*: przez Bachusa,
Nie róbże z nas kobiety.

ANTONIUSZ.
Niech pokusa
Mię porwie, jeśli kto z was mię rozumie.
Wy, przyjaciele, ty, mój stary kumie,
Choć wasze serca myśli méj nie zgadły,
Niech radość kwitnie gdzie te krople spadły.
Chcę was pokrzepić; chcę przed rannym brzaskiem,
Noc rozpłomienić stu pochodni blaskiem.
Najlepszą mam otuchę. Gdzie was wiodę,
Zwycięztwo znajdziem, dzielnych serc nagrodę,
Nie śmierć i sławę. Już wieczerza płonie;
Do stołu! troski wina zdrój pochłonie [2].

(Wychodzą.)

*SCENA III[3].

Tamże. Przed pałacem.

Dwóch Żołnierzy, na warcie.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.
*A, witaj bracie: jutro to dzień sądny.

DRUGI ŻOŁNIERZ.
Ogólne żniwo: będzie ścisk porządny.
A czy słyszałeś co gadają w mieście?

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.
Nie. Cóż takiego?

DRUGI ŻOŁNIERZ.
Strachy to niewieście.
Więc bywaj zdrów.

(Dwaj inni Żołnierze wchodzą.)

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.
Kto idzie!

TRZECI ŻOŁNIERZ.
Baczność wszędzie,
Żołnierze!

DRUGI ŻOŁNIERZ.
Baczność!

(Pierwsi dwaj stają w głębi.)

CZWARTY ŻOŁNIERZ.
My tu, w pierwszym rzędzie.

(Drudzy dwaj stają na przodzie.)

Jeżeli jutro nam dopisze flota,
Jak zawsze, dzielnie sprawi się piechota.

TRZECI ŻOŁNIERZ.
To tęgi żołnierz i wytrawny.

(Słychać granie obojów pod sceną.)

CZWARTY ŻOŁNIERZ.
Cicho!
Cóż to za szmer?

TRZECI ŻOŁNIERZ.
Gdzie?

CZWARTY ŻOŁNIERZ.
Tam!

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.
To jakieś licho
W powietrzu.

TRZECI ŻOŁNIERZ.
Tu, pod ziemią.

CZWARTY ŻOŁNIERZ.
Śpiew zwycięzki,
Nieprawda?

TRZECI ŻOŁNIERZ.
Nie.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.
To wróży wielkie klęski.

DRUGI ŻOŁNIERZ.
To z Antoniuszem Herkules w przyjaźni,
Dziś go porzuca.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.
Popłoch ten mię draźni;
Spytajmy drugich.

(Postępują na przód sceny.)

DRUGI ŻOŁNIERZ.
Cóż tam, towarzysze?

TRZECI ŻOŁNIERZ.
Co? jakieś dźwięki tu, pod ziemią słyszę.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.
Ja tam, w powietrzu.

CZWARTY ŻOŁNIERZ.
Za puklerzy stosem.

WSZYSCY RAZEM.
Tu, tam i wszędzie.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.
Idźmy za tym głosem,
Aż po kres warty; może sam ustanie.

1. Co czynisz, wodzu? dość już! przez Bachusa.
2. Wchodzą Charmion, Iras (Koniec trzeciego Aktu).
3. Pominąć.

PIERWSI DWAJ.

Na obóz baczność.

DRUDZY DWAJ.

Baczność na przystanie! *

(Wychodzą.)

SCENA IV[1].

Tamże. Pokój w pałacu.

ANTONIUSZ, KLEOPATRA, CHARMION i Służba.

ANTONIUSZ.

Eros! daj pancerz, Eros!

KLEOPATRA.

Śpij, noc długa.

ANTONIUSZ.

Już dnieje, kurko. — Eros, gdzie kołczuga!

(Eros wchodzi ze zbroją.)

Zbudź się, chłopaku, odziej mię żelazem : —
Jeśli Fortuna zdradzi mię tym razem,
To że z niej szydzę. — Spiesz się.

KLEOPATRA.

Ja pomogę.

Do czego to?

ANTONIUSZ.

Ach, zostaw, nie na nogę!
Ty serce lepiéj zbroisz : — to mię dusi.

KLEOPATRA.

Lecz pozwól, tu! pomagam... Tak być musi.

ANTONIUSZ.

A, nieźle; teraz nam sprzyjają wieszczce. —
Daj hełm i tarczę.

EROS.

Zaraz.

ANTONIUSZ.

Ty śpisz jeszcze!

KLEOPATRA.

Wszak zręcznie to przypięłam?

ANTONIUSZ.

Wyśmienicie :
Kto zaś odepnie, ten narazi życie,
Bo tym toporem głowę mu napieprzym. —
Ty krewisz, Eros; patrz, królowa lepszym
Od ciebie giermkiem. Prędzéj. — O, kochanie!
Żebyś ty widzieć mogła to spotkanie,
Wnet byś poznała żem nie lada wiarus
W Marsowym trudzie. —

(Skarus wchodzi uzbrojony.)

A, dzień dobry, Skarus;
Pomyślną wieść przynosisz, twym zwyczajem.
Do miłéj pracy my przed zorzą wstajem,
I garniem się wesoło.

SKARUS.

Tysiąc ludzi
Okutych w zbroje, zanim dzień się zbudzi,
Czekają na wybrzeżu.

ANTONIUSZ.

To olbrzymy.

(Słychać granie trąb. Wchodzą Rotmistrze i Żołnierze.)

ROTMISTRZE.

Dzień dobry, wodzu.

WSZYSCY.

Szczęścia ci życzymy.

ANTONIUSZ.

Nawzajem. Dzień ten, jak dorodne dzieci,
Mające być głośnemi, w czas nam świeci. —
Dajże mi pas; przymocuj : teraz dobrze.
Cóż myślisz o tém, ty mój stary bobrze?

SKARUS.

Pamiętaj że na lądzie, —

ANTONIUSZ.

Już słyszałem. —
Domicyusz zaspał : czy z miłosnym szałem
Na trzeźwo się położył? To mu szkodzi.
O, wstyd mu będzie że dziś nie dowodzi!
Zostawiam panią : bądź co bądź mię czeka,
Masz uścisk mój żołnierski. Czas ucieka,

(całuje ją.)

Niegodnie, szpetnie byłoby, na próżne
Czułostki dzień marnować. Daj podróżne.
Jam wskróś ze stali. — Wy zaś przyjaciele,
Co chcecie walczyć, zamną; ja na czele.

(Wychodzą Antoniusz, Eros, Rotmistrze i Żołnierze.)

CHARMION.

Czy łaska wejść do siebie?

KLEOPATRA.

Już za progiem.
Walecznie odszedł. Gdyby wręcz miał z wrogiem
Ten spór zakończyć, bez narodów straty,
O! wtenczas, — lecz, obaczym. — Do komnaty.

(Wychodzą.)

*SCENA V[1].

Obóz Antoniusza, przy Aleksandrji.

Odgłos trąb. ANTONIUSZ, EROS i SKARUS.

SKARUS.

*Niech bitwa szczęści twéj, rycerzu, sławie!

ANTONIUSZ.

Ty, rany twoje, czemuż nie przemogły
Bym toczył bój na lądzie!

SKARUS.

Oj, to prawda.
Byłbyś żołnierza który cię odstąpił
I zbuntowanych królów miał przy sobie,
Jak po dziś dzień.

ANTONIUSZ.

Któż mię odstąpił?

SKARUS.

Wieczny
Zausznik twój : zawołaj Domicyusza,
On nie dosłyszy, lub z obozu Rzymian
Odpowie : « Już cię nie znam ».

ANTONIUSZ.

Enobarbus?

1. Akt czwarty, *scena pierwsza.*

1. Pominąć.

SKARUS.
Zbiegł do Cezara.
EROS.
Panie, skrzyń i skarbów
Nie zabrał z zobą.
ANTONIUSZ.
Kto?
EROS.
Domicyusz.
SKARUS.
Prawda.
ANTONIUSZ.
Idź, Eros, idź, odeszlij mu co jego;
Nic nie zatrzymasz. A, napiszesz przytém,
(A ja podpiszę) list najmilszéj treści :
Że go pozdrawiam, życząc mu by nigdy
Ważniejszych nie miał przyczyn do niewiary. —
O! co za klątwa : — mój przyjaciel stary!*
(Wychodzą.)

SCENA VI.

*Obóz Cezara przed Aleksandrją[1].

CEZAR, AGRYPPA, ENOBARBUS i inni Wodzowie. — Odgłos trąb.

CEZAR.
Naprzód, Agryppo, niech się wojsko rusza.
Koniecznie chcę wziąść żywcem Antoniusza;
Zdaj rozkaz wodzom.
(Agryppa wychodzi.)
Dzień powszechnéj zgody
Już bliski : po zwycięztwie, niech narody
Oliwny szczep ocieni.
POSŁANIEC[2], wchodząc.
Naczelniku,
Antoniusz w polu.
CEZAR.
Idź, niech w przednim szyku
Ci wszyscy staną którzy go zdradzili,
Tak sam na sobie pierwszy cios wysili.
(Cezar wychodzi z Wodzami.)
ENOBARBUS.
Aleksas też był zdrajcą, bo wysłany
Przez niego do Judei, chciał Heroda
Nakłonić by się zaparł Antoniusza,
I złączył się z Cezarem ; za nagrodę,
Ten kazał go powiesić. Kanidyusza,
Ze zgrają zbiegów płaci, lecz zaprzańcom
Nie daje wiary. Taki los mię czeka.
O, źlem postąpił; czuję że już nigdy
Nie będę wesół.
ŻOŁNIERZ od Cezara, wchodząc[3].
Wódz twój, Domicyuszu,
Odsyła ci twe skarby, podwojone
Szczodrością jego własną : w twym namiocie,
Przybyły goniec z mułów je zdejmuje.

1. Między dwoma obozami.
2. *Prokulej.*
3. *Gallus.*

ENOBARBUS.
Weź sobie wszystko.
ŻOŁNIERZ.
Czy żartujesz zemnie?
Naprawdę mówię : staraj się posłańca
Bezpiecznie ztąd odprawić; sam nie mogę,
Bo służbę mam w obozie. Twój naczelnik
Jowiszem zawsze.
(wychodzi.)
ENOBARBUS.
A jam jest złoczyńcą,
I muszę sam to przyznać. Antoniuszu,
Kopalnio łaski, jakżebyś zawdzięczył
Za wierną służbę, kiedy za łotrostwo
Tak hojnie płacisz! Serce krwią nabiega :
Jeśli go żal nie skruszy, prędszy środek
Dopełni karę; lecz i żal wystarczy.
Ja z tobą walczyć? — Nie : by skryć tę nędzę,
W najlichszym rowie dni ostatnie spędzę.
(wychodzi.)

SCENA VII.

*Pole bitwy między dwoma obozami.

Wrzawa trąb i kotłów. AGRYPPA i kilku Wodzów.

AGRYPPA.
*Na odwrót! żołnierz natarł zbyt gorąco.
Sam Cezar walczy, szyki nam się mącą;
Wróg silny opór stawia.
(Wychodzą.)
(Zatrąbienie. ANTONIUSZ i SKARUS ranny.)
SKARUS[1].
To wygrana!
O mój cesarzu, gdyby tak od rana,
Wypchnęlibyśmy tamtych aż do piekła
Z łatanym czubem.
ANTONIUSZ.
Krwią ci skroń ociekła.
SKARUS.
Dwie drobne blizny; była tu litera
Jak wielkie C, a teraz w kształcie Zera.
To Cezar sie podpisał.
ANTONIUSZ.
Już pierzchają.
SKARUS.
Przez sito go przepędzim z całą zgrają.
*Sześć guzów tu się zmieści.
EROS, wchodząc.
Rzym ulega;
Dziś Egipt górą.
SKARUS.
Wsiąść na barki zbiega,*
Za skórę z tyłu chwytać tę hołotę :
Hej, łowy na zająca!
ANTONIUSZ.
Za ochotę

1. Twéj sławie Mars poszczęścił. To wygrana!

Raz ci zawdzięczę, a sześćkroć za męztwo [1].
*Chodź zemną.

SKARUS.

Prowadź, i daj nam zwycięztwo.*

*SCENA VIII.

Pod basztami Aleksandrji.

Zatrąbienie. ANTONIUSZ, SKARUS i Wojsko.

ANTONIUSZ.

Spędzeni z pola. Niech kto z was obwieści
Królowéj tę wygranę. — Jutro, bracia,
Nim słońce błyśnie, resztę krwi wytoczym
Co dziś nam zbiegła. Wszystkim wam dziękuję;
Boście tak dzielnie oburącz walczyli,
Jak gdyby sprawa ta nie była moją,
Lecz wszystkim wspólną: każdy z was Hektorem.
Na miasto więc, do rodzin i przyjaciół,
Ogłoście wasze czyny; niech łzy szczęścia
Z ran skrzepłą krew obmyją, a całusy
Zagoją chlubne szramy. — Daj mi rękę:

(Kleopatra wchodzi, ze Służbą.)

Polecam cię téj wielkiéj czarodziejce,
Jej dzięki cię uzdrowią. — Kleopatro,
Uścisnij zbrojną szyję; wstąp jak bóstwo
Do piersi przez ten pancerz, i radośnie
Z bijącém sercem pląsaj.

KLEOPATRA.

O mój królu!
O niezgłębiona cnoto! z walk otchłani
Powracasz mi nietknięty?

ANTONIUSZ.

Mój słowiczku,
Na puch Cezara zgniotłem. Ha, gosposiu!
Choć siwe jakoś kłócą się z czarnemi,
Tak nerwy mózg zasila, że potrafią
Dotrzymać pola młodszym. Spojrz łaskawie
Na tego zucha; zbliż do ust prawicę: —
Mianuję cię rotmistrzem: — tak się spisał,
Jak gdyby bóg zawistny ludziom, w jego
Postaci walczył.

KLEOPATRA.

Dam ci, przyjacielu,
Złocistą zbroję po rodzonym ojcu.

ANTONIUSZ.

Zasłużył nań, choćby w rubiny cała,
Jak świetny wóz Febusa. — Idźmy, pani.
Radośny wjazd odbędziem do stolicy,
Z tarczami zrąbanemi jak ich czoła.
Gdyby królewski gmach mógł was pomieścić,
Dziś z całém wojskiem siadłbym do wieczerzy,
Puharem pełnym święcąc dzień jutrzejszy,
Brzemienny plonem sławy. — Niech trębacze
Spiżowy dźwiek rozniosą w koło miasta;
Niech bębnów łoskot w grom piorunny wzrasta;
A niebo z ziemią pod nocnemi blaski,
Nasz pochód głosząc, mięsza swe oklaski.

(Wychodzą.)

1. *Eros*, wchodząc:
Cześć tobie, wodzu; tyś nam dał zwycięztwo!

SCENA IX.

Obóz Cezara. Noc.

Żołnierze stojący na warcie, późniéj ENOBARBUS.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ [1].

Jeśli za kwadrans nas nie ściągną, dzieci,
Na odwach wrócim. Noc gwiazdami świeci;
Do boju, mówią, stanąć już wypadnie
O drugiéj z rana.

DRUGI ŻOŁNIERZ.

Dzień ten nam szkaradnie
Dokuczył; Cezar marzy gdzieś w ukryciu.

TRZECI ŻOŁNIERZ.

Mecenas milczy, pierwszy raz w swém życiu.

DRUGI ŻOŁNIERZ.

Agryppa skały swą wymową wzrusza.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.

Dziś jakiś rycerz zbiegł od Antoniusza.
Twarz krył pod płaszczem, jak skradziony arbuz;
Nazwisko rzymskie: — już wiem, Enobarbus.

DRUGI ŻOŁNIERZ.

Przy Antoniuszu zbyt niepewna służba,
Więc wraca do Cezara.

TRZECI ŻOŁNIERZ.

Dobra wróżba!

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.

Ktoś idzie, ciszéj.

ENOBARBUS, wchodząc.

Nocy, i wy gwiazdy, —

TRZECI ŻOŁNIERZ.

Zkądże ten głos?

DRUGI ŻOŁNIERZ.

Zapewne na podjazdy.

ENOBARBUS.

Bogini wielka! świadczę się twym blaskiem,
Że jeśli zdrajcy pamięć jest przeklętą,
Ja, Enobarbus, przed obliczem twojém
Wyznałem żal mój.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.

Enobarbus!

TRZECI ŻOŁNIERZ.

Cicho!

ENOBARBUS.

Wszechwładna ksieni dusz prawdziwie smętnych!
Nademną wysącz nocy mgłę zatrutą,
Niech życie to, méj woli nieposłuszne,
Katować mię przestanie: ciśnij serce
O twardy kamień méj okropnéj zbrodni,
By wyschłe żalem i zgryzotą spiekłe,
W proch się rozbiło. O mój Antoniuszu!
Ty szlachetniejszy niż mój czyn jest podłym,
Dość wielkim jesteś abyś mi przebaczył;
Lecz niech mię świat zapisze w poczet zbiegów,
Niewdzięcznych sług i zdrajców. Antoniuszu!
Zwycięztwo tobie.

DRUGI ŻOŁNIERZ.

Przemów ty do niego.

1. *Gallus.*

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.

Słuchajcie; może powie cóś ważnego
Dla naszéj sprawy.

TRZECI ŻOŁNIERZ.

Patrz, usypia święcie.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.

Gdzie tam, omdlewa; straszne to zaklęcie
Nie sen zwiastuje.

DRUGI ŻOŁNIERZ.

Jak on strasnie dyszy!

TRZECI ŻOŁNIERZ.

Zbudź się, rycerzu, powstań!

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.

Już nie słyszy,
Dłoń śmierci go dotknęła. Otóż kotły
(Słychać kotły zdala.)
Pobudkę bijąc, mgły jesienne zmiotły.
*Dzień świta nad obozem.

DRUGI ŻOŁNIERZ.

Ja ci mówię
Że to ktoś z wyższych : sute ma obuwie.*

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.

Już kwadrans minął.

TRZECI ŻOŁNIERZ.

Strach co ginie ludzi;
Na odwach!

DRUGI ŻOŁNIERZ.

Może bitwy zgiełk go zbudzi.
(Wynoszą ciało.)

SCENA X.

Między dwoma obozami [1].

ANTONIUSZ, SKARUS i Wojsko w pochodzie.

ANTONIUSZ.

Na morzu świetna będzie dziś rozprawa :
Ląd im nie służy.

SKARUS.

Cóś na dwie zakrawa.

ANTONIUSZ.

Niechże się chronią w ogień lub powietrze,
I tam ich głowy ta prawica zetrze.
Legiony w górach już stojące głazem.
Czekają hasła (flota za rozkazem
Wypłynie z portu), my na stanowiska,
Zkąd nieprzyjaciół ruch dopatrzym z bliska.
*(Wychodzą.)
*(CEZAR i Wojsko w pochodzie.)

CEZAR.

*Aż wróg sam natrze, walki nie przyspieszym,
Co nie nastąpi, bo żołnierzem pieszym
Osadził statki. Sprawa nie zginęła,
Lecz tylko w porę weźmy się do dzieła.
(Wychodzą.)
(Antoniusz i Skarus wracają.)

ANTONIUSZ.

Opodal jeszcze. Ztamtąd, gdzie ta jodła,
Dostrzegę łatwo jak się rzecz powiodła,
I wnet ci powiem.
(wychodzi.)

SKARUS.

Na królowéj żaglach
Jaskółki się gnieździły : a wieszczowie
Nie śmieją, — nie chcą mówić; — jakieś klęski
Ponurość ich zwiastuje. Sam Antoniusz
Choć mężny, zda się smętny; zmienność losu
To budzi w nim obawę, to nadzieję,
Czy wygra, lub czy straci.
(Wrzawa trąb i kotłów zdala, jak przy bitwie morskiéj.)

ANTONIUSZ, wracając.

Wszystko w szmaty!
Ta ćma egipska znowu mię zdradziła :
Okręty się poddały; jéj żeglarze
Weselą się, ciskając czapki w górę,
Jak dawni bracia z braćmi. — Ty niewierna!
Żakowi mię sprzedałaś! moje serce
Twéj zguby tylko pragnie. — Niech uciekną;
Idź! gdy się zemszczę nad tą czarownicą,
Skończone wszystko. — Niech ucieknął, mówię!
(Skarus wychodzi.)
O słońce! już nie ujrzę twego wschodu :
Antoniusz i Fortuna się żegnają
W uścisku rąk ostatnim. — Spaść tak nisko?
Że ci co stopy mi jak psy lizali,
O łaskę żebrząc, biegną za kwitnącym
Cezarem; a ten dąb co ich ocieniał,
Na próchno starty. Ona też mię zdradza.
Ty chytra wiedźmo, coś oczyma jędzy
Kusiła mię do wojny lub spoczynku,
Ty w któréj łonie był mój wieniec chwały,
Cyganko z piekła, sztuką twą zabójczą,
Dziś mię pogrążasz w samą głąb otchłani!
Gdzie Eros, Eros!
(KLEOPATRA wchodzi.)
Ach, toś ty! Uciekaj!

KLEOPATRA.

Czy na kochankę pan mój tak się dąsa?

ANTONIUSZ.

Precz, znikaj! lub odpłacę ci za wszystko,
I spodlę łup Cezara! Idź do niego,
Niech cię wystawi na okrzyki tłumu,
Za swym rydwanem, jako srom największy
Twéj całéj płci; niech cię pokaże nagą
Za lichy grosz, ciemięgom; niech cnotliwa
Oktawia, paznogciem krwi niesytym,
Twarz ci rozedrze.
(Kleopatra uchodzi.)
Lepiéj żeś uciekła,
Ratując życie; lecz najlepiéj było
Pod moją ręką zginąć, i raz umrzeć
Niż tysiąc razy. — Eros, hej! — Nessusa
Koszulę mam na piersi : ty mój przodku,
Alcydzie wściekły, naucz mię twéj zemsty :
Na sierp Dyany tyś Lichasa rzucił;
Niech dłoń ta co maczugą twą miotała,
Dziś w grób mię wtrąci. Czekaj, ty guślarko :
Twą zdradą Cezar zgniótł mię wiarołomnie,
Więc musisz za to zginąć. — Eros, do mnie!
(wychodzi.)

1. Pod wałami Aleksandrji.

*SCENA XI.

W Aleksandrji. Pokój w pałacu.

KLEOPATRA, CHARMION, IRAS i MARDYAN.

KLEOPATRA.

*Ratujcie, siostry! On szalony, wściekły,
Jak Ajaks o pawężę; dzik Tessalski
Tak nigdy się nie srożył.

CHARMION.

Do grobowca!
Tam się zamknąwszy, powiedz żeś umarła;
Duch z ciałem się rozłącza mniéj boleśnie,
Niż on z wielkością.

KLEOPATRA.

Do grobowca zatém.
Mardyanie, powiedz mu żem się zabiła;
Żem go nazwała w mém ostatniém tchnieniu,
I rozczul go do łez, jeżeli możesz.
Idź, powiesz mi jak przyjął tę nowinę. —
My do grobowca! Skruszę go, lub zginę.*
(Wychodzą.)

*SCENA XII.

Tamże. Inny pokój.

ANTONIUSZ i EROS.

ANTONIUSZ.

Czy ty mię widzisz jeszcze?

EROS.

Tak jest, panie.

ANTONIUSZ.

Czasami, widzim smoczy wzór w obłoku,
Niekiedy mgłę w postaci lwa, niedźwiedzia,
Obronne baszty na urwisku skały,
Rozpadłą górę, lub przylądek modry
Sadzony drzewem niby się chwiejącym
W zmyślonym wietrze: czy widziałeś kiedy
Wieczorne te zjawiska?

EROS.

Nieraz, panie.

ANTONIUSZ.

Ów rumak na błękicie, w oka mgnieniu,
W tumanie się rozpływa i zaciera,
Jak woda w wodzie.

EROS.

To są chmur widziadła.

ANTONIUSZ.

O mój chłopczyno, pan twój jest podobnym
Złudzenia tworem; widzisz mię w téj chwili,
Lecz rychło stracę postać tę widomą.
Dla Kleopatry wojny te podjąłem,
Bom kochał ją, mniemając że mię kocha;
Z tém sercem jéj oddałem serc miljony
Garnące się do niego: a dziś ona,
Mój Eros, dla Cezara karty rzuca,
I wroga tryumf krasi mą niesławą. —
O, nie płacz tak, mój chłopcze; od nas samych
Zależy nas wyzwolić. — Oj, ta wróżka!
Wykradła miecz za sercem.

MARDYAN, wchodząc.

Antoniuszu:
Królowa cię kochała, los jéj wiecznie
Związany z twoim.

ANTONIUSZ.

Precz, rzezańcze podły!
Za swoją zdradę rychłą śmierć odbierze.

MARDYAN.

Śmierć jednéj duszy jeden raz się płaci,
Więc już nie dłużna. Stało się bez ciebie,
Coś chciał uczynić; jéj ostatnie słowo
Ja ci odnoszę: mój kochanek drogi!
Wśród rozpaczliwych jęków, twe nazwisko
Przerwane między sercem i ustami,
W jéj piersi zgasło. Tak oddała ducha
Z tą nazwą w niéj zawartą.

ANTONIUSZ.

Więc, umarła?

MARDYAN.

Umarła.

ANTONIUSZ.

Eros, rozbrój mię: skończyłem,
Już czas wypocząć. — Płacę ci wspaniale,
Gdy cały ztąd uchodzisz.
(Mardyan wychodzi.)
Zdejm to wszystko: —
Ajaksa siedmioskórny krąg nie zniesie
Uderzeń mego serca. W proch, to ciało!
Ty serce, bądź silniejszém dziś od piersi,
Rozerwij twą powłokę! — Spiesz się, Eros. —
Wódz, żołnierz zniknął: precz, okruchy zbroi;
Dość godnie was nosiłem. —Weź, mój chłopcze. —
(Eros wychodzi.)
Doścignę cię kochana, krwią wypłaczę
Twe przebaczenie. Tak być musi, zwłoka
Przedłuża mękę. Gdy kaganiec gaśnie,
Na co się tłuc po nocy. Trud zbyteczny
Niweczy plon swój; ciągłe wysilenie
Rozpręża siły: czas przyłożyć piętno. —
Eros! —Chcę iść za tobą.—Eros!—Czekaj na mnie:
Gdzie dusze śnią na kwiatach, ręka w rękę
Wspaniale przejdziem wśród olśnionych cieni:
Dydonę z Eneaszem émy odbiegną,
I będą szły za nami. — Eros! Eros!

EROS, wchodząc.

Co wódz rozkaże?

ANTONIUSZ.

Śmierć méj Kleopatry
Tak mi sromotnie przeżyć, że niebianom
Wstyd méj podłości. Ja, com świat na części
Rozdzielał mieczem, na Neptuna grzbiecie
Warownie stawiał, dziś mi braknie męztwa
Niewiasty słabéj; wyższéj w tém odemnie
Że Cezarowi zgonem swym powiada:
« Ja sama się zwyciężam. » Tyś mi przysiągł
Że gdy godzina przyjdzie (a zaiste
Dziś już nadeszła), gdy mi będzie trzeba
Wybierać między śmiercią a niesławą,

Że na mój rozkaz wtedy mię zabijesz :
Więc uczyń to ; czas nagli, ja ci każę.
Ty nie mnie zgładzisz, lecz Cezara szczęście.
Bledniejesz, Eros !

EROS.

O bogowie mocni!
Ja mam to zrobić, czego strzał tysiącem
Zawzięty Part nie zdołał?

ANTONIUSZ.

Zatém, Eros,
Ty wolisz w Rzymie patrzeć się z ukrycia
Na twego pana z ręką w tył związaną,
Z ugiętym karkiem, z twarzą tą śmiertelnym
Oblaną sromem, gdy na złotym wozie
Zwycięzki Cezar, przodem się toczący,
Swą pychą go zbezcześci?

EROS.

Pierwéj skonam.

ANTONIUSZ.

Chodź więc; od hańby jeden cios uwalnia.
Ten miecz nosiłeś dla obrony kraju,
Dla mnie go dziś dobędziesz.

EROS.

Przebacz, panie!

ANTONIUSZ.

Gdym cię wyzwolił, wszakże mi przysiągłeś
Że spełnisz co ci każę, bez namysłu?
Czyli mam sądzić że twa wierność była
Bezwiedną lub zmyśloną? Więc dokonaj!

EROS.

Ach, odwróć pierwéj twarz tę bohaterską
Gdzie świata cześć jaśnieje.

ANTONIUSZ, odwracając się.

Dobądź miecza!

EROS.

Już go dobyłem.

ANTONIUSZ.

Uczyń to niezwłocznie
Do czegoś go wyciągnął.

EROS.

Panie drogi,
Mój wodzu, mój cesarzu, pozwól słudze
Pożegnać cię, nim krwawy cios wymierzy.

ANTONIUSZ.

Do woli twéj, chłopczyno.

EROS.

Żegnam ciebie
Najdroższy panie. Czyś jest gotów?

ANTONIUSZ.

Uderz.

EROS.

Więc stało się : —

(przebija się, padając na swój miecz.)

Tak patrzeć już nie będę
Na twoją śmierć.

ANTONIUSZ.

O! trzykroć on mężniejszy!
Nauczasz mię com winien był uczynić
A ty nie mogłeś. On i Kleopatra,
Przykładem szczytnym czucie mi wrócili
Młodzieńczéj cnoty : chcę przed śmiercią stanąć
Jéj oblubieńcem, biegnąć doń jak w łoże
Méj narzeczonéj. Eros, mistrz twój dawny
Twym uczniem ginie : tyś mi wskazał drogę,

(pada na swój miecz.)

Za tobą stąpam. — Co! nie zmarły jeszcze? —
Śmierć mię odtrąca? — Do mnie, wy, żołnierze!

(Wchodzą Dercetas i Żołnierze.)

PIERWSZY ŻOŁNIERZ [1].

Nasz wódz?

ANTONIUSZ.

Chybiłem : wy poprawcie, bracia,
Com zaczął.

DRUGI ŻOŁNIERZ [2].

Świat się kończy.

TRZECI ŻOŁNIERZ.

Gwiazda spada.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.

I czasy są spełnione.

WSZYSCY RAZEM.

Biada! biada!

ANTONIUSZ.

Kto kocha mię, dobije mię do szczętu.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.

Nie ja.

DRUGI ŻOŁNIERZ.

I nie ja.

TRZECI ŻOŁNIERZ.

Żaden z nas.

(Wychodzą.)

DERCETAS.

Zgon jego
Jak życie, sługi do ucieczki zmusza.
Ten miecz, z tą wieścią, dla mnie u Cezara
Wyjedna łaskę.

DYOMED, wchodząc.

Gdzie nasz wódz, Antoniusz?

DERCETAS.

Tu, Dyomedzie.

DYOMED.

Żyje? Mów, człowieku!

(Dercetas wychodzi.)

ANTONIUSZ.

Tyś jest Dyomed? Weź ten miecz, przez litość
I zadaj cios ostatni.

DYOMED.

Wodzu dzielny,
Do ciebie Kleopatra mię przysyła.

ANTONIUSZ.

Przysyła, ciebie?

DYOMED.

Tak jest.

ANTONIUSZ.

Zkąd?

DYOMED.

Z grobowca
Gdzie się schroniła. Ma złowieszczą trwogę
O to co się tu stało; zrozpaczona
Żeś miłość jéj znieważył podejrzeniem
Tajemnych zmów z Cezarem, i że twoja
Zawziętość niema granic, znać ci dała

1. *Skarus.*
2. *Dercetas.*

O swojéj śmierci, lecz w obawie skutków,
Przysyła mię bym prawdę ci powiedział,
Zapóźno może.

ANTONIUSZ.

Tak, zapóźno, patrzaj.
Racz moją straż przywołać.

DYOMED.

Straż cesarza!
Gdzie straż! pan woła.

(Żołnierze wchodzą po jednemu.)

ANTONIUSZ.

Do królowéj zemną;
Oddajcie mi braterską tę usługę.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.

* O biada nam że nie przeżyłeś, panie,
Ostatnich twych obrońców.

WSZYSCY RAZEM.

Dniu nieszczęsny! *

ANTONIUSZ.

Nie, przyjaciele, nie pozwólcie losom
Z łez waszych szydzić : przyjmcie to skarcenie
Jak ja przyjmuję, karcąc je nawzajem
Pozorną wzgardą. W bitwach, mym zwyczajem,
Jam was prowadził; dziś na spokój wieczny
Wy mię zanieście : wszystkim dzięk serdeczny.

(Wychodzą, niosąc Antoniusza na tarczy [1].)

SCENA XIII [2].

Tamże. Grobowiec.

U góry, KLEOPATRA, CHARMION i IRAS.

KLEOPATRA.

O Charmion! już nie wyjdę z tego grobu.

CHARMION.

Uspokój się na chwilę.

KLEOPATRA.

Nie, ja niechcę.
Gotowam znieść najokropniejsze ciosy,
Lecz gardzę łez jałmużną : żal mój srogi
Jak przedmiot jego, winen być niezmiernym.

(U dołu, DYOMED wchodzi.)

Więc umarł?

DYOMED.

Żyje, chociaż śmierć już bliska.

KLEOPATRA.

On żyje, Charmion!

DYOMED.

Patrz na spód grobowca,
Tam wierni słudzy go przynoszą.

U dołu, ANTONIUSZ niesiony przez Żołnierzy, którzy składają go pod oknem.)

KLEOPATRA.

Słońce,
Spal zmienny obszar świata! — niech ciemności
Ogarną go na wieki. Antoniuszu,

1. Koniec czwartego aktu.
2. AKT PIĄTY, *scena pierwsza*. Scena podzielona na dwie części; okie okno z kratą podniesioną; jwejście ze schodami.

O Antoniuszu, o mój Antoniuszu!
* Pomóżcie, Charmion, Iras, i wy wszyscy [1] :
Wy tam, na dole, * wnieść go tu.

ANTONIUSZ.

Dwa słowa,
Nim skończę! lecz nie przez Cezara męztwo,
Antoniusz sam pokonał Antoniusza.

KLEOPATRA.

Tak być musiało : ktoby też był godnym
Zwyciężyć ciebie; lecz to mię zabija!

ANTONIUSZ.

Rozstajem się, kochanko; choć od śmierci
Radbym wyżebrać chwilę, bym z miljona
Mych pocałunków, złożyć mógł ostatni
Na twoich wargach. —

KLEOPATRA.

Nie śmiem, o mój luby,
(Racz słudze twéj przebaczyć) zejść do ciebie,
By mię nie wzięto : wśród zwycięzkiéj wrzawy
Cezara wjazdu niechcę być ozdobą;
Jeżeli węże, nóż, trucizna, mają
Jad, ostrze, żądło, ja się go nie boję :
Małżonka twa, Oktawia z krwią zastygłą,
Z obłudném okiem, tego nie dostąpi
By mogła mi urągać. — Chodź, kochanku, —
* Dźwigajcie zemną wszystkie, aż go wniesiem. —
I wy, żołnierze.

ANTONIUSZ.

Spiesznie, bo umieram.

KLEOPATRA.

To trud nie lada! — Serce tak olbrzymie!
A nasze siły smutku moc przeważa * :
O gdybym mogła mieć Junony władzę,
Piorunném skrzydłem zdjąłby cię Merkury
I złożył wśród Olimpu. Jeszcze trochę, —
* Chęć płocha w szał przechodzi. Mam cię wreszcie; *

(Wciągają Antoniusza do grobowca.)

Bądź pozdrowiony! skonaj tu gdzie żyłeś :
Uściskiem cię orzeźwię : wargi moje
Do szczętu tak chcę zużyć.

WSZYSCY.

* Widok smętny.

ANTONIUSZ.

Umieram. Kroplę wina *, niech przemówię.

KLEOPATRA.

Ja mówić będę i wyrzekać głośno,
Aż mych złorzeczeń zląkłszy się Fortuna,
Swe koło skruszy.

ANTONIUSZ.

Słuchaj mię raz jeszcze,
Przyjm od Cezara honor i swobodę. —
O!

KLEOPATRA.

To z tém nadto sprzeczne.

ANTONIUSZ.

Przy Cezarze
Prokulej sam jest godzien twéj ufności.

KLEOPATRA.

Méj własnéj ręce ufam, i odwadze,
Nikomu więcéj.

1. Pomóżcie wszyscy wnieść go tu.

ANTONIUSZ.

Niech mój los przedśmiertny
Zbyt cię nie smuci : pociesz się wspomnieniem
Tych lat ubiegłych szczęścia i wielkości,
Gdym żył najpierwszym wśród mocarzy świata,
I najwspanialszym; dziś nie bez czci ginę,
Nie po tchórzowsku zdaję hełm i berło
W zwycięzcy dłoń, lecz jak Rzymianin prawy
Zwalczony przez Cezara. Duch mój gaśnie;
Żyj, ja skończyłem.

(umiera.)

KLEOPATRA.

O największy z ludzi!
Czyś mię nie kochał? Ja mam żyć bez ciebie
W tym nędznym świecie, który po twym zgonie
Podlejszym jest od błota? — Patrzcie, siostry,
Korona ziemi pełznie. — O mój królu! —
Wojenny wieniec pada i więdnieje,
Rycerski szczep stracony : ród niewieści
Zrównany z mężkim; los i szczęście niczém,
I księżyc błędny świecić już nie będzie
Nad żadną chwałą.

CHARMION.

Ach, to zbyt okropnie!

IRAS.

Królowa z nim umarła.

CHARMION.

Pani! —

IRAS.

Ciszéj! —

CHARMION.

O pani, pani, pani!

IRAS.

Cześć Egiptu
Zaćmiona!

CHARMION.

Cesarzowo!

KLEOPATRA.

Nie, jam tylko
Niewiastą nędzną, i tym samym lichym
Podległa troskom co mleczarka wiejska,
Dysząca przy robocie. — Dziś bym chciała
Zawistnym bogom w twarz tém berłem rzucić,
Wołając że świat nasz był wart ich nieba,
Nim skarb ten mu wykradli *: wszystko marne;
Cierpliwość głupstwem, sierdzić się i srożyć
Wściekłemu psu przystoi * : czyż to zbrodnia,
Przed czasem zejść w tajemne kraje śmierci,
Nim po nas przyjdzie? — Cóż to wam, kobiety?
Bądźcież wesołe! Charmion, wy, dziewczęta,
Przestańcie szlochać! Ach, sieroty, patrzcie,
Nasz świecznik zbladł, już kona. — Przyjaciele :

(do Żołnierzy, na dole.)

Nie trwożcie się; pogrzebiem go, a potém,
Zwyczajem rzymskim spełnim czyn tak wielki,
Że sama śmierć poszczyci się swym łupem.
Duch jego żyje, choć powłoka trupem.
Ach, siostry, siostry! nic nam nie zostaje
Prócz mężnéj śmierci ; ja wam przykład daję[1].

(Żołnierze wynoszą ciało.)

1. O Charmion! co za wstyd zwać się Cezarem!

AKT PIĄTY.

*SCENA I[1].

Obóz Cezara przed Aleksandrją.

CEZAR, AGRYPPA, DOLABELLA, MECENAS, GALLUS, PROKULEJ i Inni.

CEZAR.

Idź, Dolabello, niech broń wreszcie złoży;
Po takiéj klęsce, powiedz mu otwarcie,
Że bezskuteczną szydzi z nas odwłoką.

DOLABELLA.

Do usług.

(wychodzi. DERCETAS wchodzi z mieczem Antoniusza.)

CEZAR.

Ktoś ty jest? któż cię ośmiela
Przed nami stawać?

DERCETAS.

Dercetas mię zowią.
Służyłem temu kto był najgodniejszym
Najlepszéj służby : póki żył dla sławy,
Był moim panem, a jam znosił życie
By dać je mu w ofierze. Jeśli łaska
Cezarze, przyjąć mię, chcę stać przy tobie
Jak przy nim stałem ; jeślim ci zbyteczny,
Weź moją krew bezpłatnie.

CEZAR.

Co ty mówisz?

DERCETAS.

Cezarze, mówię że Antoniusz zmarły.

CEZAR.

O nie! zgon taki sprawiłby silniejszy
Po świecie rozgłos : grom ten lwy by rzucił
W ulice miast, a mieszczan w ich jaskinie.
Śmierć Antoniusza nie jest jak zwyczajna :
W nim zgasłoby pół świata.

DERCETAS.

Skonał przecie;
Lecz nie zgładzony przez katowską rękę
Lub nóż najemny bo tym samym mieczem,
Co w czynach swych zapisał jego sławę,
A dziś, z odwagą z serca mu natchnioną,
To serce przeszył. Miecz ci ten przynoszę;
Wydarty z ran ziejących i zbroczony
Krwią najzacniejszą.

CEZAR.

Wszyscy się smucicie?
To słusznie i chwalebnie ; przy téj wieści
Bogowie się rozpłaczą.

AGRYPPA.

Rzecz szczególna
Że serca głos nam każe się litować
Nad własnym czynem.

1. Pominąć.

MECENAS.

Pełnią cnót przeważał
Znikome skazy.

AGRYPPA.

Nigdy duch wznioślejszy
Ludzkości nie przodkował; lecz niebianie
Człowieka godłem chceli mieć ułomność.
Sam Cezar płacze.

MECENAS.

To zwierciadło świetne
Mu własny los przedstawia.

CEZAR.

Antoniuszu!
Jam sprawcą twéj niedoli; — są choroby
Dla których nóż niezbędny. Trzeba było
Dla ciebie Rzym poświęcić, lub dla Rzymu
Twą władzę skruszyć: w świecie, dla nas obu,
Przestrzeni brakło. Przyjm to słowo żalu,
Z tą szczerą łzą jak nasza krew serdeczna,
Wylaną nad mym bratem, rówiennikiem,
U szczytu sławy zgasłym, nad współrządcą
I towarzyszem wśród wojennych trudów,
Zastępów mych prawicą, wzniosłém sercem
Gdzie duch mój się rozżarzał, — że też nasze
Nieprzejednane gwiazdy to braterstwo
Rozerwać nam kazały! — Wiedzcie wszyscy, —
Lecz więcéj powiem przy swobodnéj chwili;

(Skarus wchodzi.)

Bo człowiek ten ma ważną wieść w obliczu;
Musimy go wysłuchać. — Zkąd przychodzisz?

SKARUS.

Jam prosty kmieć egipski. Moja pani
Dziś bez przytułku, w swym grobowcu skryta,
Świadomą pragnie być o twych zamiarach,
By według nich się mogła przysposobić
Do swéj zmuszonéj doli.

CEZAR.

Na otuchę,
Już dziś się dowie, przez którego z naszych,
Jak względem niéj zaszczytnie i uprzejmie
Postąpić chcemy; bo Cezara szczęściem
Jest przebaczenie.

SKARUS.

Żegnam cię, Cezarze!

(wychodzi.)

CEZAR.

Na ciebie, Prokuleju. Idź i powiedz
Że nie znam zemsty: zanieś jéj pociechę
Stosowną do wielkości jéj cierpienia,
By w dumie swéj, zamachem samobójczym
Nie uszła z naszych rąk; żyjąca w Rzymie
Zwycięztwom naszym świetność da niezgasłą.
Idź, i najspieszniéj donieś nam co mówi,
A zwłaszcza co ztąd wnosisz.

PROKULEJ.

Wnet odpowiem.

(wychodzi.)

CEZAR.

Idź za nim, Gallu. — Niech i Dolabella
W téj sprawie wam pomoże.

(Gallus wychodzi.)

WSZYSCY.

Dolabella!

CEZAR.

Sam właśnie go wysłałem: nim powróci,
Wy zemną do namiotu; zobaczycie
Jakem niechętnie wdał się w tę wyprawę,
Jak moje listy, zgodne i spokojne,
Zażegnać chciały tę powszechną wojnę*.

(Wychodzą.)

SCENA II.

W Aleksandrji. W grobowcu.

KLEOPATRA, CHARMION i IRAS.

KLEOPATRA.

* Strapiony duch już się uczciwiéj rządzi *.
O Charmion, co za wstyd zwać się Cezarem:
Być nie Fortuną lecz jéj posługaczem,
Narzędziem jéj swawoli; wszak szlachetniéj
Uczynić to co wszelki czyn dopełnia,
Przygody wiąże, zmienny los krępuje,
Usypia i odsadza nas od mierzwy,
Karmiącéj kmiecia i Cezara.

(Wchodzą i obsadzają wejścia na zewnątrz, Prokulej, Gallus i Żołnierze.)

PROKULEJ.

Pani,
Egiptu księżno, Cezar cię pozdrawia,
Wzywając do namysłu nad prośbami
Godnemi jego względów.

KLEOPATRA.

Twe nazwisko?

PROKULEJ.

Prokulej, na usługi.

KLEOPATRA.

Sam Antoniusz
Zachęcał mię bym ci wierzyła; wszakże
Nie bardzo dbam o wierność obcych ludzi,
Gdy zdrad już się nie lękam. Jeśli Cezar
Chce w księżnéj mieć żebraczkę, to mu powiedz,
Że moj majestat, dla godności tronu,
O mniéj niż o królestwo się nie schyli:
Zdobyty Egipt niech mój syn posiędzie,
To ja mu klęcząc złożę hołd dziękczynny
Za zwrot choć téj własności.

PROKULEJ.

Miéj nadzieję,
W monarsze dłonie wpadłaś, to ci ręczę.
Dowolnie zdaj się na Cezara łaskę,
Bo tak jest szczodrą, że jéj nadmiar spływa
Na wszelką nędzę. Niech mu więc odniosę
Wieść twéj lenności, znajdziesz w nim zwycięzcę
Co tém wspanialszą wesprze cię pomocą,
Im korniéj przed nim klękniesz.

KLEOPATRA.

Powiedz, proszę,
Żem jest zdobyczą jego, więc uznaję
Objętą przezeń władzę. Wciąż się wprawiam

W niezwykłą mi naukę posłuszeństwa,
I radabym go poznać.

PROKULEJ.

On wzajemnie;
Bo wiem że nad twą dolą się lituje,
I radby ją polepszyć.

GALLUS.

Patrz, jak łatwo
Zdobywać twierdze.

(Gallus i dwaj Żołnierze wstępują drabiną do grobowca, otwierają rygle i wejścia; za niemi Prokulej z resztą Żołnierzy.)

Strzedz jéj dla Cezara.
(wychodzi.)

IRAS.

O pani!

CHARMION.

Kleopatro! tyś ujęta! —

KLEOPATRA.

O, jeszcze nie; do czynu.
(dobywa sztylet.)

PROKULEJ.

Stój, królowo!
(rozbraja Kleopatrę.)
Co czynisz? to szaleństwo! nie przychodzę
Cię zdradzić lecz wyzwolić.

KLEOPATRA.

Czy od zgonu,
Co chorych psów uzdrawia?

PROKULEJ.

*Kleopatro,
Nie szydź z Cezara łaski; chcieć się zabić,
To myśl niegodna ciebie: niech świat widzi
Spełnioną jego dobroć, a śmierć twoja
Zniweczy plon jéj.

KLEOPATRA.

Śmierci, *śmierci, śmierci!
Gdzież jesteś? chodźże, czeka cię królowa
Pilniejsza od niemowląt i żebraków!

PROKULEJ.

Umiarkuj się.

KLEOPATRA.

Już jeść nie będę, panie,
Już nie chcę pić, a jeśli to nie starczy,
Nie będę spać. Roztrącę tę powłokę,
Niech Cezar sobie radzi. Ja zaś żywcem
Nie dam się wlec w orszaku twego władcy,
I nie pozwolę by Oktawia głupia
Zelżyła mię spojrzeniem. Wyście chcieli
Wystawić mię na widok podłéj tłuszczy
Ohydnych Rzymian? Raczéj rów w Egipcie
Mię dziś pochłonie! raczéj w muł Nilowy
Zagrzęznę naga, i robactwo wodne
Roztoczy mię do kości! raczéj wzniosę
Na szczycie mych piramid szubienicę,
I nań łańcuchem rzymskim się powieszę!

PROKULEJ.

Obecny Cezar wnet ci udowodni
Że postrach twój go krzywdzi.

DOLABELLA, wchodząc.

Prokuleju,
O twym zamachu Cezar już świadomy
Przysyła mię po ciebie: a królowę
Pod moją straż oddaje.

PROKULEJ.

Dolabello,
Spełniłem rozkaz: bądźże dlań uprzejmym. —
Co tylko zlecisz mi łaskawa pani,
To mu obwieszczę.

KLEOPATRA.

Umrzeć bym pragnęła.
(Wychodzą Prokulej i Żołnierze.)

DOLABELLA.

Wszak już słyszałaś o mnie, cesarzowo?

KLEOPATRA.

Nie pomnę wcale.

DOLABELLA.

Jam jest Dolabella.

KLEOPATRA.

Bohater. Może we śnie.

DOLABELLA.

Nie rozumiem.

KLEOPATRA.

Otóż mnie śniło się że pewien mocarz, —
O, więcéj takich snów, bym wyśnić mogła
Równego mu człowieka!

DOLABELLA.

Racz łaskawie, —

KLEOPATRA.

Twarz jego słońcem, a księżycem skronie
Pod wieńcem gwiazd, złocące w swym obiegu
Ten drobny krąg, tę ziemię.

DOLABELLA.

Chciéj, królowo, —

KLEOPATRA.

Nad oceanem stąpał; swém ramieniem
Ocienał świat; głos jego brzmiał jak lutnia
Harmonii wiecznych, mówiąc do przyjaciół.
Lecz gdy w natarciu rzucał krzyk zwycięzki,
W pioruny się rozdźwięczał. W jego łasce
Nie było zimy; to jak jesień wschodnia,
Plenniejsza po zebraniu: miłość jego
To młody rój delfinów, pląsający
Nad modrym swym żywiołem: miał przy sobie
Tłum królów, książąt; wyspy i mocarstwa
Perłami z rąk płynęły.

DOLABELLA.

Kleopatro,

KLEOPATRA.

Czy kiedy był, lub mógł być, taki człowiek
Jak ten o którym śniłam?

DOLABELLA.

Nie, zaiste.

KLEOPATRA.

Ty kłamiesz, świadczę się jasnością nieba:
Lecz jeśli żył lub żyć ma ktoś podobny,
To tylko sen wymarzy: bo przyroda
W twórczości mu nie zrówna; takim tworem
Przemogłaby zmyślenie wyobraźni,
I snom zadała kłamstwo.

DOLABELLA.

Racz mię słuchać.
Nieszczęście twoje, wielkie jak ty sama,

Z godnością znosisz : niech mój zamiar nigdy
Nie dojdzie skutku, jeślim jest nieczuły
Na boleść twoją, w sercu mém odbitą.

KLEOPATRA.

Czy wiesz co Cezar o mnie postanawia?

DOLABELLA.

Choć wiem, z niechęcią spełniam to zlecenie.

KLEOPATRA.

Ach, powiedz, proszę, —

DOLABELLA.

Żadna w tém sromota—

KLEOPATRA.

Mam żywcem wejść do Rzymu?

DOLABELLA.

Tak jest, pani.

KLEOPATRA.

Już dość. — I tyś się podjął téj podłości?
Precz ztąd, zuchwalcze!

DOLABELLA.

Pani. —

KLEOPATRA.

Do mnie, siostry!

GŁOS, za sceną.

Na ustęp, oto Cezar.

(Wchodzą Cezar, Gallus, Prokulej, Mecenas, Seleukus i Służba.)

DOLABELLA.

Twój zwycięzca.

(Kleopatra klęka.)

CEZAR.

Nie klękaj, pani; proszę cię.

KLEOPATRA.

Bogowie
Tak rozrządzili : składam hołd powinny
Mojemu panu.

CEZAR.

Nie korz się przedemną.
Choć w naszém łonie tkwią doznane krzywdy,
Zapomnim o nich, jakby tylko były
Przypadku dziełem.

KLEOPATRA.

O wszechwładco świata,
Nie zdołam tak wysłowić méj obrony
By mię twój sąd rozgrzeszył; lecz wyznaję
Żem choć królowa, była zbyt przystępną
Ułomnéj płci słabościom.

CEZAR.

Kleopatro,
Jam twym obrońcą, nie oskarżycielem :
Do naszéj chęci jeśli się odwołasz,
(A ta ci jest przyjazną) w téj dążności
Odniesiesz wielką korzyść; lecz nie zmuszaj
Do srogich praw odwetu, Antoniusza
Stąpając torem : gdyż nietylko siebie
Pozbawisz mych dobrodziejstw, twoje dzieci
Pchniesz w otchłań z której pragnę je wydobyć
Przy twéj pomocy. Rzekłem i pozdrawiam.

KLEOPATRA.

Świat ci otworem stoi : ty nim władasz;
My twéj zdobyczy godłem i pomnikiem,
Tam staniem gdzie rozkażesz. Przyjm to pismo.

CEZAR.

Bądź mym doradzcą, co do Kleopatry.

KLEOPATRA.

To spis pieniędzy, sreber i klejnotów,
Będących mą własnością; spis rzetelny,
Drobnostki w nim nie zbywa. — Gdzie Seleukus?

SELEUKUS.

Co łaska?

KLEOPATRA.

Mój podskarbi niech zaświadczy
Pod karą miecza, czym zastrzegła sobie
Najmniejszą rzecz. Seleuku, powiedz prawdę.

SELEUKUS.

Niech język mój strętwieje, zanim skłamię,
Pod karą miecza.

KLEOPATRA.

Com ze skarbca wzięła?

SELEUKUS.

Dość by wykupić wszystko co zawiera.

CEZAR.

Nie rumień się, królowo; dziś mocarzom,
Przezorność jest konieczną.

KLEOPATRA.

Patrz, Cezarze!
Jak szczęście zwabia! moi chcą być twemi,
W zamianie losów, byłoby odwrotnie.
Niewdzięczność tego kłamcy do wściekłości
Mię przyprowadza. — Sługo tak niewierny
Jak miłość wynajęta! — Ty się cofasz?
Ty mi nie zbiegniesz; ja ci oczy wydrę,
Choćbyś miał sępie skrzydła. Psie bez duszy!
Najlichszy łotrze!

CEZAR.

Błagam cię, królowo.

KLEOPATRA.

Cezarze! patrzaj co za wstyd okropny;
Że gdy w tym grobie raczysz mię odwiedzać,
Twym majestatem szczycąc mię bezwładną,
Mój własny sługa, ciężar méj niedoli
Obarcza swą podłością! Dajmy na to
Żem przechowała jakiś grat niewieści,
Bezcenny drobiazg, takie dźbło znikome
Jakiemi płoche darzą się mieszczanki;
Żem nawet skryła pewien fant świetniejszy
Dla Liwii, lub Oktawii, by wyjednać
Ich pośrednictwo, mamże być skarżoną
Przez tych co zemnie żyli? O bogowie,
Ten cios mię głębiéj strąca. Precz odemnie,

(do Seleuka.)

Nim tchnieniem zemsty duch mój rozpłomienię
Na zgliszczach méj niedoli. — Będąc człekiem,
Miałbyś nademną litość.

CEZAR.

Idź Seleuku.

(Seleukus wychodzi.)

KLEOPATRA.

Widzicie, że nas królów świat potępia
Za to co drudzy czynią; gdy upadniem,
Co było cnotą staje się występkiem.
Ach, wielkość, to nieszczęście!

CEZAR.

Kleopatro,
Coś ukryć mogła, lub coś tu przyznała,
Nie wchodzi w skład zdobyczy : to jest twojém,
Rozrządzaj niém do woli; w przekonaniu
Że Cezar nie jest zbójcą, i nie umie
Brać to co nabyć może. Nie czyń sobie
Katuszy z własnych myśli : nie, królowo;
Bo zamierzamy tak postąpić z tobą
Jak sama nam poradzisz. Jedz, spoczywaj :
A nadewszystko wierz w Cezara chęci,
Przyjazne ci do końca : żegnam zatém.

KLEOPATRA.

Łaskawy panie!

CEZAR.

Zwij mię raczéj bratem.
(Zatrąbienie. Cezar wychodzi z Orszakiem.)

KLEOPATRA.

On łudzi mię słowami, bym straciła
Poczucie méj godności : słuchaj, Charmion.
(mówi jéj do ucha.)

IRAS.

Już dość, królowo; jasny dzień się zmierzcha,
Wnet pomrok cię zaskoczy.

KLEOPATRA.

Spiesz i wracaj :
Mój wyrok już wydany, jam gotowa;
Idź, powiedz że mi pilno. —
(Charmion wychodzi.)

Dolabella?

DOLABELLA, wchodząc.

Rozkazem pani dane mi zlecenie,
Współczucie własne spełnić mi doradza.
Więc jéj obwieszczam że z Cezarem wojsko
Przez Syrją kroczy, że przed trzecią dobą
Sam wyszle przodem ciebie i twe dzieci.
Z téj wieści zrób użytek; jam uczynił
Com przyrzekł, com powinien.

KLEOPATRA.

Dolabello,
Ja dłużną ci zostaję.

DOLABELLA.

Ja twym sługą
Najuniżeńszym.

KLEOPATRA.

Żegnam, i na długo.
(Dolabella wychodzi.)
Nareszciem wolna. Iras, cóż ty myślisz?
Egipska łątko, chcesz być wystawioną
Wraz zemną, w Rzymie : gdzie tragarze brudni,
Z fartuchem stęchłym, łokciem i młotami,
Podniosą nas na pręgierz, ich oddechem
Zatrutym lichą strawą wskróś przejęte,
I potem ich skąpane?

IRAS.

Nie, o nigdy!

KLEOPATRA.

A przecież to nas czeka. Tłum liktorów
Pogłaszcze jak sprośnice; wieszcz obdarty
Satyrą nas oszczeka : miejskie błazny
Prologiem poczęstują i przedstawią
Aleksandryjskie uczty, gdzie Antoniusz
Pod stołem zaśnie, ja zaś widzieć będę
Chłopaka grającego mię królowę
W postaci... dziewki.

IRAS.

O bogowie mocni!

KLEOPATRA.

I to nas czeka.

IRAS.

Tego nie zobaczę;
Paznogcie pierwéj w oczach mych utopię.

KLEOPATRA.

Tak, to jedyny sposób by zniweczyć
I wyśmiać ich zamiary. — Oto Charmion. —
(Charmion wraca.)
Ubierzcie mię siostrzyce, jak do tronu : —
W szkarłatne stroje; — znów na Cydnus wsiędę
I spotkam Antoniusza. — Spiesz się, Iras. —
Ty, wdzięczna Charmion, z nią przyrządzisz wszystko;
Po pracy téj ostatniéj, będziesz wolną
Aż po dzień sądu. — Daj koronę, perły.
Zkądże ten zgiełk?
(Iras wychodzi. Zgiełk za sceną.)

ŻOŁNIERZ, wchodząc [1].

Jest tam pachołek wiejski;
Domaga się przystępu do królowéj,
Z plecionką fig.

KLEOPATRA.

Niech wejdzie. Czyn szlachetny
(Żołnierz wychodzi.)
Ten płaz dokona! on mi wolność niesie.
Mój zamiar już stanowczy, nie mam w sobie
Nic niewieściego : całam jak z marmuru,
Od stóp do głowy; zmienny krąg miesiąca
Przestaje być mą gwiazdą.
(Wraca Żołnierz z Pachołkiem przynoszącym figi.)

ŻOŁNIERZ.

Oto człowiek.
(wychodzi.)

KLEOPATRA.

Ustąpcie mu. Masz żmijkę tę Nilową
Dającą śmierć bez bólu?

PACHOŁEK.

Mam, królowo;
Lecz jéj nie radzę drażnić to stworzenie,
Bo nieśmiertelne ma być ukąszenie :
Ci co zeń zmarli odżyć już nie mogą,
Lub rzadko kiedy.

KLEOPATRA.

Czy pamiętasz kogo
Coby tak umarł?

PACHOŁEK.

O, i ludzi wiele,
I wiele kobiet. Właśnie w tę niedzielę,
Uczciwa żona, choć od rzeczy gada,
I łże jak moja, toć niewieścia wada,
Usnęła od przylgnięcia téj gadziny. —
Cierpiała, słyszę, małe pół godziny.
Najlepsze chwali w zwierzu tym zalety;

1. *Gallus.*

Lecz ktoby wierzył wszystko co kobiety
Zmyślają, zmarłby przez połowę tego
Co czynią. Słowem, jest-li coś mylnego,
To że ten robak dziwnym jest robakiem.

KLEOPATRA.

Bądź zdrów : idź sobie.

PACHOŁEK.

Życzę jéj, z orszakiem,
Zabawy wszelkiéj.

KLEOPATRA.

Bądź zdrów.

PACHOŁEK, stawiając koszyk.

Niech pamięta
Że jadowite w Nilu są zwierzęta.

KLEOPATRA.

No, dobrze.

PACHOŁEK.

Widzi pani, to są żmije :
Nie można dać ich w ręce lada czyje,
Bo do kąsania bardzo są nałożne.

KLEOPATRA.

Bądź bez obawy : sługi mam ostrożne.

PACHOŁEK.

Więc idę. Żmijom, o tém państwo wiedzą,
Nie trzeba jadła.

KLEOPATRA.

A mię, czy téż zjedzą?

PACHOŁEK.

O, wa! jam prostak, przecież nie w obłędzie;
Wiem że kobiety sam czart jeść nie będzie :
Snać nasze dziewki są dla bogów strawą,
Aż diabeł swoją skisi je przyprawą;
Lecz to łajdactwo tak im wściekle szkodzi,
Że byle jakie dziesięć się narodzi
Czart pięć zepsuje.

KLEOPATRA.

Bardzo w czas te śmiechy :
Precz! —

PACHOŁEK.

Z gadem wszelkiéj życzę im uciechy.
(wychodzi.)

(IRAS wraca z koroną, płaszczem i t. d.)

KLEOPATRA.

Dajże mi płaszcz, koronę; nieśmiertelne
Przejmują mię pragnienia. Od téj chwili,
Miód gron Egipskich już tych ust nie zmoczy. —
Co żywo, Iras. — Zda mi się że słyszę
Głos Antoniusza : gdy powstały z grobu
Mój czyn uwielbia i wyszydza marne
Cezara szczęście, z niebios mu zesłane,
Jak przyszłych klęsk wyrocznię. Otóż idę
Do ciebie, mężu : jam téj nazwy godna!
Jam duch i płomień; ziemskie me żywioły
Niech w ziemię wrócą. — Czyście już gotowe?
Więc przyjmcie moich warg ostatnie żary.
Bądź zdrowa, Charmion : — Iras, żyj szczęśliwa.
(daje im pocałunek. Iras pada i umiera.)
Czy mam gadzinę w ustach? Tyś upadła?
Jeżeli z życiem żegnasz się tak mile,
To snać grom śmierci jest boleścią lubą
Jak dreszcz miłosny. Czy nie wstaniesz więcéj?
Tak szybkim zgonem świadczysz że świat cały
Nie godzien pożegnania.

CHARMION.

Mgły wezbrane,
Rozpłyńcie się strumieniem, niech łzy wasze
Z jéj duchem w raj odlecą!

KLEOPATRA.

To mię gnębi.
Jeżeli pierwsza spotka go w Olimpie,
Pytając o mnie, da jéj pocałunek
Co był mém niebem. Chodź, śmiertelny gadzie,
(przykłada żmiję do piersi.)
Zatrutém żądłem rozwiąż lub rozerwij
Zwinięty kłąb żywota : nędzny zbójco,
Czyś niedość gniewny? Niech twój pisk usłyszę,
Kąsając powiedz że ów Cezar wielki,
Jest wielkim karłem.

CHARMION.

O bogini Wschodu!

KLEOPATRA.

Milcz! u méj piersi widzisz to niemowlę,
Co ssąc usypia mamkę?

CHARMION.

Sen okropny!

KLEOPATRA.

Jak balsam słodki, lekki jak powietrze. —
Antoniusz woła! — Druga ślad jéj zetrze. —
(przykłada drugą żmiję do ramienia.)
Nie warto żyć —
(pada na łoże i kona.)

CHARMION.

Na ziemi? — Żegnam ciebie. —
O śmierci, chwal się żeś zaćmiła w niebie
Najżywszą gwiazdę. — Zmrużcie się, okienka;
Słoneczne blaski miała ta jutrzenka,
Już zgasła! kiedyż przejrzą się niebiosa
W tak świetném źródle? Wieniec twój z ukosa;
Daj, niech poprawię : to méj służby koniec,
A potém — wolność.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ, wpadając [1].

Od Cezara goniec!

CHARMION, chwytając żmiję.

Zapóźno! — Chodźże; już twe żądło czuję.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.

Żołnierze, zamną! ktoś tu zdradę knuje.

DRUGI ŻOŁNIERZ [2].

Patrz, przed jéj trupem, Cezar sam uklęknie.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.

Coście zrobiły? — Charmion, czy to pięknie?

CHARMION.

Mów ciszéj; córce książąt i rycerzy,
Królowéj z królów, umrzeć tak należy.
Ach, pani!
(kona.)

DOLABELLA, wchodząc.

Cóż tu zaszło?

DRUGI ŻOŁNIERZ.

Wszystkie zmarły.

1. *Prokulej.*
2. *Gallus.*

DOLABELLA.

To ród olbrzymi, my jesteśmy karły. —
Za wielkość Rzymu ginie ta ofiara,
Wspaniałym zgonem.

GŁOSY, za sceną.

Miejsce dla Cezara!

(CEZAR wchodzi z całym Orszakiem.)

DOLABELLA.

Cezarze! coś przewidział to się stało :
Z rąk nam uchodzą.

CEZAR.

To szlachetnie, śmiało :
Odgadła naszą myśl, i własnym torem
Królewskim poszła. Przed tak szczytnym wzorem
Rzym osłupieje — * Lecz jak się zabiły?
Nie widzę krwi.

DOLABELLA.

Kto był ostatni z niemi?

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.

Ów prosty wieśniak co im przyniósł figi :
W tym koszu.

CEZAR.

Więc otrute?

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.

Niewiadomo.
Dopiero co ta żyła; bom ją widział
I słyszał, jak się zaprzątała wieńcem
Swéj zmarłéj pani : wstała drżąc, i nagle
Na ziemię padła.

CEZAR.

Mężny duch w mdłéj piersi! —
Gdyby sie struły, to by poznać można
Z nabrzmienia członków; sen jéj tak pogodny,
Jak gdyby siecią czarów swych łowiła
Drugiego Antoniusza.

DOLABELLA.

Tu, na piersi,
Jest krwawy znaczek, i spuchnięcie drobne;
Tu drugie, na ramieniu.

PIERWSZY ŻOŁNIERZ.

To ślad żmii.
Na liściach piany, jak w Nilowéj grocie,
Po przejściu węża.

CEZAR.

Zdaje się w istocie
Że tak skonała; lekarz jéj powiadał
Że z nią tysiącznych już sposobów badał
Najlżejszéj śmierci *. — Złożyć ją na tronie,
I zmarłe sługi wynieść. Niech po zgonie
Spoczywa przy tym który żył jéj życiem :
Gdzież znajdę ziemię godną być nakryciem
Tak świetnéj pary? Pamięć ich nietknięta
W litości wieków będzie żyć tak święta
Jak sława ich zwycięzcy. Przy obrzędzie,
Za trumną wojsko iść orszakiem będzie,
A ztąd, do Rzymu. — Rozkaz daj niebawem :
Uczczenie zmarłych jest ludzkości prawem.

(Wychodzą.)

LICHWIARZ

KOMEDYA W TRZECH AKTACH, PODŁUG W. SZEKSPIRA

(KUPIEC WENECKI)

OSOBY

DOŻA WENECKI.
BEJ MAROKAŃSKI, } ubiegający się o
KSIĄŻE ARRAGOŃSKI, } rękę Portii.
ANTONIO, kupiec wenecki.
BASSANIO, jego przyjaciel, kochanek Portii.
GRATIANO, krewny Antonia, kochanek Neryssy.
LORENZO, kochanek Jessyki.
SZYLOK*, żyd.

* Wymawia się : *Szajlok, Gracyano, Porcya* i t. d.

TUBAL, jego spólnik.
ŻOŁĄDEK, sługa Szyloka.
STEFANO, sługa Portii.
LEONARDO, paź Gratiana.
PORTIA, dziedziczka zamku Belmont.
NERYSSA, jéj powiernica.
JESSYKA, córka Szyloka.

Senat wenecki, Sąd, Dozorca więzienia, Orszak, Muzyka, Słudzy, Paziowie.

W pierwszym i trzecim akcie, scena w Wenecyi; — w drugim w Belmont, na stałym lądzie.

« To jest dom Ojca mojego; a wyście zeń uczynili jaskinię łotrów. »
S. Marek, XI, 17.

AKT PIERWSZY.

Rynek w Wenecyi, przed pałacem doży. — Po prawéj stronie, dom Szyloka, z oknem na piętrze; po lewéj, dom Bassania; w głębi Rialto [1].

SCENA I.

ANTONIO, BASSANIO, LORENZO.

ANTONIO.

W istocie, nie wiem co mi się przyśniło;
Mnie ta tęsknota jak i wam niemiłą.
Lecz zkąd się zbiegły chmury te złowieszcze,

1. Niektóre sceny dosłownie, inne przetłómaczone w skróceniu.

Gdzie? jak? dla czego? to pytaniem jeszcze;
Choć mi ten smutek tak zajechał drogę,
Że, jak Bóg żywy, poznać się nie mogę.

BASSANIO.

O wiem ja czemu smutny nasz Antonio;
Twe błędne myśli za statkami gonią,
Co jak potężni morskich fal mieszkańce,
Z wiejącą flagą na dwa ziemi krańce,
Wzgardliwie patrzą na kupieckie łodzie,
Gdy niski pokłon biją im w przechodzie
I orlim lotem ciągną po przestworzu.

LORENZO.

Ja, gdybym tyle statków miał na morzu,
Nie mógłbym spać, i równą czuł obawę
O mój majątek. W garść bym zbierał trawę,
Pytając z jakiéj strony wiatr zawieje,

Na mapach licząc troski lub nadzieje;
A każdy szkopuł na téj śliskiéj drodze,
Jak ciebie, bracie, dręczyłby mię srodze.

BASSANIO.

Przy stole, wrząca zupę nim ostudzi,
Mój własny oddech dreszcz już wemnie budzi
Na samą myśl, iż wiatr mi żagle zrywa.
Gdy w méj klepsydrze pył godzinny spływa,
Już patrzę w duszy na piaszczyste węzły,
Na których piękny Argo mój ugrzęzły,
Zawojem flagi wpół zerwanéj z czoła
Swój grób całuje. Wchodzę do kościoła;
Gdy zmierzę okiem te kamienne szczyty,
Już widzę skały, których ząb ukryty
Zaledwie draśnie wątły bok méj nawy,
Wysypie w morze ziarna i przyprawy,
Lub nurt ubierze w mych szkarłatów stroje.
A wreszcie, czy te skarby tylko moje?
Czy nie związany z niemi los tysiąca?
Czy moja zguba w otchłań ich nie strąca?
O, pewny jestem że nasz brat w téj dobie
O innych myśli, więcéj niż o sobie!

ANTONIO.

Mniéj chlubny, bracie, troski méj początek;
Nie w jednym brygu leży mój majątek,
Ni w jednéj strefie : mam trzy świata części.
Choć w jednym roku los mi nie poszczęści,
Mój morski handel przecie mię nie złupi.

LORENZO.

Czyś zakochany?

ANTONIO.

Stary lis nie głupi.

LORENZO.

Już się nie kochasz? Jęczysz więc żałobnie
Boś nie jest wesół. Mógłbyś rzec podobnie
Że masz ochotę pląsać przy fujarze,
Boś nie jest smutny. Przez Janusa twarze!
Są dwa dziwaków roje na tym świecie;
Ten jak papuga mizdrzy się i plecie,
Kobziarza nawet bawi go muzyka;
Ten znowu kwaśny jak cytryna dzika,
Zaciska zęby, sroży się i kąsa,
Gdy stary Nestor śmiałby się z pod wąsa.

SCENA II.

CIŻ, GRATIANO.

LORENZO.

Lecz oto nasz przyjaciel a twój krewny,
Gratiano. Żegnam cię, Nestorze gniewny!
On może snadniéj chmury te rozpędzi.

ANTONIO.

Zostańcie, proszę; bo choć stary zrzędzi,
Obecność wasza bardzo mi przyjemną;
Nie chcecie chyba już się nudzić zemną.

GRATIANO.

Antonio, bracia, dobry dzień!

LORENZO.

Nawzajem.
Pocieszać troski twoim jest zwyczajem;
A więc polecam ci kuzyna twego.
Zbyt rzadkim ptaszkiem stajesz się, kolego;
Bassania ci zostawiam. — Do widzenia
Przy stole, przed odjazdem.

GRATIANO.

Bez jedzenia,
Najmędrszy człowiek mowę wnet utraci;
Gratiano zawsze na usługi braci. —
(do Lorenza, na stronie.)
O pięknéj twéj żydówce ani słowa?

LORENZO.

Téj nocy zemną drapnąć jest gotowa;
Pachołek do wycieczki nam pomoże :
Patrz, oto jéj okienko.

GRATIANO.

Szczęść ci Boże!

SCENA III.

BASSANIO, ANTONIO, GRATIANO.

GRATIANO.

Kuzynie drogi, źle mi cóś wyglądasz!
Świat nie jest rajem, zbyt od niego żądasz;
Zmieniłeś się do niepoznania bracie,
Jak spadkobierca po wujaszka stracie.

ANTONIO.

Świat dla mnie światem; wyżéj go nie cenię
Jak nędzną sztukę na zużytéj scenie.
W téj sztuce każdy gra zmyśloną rolę,
A moja smutną.

GRATIANO.

Ja zabawną wolę.
Majątku nie mam, chyba cóś od matki;
Lecz mam wesołość lepszą niż dostatki,
I spokój duszy, skarb nieprzeliczony...
Ztąd nie znam smutku, i znać nie chcę żony.
Nim wśród uciechy lata mię zaskoczą,
Niech win balsamem płonie pierś ochoczo,
A mroźne żale głowy mi nie mącą.
Czy godzi się by człowiek z krwią gorącą,
Z kamienia rytéj babki swéj miał postać,
Od łez i nudów chciał żółtaczki dostać,
Świętoszka całun żywcem wdział na siebie,
I jęczał wciąż, jak płaczka przy pogrzebie? —
O mój Antonio! taka chęć nie szczera.
Znam pewnych ludzi, których twarz przybiera
Powłokę mglistą, jak w kałuży błoto;
Chlubiących się milczeniem i tęsknotą,
By pewien czas uchodzić w oczach tłumu
Za wzór powagi, wiedzy lub rozumu.
To są gawrony pod piórami pawia;
Wyroczni głosem duma ich przemawia,
Znaczenia żądza wzdyma pierś i szyję,
A gdy wyrocznia mówi, sza kto żyje! —
O mój Antonio! wielu są mędrcami,
Bo nic nie mówią i nie piszą sami;
Przyganiać innym, to ich roskosz licha,
Ich cnotą podłość, ich nauką pycha,
Ich złość bezsilna nic nie może stworzyć;

A gdyby śmieli usta raz otworzyć,
Spłoszona gawiedź poszłaby do piekła,
Że na bliźniego « głupiec » w głos wyrzekła! —
O mój Antonio! są to ludzie próżni:
Od innych zwierząt wszak nas mowa różni,
A nie milczenie. Porzuć więc tęsknotę,
I przestań łowić w tę udaną cnotę,
Jak w sieć dziurawą kiełbie i piskorze,
Pochwały ludzkie. — Reszta po nieszporze,
Z puharem w ręku.

BASSANIO.

Po téj szumnéj mowie,
Wypijem wszyscy za Antonia zdrowie;
Lecz do tych niemych mędrców się przyznaję,
Gdyż mi Gratiano słowa rzec nie daje.

GRATIANO.

Pomieszkaj zemną rok lub dwa na los,
Zapomnisz sam, żeś miał donośny głos.

ANTONIO.

Przy tobie żyjąc, stanie się gadułą.

GRATIANO.

Wojować lepiéj słowem jak szkatułą;
Milczeniem zaś odznacza się na pozór
Filozof niemiec, lub wędzony ozór.

SCENA IV.

BASSANIO, ANTONIO.

BASSANIO.

Czy był w tém jaki sens?

ANTONIO.

Mój brat Gratiano
Wyrazów mnóstwem głowę ma nadzianą;
Lecz ten Salomon kto w nich myśl wyczyta!
Maksymy jego są jak ziarnko żyta
W dwóch korcach plew; kto szuka, dzień utraci,
A marną korzyść trudu nie opłaci.
Lecz o téj pani coś mi wyznać miałeś,
Do któréj w podróż milczkiem się wybrałeś;
Mów, jaką drogą stanąć chcesz u celu?

BASSANIO.

Wiadomo ci, mój zacny przyjacielu,
Żem nadwerężył kredyt mój i mienie,
Wystawniéj trochę żyjąc, niż sumienie
A własne środki na to pozwalają.
Nie żal mi tego żem z lichwiarzy zgrają
Zmuszony walczyć, że się skromniéj żywię;
Lecz wybrnąć z długów chciałbym raz uczciwie,
Mój byt ustalić mniéj rozrzutną dłonią.
Winienem twéj przyjaźni, mój Antonio,
Największą sumę i najwyższą wdzięczność;
I teraz w niéj pomyślną widzę zręczność,
Gdyż ci mój zamiar szczerzem rad otworzyć,
By wszystkie długi razem dziś umorzyć.

ANTONIO.

Twym sługą jestem w jakiejbądź potrzebie;
I jeśli jak nie wątpię znając ciebie,
Z honorem zgodne są zamiary twoje,
Bądź pewien że ci ku pomocy stoję
Z majątkiem, życiem, radą lub orężem.

BASSANIO.

O wiem żeś godnym i szlachetnym mężem!
Za szkolnych czasów, strzałę gdym postradał,
Tom zaraz drugą na cięciwę wkładał,
I słał za pierwszą; lecz celując lepiéj,
Gdyż ta, sądziłem, w mecie się zaszczepi:
Tak téż i dzisiaj chcę wyszukać obie. —
Dla tego tylko to zbliżenie robię,
Że wniosek mój podobnie trafnym będzie.
To coś mi dał, w przyjaźni twéj zapędzie,
Jak pierwszy wystrzał, marnie już stracone;
Lecz jeśli rzucić chcesz w tę samą stronę
Powtórną strzałę, ręczę ci na duszę
Że lub za jednę dwie ci znaleść muszę,
Lub wystrzeloną zwrócę ci ostatnią,
I dłużnym będę za tę pomoc bratnią.

ANTONIO.

Znasz moją szczerość; tracisz czas napróżno,
Krętemi słowy trapiąc chęć usłużną;
I pewnie większą krzywdę mi wyrządzasz
Gdy w myśli twéj o skąpstwo mię posądzasz,
Jak gdybyś wydał wszystkie me dostatki.
Więc powiedz prosto, śmiało, bez zagadki,
Co chcesz lub żądasz, a we dnie i w nocy,
Najchętniéj zrobię wszystko co w méj mocy.

BASSANIO.

W Belmoncie jest dziedziczka... o to mniejsza,
Pięknością słynna; lecz od gwiazd piękniejsza
Jéj rzadka cnota. Z oczu jéj sto razy
Milczące, słodkie, doszły mię wyrazy.
Jéj imie Portia. Z wdzięku i wymowy
Podobna do téj Portii Brutusowéj,
Katona córy. Świat ją czci jak bóstwo;
Przez wszystkie morza wiatr jéj niesie mnóstwo
Książęcych synów. Włos, jak runem złotém,
Jéj skroń ozdabia swym czarownym splotem,
Z Belmontu czyniąc Kolchidy wybrzeże,
Gdzie stu Jazonów swéj zdobyczy strzeże.
Z Kadyksu właśnie przybył tą zatoką
Z Hiszpańskim księciem, jakiś bej z Marokko;
Jest Węgier, Niemiec, Francuz, jak na wojnie. —
O mój Antonio! gdybym mógł przystojnie
Choć jeden dzień wystąpić z niemi w szranki,
Niewątpiłbym o sercu méj kochanki;
W przeciwnym razie, wszystko to złudzeniem,
I romans mój zakończy się więzieniem!

ANTONIO.

Dłużnikiem moim jest szerokie morze;
Niewidzę źródła zkądbym mógł w téj porze
Znaczniejszą sumę ściągnąć, lub pożyczyć;
Lecz w mieście możesz na mój kredyt liczyć:
Wyprężę go jak strunę, by cię zbawić,
Byś mógł w Belmoncie godnie się przedstawić.
Idź więc, poszukaj ktoby miał pieniądze,
Z poręką moją, rzecz tę łatwą sądzę;
I choć w Wenecyi złoto nie jest taniém,
To czego pragniesz wspólnie ci dostaniem.

BASSANIO.

Ach, wdzięczność moja była już bez granic!

ANTONIO.

Przy twojém szczęściu, mam to wszystko za nic.

SCENA V.

BASSANIO, ŻOŁĄDEK.

BASSANIO do Żołądka, stojącego na warcie przed domem Szyloka.

Gdzie pan?... odpowiedz!... Czy ta bestya niema!
(głośniéj.)
Czy jest pan w domu?... słyszysz!

ŻOŁĄDEK.

Jest i nie ma.

BASSANIO.

Wszak sam widziałem jak te drzwi zamykał,
I worek złota pod opończę wtykał.

ŻOŁĄDEK.

To nie pan, ale żyd.

BASSANIO.

A, masz rozsądek.
Jak ci na imie?

ŻOŁĄDEK.

Floryan Żołądek.

BASSANIO.

Nazwisko piękne! Mój Żołądku drogi,
Masz na śniadanie i ustępuj z drogi.

ŻOŁĄDEK.

To co innego. Do Szyloka budy
Nie wlezie nawet pies, jeżeli chudy.

BASSANIO.

A wyjść czy wolno?

ŻOŁĄDEK.

Przez tę furtkę ciemną
Czart nie wyskoczy, chyba z nim lub zemną.

BASSANIO.

Szczególny ród! on nas za łotrów bierze,
A sam jak złodziéj chowa swe grabieże.
(wchodzi do domu Szyloka.)

SCENA VI.

ŻOŁĄDEK, sam.

Zaprawdę, kark i ten u niego skręci!
Jak ćmy szalone złota blask ich nęci;
Nazajutrz koza, Bóg wie jak na długo! —
Co za przyjemność być żydowskim sługą!
Nie lubię ryb, oskomę mam do wieprza,
Od jaj i czosnku wszak wędzonka lepsza;
Tu nikt nie zwącha szperki przy obiedzie,
Studniowy post, a potem chléb i śledzie!
Oj, gdyby nie Jessyka, jego córka,
Od trzech miesięcy byłbym już dał nurka
Przed tą gadziną co krew ludzką chłepce!
Za karkiem diabeł wciąż do ucha szepce: —
« Mój Floryanie, albo mój Żołądku,
Zaprawdę, źle na świecie bez majątku;
Wszak są w tym kraju księża i mieszczanie
Bogatsi jak sam żyd, choć chrześcianie;
A którym wiarę jeśli raz poślubisz,
Wypasiesz się i duszy twéj nie zgubisz! »
Sumienie znowu tu przedemną plecie: —
« Zaprawdę, żyd cię najął na trzylecie;
Młodemu prędko rok za rokiem płynie,
Jak woda w rzece lub jak mąka w młynie;
Więc zostań aż się zmiele termin twój. » —
Czart mówi: « zmykaj! » a sumienie: « stój! »
Osądźcie państwo, kto słuchania godny?
Cóż po sumieniu, gdy Żołądek głodny! —
Wychudłem, zbladłem, aż mię trzęsie febra,
Na palcach ślepy mi policzy żebra,
Dziurawy płaszcz i spodnie wiatr przewierca...
Sumienie, zlituj się; ty nie masz serca!
Daj mi zakąsić raz kiełbasy skrycie,
A potem zginąć... nie dbam już o życie;
Bo wreszcie powiedz na co mi się przyda
Za piecem siedzieć kopę lat u żyda,
Jeżeli głodem zmorzy mię sobaka?
Czart lepiéj radzi; nocą dam drapaka
Do tego pana, co dla swéj Jessyki
Nie szczędzi worka, listów i muzyki;
Lub jeśli mię nie przyjmie brat za brat,
To pójdę za granicę, w boży świat,
Aż do murzynów, tam gdzie pieprz się rodzi...
Kto idzie?

LORENZO, dając mu talara.

Swój!

ŻOŁĄDEK.

To magnat, a nie złodziéj!

SCENA VII.

ŻOŁĄDEK, GRATIANO, LORENZO, LEONARDO.

GRATIANO.

Załatwij to, mój mały Leonardo.
Wiesz com ci zlecił, główkę masz nie twardą,
Więc bierz co lepsze, i nie kupuj tanio;
Spiesz się, z obiadem czeka mię Bassanio.

LEONARDO.

O, zrobię wszystko co się da, w téj mierze;
Wenecyę całą statek nasz zabierze!
(wychodzi.)

GRATIANO.

Tak więc wyśliźniem się podczas obiadu;
I za godzinkę, bez żadnego śladu,
Powrócim nazad jakby nic nie było.

LORENZO.

Ja radzę się uzbroić większą siłą.

GRATIANO.

To moja rzecz; dziś kończy się karnawał.
Do maszkarady mam przyjaciół nawał...
A, jeszczem nie zamówił pochodniarzy!

LORENZO.

Nie trzeba nam uchodzić za zbrodniarzy;
Więc bierzmy się do dzieła, bez hałasu.

GRATIANO.

Dopiero szósta; dwie godziny czasu
Do przygotowań. — Dla uciechy większéj,
Przytomność teścia wieczór nam upiększy;

Gdy swym szwargotem żyd rozbawia gości,
Wykradniem ztąd córeczkę jegomości:
A po wieczerzy, ku północy staniem
Z Jessyką twoją w Belmont, za Bassaniem.
(Żołądek zbliża się i podaje kapelusz.)

LORENZO.
Cóż mi przynosisz?

ŻOŁĄDEK.
Niech pan ręką własną
Rozpieczętuje; list odpowie jasno.

LORENZO.
Poznaję rączkę która go pisała;
To rączka śliczna, i różowo biała,
Jak jéj bilecik.

GRATIANO.
Jawno list miłosny;
Po skutku sądzę, bo twój wzrok radosny.

LORENZO, dając inny list Żołądkowi.
Weź ten i zanieś; powtórz jéj to wiernie:
« Mój pan z wezwania cieszy się niezmiernie. » —
Ja biorę cię do służby.

ŻOŁĄDEK, kładąc list do kieszeni.
Dzięki Bogu!
Nie będę stać na warcie przy tym progu,
Słuchając szczęku złota, gdy ten czart
Rachuje, waży, brząka, jak na żart!
Tu, za przesyłkę, spadnie choć dukatek...

LORENZO.
Masz dwa, nieobrzezane, na zadatek.
Co umiesz robić?

ŻOŁĄDEK.
W piłkę grać wybornie,
Roznosić listy, kłaniać się pokornie,
A po kolacyi spać aż do śniadania.

LORENZO.
Żołądek dobry to i służba tania,
Bo pół szeląga nie da się na leki,
A do spiżarni bliżéj niż apteki.
Przyjdziemy za godzinę, pokryjomu;
Pamiętaj i bądź zdrów.
(Żołądek wychodzi.)
A my, do domu.

GRATIANO.
Ten list żydówki co ci téż opiewa?

LORENZO.
Że mego przyjścia w nocy się spodziewa;
Że z klejnotami swéj nieboszczki matki,
W Żołądka piórach, ptak ucieknie z klatki,
I że czułością kocha mię niezgasłą;
Światełko w oknie da wycieczki hasło.
Tak jeśli w raju ojciec jéj zasiędzie,
Anielskiéj córce to zawdzięczać będzie;
A jeśli cnót jéj niebo nie nagrodzi,
To chyba za to że ten czart ją rodzi. —
Jak bóg Olimpu miłość ma za posła,
Jessyka będzie nam pochodnię niosła.
Weź list, przeczytaj; kto chce wyjść na męża,
Gołąbka w sobie musi mieć, i węża.

SCENA VIII.

SZYLOK, BASSANIO.

BASSANIO, wychodząc z domu Szyloka.
Potrzeba mi dukatów trzy tysiące.

SZYLOK.
Nu, dobrze.

BASSANIO.
Zaraz.

SZYLOK.
Nu, na trzy miesiące.

BASSANIO.
Nie, na trzy dni.

SZYLOK.
Niech będzie na trzy dni! —
Po sto na dzień.

BASSANIO.
To wiele!

SZYLOK.
Za co mniéj?

BASSANIO.
Antonio będzie mym poręczycielem.

SZYLOK.
Antonio dobry. —

BASSANIO.
Bądź mym przyjacielem,
Ja, twym dłużnikiem; ja zapłacę sam,
Lecz on ma podpis dać.

SZYLOK.
Antonia znam.

BASSANIO.
Słyszałeś o nim co podejrzanego?

SZYLOK.
Aj, nie, nie, nie! — Gdy mówię tak do niego:
Antonia znam, to dobre na początek;
Choć jego podpis lepszy niż majątek.

BASSANIO.
Co, jakto?

SZYLOK.
Czysty zysk przenoszą długi;
Ma jeden bryg w Algierze, w Indiach drugi,
Słyszałem téż w Rialto że ma trzeci
Aż w Meksyku; do Anglji czwarty leci,
A resztę pchnął na cały krąg niebieski. —
Majtkowie ludzie, a okręta deski,
Na morzu wszystko wątłe i przygodne;
Są ziemne szczury, są i szczury wodne
I jak lądowe, morskie są złodzieje,
To jest korsarze. Wreszcie są koleje
Bałwanów, wiatrów, skał. Choć to powiadam,
Antonio dobry. — Trzy tysiące składam;
Nie stracę nic za jego poręczeniem.

BASSANIO.
Więc chcesz mi pomódz?

SZYLOK.
Chcę; lecz przed ziszczeniem,
Czyś pan już pełnoletni?

BASSANIO.
To pytanie!

SZYLOK.
Nu, prawda, wąsy. — Więc ugoda stanie.

BASSANIO.
Bezpiecznie dla nas obu.

SZYLOK.
Ja tak myślę. —
Choć dla pewności, rzecz zważywszy ściśle,
Z Antoniem pierwéj chciałbym się naradzić.

BASSANIO.
Na obiad z nami daj się poprowadzić.

SZYLOK.
Świninę wąchać! karmić się prosięciem,
W co Nazarejczyk, prorok wasz, zaklęciem
Wleźć kazał diabłu! Ja chcę z wami gadać,
Prowadzić handel; lecz do stołu siadać,
Lub modlić się, żydowskie prawa bronią. —
Co słychać w rynku?

BASSANIO.
Powie ci Antonio.

SCENA IX.

CIŻ, ANTONIO.

SZYLOK, na stronie.
Fałszywa twarz, jak u poborcy danin.
Ja nienawidzę go, że chrześcianin;
Lecz bardziéj za to że choć niby kupiec,
Pożycza darmo jak ostatni głupiec :
Że krzywdzi mię, obniża stopę srebra.
O gdybym mógł mu raz pomacać żebra,
Gorąca zawiść ulgi by doznała.
W Rialto nawet, tam gdzie giełda cała,
Ten łotr wzgardliwém ściga nas przezwiskiem ;
Mię, moje sprawy, z mym godziwym zyskiem,
Mianując lichwą. — Przeklnij mię, proroku,
Jeżeli mu przebaczę!

BASSANIO.
Cóż, Szyloku?

SZYLOK.
Zasoby moje jam obliczał w głowie;
I gdy się nad tém dobrze zastanowię,
Nie będę mógł w całości przysposobić
Dukatów trzech tysięcy. Nu, cóż robić?
Mój krewny Tubał da co mi nie stanie.
Na ileż dni? —
(do Antonia.)
A, witam, jaśnie panie;
Mówiliśmy tu właśnie, o waszmości.

ANTONIO.
Szyloku, chociaż wedle méj możności]
Na wszelkie czynsze mych pieniędzy skąpię,
Od téj zasady przecież raz odstąpię,
Gdy mój przyjaciel w nagłym jest kłopocie. —
Wiesz ile żąda?

SZYLOK.
Trzy tysiące w złocie.

BASSANIO.
I na trzy dni.

SZYLOK, na stronie.
A później rok w areszcie.
(w głos.)
Trzy dni, tak, prawda! — Nu, zobaczym wreszcie ;
Poręka wasza całą rzecz uświęci. —
Pan zwykłeś mawiać, jak to mam w pamięci :
« Nie bierz pieniędzy, ani nie pożyczaj
Na żaden procent. »

ANTONIO.
Taki mój obyczaj.

SZYLOK.
Dowiodę łatwo że pan jesteś w błędzie.

ANTONIO.
Ciekawym bardzo, to zabawném będzie.

SZYLOK.
Gdy Jakób pasł Labana wuja trzody...
Po Abrahamie był ten Jakób młody
(Za przyczynieniem mądréj swéj macierzy),
Z kolei trzecim z książąt i pasterzy.

ANTONIO.
Lecz co za związek... czy się lichwą bawił?

SZYLOK.
Nie! choć po sobie liczny ród zostawił,
On lichwy nie brał, co się lichwą zowie ;
Słuchajcie tylko co nam pismo powie. —
Gdy Laban taką przyrzekł mu zapłatę
Iż każde jagnię pstre czy pręgowate
Na rzecz Jakóba spadnie, ku jesieni
Wracały tryki do rodzinnéj sieni.
I gdy z owcami, jak czytamy w księdze,
Plemienne dzieło w całéj szło potędze,
Chcąc sam owładnąć przyszłych trzód zawiązek,
Przemyślny pasterz korę zdjął z gałązek,
I zatknął w ziemię kołki przed maciory,
Naprzemian czarne i obrane z kory.
Gdy te poczęły, same z nich bliźnięta,
I same pstre rodziły się jagnięta;
Te Jakób dostał, z teściem żył przykładnie. —
Zysk błogosławi, kiedy kto nie kradnie.

ANTONIO.
Żyd zawsze kradnie... świadkiem zysk Jakóba;
Choć nie dla niego z téj korzyści chluba,
Albowiem Bóg sam ją sprowadził z dała...
Czy pismo święte lichwę brać pozwala?
Lub czy szachrajstwo nie ma być karaném?
Czy srebro owcą; złoto, czy baranem?

SZYLOK.
Nie wiem; lecz równie szybko je rozmnażam.
Nu, jeszcze słówko.

ANTONIO, do Bassania.
Patrzaj, jak uważam,
Czart śmie przytaczać pismo, gdy mu trzeba.
Skażony duch, bluźniący słowem nieba,
To pod uśmiechem skryty wróg morderca,
Lub złote jabłko zgniłe aż do serca.
W jak święty pozór się przybiera zbrodnia!

SZYLOK, na stronie.
Trzy dni od siedmiu : — całe pół tygodnia !

ANTONIO.
No cóż, Szyloku, mamyż ci być dłużni?

SZYLOK.
Signor Antonio, jeszcze cóś nas różni.
Gdyś na Rialto mię przezywał osłem,
Z ruszeniem ramion te pociski zniosłem,
Bo na zniewagi żyd ma duszę twardą.

Niewiernym psem mieniłeś mię z pogardą,
I plwałeś na żydowską mą sukmanę,
Za to że lubię handel i zamianę.
Aliści teraz jestem ci potrzebnym;
Więc mówisz do mnie tonem wpół pochlebnym: —
« Szyloku, daj pieniędzy! » Wy, nieczuli,
W sam szabas flegmę na mą brodę spluli,
Jak psa zdeptali w hańbie i ohydzie,
Wy śmiecie bluźnić: Daj pieniędzy żydzie! »
Cóż mam odfuknąć? — « Pracuj sam dla siebie;
Czy podły pies ma złoto? gdzie wygrzebie
Tak znaczną sumę? » Lub z okrągłym trzosem,
We dwoje zgięty, rzec dłużnika głosem: —
« Wiemożny panie, lżyłeś mię we środę;
We czwartek z rana plwałeś na mą brodę;
Kopnąłeś w piątek; za te uprzejmości,
Pieniędzy dam co łaska jegomości.

ANTONIO.

Jam jeszcze gotów lżyć cię jak włóczęgę,
Uderzyć nogą, pluć na twą siermięgę,
Ponieważ nasza zguba cię bogaci;
Przyjaźni nie chcę (kiedyż brat od braci
Lichwiarski ciągnie zysk z płonnego złota?)
Lecz daj przez zemstę, drżyj z nas jak niecnota,
Byś po schybieniu mógł na giełdzie drożéj
Nasz dług odprzedać.

SZYLOK.

Nu, jak pan się sroży?
Ja z wami chciałem odtąd żyć w przyjaźni,
Przejednać was, niepomny krzywd i kaźni,
Wydobyć bliźnich z téj sromotnéj nędzy,
I bez szeląga zysku z mych pieniędzy:
Wszak to uprzejmie?

ANTONIO.

To bajeczna powieść.

SZYLOK.

I tę uprzejmość zaraz chcę wam dowieść. —
Pójdziemy spisać układ u rejenta;
W nim klauzula na żart ma być objęta:
« Iż gdy pojutrze, w téj a téj godzinie,
W tém a tém miejscu, trzeci dzień upłynie,
A nie odbiorę tego co wam daję
W brzęczącém złocie, prawo mi przyznaje
Funt jeden wzięty gdzie mi się podoba
Z waszego ciała. »

ANTONIO.

Chodź, podpiszem oba.

BASSANIO.

Bodaj cię licho... To nieludzki żart!

ANTONIO.

Funt mego ciała już nie wiele wart.

BASSANIO.

Ja protestuję! tego nie podpiszę,
Niech raczéj wyrok śmierci méj usłyszę!

ANTONIO.

Nie lękaj się, zawodu mu nie zrobię;
Najdaléj jutro, więc w rzeczonéj dobie,
Odbiorę z pewnym statków mych powrotem,
Jak pisze doża, sto tysięcy złotem.

SZYLOK.

O Abrahamie! cóż to są za ludzie?
Żyjący sami w kłamstwie i obłudzie,
Jak ci niewierni źle o innych sądzą!
Bo jeśli w drodze statki twe zabłądzą,
Cóż zyskam z tego co mi się należy?
Czy funt ludzkiego mięsa, choć i świeży,
Jest tyle wart co wołu lub jagnięcia?
Dla waszéj łaski, dla waszego wzięcia,
Chcę wam dopomódz; nie, to idźcie z Bogiem;
Lecz już przestańcie zwać mię psem i wrogiem!

ANTONIO.

Jam trochę stary, już się nie odmienię;
Pomagać bliźnim każe mi sumienie:
Niech w takiéj treści układ się rozpocznie.

SZYLOK.

Więc u rejenta zejdziem się niezwłocznie.
Możecie skrypt zawczasu przygotować;
Ja zaś, by sumę zważyć i zrachować,
Do domu zajrzę, nim godzina przyjdzie
Wieczerzać z wami.

ANTONIO.

Spiesz, uprzejmy żydzie.
(do Bassania.)
On będzie przechrztą, bo się jakoś kruszy.

BASSANIO.

Nie lubię pięknych słów, przy podłéj duszy.

ANTONIO.

Pójdź; w każdym razie, oblig nim zapadnie,
Okręty moje tu powrócą snadnie.

SCENA X.

SZYLOK; później ŻOŁĄDEK i JESSYKA.

SZYLOK.

« Oszukuj goja, tak nas Talmud uczy,
I daj mu ścierwo, gdy mu głód dokuczy. »
Naukę Judy chcę wykonać ściśle,
I mściwy zamiar krąży w mym umyśle.
O, ja nie cierpię tych pogańskich panów,
Kaima plemie, istny rój szatanów;
To lwy ryczące, wściekłe, bez litości,
Gdy na czczo zwietrzą mięso, krew lub kości:
Lecz brzęknij złotem, rzuć im parę kies,
Lew rżący zniknął, a zostaje pies!
Hej, gdzie Żołądek?

ŻOŁĄDEK, wychodząc z domu Bassania.

Kto tam!

SZYLOK.

Ja, twój pan.

ŻOŁĄDEK.

Mój pan Lorenzo; mam zacniejszy stan,
Bo wchodzę w jego służbę.

SZYLOK.

Nu, tém lepiéj,
Gdy do leniwca żarłok się przylepi!
Przekonasz się, nim znowu cię wypędzą,
Czém stary Szylok, a czém jest Lorenzo... —
Jessyko, hej!... — Nie będziesz w pełnéj misie
Koszerne jadło trefić, ty urwisie!
Dzień cały chrapać, sukni drzeć na łyko... —
Pójdź tu, Jessyko, żywo!

ŻOŁĄDEK, wrzeszcząc.

Hej! Jessyko!

SZYLOK.

A kto ci kazał wyć, jak wilk pod lasem?

ŻOŁĄDEK.

Mówiliście mi z rana, przed szabasem,
Bym nic nie robił w domu, bez rozkazu.

JESSYKA, wychodząc z domu Szyloka.

Wołacie, ojcze?

SZYLOK.

Było przyjść od razu.
(rozbierając Żołądka.)
Weź płaszcz, kapelusz... zanieś do Jonasza...
Bassanio dziś na obiad mię zaprasza.

ŻOŁĄDEK do Jessyki, na stronie.

Jest list w kieszeni.

JESSYKA.

Dobrze, już go mam.

SZYLOK.

Lecz po cóż pójdę? Ja się na tém znam.
Zaprosił mię z potrzeby, nie z przyjaźni;
Ja pójdę z nienawiści: bo mię drażni
Rozrzutność tego chama... Klucz od domu,
Masz moje dziecię, nie daj go nikomu;
Przy sercu trzymaj... — Cóś się złego knuje,
Bo mi się śniło złoto; gdy rachuję,
Aż nagle złoto w ołów się przetapia...
Dla tego też odprawiam tego gapia.
Niechętnie idę, bo przeczuwam zdradę.

ŻOŁĄDEK.

Mój nowy pan zgotował maszkaradę,
Przy stu pochodniach, by zabawić teścia;
Na bal zaprosił błaznów aż z przedmieścia,
I pewno będzie tam zabawa wściekła...
Bo w przeszły czwartek krew mi z nosa ciekła
O czwartéj z rana; był to czwartek tłusty.
A czwartek ów przypadał w te zapusty
Na ten sam dzień co w zeszłych trzech popielec...

SZYLOK.

Nu, maszkarada? widzisz go, wisielec!
Zasunąć drzwi; a jeśli w kotły biją,
Przy podłym pisku dud z koślawą szyją,
U okien mych nie wieszać się ze świecą,
I nie wyścibiać nosa nad ulicą,
By gapić się na te szatańskie figle.
Zamykać uszy domu na dwa rygle;
Niech dźwięk swawoli, tych szaleńców zguba,
Nie wejdzie w skromny dach. — Na kij Jakóba,
Ten zgiełk przeklęty progów mych nie dotrze!
Lecz muszę skrypt odebrać. — Naprzód, łotrze...
Gdzie idziesz?

ŻOŁĄDEK.

Naprzód idę, za rozkazem.

SZYLOK, biorąc go za ucho.

Idź precz, do diabła!

ŻOŁĄDEK.

Nu, pójdziemy razem! —
(wracając do Jessyki, na stronie.)
Stój panna w oknie; przyjdzie ktoś o mroku,
Co choć jest gojem, wart żydówki wzroku.
(Szylok go wypędza.)

SZYLOK.

Co szczekał ci ten głupi syn Agary?

JESSYKA.

« Bądź panna zdrowa... » Dałam dwa talary.

SZYLOK.

To nadto. — Szczwany lis, choć żarłok wielki;
Do pracy żółw, krokodyl do butelki,
A śpi jak wąż. — W nim jednym cztery trutnie!
Więc do Lorenza. Niech go drze wierutnie,
Niech mu pomaga do marnotrawienia
Cudzego grosza. — Idę, od niechcenia;
Wczas wrócę. Tubał ma mi się dowiedzieć
Jak stoi złoto... — Modlić się i siedzieć!
A drzwi zarygluj. Rzecz pod kluczem święta;
Gospodarz dobry zawsze to pamięta.
(wychodzi.)

JESSYKA.

Sny szczęścia, jeśli wy mię nie łudzicie,
Straciłam ojca; on utracił dziecię!
(wchodzi do domu.)

SCENA XI.

GRATIANO, LEONARDO, i KILKU PRZYJACIÓŁ, wszyscy zamaskowani; późniéj LORENZO i JESSYKA.

Mrok zapada.

LEONARDO, z pochodnią w ręku.

Pod tą wystawą kazał nam Lorenzo
Na siebie czekać.

GRATIANO.

Jak godziny pędzą!
Już ósma biła! Nocne te motyle
Uprzedzać zwykły swych zalotów chwile;
I nie czekając dni stęsknionych końca,
Do gwiazd kochanek lecieć jak do słońca.

LEONARDO.

O prawda! same Wenery gołębie
Zlatują chyżéj na miłosne głębie,
Niż na małżeńskie już przekwitłe ślady.

GRATIANO.

Tak musi być. Któż wstaje od biesiady
Z tym apetytem z jakim doń przybywał?
Gdzie taki rumak co dwakroć się zrywał
W męczący zawód, z tym ognistym pędem
Co raz mu służył? Żądza jest obłędem;
Znużenie, sytość, oto kres jéj smutny.
Jak strojny rycerz, lub jak syn rozrzutny,
Wypływa okręt w swéj świetności wiośnie,
Z lubieżną falą pieści się miłośnie;
I jak syn żebrak, wraca znów przed rokiem
Z rozdartą flagą i zaklęsłym bokiem,
Od zmiennéj fali zgięty i zniszczony.
(Okno Jessyki się rozświeca.)

LEONARDO.

Ktoś idzie; resztę schowaj pan, dla żony.

LORENZO, wchodząc.

Wybaczcie mi tę zwłokę, przyjaciele;
Jak mąż przed ślubem, mam zatrudnień wiele.
Gdy wam wypadnie żony kraść, przyrzekam
Iż na was także całą noc poczekam. —

Lecz oto znak; tu mieszka żyd, mój teść.
(klaszcząc w dłonie.)
Hop, hop, otworzyć, na dół światło znieść!

JESSYKA ukazując się w oknie, w ubiorze pazia.

Co wy za jedni? zkąd nam tyle gości!
Choć was poznaję, mówcie, dla pewności.

LORENZO.

To ja, Lorenzo, twój kochanek.

JESSYKA.

Wierzę
Żeś mój kochanek, bo cię kocham szczerze;
Lecz mię czy kochasz z duszy, czy przypadkiem?

LORENZO.

Ach, bóg miłości niech mi będzie świadkiem!

JESSYKA.

Wysłałam Sarę aż na drugi rynek;
Mnie straszno kochać, czy to zły uczynek? —
Weź tę szkatułkę, warta jest starania. —
Jam bardzo rada że mię noc osłania;
Gdyż ubiór męzki dręczy mię i wstydzi.
I miłość ślepa; ona też nie widzi
Kochanków nocnych pustot i zalotów;
Gdyby przejrzała, syn jéj spłonąć gotów
Rumieńcem, że płeć moja taka zmienna...

LORENZO.

Jak zorza śliczna!

GRATIANO.

Nie, jak noc wiosenna.

LORENZO.

Weź tę pochodnię; pod wystawą stoję...

JESSYKA.

Co! świecić mam na zawstydzenie moje?
Mój srom już nadto jawny; dla méj zguby
Mam się odsłonić jeszcze? nie, mój luby,
Ja chcę być niewidzialną.

LORENZO.

Moje życie,
Ta noc gwiaździste daje ci nakrycie;
Dyana w niebie tęskni za porankiem,
I czeka cię Bassanio z twym kochankiem.

JESSYKA.

Niech drzwi przychylę, zniosę dwa rubiny,
I trochę złota. Zaraz, mój jedyny!
(rzuca mu pocałunek i znika z okna.)

GRATIANO.

To klejnot nie żydówka, na sumienie!

LORENZO.

Przeklnijcie mię, lecz kocham ją szalenie.
Że jest cnotliwa, mnich się na to zgodzi;
Że piękna, przecież oko mię nie zwodzi;
A wierna... już wyrazu mi nie stanie.
Więc za tę cnotę, piękność i kochanie,
Ja wiernym też jéj będę. — Mili goście,
Ruszajmy; łódka czeka nas przy moście!

SCENA XII.

CIŻ, ANTONIO, później SZYLOK.

GRATIANO.

Kto tam! Antonio?

ANTONIO, wchodząc po ciemku.

Wstydźże się Gratiano;
Dziewiąta bije, wszędzie was szukano; —
Zaledwie w domu mamy czas obiadać,
Bo już Bassanio chce na okręt siadać.

GRATIANO.

I ja też wielką chętkę mam téj nocy
Na łódkę wsiąść, i płynąć z całéj mocy.

ANTONIO.

Bądź tylko przyzwoitym w téj wyprawie!

GRATIANO.

Zobaczy kuzyn jak się gracko sprawię.
Jeżeli trzpiota nie przestroję w mnicha,
Klnąc tu i owdzie, sam na sam i z cicha,
Nie będę sznurka nosić i pacierzy;
A gdy kapelan stanie do wieczerzy,
Nim noża z łyżką zacznie się certamen,
Na głos modlitwy nie odpowiem amen;
I wszelkiéj nie zachowam przystojności,
Jak uczeń chcący przed orszakiem gości
Prababce się spodobać, niech przepadnę!

ANTONIO.

Obejście w Belmont będzie więc przykładne?

GRATIANO.

Tę noc wyłączam; co się dziś wyśliznie,
To się nie liczy.

ANTONIO.

Dowcip masz w spuściznie;
Dziś wdziéj na rozum tę błyszczącą odzież,
Bo będzie liczna i ochocza młodzież.
(Leonardo zapala pochodnię.)

JESSYKA, schodząc w płaszczu Żołądka.

Bądź zdrów, mój ojcze! tęskno mi bez miary
Że się wyrzekam ciebie i twéj wiary;
Tyś dał mi życie, moją krew dziecięcą,
Lecz nie żydowskie serce... — O Lorenzo,
Dotrzymaj słowa; jeszcze dziś ochrzczoną,
Do śmierci będę twą najczulszą żoną. —
Mój ojciec!

SZYLOK, wychodząc z domu Bassania.

Tyś tu jeszcze, na przekorę!
I w moim płaszczu! Jutro ci odbiorę;
A dzisiaj, precz!

JESSYKA.

Gdy ojciec mię odgania,
Z kochankiem moim pójdę do Bassania.
(bierze pochodnię z ręki Leonarda i wychodzi.)

SCENA XIII.

SZYLOK, MASKI w głębi.

SZYLOK.

Jak mię znużyły te przeklęte maski!
Zaledwiem uciekł; wszędzie tłum i wrzaski!
To ich karnawał! daj pieniędzy komu! —
Przeczucie dziwne nęci mię do domu.
Mam od Bassania skrypt na trzy tysiące...
Już dałem dwa, od reszty zysk potrącę,
Po sto na dzień... ja z Portią się nie żenię...
A jeśli schybi? pozew, sąd więzienie...
Jam zbierał trzodę fenig po fenigu,
A dziś nie znajdę jagniąt w mym obligu?
Zobaczmy jeszcze jak ten oblig brzmi:
(siada przy latarni i czyta.)

« Jeżeli o dwunastéj, za trzy dni,
Żyd nie odbierze swoich trzech tysięcy
Trzechset dukatów... »

Ja nie żądam więcéj.

« Ma prawo pierś mi rozciąć, bez wyroku,
Najbliżéj serca, by z mojego boku
Funt ciała wyrznąć. »

Podpis... nu, to śmiało!
Bassania złoto lub Antonia ciało;
Ten stary głupiec ręczy za młodszego,
Niech obaj pilnie zemsty méj się strzegą;
Ja żyd, nie schybię!

(wstając.)

Cóż to, sień otwarta!
I okno także?... Kto tam! Gdzie jest warta?...
Jessyko... milczy... Sara!... co się dzieje!
Nikogo w domu... wkradli się złodzieje...
Gdzie moja córka? czy uciekła z gojem?
Jam ją wypędził pod pachołka strojem!
Lecz z kim? gdzie? dokąd?...

(zajrzawszy do domu, wylatuje i upada na ławie.)

Cały dom złupiony;
Szkatułki nie ma... gwałtu! jam zgnieciony!
Pieniądze moje, com je sam karbował,
Obcinał, ważył, pod pieczęcią chował,
Dwa worki pełne, sześć tysięcy straty,
Strefione wszystko, córka i dukaty!...

(Tańce z pochodniami w głębi; — z wściekłością.)

Przekleństwo tobie, podła ty niecnoto!
Za moje perły, moją krew i złoto;
W kolebce czemu jeszczem cię nie zdusił,
Lub nie oślepił, by cię czart nie kusił!
Kamienie drogie córka mi wykradła...
Bodaj zginęła wiecznie i przepadła!...
Cóż to za widma w koło mnie się snują?
Złodzieje w maskach!... śmieją się, tańcują,
I coraz bliżéj ten grobowy śpiew...
Litości! sądu! zemsty! krew za krew!

MASKI, w koło niego.

Ha, ha, ha!

SZYLOK załamując ręce, w obłąkaniu.

Biada méj sędziwéj głowie!
Wszak między wami także są ojcowie
Co mają perły, złoto i kamienie;
Zaklinam was, na duszę, na sumienie,
Szukajcie córki, wszystko ma przy sobie,
Niech ją zabiję, niech ją widzę w grobie;
A jeśli rozpacz mi rozedrze łono,
Niech razem z nami piekła was pochłoną!...

(pada wpół martwy.)

LEONARDO, wychodząc z Gratianem z domu Bassania.

Ktoś padł pod mostem... przy nim jakiś kwit...
Zostawmy go, to trup!

GRATIANO.

To Szylok żyd!...

AKT DRUGI.

Belmont. — Sala w pałacu Portii. W głębi, framuga za firanką. — Po obu stronach, drzwi sklepione.

SCENA I.

PORTIA, NERYSSA.

PORTIA.

Nerysso moja, wielce mi się nudzi
W tak wielkim świecie, wśród tak małych ludzi.

NERYSSA.

I słusznie pani, gdyby ten co w niebie
Uszczuplił dary które zlał na ciebie.
A przecie nadmiar, skąpy lub rozrzutny,
I niedostatek, jest zarówno smutny;
Bo z rąk Fortuny ci co nadto wzięli
Są nieszczęśliwi, jakby nic nie mieli.
Kto ceni mierność, znajdzie w niéj pożytek;
Ubóstwo skromne dłużéj trwa jak zbytek.

PORTIA.

Roztropna myśl, choć w główce twéj zawarta.

NERYSSA.

A gdy spełniona, czy nie więcéj warta?

PORTIA.

Kto dobrze radzi, często sam źle czyni.
Niejedna kruchta lepsza od świątyni,
A wiejska strzecha od pańskiego progu;
Ten kaznodzieja co sam żyje w Bogu.
Daremnie żądzy mózg nadaje prawa,
Lód jego stopi krwi gorącéj wrzawa;
Rozsądek starzec nad młodością zrzędzi,
A ta, jak szermierz, w sieć tamtego wpędzi;
Tak zawsze cnotę płochy szał zwycięża.
Lecz cóż mi z tego do wyboru męża?
Wyboru! czy mi godzi się wybierać?
Czym nie powinna duszy się zapierać,
I oddać rękę z mym majątkiem razem
Związana ojca groźbą i rozkazem,
Jak w losowaniu fant lub worek złota?
Czy ty pojmujesz co to za tęsknota
W dwudziestym roku widzieć się niezdolną
Lub słuchać serca, lub pozostać wolną?

NERYSSA.

Cnotliwi ludzie, gdy nad grobem stają,
Przy śmierci dobre téż natchnienia mają;
A ojciec pani był to człowiek święty...
Więc w téj loterji w puszkach trzech zamkniętéj,
Z ołowiu, srebra, złota, kto wybierze
Właściwą puszkę, ten z przeczucia wierzę
Iż będzie godzien szczęścia i miłości.
Lecz jaką skłonność czujesz dla tych gości
Co serca pani jak dłużnika strzegą?

PORTIA.

Nazwiska wymień; ty z opisu mego,
Sądź jak pomyślném będzie ich małżeństwo.

NERYSSA.

Więc książe z Neapolu ma pierwszeństwo.

PORTIA.

To młody źrebiec. Wciąż o łowach prawi;
Kuć konie, siodłać, to go jedno bawi;
Snać księżna matka, z któréj się przechwala,
Musiała się zapatrzyć na kowala.

NERYSSA.

A wojewodzic z Węgier czy z nad Wisły?

PORTIA.

Postawa pańska, lecz niespełna zmysły.
Zmarszczony wiecznie, jakby chciał powiedzieć:
« Mię pani wybierz; nie, to proszę siedzieć. »
Uciesznych bajek słucha bez uśmiechu,
I wesołości chroni się jak grzechu.
Na filozofa wyjdzie w swéj starości,
Gdy już za młodu życia nam zazdrości.
O, trupią głowę wolę, żart na stronę,
Jak takie dwie, choć Jaśnie oświecone!

NERYSSA.

A pan margrabia, co się z nim założył?

PORTIA.

To człowiek, zgoda; gdyż go Bóg utworzył.
Z bliźniego szydzić wiem że nieprzystojnie,
Lecz ten! wie wszystko, był na każdéj wojnie,
U niego cnota, rozum i dostatki,
A waleczności są tysiączne świadki.
Brwi marszczy piękniéj jak sam wojewodzic,
Ma konie lepsze niż książęcy rodzic:
Tłum ludzi w jednym. Kiedy drózd zanuci,
On zaraz w kozły! Z cieniem swym się kłóci;
Z tym lotnym mężem będę mieć dziesięciu.
Przebaczę wzgardę jak włoskiemu księciu,
Lecz nigdy miłość, jeśli mnie się imie.

NERYSSA.

A lord angielski, jak mu tam na imie...
John Faulconbridge... zmyliłam się zapewne [1].

PORTIA.

Nazwisko piękne, Faulconbrige, i śpiewne!
Nie mówię z nim, bo się nie rozumiemy.
W łacińskiéj, włoskiéj, lub francuzkiéj, niemy;
A że angielska mowa mi nieznana,
Więc do oświadczeń trzeba mu drogmana.
Uczciwe serce w nim się stracić boję;
Lecz kto z posągiem gada? Co za stroje!
Z Paryża kaftan, z Włoch odzienie spodnie,
Kapelusz z Niemiec; więc ubrany modnie.

NERYSSA.

A baron szkocki, co przy lordzie siada?

PORTIA.

Uprzejmy sąsiad. W twarz wziął od sąsiada
I przysiągł oddać. Ten go pięścią wybił;
Zaręczył Francuz, lecz w terminie chybił.

NERYSSA.

A młody Niemiec, wnuk saskiego księcia?

PORTIA.

Pijany wart cóś więcéj od bydlęcia,
A od człowieka trochę mniéj, gdy trzeźwy;
Przy stole tylko jest zanadto rzeźwy.
Cokolwiekbądź, nie złowi mię to zwierze.

1. Wymawia się: *Dzon Faulkonbrydz*.

NERYSSA.

A jeśli zechce wybrać i wybierze,
Czy woli ojca pani się sprzeciwisz?

PORTIA.

Wyborem lepszym ty go uszczęśliwisz.
W jałowe puszki, na przypadek wszelki,
Reńskiego wina włożysz dwie butelki;
I choćby szatan wabił go do trzeciéj
On do nich pójdzie, gdy go woń zaleci.

NERYSSA.

Powodu nie masz pani się obawiać
Tych adonisów; bo mi zwykli mawiać
Iż w losowaniu choć im się poszczęści,
Odjadą zaraz na trzy świata części,
I swemi hołdy już cię niechcą trudzić,
Gdy nie zdołali twéj miłości wzbudzić.

PORTIA.

Szczęśliwa droga! bramę każ otworzyć;
Bo choćbym miała lat Sybilli dożyć,
Tak czystą umrę, jak bogini nocy,
Nim który żywcem zyska mię z przemocy.
Niejeden przybył licząc na majątek...
Z pomiędzy wszystkich książąt i książątek,
Milordów, hrabiów, których jak zasiano,
Los wybrał trzech, i ci tu wkrótce staną;
Prorocze puszki dziś przed niemi złożym.

NERYSSA.

Pamiętasz pani o młodzieńcu hożym,
Rozsądnym, śmiałym, ba i literacie,
Którego stryj markizem w Montferacie?

PORTIA.

Czy nie Bassanio? wszak się tak nazywał.

NERYSSA.

Za życia ojca jeszcze tu przebywał.

PORTIA.

A tak, pamiętam. W stroju choć żałobnym,
On sam do ludzi jakoś był podobnym.

NERYSSA.

Choć pan, ma dowcip; żal mi go, i bardzo,
Bo głupcy u nas rozumnymi gardzą!

PORTIA.

Naukę lubię w innych jak i w sobie,
I kiedy mogę, skroń jéj laurem zdobię.
Mam książek wiele w staréj téj framudze,
Prawniczych nawet; czytam, gdy się nudzę.
Muzykę wielbię, znam łacinę czystą,
I kiedyś biegłym stanę się jurystą.

NERYSSA, śmiejąc się.

Ha, ha! kto, pani? chciałabym ją widzieć
W sądowej todze!

PORTIA.

Źle z nauki szydzić.
Wszak i ty często nad romansem ziewasz!
To będzie pierwéj niźli się spodziewasz;
I w mecenasa gdybym się przebrała,
Przed samym dożą proces bym wygrała.

NERYSSA.

Nim w adwokackiéj stawim się opończy,
Z Bassaniem zgoda proces ten zakończy.

SCENA II.

TEŻ, STEFANO.

PORTIA.

Cóż nam doniesiesz?

STEFANO.

Po zwodzonym moście,
Z orszakiem licznym, trzéj tu jadą goście...

PORTIA.

Nerysso, słyszysz?

STEFANO.

Jeden bej z Marokko,
Z obliczem żółtém, z kitą tak wysoką;
Z nim Arragonu książe, czy Grenady...

PORTIA.

Czy także żółty?

STEFANO.

Nie, jak całun blady.
I trzeci młodzian chce się widzieć z panią;
Lecz ten rumiany.

NERYSSA, na stronie.

Trzeci, to Bassanio.

PORTIA, u okna.

O nieba! choćby lew ten afrykański
Miał duch anioła w piersi swéj szatańskiéj,
Niech zdejmie z twarzy kolor jéj niestarty
Nim jego będę!

STEFANO.

Jest i Szylok czwarty.

PORTIA.

Co, Szylok u mnie? tego już za wiele!
Jam mu nie dłużna, lichwą się nie dzielę;
Więc czego żąda? przyjąć i zakadzić.

STEFANO.

Czy mam ich razem wszystkich trzech wprowadzić,
Czy po kolei?

PORTIA.

To mi jedno prawie;
Niech razem wejdą, razem ich odprawię.

NERYSSA.

Ach, pani! każdy do drugiego skoczy,
Przeszyje serce, lub wydrapie oczy!

PORTIA.

Po ciemku znajdą i wybiorą lepiéj,
Gdy ślepa miłość oczy im zaślepi.

NERYSSA.

Jak w ciuciubabce. Będziem mieć trzech króli
Przed nowym rokiem. Byle się nie struli,
Gdy migdał ślubny jeden z nich dostanie.

PORTIA.

Ach, ty mię straszysz! Niech co bądź się stanie,
Posłuszną będę na wyroki nieba.
Chodź przebrać mię; wystąpim jak potrzeba.

(Wychodzą.)

SCENA III.

GRATIANO, LORENZO.

GRATIANO.

Przybywasz tu z Wenecyi?

LORENZO.

Tak, z Bassaniem.
Ten żyd szubrawiec jękiem i szlochaniem
Chciał skłonić dożę, by nasz bryg zatrzymał;
Zapóźno przyszli, żagiel już się wzdymał
Na pełnéj Brencie. Dożę wieść dochodzi
Żem był z Jessyką na osobnéj łodzi;
Antonio klnie się że to czółno próżne,
Gdyż sam je wysłał po towary różne,
I tém zaklęciem nas uwalnia przecie.
O, jam szczęśliwy! co za śliczne dziecię!
To nie żydówka, to aniołek z nieba!

GRATIANO.

Nim się ożenisz, ochrzcić go potrzeba.
Lorenzo, wierz mi, nie wiąż się z żydami!

LORENZO.

A to dla czego?

GRATIANO.

Gdyż, jak Bóg nad nami,
Z majątku twego śladu nie zostanie;
Weź raczéj Włoszkę, to jest moje zdanie.

LORENZO

Lecz ta, podobno, jest Wenecyj córką.

GRATIANO.

Tém gorzéj; kłopot będziesz miał z przepiórką...
Teść proces wygra... prawo ma za sobą.

LORENZO.

Sierocie wolno rządzić swą chudobą;
To mu dowiodę jasno jak na dłoni,
Jeżeli prawnie chrzest jéj nie zasłoni.

GRATIANO.

Skryj ją bezpiecznie tylko, bo Jehowa
Przez sen już ostrzegł żyda gdzie się chowa.
Jam zdążył tu przed wami do Neryssy,
Gościńcem bitym, nie jak błędne flisy.
Nie pojmiesz nigdy złości tak dziwacznéj,
Tak sprzecznéj w sobie, wściekłéj i rozpacznéj
Jak twego teścia, gdy na wszystkie strony
Po rynku latał, wrzeszcząc jak szalony:
« O moja córka! — O dukaty moje! —
Uciekła z gojem! — Niech przepadną goje!
Kamienie drogie córka mi wykradła! »
Żyd bzika dostał. — Wziął nas za widziadła
Gdym wzdłuż Rialto szedł z weselną zgrają;
Weneckie chłopcy za nim wciąż wołają: —
« Klejnoty moje, córka i dukaty! »

LORENZO.

Niech się Antonio strzeże w dzień wypłaty
By mu nie schybił; wszystko żyd zagrabi.

GRATIANO.

Wiem od Francuza, skoczka i margrabi,
Że w téj cieśninie słynnéj skał szeregiem
Pomiędzy Anglją a normandzkim brzegiem,

Z ładunkiem całym okręt nasz zaginął. —
Na myśl Antonio wnet mi się nawinął,
I dwakroć potém zjawił mi się we śnie.

LORENZO.

Na złe nowiny zawsze jest zawcześnie;
Ja sam ostrożnie to mu dziś obwieszczę.

GRATIANO.

Tak wzniosłéj duszy świat nie widział jeszcze!
Z Bassaniem tęskne było ich rozstanie;
Gdy ten przysięgał iż co rychléj stanie
By dług zapłacić, — « Nie spiesz się zbytecznie,
Rzekł mu Antonio, byś mógł ostatecznie
Twój zamiar spełnić, i z pomiędzy wielu
Szczęśliwie spocząć u twych życzeń celu.
Bądź wesół, hoży; niech ten dług przyjaźni
Podjęty wspólnie, myśli twéj nie drażni :
I nie powracaj aż z miłości wiankiem,
Nadobnéj Portii mężem i kochankiem.
Bądź zdrów! » — To mówiąc, silnie go uścisnął,
Tkliwości promień w oczach mu zabłysnął,
I błogosławiąc, po tak czułéj scenie,
Z pośpiechem odszedł.

LORENZO.

Tém go wyżéj cenię;
W téj pięknéj duszy bluszcz przyjaźni kwitnie.

GRATIANO.

Zazdroszczę obu... to wspaniale, szczytnie...
O, chciałbym też przycisnąć go do serca!
Nieznośny Francuz! płochy ten szyderca
Śmiał sie, żartował; patrz, ja także płaczę,
I nie ochłonę, zanim go zobaczę.
Bogini Fama niech plotkarką będzie
Jak wszelka baba co konopie przędzie,
I żując imbier, klnie na głowę węża
Że opłakuje śmierć trzeciego męża.
Niemniéj Antonio, nasz uczciwy ziomek,
Nieoceniony... — radbym znać przydomek
Z nazwiskiem jego złączyć się godniejszy...

LORENZO.

Od żyda pożycz.

GRATIANO.

Gdy procenta zmniejszy. —
Lecz koniec końców, rozbił mu się statek.

LORENZO.

Niechże to będzie naszych klęsk ostatek!

GRATIANO.

A ja ci wtórzę jak braciszek świecki :
« Daj Boże, amen! » nim zły duch wenecki
Modlitwę przetnie... — Otóż sam się zbliża,
W postaci żyda.

LORENZO.

Zróbże mu znak krzyża.

SCENA IV.

CIŻ, SZYLOK, STEFANO, SŁUDZY.

SZYLOK, wydzierając się z rąk Stefana.

Nu, proszę puścić; nie, to wejdę gwałtem!

GRATIANO.

Szyloku, witam. Powiedz nam ryczałtem,
Co słychać w mieście?

SZYLOK.

Tu jest!.. Czy nie wiecie
Żem stracił córkę?

LORENZO.

Co, w młodości kwiecie,
Umarła?

SZYLOK.

Gorzéj; skradła mi dukaty!

(Słudzy wychodzą.)

GRATIANO do Lorenza, na stronie.

Cóż ci mówiłem?

(w głos.)

Nadtoś był bogaty;
Za marny pieniądz będziesz miał potomków.

SZYLOK.

Sekretarz doży, jeden z mych spółziomków,
Zaręczył mi, że musi być w Belmoncie.

LORENZO do Gratiana, na stronie.

To szpieg Dziesięciu.

GRATIANO.

W tym odludnym kącie?
Żartował z ciebie.

LORENZO.

Znam pewnego krawca
Co do ucieczki uszył jéj latawca.

GRATIANO.

A Szylok wiedział że gdy ptak ma pierze,
Bez pozwolenia z gniazda się wybierze.

SZYLOK

Przekleństwo wieczne za ten grzech ją skarci!

LORENZO.

Aniołów sądzić nie powinni czarci.

SZYLOK.

Strefiona krew, strefione moje ciało!

GRATIANO.

Od krwi strefionéj mięso ci sparciało.

SZYLOK.

Mą krwią i ciałem wszak jest moja córka!

LORENZO.

To fałsz widoczny; bo jéj biała skórka
I twój pargamin, to jak kość słoniowa
I ziemny węgiel. Krew jéj purpurowa
I twoja mętna, to burgundzkie wino
I reńska lura pod powłoką siną.
O, wyznaj żydzie żeś ją skradł w kolebce!
Lecz prawda-li to co tu każdy szepce,
Że jakiś kupiec stracił gdzieś dwa statki?

SZYLOK.

To wasz Antonio; wsadzę go do klatki.
W tém ciasném przejściu gdzie mu bryg utonął,
Nie jeden okręt morski wir pochłonął;
Goodwins podobno zowie się ten płyt : —
Niech się pilnuje, bo podpisał skrypt!
To bankrut, żebrak i krzywoprzysięzca;
On co na rynek wchodził jak zwycięzca,
Bo głupiéj pychy wziął aż kilka szczypt : —
Niech się pilnuje, bo podpisał skrypt!
On łapserdakiem zwał mię z miną pańską;
Pożyczał wam przez miłość chrześciańską,
On sam jest złodziéj, gorszy niż ja żyd : —
Niech się pilnuje, bo podpisał skrypt!

GRATIANO.

Ten skrypt mi pokaż.

SZYLOK.

Nu, za nic na świecie!

GRATIANO.

Pod mostem wczoraj mogłem wziąść go przecie
A zostawiłem. Widzisz że my goje
Nie takie łotry jak spółziomki twoje;
Bo pewnie żaden tego by nie zrobił,
I owszem, goja okradłby lub dobił.
Więc pokaż...

SZYLOK.

Nigdy! choć za sto tysięcy!

LORENZO.

Wszak trzy ci winien; dam dwa razy więcéj.

SZYLOK.

Aj, nie, nie, nie chcę! jutro, o téj porze,
Po nabożeństwie, ja mu pierś otworzę.

GRATIANO.

By rznąć mu ciało, tyś za nadto prędki!
Co komu z tego?

SZYLOK.

Mnie dla ryb, na wędki;
Lub lichéj pastwy żadna gdy nie chwyci,
To moja zemsta niech się nią nasyci.
On z półmiljona zysków mi wytrącił,
Z mych strat urągał, handel psuł i mącił;
Jak stary kundel na mój ród się zaciął,
Spólników studził, grzał mych nieprzyjaciół.
To wszystko za co? żem ja żyd i wróg.
Czy waszym Bogiem nie żydowski Bóg?
Czy nie dał żydom wspólnych wam zdolności,
Organów, nerwów, zmysłów i skłonności?
Czy żyd nie czuje tak jak wy czujecie,
Gdy mroźno w zimie lub gorąco w lecie?
Czy się nie karmi Szylok jak Antonio?
Czy zarznąć go nie można jedną bronią?
Czy pod zarznięciem krew mu płynąć niechce?
Czy żyd nie wzraśnie gdy go pchła załechce?
Czy łza radości twarzy mu nie zrosi,
Gdy jego dziecię rączki doń podnosi?
Czy nie ulega zdrowiu i chorobie,
Pod jedną ziemią nie spoczywa w grobie?
Czy od żydowskiéj wasza krew czerwieńsza?
Gdzież jest różnica choćby też najcieńsza!
Czy po skrzywdzeniu mścić się mu nie wolno?
Jeżeli tedy żyd ma duszę zdolną
Do równych cierpień, uciech i korzyści,
Niech wam dorówna też i w nienawiści;
Bo was chrześcian jeśli żyd obdziera,
Pokora wasza w zemstę się przebiera :
A chrześcianin żyda gdy bezcześci,
Czy mu wzbroniony głośny krzyk boleści?
Nu, jakiém prawem, pytam was ze wstydem,
Jak psem bez duszy goj pomiata żydem?
W Noego rodzie wszak miał Sem pierwszeństwo;
Gdzie, jak i komu sprzedał swe starszeństwo?
Że wnuk Jafeta przechrzcił się, cóż potém?
Czy wy perłami, my stworzenia błotem?
Wy niewolnicy brzucha i roskoszy,
My ciałem rządzim, nędza nas nie płoszy;
I przyjdzie chwila, gdy na kark mu wsiędzie,
Że gojem kiedyś żyd pomiatać będzie!
Kto żydem gardzi, niech się Boga boi!..

LORENZO.

Mów raczéj diabła.

SZYLOK.

Nu, panowie moi,
Wy nas zmuszacie iść za waszym śladem,
Uczycie złości waszych cnót przykładem;
Gdzie wasza wyższość? Zkądże żal się rodzi
Że czasem uczeń mistrzów swych przechodzi?

GRATIANO.

Żyd przejściem od szatana do człowieka,
Więc bliski zwierząt. — Chroń się go z daleka.

LORENZO.

To sroga dzicz, w przesądach swych uparta.

GRATIANO.

Patrz, oto drugi, téż w postaci czarta;
A gdyby trzeci zleciał tym kominem,
Lucyper pewno stałby się rabinem.

SCENA V.

SZYLOK, TUBAL.

SZYLOK.

Nu, bracie Tubał, wiesz gdzie moja córka?

TUBAL.

To tylko wiem że wczoraj dała nurka,
Przepadła w morżu.

SZYLOK.

Takie masz nowiny?
Aj waj! aj waj! za brylant mój jedyny,
W Frankfurcie dałem dwa tysiące w złocie!
Nie czułem dotąd w nędzy i kłopocie
Przekleństwa mego rodu. — Dwa tysiące!
A trzy rubiny, zorzy blask mające!
Bodaj ją w trumnie widzieć u mych stóp,
Z brylantem w uszach! Tu, na marach trup,
Na trupie złoto! — Żadnéj więc nadziei? —
A co przy śledztwie stracę na złodziei! —
Aj, koszt na koszt! bo tyle złodziéj kradnie,
A tyle sędzia! wszystko w puch przepadnie?
I nigdzie zemsty, rozpacz i ohyda;
Nieszczęścia nigdzie, prócz na barkach żyda!
Ten jęk z méj piersi : łez te gorzkie zdroje
Z mych oczu płyną!

TUBAL.

Każdy z nas ma swoje;
Antonio także...

SZYLOK.

Co, kto? mów, mój drogi!

TUBAL.

Utracił statek z Tripoli, wpół drogi. —

SZYLOK.

To dwa!... Jak, powtórz, Tubał... mnie gorąco

TUBAL.

Galerę stracił z Meksyku płynącą. —

SZYLOK.

Trzy!... Bogu dzięki. Czy to tylko pewna?

TUBAL.

Widziałem majtków i kawałków drewna.

SZYLOK.

Wiadomość dobra! Tubał, gdzie, od kogo?

TUBAL.

Jam tu przyleciał z tą nowiną błogą;
Wiem też że tochter twój litością zdjęta,
Rozdała sto dukatów.

SZYLOK.

O przeklęta!
Co, sto dukatów? sto dukatów razem?
Ty mi przebijasz serce jak żelazem!
Mych stu czerwieńców nigdy nie zobaczę!

TUBAL.

Cwaj wierżyciele kipca, cwaj bogacze,
Ręczyli mi że jutro zbankrutuje.

SZYLOK.

Aj, to pociecha! ja go zamorduję!
Ja go powieszę! ściągnę sam postronek!

TUBAL.

I jakiś bej pokazał mi pierścionek,
Za szejne małpę, dany mu w podzięką.

SZYLOK.

Za małpę? Tubał, wleczesz mię na mękę!
Mój ślubny turkus! klątwa nad klątwami!
Nie dałbym go za cały kraj z małpami!

TUBAL.

Antonia skrypt zapłaci za tę zbrodnię.

SZYLOK.

Nu, prawda! najmij choć na dwa tygodnie
Woźnego w mieście. Ja mu wydrę serce!
Funt ciała wezmę, nożem pierś przewiercę!
Bo skoro jutro w dzień wypłaty pęknie,
Mój handel będę sam prowadzić pięknie.
Weź pozew, spiesz się; idź, mój Tubał drogi,
Spotkamy się w przysionku synagogi;
Ja pierwéj chcę tu zajrzeć w każdy kąt...

STEFANO, drzwi otwierając.

Nadchodzi pani.

GRATIANO, wchodząc.

Precz lichwiarze ztąd!
(Szylok z Tubalem wybiegają.)

SCENA VI.

NERYSSA, PORTIA, BEJ MAROKAŃSKI, KSIĄŻE ARRAGOŃSKI, z Orszakami; BASSANIO, GRATIANO, LEONARDO, STEFANO, PAZIOWIE, SŁUŻBA.

BEJ MAROKAŃSKI, u drzwi.

Zamelduj mię.

STEFANO, meldując.

Wysoki bej z Marokko.

NERYSSA do Portii, na stronie.

I żółty.

PORTIA.

Proszę.

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI, uprzedzając go.

Murzyn z psią posoką! —
Ja wejdę przed nim.

STEFANO, meldując.

Jaśnie oświecony
Don Karlos, infant.

BEJ MAROKAŃSKI.

Karzeł ten chce żony?

NERYSSA.

Jak strasznie blady!

BASSANIO, do Stefana.

Mię choć w trzecim rzędzie.

PORTIA do Neryssy, na stronie.

Ach, byłam pewna że i on przybędzie!

STEFANO, meldując.

Bassanio z Montferatu.

NERYSSA.

Ten rumiany.

PORTIA.

Przezacni goście! W dniu stanowczéj zmiany
Mojego losu, szczerze was pozdrawiam,
I trzy warunki wstępne wam przedstawiam;
Za tym kobiercem stoją na wezgłowiu
Trzy puszki: złota, srebrna i z ołowiu.
Kto tę wybierze gdzie z obrączką ślubną
Moj portret leży, ten w nagrodę chlubną,
Pod słowem ojca przy skonaniu danem,
Mym będzie mężem i Belmontu panem.
Lecz pierwéj każdy trzy przysięgi złoży:
Iż nie powoła nigdy na sąd boży
Małżonka mego; daléj, że dwaj inni
Ten kraj na zawsze dziś opuścić winni.

BEJ MAROKAŃSKI.

Przysięgam!

PORTIA.

Jeśli dwaj wybiorą razem
Pomyślną puszkę, wtedy, z mym obrazem,
Wyboru prawo do mnie saméj wróci.

BASSANIO.

Przysięgam!

PORTIA.

Wreszcie, skoro kraj porzuci,
Nikt z was nie będzie myśleć o małżeństwie,
I wejdzie do zakonu.

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

W arcyksięztwie
Infantkę znajdę.

PORTIA.

Więc na stronę, książe.

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI, po namyśle.

Przysięgam...
(na stronie.)
bo przysięga nas nie wiąże.

PORTIA.

Odsłonić puszki przed wyborców okiem!
(Firanka się rozdwaja.)
Kto pierwszy przybył, niech przystąpi krokiem.

BEJ MAROKAŃSKI.

A zatém, ja!

PORTIA.

Na złotéj, cóż się święci? —
« Kto dotknie mię, ma to co wielu nęci. »
Ta w środku srebrna, na niéj napis drugi : —
« Kto dotknie mię, ma wedle swéj zasługi. »
Zołowiu trzecia, i na samym szczycie : —
« Kto dotknie mię, naraża całe życie. »
Czarowna laska wyrok da niezgięty.
(do beja.)
Na ciebie, panie!

BEJ MAROKAŃSKI.

Szczęść, proroku święty!
Niech mojéj cery pani się nie lęka;
Choć ogorzała moja twarz i ręka,
Ta barwa słońca jest oznaką mocy.
Niech stanie tu najbielszy syn Północy,
Gdzie kry prześwieca blask zimowéj zorzy;
I niech nam piersi sztylet mój otworzy,
Przekonasz się że moja krew gorętsza!
Lwie serce żywią te stalowe wnętrza;
I najcudniejsze naszych stref huryssy
O raju śniły, patrząc na te rysy.
Nad świat mi droższa ta poważna ciemność;
Za twoją chyba dałbym ją wzajemność...

PORTIA.

Niewieścich oczu radzić się nie mogę;
W zamęźciu mojém los mi wskaże drogę.
Zalety beja pod tą barwą ciemną
Są zbyt widoczne; lecz mu być wzajemną,
Testament ojca wolność mi odbiera.

BEJ MAROKAŃSKI, wskazując puszki.

Z tych jedna, mówisz, obraz twój zawiera?
Spróbuję szczęścia. — Na ten miecz zwycięzki
Co krwawe zadał mym sąsiadom klęski,
Co zbił sofiego, ściął perskiego hana,
W trzech bitwach zniósł proporce Solimana,
Drapieżnych sępów spojrzeń się nie boję :
Tygrysy głodne wyzwałbym na boje,
Bylem sułtanką widział cię w Marokko!
Jam dzielny, jam potężny, jam opoką!...
Nie chełpię się; lecz nim zabębnią w kotły,
Już te dwie ręce stu rycerzy zgniotły :
I gdy się wojsko w jeden szyk rozpostrze,
Méj krętéj szabli jak zabłyśnie ostrze,
Za jednem cięciem tysiąc głów upadnie!

NERYSSA i kobiety, śmiejąc się.

Ha, ha!

BEJ MAROKAŃSKI, postępując.

Co mówię, to dowiodę snadnie...

NERYSSA.

O, nie! wierzemy.

BEJ MAROKAŃSKI.

Służę na rozkazy.
Jak dziad mój Samson, gdy uciekał z Gazy,
Na moich barkach zniosę te podwoje,
I lwa rozedrę żywcem, tak! na dwoje!

NERYSSA.

Więc beja przodek umiał też uciekać...
Wzrost nadto bujny musiał mu dopiekać.

BEJ MAROKAŃSKI.

Tak dziś mi łatwe serca jéj zdobycie. —
(czytając napis.)
« Kto dotknie mię, naraża całe życie. »
Narażać życie za tę skrzynkę podłą?
Za szary ołów? precz, kłamliwe godło!
Okruchy takie w łupach się nie liczą.
Lecz oto srebro z barwą gwiazd dziewiczą : —
« Kto dotknie mię, ma wedle swéj zasługi. »
Zasługa moja w sile téj maczugi,
Sahary puszcze głoszą me zwycięztwa,
Symunu wyciem! Jam jéj godzien z męztwa,
Przyrody, wykształcenia, i tam daléj...

NERYSSA.

Margrabia nawet piękniéj się nie chwali;
Gazeta swojska, jeśli jest w Marokko,
Już nie postawi beja tak wysoko!

BEJ MAROKAŃSKI.

Więc gdybym przestał na tych słów osnowie?
Zobaczmy wreszcie co mi złoto powie : —
« Kto dotknie mię, ma to co wielu nęci. »
O niéj to mowa. Jéj urokiem zdjęci,
Rycerze ciągną ze wszech stron Europy;
Hirkańskie błonia i Atlasu stropy
Witają książąt poznać ją pragnących;
Królestwo wód z którego piersi wrzących
Żwir pluje w nieba, to jak strumień wązki,
Dla nas co życzym dotknąć jéj podwiązki...

PORTIA.

Ach, dosyć, proszę!

BEJ MAROKAŃSKI.

Czyli ta narożna
Jéj obraz mieści? Taka myśl bezbożna. —
Lub czyli w srebrze wdzięki jéj zawarte,
Co dziesięć razy mniéj od złota warte?
I to bluźnierstwo. — Tu jéj postać żywa,
Tu w złotém łożu złoty duch spoczywa!
To moja barwa, biegnę doń z ochotą;
Jam synem słońca : — Ja wybieram złoto!

PORTIA, do księcia Arragońskiego.

Na ciebie, książę!

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Pochwał mych oszczędzę;
I choć raz w życiu, dotrwam w méj przysiędze.
Niech mię oskrzydli jasny chór aniołów!
Tu złoto, srebro i posępny ołów;
Ten gminny metal nie jest wart méj chęci. —
« Kto dotknie mię, ma to co wielu nęci. »
Co wielu nęci? wielu, jest to tłuszcza,
Co dla pozoru, drogi skarb upuszcza;
Nie pójdę nigdy za jéj zdaniem płochém,
I z dzikim niechcę bratać się motłochem. —
« Kto dotknie mię, ma wedle swéj zasługi. »
Po tych wyrazach wybór mój nie długi;
Do ciebie idę, srebrna ty skarbono,
Z obliczem białém jak piękności łono!
Zasługi moje? Jam potomkiem Cyda;
Mój ród najpierwszy dziś jak ród Atryda
W pogańskiéj Grecyi. Przy Solimy wzięciu,
W Godfreda wojsku, było nas dziesięciu,
Gdyż mam ich godła nad herbową tarczą;
Tak wielkie czyny sławie méj wystarczą.

Jak każdy Hiszpan z dobréj krwi zrodzony,
Z mych ojców trzymam prawo do korony;
Lecz tę koronę chcę podzielić z tobą :
Nie ona twoją, ty bądź jéj ozdobą.
Włoskiego morza ty najczystsza perło,
W oliwną palmę zmień kastylskie berło,
I złącz twe róże z mym konarem laurów.
Cyd w srebrnéj zbroi zbił niechrzczonych Maurów;
Ich kości leżą tam gdzie płynie Ebro
Po srebrnym piasku : — Ja wybieram srebro!

BEJ MAROKAŃSKI.

Patrz, z tyłu ojców wyszedł ten tułubek;
Do małpy méj podobny, kubek w kubek!

PORTIA.

Zbyt wiele, książe, czynisz mi zaszczytu;
Jam niedorosła do tych laurów szczytu,
I lżéj mi będzie pod wianeczkiem z kwiatów,
Niż pod koroną dwóch niewolnych światów.
Racz przyjąć wszakże méj wdzięczności słowa;
Wenecyi córka więcéj niż królowa.
(do Bassania.)
Na ciebie teraz, ty z kolei trzeci;
Niech Bóg miłości twoją myśl oświeci!
Choć na dni kilka wstrzymać bym cię rada,
Wskazówki żadnéj dać mi nie wypada;
Lecz jeśli prawda że mię kochasz szczerze,
Tę w któréj jestem, serce twe wybierze.

BASSANIO.

Z tém słowem, pani, dajesz mi nadzieję;
Czy los ją spełni, lub czy ją wyśmieje?
Ach, tego nie wiem; lecz gdy ciebie stracę,
Pragnienie szczęścia, życiem mém opłacę!

PORTIA.

Twe życie mojém; więcéj mam obawy
Niż ty mieć możesz, w obec téj przeprawy. —
Nerysso, wywieś wstęgi dwie na dworze;
Niech śpiewny chór zanuci przy wyborze,
By jeśli przegra, skonał jak łabędzie,
W strumieniach pieśni. Jeśli mię zdobędzie,
Niech trąby zagrzmią, jak ten okrzyk męzki,
Gdy swego zbawcę wita lud zwycięzki.

CHÓR, za sceną.

Kto powie gdzie się miłość rodzi,
Gdzie jéj kolebka, gdzie jéj zgon?
Czy się rozwija, czy przechodzi,
Niech ją zwiastuje dzwon!

W spojrzeniu miłość jest zrodzona,
Tam jéj więzienie, tam jéj tron;
Czy na świat rodzi się czy kona,
Niech jéj zapłacze dzwon!

BASSANIO.

W tym dźwięcznym śpiewie do mnie los przemawia;
Te oczy, w których niebo się objawia,
Niech mię oświetlą, jak ta gwiazda błoga,
Co zeń zesłana, wiedzie nas do Boga;
I gdy mię zmyli promień jéj uroczy,
Niech me spojrzenia wieczna noc zamroczy. —
Najwyższą duszy prawda jest potęgą;
Hołd składam cnocie skrytéj pod siermięgą,
A pod szkarłatem brzydzę się niecnotą.
Ja ciebie niechcę ty zwodnicze złoto,
Midasa strawo, mkły jurgielcie zdrady;
Ni ciebie srebro, ty służalcze blady,
Co czernisz i czerniejesz jak potwarca!
Młodego nieraz tyś przemienił w starca,
Gdy z rąk do rąk obiegasz świat ułomny;
Lecz raczéj ciebie, ty ołowiu skromny,
Co więcéj grozisz niż przyciągasz : ciebie
Co jak łuk tęczy na zamgloném niebie,
W pomroku świecisz, stu płodami żyzny.
Ołowiem żołnierz broni swéj Ojczyzny,
I syn swéj matki od zawistnych wrogów;
I jak bóg Saturn był najstarszym z bogów,
Ołowiu cichy, pierwszy tle żywiołów,
Do ciebie dążę : — Ja wybieram ołów!

PORTIA.

Jak się rozbiegły te złowrogie troski!
O, dzięki tobie, ty promieniu boski,
Umiarkuj siłę duszy méj zachwytu;
Bym z téj radości nie zleciała szczytu
W bezdenną toń obłędu i rozpaczy!
(do beja, dając mu laskę.)
Weź, dotknij złotą!
(Za dotknięciem, puszka się otwiera.)

BEJ MAROKAŃSKI.

Piekło! cóż to znaczy?
To czaszka trupia! w jéj zczerniałém oku
Tkwi jakieś pismo : ratuj mię, proroku!
(czyta.)

« Nie wszystko co się lśni jest złotem;
Tę prawdę gdybyś lepiéj znał,
Chowając męztwo twe na potém,
O marny pozór mniéj byś dbał.
Więc próżnym nie trudź się kłopotem,
I przygaś twój miłosny szał. »
(Muzyka.)

Oj, próżnym, prawda, jak ta trupia głowa!

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI, śmiejąc się.

Cyganką będzie twa sułtanka płowa!

PORTIA, dając mu laskę.

Niech Arragońskie książe tu się stawi,
I srebrna puszka wyrok swój objawi!

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI, wahając się.

W zasługę moją ufam, i urodę...

NERYSSA.

Zbyt długo, książe, czekasz na nagrodę.

BEJ MAROKAŃSKI.

Z którego nieba spadła ta huryssa?

PORTIA.

Z pokoju mego; zowie się Neryssa.
(Za dotknięciem, puszka się otwiera.)

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Co widzę! świstek daje mi karlica?
O jak ogromna z Portią jéj różnica!
(czyta.)

« Bywają głupce posrebrzeni,
Czołgają się jak srebrny wąż;
Zasługę własną więcéj ceni
Niż sławę przodków, prawy mąż.
Gdziekolwiek waszmość się ożeni,
Ja na twym karku będę wciąż. »
(Muzyka.)

Na karku nosić mam samicę karła?
Czy klejnot rodu potwarz mi wydarła?
To wyrok śmierci, śmiercią go uniknę;
Lecz do twéj wzgardy nigdy nie przywyknę!

GRATIANO.

Choć oświecony, rozum go nie szczyci;
Im głębiéj weźmie tém wybierze płyciéj!

NERYSSA.

Przysłowie stare książe mi nastręcza:
Że śmierć i żona z góry się zaręcza.

BEJ MAROKAŃSKI, śmiejąc się.

Don Karlos, infant, miał karlicę dostać!

PORTIA, podając laskę.

Bassanio trzecią!

(Za dotknięciem, puszka się otwiera.)

BASSANIO.

Co za jasna postać!
To żywa Portia! pod obrazem, karta;
W niéj przeznaczenia ręka wpół otwarta:

(czyta.)

« Ty co nie rządzisz się pozorem,
Od próżnych ludzi wiecznie stroń;
Los darzy cię tym boskim tworem,
I mirtem wieńczy twoją skroń.
Ten obraz jest piękności zbiorem,
Z pierścieniem ślubnym, weź jéj dłoń. »

(Muzyka.)

Nakazie słodki! — Jakiż Bóg artysta
Ten cud utworzył? Oto skroń jéj czysta;
Jéj oczy żyją lub udają życie
Słonecznym blaskiem! jakże mógł w zachwycie
Spojrzenia tego wzrokiem nie przypłacić,
I kończąc jedno, swoich dwóch nie stracić?
Różowe usta jak się mile wdzięczą!
W tych włosach malarz osnuł sieć pajęczą
Na młode serca! Jak mój hołd, choć wierny,
Ubliża sztuce, przestwór jest niezmierny
Pomiędzy nią i prawdą! — Pozwól zatém,

(całując rękę Portii.)

Niech ta wyrocznia spełni się przed światem!

BEJ MAROKAŃSKI, biorąc rękę Neryssy.

Mnie także pozwól...

GRATIANO.

Od Neryssy wara;
Dla wielożeńców jest tu śmierci kara!

PORTIA.

Mnie cóś mówiło jak przeczucie wieszcze
Że mię wybierzesz, to nie miłość jeszcze;
Lecz nienawiści głos odmienny bywa:
Z wygranéj twojéj, panie, jam szczęśliwa!

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

On portret zdobył, my go dwaj ukarzem;
W tém nic dziwnego, każdy Włoch malarzem.

BEJ MAROKAŃSKI.

W bojowéj sztuce Włosi już osłabli;
Do pędzla zręczni, tak jak my do szabli.

GRATIANO.

My śmielsi duchem, wy mocniejsi ciałem;
Muszkułów siła zwierząt jest udziałem.

BASSANIO.

Obojgiem służę.

PORTIA, między niemi.

A przysięga święta!
Niech o zbawieniu każdy z was pamięta!...
Ty beju mężny, ty potomku Cyda,
Nauka z tego na cóś wam się przyda;
Iż władze zmysłów choćby też olbrzymie,
Nie warte myśli. Król święcony w Rzymie
Dopiero wtenczas większym jest od ludzi,
Gdy własnym blaskiem cześć powszechną budzi
A nie dziedzicznym. Nad te dwa przymioty
Jest cóś wyższego, jest potęga cnoty;
Ta zdolność, która każdą rzecz ocenia,
Rozróżnić umie prawdę od złudzenia,
I duszę wznosząc do jéj źródła w niebie
Pozwala sądzić innych, świat i siebie. —
Przyjmijcie zatém me życzliwe służby.

NERYSSA.

I niech wam prorok szle weselsze wróżby!

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Don Karlos, pani, twoich łask nie żebrze.

NERYSSA.

Byleś się, książe, nie utopił w Ebrze!

BEJ MAROKAŃSKI.

Marokko bez Wenecyi się obejdzie.

PORTIA.

Tém lepiéj jeśli rychło czas nadejdzie,
Gdy każdy w domu będzie żył spokojnie!

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Pocieszę się w Madrycie.

BEJ MAROKAŃSKI.

Ja, na wojnie, —
Chodź za mną!

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Jakto! pod murzyna wodzą?
Wszak zwykle czarni za białymi chodzą.

BEJ MAROKAŃSKI.

Kto, ja, murzynem?

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Patrzaj w to zwierciadło.

BEJ MAROKAŃSKI.

Czyś kiedy przejrzał twoją twarz wybladłą
W tygrysiém oku?

BASSANIO, godząc ich.

Lecz, panowie moi,
Przed obcą damą ludzkim być przystoi...

PORTIA, do Stefana.

Każdemu z nich osobne drzwi otworzyć,
I hołd powinny przy wyjeździe złożyć.

BEJ MAROKAŃSKI, wychodząc.

Z nas jeden zginie.

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI, wracając.

Dłoń w dłoń, oko w oko,
Przy grobie Cyda!

BEJ MAROKAŃSKI, u drzwi.

Czekam cię w Marokko!

(Odgłos trąb na dworze.)

SCENA VII.

PORTIA, BASSANIO, GRATIANO, NERYSSA.

NERYSSA, śmiejąc się.

Nareszcie wyszli.

BASSANIO.

Ja mam być ich świadkiem.
Jeżeli który zginie, to przypadkiem.
O, co za roskosz, Portio ma kochana,
Żem wolny zostać; padam na kolana,
Jak przed bożyszczem co mi życie daje;
O ileż uczuć w sercu mém powstaje!
Radością nie śmiem szczęścia mego mierzyć;
O stwierdź je, poświadcz, pozwól mi uwierzyć!

PORTIA.

Bassanio, powstań; ty mię zwyciężyłeś.
Dla ludzkich pochwał, zanim tu przybyłeś,
Nie miałam w sobie żądzy lub odrazy;
Dla ciebie tylko chętnie bym sto razy
Piękniejszą była, lepszą i cnotliwszą,
By w sercu twojém cześć obudzić żywszą.
Dla twéj miłości wszystkie mieć bym chciała
Zalety duszy i powaby ciała,
Lecz mi zostaje wiele do życzenia;
Jam dziewcze proste i bez doświadczenia,
Szczęśliwa ztąd że w główce téj pomieszczę
Nauki trochę; a szczęśliwsza jeszcze
Żem niezbyt tępa na roztropne rady:
Lecz nadewszystko, że choć bez ogłady,
Mój duch niewieści z męzkim twym się wiąże,
Byś nim kierował jak mój pan i książe.
Ja, mój majątek, wszystko co w méj sile,
To twoja własność; byłam po tę chwilę
Królową siebie, panią méj drużyny,
Dziedziczką zamku; od téj zaś godziny,
Ten dom, ci ludzie, z ich królowéj cieniem,
To wszystko twoje: razem z tym pierścieniem
Na który wieczną wiarę mi poślubisz.
Lecz przysiąż mi że nigdy go nie zgubisz;
Bo wtenczas, pewna że twa miłość w grobie,
Ja sama zginę w smutku i żałobie.

BASSANIO.

Z tą piersią prędzéj dusza się rozłączy,
I z tego serca moja krew wysączy.
Nasz pierścień jeśli przejść ma w ręce czyje,
To powiedz, pani, że twój mąż nie żyje!

NERYSSA.

Po téj przysiędze, na mnie czas nadchodzi
Wykrzyknąć wam: « Niech żyją państwo młodzi! »

GRATIANO.

Obojgu życzę, i na całe życie,
Stokrotnych pociech jakie mieć życzycie,
Bo na mnie także ich cząsteczka zleci;
I gdy hymenu wam pochodnia świeci,
Gdy wam tak pięknie pod miłości wieńcem,
Pozwólcie mnie też zostać oblubieńcem.

BASSANIO.

I mężem... zgoda; tylko znajdź kochankę.

GRATIANO.

Już mam na sercu białą jéj równiankę,
Z różową wstążką jak promienie ranne;
Tyś dostrzegł panią, jam wynalazł pannę. —
Ty swą zdobyczą, ja się moją cieszę;
Nie lubisz zwłoki, ja téż nią nie grzeszę.
Twój los zależał od tych skrzyń fatalnych,
I mój podobnie; bo w zaklęciach palnych
Z nadmiaru méj miłości aż spotniałem;
I podniebienie wyschło pod zapałem
Ognistych przysiąg. — Wy złączeni ślubem,
I mię Neryssa swém spojrzeniem lubém
Przyrzekła kochać, milczkiem, za kulisą,
W dzień twego szczęscia.

PORTIA.

Prawdaż to Nerysso?

NERYSSA.

Tak, jeśli łaska; zrobię tę ofiarę.

BASSANIO.

Czy tylko szczerze dajesz jéj twą wiarę?

GRATIANO.

Najszczerzéj w życiu.

BASSANIO.

Związek nasz uświetni
Wesele wasze.

GRATIANO.

Pókiśmy bezdzietni,
Założmy się, dostojni państwo młodzi,
O tysiąc szkudów, komu się urodzi
Najpierwszy chłopiec.

NERYSSA.

I położym stawkę?

GRATIANO.

Nie, pierwéj z sobą zrobim tę zabawkę.

BASSANIO.

A pod przysięgą żenić się nie miałeś!

GRATIANO.

Krzywoprzysięztwa ty my przykład dałeś...
Lecz ktoś tam idzie; otwórz mu kochanko.
To nasz Lorenzo z miłą swą poganką!

SCENA VIII.

CIŻ, LORENZO, JESSYKA.

BASSANIO.

Przybliżcie się i przyjmcie powitanie
Najczulsze jakie dać wam jestem w stanie,
Ja dziś przyjęty gościem w te podwoje. —
Ty sama, Portio, racz mych ziomków dwoje
Łaskawie podjąć.

PORTIA.

Jak mój mąż Bassanio,
Serdecznie witam.

LORENZO.

Bóg niech będzie z panią!
Zbyt rychłém najściem trudzę was niechętnie;
Lecz mię Jessyka prosi tak namiętnie
Bym ją przedstawił, że jéj dałem słowo
Być jéj zwiastunem.

JESSYKA, na kolanach, rozsypując kwiaty.

Dzięki ci, królowo,
Za ten przytułek biednéj mnie sierocie;
Niech te powoje, mirty i stokrocie,
Jak hołd wdzięczności u twych stóp rozpostrę...

PORTIA, podnosząc ją.

Wstań, lube dziecię; kochaj mię jak siostrę. —
O, tyś ładniejsza jak te dary słońca;
Ja też dni szczęsnych życzę wam bez końca!

LORENZO.

Antonia pismo niech w twe ręce złożę;
Przeczytaj panie.

BASSANIO.

Nim ten list otworzę,
Racz mi powiedzieć, czy jak zwykle zdrowy?

LORENZO.

Posłaniec, paź mój, dał krótkiemi słowy
Objaśnień wiele; tylko w tém się zaciął.

PORTIA.

Polecam ci, Nerysso, mych przyjaciół;
Bądź im uprzejmą. — Jak się ma nasz doża,
I z nim Antonio, król wszechwładny morza?
Czy zawsze w zgodzie z niebem i Fortuną?

GRATIANO.

Czy nowy Jazon zdjął już złote runo?

LORENZO.

Niech raczéj z runem życia nie postrada!

PORTIA.

Ten list, jak sądzę, złego cóś powiada,
Gdyż jasną barwę z lic Bassania spędza;
Czy mu ktoś umarł? czy mu grozi nędza?
Bo cóż tak nagle żar co w piersi tleje
Przygasić mogło?... patrzcie, on blednieje!
Jam twą półową; więc półowa wieści
Tyczących ciebie, to mój dział niewieści:
Mam do niéj prawo!

BASSANIO.

O kochanko droga,
Nie żądaj więcéj! Nigdy wieść tak sroga
Papieru nie splamiła! Po raz pierwszy
Gdym ci wynurzał serca hołd najszczerszy,
Już nic nie miałem w przodków mych dziedzinie,
Prócz krwi szlachetnéj co w mych żyłach płynie.
Tom wyznał jawnie; teraz ci obwieszczę
Iż od niczego mniéj posiadam jeszcze,
Bom dług zaciągnął u nieprzyjaciela,
Którego ciężar zbawca mój podziela.
Ach, przebacz, pani! stracić cię nie chciałem! —
Ten list okropny jest Antonia ciałem;
A każde słowo wpół otwartą blizną,
Ziejącą życiem z krwią dla kraju żyzną! —
Czy można wierzyć że jak świat przestrony,
Z Londynu, z Indyi, Meksyku, Lizbony,
Zkąd tylko jego dom wyglądał wsparcia,
Ni jeden okręt nie uniknął starcia
Złowrogich kupcom skał?

LORENZO.

Ni jeden, panie.
A choćby późniéj był zapłacić w stanie,
Drapieżny lichwiarz zemsty nie odwleka.
O, świat nie widział czarta czy człowieka
Tak zawziętego na zagładę ludzi!
Dmie w ucho doży, gdy co noc go budzi,
Iż jeśli mu słuszności nie wymierzy,
Swobody państwa zginą. Kwiat młodzieży,
Mieszczanie, senat, wszyscy od téj chwili
Na poskromienie łotra się zmówili,
Lecz nadaremnie; wciąż uparty żyd
Przytacza prawo, termin, dług i skrypt.

JESSYKA.

Nim uszłam z domu, na Mojżesza księgę,
Przed Husem i Tubalem, klął przysięgę
Iż woli karę w skrypcie tym zamkniętą,
Niż dziesięć lub dwadzieścia razy wziętą
Pożyczki sumę; zkąd mi wnieść się godzi
Że jeśli temu władza nie przeszkodzi,
Dłużnika żadne prośby nie ochronią.

PORTIA.

Czy bardzo drogim jest ci twój Antonio?

BASSANIO.

Najdroższym w świecie i najlepszym razem;
Gdyż serce jego wszystkich cnót obrazem,
I dawnych rzymskich zbiorem jest przymiotów.
On dla przyjaciół śmierć by ponieść gotów;
Wznioślejszéj duszy w bracie bym nie życzył.

PORTIA.

Jak wielką sumę lichwiarz wam pożyczył?

BASSANIO.

Dukatów trzy tysiące.

PORTIA.

Co, nie więcéj?
Podwoić sumę, dać mu sześć tysięcy,
I dziesięć razy tyle mu dostawić,
A przyjaciela tak zacnego zbawić.
Spiesz do Wenecyi, do naszego księcia;
Gdyż cię nie przyjmie Portia w swe objęcia
Z obawą w sercu. — On cię szczęściem darzy;
On ojca mego niegdyś od korsarzy
Wykupił hojnie. — Weź tę puszkę złotą;
Te sznury pereł daję ci z ochotą,
Bierz wszystko, sprzedaj, poszlij mu przez gońca:
Niech razem z tobą wróci nasz obrońca,
Antonia wolność droższa mi stokrotnie. —
My dwie z Neryssą będziem żyć samotnie,
Jak pustelnice przed zamęźciem wdowy,
Nim Bóg ślubnemi nas połączy słowy;
Lecz myśląc o mnie dni tęsknoty skrócisz,
Kupiony drogo, droższym mi powrócisz.
Przed pożegnaniem, racz ten list odczytać.

BASSANIO, czyta.

« Kochany synu, wszystkie mi okręty
Przepadły w morzu. Wiesz jak wierzyciele
Są niezbłagani: dawne me zasoby
Już wyczerpane, a Szyloka dług
Za kilka godzin mija bez wypłaty.
Ponieważ płacąc oblig jak przyrzekłem,
Nie mogę mieć nadziei żyć dla ciebie
I dla przyjaciół których ci zostawiam,
Gdyż funtem ciała spłacić mam ugodę,
Pomiędzy nami wszelki dług ustaje.
Zrób jednak co ci zdaje się najlepsze:
Bo jeśli serce do mnie cię nie zbliży,
Niech los Antonia spełni się, bez ciebie... »

(upuszcza list.)

PORTIA.

Ach, spiesz natychmiast; nic już nie chcę pytać,
On ci poświęca krew, majątek, duszę;
Ja mu zazdroszczę, ja go zbawić muszę!

BASSANIO.

Gdy ty mię naglisz, cóż mię wstrzymać może?
Nim wrócę, żadne mię nie znęci łoże;
Chcę sam wycierpieć méj płochości winę,
Antonia zbawię, lub z nim razem zginę!

SCENA IX.

PORTIA, JESSYKA, NERYSSA, LORENZO.

LORENZO.

O pani! pozwól wyznać, choć przytomnéj,
Że takie czucie w duszy twéj niezłomnéj
Jest bohaterskiém, kiedy dla przyjaźni
Kochanka stratę znosisz bez bojaźni.
Lecz wiedząc komu łaskę tę świadczycie,
Jak drogie wszystkim chcesz zachować życie,
Jak sierot, więźniów, troski się umniejszą,
Z twojego dzieła możesz być dumniejszą
Niż zwykła litość to ci nakazuje.

PORTIA.

Uczynków dobrych nigdy nie żałuję,
A tém mniéj teraz; bo dwaj przyjaciele
Dzielący wspólnie smutek i wesele,
Gdy bratnim węzłem dusze swe kojarzą,
Koniecznie muszą być podobni twarzą,
Zwyczajem, sercem, cnotą i umysłem.
Ja chcę być trzecią w tém braterstwie ścisłém;
I to co czynię małą jest zasługą,
Gdy mego męża tę półowę drugą
Zasłonić pragnę przed zawiści jędzą.
Lecz dość rozmowy. — Słuchaj mię, Lorenzo;
Przysięgłam sobie po tém rozłączeniu,
Z Neryssą jedną żyć w klasztornym cieniu.
O parę mil od zamku, nad urwiskiem,
Pustelni wieża będzie mém siedliskiem.
To śliczne dziecię niech mi towarzyszy;
Tam z ust kapłana boski głos usłyszy,
I święty chrzest jéj śnieżną skroń obleje:
A po powrocie naszym, mam nadzieję,
Iż do ślubnego wianka i kobierca,
Trzy pary staną.

LORENZO.

Ach, z całego serca;
To jest najżywszą méj Jessyki żądzą.

PORTIA.

Nim domownicy odjazd nasz przyrządzą,
Niech błogie myśli świecą wam nad czołem.

JESSYKA.

Tyś opiekuńczym duszy méj aniołem!

PORTIA.

Jam twoją siostrą. Żegnam was najmiléj. —
(dzwoni.)

SCENA X.

PORTIA, NERYSSA, STEFANO.

PORTIA.

Zbliż się, Stefano. Zawszem do téj chwili
Ceniła wielce duszę twą poczciwą;
Tak nadal będzie. Weź ten list co żywo,
I spiesz do Padwy; znajdziesz tam bez trudu
Kuzyna mego i obrońcę ludu,
Bellarjo doktor niech ten list odbierze:
A jakie wręczy pisma i odzieże,
Choć koni pięć byś ubić miał pod sobą,
Do miasta przywież przed jutrzejszą dobą.
Tam się spotkamy. Idź, mój starcze drogi!

STEFANO.

Na rozkaz pani, mam jelenie nogi.

SCENA XI.

PORTIA, NERYSSA.

PORTIA.

Wiesz jaki zamiar chodzi mi po głowie?

NERYSSA.

Nie zgadłam jeszcze.

PORTIA.

W pierwszéj dnia półowie,
Małżonków ujrzym.

NERYSSA.

Oni nas podobnie?

PORTIA.

Być może; lecz ubrane tak ozdobnie
Iż się zadziwią że nie mamy wąsów,
Choć wiek po temu. Ręczę bez przekąsów,
Że gdy w młodzieńców obie się przebierzem,
Ja będę śmielszym zdawać się rycerzem,
I szpada składniéj będzie bić u kostek.
Przemawiać zacznę, jak ów niedorostek,
Krzykliwym głosem; kroczki dwa przetworzę
W krok męzki jeden, prawiąc jak na dworze
Prześwietne panie względów mych żebrały,
A gdym odmawiał, we łzach umierały;
Żem przecie nie mógł starczyć wszystkim razem,
Żem płakał rzewnie nad śmiertelnym głazem:
I tym podobnych rzeczy tak nakłamię
O pojedynkach, bójkach i méj damie,
Iż każdy powie, żem od trzech miesięcy
Rok szkolny skończył. — Mam w pamięci więcéj
Niż tysiąc bajek tych uczonych żaków,
Chcę z nich skorzystać.

NERYSSA.

Mamyż grać junaków,
I płci niewieściéj wyrzec się przed światem!

PORTIA.

Jak szumnie mówisz! czyś ty adwokatem?
Mój cały plan w powozie ci wyłożę.

NERYSSA.

A teraz do klasztoru.

PORTIA.

Nie, broń Boże!
Na sąd Antonia; chodź, nie traćmy chwil,
Przejechać mamy dziś dwadzieścia mil.

SCENA XII.

SZYLOK sam, wchodząc ostrożnie z boku.

Znalazłem córkę, lecz związaną z gojem,
Bo pełnoletnia. Z kupcem spór przebojem,
(podnosząc list Antonia.)
Z nią proces później... Dwóch na jedną wędę!
Antonio bankrut! Jutro mścić się będę.
(wybiega.)

AKT TRZECI.

Sala sądowa w pałacu doży. — Po prawéj, więzienie. — Po lewéj, mieszkanie doży. — W głębi, galerja obszerna z widokiem na miasto.

SCENA I.

DOZORCA WIĘZIENIA, ANTONIO, GRATIANO, SZYLOK.

SZYLOK.

Nu, pilnuj więźnia, choćby klął i krzyczał;
To on, ten osioł, co na wiatr pożyczał: —
Strzeż go, dozorco!

ANTONIO.

Słuchaj mię, Szyloku.

SZYLOK.

Ja nie chcę słuchać, chyba po wyroku;
Zapłacisz oblig, albo nie, funt mięsa!
W bóżnicym przysiągł że nie spuszczę kęsa,
A więc mój oblig wyjmę ci z pod serca.
Tyś psem mię nieraz przezwał, ty bluźnierca!
Tyś Lorenzowi pomoc dał z jałmużną,
Przysięgał doży że łódź była próżną;
Nu, kiedym pies, to strzeż się moich kłów!
Za dożę ręczę. — Ty, dozorco, mów,
Czyś ty zwarjował żeś go bez przyczyny
Po mieście włóczył całe pół godziny?

DOZORCA.

Po słońcu chciał się trochę przejść w południe.

SZYLOK.

Co tam po słońcu; on od słońca schudnie!

ANTONIO.

Choć jedno słowo.

SZYLOK.

Patrz na moje kły;
Tyś chrześcianin, jam na ciebie zły.
Czy stary Szylok taki tchórz u licha
Jak ten co mięknie, spuszcza łeb i wzdycha
Gdy ktoś tam jęczy po straconym brygu?
Ja nie chcę słuchać, chcę co jest w obligu!
(odchodzi w głąb.)

GRATIANO.

A to najtwardszy bryś z Jakóba psiarni!

ANTONIO.

Niech sobie szczeka. Dosyć téj męczarni,
Już wolę umrzeć. Wiem ja dobrze za co
Na moje życie godzi ten ladaco;
Żem gardząc lichwą, z jego rąk ocalił
Już nie jednego co się na mnie żalił:
Ztąd ta nienawiść.

GRATIANO.

Znam naszego dożę;
Ten oblig nigdy ziścić się nie może.

ANTONIO.

I owszem; doża słuszność mu przyznaje.
Gdyż te swobody, prawa i zwyczaje
Na których stoi gmach naszego bytu,
Z narodów obcych tworzą się kredytu;
A tę potęgę ktoby raz naruszył,
Krolowę morza w jednym dniu by skruszył.
Lecz dosyć o tém. W takim jestem stanie
Iż na funt ciała pewno mię nie stanie,
Bym mógł zapłacić krwawy dług u żyda. —
Więc do więzienia. Na co żal się przyda!
(Zegar bije dwunastą.)

SZYLOK, licząc.

Raz, dwa, trzy, cztery... mam złodzieja w matni!

ANTONIO.

Dwunasta bije... życia kres ostatni...
Byłem Bassania widział przy wypłacie!

GRATIANO.

Patrz, oto doża... nie rozpaczaj, bracie.

SCENA II.

CIŻ, DOŻA, SENATOROWIE, BASSANIO, SĄD, PISARZ SĄDOWY.

DOŻA.

Gdzie jest Antonio?

ANTONIO.

Służę na skinienia.

DOŻA.

Żal mi cię bardzo, bo masz do czynienia
Z potwornym żydem w duchu i w osobie;
Z krzemienném sercem nie mającém w sobie
Ni jednéj skry litości.

ANTONIO.

Już wiedziałem
Że wasza Godność, słowem swém wspaniałém,
Tę iskrę chciała wzniecić, lecz daremnie.
Nieludzka zawiść już nie budzi we mnie
Pogardy nawet; stawiam więc bez trwogi
Naprzeciw złości, mir i spokój błogi:
Tą bronią silny, czekam na spotkanie.

DOŻA.

Niech oskarżyciel tu przed nami stanie.

GRATIANO.

Przy drzwiach się krzątą... chodźże ty szachraju!

(Szylok się zbliża.)

DOŻA, siadając na tronie.

Rozstąpcie się, żyd wolny w naszym kraju. —

(Sędziowie zabierają miejsca.)

Szyloku, wszyscy myślą, i ja myślę,
Że twą drapieżną chęć dochowasz ściśle
Do chwili wykonania; że w téj chwili
Tém szczerszéj zgodzie będziem się dziwili,
Im dłużéj trwałeś w twéj zmyślonéj złości;
Że miasto żądać, według praw ścisłości,
Funt ciała wzięty z pod dłużnika serca,
Jak srogi tygrys lub jak ludożerca,
Nietylko, tuszym, litość dlań uczujesz,
Lecz mu półowę długu sam darujesz:
Przez wzgląd na straty, na zniszczone żagle,
Na klęski spadłe ze wszech stron tak nagle,
Że króla kupców mogłyby przewalić;
Lecz miłosierdziem natchnąć i rozżalić
Żelazne piersi Turków i Tatarów,
Niezdolnych pojąć tych miłości darów
Przez które człowiek bratem jest człowieka. —
Sąd odpowiedzi twéj przychylnéj czeka.

SZYLOK.

Godności waszéj dałem ją zawczasu.
Zakląłem się na święty dzień szabasu
Że muszę mieć to co mi prawo nada;
W odmównym razie, niech ta klątwa spada
Na waszych ustaw próżność i swawolę. —
Zapyta kto, dla czego raczéj wolę
Wziąść funt stęchłego mięsa, niż pieniądze.
Ja nie odpowiem; lecz to dosyć sądzę,
Że ja tak chcę, dla zdrowia lub wygody. —
Co! gdy w mym domu szczur narobi szkody,
Czy mi zabrania dać ustawa która
Te trzy tysiące na zgładzenie szczura?
Są ludzie którym szkodzi kwik prosięcia;
Na widok kota ten dostaje rznięcia:
Ten znów, gdy kobziarz piszczy mu nad uchem
Nie może moczu wstrzymać. — Gdyż mym duchem
Krew moja rządzi, według méj skłonności
Lub mego wstrętu. Więc odpowiem prościéj;
Jak wyrozumieć łatwo nie przychodzi,
Dla czego temu kwik prosięcia szkodzi,
Dla czego ten nie cierpi kocich oczu,
A ten przy kobzie nie powstrzyma moczu;
Lecz nieuchronną hańbę ztąd przyjmuje
Że musi krzywdzić tam gdzie krzywdę czuje:
Tak ja nie mogę sprawy zdać, lub niechcę,
Z téj staréj chrapki co mi serce łechce
Do tego kupca, że ze stratą własną
Mój oblig wezmę. — Wszak odpowiedź jasną?

BASSANIO.

Odpowiedź taka, żądza krwi przed czynem,
Dowodzą jasno żeś szatańskim synem.

SZYLOK.

Nie stoję o to czy waćpanu sprzyja.

BASSANIO.

Co kto nie cierpi, czyli wręcz zabija?

SZYLOK.

Czy kto nie niszczy tego czém się brzydzi?

BASSANIO.

Za pierwszą krzywdę czy mordują żydzi?

SZYLOK.

Czy chcesz by wąż ukąsił cię dwa razy?

ANTONIO.

Daj pokój; z żydem tracisz twe wyrazy.
Nierównie łatwiéj stać nad brzegiem morza,
I ludzkiém tchnieniem wzruszyć fal przestworza;
Nierównie łatwiéj z wilkiem spór otworzyć,
I bekiem owcy wilczy głód umorzyć;
Nierównie łatwiéj chcieć nakazać ciszę
Szumiącym jodłom, gdy je wiatr kołysze;
Najtwardsze słowem walki znieść bezpiecznie,
Niż upamiętać to przeklęte wiecznie
Żydowskie serce. — Proszę was na Boga,
Już nie żądajcie nic od tego wroga;
Lecz zostawiając prawu bieg właściwy,
Wydajcie wyrok jak on sam, złośliwy!

BASSANIO.

Za trzy tysiące, sześć ci damy snadnie.

SZYLOK.

W nich każdy dukat niech się w sześć rozpadnie,
I każda szóstka sześć dukatów spłodzi,
Ja chcę mieć oblig, lub ten człowiek złodziéj!

DOŻA.

Sam bez litości, sądź bezprawia twoje.

SZYLOK.

Gdy prawnie działam, sądu się nie boję.
Wszak wasze skarby jeńców wam przyniosły;
Jak wasze muły, wasze psy lub osły,
Do twardych robót służą wam codziennie,
Bo są kupieni. — Powiemże sumiennie:
Rozwiążcie ich, pożeńcie z waszą dziatwą,
Ich pokarm będzie wasz, ich praca łatwą,
Niech waszych łupów ciężar ich nie gniecie,
Niech śpią na waszych łożach; wy powiecie:
Ci niewolnicy nasi. — Ja też powiem:
To ciało moje, chcę je mieć, albowiem
Kupione drogo, prawo mam posiadać.
Jeżeli nie, już nie ma o czém gadać;
Weneckie prawo, tfu, to groch na ścianę!

(bijąc laską w podłogę.)

Ja chcę wyroku; mówcie, czy dostanę?

DOŻA.

Z urzędu mocy, wyrok nasz odwlekam
Aż sławny doktor na którego czekam,
Bellarjo, by nam zdanie swe objawił,
Na sąd nie zjedzie.

GRATIANO.

Książe, już się stawił
Posłaniec z listem do samego doży,
Przybyły z Padwy.

DOŻA.

Niech ten list nam złoży.

BASSANIO.

Antonio, słyszysz; nie trać serca, śmiało!
Żyd weźmie moje kości, krew i ciało,
Nim pierś twa jedną kroplę jéj uroni.

ANTONIO.

Od jego zemsty nic mię nie obroni.
Najsłabszy owoc pierwszy z drzew opada;
Jak zarażony skop z całego stada

Na śmierć dojrzały, niech za wszystkich zginę,
Gdy mego domu przetrwać mam ruinę.
Przy zgonie tylko to zastrzegam sobie,
Byś sam położył pierwszy głaz na grobie.

SCENA III.

CIŻ, NERYSSA, w ubiorze woźnego.

DOŻA.
Przybywasz z Padwy, z listem od doktora?

NERYSSA.
Ten list Bellarjo sam napisał wczora.

BASSANIO, do Szyloka.
Cóż tak zawzięcie ostrzysz nóż na bucie?

SZYLOK.
By mój funt ciała wyciąć na bankrucie.

GRATIANO.
Nie na podeszwie wecuj go, upiorze,
Lecz na twém sercu; bo rzeźnicze noże,
Sam topór kata prędzéj się ukruszy
Jak zemsta twoja. Nicże cię nie wzruszy?

SZYLOK.
Mię tylko bawi dowcip twój, zbyt żywy.

GRATIANO.
A niech cię piorun trzaśnie, psie parszywy!
Za to że żyjesz niech ten kraj odpowie. —
Przez ciebie wiara mąci mi się w głowie;
Bom gotów przysiądz za Pitagorasem
Że dusze bydląt przejść umieją czasem
W kadłuby ludzkie; że twój duch sobaczy
Pochodzi z wilka (niech mi Bóg przebaczy),
Powieszonego za zjedzenie strzelca;
Że gdyś się rodził, ten psi duch wisielca,
Postronkiem ścięty i krwią ludzką spiekły,
Wlazł w twoją gardziel, głodny, zły i wściekły!

SZYLOK.
Podpisu póki zębem nie wykłujesz,
Daremnie krzykiem pierś młodzieńczą psujesz.
Podeprzyj rozum : bo w zapale twoim
Na ciebie runie. — W obec praw tu stoim!

DOŻA.
Biegłego ucznia doktor nam obwieszcza,
I wiele pochwał w liście swym zamieszcza. —
Czy jest w Wenecyi?

NERYSSA.
Jest, i z niedaleka
Sądowéj sali, na przyjęcie czeka.

DOŻA.
Niech wstąpi zaraz. — Idźcie więc we dwoje
Zaprosić gościa w izby téj podwoje : —
Poselstwa niechaj całą treść usłyszę.

NERYSSA, czyta.
« Godności waszéj daję znać niebawem
Iż list jéj w ciężkiéj zastał mię chorobie :
Iż gdy posłaniec przybył z nim do Padwy,
Słynnego z Rzymu spotkał tu młodzieńca,
Don Baltazara, dwojga praw doktora.
Rozpoznał ze mną treść obecnéj sprawy,
Pomiędzy żydem i Antoniem kupcem.
Niemało ksiąg przejrzeliśmy w tym celu;
Zgodziwszy się na moje skromne zdanie,
Zdolnością jego i nauką wsparte
(A przenoszącą wszelkie me pochwały),
Obiecał mię zastąpić przed jéj sądem.
Najmocniéj proszę by niespełność lat
Nie była dlań powodem umniejszenia
Należnych względów; gdyż nie znałem jeszcze
W tak młodéj głowie tak dojrzałéj myśli.
Polecam się Godności waszéj łasce;
On zaś najlepiéj sam się jéj zaleci. »

DOŻA.
Słyszycie wszyscy co Bellarjo pisze:
A otóż ów zastępca, Bogu dzięki.

SCENA IV.

DOZORCA, ANTONIO, PORTIA, przebrana za jurystę, SĄD, DOŻA, SENATOROWIE, PISARZ, NERYSSA, BASSANIO, GRATIANO, SZYLOK.

DOŻA.
Wszak pan z Bellarja stajesz tu poręki?

PORTIA.
Od niego, książe.

DOŻA, wskazując mu miejsce.
Witaj, cny doktorze;
Wszak świadom jesteś o bieżącym sporze,
O którym w sądzie wyrok dziś zapadnie?

PORTIA.
Szczegóły sprawy wszystkie znam dokładnie.
Gdzie jest ów kupiec i ów żyd?

DOŻA.
Przystąpcie;
I w odpowiedzi mowy swéj nie skąpcie.

PORTIA.
Wszak Szylok wam na imie?

SZYLOK.
Szylok, panie.

PORTIA.
Natury dziwnéj wasze jest żądanie;
Lecz w takiéj formie, iż weneckie prawo
Uważnić musi suplikę, z poprawą.
(do Antonia.)
Wszak ciebie skarży?

ANTONIO.
Mię, jak mi się zdaje.

PORTIA.
Uznajesz żeś zaręczył dług?

ANTONIO.
Uznaję.

PORTIA.
O wtedy, żydzie, miéj wyrozumienie.

SZYLOK.
Co zmusi mię do tego?

PORTIA.
Co? Sumienie!
Litości bratniéj być dowolną trzeba;
Jak deszcz ożywny, tak i łaska z nieba
Błogosławieństwo dzieli na dwie części,
Gdyż tak dającym jak biorącym szczęści.
Silniejsza w silnych, skroń monarchów ona
Jasnością zdobi świętszą niż korona.
Żelazném berłem król gdy grozi światu,

To berło godłem czci i majestatu;
W niém postrach blady winnych serc dosięga,
Lecz ich dobroci wyższą jest potęga;
Ludami rządzi miłość a nie trwoga,
Gdyż ta pochodzi od samego Boga :
I sprawiedliwość wtedy doń się zbliża,
Gdy miecz w jéj ręku zmienia się w znak krzyża!
W słuszności ścisłéj, zważ że żaden człowiek
Nie godzien łaski przy zawarciu powiek;
Że chcąc modlitwą litość tam uprosić,
Tu, czynem do niéj musim się podnosić.
Zanadto, żydzie, się rozwodzę z tobą;
Wiem że u ciebie chciwość jest chorobą :
I trwać-li chcesz w nieludzkiéj twéj zawiści,
Wyrokiem prawa, prawny dług się ziści!

SZYLOK.

Niech czyny moje na mą głowę spadną;
Zupełną słuszność chcę tu mieć, lub żadną!

PORTIA.

Twą wiarą lichwa; ja się lichwą brzydzę.

BASSANIO.

Ten młody doktor, pierwszy raz go widzę;
Choć mi się marzy że go dawniéj znałem,
I że głos jego, kiedyś już słyszałem...

ANTONIO.

To nic dziwnego. Wiele jest na świecie
Podobnych twarzy. Choć w młodości kwiecie,
Już jest dojrzały sercem i umysłem;
Lecz od obrońcy prawo nie zawisłém.

PORTIA.

Czy dłużnik sumy spłacić ci nie może?

BASSANIO.

I owszem, zaraz ją potrójnie złożę,
Lub dziesięć razy, jeśli trzy za mało;
Zastawię nogi, ręce, krew i ciało,
A jeśli to nie dosyć, jawném będzie
Że złość przenosi zysk. W tak ważnym względzie,
Niech do litości prawo się nakłoni;
Wszak wielkie dobro wątły grzech zasłoni,
Niech tego diabła duch zbawienia zgniecie.

PORTIA.

To być nie może. Żadna moc na świecie
Przyjętych ustaw zwichnąć już nie zdoła;
Następstwa zgubne przykład zły wywoła,
I błąd nie jeden wkradnie się do kraju
Tą samą drogą. Strzeżmy więc zwyczaju.

SZYLOK, wznosząc ręce.

To istny Daniel! — Z duszy méj powiadam,
I w obec wszystkich, głośny hołd mu składam.

PORTIA.

Szyloku, pozwól oblig, sam otworzę.

SZYLOK.

Ot jest, ot jest, szacowny mój doktorze!

PORTIA.

Potrójna suma stoi tu dla ciebie.

SZYLOK.

Przysięgę straszną, mam przysięgę w niebie;
Niewiernym ślubem duszy nie obciążę,
Choć za kraj cały.

PORTIA.

Dług ręczony wiąże;
Gdy termin minął, żyd ma powód święty
Wymagać prawnie ciała funt wycięty
Z dłużnika piersi. — Lecz twe serce szczodre
Kapitał przyjmie; oblig daj, niech podrę.

SZYLOK.

Gdy mi go spłaci podług słów ugody.
Rozumnym jesteś, mój Danielu młody,
Znasz dobrze kodeks, wykład twój był jasny;
Więc w imię prawa, i na honor własny,
Podyktuj wyrok równy twéj mądrości;
Gdyż ja przysiągłem na te stare kości,
Że żaden prawnik głosem swym lub gestem
Mię nie przerobi. — Za słu-znością jestem!
(bije wściekle w podłogę.)

ANTONIO.

Serdecznie proszę, niech osądzi doża.

PORTIA.

Przygotuj zatém twoją pierś do noża.

SZYLOK.

Poroku wielki! — Tobie cześć i sława!

PORTIA, dyktując.

« Uznajem więc, iż myśl i brzmienie prawa
Są zgodne z karą w piśmie tém rzeczoną,
A z obu stron podpisem opatrzoną. »

SZYLOK.

O światły sędzio! — Mej poręki żądasz?
O ile starszym jesteś niż wyglądasz! —

PORTIA.

Więc bok odsłonić.

SZYLOK.

Chodź, daremna mowa;
Najbliżéj serca : to są jego słowa.

PORTIA.

A prawda, patrzcie! są tu wagi, proszę, —
By ciało zważyć?

SZYLOK.

Macie, sam przynoszę. —

PORTIA.

Szyloku, sprowadź na twój koszt felczera;
Z ran umrzeć można, włoska krew jest szczera.

SZYLOK.

Czy tak w obligu?

PORTIA.

Uczyń cóś dla niego;
Wszak wolnoć raz mieć litość dla bliźniego.

SZYLOK.

Gdzie jéj tam szukać? wszak jéj nie ma w kwicie!

PORTIA.

Antonio, wyznaj; bardzo dbasz o życie?

ANTONIO.

Kto, ja? bynajmniéj; zniosę śmierć i mękę. —
Bądź zdrów, Bassanio; daj mi twoją rękę,
Niech ją uścinę jeszcze raz ostatni :
W niéj składam serce, w niéj nasz węzeł bratni.
Nie smuć się z tego że to już na zawsze;
Wszak dla mnie losy stają się łaskawsze
Niż dotąd były. Lat zwyczajny wątek
Pozwala przeżyć szczęście i majątek;
Z pochmurném czołem i zapadłém okiem
Do grobu stąpać. Prawo, swym wyrokiem,
Tę nędzę skraca, topiąc nóż w mém łonie.
Racz mię polecić twéj nadobnéj żonie;
Opowiedz jéj ostatnie moje chwile,
Po mojéj śmierci, mów o starcu mile;

A gdy wypowiesz wszystko, niech ci przyzna
Że mi tak drogim byłeś, jak Ojczyzna.
Nie żałuj że masz tracić przyjaciela,
Jak on że życiem z tobą się podziela;
Bo niech cóś głębiéj sięgnie żyd morderca,
Twój dług mu spłacę i z całego serca.

BASSANIO.

Antonio, własne, jużem dał kobiecie
Nad którą niemam nic droższego w świecie;
Lecz moje szczęście, wszystko co posiadam,
I żonę nawet, za twe życie składam.
Tak, wszystko razem z nią utracić wolę;
Z rąk tego czarta niechaj cię wyzwolę.

PORTIA.

Waćpana żona przed zamężciem wdowa,
Swój ślubny pierścień zwróciéby gotowa.

GRATIANO.

Ja też mam żonę; kocham ją, jak siebie.
Lecz z aniołami niech króluje w niebie,
Byś przez nią był spętany, duchu smoczy.

NERYSSA.

A to życzenie! dobre po za oczy;
Bo wasze słonko zaszłoby za chmurkę.

SZYLOK.

To chrześcianie, a ja żyd, mam córkę;
Lecz wydam ją za wnuka Barabasza,
Nim ją zbezcześci złość i zdrada wasza.
Niech Bóg odemnie klątwę tę odeprze!

GRATIANO.

Odwetu prawo z żydem jest najlepsze.

PORTIA.

Ma lat dwadzieścia; więc i sercem włada,
I posag matki na jéj głowę spada.

SZYLOK.

To druga rzecz; na pierwszy wyrok czekam.

PORTIA.

Funt ciała weźmiesz; zgody już sie zrzekam.

SZYLOK.

Najmędrszy sędzio! —

PORTIA.

Słuszną jest twa żądza;
I gwoli prawu, sąd ci go przysądza.

SZYLOL.

To wyrok! — zatém, gotuj się, kolego;
Wygrałem.

PORTIA.

Czekaj, jest tu cóś innego. —
Uświęcać długi, naszym jest zwyczajem;
Lecz krwi dłużnika wcale ci nie dajem!
I jeśli w cięciu, sztych zbyt ostréj broni
Krwi chrześciańskiéj kroplę choć uroni,
Twe wszystkie włości, kupna lub grabieże,
Na rzecz Wenecyi, prawem skarb zabierze.

GRATIANO.

O światły sędzio! — To ci prawdę wykuł!

SZYLOK.

Gdzie takie prawo?

PORTIA.

Czytaj sam artykuł.
Jak wróg na zemstę, ty na słuszność liczysz;
Masz ją, i lepszą niż sam sobie życzysz.

GRATIANO.

Najmędrszy sędzio! — Co, nieprawda, żydzie?

SZYLOK.

Zapłaćcie trzykroć, już niech sobie idzie;
Skwituję oblig.

BASSANIO.

Oto są pieniądze.

PORTIA.

Za prędko, bracie. — Ja tę rzecz rozsądzę.
(do Szyloka.)
Poręką weźmiesz, taka treść wyroku.

SZYLOK.

To sądny dzień!

GRATIANO.

Danielu! mój proroku!

PORTIA.

Do rzeczy przeto zabierz się goręcéj,
Bez krwi przelewu; i nie weźmiesz wiecéj
Jak funt okrągły. — Bo gdy więcéj tylko,
Lub mniéj, choć łótem, choć granami kilką,
Choć o dwudziestą, setną lub trzechsetną
Skrupułu cząstkę twe paluszki zetną; —
Pod tą skazówką, gdyby te dwie łyżki
O jeden włosek miały mieć przewyżki, —
Na szubienicę, i majątek wzięty.

GRATIANO.

To drugi Daniel! patrz, to prorok święty. —
No cóż, niewierny, sam się w sieć złapałeś!

PORTIA.

Cóż cię wstrzymuje? weźże to co chciałeś.

SZYLOK.

Oddajcie sumę; pójdę z nią do domu.

BASSANIO.

Gotówkę zbieraj i nie mów nikomu.

PORTIA.

Do cięcia, żydzie, gotuj się czemprędzéj;
Wszak się przed sądem zrzekłeś ich pieniędzy.

GRATIANO.

To Daniel! — Słyszysz, on wyrocznie ciska!
Dziękuję ci, żeś uczył mię nazwiska.

SZYLOK.

Co? niezostanie nawet mi kapitał?

PORTIA.

Już obie strony prawnie sąd wypytał;
Masz to co w piśmie. — Tak wyrocznia rzekła.

SZYLOK.

A niech z nią czarci porwą was do piekła!
Już nie mam tu co robić.

PORTIA.

Czekaj jeszcze;
Niech inną sprawkę z sądem ci obwieszczę.
Artykuł siódmy brzmi, w trzynastym rzędzie:
« Iż, gdy na obcym to wykrytém będzie
Że wprost, otwarcie, lub zaocznie, skrycie,
Ten obcy godził na krajowca życie,
Połowa wszystkich dóbr ma przejść na głowę
Przeciwnéj strony; drugą zaś połowę
W publicznym skarbie sąd z urzędu złoży,
I życie jego zda na łaskę doży. » —
W przypadku tym z Antoniem jesteś właśnie;
Gdyż z całéj sprawy łatwo ci wyjaśnię
Żeś wprost i skrycie, czynem i podnietą,

Chciał śmierć mu zadać; żeś zasłużył przeto
Na karny wyrok i na wywłaszczenie.
Drżyj więc, lub dożę proś o przebaczenie.

GRATIANO.

Proś niech ci wolno będzie się powiesić;
Bo choćby diabeł mógł cię potém wskrzesić,
Już i postronka kupić nie masz za co :
Więc, kosztem skarbu, stryczek ci zapłacą.

DOŻA.

Byś poznał sam różnicę naszéj wiary,
Z twojego życia nie chcę mieć ofiary;
Twych dóbr półowę rządca nasz posiędzie,
Skarbowi z drugiéj nieco sił przybędzie.
Obroną twoją jest pokora święta.

PORTIA.

Tak, co do skarbu; nie, co do klienta.

SZYLOK.

Aj waj! krew moją weźcie do kropelki;
Co mi po domu, gdy zrywacie belki
Na których dom oparty? co po życiu,
Gdy to czém żyję, tracę w tém rozbiciu?

GRATIANO.

Jeżeli nie masz domu, psie nieludzki,
To mieszkaj w budzie gdzieś odsiadał kucki!

PORTIA.

Antonio! cóżbym zdołał dlań uprosić?

GRATIANO.

Postronek darmo, byś się mógł wynosić!

ANTONIO.

Jeżeli doża nasz, i wy sędziowie,
Zaprzestać chcecie na tych dóbr półowie,
Półową drugą tak niech rozporządzę:
Iż nim żyd umrze, domy i pieniądze
Przekaże na Lorenza i kochankę,
A żyda córkę, dziś już chrześciankę.
Lecz trzy warunki wkładam nań za karę :
Iż razem z życiem przyjmie chrzest i wiarę;
Iż się wyrzeknie lichwy, choć w ukryciu;
Majątek zleje, po najdłuższém życiu,
Na samowolną córkę i na zięcia.

DOŻA.

Wykonaj ściśle trzy te przedsięwzięcia;
Lub wyrzeczoną łaskę sąd odwoła.

PORTIA.

Wszak przeciw temu nie podnosisz czoła?

SZYLOK, zgnębiony.

Nie.

PORTIA.

Akt donacyi pisarz niech wystawi.

SZYLOK, wstając.

Pozwólcie odejść, wy sędziowie prawi;
Mnie trochę słabo : akt mi doręczycie,
Podpiszę, jutro...

DOŻA.

Idź i zbaw twe życie!

GRATIANO.

Dwóch chrzestnych ojców będziesz miał w témmieście;
Ja gdybym sądził, miałbyś ich ze dwieście
Nie do chrztu, żydzie, lecz na powieszenie!

(Szylok zwolna wychodzi, z nożem w ręku, patrząc na Gratiana.)

DOŻA.

Doktorze, przyjm życzliwe zaproszenie
Do stołu...

PORTIA.

Książe mię wymówić raczy;
W téj jeszcze nocy Padwa mię zobaczy,
Więc bez odwłoki muszę się wybierać.

DOŻA.

Przy mojéj prośbie nie chcę się upierać. —
Imieniem państwa, niosę ci podzięki,
Za światłą pomoc téj szlachetnéj ręki.

(do Antonia i Bassania.)

Hołd jawny cnocie, to powinność nasza;
Na ucztę nocną, doża was zaprasza,
Gdyż po wyroku nic mi nie zostaje,
Jak uczcić gości których sąd nam daje.

(Doża z Senatorami i Sądem wychodzą.)

SCENA V.

GRATIANO, ANTONIO, BASSANIO, PORTIA, NERYSSA.

BASSANIO.

Obrońco zacny, ja i mój Antonio,
Wyrwani śmierci twą przyjazną dłonią,
Zbawienie nasze chcemy ci zawdzięczyć.
Za trud podjęty, pozwól nam ci wręczyć
Te trzy tysiące które żyd miał dostać.

ANTONIO.

I dobroczyńcą naszym chciéj pozostać.

PORTIA.

Ja usług moich nigdy nie najmuję.
Kto dobrze czyni, ten zapłatę czuje
W sumieniu własném. Większą mam nagrodę
Żem wam ocalił honor i swobodę;
Przenoszę ją nad skarby najbogatsze :
Więc niech zapłata chluby téj nie zatrze.
Gdy się spotkamy, może nie zadługo,
Postąpcie zemną jak z najlepszym sługą.

BASSANIO.

Natrętność moją przebacz mi łaskawie.
Pamiątkę skromną niechaj ci zostawię,
Jak winny zakład méj życzliwéj chęci,
I tę daninę serce niech uświęci.

PORTIA.

Pan zbyt nalegasz. Przyjmę więc z ochotą
Tę rękawiczkę i obrączkę złotą,
Cenniejszą pewnie od tych trzech tysięcy. —
Nie ściągaj ręki; ja nie żądam więcéj!

BASSANIO.

Drobnostkę taką wstydziłbym się szczerze,
Za tyle łaski, złożyć mu w ofierze.

PORTIA.

Pieniężnym darem mnie podobni gardzą,
Lecz tę obrączkę pragnę mieć i bardzo.

BASSANIO.

Dam ci najdroższą jaka jest w Europie;
Przez ogłoszenie pismem ją wytropię.

Na klejnot jeden stu złotników złożę:
Lecz ten z mą ręką rozstać się nie może.

PORTIA.

Pan mniéj oszczędzasz słowa niż ofiary;
Bo najprzód uczysz jak mam żebrać dary,
A teraz jak żebrakom odpowiadać.

BASSANIO.

To skarb dozgonny; gdym go miał posiadać,
Musiałem przysiądz że przed i po ślubie,
Pierścienia tego nie dam i nie zgubię.

PORTIA.

Wymówkę znajdzie kto zły czyn zasłania.
Wszak zaślubiona godną jest kochania;
I sama przyzna, jeśli pan go zdejmie,
Żem nań zasłużył. — Kłaniam więc uprzejmie.
(odchodzi na stronę z Neryssą.)

ANTONIO.

Bassanio, ustąp. On mię życiem darzy;
Niech wdzięczość zakaz żony twéj przeważy.

BASSANIO.

Idź, mój Gratiano, wstrzymaj go na chwilę;
Ten pierścień odnieś, i dziękując mile,
Na nocleg zaproś do Antonia domu;
My dwaj odejdziem by uniknąć sromu. —
A po wieczerzy, nim zaświta ranek,
Belmontu panią ujrzy mąż kochanek.

SCENA VI.

GRATIANO, PORTIA, NERYSSA.

PORTIA.

Nerysso, dowiesz się gdzie Szylok stoi;
Dziś akt podpisze. — Ja, w odmiennéj zbroi,
Chcę z moim mężem zwieść powtórną walkę,
I w saméj sobie zgromić mą rywalkę;
Zgotuję mu przyjemną niespodziankę,
Gdy w swym obrońcy pozna swą kochankę:
Wierniejszym będzie gdy do domu wróci. —
Ten akt Lorenza pewno nie zasmuci.

GRATIANO, zbliżając się.

Panowie, słowo.

PORTIA.

Stoję na usługi.

GRATIANO.

Chcąc wam wypłacić trzy serdeczne długi,
Od mych przyjaciół pierścień ten odnoszę,
I dziś na nocleg do Antonia proszę.

PORTIA.

Z radością wielką biorę go na drogę;
Lecz téj gościny przyjąć już nie mogę,
Bo zaraz jadę. — Czy pan zna mieszkanie
Szyloka żyda?

GRATIANO.

Znam, łaskawy panie.

NERYSSA.

Więc idźmy. W drodze dasz mi cóś wyżebrać. —
(do Portii, na stronie.)
Mój własny pierścień muszę mu odebrać,
By go zawstydzić za złamane słowo.

PORTIA.

Że ci się uda, to ci ręczę głową.
Zapewniać będą że je księżom dali,
Przysięgać, kląć się, bluźnić i tam daléj;
Lecz my dowodnie kłamstwo im zadamy.

NERYSSA.

Niech pan prowadzi.

PORTIA.

Wiesz gdzie zejść się mamy.

SCENA VII.

JESSYKA, ŻOŁĄDEK.

JESSYKA.

Dla czego Portia stanąć nam kazała
W pałacu doży? patrz, truchleję cała;
Ten spieszny powrót na co nam się przyda?

ŻOŁĄDEK.

Zaprawdę, widzieć jak wieszają żyda. —
Zbawienie wasze wielce mię obchodzi;
Bo jeśli szczerze mówić mi się godzi,
Na córkę klątwą grzech ojcowski spada.
Nie traćcie serca; bo mi cóś powiada
Że nie jesteście jego krwią i ciałem.

JESSYKA.

Czém więc? podrzutką?

ŻOŁĄDEK.

Tego nie widziałem;
Lecz waszym ojcem jest ktoś inny może,
A nie wasz ojciec.

JESSYKA.

Cóż mi ztąd, mój Boże,
Gdy mię potępia ciężki grzech méj matki?

ŻOŁĄDEK.

Zaprawdę, trudne z obu stron zagadki.
Żydówki rodu choć nie łatwo dociec,
Tu ciągnie matka, tam zagania ojciec;
By deszcz ominąć, chroń że się pod rynnę!
No patrzcie, państwo; dziecię to niewinne,
Że nie ochrzczone, musi pójść do piekła!

JESSYKA.

Ojcowskich błędów jam się już wyrzekła;
I z łaski męża, jutro chrzest przyjmuję.

ŻOŁĄDEK.

Zaprawdę, ja mu wcale nie dziękuję.
Na bożym świecie choć się głodem żyło,
Już nas chrześcian dość i przedtém było;
Jak wróbli w zbożu, lub dziczyzny w lesie.
To rznięcie bród żydowskich tak podniesie
Wieprzowe mięso, że i na śniadanie
Kawałka szperki człowiek nie dostanie!

JESSYKA.

Mój mąż nadchodzi, powiem coś mi gadał.

SCENA VIII.

ŻOŁĄDEK, JESSYKA, LORENZO.

LORENZO.

A cóż! czy wiecznie będziesz ją spowiadał,
I z nią jak zmora krzątał się po ganku?

JESSYKA.

Nie masz się czego lękać, mój kochanku.
Spowiednik taki małą ma ponętę;
Gdyż, dla mnie, mówił, niebo jest zamknięte,
Żem córką żyda.

LORENZO.

Widzisz go, ten głupiec!

JESSYKA.

Przy wiecznym ogniu chciał mię żywcem upiec...

LORENZO.

Precz ztąd...

ŻOŁĄDEK.

Zaprawdę, chciałem ją pocieszyć;
A szczerze mówić, panie, to nie grzeszyć...

LORENZO.

Do kuchni, łotrze!

JESSYKA.

Mówił zaś o tobie,
Że nawracając żydy w méj osobie,
Podnosisz cenę sadła, czy słoniny. —

(Lorenzo kijem okłada Żołądka.)

ŻOŁĄDEK, płacząc.

Aj waj! Zaprawdę, to nie z mojéj winy
Że ojciec pani synem jest proroka!

LORENZO.

Masz za kazanie! — Plecie wciąż jak sroka,
I chyba jadłem dziób mu zamknąć można!

(Żołądek wychodzi. — Noc oświetlona gwiazdami; widać księżyc nad miastem.)

No cóż, Jessyko, pani ta nabożna,
Bassania żona, jak ci się podoba?

JESSYKA.

To najświetniejsza naszéj płci ozdoba.
Jéj mąż powinien wieść przykładne życie,
Gdy los go szczęściem darzy tak sowicie,
Że już do raju tęsknić mu nie trzeba;
I jeśli kiedy dwaj mieszkańcy nieba
Podobne dobrać zechcą dwie ziemianki,
By zeń uczynić wieczne swe kochanki,
Ta pani będzie pierwszą; lecz o drugą,
Z pięknością równą, cnotą i zasługą,
Daremnie pytać.

LORENZO.

Macie więc wzajemnie
Dobraną parę, jak on w niéj, ty wemnie.

JESSYKA.

Czy tak? mnie saméj przyznać to należy.

LORENZO.

Pomówim o tém później, po wieczerzy.

(prowadząc ją ku galerji, w głąb.)

Już słońce zgasło... W taką noc wiosenną,
Gdy drżący wiatr całuje ziemię senną,
W niezwiędłe kwiaty gdy się niebo stroi,
Troilus klęczał na zwaliskach Troi;
I duszy swéj westchnienia słał boleśnie
Do greckich naw, gdzie za zwycięzcą, we śnie,
Kressyda biegła.

JESSYKA.

W taką noc uroczą,
Medea rwała ślaz i trawę smoczą,
Ezona starca czarem chcąc odmłodzić.

LORENZO.

I w taką noc, Jessyka by nagrodzić
Lorenza miłość, za kochankiem trzpiotem
Uciekła do Belmontu, jednym lotem.

JESSYKA.

I w taką noc, ten luby przeniewierca
Złoconém słówkiem sięgał jéj do serca;
Choć każde już stokrotnie mu służyło.

LORENZO.

I w taką noc, to śliczne dziewcze łżyło
Kochanka swego, pewnie dla pokusy;
On, by ją skarać, wziął jéj dwa całusy...

JESSYKA.

Ktoś idzie, słuchaj!

LORENZO.

Zawsze ktoś, u licha!

SCENA IX.

CIŻ, NERYSSA, w habicie zakonnym.

NERYSSA.

To ja, Neryssa.

JESSYKA.

Ty, w postaci mnicha?

NERYSSA.

Przerywam może?

JESSYKA.

Z mnichem się nie grzeszy.

NERYSSA.

Przychodzę z wieścią która was ucieszy;
Z klasztornéj celi pani tu przybywa.
Za narzeczonym tęskna i troskliwa,
Przy każdym krzyżu na kolana pada;
I Przedwiecznemu hołd najczulszy składa
Że dziś ustalił szczęście jéj, na długo.

JESSYKA.

Tyś jéj posłańcem?

NERYSSA.

Jéj duchownym sługą!
Nasz pan czy rychło w drogę się wybierze?

LORENZO.

Prześwietny doża daje mu wieczerzę
Z Antoniem kupcem, w téj tronowéj sali,
Gdzie dziś przed sądem jak złoczyńcy stali;
Z Hiszpańskim księciem beja sam zaprosił,
I króla kupców rządcą swym ogłosił.

NERYSSA.

Ach, to zaszczytnie! Idę więc co żywo
Pozdrowić pana wieścią tą szczęśliwą,
Przy trąb odgłosie i muzyce hożéj,
Przybyłéj z nami dla uczczenia doży. —

SCENA X.

LORENZO, JESSYKA.

LORENZO.

Jak mile nad Rialto księżyc świeci!
Usiądźmy tu; niech głos muzyki leci
Zmysłami w duszę: przez tę ciszę nocną,
Harmonii władza staje się wszechmocną.
O, spojrzyj w górę! patrz, jak nieba ściana
W złociste krążki gęsto jest zasiana;
A każda z gwiazdek które tam się roją,
W obiegu nocnym pieśń dołącza swoją
Do chóru niebian przed obliczem Boga.
Wszechświata duszą jest harmonia błoga;
My tylko ludzie, z pod zmysłowéj pleśni
Nie zdolni słyszeć téj aniołów pieśni!

JESSYKA.

Dla czego śpiew mi tak rozkwila duszę,
Że choć nie smętna, łzę uronić muszę?

LORENZO.

Bo duch silniejszy budzi się z tém pieniem,
A natężenie ducha jest cierpieniem.
Patrz na to stado źrebców bez wędzidła;
Brykają, lecą, każda pierś ma skrzydła,
Ogniste plemie, dziarskie krwią i duchem!
Lecz niech zatrąbka ozwie się nad uchem,
Lub dźwięk wojenny wstrzyma ich zapędy,
Jak wryte w ziemię wnet przystaną w rzędy;
Zdumione oko myślą się rozżarzy
Pod wpływem pieśni. — Ztąd poeci starzy
Zmyślili że Orfeusz gdy zaśpiewał,
W żywioły martwe duszę swą przelewał. —
Bo niema rzeczy tak ostygłéj, dzikiéj,
By w niéj nie zbudził czucia, prąd muzyki;
Ja nawet sądzę że gdy światy tworzył,
Harmonii prawa wieczny mistrz ułożył.
Ten kto śpiewności nie posiada w duszy,
Którego siła rytmu nie poruszy,
Ten zdolny do łupieztwa i do zdrady;
W nim płomień myśli jak mgła nocna blady,
A serce czarne jak twój włos, Jessyko;
Nie wierz tym ludziom. — Dusza jest muzyką!

SCENA XI.

CIŻ, PORTIA, NERYSSA.

PORTIA, w głębi.

Z Antonia domu ten kaganiec błyska;
Choć drobne światło, blask daleki ciska,
I słodką budzi w sercu mém nadzieję.

NERYSSA.

Gdy księżyc jasny, promyk ten ciemnieje...

PORTIA.

Tak większa sława mniejszą wnet zaciera.
Namiestnik pyszny w króla się przebiera;
Niech król wystąpi, cień w pogardzie znika,
Jak w morzu wielkiém wązki nurt strumyka.
Czy słyszysz lutnie?

(Słychać dalekie granie.)

NERYSSA.

Słyszę chór wieczerzy.

PORTIA.

Piękności władza na kontraście leży;
Ten chór mi teraz milszym jak w południe.

NERYSSA.

Jak z nocną zorzą śpiew się łączy cudnie!

PORTIA.

Bo w dziennéj wrzawie, kawki krzyk żałobny
I śpiew skowronka, mają dźwięk podobny;
I słowik niemy, aż zamilkną kruki...
Stosowna pora jest urokiem sztuki. —
Tak z Endymionem śni Dyana w niebie,
To cień i światło.

LORENZO.

Ktoś jest, blisko ciebie;
Ten ktoś mi znany: wstań, usłyszę lepiéj.

PORTIA.

On mię poznaje jak kukułkę ślepi,
Choć jéj nie widzą.

LORENZO.

Składam hołd, méj pani!

PORTIA.

Przyjazdu mego wszak mój mąż nie zgani;
Czy rychło wraca?

LORENZO.

Dziś zabawi jeszcze;
Obecność drogą zaraz mu obwieszczę:
Lecz oto idzie.

(Słychać odgłos trąb.)

PORTIA.

Nie mówże nikomu
Że już od raną tu przybyłam z domu.

NERYSSA.

Nikt nas nie pozna. Wszakże my z mężami
Umiemy trzymać język za zębami. —

PORTIA.

Ta noc wygląda jakby dzień ponury,
Gdy krąg słoneczny skryje się za chmury...

(Z obu stron się wysuwa stół zastawiony wieczerzą; sala się rozwidnia.)

SCENA XII.

CIŻ, DOŻA, ANTONIO, BASSANIO, GRATIANO, LEONARDO, ŻOŁĄDEK, BEJ MAROKAŃSKI, KSIĄŻE ARRAGOŃSKI, SENATOROWIE, ORSZAK, PAZIOWIE, MUZYKA, SŁUDZY.

DOŻA.

Ta noc wygląda jakby dzień bez końca:
Gdy widzę panią, nie żałuję słońca.

PORTIA.

Przezacny książe, choć dla naszéj sławy

Półdzionek lepszy niźli dzień jaskrawy,
Niech dzień ten błyszczy nad Wenecyi szczęściem.

DOŻA.

I nad pomyślném pani méj zamęźciem. —
Zatrzymać chciałem tych łaskawych gości.

BEJ MAROKAŃSKI.

Najchętniéj służę; lecz don Karlos pości.

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Zobaczym.

(Wszyscy zabierają miejsca.)

PORTIA.

Powrót chciałam wasz uprzedzić.

BASSANIO.

Antonio wkrótce przyrzekł nas odwiedzić;
Winienem mu cenniejszy dar nad życie,
Bo miłość twoją.

ANTONIO.

Nadto mi płacicie,
Zostając pierwsi w mych przyjaciół rzędzie.

PORTIA.

Nad wolność ojca cóż mi droższém będzie?
Żem się wywdzięczyć sercem jest gotowa,
Dowiodą czyny lepiéj niż wymowa.

BEJ MAROKAŃSKI.

A ja dowiodę że mam głód za pięciu.

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Przy swoim zostań.

BEJ MAROKAŃSKI.

Chcę pomagać księciu.

(patrząc na Nerysse.)

O Mahomecie! co za rzecz niemiła
Że ta huryssa w mnicha się zmieniła!

GRATIANO do Neryssy, na stronie.

Przysięgam żem niewinny jak baranek;
Czy ci obrączka droższa niż kochanek?
Już tego malca chętnie bym wychłostał,
Gdy tak się srożysz za to że ją dostał.

DOŻA.

Więc druga sprawa w sądzie się zaczyna?
Wprzód wiedzieć pragnę jaka jéj przyczyna;
O cóż tam idzie? śledztwo jest otwartém.

GRATIANO.

O marny pierścień dany mi półżartem,
Na którym napis błahy, jak zazwyczaj,
Był taki: « Strzeż mię, nigdy nie pożyczaj! »

NERYSSA.

Nie idzie tu o napis lub o wartość! —
Przysiągłeś żonie wierność i otwartość,
Że go zachowasz dla miłości ku mnie,
Że nas po śmierci ma zjednoczyć w trumnie;
Już tę przysięgę Bóg zapisał w niebie,
Nasz pierścień ślubny świętym był dla ciebie:
A tyś go dał jednemu z tych młokosów
Na których brodzie nikt nie widział włosów!

GRATIANO.

I wąs dostanie w swéj dwudziestéj wiośnie.

DOŻA, śmiejąc się.

Tak, jeśli dziewcze w mężką płeć przerośnie!

GRATIANO.

Na honor mój, to potwarz oczywista;
Ten pierścień dostał woźny, czy jurysta,
Twojego wzrostu właśnie i urody;
I tak się naparł psotnik ów bezbrody,
Że go przekonać już nie było można.

DOŻA.

Źleś waćpan zrobił. Jestto rzecz bezbożna
Obrączkę stracić, pierwszy dar od żony.
Ten dar z jéj duszą był ci powierzony,
I z twojém ciałem spoił się na wieki.

PORTIA.

I ja też dałam, dzień to nie daleki,
Onegdaj, sygnet, wraz z miłością całą
Narzeczonemu. Lecz przysięgnę śmiało,
Że on za żadne skarby go nie straci;
A za tę wierność, moja mu zapłaci.
Wstydź się! dla dziewcząt krzywda to nie mała;
W podobnym razie ja bym oszalała.

DOŻA.

Signor Bassanio, naléj mi tę czarę;
Wypijem zdrowie.

(Bej Marokański dobiera sobie puhar do wzrostu.)

BASSANIO, na stronie.

Gdybym miał za karę
Uciętą rękę, przysiągłbym spokojnie
Żem ją z pierścieniem stracił gdzieś, na wojnie!

DOŻA.

Najmilsi goście, jak Bassanio z panią,
Tak niech Marokko złączy się z Hiszpanią!

(Muzyka.)

PORTIA.

A gdzie obrączka? czy mię wzrok nie myli?

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Aha! w dzień ślubny, już się poczubili.

GRATIANO.

Obrońcy swemu mąż twój nią zawdzięczył,
I dobrze zrobił; moją mi wymęczył
Piskliwym głosem, ów gryzmoła drugi;
I nic niechcieli przyjąć za usługi
Prócz tych pamiątek. Lecz...

PORTIA.

Ach! to nikczemnie,
Dać mu ten sygnet coś go miał odemnie!

BASSANIO.

Występku mego kłamstwem nie obciążę;
Lecz wiarę dasz, i wy, dostojny książę,
Iż z mego palca wdzięczność go ściągnęła.

PORTIA.

Jak z serca twego miłość już spłonęła!
Nie będę twoją, świadczę się przed Bogiem,
Aż go zobaczę.

NERYSSA.

Przed Neryssy progiem
Stać będziesz wiecznie, z moim aż nie wrócisz

BASSANIO.

Najdroższa żono! ty dni moje skrócisz;
Ten sygnet dałem za Antonia życie,
I moje własne: bo mi zaświadczycie
Że o pół doby przeżyć go nie chciałem!
On nas wybawił swoją krwią i ciałem,
Adwokat z Padwy pragnął mieć koniecznie;
Lecz i bez niego, ja cię kocham wiecznie!

PORTIA.

Nie wierzę temu, boś już złamał wiarę,
I z méj miłości zrobił mu ofiarę.

Ja z nim straciłam wszystko co na świecie;
Tyś nie obrońcy, tyś go dał kobiecie!
Dziś mię Nerysa uczy co mam sądzić;
Ufnością zbytnią więcéj nie chcę błądzić.
To mię zabije : gdyż jak Bóg na niebie,
Kochance dałeś pierścień mój, i siebie!

BASSANIO.

Na duszę moją, krzywdę mi wyrządzasz,
O taką zbrodnię jeśli mię posądzasz!
Don Baltazar nie przyjął mych pieniędzy,
Lecz chciał obrączki. Krew mu dałbym prędzéj,
Więc odmówiłem. Już odchodził smutny,
On który wydarł śmierci tak okrutnéj
Naszego zbawcę. Otóż mu posłałem
Na pamięć wieczną; cóż uczynić miałem?
Nad życie droższy honor nasz rozkazał
By niewdzięcznością mąż twój się nie zmazał;
Lecz na tę gwiazdę co nad tobą pała,
Twój pierścień ślubny sama byś mu dała.

PORTIA.

Strzeż się pan pilnie, by ten doktor młody
Odemnie większéj nie chciał też nagrody;
Bo niech w Belmoncie zjawi się przypadkiem,
Małżeńskie czucia, względy, Bóg mi świadkiem,
To wszystko jego : będę mu wzajemną,
Jak byłam tobie, gdyś był szczery zemną.
Kto wziął obrączkę, ten zostanie mężem.

BASSANIO.

On pierwéj z moim spotka się orężem!

NERYSSA.

Psotnika malca wezmę za kochanka.

GRATIANO.

A ja na schodach skręcę mu kolanka!

DOŻA.

Imieniem prawa, te wyroki oba
Stwierdzamy naszym. — Tak się nam podoba.

BEJ MAROKAŃSKI, pijąc.

Jam tu na ucztę przybył, nie na sądy.

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Czy takie gardło mają twe wielbłądy?

BEJ MAROKAŃSKI, trącając go.

O, jeszcze większe, i dwa takie garby!

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Na których wozisz twe skradzione skarby.

BASSANIO.

Niewdzięczna Portio!

GRATIANO.

Żegnam cię, dziewczyno!

ANTONIO.

Jam jest nieszczęsną waśni téj przyczyną;
Do zgody łatwiéj cnota się nakłania.
Już raz me ciało dałem za Bassania,
Gdy nas jurysta zbawił swą wymową;
A teraz duszą ręczę ci na nowo
Że mąż twój, pani, słowa ci nie złamie.

PORTIA.

Czy mam uwierzyć?

NERYSSA.

Czy twój wzrok nie kłamie?

LORENZO, do Jessyki.

Patrz, miłość ślepa, czasem też i niema.

JESSYKA, pokazując księcia.

I głodna!

GRATIANO.

Szkoda że tu żyda nie ma,
By nam sfałszował takie dwa pierścienie;
Inaczéj, widzę, już się nie ożenię.

SCENA XIII.

CIŻ, SZYLOK.

SZYLOK, wchodząc i rzucając akt Neryssie.

Nu, bierzcie!

NERYSSA.

Dobrze. — Proszę was na chrzciny.

DOŻA.

Na cześć Antonia, dziś, od téj godziny,
Uchwalam zgodę; niech mu pani raczy
Dać drugi pierścień : zgromi, lecz przebaczy.

ANTONIO.

A teraz, przysiąż wiecznie go szanować.

BASSANIO.

To mój, na Boga! któż go mógł darować
Méj własnéj żonie?

PORTIA.

Ten jurysta sławny,
Ach, mężu, przebacz, mój kochanek dawny!

SZYLOK.

Masz, za twój zbytek.

BASSANIO.

Czylim się spodziewał?...

NERYSSA.

Wszak też i na mnie się nie będziesz gniewał,
Że jego woźny, przyszły mój małżonek,
Za takąż cenę zwrócił mi pierścionek?

SZYLOK.

Masz, za twój dowcip.

GRATIANO.

To przypadek srogi,
Przed ślubem jeszcze mieć małżeńskie rogi!

STEFANO, oddając list.

Do księcia doży.

DOŻA.

Cieszcie się, panowie!
Bellarja listek wszystko nam wypowie,
Przed obecnymi naszych pań sługami;
Wprowadzić obu.

NERYSSA, zrzucając habit.

Oto są przed wami!

BASSANIO.

Co widzę!...

GRATIANO.

Nieba!

DOŻA.

Że za waszym torem
Przybyła Portia stała się doktorem,
Nerysa woźnym; że ich piękne rączki
Od was przyjęły ślubne dwie obrączki,
Lorenzo prawnie wam zaświadczyć może.
(do Antonia.)

Mój zacny kumie, niech ci przytém złożę,
Choć czasem z morza złe nowiny miewasz,
Wiadomość lepszą niźli się spodziewasz;
Trzy twoje statki, przed odjazdem pani,
Ładowne złotem, wejdą do przystani.

ANTONIO.

Lecz jak wie doża?

DOŻA.

Doża wie o wszystkiém;
A ty, z jéj ręki, pociesz się tym listkiem.

SZYLOK, rozpacznie.

Aj waj!

BASSANIO.

Więc Portia broni mię i zbawia?

GRATIANO.

Neryssa żartem różki mi przyprawia?

PORTIA.

Pod mecenasem żony nie poznałeś!

NERYSSA.

Pod woźnym z Padwy bić kochankę chciałeś!

BASSANIO.

Czy w tym szkarłacie jeszcze znać doktora?

GRATIANO.

Czy psotnik z rana mnichem jest z wieczora?

PORTIA.

Z pozorów marnych sądzić się nie godzi.

NERYSSA.

Nie zawsze mnichem kto w kapturze chodzi.

ANTONIO, po przeczytaniu.

O pani droga! w méj obronie stajesz,
A teraz z życiem honor mi oddajesz?
Niech laurem sławy twoją skroń uwieńczę!

PORTIA.

Jam tylko wdzięczna.

(do Lorenza.)

Dobra wieść, młodzieńcze!
Mój woźny ci doręczy, bez zapłaty,
Akt darowizny, którym żyd bogaty,
Jessyki ojciec, z wianem jéj od matki,
Na was przelewa wszelkie swe dostatki.

DOŻA.

Czy prawda żydzie?

SZYLOK.

Prawda; sam przyniosłem.

BASSANIO.

Szyloka zdrowie!

(Muzyka.)

GRATIANO.

Wilk się skrył pod osłem.

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Nikczemny murzyn! dręczy mię nieznośnie.

BEJ MAROKAŃSKI.

Cóż mu po jadle? karzeł nie urośnie.

DOŻA.

Czy książe głodny?

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI.

Maur mi wszystko zjada!

BEJ MAROKAŃSKI.

To mój obyczaj, żyć na koszt sąsiada.

KSIĄŻE ARRAGOŃSKI, wstając.

Niech czart zabierze Maurów i Mogołów!

BEJ MAROKAŃSKI, podobnież.

Na Wołoszczyznie, zjadłem sto par wołów.

LORENZO.

Żołądek!

ŻOŁĄDEK.

Słucham.

LORENZO.

Bądź mu sługą wiernym:
Ci dwaj by zjedli księcia dom, z odźwiernym.
Dam naszych zdrowie! Wy miłości głodnéj
Sypiecie mannę!

(Wszyscy wstają.)

DOŻA, z puharem w ręku.

Już z północy chłodnéj
Wiatr bije w okna i pochodnie gasną.
Jeżeli chcecie mieć odpowiedź jasną
Na te wypadki dzisiaj wam zdarzone,
Niech każdy z was powoła swoją żonę;
I przy modlitwie, gdy ją zbada szczerze,
Niech prawomocne śledztwo zeń odbierze.
Ja też mój pierścień, ja wenecki doża,
Wrzuciłem ongi do morskiego łoża;
I gdy w tém łożu spocząć mi wypadnie,
Antonio przy was mię wyręczy snadnie.
Lecz nim to będzie, związek wasz uświęcę;
Niech wasze serca, jak te bratnie ręce,
Ogniwem wiecznem Bóg miłości zwiąże.

(Muzyka.)

WSZYSCY.

Niech żyje doża, ojciec nasz i książe!

MACOCHA

DRAMAT W PIĘCIU AKTACH, PODŁUG BALZAKA.

OSOBY

PIOTR WOJNICKI, jenerał.
NATALJA, jego żona.
ZOSIA, } ich dzieci.
LEON, }
STANISŁAW ZBROINSKI, rządca zakładu.
JAŃSKI, lekarz.
RÓŻEWSKI, baron.
JAN DOBRZYCKI, prokurator.

PREZES komisyi śledczéj.
MEJZNER, aptekarz.
GABRYCH, dozorca.
IGNACY, } służący.
MAŁGORZATA, }

PISARZ SĄDOWY, DUCHOWNI, STRAŻNICY, CZELADŹ, i t. d.

Rzecz się dzieje w 1830 roku, w zakładzie sukiennym na Szląsku.

« Hippomanes quod sæpe malæ legere novercæ. »

VIRGILIUS.

AKT PIERWSZY.

Salon przyozdobiony portretami Napoleona i księcia Poniatowskiego. W głębi, drzwi do ogrodu z gankiem. Na prawo, drzwi do pokoju Zosi; na lewo, do mieszkania Jenerała i Natalji.
W ukośnéj ścianie przy pokoju Zosi, kosz z kwiatami pod źwierciadłem; na przeciwko, komin bogato przybrany. Na przodzie, dwie kanapy.

SCENA I.

NATALJA, JENERAŁ.

NATALJA, układając kwiaty.

Ten plon dla Zosi. Jak własnego szczęścia,
Wierz mi że z duszy pragnę jéj zamęźcia;
Bo już i czas! W dwudziestym drugim roku
Że dotąd męża nie ma na widoku,
Rodziców oczy łatwiéj go dostrzegą.
Mnie bardzo to na sercu...

JENERAŁ.

A, dla czego?

NATALJA.

Macochy nazwa... to synonim zdrady,
W sławiańskiéj mowie naszéj bez ogłady;
Chcę być jéj matką. Wiesz co mówią z cicha?
Że w moim ręku kwiatek ten usycha...

JENERAŁ, porywczo.

Co! gawiedź szląska śmiałaby nas także
Wziąść na języki? Chociaż przy podagrze,
Te smocze żądła ja podetnę trochę!
Więc oni ciebie liczą za macochę,
Coś od kolebki była dla sieroty
Nauczycielką i przykładem cnoty?
Nie cierpię plotek; bo nikczemnik hardy,
Zazwyczaj niemi chroni się od wzgardy!

NATALJA, z prostotą.

Świat na obmowie stoi, tu i wszędzie.
Sąsiedztwo do nas wieczny żal mieć będzie
Że żyjem na wsi, jak dwaj pustelnicy,
Nie pod Wrocławiem, lecz tu, przy granicy;
Że nasze sukno, choć z kaliskiéj wełny,
Na targu lipskim odbyt ma zupełny,
Bo lepsze, tańsze, jak ich własne płody,
Utopiłby nas każdy w łyżce wody
Za błogą ciszę po wojennym chrzęście,
A cóż dopiero za domowe szczęście!
Pan Jański nawet, doktor twój z nad Niemna,
Któremu kuchnia nasza tak przyjemna,
Codziennie za to dręczy nas i nudzi
Że wyszedł z mody w Litwie, czy na Żmudzi!

JENERAŁ.

Co! Jański, mój przyjaciel, mój kolega?

NATALJA.

Koledze twemu strasznie to dolega
Że w żadnéj wdówce, w miesiąc po pogrzebie,
Nie wzniecił uczuć jakie mam dla ciebie;
Śmie nawet sądzić żem obłudną żoną,
Że jakąś rolę gram tu podłożoną...
Od lat dwunastu, czyli to być może?

JENERAŁ.

Niech sobie gada... żal się panie Boże!
Gdzie jaka żona, księżną lub odźwierną,
Przez lat dwanaście mogła być niewierną?
Ja dam Jańskiemu za ten żart litewski!

NATALJA.

A więc, podobno, zjeżdża pan Różewski..
Mnie tęskno nawet że nie dosyć spiesznie.
Z górnego Szląska, lecz się uczył w Lesznie;
Młodzieniec rządny i majętny bardzo...
Szczęśliwsi od nas niech miljonem gardzą!
Zastawnych listów ma dwie pełne teki,
Książęce dobra, i bez hipoteki;
Odprawić go nie byłoby rozumnie...
Od lat dziecinnych miał znajomość u mnie,
Bo trochę krewny... dostał przed pół-rokiem
Barona tytuł: nazwa brzmi z urokiem,
On sam przystojny i z dobrego rodu.

JENERAŁ.

Wolarzem czeskim ojciec był za młodu...
Pan baron... baron... to coś brzmi z niemiecka;
Szlachcica wolę z Dukli lub Osiecka,
Choćby też w lesie rodził się pod krzakiem.
Lecz jeśli Różek prawym jest Polakiem...

NATALJA.

Majętny bardzo .. już ukochał Zosię,
Więc szczerze myśli o kochanki losie;
A nasza córka tak potulna, słodka...

JENERAŁ.

Potulna, Zosia? mów że ta szczebiotka
Odemnie nawet ma uczucia żwawsze.

NATALJA.

Wszak moje chęci tyś uprzedzał zawsze!

JENERAŁ.

Bo ty, Natalko, chcesz co mi jest miłém!...
Doktora więc na objad zaprosiłem.
Jańskiego nosa boi się podagra;
Ja na nią cierpię: on na nosie zagra,
Ja zaraz w kozły, nawet i bez kija...
Mam lat... już nie wiem; on mnie nie dobija,
Jak Gabrych żonę!... przytém jego rady
To balsam dla mnie... on zna moje wady,
I leczy prawdą... to lekarstwo lepsze,
Choć czasem gorzkie, niż mikstury, pieprze,
I kataplazmy. Proszę by jak wczora,
Tak dziś, węgierskie stało dla doktora.

NATALJA.

Mąż panem w domu.

JENERAŁ.

I z naszego zboża
Chleb żytni...

IGNACY, u drzwi środkowych.

Pan Różewski z Raciborza!

JENERAŁ.

O wilku mowa...

NATALJA, dając znak Ignacemu.

Ja owieczkę sprawię.
Pomówcie o posagu, o wyprawie,
Nim goście wejdą, zajmę się jéj strojem;
Ozdobię główkę różą i powojem,
Bo wiem, jak matka, to co jéj do twarzy.

JENERAŁ.

Ja wiem, jak ojciec, co rachunek waży,
Gdy przyjdzie płacić za panieńskie szaty;
Dwa razy więcéj niż przed dwoma laty!
Lecz o to mniejsza; te jedwabne grzechy,
Wszak to najmilsze dziewcząt są uciechy.

NATALJA.

Z matczynéj schedy wszystkie ma pożytki;
Już pełnoletnia...

JENERAŁ.

Zanieś jéj te kwitki.

NATALJA na stronie, wychodząc.

Tak jest, w istocie... dawniéj zbyt ubogo,
Dziś zbyt ozdobnie stroi się... do kogo?
Zobaczym.

SCENA II.

JENERAŁ, sam.

Anioł! Z méj Józefy raju,
Bóg mi ją zesłał po rozbiorze kraju,
Za to wygnanie, za te serca blizny,
Za krew przelaną w imie méj Ojczyzny!

SCENA III.

RÓŻEWSKI, JENERAŁ.

RÓŻEWSKI.

Najniższy sługa.

JENERAŁ.

A! pan baron Różek!

RÓŻEWSKI.

Różewski Paweł... ścielę się do nóżek.

JENERAŁ.

Czy zechcesz u mnie spędzić dzień lub drugi?

RÓŻEWSKI.

I cały miesiąc jestem na usługi!
Lecz niech pan hrabia się przychylić raczy
Do mojéj prośby.

JENERAŁ.

Mów, do stu kartaczy!
Ja znam twą prośbę... Oj, przebiegły Różku,
Ty damskie serca nosisz na łańcuszku,
Bo już Natalkę masz przyjazną w domu;
Od słabszéj strony bijesz do wyłomu.

RÓŻEWSKI.

Jak dzielny rycerz, wiem że pan jenerał
Do twierdzy zawsze szturmem się dobierał.

JENERAŁ.

Najprostszą drogą!

RÓŻEWSKI.

Więc obojgu wdzięczny;
W miłosnych walkach jeszczem tak niezręczny...

JENERAŁ.

A ja przeciwnie miałem go z daleka,
Za znającego wartość swą człowieka.

RÓŻEWSKI.

Zarozumiałość nie jest mym udziałem;
Dla tego właśnie żenić się zachciałem
Że czczę niewiastę jak sam hrabia czci,
Choć się nie umiem brać do piękněj płci...

JENERAŁ.

Do pięknéj płci?...
(na stronie.)
To zuch!
(w głos.)
Na koszu siędziesz,
I moim zięciem, Różku, już nie będziesz.

RÓŻEWSKI.

O, niech jenerał lepiéj mię zrozumie.
Ten sam zwycięża, kto zapewnić umie
Zwycięztwa losy; wszak jam też waleczny...

JENERAŁ.

Jak za szańcami Hiszpan, gdy bezpieczny.

RÓŻEWSKI.

Lecz pan jenerał mi pomięszał szyki.

JENERAŁ.

Więc naprzód!

RÓŻEWSKI.

Najprzód, żem okropnie dziki,
Więc mi nieznane te kobiece figle,
Zasadzki, zdrady, skryte na dwa rygle;
Ja nie wiem kiedy oczy ich promienne,
Miodowe usta, szczere są lub zmienne:
Przed niemi pierzcham i głupieję srogo.

JENERAŁ.

Przeszkody w boju są zwycięztwa drogą.

RÓŻEWSKI.

Nie dla mnie; głodny, chleba nie wydzieram,
A chociaż Szlązak, rzadko spór otwieram;
Nie lubię tańca, bo miłostki rodzi...

JENERAŁ.

Czy masz podagrę?

RÓŻEWSKI.

Innym się powodzi
Za takie słówka: « Ach, co za koronka! —
Ach, ten barwinek barwę wziął od słonka!
Ach, ten atłasik, to jak oczko pawia! —
Ach, żadna włosów piękniéj nie przyprawia!
Ach... »

JENERAŁ.

I tam daléj.

RÓŻEWSKI.

Oj, to ród pajęczy!
A każda muszka przecież im się wdzięczy!
Od białéj rączki, hajże do obrączki!
Ja od bredzenia dostałbym gorączki,
I nic nie zyskał...

JENERAŁ.

Prócz grochowéj wiązki.

RÓŻEWSKI.

To zysk ujemny.

JENERAŁ.

Mój rycerzu szląski,
Nie tacy byli, ręczę ci, kolego,
Ułani nasi, za Poniatowskiego!

RÓŻEWSKI.

Ztąd obojętnym każda mię nazywa,
Lecz pewnym siebie. Pewność ta prawdziwa
Czy też udana, przy złożonych rentach
Z intraty rocznéj, wpływach i procentach,
Czerwonych złotych przeszło trzy tysiące,
Że nie wspominam o parowéj mące,
Ta pewność, mówię, szczera czy nie szczera,
Podwoje szczęścia mi na wskróś otwiera.
O herb zmyślony łatwo dziś na świecie...
Bo kto feniga długu nie ma przecie
Na pańskich dobrach po nad Odrą niską,
Gdzie Hohenloe stary miał siedlisko,
Dziś wywłaszczony za książęce dłużki,
Na młynie i zameczku zwanym Różki,
Gdzie włoski ogród i cieplarnia sławna
O jakich w kraju nikt nie marzył z dawna...
Gdy kto posiada ważne te zalety,
Za pierścień ślubny wszystkie ma kobiety.
Mój ojciec w jarzmie ciągnął pług bawoli,
Więc ja, za ojca, bawię się do woli;
On siał, ja zbieram: żniwo jest miljonem,
Różewskim przecież jestem, i baronem.

JENERAŁ.

Nie, Różkiem.

RÓŻEWSKI.

Różkiem z Różków, i Różewskim.

JENERAŁ.

Nie, Różkiem tylko.

RÓŻEWSKI.

Wszak w statucie czeskim
Szlachectwo z ziemi...

JENERAŁ.

Miecz mój prawodawca!...
Ja zaś nie ścierpię by mój zięć łaskawca
Krył się z nazwiskiem od rodziców daném,
Choćby się rodził żydem lub cyganem.
Twój zacny ojciec, bo nim żyd być może,
Sam pędzał woły z Bilska na Pomorze,
I zwał się Różkiem po dwóch brzegach Warty
A nie Różewskim.

RÓŻEWSKI.

To są wolne żarty.
W Berlinie dziś są Jaśnie oświecone
Ciemięgi, są sukmany pozłocone;
Dostanę więc nietylko herb rogacza,
Za to żem wyszedł z kupca na bogacza,
Lecz hrabstwo pruskie; późniéj, wstęp do dworu...

JENERAŁ.

Krzyżaka z ciebie zrobią, prócz ubioru!
Czyś proch wynalazł? Czyś najechał Litwę?
Czyś stoczył walną pod Różkami bitwę?
Aż śmiech...

RÓŻEWSKI, śmiejąc się.

To prawda...

(na stronie.)

Czemu ja się śmieję?

(w głos.)

Jam więcéj zrobił; bo się świat zdumieje
Żem chłopską skórę odział w strój hrabiowski.
Wszak i panienka nie z parobczéj wioski;
Niech sama powie czy ją mniéj zachęci
Koronę z pereł widzieć na pieczęci,
Niż gładką tarczę z cyfrą, bez korony.

JENERAŁ.

No, jeśli jeszcze pruskie te androny,
Karane w Polsce prawem jéj równości,
Najmniejszy powab mają dla jejmości,
Więc zgoda na to, idź za twoim wiekiem!
Uczciwym, ludzkim zdajesz się człowiekiem;
Otrzymaj córki głos i przyzwolenie,
Mieć będziesz moje; słowa jéj nie zmienię.
Zastrzegam tylko... niech cię to nie zraża;
Że wolę ją prowadzić do cmentarza,
Niż do ołtarza z wnukiem lub siostrzeńcem,
Lub jakimbądź pokrewnym i rodzeńcem
Tych kilku ludzi... jeśli to są ludzie...
Nędzarzy wzrosłych w hańbie i obłudzie,
Co kraj sprzedali, jak wiadomo wszędy,
Za carskie łaski, ruble lub urzędy.
Jam dobry Polak, każdy mi to przyzna.

RÓŻEWSKI.

I Cesarz sam przyznawał...

JENERAŁ.

Bóg, Ojczyzna
I Cesarz, dla mnie jedno; potém żona
I dzieci: to cześć moja nieskażona,
Wieczysta... kto bożyszcza moje strąca,
Ten moim wrogiem; palę jak w zająca,
Bez skruchy, choćby miał przydomek szczytny...
To mój katechizm, krótki lecz dobitny.

RÓŻEWSKI.

Cóż Polak zyskał pod cesarskim znakiem?

JENERAŁ.

Co, kto!... pan Różek czy nie jest Polakiem?

RÓŻEWSKI.

Ach, owszem, owszem... język mi się skręcił.

JENERAŁ.

Więc nie spowiadaj! nikt cię nie wyświęcił
Na kapelana przy cesarskim boku...
A wiesz dla czego, po szesnastym roku,
Ja com Prusakom dzień w dzień łatał skórę,
A dziś ubieram w granat i purpurę,
Ja, pułkownikiem zwany przez Józefa,
Marszałka Francyi a mojego szefa,
Ja wreszcie, za Lipsk, Drezno, jenerałem,
Schroniłem się na Szląsku, i zebrałem
Przędzalnię z mych żołnierzy?

RÓŻEWSKI.

Bo za złoto,
Nie chciałeś, wolny, służyć pod despotą.

JENERAŁ.

Nie chciałem raczéj zginąć jak morderca...
Bo gdybym spotkał ludzi tych bez serca,
Krwią naszą zlanych, do Moskala lgnących,
Jurgieltem zdrady w oczy nam plujących,
A których podłość w carski strój oblekła,
Pierwszego, żywcem, wtrąciłbym do piekła!
I teraz jeszcze, choć mię wiek przyciska,
Gdy kto przypadkiem wspomni te nazwiska,
Gdy je wyczytam w książce lub gazecie,
Krew stara wre mi w żyłach, rozpacz gniecie,
Tak że bez broni rzuciłbym o ziemię,
Rozerwał zdrajcę!

RÓŻEWSKI, odsuwając się.

Aj!... to smocze plemie...
Muł Targowicy.

JENERAŁ.

Zdławiłbym jak węża!

(łagodniéj.)

A niechbym Zosi dał lichego męża,
Podobnie z nim postąpię.

RÓŻEWSKI.

Tam do kata!

JENERAŁ.

Choć niechcę żeby golca lub magnata
Za nos wodziła. Mąż a król, to jedno;
Jak ja tu jestem.

RÓŻEWSKI, na stronie.

To mi trafia w sedno...
Tu król w spódnicy.

JENERAŁ.

Co tam żujesz wasze?

RÓŻEWSKI.

Ja?... że tą groźbą wcale się nie straszę;
Wszak pierwsza miłość kończy się aż w grobie.

JENERAŁ.

Zasada nie zła. Teraz o chudobie.

RÓŻEWSKI, na stronie.

Tu sęk!

JENERAŁ.

Na wstępie do niéj się zaliczy...

RÓŻEWSKI.

Z uwagą słucham.

JENERAŁ.

Spadek jéj dziewiczy
Po matce i po wuju; czyste wiano,
Z którego na mnie grosza nie przelano:
Lub złotych polskich pięćkroć sto tysięcy.

RÓŻEWSKI.

To pół miljona.

JENERAŁ.

Właśnie... i co więcéj,
O procent roczny sumka się podnosi,
Bo pełnoletnia... to posażek Zosi.

RÓŻEWSKI.

Pięćkroć dwadzieścia pięć tysięcy...

JENERAŁ.

Z pięciu
Zrób sześćkroć.

RÓŻEWSKI.

Zkądże?

JENERAŁ.

Z méj szkatuły, zięciu.

RÓŻEWSKI.

To bardzo pięknie.

JENERAŁ.

Lecz po mojéj śmierci,
Pół grosza więcéj nie dam, ani ćwierci.

RÓŻEWSKI.

To źle. Ze schedy nic już nie obliznę?

JENERAŁ.

Napoleonka kocham jak Ojczyznę.

RÓŻEWSKI.

Wiem, księcia Reichstadt...

JENERAŁ.

Nie, z Natalji żony,
Mój syn Leonem został tu ochrzczony;
Tak chciały szwabskie szuby i bermicki,
Lecz w sercu jest Napoleon Wojnicki.
A że jak wielu, nawet na tułactwie,
Szlachectwa nie zasadzam na próżniactwie,
Więc wolę twardy lecz zapracowany
Kawałek chleba. Jakem był chowany,
Tak dzieci chowam; a dojrzałe kłosy
Dla nich i matki zbieram.

RÓŻEWSKI, na stronie.

Miód dla osy.

JENERAŁ, wstając.

Nie lubisz tego? no, to już po ślubie...
Bądź zdrów!

RÓŻEWSKI.

I owszem, ja się pracą chlubię;
Im więcéj z naszéj spółki mu przybędzie,
Tém dłużéj wdowa go żałować będzie.

JENERAŁ.

* To anioł, drogi Różku...

RÓŻEWSKI.

Nie, Różewski.

JENERAŁ.

Tak łatwiéj się wymawia. Duch niebieski,
Dla naszéj Zosi dany mi od Boga!
Pod jéj skrzydłami, ta dziecina błoga
Wyrosła czysta jak aniołek w raju.

RÓŻEWSKI.

Panienki piękność słynną jest po kraju...

JENERAŁ.

To moja córka.

RÓŻEWSKI.

Tak, cudownie śliczna;
Lecz pięknych Polek jest gromadka liczna,
I posażniejszych nawet od hrabianki.
Gdy zimą zwiedzam dwory lub lepianki,
O jak mię dręczą matki, a ojcowie,
A ciotki, babki... aż mi szumno w głowie;
Lecz mię to cieszy: więc objeżdżam w koło,
I po zameczkach bawię się wesoło.

JENERAŁ.

Patrz, jaki skromny!

RÓŻEWSKI.

Nie dla mnie, to pewna,
Wieczorki, bale i sielanka śpiewna;
Lecz dla spineczek złotych, dla batystów
Z herbowym różkiem, dla zastawnych listów
Z kuponem nieodciętym od trzylecia;
A zwłaszcza dla zwyczaju, jak u kmiecia,
Że każdy rozchód dzielę na trzy raty,
Wydając rocznie tylko pół intraty,
Copanny znają jak prawnicy starzy:
To mi zjednywa wzgląd u gospodarzy.
Pomimo tego, czyli wie pan hrabia,
Co mię szczególnie w jego dom przywabia?

JENERAŁ.

Bo kochasz Zosię.

RÓŻEWSKI.

Tak jest, i nawzajem
Chcę być kochanym.

JENERAŁ.

W tém ci słuszność dajem.

RÓŻEWSKI.

Lecz niemniéj dla jedności, dla prostoty,
Oddychającéj w tym przytułku cnoty.
Mam oko bystre; znam jak pan Koronę,
Obojga Szląska złą i dobrą stronę.

JENERAŁ.

A znasz przysłowie, mój Szlązaku z Pragi,
Ciekawość pierwszym stopniem...

RÓŻEWSKI.

Do rozwagi.

JENERAŁ.

A zatém?

RÓŻEWSKI.

Zatém, w tych rodzinach świetnych,
Są zacne wzory przy szczegółach szpetnych.
Przykładne matki, panny bez kozery,
Jak trusie skromne, wdzięczne jak Wenery,
Niebianki same widzą w nich sąsiedzi;
Komunię każdéj dałbyś bez spowiedzi,
Majątek bez rewersu... jak to zrobił
Kapitan Krupski; co gdy targu dobił
Na niby z siostrą i odstąpił krocie,
Zamkniętą bramę zastał po powrocie.
To wszystko święcie i na pozór pięknie;
Lecz wejdź w głąb rzeczy, aż się czart przelęknie*.

JENERAŁ.

Na byczéj skórze tego nie wypisać.
Ja zaś w złudzeniach wolę się kołysać
Z którémi zwykły życia kres przeżyłem.
Chcę czcić Ojczyznę, bo za nią walczyłem,
I dotąd cierpię na wygnańczéj kaźni...
Twój wybór wszakże godzien méj przyjaźni;
Masz mój szacunek: wyraz ten ostatni.

RÓŻEWSKI.

Serdeczne dzięki...

(na stronie.)

Mam już teścia w matni.

SCENA IV.

CIZ, ZOSIA, NATALJA.

JENERAŁ.

A chodźże, Zosiu!

NATALJA.

Ładnież jéj z tą różą!

RÓŻEWSKI.

Pa... panno Zo...

JENERAŁ.

Co! już Szlązaki tchórzą?

RÓŻEWSKI.

Olśniony jestem słońcem jéj piękności.

NATALJA.

Przepraszam. Jako dla najmilszych gości,
Żem nie zazdrosna, córką się zaprzątam.
(do Zosi.)
Różewski baron.

RÓŻEWSKI, na stronie.

Już się nie wyplątam.

NATALJA, do Różewskiego.

Pomówcie z sobą szczerze; ja wychodzę.
(do Jenerała.)
Daj rękę; Jański pewno już na drodze.

JENERAŁ.

On mym lekarzem, tyś jest mojém zdrowiem.
Aniołku, zabaw gościa.

(Natalja z jenerałem idą na ganek; Stanisław wygląda z pokoju Zosi, na jéj skinienie cofa się i znika.)

RÓŻEWSKI, na przodzie sceny.

Cóż jéj powiem
Czarującego, jak jéj wdzięk, uroda...
Już wiem.
(w głos.)
Panienko, jaka dziś pogoda!

ZOSIA, z uśmiechem.

Majowa...

RÓŻEWSKI.

Dzień ten może przez panienkę
Być majem szczęścia...

ZOSIA, na stronie.

Znam już tę piosenkę...
(w głos.)
A w jaki sposób? dla mnie to zagadka.

RÓŻEWSKI, popędliwie.

Panienko!

ZOSIA.

Panie!

RÓŻEWSKI.

Czy jéj druga matka
Nie uprzedziła o mych przedsięwzięciach,
Nadziejach serca i czułości chęciach?

ZOSIA.

Ach, tak! najrzadsze sypie mu pochwały.

RÓŻEWSKI.

Czy z jéj wrażeniem zgodne się zdawały?

ZOSIA.

Zupełnie zgodne.

RÓŻEWSKI, na stronie.

To cóś bardzo nagle.
Lecz wiatr pomyślny, więc rozwijam żagle...
(w głos, z zapałem.)
Czy też wyrzekła, że za jedno słowo,
Na Różkach będzie panią i królową?

ZOSIA.

Królową? to za wiele dla szlachcianki,
Lub też za mało. Znasz pan te zaścianki;
Tu skromne szczęście jak poziomka kwitnie...
Pan zmierzasz do nas, bardzo to zaszczytnie.

RÓŻEWSKI.

Jéj wdzięki, cnoty, cały kraj wysławia!

ZOSIA.

Pan pod figurą pewnie tak przemawia...

RÓŻEWSKI, dając jéj spinkę złotą.

Serdeczny turkus przyjąć racz odemnie...

ZOSIA.

Kołnierzyk zmiął się... niech go pan odemnie!

RÓŻEWSKI, padając na kolana.

Ach, kocham panią! kocham ją goręcéj
Niż pannę Życką; ba, sto razy więcéj
Jak dwie Cybulskie, jak trzy Ogrodzińskie...

ZOSIA.

Ach! dosyć, panie... to jak koło młyńskie!
Ta nagła miłość którą pan przejęty,
Aż mię zachwyca; cały Szląsk wycięty!...
Wszak ojciec pański tylko gnał ofiary,
Pan je dobijasz!

RÓŻEWSKI, na stronie.

Żart, czy z dobréj wiary...
Poczekaj trochę!

ZOSIA.

Pan nie lubisz czekać,
A ja...

RÓŻEWSKI.

A pani nie chcesz się wyrzekać
Rodziców własnych, tak przy nich szczęśliwa...
Czym zgadł jéj myśli?

ZOSIA.

Pana myśl prawdziwa.

RÓŻEWSKI, na stronie.

Już znam tę śpiewkę.
(w głos.)
Lecz, za grzeczne słówka,
Rodzicom samym godzi się wymówka
Że ich córeczka jeszcze nie dojrzałą;
A gdy jenerał mi zaręczył śmiało
Że pani liczy rok dwudziesty wtóry,
Przemówić mogłem, nawet bez figury.

ZOSIA.

Zkąd znowu...

RÓŻEWSKI.

Rządzisz swym i moim losem.
Lecz silny ojca i macosi głosem,
Radbym przebłagać, méj miłości szałem,
Jéj serce wolne, jak z ich ust słyszałem.

ZOSIA.

Pan nie masz prawa, równie jak macocha,
Do téj spowiedzi...

RÓŻEWSKI, na stronie.

Sroży się, więc kocha.

(w głos.)

A ktoż bez walki szczęścia się wyrzeka?

ZOSIA.

Czy jeszcze?... żegnam.

RÓŻEWSKI, na stronie.

Wet za wet, ucieka.

ZOSIA.

Pan tak zamożny, rządny i przystojny,
Tak wychowaniem i dowcipem zbrojny,
Zdobędzie posag u Cybulskich, Życkich
Lub Ogrodzińskich, łatwiéj niż Wojnickich...
Jam nie tak prędka, jak pan baron Różek.

RÓŻEWSKI.

Różewski...

(na stronie.)

Jutro spłacę ci ten dłużek.

(w głos.)

A jeśli kocham?

ZOSIA.

Kochaj za granicą,
Lub zostań księdzem.

RÓŻEWSKI, na stronie.

A ty, zakonnicą.
Jest wilk w owczarni!

(w głos.)

By żal mój przetrawić,
Czy mi téż wolno choć dwa dni zabawić?

ZOSIA.

Odpowiedź panu ojca jest mozołem.

(odchodząc.)

Przed złotym cielcem ja nie biję czołem.

NATALJA wchodząc, do Różewskiego.

Cóż, zwyciężyłeś?

RÓŻEWSKI.

Siebie... bo z rozpaczy
Zaledwiem się nie zabił.

NATALJA.

Cóż to znaczy?

RÓŻEWSKI.

Ze już ma kogoś.

NATALJA.

Zosia? być nie może;
Tu nikt nie bawi...

(na stronie.)

Słowa te jak noże
Tkwią w mojém sercu...

(w głos.)

Wprost ją pan zapyta.

RÓŻEWSKI.

Pytanie próżne... żart za żart i kwita.

NATALJA.

Dziś ją wybadam jeśli pan odwlekasz!

JENERAŁ, pod gankiem.

Patrz, od Gabrycha spieszy tu pan lekarz.

SCENA V.

CIŻ, DOKTOR JANSKI.

JENERAŁ.

W nieboszczki ciele cóżeś tam wyszperał?

JAŃSKI, ocierając czoło.

To nic... Dzień dobry. Widzi pan jenerał
Że moją służbę pełnię jak najściśléj.
Kto bije żonę ten jéj struć nie myśli,
Bo własnoręcznie woli ją zamęczyć.

JENERAŁ.

Więc mąż niewinny?

JAŃSKI.

Za to mogę ręczyć.
A gdy, niechcący, zgładzić się poważył,
Rozpacza potém, że zbyt mocno prażył;
Tymczasem Gabrych cieszy się widocznie
Zostawszy wdowcem, że mu ręka spocznie.

JENERAŁ.

Przedziwny.

RÓŻEWSKI.

Przedni.

JENERAŁ do Jańskiego, prezentując.

Oto pan...

RÓŻEWSKI.

Różewski.

JAŃSKI, po spojrzeniu z ukosa, nos ucierając.

To nic... Cholera winna, dar moskiewski
Jak dżuma, głód, szarańcza... i tam daléj.
W Egipcie z sobą jużeśmy gadali;
Nim na Europę za Moskalem skoczy,
Nie źle żem z bliska mógł jéj zajrzeć w oczy.

NATALJA.

Więc niema zbrodni? panie, co za szczęście!

JAŃSKI.

Jeżeli zmyślam, zaraz mię uwięzcie.

NATALJA.

Nasz zakład zwykle tak porządny, cichy...

JAŃSKI.

Jak na odpuście, gdy się zjadą mnichy.

JENERAŁ.

Bóg zapłać. Tylko pewnyś jest swojego?

JAŃSKI.

Mnież pytać o to? mnie najsławniejszego
Lekarza w armiach polskich i francuzkich
Od Maciejowic aż do wojen pruskich;
W Hiszpanii, w Azyi, na Śrzodziemném morzu,
W Piotrkowie, w Lesznie, ba i w Raciborzu...
Po całéj kuli ziemskiéj!

JENERAŁ, trącając go.

To konował!

(do Różewskiego.)

On więcéj bydła od nas wymordował.

RÓŻEWSKI.

O tym wypadku cóżto wieść roznosi?

NATALJA.

Że nasz dozorca i karmiciel Zosi
Miał otruć żonę.

RÓŻEWSKI.

Czémże?

JAŃSKI.

A, trucizną.

RÓŻEWSKI.

A za co?

JAŃSKI.

Gabrych trudnił się bielizną;
Więc prał i Niemkę, czasem i bez mydła.

RÓŻEWSKI.

Zkąd miał truciznę?

JAŃSKI, nos sobie ucierając.

Z piżmu lub kadzidła...
Bo na cóż głupi z Szwabką się ożenił?
Małżeński duet aż się w chór przemienił
Z orkiestrą całą. Szkoda że nie brali
Nastroju z państwa.

RÓŻEWSKI.

Więc fałszywo grali...
Hrabiny cnoty, to jéj piękność druga!

NATALJA.

Przy takim mężu, wielkaż to zasługa?

JENERAŁ.

Podobne słowa blask jawności studzi.

JAŃSKI.

Podobne słowa mówią się dla ludzi.

JENERAŁ.

A co tam brzdąkasz? mówże w głos, u licha!

JAŃSKI.

Ja myślę głośno, to co mówię z cicha...
Myślałem tedy żem Litwinem z dziada,
Żem o trzylecie młodszy od sąsiada;
Że w równie święte radbym wejść przymierze,
By raz doświadczyć czym kochany szczerze.

JENERAŁ.

* Nieznośny.

RÓŻEWSKI.

Bo zazdrosny.

JENERAŁ, do Natalji.

Mój aniele;
Azali nie mam w sercu dosyć wiele
Potęgi boskiéj by cię błogosławić,
Dozgonną pamięć pragnę ci zostawić *!

NATALJA.

Kochanku drogi!

JAŃSKI.

Ładnie wam do twarzy!
Ja wiem staremu co się ztąd wywarzy;
Przy téj sielance przecież ja nie zmiękne.

RÓŻEWSKI.

Doktorze, są sielanki bardzo piękne
Choć stare...

JAŃSKI, nos sobie ucierając.

Zwłaszcza za bydełkiem, w polu.

JENERAŁ.

Dwa nosy utarł. Nie siéj ty kąkolu
Pomiędzy nami... bo cię jąk potwarcę
Za tę wątpliwość, ja na pewne skarcę.

JAŃSKI.

*O, ja nie wątpię! Bóg ci dał potęgę
Do tylu spojrzeń w twéj miłości księgę,
Że dla mnie właśnie rzecz uwagi warta
Jak mogła zostać kartka w niéj niezdarta;
Więc, jako lekarz, radzę być ostrożnym,
I w siedmdziesiątym roku mniéj nabożnym*.

JENERAŁ.

Ostatnia miłość wszak jest najgorętsza.

JAŃSKI.

Gorączka wzrasta, gdy słabieją wnętrza.
Z téj zaś gorączki, przy słonecznéj porze,
Maligna z czasem się wywiązać może.

NATALJA podchodząc do Jańskiego, łagodnie.

Dla czego doktor, a nasz gość niezbędny,
Na zdrowie nasze jak na swoje względny,
Zaczepki szuka dziś u przyjaciela?
Wiesz że porywczy i że trafnie strzela;
Téj porywczości sama tak się boję,
Żeśmy sąsiedztwa zrzekli się oboje...
Choć raz, dla pana, czym niegrzeczną była?

JAŃSKI, na stronie.

To nic... już wojna. Wszystkich się pozbyła,
I na mnie rychło wyjdzie tuz żołędny.

RÓŻEWSKI.

Doktorze, powiedz, jako gość niezbędny,
Czy panny Zofii znasz narzeczonego?

JAŃSKI, powstając.

Pan baron musisz krewnym być pewnego
Wolarza z Pragi... Samuel Horn, czy Adam...
Ostatni z Różków...

RÓŻEWSKI.

Dziś się nie spowiadam.

JAŃSKI, nos sobie ucierając.

To nic... lecz ojca, nawet kat pamięta.
Horn, Różek... Różek, Horn... rzecz niepojęta
Jak się to składa. Obcym się nie dziwię;
Lecz zwiąc się z polska, trzeba żyć uczciwie,
Jak ja, czcić prawdę, ze złéj wiary szydzić,
Szczególnie swego rodu się nie wstydzić;
A pan, jak widzę, braci się wyrzekasz...

(odchodząc w głąb.)

Piżmowiec istny...

RÓŻEWSKI.

Trębacz, nie aptekarz.

(Słychać dzwon obiadowy.)

NATALJA, w głębi.

Otóż i Leon.

SCENA VI.

CIŻ, LEON, IGNACY, późniéj MAŁGORZATA.

LEON, przybiegając.

Tato, wszak mi wolno
Na Mośka wsiadać przed godziną szkolną?

JAŃSKI, wskazując Różewskiego.

A wsiądź!

LEON.

Pan Różek!...

JENERAŁ.
Jakto, już się znacie?

LEON.
Dał dwa karmelki dla mnie, Małgorzacie.

ZOSIA.
Aż dwa?

RÓŻEWSKI, szukając po kieszeniach.
Masz więcéj... dam ci, po obiedzie.

JENERAŁ.
Jedź, byleś nie spadł.

LEON.
Ja?

NATALJA.
Sam nie pojedzie;
Pan Staś nie może...

LEON.
Któż więc?

IGNACY.
Ja, Leonku.

LEON.
A czyś ty Niemiec? mów Napoleonku.

IGNACY.
Ten malec pieszo chciał mię wywieść w pole...

LEON.
On nie śmie oklep, ja bez siodła wolę;
Kto z nas mężniejszy?

JENERAŁ, całując go.
Ten landwerek drobny
Do mych krakusów będzie cóś podobny.

JAŃSKI z ukosa, do Natalji.
Do ojca zwłaszcza.

NATALJA, spiesznie.
Tak, co do żywości;
Mnie, co do twarzy.

JAŃSKI.
Prawda...
(na stronie.)
To dla gości.

MAŁGORZATA, wchodząc.
Do stołu, proszę.

NATALJA.
Pan Stanisław zwleka...
Leonku, może ujrzysz go z daleka;
W alei zobacz. Powiedz że dzwoniono.

LEON.
Z przędzalni właśnie pędził jak wrzeciono...

JENERAŁ.
Wszak sam nadejdzie. Różku, służę ci;
Choć się nie umiesz brać do pięknéj płci...
Przy Zosi usiądź.

RÓŻEWSKI, podając rękę Zosi.
Ach, jak śliczny wianek!

NATALJA.
Małgosiu, pomnij wynieść kosz pod ganek...

JAŃSKI do Różewskiego, idąc ku Natalji.
Zbyt wonne kwiaty, to jak dłoń macosza,
Duszące; zatém, strzeż się pan... od kosza.

JENERAŁ.
Daj żonę, Jańsiu; przeproś za gdéranie.

JAŃSKI, na stronie.
To nic... kaleka stary...
(do Leona.)
Chodź, tyranie!

LEON, obracając się z nim w koło.
Tyranie? ja dopiero cię potéram!...

SCENA VII.

STANISŁAW sam, wychodząc z pokoju Zosi.

Już wyszli, wszyscy... ledwo nie umieram...
Leonek skłamał... zbawił mię i Zosię,
Bom w jéj pokoju... O nieszczęsny losie!
Wciąż jak złoczyńca skradać się, uśmiechać,
Z rozpaczą w sercu... lepiéj by zaniechać
Téj wiecznéj walki z ojcem i macochą,
Z nią zwłaszcza... Zosia, przez wymówkę płochą,
Różkowi rogów już natarła snadnie;
Lecz ja... gdy ojciec powód jéj odgadnie!
Koniecznie trzeba wybrnąć z téj kolei.
Na ganek pójdę nibyto z alei.
Jak Leon zmyślił... Czy sen, czy na jawie...
To Jan Dobrzycki!

SCENA VIII.

STANISŁAW, DOBRZYCKI.

DOBRZYCKI.
Ja, mój Stanisławie
Zbroiński...

STANISŁAW.
Ciszéj! znanym tu dla ciebie;
Niech to nazwisko w ziemi się zagrzebie,
Bo gdy jenerał dowie się, domyśli
Kto jestem...

DOBRZYCKI.
Cóż więc?

STANISŁAW.
Jak kat by mie zgładził.

DOBRZYCKI.
Jakto? twój rodzic...

STANISŁAW, rozpacznie.
Wszak Ojczyznę zdradził!

DOBRZYCKI.
Minister wojny? Kraj mu winien w części
Porządek, pracę...

STANISŁAW.
Ztąd się mu nie szczęści;
Tam śmierć, niewola, gdzie się Moskal szerzył!...
Dla Wojnickiego, kto się zprzeniewierzył
Chorągwi Księztwa, i przed Lipskiem jeszcze,
Ten zbiegiem, zdrajcą... nazwy te złowieszcze
Prawdziwe były i w mniemaniu ojca,
Bo w grób przed hańbą skrył się samobójca...
Więc się nazywam, w téj uczciwéj chatce,
Stanisław Niewiarowski, po méj matce.

DOBRZYCKI.

A cóż tu robisz?

STANISŁAW.

Zakład mi oddali;
Kasyerem jestem, rządcą... i tam daléj.

DOBRZYCKI.

Z potrzeby?

STANISŁAW.

Najprzód. Ojciec mój, nieładem
Majątek stracił, z matki méj dokładem,
Z emerytury dziś żyjącéj w Gnieznie.

DOBRZYCKI.

Po łaskach tylu, on co stał się przez nie
Wspólnikiem cara, nic ci nie zostawił?

STANISŁAW.

Nic... prócz nazwiska, które sam zakrwawił!
Kto kiedy przeszedł pod sztandary wroga,
Bez ludzkiéj wzgardy, bez przekleństwa Boga?
Przed ojca zbrodnią kiedy syn się wzdryga,
Czy aż do grobu klątwa ich nie ściga?...
Wiesz że mój ojciec graczem był do końca,
Więc mi pobłażał... lecz ty, mój obrońca,
Mój brat jedyny, gdzieżeś się przechował?

DOBRZYCKI.

Od dni piętnastu, urząd mię mianował
Prokuratorem, na tutejszym sądzie;
Skibickich kółko wspiera mię przy rządzie,
Więc podprezesem, zanim rok przeminie,
Wyższego sądu, ujrzysz mię w Berlinie.

STANISŁAW.

Przybywasz tedy *ex officio?*

DOBRZYCKI.

Właśnie,
Na mętną sprawę którą dziś wyjaśnię,
Bo na nią cały duch mój się wytęża:
Otrucie żony przez czułego męża...
Początek piękny!...

(Ignacy w głębi.)

STANISŁAW.

Któż tam? to Ignacy.

IGNACY.

Niech pan już...

STANISŁAW.

Zaraz, po skończonéj pracy.

(Ignacy wychodzi.)

Mój Janie, w razie gdyby cię spytano
Gdzieś mię napotkał, powiedz przed altaną,
Lub na gościńcu do naszego dworca.
Co do twéj sprawy, Gabrych, nasz dozorca,
Źle z żoną się obchodził; lecz trucizna,
To fałsz... do tego nigdy się nie przyzna.

DOBRZYCKI.

Tak sądzisz? Jam z urzędu podejrzliwym...
Dawnemi czasy, tak jak dziś życzliwym,
Bo łatwowiernym znałem cię poetą;
Co u mnie błędem, w tobie jest zaletą.
Artyści rojąc na fantazyi szczycie,
Swe sny przenoszą w to poziome życie;
Nie zwykli wierzyć w zbrodnię i sromotę,
Bo wierzą tylko w ideał i cnotę:
Tyś się nie zmienił. A Natalja droga,
Czy cię odbiegła?

STANISŁAW.

Milcz... ach, milcz, na Boga!
Nietylko urząd i sądowa władza,
Lecz litość boska do mnie cię sprowadza;
Bo mi potrzebny mój powiernik bratni,
By mógł wysłuchać serca głos ostatni,
Spojrzeniem zmierzyć otchłań méj katuszy!...
Przyjm to wyznanie, jak przyjaciel duszy,
Od lat młodzieńczych czucia jéj liczący,
Nie jak jurysta zimny i milczący;
A sam osądzisz, że nim skończysz zemną,
Ta straszna spowiedź musi być tajemną!

DOBRZYCKI.

Czy nie występek...

STANISŁAW.

Nie, uchowaj Boże!
Płochości wina, którą sam byś może
Rad się podzielić.

DOBRZYCKI.

Nie miéj więc obawy;
Bo ztąd natychmiast żądałbym odprawy,
Bym cię nie skarżył za to wyjawienie.

STANISŁAW.

Wojnickich córkę kocham nad zbawienie...
I ona także...

DOBRZYCKI.

Miłość twą podziela.
Lecz w ojcu Julji masz nieprzyjaciela;
Bo pan Kapulet... mylę się, jenerał...

STANISŁAW.

On by do trumny raczéj ją przybierał
Niż do ołtarza...

DOBRZYCKI.

Gracie więc na Szląsku
Szekspira dramat, jeszcze przy zawiązku;
Gdyż za trzy lata Zosia, po téj zimie,
Zostanie wolną.

STANISŁAW.

Zkądże wiesz jéj imię?

DOBRZYCKI.

Wiem od Skibickich. Jest majętną z matki;
Możecie jeździć z Rzymu do Kamczatki,
Aż teść ochłonie. Trzy wezwania prawne,
I będzie zgoda.

STANISŁAW.

Jeśliby tak jawne,
Tak łatwe dla nas było rozwiązanie,
Ja sam był radził i przecierpiał za nie.

DOBRZYCKI.

Już wiem. Natalja, anioł twój młodzieńczy,
Serdeczny palec twym pierścieniem wieńczy.

STANISŁAW.

Natalja inne dziś nazwisko nosi;
Ten anioł ziemski, jest macochą Zosi!

DOBRZYCKI.

Więc jesteś między młotem a kowadłem?

STANISŁAW.

Za łanią goniąc, na wilczycę wpadłem.

DOBRZYCKI.

W spartańskiém prawie miano to na względzie :
Kto ma sieroty, żenić się nie będzie.
Po pierwszéj matce, obca i przychodnia,
Dla własnych dzieci... ach, to wstyd i zbrodnia!
Do tylu przyczyn już waśniących ludzi,
I tę dołączać, to zgorszenie budzi!
Gdzie się jak upior do rodziny wkradnie,
W trop za macochą i przekleństwo spadnie;
Niestartym kirem odtąd ją powlecze...
Lecz mów, tyś chory, może cię wyleczę.

STANISŁAW.

Natalja Lipska, z plemion tych od Wschodu,
Przylgniętych kiedyś do naszego rodu,
Artystka nieco, w kraju mnie poznawszy,
Na hołdy moje miała wzgląd łaskawszy,
I polubiła, może dla odmiany,
Lub dla majątku... duchem jéj owiany,
Już bezpowrotnie byłem jéj wspólnikiem.

DOBRZYCKI.

Nierządnéj chuci zwykłym to wynikiem.

STANISŁAW.

Lecz jéj miłością jak mię los obdarzył,
Jak szał chwilowy w płomień się rozżarzył,
Naszego związku trwałość ci wypowie...
Co mówię, związku? czyli tak się zowie
Ta pierwsza miłość, dzika i namiętna,
Co łączy w sobie serc najżywsze tętna,
Roskosze wszystkie i męczarnie mieści,
A w któréj płonie cały duch niewieści!...
Poznawszy we mnie, wśród nieszczęścia kraju,
Wrodzony pociąg do sztuk pięknych raju,
I żądzę zbytku, którą się przejąłem,
Stworzyła sobie, silna tym żywiołem,
Plan dziwny, skryty, na wypadek wszelki,
Zbrodniczy nawet, lecz śmiałością wielki;
Jak u despoty co za berło sięga,
Jedyném prawem, zdobycz i potęga!

DOBRZYCKI.

W obłokach giniesz, idź powszednim torem;
Tyś jest obrońcą, ja prokuratorem,
Do rzeczy... słucham dalszą treść wyznania.

STANISŁAW.

Gdym odprowadzał matkę do Poznania,
Wojnicki wdowiec, wzór sarmackiéj wiary,
Mniéj wiekiem zgięty niż tęsknotą stary,
Wziął ślub z Natalją, córki swéj mistrzynią.
Ten tułacz dla niéj stał się złotą skrzynią,
Przyszłości skarbcem; gdyż roiła sobie
Że dawna miłość wróci po żałobie;
Że pierwszych ślubów nie złożywszy wieńca,
W rok się upomni o zbiegłego jeńca;
Że snem niemiłym będzie to zamęźcie
Po którym rajskie ją przebudzi szczęście.
Wiesz myśli niewiast jak bywają dziwne...

DOBRZYCKI.

Ich prawodawstwo z naszém wręcz przeciwne.

STANISŁAW.

Ten sen obłędny trwa już rok dwunasty.
Szalenie wpadłem w sidła téj niewiasty,
I w nich uwiązłem. Od półczwarta roku,
W osobnéj chatce mieszkam przy jéj boku;
Gdyż dobrowolne cierpiąc tu męczeństwo,
To jéj wyrazy...

DOBRZYCKI.

Słodzi swe małżenstwo
Kochanka strażą... znam już jéj przewrotność.

STANISŁAW.

Jam też ją przejrzał... Chciwość i zalotność,
Te dwie przywary z rodu jéj wynikłe,
I tu złożyły swe znamiona zwykłe;
Jak pierwszy zapach kiedy wsiąkł w naczynie,
To piętno widzę na jéj każdym czynie...
Odjechać chciałem, wydrzeć się z téj nędzy,
Gdym ujrzał Zosię... Ach, niech zginę prędzéj
Z ojcowskiéj ręki!... Sądź mię teraz, Janie.

DOBRZYCKI.

Ja słuszność boską widzę w téj przemianie;
Ta miłość nieco służbę twą uzacnia.

STANISŁAW.

Jak bluszcz kwitnący każdy dzień ją wzmacnia.
Lecz com dał za nią łez i westchnień próżnych,
Wśród trojga osób tak od siebie różnych,
Nie doznam tego drugi raz i w piekle!
Natalja chytra i zazdrosna wściekle,
Za zdradę z mężem, wzrok wlepiony we mnie,
Chce bym wiernością płacił jéj tajemnie;
Jak sam Wojnicki, Zosia jest niezgięta,
Bo tak zazwyczaj mężne są dziewczęta,
Tam gdzie im idzie o dozgonne śluby;
Przezorna czujność chroni nas od zguby,
Lecz jedna wzmianka mego tu nazwiska
Lub Różewskiego już odprawa bliska,
Pod ojca klątwą może zgnieść dwa serca...

DOBRZYCKI.

Pan baron Różek? płaski ten szyderca,
On, co jak osa wije się i szczypie,
Najprzenikliwszy gawron, po Edypie?

STANISŁAW.

Zkądże wiesz o nim?

DOBRZYCKI.

Znamy się od dawna:
Zjadliwość jego już po kraju sławna,
Bo plotki zbiera i rozrzuca wszędzie,
Jak sójka z lasu szyszki i żołędzie...
Okropny natręt... on aż tu przyjechał?

STANISŁAW.

Na oświadczenie... lecz go wnet zaniechał:
Jest na obiedzie.

DOBRZYCKI.

Strzeż się tego błazna!

STANISŁAW.

Natalja córce mało już przyjazna,
Gdy z nim odkryje w Zosi swą rywalkę,
Gotowa wyzwać na śmiertelną walkę;
Zabójcza może ztąd wyniknąć wojna:
Ta niewinnością, ta rozpaczą zbrojna,
Że traci owoc tylu lat obłudy,
A nawet zbrodni...

DOBRZYCKI.

Masz za twoje trudy!
Ja sam truchleję... Mściwe i uparte,

Kobiety drożéj płacim niż są warte.

LEON, wbiegając.

Mój panie Stasiu, odłóż targ na potém;
Tatunio burczy, Mosiek rży za płotem;
A Jański coś tam plecie o żołądku...

STANISŁAW.

Na zwiadyś przyszedł malcze; do porządku!

LEON.

Co Stasio robi, niech Leonek słucha;
Tak zawsze mama szepce mi do ucha.

STANISŁAW, do Dobrzyckiego.

Patrz, dziecię własne kształci już na szpiega...
Za tobą pójdę.

(Leon wychodzi.)

DOBRZYCKI.

Czy to syn Montega,
Czy Kapuleta?

STANISŁAW.

Nie wiem... syn Natalji.

DOBRZYCKI.

Dwanaście lat?

STANISŁAW.

Podobno.

DOBRZYCKI.

A, cóż dalej?

STANISŁAW.

Wiesz wszystko.

DOBRZYCKI.

Nie mów o mnie aż po stole;
Bądź zdrów.

(Stanisław wychodzi.)

SCENA IX.

DOBRZYCKI, sam.

Nieszczęsny... dziś go ztąd wyzwolę!...
O gdyby płoche tych szaleńców krocie
Przejrzały sprawy które mam w obrocie
Od siedmiu tylko lat urzędowania,
Domowe burze, łzy, prześladowania,
Małżeński stan uznałyby konieczny
Do skojarzenia serc szacunkiem wiecznym;
Przezeń ich ziemska słodzi się tęknota...
Lecz prawéj żądzy jest nazwiskiem cnota!

(siada na kanapie.)

AKT DRUGI.

SCENA I.

DOBRZYCKI, MAŁGORZATA, IGNACY.

Dobrzycki zatopiony w rozmyślaniu, siedzi prawie niedostrzeżony na kanapie. — Małgorzata przynosi lichtarze i karty. — Mrok zapada.

MAŁGORZATA.

Kazała pani wynieść kosz pod ganek;
Bo zapach polnych kwiatów i równianek
Szczególniéj w nocy, szkodziłby panience...
Przecież co dzień je stawia na wanience
Pod oknem Zosi... to troskliwość rzadka!
O gdyby, Panie świeć jéj duszy, matka
Ujrzała córkę... swą Zosiunię złotą...
W ojcowskim domu gorzéj niż sierotą,
Aż w trumnie by zajękła, za to ręczę...
Ja tylko dla niéj przy Wojnickich ślęczę;
Bo też jenerał...

IGNACY, na stronie.

Co tam babsko zrzędzi...

MAŁGORZATA.

Po jéj zamęźciu, niech mię ztąd wypędzi,
Niech mię zabije, jeślim już za stara
Dla młodéj pani... lecz od Zosi, wara!

IGNACY.

Na kogo się żalicie już od rana?
Dam głowę że na panią.

MAŁGORZATA.

Nie, na pana.

IGNACY.

Na pana? wszak to święty.

MAŁGORZATA.

Ba, i z drewna.

IGNACY.

Że Mazur ślepo rodzi się, to pewna.

MAŁGORZATA.

A prędki!

IGNACY.

A zazdrosny!

MAŁGORZATA.

A uparty!

IGNACY.

Oj! z tym raptusem, hola, to nie żarty!
Co bądź wymarzy, tłucze jak w kowadło;
Już tam, pod gruszą, dwóch Szlązaków padło:
Więc nikt mu w oczy zajrzeć się nie kusi...
Ty go nie zdusisz, to on ciebie zdusi;
To też go pani dusi bez ustanku,
Syreny głosem zwiąc go: mój kochanku!...
Kapturki wkłada, żeby się nie strachał,
Jak ja na Mośka, i przed sobą machał;
Ot tak!... nie widzi ksobie ni od siebie,
Na oślep leci, jak za szkapą źrebię!

MAŁGORZATA.

On ma siedmdziesiąt, ona jak trzydzieści;
To mi dobrana para! Choć go pieści,
Całuje, ściska, ona tu niechcący
Na kogoś patrzy.

DOBRZYCKI, na stronie.

Zwykle tak służący
O panach sądzą.

IGNACY.

Gdzie tam! pani nasza
W żałobie zawsze, gości nie zaprasza,
A pańscy goście to poddani nasi.

MAŁGORZATA.

Niech tam staremu wdzięczy się i łasi;
Ja za panienkę, nieraz mu dokuczę.
A wiesz dlaczego mi zabrała klucze,

Mnie, któréj pani, ta co leży w grobie,
Wierzyła słusznie, tak jak samėj sobie?

IGNACY.

Bo ta łysemu by zgoliła brodę.

MAŁGORZATA.

Majątek lichy, wleźć na czyją szkodę!
Od lat dwunastu, co fabryka spłodzi,
Co posag panny, w ręce jéj przechodzi;
Za mąż jéj nie da, bo jużby nie można
Korzystać z jéj chudoby.

IGNACY.

A nabożna!
Jak stary rabin... trzy kazania codzień;
Kto na nich ziewa, ten wierutny zbrodzień.
Aż pachnie od niéj, niby z kadzielnicy...

MAŁGORZATA.

Choć nie znać dymu. Niech dla pasierbicy
Serdeczną będzie, wszystko jéj wybaczę;
Lecz od trzylecia, wciąż nieboga płacze!
Gdy pytam o co, zaraz mi przerywa:
« Małgosiu, ty się mylisz, jam szczęśliwa... »
Jéj prawe oko śmieje się, a lewe
We łzach, jak moje oba!

(płacze.)

IGNACY.

Masz ulewę!

(wychodzi.)

MAŁGORZATA.

Robota ciągła; pracuj, jak na pańskie!
Po stole, karty... jakieś gry pogańskie!
Dwie talje starczą, choćby też sąsiedzi...
Aj, aj, kanapa!

(postrzega Dobrzyckiego.)

Jezu! ktoś tu siedzi!
Czy złodziéj jaki...

DOBRZYCKI.

Jam przyjaciel domu.

MAŁGORZATA.

A więc dobrodziéj słyszał po kryjomu...

DOBRZYCKI.

Słyszałem... przecież ja nie jestem zbójca,
Choć prokurator...

MAŁGORZATA, żegnając się.

U nas... w imię Ojca!...

SCENA II.

CIŻ, ZOSIA, ROŻEWSKI, LEON, JAŃSKI, NATALJA, JENERAŁ, STANISŁAW.

NATALJA, wydzierając z rąk Małgorzaty wezgłowie.

Mówiłam ci sto razy, lecz daremnie,
Że pan jedyną ma służącę we mnie;
A któż cię uczył tak mu słać pod nogi?

MAŁGORZATA, do Zosi.

Patrz, korowody!

NATALJA, sadzając Jenerała.

Siądź, kochanku drogi!

RÓŻEWSKI.

A, pan Dobrzycki... dawniéj serc burzyciel,
Dziś prokurator... to jest oskarżyciel...

JENERAŁ.

Zkąd taki zaszczyt?

NATALJA, na stronie.

Jan... przyjaciel jego!

DOBRZYCKI.

Prosiłem pana Zbro...

Stanisław zatrzymuje go skinieniem; Natalja i Zosia dają znak przerażenia.)

Niewiarowskiego,
Któregom właśnie spotkał przed altaną,
By ostrzegł państwo gdy od stołu wstaną,
I mym przyjazdem nie zatrudniał gości.

JENERAŁ.

Więc się panowie znacie?

DOBRZYCKI.

Od młodości,
Jak dwaj współucznie, jak dwaj bracia szczerzy...
Jam winien, iż się spóźnił do wieczerzy.

JENERAŁ.

Lecz któż mi sprawia jego tu przybycie?

DOBRZYCKI.

Sąd kryminalny zlecił mi wykrycie
Tajemnéj zbrodni... gdyż jest oskarżony
Hrabiego sługa, o zatrucie żony.

JENERAŁ.

Pan doktor sprawdził, i podpiszem oba,
Że tu przyczyną śmierci jest choroba.

JAŃSKI.

Tak jest, własnemi świadczę się oczyma.

DOBRZYCKI.

Przeświadczeń prawnych sąd się ściśle trzyma;
Pan bez potrzeby dziś ten trud podjąłeś,
I rozbiór śledczy z woli swéj zacząłeś,
Przed naszym zjazdem.

NATALJA, na stronie.

Jak się zmienił z wiekiem
Urzędnik zimny... dawniéj był człowiekiem

JENERAŁ.

Lecz mój dozorca winnym być nie może;
To dawny żołnierz... ja porękę złożę.

DOBRZYCKI.

Niech pan jenerał za nim nie przemawia,
Aż prezes rady stanie tu z Wrocławia.

JENERAŁ.

Ot, masz i śledztwo!

NATALJA.

Czego chce Małgosia?

MAŁGORZATA, wchodząc.

Czy przynieść kawę?

NATALJA.

Późniéj.

(Małgorzata wychodzi.)

STANISŁAW, do Dobrzyckiego.

Patrz, to Zosia.

DOBRZYCKI.

Dać życie warto... jeśli ci wzajemną.

NATALJA, do tegoż.

Miéj litość, Janie, nad nim i nademną...
Pan mię nie znałeś nigdy...

DOBRZYCKI.

Tak, nie znałem.

JENERAŁ, podchodząc do nich.

Wszak się obejdzie, i przed trybunałem,
Bez mojéj żony...

DOBRZYCKI.

Gdy otworzę śledztwo,
Winienem panią wezwać na świadectwo;
Tak chce treść prawa, i mój obowiązek.

JENERAŁ, porywczo.

Co! jaką styczność może mieć i związek...

JAŃSKI.

To nic... wysłuchaj, bądź cierpliwy.

IGNACY, u drzwi.

Jaśnie
Wielmożny prezes!

JENERAŁ.

Niech go piorun trzaśnie.

SCENA III.

CIŻ, PREZES komisyi śledczéj, GABRYCH, MEJZNER.

PREZES skłoniwszy się. do Dobrzyckiego.

Spotkałem pana
(wskazując na Mejznera.)
przy fabrycznym dworze,
I jako świadka, z sobą go przywożę.

DOBRZYCKI.

Pan Mejzner, czy się widział z oskarżonym?

PREZES.

Nikt dziś do więźnia nie był przypuszczonym.
On trochę głuchy, a sam strażnik niemy.

DOBRZYCKI.

Przez konfrontacyę prawdy się dowiemy.

PREZES.

Przystąpcie oba.
(do Gabrycha.)
Imię i nazwisko?

GABRYCH.

Pafnucy Gąbrych.

PREZES.

Lat?

GABRYCH.

Pięćdziesiąt blisko.

PREZES do Mejznera, głośno.

Czy ten sam człowiek, w ciągu dwóch tygodni,
U pana kupił na spełnienie zbrodni
Łót arszeniku?

GABRYCH.

Kłamie!

MEJZNER, jąkając się.

On, nie inny.

GABRYCH.

Ten nie chcąc mówi prawdę, żem niewinny
Jak sam pan sędzia. Obcym łgać się godzi,
Nie nam Polakom... co to komu szkodzi
Żem to lekarstwo dostał od Mejznera,
Za gruby pieniądz, bo wierutny sknera;
Choć nie dosłyszy, gdy mu złoto brzęknie,
To aż podskoczy, i z niemiecka jęknie...

PREZES.

Nie o Mejznera idzie, lecz o ciebie.

GABRYCH.

Was się nie lękam, bo mój sędzia w niebie!
Truciznę wziąłem; jaką? czart niech powie,
Lub pan aptekarz, jak ten pieprz się zowie;
Dość że trucizna, i z rozkazu pani,
To wie Ignacy: nie dla méj Stefani,
Lecz na robactwo... bo nam pruskie myszy
Plądrują w domu.

PREZES.

Wszak hrabina słyszy
I pan jenerał, jak się Gabrych broni:
Wręcz utrzymuje że w jéj własnéj dłoni
Trucizny paczkę, za rozkazem wziętą,
Natychmiast złożył, całą i nietkniętą.

NATALJA.

Tak jest.

DOBRZYCKI.

Czy pani jéj nie otworzyła?

NATALJA.

Bynajmniéj.

PREZES.

Proszę żeby nam raczyła
Tę paczkę przynieść; jeśli zaś, jak myślę,
Pan Mejzner uzna, gdy rozpatrzy ściśle,
Że znak pieczęci dotąd nie zerwanym,
Ciążąca skarga na obżałowanym
Po części się usuwa.

NATALJA.

W méj aptece
Na klucz zamknięta; zaraz po nią lecę.
(wychodzi.)

GABRYCH

Więc to sąd pruski, to cygańskie licho?
Krzyżackie syny, kroć tysięcy...

JENERAŁ.

Cicho!

GABRYCH.

Oj, gdybym kiedy...

JENERAŁ.

Milcz!

GABRYCH.

Jenerał każe,
Więc kapral milczy.

DOBRZYCKI.

Śledztwo nam wykaże,
I sąd zaświadczy chętnie po raz drugi,
Żołnierską wierność tak dawnego sługi;
Wszak sam jenerał był wierności wzorem

NATALJA, wracając.

Obejrzeć proszę.

(Prezes z Dobrzyckim oglądają paczkę i wręczają Mejznerowi.)

MEJZNER, wkładając na nos okulary.

Sygnet mój z gąsiorem,
Na czarnym sznurku i złoconéj łatce:
Lak bezpieczeństwa cały na okładce;
Jest u mnie do sprzedaży, jeśli łaska,
Za mierną cenę... dwa talary laska.

RÓŻEWSKI.

Dziękuję bardzo... myszy truć nie będę!
A, już do stołu z niemi nie zasiędę!

JENERAŁ, do Jańskiego.

Aptekarz głuchy, to pacyentów zdrowie;
Gdyż co innego da, jak doktor powie.

JAŃSKI.

Sumienie czyste, lepsze niż pigułki.

PREZES.

Tę paczkę pani schowa do szkatułki;
Gdyż odkąd kraj nasz duch Północy zwiedza,
Otrucia same karny sąd wyśledza.

NATALJA.

Z mych rąk nie wyjdzie. Ja i moja córka
Wynajdziem same klucz od mego biórka.

PREZES, po naradzeniu się z Dobrzyckim.

Więc jéj przezorność za rękojmię stanie...
Nie będziem czekać na przysięgłych zdanie.
Punkt główny śledztwa i zbyt ciężkiej skargi,
Gdyż o domowe tylko szło zatargi,
Stanowczo niknie; a ponieważ pana
Jańskiego zdolność jest powszechnie znana,
Na mocy jego sprawdzeń i poręki,
Za które jawne sąd mu składa dzięki:
Że śmierć nieboszczki skutkiem jest choroby
Nie zaś otrucia, od obecnéj doby,
Gabrychu, jesteś wolnym.

(Wszyscy dają znak radości.)

NATALJA.

Masz przestrogę
Że warto z żoną wejść w jedności drogę.

GABRYCH.

Niech sędzia sam zapyta jenerała
Czy ze mnie wzoru cała wieś nie brała,
Nim ta pokusa wsiadła mi za uszy;
Lecz moja żona... Panie świeć jéj duszy,
To jakiś urok do mnie ją sprowadził;
Sam święty Jacek nic by nie poradził.
Wszak wolno Niemce umrzeć i luterce
Na tę chorobę... złe, niewdzięczne serce,
Więc nie dziwota że ją czarci wzięli.
I w dzień i w nocy ani tknie kądzieli,
Drze się, szamoce, jak pod siecią pliszka...
Cholera z gniewu, to wiem od Franciszka.

PREZES.

Co za Franciszek?

GABRYCH.

Młody tkacz, jéj krewny,
Co ją łagodził... mój przyjaciel pewny.
Poznańskich kmieci rzadki to egzemplarz;
Ma księży rozum, a wyborny gręplarz!
Tak czesze wełnę jak jéj żółte sploty,
Bo i cyrulik... wszystkie ma przymioty.

JAŃSKI.

A to mi doktor!

NATALJA, do Jenerała.

Słyszysz, mój kochanku!

GABRYCH.

Chcąc nie chcąc, jeślim chrzcił ją na kolanku,
To samą ręką... srogoście też państwo
Jak całe Niemcy, wzięli mię w poddaństwo,
Kroć set furgonów!... Przez te pruskie draby
Być obwinionym o zatrucie baby,
Gdy ona właśnie życie mi zatruła,
I dotąd gnębi, już na chrzest nie czuła;
Przed sądem stawać, niech ją beczek trzysta,
Ja stary Gabrych, jak kryminalista!

(płacze.)

JENERAŁ.

Poślubić Niemkę nikt cię nie przymusił;
Wszak nie masz czego beczeć.

GABRYCH.

Czart mię skusił,
To prawda; lecz się drugi raz nie żenię,
Z Franusiem wolę pić na pocieszenie.

IGNACY, przy drzwiach.

* Poczekaj na mnie.

GABRYCH, wypychając Mejznera.

Chodźże, ty jąkało!

(wychodzi.)

LEON.

A prawo pruskie, na co nam się zdało?

RÓŻEWSKI.

By wyzuć braci z mienia lub honoru.

NATALJA.

Baronie!

RÓŻEWSKI.

Gdybym sądził ją z pozoru,
I miał Temidę za Minerwy siostrę,
Za te boginie walczyłbym na ostre.

DOBRZYCKI, do Jańskiego.

Jak też pan baron wdzięczy się ucieśnie!

JAŃSKI.

Zna mitologię, bo się uczył w Lesznie*.

NATALJA.

Więc bez téj paczki, lub gdyby przypadkiem
Lak oderwany, był skarżącym świadkiem,
Nasz biedny Gabrych zostałby zbrodniarzem?

DOBRZYCKI.

Bóg zna myśl ludzką, my występki karzem.
Sąd nieomylny ma wszechświatło boże;
Lecz nasza słuszność błąd popełnić może.

NATALJA.

Tak, ona zawsze ślepą lub namiętną.
Na czyjém czole raz przyłoży piętno,
Jéj krwawa ręka już go wiecznie ściga!

DOBRZYCKI.

Niech jéj się boi zbrodnia lub intryga,
Choć się przybierze w skromny strój oszustwa;
Dla cnoty, prawo jest objawem bóstwa.

JENERAŁ.

Już dość ... potwarze, to jak wiatr na gruszy;

Wszak nawet piorun plotek nie zagłuszy.
(Ignacy zastawia na stoliku przy ścianie kawę i filiżanki.)
Ignacy, kawę!

PREZES.
Chcąc badanie skrócić,
Przybyłem na czczo... mam na obiad wrócić.

RÓŻEWSKI.
To najpilniejsza dla sędziego sprawa.

JENERAŁ.
A pan Dobrzycki, choć dla Stanisława?

DOBRZYCKI.
Winszuję państwu, że tak wzniosła dusza
Ich zacne serca do przyjaźni zmusza.

RÓŻEWSKI.
Co za pochwała!
(Jenerał odprowadza Prezesa na ganek.)

NATALJA, do Dobrzyckiego.
Kiedyśmy sąsiedzi,
Nasz dom czasami niech też pan odwiedzi.

DOBRZYCKI do Natalji, na przodzie sceny.
Ach, strzeż się pani! śmiałe jéj zamiary
Są godne boskiéj i doczesnéj kary!
Odgadłem wszystko... zrzeknij się wspólnika,
Przed mężem prawym niech kochanek znika;
Bezżenne życie rozwiąż mu nareszcie,
I na wygnaniu zdradą już nie grzeszcie!
Bądź dobrą matką, bądź małżonką świętą,
Gdyż inna droga zgubną i przeklętą.

NATALJA.
Zrzec się... nie mogę...

DOBRZYCKI, na stronie.
Trzeba méj pomocy...
Więc uprowadzę więźnia dziś, téj nocy.
(w głos.)
Niech pan jenerał raczy mi przebaczyć,
I pani zechce też mię wytłomaczyć,
Żem śmiał zakłócić, choć nie z méj przyczyny,
Spokojność błogą zacnéj ich drużyny.
(skinieniem przywołuje Stanisława, i razem wychodzą rozmawiając.)

SCENA IV.

CIŻ, oprócz PREZESA, DOBRZYCKIEGO i STANISŁAWA.

ZOSIA.
Ten gość do rzeczy...

JENERAŁ.
Choć doktorem prawa.

RÓŻEWSKI, na stronie.
Czy za to że pochwalił Stanisława?...
Więc na mnie koléj śledztwo tu otworzyć,
I dumną Zosię choć raz upokorzyć.
(biorąc Leona na stronę.)
Chcesz zemną bąka puścić, mój ułanku?

LEON.
Chcę! chcę... a komu?

RÓŻEWSKI.
Powiem ci na ganku.
(idą w głąb.)

JENERAŁ.
Przy dobréj kawce miło śnić o raju.

JAŃSKI.
Na Wschodzie tegoś uczył się w seraju;
Lecz będziesz miał podagrę.

JENERAŁ.
Mam, do licha!

JAŃSKI.
Pij więc na moje zdrowie, lub Gabrycha.

NATALJA.
Baronie...

JENERAŁ, wołając.
Herbu rogacz!...

RÓŻEWSKI, nadbiegając.
Co łaskawe
Gosposie każą?

JENERAŁ.
Proszą cię na kawę.

RÓŻEWSKI.
Za wodzem staję, jak posłuszny żołnierz.

JENERAŁ.
Weź broń do ręki, lecz wyprostuj kołnierz.

ZOSIA, podając filiżankę.
Czy dosyć słodka?

RÓŻEWSKI, z ukosa.
Tak jak pani młodsza,
Niespełna...

ZOSIA, przynosząc cukier.
Pewnie u Cybulskich słodsza...

JAŃSKI.
I z czosnkiem...

LEON, wpadając.
Mamo, mamo!

NATALJA.
Cóż?

LEON.
Ach, mamo!
Pan Staś w ogrodzie...

JENERAŁ.
Strzelił?

LEON.
Nie! pod bramą,
Na bruk się ztoczył, goniąc mię jak długi,
I nogę złamał... bo go niosą sługi.

JAŃSKI.
To nic...

JENERAŁ, zrywając się.
Chodź, Jański!

ZOSIA, padając na krzesło.
Boże!
(Leon się śmieje.)

NATALJA.
Zkąd te śmiechy?

LEON, biegając w koło.
Ha, ha!... bo chciałem wiedzieć, dla uciechy,
Kto kocha pana Stasia!

NATALJA.
Ty ladaco,
Jakżeś tę bajkę zmyślić mógł, i na co?

Patrz, z twojéj winy Zosia aż zasłabła!

LEON.

To nie ja, to pan Różek.

RÓŻEWSKI.

Tam do diabła...

NATALJA.

A, byłbyś pan przykładnym profesorem,
Niewinnych żartów i dowcipu wzorem!

RÓŻEWSKI, mięszając kawę zapamiętale.

Uczeni ludzie w myśli méj wyklęci...
Choć trochę cukru... mam światowe chęci;
Wiem że mi pani cieszyć się dozwala
Żem tą igraszką wykrył już rywala...

(wskazując na wchodzącego Stanisława.)

NATALJA, upuszczając cukierniczkę.

To on!

RÓŻEWSKI, na stronie.

I ona!...

(w głos.)

Czym przestraszył jeszcze?

JENERAŁ.

Co tobie, moja droga?

NATALJA.

Nic... to dreszcze
Nerwowe...

(do Ignacego.)

Dać mi całą cukierniczkę...

RÓŻEWSKI.

Gdyż ta zemdlała... zda się na doniczkę
Pod kwiaty...

NATALJA, na stronie.

Córkę czy dla niego stroję?
Czy już zmówieni?... nie, ja sama roję...
Daj cukier, Zosiu... do pełności nalej,...

(do Różewskiego.)

Za dwa tygodnie masz ją pan najdalej,
Jeżeli prawdę mówisz!

RÓŻEWSKI, kosztując.

A, wyborna...

(na stronie.)

Zaczepna wojna lepsza niż odporna!

LEON.

Czyś pan turkawką, że jak żyd kamzelki,
Wciąż wołasz cukru, cukru...

RÓŻEWSKI, szukając po kieszeniach.

Masz karmelki...

(wyjmuje chustkę i nos sobie uciera; na stronie.)

Trzy myszy w łapce... to mi polowanie!
Na grę wieczorną przyjmę ich wyzwanie.
Pan rządca miał tu zbyt udzielną władzę
Na czułych sercach... ja go ztąd wysadzę.

NATALJA.

Czy zagrać Rossiniego?

JENERAŁ.

Nie, ten sędzia
Mi popsuł humor... wolę śpiew łabędzia
Webera...

JAŃSKI.

Ja zaś polski chór z Wiesława...
Nasz młody Szopen, to wschodząca sława;
Podoba się, gdyż obce ma nazwisko.

JENERAŁ.

Daj wista, Zosiu.

NATALJA.

Już dziewiąta blisko;
Musicie z partią zwinąć się koniecznie:
Leonie, z gośćmi się pożegnaj, grzecznie,
Bez nowych figlów, to ci ten przebaczę.

(dzwoni.)

LEON.

Dobranoc, tato.

JENERAŁ.

Kto się śmiał, zapłacze.

LEON.

A sprawiedliwość, jak wygląda?

JENERAŁ.

Chroma
I ślepa.

LEON.

Czemu?

JENERAŁ.

Bo się ludzi sroma.

LEON.

* Dobranoc, panie Jański.

JAŃSKI.

Już?

LEON.

A z czego
To sprawiedliwość?

JAŃSKI.

W szkodzie gdy dostrzegą,
Masz za to rózgi.

LEON.

Nigdym ich nie dostał.

JAŃSKI.

To nic... lecz później świat cię będzie chłostał
Oszczerstwem, zdradą, aż cię zkropią łezki.

LEON.

Dobranoc, panie Różek...

RÓŻEWSKI.

Mów, Różewski*.

LEON.

A cukier z czego?

RÓŻEWSKI.

Robi się... z brzeziny.

LEON.

Dobranoc, mamo... Stasiu mój jedyny,
I ty siostrzyczko... a czym teraz grzeczny?

ZOSIA.

Jak zawsze...

MAŁGORZATA, wchodząc.

Chodźże, ty Leonku sprzeczny...

LEON.

Zwij mię Napoleonem, jak przed laty.

NATALJA.

Zmów pacierz, a nie drażnij Małgorzaty;
W miłości boskiéj spoczniesz bez obawy.

LEON.

A miłość na co?

(Natalja go całuje.)

A, już wiem.

SCENA V.

CIŻ, oprócz LEONA.

JENERAŁ.

Ciekawy
Jak sam pan Różek, co spiskuje z dziatwą.

NATALJA.

I czasem zaspokoić go nie łatwo...
We dwoje, Zosiu, weźmy te krosienka;
Dla ciebie ślubna zejdzie z nich sukienka.

JENERAŁ, przy stoliku.

Mam króla.

JAŃSKI.

Ja królowę.

RÓŻEWSKI.

Bój otwarty.

STANISŁAW.

Ja z panem gram, jenerał daje karty.

JENERAŁ.

Wyprostuj kołnierz, to przebaczę ci,
Choć się nie umiesz brać do pięknéj płci...

RÓŻEWSKI do Jańskiego, na stronie.

Lecz umiem śledzić jéj pokątne grzeszki;
Kapłanem serca jestem, bez komeszki.

JENERAŁ.

Powinienbyś ożenić się, doktorze,
Z Poleczką zacną, w Bilsku lub Zatorze;
Roskoszy poznasz gdzie najczystsze zdroje.

JAŃSKI.

A jużci znam je, widząc was we troje...
Kto nie chce mieć po sobie młodéj wdowy
Bez własnéj strzechy dla schronienia głowy,
Ten w moim wieku winien żyć bezżenny
A więc bezdzietny.

JENERAŁ, wyświęcając kartę.

Nudziarz... król czerwienny!

NATALJA na przodzie sceny, do Zosi.

Więc baronowi się podobać trudno;
A pod Wrocławiem willę ma przecudną,
Nie lada partia!

ZOSIA.

Wszak wiadomo pani
Że gdy wybiorę, ojciec mię nie zgani...

NATALJA.

*A wiesz Cybulskim co rozpowie śmiało?
Że już się kochasz...

ZOSIA.

Gdyby tak być miało,
Wiedzielibyście o tém przed baronem...
Milczenie z wami byłoby szaloném.

NATALJA.

Kto wie? Konieczność to nasz los, niestety!
Są pewne czucia które my, kobiety,
Umiemy taić wśród najsroższéj męki.

ZOSIA.

To się nie ściąga do mnie, Bogu dzięki.

NATALJA.

Czy taka miłość w łonie twém nie gości?
Jeżeli tak jest, dość już téj srogości;
Mam wpływ przeważny na niezgiętéj dumie,
Na woli ojca; on to wyrozumie...
Ja go przebłagam, ja cię kocham wiernie;
Chcę w twojém sercu kwiaty siać, nie ciernie.

ZOSIA.

W niém pani zdawna czytasz, jak ja sama.

JENERAŁ.

Patrz na grę, Jański!

JAŃSKI.

Cóż? to winna dama*.

NATALJA, na stronie.

Napróżno badać, bo nie wierzy wemnie;
Inaczéj więc...

(w głos.)

Przelękłam się daremnie;
Bo kiedy Leon zmyślił ten wypadek,
Zemdlałaś prawie. Jest trzyletni świadek
Naszego szczęścia; przyznaj, choć z rumieńcem,
Że wykształconym, miłym jest młodzieńcem.
Cóż słuszniejszego nad uczucie rzewne
Dla rówiennika, z dobréj krwi zapewne,
Nie bez urody...

ZOSIA.

Służy, dla zapłaty.

NATALJA.

Nie kochasz go? tém lepiéj, bo żonaty.

ZOSIA, niby spokojnie.

On, pan Stanisław? na cóż z tém się kryje?
Co nas obchodzi gdzie, dla kogo żyje?...

(na stronie.)

To byłoby nikczemnie i zdradziecko!

NATALJA, na stronie.

Różewski zmyślił, lub od nas to dziecko
Już jest bieglejsze...

(dotykając jéj głowy.)

Ach, twe czoło płonie...

ZOSIA.

Ból głowy...

NATALJA, na stronie.

Kocha... piekło wre w mém łonie...
A on...

(w głos.)

Pytałaś mię czy żyją blisko,
Lub zdala od nas...

(na stronie.)

Czy też wie nazwisko...

ZOSIA.

Tak, prawda...

NATALJA.

Nie chcą żeby tu wiedziano...

ZOSIA.

O czém?

NATALJA.

O dzieciach.

(na stronie.)

Skroń ma jak miedzianą!...
Gdzieżby pomówić mogli o téj zdradzie?
W dzień z oka jéj nie spuszczam, a w zakładzie
Pilnuje go Franciszek.. niepodobna!
Więc jeśli o nim marzy, to z osobna,

Jak te dziewczęta których kwiat uczucia,
Wpółsenny jeszcze, chroni się zepsucia...
Inaczéj wiem że uderzona w serce,
Da znak, przemówi, spyta choć w iskierce
Spojrzenia... będę śledzić ich bez przerwy.

ZOSIA.

Czy pani słaba?

NATALJA.

Ja... zwyczajnie... nerwy.
* Zbyt się przykładasz...
(dotykając jéj ramion.)
tobie tu gorąco!

ZOSIA.

Tak... aż na tkance włókna mi się mącą *.

NATALJA.

Daj mi też igłę... masz Kronikę roczną...
Na *Zaporożcu* oczy twe wypoczną.

ZOSIA, biorąc książkę.

Prawdziwa powieść... straszna w niéj osnowa...

NATALJA.

Jak autor zwie się?

ZOSIA.

Juljan z Poradowa.

NATALJA.

Pseudonim pewnie... lecz mię nowość nęci;
Więc głośno czytaj.

ZOSIA, na stronie.

Mogłabym z pamięci...
(czytając.)

« A wiesz ty, księże, co to jest macocha?
To ręka trupia, serce co nie kocha,
Lód co nie chłodzi, płomień co nie grzeje;
Otwarta trumna co zarazę sieje...
To minstrel zbójca, co w dziecięcéj duszy,
Kwiat czucia zerwie, mdłą latorośl skruszy;
To lat młodości twéj udzielna pani,
Co serce drażniąc nęci cię z otchłani;
Co w niém szlachetne zgnieść i spodlić pragnie,
I w końcu miłość ojca ci odkradnie...
* Dziś jeszcze widzę twarz tę marmurową
Niezmienną nawet na rozpaczy słowo:
Co chcąc mię zbawić wbrew méj własnéj woli,
Popchnęła w przepaść hańby i niedoli *,
By raz w podjętym stwierdzić się zaborze
Twéj ojcowizny, dla swéj dziatwy... »

NATALJA, z przerażeniem.

Boże!...
Już dość... nie czytaj!... utwór to szatański...
Kto przyniósł nam tę książkę?

ZOSIA.

Doktor Jański.

NATALJA.

Jak on, ta powieść kłamie choć przestrasza...
Niech jéj nie widzę!
(rzuca książkę.)

RÓŻEWSKI, do Stanisława.

A więc, górą nasza;
Tam, wódz naczelny błędy siał bez liku!...

STANISŁAW, zbliżając się ku Natalji.

Na panią koléj zasiąść przy stoliku.

NATALJA.

Graj za mnie, Zosiu.
(na stronie.)
Wprost mu nie wypowiem
Że się w niéj kocha... lecz się prawdy dowiem
Podejściem...
(do Stanisława.)
Zosia wszystko już wyznaje.

STANISŁAW.

Co wszystko?

NATALJA.

Nie wiesz?

STANISŁAW.

W plotki się nie wdaję.

NATALJA.

* Czy śmielibyście sprzysiądz się niegodnie
Na moją zgubę?

STANISŁAW.

Kto? za jakie zbrodnie?

NATALJA, na stronie.

Czy pan Różewski, czy Stanisław kłamie?
On kłamie!...

RÓŻEWSKI.

Panna Zofia znów mi łamie
Wojenne szyki...

ZOSIA.

Więc korzystniéj było
Grać z moją matką.

RÓŻEWSKI.

Lub z macosią miłą *.

NATALJA.

Już nie wiem gdzie jest prawda, gdzie złudzenie;
Lecz wiem że wolę śmierć jak przebudzenie.

STANISŁAW.

Ostrożnie, pani! doktor, jak na warcie,
Spojrzeniem dziwném ściga nas uparcie.

NATALJA.

Barona przyjąć ojciec ją zniewoli.

STANISŁAW.

Obojgu życzę tak pomyślnéj doli.

JENERAŁ.

Już nie wytrzymam! baron gra jak nędzarz,
Ty, Eskulapie, wciąż mi króle spędzasz!

JAŃSKI.

To nic... dla równowagi, mój hetmanie.

JENERAŁ, rzucając karty.

Masz dyplomatę! kongres na tumanie...
(zamyka karty.)
Do łóżka lepiéj niż się bić niechętnie;
A ty, coś królów sprzątał mi natrętnie,
Węgrzyna jutro zniknie ci butelka...

JAŃSKI.

Wszak talar pruski, stawka to niewielka;
Odegrać możem...

JENERAŁ.

A wawrzyny męztwa?
Choć mi wydzierasz cały plon zwycięztwa,
I zasłużyłeś na sromotne płazy,
Masz kij, kapelusz.

(Zosia wyjmuje sobie kwiatek z włosów i pieści się z nim.)

STANISŁAW, do Różewskiego.

Czekam na rozkazy.

RÓŻEWSKI, do Zosi.

Czy zapach róży dobry na ból głowy?

ZOSIA, rzucając kwiat.

Niech doktor sądzi.

NATALJA, na stronie.

Oto znak rozmowy!
Niech zginę z ręki męża, lecz téj nocy
Podsłucham wszystko...

(wskazując na drzwi ukryte w ścianie.)

Sposób już w méj mocy.

RÓŻEWSKI.

Niech noc gwiazdami państwa sen oblecze...

(do Jańskiego.)

Czy zawsze gniewny?

JAŃSKI, nos sobie ucierając.

Bzdurstwa ja nie leczę.
Niczego w życiu więcéj się nie boję
Niż głupich ludzi, więc opodal stoję;
Bo w walce między mądrym i ciemięgą,
Kto wygra? Głupiec. Głupstwo jest potęgą.

RÓŻEWSKI.

Czy do mnie pan stosujesz?

JAŃSKI.

Ba i bardzo.

RÓŻEWSKI.

Ma katar zastarzały.

JENERAŁ do Jańskiego, odprowadzając.

Niech nie gardzą
Płcią piękną starce, bo z niéj mają dzieci.

JAŃSKI, na stronie.

Kukułcze.

JENERAŁ.

Obiad jutro w punkt o trzeciéj.

SCENA VI.

NATALJA, ZOSIA, JENERAŁ.

NATALJA.

Już po Różewskim, a nie zeszła doba.

JENERAŁ.

Dla czego zaś?

ZOSIA.

Bo mi się nie podoba.

JENERAŁ.

Przyczyna jasna. Wierz mi, mościa panno,
Że ta wybredność nadto już naganną;
W twym wieku czas jest wybór nam objawić,
Bo dom na potwarz mogłabyś wystawić.

ZOSIA.

Do wiecznych ślubów czuję się niezdolną...

NATALJA.

Być może; lecz się jéj spowiadać wolno
Przed tobą samym...

(na stronie.)

Ztamtąd, co do słowa,
Jéj głos usłyszę.

(w głos.)

Zosiu, bądź mi zdrowa,
Zostawiam z ojcem.

(wchodzi do swego pokoju i drzwi przymyka.)

SCENA VII.

JENERAŁ, ZOSIA.

JENERAŁ, na stronie.

Zosię mam spowiadać,
I z rozgrzeszeniem za kratkami siadać...
Dla weterana musztra to nie lada;
Więc raczéj ona mię tu wyspowiada...

(sadza ją na kolanach.)

« Ja tato nie chcę za mąż iść... » To znaczy
W języku dziewcząt, że waćpanna raczy
Dać temu rękę, kto już sercem władnie.

ZOSIA.

Spowiednik ojciec mię rozgrzeszy snadnie...
Lecz mu nie ufam.

JENERAŁ.

Mnie się śmiesz obawiać?

ZOSIA.

Przed panią wszystko zwyczaj masz wyjawiać.

JENERAŁ.

A czy się godzi kryć się, Zosiu droga,
Przed drugą matką daną ci od Boga,
Co własném sercem twoje chce zagrzewać,
Twém szczęściem żyje?

ZOSIA.

Zaczniesz-li się gniewać,
To nic nie powiem. Jam sądziła biedna
Że spokój serca mi twe męztwo zjedna;
Że mam świątnicę w téj rycerskiéj duszy...

JENERAŁ.

Łasiczka, patrzaj! do łez mię poruszy.

ZOSIA.

Tyś dobry dla mnie!... Gdyby mój wybrany,
Za swych rodziców klątwą był karany...

JENERAŁ, powstając gniewnie.

Na głowę twą by spadła!

ZOSIA.

Ach, mój ojcze!

(Natalja zagląda.)

JENERAŁ.

Ty znasz te czucia krwawe i zabójcze
Do których sięgać w duszy méj nie trzeba,
Bo z niemi los mój związał wyrok nieba!
Ja śmierć przeczuwam, kres mój niedaleko...
Choć dla tułacza tęskne dni się wleką,

Pociechy przy was pan Bóg mi nie skąpił;
Spokojniéj przecież bym do grobu wstąpił,
Gdybym cię widział, nie jak dziś sierotą,
Lecz méj starości chlubą i pieszczotą,
Wśród pięknéj dziatwy, w dawnych cnót zaszczycie..
Bo winien szczęście ten, kto daje życie.

ZOSIA.

Méj matki serce widzę w tym obrazie...
Jam ci zmyśliła... lecz, w podobnym razie,
O życie córki gdyby ci chodziło?

JENERAŁ.

Méj śmierci czekać wam by się godziło;
I póżniéj nawet! bo jeżeli dzieci,
To raj nadziei co rodzicom świeci,
I dla nich téż ojcowska wola święta;
Błogosławiony ten kto ją pamięta!...
Ty sama, gdybyś téj przysięgi starca
Nie dotrzymała; gdyby ktoś, potwarca,
Miał zwać cię żoną zdrajcy lub zmiennika,
Mój duch by przeklął ciebie i wspólnika!

ZOSIA, całując go.

O już niedobry!... Błagam cię i proszę,
Nie powtórz nigdy moich słów macosze...

(patrząc na drzwi uboczne.)

Drzwi uchylone!...

JENERAŁ.

Czemu téj ofiary
Wymagasz?

ZOSIA.

Choć ci powiem, nie dasz wiary.

JENERAŁ.

Ty ojca dręczysz.

ZOSIA.

Co ci droższe w świecie,
Nienawiść zdrajcom, honor, lub twe dziecię?

JENERAŁ.

To troje w jedną łączy się potęgę.

ZOSIA.

Więc, jeśli honor wiąże twą przysięgę,
Poświęcisz dla mnie, na Ojczyzny grobie,
Tę krwawą zawiść. Teraz wiem co zrobię.

JENERAŁ.

Kobiety boskim nęcą nas żywiołem
Jak szatan, który pierwéj był aniołem.
Bo któż ją uczył, jak z kongrewskiéj racy
Słowami w serce strzelać?

(Ignacy wchodzi.)

Cóż, Ignacy?

IGNACY, podcięty.

Jaśpani czeka.

JENERAŁ.

Słudzy znów pijani...
Nie możesz raz wymówić: Jaśnie pani?

IGNACY.

Śniepani...

JENERAŁ.

Bałwan.

ZOSIA.

Więc dobranoc, tato.

JENERAŁ.

Czy tak, niewdzięczna?

ZOSIA, z uściskiem.

Milcz, przysiągłeś na to,
Lub okropnego zięcia ci sprowadzę!

JENERAŁ.

Masz i zagadkę!... Sam jéj nie poradzę...
Z Natalją chyba dojdziem do wyniku.
Ignacy, niezapomnij o świeczniku.

(Ignacy gasi i za Jenerałem wychodzi.)

SCENA VIII.

ZOSIA, sama.

Stanisław... on żonaty!... Któż odgadnie
Złość i nikczemność ludzką?... Niech przepadnie!...

(podchodzi na ganek i daje znak chustką.)

Ja... zabić go nie mogę... lecz wyczerpię
Ostatki łez... Macochy méj nie cierpię;
O, choć jéj serce lwią śmiałością zbrojne,
Ja wydam jéj zaciętą, straszną wojnę...
Co wiem, wyjawię!...

(patrząc na zegarek.)

Dałam znak zawcześnie;
Wpół do dwunastéj... Myślą w dzień i we śnie
Do niego spieszę... o północy wolny...
Nie! choć ten jeden zdradzić mię niezdolny.
Narażać życie dla godziny zemną!
Więc ja do zgonu będę mu wzajemną,
On mój, na wieki!... Gdyby raz mój ojciec
Mógł tego zejścia przez macochę dociec,
Na pierwszy cios gotowam z jego ręki;
Lecz nad śmierć samą i najsroższe męki
Groźniejszą jest niepewność i zwątpienie!

(Stanisław wchodzi z głębi; Zosia zasuwa rygle.)

SCENA IX.

STANISŁAW, ZOSIA.

ZOSIA.

Odpowiedz mi na Boga i sumienie:
Czy masz ty żonę?

STANISŁAW.

Ja... szalone dziecię!
Ja twą miłością żyję na tym świecie!

ZOSIA padając na krzesło, potém na kolana.

Ach!... Matko Boska, jakiéj chcesz ofiary?

(całując rękę Stanisława.)

Wątpiłam, przebacz... Kocham cię bez miary...

STANISŁAW.

Zkąd to wzruszenie? któż ci mógł powiedzieć...

ZOSIA.

Natalja.

STANISŁAW.

Kłamstwo! chciała nas wyśledzić;
Już wie o wszystkiém, lub odkryje wkrótce:
Gdyż podejrzenia znaczą téj odrzutce
Pewności drogę... Schrońmy się do ciebie.

ZOSIA.

Tu zejście nasze łatwiéj noc pogrzebie;
Bo Małgorzata śpi w przybocznéj sali.
A przy niéj Leon.

STANISŁAW.

Śmiałość nas ocali...
Wiesz kto mię tu wprowadził?

ZOSIA.

Kto? macocha!

STANISŁAW.

Rywalka twoja.

ZOSIA.

Czemu?

STANISŁAW.

Bo mię kocha.

ZOSIA.

A ty?...

STANISŁAW

Uległem zdradzie i podłości.
Natalja była pierwszą w méj miłości,
Lecz z całéj duszy dziś ją nienawidzę;
Dla czego? nie wiem... czy się tamtą brzydzę
Że ciebie kocham? czy że miłość czysta,
Z boskiego źródła jedna i wieczysta,
Niegodne żądze pod stopami ściele?
Czy porównanie z tobą, mój aniele,
Téj nienawistnéj, téj szatańskiéj duszy,
Sromotny ciężar jéj poddaństwa kruszy?
Ach, nie wiem czemu... lecz jéj tak nie znoszę,
Tak cię ubóstwiam, że przy twéj macosze,
Pod jéj oczyma, mógłbym dziś, bezkarnie,
Dla ciebie, Zosiu, wszystkie znieść męczarnie;
Że ta rozmowa, duchu mój obrończy,
Choć świt poranny rychło ją zakończy,
Jest całém życiem w kilka chwil objętém!

ZOSIA.

O mów, mów jeszcze! tyś natchnieniem świętém
Uzbroił duszę i odwagę wrócił!
Ja ci przebaczam, boś mię tém zasmucił,
Ze moja miłość nie jest tak dla ciebie
Jak dla mnie twoja, pierwszą tu i w niebie!
To sen zbyt piękny... trwał też jedną wiosnę...
Nie gniewaj się, dziewczęta są zazdrosne:
Bo gdzie ich serce już się raz oddało,
Tam chcą z przyszłością mieć i przeszłość całą,
Nie wiedzą co jest kochać po połowie...
Ty jéj nie cierpisz! ach, w tém jedném słowie
Miłości więcéj dla mnie i osłody
Niż jéj dwuletnie dały mi dowody...
O gdybyś wiedział jaką dziś, wieczorem,
Okropną walkę zwiodłam z tym potworem...
Ty mię pomściłeś!

STANISŁAW.

Zosiu, bądź ostrożna!
To dusza sępia, od rodziców zdrożna...
Gdy nas dopatrzy strażą swą piekielną,
Natychmiast wojnę wyda nam śmiertelną.

ZOSIA.

Ja tego pragnę!

STANISŁAW.

Przed nią ja truchleję!
Szczęśliwsze późniéj znajdą się koleje,
Lecz dziś ustąpmy; dziś, to Jana zdaniem,
Z pod jéj przemocy zwolnim się rozstaniem!

ZOSIA.

Dwa dni mi zostaw!... jutro ci obwieszczę
Ugodę z ojcem...

STANISŁAW.

Ty jéj nie znasz jeszcze!
Natalja mściwéj chcąc dogodzić chęci,
Nas, męża swego, cały świat poświęci,
I siebie samą, byle nas umęczyć...
Więc, przed odjazdem, muszę ci doręczyć
Broń straszną, pewną, gdyż się jéj nie chroni...
Pod groźbą śmierci użyć masz téj broni;
Uchylam słowo dane jéj przed Bogiem,
Lecz nad zbawienie mi twe życie drogiém!

ZOSIA.

Cóż więc?

STANISŁAW.

Jéj listy, przed zamęźciem do mnie,
Niektóre późniéj... przysiąż mi niezłomnie,
Na cześć i duszę, że choć je posiędziesz
Z méj ręki, jutro, czytać ich nie będziesz;
Dość iż się dowie żeś już niemi zbrojna,
A będzie drżeć przed tobą!

ZOSIA.

Co za wojna!

STANISŁAW.

Nieubłagana, krwawa!... Od téj chwili,
Choć moja pamięć serce twe rozkwili,
Zachowaj święcie ten nasz skarb ukryty,
Ten kwiat miłości w pośród łez rozwity;
Aż Bóg przez litość dla wygnańców doli,
Objawić jéj przed światem nie pozwoli!

ZOSIA.

Gotowam umrzeć, lecz nie zmienię serca!...
Ach, czemuż ojcem twym był przeniewierca!
O, gdyby każdy dbał o własne plemie,
Bóg by dla ludzi zmienił w raj tę ziemię!...
Lecz bądź cierpliwy... męztwa mi nie zbędzie;
Gdzie masz się udać?

STANISŁAW.

Jan ci dawać będzie
Wiadomość o mnie, gdzie się bądź obrócę.

ZOSIA.

A listy?

STANISŁAW.

Jutro, zanim was porzucę,
Sam je przyniosę... lecz dotrzymaj słowa,
Nie czytaj!

ZOSIA.

Aż przy zgonie...

STANISŁAW.

Bywaj zdrowa...

ZOSIA.

Nie, jeszcze...

STANISŁAW.

Chwila może nas rozdzielić...

ZOSIA.

Lub złączyć wiecznie... Chodź się rozweselić
Urokiem nocy... ranny brzask na dworze...
Już czas!

STANISŁAW, zaglądając do pokoju Zosi.

Izdebkę niechaj ci otworzę;
Tam będziesz o mnie myśleć, tam zapewne
Mój cień zostanie...

(Wychodzą na ganek. — Drzwi ukryte w ścianie na lewo otwierają się nagle; Natalja wchodzi i odmyka rygle od swego pokoju.)

SCENA X.

ZOSIA na ganku, NATALJA.

NATALJA.

Milcz, ty serce gniewne...
Odprowadziła zdrajcę aż na ganek!
Już wraca, sama...

(Zosia wchodzi; Natalja chwyta ją za rękę, i na przód sceny prowadzi.)

Mów, gdzie twój kochanek!

ZOSIA.

Ja nie wiem...

NATALJA.

Kłamiesz!

ZOSIA.

Czyśmy jéj poddani?

NATALJA.

Ty ojca zdradzasz, hańbisz go.

ZOSIA.

A pani!

NATALJA.

Ja pójdę; powiem na co się sposobisz.

ZOSIA.

Idź, lecz nic pani przeciw nam nie zrobisz!

NATALJA.

Ty mię wyzywasz... ojca zwieść nie trudno,
Gdyż on cię kocha, chociaż wie obłudną;
Mię, co innego... grozi ci przekleństwo.
Tyś winna mnie i jemu posłuszeństwo:
On słucha mię!

ZOSIA.

Zobaczym.

NATALJA.

Jéj zuchwałość
Rozognia serce... zimna krew i śmiałość
Przeraża... Wiesz ty że to cios najsroższy,
Że mi Stanisław jest nad życie droższy?

ZOSIA.

I mnie podobnie... lecz małżonka zguby
Nie zaprzysięgłam przez niewierne śluby;
A mąż jéj, to mój ojciec!

NATALJA, rzucając się do stóp Zosi.

Więc napróżno!
Niewdzięczna, zawszem była ci usłużną
Nauczycielką, matką nie skażoną;
Kochałam cię!

ZOSIA.

Bądź pani dobrą żoną,
A będę milczeć.

NATALJA, powstając.

Mów więc, jam gotowa.

ZOSIA.

Ja także!

NATALJA.

Bój zaczęty!

SCENA XI.

TEŻ, JENERAŁ.

JENERAŁ, z lichtarzem.

Zkąd rozmowa
Do późnéj nocy?

NATALJA, rzucając Zosię na kanapę.

Udaj żeś zemdlała...
Od kwiatów pewnie skroń jéj rozbolała;
Jęk mię dochodził... i posłane łoże
O bezsenności świadczy...

JENERAŁ, stawiając lichtarz.

Być nie może!

ZOSIA.

Kosz ogrodowy u mnie stał z wieczora,
Ztąd odurzenie... lecz nie jestem chora.

NATALJA, idąc ku drzwiom.

Chodź na powietrze.

JENERAŁ.

Stójcie... gdzież te kwiaty?

ZOSIA.

U pani może.

NATALJA.

Nie, u Małgorzaty...

(Jenerał chwyta lichtarz na stoliku i wychodzi.)

Wróć do pokoju, zamknij się; tą drogą
Załatwię wszystko.

(wychodzą.)

SCENA XII.

JENERAŁ sam, wracając.

To już nadto srogo;
I kosz i kwiaty jak widzenie znikły...
Natalio... Zosiu!... tak się kryć nie zwykły...
Ciekawym bardzo kto tu szydzi ze mnie;
Czy się nad starcem pastwią tak nikczemnie
Żem córce dał macochę?... Otóż wojna
Domowa!...

(wychodzi; Natalja drzwiami ukrytemi wnosi kosz i stawia w głębi na prawo.)

NATALJA.

Z ojcem będę już spokojna.

(wraca do sypialni.)

AKT TRZECI.

SCENA I.

NATALJA, później GABRYCH.

NATALJA.

Uśpiłam gniew i podejrzenie męża,
Choć na godzinę... już mię trud zwycięża;
Obłuda wieczna w sercu i na twarzy...
Niech jeszcze raz podobny błąd się zdarzy
Przestanę rządzić ojcem i rodziną...
Nic nie stracone... władam tą godziną,
I Zosia dziś ulegnie méj przemocy.
Śpi, marząc o nim, po wczorajszéj nocy...
(zbliża się do drzwi na prawo.)
Nie... czyta jakiś list... od niego może!
Mnie trzeba zemsty... lecz mój syn... o Boże,
Do jakiéj miłość wiedzie nas otchłani!
Rozłączyć ich lub zginąć...

GABRYCH wchodząc, trochę podpiły.

Jaśnie pani,
Pan Staś nadchodzi.

NATALJA.

Wczoraj, czy do domu
Na czas powrócił?

GABRYCH.

Nie dał znać nikomu;
A ja zasnąłem z Bogiem do zarania,
Bom bawił się z Franusiem, dla nabrania
Ochoty, Jaśnie pani, po tym sądzie,
Jak po stoczonéj bitwie, na przeglądzie...

NATALJA.

A zwykle?

GABRYCH.

Zwykle? wszak wie Jaśnie pani,
Bo panu rządcy wszyscyśmy poddani,
Że szef zakładu, latem czy o mrozie,
Co noc odbywa patrol, jak w obozie
Za księstwa Warszawskiego, gdyśmy stali
W bok od Raciąża, frontem do Moskali...
Tu, książe Józef; tam precz aż pod lasem,
Chorągwie carskie... strzał armatni czasem
Zabłyśnie... aż tu w czwał przyląta gończy...

NATALJA.

Lecz pan Stanisław?

GABRYCH.

Gdy patrole skończy,
O wpół do drugiéj wraca na załogę:
Ja nad nim sypiam... słyszę przez podłogę.

NATALJA.

Co?

GABRYCH.

Jakiś pacierz, czy tam litanije,
Bo jedno imię wciąż powtarza...

NATALJA.

Czyje?

GABRYCH.

Co mnie do tego! pewnoć nie Stefani;
A wełna głos przytłumia, Jaśnie pani...
Lecz mi się widzi że cóś jak Małgosi...
Sam z sobą gada, wiatr zamachem kosi,
Ot tak!
(wywraca krzesło.)

NATALJA.

Fe, Gabrych, nasz dozorca bratni,
Już podchmielony!

GABRYCH, podnosząc krzesło.

Nie... to strzał armatni...
Przysięgam Jaśnie pani żem był wczora
Zupełnie trzeźwy... rzadko mię z wieczora
Napadnie łyknąć téj niechrzczonéj wódki;
Lecz dziś musiałem zażyć jéj na smutki
Po méj Stefani... Franuś mi dostawił;
Tkacz co się zowie! ją za życia bawił,
A mię po śmierci... chłopca mi musztruje!
Choć Niemka, szczerze teraz jéj żałuję...
I Franuś także!
(udaje płacz.)

NATALJA.

Płacz, że jéj po zgonie
Już bić nie będziesz...

GABRYCH, na stronie, wesoło.

Ale pić, po żonie...

NATALJA.

Więc dobrze...
(Gabrych wychodzi.)

W zamian za stracone marnie
Dłań poświęcenia, za te łzy, męczarnie,
Tłumione w sercu wstydem i zgryzotą,
Tak, za to wszystko, dane mu z ochotą
Przez lat dwanaście zbiegłych od zamęźcia,
Cóż ja pragnęłam? nic, prócz jego szczęścia!
Mieć go przy sobie, jedno rąk zbliżenie,
Przyjazne słowo zyskać, lub spojrzenie,
Być mu Ojczyzną na wygnańczéj ziemi...
Najlżejszy dowód starczył, przed obcemi,
Za pewność drogą że on na mnie czeka;
Że już innego związku się wyrzeka...
Że mi wiernością, kiedyś tam, odpłaci
Za upodlenie, za szacunek braci,
I za cześć własną; bo ten klejnot święty
Miłości prawéj, wiecznie nam odjęty...
A on, niegodny, jak mi się wywdzięcza?
On z tą dziewczynką skrycie się zaręcza,
Z nią miewa schadzki, krzywdzi mię w rozmowie...
Mój wyrok śmierci niech mi wręcz wypowie;
Już czas tę gorycz z piersi méj wysączyć,
Znalazłam sposób zgnieść ich, lub rozłączyć!
To on... truchleję...

SCENA II.

NATALJA, STANISŁAW.

NATALJA.

Więc tyś mię nie zbradził,
Tyś naszych przysiąg w sercu nie zagładził,

Gdyś się jak zbrodzień skradał jéj komnatą
Na schadzkę z Zosią; i niepomny na to,
Że jednym ciosem ojciec mógł uderzyć...
O milcz, już nie kłam! dość mym oczom wierzyć,
Widziałam cię... innego chcesz dowodu?
Mówiłam z nią gdyś wyszedł do ogrodu...
Wyboru wzakże nie winszuję wcale;
O gdybyś wiedział jak zapamiętale,
Z jak śmiałym wzrokiem, z jak bezwstydném czołem
Tu, przy spotkaniu, wczoraj, z twym aniołem,
Wszystkiego się zaparła, mnie i ciebie,
Ta gwiazda szczęścia zgasłaby na niebie;
Drżałbyś o przyszłość, o ten raj daleki,
Z którego chcecie wygnać mię na wieki!

STANISŁAW.

Ten raj zamknięty nie ma już odgłosów...
Racz mi oszczędzić tych dotkliwych ciosów
Dla mnie zbyt ostrych i niemiłych tobie;
Los nas rozdzielił... serca nie przerobię.
Czém byłaś dla mnie, nigdy nie zapomnę;
Przyjaźni wdzięcznéj czucie mam niezłomne,
Dawnego życia nie chcę znów zaczynać.

NATALJA.

Wyznajesz więc że prawo mam przeklinać
Tę z którą podle mi się przeniewierzasz!

STANISŁAW.

Ja?

NATALJA.

Każdém słowem w serce mi uderzasz...
Zdradziłeś mię, jak ojciec twój Ojczyznę!
Od niego biorąc krwawą tę spuściznę,
Stawiając Zosię między mną i tobą,
Dozgonną już odziałeś mię żałobą...
Jam jest gwałtowna, więc rodzimie szczera:
A dziś, pod maską, twarz mi się rozdziera,
Przez wierność tobie, stałam się obłudną!
A czy wy wiecie jakto nam jest trudno
Codziennie z własném się sumieniem łamać,
I jak złoczyńce na katuszy kłamać?
Oj, kłamstwo zhańbi, jeśli nie zabije...
Wstyd gdy się uda, śmierć gdy się odkryje!
Wam, świat zazdrości téj niewieściéj klęski;
Niesława nasza, to wasz plon zwycięzki,
Skroń wam uwieńczą jéj sromotne blaski...
Tam dla nas wzgarda, gdzie dla was poklaski!
I chcesz bym klękła gdy już miecz gotowy?
I ty zawdzięczasz się gorzkiemi słowy
Kobiecie która, brzydząc się swym grzechem,
Zgryzoty wszystkie skryła pod uśmiechem;
Gdy z jękiem nieraz własną pierś rozdarła,
Dla siebie w sercu boski gniew zawarła;
A choć już czuła mękę bez ulżenia,
Dla ciebie były tkliwe jéj spojrzenia,
Jéj twarz pogodna. O, nie wszystkim dano
Tak przyswojoną, wierną mieć poddaną!

STANISŁAW.

Choć raz, Nataljo, słuchaj mię bez gniewu.
Gdym cię zapoznał, wdzięk uroczy śpiewu,
Młodzieńczy zachwyt był nam pośrednikiem.
Kochałem ślepo, z tém pragnieniem dzikiém,
Lotnością bujną za nieznanym światem,
Trawiącą serce pod uczucia kwiatem.
W dwudziestym roku duszy już namiętnéj
Jest szału tyle i pustoty mętnéj,
Że nie czas myśleć o przyszłości związkach,
I świętych w niéj zawartych obowiązkach.
Lecz taką miłość każdy dzień osłabia...

NATALJA, na stronie.

Nikczemnik! dla mnie w mędrca się przerabia!

STANISŁAW.

Z latami, życie ma już inną postać,
Poważną, wzniosłą, jak powinno zostać.
Jeżelim więc zamieszkał pod tym dachem,
Gdzie głos twój zgubnym zwabił mię zamachem,
To li dla tego, że w sumienia głosie,
Bóg za małżonkę mi wyznaczył Zosię,
Tę której miłość czysta i niezmienna,
Pięknością cnoty wieńczy się promienna.
Wyroku nieba skargi twe nie skłonią;
Więc nie rozłączaj, pod zawistną dłonią,
Dwóch serc, Nataljo, co cię wielbić będą,
Bo wieczne szczęście z łaski twéj posiędą.

NATALJA.

A ja, nieszczęsna, ja, gdzież się podzieję?
Więc mi wydzierasz nawet i nadzieję,
Ten skarb jedyny, którym dziś się pieszczę,
Kupiony niebem!

STANISŁAW.

Bądź wspanialszą jeszcze...
Ach, wróć mi wolność!

NATALJA.

Co... kochania Zosi?
Do jakich bluźnierstw żądza go unosi!...
Krwi własnéj, czucia, podle się zapiera!
Zabijasz mię!

STANISŁAW.

Z miłosci się umiera
W poezyi, lecz nie w życiu.

NATALJA.

Wy, szaleńce,
Za kraj giniecie lub za płonne wieńce;
Dość w oczy zajrzeć lub dwuznacznie skinąć...
Są też kobiety, wierz mi, zdolne zginąć
Za waszą miłość, kiedy w niéj się mieści
Co tylko w życiu pragnie zmysł niewieści!
Kobietą taką jestem ja! Od chwili,
Gdy przed Wojnickim tuśmy się zjawili,
Codzień wybuchu mogłam się doczekać;
Więc nie chcąc żywcem ciebie się wyrzekać,
Patrz, do wieczności jam wybrana w drogę!

(pokazuje flaszeczkę.)

STANISŁAW.

Po burzy, łzy!

NATALJA.

Chcę tłumić je, nie mogę!
Bo też mię zbijasz tym przekąsem zręcznym
Grzeczności zimnéj, która wam, niewdzięcznym,
W potrzebie służy za obelgę wzgardy...
Tyś dla mnie, kornéj, pyszny dziś i twardy...
Chciałbyś méj śmierci, byleś mię odstręczył!
Ty nie wiesz z kim się mierzysz. Już mię zmęczył

Ten ciąg oszustwa, własnéj krwi zaparcie...
Listownie wyznam wszystko i otwarcie;
Leona wezmę... z nim doścignę wszędzie,
Przepadniem razem... Zosi już nie będzie!

STANISŁAW.

Ja wtedy się zabiję...

NATALJA.

Ja to zrobię!
Śmierć was rozdwaja... nasz jednoczy w grobie!

STANISŁAW.

Zapamiętała!

NATALJA.

Już pomiędzy wami
Twój ród, nazwisko, gdyż je zdrada plami;
Ojcowska klątwa wiecznie was rozdzieli...

STANISŁAW.

Doczekam jéj wolności.

NATALJA.

A jeżeli
Za mąż dziś idzie?

STANISŁAW.

Dziś mi grób otwiera.

NATALJA.

Mówiłeś sam : « Z miłości się umiera
W poezyi, a nie w życiu... » Przeszłość cała
Już niecofniona, zemną cię związała...

JENERAŁ, za sceną.

Nataljo!

NATALJA.

Ach, mój mąż...
(Jenerał wchodzi.)
Więc po wypłacie,
Oboje go czekamy przy herbacie.
(Stanisław się skłania i wychodzi.)

*SCENA III[1].

JENERAŁ, NATALJA.

JENERAŁ.

* Tak rano z mym zastępcą? to przykładnie...
Lecz cóż ma płacić? wszak on nic nie kradnie...

NATALJA.

Wczorajszy pogrzeb... mogłeś mię uprzedzić...
Jak Leon, zaraz chcesz o wszystkiém wiedzieć:
Myślałam że Stanisław jest przyczyną
Iż baron z naszą żegna się gościną.

JENERAŁ.

Ja także.

NATALJA.

Wzięłam rzecz pod rozbiór ścisły;
I właśnie miałam sprawdzić me domysły,
Gdyś w głos o mnie zawołał.

JENERAŁ.

Jeśli skora
Do pana Stasia, to dla czego wczora,

1. Pominąć.

Gdym po ojcowsku Zosię wziął spowiadać,
Choć samowolna, nic nie chciała gadać?

NATALJA.

Nie dość obrotnie wziąłeś się do rzeczy...
Mnie matce łatwiéj.

JENERAŁ.

Temu nikt nie przeczy.

NATALJA.

A w sercu dziewcząt taka jest zawiłość...

JENERAŁ.

Ja też przy tobie wiem co prawa miłość.
Stanisław rządny, jak wyrobnik pilny,
Choć w kwiecie wieku, ma rozsądek silny...
Lecz ci podobno znana i rodzina?

NATALJA.

Przysłała go z listami starościna
Z Olszowy, Czapska, któréj sąd oceniam.

JENERAŁ.

Ba, już nie żyje.

NATALJA, na stronie.

Za to ją wymieniam.
(w głos.)
Pan Niewiarowski siostrę ma opatkę
U Miłosiernych, a w Poznańskiém matkę;
Pod Oświęcimem ojciec miał siedlisko.

JENERAŁ.

Tak, Niewiarowscy... znane mi nazwisko.
No, jeśli kocha, gdy kochany wzajem,
Ojczyzną miłość, świat im będzie rajem.
Ja wolę go niż tego samozwańca
Barona Bożka, co nie lubi tańca,
Objeżdża zamki a niewiastę czci,
Choć się nie umie brać do pięknéj płci..
Stanisław rodak, szlachcic i nie głupi.
Za posag Zosi że przędzalnię kupi,
Nic słuszniejszego. Już się zna na wełnie;
Niech tylko z nami pozna się zupełnie...
Już matkę znamy... wszak w Poznańskiém matka?
Toć, chwała Bogu, Polska, nie Kamczatka!

NATALJA.

Bądź trochę zręczny, jak to rycerz dawny,
Spokojny w boju i w podejścia wprawny...*
Znów bez przyczyny zdajesz się unosić.

SCENA IV.

CIŻ, MAŁGORZATA, potém ZOSIA.

JENERAŁ.

Chodź, Małgorzato, musisz nas przeprosić!
O życie Zosi jakaś ty niedbała...
Nic nie pamiętasz!

MAŁGORZATA.

Co, jam zapomniała
Dziecięcia mego?

JENERAŁ.

Dziś, na gotowalni,

Kosz ogrodowy został w jéj sypialni,
Że z woni kwiatów aż omdlało dziecię...

MAŁGORZATA.

A to nowina! przed obiadem przecie
Oboje państwo wynieść mi kazali...
Już był na dworze gdy od stołu wstali!

NATALJA.

Ty mylisz się.

MAŁGORZATA.

Czym ślepa albo głucha?
Wszak sama pani rzekła mi do ucha,
Dla Zosi kwiat zdejmując do nagłówka...

NATALJA.

Tyś kosz zaniosła do niéj... zła wymówka.

MAŁGORZATA.

Broń Boże...

NATALJA, do Jenerała.

Czy zastałeś go na ganku?

JENERAŁ.

Nie.

MAŁGORZATA.

Na uczciwość...

NATALJA.

Czekaj...
(do Jenerała.)
Mój kochanku,
Zawołaj Zosię.

JENERAŁ.

Zosiu!

MAŁGORZATA.

Jak Bóg w niebie...
(Zosia wchodzi.)

NATALJA.

Czy był téj nocy pełny kosz u ciebie?

ZOSIA.

Tak... był, Małgosiu, aż pod zorzę ranną;
Za złe ci nie mam.

MAŁGORZATA.

Chyba że za panną
Umyślnie ktoś tam zaniósł, bo inaczéj
By nie zemdlała.

NATALJA.

Co ten « ktoś tam » znaczy?

JENERAŁ.

Ty, głupia stara, jeśli schnie ci głowa,
Nie szukaj mi zaczepki...

ZOSIA, do Małgorzaty.

Ani słowa!
(w głos.)
Przypomnij sobie...

MAŁGORZATA, na stronie.

Któż tu kogo durzy?
To zeszłéj środy... tak jest!

JENERAŁ, na stronie.

U mnie służy
Od lat piętnastu... panią niech przeprosi.
(w głos.)
A kwiatek zdjęty do nagłówka Zosi?

MAŁGORZATA.

A prawdać, prawda... brakło mi pamięci;
Żem stara, to już nie wiem co się święci.

JENERAŁ.

Posądzać kogoś, i oskarżać mylnie...

ZOSIA.

Już tato, przebacz; kocha mię tak silnie,
Że zapomina przy niewdzięcznéj pracy...

MAŁGORZATA, na stronie.

Pamiętam przecież... widział sam Ignacy.

JENERAŁ, na stronie.

Czy obie chcą mię wyprowadzić w pole?
Jest w tém cóś nieszczerego.

NATALJA.

Każ na stole
Przyrządzić większą tacę, do herbaty,
Barona zbudzić.

MAŁGORZATA.

Schodził już z komnaty...

NATALJA.

A Ignacemu o dzienniki powiedz.

MAŁGORZATA, wychodząc.

Nie oślepł jeszcze, choć bezżenny wdowiec...

*SCENA V[1].

NATALJA, JENERAŁ, ZOSIA.

JENERAŁ.

*Wyrodne dziecię, czekam na dzień dobry.

ZOSIA, całując go.

Bo wciąż wojujesz, jak Bolesław Chrobry,
Gdy Szląsk zdobywał, i z Judytą swoją
Henryka gromił, w hełmie i pod zbroją...
Król rycerz, serce winien mieć spokojne...
Zły pokój wolę niż najlepszą wojnę;
Małgosię burczysz, to pomyłka pierwsza.
Niewiasta gdy się boi, choć najszczersza,
Z prawdziwéj, zacnéj, staje się obłudną.

JENERAŁ.

Już téj gorączki pozbyć mi się trudno.
Bo gdy barona ci stręczymy sami,
Skromnego, przystojnego...

ZOSIA.

I z rożkami.

JENERAŁ.

W przygryzki z ojcem proszę być mniéj szczodrą:
A mającego w zamku swym nad Odrą
Dukatów rocznie przeszło trzy tysiące,
Nie wspominając o parowéj mące,
Ty, bez namysłu, dajesz mu odkosza...
Wszak pełnoletnia, masz i trochę grosza;
Lecz jeśli w Rożku ci się nie podoba
Czy to nazwisko, czyli też osoba,
Po grzybie płowym są rumiane rydze;
Gdy zbierzesz, powiedz: bo ja sam go widzę.

1. Pominąć.

ZOSIA.

A jak wygląda?

JENERAŁ.

Leon cię nauczył,
Choć tém pytaniem nieraz ci dokuczył:
A jak wygląda?... pewno nie na wilka.
Wzrost... jaki taki; lat... trzydzieści kilka;
Uroda... z resztą, różków mu nie skrobać,
Jak mnie, tak tobie winien się podobać;
Już bliski do rodziny.

ZOSIA.

Do rodziny?
Szlązaki same masz na odwiedziny!

JENERAŁ.

Lecz on nasz ziomek... ty mu rękę podasz.

ZOSIA.

A kto?

JENERAŁ.

A pan Stanisław.

ZOSIA.

Twój gospodarz?
To bajki!

JENERAŁ.

Zatém, w zięcia się nie zmieni?

ZOSIA.

Dla kogo?

JENERAŁ.

Dla mnie.

NATALJA, do Jenerała.

Patrz, jak się rumieni!

ZOSIA.

Zgaduję czemu pani mię posądza,
I tę zniewagę śmiało mi wyrządza;
Chce byś powiedział: « On ci nie domierza,
Przyjm Rożewskiego... »

(do Natalji.)

Męczysz, jak szemierza,
Już rozdartego pod tygrysią szponą!

NATALJA, do Zosi.

Kochanką jesteś, lecz nie będziesz żoną.

JENERAŁ.

Więc go nie kochasz?

ZOSIA.

Ja was nie chcę rzucić;
Bo ztąd wygnana, gdzież się mam obrócić?
Jedyna własność którą mam od Boga,
To moje serce; więc to krzywda sroga
Jeżeli pani, która mi jest niczém,
Chce przed ojcowskiém spodlić je obliczem!

NATALJA.

Jak matka, szczęścia chcę ci wskazać drogę.

JENERAŁ, całując jéj rękę.

Anielska dobroć!

ZOSIA, na stronie.

Tego znieść nie mogę *!

JENERAŁ.

Stanisław idzie...

(na stronie.)

W oczach mu wyczytam
Gdy po żołniersku, prosto go zapytam;
Tak dowiem się...

SCENA VI.

CIŻ, STANISŁAW.

JENERAŁ.

Chodź bliżéj, Stanisławie.
Już z nami żyjesz od lat czterech prawie,
Wciąż poświęcenia dając nam dowody;
Twój udział w pracy godzien jest nagrody.
Przez ciebie zakład słynność ma rozciągłą;
I choć pobierasz płacę dość okrągłą,
Dziesiątka zysków plon twój nie dosięga...
Gdy do lemiesza ranek mię zaprzęga,
Twą prawą rękę mam za złote szczudło;
Gorliwość rzadka... lecz ja znam jéj źródło.

STANISŁAW.

Znasz moją wdzięczność.

JENERAŁ.

Na niéj nie przestaniem.
Miéj ufność we mnie... wiesz że mojém zdaniem,
Nad szczęście ślepe, wyższą jest zasługa.
Wszak Piast, nasz ojciec, zaczął sam od pługa;
Twój Jan, z kupczyka, wszystkich praw magister,
A jam téż nosił strzelbę i tornister.
Już wiem o wszystkiém. Właśnie tu przytomna
Figurka pewna, świeża, nie ułomna,
Trafiła w serce; a gdy masz w jéj głosie
Uznanie słuszne, weźmiesz za gosposię.
Za tobą matka wstawia się od rana,
Więc twoja sprawa w sądzie mym wygrana.

STANISŁAW.

Co, pani dla mnie była tak serdeczną?
Czy może być?

JENERAŁ.

Tak jest!

STANISŁAW, rzucając się do stóp Natalji.

Z wdzięcznością wieczną,
U stóp jéj składam cześć i życie własne...

(biegnąc do Zosi.)

O moja Zosiu!

NATALJA, do Jenerała.

Masz dowody jasne.

ZOSIA.

Czym kiedy panu słowem lub spojrzeniem
Przyznała prawo zwać mię tém spieszczeniem?
Mię mocno dziwią te uczucia wrzące,
Osobom innym schlebiać tu mogące,
Lecz których ja bynajmniéj nie podzielam.
O, nieco wyżéj mierzyć się ośmielam!

JENERAŁ.

Być tak surową, czyli to sumienie?
W tém jakieś mgli się nieporozumienie.

STANISŁAW.

Gdy pani sama niesie nam z ochotą...

ZOSIA, do Stanisława.

Nieszczęsny, milcz!

JENERAŁ.

Więc staję się despotą,
I ukazami będę siać jak z worka.

Rodzina twoja z Leszka czy Goworka?
Gdyż ja nazwiska mego nie przedrzeźnię,
I splamić nie dam. Gdzie twa matka?

STANISŁAW.

W Gnieźnie.

JENERAŁ.

A ojciec?

STANISŁAW.

W grobie.

JENERAŁ.

Musiał mieć początek
I stopień równy... mniejsza o majątek,
Z mym ojcem, paziem przy Auguście trzecim?

NATALJA.

Już rozłączeni...

STANISŁAW, na stronie.

Ach! w otchłanie lecim.
(do Jenerała.)
Być może... przebacz... iż w obłędzie błogim,
Nad rzeczywistość dla tułacza drogim,
Bo śnić o szczęściu to wygnańców niebem...
Iż uroiłem, dzieląc się jéj chlebem,
Do jenerała zacnéj wejść rodziny;
Złudzenie boskie... lecz od téj godziny,
Hrabianki słowa i przyjęcie dumne,
Rzuciły światło w te uczucia tłumne,
Zawarte w sercu jakby sen daleki...
Zbudzony jestem teraz i na wieki.
Gdzie indziéj cios ten z czasem się zagoi...
Gdyż ubogiemu duma téż przystoi:
Szanowna równie, kiedy w czyn wcielona,
Jak cześć hrabiego dla Napoleona...
O posag nie chcę zmienić się w żebraka.

NATALJA, do Stanisława.

Mieć jéj nie będziesz.

JENERAŁ.

Żal mi nieboraka...
Lecz, Zosiu, pozwól... to już zbytnia pycha!
(do Stanisława.)
Ja, na twém miejscu, zmusiłbym... do licha!
To moja córka!

STANISŁAW, do Jenerała.

Gdy nieznanym sromem,
Jéj głos mię raził jak piorunu gromem,
Kwartalne skoro mu rachunki złożę,
Dziś kraj opuszczam; za dni kilka może
Europę, jeśli w Gdańsku lub Szczecinie,
Z Nowego-Yorku statek się nawinie.
* Lecz na twój honor o tém, jenerale,
Najgłębszy sekret mi dochowaj stale!

JENERAŁ.

Z Natalją także?

STANISŁAW.

Zwłaszcza z nią.

JENERAŁ.

Dla czego?...
(na stronie.)
A więc oboje się Natalji strzegą;
Ten dziś, ta wczoraj...
(do Stanisława.)
Czy powiedzieć Zosi?

STANISŁAW.

Jéj saméj tylko.

JENERAŁ, na stronie.

Prędko się wynosi,
Lecz prędzéj wróci.
(do Zosi.)
Tak go źle przyjęłaś,
Że aż zakładu głowę nam odcięłaś;
Chce jechać biednak do Nowego świata.

ZOSIA.

Wszak to kraina wolna i bogata.

JENERAŁ.

Lecz Ameryka, Zosiu, nie za płotem;
Zabójczy klimat.

ZOSIA.

Grób zasiany złotem...
Niech jedzie do Paryża.

JENERAŁ.

Lub do piekła...
Patrz! jak Cybulscy, brata się wyrzekła*!
(do Stanisława.)
Czyń więc do woli. Nim się puścisz w drogę,
Radbym cóśkolwiek dać na zapomogę;
Znasz mój majątek...

STANISŁAW.

Własny mi wystarcza;
Mój nagły wyjazd służby nie obarcza,
I owszem; Gabrych, przy warsztatów rzędzie
Już wyuczony, mym następcą będzie.
Niech pan jenerał przejdzie się do prządek,
Zastanie w pracy pilność i porządek.

JENERAŁ, na stronie.

A dziś przed bramą Gabrych się zataczał,
I nie mógł trafić, bo z przekątni zbaczał!...
Choć Litwin czasem liche ma koncepta,
On cóś zapisze... powie mi recepta,
Czy lepiéj stoczyć bitwę, czy uciekać.
(w głos.)
Niech panie na nas raczą tu poczekać.
(wychodzi ze Stanisławem.)

SCENA VII.

ZOSIA, NATALJA.

ZOSIA, zasuwając rygle.

Czy pani wierzy w to że miłość błoga,
Uczciwa, wieczna, pierwszy dar od Boga,
To czucie święte co zawiera w sobie
Co tylko dusza może śnić po grobie,
Że taka miłość droższą nam nad życie?

NATALJA.

Znów «Zaporożca» słyszę w tym odczycie...
Lecz ja wiem zdawna to co dziś przezierasz.

ZOSIA.

Więc samobójstwem życie mi wydzierasz.

NATALJA.

Żal ci żem sobie serca nie wydarła;
Bo twoja radość, gdybym ja umarła,
Jak moja teraz, byłaby bez granic.

ZOSIA.

Wiem, że masz pani cześć i wiarę za nic.
U wolnych ludzi prawem się rządzących,
Ugoda wspólna służy dla walczących;
Tak mówi ojciec... lecz ta walka wściekła,
Moskiewska, dzika, jest natchnieniem piekła!

NATALJA.

Broń się jak możesz. Jam niezwyciężoną;
Tyś córką tylko, jam cóś więcéj, żoną.
Bezsilnym walczysz przeciw mnie orężem;
Różewski będzie panem twym i mężem.
Zalety rzadkie... bo przezorny, czujny,
Dowcipny czasem, i w rozmowie bujny;
Z nim, prócz miljona, masz uciechę pewną.

ZOSIA.

Podobno pani z ojców mu pokrewną...

NATALJA.

Wybiegi wszelkie trwonią czas daremnie;
Gdy on miłością płacił mi wzajemnie,
Rok ósmy wieńczył główkę twą dziewiczą.

ZOSIA.

Lecz dziś jéj z górą do trzydziestu liczą...
A jam i rodem i latami zgodna;
Zamężną jesteś, kiedym ja swobodna...
On mię pokochał, on cię nienawidzi:
Dał dziś mi poznać jak się tobą brzydzi,
Gdyż wie coś warta i co nań sprowadzisz:
Jak zdradzasz męża, ty kochanka zdradzisz!

NATALJA.

Ta miłość moja, wrząca i niezmierna,
Rozgrzeszy zdradę... jam przysiędze wierna.

ZOSIA.

Śmiesz o przysiędze mowić, ty bezbożna!
Po słusznéj wzgardzie, kochać już nie można.

NATALJA.

Czy tak?... My wątłe, wzgardą się nie straszym;
On przecież znał mię, przed romansem waszym.

ZOSIA.

Znał cię szatanem, lub niewieścim sępem;
Jak dziś nas gubisz, zwiodłaś go podstępem!

NATALJA.

Dość! nasza zawiść wyższa nad wyrazy.
Czyś nie myślała sobie po sto razy,
Po tysiąc razy, gdy w drzemiącém łonie
Na żar słoneczny dusza ci rozpłonie,
Że świat za niego radabyś poświęcić?

ZOSIA.

Ach! by to serce jéj ofiarą znęcić,
Prócz własnéj duszy, ziemię i niebiosa!

NATALJA.

Coś ledwie mogła śnić, ty złotowłosa,
Jam wykonała... śmierć mię już nie wstrzyma.

ZOSIA, na stronie.

Ta broń jéj wreszcie błyśnie przed oczyma...

(Natalja siada na kanapie.)

Zniewagę naszą, sama dziś naprawisz,
Błogosławieństwo ojca nam zostawisz;
Pozyskasz serce, przez usilne rady,
Dla Zbroińskiego, dla potomka zdrady.

NATALJA.

Ach!... ta wyrocznia, na czém téż oparta?

ZOSIA.

U dzikich ludzi, wojna jest zażarta...

NATALJA.

U kobiet, sroższa... téj ci się zachciało;
Gdyż dzicz tatarska szarpie skroń i ciało,
My godzim w serce; trzeba nam u mety
Mieć miłość, sławę, całą treść kobiety:
Kaleczym duszę!

ZOSIA.

Ja to wszystko sięgnę,
I ciosem jednym na katuszy sprzęgnę!
Macocho zacna, więc nim walka spocznie,
Co chcę, wykonasz ściśle i niezwłocznie;
Lub też mój ojciec zgromi ją w przekleństwie,
Za wszystkie sprawy, przed i po małżeństwie.

NATALJA

Czy da ci wiarę?

ZOSIA.

Da, samemu sobie.

NATALJA, zrywając się.

Co, jakto?

ZOSIA.

Walcząc, ja wycieczki robię
Do sprzymierzeńca... cóż, ciekawość płocha!
Znalazłam listy... świadczą że macocha
Ma ludzkie serce... wzięłam je... te świadki
Dowiodą ojcu...

NATALJA.

Co?

ZOSIA.

Troskliwość matki..
Że syn jéj, Leon...

NATALJA.

Milcz!... to podła kradzież!
Ty, dzieckiem prawie, nóż na pierś mi kładziesz!

ZOSIA.

Czyś dla mnie pani grobu nie otwarła,
Przed nim, przed ojcem, gdym się wręcz zaparła
Miłości, szczęścia, drżąc o jego życie?

NATALJA, na stronie.

O niczém nie wie... lecz posądza skrycie...
(w głos.)
Jam nie pisała... on ich mieć nie może...

ZOSIA.

Mam je...

NATALJA.

Czy w domu?

ZOSIA.

Tam gdzie są lub złożę,
Nie znajdziesz nigdy.

NATALJA, na stronie.

Szał, zjadliwém tchnieniem,
Mój mózg rozmiata... z dzikiém krwi pragnieniem
Palcami wstrząsa... Znaleźć i odebrać...

Gdzież ma?... przy sobie!... zmusić ją, lub żebrać?
Już wiem...

(w głos.)

Czy dawno wzięłaś mu te listy?

ZOSIA.

Dziś rano.

NATALJA.

Znasz je?

ZOSIA.

Wiem że styl ognisty...

(Słychać lekkie pukanie do drzwi.)

NATALJA.

Ktoś do drzwi puka... Skryj wzruszenie twoje...
Małgosia pewnie...

ZOSIA.

Ja się też nie boję.

NATALJA.

Dla ciebie, Zosiu, wschodzi lat poranek,
A mnie się kończy. Gość nasz, twój kochanek,
Odkąd się zjawił i zamieszkał z nami,
Stanowczo dowiódł, mową i czynami,
Że już za młodu wyższym jest nad ludzi;
W podwładnych ufność i szacunek budzi,
W obejściu z tobą, skromny i uległy,
Więc za nim twoje sny dziewicze biegły;
Tak bywa zwykle, to młodości siła,
Ja bym podobnie serce mu święciła.
Lecz jeśli błędna twoja myśl niewieścia?
Gdyż to się zdarza, mając lat dwadzieścia.
Ja mam trzydzieści dwa... to całe życie...
Mnie już nie wolno, na tym wieku szczycie
Wyboru zmieniać; i choćby niegodnym
Był méj miłości, podłym i wyrodnym,
Zapóźno... dla mnie, już zebrane żniwa...
Wiesz jak niezłomne wiążą nas ogniwa;
Za niego dałam wzięcie méj rodziny,
Sumienie własne, i ten skarb jedyny,
Wygnańca honor, skrycie mu wydarty...
Tyś młoda, hoża, tobie świat otwarty,
Pokochać możesz, stanąć do ołtarza
Z godniejszym ciebie... gdyż i to się zdarza;
On dla mnie biednéj światem i zbawieniem!
Ach! wróć mi życie, słowem lub skinieniem;
Litości, Zosiu! ja ci wiernie, długo,
Chcę się zawdzięczać... więcéj ci niż sługą,
Niż matką będę, bo zaklnę duszą...
Ty nie wiesz jeszcze, jaką to katuszą
U stóp rywalki czołgać się nikczemnie,
Jak ja, przed tobą... więcéj chcesz odemnie?
Patrz, jam pokorna!... tobie cześć i chwała!...

(Słychać powtórne pukanie; Natalja pada na kolana z ręką wzniesioną na stanik Zosi.)

O życie błagam!...

(Pukanie silniejsze; Natalja, z uniesieniem.)

Listy tu schowała!

ZOSIA.

Ach, dość już, pani... powstań!

(odpycha Natalję i odmyka rygle.)

NATALJA, na stronie.

Gniew dziecinny...
Godziny przy niéj zostać nie powinny!

SCENA VIII.

TEŻ, JENERAŁ, JAŃSKI.

JENERAŁ.

Otwarte wreszcie... śmiech czy krzyk rozpaczy?

JAŃSKI, biorąc rękę Zosi.

To nic... zmieniona, blada... puls majaczy...

JENERAŁ, do Natalji.

I ty się słaniasz?

NATALJA.

Prządłyśmy po cichu...
Śmiech pusty wziął nas, mówiąc o Gabrychu...
Wszak prawda, Zosiu?

JAŃSKI, do Zosi.

Kłamstwo!

JENERAŁ.

Czy nie słychać
Przez drzwi pukania?

ZOSIA.

Pozwólcież oddychać...
Szłam już otworzyć... śmiech mi odjął siły...
Ztąd chwila zwłoki.

JENERAŁ, do Jańskiego.

Patrz jak się zmówiły...

(w głos.)

Lecz krzyk jéj głośny...

NATALJA.

Wiesz... swawolne dziecię...
Zadzwonię o herbatę...

JENERAŁ.

Mówże przecie...

NATALJA.

* Ach, to despotyzm i przesadna żwawość!
Zamknęłyśmy się, żeby przez ciekawość
Nikt nie wszedł... czy dość jasno?

JAŃSKI.

Bardzo jasno.

NATALJA, do Jenerała.

Wyświecić chciałam, za twą radą własną,
Na jaw jéj myśli, przez zabawkę płochą,
Bo matką jestem więcéj niż macochą;
Gdyś dał natarcie jak do czworokątu,
I wszystko zniszczył.

JENERAŁ, na stronie.

Znów odmiana frontu.. *

(w głos.)

Odkąd barona wzięłaś nam przedstawiać...

NATALJA.

Mów, od Łokietka.

JENERAŁ.

Proszę nie domawiać...
Od tych odwiedzin, gdzie poniosę oczy,
Nic tu porządkiem zwykłym się nie toczy;
Zdjąć mi te maski, już po karnawale!
Do kata, dam ja...

NATALJA.

Panie jenerale,
To pierwszy cierpki wyraz od zamężcia...
Czy się sprzykrzyło lat dwanaście szczęścia?

JENERAŁ.

Od despotyzmu nadto sam cierpiałem,
Bym rząd ojcowski hańbił tym zakałem;
Więc nie chcę być tyranem i nie będę.
Łecz jam dopiero zmięszał ci gawędę
Ze Stanisławem; teraz, gdy zastaję
W naradzie z córką, znów się przykrym zdaję;
Téj nocy, goniąc jak za błędnym duchem...

JAŃSKI.

To nic...

JENERAŁ.

To nic! nie trąbże mi nad uchem...

JAŃSKI.

Lecz, moje państwo, kłóćcież się pokątnie,
Gdyż do zaślubin to mi chętkę sprzątnie;
Maltańskim kawalerem mię zrobicie...

(Słychać stąpanie na ganku.)

Jak baron... właśnie słychać po kopycie.

(do Jenerała.)

Przyrzekłeś milczkiem śledzić ich roboty;
Jam też z paniami różne miał kłopoty,
I sam wysłuchał jakie dwa tysiące...
Najlepiéj czekać, tropić jak zające,
Nie zmuszać nigdy; przymus łzy wyciska,
A mokry żywioł jak się raz rozpryska,
Utoniesz bracie, choćbyś był szczupakiem!

SCENA IX.

CIŹ, ROZEWSKI, IGNACY, MAŁGORZATA.

RÓŻEWSKI.

Przebaczą panie żem niewczesnym znakiem
Modlitwę ranną przerwał im bezmyślnie;
Przez drzwi zamknięte, mysz się nie przeciśnie.

JAŃSKI.

Tém bardziéj szczur.

RÓŻEWSKI.

Dzień dobry, jenerale.

JENERAŁ, czytając dziennik.

Dzień dobry.

RÓŻEWSKI, do Zosi.

Wczoraj perły, dziś korale...

ZOSIA.

Tak, w kształcie różków.

RÓŻEWSKI.

A, forboty śliczne;
Panieńskich wdzięków straże to graniczne,
Lecz co najmilsze, to jéj własne róże.

JAŃSKI.

Z kolcami...

RÓŻEWSKI.

Chcesz pan się odegrać? służę!

JAŃSKI.

Nie, wolę pić herbatę.

(na stronie.)

Znów pachnidło!
Czuć go z daleka, jak po rosie bydło.

RÓŻEWSKI.

Więc tu trwa jeszcze zwyczaj ten moskiewski,
Japoński, chiński...

ZOSIA.

Czy go pan Różewski
Nie lubi?

RÓŻEWSKI.

Moskwa jest macochą naszą,
Dziś i rywalką... zbrodnie jéj nie straszą.

JENERAŁ.

Za to cię lubię. Szląsk jest Polski synem.

RÓŻEWSKI.

To pokrewieństwo niech się stwierdzi czynem.

ZOSIA.

Talerzyk szynki... jest parowa bułka.

RÓŻEWSKI.

Dla ciekawości, wolę pić te ziółka,
Bym z apetytem lepszym zjadł śniadanie.
Chińczycy też nie głupi choć poganie;
Ten chwast nam dają za podolskie ziarna
I szląskie sukna...

JAŃSKI.

Wszak herbata czarna
To zdrowy napój.

RÓŻEWSKI.

Gdy kto lubi siano...
Za naszych ojców trawy téj nie siano.

JAŃSKI.

Ziół Mojżesz nieznał... Nil nie rodzi kwiatków,
Bo same węże.

RÓŻEWSKI.

Żmudź to raj niedźwiadków.

ZOSIA.

Prawdziwa Su-szong; dla nas to łakotka...

RÓŻEWSKI.

Niech będzie i suszona, byle słodka,
Jak panna Zofia.

JENERAŁ.

Gdy się gryzie z Różkiem...

NATALJA.

Śmietanki trochę?

RÓŻEWSKI.

Proszę...

ZOSIA.

Czy z kożuszkiem?

RÓŻEWSKI.

To złote runo... jak na mlecznéj warstwie...

JAŃSKI.

Ostatni z Różków zna się na gwiazdarstwie!

RÓŻEWSKI.

Jak pan na pieprzu...

JAŃSKI.

Na kadzidle zwłaszcza.

Czy pan z potrzeby piżmem się namaszcza,
Czy dla fantazyi?

RÓŻEWSKI.

Czemu pan się pytasz?

JAŃSKI, nos sobie ucierając.

To nic... moskiewski zaduch na korytarz,
Nie do salonu.

JENERAŁ, do Natalji.

Wpadł jak w lisią pastkę.

NATALJA, z uśmiechem.

Doktorze, zgoda... masz «Cieszyńską Gwiazdkę;»
Samowar biorę, Zosiu, weź barona.

(Ignacy i Małgorzata wychodzą.)

RÓŻEWSKI.

O, panna Zofia woli twór Byrona
Lub Mićkiewicza, niż rozmowę zemną.

ZOSIA.

I owszem, teraz bardzo mi przyjemną.
Bo jeśli nie chcesz bym za jedno słowo
Na Różkach była panią i królową,
Z nim się pojednać mam ochotę wielką;
Przyznaję prawo i udolność wszelką
Do serca panny Życkiéj, dwóch Cybulskich,
Trzech Ogrodzińskich...

JAŃSKI.

Czytam że u Szmulskich,
W Rogożnie, sześć jałówek do sprzedaży
Po niskiéj cenie... to dla gospodarzy.

RÓŻEWSKI.

Pan z méj niedoli cieszysz się widocznie;
Choć na ten smutek mam intraty rocznie...

JENERAŁ.

Masz młyn parowy.

RÓŻEWSKI.

Im tu dłużéj bawię,
Tém mocniéj czuję iż przy Stanisławie
Niegodnym zięciem zwałby mię pan hrabia.

ZOSIA.

Czy że z potrzeby sam na chleb zarabia?

RÓŻEWSKI.

Od saméj pani czule jest przyjęty...

ZOSIA, na stronie.

Prawdziwa plaga, obce te natręty...
Języki smocze, a niezgrabny pozór.

NATALJA.

Choć na przekąskę, masz pan baron ozór.

JAŃSKI.

Wołowy i wędzony.

RÓŻEWSKI.

Czy w aptece?

Dziękuję.

NATALJA, do Różewskiego.

Miéj pan ufność w méj opiece...
Przerobię wszystko, Zosię mu przychylę.

RÓŻEWSKI.

Już twierdza wzięta... nigdy się nie mylę.

NATALJA.

Doktorze, czy jak zwykle?

JAŃSKI.

Jeśli łaska.

NATALJA, na stronie.

Dwie lub trzy krople... niech ją sen ugłaska,
Dziś listy do mnie wrócą.

JAŃSKI, na stronie.

Czy być może,
Czy to złudzenie?... O kark się założę
Iż do herbaty Zosi coś dolała.

RÓŻEWSKI, do Zosi.

Że pana Stasia pani byś wolała,
To wiem, bo magnat, choć dla niéj się biedzi.

ZOSIA.

A zkąd?

RÓŻEWSKI.

Sąsiadki wiedzą jak kto siedzi...

NATALJA, podając filiżankę.

Masz Zosiu... pijże...

ZOSIA.

Powiedz pan do ucha...

RÓŻEWSKI.

A, jak téż pani mię ciekawie słucha!
Szczęśliwy byłbym gdyby tak przytomnie
Słuchała kogoś co by mówił o mnie!...

JAŃSKI.

Podeszłych panien są romansem plotki,
A z romansowych, tworzą się dewotki.

RÓŻEWSKI.

Czy to w gazecie, lub czyś pan poetą?

JAŃSKI.

Tu raczéj plotki stały się gazetą...

(na stronie.)

Uderzysz w stół, odezwą się nożyce.

NATALJA.

Poeci przecież dają myśl muzyce...

RÓŻEWSKI.

Gdy arfa dzwoni złotych strun szelestem,
Chór niebian słyszę, i szczęśliwy jestem;
Lecz bóg Apollo nie grał na waltorni,
Jak doktor Jański.

JENERAŁ.

Oba są wyborni...
Wyprostuj wreszcie kołnierz, mój baronie!

JAŃSKI.

To nic... on praży, ja się tylko bronię.

ZOSIA.

Jak w téj herbacie smak niezwykły, nowy...

ROŻEWSKI, oddając filiżankę.

Gorzkawa trochę...

(na stronie.)

Zmienia tok rozmowy.

(w głos.)

Jak rajska lutnia serce jéj zaszemrze,
Gdy powiem że pan Stasio jest...

ZOSIA.

Jest... czémże?

RÓŻEWSKI.

Stumiljonowym panem, bo przy sobie
Ma skarb najdroższy...

ZOSIA.
Jaki?
RÓŻEWSKI.
W jéj osobie...
Choć w bócy worek swój majątek zaszył.
ZOSIA, na stronie.
Trzpiot, wiercipięta... jakże mię przestraszył!
(wstaje z filiżanką; Jański ją chwyta z jéj ręki.)
JAŃSKI.
Daj; ja odniosę.
(oddaje swoją filiżankę Natalji, w zamian za filiżankę Zosi; kosztując w głębi.)
Bóg nad niemi czuwa...
Laudanum... szczęściem, doza nie zatruwa...
(do Różewskiego.)
Baronie, słowo... lecz po ludzku, pięknie...
RÓŻEWSKI, naśladując Jańskiego.
To nic... i dziesięć...
(na stronie.)
Cóś mu pacierz mięknie.
JAŃSKI.
Hrabiego chciałbym wysłać za baronem,
Choć na godzinę...
RÓŻEWSKI.
I na dwie, z Leonem.
JAŃSKI.
Próżnuje w szkole, aż do trzeciéj...
RÓŻEWSKI.
Szkoda,
Ja sam nie mogę.
JAŃSKI.
W życiu jéj nagroda...
Pan kochasz Zosię?
RÓŻEWSKI.
Wczoraj ją kochałem...
JAŃSKI.
A dziś?
RÓŻEWSKI.
Być może... Wyjść mam z jenerałem?
JAŃSKI.
Koniecznie...
RÓŻEWSKI.
Gdzie? dla czego?... Sam odgadnę.
Więc pójdę na dwór, i zwiastując wpadnę
Że pan Stanisław... Lecz o wilku mowa...
(idzie ku niemu na ganek.)
ZOSIA, schylając głowę na kanapie.
Już noc... jak ciemno... ledwie dnia połowa...
Ja nie chcę zasnąć...
(usypia.)

SCENA X.

CIŻ, STANISŁAW.

STANISŁAW, do Jenerała.
Racz pan, przed obiadem,
Rachunki sprawdzić u mnie, pod zakładem.
ZOSIA, przez sen.
Stanisław...
JENERAŁ.
Idźmy.
RÓŻEWSKI, na stronie.
Marzy o nim we śnie...
To mi sympatia!...
(do Jenerała.)
Chciałbym téż współcześnie
Korzystać, panie hrabio, z téj okazyi,
I zwiedzić zakład słynny aż w Kaukazyi.
JENERAŁ.
Choć się nie umiesz brać do pięknéj płci...
Dla czego nie, mój Różku... służę ci.
RÓŻEWSKI, podając mu laskę.
Różewski...
JENERAŁ.
Z Różków. Wolę iść bez kija...
NATALJA, na stronie.
Wychodzą na godzinę... los mi sprzyja...
JAŃSKI, na stronie.
A mnie Opatrzność.
(Jenerał wychodzi z Różewskim i Stanisławem.)

SCENA XI.

NATALJA, JAŃSKI, ZOSIA uśpiona, MAŁGORZATA w głębi.

NATALJA.
Drugą mu naleję..
JAŃSKI, niby czytając.
Tak dziś żelazne wodzą mię koleje,
Żem téj nie skończył.
NATALJA, przy Zosi.
Patrz... usnęło dziecię!
JAŃSKI.
Na dobre... prawda.
NATALJA.
Nic dziwnego przecie;
Do drugiéj z rana nie zmrużyła oczu...
Dziś, wielki popłoch miałam na przyboczu;
Od wójta, ze wsi, był umyślny goniec,
Początek ognia...
JAŃSKI.
Szczęście, że nie koniec...
Pomogę pani radą... a w potrzebie...
NATALJA.
Małgosiu, chodźże... wnieśmy ją do siebie. .
(wynoszą śpiącą Zosię.)

SCENA XII.

JAŃSKI, IGNACY.

JAŃSKI.
Ignacy!
IGNACY.
Słucham.
JAŃSKI.
Jest tu szafa pewna,
Na klucz zamknięta?

IGNACY.

Jest kredensik z drewna,
Za panem.

JAŃSKI.

Dobrze, nie mów nic, nikomu;
Ja panu figla chcę wypłatać w domu,
A gdybyś gadał, to za darmo chyba.
(daje mu talara.)

IGNACY.

Już będę niemy, jak solona ryba.

JAŃSKI po zamknięciu filiżanki, chowając klucz do kieszeni.

A teraz, zostaw mię we dwoje z panią,
Aż hrabia wróci... sam nie wejdziesz za nią.

IGNACY, wychodząc.

Ma racyę stara, gdy cóś w ucho szepce...
(do wracającéj Małgorzaty.)
No, cóż?

MAŁGORZATA.

Spokojnie drzemie, jak w kolebce...
(wychodzi z Ignacym.)

SCENA XIII.

JANSKI, sam.

Co zdolném jest poróżnić dwie niewiasty
Przystojne, młode, i z dostatniéj kasty,
To każdy lekarz, gdy jak ja nawyknie
W ich sercu czytać, łatwo wnet przeniknie.
Kolega raptus, gdyż go rwiączka drażni,
Od lat czterdziestu w jednéj żył bojaźni;
(uderzając ręką w czoło.)
I o to właśnie... tu, prócz Stanisława,
Nikt nie koczuje... próżna więc obawa.
Ja może?... gdzie tam, doktor, w tym kubraku...
A więc... On jeden!... Żona! do ataku.

SCENA XIV.

JANSKI, NATALJA.

NATALJA.

Ach! mam nareszcie... spalę, nim się zbudzi...
(do Jańskiego.)
Pan sam zostałeś?

JAŃSKI.

Sam... wysłałem ludzi.

NATALJA.

Dla czego?

JAŃSKI.

Z panią radbym się rozprawić.

NATALJA.

Co! nasz najemnik chce mi czoła stawić?
Nie dość że wszystko zwyczaj ma podglądać,
Z jenerałową śmie rozprawy żądać?

JAŃSKI.

Ja, wasz najemnik? Z Boga i natury,
Jam niepodległy! prócz emerytury,
Intraty własnéj mam ze sześć tysięcy,
Mam stopień pułkownika, i co więcéj,
Chudobę całą dzieciom ich zapiszę...
Więc za to chyba ten przydomek słyszę
Żem lekarz... pani nadto głos podnosi;
Dolałaś opium do herbaty Zosi!

NATALJA.

Kto, ja?

JAŃSKI.

Widziałem... mam jéj filiżankę!

NATALJA.

Wymyłam zaraz...

JAŃSKI.

Nie; na niespodziankę,
Za czarkę Zosi, moją jéj oddałem...
O, ja nie « Gwiazdkę », w oczach jéj czytałem!

NATALJA.

Rzemiosło piękne!

JAŃSKI.

Nie jest bezowocném;
I owszem, bardzo będzie jéj pomocném,
Albowiem pani do mnie się skieruje,
Jeżeli Zosia na to zachoruje.

NATALJA.

Od kilku kropli!

JAŃSKI.

Kilku... więc wyznajesz?

NATALIA.

Co mówię!... doktor się nikczemnym stajesz!

JAŃSKI.

A czy dla tego żem namacał zbrodnię?
Tom słyszał od was, już za młodu, w Grodnie,
Gdym był w klinice... więc się dziś nie gniewam;
Lecz tu cóś więcéj wykryć się spodziewam!...

NATALJA, na stronie.

Z donosiciela, zrobię go wspólnikiem...
(w głos.)
Ja się poróżnić nie chcę z pułkownikiem;
Lecz muszę czuwać nad méj Zosi zdrowiem...
Za chwilę więc na wszystko mu odpowiem.
(* odchodzi do siebie i zamyka się.)

JAŃSKI.

*Masz tobie! wyszła i zawarła rygle!...
Dajże tu sposób na niewieście figle;
Przegrana pewna... szturmem wziąść nie mogę...
A do odwrotu mam przeciętą drogę!
Cóż tam porabia?... niszczy tę flaszeczkę,
Delicti corpus. Cały plon na sieczkę,
I na nos jutro zleci mi ta praca,
Aż stary sam odgadnie... A, powraca.

NATALJA, na stronie.

Spalone... ani śladu... co za trwoga!
(w głos.)
Doktorze!

JAŃSKI.

Pani...

NATALJA.

Więc ta Zosia droga,
Potulna, szczera, co jak z nieba spadła,
Podstępem tajemnicę mi wykradła,
Na któréj honor czterech nas polega.

JAŃSKI, licząc na palcach.

Natalja... syn jéj... on... i mój kolega,
To cztery.

NATALJA.

Również Zosia ją zachowa,
Pod własną zgubą...

JAŃSKI.

To zbyt kręte słowa.
Jam chłopskim synem; mam rozwagę własną,
Nie pożyczoną... mówże pani jasno!

NATALJA.

Ja matką jestem... by ten cios odwrócić,
Musiałam tedy ślad jéj w ogień rzucić;
Lecz ty, doktorze, który tu się mienisz
Kolegą, bratem, w zdrajcę się przemienisz,
Popełnisz większą zbrodnię, bo szalone
Kobiece żądze wam nie dozwolone,
Gdy daléj stąpisz na téj śliskiéj drodze
Doniesień skrytych, którą ja przegrodzę!

JAŃSKI.

Groźbami gardzę... odkąd są na świecie
Społeczne związki, z tego co siejecie
Wyrasta zbrodnia!

NATALJA.

Chciéj zrozumieć żonę...
Istnienia cztery przez nią zagrożone!

(na stronie.)

Już się namyśla.

(w głos.)

Stoisz pod przekleństwem!

JAŃSKI, wahając się.

Ach, pani!

NATALJA.

Silna tém niebezpieczeństwem,
Oświadczam panu, iż mi sam pomoże
Utrzymać dom nasz w zgodzie i honorze;
Przyniesie środek na zbudzenie Zosi;
Uśpienie nawet ojcu sam ogłosi
I wytłómaczy... zwróci mi naczynie;
Ja, przy nim stanę, i po każdym czynie*,
Wyjaśnię wszystko!

JAŃSKI, niespokojnie.

Pani...

NATALJA.

Dość już, panie;
Niech nas jenerał razem nie zastanie.

JAŃSKI, wychodząc.

Ja skłonię cię... wyrzekniesz się kochanka,
Lub zginiesz!

NATALJA.

Żegnam...

SCENA XV.

NATALJA, późniéj IGNACY.

NATALJA.

Gdzież ta filiżanka?

(przy szafie.)

Zamknięta szafa!... sam się wtrącił w sieć...
Ignacy!

(Ignacy wchodzi.)

Otwórz... wnet ją będę mieć!

AKT CZWARTY.

Pokoik Zosi, biało przystrojony; wejście na prawo, drzwi ukryte w ścianie na lewo. Po téj saméj stronie, krzesło z poręczami i stolik. Gotowalnia ze źwierciadłem.

SCENA I.

ZOSIA śpiąca w krześle, NATALJA.

NATALJA.

Uśpiona... przecież Jański mi powiada
Że za godzinę... Twarz jak całun blada...
Jéj sen mię trwoży... szczęściem że przelotny;
Tę śmierć pozorną spędzi duch żywotny...
On w niéj się kocha... dla niéj mię poświęca...
Nieskładne rysy, świeżość jéj dziecięca...
O nie! to dziewczę nawet sen upiększa!
Lecz młodzi czy nie wiedzą że największa
W uczuciu władza?... Piękność jest pozorem,
A prawdą miłość... Trzeba mi z doktorem
Naradzić się...

JAŃSKI za sceną, pukając.

Czy można?

NATALJA, otwierając.

On sam właśnie...

SCENA II.

TEŻ, JAŃSKI.

NATALJA.

Mówiłeś pan że na godzinkę zaśnie...

JAŃSKI, biorąc rękę Zosi.

Rzecz pewna... Zosiu...

ZOSIA, budząc się.

Ach... pan Jański... Boże!
Czym jeszcze senna?... jasny dzień na dworze...
A ja... gdzie listy... Pani w méj komnacie!...

NATALJA.
Zasłabłaś trochę, Zosiu, po herbacie;
No, jak ci teraz... wiesz, ja radzić umiem.

ZOSIA.
Zasnęłam po wypiciu... Ach, rozumiem!
(wstaje, kładąc rękę na piersi.)
Skrzywdziłaś mię zbrodniczo... bezprzytomnie!...

NATALJA, do Zosi.
Te listy moje... więc wróciły do mnie.

ZOSIA, do Jańskiego.
I pan widziałeś...

NATALJA.
Co mu chcesz wyjawić?

JAŃSKI.
Ja, moje dziecię?... Gotówbym cię zbawić
Krwią własną, życiem... kocham cię jak ojciec...
Téj krzywdy nie znam, i nie mogę dociec,
Ja tu nie byłem!

NATALJA.
Pan mi nie zabroni
Z nią się pojednać...

JAŃSKI, na stronie.
Czemu na ustroni?
Dla czego Zosia, ze snu już odjęta,
Po takiéj zbrodni milczy jak zaklęta?

NATALJA, do Zosi
Niedługo miałaś w gorsie twym ukrytą
Tę broń zwycięzką przeciw mnie zdobytą.

ZOSIA.
Ty ją wykradłaś jak zazwyczaj, zdradą.

NATALJA.
Ciekawość, Zosiu, jest nam wspólną wadą.
Wszak równe służą dla walczących prawa...
Zrobiłam tu, co ty u Stanisława,
Lecz nieco zręczniéj.

ZOSIA.
Nie dręcz mię, szatanie...
Dziś ty zwyciężasz, odwet mi zostanie!

NATALJA.
Więc wojna jeszcze?

ZOSIA.
Krwawa i dozgonna.

NATALJA.
Zbyt dramatycznie rzucasz się, bezbronna...

ZOSIA.
Jest ktoś co skarci kradzież tę nikczemną,
Mój mąż przed Bogiem!

NATALJA.
Jeszcze nie przedemną.

JAŃSKI, na stronie.
Już się zgodziły... ani cień zwaśnienia...
Więc mogę odejść... trzeba mi wytchnienia.

NATALJA.
Doktorze!

JAŃSKI.
Pani?

NATALJA.
Pan zamknąłeś w szafie
Jéj filiżankę... przy pomyślnym trafie
Znalazłam... szkoda, wszelki ślad zatarty...
Pan klucz mi oddasz...

JAŃSKI.
Nie mam...

NATALJA.
To są żarty...
(Jański klucz oddaje.)

ZOSIA.
Doktorze!

JAŃSKI.
Zosiu?

ZOSIA.
Sen mój był niezwykły,
Zmuszony...

JAŃSKI.
Prawda, lecz dowody znikły...
Macocha cię uśpiła... niech się dowiem
Dla czego?

ZOSIA.
Chcąc odebrać...
(Natalja się zbliża.)
Później powiem.

NATALJA.
Lecz mój doktorze, wszak już Zosia zdrowa,
Więc proszę z sobą.

JAŃSKI, na stronie.
Niech ją Bóg uchowa!
Nie mogę skarżyć, rzecz już wyczerpana,
Więc muszę być wspólnikiem...

NATALJA.
Czekam pana!
(wychodzi z Jańskim.)

SCENA III.

ZOSIA, sama.

Ujechać z nim, lub zginąć... to, lub drugie...
Tu, śmierć niechybna; tam, wygnanie długie..
Ten spór cześć ojca piętnem swém naznaczy!
On, stary żołnierz, umarłby z rozpaczy!
Nie, już tułactwo lepsze niż sromota!
Z Leonem lżejszą będzie mu tęsknota...
Odwołam się, gdy ślub nasz Bóg uświęci,
Do nieskalanéj matki méj pamięci...
Ach, czemuż druga, niecna i zajadła,
W tak wzniosłém sercu miejsce jéj posiadła?...
Gdy ją zwyciężę, zdrady nie wyjawię,
Kochanka biorąc, honor jéj zostawię;
O łaskę ojca listem się upomnę...
A miłość moja, czucie to niezłomne,
Dla niewinnego krwi wyklętéj syna,
To méj ucieczki będzie dlań przyczyna!
(siada i pisze.)

SCENA IV.

ZOSAI, MAŁGORZATA.

MAŁGORZATA.
Czy Zosia zdrowsza?

ZOSIA.
Tak... na pozór... we śnie...
Lecz tu... Małgosiu, jakże to boleśnie
Bez matki zostać...

MAŁGORZATA.
Ach, to większa nędza,
Macochę taką cierpieć, jak ta jędza!
Bo widzę że tu będzie coś okropnie,
Jeżeli z tobą swych zamiarów dopnie!...
Oj! te powtórne... nie, potworne śluby!
W dom owdowiały, dla rychlejszéj zguby,
Macocha wnosi rozpacz i niezgodę!
Na jedném gnieździe, dwie rodziny młode
Zazwyczaj sobie sprzeczne i niechętne,
Od lat dziecięcych aż do grobu wstrętne...
Ich własny ojciec staje się ojczymem!
Majątek, cześć ich, wszystko idzie z dymem,
Aż jedna drugą zniszczy do ostatka...
O, ja cię kocham jak nieboszczka matka,
Ja mam jéj serce... przebacz mi, sieroto,
Dla twego szczęścia zmarłabym z ochotą!...

ZOSIA.
Ja twéj wierności raz doświadczyć muszę...

MAŁGORZATA.
Dziecino droga! patrz w tę biedną duszę,
Przekonaj się czym szczerze ci wzajemną!

ZOSIA.
Tam gdzie się schronię, czy pojedziesz zemną?

MAŁGORZATA.
Na tamten świat, za morze, byle razem!

ZOSIA.
I dziś?

MAŁGORZATA.
Natychmiast... twoja chęć rozkazem!

ZOSIA.
Wyjedziem więc téj nocy, potajemnie.

MAŁGORZATA.
Téj nocy... Zosiu, czy ty szydzisz ze mnie?
A dokąd?

ZOSIA.
Nie wiem... bylem ztąd uciekła...
Ty już się chwiejesz?

MAŁGORZATA.
Pani ją urzekła!...
Dla Boga! zkądże taka myśl powstała?

ZOSIA.
Czy wiesz że pani na sen mi zadała?

MAŁGORZATA.
Oj wiem, Ignacy także... bo w pokoju
Pan Jański zamknął czarkę od napoju,
A on otworzył, i dał ją macosze...

ZOSIA.
Już o tém ani słowa, ja cię proszę!
A jeśli prawda że po matce w niebie
Tyś drugą dla mnie, wszystko zbierz u siebie,
Nie mów przed nikim że ruszamy w drogę...
Gdzie? jak? dziś jeszcze wyznać ci nie mogę;
Strzeż się macochy, bo niech się domniema,
Już po twéj Zosi!

MAŁGORZATA.
Więc ratunku niema?
Porzucić ojca... w taką wpaść ohydę...

ZOSIA.
Czy wolisz bym umarła?

MAŁGORZATA.
Nie! już idę...

ZOSIA.
Proś Stanisława, niech mi przyniesie raczy
Mój roczny dochód.

MAŁGORZATA.
Właśnie, jak w rozpaczy,
Gdym tu wchodziła, dumał pod oknami...

ZOSIA.
Chciał mię pożegnać... On pojedzie z nami...
(Małgorzata wychodzi.)

SCENA V.

ZOSIA, sama.

Śmierć lub ucieczka... pocisk już wylata...
Mój drogi ojcze, ty przez długie lata
Stęskniony, chory, szukasz mię napróżno...
Czy miłość płaci lub zostaje dłużną
Za takie skarby? Tracę dziś w ukryciu
Co tylko święte i szanowne w życiu;
Spojrzenie twoje, głos twój, włosy siwe,
Ten dom, gdzie dla mnie zbiegły dni szczęśliwe,
Lecz méj ofiary godne to bożyszcze...
Stanisław zemną wolność raz odzyszcze;
Dobrzycki, Jański, słuszny gniew twój skruszą,
Szlachetne serce do litości zmuszą...
Już we mnie wzrasta to przeczucie wieszcze...
Ach... mój jedyny...

SCENA VI.

ZOSIA, STANISŁAW.

STANISŁAW.
Więc cię widzę jeszcze?...
Jam już się żegnał z mym straconym rajem...
Czy wie Natalja że się dziś rozstajem?

ZOSIA.
Ty nie mów o rozstaniu... Ja, twa żona,
Z wygnańca losem wiecznie dziś złączona,
Pojadę z tobą!

STANISŁAW.
Zosiu, czy mam wierzyć?

ZOSIA.
Do ciebie miałam po dniach kilku zmierzyć,
Lecz ta niecnota moją chęć przyspiesza;
Jéj groźną zemstę wyjazd mój zawiesza...
Ty wiesz przy tobie jak mi życie lube!...

STANISŁAW.
Cóż ona tu zamyśla?

ZOSIA.
Moją zgubę!
Dla odebrania listów swych odemnie,
Durzącym płynem struła mię nikczemnie;

Po tém co czyni, sądź co czynić zdolna;
Z jéj rąk się wydrzeć jam nareszcie wolna...
Jak? dokąd? rozkaż, ja chcę żyć dla ciebie;
Tu, obca ziemia z tobą mię zagrzebie!

STANISŁAW.

Ach, Zosiu! radość życia nie pozbawia!...

ZOSIA.

Miéj wzgląd na wszystko... pospiesz do Wrocławia;
Dobrzycki glejt w urzędzie dziś wyrobi,
Podwodę przyszle, straż nam przysposobi...
Ach! byle ojciec, przez macochę szczwany,
Doścignąć nie mógł... spieszże, mój kochany...
Ten list, z wyrazem żalu i boleści,
Ucieczki naszéj powód mu obwieści!

STANISŁAW.

Tom już uczynił com koniecznêm sądził,
Gdym, od wczorajsza, odjazd mój przyrządził...

(* wyjmuje pulares, i kładzie wałek złota na stoliku.)

To złoto twoje... gdy rachunki spłacę,
To mój zarobek za trzyletnią pracę.
O trzeciéj z rana Jan mię czeka w mieście;
Chciał mi zamówić statek aż w Trieście,
Lecz Gdańsk pewniejszy... tam z polskiego portu
Do Filadelfii płyniem, bez paszportu,
Bo lud swobodny przyjmie nas, pokocha...
Już nie ma przeszkód...

(Natalja otwiera drzwi w ścianie i staje między niemi.)

SCENA VII.

CIŻ, NATALJA.

NATALJA.

Oprócz mnie!

STANISŁAW.

Macocha!

ZOSIA.

Zginęliśmy!

NATALJA.

Ty zapomniałaś o mnie...
A pan Stanisław chciał też wiarołomnie
Z mych oczu zniknąć... o niebaczne dzieci!
Myśleliście że nikt już nie wyświeci
Zasadzek waszych... że ich nie odgadnę,
W rozpaczy, w hańbie, sama tu przepadnę!
O! moją czujność bo nie łatwo zmylić,
I tak poślednim spiskiem los przechylić...

(pokazując drzwi ukryte.)

Kazałam wybić przejście to uboczne
By śledzić zdrady dla mnie zbyt widoczne;
Przejęłam całą téj ucieczki postać...
Imieniem ojca ja wam każę zostać!

ZOSIA.

Więc dom nasz jest więzieniem... w téj otchłani,
Jam niewolnicą, a odźwierną pani!

STANISŁAW.

Choć pasierbica prawnie jéj podwładną,
Jam z prawa wolny; więc mię siłą żadną
Nie zdołasz ująć...

NATALJA.

Pan pozostać raczysz.

STANISŁAW.

Szalona jesteś.

NATALJA, dzwoniąc.

Lub ty sam... zobaczysz!
Ja to wykonam co jéj się zachciało;
Przywołam ojca, rzecz rozpowiem śmiało,
Już nie z kochanką, przed haniebnym zgonem
Ustąpisz, ale ze mną i Leonem...

(Ignacy wchodzi.)

Proś tu hrabiego...

(do Zosi.)

Straż ci przysposobię.

STANISŁAW, do Zosi.

Ja zwrócę gońca... zajmij ją przy sobie.
Po mym odjeździe, Jan cię uprowadzi;
U niego zejście... tak przezorność radzi,
Tak miłość moja...

(do Natalji.)

Żegnam cię na wieki;
Gdy nadużyłaś podle twéj opieki,
Bo ducha śmierci przeciw niéj wezwałaś,
Ostatni węzeł wspólny nam zerwałaś!
Przestrzenią świata z tobą się rozstaję;
Zapomnij o mnie... ja ci przykład daję...
Z macochy sercem, duszę masz jastrzębią!

NATALJA.

Obelgi same z twoich ust mię gnębią!

(pokazując list Zosi.)

A wiesz jak straszne w liście tym odkrycie?...

STANISŁAW.

Wiem że ją kocham, i na całe życie,
Że nasze śluby Bóg uświęci w niebie;
Żem choć wygnany drugi raz przez ciebie,
Jak ty nienawiść, ona mi przechowa
Dozgonny skarb miłości... bywaj zdrowa.

ZOSIA.

Mój Stanisławie!

SCENA VIII.

ZOSIA, NATALJA.

NATALJA.

Odszedł już, niewdzięczny...
Lecz ja na zbiega sposób mam doręczny;
Nazwisko powiem z którém on się kryje...

ZOSIA.

Ach! ojciec mój doścignie go, zabije!

NATALJA.

Niech raczej umrze nim się twoim stanie!
To już ostatnia groźba i wyzwanie.

ZOSIA.

Nie, tego nie przeniosę... to za wiele...

(padając na kolana.)

Ja, zwyciężona, u twych stóp się ścielę,
O litość błagam... żyj przy Stanisławie,
Niech sama zginę, lecz niech jego zbawię!...

NATALJA, na stronie.

Jak ona kocha!...

(w głos.)

Czy się go wyrzekasz?

ZOSIA, stłumionym głosem.

Wyrzekam...

NATALJA, upuszczając chustkę i klucz, z namiętném drżeniem.

Czemu sromem się oblekasz?
Tyś o nim pewna... bo mię tu znieważył
Wyznając miłość którą cię obdarzył...

ZOSIA podnosząc klucz, na stronie.

Jéj klucz... trucizna...

(w głos.)

Jaką chcesz przysięgę?
Czy się na boską zakląć mam potęgę?
Czy chcesz by serce moje się złamało
W zakonnym ślubie?

NATALJA.

Nadto, lub za mało...
Ja przysiąg nie znam... jedno mię przekona;
Małżeński pierścień przyjmiesz od barona.

ZOSIA.

Gdy zechcesz.

NATALJA.

Słowem dziś się zaręczycie.

ZOSIA.

Niech wejdzie z ojcem; słowo dam i życie.

NATALJA.

Nareszcie!... zgadzasz się na wszystko, chętnie?

ZOSIA.

Na wszystko.

NATALJA, na stronie.

Jak to mówi nie namiętnie...
Ni jednéj łzy... ma coś innego w duszy.

(w głos.)

Czyś tylko szczera?

ZOSIA.

Ach! już dość katuszy!
Żeś wiarołomna, ty z przysięgi szydzisz,
Jak duch obłudy cień jéj wszędzie widzisz...
Idź precz odemnie; serce mi wykradłaś,
Bierz więc i życie!

NATALJA.

Szczerze w gniew zapadłaś.
Czy pan Stanisław znać ma twe zamiary?

ZOSIA.

Idź, powiedz pani.

NATALJA.

Mnie już nie da wiary...
Ty sama napisz jasno i wydatnie.

ZOSIA po napisaniu, oddając kartkę.

Masz!

NATALJA, czytając.

« Pan Różewski słowo ma ostatnie;
Więc zostań... Zofia. »

(na stronie.)

Zkąd tak spieszna zmiana?
Czy nowy podstęp?... Nie, już niezachwiana...
Niech ta wiadomość dojdzie mu w podróży;
On do mnie wróci... los mi szczęście wróży.

(wychodzi.)

SCENA IX.

ZOSIA, sama.

Tak więc najdroższe czucie mię zawiodło...
O, czas już umrzeć... stałabym się podłą
Jak ona sama... to żyjąca zdrada...
Kto w jéj przemocy, rozum wnet postrada,
A z nim i serce... Tęskno mi za krajem...
Świat jest katownią, dla niewielu rajem;
Ja, szczęścia kwiatem zanim skroń ozdobię,
O raju śniąca, budzę się przy grobie...
Tułaczka w życiu, czym wygnaną z nieba?
Mam klucz od biórka; wezmę co mi trzeba,
A późniéj, oddam...

SCENA X.

ZOSIA, MAŁGORZATA.

MAŁGORZATA.

Już związane graty...
U panny teraz... Boże, co tu straty!

ZOSIA.

To złoto weź i schowaj.

MAŁGORZATA.

Gdzie?

ZOSIA.

U siebie...
Gdy sama będziesz, nie szczędź go w potrzebie.

MAŁGORZATA.

Mnie nic nie trzeba... łzami się wypłacam!
Dziś jedziem... dokąd?

ZOSIA.

Kto wie... kończ, powracam.

(wychodzi spiesznie.)

SCENA XI.

MAŁGORZATA sama, sprzątając.

A jam sądziła że jéj wydać nie chce...
Aż inna znowu ją pokusa łechce,
Bo jéj zaręczyn wszędzie wieść roznosi...
Kto, ten latawiec ma być mężem Zosi?
Wszak my Polacy... co nam siłą żadną
Nie wydrze Moskal, to nam żydzi kradną...
To plemie z naszém snać od góry spaczne,
Bo zawsze płodzą jakieś ćmy dziwaczne
Jak ta poczwara... lepiéjby sto razy
Z polskiego kraju pozbyć téj zarazy,
Co świat plądruje i rodziny mąci...
Wszak ona także krwią niewierną trąci?...

A jaki rozum! Źle się ojciec złożył
Zostawszy wdowcem, że jéj drzwi otworzył;
Tam gdzie macocha, musi wejść nieszczęście...
Ten wyjazd nocny, późniéj to zamęście,
Te łzy stłumione... dla mnie to zbyt ciemno...
Czy też i Zosia kryje się przedemną?
Czy pana ostrzedz? Tego już nie zrobię;
Jéj szkodzić nie chcę... prędzéj sama sobie!

SCENA XII.

MAŁGORZATA, ZOSIA.

ZOSIA, na stronie.

Nikt mię nie dostrzegł...

(w głos.)

Zostaw mię do rana,
Niech się namyślę...

MAŁGORZATA.

Lepiéjby, kochana,
Pogadać z ojcem, niby od niechcenia...

ZOSIA.

O, niech zachowa starzec swe złudzenia!
Ten żal serdeczny kiedyś mu nagrodzę...

MAŁGORZATA.

Złudzenia... prawda, prawda!... Już odchodzę.

(Zosia za nią drzwi zamyka.)

SCENA XIII.

ZOSIA, późniéj JANSKI.

ZOSIA, trzymając pudełko.

To śmierć... swoboda... Jański nam powiadał,
Gdy w martwych zwłokach moc trucizny badał,
Że trzeba kilka godzin od zażycia,
By górę wzięła nad potęgą życia;
Nim krew ostygnie, że lekarska sztuka
Jéj postęp wstrzymać może...

(Słychać pukanie.)

Któż tam puka?

JAŃSKI, za sceną.

Swój, doktor...

ZOSIA.

Czego?

JAŃSKI.

Czyśmy już powstali?

ZOSIA, otwierając.

Ciekawość go sprowadza i oddali.

JAŃSKI, wchodząc.

No cóż... jak zdrowie? czy jak przed godziną,
Na śmierć lub życie bijem się z hrabiną?

ZOSIA.

Na śmierć!

JAŃSKI.

Do licha... to już mnie się tyczy...
Ty wiesz jak Litwin ci serdecznie życzy;
Więc o cóż z matką były te popłochy?

ZOSIA.

O, nie nazywaj matką téj macochy!
Bo z nią nienawiść, nierząd, spór zajadły,
Jak cień grobowy na rodzinę spadły,
Wygnaną prawda, lecz cenioną wszędzie.
Jak sprawa z którą los jéj łącznym będzie,
Przez obcych nawet i przez nieprzyjaciół,
Choć się despotyzm na jéj zgubę zaciął...
A teraz... czemuż nosi jéj nazwisko,
Gdy wcale do niéj sercem nie jest blisko!

JAŃSKI.

W istocie... ona klątwę ma nad czołem...
To duch obłędu skryty pod aniołem,
Cmentarny piołun wzrosły wśród ogrojca.

ZOSIA.

Cóś więcéj jeszcze... bo znieważa ojca...

JAŃSKI.

To wiem oddawna.

ZOSIA.

Hańbę mą przysięgła...

JAŃSKI.

A, tego nie wiedziałem. Dom rozprzęgła;
Swe własne gniazdo wniosła tu zdradziecko...
Jéj mąż, to czułe lecz zbyt ufne dziecko,
Na ślepo wierzy w jéj łudzące czary,
Bo dzieckiem zawsze... Ja, twój sługa stary,
Chciałbym naprawić wszystko... sam nie mogę;
Chciéj mi pomagać, ja ci wskażę drogę,
To jakoś będzie.

ZOSIA.

Ach, mój przyjacielu,
Sam zginiesz marnie nim dosięgniesz celu...
Jam już zgubiona!

JAŃSKI.

O mnie tu nie idzie.
Gdzie bądź wypocznę, choć rodzony w Lidzie,
Jam już ze śmiercią brat za brat, jak długi,
Jéj się nie boję, bo mam dość zasługi...
Rodziny polskiéj tyś kwitnąca matka!
Gdy mu dam zażyć prawdę, bez opłatka
I na czczo, wszak Wojnicki mię usłucha...

ZOSIA.

On już niezmienny, aż wyzionie ducha.
Ojczyzny miłość to dlań życiem całem...
Ja kocham Stanisława!

JAŃSKI.

To wiedziałem.
I cóż tak występnego w téj miłości?
To wasz rówiennik i najmilszy z gości...

ZOSIA.

Milczenie wieczne czy mi pan przyrzekasz?

JAŃSKI.

Ba, i dotrzymam... choć powierny lekarz.

ZOSIA.

Stanisław jest...

JAŃSKI.

Cóż?

ZOSIA.

Zbroińskiego synem

JAŃSKI.

Ministra wojny... co Judasza czynem
Sam się ukarał?

ZOSIA.

Tak...

JAŃSKI.

Zadanie smutne;
Nie, pierwéj sobie pół języka utnę...
Wojnicki zaraz jak psa by zastrzelił,
Choć za to że trzy lata z nim się dzielił!

ZOSIA.

A widzisz pan, że mój ratunek w grobie!

(pada wpół zemdlona na krzesło.)

JAŃSKI, dzwoniąc.

Ignacy... Małgorzata!

SCENA XIV.

CIŻ, MAŁGORZATA, NATALJA i JENERAŁ.

NATALJA, wbiegając.

Ach, co tobie?

JAŃSKI, do Małgorzaty.

Ukropem nalać kwiat pomarańczowy!

MAŁGORZATA.

O Matko boska!

JAŃSKI, do Jenerała.

Znowu ból kurczowy...

JENERAŁ, tupając.

Co żywo, przynieść!

(Małgorzata wychodzi.)

NATALJA.

To słabości chwila...
Gdyż całe życie u niéj się przesila;
My matki wiemy że ją ślub uzdrowi.

JAŃSKI.

O jakim ślubie?

JENERAŁ.

Dała dziś Różkowi
Ostatnie słowo.

JAŃSKI, do Jenerała.

Ty w to wierzysz... bracie,
Nic nie przesądzaj... dość wyboru macie;
Bo na cóż pośpiech? choć się z wiekiem kryjesz,
Lat Matuzala w ręku mym dożyjesz...
Pomówim o tém, sami, po obiedzie.

ZOSIA, do Natalji.

On wie o wszystkiém...

NATALJA.

On!

ZOSIA.

Niech ztąd odjedzie,
Jeżeli nie chcesz by Stanisław zginął.

(Natalja strwożona patrzy na Jańskiego; Zosia klucz w jéj kieszeń wsuwa.)

NATALJA.

Przypadek świeży właśnie się nawinął.

(w głos.)

Uczciwy Gabrych doniósł mi, doktorze,
Przez umyślnego, że w roboczym dworze
Nasz tkacz, Franciszek, wplątał się w machinę,
I rannym został.

(do Zosi.)

Zyskam znów godzinę.

JENERAŁ.

Na Mośka, zaraz! Idźże, jedź mój drogi...

JAŃSKI.

Wszak mieszka w Górce?

(na stronie.)

O dwie mile drogi...

JENERAŁ.

Do Zosi wracaj... wiesz że ścieszka grzązka!

JAŃSKI, biorąc rękę Zosi.

To nic... niezdrowy wiatr z Górnego Szląska,
Z pod Raciborza... wy to matki wiecie...

JENERAŁ.

To nic, to nic!... aż kula łeb ci zmiecie!

NATALJA.

Niech doktor spieszy...

(na stronie.)

Teraz ja tu władam.

JAŃSKI.

Już puls równiejszy...

(do Jenerała.)

A ja się zakładam
Że tkacz jak pająk z przędzy się wywikła...
Zbyt jasno widzę, więc choroba znikła,
I hajże w pole!

JENERAŁ, porywczo.

Dość... po téj zniewadze...

JAŃSKI.

Oj, znów gorączka... ja się wyprowadzę
Aż na Ruś białą... Słuchaj rad serdecznych,
Jeżeli nie chcesz mieć wyrzutów wiecznych!

JENERAŁ.

Wyrzutów... jakich?

JAŃSKI.

W sercu, nie na skórze...
Więc bądź oględny, ja niebawem służę.

NATALJA.

No, jakże ci aniołku?

ZOSIA.

Już mi lepiéj.

JENERAŁ.

Patrz, jak się pieszczą...

JAŃSKI.

Jak na targu ślepi...
Lecz jedna kara zbrodni jak ślepocie;
Kobiety się mordują przy pieszczocie...

(wychodzi.)

SCENA XV.

ZOSIA, NATALJA, JENERAŁ, później MAŁGORZATA.

NATALJA, do Jenerała osłupiałego.

O czém ci mówił Jański?

JENERAŁ, przechodząc przed Natalją do Zosi.

On... o niczém.
Czy twoje słowo, Zosiu, nie zwodniczém,
Czy z dobréj woli pójdziesz za barona?

ZOSIA.

Z najlepszéj.

JENERAŁ.

A dopiero, jak gawrona,
Do zamku ojców go wysłałaś z kwitkiem...

ZOSIA.

Niewieści kaprys spłonął przed pożytkiem.

JENERAŁ.

Za chwilę przyjdzie.

ZOSIA.

Czekam...

JENERAŁ.

Głos niechętny...

(Małgorzata wchodzi z filiżanką.)

NATALJA, kosztując.

Kwiat nie naciągnął, i zbyt rzadki, mętny...
Ja to przyrządzę...

MAŁGORZATA.

Przecież wiem oddawna
Co pannie trzeba...

NATALJA.

Znów zuchwałość jawna!

MAŁGORZATA.

Bo pani...

JENERAŁ.

Małgorzato!

ZOSIA.

Bądź powolna,
Idź, słuchaj pani.

(Natalja wychodzi z Małgorzatą.)

JENERAŁ.

Zosiu, tyś niezdolna
Omylić ojca, który nic nie pragnie
Prócz twego szczęścia... on już serce nagnie
Do twoich życzeń... wszak masz w niém Ojczyznę...
Wolarza wyszlem aż na Wołoszczyznę.

ZOSIA.

Ma moje słowo.

JENERAŁ.

Lecz ta łza je strąca...

NATALJA, podając jéj filiżankę.

Masz... pij ostrożnie, dziecię, bo gorąca.

ZOSIA.

Dziękuję mamie...

JENERAŁ, na stronie.

Co ten Litwin prawił...
Raz pierwszy w życiu strachu mię nabawił.

ZOSIA.

Małgosiu, daj łyżeczkę.

Małgorzata idzie po łyżeczkę. Jenerał rozmawia z Natalją; Zosia niepostrzeżona sypie truciznę do filiżanki i upuszcza przedarty papierek. Małgorzata wraca do Zosi.)

NATALJA.

Pijże, proszę...

ZOSIA, po wypiciu.

Ach!...

NATALJA.

Czy zbyt mocna? drugą ci przynoszę...

ZOSIA, stawiając filiżankę.

Dość jednéj, pani.

JENERAŁ, na stronie.

Aż się w głowie łamie.

(w głos.)

Odludnie żyjem, jak puszczyki w jamie;
Raz w tydzień, warto wytchnąć nam po pracy...
Jabłońscy w Górce, przecież to Polacy!

NATALJA.

Doktora właśnie u nich dziś uprzedzę;
Zostaniesz w domu, ja Franciszka zwiedzę.

(wychodzi.)

SCENA XVI.

MAŁGORZATA, ZOSIA, JENERAŁ, IGNACY, później RÓŻEWSKI.

IGNACY.

Pan baron się melduje.

JENERAŁ.

Bądź waleczna,
Bo wróg się zbliża... bitwa już konieczna.

(daje znak Ignacemu.)

ZOSIA.

Tyś moim wodzem...

RÓŻEWSKI, wchodząc.

Sprawiam jéj ambaras?
Panienka słaba... więc odchodzę zaraz!

JENERAŁ.

Patrz, już ucieka... Siadajże!

RÓŻEWSKI.

Więc siadam.

(na stronie.)

Od czego zacząć...

(w głos.)

Hołd panience składam
Że mi do szczęścia most buduje złoty,
I wstęp otwiera do przybytku cnoty.
Już przy odjeździe, smętny i ztęskniony,
Dostaję rozkaz, wczoraj tak pragniony...

JENERAŁ.

A dziś?

RÓŻEWSKI.

Zarazem dziwny i szczęśliwy.

JENERAŁ.

Po polsku gadaj!

ZOSIA.

Wyraz ten dotkliwy.
To słuszny odwet za wczorajsze słówka;
Lecz mię nie razi wcale ta przymówka.

RÓŻEWSKI.

Młodzieniec rządny, na umyśle zdrowy,
Posiadający...

JENERAŁ.

Wiem już, młyn parowy.

RÓŻEWSKI.

Że nie wspominam o pałacu w mieście,
Radby też wiedzieć, czemu po proteście
Dwudziestu czterech godzin... jak czas leci!
Bo wczoraj właśnie, o godzinie trzeciéj,

(wyjmując zegarek.)

Dostałem...

JENERAŁ.

Jakto? ja się z tobą pieszczę,
Niewdzięczny Różku... a, kołnierzyk jeszcze...
Ty nas nie kochasz!

RÓŻEWSKI.

Kochać się a żenić,
To dwa; szczególnie... mamże się rumienić?
Gdy tak rogate nosi kto nazwisko...
Ślub rzeczą serca, lecz i kieszeń blisko!

JENERAŁ.

Choć się nie umiesz brać do pięknéj płci...
Daj rękę, Różku... on niewiastę czci!

RÓŻEWSKI.

Różewski Paweł.

JENERAŁ.

Patrz, jak to się zgadza!
Dwóch naszych świętych jeden dzień sprowadza;
I Piotr, mój patron, da ci klucz do nieba...

RÓŻEWSKI.

Do raju ziemian mieć by mi potrzeba...

JENERAŁ.

Znajdziemy.

ZOSIA.

Panie...

JENERAŁ.

Zosia wstęp wyjedna.

ZOSIA, na stronie.

Ach, co za boleść...

(w głos.)

Czemu by też biedna
Dziewczynka...

RÓŻEWSKI.

Biedna? jéj wyprawa skromna
Wynosi pół miljona!

ZOSIA.

Więc ułomna...

RÓŻEWSKI.

Przy téj piękności?

ZOSIA.

Więc niewinna...

RÓŻEWSKI.

Zgoda.

ZOSIA.

Nie miała troszczyć się, nim rękę poda,
O cnoty męża, który od kobierca,
Udzielnym panem staje się jéj serca?
Jeżeli więc niezmienne masz życzenie,
Czy pan mię skarcisz za to doświadczenie
Stałości uczuć...

RÓŻEWSKI.

To inaczéj wcale!

JENERAŁ.

Kobiety! oj, kobiety!

RÓŻEWSKI.

Jenerale,
Ja dodałbym: dziewczęta! oj, dziewczęta!

JENERAŁ.

Ta, jak skowronek, bystre ma oczęta!

RÓŻEWSKI, na stronie.

Mię do potrzasku śpiewki jéj nie zwabią.

SCENA XVII.

CIŻ, NATALJA, później LEON.

NATALJA.

Cóż, miły zięciu?

RÓŻEWSKI.

Ach, dostojny hrabio!
Ach, godna pani! ach, panienko droga!
W tym dniu zwycięzkim co za chwila błoga!
Marzyłem wiecznie Polkę mieć za żonę;
Najdroższe widzę moje sny ziszczone!
Radości wyższéj już się nie spodziewam...
Lecz mię Różewskim zwijcie... ach, omdlewam!

JENERAŁ.

I na to zgoda, mości Róż...

RÓŻEWSKI.

Czy jeszcze?...
Ach, zacny teściu, w duszy méj nie zmieszczę
Tak wiele szczęścia...

(na stronie.)

Do Cybulskich jadę;
Bo chyba diabeł zagrałby balladę
Na tak niestrojnéj gęśli...

LEON, wchodząc.

A, pan Różek!
Dzień dobry, tato...

RÓŻEWSKI.

Czekaj!

LEON.

Bez pogróżek!
Mam krzyż wojskowy... Zosiu, czyś ty chora?
Ja wiem zkąd sprawiedliwość...

RÓŻEWSKI.

Już przekora!

NATALJA.

A zkąd wiesz o tém?

LEON.

Od nauczyciela;
W ogrodzie mówił że ją Bóg udziela.

RÓŻEWSKI.

Dam ci karmelki... jutro, za ogrodem.
Twój nauczyciel nie ze Szląska rodem.

LEON.

Nie, bo Poznańczyk, jak Staś Niewiarowski.

RÓŻEWSKI.

Dwaj wielcy ludzie... a czy z jednéj wioski?
Szczęśliwa Wielkopolska, że od Piasta,
Jak miód w pasiece, rozum w niéj wyrasta!

LEON.

Siostrzyczko, mam cukierki; nie od Różka,
Od pana Stasia... wiśnie i jabłuszka.

ZOSIA.

Małgosiu, weź go...

MAŁGORZATA.

Idź, niedobry synku!
Już proszę państwa, panna chce spoczynku...

JENERAŁ.

Ty malcze zostań, aż cię nie zawołam.
(do Zosi.)
Wszak przyjdziesz nam na obiad?

ZOSIA, coraz słabnąca.

Jeśli zdołam...
Uściskaj mię, mój ojcze...

JENERAŁ, całując ją.

Lube dziecię,
Niech Bóg cię błogosławi na tym świecie
I tamtym!...

(Wszyscy wychodzą, prócz Zosi, Małgorzaty i Leona.)

LEON.

Zosiu, mnie czy ty nie kochasz?
Mię też pocałuj... mienisz się i szlochasz?
Jak papier blada... patrz, jak ten co zbieram...

MAŁGORZATA, wydzierając mu z rąk papierek.

Z trucizny może!

ZOSIA.

Ratuj mię... umieram!

LEON.

Co, ty mię straszysz... śmiéj się... daj mi znak...
Jak śmierć wygląda?

ZOSIA, padając w objęcia Małgorzaty.

Śmierć wygląda... tak!

AKT PIĄTY.

Sala; w głębi framuga z łóżkiem z firankami, za rozsuniętą lamperją. — Dzień świta; jeszcze jeden kaganek płonie.

SCENA I.

JAŃSKI siedzi przy stoliku; ZOSIA na łóżku, STANISŁAW klęcząc trzyma jéj rękę.

JAŃSKI.

Umiera... W Moskwie, pod Napoleonem,
Widziałem step okryty ciał miljonem;
Gdy Poniatowski tonął przy odwrocie,
Widziałem srogich ran i śmierci krocie;
Dla czego zgon jéj, pod ojcowskim dachem,
Nieznanym dotąd gnębi mię przestrachem,
I myśl i serce kirem swym odziewa?
Tam, wódz czy żołnierz zginąć się spodziewa,
Lecz zginąć z chwałą, dla wolności ludów;
Tu, cóż nam płaci tyle łez i trudów,
Nadziei spełzłych na rodziny kwiecie?...
Umiera!... otóż to rycerskie dziecię,
Zamordowane, strute... i przez kogo?
Piastunka zgadła tę potyczkę srogą
Miłości prawéj z fałszem i nierządem;
Pobiegła do Wrocławia, w głos przed sądem
Zeznała wszystko... Pan Różewski w nocy
Wyleciał mężnie, jak z Dawida procy...
W jak rychłym czasie matka zła lub głupia,
Dewotka zwłaszcza, jak zaraza trupia
Rodzeństwo całe zniszczy lub rozproszy!
Już sam przez siebie zdrożny stan macoszy,
Dla żądz niewieścich zgubną jest podnietą;
A cóż dopiero kiedy z tą kobietą
Zawita zbrodnia do pasierbów kółka?...
Jak w obcém gnieździe szerszeń lub kukułka,
Sierocéj dziatwie wydrze jéj spuściznę;
Z jéj ręki wszystko zmienia się w truciznę,
Gdzie stąpi krokiem, świeży grób wyrasta...
Tak u nas rządzi czarna ta niewiasta!...
Bóg w sercu matki twór swój uwydatnia;
Ta święta miłość, pierwsza i ostatnia,
Gdy wśród obcego krzewi się plemienia
W macoszéj duszy w zdradę się zamienia;
I ta co była cnót nadludzkich wzorem,
Z anioła stróża, staje się potworem...
Kraj by powinien, biorąc z niéj początek,
Niemowląt biednych życie i majątek
Od tak zawistnych wpływów raz ochronić,
I własną przyszłość tarczą praw zasłonić;
A wtedy prawo ludzkiém zwać by wolno...
Co sztuka przecież jest uczynić zdolną,
Tom wszystko spełnił...

(Stanisław powstaje i słucha.)

Téj trucizny siła,
W jéj łonie życie możeby wskrzesiła,
Niwecząc pierwszą... lecz mi tutaj zbywa
Na zdaniu wyższych, których świat nazywa
Mistrzami zdrowia... przy tak ważnym względzie
Dokonać nie śmiem...

STANISŁAW.

Skoro sąd przybędzie,
Niech mu pan śmiało środek ten przedstawi;
Bóg mię wysłucha... on ją cudem zbawi!

JAŃSKI.

Nim ta trucizna skutek swój wywarła,
Poradzić mogłem... teraz wpół umarła...
Macoszéj zbrodni stałbym się wspólnikiem...
Czy licho mię wyniosło za prządnikiem!
Aż dwie krakowskie mile... Co za ścieszka!
Jabłońscy w mieście... żyd w karczemce mieszka...
Natalji rozkaz, jak zazwyczaj pilny!
Nie... ten antydot całkiem już bezsilny;
Sumienia głosu nie zwycięży pycha!

(stawia flaszeczkę.)

STANISŁAW, do ust Zosi przykładając zwierciadło.

Zawcześnie pan zwątpiłeś... patrz, oddycha!

JAŃSKI.

Nie wejdzie dla niéj słońce.

ZOSIA.

Stanisławie...

STANISŁAW.

I woła mię!

JAŃSKI.

W dwudziestym roku prawie,
Żywotny prąd nie łatwo się wysili...
Przytomną będzie do ostatniéj chwili;
Powstanie nawet, aż ją śmierć ogarnie,
I stłumi wrzące w łonie jéj męczarnie...

(Słychać pukanie.)

Jest ojciec!

(zamyka drzwi.)

SCENA II.

CIŻ, JENERAŁ.

JENERAŁ, za sceną.

Jański!

JAŃSKI, u drzwi.

Czego chce jenerał?

JENERAŁ.

Chcę wejść...

JAŃSKI.

Nie można, choćbyś się upierał...
Zapadła mocniéj...

JENERAŁ, wypychając drzwi.

Wchodzę więc...

JAŃSKI.

Na duszę,
Na Boga, zostań!

JENERAŁ, błagając.

Raz ją widzieć muszę.
Zbielała... Jański...

JAŃSKI.

Pomnij na Leona,
Dla niego żyjesz...

JENERAŁ.

Matkę ma... lecz ona...

JAŃSKI.

Czyś uwiadomił żonę o chorobie?

JENERAŁ.

Wróciła z Górki o zbyt poźnéj dobie...
Zawiodłeś mię... przyrzekłeś jéj poradzić...

JAŃSKI, na stronie.

Koniecznie trzeba ztąd go wyprowadzić...

(w głos.)

Patrz na to mężnie i daj przykład czynem,
Jak niegdyś na baterje pod Raszynem.
Ja wątpię sam o sobie... proszę pana
Zajść po lekarza duszy, po plebana!

JENERAŁ.

Chcę pierwéj ją uścisnąć...

JAŃSKI.

Ach, uważaj!
Na własną zgubę ty się nie narażaj!
Czas będzie później na ojcowski smutek.

JENERAŁ, całując Zosię.

Skostniała...

JAŃSKI.

Zwykły téj zarazy skutek...
Po księdza! jeśli zwalczyć jéj nie można,
Ta męczennica, sercem tak nabożna,
Ma prawo zdać się na opiekę Boga!

JENERAŁ, wracając ku córce.

Ty, Panie, ją wyratuj!

JAŃSKI, wskazując drzwi.

Tędy droga!

JENERAŁ.

Ja głowę tracę... błąkam się i mylę...
Ty, przyjacielu, ty coś starców tyle
Uzdrowił prawie pod śmiertelnym głazem,
Ty zwróć mi dziecię...

JAŃSKI.

Chodź, pójdziemy razem...

(na stronie.)

Już odprowadzę; bo niech sąd obaczy,
Jeśli nie skona, wpadnie w szał rozpaczy.

(wychodzi z Jenerałem.)

SCENA III.

ZOSIA, STANISŁAW.

ZOSIA.

Mój Stasiu...

STANISŁAW.

Boże! czy przez usta sine
Już duch ulata?... Żyj, lub z tobą zginę!

ZOSIA.

Przy tobie pragnę duszę mą zostawić...

STANISŁAW, biorąc flaszeczkę.

Lekarstwo, którém Jański miał cię zbawić,
Mię też wyzwoli...

ZOSIA.

Ty mi mi raj otwierasz...

STANISŁAW.

Tyś mojém życiem!

ZOSIA, usypiając.

Smierci mię wydzierasz...

SCENA IV.

CIŻ, JAŃSKI.

STANISŁAW.

Patrz, oto mówi... wpół otwarte oczy...

JAŃSKI.

Usypia... rychło całun je zamroczy!

(Stanisław przyklęka, jéj rękę w dłoni trzymając.)

SCENA V.

CIŻ, DOBRZYCKI, PREZES komisyi śledczéj, PISARZ sądowy, MEJZNER, SIERŻANT straży, MAŁGORZATA.

MAŁGORZATA.

Już urząd idzie.

JAŃSKI.

Było mię usłuchać...
Oj, Małgorzato, źle w zarzewie dmuchać!

DOBRZYCKI.

Niech sierżant u drzwi wszędzie straż podwoi,
A na skinienie sam w pobliżu stoi.
Doktorze Jański, czy przed choréj łożem,
Bezpiecznie dla niéj, sąd otworzyć możem?

JAŃSKI.

Uśpiona boleść łzami jéj kochanka.

(zasłania łóżko i zasuwa z Małgorzatą lamperję.)

PREZES.

Gdzie są świadkowie?

MAŁGORZATA.

Ja, i filiżanka,
Z napoju resztą.

PREZES, podając ją Mejznerowi.

Patrz pan.

MEJZNER, kosztując.

Osad na dnie
Słodkawy, lśniący... po pozorach snadnie
Wnioskować można, że arszenik starty.

PREZES.

Cóż więcéj?

MAŁGORZATA.

Papier z brata rąk wydarty.

DOBRZYCKI.

To jedno może całą rzecz uproszcza.
Czy pan jest w domu?

JAŃSKI.

Poszedł po proboszcza,
Lecz rychło wróci.

DOBRZYCKI, do Prezesa.

Pełen lat i sławy,
Niech on zostanie za obrębem sprawy.

(do Mejznera.)

Więc możesz pan zaświadczyć, bez oszczerstwa,
Że panna Zofia, tak urodna, czerstwa
Przed dwoma dniami, ginie przez otrucie?

MEJZNER.

Tak jest!

DOBRZYCKI.

Pan także?

JAŃSKI.

Takie mam poczucie.

DOBRZYCKI.

Czy ślad trucizny może swą ilością
Stanowić prawny dowód?

MEJZNER.

Tak, z pewnością.

DOBRZYCKI.

Chemiczny rozkład zrobisz pan u siebie;
Do pana domu zajdę sam w potrzebie.

(Mejzner wynosi filiżankę.)

PREZES, do Jańskiego.

Piastunka dawna, dziś służąca dzieci,
Zeznaje żeś pan, o godzinie trzeciéj,
Po sporze z panią i na ból kurczowy,
Zapisał choréj kwiat pomarańczowy;
Następnie, żeś był o dwie mile drogi
Ztąd wydalonym, w skutku jéj przestrogi,
Że tkacz miał ręce złamać przy maszynie.
Że pani lejąc rozczyn ziół w naczynie,
Podała córce na tym samym sprzęcie...
Czy tak, lub nie?

JAŃSKI.

Tak, panie prezydencie.

DOBRZYCKI.

Gdzieś był wysłanym od hrabiego córki?

JAŃSKI.

Musiałem konno biedzić się do Górki;
Nim dojechałem szkapą tą piekielną,
Już każda chwila była tu śmiertelną...
Co gorsza, gręplarz który miał obiedwie
Wyłamać ręce, był draśnięty ledwie;
I już od rana lecząc sie kielichem,
Rej wodził w karczmie, z kumem swym Gabrychem.
Jam go wyłajał za to że zwiódł panią;
Lecz on przysięga że nie chodził za nią,
Że jéj nie widział, nie wysyłał gońca,
Bo pił z Franciszkiem do zachodu słońca.
Gdym wsiadł z powrotem na podwodę luźną
I ujrzał Zosię, było już zapóźno...

(Słychać za sceną modlitwy za umarłych.)

PREZES.

Ten śpiew żałobny świadczy nam o reszcie.

IGNACY, wchodząc.

Ksiądz pleban, z panem.

PREZES.

Wy domowi, spieszcie
Żal ojca dzielić i błagalne modły...

*SCENA VI[1].

DOBRZYCKI, PREZES, PISARZ, JAŃSKI.

PREZES, siadając.

Rozmyślną zbrodnię ślady nam dowiodły;
*Bo słudzy twierdzą, jako rzecz się stała,
Że przed otruciem, na sen jéj zadała;
A pan postrzegłszy, z pani rąk odjąłeś
Naczynie próżne, i na klucz zamknąłeś?

JAŃSKI.

Tak jest... lecz...

1. Pominąć.

DOBRZYCKI.

Jakto, stojąc przy jéj boku,
Świadomym byłeś o występnym kroku,
I nie wstrzymałeś na tak zgubnéj drodze?
Z prawością pana jakże to pogodzę...

JAŃSKI.

Co tylko sztuka mogła, po namyśle,
Nastręczyć sercu, tom wykonał ściśle.

PREZES.

Postępowanie pana jest dwuznaczném,
I śledztwo winno nań być odtąd baczném.
Przezornie było dowód ten przechować,
Lecz z dalszych czynów masz się pan rachować;
Po pierwszéj zbrodni, było mu zasługą
I obowiązkiem, oko mieć na drugą.

DOBRZYCKI.

Pan Zejdler niech pozwoli; ten potwarca
Ktoby posądzał tak zacnego starca.
(na stronie, do Jańskiego.)
Téj zbrodni pewnie znane mu pobudki?

JAŃSKI.

Kobiecéj zemsty to konieczne skutki,
Gdy w bój śmiertelny miłość ją rozdrażni...
Zamilczeć muszę resztę.

DOBRZYCKI.

Dla przyjaźni,
Dla czci hrabiego?

JAŃSKI.

Prawda... lecz na Boga...

DOBRZYCKI.

Bądź pan spokojny... to zawczesna trwoga.
Stanisław zemną wiek młodzieńczy przeżył;
Brat mój, spółuczeń, wszystko mi powierzył...
Na siebie wziąłem, by ten cios odwrócić,
Że już téj nocy miał wasz dom porzucić;
Natalję Lipską, znałem przed zamężciem...

JAŃSKI.

Ach, Janie! miéjże litość nad nieszczęściem
Tułacza, ojca... on rozpaczą zdjęty,
Cnotami, wiekiem i zasługą święty;
Dziś razem córkę i małżonkę traci,
Niechże honoru życiem nie przypłaci!

DOBRZYCKI, wzruszony.

Wstawienie pańskie godném jest poglądu...
Aż ona sama nie zniewoli sądu
Wywołać na jaw tę już dawną powieść,
Ja prezesowi się postaram dowieść,
Choć ma wzrok bystry, że nie zemsta podła,
Lecz do téj zbrodni chciwość ją przywiodła.
(Prezes się zbliża; Dobrzycki daje znak Jańskiemu i surową przybiera postawę.)
Czy pan odgadłeś powód jéj uśpienia,
Zkąd pierwszy zamach powstał?

JAŃSKI.

Bez wątpienia;
Oszczędność pani nie jest już tajemną.
Jéj córka chciała żalić się przedemną;
Ztąd mię wysłano, aż do późnéj nocy,
Nie by lekarskiéj pozbyć się pomocy,
Lecz dla ukrycia sporu o majątek...

PREZES.

W rodzinie polskiéj dziwny to wyjątek*!
Ta nocna podróż nic jéj nie pomoże,
Gdy główny dowód znajdziem w jéj komorze...

MAŁGORZATA, wchodząc.

Macocha...

PREZES.

Nas się nie spodziewa w domu;
Rażoną będzie jak pociskiem gromu.

SCENA VII.

CIŻ, NATALJA.

NATALJA.

Kościelne śpiewy... Jeszcze tu, panowie?
Cóż się tu dzieje...
(idz e ku lamperji zasłaniającéj łóżko Zosi; cofa się przed Małgorzatą.)
Ach!

MAŁGORZATA.

Ta ci odpowie,
Ofiara twoja... z życia już wyzuta.

NATALJA.

Co słyszę... Zosia?...

PREZES.

Z ręki jéj otruta.

NATALJA.

Czy śni mi się... otruta z mojéj ręki?
(do Dobrzyckiego.)
Ach! pan tu jesteś... znasz mię, Bogu dzięki!
Czy możesz mię posądzać o tę zbrodnię?
Co, milczysz? więc jam winna... to niegodnie!
Zniewaga, kłamstwo!... Na cześć jéj rodzica,
Którego ludzkość was i kraj zaszczycza,
Na włosy starca i na krew sieroty,
Przed którym matka nie chce znać sromoty,
Na wszystko wreszcie co przed Bogiem święte,
Panowie, sądu!...

PREZES.

Śledztwo już zaczęte;
Przed sądem stoisz.

NATALJA.

Przed nim... ach, truchleję!

PREZES.

Aż jéj świadectwo z naszém się nie zleje,
Drzwi zamknąć, czekać na mój rozkaz dalszy!
(Małgorzata wychodzi.)
Sąd nasz uchodzi za najdoskonalszy;
Nie drażni winnych, świadków nie poduszcza,
I szczeréj prawdy z oczu swych nie spuszcza...
Więc nim działanie zbliży się do końca,
Ja, w imie prawą, jestem jéj obrońca;
Lecz ku zwolnieniu idź otwartym torem!

NATALJA.

Cóż jéj się stało? wczoraj, za doktorem
Wybiegłam z domu... sama wam ogłosi
Co tutaj mówię... Puśćcie mię do Zosi!

PREZES.

Wejdź pani w siebie... próżne tu szalbierstwa.

NATALJA.

Oszczędźcie mi tych pytań i szermierstwa,
Zabójczych sieci w których myśl się plącze;
Ja się przed wami z prawdą nie rozłączę...
Jabym jéj dała własną krew i życie!
Przebaczam wszystko... o cóż mię skarżycie?...

DOBRZYCKI.

Co jéj przebaczasz?

NATALJA.

Wiesz pan...

DOBRZYCKI.

Czyś w obłędzie?
Na męża pomnij!

NATALJA.

Ach, przepaści wszędzie!

PREZES, do pisarza.

Wypiszesz pan imiona i znaczenie,
A teraz kończ skarżące orzeczenie...
(do Natalji.)
Czy prawda, dla uśpienia wychowanki,
Żeś wlała opium do jéj filiżanki?

NATALJA.

Doktorze, tyś zapewne...

DOBRZYCKI.

Niechaj pani
Za poświęcenie słowem go nie rani;
Wprost odpowiadaj... wszystko nie skończone...

NATALJA.

Więc prawda.

PREZES.

Gdzie naczynie?

NATALJA.

Wyrzucone;
Pan doktor, u mnie, kryjąc je bezprawnie,
Nadużył gościnności...

PREZES.

Więc już jawnie
Pierwszego czynu pani nam nie przeczy;
To dostateczne w tym przebiegu rzeczy.

NATALJA.

Zkąd o cóś więcéj śmiesz mię pan posądzać?

PREZES.

Nie zwykłem krzywdy nawet złym wyrządzać.
Na zdrowie córki gdy się matka targa,
Już wiarogodna o zabójstwo skarga;
Dowodu szukać dalszym jest przedmiotem.

NATALJA.

Gdzie?

PREZES.

W jéj pokoju. Wszak podałaś potém
Arszenik Zosi!

NATALJA.

Ja?...

PREZES.

Są ślady jeszcze...
Ściślejszy rozbiór w sądzie jéj obwieszczę.
To są jéj słowa: « Ja i moja córka,
Wynajdziem same klucz od mego biórka. »

NATALJA.

*Mam go w kieszeni... męka się skończyła.

PREZES.

Czyś téj trucizny pani nie ruszyła*?

NATALJA.

Nie tknęłam jeszcze nawet i pieczęci!

DOBRZYCKI.

Daj Boże by tak było!

PREZES, idąc ku sypialni.

Próżne chęci;
Ja liczę panią do tych zatwardziałych,
Przed oczywistym już występkiem śmiałych.

NATALJA.

W nieładzie pokój... pozwól pan, nie mogę...

PREZES.

We troje pójdziem... sama wskaż nam drogę.

DOBRZYCKI.

To śmierć lub życie...

NATALJA.

Proszę więc...

SCENA VIII.

JANSKI, PISARZ.

JAŃSKI.

Wychodzą...
Lecz łez ojcowskich prawa nie nagrodzą...
(patrząc przez lamperję.)
O biedny starzec... dusza w nim umiera!
Płacz jego ciężki serce mi rozdziera!
Przy nim Stanisław... księża już w żałobie...
Tam Leon... Boże, ich nądzieja w Tobie!...

SCENA IX.

CIŻ, PREZES, NATALJA, DOBRZYCKI.

PREZES, trzymając pudełko.

Lak zniknął... płonnym zwiodła nas protestem...

NATALJA.

O wszystkiém wątpię... śni mi się... że jestem...

DOBRZYCKI.

Zgubiona jesteś.

NATALJA.

Żywcem?... nie, umarła!

PREZES, do pisarza.
Pisz pan, że pani sama nam otwarła
Sypialni biórko; że obwiązką spięty
Mejznera sygnet, na pudełku zdjęty;
Że dosyć było, podług nas, i ćwierci
Wybranéj dozy, do zadania śmierci.

NATALJA, osłupiała.
Czym Zosię struła... ja, jéj druga matka?

PREZES, przymierzając okładkę.
Że skryta w biórku ta papieru szmatka,
Przystaje szczelnie, jakby z nią sklejona,
Do próżnéj ćwiartki wziętéj z rąk Leona...

NATALJA.
Słuszności boska... syn mój!

PREZES.
Tak wyrodni
Truchleją zawsze przy spełnieniu zbrodni;
Bo w ich sumieniu Bóg roznieca zgrozę ..
Zabrałaś, drżąca, z tym urywkiem dozę
Wmięszaną w napój...

NATALJA.
Rzekłeś pan przed chwilą
Że sądy pruskie nigdy się nie mylą;
Zadaniem ich jest wykryć prawdę nagą,
A wszystko dotąd krzywdą i zniewagą!

PREZES.
Najbliższym sądem jest jéj własna dusza...
Stanowczy dowód zbrodni nas przymusza
Zamienić pozew któryśmy sprawili,
Na rozkaz uwięzienia...

(podpisuje.)

Od téj chwili,
Straciłaś wolność.

NATALJA do Dobrzyckiego, z płaczem.
Pan się zwiesz Polakiem,
A niemym jesteś przy bezprawiu takiém?
Ach, ratuj nas!

DOBRZYCKI.
Oskarżasz sama siebie,
Już bronić jéj nie mogę.

NATALJA.
Jak Bóg w niebie,
Choć wszystko mię potępia, jam niewinna!
Otrucia Zosi jest przyczyna inna...
Jest przecież cóś takiego w méj postawie,
Spojrzeniu, głosie, co wam stwarza prawie
Powinność działać mniéj pospiesznie, tłumnie...
Czekajcie! zgadłam teraz... ktoś był u mnie...
Klucz mi wyjęto...

(do Dobrzyckiego.)

Dusza jéj zbyt czuła
Zdradzoną miłość... Zosia się otruła!

DOBRZYCKI.
Dla ocalenia męża i rodziny,
Nie skarż umarłéj, zwłaszcza z téj przyczyny,
Bo cięższy zarzut w serce jéj uderzy...

PREZES.
Wyznajesz pani, żeś już ku wieczerzy,
Doktora z domu kłamstwem się pozbyła?

NATALJA, zgnębiona.
Wyznaję.

PREZES.
W Górce, gdzieś téj nocy była,
Miał leżeć gręplarz ranny kół obrotem?

NATALJA.
Wyznaję.

PREZES.
Gabrych przysiągł nam z powrotem,
Że go w gościńcu swém lekarstwem rzeźwił;
Ujęty razem, w kozie się wytrzeźwił...
Tak słudzy z panów biorą złe przykłady,
Odpowiedzialnych za gorszące ślady
Przez które ludu szerzy się zepsucie...
Przed podłym zyskiem zgasło w niéj uczucie;
Ta zgubna żądza duszę jéj skaziła
Tak żeś rodzinę dla niéj poświęciła...
Zamknięte śledztwo, resztę sąd wykona.

NATALJA.
Przez ciebie, Zosiu, jestem więc zgubiona!
Ty martwą ręką ciągniesz mię do grobu...
Nie! tego jeszcze chwycę się sposobu.

(do Prezesa.)

Pan sędzią jesteś, a do głębi serca
Wyrazem każdym sięgasz, jak morderca;
Nie dajesz czasu, prawie myśl odbierasz,
Jak wróg zajadły w zemście się upierasz...
Doktorze... Zosia czy się jeszcze zbudzi?

(Słychać modlitwy, aż do końca.)

JAŃSKI.
Masz tam odpowiedź.

SCENA X.

CIŻ, JENERAŁ.

JENERAŁ, do Jańskiego.
Kona... Co tu ludzi...

JAŃSKI.
Ach, jenerale!

JENERAŁ.
Gdzie Natalja?

(sadzają go w głębi, na krześle.)

NATALJA, u stóp Jenerała.
Oto
Przed tobą klęczy... mężu mój, sieroto...
Odpychasz mię... z rozpaczą, z gniewem w oku...

(powstając z uniesieniem.)

Jam potępiona! Śmierci, bez wyroku,
Natychmiast!... Zosia w całun mię obwija...
Jéj dłoń mię więzi... mściwy duch zabija...
Na szyi, tu... widzicie martwe palce?...

DOBRZYCKI.
Umiarkuj się!

NATALJA.
Po téj niewieściéj walce,
Pogrzebać miałam dramat nasz rodzinny,
Na który wszystkie patrzećby powinny;
Leez bój z umarłą znużył pierś i skronie...

Więc mą niewinność kosztem czci obronię;
Niech nikt nie myśli, że to straszne starcie
Rozwiodła zbrodnia... powiem rzecz otwarcie!

JENERAŁ, wstając i postępując ku niéj.

Co chcesz powiedzieć... wyznać twe niecnoty...
Nie dość nieszczęścia, trzeba ci sromoty?
Chcesz im wyjawić co przedemną kryłaś?
Niewdzięczna... chytra... córkę mi zabiłaś;
Czy pragniesz ojca zabić twą niesławą?

DOBRZYCKI.

Racz, jenerale, odejść ztąd; bo prawo
Wymaga tego...

JENERAŁ.

Prawo?... wy od wroga
Jesteście sądem; jam jest sąd od Boga!
Jam więcéj od was: skargę ja zakładam,
Ja wyrok spełnię...
(do Natalji.)
Mówże... ja tu władam!

NATALJA, czołgając się u stóp męża.

Miéj litość... jam jest...

JENERAŁ.

Kończ...

(Lamperja się rozsuwa; widać oświecone łoże i duchownych domawiających modlitwy. — Małgorzata klęczy; koło niéj czeladź i Leon.)

DOBRZYCKI, do Natalji.

Twój syn cię słucha;

NATALJA, na stronie.

Nie, ta ostatnia zbawi mię otucha!
Niech całun Zosi ojca cześć zasłoni!
(w głos.)
Przed światem, widzę miecz w katowskiéj dłoni;
Przed twoim sądem, jam niewinna, panie!
Z dwóch trumien, kiedyś, na świadectwo wstanie
Surowa prawda, która ci odpowie
Że równy zarzut cięży na téj głowie;
Że ty zgrzeszyłeś przez nienawiść wrzącą,
Jak ja, przez miłość!

JENERAŁ.

Myśli mi się mącą...
Ja z nią chce skonać... z nią się w proch obrócić,
Lecz dość mam życia, by ci klątwę rzucić!
Jam zbyt cię kochał...

(Zosia powstała z łóżka, i opierając się na Stanisławie, zwolna postępuje ku ojcu.)

Widzisz, tam... O Boże!

SCENA XI.

CIŻ, STANISŁAW, ZOSIA, LEON.

ZOSIA, do Jenerała.

Dla ciebie rzucam to śmiertelne łoże...
Widziałam we śnie, widzę cię przytomnie...
Modlitwy świętéj głos przemawiał do mnie,
Że chcąc wyjednać łaskę tam, od nieba,
Tu pierwéj, bliźnim, ją zostawić trzeba...
Zaświadczam więc na Boga i Ojczyznę,
Żem sama klucz wyjęła i truciznę
Wsypała w napój... papier ten rozdarła,
Bo chciałam umrzeć...

PREZES.

Prawdaż to?

ZOSIA.

Umarła
Nie może kłamać... Już nie szlochaj pani...
Wiesz czemu wracam wydrzeć cię z otchłani?
On, jednèm słowem mię rozbudził w grobie;
Śmierć woli ze mną, niż ten świat przy tobie!

NATALJA.

Stanisław, Boże! razem z nią ulata!

ZOSIA.

Tak, zbyt cierpiałam przez te smętne lata,
Gdzie siałaś gorycz i męczeńskie ciernie...
Dla męża, syna, żyj szczęśliwie, wiernie;
To już ostatnim chęci méj objawem...
A teraz, ojcze, tyś ze Stanisławem
Chciał mię połączyć... patrz, on idzie ku mnie...
Na wieki razem, tam spoczniemy... w trumnie...
(kona.)

JENERAŁ.

W czém ojciec twój zawinił, moje dziecię,
Że ma bez ciebie tułać się po świecie...
Kto mię tu skarży... o co?

STANISŁAW.

Ja ci stawię
Twój błąd przed oczy!

JENERAŁ.

Ty, mój Stanisławie,
Mój drogi synu...

STANISŁAW.

Nasza śmierć konieczną;
Mym ojcem był Zbroiński... tyś nam wieczną
Poprzysiągł zemstę...

JENERAŁ.

On Ojczyznę zdradził;
Tyś w dom i w duszę hańbę, śmierć wprowadził...
Za nią i za mnie twoja krew okupem...
(chwyta za broń wiszącą na ścianie.)
Broń się, nikczemny!

STANISŁAW, słaniając się.

Bij się... z moim trupem...
(upada pod stopy Zosi.)

NATALJA, biegnąc ku niemu.

Ach!
(cofa się przed Jenerałem idącym ku córce; wydobywa i rzuca flaszeczkę na ziemię.)
Moją kaźnią będzie... żyć dla niego...
(Jenerał klęka przy córce; do Jańskiego)
Patrz... obłąkanie...

JAŃSKI.

Bracie mój, kolego...

JENERAŁ, bełkocąc, jak oniemiały.

Ja... chcę... się modlić... Boże! śmierć mi daj!...
(Leon się rzuca w jego objęcia.)
Ty synu... rośnij... pomścisz mię... i kraj!
(pada zemdlony między Zosią i Natalją.)

LUDWIK XI

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH, KAZIMIERZA DELAVIGNE[1].

OSOBY

LUDWIK XI.
KRÓLEWIC, później Karol VIII.
KSIĄŻE NEMOURS.
FILIP DE COMMINE.
COITIER, lekarz królewski.
FRANCISZEK Z PAOLI.
OLIVIER LEDAIM.
TRYSTAN, miecznik.
MARYNIA, córka Filipa.
KARDYNAŁ D'ALBY.
KSIĄŻE DE CRAON.

HRABIA DE LUDE.
HRABIA DE DREUX.
MARCYŚ, wieśniak.
MARCYSIA, jego żona.
RYSZARD, } wieśniacy.
DEZYDERY, }
CRAWFORD, dowódzca szkockiej straży.
ZŁOTE-RUNO, woźny królewski.
DWAJ SZKOCI, KRAMARZ ŻYD, DUCHOWNI, DWORZANIE PŁCI OBOJGA, RYCERSTWO, PAZIOWIE, SŁUŻBA DWORSKA, WIEŚNIACY.

Rzecz dzieje się w królewskim zamku Plessis-les-Tours, 1483 r.

AKT PIERWSZY.

Okolica wiejska przy mieście Tours. Po jednéj stronie w głębi, zamek Plessis; po drugiéj, kilka chat wieśniaczych. Dąb w pośrodku z obrazem. Przedświt.

SCENA I.

TRYSTAN ze Strażą, RYSZARD.

TRYSTAN.
Kto idzie?

RYSZARD.
Ryszard, owczarz.

TRYSTAN.
Zkąd

RYSZARD, wskazując.
Z méj chaty.

TRYSTAN.
Stój! w nocy wyjść nie wolno, bez opłaty.

RYSZARD.
Zkądby ją dostać? w domu żal i nędza;
Syn mi choruje: właśnie szedł po księdza.

TRYSTAN.
Umykaj zaraz, lub cię straż uwięzi,
A król do nieba poszle na gałęzi.

RYSZARD.
Mój syn...

TRYSTAN.
Precz, łotrze!

1. Tłómacz, który miał sposobność znać osobiście Delavigna, w uwielbieniu dla jego pism, w których objawiał najprzychylniejsze uczucia dla Polski, — postanowił jako hołd wdzięczności narodowéj, przełożyć najlepszą z jego sztuk dramatycznych. Jest to zatém piękny nabytek dla naszéj literatury, jak dotąd w rodzaju dramatycznym nie dość jeszcze obfitéj.

LUCYAN SIEMIEŃSKI.

RYSZARD.
Kona już...
TRYSTAN, do Straży.
Do broni!
Precz ztąd, lub Trystan...
RYSZARD zalękniony, wbiegając do chaty.
Bóg niech króla chroni!

SCENA II.

TRYSTAN, ze Strażą.

GŁOS KRÓLA, w zamku.
Kto tam?
TRYSTAN.
Swój, miecznik.
GŁOS.
Baczność mieć niezgasłą!
Łuczniki, do mnie.
CRAWFORD, wychodząc z zamku z kilkoma Szkotami.
Przystąp; zdaj mi hasło!
TRYSTAN, z cicha.
Fortuna.
CRAWFORD, podobnież.
Francya.
(wchodzą razem do zamku.)

SCENA III.

FILIP DE COMMINE sam, trzymając zeszyt pargaminowy, siada pod dębem. — Dzień świta.

W téj dąbrowie znajdę
Milczenie, spokój, pracy méj niezbędne.
Poranek błogi! wszystko śpi dokoła,
Prócz śpiewu ptasząt brzaskiem dnia zbudzonych,
I hasła szkockiéj warty przy obluzie,
Strażnika Francyi w zamku tym strzegącéj.
Odczytam kilka stronnic; ta godzina
Do mnie należy, cały dzień do niego.
(przegląda zeszyt.)
« Commina pamiętniki, wiek piętnasty... »
Okropne dzieje! zbrodnia i ciemnota,
W jednakiéj mierze, wątek ich stanowią.
Niezmienna ludzkość... tylko czas się zmienia,
I wzrok pisarza, bystry lub ułomny...
Ja chcę w ten odmęt zajrzeć aż do głębi,
W Ludwika duszę... O jeżeli kiedy,
Po moim zgonie, księgę tę otworzy,
Gdzie każdy jego czyn wpisany wiernie,
Wycisnął piętno sławy lub sromoty,
Na samym wstępie zadrży, gdy wyczyta
Jéj tytuł, po nim, lat trzydzieści rządu...
(Coitier, lekarz, przechodzi w głębi, poznaje Filipa i wchodzi do chaty Ryszarda.)
Przymiotów sprzecznych co za zbiór potworny!
Tu, co za trwoga! tu, jak świetne męztwo!
Jak ludzkim dawniéj, teraz jak okrutnym!
Dla gminu słodki, groźny dla lenników;
Zbyt łatwowierny, lub zbyt podejrzliwy,
Pokorny, dumny, srogi lub litosny,
Jak tam był skąpy, tu nad miarę szczodry!
(przeglądając ostatnie stronnice.)
Dziś, co za obraz! Straszno mi gdy spojrzę
Na zamek Plessis, grób żywego króla,
Jakbym się lękał by ten zeszyt niemy
Nie zdradził rysów które mu powierzam.
Z Paryża klątwą rodzin stu wygnany,
W Turenii osiadł, w téj krainie słońca,
Gdzie wieczny błękit nad kwiatami świeci;
Lecz i w tym grodzie nie ma dlań spoczynku.
Zakratowany w swéj królewskiéj turmie,
Zazdroszcząc śmierci długich lat ostatka,
Sam się dobija szałem i zgryzotą;
Koronę ściska oburącz na skroni,
Następcy radby odjąć ją koniecznie,
I już wpół martwy, sam chce rządzić wiecznie:
To on, król Ludwik!
(czyta, głęboko zamyślony.)

SCENA IV.

FILIP, COITIER.

COITIER wychodząc z chaty, do Ryszarda i kilku Wieśniaków.
Idźcie: bez plebana
Już się obejdzie, choć głęboka rana;
Z tych ziółek napój spiekłą krew ochłodzi,
Uśmierzy boleść.
RYSZARD, wracając do chaty z Wieśniakami.
Niech wam Bóg nagrodzi.
FILIP, zadumany.
Gdy król się przejrzy w tém źwierciedle duszy,
O jakiéj nowéj będzie śnił katuszy!
COITIER, trącając go po ramieniu.
Dzień dobry panu d'Argenton.
FILIP, z trwogą.
Ktoś obcy...
Pan Coitier!... a, przepraszam, rozmarzenie.
COITIER.
O czém dziś marzysz?
FILIP.
O przyszłości groźnéj.
COITIER.
Król dogorywa, trwożą się dworzanie.
FILIP.
Lecz ty, doktorze, ty którego sztuka,
Tę smętną przyszłość z dnia na dzień odkłada,
Z porankiem zwykłeś pomoc nieść królowi;
Od téj posługi, cóż cię dziś uwalnia?
COITIER.
Król i król zawsze! niech poczeka.
FILIP.
Przecie
Ma do niéj prawo równe jak poddani.
COITIER.
Kto przezeń cierpi, pierwsze ma z porządku.

FILIP.

Ty wciąż go skarżysz.

COITIER.

Tylu ma pochlebców!

FILIP.

Więc o cóż idzie?

COITIER.

Wczoraj, syn owczarza,
Na te wieżyce spojrzał bez namysłu;
Zamkowy łucznik, niby dla rozrywki,
Wypuścił strzałę i zakrwawił oko.

FILIP.

Zaniesie skargę, słuszność król wyrządzi.

COITIER.

Niech milczy! Trystan mieczem ich rozsądzi.

FILIP.

Zwróć na siepacza gniew i niechęć twoją.

COITIER.

Pan winien temu co podwładni broją.

FILIP.

Przezorność go tłómaczy.

COITIER.

Gdy się lęka
Mordercy, śmierć już w piersi mu zagląda.
Strach którym władnie, wpędził w rdzeń żywotną,
I praw odwetu stał się wykonawcą.
Tak chce przyroda: kto katuje, cierpi.
Nieszczęsny Nemours! jeszcze nie pomszczony.

FILIP.

Za zbrodnię zginął.

COITIER.

Padł ofiarą zbrodni!
Ty go potępiasz, ja mu cześć oddaję.
Ja, syn sierocy, w księcia dom przyjęty,
Winienem jemu przykład i naukę.
On, drugi ojciec, stworzył mię czém jestem;
Bo gdym w Montpellier, po trzyletniéj pracy,
O suchym chlebie wyszedł na lekarza,
Skórzany dyplom, biret, płaszcz soboli,
Dla łaknącego płonnym był zaszczytem.
On z głodu mię wyleczył: z ławy szkolnéj
Na dwór paryzki wprost się przerzuciłem.
Wrodzona szorstkość i swoboda myśli,
Olśniła wszystkich jak samego króla;
Szczególnym byłem, wyższym mię uznano.
Do stóp mych podziw zgiął ten dwór służalczy,
Gdym począł rządzić jak opiekun zdrowia,
Tym, który z nikim rządów swych nie dzieli.
To dla mnie Nemours zrobił; a ja nędzny,
Oprawcom króla wydrzeć go nie mogłem!
Lecz Ludwik wtedy, w pełnym sił rozwoju,
Pogardzał głosem który dziś nim włada:
Ściął więc Nemoura, i rodzeństwo całe
Zagrzebać żywcem kazał pod Bastylją.
Z trzech synów jeden żyje na wygnaniu;
Z pomocą twoją jam go wykradł z turmy,
Tyś go przechował, z czucia czy rachuby?
Z obojga raczéj; lecz cobądź wypadnie,
W téj świętéj zbrodni jesteś mym wspólnikiem.

FILIP.

Wspólnikiem, ja?

COITIER.

Ty!

FILIP.

Milcz, na miłość Boga!

COITIER.

Więc nie sądź ojca, byś nie był sądzony.
Aż serce krwią nabiega, gdy cię widzę
Samego ze mną, tak obłudnie zimnym;
I gdy z obawy by cię nie zdradziła,
Dla przyjaciela skąpisz łzy serdecznéj.

FILIP.

Gdy drugim szkodzi, mnie zaś nie pomaga,
Zamilczeć prawdę, każe mi rozwaga,
Na lepsze czasy, kryjąc ją w mém łonie.

COITIER.

Więc będziesz milczał, aż po twoim zgonie,
Już ośmielony, lecz jak dziś rozumny,
Twój duch przemówi, gdy powstanie z trumny.

FILIP.

Być może... Przecież gdy syn ocalony,
Poświęceń moich żywym jest dowodem,
Cóż ztąd, że dawna już znajomość ludzi,
Na twarz i oczy spuszcza tę zasłonę?
Z Nemourem złączon tak jak ty przyjaźnią,
Czym dłań objawił tylko żal bezczynny?
Po jego śmierci, gniew i zemsta króla,
W mniemaniu wszystkich, sytą się zdawała;
Kto znał go lepiéj? kto cię wywiódł z błędu?
Ja sam; wiedziałem, że synowie zginą.
Z nich jeden uszedł, gdyż uwierzył we mnie;
Jam go polecił dawnych sług opiece:
A późniéj, jakiż mu przytułek dałem?
Mój własny dom, gdzie drugą miał rodzinę.
Burgundzki książe Karol, przez mych gońców
Zasłyszał o nim, i chciał poznać z bliska;
W Perońskiéj twierdzy przyjął go do związku
W zaczepnéj wojnie z królem, swym rywalem.
Im więcéj wtedy syna los ulżyłem,
Tém cięższéj ojca dziś potępiać muszę.
Ty rządzisz królem, aż twój rząd ustanie;
Ja, w méj posadzie, różne mam zadanie:
I choć pokrewni naszych serc żałobą,
Ja, drżę przed królem, król zaś drży przed tobą.

COITIER.

Więc ta... przezorność, tak twém sercem włada,
Żeś Armagnaców przyjął gród dziedziczny,
Tę zdobycz króla, którą miecz katowski,
Z Nemoura głową, rzucił mu pod stopy?

FILIP.

Co mówisz! córka zwróci mu przy ślubie
Ojcowską własność u mnie przechowaną;
Marynię poznał i pokochał święcie.
Ja z méj zagrody córkę tu ściągnąłem,
I przyzwoliłem, by w szczęśliwszéj porze
Ten upragniony związek był zawarty.

COITIER.

Gdy umrze?

FILIP.
Kto?

COITIER, wskazując na zamek.
On!

FILIP.
Ani słowa więcéj.
Czym przeto dla nich zbyt powolnym ojcem?
Czy ślub naganiasz?

COITIER.
Owszem; i podziwiam
W czułości ojca, myśl człowieka stanu.
Dom Armagnaców może się podźwignie:
Karola, który niegdyś był twym wodzem,
Zastępów jego, Nemours jest bożyszczem;
Za twoje względy wdzięcznym się okaże,
I gdyby tutaj łódź twa się rozbiła,
Twój zięć w Burgundyi przystań ci zgotuje.

FILIP.
Zbyt samolubne widzisz tam zamiary,
Gdzie jest ojcowska miłość i opieka;
W zarysach takich przedstaw mię na dworze!

COITIER.
Jam nie polityk; tam ust nie otworzę.
Im więcéj kogo cenię i poważam,
Tém ostrzéj, śmieléj, prawdę mu wyrażam.

FILIP.
Mieć wzgląd na starca byłoby rozumnie.

COITIER.
A kiedyż ją usłyszy, chyba w trumnie?

FILIP.
Wszak jego zdrowia tyś udzielnym panem.

COITIER.
Nie chcąc być jeńcem, muszę być tyranem!
Czy wiesz ty, przebóg, co mi świat zazdrości?
Co to za życie być lekarzem króla?
Uczony więzień pod opończą złotą,
Sam sobie kłamie gdy się wolnym głosi;
On mię zakupił, on mię wciąż posiada,
Bliskiego dręczy, klnie mię gdym daleki,
Że sam schorzały, zdrowie mi wydziera.
On w domu, ja też; wyszedł, ja wychodzę:
Zgarbiony niżéj, niż do ziemi zgięci
Tragarze dworscy pod lektyką zbrojną.
Zamknięty ze mną w tym bezludnym grodzie
Gdy promień myśli z dnia pochodnią gaśnie,
Gdy ciężkie brony trzech zwodzonych mostów
Zwalone z trzaskiem, dzielą nas od świata,
On sadza mię na krześle, przed łożnicą,
Gdzie noc bezsenna cierpień mu przysparza,
I zkąd miodowym pyta mię wyrazem:
Czym nie podsłuchał co mógł rzec marzący?
Gdy w gniew zapadnie, łży mię i wypędza,
A gdy mu duszno, woła znów do siebie;
Narzeka, grozi, zdrajcą mię nazywa,
I na mnie składa brzemie swéj zgryzoty!
Lecz jeśli w piekło każdy dzień mi zmienia,
Boleści krzykiem każdą noc zatruwa,
Gdy przy skonaniu, panem swéj niemocy,
Bezwładny upiór chce przedrzeźniać życie,
Ja z tych wysileń szydzę bez litości,
Za własną nędzę trwogą mu odpłacam,
Ucisku jarzmo strącam na ciemięzcę,
I zmuszam króla patrzeć w grób otwarty.
Tak więc, przykuci wspólną nam niedolą,
Gotowi zawsze zerwać jéj ogniwa,
I zawsze razem, jak dwaj potępieńce,
Żyjem na przemian łupem i oprawcą;
Aż śmierć, zbyt późna, choć już niedaleka,
Pomiędzy nami rękę swą podniesie,
Roztrąci łańcuch, duszę mu zabierze,
A mnie powróci życie i swobodę!

FILIP.
Już dość; ktoś idzie, miarkuj twe wyrazy.

COITIER.
Czy lękasz się twéj córki?

SCENA V.

CIŻ, MARYNIA.

FILIP.
Chodź, Maryniu:
Dopiero z domu?

MARYNIA.
Dobry dzień, mój ojcze.
Pan Coitier, witam. Jaka wieść o królu?

COITIER.
Duch krzepi ciało; wola w nim tak silna,
Że swą chorobą chyba mię zamęczy.

MARYNIA.
W lekarskiéj sztuce świat równego niema.

COITIER.
Gdzie życie zgasło, sztuka go nie wskrzesi.
Na mnie, na ojca żali się, i ciebie.

MARYNIA.
Dla czego? sam oddalić się pozwolił.

FILIP.
Nie mógł się oprzeć twéj nabożnéj chęci
Kapłana widzieć który go wyleczy:
Lecz znów zatęsknił.

COITIER.
Otóż są królowie!

FILIP.
Wesołość twoja ulgę mu przynosi;
Cierpienia milczą, kiedy myśl pogodna.
Hrabina Beaujeu już od ojca zbiegła,
Ty ją zastąpisz sercem i staraniem.

COITIER.
Ojcowski smutek chętniéj by znosiła,
Gdyby Ludwika d'Orleans, dziś męża
Swéj starszéj siostry, mogła mieć przy sobie.

FILIP.
Co ty śmiesz mówić?

COITIER.
To co mówią wszędzie.

FILIP.
O niczém nie wiem.

COITIER.

Więc ja ci donoszę.

(do Maryni.)

No cóż! Franciszek z Paoli przybywa:
I każdy klasztor, każda wieś do koła
Uderza w dzwony, by go przyjąć godnie.
Z pustelni włoskiéj mimochąc wyrwany,
On sam, jak Rzym zaręcza, wskrzesić może
Królewskie zdrowie, które nam, śmiertelnym,
Uchodzi z ręku jak jesienne liście.
Niech nas zawstydzi ten pustelnik święty;
Za cudotwórcę uznam go z pokorą,
Jeżeli marny cień oblecze ciałem,
I starym członkom odda moc młodzieńczą.

MARYNIA.

Śmiesz wątpić o tém? Rozgłos tylu cudów
Jestże straconym dla samego ciebie?
Staruszek z Fondi przezeń raz dotknięty,
Zawładnął ręką z ciała już opadłą:
Rzym cały świadkiem jak niewiastę chorą
Podjąwszy z ziemi, wygnał z niéj szatana.
Gdy skinie, ślepy wita go spojrzeniem,
Kaleka biegnie, niemy doń przemawia;
Nad grobem klęknie, ziemia już otwarta,
I jak w dzień sądny, zmarli się podnoszą!

COITIER.

Wierzymy.

MARYNIA.

Przecież, jaka w nim prostota!
Pielgrzyma postać, słodka i poważna;
Bez pastorału, który na konklawie
Prałatom rzymskim służy za podporę;
Bez mitry złotéj, bez ornatów świetnych,
Jakiemi nuncyusz godność swą zwiastuje;
Bez ogoniastéj komży, za biskupem
W dzień uroczysty ręką sług niesionéj:
Ubogi, skromny i z gałązką w ręku,
W siermiędze szaréj pod zakonnym sznurem,
On zda się większy niż królowie ziemi.

COITIER.

Cóżby pomyślał ten zakonnik cichy,
Lektykę widząc, w któréj tak wspaniale
Kardynał d'Alby toczy się przez miasto;
Lub klacz potulną, która bez ostrogi
Pod ojcem z Poitiers tak nabożnie stąpa!

MARYNIA.

Przy jego boku obaj szli piechoto.
Królewic sam prowadził go do zamku;
Za nim śpiewając, bliskich wsi pasterze,
Panowie lenni, wśród pacholąt grona,
Na wstęgach wiodąc bystre swe rumaki.
Do koła herby książąt i rycerzy,
W oddali lotne młodych dam zawoje,
Różnemi barwy z obu stron wiejące:
Tu, złote krzyże pod słonecznym blaskiem,
Proporce króla, lilje na błękicie,
Strojniejsze jeszcze pod kwiatami wiosny,
Chylące przed nim swe zwycięzkie znaki;
Z kadzielnic w niebo woń płynęła z pieśnią,
Lud klęczał zgięty pod błogosławieństwem.
Tak szedł ów kapłan do Ludwika grodu,
Prowadząc z Amboise cały zbiór narodu.
Długom patrzała na ten obraz boski;
Aż gdzie gościniec zwraca się od wioski,
Ja z moją Bertą wsiadłyśmy na konie,
I wprost przybiegły przez Loary błonie.

FILIP.

Zdaj sprawę pierwsza, nim nadejdzie książe:
Chodź!

MARYNIA, z cicha.

Jeszcze słówko.

COITIER.

Ja przed wami zdążę.

FILIP.

To pośpiech zbytni.

COITIER.

Pewnie już u progu
Tajemnéj furtki, na podzamcza rogu,
Do któréj oba mamy wstęp jedyny,
Król niecierpliwy czeka od godziny.

FILIP.

Coś od niéj słyszał, powiesz mu dokładnie.

COITIER.

Rozumiem... jeśli za to gratka spadnie,
Maryni pierwsza strąci się nagroda.

FILIP.

Nic nie wymagam.

COITIER, ściskając mu rękę.

Lecz przyjmujesz; zgoda!
Bądź zdrów.

SCENA VI.

FILIP, MARYNIA.

MARYNIA.

Goryczą dowcip swój zaprawia.

FILIP.

To co król znosi, znieść i nam należy.
Że chciwy wiedzy, sądził się wszechwiednym,
A z niepewności, doszedł do zwątpienia.
Mierzymy drugich i ten świat po sobie;
Pogarda ludzi, własnéj jest wynikiem.
Lecz jakiż powód miałaś do życzenia
By się oddalił? mów, jesteśmy sami.

MARYNIA.

W spojrzeniu mojém to wyczytasz ojcze:
Odgadnij.

FILIP.

Jakaż jest ta wieść szczęśliwa?

MARYNIA.

Dla nas obojga.

FILIP.

Lecz dla ciebie więcéj.

MARYNIA.

Burgundzki poseł do Ludwika dworu,
Z orszakiem licznym, zjechał tu w gościnę;
Woźnego tarczę, pojazd i dzianety,
Poznałam wszystko.

FILIP.

Któż to?

MARYNIA.

Hrabia Rethel.
Nazwisko Berta wie od chorążego
Z proporcem białym, gdzie pod kwiatem Francyi
Lew złoty staje, jako nasz poddany.

FILIP.

Więc hrabia Rethel... dom ten starożytny,
Swéj wielkiéj nazwy nie miał już dziedzica;
Sam przecie byłbym widział go w Peronie:
Lecz samozwańców u nas jest nie mało.

MARYNIA.

Zostawił, słyszę, pod warownią Nancy
Burgundzki tabor z księciem...

FILIP.

I z Nemourem.
Nieprawda, dziecię?

MARYNIA.

Może list od niego,
Da ci wiadomość o twym wychowańcu.

FILIP.

A gdzie w przypisku powie ci treściwie,
Że mniéj za krajem wzdycha niż za tobą.

MARYNIA.

Tak myślisz? Kto wie! czas i serce zmienia.

FILIP.

Gdy kto szczęśliwy; lecz tęsknotą zdjęte,
To serce stałą pamięć nam zachowa.
By śnić o szczęściu jedno ma wspomnienie,
O tobie.

MARYNIA.

Kocham, więcéj niż mię kocha.
O ileż razy, chcąc osłodzić ranę
Nieuleczoną, po rodzica zgonie,
Wmawiałam w niego że jest twoim synem.
On się uśmiechał, lecz ze łzami w oku;
I przeciw smutkom które go trawiły,
Podpory szukał w méj litości bratniéj:
Milczący, mojém dzielił się uczuciem.
Przed płochą wrzawą i przepychem dworu,
Posępny zawsze, zbiegał w cień ołtarzy;
O zemstę wołał, gdy płonącym wzrokiem
Spoglądał, klęczac, na krzyż Zbawiciela.
Gdy kto Ludwika wspomniał, na to imie
Znienawidzone, zrywał się groźniejszy,
Za sztylet chwytał, i stłumionym głosem
Przeklinał tego...

FILIP.

I tyś przy nim była?

MARYNIA,

Płakałam drżąca; on, jakby ocknięty,
Łzy koił, siostry pieszcząc mię nazwaniem.

FILIP.

Ach! swoją zemstę śmierci niech zostawi!
Pod nowym rządem lepszy los go czeka.

MARYNIA.

O tém nie wątpię; jeśli go poproszę,
Królewic Karol...

FILIP.

Słuchaj mię, Maryniu:
Wiem, że królewic z tobą się zabawia,
Zbyt często może.

MARYNIA.

Czemu? wszak to dziecię.

FILIP.

Na króla Francyi dziecię to wyrasta.

MARYNIA.

Mamże od niego stronić, gdy ze wstydu
Zarumieniony i nieledwie z płaczem,
O nazwy przodków pytać mię przychodzi?

FILIP.

Nauka niewiast jest owocem słodkim,
Lecz niebezpiecznym; uczeń twój dojrzewa:
I choć twa miłość broni cię od złego,
Strzeż się i czuwaj Tak Agnieszka piękna
Łudziła się, że tylko sławę kocha
W zwycięzkim królu. Wiesz co ztąd wynikło:
Zhańbienie wieczne po dniach kilku szczęścia.
Gdy na krosienkach dwie splecione cyfry
Kreśliła smętna, ileż łez upadło
Na tkankę wątłą jak jéj sen zwodniczy!
Wróg na nią czyhał; i zbawczyni Francyi,
Agnieszka Sorel, zmarła przez otrucie.

MARYNIA.

Któż był tym wrogiem? Kogoż o tę zbrodnię
Posądzać można?

FILIP.

Kto... nikt, nie wiem wcale.
Do zamku ze mną; król na cię wygląda,
On też, samotny, twéj pociechy żąda.

MARYNIA.

Czy słyszysz śpiewy brzmiące po rozłogu?
Już orszak schodzi.

FILIP.

Miéj nadzieję w Bogu.

SCENA VII.

FRANCISZEK Z PAOLI, KRÓLEWIC, NEMOURS, RYSZARD, MARCYS, MARCYSIA, DEZYDERY, DUCHOWNI, PANOWIE i PANIE, RYCERSTWO, LUD.

WIEŚNIACY, śpiewając chórem.

Pociecho serc, Maryo,
Wzywamy twéj opieki:
Niech szczęsne dni odżyją,
I święcą nam na wieki.

Dziewico błoga,
Z natchnienia Boga
Cudem to spraw:
Ludwika zbaw!
Wskrześ ojca twego ludu,
Obrońcę praw:
Zbaw króla mocą cudu,
Ojczyznę zbaw!

FRANCISZEK Z PAOLI do Nemoura, który z nim z cicha rozmawia.

Najchętniéj, synu, radą cię zasilę.

(do królewica.)

Pozwoli książe zostać tu na chwilę;
Do moich usług, boskich ksiąg ustawą,
Król jak poddany, ma jednakie prawo.

KRÓLEWIC.

Wypocznij, ojcze: my podążym przodem.
Gdy wrócisz do nas, pod stołecznym grodem,
W ofierze niosąc sól z ułamkiem chleba,
Król czoło schyli przed posłańcem nieba.

(do Rycerstwa.)

Panowie, za mną.

(Chór się oddala, śpiewając.)

SCENA VIII.

CIŻ, oprócz KRÓLEWICA z Orszakiem.

(Wieśniacy klękają przed Franciszkiem z Paoli.)

WIEŚNIACZKA.

Brat rażony leży:
Zbaw go, mój ojcze!

MARCYŚ.

Daj mi tknąć odzieży!

DEZYDERY.

Daj zdrowie!

MARCYSIA.

Długie życie!

RYSZARD.

Wejdź do chaty:
Syn wzrok odzyska, jaki miał przed laty.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Składajcie Bogu klęcząc hołd rzetelny;
Jam tylko człowiek, i jak wy śmiertelny.
Do was podobny starzec i kaleka,
Na kiju wsparty, gdym tu szedł z daleka,
Mnie też, wątłemu, wiek opóźniał drogę;
Co jestem, świadczy co uczynić mogę:
Żem człowiek, z ludźmi cieszę się i płaczę;
Żem tułacz, braciom niosę łzy tułacze;
W prostocie ducha, gdy się niemoc zjawia,
Ja błogosławię, lecz sam Bóg uzdrawia.
Przestańcie więc się łudzić z méj przyczyny,
Za was się modlić, to mój dar jedyny.

RYSZARD, do Marcysia.

Synowi księcia mógłby wzrok naprawić.

MARCYŚ.

I wskrzesiłby go!

FRANCISZEK Z PAOLI.

Raczcie mię zostawić:
W przybytku pańskim wkrótce mię znajdziecie.

MARCYŚ.

On króla zbawi.

RYSZARD.

Bo król!

MARCYŚ.

Lecz my, kmiecie,
Czy warci cudu?

(Wieśniacy wychodzą.)

SCENA IX.

FRANCISZEK Z PAOLI, NEMOURS.

NEMOURS, zbliżywszy się.

Tu samotność błoga...
Nikt mię nie widzi?

FRANCISZEK Z PAOLI, siadając pod dębem.

Nikt, prócz mnie i Boga.

NEMOURS.

On miłosiernie twéj modlitwy słucha.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Dla uciśnionych pewna w nim otucha.

NEMOURS.

Więc módl się za mnie.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Jak za szczęście własne.

NEMOURS.

Dziś, jeśli zginę, niech w spokoju zasnę.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Chcesz umrzeć?

NEMOURS.

Módl się.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Za twój żywot?

NEMOURS.

Wieczny.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Bóg sam oznacza życia kres konieczny.

NEMOURS.

Mój bliższy.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Zkądże? w tym zastępie bratnim?

NEMOURS.

Dzień każdy w życiu może być ostatnim.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Mnie myśleć o tém.

NEMOURS.

Śmierć i mnie zagraża.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Masz młodość, męztwo.

NEMOURS.

Mężny się naraża,
Więc łatwiéj zginie.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Co zamierzasz synu?

NEMOURS.

Co przez męczeństwo dojdzie dziś do czynu.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Połową grzechu własny plon obciążę :
Więc mów.

NEMOURS.

Nie mogę.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Kto ci usta wiąże?

NEMOURS.

Wróg méj rodziny.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Któż jest waszym wrogiem?

NEMOURS.

To tajemnica między mną i Bogiem.

FRANCISZEK Z PAOLI, podnosząc się.

Zamiarów zgubnych tu dostrzegam przędzę.

NEMOURS.

Posłuszny jestem.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Komu?

NEMOURS.

Méj przysiędze.
Gdy krew chce zemsty...

FRANCISZEK Z PAOLI.

Cóż?

NEMOURS.

Czy krwi nie trzeba?

FRANCISZEK Z PAOLI.

Twą zemstę, synu, zdaj królowi nieba.

NEMOURS.

Na jéj spełnienie gdy kraj cały czeka,
Gdzież jego słuszność, jeśli sąd odwleka?

FRANCISZEK Z PAOLI.

Wyroki swoje Bóg wiecznością mierzy :
Gdzież jego dobroć, jeśli wręcz uderzy?

NEMOURS.

Jednego z książąt i mocarzy świata,
Powierny kapłan, słuchał mię jak brata.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Rozgrzeszył cię?

NEMOURS.

Nakarmił chlebem wiary
I dodał z cicha : spełnij twe zamiary.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Więc sprawiedliwe?

NEMOURS.

Niebo je zachęca :
Twój głos, na ziemi, niechaj czyn uświęca.
(pada na kolana.)

FRANCISZEK Z PAOLI.

Bóg łaskę zlewa na swe wszystkie dzieci;
Niech cię duch jego wesprze i oświeci!

NEMOURS.

Zabójcy klątwą ulżysz mi męczeństwo.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Chrystusa sługa, nie znam co przekleństwo.

NEMOURS.

Więc mię błogosław.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Bądź sprawami twemi
Błogosławiony w niebie i na ziemi.
Lecz, przy skonaniu, jeśli masz złe chęci,
Modlitwa moja dzieł twych nie uświęci;
Uczynki dobre wieczny ślad zostawią,
I one same cię pobłogosławią.
Bądź zdrów.

NEMOURS, powstając.

Jak rzekłeś, niech się ze mną stanie.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Gdzież cię zobaczę?

NEMOURS.

U twych stóp, kapłanie.

FRANCISZEK Z PAOLI.

W tém miejscu?

NEMOURS.

Wyżéj.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Więc przed królem?

NEMOURS.

W niebie

FRANCISZEK Z PAOLI.

Tam wstąpisz za mną.

NEMOURS.

Dziś wyprzedzę ciebie

AKT DRUGI.

Sala tronowa w zamku Plessis-les-Tours.

SCENA I.

MARYNIA sama, siedząca i wybierająca kwiaty z koszyka.

Gałązki kwietnie, w środku liść dębowy;
Tu polne róże, pod błękitną taśmą.
Tu, z kłosem świeżym i liljami wiosny,
Zimowy bluszcz... o nie! na grobach rośnie,
To dla chorego zbyt posępna wróżba :
Z królewską lilją raczéj kwiat niezwiędły,
Wieczności godło...

SCENA II.

MARYNIA, KRÓLEWIC.

KRÓLEWIC, zbliżywszy się z cicha.

Więc i kwiaty kłamią;
Pochlebiać królom uczy je Marynia...

MARYNIA.

Królewic mię podsłuchał, to niepięknie!

KRÓLEWIC.

Nareszcie sama!

MARYNIA, chcąc wyjść.

Książe...

KRÓLEWIC.

Już uchodzi...
Tak spiesznie, dokąd?

MARYNIA.

Do kaplicy leśnéj
Najświętszéj Panny; właśnie dziś rocznica
I odpust wielki. Niosę jéj te kwiaty;
Sam król podobno stanie przy ołtarzu.

KRÓLEWIC.

Patrz, jak w życzeniach jego duch się chwieje!
Dziś jeszcze z rana miał wypuścić w pole
Te rącze charty, które sam zaprawia;
Na lotnym karku jutro go poniesie
Jelonek złoty z Anglji mu przysłany,
Lub król sokołów z ręku mu wystrzeli;
Tu znów, zarządza łowy przy pochodni,
Na nocne ptastwo w turmach się kryjące.
By troski zmylić, tyle aż zachodu!
Żałuję go; ja szczęście mam przy sobie,
Gdzie tylko jestem : we śnie czy na jawie,
W pobudce rannéj, w słonku co mi świeci,
W tych pól obszarze, w łąk uroczéj woni,
I twém spojrzeniu, gdzie się raj uśmiecha.

MARYNIA.

W siedmnastym roku, wszystko nam się wdzięczy;
Lecz późniéj, przyszłość starca myśl zasępia.
Dziś, wiejskie tańce, kwiaty, dzień pogodny,
W pielgrzymce świętéj króla nam odmłodzą.
Co żywo biegnę.

KRÓLEWIC.

Spieszmy doń we dwoje.

MARYNIA.

Ja pójdę prędzéj.

KRÓLEWIC.

Ja chcę iść za tobą.

MARYNIA, z uśmiechem.

Ja chcę? król mówi : chcemy.

KRÓLEWIC.

Więc cię proszę,
Siądź tu.

MARYNIA.

Na chwilę.

KRÓLEWIC.

Tęskno mi, Maryniu.

MARYNIA.

Mój Boże! za czém?

KRÓLEWIC.

Mam powody słuszne :
Na moją miłość ojciec jest nieczuły.
Przy łożu, z rana, gdy ze smutkiem czekam
Na luby wyraz, na spojrzenie tkliwe,
Czy się nachyli ku mnie? czy przemówi?
Czy wie żem przy nim? więc mię król nie kocha!

MARYNIA.

Marzenie!

KRÓLEWIC.

Gdzie tam; czemuż od dziecińStwa
Wygnaniec biedny, muszę żyć w ciemnocie?
W ponurym zamku Amboise, mém więzieniu,
Dorosłem lat młodzieńczych, wśród zabawy,
Lecz bez nauki; tak, że przodków dzieje
Są mi zamknięte : ledwie znam imiona!
Cóż umiem? czytać... aż się ludzie śmieją.
Lecz jak się tu przykładać do czytania?
Nic nie mam, prócz « Różańca wojennego. »

MARYNIA.

Dla syna król go spisał.

KRÓLEWIC.

Treść głęboka,
Poważne zdania, lecz...

MARYNIA.

Cóż?

KRÓLEWIC.

Nudne bardzo.

MARYNIA, zalękniona.

To dzieło króla!

KRÓLEWIC.

Przy nim, w jego domu,
Czym swobodniejszy? Skoro się przebudzę,
Ktoś podejrzliwém śledzi mię spojrzeniem.
Czy mnie się boją? za cóż mię oddano
Pod niecną straż balwierza Oliviera?

MARYNIA.

Odkąd ministrem, panem zwać go trzeba.

KRÓLEWIC.

Choć balwierz, milczy ze mną jak zaklęty;
Mój szwagier d'Orleans, to co innego.

MARYNIA.

O nim, na dworze, z cicha się wspomina.

KRÓLEWIC.

Patrz jak niezmierna przestróg ich różnica :
Olivier Mistrz powiada : « Król to Francya; »
On zaś : « Karolciu, zapisz to w pamięci :
Król łącznie z ludem, Francyą się nazywa. »
Brat słusznie mówi.

MARYNIA.

Prawda.

KRÓLEWIC.

Ja go kocham;
Lecz mniéj niż ciebie.

MARYNIA.

On wzajemny księciu.

KRÓLEWIC.

Przy swym odjeździe, dał mi upominek :

(dobywa książkę.)

Patrz.

MARYNIA.

Co ja widzę! książka...

KRÓLEWIC.

I przedziwna :
O sławie, o wolności...

MARYNIA.

Boże! gdyby
Król się dowiedział!

KRÓLEWIC.

Chcesz w niéj czytać zemną?

MARYNIA.

Nie, nie.

KRÓLEWIC.

Dla czego?

MARYNIA.

Nie śmiem.

KRÓLEWIC.

Któż nas widzi?

MARYNIA, odchodząc.

Nie mogę.

KRÓLEWIC.

Ja sam...

MARYNIA, wracając i patrząc mu po nad głową.

Tytuł niech obaczę.

KRÓLEWIC.

Ciekawa!

MARYNIA.

Słucham.

KRÓLEWIC.

Jeśli błąd się zdarzy,
Ty mię poprawisz.

MARYNIA.

Zgoda.

KRÓLEWIC.

Jak też miło
Być uczniem twoim!

MARYNIA, siadając przy stoliku.

Proszę więc.

KRÓLEWIC, kładąc książkę na jéj kolanach.

Zaczynam.

MARYNIA.

Niech książe wstanie.

KRÓLEWIC.

Czy mi źle?

MARYNIA, podnosząc go.

Tak lepiéj.

KRÓLEWIC czytając pod palcem Maryni, na książkę przyłożonym.

« Kronika Francyi na rok pański... »

MARYNIA.

Który?

Cóż daléj przecie?

KRÓLEWIC.

Jakieś tu figury.

MARYNIA, śmiejąc się.

To cyfry.

KRÓLEWIC.

Śmiéj się!

(czyta z wysileniem.)

« Czyli rzecz o bitwach,
Potyczkach, walnych czynach i gonitwach
Zwiedzionych ongi kopią i brzeszczotem
Przez hrabiów Dunois, Lahire i... »

MARYNIA.

Cóż potém?

KRÓLEWIC.

« I... »

MARYNIA.

Śmiało!

KRÓLEWIC.

Wiem już.

MARYNIA.

« Xaintrailles. »

KRÓLEWIC.

To nazwisko
Za trudne.

MARYNIA.

Świetne.

KRÓLEWIC, czytając.

« Jak pół wieku blisko,
Owczarza córka, mężna choć uboga,
Zbawiła Francyę i wygnała wroga. »

MARYNIA.

Za rządów jego dziadka.

KRÓLEWIC.

To Joanna!

MARYNIA.

Zkąd książe słyszał?

KRÓLEWIC.

Wiem o drugiéj jeszcze,
Jak ty nadobnéj!

MARYNIA, wstając.

Żegnam.

KRÓLEWIC.

Ta, za serce
Młodego króla, swoje mu oddała.

MARYNIA.

Kto księciu śmiał powiedzieć?

KRÓLEWIC.

Nikt i wszyscy:
Rozmowy słucham; a gdy sam zostaję,
Powtarzam w myśli wszystko co słyszałem.
Lecz kiedy o niéj mowa, na to imie,
Nieznane dotąd czucie mię przenika;
Rumienię się, a serce drga z radości.
Z jéj to natchnienia Karol zbił Anglika,
Uwłaszczył ją w pałace i klejnoty;
Bo król dać może co mu się podoba,
Koronę, serce i królestwo razem.
Ja, syn królewski, biedny i bezwładny,
Ja bez przyjaciół, bez Ojczyzny prawie,
Nic nie mający, skarbów ni korony,
Mam tylko pierścień... przyjmij go, Maryniu.

MARYNIA.

Co książe czyni?

KRÓLEWIC.

Weźże.

MARYNIA.

Lecz...

KRÓLEWIC.

Już zdjęty.
To dar bezcenny, prawda, lecz serdeczny;
Gdy wstąpię na tron...

MARYNIA, z przestrachem.

Ciszéj!

KRÓLEWIC.

Wrócisz do mnie,
A ja na cześć królewską ci zaręczam,
Rycerskiém słowem stwierdzam tę przysięgę,
Że cobądź zechcesz, czy najwyższe względy,
Czy skarb, czy tytuł, przemów do mnie śmiele,
Ja, za ten pierścień, wszystko ci udzielę!

MARYNIA.

Więc nim wyjednam i wygnańca łaskę?

KRÓLEWIC, z żywością.

Wygnańca?

MARYNIA.

I sieroty bez przytułku.

KRÓLEWIC.

Ty kochasz go!

MARYNIA.

Być może.

KRÓLEWIC.

Ty niewdzięczna!
Zwróć mi ten pierścień.

MARYNIA.

Oto jest, oddaję.

KRÓLEWIC.

Nie, kto ślub łamie, ten sam siebie krzywdzi.
To pierwsza boleść jaką ci winienem;
Lecz co raz dane, już się nie odbiera.
Zachowaj sygnet, serce żal zachowa;
Królewic przyrzekł, król dotrzyma słowa.

MARYNIA.

Ktoś idzie.

SCENA III.

CIŻ, FILIP.

FILIP.

Król Jegomość prosi księcia.

KRÓLEWIC.

Więc mówił o mnie? jakże, czy łaskawie?
Ach, racz powiedzieć czy mię ojciec woła,
Czy groźny sędzia?

FILIP.

Lepszą miéj otuchę.
Dziś, za woźnymi Flandrji i Burgundyi,
Karola poseł przybyć ma do zamku;
Dla czci należnéj księciu i zastępcy,
Przez królewica ma być przedstawiony.

KRÓLEWIC.

Przezemnie... a jam drżał już jak złoczyńca...
Nieszczęsny syn, ja ojca bać się muszę!
Gdy doń przystąpię, niemy i struchlały,
Zaledwie stoję; a gdy wzrok podniosę,
I widzę oczy, jak dwie błyskawice,
Z pod rzęs obłoku w moją twarz utkwione,
Synowską miłość postrach mój przemaga,
I drżącą wargą jego dłoń całuję.

FILIP.

Uspokój się!

KRÓLEWIC.

Już idę...
(zbierając książkę ze stolika.)
Ach! niebaczny!

FILIP.

Co książe chowa?

KRÓLEWIC.

O tém wie Marynia :
To mój minister.
(do Maryni.)
Nie mów nic!

MARYNIA.

Nie powiem.

KRÓLEWIC, wychodząc.

Tajnikiem stanu to dla wszystkich zowiem.
Żegnamy!

SCENA IV.

FILIP, MARYNIA.

FILIP.

Odejdź.

MARYNIA.

Zkądże tak surowo?

FILIP.

Zbyt wcześnie zapominasz, co ci mówię;
Lecz to spamiętaj, że przed twym odjazdem,
Król wzywa cię do siebie.

MARYNIA, z przymileniem.

Ani jedno
Przyjazne słówko, ani pół spojrzenia?
Com zawiniła?... przebacz!

FILIP, całując ją.

Jam jest winien.

MARYNIA.

Odchodzę; z księciem mówić już nie będę :
To ci przyrzekam, choć na gniew zasłużę.

FILIP, z żywością.

Na gniew! z następcą zrywać bezpowrotnie,
To sobie szkodzić... a i mnie podobno.
Gdy przeszłość kona, przyszłość miéj na względzie,
Król da co zechcesz, gdy go księciem znano.
Krzywd zapomnienie każdy rząd ogłasza,
Niewinnych bronić, to powinność nasza.
Myśl o tém, dziecię.

MARYNIA.

Dziś i w każdéj dobie;
Nemoura powrót oto mam przy sobie.

SCENA V.

FILIP, sam.

Wnet hrabia Rethel stanąć ma przedemną;
Czy go przechylę? rozkaz mam od króla;
On jednym rysem pióra na dyplomie
Ziem więcéj zdobył niż ojcowie mieczem

Ztąd przekonany o nicości sławy,
Wie, że układy lepsze niż wyprawy;
Mistrz wielki, złoto, wielce nam pomoże.

DWORZANIN, zwiastując.

Pan hrabia Rethel!

SCENA VI.

FILIP, NEMOURS.

FILIP.

Tyś jest, mocny Boże!
Ty, Nemours!

NEMOURS.

Witaj!... zamek ten odludny,
To jego grób!

FILIP.

Umiarkuj twe wzruszenie!
Tu, mury widzą, sklepień dźwięk donosi.

NEMOURS.

Dwór godny króla! Wchodząc tu, widziałem
Dymiące ślady krwawych rąk Trystana :
Tysiącem ofiar rzeki nurt wezbrany;
Żelazne pastki w koło wież rozpięte;
Schylone dęby pod stadami trupów!

FILIP.

I tyś przestąpił próg dla ciebie straszny!

NEMOURS.

Tak jest.

FILIP.

Nieszczęsny!

NEMOURS.

Czemu? Jam spokojny :
Ty sam i Coitier wiecie kto ja jestem.
Kto z was mię zdradzi?

FILIP.

Żaden.

NEMOURS.

A czy może
Król poznać tego, który raz przed laty
Katowską ręką był mu przywleczony
Z młodszymi braćmi... Potwór!... by pod stosem,
Gdzie ojciec konał...

FILIP.

Uchodź!

NEMOURS.

O rozpaczy!
Jak on przebacza, niech mu Bóg przebaczy!

FILIP.

Ty sam się zgubisz; on czém jest, zostanie.

NEMOURS.

Lennika pierwéj rzucę mu wyzwanie.

FILIP.

Zleć to innemu.

NEMOURS.

On innego złudzi.

FILIP.

królem z królów.

NEMOURS.

Dla powszednich ludzi.
Łzy moje świadczą, że był moim królem;
Bo cóż prócz łez i klątwy mi zostało,
Smętnego prawa sierot i tułaczy?
Dziś mam pociechę.

FILIP.

Ty!

NEMOURS.

Konającemu
Chcę zajrzeć w oczy.

FILIP.

Ujrzysz go niezgiętym.

NEMOURS.

Nie! duch tak srogi mężnym bć nie może!
Do głębi serca groźba go poruszy.
Ja znam go dobrze.

FILIP.

Drżyj!

NEMOURS.

On sam drżeć będzie.

FILIP.

Tak myślisz?

NEMOURS.

Choćby miał o tyle męki,
To dość, że jego zbladłą twarz obaczę
(z boleścią)
Jak moja niegdyś.

FILIP.

Karol, w tém poselstwie,
Czy ci polecił łżyć osobę króla?

NEMOURS.

Co mi polecił, ja wykonam śmiało.
To on przezemnie wolę swą wyrzeka,
To on, po całym rodzie swym żyjący,
To on, bez domu, krewnych i nazwiska,
Osierocony przez królewską zbrodnię!

FILIP.

Przyjaźni szczeréj niech cię głos przebłaga.
Wiem że pogardzisz złotem i darami,
W tém cię pochwalam; lecz ofiara moja,
Wybawcy twego, czyli nie powinna
Rozbroić słuszną w sercu twém urazę?
Marynia...

NEMOURS.

Czemuż imie to wspomniałeś!
To moja siostra, to mój skarb jedyny;
Bóg, mego życia stworzył ją aniołem!
To sen... z nią razem szczęście mię odbiega!

FILIP.

Masz je pod ręką. Po zwaśnieniach tylu,
Przymierzem wieczném złączyć dwa narody,
Uśmierzyć kłótnię dwóch sąsiadów możnych,
A wspólném dobrem zbliżyć ich do siebie,
Nie, to nie zdrada przysiąg i honoru;
To poświęcenie Bogu twéj zawiści,
To spłacić dług Ojczyznie. A ten związek
Co ci powraca, z nazwą i majątkiem,
To co najdroższe, twą rodzinną ziemię,
Z twą powinnością i sumieniem zgodny!
Zapomnij, przebacz : król ci rękę poda.

NEMOURS.

Zapomnieć, mówisz! Czyż on sam zapomni?
Ja mam przebaczyć, ścisnąć dłoń mordercy,
Za ojcobójstwo, mękę bez przykładu!
Patrz! tam, pod stosem, trzéj synowie klęczą,
W świątecznéj bieli : bo nas tak przybrano
Do krwawéj uczty, jak do stóp ołtarza.
Wtém, tłumne kroki tętnią po nad nami :
Od stóp do głowy drżenie mię porywa;
To on!... wstępuje, staje, głos podnosi,
Modlitwę dzienną jak przez sen odmawia;
I wymieniwszy nasze trzy imiona :
« O biedne dzieci! » woła swym oprawcom.
Znów głucho... chwila ta jak wieczność długa!...
Cóś jękło; jęk ten odbił się w mém łonie;
Ku niemu ręce mimochcąc wyciągam,
I czuję na nich jakby łzy, kroplami :
Łzy ojca... Nie! on już nie płakał!...

FILIP.

Synu!

NEMOURS.

To była krew! to krew ojcowska, święta!
Zapomnieć? Powiedz to królowi zbójcy,
Co na méj skroni widział bez wzruszenia
Krew mojéj krwi powoli wysączoną!
Ja! nigdy. Słuchaj, czy zrządzenie boskie,
Czy moc obłędu, nie wiem; lecz co chwila,
W milczeniu nocném słyszę krok tętniący.
Podnoszę się ku niemu, znów upadam;
Okropna rosa czoło mi oblewa,
Na twarz mi spływa, z niéj na białą szatę,
Na pierś, ramiona, wszędzie krew mię broczy!
Nie, to nie obłęd, to głos krwi do Boga;
On nie zapomniał, mnie pamiętać każe :
Tą barwą mówi że do jéj pomszczenia,
Chrzest krwi męczeńskiéj z góry mię uświęca!
Mój ojcze! pokój tobie!

FILIP.

Dwór nadchodzi :
Do księcia; bądź ostrożny.

NEMOURS, ochłonąwszy.

Próżna trwoga;
Jam panem siebie przed obliczem wroga.

(wychodzi bocznemi drzwiami.)

FILIP, patrząc za nim.

Jeśli go wydam, głową wnet odpowie;
A jeśli milczeć będę...

DWORZANIN, zwiastując.

Król, panowie!

SCENA VII.

LUDWIK, FILIP, COITIER, OLIVIER LEDAIM, HRABIA DE DREUX, MIESZCZANIE, RYCERZE.

LUDWIK, do hrabiego de Dreux.

Nie igraj mi z tém hrabio, jak Bóg żywy!
Niech jeszcze raz usłyszę taką skargę,
Przed sądem staniesz; a gdy się przekonam,
Po rozgrzeszenie wyszlę cię do nieba.
Myśl więc najpierwéj o zbawieniu duszy;
Niech Bóg jéj święci! ciało, to rzecz moja :
Z niém się uprzątnę.

HRABIA DE DREUX.

Racz choć jedną chwilę
Posłuchać mię, Najmiłościwszy panie.

LUDWIK.

Ty lud mój gnębisz, królu bez korony!
Wyciskasz więcéj jak ja sam od niego!
Lecz lud a ja, to jedno; z nich ostatni,
To ja; król wszystkiém, gdy co król rozkaże,
Chcieć mniéj lub więcéj jest najwyższą zbrodnią.
Kto lud zarywa, mię samego krzywdzi;
Tyś to uczynił.

HRABIA DE DREUX.

Przecież...

LUDWIK.

Nie zaprzeczaj!
Wzbogacon czynszem który ja nakładam,
Za pięćset grzywien, bierzesz dwa tysiące
Od tych poczciwych mieszczan méj stolicy,

(wskazując na nich.)

Płacących szczodrze chęcią i podatkiem!
Patrz na mnie; czy mam cerę nieboszczyka?
Czym trup lub żywy? Patrzże na mnie!

HRABIA DE DREUX, drżący.

Królu...

LUDWIK.

Jam żwawszy niźli wam się wszystkim zdaje!
W źrenicy gniewnéj żar młodzieńczy błyska;
Choć chory, żyję. Kto z nas dwóch czerstwiejszy?
A choć podeszły, wielu z was pochowam.
Gdy ja panuję, rwiesz mi się do rządu?
Narażasz się na taką chłostę, hrabio,
Że o niéj myśląc truchlećbyś powinien.
Mój z Bożéj łaski, mój z następstwa tronu,
Mój rząd i moje państwo, bez podziału.
Wysoki owoc na twój wzrost i rękę :
Od ciebie większych ta pokusa zgniotła,
Jak stu lenników głowy ci powiedzą.
Mistrz Olivier mię widział w téj robocie?

OLIVIER.

Widziałem, królu, jakim dziś oglądam.

LUDWIK.

Liczniejsi, wyżéj czoła mi stawiali;
O, plon był krwawy i z cennego zboża!
Lecz ile razy który piął się w górę,
Tak blisko ziemi zciąłem kłos niesforny,
Że śladu nie ma kędy sierp go trącił.
Tak zginął Nemours; jeślim był zbyt ostry,
To dla przykładu. Tak i dziś postąpię :
A, masz ty synów?

HRABIA DE DREUX do Coitier, z cicha.

Wstaw się...

COITIER.

Już lekarza
Racz królu wygnać, lub miéj wzgląd ne siebie;
Gniew szkodzi zdrowiu.

LUDWIK.

Trochę się unoszę;
Lecz cóż: zdrów jestem, rzeźwy, głos mam silny.
Ów święty mąż pokrzepił mię spojrzeniem.

COITIER.

Mych usług już nie trzeba; lecz te groźby,
Te płonne krzyki, dla chrześcianina
Jak dla chorego, mało są zbawienne.

LUDWIK.

Ty śmiesz!

COITIER.

Tym głosem król mię nie zatrwoży;
Król zbłądził.

LUDWIK, gwałtowniéj.

Coitier!

COITIER.

Zbłądził, u mnie prawda.

LUDWIK.

Milcz!

COITIER.

Złe się stało, króla twarz blednieje.

LUDWIK.

Czyś pewien?

COITIER.

Tak jest.

LUDWIK, łagodnie.

Już cierpliwym będę.

COITIER.

Niech król zasłabnie, umrze, wszak mu wolno.

LUDWIK.

Czy jeszcze?

COITIER.

Niechże powie: « Ja tu rządzę. »

LUDWIK.

No, zgoda!

COITIER.

Przecież król jest samowładny;
Lecz o ratunek niech mię już nie dręczy.

LUDWIK.

Daj rękę!
(do hrabiego, niby spokojnie.)
Hrabio, zwróć im łup nieprawy,
Trzy dni masz na to: wyzwól się od miecza;
Inaczéj pewien że nie dbasz o głowę,
Ja zciąc ją każę, gładko i bez gniewu.
(do lekarza.)
Gniew zdrowiu szkodzi.

HRABIA DE DREUX.

Więc oddaję.

LUDWIK, do mieszczan.

Dziatwa!
Kto was tu broni od ciemięzców chciwych?
W nagrodę, z tego co wam hrabia zwróci,
Oddacie drobną część wiernemu słudze:
Pięćset talarów; on mi doniósł wszystko.

OLIVIER, z pokorą.

Mnie, królu?

LUDWIK.

Nie chcesz?

OLIVIER.

Skoro król tak sądzi,
Niech sąd się spełni.

LUDWIK, do lekarza.

A gdy ja cię proszę,
Czy nic nie przyjmiesz, ty nieznośny zrzędo?

COITIER, jeszcze trochę zadąsany.

Ochoty nie mam, aż po zapewnieniu
Że moim radom król ulegać będzie.

LUDWIK.

Masz je.
(do mieszczan.)
To nic, talarów dwa tysiące,
Gdy przytém dobry zdarza się uczynek.
Wszak prawda, dzieci? tyle mu spłacicie.
On dzień i noc nad waszym ojcem czuwa,
Majątku stróżem, waszych praw obrońcą.
Tak jeszcze przetrwam jakie lat dwadzieścia!
Żem odmłodzony niech się Paryż dowie:
Niech pije z wami za królewskie zdrowie;
W niedzielę Kwietnią, gdy nam dnia przybędzie,
Przy którym z mieszczan król do stołu siędzie.
Wracajcie z Bogiem!
(do hrabiego, idącego za niemi.)
Chodź tu!
(do lekarza.)
Jedno słowo;
Nie dwa.
(do hrabiego.)
Pan z Melun to przypłacił głową;
On też był hrabią. Bądź w usterkach rzadszy:
Już Trystan gotów i na ciebie patrzy.
Grzech jeden, kara jedna: miecz. Idź sobie.
(do Dworzan i Rycerzy.)
Com rzekł jednemu, ze wszystkiemi zrobię.

SCENA VIII.

LUDIWK, FILIP, COITIER, OLIVIER, RYCERZE, DWÓR.

OLIVIER.

Posłowie od Helwetów...

LUDWIK.

Niech odjadą.

OLIVIER.

Bez wstępu?

LUDWIK.

Precz ztąd ci republikanie!
Znieść ich nie mogę.

FILIP.

Wolność ich uznana
Sojuszem...

LUDWIK.

Wolność! dźwięk jałowy, wstrętny;
Ten stary wyraz wiecznie słuch mój razi.
Wiesz co to znaczy? nierząd i swawola!
Wolnymi chłopi, strzelce i koźlarze!
Ich kraj nie wart miesięcznych mych dochodów.

FILIP.

Umieją przecież bronić go z odwagą,
I książe Karol...

LUDWIK.

Jeszcze by mi trzeba,
Tak czas im drogi, do nich wstać przed świtem.
Patrz, ci górale! a na dumnych czołach,
Północnym wiatrem ziętych, co za zdrowie!

OLIVIER.

Gdzie tam! bywało że na pozór wątłe
Trwa dłużéj niż najtwardsze : ja umieram
Od lat dwudziestu, a na nogach stoję

LUDWIK.

Nieborak! Idźże, niech już mi te zbrojne
Pastuchy z rana do drzwi nie kołaczą.
Wolnymi! zgoda; lecz u siebie, w domu.
Niech się wyniosą. A co do Karola,
W ich sprawie bym wystąpił przeciw bratu?
Ja? nigdy w świecie; i to powiem w oczy
Hrabiemu Rethel, jeśli mię zagadnie.
(z cicha, do Oliviera.)
Zrób układ.

OLIVIER, podobnież.

Jakże?

LUDWIK.

Jak chcesz, byle prędko.
Daj co konieczne, nie szczędź przyrzeczenia.

OLIVIER.

Rozumiem.

LUDWIK, w głos.

Z niemi bądź uprzejmy, ludzki;
Na suty bankiet zaproś przed odprawą.
Straż moja szkocka chętnie ci pomoże.
(z cicha.)
Francuzkiém winem zjednasz ich do szczętu;
Wszak to Szwajcary.
(do lekarza.)
Dokąd waszeć leci?

COITIER.

Zapraszam się na ucztę.

LUDWIK.

Idź, pozwalam;
Lecz, przebóg! doktor niech mi zbyt nie hula!

COITIER.

Król za mnie ręczy, ręczę mu za króla.

LUDWIK, za odchodzącym.

Tyrani naszéj, swéj skłonności słudzy,
To są lekarze.

COITIER, wracając.

Tak jest; są i drudzy,
A których przecie król wysoko ceni,
Uczący postu, wstając od pieczeni.

LUDWIK.

Idźże!

SCENA IX.

CIŻ, oprócz OLIVIER i COITIER; późniéj MARYNIA.

LUDWIK, podchodząc do Filipa.

No cóż, ten hrabia?

FILIP.

Nieprzedajny.

LUDWIK.

To błąd!

FILIP.

Zaręczam.

LUDWIK.

Nie.

FILIP.

Lecz...

LUDWIK.

W to nie wierzę.

FILIP.

Odrzuca dary.

LUDWIK.

Dla korzyści większéj.

FILIP.

Jak zmusić do przyjęcia?

LUDWIK.

Dać co żąda.
Zręczniejszym będę; sam się z nim ułożę.
Niech przyjdzie.

FILIP.

Raczéj niech go król odprawi
Bez posłuchania.

LUDWIK.

Tego ja nie zrobię :
Nasz brat by sądził, że już leżę w grobie.
Idź po hrabiego.

SCENA X.

CIŻ, prócz FILIPA.

LUDWIK.

A, Marynia wreszcie.
Czyś uzbierała dość równianek w gaju?

MARYNIA.

Na moje żniwo każdy krzew się żali;
Ni jeden kwiat żyjący.

LUDWIK.

Oprócz ciebie.
Mów o pielgrzymie : czy w twéj obecności
Zmarłego wskrzesił? jaki cud widziałaś?

MARYNIA.

Żadnego jeszcze.

LUDWIK.

Miał zachować dla mnie
Najpierwszy dowód swéj cudownéj władzy;
Niech mię uzdrowi, więcéj nie wymagam,
Natręctwa bowiem Bóg i król nie znosi.
Idź, ty bogdanko, zanieś plon wiosenny
Bogarodzicy leśnéj, twéj patronce;
Za tobą rychło zdążę do kaplicy.
(dając jéj łańcuch złoty.)
A masz; to mój podarek.

MARYNIA.

Dla niéj saméj?

LUDWIK.

Dla ciebie.

MARYNIA.

Kłaniam.

(odchodząc postrzega i poznaje Nemoura wchodzącego z królewicem, Filipem, Złotém-Runem i Orszakiem.)

Ach!

LUDWIK, przypatrując się jéj.

Ten krzyk cóś znaczy.

(do Maryni.)

Wyjdź.

(siadając, na stronie.)

Trystan, baczność; dwór tu stanąć raczy.

SCENA XI.

LUDWIK, KRÓLEWIC, NEMOURS FILIP, ZŁOTE-RUNO, Rycerze francuzcy i burgundzcy.

NEMOURS, na przodzie sceny.

Zpragnione zemsty, w głos mi serce bije!
To on, król Ludwik! Boże mój, on żyje!

LUDWIK odczytawszy list wierzytelny, który Złote-Runo podaje mu klęczący.

Wstań, Złote-Runo!... masz zasiłek hojny.
Zkądże ta bladość, hrabio; bądź spokojny.

NEMOURS.

Ja trwogi nie znam; zgroza mię owiała;
Bo zażalenia które ci przynoszę,
Są takiéj treści, że nim je wypowiem,
Na gniewniéj skroni same się zwiastują.

LUDWIK.

O cóż się żalisz?

NEMOURS.

Zleca mię do ciebie
Burgundzki władca i udzielny książe,
Prześwietny Karol, pierwszy pan królestwa...

LUDWIK.

Znam wszystkie państwa lenne méj koronie;
Do rzeczy, hrabio.

NEMOURS.

Więc do ciebie, królu,
Pokrewny księcia rodem i przymierzem,
Ja z pełnomocą jego tu wysłany,
Zanoszę skargę i naprawy żądam:
Żeś mimo przysiąg i wzajemnéj wiary
Przeciwko niemu podjął spór kantonów;
Że jawną pomoc dajesz ich buntowi,
Podżegasz nawet; a gdy ci powstańce
Wyzwanie wojny śmiało nam rzucają,
Ich przewodnikom zamek twój otwarty.

LUDWIK z żywością.

Jam ich nie przyjął, widzieć ich nie będę;
Cóż daléj?

NEMOURS.

Świadczę, iż dwaj najezdnicy,
Chabanne i Brancas, wśród powszechnéj zgody,
Z proporcem białym twierdzę nam wykradli;
Że mimo ślubów które król Walezy,
Król chrześciański, zawarł przed ołtarzem,
Ci podli tchórze, siłą i bezprawiem
Zdobytą kradzież w ręce mu wydali.

LUDWIK.

Ten ich postępek woli méj przeciwny;
A więc nagana do nich się odnosi.

NEMOURS.

O dowód proszę.

LUDWIK.

Zgoda.

NEMOURS.

Lecz stanowczy,
Niezwłoczny.

LUDWIK.

Jaki?

NEMOURS.

O skarcenie winnych.

LUDWIK.

Jak na rozjemcę, masz niegiętką duszę;
Nim ich osądzę, wprzód wysłuchać muszę.

NEMOURS, popędliwie.

W Ludwika dłoni zawsze miecz gotowy,
Za mniejsze winy zciął zacniejsze głowy.

LUDWIK, powstając.

Co, jakie?

NEMOURS.

Znasz je; gdy cię sądzić będzie
Bóg, na świadectwo, z trumny je dobędzie.

LUDWIK.

Mam w ręku twoją.

NEMOURS.

Rzuć ją w ręce kata;
Śmierć moja niczém po skrzywdzeniu brata.

FILIP.

Milcz.

LUDWIK, siadając.

Poseł księcia godnie go przedstawia,
W nim Karol Hardy żywcem się pojawia.
To mi przyznacie.

(do Nemoura.)

Dokończ.

NEMOURS.

Bez obawy,
Cobądź wypadnie dla mnie, lub méj sprawy.
Słuchajcie zatém, ty Walezych synu,
Wy, cni rycerze, wy, ojcowie gminu,
Wy, których tarcze, nie cierpiące skazy,
Na królach nawet mściły cień urazy,
Mój pan, za krzywdy, które tu podnosi,
Słuszności żąda; lub przezemnie głosi,
Że w imie Boga, w imie praw narodu,
Przy lwie burgundzkim staje do zawodu
Za wszelkie ziemie z jego rąk wyrwane,
Tytułem lenna dawniéj mu przyznane;
Że z homagialnych przysiąg się wyklina,
I węzeł z Francyą mieczem swym rozcina;
Że wyłamując lud i kraj z poddaństwa,
Mścicielem zwie się krwi naczelnych państwa
Przelanéj zdradą; że ich sprawy święte
Jak jego własna przezeń są podjęte:
Że w boską pomoc i swą dłoń zawierza,
Dłoń samowładcy, wodza i rycerza,

Gdy tém wyzwaniem pychę twą ukróca,
I rękawicę w zakład słów ci rzuca!
Kto ją podniesie?

KRÓLEWIC, zrywając się i podnosząc.

Ja za króla staję!

WSZYSCY RYCERZE.

Ja, ja!

LUDWIK, stojący.

Wy wszyscy! syn wam przykład daje!
On ledwie dzieckiem, was wyprzedzi w polu.
To krew Walezych... Dobrze, mój Karolu!

KRÓLEWIC, z uczuciem.

Ach, ojcze!

LUDWIK, oziębłe.

Dość już.
(do Złotego-Runa.)
Weźże, to rzecz święta,
(wskazując na królewica.)
I uzacniona, gdy tą dłonią zmięta.
(do Nemoura.)
Zdaj księciu zakład, jako nasz poddany;
Bo gdybym wątpił żeś był obłąkany,
Gdyś mnie śmiał rzucić tak zelżywe słowa,
Z tą rękawicą spadłaby twa głowa.
Ja cenię męztwo, nawet gdy szalone.
(do Rycerzy.)
Niech nikt nie bierze moich praw obronę!
On mnie ubliżył; ztąd niech każdy sądzi,
Czy król swém czuciem po królewsku rządzi.
(do Nemoura.)
Twą skargę chowam; wspólnie rzecz ułożym;
Ten dzień nas łączy przed ołtarzem bożym,
Błogosławieństwem kapłan nas uświęci;
Twój błąd zapomnę, mając mój w pamięci.

NEMOURS, wychodząc.

Z pogodną myślą i otwartém czołem,
Choćbym miał zginąć, spełnię co zacząłem.

LUDWIK skinieniem ręki żegnając wszystkich, Trystana zatrzymuje w głębi; późniéj do Filipa.

Ty, zostań przy mnie.

SCENA XII.

LUDWIK, FILIP, TRYSTAN w głębi.

FILIP.

Więc daremna rada;
To posłuchanie na złe nam wypada.

LUDWIK.

Rad słucham ludzi których gniew poruszy:
Bo prędzéj, pewniéj zajrzę w głąb ich duszy.
Z Karolem pokój da nam korzyść jasną;
On wnet się zgubi swą hardością własną.
Zastępca godny, pierwszy łotr w potrzebie,
Za worek złota sprzeda go i siebie:
Włoch Campo-Basso wszelkich zdrad się czepia.
Nasz brat mu wierzy, pycha go zaślepia:
Już raz, pod Morat, Bóg ją skarcił srodze,
Niech sam go wstrzyma na téj zgubnéj drodze.
(po pauzie.)
Lecz syn mój...

FILIP.

Dzielny! co za duch, odwaga!
Nadzieja tronu! niech mu Bóg pomaga:
W imieniu króla ja mu dzięki złożę.

LUDWIK.

Idź... zbuntowany, groźnym stać się może.

FILIP.

Kto, książe?...

LUDWIK.

Zdawna mi sumienie woła
Co przeciw ojcu syn królewski zdoła...
Lecz powiedz mi, ten hrabia zna Marynię?

FILIP, zdziwiony.

On?

LUDWIK, z naciskiem.

Zna podobno.

FILIP, zmięszany.

Gościł w méj rodzinie,
Gdym był przy królu.

LUDWIK.

Daléj!

FILIP.

Wiem, z niepewna,
Że poznał ją.

LUDWIK.

Więc kocha... może krewna?

FILIP.

Nie, chociaż obcy, godnym był przyjęcia.

LUDWIK.

A tyś uwierzył że nie zdradzi księcia!
Idź do komnaty, układ masz na stole;
Dla bezpieczeństwa, ja twój podpis wolę.

FILIP.

Odstąpię króla?

LUDWIK.

Czyń co ci powiadam!
(patrząc za nim.)
Od niego nic, od córki wszystko zbadam.

SCENA XIII.

LUDWIK, TRYSTAN.

LUDWIK.

Chodź!

TRYSTAN.

Jestem.

LUDWIK.

Bliżéj.

TRYSTAN.

Więc tu?

LUDWIK.

Jeszcze krokiem.

TRYSTAN.

Głos cichy króla ja dopełnię wzrokiem.

LUDWIK.

Wiesz, téj gadzinie jam przebaczył dumnie.

TRYSTAN.
Na dobre?
LUDWIK.
Tak jest.
TRYSTAN.
Zatém to rozumnie.
LUDWIK.
Układam się.
TRYSTAN.
Doprawdy?
LUDWIK.
To cię dziwi?
TRYSTAN.
Król nieomylny; któż mu się sprzeciwi!
LUDWIK.
Potęgę księcia jeśli los ukróci
Stanowczą klęską... niech ją Bóg odwróci!
TRYSTAN.
Ja zaś mu życzę by jéj nic nie brakło.
LUDWIK.
Zły jesteś Trystan; aż ci lice zblakło.
Lecz jeśli Bóg tak chce...
TRYSTAN.
Bądź jego wola.
LUDWIK.
Zmuszony traktat przesłać do Karola,
Czy to przezornie?
TRYSTAN.
Krol odebrać może.
LUDWIK.
A prawo ludów? Nic tu, nic: broń Boże!
TRYSTAN.
Jak zniszczyć pismo przez hrabiego wzięte?
LUDWIK.
Ja straż mu przydam, świetną, na zachętę.
TRYSTAN.
By uczcić posła?
LUDWIK.
Tak jest; ja, król jego,
Jak mówisz, Trystan, uczcić chcę hrabiego.
TRYSTAN.
Kto nią dowodzi?
LUDWIK.
Ty, aż po za krajem.
TRYSTAN.
Ja!
LUDWIK.
Sam ją zbierzesz.
TRYSTAN.
Jakże?
LUDWIK.
Twym zwyczajem.
TRYSTAN.
Więc, z ludzi tęgich?
LUDWIK.
I pojętnych.
TRYSTAN.
Zgoda.
LUDWIK.
Dwakroć liczniejszych niż burgundzka trzoda.
TRYSTAN.
Dla czci.
LUDWIK.
A kto wie?... Dzwonią na pacierze?
TRYSTAN.
To Anioł pański.
(Ludwik odkrywa głowę do modlitwy; Trystan podobnież.)
LUDWIK po pacierzu, zbliżając się do Trystana.
Kto wie... ci rycerze
Są dumni.
TRYSTAN.
Pyszni.
LUDWIK.
Możesz więc na drodze,
Gdzieś tam, pod lasem, być zelżonym srodze.
TRYSTAN.
Już jestem.
LUDWIK.
Broń się!
TRYSTAN.
Rękę miecz wyrabia.
LUDWIK.
Odbierasz układ.
TRYSTAN.
Trzymam już... a hrabia?
LUDWIK.
Nie pojął wcale. Skorszym cię mniemałem.
TRYSTAN, z uśmiechem.
Więc mam...
LUDWIK.
Bądź zdrów, kolego.
TRYSTAN.
Zrozumiałem.

AKT TRZECI.

Dąbrowa; po jednéj stronie kaplica Najświętszéj Panny leśnéj, drzwi ze schodami w stylu wieśniaczym; po drugiéj, ławka pod dębem.

Na przodzie sceny, zabawa wiejska; taniec do koła z muzyką i śpiewami.

SCENA I.

MARCYŚ, RYSZARD, DEZYDERY, MARCYSIA, WIEŚNIACY, ŻOŁNIERZE, KRAMARZE i t. d.

MARCYŚ, śpiewając.
Daléj, chłopcy! ręka w ręku,
Przy fujarce i bębenku,
Wszyscy w pląs do koła drzew;
Hej, dziewoje!
Niech oboje
Biją miarę, wtórzą śpiew!

Nim dzionek uleci,
Ojcowie i dzieci
Zapomną co troska i ból;
Dla naszéj opieki,
Niech żyje na wieki
Niech żyje kochany nasz król!

MARCYSIA, podchodząc.

Czy zdrowszy?

MARCYŚ.

Gdzie tam! doktór tak powiada.

MARCYSIA.

Król długo ciągnie.

MARCYŚ.

Nie zła to posada,
Więc jéj się trzyma.

RYSZARD.

Skarbnik nas obdziera,
A jego zdrowie cały skarb zabiera.

DEZYDERY.

I coraz cięższe trza mu płacić grzywny.

MARCYŚ.

Od zabaw nawet... to podatek dziwny!
Czy to uczciwie zmuszać mię do śmiechu?

MARCYSIA.

Dla siebie tańczyć, toć nie dużo grzechu:
Lecz za rozkazem!

DEZYDERY.

Gdy strach w nogi dmucha!

RYSZARD.

Pańszczyznę wolę.

MARCYŚ.

Ciszéj, wiatr cię słucha!
(śpiewa.)

Daléj, chłopcy! ręka w ręku,
Przy fujarce i bębenku,
Wszyscy w pląs do koła drzew;
Hej, dziewoje!
Niech oboje
Wtórzą raźno gromki śpiew!

My z królem, on z nami!
Tańcujmy parami
Bez szpiegów, dozorców i wart:
Nasz miecznik niech żyje,
Co ściska za szyję,
I każe nam bujać, na żart!

DEZYDERY, do Marcysia.

Ot, idą Szkoci.

KRAMARZ.

Nu, Wielmożny panie,
To nie za darmo!

MARCYŚ.

Zwędził cóś w straganie.

PIERWSZY SZKOT, do kramarza.

Nic nie dam.

KRAMARZ.

Choć połowę.

SZKOT.

Ani ćwierci.
W gorącéj smole piekłbym się po śmierci:
Uciekaj, żydzie!

DRUGI SZKOT, do Marcysi.

Stój, dziewico gniewna!

MARCYŚ.

To moja żona.

SZKOT.

Więc i moja krewna;
Dam jéj całusa.

MARCYŚ, zdejmując czapkę.

Dla mnie zaszczyt wielki.

SZKOT.

Daninę wdzięków płacą nam Angielki,
Ja od niéj wezmę; jutro was odwiedzę.
(przechodzą.)

MARCYŚ.

Przeklęte Szkoty! w domu nie dosiedzę.

MARCYSIA, wycierając policzki.

Nic dłań świętego.

DEZYDERY.

Większe z nich szkódniki
Niż grad, zawieja, lub królewskie dziki.

RYSZARD.

Sięczże przy pracy, zwoź dojrzałe plony,
By z gniazd zamczyska, te wpół nagie wrony
Spadały na cię jak piekielne jędze,
Za sobą niosąc ucisk, żal i nędzę.

MARCYSIA.

Huberta młodą córkę już napadli.

RYSZARD.

Mój syn oślepnie.

MARCYŚ.

Mnie dwie owce skradli!

DEZYDERY.

Niech czarci wezmą to zamorskie licho,
I jeszcze kogoś.

MARCYŚ.

Mistrz Olivier! cicho!
Do tańca rzędem!
(śpiewa.)

Daléj, chłopcy! ręka w ręku,
Przy fujarce i bębenku,
Wszyscy w pląs do koła drzew;
Hej, dziewoje!
Niech oboje
Wtórzą raźno...

SCENA II.

CIŻ, OLIVIER.

OLIVIER.

Dobrze, jak Bóg żywy!
Sam król rzeźwiejszy kiedy lud szczęśliwy.

MARCYŚ.

Jegómość widzi że się bawim skocznie.

OLIVIER.

Jam o tém chciał przekonać się naocznie.
Ja kocham lud.

MARCYŚ.

Bóg zapłać.

OLIVIER.

Ja go cenię.

MARCYŚ do żony, z cicha.

On z niego wyszedł.

MARCYSIA.

Milcz.

OLIVIER.

Mam polecenie
Zachęcić was do pląsów; król to lubi.
Jak własném szczęściem, on się waszém chlubi.

MARCYSIA.

Pod chłodem jakoś wzięliśmy się w pary,
A nikt nie siędzie, choć kaleka stary;
Bo miecznik nam rozkazał przez posłańca
W południe samo zabrać się do tańca.

RYSZARD.

I pod aresztem.

MARCYŚ.

Ba! gdy Trystan każe,
Po cichu nawet mruknąć się nieważę;
Nie jeden za to... więc nim dzień ochłodnie,
My się radujem chętnie i swobodnie.

OLIVIER.

To pięknie.

MARCYSIA.

Z całéj duszy.

OLIVIER.

Przy pogodzie,
Król może zechce spocząć w téj zagrodzie.

DEZYDERY.

Król!

OLIVIER.

Przyjdzie do was.

MARCYŚ.

Dziś!

OLIVIER.

I z pełną dłonią.

Cóż ci jest?

MARCYŚ.

Radość... aż mi zęby dzwonią.

OLIVIER.

Cóż mu powiecie gdy was król zapyta?
Bo wam nie wolno poznać go z kopyta.

MARCYŚ.

Jam przez dwie kraty raz go widział z boku,
Gdyśmy tańczyli na zamkowym stoku.
Gdy mówię żem go widział, zbyt się chwalę;
Jam chciał go widzieć, lecz nie mogłem wcale:
Król to jak słońce, strach się mózgu czepia,
I jakiś urok oczy ci zaślepia.

OLIVIER.

Ztchórzyłeś?

MARCYŚ.

Nigdy; lecz mię skropił w ciemię
Tak silny respekt, żem aż padł na ziemię!
Ryszardzie, mów ty...

RYSZARD, do Dezyderego.

Ty!

MARCYSIA.

Ja gadać będę:
Nie ztchórzę.

OLIVIER.

Wszyscy. Puścić się w gawędę
Rubaszną, jak to na wsi; zwrotką rzutną
Pocieszyć serce.

MARCYŚ.

Więc mu w sercu smutno?

OLIVIER.

Ej, nie. Powtarzać, że ma silne zdrowie.

MARCYSIA.

Więc chory?

OLIVIER.

Kłamstwo! Niech mu każdy powie
Co tylko myśli.

MARCYŚ.

Wszystko?

OLIVIER.

Bez wyboru.

MARCYŚ.

Ja się użalę na szarańczę dworu.

MARCYSIA.

Ja na straż obcą.

DEZYDERY.

Na łowieckie sieci.

RYSZARD.

Ja na podymne.

WIEŚNIAK.

Ja zaś...

OLIVIER.

Hola, dzieci!
Zkąd wam ta śmiałość?

MARCYŚ.

To przymówki trocha,
Ja myślę...

OLIVIER.

Myślisz, że was bardzo kocha.

MARCYŚ.

Tak jest.

OLIVIER.

Wy jego.

MARCYŚ.

Słusznie.

OLIVIER.

To wasz ojciec.

MARCYŚ.

Któż o tém wątpi?

OLIVIER.

Ztąd mi łatwo dociec
Że tak myślicie.

MARCYŚ.

Szczerze.

MARCYSIA.

Bez ogródki.

OLIVIER.

Więc mówcież prawdę! ręczę wam za skutki.

WSZYSCY.

Wierzymy.

OLIVIER.

Oto król z pustelni schodzi.

MARCYŚ.

Ten blady starzec!

OLIVIER.

Z wami się odmłodzi.

MARCYŚ.

Daj Boże!

OLIVIER.

Śpiewać.

MARCYŚ, stłumionym głosem.

Daléj, chłopcy! hej, dziewoje...
Lecz Trystana ja się boję...

OLIVIER.

Raźno i wesło!...
Śpiewajcież chórem, i do tańca w koło.

MARCYŚ, z chórem.

Daléj, chłopcy! ręka w ręku,
Przy fujarce i bębenku,
Wszyscy w pląs dokoła drzew;
Hej, dziewoje!...
Znów się boję:
Strach mi w klątwę zmienia śpiew!

SCENA III.

CIŻ, LUDWIK, kilku SZKOTÓW w głębi.

W ciągu téj sceny i następnych, Trystan z Crawfordem kiedy niekiedy się zjawia, niby czuwając nad królem.)

LUDWIK postępując zwolna, i padając na ławę.

Tu, chłód wiosenny pot mi z czoła zetrze.
Za młodu lżejszém było mi powietrze:
Swiat się zestarzał.

OLIVIER, wskazując na Wieśniaków.

Z dziatwą król pogada;
Nikt oprócz mnie go nie zna.

LUDWIK.

Dobra rada.

OLIVIER.

Pomówcie z panem.

LUDWIK, do Marcysi.

Ty, gosposiu młoda.

MARCYSIA.

Czém służyć mogę?

LUDWIK.

Świeża jak jagoda.
Co też ty robisz, by mieć takie wdzięki?

MARCYSIA.

Co?

LUDWIK.

Powiedz szczerze.

MARCYSIA.

Ja? nic, Bogu dzięki.
To skutek zdrowia. W szczęściu lub niedoli,
Musim je przyjąć jak nam Bóg pozwoli;
Bez naszych starań samo się rozwinie,
Jak w polu kwiaty, żołądź na dębinie.
A przytém gdzie czas by się trudzić o to?
Gdy kur zapieje, każdy wnet z ochotą
Z motyką, z pługiem, jak tam gdzie i komu,
Wybiega w błonie, a kobieta w domu
Około trzody chodzi, lub kurnika.
Apetyt czerstwy jaki ztąd wynika,
Najchudszy pokarm zmiena w kęs królewski.
Kto wstał o świcie, ten choć gołe deski
Ma za posłanie, jak na puchu zaśnie;
A że nie grzeszył, zmora go nie draśnie.
Jest i niedziela; gdy deszcz nie przeszkodzi,
To jakieś święto znowu się obchodzi.
Sumienie czyste, i najprostsza strawa,
Sen twardy, trzeźwy, to są nasze prawa.
Tak dzień po drugim, rok upłynie skory,
Lat nam przybędzie, a nikt nie był chory.

LUDWIK.

Więc nigdy smutku?

MARCYSIA.

Ba! człowieka życie,
To jeden plenny, na trzy kłosy w życie,
Lub dzień pogody, na trzy dni zamieci:
Wybierać trudno, trzeba żyć dla dzieci.
Dla nich pracujem, by za chleb i zdrowie
Chwaliły Boga, jak my dziś ojcowie;
Grad i urodzaj, smutek i wesele,
To wszystko z niego, nie trza chcieć za wiele.

LUDWIK.

Dla was uciecha, dla nas ciągłe znoje.

MARCYSIA.

O naszych myśląc, pan zapomni swoje.
Gdy chleb zdrożeje, dla was to rzecz marna:
Ja, przy kądzieli, śniąc rachuję ziarna,
Czy dla mych dziatek jutro nie zabraknie;
A przecie śpiewam, kto śpiewając łaknie?
Przednówek w marcu, dla nas to sąd boski;
Kto mężnie cierpi, ten przemaga troski.
Choć każdy skomli, wy, jak ludzie prości,
Najbiedniejszemu jeszcze ktoś zazdrości:
Gdzie nędza wspólna, nie masz tam nędzarzy;
A jeśli większy smutek mi się zdarzy,
Tém się pocieszam, że są mniéj szczęśliwi,
Ułomni, ślepi, lub z dzieciństwa krzywi.

MARCYŚ.

Brat za rok dłużny, ja za jeden kwartał;
Więc u mnie korzyść, choć on więcéj wartał.

LUDWIK.

Lud ze wszystkiego szczęście swe wyrabia.

OLIVIER.

To szczęście chłopskie.

MARCYŚ.

Jużci, żem nie hrabia;
Nie zajrzę drugim, własne mi wystarcza.

OLIVIER.

Każdego przecież jakiś trud obarcza;
Was także.

LUDWIK.

Rożne w życiu są przygody,
Więc i lekarze.

MARCYŚ.

Tak, dla naszéj trzody;
Dla nas, broń Boże!

LUDWIK.

Czemu?

MARCYŚ.

My nie głupi;
Gość nie wyleczy, a pieniądze złupi.
Ja, za nic płacić? gdzie tam; lepsza rada
Beczułkę wina kupić u sąsiada;
I gdy zażywam to lekarstwo boże,
Nasz organista lepiéj mi pomoże
Niż ten półmędrek, co cię truje kwasem,
Nadzieją łudzi; aż tu śmierć za pasem:
Jak trzaśnie...

LUDWIK, zrywając się.

Bałwan.

MARCYŚ.

Żebrak czy bogaty,
Dług spłacić musi, skoro dzien wypłaty;
Z nią krótka sprawa: kosą brzuch przewierci.

LUDWIK, stojący.

Ty nie drżysz przed nią?

MARCYŚ.

Myśląc o méj śmierci,
Jak inny, sądzę, trząsłbym się z bojaźni;
Lecz na cóż myśleć o tém co mię drażni?
Gdy proboszcz o niéj prawi na kazaniu,
O pszczółkach marzę, lub o winobraniu;
Lub sobie z cicha mówię, przy nieszporze:
Nasz Marcyś piękny jak dzieciątko boże;
Rok w rok wyrasta, mnie dziś, jemu jutro.
Na dobrą strawę i porządne futro
Chce mu zarobić, a sam sobie skąpić;
Bo kiedyś przecie musi mię zastąpić...

LUDWIK, gniewnie.

Lecz jak najpóźniéj.

MARCYŚ.

Zgoda.

OLIVIER.

Niech poczeka.

MARCYŚ.

Zabrnąłem.

OLIVIER.

Nieuk, na lekarzy szczeka!

MARCYŚ.

Psu wolno szczekać, kiedy śpi zagroda;
Toć każdy na wsi wie co golibroda.

LUDWIK śmieiący, trącając Oliviera.

A mości radco, na tém znać się musisz
Z urzędu.

MARCYŚ.

Cha, cha!

OLIVIER.

Czemu ty się krztusisz?

MARCYŚ, śmiejąc się.

Ja? ten Jegómość wyrzekł cóś wpół żartem,
Ztąd śmiech.

LUDWIK.

Szatana zwiecie go bękartem,
Wszak prawda?

MARCYŚ, z żywością.

Nie.

LUDWIK.

Mój drogi!

MARCYSIA, do męża.

Stul mi zęby.

LUDWIK.

No, przyznaj się!

MARCYSIA.

Gdy wiatr oba'a dęby,
Owoce strząsa lub stodołę zrywa,
Gdy pod ulewą wino się rozpływa,
Ulewę, wicher, możesz kląć do woli;
Lecz was? daj pokój, lub cię grzbiet zaboli.
Co tylko szepniesz dojdzie wam do ucha;
I śmiech dzisiejszy, jutro w płacz wybucha.

OLIVIER.

Lecz gdyby kto z nich kląl na króla swego,
Ty byś doniosła?

MARCYŚ.

Bodaj nie...

LUDWIK.

Dla czego?

MARCYŚ.

Nie szczęści ludziom pieniądz tak zebrany.

OLIVIER.

Ty śmiesz...

MARCYŚ.

Urokiem giną ci barany,
Sniedź kłosy łamie, nic ci się nie wiedzie.
Ot, wójt klasztorny doniósł o sąsiedzie;
Nazajutrz, grad mu wszystko zciął na trawę:
A z kościelnego przecież miał dzierżawę.

OLIVIER.

Ciemięga!

MARCYŚ, obrażony.

Przy mnie piorun śmierć mu zadał!
Niech Ryszard powie.

RYSZARD.

Tak!

LUDWIK, surowo.

Zbyt późno gadał.

MARCYŚ.

Być może, zresztą. Boże zbaw człowieka!
Bo na cóż pieniądz, gdy cię piekło czeka?
Toć serce mdleje, gdy na cmętarz ku mnie
Skąpego wiozą: świece, kir na trumnie,
Żałobne śpiewy; wnet pomyślę sobie:
Przeklęte duchy stoją tam, przy grobie,
Do piekła wtrącą, a majątek trupi
Z pazurów czarta duszy nie wykupi.

LUDWIK.

Ztruchlałem.

OLIVIER, do Marcysia.

Bredzisz!

MARCYŚ.

Prawda! to z nałogu;
Lecz jam nie zbójca, mam nadzieję w Bogu.

LUDWIK, gwałtownie.

Idź precz!

MARCYŚ.

Czym skrewił? czegóż on się lęka...

OLIVIER.

Gbur, gawron...

LUDWIK, na stronie.

Piekło, śmierć, wieczysta męka!
Cudowna Matko, powiedz mu, że kłamie!

(do Marcysia, trząsając mu ręką)

Idź precz... Nie, wracaj: kto cię uczył, chamie,
Tak do mnie gadać?

MARCYŚ, na kolanach.

Nikt!

LUDWIK.

Kto ci zapłacił?
Mów zaraz!

MARCYŚ.

Bodaj życie bym utracił.

MARCYSIA.

U niego pleść od rzeczy, to z niechcenia,
Z prostoty.

MARCYŚ.

Z głupstwa, słusznie mię ocenia;
Spytajcie wszystkich: zna mię całe miasto.

LUDWIK.

Śmiech mię rozbroił. To twój mąż, niewiasto?

MARCYSIA.

Człek pracowity, a wesoły zawdy,
Uczciwy Marcyś, kocham go.

LUDWIK.

Doprawdy?
Uczciwy Marcyś, kocham go... to stare.
On mię obraził; wylicz mu za karę,
Twych ulubieńców.

MARCYSIA.

Mnie się to nie trzyma.

LUDWIK.

Co, z tym rumieńcem, twarzą i oczyma?
Choć dwóch; no, pomyśl: już się udobrucham.

MARCYŚ.

Wyśpiewaj wszystkich, Marciu, ja nie słucham.

MARCYSIA, z uśmiechem.

Jest jeden.

LUDWIK.

Kto!

MARCYSIA.

Jegomość.

LUDWIK, oburącz ją ściskając.

Ja?

MARCYSIA.

Nie z bliska!

LUDWIK.

Od starca stronisz?

MARCYSIA.

Kto wie, to rzecz ślizka.

LUDWIK.

Mnie możesz ufać.

MARCYSIA.

Sama bym nie chciała;
Wzrok bystry.

OLIVIER, z cicha.

Dobrze!

MARCYSIA.

Pleć jędrnego ciała.

LUDWIK.

Czy tak?

MARCYSIA.

Z nim każda musi być ostrożna.

OLIVIER, z cicha.

Wybornie.

LUDWIK.

Myślisz?

MARCYSIA.

I to życzyć można,
By doń podobny twarzą i wymową,
Nasz król, na starość, tak wyglądał zdrowo.

LUDWIK.

A cha!

MARCYSIA.

Dla dzieci pewny chleb na grzędzie;
Jegómość silny, do stu lat żyć będzie.

LUDWIK.

Do stu! Ty kochasz króla?

MARCYSIA pokazując z tyłu sakiewkę Wieśniakom, wsuniętą jéj do ręki przez Oliviera.

To pytanie!
Kochamy wszyscy!

WIEŚNIACY.

Wszyscy!

MARCYSIA.

My włościanie,
Jak Francya wielka, modlim się za króla.

LUDWIK, z rzewnością.

No, cóż?

OLIVIER.

Ich szczerość do łez mię rozczula.

LUDWIK, do Marcysi.

Król cię całuje za swój lud i ziemię.

MARCYSIA.

To król?

WIEŚNIACY.

Niech żyje!

MARCYŚ.

On, i syn, i plemie,
Po wszystkie wieki!

LUDWIK.

Głos tych zacnych ludzi,
Aż w serce wnika.

OLIVIER.

Bo się w sercu budzi.

LUDWIK.

Dziękuję wam za Francyę i za siebie.

(do Marcysi.)

Sto lat żyć będę! Za to, jak Bóg w niebie,
Ozłocę dom twój. Bierzcie te czerwieńce;

(do Wieśniaków.)

Za moje sto lat, starce i młodzieńce,
Sto beczek macie.

MARCYŚ.

Krzyk podniesiem ciągły
Za zdrowie króla! Ja ten trzos okrągły
Pokażę wszystkim.

MARCYSIA.

A ja się pochwalę,
Że dwa całusy król mi dał wspaniale.

SCENA IV.

LUDWIK, OLIVIER.

LUDWIK, wzruszony.

Jak lud mię kocha!

OLIVIER, z zapałem.

Wściekle!

LUDWIK.

Sto lat zdrowia!

OLIVIER.

Wieśniacze wróżby często się sprawdzają.

LUDWIK.

Ty drwisz.

OLIVIER.

Bynajmniéj.

LUDWIK.

Ja w sto lat niewierzę;
Choć mój astrolog liczbę tę poświadcza.

OLIVIER.

To znak.

LUDWIK.

Szczególny.

OLIVIER.

I to właśnie w chwili
Gdy ten pustelnik święty nas odwiedza.

LUDWIK.

Jak z nieba nam zesłany.

OLIVIER.

Ani wątpię.

LUDWIK.

Sto lat!... o jakie pięć lub sześć różnicy...
Lecz niechbym żył już jedną nogą w grobie,
Ja muszę widzieć mych wassalów dumnych,
Ciemięzców kraju, spadłych aż do rzędu
Tułaczych książąt, panów bez zagrody,
Z rozdartym wieńcem nad stłuczoną tarczą;
Ja muszę widzieć ich dziedziczne lenna
Z koroną znów spojone w jedno ciało,
Gdzie wszystko ludem... prócz samego królą.

OLIVIER.

Daj Boże!

LUDWIK.

Karol wciąż mi czynił wstręty;
Niech ołowiana trumna go pochłonie,
Zapewniam cię że cały ród książęcy
Burgundzkich władców, spocznie z nim na wieki;
Że nigdy z niemi tron mój lennodawczy
O cześć królewską sporu mieć nie będzie.
Lecz żyje, więc poczekam. Hrabia Rethel,
Mąż nieskażony, jak mi ojciec ręczy,
Nie widział się z Marynią?

OLIVIER.

Nie, podobno.

(wskazując na otwartą kaplicę.)

Tam jest.

LUDWIK.

A, prawda.

OLIVIER.

Modli się za króla.

LUDWIK.

Co, tak żarliwie? O królestwo z tobą
Ja się zakładam że to za kochanka.

OLIVIER.

Jeżeli wygram, stawkę wziąść nie łatwo,
Jak dzieje świadczą; a w przeciwnym razie...

LUDWIK, nie spuszczając jéj z oka.

Tajniki dziewcząt trudne do zbadania;
Lecz mnie się nie wykręci.

OLIVIER, odchodząc krokiem.

Więc zawołam...

LUDWIK.

Przygotuj służbę do uroczystości.

OLIVIER.

Już dwór w klasztorze; na przysięgę wspólną
W kapłana ręce, zejdzie tu niebawem.

LUDWIK.

Niech się przekona ów posłaniec boży
Że pragnę święcie zgody i pokoju;
Że serce króla wyższe nad obelgi.

OLIVIER.

Czy na relikwie złoży się przysięga?

LUDWIK, z cicha.

Skarbonę srebrną wolę, bez relikwii.

OLIVIER.

Ja też.

LUDWIK.

Ten skrupuł zda mi się konieczny.
Karola znając, muszę mieć obawę
By wiarołomstwem onych nie znieważył.

(Słychać okrzyki: « Niech żyje Królewic! »)

Cóż to?

OLIVIER.

Królewic zdąża tu gościńcem:
Lud za nim tropi.

(Okrzyk się powtarza.)

LUDWIK.

Jeszcze? gwar nieznośny!
Dopiero dla mnie, teraz dla następcy!
On nie jest królem. Idź, niech się uciszą.

(Olivier wychodzi.)

Mój syn!

SCENA V.

LUDWIK, KRÓLEWIC.

LUDWIK.

Cóż tobie? łza ci z oczu spływa!

KRÓLEWIC.

To łza radości. Kogóż nie poruszy
Ten krzyk serdeczny? Po raz pierwszy czuję
Jak słodko być kochanym.

LUDWIK.

Jutro w drogę
Ztąd się wybierzesz.

KRÓLEWIC.

Ja?

LUDWIK.

Pochwalne głosy,
Dla serc młodzieńczych, książe, są trucizną.
Zbyt się nadymasz: tyś jest niczém.

KRÓLEWIC.

Prawda.

LUDWIK.

Te gminne wrzaski czynią cię szczęśliwym?
Za marny szeląg z góry mu rzucony,
Lud lada komu krzykiem się wywdzięcza;
Przyjęcie huczne które cię spotkało,
Jam je zamówił, jam zapłacił hojnie.

KRÓLEWIC.

O Boże! więc to wszystko za rozkazem?

LUDWIK.

Za moim.

KRÓLEWIC.

Myśl ta serce mi zasępia.

LUDWIK.

Byś lepiéj mógł skorzystać z téj nauki,
Podumasz o niéj w Amboise.

KRÓLEWIC.

Cóżem zrobił?

LUDWIK.

Co śmiałbyś zrobić, gdybyś mógł?

KRÓLEWIC.

Niestety!
Nie mogę nawet ojcu się podobać,
Choć za to szczęście dałbym krew i życie;
Lecz...

LUDWIK.

Mówże?

KRÓLEWIC.

Nie śmiem.

LUDWIK.

Czemu drżysz?

KRÓLEWIC.

Ja?

LUDWIK.

Właśnie.

KRÓLEWIC.

Nie drżałem przecie, gdy posłaniec dumny
Śmiał cię wyzywać.

LUDWIK.

Nie; lecz bez rozkazu
Za króla się ujmować, jest występkiem.

KRÓLEWIC.

A jam, nieszczęsny, marzył, że zarobię
Na jeden uścisk ojca!

LUDWIK.

To marzenie.

KRÓLEWIC.

W tém uściśnieniu skonałbym z radością,
Gdyby to serce...

LUDWIK.

Więc ja cię nie kocham?

KRÓLEWIC.

Ach, przebacz!

LUDWIK.

Jam zły ojciec? jam nieczuły?
Ja cię niecierpię?

KRÓLEWIC.

Panie!...

LUDWIK.

Oj, niewdzięczni!
Tak mię szkalują, tak uwodzą ciebie!

KRÓLEWIC.

O, nigdy!

LUDWIK.

Kłamiesz! Biada tym potwarcom!
Wiem, że tak mówią.

KRÓLEWIC.

Przy mnie by nie śmieli.

LUDWIK.

Czy zięć mój Beaujeu? d'Orleans? lub inni...

(potulnie.)

Bądź szczerym, synu; to nie będzie zdrada,
Po cichu wymień; karać ich nie myślę,
Chcę wiedzieć.

KRÓLEWIC.

Młodszy często mię odwiedza.

LUDWIK.

Cóż mówi ci?

KRÓLEWIC.

Że nim zostanę królem,
O miłość ludu starać się mam prawo.

LUDWIK, na stronie.

To łotr!

(w głos.)

A czy nie mówi, że schorzały,
Stargany wiekiem, wkrótce mam... to kłamstwo!

Że wreszcie czas pomyśleć o koronie,
Gdyż ta niebawem sama cię uwieńczy?

KRÓLEWIC.

Ach!

LUDWIK.

Kłamstwo! czy mię ciężar jéj przygniata?
Czy moje siły jednéj nie wystarczą?
Dwie lub trzy jeszcze ręką tą zdobyte,
Mniéj ciężyć będą méj sędziwéj skroni,
Niż twéj dziecięcéj to błękitne piórko!

KRÓLEWIC.

Żyj, ojcze! co dzień budzę się z tą myślą,
Co wieczór o to modlę się do Boga;
Gdy na twéj twarzy znów rozkwita zdrowie,
Dziękuję mu, że raczył mię wysłuchać.
Żyj, ojcze, długo; niech pod rządem twoim,
Kraj będzie wielkim i szczęśliwym.., Boże!
Jeżeli trzeba moich dni ofiary,
Weź je, niech umrę, niech mój ojciec żyje!

LUDWIK, odbierając mu schwyconą rękę do pocałunku.

Nie; uległbym, a niechcę. Idź do siebie.

(Królewic odszedłszy krokiem powraca, i całuje rękę ojcowską ze łzami.)

To dobry syn!... a może też mię zwodzi.

SCENA VI.

LUDWIK na przodzie sceny, KRÓLEWIC, MARYNIA.

KRÓLEWIC z cicha do Maryni, wychodzącéj z kaplicy.

Maryniu, żegnam...

MARYNIA.

Książe się oddala?

KRÓLEWIC.

Myśl o mnie.

(całując jéj rękę.)

Ty pozwalasz.

SCENA VII.

LUDWIK, MARYNIA.

LUDWIK, na stronie.

Zacna dusza,
Jak moja niegdyś...

MARYNIA, pożegnawszy królewica znakiem politowania.

Służę...

LUDWIK, na stronie.

A, Marynia.

(w głos.)

Chodź, przystąp dziecię: co za strój ozdobny!

MARYNIA.

Dziś moje święto, zdobię się jak mogę.

LUDWIK.

Dla Boga chcieć być piękną, to przykładnie.

MARYNIA.

Król zbyt mię chwali.

LUDWIK.

Czy dla Boga tylko?

MARYNIA.

Dla kogóż więcéj?

LUDWIK.

Nie wiem; komuś jeszcze
Chcesz się podobać; czemu nie?

MARYNIA.

Królowi.

LUDWIK.

Mnie? bardzom wdzięczen; lecz młodszego może
Na myśli miałaś.

MARYNIA.

Jakto?

LUDWIK.

Czy się mylę?

MARYNIA.

Cóż mam rozumieć...

LUDWIK.

Mówmy o czém innem;
Więc się myliłem.

(siada pod drzewem.)

Usiądź przy mnie, bliżéj;
Nie rumień się, choremu to uchodzi
Niewinnym żartem ulżyć swym cierpieniom,
A starzec wszystko prawo ma powiedzieć.

MARYNIA.

Król zwłaszcza.

LUDWIK.

Ludzie mię złośliwym sądzą;
Jam w gruncie dobry człowiek; a szczególnie
Dla twych rówiennic zawszem był życzliwy,
I skojarzyłem już nie jedną parę.

MARYNIA.

Ztąd król jest wielkim.

LUDWIK.

Tak dziewczęta mówią;
Z ich ust różanych nieraz to słyszałem.

MARYNIA.

Na żart.

LUDWIK.

Na prawdę byłbym ci pomocny,
Lecz ty nie kochasz, zdaje się, nikogo.

MARYNIA.

Ja?

LUDWIK.

Znam się na tém.

MARYNIA.

A król mię posądzał..

LUDWIK.

Myliłem się.

MARYNIA.

Lecz tego podejrzenia
Któż był przyczyną?

LUDWIK.

Chcesz bym wyznał wszystko?
Jam sądził, mylnie, że na dworze księcia
Tyś się... w ośmnastéj wiośnie cóż dziwnego?
Rozkochać mogła w pełnym cnót młodzianie,
Przystojnym, dzielnym i z najstarszéj szlachty.
O, jam godnego dobrał ci małżonka!

MARYNIA, z żywością.

Cóż daléj?

LUDWIK.

Czy cię powieść ta zajmuje?

MARYNIA.

Jak powieść.

LUDWIK.

Niezmyślona. Choć daleki,
Twój błędny rycerz myśli twéj przytomny,
Tęskniący wiecznie za swą narzeczoną,
W poselstwie...

MARYNIA, na stronie.

Boże!

LUDWIK.

Właśnie dziś przybyły,
Uzyskać chciał królewskie przyzwolenie...

MARYNIA.

Na pokój z księciem?

LUDWIK.

Nie, na ślub z Marynią.

MARYNIA.

A król?

LUDWIK.

Przyzwalał; nie chcesz? wielka szkoda.

MARYNIA, powstając.

Zkądże król wiedział...

LUDWIK.

O czém?

MARYNIA.

W jaki sposób?
Od kogo?

LUDWIK

Siedźże; tak marzyłem sobie,
Wszak to powiastka.

MARYNIA.

Przebacz żem musiała
Zataić dotąd...

LUDWIK.

Kryjesz się przedemną?
Nieszczera jesteś: zemszczę się!

MARYNIA, przerażona.

Ach, panie!
Miéj litość, przebacz! błagam cię klęcząca!
Kto zdradził go?

LUDWIK, biorąc ją za rękę z uśmiechem.

Twój ojciec.

MARYNIA.

Być nie może!

LUDWIK.

Kochanka twego wyrzekł mi nazwisko.

MARYNIA.

Mój ojciec!

LUDWIK.

Tak jest.

MARYNIA.

Król mu żyć pozwoli?
Przebaczy?

LUDWIK.

Chętnie.

MARYNIA, z radosném uniesieniem.

Choć Nemoura synem?

LUDWIK na stronie, powstając.

To Nemours!

MARYNIA.

Ojciec dobre miał natchnienie,
Gdy przyjął w dom sierotę i tułacza!

LUDWIK.

Uczciwy, wierny sługa...

MARYNIA.

On go zbawił,
I na wygnaniu stworzył mu Ojczyznę.

LUDWIK.

To pięknie!

MARYNIA.

Pokochałam go jak brata,
Przyszłości lepszéj ciesząc go nadzieją.

LUDWIK.

A zacny Filip, dumny z téj przyszłości,
Z krwią Armagnaców złączyć chciał Marynię?
Troskliwy ojciec.

MARYNIA.

Co za chwila błoga!
Więc go zobaczę! tą radosną wieścią
Z nim się podzielę!

LUDWIK.

Widzieć go nie wolno.

MARYNIA.

Dlaczego? jeśli tu przypadkiem zdąży...

LUDWIK.

Przypadkiem?

MARYNIA.

Król o wszystkiém wiedzieć będzie:
Napisał do mnie, czekać go przyrzekłam.
Strapione serce do podejrzeń skłonne;
Cóż będzie myślał gdy mię tu nie znajdzie
Pomimo listu...

LUDWIK.

Właśnie, strzedz się trzeba
Nieufność wzniecić w tak zbolałém sercu.
Nasz biedny Nemours sądzi się nieznanym:
Nie pora jeszcze zerwać tę zasłonę;
Przeważne względy mnie i ojcu twemu
Milczenie choć do jutra nakazują;
Zawcześnie mówiąc, tracisz go na zawsze.

MARYNIA.

Przyrzekam milczeć.

LUDWIK.

Stwierdź to przyrzeczenie
Przed Matką Boską a patronką twoją;
Szczęśliwe śluby ołtarz jéj uświęca,

Rozumiesz: nie zapomnij się na chwilę,
Od niéj bym się dowiedział.

MARYNIA.

Więc przysięgam.

LUDWIK.

Bóg przyjął twą przysięgę.

(na stronie.)

Jedno słowo,
A Nemours zginie... mamże je powiedzieć?
Pomyślę o tém... Trystan!

(do Maryni.)

Bądź mi zdrowa;

(całuje ją w czoło.)

Przysięgłaś! Dziewcząt słyszy cię Królowa!

SCENA VIII.

MARYNIA, sama.

Ten pocałunek, to Nemoura życie!
Lecz gdy myśl moja tonie w tym zachwycie
Co tyle westchnień, tyle łez zaciera,
Skryć trzeba w duszy co się z niéj wydziera!
Przysięgłam... nie chcę stracić go na wieki.
Najświętsza Matko, wzywam twéj opieki;
Tyś mi świeciła w mych utrapień nocy,
By znieść to szczęście, użycz mi twéj mocy:
Zgaś w mém spojrzeniu téj radości znamię,
Niech zaniemieję nim przysięgę złamię!
Wezbrane czuciem serce mi kołacze;
Drżę nie wiem czemu, śmieję się i płaczę...
To on, mój Nemours!

SCENA IX.

MARYNIA, NEMOURS

NEMOURS.

Witam cię, Maryniu;
Nareszciem z tobą!

MARYNIA.

Pod rodzinném niebem,
W dziedzinie przodków!

NEMOURS.

Tyle w niéj cierpiałem!

MARYNIA.

Odżyjesz!

NEMOURS.

Bylem umrzeć mógł przy tobie.

MARYNIA.

O, nie mów tego! widzę, wiem z pewnością,
Że... nie, nic nie wiem; lecz nadziei zorza
Jak sen uroczy, do mnie się uśmiecha;
Przeczuwam szczęście... dzień już nie daleki.

NEMOURS.

O szczęściu mówisz? siostro, tyś niezmienna
W czułości dla mnie; lecz piękniejsza jeszcze!

MARYNIA.

Czy tak? Tęskniłeś za mną, mój rycerzu;
Tyś mi dochował wiarę!

NEMOURS.

Jak Ojczyznie.

MARYNIA.

Gdym dziś, przed rankiem, szła po świeże kwiaty,
By złożyć je w kaplicy méj patronki,
Obrane z liści wszystkie mi mówiły
Że ty mię kochasz... one są prawdziwe.

NEMOURS.

Tyś jest wszechmocna, bo twój głos, aniele,
Nienawiść nawet z duszy méj unosi.

MARYNIA.

Zapomnij, przebacz! miłość ją zastąpi.

NEMOURS.

Kto, ja, zapomnieć!

MARYNIA.

Ten do kogo zmierza
Nienawiść twoja, nie jest bez litości;
Kto wie, dziś, jutro...

NEMOURS.

Cóż?

MARYNIA.

Wszystkiemu wierzę,
Bom jest szczęśliwa. O świetniejszéj doli
Dla ciebie, dla mnie, serce mię zapewnia;
Cobądź przeniknę myślą lub uczuciem,
Czy z méj miłości, czy z natchnienia Boga,
Niemylną wróżbą szczęście mi zwiastuje.

NEMOURS.

Niestety!

MARYNIA.

Czy pamiętasz dzień tak błogi
Gdym odebrała pierwsze twe wyznanie?
Z wieczora, w polu.

NEMOURS.

Pod samotnym krzyżem.

MARYNIA.

Spuszczoném okiem licząc te paciorki,
Słuchałam przecie.

NEMOURS.

Starzec, przy rozdrożu
Stojący z płaczem, ściągnął ku nam rękę.

MARYNIA.

Jałmużnę dostał, i dziękczynnym głosem
Nas błogosławiąc, mówił mi, że będę...

NEMOURS.

Małżonką moją.

MARYNIA.

On o tém pamięta!

NEMOURS.

Stracone mienie tyś mi oddać miała;
Do ciebie, siostro, wracam dziś wygnańcem,
Nic nie mam w świecie; i w rodzinnym domu,
W spuściznie matki, mocą mi wydartéj,
Tułaczem jestem, jak w ojczystéj ziemi.

MARYNIA.

Złe trwać nie może.

NEMOURS.

Jadąc tu, po drodze,
Mój dom zwiedziłem, pierwszych lat kolebkę.
Jak rzewne czucie w piersi méj zawrzało,
Skorom usłyszał dębów szum żałobny!
O, przy tym dźwięku, ileż dni prześniłem!
Uroczych nocy ileż mi spłynęło,
Pod cieniem staréj przodków mych dąbrowy!
Dziś, wróg wyrąbał ten mój raj młodzieńczy;
Jak on, ojczysty zamek się rozpada...
W dziedzińcu chwasty; cierń zasklepia wrota,
Pielgrzymom, biednym, niegdyś wciąż otwarte.
Na stosie śmieci, z gołych ścian wyrwany,
Rodzica obraz leży wskróś przebity...
Nikt go nie podjął z licznych sług orszaku,
Dziś lżących nogą te poważne rysy;
Nikt mię nie poznał, zgasłéj krwi dziedzica.
Pies tylko wierny, stróż pustego domu,
Z radosném wyciem podniósł łeb sędziwy,
I ręce liżąc, padł u stóp nieżywy.

MARYNIA, po pauzie.

A przecież, jeśli starzec ów nieznany
Wyroków nieba dla nas był zwiastunem,
Myśl, co za szczęście! Lud w dziedzicznym grodzie,
Powstałym z gruzów, panią mię przywita;
Zasłonę ślubną do swych ust przyciśnie,
I kwiat po kwiecie wianek mój rozdzieli;
Dziś nawet może, w téj kaplicy leśnéj,
Bogarodzica wiecznie nas połączy.

NEMOURS.

O ty jedyna duszy méj pociecho,
Ty, którą widzę może raz ostatni,
Przed ślubem wdowo!... Bodajbyś w żałobie
Za moją trumną nie szła do ołtarza!
Głos dobrze znany, głos najdroższéj matki,
Niechybną, straszną śmierć mi zapowiada!
O, nie w jéj grobie, ja na tym cmentarzu
Sąsiedniéj wioski, zwłoki me położę!

MARYNIA.

Kto, ty?

NEMOURS.

Szczęśliwy, jeśli przed zagrodą
Ksiądz słowem klątwy trumny nie zatrzyma,
I nie odwówi, jak dzikiemu zbójcy,
Święconéj ziemi, wody i modlitwy!

MARYNIA.

Co mówisz! tobie? nie, ten kraj, ta ziemia,
To niebo świadkiem zguby twéj nie będzie!
Wiedz, że twe prawa, dom twój... O Maryo!
Już milczę, przebacz! Jabym go zdradziła,
Ja, cobym życie chciała dać za niego!

NEMOURS.

Dla Boga, mów!

MARYNIA.

Nie mogę, nie powinnam.
Już odejść muszę, pozwól, niech odejdę.
Nie pytaj więcéj; mogłabym szalona
Wymówić to, co w sercu mém zawarte;
Bądź dobréj myśli.

(zwracając się ku kaplicy.)

Jam nic nie wyrzekła.

NEMOURS pożegnawszy ją, na przodzie sceny.

Jak łatwo w szczęście wierzy duch anioła...
Ja się nie łudzę.

SCENA X.

LUDWIK, NEMOURS, FRANCISZEK Z PAOLI, OLIVIER, TRYSTAN, KARDYNAŁ D'ALBY, Duchowni, Rycerze francuzcy i burgundzcy.

LUDWIK, trzymając pismo przez Nemoura mu wręczone.

Tu nienawiść gaśnie:
Za sprawą Boga który zmarł na krzyżu,
Król przebłagany, korzy się przed tobą;
Urazy wszelkie nikną w téj ofierze.
Dziś hrabia Rethel krzywdy swéj dochodzi;
A z polecenia choć się wywiązuje
Jak wróg domowy raczéj niż poddany,
Nad własną cześć przenoszę dobro kraju.
Ztwierdzony układ słowem i podpisem,
W twéj ręce składam, by się stał przez twoje
Błogosławieństwo świętym i niezłomnym.

FRANCISZEK Z PAOLI na schodach kaplicy, między dwoma Duchownymi, z których jeden trzyma krzyż, drugi skarbonę srebrną.

Jam sługa boży, mało mam nauki;
Dwór mi jest obcym; strzecha mi powiada,
Ze najświetniejszy wawrzyn mniéj przynosi
Mocarzom sławy, niźli łez poddanym.
Bóg szczęści temu który bez obłudy
Miłością zbliża dwa plemiona bratnie,
Ich zgody węzeł widzi w swéj potędze,
W ludzkości całéj, ród jednego Twórcy.
To królów urząd; a zakonném prawem
Jest łączyć wiarą, nie rozdzielać ludzi.
Ten ślub dwustronny, święcie tu zawarty,
Niech was jednoczy sercem i ustami;
Wzajemnych ugód wy doczesni stróże,
Zdradzając treść ich, sami się zdradzacie;
I pod przysięgą, na wieczności księdze,
Krzywoprzysięztwo sędzia wam pokaże.

NEMOURS.

Bóg serce znając, treść mych słów zrozumie:
Nie ja przysięgam, lecz mój mocodawca,
Zadowolony za swéj czci obrazę,
Do zgody z królem wiąże się dozgonnie.

LUDWIK.

Pan hrabia Rethel mógł w imieniu własném,
Bez narażenia, złożyć tę przysięgę;
Król ją przyjmuje, i niezmienném słowem
Burgundyi księciu, tu dłań obecnemu,
Zupełne ręczy krzywd swych zapomnienie.
Co daj nam Boże...

SCENA XI.

CIŻ, KRÓLEWIC, DUNOIS, TORCY, DE LUDE.

KRÓLEWIC, przybiegając.
Królu!

LUDWIK.
Kto cię woła?

KRÓLEWIC.
List ważny... przebacz!... radość mię unosi:
Twój wróg najsroższy, Karol...

LUDWIK.
On, mym wrogiem?
Najlepszy sąsiad, brat mój!

KRÓLEWIC.
Zwyciężony.

LUDWIK.
Co ty śmiesz mówić!

KRÓLEWIC.
Że na głowę zbity
Pod Nancy.

NEMOURS.
Karol!

LUDWIK.
Pewnyś jest?

KRÓLEWIC.
Panowie
Dunois, de Lude i Torcy mi zaświadczą.
Wódz przekupiony zdradził go wśród boju,
I twierdzę poddał.

LUDWIK.
Podły zbieg!

NEMOURS.
To kłamstwo!
Zwycięztwa świetne wkrótce je zniweczą.

KRÓLEWIC.
Lecz już nie żyje!

LUDWIK.
Masz na to dowody?

KRÓLEWIC, oddając mu pismo.
Ten list!

NEMOURS.
Śmierć, rozgrom! nie: cobądź ogłasza,
Ja, hrabia Rethel, ręczę krwią i życiem,
Że to zmyślenie!

LUDWIK.
Jak nazwisko twoje:
Tyś książe Nemours!

KRÓLEWIC i WSZYSCY.
Nemours!

NEMOURS.
Znasz mię wreszcie.

LUDWIK.
To prawda, zdrajco! jak żeś złamał wiarę
Królowi, żeś jéj zaparł się przed Bogiem,
Obojgu kłamiąc mianem i godnością;
Lecz słuszność boska karę ci gotuje:
Rozbroić go!

NEMOURS, z mieczem w ręku.
Śmierć temu kto przystąpi!
Burgundzi, do mnie!

LUDWIK.
Do mnie, Francyi dzieci!

FRANCISZEK Z PAOLI, chwytając krzyż w ręku jednego z kapłanów, i podnosząc wśród Rycerzy.
Na krzyż Chrystusa kto z was broń podniesie!

NEMOURS spuszczając broń, i chyląc się jak inni Rycerze.
Wyznaję błąd mój; za mnie ci rycerze
W nierównéj walce, marnie by zginęli.
Odstąpcie, bracia; jeśli jest zwycięzcą,
Rozgłosem dzieł swych Karol mię obroni;
A jeśli poległ, niech sam jeden zginę.
(rzuca broń pod stopy króla.)
Jak ty zmyśliłem, aby dojść do ciebie:
Tak być musiało. Jakiem miał zamiary,
Zdam sprawę Bogu który je uświęca.
Oprawcom naszym rzuć ostatnią pastwę;
Lecz żal ci będzie że bez brata, syna
Lub domownika, stanąć mam na stosie,
Że nikt nie będzie moją krwią zbryzgany.

LUDWIK do Trystana, skinieniem oddając mu Nemoura.
Dziś sąd i wyrok, jutro miecz dokona.

(Nemours otoczony strażą, wychodzi z Trystanem; za niemi Rycerze burgundzcy.)

SCENA XII.

CIŻ, oprócz NEMOURA, TRYSTANA i RYCERZY BURGUNDZKICH.

FRANCISZEK Z PAOLI.
O miłosierdzie proszę cię, zaklinam.

LUDWIK.
Gdyby się targnął był na mnie samego,
Mógłbym przebaczyć; lecz ja, syn kościoła,
Król chrześciański, mamże być nieczułym
Na świętokradztwo i zniewagę jawną
Zakonu twego?... pomszczę cię przykładnie!
Inaczéj byłbym nazwy méj niegodny.

FRANCISZEK Z PAOLI.
Pocieszyć dozwól.

LUDWIK, z żywością.
Tak, im występniejszy,
Tém większe prawo ma do twéj pomocy.
Idź, ojcze, za nim; zbaw grzesznika duszę.

FRANCISZEK Z PAOLI.
Czy nie pomyślisz o twéj własnéj, synu?

LUDWIK.
Na to czas będzie.

SCENA XIII.

CIŻ, oprócz FRANCISZKA Z PAOLI.

LUDWIK, patrząc za odchodzącym; później z uniesieniem, choć cichym głosem.

A więc, Bóg nam sprzyja!
Dunois, z okrzykiem « Jezus i Marya, »
Na koń, i w sześćset kopii do Perony!
Artezyę weźmie Baudricourt wsławiony;
Burgundyę Torcy; wy, ku Belgii krańcom!
Z walecznym walka, złoty most zaprzańcom!

(do kardynała d'Alby.)

Do Rzymu goniec niech z listami rusza;
Lujdorów dwa tysiące dla nuncyusza,
A papieżowi z drugim, sześć tysięcy.

(do Rycerzy.)

Nim indult przyszle, bierzcie kraj książęcy:
Jeśli odmówi, klątwy się nie boję;
Tymczasem bierzmy . to co masz to twoje.
A zatém w pole! plon obfity wszędzie:
Lenności temu który je zdobędzie!

(w głos, do Dworzan.)

Jak żył tak zginął, ciągle śniąc o wojnie.
Przypadkiem chyba staliśmy spokojnie;
I choć zapomnieć nie jest w mojéj mocy
Tych trzech w Peronie tak okropnych nocy,
Z niesfornym bratem spór skończony w grobie:
Więc dwór mu złoży winną cześć w żałobie.

AKT CZWARTY.

Sypialnia króla: dwoje drzwi bocznych; pulpit i krzyż na ścianie. Okno z kratą; w głębi framuga z łożem, za kotarą na wpół odsłoniętą. Komin zapalony.

SCENA I.

NEMOURS, COITIER.

COITIER.

Wejdź za mną; wreszcie twój przyjaciel stary
Tém uściśnieniem duszę swą nasyci.

NEMOURS.

Gdzie mię prowadzisz?

COITIER.

On mi sam zostaje;
On mój od serca; bom go ja najpierwszy
Od matki przyjął i w kolebce złożył.
To istny książe, twarzą i spojrzeniem!

NEMOURS.

Jak rysy ojca, jego los mieć będę.

COITIER.

Co, ty?... lecz z księciem nadto się ośmielam;
Dawnego sługi mam serdeczną mowę.

NEMOURS, dłoń mu ściskając.

Mój drogi Coitier!

COITIER.

Nie traćże nadziei.

NEMOURS, patrząc do koła.

Znów kraty, rygle; czyjeż tu więzienie?

COITIER.

To pokój króla.

NEMOURS.

Ta pustelnia smętna?

COITIER.

W niéj mszał, krucyfiks i relikwie świętych,
Od pocałunków już na proch zużyte;
Nietknięty sztylet niby dla obrony;
Królewskie łoże w głębi, za kotarą,
Gdzie od zgryzoty chroni się daremnie;
Jéj dłoń go ściga, zrywa tę zasłonę,
Przygniata serce: pościel ta bezsenna,
Tysiące ofiar na nim już pomściła.
Tu się spotkacie.

NEMOURS,

Kiedy?

COITIER,

Przed godziną
Ma zejść z ogrodu.

NEMOURS,

Jakto, sam?

COITIER.

Broń Boże!
Dla bezpieczeństwa pewnie tu sprowadzi
Tę złaję Szkotów, którą ma na sforze;
A mógł raz przecie pozbyć się téj psiarni!
Sam Trystan szpilkę zwietrzyłby na tobie.
Jak też bystremi śledził cię oczyma,
Gdy wprawną ręką macał twą kołczugę!
Jak dąsał się czytając rozkaz króla!
On z powołania katem i dozorcą.

NEMOURS.

Nikczemny!

COITIER.

Co za gniew na dumnéj skroni
Gdy próżnéj turmy zamknął drzwi za tobą!
Nieledwie wściekł się... aż mu twarz zsiniała.
Wyglądał jak pies gończy przy zwierzynie,
Gdy łowczy króla, grożąc mu tasakiem,
Uszczwany łup z pod paszczy mu wyrywa.

NEMOURS.

Zkądże tu schadzka?

COITIER.

Tu przyjmuje gości,
Gdy z którym chce tajemną mieć rozmowę.
Nie radby zresztą wejść do twéj ciemnicy:
Tam zbyt wyraźne dzieł okrutnych ślady;
Dreszcz chorobliwy który mu dokucza,
Nie zcierpiałby wyziewów téj pieczary.

NEMOURS.

Cóż on zamierza?

COITIER.

Nim ci sam oznajmi,
Polecił mi przychylić cię zawczasu.

NEMOURS.

Lecz któż mię zdradził?

COITIER.

Za Filipa ręczę;
Niełaska jego zaszczyt mu przynosi:
Król aż się pienił.

NEMOURS.

Zemścił się?

COITIER.

Słowami;
Lecz zgoda rychła, gdy mu kto niezbędny.
Ty nim być możesz.

NEMOURS.

Ja?

COITIER.

On się namyśli;
Do kłótni skory jak do pojednania.

NEMOURS.

On!

COITIER.

Ból nie kłamie: muszę znać go przeto.
Zły człowiek rzadki z ducha i skłonności,
Sam Trystan może; lecz ten jest potworem.
Nie żądza złego, raczéj brak rozsądku
Złoczyńców tworzy: zbrodnia jest obłędem.
Gdym się dowiedział żeś w oprawcy ręku,
Do króla wpadłem; ani chciał mię słuchać,
Aż nagle zasłabł: nie źle mu się stało,
Bo gdyby nie to, byłbyś już stracony.
Łagodzić umiem humor ten drażliwy,
Doktorski palec wie gdzie mu dolega:
Chce mieć Burgundyę, o niéj śni na jawie,
A chęci starca żadnych zwłok nie cierpią.
Za ciebie więc tę zdobycz mu przyrzekłem.

NEMOURS.

Ty, Coitier!

COITIER.

Lekarz po swojemu działa.
Lud w ciebie wierzy, urząd ci przychylny,
Masz u rycerstwa miłość i szacunek,
Burgundzkie twierdze w twych przyjaciół mocy;
Więc zdołasz łatwo, złotem lub namową,
Czy serca skłonić na ogólnym sejmie,
Czy bez natarcia zdjąć warowni klucze.
To czyn dwuznaczny, mnie samemu wstrętny;
Lecz cóż? Konieczność jest najwyższém prawem.
Ocalisz głowę, radzie méj posłuszny;
Inaczéj zginiesz: wybór masz otwarty.

NEMOURS.

Ja, wodza mego złupiłbym dziedziczkę,
Na korzyść wroga całéj méj rodziny?

COITIER.

Mój synu, książe, zlituj się nad sobą!
Jest-li w tém krzywda, przyjmę jéj połowę.
Pamiętasz kiedy z matki rąk lekarstwa
Nie chciałeś zażyć, jam téj gorzkiéj czary
Połowę wypił, a ty po mnie drugą;
Umierający w niéj znalazłeś życie.
Jak wtedy dzieckiem, dziś cię mężem zbawię!
O twój ratunek błagam cię klęczący:
Ja, twój domownik, ja com nad kolebką
Ze łzami zgięty, zwał cię moim synem,
Ja cię zaklinam w imie twych rodziców:
Zbaw siebie, zbaw mię; ja cię nie przeżyję!

NEMOURS, podnosząc go.

Nie: nigdy zdradą!

COITIER.

Chcesz więc umrzeć?

NEMOURS.

Muszę.

COITIER, otwierając drzwi boczne.

Ja pierwéj zginę. Widzisz tę framugę:
Tu zasklepiony mieszkam z mym ciemiężcą.
Lecz marne złoto którém mię obrzuca,
Czy mię do trupa w grobie tym przykuło?
Nie; położyłem za warunek pierwszy
Odźwierne prawo, które sam posiada.
Król musiał uledz; on z méj ręki żyje.
Ten klucz, którego wszyscy mi zazdroszczą,
Zbyt drogo mém poddaństwem okupiony,
To moja wolność: weź go.

NEMOURS.

Lecz...

COITIER.

Uciekaj.
Prócz tego wyjścia, wszędzie rój siepaczy.

NEMOURS.

Sam się narażasz.

COITIER.

Nie, on chory.

NEMOURS.

Mściwy.

COITIER.

On chory mówię; o mnie się nie lękaj.
Masz broń i świecznik; tu sklepione schody,
Tam drzwi: za drzwiami świat, powietrze, słońce,
Swoboda, synu!

NEMOURS, chwyciwszy sztylet.

Wreszcie mam obrońcę!
Jak ci zawdzięczę?

COITIER, ściskając go.

Twém wspomnieniem trwałém!
Więc po twym ojcu łez nie wypłakałem?
Król idzie: na koń, i z drużyną w pole;
Ja go zatrzymam bądź co bądź na dole.

(wychodzi drugiemi drzwiami.)

SCENA II.

NEMOURS wracając na przód sceny, zamknąwszy drzwi od pokoju lekarza.

O, nie swobodę, zemstę mam gotową!
Za tyle zbrodni, król przypłaci głową.
Nikt mię nie widział w grodzie tym, prócz ciebie...
Już ztąd nie wyjdę. Strzeż mię, Boże w niebie,

Ty niezbłagany, by go cios nie minął,
By padł u stóp mych, skręcił się i zginął.

(postępując ku łożu.)

Ty, ojcze, prowadź; wy, braterskie cienie,
Osłońcie mię kotary téj całunem;
Jak grom wśród ciszy z głębi chmur uderza,
Cierpliwym będę, byłem był pomszczony.
Niech sam nadejdzie; ja, nim się obejrzy,
W imieniu zmarłych trupem go położę.

(przysłuchując się u drzwi.)

Nikt jeszcze... głucho... Serce mi szaleje
Z radości, że już potwór się przybliża...
Okropna radość... ledwie znieść ją mogę.
Kat musi truchleć nim złoczyńcę zgładzi!

(pada na krzesło i zrywa się.)

On naszym katem! krew za krew i mękę!
On ojcze z twojéj szydził bez litości;
On krew twą przelał, zbroczył mię i braci
Téj krwi ostatkiem... mam ją tu, na czole!
Więc ja, gdy skona, zamknę mu powieki:
On spać nie może, zaśnie dziś na wieki,
Bez groźnych marzeń, bez wyrzutów serca,
Aż przed swym sędzią zbudzi się morderca!
To on!

(kryje się za kotarę.)

SCENA III.

LUDWIK, COITIER, FILIP, MARYNIA, TRYSTAN, CRAWFORD, Straż szkocka, kilku Dworzan.

COITIER.

Zawcześnie wraca król do domu;
Na dworze lepiéj.

LUDWIK.

Noc okropnie smętna,
Wiatr dmie jak wściekły; to jak zmarłych wycie...
A zimny... zmarzłem.

(do lekarza, z cicha.)

Nemours, jest u ciebie?

COITIER.

Król cierpi?

LUDWIK.

Zawsze.

COITIER.

Gdzie najmocniéj?

LUDWIK.

Wszędzie;
Spoczynku nie mam: drżenie lub gorączka.
I nic, i nigdy ulżyć mi nie może!

(z cicha.)

Cóż Nemours mówi?

COITIER, prowadząc go do komina.

Niech się król ogrzeje.

LUDWIK, z radością.

Jest ogień!

MARYNIA, przysuwając krzesło.

Proszę.

LUDWIK, grzejąc się.

Ogień, ach, to życie!
To moje słońce.

MARYNIA.

Mają dziś w klasztorze
Wotywę zmówić za królewskie zdrowie;
Wyjednać nawet postem i modlitwą,
By wiatr ten mroźny ustał przed jutrzenką.

LUDWIK.

Radujesz wzrok mój: jak ten kwiat żywota,
Jak młodość piękna... Śmiéj się!

FILIP, z cicha.

Król ci każe,
Maryniu, śmiało!

MARYNIA, płacząc.

Chciałabym, nie mogę!

LUDWIK.

Co, łzy? Idź sobie, lub mię nie zasmucaj.
Przebaczę wszystko.

MARYNIA.

Szczerze?

LUDWIK.

I zupełnie,
Niech tylko Nemours...

COITIER.

Jak ten ogień błyszczy!

LUDWIK.

To prawda, ciepło aż do kości wnika;
Skostniałe palce ledwie że go znoszą;
Ja drżę, on pali, przecież mi przyjemny.

COITIER.

Jak moje rady, cierpkie lecz skuteczne.
Tak pszczółka kole, lecz i miód wyrabia.
Król się położy.

LUDWIK.

Nie, ten pielgrzym święty
Ma przyjść niebawem; a z Nemourem zwłaszcza
Chcę się rozmówić. Trystan, idź po niego.

TRYSTAN.

Już nie wiem gdzie jest.

LUDWIK, do Coitier.

W twoją straż oddany.

TRYSTAN.

Pan doktor wziął go. Czemuż po wyroku
Nie dano mi dokonać, co zacząłem!

MARYNIA, do Filipa.

O nieba!

FILIP, z cicha.

Milcz!

LUDWIK, do Coitier.

Tyś miał go tu sprowadzić.

COITIER.

Nie chciałem.

LUDWIK.

Czemu?

COITIER.

Ująć go nie można.

LUDWIK.

Jabym go skłonił.

COITIER.

Nie.

LUDWIK.

Nie?

COITIER.

Za zuchwalstwo
Król zciąć by kazał.

LUDWIK.

Więc?

COITIER.

Jam go wyzwolił.

LUDWIK.

Ty, Coitier!

MARYNIA.

Wolny!

COITIER.

Wiatr go nie dopędzi.
Sam byłem świadkiem jak wśród swych rycerzy
Opuszczał zamek po zwodzonym moście,
Dlań uchylonym za rozkazem króla.

LUDWIK.

Ty śmiesz, bezczelny, stawić się przedemną!
I ciebie zmylił! Trystan, czyś ty ślepy!
Wy wszyscy zdrajcy. Ścigaj go co żywo!
Na koń! za głowę zbiega ci zapłacę:
Idź! ruszaj za nim!

TRYSTAN.

W nocy, gdzie, którędy?

LUDWIK.

Tu mi go trzeba, żywcem, lub na marach!

MARYNIA.

Przez litość na mnie, któram go, bezwiedna,
Na śmierć wydała! nie, Bóg cię przejedna!
On by cię skarał; on wysłucha święcie
Twój jęk ostatni, jak ty me zaklęcie!

LUDWIK, do Filipa.

Precz z nią!

MARYNIA.

Ach, przebacz!

FILIP, odprowadzając Marynię.

Chodź więc!

LUDWIK, wskazując na lekarza.

Biada tobie!
Ten zbrodniarz, jutro...

COITIER.

Czemu nie w téj dobie?
Lecz gdy król ostrzy miecz na przyjaciela,
Od zgonu ledwie tydzień go rozdziela.

LUDWIK.

Niechże raz umrę; lecz ja chcę, ja każę...
Ja... idźcie wszyscy.

(do Coitier.)

Zostań.

(padając na krzesło.)

O, lekarze!

(Wszyscy wychodzą oprócz Coitier.)

SCENA IV.

LUDWIK, COITIER.

LUDWIK.

Za taką zdradę, wiesz ty co cię czeka?
Ty moje męki jątrzysz jak umyślnie,
Lecz ja cię zgniotę.

COITIER, zimno.

Raz już to słyszałem,
Niechże król zrobi.

LUDWIK.

Zrobię, jak Bóg żywy!
Tyś jest lekarzem? dla ciemnego ludu.
Twa sztuka? kłamstwo! cóż mi po twéj sztuce?
Czym zdrowszy? nie; ty zginiesz, ja żyć będę.
Ja chcę, rozumiesz: moja chęć wystarczy;
To wiem, to czuję.

COITIER.

Niech się król przekona;
Cobądź wypadnie...

LUDWIK.

Tak, ów cudotwórca,
Od ciebie, zdrajco, lepiéj mi pomoże.
On jedném tchnieniem spędzi te cierpienia,
On znakiem krzyża czerstwość mi przywróci.

COITIER.

Niechże się spieszy.

LUDWIK.

Ty, bez dnia, powietrza,
We dwoje zgięty pod żelazną kratą,
Zazgrzytasz zębem gdy przez jéj szczeliny
Powtórną młodość ujrzysz w mém obliczu.

COITIER.

Tak jest.

LUDWIK.

Zobaczysz.

COITIER.

Zgoda.

LUDWIK, z uczuciem.

Ty, niewierny,
Czym kiedy skąpił moich łask dla ciebie?
Niewdzięczny sługo!

COITIER.

Nie chcąc być niewdzięcznym,
Zbawiłem księcia.

LUDWIK.

Który chciał méj zguby!
Mordercę mego!

COITIER.

Nie, on nie morduje;
On wstępnym bojem walczy, po rycersku.
Nieboszczyk ojciec był mym dobroczyńcą;
Zdradzając syna, przekląłbym sam siebie.

LUDWIK.

A dług wdzięczności dla twojego króla,
U ciebie niczém? płacisz mu podstępem!
Czy nie dość hojnie służbę twą nagradzam?
Dostatków pragniesz, masz ich pełne ręce;
Jak ów przyrzeka, świadczę ci bez miary;
Cóż Nemours więcéj zrobił?

COITIER.

Dał mi serce!
Król jakież prawo ma do méj wdzięczności?
Bo czas nareszcie wręcz powiedzieć sobie,
Jak równy z równym, słowo bez obłudy.
Król daje z trwogi, ja z rachuby biorę;
Ja mu poświęcam ślepo i bezwzględnie
Połowę życia, bym wzbogacił drugą:
Kupiecki układ, sprzedaż i zapłata,
Gdzie o wdzięczności mowy być nie może.
Czy zdaniem króla, wszystko za pieniądze?
Nie; z powinności dar rzucony wstrętnie,
To z dobroczyńcą wcale nas nie wiąże.
Zapłacić można sługę lub dworaka,
Lecz trzeba kochać aby być kochanym;
I choćby tylko twój przyjaciel szczery,
Serdeczny wyraz dostał, lub spojrzenie,
On tego pragnął, więcéj mu nie trzeba:
On twój, on z tobą w szczęściu i niedoli,
A wiarołomca jeśli cię zawiedzie,
Masz wtedy prawo, gdy mu spojrzysz w oczy,
Zmiennika nazwać zdrajcą i niewdzięcznym.

LUDWIK, uprzejmie.

No, już się nie kłóć; kocham cię, od serca.

COITIER.

Dla siebie.

LUDWIK.

Znowu krzywdzi mię szyderca!
Jam chory, lecz odrodzę się bez ciebie;
Masz przeto rękę, poznasz ją w potrzebie.
Niech przyjaźń odtąd nas połączy święcie...

SCENA V.

CIŻ, OLIVIER, za nim FRANCISZEK Z PAOLI.

OLIVIER.

Franciszek pielgrzym czeka na przyjęcie.

LUDWIK.

Prosimy.
(wskazując na lekarza.)
Ojcze, on obraził króla,
A jam przebaczył. Pszczółko, wejdź do ula;
(odprowadzając go aż do pokoju.)
Pod moją strażą jesteś tu bezpiecznym.
(drzwi za nim zamknąwszy.)
Niech mi ten szerszeń stanie się zbytecznym!...
(daje znak; Olivier wychodzi.)

SCENA VI.

LUDWIK, FRANCISZEK Z PAOLI.

LUDWIK.

Jesteśmy sami.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Czego chcesz odemnie?

LUDWIK, ścieląc się przed nim.

Drżę u stóp twoich z grozy i nadziei.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Nie klękaj, synu.

LUDWIK.

Czekam, w téj postawie,
Na zdroje łaski z twoich rąk płynące;
I pragnę, chyląc aż do ziemi skronie,
Całować święte twéj pielgrzymki ślady.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Przed jego tworem, tak jak ty człowiekiem,
Król, obraz Boga, niechaj się nie korzy:
Ludwiku, powstań.

LUDWIK, stojący.

O tak wielkie dobro
Gdy śmiem cię błagać, czy się dość uniżę?

FRANCISZEK Z PAOLI.

Cóż mogę?

LUDWIK.

Wszystko! tyś wszechmocny, ojcze:
Orzeźwiasz tchnieniem już nieczułe członki.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Ja?

LUDWIK.

Mówisz zmarłym: Wstańcie! grób otwarty,
Trup żywy wstaje.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Ja?

LUDWIK.

Największe męki
Uśmierzasz twém zaklęciem.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Ja, mój synu?

LUDWIK.

Gdy w głos rozkażesz, chmury się rozchodzą,
Pogodne niebo błyszczy, wiatr ustaje;
Grom spadający wraca w głąb obszaru.
O ty co rosę więzisz nad poziomem,
Lub zlewasz chłód jéj na spragnione zioła,
Spraw, by zakwitła w starcu moc młodzieńcza!
Patrz, ja umieram; wskrześ to nędzne ciało:
Do zwiędłéj twarzy podnieś twą prawicę,
Pod jéj dotknięciem zmarszczki się rozpłyną.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Co też odemnie żądasz? Czy podobna!
Czym źle cię pojął? pierwszy raz to słyszę,
Że w mojém łonie mieszka duch proroczy,
I kędy przejdę, cud po mnie się zjawia.

LUDWIK.

Lat dziesięć, ojcze; dziesięć, to nie wiele!
Ja cię obsypię złotem i darami.
Patrz, wszystkich świętych oto mam zabytki;
Niech tylko te... dwadzieścia lat otrzymam,
Rzym cię pomieści w rzędzie swych patronów;
Co mówię? wyżéj! koszt na siebie biorę.
Pod twém wezwaniem wzniosą się kościoły;
Klejnoty, marmur, szczątki twe pokryją!
Za taką cześć to mało lat dwadzieścia;
Nie: cud zupełny! niech mi słońce świeci
W najdłuższe lata na potęgi szczycie:
Daj życie, cudem! daj stuletnie życie!

FRANCISZEK Z PAOLI.

Bóg swą wszechmocą z ludźmi się nie dzieli;
Gdy wszystko ginie, chcesz być nieśmiertelnym?
To chęć bluźniercza. Jego twór znikomy,
Dla ciebie, królu, wiecznych praw nie zmieni.
Co z ziemi wstało, w ziemię znów powraca,
Jéj plon z rośliną, a z człowiekiem praca;
Doczesność miarą świata i ludzkości,
Śmierć jedna płodzi dla nieśmiertelności.

LUDWIK.

Już dość oporu, książę, rób co każę;
Daj znak wyraźny twéj cudownéj władzy,
Lub jeśli trzeba, zmuszę cię przemocą.
Jam król, jam od papieża namaszczony...
Ach! nerwy. Wszakże nam, dziedzicznym królom,
Nam pomazańcom, więcéj się należy
Niż téj hołocie, którą z tak wysoka
Bóg ledwie dojrzy w prochu i niewoli.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Lud i królowie równi są przed Bogiem :
On cię miłuje jak swe wszystkie dzieci;
Słuszniejszy dla nich i samego siebie,
O łaskę błagaj dla twéj duszy w niebie.

LUDWIK, *z żywością.*

Na raz, to nadto: ciało rzecz pilniejsza,
Poczekam z duszą.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Królu, to zgryzota,
Wrzód ręką zbrodni w łonie twém otwarty,
Nurtuje ciało, wlokąc je do grobu.

LUDWIK.

Ksiądz mię rozgrzeszył.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Głosem, nie sumieniem!
Trzydzieści lat zdrożności cię przygnębia;
Zrzuć ich sromotę, śmiéj wyjawić rany,
Łzy szczeréj skruchy spiekłość ich ochłodzą.

LUDWIK.

Wyleczę się?

FRANCISZEK Z PAOLI.

Daj Boże.

LUDWIK.

W téj nadziei,
Wypowiem wszystko.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Mnie?

LUDWIK.

Samemu tobie.

FRANCISZEK Z PAOLI, *siadając przy królu.*

Grzeszniku, przystąp; klęknij do spowiedzi.

LUDWIK *składając ręce stojący, i odmówiwszy w myśli Confiteor.*

Zkąd zacznę?... Milczeć nie śmiem i nie mogę.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Cóżeś uczynił?

LUDWIK.

Bojąc się następcy,
Król Karol umarł z głodu i pragnienia.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Co, śmierci ojca własny syn przyczyną?

LUDWIK.

Jam był... tym synem.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Ty!

LUDWIK.

Przez niedołęztwo,
Służalców zgrai oddał rząd i siebie :
Pod jego berłem, Francya by przepadła.
Ratunek państwa jest tak ważnym względem...

FRANCISZEK Z PAOLI.

Wyznawaj grzechy, nie broń ich, zły synu!

LUDWIK.

Mój starszy brat...

FRANCISZEK Z PAOLI.

Cóż daléj?

LUDWIK.

Był... otruty.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Z rozkazu twego?

LUDWIK.

Wielu tak mówiło.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Czy słusznie?

LUDWIK.

Gdyby wpadli mi do ręki!...

FRANCISZEK Z PAOLI.

Odpowiedz!

LUDWIK.

Jego cień wstający z trumny,
Sam jeden mógłby wyrzec to bezkarnie.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Więc prawda?

LUDWIK.

Spadek wspólny mu wydarłem.

FRANCISZEK Z PAOLI, *wstając.*

A przed zgryzotą chronisz się, szatanie!
Drżyj; z powiernika, staję się twym sędzią.
Przed trybunałem zbrodnią twą zgnieciony,
Schyl, tarzaj w prochu twe królewskie czoło!
Bezsilny władco, wróć do twéj nicości!
Już króla nie znam, grzesznik jest przedemną :
Klęcz, bratobójco!

LUDWIK, *padając na kolana.*

Biada!

FRANCISZEK Z PAOLI.

Bij się w piersi!

LUDWIK, *wlokąc się ku niemu i czepiając się sukni.*

To moja, moja wina... patrz, ja klęczę,
W pierś się uderzam; u twych stóp wyznaję
Grzech jeszcze jeden... jawny...

FRANCISZEK Z PAOLI, *padając bezwładnie na krzesło.*

To nie wszystko?

LUDWIK.

Nie! książe Nemours... spiski knuł podemną;
Lecz jego śmierć... okropna jak występek.

Pod rusztowaniem jęk i łzy dziecięce...
Na swego króla targnął się trzykrotnie;
N synów zdrajcy krew ojcowska spadła :
(powstając.)
To słusznie.

FRANCISZEK Z PAOLI, rzucając go na kolana.

Zgroza!

LUDWIK.

Słusznie, lecz surowo.
Jam zbrodnie karał... nie! jam był zbrodniarzem!
Ofiary moje dławił sznur w powietrzu;
Sterczące noże w studniach je szarpały;
Nurt był mym katem, ziemia mym strażnikiem;
W pieczarach zamku, więźniów mych tysiące,
Z pod niéj do nieba wznoszą krzyk rozpaczy!

FRANCISZEK Z PAOLI.

Ach! jeśli czas żyjących uratować,
Chodź ze mną.

LUDWIK, powstawszy.

Dokąd?

FRANCISZEK Z PAOLI.

Otwórz ich więzienia!

LUDWIK.

A względy stanu?

FRANCISZEK Z PAOLI, błagając.

A Chrystusa słowo!
Chodź, zbaw twą duszę.

LUDWIK.

Z méj korony stratą?
Ja król, nie mogę.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Tyś człowiekiem pierwéj.

LUDWIK.

Dość żem objawił skruchę.

FRANCISZEK Z PAOLI, powstając.

To nic jeszcze!

LUDWIK.

Po chrześciańsku grzechy ci wyznałem.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Obstajesz przy nich; ja cię nie rozgrzeszę.

LUDWIK.

Zupełny odpust kupię od kościoła.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Lecz nie od Boga; zjednasz go pokutą.

LUDWIK, rozpaczliwie.

Chcesz więc pokuty? moja już zaczęta!
Ach! gdybyś wstąpił w piekło méj katuszy,
Gorzkiemi łzami zalałbyś oblicze!
Cierpienia ciała, choć nieznośne, srogie,
Jéj cząstką tylko : lecz męczarnie ducha...
Tęskliwość wieczna, niesmak i zwątpienie.
Wstręt mam do siebie; niegdyś syn wyrodny,
Gdy ojca wspomnę, lękam się mych dzieci.
Przyjaźni nie znam; wzgarda lub nienawiść;
Zgryzota serce toczy bez ustanku,
W świątyni nawet ząb jéj mię dosięga.
To dni straszliwe, lecz gdy mrok zapadnie!
Od żywych zbiegam, wśród umarłych żyję.
Ktoś w próżni stąpa, ciemność jest postacią,
Milczenie gwarem. Krzyż ten mi powiada
Gdy doń się modlę : Czego chcesz przeklęty?
Zasypiam; upior siada mi na piersi;
Spędzony, żądłem ją na wskróś przeszywa.
Powstaję z krzykiem : ludzkiéj krwi potoki
O łoże biją; pływam w nich : za rękę
Topielec chwyta, po zbudzeniu czuję
Przyglnięte doń drgających ciał okruchy!

FARNCISZEK Z PAOLI.

Czy tak? nieszczęsny!

LUDWIK.

Ty truchlejesz, książę!
To moje winy, to pokuta moja;
Z nią śpię, z nią czuwam; a choć wiekiem zgięty,
Na wpół umarły lecz spragniony życia,
Do dna wysączam tę zatrutą czarę;
I z wszystkich cierpień które w niéj zebrane,
Najsroższém trwoga dopić ją do reszty...

FRANCISZEK Z PAOLI, po pauzie.

Chodź więc; litości doznasz raz potęgę,
Skonania męki ulżysz jéj słodyczą.
Czyn miłosierny błogi sen ci wróci,
Dziękczynne głosy z rana cię pokrzepią :
Nie zwlekaj!

LUDWIK.

Późniéj.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Zaraz! Bóg nie czeka!

LUDWIK.

Więc jutro.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Jutro, gdy cię śmierć zaskoczy!
Daj rękę, chodźmy.

LUDWIK.

Straż nademną czuwa :
Bezpieczny jestem.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Wśród złorzeczeń tylu?
(chwytając go za rękę.)
Czas mija!

LUDWIK, wydzierając się.

Dajże chwilę do namysłu.

FRANCISZEK Z PAOLI.

Więc, ojcobójco, żegnam cię na wieki.

LUDWIK, przerażony.

Ty mię potępiasz?

FRANCISZEK Z PAOLI.

Wszystko Bóg naprawia :
Gdy on nie wyrzekł, sądzić mi nie wolno.
Lecz nie trać, synu, téj ostatniéj zwłoki;
Wyżebraj, wypłacz, by z natchnienia jego
Twe serce zmiękło dla nieszczęścia braci :
Niech nowe życie dla nich się zaczyna.
Gdyś chciał utulić boski gniew nad sobą,
Z ich więzień głębi, jękiem i żałobą,
Ich krzyk zagłuszał głos mściwego ducha;
Stłum go pociechą, niebo cię wysłucha.

SCENA VII.

LUDWIK, patrząc za odchodzącym.

Stój, ojcze!... pierzcha, prawiąc o litości!
Ustąpić mu? nie, nigdy!

(Franciszek z Paoli, przy drzwiach stojący, wychodzi na te słowa.)

W niepewności,
W nieszczęścia toni, kto mi rękę poda?
Królowa niebios... z nią łatwiejsza zgoda.

(klęka przed pulpitem, odkrywa głowę i hełm z ołowianą Matką Boską przed sobą stawia.)

Maryo d'Embrun, którą lud mój święci,
Wiesz, że dla państwa mam najlepsze chęci.
Zeznaj więc, dziewico błoga,
Że ku jego większéj chwale
Trzymam silnie i wytrwale
Władzę, którą mam od Boga.
Król, sądząc winnych, spełnia swe zadanie;
Gdy karze, prawo ma do twéj opieki:
Niech się wola twoja stanie,
I moja także! teraz i na wieki.

SCENA VIII.

LUDWIK, NEMOURS.

NEMOURS odsłoniwszy kotarę, nieruchomy, z sztyletem w ręku.)

On dał ci, ojcze, skończyć twą modlitwę.

(Na obojach w oddali, grają zwrotkę tańca wieśniaków.)

LUDWIK, przeżegnawszy się, powstając.

Znów chłopi!

(idąc do okna.)

Gdy powraca do swéj chaty,
Najlichszy kmiotek śpiewa po robocie;
Szczęśliwy nędzarz! zaśnie snem spokojnym,
A ja...

(odwraca się i staje oko w oko z Nemourem, który rzuca się na niego.)

Co widzę! Nemours!

NEMOURS.

Milcz!

LUDWIK.

Ja milczę.

NEMOURS.

Nie wstawaj.

LUDWIK.

Nie.

NEMOURS.

Twa straż nad tobą czuwa,
Bezpieczny jesteś?

LUDWIK.

Jestem twój, wyznaję.

NEMOURS.

Kto gardzi życiem, króla ma w swéj mocy?

LUDWIK.

Mów, czego pragniesz?

NEMOURS.

Zemsty.

LUDWIK.

Sądź rzetelnie.

NEMOURS.

Nie ja twym sędzią.

LUDWIK.

Kto nim jest?

NEMOURS.

Mój ojciec.

LUDWIK.

Ty sam.

NEMOURS.

Mój ojciec.

LUDWIK.

Ty.

NEMOURS.

Mój ojciec, mówię!

LUDWIK.

On by mię zgładził.

NEMOURS.

Wyrok twój wydałeś!

LUDWIK.

Nie spełnij go; bądź dobry.

NEMOURS.

Sprawiedliwy.

LUDWIK.

Wysłuchaj prośbę!

NEMOURS.

Prosił cię tym listem...

LUDWIK.

Do mnie?

NEMOURS.

Do ciebie, w którym cię zaklina...

Lecz tyś odesłał.

LUDWIK.

Kiedy?

NEMOURS.

Przy skonaniu
Miał go na piersi; to spuścizna moja;
Poznajesz go? Niech świadczy przeciw tobie,
Szalbierzu! patrz i czytaj!

LUDWIK.

Miłosierdzia!

NEMOURS.

Ty go nie miałeś. Czytaj pod sztyletem.

LUDWIK.

Nie mogę.

NEMOURS.

On mógł pisać nim go zcięto:
Tak samo czytaj.

LUDWIK.

Stój, ach stój! umieram.
Ta stal mię ściga, błyszczy przed oczyma,
Zaślepia mię; precz! odwróć ją... nie mogę.

NEMOURS.

Posłuchaj tedy.

LUDWIK.

Zlituj się!

NEMOURS.

Posłuchaj :

Odpowiesz potém.

(czyta.)

« O Najmiłościwszy
Wszechwładco nasz i królu, jak najkorniéj
Polecam się wysokiéj jego łasce
I przebaczeniu. » Słyszysz!

LUDWIK.

Tak, zbłądziłem;
Lecz ojcu twemu, tobie, twéj drużynie,
Przywrócę cześć, oddając ci twe dobra.
Nagrodzę wszystko; jeśli chcesz dowodu,
Co tylko żądasz będzie ci przyznane.

NEMOURS.

Poniżéj :

(czyta.)

« Będę służył mu tak wiernie,
Iż pozna żal mój szczery i serdeczny;
Wyrzeknę się mych błędów i naprawię. »
Słyszałeś?

LUDWIK.

Syn mój zginąłby sierotą;
Ty ojca mu zachowasz.

NEMOURS, czytając.

« Odpuść winę
Mnie i méj dziatwie, bym nie skonał śmiercią
Haniebną i sromotną, przekazując
Tułactwo synom, o żebranym chlebie.
Dla Boga, królu, zlituj się nademną
I memi dziećmi. » Coś dla nas uczynił?
Odpowiedz jemu!

LUDWIK.

Na królewskie słowo,
Za wasze krzywdy wydam ci Trystana.

NEMOURS, czytając.

« Dnia ostatniego stycznia, pod Bastylją,
W żelaznéj klatce. » Gdy go z niéj wyjęto...

LUDWIK.

Zapomnij o tém.

NEMOURS.

Ja! zapomnieć? patrzaj!

LUDWIK, obłąkany.

Gdzie?

NEMOURS.

Pod sztyletem : w głos!

LUDWIK, czytając.

« Twój biedny Jakób
D'Armagnac[1]. »

NEMOURS, łkając.

Podpis młodych lat wspólnika :
Tu... jego krew!

1. Ostatni list Jakóba d'Armagnac do Ludwika XI.

LUDWIK.

Łzy ronisz!

NEMOURS.

Moja zemsta,
Te łzy ci drogo sprzeda.

LUDWIK, wlokąc się u stóp jego.

Więc naprożno?

Ty chcesz...

NEMOURS.

A w jaki sposób ją nasycę,
Chcąc aby zbrodni kara się zrównała?
Jest jeden tylko.

LUDWIK, padając na wznak.

Moja śmierć?

NEMOURS, podniesiony sztylet odrzucając.

Twe życie!
Znam twoje męki, z nich cię nie wyzwolę!
Żyj więc, lub raczéj przewlecz twe skonanie.
Umieraj długo, aby twe podstępy,
Twe okrucieństwa, cięższém je zrobiły;
By każdy dzień do smętnych dni dodany,
Był ci przedsmakiem twéj nieśmiertelności!...
Oczekuj na nią : aż cię niezbłagana
Dojrzalszym zbrodnią, porwie w głąb otchłani!...
Jam słyszał spowiedź, świadkiem był katuszy,
Wysłuchaj, Panie, głos przeklętéj duszy :
Nie pozwól skonać na tym nędzy szczycie,
Daj życie, cudem! daj stuletnie życie!

(wybiega drzwiami pokoju lekarza.)

SCENA IX.

LUDWIK, późniéj TRYSTAN, CRAWFORD, STRAŻ SZKOCKA, RYCERZE, DWORZANIE.

LUDWIK, zająkliwym głosem, przychodząc do zmysłów.

Ratunku!... Trystan!... chwytaj go, mordercę!
Pochodni! światła!... on mi godzi w serce,
Podnosi sztylet : wydrzyj z rąk, niech zginie!
Weź, uderz... skrył się; lecz go śmierć nie minie.

(wskazując pokój lekarza, gdzie Trystan biegnie z kilką Dworzanami.)

Rozbójnik, Nemours... tu jest, tam i wszędzie!

(do Szkotów.)

Straż do mnie. Stójcie! schronił się w ich rzędzie.
Cóż to za widmo przed ołtarzem sunie?
Mój ojciec... brat mój... tysiąc mar w całunie!
Nazwisko moje ktoś wymówił z cicha,
Tam, za kotarą... słyszę jak oddycha...
Pod łożem!... zdrajcy znaleść nie możecie?
Wy z nim sprzysięgli : ja go widzę przecie!
Tłum ich do koła! patrzcie, już są bliscy!
Rozstąpcie się! do pieczar, za mną wszyscy!

(wybiega z komnaty i wszyscy za nim w popłochu.)

AKT PIĄTY.

Sala w zamku; trzy wejścia w głębi. Po lewéj ręce stolik, i łoże niskie z kobiercem.

Dworzanie rozmawiają z cicha, jakby pod wrażeniem wielkiego wypadku; niektórzy się przechadzają, inni stojący lub siedzący, tworzą grupy; najliczniejsi otaczają płaczącego królewica.

SCENA I.

HRABIA DE LUDE, KSIĄŻE DE CRAON, KRÓLEWIC, TRYSTAN, CRAWFORD, DWORZANIE.

HRABIA DE LUDE, do księcia de Craon.

Co, Coitier w spisku?

KSIĄŻE DE CRAON.

Tak jest.

HRABIA DE LUDE.

Niepodobna!

KSIĄŻE DE CRAON.

Lecz prawda.

HRABIA DE LUDE, do Trystana przechodzącego z Crawfordem.

Trystan!

TRYSTAN, zbliżając się.

Hrabio?

HRABIA DE LUDE.

Tu, z osobna.
Więc on i Nemours...

TRYSTAN.

Dziś straceni będą.
Król omdlał; skoro siły mu przybędą,
Chce sam być świadkiem.

KSIĄŻE DE CRAON.

On, o księdza prosi!

TRYSTAN, wracając do Crawforda.

Niemądrze czyni, kto tę wieść roznosi;
Porządni ludzie złym językiem gardzą.

KSIĄŻE DE CRAON.

Król ma się lepiéj, kat zuchwały bardzo.

HRABIA DE LUDE.

Zgon wyższych królów, to powszechny zamęt;
Do Tours z parami zjeżdża nam parlament:
To bezkrólewiem trąci... już w oddali
Rząd przeszły z przyszłym ważą się na szali.

ZŁOTE-RUNO, wchodząc.

Oleje święte król przyjmuje właśnie:
Raczycie powstać.

KRÓLEWIC, klękając.

Więc za chwilę zgaśnie
Ta wielka dusza!

DWORZANIN, z bliska i nad uchem.

Co za syn!

(Wszyscy powstają; parę chwil milczenia.)

SCENA II.

CIŻ, FILIP.

FILIP, trzymając dwa listy.

Paziowie!

(Jeden z nich się zbliża.)

Do księcia Orleanu... niech odpowie.

(do drugiego.)

Hrabiemu Beaujeu dziś ten list, baronie.

(Paziowie odchodzą.)

HRABIA DE LUDE, do księcia de Craon.

Zbyt wiele książąt marzy o koronie.

KSIĄŻE DE CRAON.

Hrabina Beaujeu a królewska córa,
Za życia zbiegła; patrz co to natura!
Po jego śmierci, w Tours się zjawi prędko.

HRABIA DE LUDE.

Lecz d'Orleans jéj nie da być regentką.

KSIĄŻE DE CRAON.

Ja zaś ci ręczę, że kawaler dawny
W jéj sieci wpadnie, choć intrygant sławny.

DWORZANIN.

Przy kim stoicie państwo w téj przygodzie?

HRABIA DE LUDE.

Przy księciu.

KSIĄŻE DE CRAON.

Przy niéj.

FILIP.

Kto z was przy narodzie?..

(po pauzie, w zamyśleniu.)

Nikt zgoła.

CRAWFORD, przechodząc z Trystanem.

Zacność w tém plemieniu skąpa.

TRYSTAN.

A przecie żyje.

FILIP, dosłyszawszy.

Bo wciąż naprzód stąpa.

DWORZANIN, przy królewicu.

Na bok! za króla oto syn się modli.

CRAWFORD.

Jak przed następcą cały dwór się podli!
Król słabszy.

TRYSTAN.

Niech mu Bóg przytomność wróci,
Doniosę wszystko.

HRABIA DE LUDE, nadchodząc.

Zbyt się książe smuci:
Lud jego wierny z moich ust przemawia.

FILIP.

Marynia za Nemourem wciąż się wstawia;
W imieniu księcia śmielszy głos podnoszę,
Król da się zmiękczyć.

KRÓLEWIC.

Idź.

FILIP.

Miecznikū, proszę.

TRYSTAN.

Cóż?

FILIP.

Do téj prośby książe mię zachęca:
Nic nie przyspieszać.

TRYSTAN, z żywością.

Każda chęć książęca
Jest dla mnie prawem.

KSIĄŻE DE CRAON.

Otóż sam kardynał.

SCENA III.

CIŻ, KARDYNAŁ D'ALBY, wychodzący z królewskiéj komnaty.

KRÓLEWIC.

No cóż, mój ojciec?

KARDYNAŁ.

Modlić się zaczynał,
Gdy znowu zasłabł... leży bez pamięci;
Lecz rozgrzeszeniem kościół go uświęci.
W męczeński zastęp wejdzie król umarły,
Gdyż jego cnoty niebo mu otwarły;
Był zawsze szczodrym : to nasz duch obrończy!
Niech tak przykładnie każdy z nas zakończy.

KRÓLEWIC.

Ach! już się stało!

HRABIA DE LUDE.

Przyjm korony ciernie
Dla szczęścia kraju.

KARDYNAŁ.

Panuj więc; my wiernie
Pomagać będziem.

KRÓLEWIC.

Czy w ostatniéj doli
Uścisnąć ojca Bóg mi nie pozwoli?

FILIP.

O, żal mi księcia!

HRABIA DE LUDE.

W swych zamiarach rzutny,
Dla syna przecież nadto był okrutny.

KRÓLEWIC.

Nie, cobądź czynił chęć miał zawsze zdrową.

KSIĄŻE DE CRAON.

ecz nam przystoi sądzić go surowo,
Jak on sam sądził.

FILIP.

Choć się zgubić miałem,
W skrytości nieraz to mu powiedziałem!

KRÓLEWIC.

Wasz udział szczery mi najmilszym będzie.

KARDYNAŁ z cicha, do księcia de Craon.

Pan d'Argenton chce zostać przy urzędzie.

KSIĄŻE DE CRAON.

On z tym kto wyżéj.

SCENA IV.

CIŻ, OLIVIER.

OLIVIER.

Dobra wieść, panowie!
Król żyje.

KRÓLEWIC.

Żyje!

OLIVIER.

Wnet odzyska zdrowie.

KRÓLEWIC.

Mój ojciec!

HRABIA DE LUDE.

Wreszcie!

KSIĄŻE DE CRAON.

Olivier mój drogi!

KARDYNAŁ.

Bóg łzy wysłuchał.

OLIVIER.

Więc już nie ma trwogi.
Do zmysłów przyszedł; na mnie wsparty bokiem,
Z pościeli spłynął i postąpił krokiem :
To znak ulżenia; lecz drażliwy zawsze,
By się przeświadczyć że ma siły żwawsze,
Chce, dla odmiany, przejść bez méj pomocy
Na łoże, którem tu przyrządził w nocy.
Z rozkazu jego książe się oddali;
Ja sam, z Trystanem, czuwać mam w téj sali.

KRÓLEWIC.

A ja? mój Boże!

OLIVIER.

Wyjść królewic raczy;
Za moją prośbą, wkrótce go zobaczy.

KRÓLEWIC.

Żem ci jest wdzięczen, łzy te są dowodem.

FILIP.

Ja też.

KILKU DWORZAN.

My wszyscy!

KARDYNAŁ.

Cały kraj z narodem!

ZŁOTE-RUNO, wchodząc.

Parlament czeka.

KRÓLEWIC.

Idźmy więc... W mém łonie
Nieznana radość i nadzieja płonie!

KARDYNAŁ, wychodząc za nim.

Namaszczeń świętych taka jest potęga.

HRABIA DE LUDE, wychodząc z księciem de Craon.

Ta chwiejność króla wszystko znów rozprzęga.

SCENA V.

FILIP, OLIVIER, TRYSTAN.

OLIVIER.

Jesteśmy sami.

FILIP.

Cóż?

OLIVIER.

Tom rzekł, dla ludzi.

TRYSTAN.

Lecz dla nas?

OLIVIER.

Kto wie czy się jutro zbudzi.

FILIP.

Więc fałsz?

OLIVIER.

Król zdrowszy, bo w nim duch olbrzyma;
Lecz po téj kryzie, drugiéj nie wytrzyma.
Chęć jego zmienna i zwątlona głowa;
Wciąż jak w obłędzie, plącze myśl i słowa.
By w siebie wmówić że ma pełną władzę,
Zwołuje stany; ufny w swéj powadze,
Chce śmierć odstraszyć blaskiem swéj odzieży;
Pod wieńcem złotym rzadki włos się jeży:
W sobolim płaszczu, liljach i szkarłacie,
Królewskie widmo pełza po komnacie,
Odtrąca służbę; lecz zaledwie ruszy,
Już wysilony, pada jak bez duszy,
I szepce do mnie tchnieniem oniemiałém:
« Od lat dwudziestu tyle sił nie miałem,
Niech Coitier przyzna. »

TRYSTAN.

Kazał mi trzykrotnie
W najgłębszą turmę wtrącić go sromotnie.

FILIP.

Co mówi o Nemourze?

OLIVIER.

Nie pamięta.

FILIP.

Niech pierwéj zgaśnie dusza ta niezgięta!

TRYSTAN.

Czas się rozpatrzyć.

OLIVIER.

połączyć ściśle.

FILIP.

Wy dwaj; co do mnie, ja swobodniéj myślę;
Doraźny sąd was czeka, po téj stracie.

TRYSTAN.

Co, jak?

OLIVIER.

On prawdę ci powiada, bracie.

TRYSTAN.

I tobie także.

OLIVIER.

Miałeś dłoń zbyt żwawą,
I krew przelana mścić się będzie krwawo.

TRYSTAN.

Ktoś wyższy od nas rękę mą prowadził.

OLIVIER.

Nikogom nie zciął.

TRYSTAN.

Nigdym źle nie radził.

OLIVIER.

Jam zawsze działał z mém sumieniem zgodnie.

TRYSTAN.

Sumieniem, jakiém?

OLIVIER.

Gdzież są moje zbrodnie?

TRYSTAN.

A moje?

FILIP.

Ciszéj.

TRYSTAN.

Patrz, ten golibroda!

OLIVIER.

Ten kat!

FILIP.

Panowie, to na późniéj, zgoda!

TRYSTAN.

Niech król to brzemie złoży sam na siebie:
On wszystko zrobił.

FILIP.

Trystan!

OLIVIER.

Jak Bóg w niebie!

FILIP.

Ostrożnie!

TRYSTAN.

Z prawdą już się nie chcę kłócić.

FILIP.

Czekajcie śmierci by mu to wyrzucić.
Lecz oto król.

TRYSTAN.

Pół nicość, pół jestestwo.

OLIVIER.

Zachowaj, Panie, króla i królestwo!

SCENA VI.

CIŻ, LUDWIK wsparty na kilku Służących.

LUDWIK, stając nagle.

Kto są ci ludzie?

OLIVIER.

Olivier.

LUDWIK.

A, prawda.

Ci dwaj?

OLIVIER.

To Trystan, Filip.

LUDWIK.

A, poznaję.
Któśby pomyślał, że mam wzrok stępiony.
Dzień dobry panom.
(opiera się o krzesło; do Służących.)
Dźwigać mię nie trzeba;
Już idźcie sobie : bez was się obejdę.
(daje znak, Służący wychodzą.)

OLIVIER.

Król spocznie.

LUDWIK, siadając.

Czym schorzały?

OLIVIER.

Nie, broń Boże!

LUDWIK.

Com zdołał ongi, to dziś jeszcze zdołam.

OLIVIER.

I więcéj.

LUDWIK.

Tak ja sądzę.

OLIVIER.

Lecz, mém zdaniem,
Przezorność radzi sił nie nadużywać.

LUDWIK.

Ja też je szczędzę. Jak na miejscu wryty,
Dla czego Trystan mierzy mię oczyma?
Czy wam powiedział że mam twarz zmienioną?

TRYSTAN.

Kto, ja? przeciwnie, król jest zdrów.

LUDWIK.

I zdrowszy
Od ciebie.

TRYSTAN.

Tak jest, Najjaśniejszy panie.

LUDWIK, zasypiając powoli.

Tu mi wygodniéj; obszar i powietrze.

OLIVIER, z cicha.

Zasypia.

FILIP, podobnież.

Wspólnie, myśmy mu przysięgli
O bliskiéj śmierci ostrzedz go wyraźnie.

TRYSTAN.

I cóż nam z tego?

FILIP.

Może, przed skonaniem,
Na los narodu wywrzeć wpływ zbawienny.

OLIVIER.

I ciepłą ręką spłacić dług przyjaźni.

TRYSTAN.

Więc choć raz w życiu prawdę mu powiemy.

LUDWIK, drzemiący.

Niech Trystan czuwa.

TRYSTAN.

Jak nad własnym ojcem.

OLIVIER.

Kto ją wypowie?

TRYSTAN.

Ten kto ma pewniejsze
U niego wzięcie, i kto lżejszą dłonią,
Potrafi drasnąć tak zjadliwą ranę.
Więc ty.

OLIVIER.

Koniecznie?

FILIP.

Przemów.

OLIVIER.

Ja go kocham,
Najczuléj kocham; trudno by mi było
Utaić żal mój, panem być wzruszenia :
Miłością zbytnią zgubę bym przyspieszył.
Więc, po namyśle, sądzę, że z téj sprawy
Któś wytrawniejszy lepiéj się wywiąże.

FILIP.

Ja też... lecz na co mu przydawać męki?
Najzręczniéj Trystan węzeł ten rozetnie;
On wprost uderzy.

OLIVIER.

Zgoda, szczęść ci Boże!

TRYSTAN.

Do licha, rzecz nie łatwa.

OLIVIER.

Lecz dla ciebie...

LUDWIK.

O czém te szepty?

OLIVIER.

O królewskiém zdrowiu.

LUDWIK.

Że tak wypadło, cieszyć się możecie.
Lecz Coitier czemu dotąd się nie zjawia?
On mi potrzebny, chcę go mieć koniecznie.
Idźże po niego.

TRYSTAN.

Lecz król wie...

LUDWIK.

Wiem tylko
Żeś nie dość skory.

TRYSTAN.

Przecież...

LUDWIK.

Idź, ja każę.
(Trystan wychodzi.)

SCENA VII.

LUDWIK, OLIVIER, FILIP.

LUDWIK, biorąc Filipa pod ramię.

Przejażdżka konna wyjdzie mi na dobre;
Niech mi tu wpadnie mój Jelonek złoty,
Któregom z Anglji dostał od Ryszarda.
Koniuszy dworu mi go przysposobi.

OLIVIER.

Król chce...

LUDWIK.

Chcę uszczwać sarnę lub rogacza.
W głos wszystkim powiedz, że na łowy jadę.

OLIVIER.

Przystałoby...

LUDWIK.

Wyjdź!

OLIVIER.

Nim się król wybierze,
Doktora spytać.

LUDWIK.

Tyś nie wyszedł jeszcze!

OLIVIER, do Filipa.

Dowolność wraca.

SCENA VIII.

LUDWIK, FILIP.

LUDWIK, po przechadzce, siadając na łożu i zbierając pismo ze stolika.

Te przestrogi nowe
Dodane do « Różańca wojennego »,
Powszednie, lecz roztropne.

FILIP.

Król autorem.

LUDWIK, podając mu pismo.

Weź, czytaj.

FILIP, czytając.

« Gdy królowie nie uznają
Wyższości prawa, kradną swym poddanym
Co już w ich ręku, a nie dają tego
Co mieć im trzeba. Tak lud wolność traci,
A król swą nazwę : bo nikt zwać się królem
Nie godzien, jeno kto wolnymi rządzi[1]. »

LUDWIK.

Tak, wszechmoc prawu! Gdy je gwałcić muszę,
To że bezprawiem tworzą się zdobycze.
Jam tron wyzwolił; dawniéj pod opieką,
Monarchia wzrosła, i toporem zbrojna,
Zagraża tym, co drogę jéj zachodzą.
Przyszłości szkopuł, to zbyt silna władza;
Co ginie zbytkiem, już się nie odmładza.
Więc prawa słuchać.

FILIP.

Za tą radą świętą
Syn jego pójdzie.

LUDWIK.

Nadto się nie spieszmy;
Prawidła swoje kiedyś tu wyczyta.
Zaś mojém jest, panować własnowolnie,
sam, i długo.

FILIP.

Wszak roztropność króla
Za prawo starczy.

LUDWIK, szamocąc się z płaszczem.

Na co te ozdoby?
Czy chcecie mię domęczyć tym przepychem?
Kto wam doradził? Cóś na głowie ciężny.

1. *Różaniec wojenny*, przez Ludwika XI.

(zdejmując koronę.)

Weź, postaw przy mnie; bliżéj, bliżéj jeszcze!
Pod okiem, tu, pod ręką.

FILIP.

Téj korony
Nikt nie śmie dotknąć.

LUDWIK.

Na śmierć, kto ją ruszy!
To wszem wiadomo.

SCENA IX.

CIŻ, COITIER, TRYSTAN.

COITIER wchodząc, do Trystana.

Król usłyszy prawdę;
Ja mu ją powiem.

LUDWIK.

Coitier, zkąd powracasz?

COITIER.

Zkąd? Na uczciwość, trzeba być bezdusznym,
By znieść ten żart spokojnie. Zkąd powracam?

LUDWIK.

Odpowiedzże.

COITIER.

Lecz ręka ta zsiniała
Od srogich więzów które ją zelżyły,
Odpowie za mnie.

LUDWIK.

Ja cię nie rozumiem.

COITIER.

Zkąd wracam? z lochu.

LULWIK.

Ty?

COITIER.

Król o tém nie wie?

LUDWIK.

Kto kazał?

COITIER.

Król.

LUDWIK.

Nieprawda.

COITIER.

Jak Bóg Bogiem,
W méj obecności.

LUDWIK.

Gdzie? dla czego? kiedy?

COITIER.

Posądzać mię, żem dzielił ich zamiary!
Lecz gdybym się odważył na tę zbrodnię,
Kto mi zawadzał? Kto był między nami?
Kto mi zabraniał skończyć z nim od razu?
Nikt! Wszakże mogłem tajnie i bezkarnie;
Lecz ja, wspólnika wpuścić za kotarę!...

LUDWIK, zrywając się.

Poczekaj.

COITIER.

Skryć go!

LUDWIK.

Czekaj!... Sen straszliwy!
Téj nocy, u mnie zbójca...

COITIER.

Nie, wygnaniec...

FILIP, z cicha.

Doktorze!

COITIER.

Przecież, o połowie zbrodni,
Gdy mógł uderzyć, on przebaczyć umiał,
Choć nie jest królem.

LUDWIK.

Nemours! bez litości!
Zciąć go!

FILIP, do lekarza.

Coś zrobił... już był zapomniany.

COITIER.

Co słyszę?

LUDWIK.

Ach! tyś mój przyjaciel szczery,
Boś mi przypomniał zamach i złoczyńcę.

(do Trystana.)

Czy zginął?

TRYSTAN.

Panie...

LUDWIK.

Co, nie zcięty! zdrajco!

TRYSTAN.

Przez litość dla przestępcy, młody książe
Wyprosił zwłokę.

LUDWIK.

Po wyroku śmierci,
Za królobójstwo!... Jakaż to wymówka!
Cóż się tu stało? Czym cię nie dosłyszał?
Czy mię sądzicie już pod ziemią, w Clery?
Mój syn!... zawcześnie rwie się do korony;
Królewic wasz na króla nie wyrośnie.

COITIER.

Zaprzestań wreszcie mnożyć twe ofiary;
O Bogu czas pomyśleć i zbawieniu,
Bo śmierć już bliska.

LUDWIK.

Czyja śmierć?

COITIER.

Ja mówię
Że dzień ten i godzina jest ostatnią
Dla ciebie, królu!

LUDWIK.

Nie! dla królobójcy,
Cobądź mię czeka, jest ostatnią! Coitier,
Ty kłamiesz, przyznaj.

COITIER.

Na to światło słońca,
Wyrzekłem prawdę: zważ co chcesz uczynić,
Za chwilę zdasz rachunek.

LUDWIK, do Trystana.

Czy słyszałeś?
On zginie lub ty zginiesz.

FILIP, podchodząc do Trystana.

Pół godziny.

TRYSTAN, wychodząc.

Ja dbam o własne gardło.

SCENA X.

CIŻ, oprócz TRYSTANA.

LUDWIK.

Nie, ty zmyślasz,
Ty chcesz mię straszyć; ta złowroga chwila
Daleko jeszcze.

COITIER.

Ja rzetelnie mówię.

LUDWIK.

Zażegnać przecie można to nieszczęście.
Jakżeś mię skrzywdził!... patrz, krew moja stygnie,
Opróżnia serce, głowę mi zawichrza...
Idź po następcę.

FILIP.

Zaraz...

LUDWIK.

Nie, zaczekaj:
Zwątpionym by mię sądził... Wzrok ciemnieje,
Dzień gaśnie... jakiś ciężar pierś przygniata,
Tamuje oddech... lecz to mdłość przelotna,
To nie skonanie. Coitier, zbaw mię, bracie...
Powietrza... ratuj... masz te wszystkie skarby...
Ja niechcę umrzeć. Wołać tu następcę!...
Nie, to nie śmierć... o Boże, Boże, Boże...

(na łoże pada nieruchomy.)

COITIER.

To śmierć.

FILIP.

Nie daj mu skończyć aż powrócę:
Po księcia biegnę.

COITIER.

Spiesz się.

SCENA XI.

LUDWIK omdlony, COITIER.

COITIER wpatrując się w niego, po chwili milczenia.

Jestem wolny!

(dotykając twarz i podnosząc powieki.)

Zsiniałe wargi, zgasły wzrok, skroń wklęsła,
Zniszczenia noszą zbyt wyraźne piętno.

(podnosi ramię, które wnet opada.)

To głaz: już koniec!... lecz, gdy serce bije,
Z tych walk ze śmiercią może wyjść wpół-żywym.
Ocucić mogę... jaka ztąd nadzieja?
Godzinę cierpień jeśli mu przysporzę,
Dołączam nową do spełnionych zbrodni,
Nemoura zgubę!... nie, już dość ohydy;

Przyrodo, działaj, bez pomocy sztuki :
Ten król z méj sprawy katem już nie będzie.
Na chwilę możesz, w tém skonaniu srogiém,
Zabójcę wskrzesić przed nicości progiem;
Zostawiam ci sromotę twego dzieła :
On zbyt mię zmęczył, dokończ coś zaczęła!

SCENA XII.

LUDWIK, KRÓLEWIC, COITIER, FILIP, OLIVIER, KILKU DWORZAN.

KRÓLEWIC, przybiegając.

Mój ojciec wreszcie serce mi otwiera!...
(do lekarza.)
Czy nie zapóźno?... Milczysz : więc umiera!
Czy skończył? mówcie... nikt nie odpowiada...
Zostawcie mię przy zmarłym... biada! biada!

FILIP.

Mój książe...

KRÓLEWIC.

Idźcie; późniéj... pod żałobą...

SCENA XIII.

LUDWIK, KRÓLEWIC.

KRÓLEWIC, klęcząc przy łożu.

Mój ojcze, królu, otom jest przed tobą.
Racz przyjąć jęk ten z piersi méj wyrwany...
W ucisku, w grozie syn twój wychowany,
Na gorzkie słowa zdawał się nieczuły;
I zamiast skarżyć, gdy mu serce truły,
Sam w siebie wmawiał że zasłużył na nie,
By twéj słuszności wzbudzić w niém uznanie.
Nie mogłem cię przebłagać, ojcze drogi;
I dziś całuję pierwszy raz bez trwogi
Tę zimną rękę i tę skroń zmartwiałą,
Gdy już to tchnienie ograć ich nie miało!
Ach! trzebaż dla mnie śmierci twéj zaklęcia,
Bym śmiał przytulić ojca w te objęcia!
(powstając.)
Ja, miałbym serce twéj korony chciwe,
Gdy pod nią zwiędły rysy te sędziwe;
I jak te lilje włosy twe zbielały,
Promienne blaskiem już niezgasłéj chwały!
(biorąc koronę.)
Od ciebie biorę ciężką tę spuściznę :
Bodajbym był jéj godnym!

SCENA XIV.

CIŻ, MARYNIA.

MARYNIA padając do stóp królewica, z wzniesionym pierścieniem.

Na Ojczyznę,
Na Boga, królu, wzywam cię i proszę,
Miéj litość nad nim! dar ci twój odnoszę;
Już go kat mściwy trzyma pod żelazem,
Za chwilę straci... lecz umrzemy razem!
Odwołaj wyrok; skrusz Nemoura pęta!
Królewic przyrzekł, niechaj król pamięta!

KRÓLEWIC.

Maryniu, powstań; król dotrzyma słowa;
(wkładając koronę na głowę.)
I na pamiątkę, pierścień twój zachowa.
(W ciągu téj sceny i przy końcu poprzedniéj, stopniowe ocucenie się Ludwika, drobnemi poruszeniami się objawia. Król wyciąga ramię szukając korony; dźwiga się i patrzy w około siebie. Oparty na stoliku, czołga się aż do królewica i ręką mu ramienia dotyka. Ten, z krzykiem pada na kolana, obok Maryni.

LUDWIK, do królewica oddającego mu koronę.

Masz ją, zachowaj; widzę śmierć u progu...
Ten cios przyjmuję i poświęcam Bogu;
Przez jego słuszność był mi wyznaczony,
Bo ręką syna, ojciec mój pomszczony.

SCENA XV.

CIŻ, FRANCISZEK Z PAOLI, OLIVIER, FILIP, KARDYNAŁ D'ALBY, KSIĄŻE DE CRAON, HRABIA DE LUDE, ZŁOTE-RUNO, DUCHOWNI, DWÓR, PARLAMENT.

LUDWIK.

Przystąpcie wszyscy. Synu mój, dla ciebie
Korona Francyi, mnie korona w niebie.
Nim głos mój zgaśnie, słuchaj go nabożnie [1] :
Czyń co ci mówię, nie com czynił zdrożnie.
Kraj był za ciasny, jam go rozprzestrzenił;
Stworzyłem państwo, lecz się lud wyplenił :
Masz go swobodnym, niech szczęśliwym będzie.
Interes wspólny miéj na pierwszym względzie;
(z cicha.)
Nieś hołd Rzymowi, nie ustępuj w niczém.
A choć wspaniały sercem i obliczem,
Nie wierz pochlebcy co przed tobą klęczy.
Gdy musisz karać, prawo cię wyręczy;
Niech tylko zbrodnia sądu się obawia :
Lecz gdy przebaczasz, niechaj król przemawia.

MARYNIA, z rozpaczą.

Ach, mów : przebaczam!

FRANCISZEK Z PAOLI.

Bóg na cię spogląda;
Z nauką razem on przykładów żąda!

KRÓLEWIC.

Bądź miłosiernym!

LUDWIK, do Franciszka z Paoli.

Jeśli nim zostanę,
Czy mi odpuści, gdy przed Bogiem stanę?

FRANCISZEK Z PAOLI.

Tyś księciu Nemours nie przebaczył jeszcze.

LUDWIK.

Przebaczam.

MARYNIA.

Ja mu rozkaz twój obwieszczę;
Ja pierwsza... Trystan!

1. Ostatnie przestrogi Ludwika XI do syna.

SCENA XVI.

CIŻ, TRYSTAN.

TRYSTAN.

Miecz wymierzył karę.

MARYNIA, padając na krzesło.

Ach!

LUDWIK.

Zawsze nędznik spieszył się nad miarę.
Niech z nim przepadnie ten służalec podły!
(wskazując na Oliviera.)
Ich zgubne rady w otchłań mię zawiodły.
Doczesnym sędziom zdrajców tych powierzam,
(składając ręce.)
By mój się zmiękczył gdy się w pierś uderzam.
(klękając przed Franciszkiem z Paoli.)
Daj rozgrzeszenie, jako syn kościoła;
Zbaw duszę z piekła. . oto śmierć mię woła...
Niech twoje modły w niebo mię prowadzą.
W pokorze serca już się brzydzę władzą,
Już znać jéj nie chcę. Berło? rząd? mocarze?
(powstając.)
Złudzenie... kłamstwo!... módl się... ja ci każę...
(słania się i pada umarły przed łożem; Coitier przyklęka, kładzie rękę na serce i daje znak woźnemu.)

ZŁOTE-RUNO, uroczystym głosem.

Król Francyi skonał.

FILIP odstępując od córki, skłania się przed królewicem.

Cześć Królowi!

DWORZANIE, biegnąc do królewica.

« Niech żyje Król! »

FRANCISZEK Z PAOLI.

Synu,
Zgon ojca rozważ, słowo wznieś do czynu:
Że gdy królewski szkarłat cię otula,
Dla ludu żyjesz, nie zaś on dla króla.

MARYA-MAGDALENA

CZYLI ROZPACZ I NADZIEJA

TRAGEDYA W TRZECH AKTACH.

OSOBY

MARYA-MAGDALENA.
MARTA, jéj siostra.
MARCELLA, branka z Gallji, mamka Magdaleny.
GOŁĄBKA Z NAIM, synowica Marcelli.
SALOMEA, synowica Heroda-Antypasa.
SYHORA, wiedźma.
NATANAEL, jéj wychowaniec.
ŁUKASZ, malarz z Antyochii.
JAN, JUDASZ } apostołowie.
KAJFASZ, najwyższy kapłan.
BARUCH, naczelnik senatu.
SZYMON, podskarbi.
GALL, rycerz z Marsylji.
JÓZEF Z ARYMATEI, esseńczyk, doktor prawa.
EMILJA, JOANNA } ich żony.
HIRAM, budowniczy.
DANIEL, JONASZ } kamieniarze.
BARABASZ, najemnik.

LUD, MULARZE, KAPŁANI, LIKTORZY, SŁUŻBA.

Rzecz w Solimie, r. 33 ery Chrystusowéj.

« Majora canamus. »

VIRGILIUS.

AKT PIERWSZY.

MIŁOŚĆ.

W Solimie, w pałacu Magdaleny, na piętrze.

SCENA I.

MAGDALENA, DANIEL, JONASZ, SŁUŻBA, później MARCELLA.

MAGDALENA.

Rozwińcie skrzydła, wy proporce święte,
Rubena dłonią niegdyś tu zatknięte;
Dzień wiecznéj chwały dla Syonu dzieci
Machabeuszów godła dziś oświeci.
Niech nad przysionkiem żarzą się pochodnie;
Z kagańców greckich niech kadzidła wschodnie
Napełnią przestwór ziół Libanu wonią;
Przy brzęku czar niech złote lutnie dzwonią.
Za danym znakiem, gaj się rozpłomieni
Słonecznym blaskiem; noc się w dzień zamieni:
Niech śpiewne pląsy wzrok i słuch weselą,
Biesiada za godzinę!

(Daniel, Jonasz i Służba wychodzą; Marcella u progu.)

Chodź, Marcello;
Daj naramiennik, perły włóż na szyję...
Tyryjski rąbek moje łzy pokryje.

MARCELLA.

Co, jeszcze łzy? pod tym bławatnym wieńcem
Tyś jest królową!

MAGDALENA.

Mych poddanych jeńcem!
Królowa rządzi, ja się czołgać muszę,
Bom zaprzedała serce, krew i duszę...
Więc będę śmiać się, choć z rozpaczą w łonie;
Śmiać się... aż jutro nicość mię pochłonie!

MARCELLA.

Nicości nie ma, duch jest wieczny...

MAGDALENA.

Kto wie...
Nazarejczyka głoszą tak uczniowie:
Zobaczym... Goście niech czekają z bliska.
Kto zaproszony?

MARCELLA, podając tabliczkę.

Oto są nazwiska.

MAGDALENA.

Odczytaj.

MARCELLA, czytając.

« Najprzód, słynny gość z Marsylji,
Prześwietny Gall...

MAGDALENA.

Twój ziomek, mąż Emilji,
Z Cezarów rodu.

MARCELLA.

« Twój rysownik, Łukasz...

MAGDALENA.

A, pięć talentów w skarbcu mym odszukasz;
Oszczędność dla sztuk pięknych jest naganna...

MARCELLA.

« Sędziowie Baruch, Józef i Joanna.

MAGDALENA, żartobliwie.

U Magdaleny prawa dwie podpory?
Bodaj z ich zejścia nie wynikły spory!

MARCELLA.

« Gołąbka z Naim; Szymon, twój podskarbi...

MAGDALENA.

Heroda celnik; praca go nie zgarbi,
Bo krzywy od dzieciństwa.

MARCELLA.

« Kajfasz wreszcie...

MAGDALENA, powstając.

On! pierwéj zginę!... wszystko mi zabierzcie,
Lecz niech nie widzę méj rodziny wroga!
Morderca dziatek dziś kapłanem Boga?
On lud mój zgubił zdradą swą bezczelną:
Precz z nim!

MARCELLA.

Nienawiść jego jest śmiertelną!

MAGDALENA.

A miłość piekłem! Lecz się go nie lękam,
Choć pod obydą méj przeszłości klękam;
Tetrarchy synowicę mam za sobą:
Dziś Salomea dworu jest ozdobą,
I lepiéj krajem niż Antypas włada.

MARCELLA.

Jak matka jéj, potworna Herodiada,
Z bratowéj na małżonkę gdy wyrosła,
Chrzciciela ściętą głowę mu przyniosła.

MAGDALENA.

To istny Herod... on Filipa brata
Na śmierć osądził, i pod mieczem kata
Zaślubił żonę... córka mi przychylna,
Więc ją zapraszam: pomoc jéj niemylna.
Kajfasza wymaż, méj Ojczyzny zdziercę,
Co jak wąż pełza by ugodzić w serce:
Ten z mych czczicieli jest mi najwstrętniejszy...
Któż więcéj? gości liczba się nie zmniejszy.

MARCELLA.

« Jest Jan i Judasz... »

MAGDALENA.

Dwaj apostołowie!...

MARCELLA.

Jak my, wygnańce; ludu dwaj synowie,
Prawego Boga słudzy!

MAGDALENA.

Czyń do woli;
Wśród płochéj wrzawy, śmiechów i swawoli,
Niech raz usłyszę ludzki głos uczciwy...
Wszak Jan, to skrucha!... O, trzykroć szczęśliwy
Ten dzień gdy Ruben oddał mię w twe ręce;
Ty znasz najlepiéj serce to dziecięce,
Ty, coś u piersi Maryą mię nazwała:
Ty, druga matka!

MARCELLA, na stronie.

Tobie cześć i chwała,
Dopomóż, Panie!

(Służący wchodzi.)

MAGDALENA.

Czego chce odźwierny?

MARCELLA.

Mistrz z Antyochii, twój przyjaciel wierny.

SCENA II.

MAGDALENA, ŁUKASZ, MARCELLA.

MAGDALENA, z radością.

Łukaszu, witaj! raczysz dłoń przyłożyć,
By to siedlisko świetnie dziś otworzyć.

ŁUKASZ.

Przytułek Maryi musi być uroczy;
Jasnością zbytnią mam olśnione oczy
Jak w domu bożym, lub w odmęcie bitwy.
Twój dom świątynią... lecz nie dla modlitwy.

MAGDALENA.

Wybaczam przekąs temu kto mię kocha;
Ty wciąż mi łajesz, a jam zawsze płocha:
Tyś nienamiętny... lecz chciéj zemną razem
Tym niezmyślonym przejąć się obrazem:
Patrz jak Solima ztąd wystaje cudnie!
Spojrzeniem jedném sięgasz, na południe,
Dwór Salomona, za świątynią nową
Na górze Morjah, w czworogran budową,
Tam gdzie Abraham syna chciał w ofierze
Poświęcić Bogu; tuż Antonia wieżę,

Gdzie Piłat winnych i niewinnych sądzi;
Heroda zamek, co Piłatem rządzi.
Na zachód Syon i królewskie wały;
Dawida pałac, grób ojczystéj chwały,
Golgota z krzyżem... na wschód tam, daleko,
Nad Martwém-morzem i Jordanu rzeką,
Nasz gaj Oliwny zkąd anielskie śpiewy
Z Cedronu szumem niosą nam powiewy [1].

ŁUKASZ.

Przy tym obrazie, sztuka jest bezwładną...
I ten raj ziemski nam Rzymianie kradną!

MAGDALENA.

Ach, zapomniałam... portret mój skończony;
Zapłatę przyjmiesz...

ŁUKASZ.

Już mi zapłacony.

MAGDALENA.

Przez kogo?

ŁUKASZ.

Twą przyjaźnią. W mym utworze,
Gdy nań spoglądam przy tak ślicznym wzorze,
Za każdym rysem chwyta mię zwątpienie;
Lecz zkąd niezwykłe w oczach twych cierpienie?
Na tęsknéj twarzy jakby mgła rozwiana?
Co znaczy, Maryo, dziwna ta odmiana?

MAGDALENA.

Czy jako doktor méj spowiedzi czekasz?

ŁUKASZ.

Artyście pomoc da twéj duszy lekarz.

MAGDALENA.

Marcello, zostaw nas...

(Marcella wychodzi.)

Weź pendzle, farby...
Znam twego serca i umysłu skarby:
Wypowiem wszystko...

ŁUKASZ, malując.

Słucham cię serdecznie.

MAGDALENA, z natężeniem.

Przed sobą widzisz tę straconą wiecznie
Sierotę z Tyru, którą lud z pogardą
Zwie Magdaleną; tę grzesznicę hardą,
Nienawidzącą życie, świat i siebie,
Dziś bliską śmierci...

ŁUKASZ, drżący.

Bluźnisz, jak Bóg w niebie!
W dwudziestéj wiośnie któż o śmierci gada!

MAGDALENA.

Racz nie przerywać; pendzel ci wypada...
Fenicyą zwie się bujne to przestworze
Gdzie Leont spływa na Syryjskie morze,
Sarepta zwane; tam Eucharja matka
I ojciec Syrjusz, zrodzon z krwi ostatka
Syryjskich królów, z ich Ojczyzną razem
W dniu strasznéj rzezi, padli pod żelazem.
W pierścieniu noszę krzyż, Astarty berło,
Wieczności znamię, nad święconą perłą
I nazwą Mirra, mych wykroczeń wróżbą...
Najemnik Rzymu pod Heroda służbą,
Ohydny Kajfasz, chciwy dóbr i włości,
Część naszych sierot wyciął bez litości,
A drugą sprzedał jak łupieżca srogi.
Do dziś dnia widzę matkę, wśród pożogi,
Wznoszącą ku nam krwią zbroczone dłonie...
Jéj krzyk śmiertelny wiecznie drga w mém łonie!
Już dwoje bliźniąt ściga wiatr pożaru,
Gdy rycerz obcy, wśród walczących gwaru,
Za włos chwytając, rzuca nas oboje
Na wóz niosący zmarłych łup i zbroje:
Wtém, dach mój z trzaskiem runął na podstawy.
Nasz zbawca, Ruben, wodzem był wyprawy;
W swój dom przytulił, nazwał przed ołtarzem
Syrjusza dzieci, Maryą i Łazarzem.

ŁUKASZ.

Rodzica twoja tém imieniem słynie,
Mój boski mistrzu!

MAGDALENA.

Mówisz mi o synie
Józefa żony Maryi? Ta rodzina
Wszak od Dawida wątek swój zaczyna?

ŁUKASZ.

Królowa rodem i świętością duszy,
Te dwie korony, których czas nie skruszy,
Ozdabia pracą i przykładem cnoty.
Podobny twewu, włos jéj szczerozłoty...
Warkocze rozwiąż, zdejmij te przepaski;
Niech się rozpłyną, jak słoneczne blaski...
Tak lepiéj... słucham.

MAGDALENA.

Ojciec nasz przyrodni
Miał córkę Martę; syn... to potwór zbrodni,
Chciwości, kłamstwa i bezbożnéj chuci;
Duch rodem z piekła, pewnie doń powróci.
Spojrzenie błędne jak u rozbójnika,
Namiętnym żarem duszę wskróś przenika:
Gdy śmieje, się morduje... Raz przedemną
Ten czart wyjawił miłość swą podziemną;
Otrzymał wzgardę... dla ukrycia sromu,
Znieważał, groził... lecz wygnany z domu,
Zbiegł do Piłata z godnych sług orszakiem,
I z Iskarjoty stał się Izaakiem.
Nazajutrz Ruben, Judy lwem przezwany,
Pokątnie w łożu był zamordowany;
W téj właśnie dobie, przy swéj córce Marcie,
Miał zemną ślubem złączyć się otwarcie.
Zbawieniem dla mnie było to zamęźcie...
W niém spokój duszy, w niém dozgonne szczęście;
Dziś, obca ziemia hańbę mą zagrzebie...
O matko! czemuż miałam żyć bez ciebie!

ŁUKASZ.

Masz wemnie brata... wszak przed tym wypadkiem,
Z Natanaelem, dzieł wojennych świadkiem,
Przez Antypasa Łazarz był wygnany?

MAGDALENA.

Ten bratobójca, królem dziś uznany,
Ten kat Łazarza i Natanaela,
Zbrodniami piął się na tron Izraela.
Za krew ojcowską, za swój lud w ucisku,
Agryppa mszcząc się, wezwał ich do spisku.

1. Obraz wierny Jerozolimy za czasów Chrystusa.

Wolności, sławy, sypiąc im ponęty;
Cezarów orzeł z bram świątyni zdjęty,
Miał swym upadkiem zgnieść tyrana czoło.
Już sprzysiężeni zbroją się w około
Dwóch dzielnych braci; gdy przez niecną zdradę
Wróg Iskarjota zeszedł ich naradę,
Rzymianom wydał wodzów i żołnierzy;
Tym bez wyroku karę miecz wymierzy,
Zaś wnuk Agryppa i wygnańców krocie,
W tułactwie zginą, marząc o powrocie.
Osamotniona, zbiegłam do Magdali
Przy Bethsaidzie, zkąd mi ludzie dali
Przydomek Magdaleny... Dwie zakały,
Lenistwo, pycha, w progu mię czekały,
Czatując na mnie jak piekielne duchy;
Bezwiednie wpadłam w złote ich łańcuchy...
Znasz to wybrzeże, gdzie wśród wiecznéj wiosny,
Turkawek śnieżnych słychać jęk miłosny;
Gdzie pod cedrami stoi dwór ukryty,
A w niebie, z dala, lśnią Libanu szczyty...
Tam, zbiór młodzieży, luby sen żywiołów,
Ten dar piękności który zwiódł aniołów,
Z płonącém sercem, wschodniéj krwi spuścizną,
To wszystko dla mnie czarem i trucizną:
W zabawie ciągłéj noce i poranki...
Tam raz, na łowach, syn egipskiéj branki
(W téj puszce widzisz jéj rzeźbione lice),
Oszczepem zabił u mych stóp wilczycę;
Izaak... czemuż go wspominać muszę!
Ocalił życie, lecz ujarzmił duszę,
Choć już na sobie nosił znak przekleństwa...
Zabrawszy skarby ojca i rodzeństwa,
Z mych oczu zniknął... śmiałym go nazwano!
Od wszystkich odtąd chciałam być kochaną,
A nic nie kochać. Zemsta bez ulżenia
Stłumiła we mnie pierwszych lat marzenia
O prawéj żądzy, tym niezwiędłym kwiecie
Zrodzonym w raju, nie w żyjących świecie...
Gdy za nią biegłam wśród zalotnéj tłuszczy,
Znikała wiecznie, jak widzenie w puszczy...
Nienawiść wtedy serce mi zatruła;
Na własną hańbę zimna i nieczuła,
Gardząca ludźmi, spadłam aż do głębi
Zmysłowych uciech, gdzie się rozpacz kłębi;
Do dna wyssałam jad chciwemi usty...
Aż wreszcie przesyt, budząc mię z rozpusty,
Pragnienie śmierci mi zostawił jeno...
Tak jestem dziś grzesznicą, Magdaleną.

ŁUKASZ.

Wierz w miłość Boga, miéj nadzieję we mnie:
On cię pokrzepi...

MAGDALENA.

Łudzisz się daremnie;
Bóg, dla mnie martwéj, cudu nie uczyni!
Raz niosąc dwa gołębie, do świątyni
Wstąpiłam w szabas. Kajfasz był w senacie.
Gdy mię poznano po błyszczącéj szacie:
« To Magdalena! niewiast rój zawoła,
Śmierć jéj, sprośnicy!» Lud się zbiegł do koła,
Kamieniem grożąc... czemuż mię nie zgładził!
Izaak spiesznie w sień mię uprowadził.
Naraz, postrzegłam, za tych głów obłokiem,
Człowieka, z jasnym i pogodnym wzrokiem:
Za młodu, Łazarz mistrzem go nazywał,
Pod jedną palmą w polu z nim spoczywał...
Zniknęło wszystko... zda mi się w zachwycie
Że go poznaję, że mi wraca życie;
Głos jego mocą garnie mię tajemną:
W téj chwili, patrzaj, on tu jest, przedemną!
Ku niemu stąpam łez oblana zdrojem,
Pierś osłaniając włosów mych zawojem,
Bo jęk zgryzoty już się z niéj wyrywa...

ŁUKASZ.

Zgryzota przed nim skruchą się nazywa:
On ci przebaczy!

MAGDALENA.

A ja! czy przebaczę?
Nie, sąd wydany, zwłoki nie wypłaczę!
Ta bladość wróżbę mi pewniejszą daje:
Straciłam skromność, lecz mi wstyd zostaje.
Niech zgasnę, zanim z młodych lat przelotem
Szyderstwa ludzi stanę się pomiotem,
Nim starość duszy chwyci mię bolesna...
W dwudziestym roku skrucha jest zawczesna;
Spoczynku pragnę, lecz w grobowym cieniu:
W śmierć tylko wierzę, kocham się w zniszczeniu!
Ztąd Magdalena zbiera kwiat młodzieży,
By się pożegnać z życiem jak należy;
Ztąd, w sercu tłumiąc próżny żal za grzechy,
Chcę, jakem żyła, umrzeć wśród uciechy!

ŁUKASZ.

A ja, przyjaźni błagam cię zaklęciem:
Żyj dla Jezusa, który swém dotknięciem
Odmładza starców, ślepym wzrok przywraca,
Litości cudem każdy dzień opłaca:
On cię uzdrowi!...

MAGDALENA.

Spiesznéj mi pomoże
To, co w téj perle.

ŁUKASZ.

Zbaw ją, wielki Boże!

SCENA III.

CIŻ, MARCELLA.

MAGDALENA, do Marcelli.

Cóż?

MARCELLA.

Salomea na przyjęcie czeka.

MAGDALENA.

Czy sama?

MARCELLA.

Za nią, jakiś gość z daleka.

MAGDALENA.

Zwin moje włosy... Łukasz mię rozumie;
Zgryzotę duszy pod uśmiechem stłumię.

MARCELLA.

Przyrzekasz, Maryo, że ta noc ostatnia?

MAGDALENA, wstając.

Przyrzekam...

SCENA IV.

CIŻ, SALOMEA, NATANAEL, SZYMON.

SALOMEA.

Wreszcie twa gościna bratnia
Jest nam otwarta... Pierwsza tu przybywam,
I drżącą ręką obraz twój odkrywam...
Ach! niezrównany! te pierścienie złote,
Te wdzięczne oczy... klęknąć mam ochotę.
Wszak mój, nie prawda? niech się nim napieszczę;
Cud sztuki... przecież, tyś piękniejsza jeszcze!

SZYMON.

Dałbym za niego...

SALOMEA.

Cóż?

SZYMON, po namyśle.

Sesterców trzysta.

SALOMEA.

Daj trzy tysiące... pierwszy nasz artysta!

SZYMON.

Co! pięć talentów?

SALOMEA.

Tyś poborcą danin,
A choć żyd z żydów, chciwy jak poganin.
Za takie dzieło, szczupła to nagroda;
Wszak je wynajdziem w skarbie, u Heroda.

SZYMON.

Skarb... bez pieniędzy.

SALOMEA.

Spraw podatki nowe.

SZYMON.

Już wyczerpane.

SALOMEA.

U mnie weź połowę.

SZYMON, zakłopotany.

U pani?

SALOMEA.

U mnie... cóż ci jest? on mdleje!

SZYMON, żałośnie.

Salomon z próżnéj czary nie naleje!

SALOMEA.

Ty ją napełnisz.

SZYMON.

Tysiąc dam!

SALOMEA.

To żarty;
Pięć.

SZYMON.

Dwa.

SALOMEA.

Pięć!

SZYMON.

I pół...

SALOMEA.

Lichwiarz! dziad uparty!

SZYMON.

Lecz...

SALOMEA.

Ja ci każę!...
(do Magdaleny.)
Stawiam się przed tobą
Z Natanaelem, Rzymu dziś ozdobą;
Jak ty, zrodzony pod Syryjskiém słońcem,
Powraca z Gallem, od Cezara gońcem,
I twéj urody rad przyjmuje pęta.

NATANAEL.

Jak miłość piękna, jak swoboda święta.

MAGDALENA.

Swobodę cenisz?

NATANAEL.

Kocham ją nad życie!

SZYMON do Magdaleny, z cicha.

Pan już majętny, w łaskach i zaszczycie.

ŁUKASZ.

Ma twarz Jezusa.

NATANAEL.

Z młodych lat wygnaniec,
Łazarza żołnierz i Cezara braniec,
Pod rzymską szatą, wspomnień mych całunem,
Dziś Maksyminem jestem i trybunem.

SALOMEA.

Tyś naszym brańcem; sam wyznaczysz cenę.

NATANAEL.

Wszak dla mnie dość jest poznać Magdalenę!

MAGDALENA, podając mu rękę.

Łazarza siostrę... w tém imieniu lubém
Braterstwo nasze.

SALOMEA do Szymona, z cicha.

Targ spełniony ślubem.
(w głos.)
Więc tym obrazem dworzec mój ozdobię;
Salomon, Dawid, aż ztruchleją w grobie,
Twarz Bethsabei wstydem się zapłoni.
Mam z Apellesa i Zeuxisa dłoni
To co najlepsze; mam cedrowe sprzęty,
Fidiasza wzory, i z marmuru rznięty
Myrona puhar... właśnie jak ta czara:
Patrz, Maksyminie...

NATANAEL.

Godna ust Cezara.

SALOMEA.

Lizyppa grupy wśród mirtowych wianków,
Miłości ołtarz w głębi, dla kochanków.
Poświęcim jutro, gdy się pora zdarza,
Na powrót stu wygnańców i Łazarza.

MARCELLA.

Więc syn mój...

SALOMEA.

Żywy.

MAGDALENA, na stronie.

Lękać się, czy cieszyć?..

SALOMEA.

Oddawna chciałam łaskę tę przyspieszyć,
Lecz z moim stryjem układ był niełatwy.
Masz złoty podpis dla tułaczéj dziatwy;

Przybędą razem i uczniowie święci
Waszego mistrza... gdyż mię nowość nęci.
Szczególnie dla Łukasza, wczoraj rano
W Heroda cyrku dziesięć lwów zebrano;
I wieszcz Filostrat, przy sąsiedztwie mnogiém,
Przedstawi sztukę : « August stał się bogiem. »

ŁUKASZ.

Co ! bałwochwalcze nęcą was igrzyska,
Gdy głód z powietrzem cały kraj uciska !
Gdy w ciągłych walkach ludu krew się sączy,
Do naszych cierpień Rzym zniewagę łączy ?
Kuglarzom rzuca wieńce i poklaski!

SALOMEA.

Ach! przestań! znam ja te brukowe wrzaski!
Artysta przecież smakiem się odznacza,
I takich sporów z prawdą nie wytacza...
Przez Izraela Edom był wyklęty;
Młodszemu słusznie państwa ster odjęty :
Nasz dziad mężniejszy... gdy ją posiadamy,
Za soczewicę władzy nie sprzedamy.
Mów o proroku, który zwie się synem
Prawego Boga, przed ulicznym gminem :
Uwierzę w niego, jeśli cud uczyni.

SZYMON.

On mię w sam szabas wygnał z bram świątyni,
Żem przy modlitwie radził o jarmarku.

SALOMEA.

I dotąd czujesz jego bicz na karku...
Masz trąd... on darmo cudem się wyleczy :
Niech Łukasz powie !

ŁUKASZ.

Tak jest, w samej rzeczy.

SALOMEA.

Tyś jego uczniem.

ŁUKASZ.

I gorliwym sługą.
Uznacie go Messyaszem niezadługo;
Gdyż dając życie, sam już bliski zgonu,
Na świętą Paschę wraca do Syonu,
Wśród łez dziękczynnych, które, snop za snopem,
Rozsianych kwiatów stają się potopem.

SALOMEA.

Czy piękny z twarzy?

ŁUKASZ.

Jak oblicze słońca.

SALOMEA.

Chcę go zapoznać.

SZYMON.

Piłat, praw obrońca,
Zwie go niesfornym, Kajfasz zaś bluźniercą;
Choć to syn Boga, ludzie go uśmiercą.

SALOMEA.

Niechże Zeüs broni! W tym przekwitłym wieku,
Gdy nowe bóstwo zrodzi się w człowieku,
Dla władców Rzymu to powszednią rzeczą :
Już jest ich tyle!

ŁUKASZ.

Że każdemu przeczą.
Bogowie nikną, jeden Bóg zostaje,
Co duszom światło i zbawienie daje.

NATANAEL.

Dla trzech tysięcy Rzym ołtarze stawia,
A wyższy człowiek jeden się nie zjawia,
Bo wnet by zginął więźniem lub wygnańcem.

SZYMON.

Jak on, potrójnym zwiad Piłata szańcem
Już otoczony, w tym bezgłowym tłumie,
Co choć go słucha, nauk nie rozumie.
Najdrożéj płatny, jest mąż niezbadany,
Któremu rząd jałmużny jest oddany;
Głos ma szczególny, jak syczenie węża,
Uśmiechem straszy, mocą słów zwycięża.
Co gwałt nie może, podstęp mu zdobędzie;
Zuchwały, rzutny, rad panować wszędzie,
Miał ojca zabić dla zazdrosnéj chuci,
A dzieci płaczą, gdy nań wzrokiem rzuci.
Za wspólne zbrodnie chce Kajfasza zguby ;
Źle czyni bez korzyści, bez rachuby,
Z nałogu raczéj : to nazywa cnotą
Że wszystkiém gardząc, wierzy w moc i złoto.

NATANAEL.

Ach ! to szalony !

SZYMON.

Jak źli ludzie wszyscy,
Na pozór mądrzy, są szaleństwa bliscy;
Odstępny kapłan, dziś apostoł słynny,
Ma imie Judasz.

MAGDALENA.

Judasz! to ktoś inny...

SZYMON.

Jak przed zarazą przed nim lud ucieka;
Gdzie Judasz stanie, klątwa nie daleka :
Oczami truje... wszak on tu nie wstąpi?...

MAGDALENA.

Ja się nie lękam, jak jałmużny skąpi;
Nie kocham już nikogo...

SALOMEA.

Twoja Marta,
Za rozum, słodycz, mych uwielbień warta,
Zna jego mistrza i nabożnie słucha.

MAGDALENA.

Stokroć szczęśliwa!

SALOMEA.

Lecz pozioma z ducha.
Tyś jest boginią... przyjm ten złoty wianek...

(Murzynka z tacą klęka przed Magdaleną.)

Łukaszu, jutro dam ci dwie Rzymianek;
Prócz méj zapłaty, weźmiesz ich podziękę.
Choć złoto przeszło przez lichwiarza rękę,
Obrączki całe.

SZYMON.

Za talenta twoje,
Mój będzie ważny.

(Marcella wchodzi.)

MAGDALENA.

Otwórz te podwoje

SCENA V.

CIŻ, GALL, JOZEF Z ARYMATEI, EMILJA i JOANNA ich żony, BARUCH naczelnik senatu, GOŁĄBKA Z NAIM, GOŚCIE, SŁUŻBA płci obojga.

MAGDALENA.

Witajcie, Gallu! ty, Cezarów kwiecie,
Emiljo piękna! Baruch i to dziecię,
Gołąbka z Naim? to pustota w parze
Z mądrością.

GOŁĄBKA.

Mędrcy kłamią jak guślarze;
Dopiero mówił żeś jest konająca,
Że do pokuty wzdychasz od miesiąca...
Zmyślenie, potwarz!

MAGDALENA, do Marcelli.

Wino dać i róże;
Rozświecić ogród!

(uderza w dzwon srebrny złotą iglicą, z włosów wyjętą. Ogród się rozświeca. Stół zastawiony w głębi na przód się wysuwa, między dwoma rzędami łożnic obsypanych kwiatem.)

GOŁĄBKA, wieńcząc Barucha głowę kwitnącym winogradem.

Szczęść, Bachusa głowo!

MAGDALENA, do Marcelli.

Ta czara przy mnie.

NATANAEL.

U twych stóp, królowo.

(Wszyscy zasiadają; Baruch w pośrodku, między Emilją i Joanną; z jednéj strony Gall, Józef z Arymatei i Gołąbka, z drugiéj Natanael i Magdalena. — Przygrywka.)

BARUCH.

Raz tylko żyjem. Jakie lat czterdzieści,
Marzeniem sławy rycerz ów się pieści;
Łakomy złoto zbiera, nie dla siebie,
Lecz dla złodziei pod podłogą grzebie;
Filozof, tracąc swe młodzieńcze lata,
Nurtuje w księgach i formułki splata;
Aż wtém Astaroth, śmierci ćma obrzydła,
Nad skronią starca gdy rozwinie skrzydła,
Zabierze laury, stosy ksiąg i złoto,
I w trumnę rzuci, razem z ich istotą.

(do Magdaleny.)

Ja z panią trzymam: dziś używać trzeba,
Roskoszy różę raz nam dają nieba.

(zrywa różę i podaje.)

SALOMEA.

Cóż to jest roskosz, światły nasz prawniku?

BARUCH, poważnie.

Zasadą...

SALOMEA.

Zanim dojdziem do wyniku,
Przyrzeczmy wszyscy, szczerze, po kolei
Sąd nasz objawić! Cezar śpi w Kaprei,
A Piłat ogłuchł.

ŁUKASZ.

Tak, lecz Bóg was słucha.

SALOMEA.

Gdzie roskosz?

EMILJA.

W cnocie.

GALL.

Nie, w potędze ducha

BARUCH.

Gall zawsze szumny.

JÓZEF Z ARYMATEI.

W prawdzie bez ogródki
W uczynku dobrym, jakie bądź ma skutki.

BARUCH.

Od Sokratesa to pożyczka zręczna.

GOŁĄBKA.

Tyś jak on łysy.

BARUCH.

Lais jest niewdzięczna.

SALOMEA.

A Szymon?

WSZYSCY.

Prosim!

SZYMON.

Ja z Sadokiem sądzę
Że wszelkich uciech żródłem są pieniądze;
Że gdy w grób zejdziem, po nas i ludzkości
Nic nie zostanie, prócz bezcennych kości.

GALL.

Zostanie sława...

BARUCH.

I narodów klęski!
Krew ludzka droższa niż twój laur zwycięzki;
Ten większy zuch kto więcéj bliźnich zgładził!...
Mym wzorem Noe, gdyż winnicę sadził;
I Dawid, który głosząc jéj powaby,
Przed arką pląsał dla królowéj Saby...
Ten liść Gołąbki cnocie.

(rzuca jéj liść winny.)

GOŁĄBKA

Dam ja tobie!
Jak roskosz, lilja schnie po jednéj dobie;
Gdzie mogę, zbieram wątłe te rośliny,
W oniksie drogim, lub w gąsiorze z gliny.

(do Natanaela.) (do Barucha.)

SALOMEA.

A Łukasz?

ŁUKASZ, malując.

W pracy, milszéj niż zaloty.

SZYMON.

Wół godłem jego!

BARUCH.

Twém jest cielec złoty.

SZYMON.

To stare.

BARUCH.

Jak ty... lub te dary słonka,
Z Magdali nieba.

GALL.

Gdzie od zorzy płonka
Swój sok pożycza...

SZYMON.

I nektarem płaci.

BARUCH.

Jak tobie, z lichwą.

MAGDALENA.

Baruch zły dla braci.

SZYMON.

Jak Job rozrzutny...

BARUCH.

On jak Sadok sknera;
Kto z nas dwóch lepszy?

SZYMON.

Ten kto więcéj zbiera.

BARUCH.

Kto więcéj daje!

SZYMON.

Ależ się zastanów,
Pożyczam biednym...

BARUCH.

To coś wziął od panów.

MAGDALENA.

Już dość! na zgodę czara niech zaświeci.

SZYMON.

Dla siebie żyjem!

BARUCH.

Bóg dla wszystkich dzieci!
On saduceusz, jam syn Epikura;
Bo naszą myślą rządzi kto? Natura!

(Wszyscy wstają.)

GOŁĄBKA, do Natanaela.

Ty siedzisz, marząc jak filozof smętny...
Z greckiego powiedz jaki wiersz pamiętny;
Judea z Syrją to dwie rówiennice,
Całusem się pozdrowią przez granicę.
Cóż to jest roskosz?

NATANAEL.

Szczęścia ćma skrzydlata.

MAGDALENA.

A cóż jest szczęście?

NATANAEL.

Kwiat z innego świata.
W zmyśleniach wieszczów dzieckiem go szukałem,
W miłości później... lecz go nie spotkałem;
Nareszcie w sławie i swobodzie kraju:
Woń tylko mamy, kwiat pozostał w raju.

GOŁĄBKA.

To zbyt posępnie, źle poeci wróżą.
Z twym jeńcem, piękna, podziel się tą różą;
Kropelką rosy zwilżysz i opłukasz
Zranione serce. Cóż powiada Łukasz?
Niewiasta bóstwa jest najmilszym tworem...

ŁUKASZ.

Najsłabszym... bańką wody nad jeziorem.

GOŁĄBKA.

Że jest ostatnim, Mojżesz nam opiewa.

ŁUKASZ.

Tak, arcydziełem Boga ma być Ewa;
Lecz gdy miał w myśli to zjawisko zmienne
Jak sen dziecięcy lub jak mgły wiosenne,
Już dnia siódmego Twórca był znużony;
I w mdłym zarysie téj Adama żony,
Zostawił ledwie szczątek swéj potęgi.

GALL.

Nie, obraz własny, jak tęczowe wstęgi
Na chmurze, w któréj słońce się promieni!

GOŁĄBKA.

To szczytnie!

BARUCH.

Póki w deszczyk się nie zmieni...
(wskazując na Magdalenę.)
Patrz, już kropelki!... dajcie płaszcz, bo zmięknę.

GALL.

Jam synem Gallji, kocham to co piękne.

GOŁĄBKA.

Ja też; mój ojciec, Merwig, z nad Sekwany,
Z Marcellą siostrą tu był wychowany.

EMILJA.

U Rzymian tylko, piękność jest bożyszczem.

SALOMEA, do Natanaela.

Więc dla Rzymianki, Rzym w obrazie zyszczem.

NATANAEL.

Ach! Rzym Cezarów, obraz to jaskrawy!
Tyberjusz po Auguście, to sęp krwawy
Po bujnym orle, ryś po lwie wspaniałym!
Despota srogi, w swym żywocie całym
Mieszczący wszystkie zbrodnie i szkarady...
Minister Sejan, wzór chciwości, zdrady,
Codzień w Kaprei, gdzie go więźniem trzyma,
Najwyższe głowy zmiata przed oczyma,
Jak na igrzysko dla służalców tłuszczy;
Widziałem stos ich w téj cmętarnéj puszczy!...
Nie spocznie pierwéj aż ostatnia spadnie,
Aż niecny liktor świata rząd owładnie,
Za śmierć tysiąca śmiercią go ukarze,
I cały senat pomści na Cezarze.

SALOMEA.

A lud?

NATANAEL.

Spodlony, lecz niesforny w duchu,
Jak wulkan zgasły, gotów do wybuchu;
Cezara jarzmo dziś niechętnie znosi,
A jutro kata bogiem swym ogłosi.
Z wolnością Rzymu i potęga zmarła,
Sturęki olbrzym dziś wcielony w karła;
Przepadły wszystkie wzniosłych dusz zalety,
U starców rozum, czystość u kobiety,
W młodzieży męztwo... po tak dziwnéj zmianie,
Rzym jeszcze stoi, lecz gdzież są Rzymianie?
Ktobądź im daje chleb i widowiska,
U ciemnéj trzody wziętość wnet uzyska.
Gród Romulusa, z dawnych cnót zasobem,
Kolebką dawniéj, dziś oświaty grobem,
Stał się jaskinią łotrów i szalbierzy,
Gdzie kto na czele, pierwszy do grabieży.
Plemiona hańbią nazwy swe rodzinne;
W nich same córki: choć pięknością słynne,
Nie szukaj serca... zbytek i pieniądze,

To cel ich życia, to jedyne żądze.
Dzisiejszy posąg jutro lud wywraca,
I znów podnosi, jak Danaid praca;
Narody bratnie giną bez pomocy.
Sarmacki braniec, tęskny syn Północy,
Przez lwa rozdarty wsród oklasków tłumu
I coraz bliższych fal Teutońskich szumu;
Świątynie próżne, lub zmienione w lochy,
Gdzie są zamknięte dwóch Brutusów prochy
Pod słowem « nigdy! » jak na bramie piekła,
By z nich wzgardzona wolność nie uciekła;
Mąż prawy żaden, szał i zbrodnia wszędzie:
To Rzym Cezarów, jakim jest i będzie!

MAGDALENA.

Ach! co za obraz!

NANANAEL.

Wierny, na sumienie;
Ztąd, obcy rodem, cechy méj nie zmienię.

EMILJA.

Wszak Żydem jesteś?

NATANAEL.

Ja? Niech Mars uchowa!
Judei bóstwem Baal czy Jehowa,
U stóp Libanu życie me zacząłem;
Przed złotym cielcem nie uderzę czołem.

GALL.

I Rzym nasz także przez hebrajskie żony,
Judei trądem już jest zarażony.

NATANAEL.

Więc upaść musi.

GALL.

Bronić go nie będę;
Poddaństwa Rzymian prędzéj się pozbędę.

JÓZEF Z ARYMATEI.

Nasz lud wybrany!

NATANAEL.

Ten co stworzył ziemię,
Mógł lepiéj wybrać niż Jakóba plemie.

ŁUKASZ.

Mój mistrz i wiara życie mu powrócą.

NATANAEL.

Umarli raczéj dni żywego skrócą.

MAGDALENA, wskazując na Służące.

Gdzie krew piękniejsza? gdzie głośniejsi wieszcze?

NATANAEL.

Ja ciebie kocham...

MAGDALENA.

Choć nieznaną jeszcze?

NATANAEL.

Widziałem cię w świątyni po raz pierwszy.
Tęsknota wspólna, związek to najszczerszy;
Jak ty, żem tułacz, nie mam już rodziny,
Prócz biednéj wdowy, mamki méj, z doliny
Pod górą Nebo, tam gdzie grób Mojżesza,
Syhorą zwanéj; dziś żydowska rzesza
Pielgrzymce daje Czarnéj-Ćmy przydomek,
Lub dzikiéj wiedźmy.

MAGDALENA.

Tyś mój brat i ziomek.

NATANAEL.

Gdy mamy jedną łez i krwi spuściznę,
W miłości bratniéj stworzę ci Ojczyznę;
Po jéj zagładzie, po rodziców zgubie,
Znajdziemy szczęście w tym wygnańczym ślubie:
Daj mi nadzieję choć skinieniem ręki...

MARCELLA, w głębi.

Apostołowie...

(Magdalena rzuca różę.)

SALOMEA.

Weź ten kwiat!

NATANAEL.

O, dzięki!...

SCENA VI.

CIŻ, JAN i JUDASZ Apostołowie, BARABASZ w głębi.

JAN, na progu.

Bóg z tobą siostro, pokój twéj drużynie.

MAGDALENA.

Witajcie.

JAN.

Salomea, ta co słynie
Chrzciciela śmiercią, w Maryi dom przyjęta?

SALOMEA.

Tyś Jan, pamiętaj...

MAGDALENA.

Pani niech pamięta
Że ja tu rządzę!...

SALOMEA.

Nie mnie głowy strącać,
Tam gdzie ich niema... serca chcę zamącać;
A dawne długi Szymon wam zapłaci.

JUDASZ do Magdaleny, na stronie.

Tyś zapomniała o najstarszym z braci...

MAGDALENA.

On! Iskarjota!

JUDASZ.

Imie to rodzinne
Dla ciebie wstrętném, więc przybrałem inne;
Przed tobą dziś jest Judasz z Gamalei.

MAGDALENA.

Nieszczęsny!

JUDASZ.

Prawda, lecz nie bez nadziei;
Apostoł, który mistrza skarb zbogaca...
Z tułactwa tylko zmarły nie powraca.

BARUCH.

A, mistrz Izaak, nasz znajomy z bliska.

(do Salomei, na stronie.)

Trzykrotny zdrajca, nosi trzy nazwiska.

SALOMEA.

Usiądźcie przy nas; oto są przy stole
Dwa miejsca próżne.

JAN.

Ja skromniejsze wolę;
Bo Jezus mówi : « Że kto wyżéj siędzie
W równości ludzkiéj, ten poniżon będzie. »
Jam prosty rybak. O wieczornym chłodzie
Z Jakóbem bratem wsiedliśmy na łodzie,
Przy Genezareth, gdzie najwięcéj plonu;
Gdy z Galilei w drodze do Syonu,
Mistrz nasz zawołał : « Rzućcie plon do wody,
Będziecie ludzi łowić w te niewody! »
Z Jordanu źródeł odtąd z nim we troje
Sieć zarzucamy, gdzie pełniejsze zdroje,
W książęce dwory lub rolnicze chaty;
Niekiedy połów zdarzy się bogaty,
A czasem żaden... przeto prac nie szczędzim,
I błędne owce do pasterza pędzim.

SALOMEA, do Barucha.

To mówca gminny.

MAGDALENA.

Bierzcie co potrzeba;
Jest chleb i wino...

JUDASZ.

My nie łakniem chleba.
Gdzie Herod rządzi, nędza jest niezbędną;
Lud głodny, dzieci bez pokarmu więdną.
Z niewolą Rzymu, gdy zaraza spiekła
Śmiertelnym kirem cały Wschód oblekła,
Dla biednych sierot o daninę proszę.

BARUCH, do Salomei.

To lepiéj.

MAGDALENA, ofiarując swój wieniec.

Co mam, do skarbony znoszę.

NATANAEL.

Mój łańcuch złoty.

BARUCH.

Od Cezara, ręczę.

ŁUKASZ.

Mój obraz weźcie.

EMILJA.

Ramion mych obręcze.

JÓZEF Z ARYMATEI i JOANNA.

Te dwa pierścionki ślubne.

JUDASZ.

To za wiele.

GOŁĄBKA.

Stanika kwiatem z wami się podzielę.

BARUCH, rzucając garść złota.

Co Szymon dał ?

EMILJA.

Swe serce.

GOŁĄBKA.

To za mało!

SZYMON.

Mam dwóch synowców...

SALOMEA.

Choć ses erca, śmiało!

GOŁĄBKA, całując go.

Wujaszku drogi!...

SZYMON, po długiéj walce.

Macie.

JUDASZ, na stronie.

Plon już gotów;
Lichwiarzem trąci złoto tych klejnotów,
Lecz wstęp otwarty : a jutrzejszéj nocy...

(w głos.)

Barabasz!

BARABASZ, postępując.

Jestem.

JUDASZ, oddając mu skarbonę.

Weź, to chleb sierocy...

(z cicha.)

Zaniesiesz do mnie.

NATANAEL.

Czy ja się nie łudzę?
Łazarza jeździec, bitny, lecz w usłudze
Swarliwy zawsze...

BARABASZ.

Ja cię nie znam wcale;
Tyś imie zmienił...

JUDASZ.

Milcz! to zbyt zuchwale.

(Malchus wchodzi i oddaje list Barabaszowi.)

BARABASZ.

List od Kajfasza.

JUDASZ, czytając.

Daj... «Z prawami swemi
Dziś Łazarz wraca do rodzinnéj ziemi... »

(na stronie, z trwogą.)

On! dziś już!...

MAGDALENA, podsłuchawszy go.

Czemu zbladłeś na to imie!

JUDASZ.

Ja? owszem; pragnę widzieć go w Solimie;
Przebaczam krzywdy, kocham go jak brata...

(na stronie.)

Łazarza powrót, to majątku strata,
Upadek pewny; lud mię zdrajcą zowie...

(do Barabasza, dając mu worek z pieniędzmi.)

Masz, uderz!...

(Barabasz wychodzi z Malchusem.)

MAGDALENA, przypatrując im się.

Ach! ten uśmiech!...

BARUCH.

Naszych zdrowie!
Tułactwo długie humor ich ugłaska;
Niech żyje Herod i Cezara łaska!
Jan głos podniesie : gdzie do szczęścia droga?

JAN.

W pełnieniu ścisłém dwóch przykazań Boga :
« Czcić będziesz Twórcę i rodzica w niebie,
A braci kochać jak samego siebie. »

SZYMON.

Cóż daléj ?

JAN.

Rzekłem.

NATANAEL.

Krótko, lecz wymownie.

SZYMON.

Ci wichrzyciele, to żyjące głownie.

JAN.

Tę prawdę świadcząc, na męczeństwo czekam.

BARUCH.

Choć o niéj wątpię, bronić was przyrzekam.

SZYMON.

A my, poborce, my kapłani złota,
W cóż się obrócim, jeśli ta hołota
Rodzinę zburzy, własność i pożyczkę!
Bo snadniéj wielbłąd przejdzie przez igliczkę,
Jak śmie nauczać prorok ich namiętny,
Niż się do nieba wciśnie, kto majętny...
Bez nas, cło znika, skarb zostaje próżny:
Bankructwo pewne!

BARUCH.

Będziesz żył z jałmużny;
Z nią łatwiéj przejdziesz, niż z okrągłym skarbem,
Własnością, lichwą, i wielbłąda garbem.

SZYMON.

Doktorze!

GALL.

Właśnie nazwa ta na dobie;
Tyberjusz ulgi czeka swéj chorobie,
Do Jana mię wysyła z tém żądaniem.

JAN.

Mój mistrz odpowie: « Dusza mém zadaniem. »

GALL.

Jeśli trąd zdejmie, uznam go za Boga.

JAN.

W nim życie wieczne, w nim zbawienia droga.

GALL.

Gdy wątpisz o nim, jakże mam uwierzyć?

JAN.

Śmiesz jego wszechmoc twą nicością mierzyć?

GALL.

Syn cieśli, rybak!

JAN.

Tak, i syn Dawidów,
Przyszedłszy na świat wśród niewiernych Żydów,
Nadludzką władzą bóstwo swe dowodzi!
Raz, płynął z nami łódką, na powodzi.
Aż nagła burza, z gradem i piorunem,
Pokryła czółno grzmiących fal całunem.
On wtedy drzemał. Piotr najbliższy klęka
I mówi: « Panie! łódź na skale pęka,
Utoniem wszyscy! — Czego się trwożycie
Niewdzięczni, rzecze; ja wam dałem życie,
Mój czas nie nadszedł: wszak jesteście zemną!»
Zawieja wrząca nad otchłanią ciemną
Wciąż się wzmagała; on, skinieniem ręki,
Uciszył wiatrów i nawalnic jęki:
Pioruny zgasły, z dusz wynikła trwoga...
Ten rybak jest wcielonym synem Boga.

SALOMEA.

Na połów z Janem do mnie go zaproście;
Łódź pełna kwiatów, śpiewy na pomoście:
Gdy Cezar kona, niech się Syon cieszy...

JAN.

Tańczyłaś także wśród zalotnic rzeszy,
Gdy krew Chrzciciela zlała ci obuwie!

SALOMEA, do Magdaleny.

Masz arfę, zagraj... Z wami już nie mówię.

MAGDALENA, zdejmując zasłonę.

Ja śpię, lecz w piersi jak mi serce płonie!
Gdzie mój najmilszy? dziś na mojém łonie
Miał złożyć lubą skroń!
Trzykroć mi we śnie zjawił się cień blady...
Powstaję drżąca... na chodniku ślady...
Trzykroć obiegam dwór, kwitnące sady,
Aż za Syonu błoń...

Strażników niemych pytam u krużganka:
« Czy wróg zazdrosny przebił pierś kochanka? »
Lecz wszędzie głucha noc...
Dościgam wreszcie! ufna w méj odwadze,
Do mego łoża jeńcem go prowadzę;
Bo nieskończone méj miłości władze
Nad śmiercią mają moc...

(Baruch powoli zasypia.)

SCENA VII.

CIŻ, SYHORA.

SYHORA, w głębi.

Śmierć, znaczy nicość.

GALL.

Czarna-Cma, Syhora!
Puszczyka wzrok, pół wiedźmy, pół upiora:
Szatana zdrowie!

SZYMON.

Nalać krwi, nie wina.

GALL, podając jéj puhar.

Pij!

SYHORA, odtrącając go.

Magdaleno, zwróć mi mego syna!

SALOMEA, do Natanaela.

Co słyszę! Tyś jéj synem?... to marzenie...

MAGDALENA, powstając.

Lecz któż ty jesteś?

SYHORA, zbliżając się.

Jam twe przeznaczenie,
Wyrocznia żywa!... Spojrzyj na ten wieniec:
Jak tych jaskierów spełznie twój rumieniec...
Tu cierń, tu szaléj, tu cykuta sina;
Bluszcz, twoje godło, co się wężem wspina:
Jak on, zmarniejesz w nędzy i rozpaczy!
Przed trzecią dobą poznasz co to znaczy
Wygnanie wieczne... a przed siódmym rokiem,
Na śmierć skazana gości twym wyrokiem,
Samotna, zwiędła, zgaśniesz na pustyni!
O, biada tobie!...

BARUCH, budząc się.

Jędzo, czy bogini,
Mów ciszéj!

SYHORA.

Synu, gdzie twój dom, Ojczyzna?
Patrz, w czarze złotéj pieni się trucizna:
To miłość Magdaleny!

GALL, powstając.

Za te słowa...

MAGDALENA.

Przebaczcie... niemoc, wiek, zwątlona głowa...

SYHORA, tuż przed nią.

Ty, opętana! pomścisz mię w mym synie!
Twój ród przeklęty: czar na niego spłynie!
Tyś go urzekła śpiewem twym, syreno!

(ciskając jéj wieniec pod stopy.)

Masz wieniec twój!... Do jutra, Magdaleno,
U stóp Golgoty...

SALOMEA, rzucając jéj złoto.

Weź jałmużnę!...

(Syhora wychodzi; za nią jakby oczarowany Natanael.)

SCENA VIII.

CIŻ, prócz SYHORY i NATANAELA.

SALOMEA, nieco zmięszana.

Siedźmy;
Co nas obchodzi krzyk szalonéj wiedźmy...
Kagańce nalać, wskrzesić te pochodnie!
Piosenkę, Gallu; my za tobą zgodnie.

GALL, śpiewając.

Precz, piekielnych duchów zgraja!
Wszak z miłości powstał świat;
Miłość życie nam podwaja:
Niech miłości żyje kwiat!

CHÓR.

Niech miłości żyje kwiat!...

GALL.

Widmo sławy jest zwodniczém,
Cnota wątła jak ten puch;
Roskosz prawdą, reszta niczém:
Niech roskoszy żyje duch!

CHÓR.

Niech roskoszy żyje duch!...

GALL.

W różnych troskach nam przemija
Życia lat ostatnia ćwierć;
Młodość raz w niém się rozwija:
Niech młodzieńcza żyje śmierć!

CHÓR.

Niech młodzieńcza żyje śmierć!...

GALL.

Prawem wszędzie moc pomiata,
Gallję dziś pokonał wróg;
Dziś Tyberjusz bogiem świata:
Niech nicości żyje bóg!

CHÓR.

Niech nicości żyje bóg!...

JAN.

To pieś szatańska!

SALOMEA.

Dajcie liść werbeny...

(zapala liść; do Magdaleny, podając jéj arfę.)

Na ciebie...

MAGDALENA, upuszczając arfę.

Biada...

(pada na łoże, szlochając.)

GALL.

Do łez Magdaleny!

WSZYSCY.

Niech żyje!

JAN.

Łzy te, skrucha niech uświęci!

GOŁĄBKA, nieco podcięta.

Ja nie uświęcam téj bluźnierczéj chęci!
Gdy ma na licach i w spojrzeniu wiosnę,
Królowe jéj piękności są zazdrosne,
Ty chcesz ją skruszyć? lepszą miéj otuchę;
W Marcelli wieku będzie czas na skruchę,
Lecz dziś... ja z wami do Astarty piję!

MARCELLA.

Gołąbko!

GOŁĄBKA.

Żegnam.

(Marcella wychodzi.)

GALL.

Niech bóg Mars nam żyje!

GOŁĄBKA.

Tyberjusz bogiem!

JÓZEF Z ARYMATEI.

Więc kapłanem szatan.

SZYMON.

Ministrem Judasz, lub zaprzaniec Matan.

JUDASZ.

Ty śmiesz, potwarco...

EMILJA.

Piję do swobody!

MAGDALENA.

Do wczesnéj śmierci!

GOŁĄBKA.

Do kochanków zgody!

(pokazując jéj śpiącego Barucha.)

Po winie, sen głęboki.

MAGDALENA, zrywając perłę.

Głębszy w grobie.

(wrzuca perłę do czary.)

GOŁĄBKA.

Śmierć, to swoboda... pij więc, ja po tobie...

JAN.

Szalone, stójcie! piekło was otacza!
Bóg samobójcom nigdy nie przebacza!
Nim się dopełni twéj wieczności strata,
Wysłuchaj, Maryo, głos wyznawcy, brata!...
Raz mistrz nauczał wiernych, przy świątnicy.
Faryzeusze, księża i prawnicy,

Podchwycić radzi rzeszę tę nabożną,
Przywiedli mu niewiastę cudzołożną.
Nieboga klękła, modląc się strwożona.
« Patrz, mistrzu, rzekli, to niewierna żona:
Mojżesza prawo jawnie nam doradza
Ukamienować tę co męża zdradza;
Co mamy czynić? » On, w gawiedzi wrzasku
Spokojny, palcem kreślił cóś na piasku.
Powstając wreszcie, rzekł spojrzawszy w koło:
« Niech pierwszym głazem ten ją zgromi w czoło
Kto sam bez grzechu! » Na te słowa, wszyscy
Ztruchleli w duszy; ci co byli bliscy,
Kapłani zwłaszcza, już zniknęli w tłumie,
A lud zdziwiony, rozbiegł się w zadumie;
Tak, że po chwili, w rynku, przed świątnicą,
On sam pozostał z tą cudzołożnicą.
« Niewiasto, rzekł jéj, patrząc nań łagodnie:
Czy kto cię skazał za wyznaną zbrodnię?
— Nikt jeszcze, rzekła, modląc się goręcéj.
— Ja też nie skażę; idź, i nie grzesz więcéj! »
Wtém, gdy przebaczył Jezus téj niewieście,
Kaleka ślepy tułał się po mieście;
On garstką ziemi dotknął mu powieki,
Zrodzony ślepo przejrzał, i na wieki.

MAGDALENA, powstając.

Co słyszę? Jest więc Bóg co grzechy zciera,
Niewinność wraca tam gdzie skrucha szczera?
Opatrzność żywa ślepych i tułaczy!...
Idź doń, Łukaszu, niech i mnie przebaczy!

(Łukasz wychodzi uradowany.)

On téj niewieście mógł ocalić życie,
Bo raz upadła i grzeszyła skrycie;
Lecz mnie, zagrzęzłéj w hańbie i zepsuciu,
Mnie, bez obrony nawet w złém uczuciu,
Czy wróci cnotę?

JAN.

Idź za Zbawicielem,
Ludzkości światłem i nauczycielem;
Stroń od tych ludzi, przestań żyć w obłędzie,
On cię rozgrzeszy...

(Czara wypada z rąk Magdaleny.)

JUDASZ, na stronie.

Już się truć nie będzie.

MAGDALENA.

Kto pójdzie zemną?

JAN.

Ja.

MARCELLA, wchodząc.

Twa siostra, Marta.

MAGDALENA, do Gości.

Ach! to mój anioł!... Żegnam, sień otwarta;

(do Gołąbki.)

Daj mi zasłonę.

SALOMEA.

Lecz na ciebie liczym:
Przyrzekł ś...

MAGDALENA, w zamyśleniu.

Służę... jutro snem zwodniczym...

GOŁĄBKA, wyprowadzając Barucha.

Zbudź się!...

JUDASZ.

Jan zaczął, Judasz niech dokończy...

MAGDALENA.

Precz! nigdy...

SCENA IX.

MAGDALENA, MARTA, MARCELLA.

MAGDALENA.

Siostro! duchu mój obrońcy!
Tyś do mnie przyszła!... Zgnieć mię jak gadzinę,
Mię com spodliła siebie i rodzinę...
Ten jęk żałosny wiecznie tu zawarty,
Niech spłynie we łzach pod stopami Marty!
Patrz, te łańcuchy, sprosnych dni pamiątki,
Z méj piersi zrywam, kruszę je na szczątki...
Méj litość!... przebacz!

MARTA, szlochając.

Łazarz...

MAGDALENA.

Mów, dla Boga!
Zkąd mię przejmuje ta śmiertelna trwoga...
Wszak dziś miał skończyć żywot swój tułaczy...

MARTA.

Twój brat...

MAGDALENA.

Cóż? słucham...

MARTA.

Już cię nie zobaczy...

MAGDALENA.

Mnie? czemu... Łazarz?

MARTA.

Zbójcy nóż go przeszył,
Na twoim progu.

MARCELLA.

Boże!

MARTA.

Lud się spieszył
Powitać braci... pierwsza go spostrzegam...
Z Natanaelem bramy już dobiegam,
Głos jego słyszę... cóś błysnęło w oku;
Nóż go uderza, krew się leje z boku,
I Łazarz martwy w me objęcia pada.

MARCELLA.

Mój syn! zabity!

MAGDALENA.

Brat mój... biada! biada!
Nie! chodźcie zemną... ty go zbawisz, Boże!

MARTA.

Już wyniesiony na ojcowskie łoże...
Na dzień powrotu Bóg mu śmierć naznaczył.

(Natanael wchodzi z Łukaszem.)

MAGDALENA, jak w obłędzie.

Mój brat?...

NATANAEL.

Nie żyje.

MAGDALENA.

Siostrze nie przebaczył...
Co więcéj, przeklął przy ostatniéj chwili!
Bo ręką zbójcy oni go zgładzili,
Ten zbieg i Kajfasz... nie! to ja, ja sama!
Ja, córka Mirry z krwi wyrodnéj Chama!
Łukaszu, zbaw naś! wszystko weź dla ludu,
Ten dom, te sprzęty...

ŁUKASZ.

Chcesz odemnie cudu?

MAGDALENA.

Na miłość Boga!

ŁUKASZ.

On sam jest wszechmocny;
Gdzie życie zgasło, trud mój bezowocny.

MAGDALENA, klękając.

Za krew, za duszę... za zbawienie w niebie!

(Łukasz ją podnosi.)

Więc, już się stało... Ja zabiłam ciebie!
Tych dwóch złoczyńców ja wspólniczka sroga...
Jak mogłam wierzyć w moc i litość Boga!
Nie, Bóg mię przeklął... zginiem więc oboje!...
Pod krwawą ręką skrusz się serce moje,
Jak te ozdoby, ta rozdarta szata...
Mój sztylet... chodźże, pomścij mię i brata!

MARCELLA, wydzierając jéj sztylet.

Co czynisz, Maryo!

MAGDALENA, z uniesieniem.

Zwij mię Magdaleną,
Sprośnicą z Tyru; méj wieczności ceną
Kupione imie, zostaw mi na wieki!
Jam opętane dziewcze, bez opieki,
Żebraczka nędzna, któréj los tułaczy
Nic nie zostawił w życiu, prócz rozpaczy!
Idź precz! twą zgubą klątwy nie przyczynię
Ciążącéj na mnie i na méj rodzinie;
Tu, na tych głazach, koniec méj niedoli...
Precz! od sromoty nicość mię wyzwoli!

(chce się rzucić z piętra.)

SCENA XII.

CIŻ, JAN, DANIEL, JONASZ i SŁUŻBA.

JAN, w głębi.

Nicości pragniesz, gdy cię niebo wzywa?

MAGDALENA.

Czyj głos przemówił?

JAN.

Jan, twój brat przybywa,
Jan, Zbawiciela uczeń i towarzysz...
Do niego zemną wszak się pójść odważysz?

MAGDALENA.

Odpowiedz pierwéj: czy nad śmiercią włada?

JAN.

Patrz w koło siebie, świat ci odpowiada!
Nad śmierć powszednią miłość jest silniejsza!
Potęgi boskiéj żaden cud nie zmniejsza:
Samarja, Syon, wszechmoc jéj dowiodą!
Bo ten co rządzi duchem i przyrodą,
Rozbraja piorun i wichrzące morze,
Ten serca twego szał uciszyć może!

MAGDALENA.

Weź moje skarby!

JAN.

On chce skarbów duszy!

MAGDALENA.

Jam nadto grzeszna!

JAN.

On grzesznicę skruszy,
Twe winy zmaże jedną łzą pokuty!
« Jam przyszedł, mówi, na ten świat zepsuty,
Dla serc niezdolnych życia znieść męczarni,
Dla błędnych owiec zbiegłych od owczarni;
Nadzieję wracam wdowie i sierocie...
Dla nich zrodzony, skonam na Golgocie. »

MAGDALENA.

On umrze, mówisz?

JAN.

Za Łazarza życie!

MAGDALENA.

Ach!... Wierzę w niego.

(do Służby.)

Wy co mi służycie,
Za wasze trudy tak niewdzięcznie płatni,
Odbierzcie, bracia, rozkaz mój ostatni.
Dziś Magdalena z wami się rozstaje;
Rubena córka, Marya wam oddaje,
Nabyty pracą, dom ten i zagrodę,
A waszym dziatkom to co ich, swobodę.
Ojcowskie włości na rzecz apostołów;
Dostatki Łukasz przyjmie dla kościołów.
Mój obraz spali... tak i w mojém łonie,
W ognisku skruchy niech zgryzota spłonie...

MARCELLA.

Chcesz mię porzucić?

MAGDALENA.

Zbliżyć się do ciebie!...
Bóg przez Jezusa mym rodzicem w niebie,
Tam nas połączy, tam Ojczyzna nasza!...
Ten skarb zabieram... wszak to bratnia czasza!

(całuje ją.)

I chleba kąsek, żółcią łez zatruty...
Zgorszenie dałam, chcę dać wzór pokuty.
Niech Bóg wam szczęści waszych serc jednością...

JAN, błogosławiąc ją.

Już ją wskrzesiłeś, Panie, twą Miłością!

AKT DRUGI.

WIARA.

W Solimie; wnętrze grobowca Machabeuszów, w stylu hebrajskim. — Na prawo, grób Łazarza zamknięty śpiżową bramą; przy nim, uśpiona Magdalena, obok niéj, czara z białego marmuru. W głębi, większa brama otwarta; nad nią krzyż wyciosany na wylot w skale. W oddali miasto, wieża Antonia i droga do Golgoty.

SCENA I.

MAGDALENA, JOZEF Z ARYMATEI, HIRAM, ZACHARJASZ syn jego, DANIEL, JONASZ, MULARZE.

JÓZEF Z ARYMATEI.

Już czas dobiega... pospiesz się, Hiramie,
Nim Łukasz wróci.

HIRAM.

Krzyż otwarty w bramie;
A cały pomnik skończym za godzinę.

(do Jonasza.)

Daj sznur i miarę... przystaw tu drabinę...
Gdzie dłuto?

JONASZ.

Nie wiem.

HIRAM, przy robocie.

Statków nie pożyczaj!...
Salomon przejął nasz Tyryjski zwyczaj,
Iż dnia trzeciego, przed zachodem czwartym,
Grób zgasłych rodzin musi być zawartym.
Dziś więc, mój ziomek, spocznie pod tym znakiem,

(wskazując na krzyż w bramie.)

Z Machabeuszów, ojców swych orszakiem.
Już wszyscy śpią tu w Abrahama łonie,
Od Elzeara, co zabijał słonie,
Aż do Rubena, który zmarł bezdzietny...
W obecnych czasach, taki zgon szlachetny;
Bo jakąż dzieciom oddałby spuściznę?
Męczeństwa przykład, i we łzach Ojczyznę!
Żołnierze jego, dziś współbracia wolni,
Do budownictwa z méj nauki zdolni,
Przysięgliście zataić ją w rodzinie;
Wasz cech, mym wzorem, stawiać ma świątynię,
Dla nierozdzielnéj w swéj Jedności Trójcy...
Naczelnik wasz, zgładzony ręką zbójcy,
Jak niegdyś Ruben, wśród Judasza synów
Przybytek znajdzie godny swych wawrzynów;
A drzwi zapadłe przed wieczorną zorzą,
Aniołów surmy w sądny dzień otworzą!

JONASZ.

Lecz ojciec jego Syrjusz się nazywa;
Rubena syn był Judasz...

DANIEL.

Ztąd przybywa
Zmarłemu chluby, że za własną cnotę
Przysposobiony był za Iskarjotę,
Zwanego dziś Judaszem apostołem.

ZACHARJASZ.

Apostoł! on!

DANIEL.

Ten łotr z wytartém czołem
Od Magdaleny niegdyś był wzgardzony;
Na nim się pomścił.

JÓZEF Z ARYMATEI.

Że dziś odrodzony
Powstanie z grobu, prorok nasz ogłasza.

HIRAM.

Kto, Jezus? więc w nim odżył duch Eljasza?

DANIEL.

Tak jest.

JONASZ.

Prorokiem, kto? Daniela ziomek?
Jak my wyrobnik?

JÓZEF Z ARYMATEI.

Królów krwi potomek!

DANIEL.

Cóś więcéj jeszcze... bo z boskiego rodu,
Zbawiciel świata!... Trzeba wam dowodu?
Że wskrzesza zmarłych przykład mam gotowy:
Jaira córka, syn Semidy wdowy,
Tu znów setnika... i podobnych tysiąc!
Patrzałem na to; więc mógłbym zaprzysiądz
Że niemniéj zrobi dla następcy tronu
Syrjusza, księcia Tyru i Sydonu!
Z ich lat najmłodszych to spamiętać mogę
Że gdy Łazarza wąż ukąsił w nogę,
Krew kazał wyssać; gad się w proch obrócił,
A Łazarz z pola zdrów do domu wrócił.

HIRAM.

Imienia zmarłych często nie wymawiać!

JONASZ.

Więc też i zbójcy nie mógł się obawiać...
On, syn książęcy, tak jak my, poddani,
Po tylu burzach, zginąć miał w przystani?

JÓZEF Z ARYMATEI.

Godzinę śmierci człowiek nie wybiera.

WSZYSCY.

To wielka prawda!

DANIEL.

Z resztą, niech umiera
Nim ujrzy lud swój, zgięty pod łańcuchem
Idumejczyka, już zwątlony duchem;
Bo swéj Ojczyzny zgonu nie przeżyje.

HIRAM.

Milcz, i rób swoje, jeśli dbasz o szyję!

JONASZ.

Zaborców Tyru czy się Hiram lęka?

HIRAM.

U Żydów język, u nas lepsza ręka.

DANIEL.

Ojczyzny miłość jest najwyższą cnotą!

HIRAM.

Za twym prorokiem, poznasz się z Golgotą!

ZACHARJASZ.

Przyjaciel dzieci! boski duch żyjący!

JÓZEF Z ARYMATEI.

Wszak często mówi: « Chodźcie wy, łaknący,
Ja was nakarmię; nagich ja odzieję,
Wyzwolę więźniów, wszystkim dam nadzieję. »

ZACHARJASZ.

Za to ma zginąć?

JONASZ.

A Chrzciciela głowa!
Pod rządem Rzymian to zbrodnicze słowa;
Wróg ludu, Kajfasz się na niego zaciął.

DANIEL.

Ten oszust nie jest w rzędzie mych przyjaciół!
W Zielone-Świątki, żem kamieniarz biegły,
Wziął mię w swym dworze do ciosania cegły;
Kto zgrzeszył? on sam; i połowę czasu
Z rachunku strąca, niby dla szabasu.
Z méj groźby szydzi; lecę do Piłata,
On mię do kozy... tania to zapłata!
Lecz sędzia Baruch wydrze mię z téj nędzy,
I słuszność odda.

JONASZ.

Dużo masz pieniędzy?

DANIEL.

Mam co zarobię.

JONASZ.

On ma za kolegów
Tych siedmdziesięciu doń podobnych zbiegów,
Senatem zwanych...

HIRAM.

Dość już! powiedziałem.

SCENA II.

CIŻ, MARCELLA, NATANAEL, późniéj MARTA.

MARCELLA.

Uciszcie głosy nad zmarłego ciałem
I śpiącą siostrą... Od trzech dni, sierota,
Bezwładna, patrząc w te zamknięte wrota,
Prócz jego miana słowa nie wyrzekła;
Aż jak całunem senność ją powlekła.

DANIEL.

To siostra ludu.

ZACHARJASZ.

To pociecha matek.

JONASZ.

Brat Job trzyletni winien jéj podatek.

HIRAM.

Pod jéj opieką syn mój się wyleczył;
Odłamek ciosu w głowę go skaleczył.

JÓZEF Z ARYMATEI.

Ta dziatwa za nią zginąć by gotowa.

MARCELLA.

Niech was uścisnę za tak wdzięczne słowa!

MARTA, wchodząc.

Imieniem brata, ja was błogosławię!
Z obrzędem winnym tak uczciwéj sławie,
Zamkniecie z nami te królewskie groby.
To złoto wasze, jako dań żałoby;
Niegodna przecież waszych prac nagroda...
Jest mak, jałowiec i z Jordanu woda:
Niech zaśnie z Bogiem, w szczęściu i spokoju.

DANIEL, odbierając zapłatę.

Za naszym wodzem wszyscy, jak do boju!

MARTA.

Żegnajcie... ziomek raczy przy mnie zostać.

(Wyrobnicy rozdzielają między sobą zapłatę i wychodzą z Józefem z Arymatei i Marcellą.)

Milcząca, blada, jak w świątyni postać
Anioła stróża, nad grobowcem zgięta,
Zasnęła wreszcie, żalem wciąż przejęta,
Bo jęk stłumiony w piersi jéj zalega...
Wstań, Maryo!

MAGDALENA, budząc się.

Ach!... ten pocałunek zbiega,
Judasza... Iskarjoty... Precz, szatanie!...
Już zniknął... dziś mój Łazarz zmartwychwstanie...
Tu, próżna czara... tam, śmiertelne łoże...
On śpi... lecz miłość samą śmierć przemoże!

MARTA.

Zbierz twoje zmysły, Maryo!

MAGDALENA.

Sen trwa jeszcze...
Nie! słyszę w sercu te wyrazy wieszcze:
« Twój brat spoczywa; lecz mój dzień się zbliża,
Gdy skonam, przejrzy pod jasnością krzyża! »

NATANAEL.

Jak ona cierpi!

MARTA.

Spojrzyj na mnie, Maryo!...

MAGDALENA.

Ach! moja Marta... grób ten, pod Kalwarją...
To widmo straszne... Trzy dni nie płakałam...
Przed naszym domem ludzi tłum spotkałam;
Jan, Łukasz, Józef, szli w zastępie bratnim.
Oblałam ciało zdrojem łez ostatnim,
I w dom Szymona, gdzie już Jezus siedział,
Wstąpiłam drżąca... Judasz się dowiedział,
I chciał mię wygnać; on, wzruszony męką
Strapionéj duszy, poznał mię, i ręką
Dopuścić kazał. Ja, zbierając siły:
« O Panie! rzekłam, twój towarzysz miły,
Mój brat bez ciebie skonał!... » Gdym skończyła,
Z téj pełnéj czary woń się wysączyła
Na skroń i stopy... a rozpiętym włosem
Gdym starła krople, on, podniosłym głosem
« Jam Chrystus, rzecze; Maryo, bądź zbawiona[1]!...
Z uśmiechem cierpkim Judasz wzniósł ramiona:
« Ten zapach, mówił, wart szelągów trzysta;

1. Chrystus (*Messyasz* po hebrajsku), znaczy namaszczony, imię przez Żydów królom dawane.)

Niech raczéj z niego lud nie wiatr korzysta...
Gdyby mistrz poznał życia jéj osnowę... »
Wejrzeniem ostrém on mu przerwał mowę,
I do Szymona, łamiąc chleb, powiada :
« Przy nas jest szatan i zabójcza zdrada...
Gospodarz pewien dwoje miał dłużników;
Ten mu pięćdziesiąt winien był srebrników,
A tamten pięćset, lecz obadwa w nędzy.
Że w dzień wypłaty byli bez pieniędzy,
O wierzytelność pan ich się nie trudzi,
Więc dług odpuszcza. Który z tych dwóch ludzi
Wdzięczniejszym będzie? — Ten kto więcéj dłużny,
Odrzecze Szymon, więcéj wziął jałmużny.
— Rzetelnie sądzisz. » Do mnie znów przemawia :
« Idź siostro z Bogiem, wiara cię uzdrawia !
Twój brat spoczywa ; lecz mój dzień się zbliża,
Gdy skonam, przejrzy pod jasnością krzyża ;
Na zmartwychwstanie trzecią noc wyznaczam :
Kochałaś więcéj, więcéj ci przebaczam!... »

MARTA.

Więc on go wskrzesi ?

MAGDALENA.

Czybym go przeżyła
Gdybym w Jezusa słowo nie wierzyła ?...
Znów mi się zjawił, we śnie, drugiéj nocy ;
Nie jako Messyasz, w blasku swéj wszechmocy,
Lecz jako człowiek i skazany jeniec ;
Na krwawéj skroni miał cierniowy wieniec,
Ulżeniem krzyża lud mu niósł ratunek.
Wtém, zbudził mię płomienny pocałunek,
Trzy razy piorun błysnął na poddaszu ;
W nim głos jak z nieba:«Gdzie twój Bóg, Judaszu?»
Aż dotąd czuję wargę tę namiętną,
Wlepioną w czoło jak szatana piętno...
Czy łzy Chrystusa te płomienie zgaszą?

MARTA.

Uspokój serce, tyś nadzieją naszą!
Bezsenność długa i posępne groby...
Nie tknęłaś chleba już od trzeciéj doby ;
A w Bethabara mistrz ogradza drzewa,
I nad Jordanem łany swe zasiewa.

MAGDALENA.

Ty wątpisz o nim ? ach, patrz w moje serce!
Ja, ledwie wczoraj, w uczuć mych rozterce,
Jak ty wątpiłam ; dziś na mojém czole
Łza jego starła nierząd i swawolę ;
Już nie pamiętam co te słowa znaczą!
W tém sercu zdjętém trwogą i rozpaczą
Odżyła radość szczera i dozgonna :
Ja wiem, że przyjdzie!

NATANAEL.

Twa nadzieja płonna ;
On przyjść nie może z czynną wam pomocą,
Bo sam na krzyżu skonać ma przed nocą.

MAGDALENA.

Na krzyżu ! Jezus !

NATANAEL.

Józef mi obwieścił
Że w spisie więźniów już go sąd umieścił ;
Niegodny uczeń... wy go dobrze znacie...
Ma przeciw niemu skargę wnieść w senacie.

MARTA.

Któż to?

NATANAEL.

Izaak, z młodych lat wyklęty,
Kajfasza uczeń... dziś przez Rzym najęty.

MAGDALENA.

To Judasz!...

NATANAEL.

Głośno i z nadziemską siłą,
Jezusa ostrzedz serce mi radziło ;
Więc wszedłem w gaj Oliwny, Gethsemane,
Gdzie dusze z dawna zwiędłe i złamane
Przy nim odżyły... tam, poznałem łatwo
Moc jego słowa nad Solimy dziatwą ;
Zdał mi się większym pod tych drzew ochroną,
Niż Cezar rzymski z mieczem i koroną.
Anioła raczéj niż człowieka postać;
Piękności rysów nic nie może sprostać,
Lub nienawidzić lub go kochać trzeba :
Ja z wami świadczę, że jest synem nieba !
Przemowy szczytnéj choć przystępnéj treści,
Obrazów pełne, zdań i przypowieści;
A każdy wyraz myśl zbawienną nieci...
Lecz z głębi serca on miłuje dzieci :
Gdy w pocałunku włos mu spłynie z czoła,
Cudowne światło wieńczy je do koła...
Nad króle wyższy, świętszy nad kapłany,
To Bóg Zbawiciel, Messyasz nam zesłany !

MAGDALENA.

Więc nieśmiertelny...

NATANAEL.

Odkąd świat istnieje,
Męczeństwo Abla, to ludzkości dzieje ;
On jego synem... O wieczornéj porze
Przystąpić wreszcie mogłem ; i w pokorze,
Doniosłem, klęcząc, o Łazarza zgonie.
Zapłakał rzewnie... dłoń ścisnąwszy w dłonie,
Odesłał uczniów i drużynę całą,
A sam padł krzyżem pod ogrodu skałą.
Gdy straż umilkła snem głębokim zdjęta :
« Mój Ojcze, mówił, stań się Twoja święta,
Nie moja wola... » Żal mu tchnienia skąpił...
Na blade czoło krwawy pot wystąpił,
Przeczuwał pewnie bliską śmierć i mękę...
Wtém, duch z kielichem doń wyciągnął rękę ;
On przyjął kielich, anioł zaś w pomroku
Promiennėm skrzydłem łzy zasłaniał w oku...
Wypiwszy, Jezus rzekł do swéj posługi :
« Powstańcie, bracia ; już mój czas nie długi,
Gdyż oto widzę, przy Heroda kacie,
Liktorów rzymskich. Kogo tu szukacie ?
— Jezusa z Nazaretu. — Mię uwiężcie,
Ja jestem Jezus; ja, za wieczne szczęście
Owieczek moich, zgon mój wam odpuszczę ! »
Pojmany, zdradą, przez żołnierzy tłuszczę,
W Piłata ręce tak się Jezus dostał.

MAGDALENA.

A nasi?

NATANAEL.

Zbiegli ; Jan z Łukaszem został.

MAGDALENA.

Lecz Baruch, Szymon?

NATANAEL.

Jak pod ziemią skryci...
Dopóki żyję, przemoc was nie chwyci :
Ja kocham ciebie!... na tę krwi spuściznę,
Łazarza pierścień, honor i Ojczyznę,
Współziomka siostra moją jest i będzie;
Ten skarb najdroższy w mych pamiątek rzędzie,
Poświęcam tobie : niech ci ten pierścionek,
Z imieniem słodszém, zwróci twój małżonek!

MAGDALENA.

Ty?...

NATANAEL.

Szczęście życia w tém nazwaniu mieszczę.

MAGDALENA.

Choć wiesz kto jestem, ty mię kochasz jeszcze?

MARTA.

O, Maryo!

MAGDALENA.

Prawda, że już od nikogo
Zbyt czułe słowa dotknąć mię nie mogą;
Lecz tu!... Wyznanie twéj przyjaznéj chęci,
Wzajemném słowem inna niech uświęci;
Tych pieczar brzmienie da mu dzwięk szyderski...
Niech ci odpowie zastęp ten rycerski,
Czy do serc martwych życia głos dolata...
Już moje zgasło dla uroków świata;
I choćbym o przeszłości zapomniała,
Sam byś nie wiedział gdybym cię kochała!
Lecz zachwycona tym uczucia kwiatem,
Z pokorą klękam, zowiąc cię mym bratem...

NATANAEL.

Co czynisz!

MAGDALENA.

Zostaw... jam téj łaski godną...
W twych rysach brata widzę twarz urodną;
Podobny wiekiem, spojrzeń twych wyrazem,
Widomnym ciała będąc już obrazem,
Dorównaj go zacnością twego ducha...
Niech miłosierdzie, tęsknych serc otucha,
Niezłomna wiara, spłyną w to naczynie:
Ich wonią natchnij życie jak świątynię...
Przekonaj świat że w tylu cnót ozdobie,
Żywego Boga duch zamieszkał w tobie...
Lecz, jeśli patrząc na ten cel daleki,
Anioła stróża trzeba ci opieki,
Nie ja, lecz Marta chwałę tę zdobędzie;
Zbłąkaną do mnie miłość niech posiędzie :
Ten kwiat znikomy, choć z Edeńskich błoni,
Nim owoc wyda, zmarniałby w méj dłoni...
Niech trwa dozgonnie na jéj zacnym progu :
Jam waszą siostrą i służebną w Bogu!

NATANAEL.

Chrystusa córko, słucham cię i wierzę!
Dziś mu poniosę moją krew w ofierze;
Najśmielszym będę, choć najmłodszym synem!

SCENA III.

CIŻ, JAN, ŁUKASZ i HIRAM.

JAN.

Ten ślub męczeński dziś dopełnisz czynem :
Dzień jego nadszedł!

NATANAEL.

Jam na śmierć gotowy.

ŁUKASZ.

Chcąc na pomniku złożyć znak Jehowy,
Nadchodzi Kajfasz, w stu kapłanów gronie;
Lecz nasi ludzie staną wam w obronie.

(do Hirama.)

Niech się nie waży zamknąć grób, Hiramie,
Aż sam rozkażę. Osadź lud przy bramie.

(Hiram wychodzi.)

MAGDALENA.

Lecz Chrystus?...

ŁUKASZ.

W sądzie wyrok już wydany.

MAGDALENA.

Za jaką zbrodnię?

JAN.

Krusząc jéj kajdany,
Z przemocy Rzymu chce Judeę zbawić,
By na jéj gruzach własny tron postawić.
Żarliwy Kajfasz jest oskarżycielem,
A Piłat sędzią. Zwie go wichrzycielem,
Lud buntującym by nie płacił danin.
« Ten Galilejczyk, mówi, ten poganin,
Szerzący kłótnie by z nich mieć pożytek,
W trzech dniach przyrzeka zburzyć nasz przybytek,
I swój zbudować, trwaniem swém bez końca,
Mający przeżyć blaski gwiazd i słońca.
Przodkowie nasi, jak podanie kreśli,
W czterdziestu czterech latach go podnieśli,
A jemu dość trzech dni? to szał i zbrodnia!
Czy bożéj zemsty zgasła już pochodnia?
W powietrzu groźne snują się zjawiska;
Tu, dłoń Enocha grom po gromie ciska,
Głód i zaraza z siedmiu czar się leją :
Niezwykłą słońce toczy się koleją...
Złowrogie znaki! Świat z posady zbacza :
On, lub my zginiem... Cezar nie przebacza!

MAGDALENA.

I pretor rzymski słucha tych potwarzy?

ŁUKASZ.

W Piłata sądzie, prawdę zysk przeważy.
Podatki zdzierać, to rzecz najpilniejsza;
Kto płaci, anioł; szatan kto je zmniejsza!

NATANAEL.

Ja mu na odsiecz wierny lud prowadzę!

ŁUKASZ.

Że jéj się lęka, lud popiera władzę;
Co więcéj, w duchu już go ukrzyżował.

MAGDALENA.

Więc żadnych przysiąg lud ten nie dochował!
Kto dał mu wiarę? kto mu wrócił życie?
Pod czyje stopy wczoraj siał w zachwycie,
Z oliwną różczką, wiosny plon młodzieńczy?

ŁUKASZ.

Dlatego cierniem dziś mu skronie wieńczy.
W zmienności tylko stałe są narody,
Jak wiatr pustyni, lub Jordanu wody.
Bo ileż razy, łamiąc swe przysięgi,
Porzucił Boga i Mojżesza księgi,
By korne chylić przed Baalem głowy?
Ten lud wybrany, starszy syn Jehowy,
Męczeństwem zawsze swych proroków darzył;
Zaprzedał wszystko, splamił i znieważył:
Nie dziw mi będzie, jeśli przy potrzebie
Izrael kości ojców swych wygrzebie,
I wroga spłaci, życie chcąc ratować.

MARTA.

Jezusa spłodził!

ŁUKASZ.

By go zamordować.
Lecz Bóg odtrąci to niewierne plemie,
Jak dawniéj Chama, na pogańską ziemię,
By w dom swój przyjąć, wolne od zarazy,
Chaldejskie ptastwo lub Nilowe głazy!

MARTA.

Lecz zkąd, w dniach ośmiu, tak zupełna zmiana?

JAN.

Dni ośm, to wieczność... Wszak wam dobrze znana
Syryjska wiedźma, którą po zabiciu
Rodzica, męża, dziatek jéj w powiciu,
Kajfasza setnik niegdyś wziął w niewolę...
Dziś, przed nią klęka starzec i pachole,
Gdyż, jak wieść niesie, leczy trąd i blizny;
Ta, dla pomszczenia Tyru, swéj Ojczyzny,
Gdzie sępy krążą nad poległych trupem,
Chce by świat cały stał się Rzymu łupem;
By ród hebrajski, czcią fałszywych bogów
Spodlony, zniknął pod stopami wrogów!
Ta wrząca zawiść na Messyasza spływa,
Gdyż wie, że z grobu wskrzesić go przybywa:
« Wasz mistrz, powiada, nie jest z krwi Jakóba;
To Nazarejczyk, to Syonu zguba!
On, własną klątwą, jako syn Agary,
Na Żydów ściąga te piekielne kary... »
A ci niewdzięczni, przy zbawieniu bliskiém,
Szalonéj wiedźmy stali się igrzyskiem!...
« Rzuć piorun, rzekłem, na ten lud złośliwy,
Jak Eljasz groźny, lub jak Samuel mściwy:
— Idź do Cezara, Chrystus mi odrzecze;
Imieniem Ojca z cierpień go wyleczę,
Lecz niech wyzwoli braci mych rodzinę...
Za świat, za ludzkość, ja na krzyżu zginę!... »

MARTA.

Zkąd te okrzyki?

(Słychać wrzawę za sceną.)

SCENA IV.

CIŻ, MARCELLA.

MARCELLA, wbiegając.

Orszak już przy grobie!

OKRZYK, przed bramą.

Niech żyje Kajfasz!

NATANAEL.

Właśnie o téj dobie
Mistrzowi wczoraj wołał: « Cześć i chwała! »

MARTA.

Tu nie przystąpi zgraja ta zuchwała;
Chodź, prawo każe zamknąć te podwoje!

MAGDALENA.

Gdzie silna wiara! gdzie natchnienie twoje!
Wszak mistrz powiedział, pamięć mię nie łudzi:
« Przed trzema dniami, Łazarz się przebudzi! »

MARCELLA.

Lud za Kajfaszem wchodzi do krużganka...

MAGDALENA.

Niech wreszcie pozna co jest chrześcianka,
Miłością zbrojna i nadzieją w Bogu!...

SCENA V.

CIŻ, KAJFASZ, LEWICI, między którymi JUDASZ przebrany, MALCHUS, DANIEL, JONASZ; WYROBNICY i LUD w głębi.

KAJFASZ, wchodząc.

Kapłani Najwyższego, przy tym progu
Wstrzymajcie się na chwilę. Według treści
Odwiecznych ustaw, my, w tym dniu boleści,
Zmarłemu niosąc naszych łez ofiarę,
Przychodzim z wami zamknąć tę pieczarę;
By dziś ostatnie dać jéj poświęcenie
Jehowy znakiem.

(postępując na środek.)

Wy, wspaniałe cienie
Asmonejczyków, Janie, ty Szymonie,
Ty Elzearze; i w tak świetném gronie,
Największy z braci, ty Judaszu dzielny;
Cześć wam na wieki!... Czemuż grom śmiertelny
Dwóch bohaterów z wami tu połączył,
I w nich ostatek waszéj krwi wysączył!...

(wskazując na grób Łazarza.)

Ten, waszym synem z męztwa! Ja, z Aarona,
Lewitów książe, boskich praw obrona,
W Cezara imie, słuszność mu wyrządzę.

LUD.

Niech żyje Cezar!

(Kajfasz rzuca złoto.)

DANIEL.

Póki ma pieniądze...

KAJFASZ.

Łazarza siostra jeszcze nie w żałobie ?

MAGDALENA.

Żałoba moja w sercu, nie w ozdobie.

KAJFASZ.

Wstęp do świątyni został ci odjęty;
Nie z méj przyczyny... klucznik, mąż niezgięty,
Strzedz jéj powinien od gorszących strojów...
Strudzony byłem, w głębi mych pokojów.

MARTA.

Ach! taki wyrzut jéj zniewagę zwiększa!

KAJFASZ.

Wspaniałość Marty każdy czyn upiększa;
Twą myśl uwielbiam, i ten przepych rzadki,
Naczynia drogie, twéj dobroci świadki.
Powszechny smutek świetność ich zasłoni...
Twych skarbów godne... i Łukasza dłoni.

JAN.

Cóż cię, kapłanie, skarby jéj obchodzą?
Czy was Rubena łupy tu przywodzą?

KAJFASZ.

Do kogo mówisz?

JAN.

Do Judei wroga.

KAJFASZ.

Kto jest ten człowiek?

JAN.

Jan, apostoł Boga!

KAJFASZ.

Z podwójnéj władzy jaką rząd mię darzy,
Mam straż najwyższą prawa i ołtarzy.
Bóg, jedną wiarę dał jednemu miastu;
A Rzym otwiera, w imie ksiąg dwunastu,
Sądowe śledztwo, po zbrodniczym czynie,
Przeciw najpierwszéj w kraju tym rodzinie.

MARTA.

Z tych słów życzliwych któżby nie był dumny...

KAJFASZ.

Przywołać więźnia do zmarłego trumny:
Niech Malchus czuwa.

SCENA VI.

CIŻ, BARABASZ, między dwoma LEWITAMI uzbrojonymi.

KAJFASZ.

Imie twe?

BARABASZ.

Barabasz,
Wyrobnik najprzód, i sądowy grabarz;
Dziesiętnik miejski, nie z ochoty, z nędzy.
Dziś do wszystkiego... zawsze bez pieniędzy.

KAJFASZ.

I zawsze tułacz...

BARABASZ.

Ptak w powietrzu żyje!
Żem celnikowi gdzieś naprawił szyję,
Sromotnie z domu Ruben mię wypędził,
Jak późniéj syna, co mu żonę zwędził.

JUDASZ, na stronie.

Milcz!

KAJFASZ.

Bić się w piersi, w słowach się nie łamać,
To twój ratunek.

BARABASZ.

Ja nie umiem kłamać.

KAJFASZ.

Lub krzyż cię czeka.

BARABASZ.

Niech spróbują kaci!

KAJFASZ.

Kto panem twoim?

BARABASZ.

Ten co lepiéj płaci.
Czy Szymon, Piłat, czy prześwietna Marta;
Za złoto, w piekle, służyłbym u czarta:
Lecz po zapłacie, nic mię już nie wiąże.

KAJFASZ.

Łazarza znałeś?

BARABASZ.

To mój wódz i książe.

NATANAEL.

A tyś go zgładził!

BARABASZ, mierząc go oczyma.

Może być...

NATANAEL.

Dla czego?

BARABASZ.

W twarz pięścią zgromił... ząb za ząb, kolego!

KAJFASZ.

Gdzie? jak?

BARABASZ.

Gdy wracał, tak wśród ludzi gwarzę:
« Brat Magdaleny, z jéj kochankiem w parze...»
Jak psa mię wybił; zemścił się za siostrę,
Ja sam za siebie... pies ma zęby ostre.

KAJFASZ.

Kto był przytomny?

BARABASZ.

Cały lud go bronił,
I wasz... Maksymin, piersią go zasłonił,
Lecz już zapóźno.

KAJFASZ, wpatrując się w Natanaela.

Rysy te... spojrzenie...
Cień zmarłéj żony... nie, to szał, marzenie...
(do Barabasza.)
Coś wziął od zabitego?

BARABASZ.

Nic nie wziąłem!
Szermierkę lubię, kłótnia mym żywiołem,
W świątyni, rzadko; częściéj « *pod Tygrysem*... »
Jam żbik, być może... lecz pogardzam lisem.

KAJFASZ.

Jest inna zbrodnia pod badaniem naszém...
Stróż u Rubena zwał się Barabaszem?

BARABASZ.
Mój stryj nieboszczyk wtedy był odźwierny...
JUDASZ.
Milcz!... Jako rycerz i domownik wierny,
On zgładził zbójcę nad Rubena ciałem.
KAJFASZ.
Przysięgniesz na to?
JUDASZ.
Noża ślad widziałem...
KAJFASZ.
Izaak ręczy, rzecz tę sąd odwleka.
Za pierwszą zbrodnię prawo tak wyrzeka :
« Kto zgładzi wodza, lub znieważy krwawo,
Jest ojcobójcą... »
BARABASZ.
Znam ja wasze prawo!
Toć u was winny, ktobądź pod zarzutem...
Kładziecie więźnia, z wężem, psem, kogutem,
Lampartem, w jedną torbę... dla wygody,
I cały zapas rzuca się do wody.
JUDASZ, na stronie.
Ach! zgroza...
KAJFASZ.
Zostań...
(do Barabasza.)
Sam wyrzekłeś karę.
BARABASZ.
Każ ją wykonać!... Twe łańcuchy stare...
Patrz, jak się kruszą!...
(zrywa łańcuchy i rzuca pod stopy Kajfasza.)
Lecz, jak słońce w niebie,
Zemściłem się za wszystkich i za siebie
Na jednym z tych co żyją z naszych trudów ;
Książęce syny, to pijawki ludów!
KAJFASZ.
Krzyż ci odpowie, z braci twych pomocą!
BARABASZ.
Nie wolno wam, sześć dni przed Wielkąnocą
Przelewać krwi; więc w prawie mam obronę,
A trzy dni mi wystarczą...
KAJFASZ.
Dość! na stronę!
(Malchus wyprowadza Barabasza.)
Izaak z więźniem u pretora stanie !
JUDASZ, na stronie.
Mam ucznia w ręku... z mistrzem twe zadanie.
(wychodzi za Ludem.)

SCENA VII.

CIŻ, prócz JUDASZA i BARABASZA.

KAJFASZ.
Tak nasze kłótnie duch przewrotu wszczyna;
Obecnéj zbrodni jawna w nim przyczyna :
Gdyż przypisujem krwawą śmierć Łazarza
Pogardzie starszych, która lud zaraża
I buntownicze budzi w nim zamiary.
MAGDALENA.
Uderzaj mieczem, nie sądź twéj ofiary!
MARTA.
Ach, Maryo!
KAJFASZ.
Przez nią brata głos przemawia.
Ojcowskie mienie które wam zostawia,
Wspierając rozwój kłamstwa i obłudy,
Gniew boski ściągnie na plemiona Judy,
Jak stu sektarzy przykład nas naucza...
Zaradzim temu. Prawo nam porucza
Straż wiary przodków i zniszczenie wroga
Doczesnéj władzy...władza jest od Boga.
MAGDALENA.
W twém ręku zwłaszcza...
KAJFASZ.
Chroń się jéj wyzywać
Choć w naszym kraju wolno ci przebywać,
Wiesz jak szczególną byłaś dlań ozdobą!
MAGDALENA, spokojnie.
Chcesz ludem rządzić, a nie rządzisz sobą!
KAJFASZ.
Nad wszystkie berła wyższy duch proroczy!
MAGDALENA.
Krew dzieci Tyru twój napierśnik broczy!
KAJFASZ.
Już dość!... Wiadomo kto wasz bunt zagrzewa...
Tak poznać można z ich owoców drzewa!...
Niesforny tułacz bogiem się ogłasza,
Jak ci mistrzowie zcięci przez Eljasza
Z Astarty cześcią i wróżbami razem,
Dziś zapomnieni pod Karmelu głazem;
Za rok, o waszym wzmianki już nie będzie...
MAGDALENA.
Za tysiąc wieków, Jezus, tu i wszędzie,
Ludzkości Bogiem!
KAJFASZ.
Bóg Mojżesza każe
Znieść obcych wyznań godła i ołtarze ;
Inaczéj Syon zburzą znów poganie,
I pierwsza nazwa « Hebus » mu zostanie.
Zbieg co w Bethleem zrodził się w oborze,
Chce dziś w Judei wznieść królestwo boże!
Umarłych wskrzesza, leczyć ma choroby!...
O nas powiada : « To bielone groby
Zepsucia pełne; » a ci wyzwoleńce,
Rybacy, cieśle, jak on sam szaleńce,
Przed nami nieba są dostąpić godni!...
Ten szał, jak widzim, jest podniętą zbrodni.
Pochlebca ludu i wichrzyciel główny,
« Niewolnik, mówi, jest królowi równy! »
Roboty dźwiękiem łamiąc dzień modlitwy,
Podżega, jątrzy, zbroi się do bitwy :
To syn Baala, Rzymu wróg zajadły;
Lecz własne groźby już na niego spadły,
Sam się potępił, kara go nie minie :
Chciał naród zgubić, sam za niego zginie!
MAGDALENA.
Więc twym wyrokiem Syon go umęczy,
Za żywot wieczny który mu zawdzięczy!

Jes synem Boga! bo przez Ojca w niebie
Na świat zesłany, umrzeć ma za ciebie!
Jest królem Żydów, bo jest królem ziemi...
On tłum podżega? Niech słowami swemi
Sam ci odpowie: « Zapłać przy poborze
Dań Cezarowi, Bogu co jest boże!»
Wszak w obec ludu mówił do Piłata:
« Królestwo moje nie jest z tego świata! »
W tablicach prawa Mojżesz wam przykazał:
« Twych rąk za wiarę krwią nie będziesz mazał! »
Izajasz wreszcie z królów go wywodzi:
« W Bethleem, świadczy, Messyasz się narodzi!... »

KAJFASZ.

Zkąd pismo święte może ci być znaném?
Tyś... Magdalena!

JAN.

Kajfasz jest kapłanem!
Wie że jak węże Bóg tyranów zgniecie!...

MARTA.

Ach, przebacz!

MAGDALENA.

Powstań!...

KAJFASZ.

Wy, bezbożni, śmiecie...
Ty kochasz go!

MAGDALENA.

Nad życie i bez miary!
To mój Zbawiciel, Bóg prawdziwéj wiary!
Tą czcią natchniona, tą miłością żywa,
Z nim lub za niego umrzeć bym szczęśliwa!
Pod jedną zemstą połącz nas oboje;
Gdy śmiercią gardzę, męki się nie boję:
Więc każ mię spalić, skryj mię żywcem w grobie,
Nie stłumisz wstrętu jaki mam ku tobie!

KAJFASZ.

Tak... sprosna miłość jest Magdali bóstwem...

MAGDALENA.

A twoje, zwie się pychą czy oszustwem?

NATANAEL, do Kajfasza.

Ni słowa więcéj!

KAJFASZ.

Tegom się spodziewał,
Gdym dla niegodnych święty strój odziewał...
Niech więc ostatnie spełnią się obrzędy:
Dzień trzeci spływa...

(do Magdaleny, na stronie.)

Lecz, za twoje względy,
Odłożę pogrzeb...

MAGDALENA.

Czołgaj się, gadzino!
Precz ztąd! Ja sama władam tą godziną;
Precz! bo z twéj ręki jeszcze krew niestarta,
Nasz całun splami, jak dotknięcie czarta!...

KAJFASZ.

Otoczyć grób ten; straż odemknie wrota!

NATANAEL.

Na ustęp!

KAJFASZ.

Ty śmiesz...

NATANAEL.

Jam nie Iskarjota!
Żołnierze, do mnie!

(Daniel, Jonasz i Wyrobnicy stają przed grobem Łazarza.)

KAJFASZ.

I ty, Maksyminie,
Do zguby dążysz?... Nim godzina minie,
Przy Barabaszu, krzyż zaprzańcę czeka!...

JAN.

Nie! tyś zaprzaniec! ciebie się wyrzeka
Izrael cały, od Chrzciciela zgonu!
Katowski sługo, pnący się do tronu!...
Przez takich ludzi, nie przez miecz konsulów,
Rzym bałwochwalczy stał się królem królów;
Lecz nowa wiara nowy świat owładnie:
Dawniejszy z tobą skona i przepadnie,
A plemie Sema, łup dzikiego wroga,
W pogardzie zniknie pod skinieniem Boga!...
Z Judei świątyń w gruzach i płomieniu,
Gdy nie zostanie kamień na kamieniu,
Przed jego krzyżem, za Chrystusa mękę,
Ostatni zginiesz, i przez własną rękę!...

MAGDALENA, klękając.

Litości, Boże, dla nieszczęsnych dzieci...

KAJFASZ, rozdzierając suknię.

Niech wasza klątwa na was samych zleci,
Wy, potępieńce!... W imie praw Zakonu,
Ja, zgodnie z władzą Rzymu i Syonu,
Ołtarzom zwracam co nabyte zbrodnią;
Skazuję ciebie, z obcych ziem przychodnią,
Dziś na wygnanie: jutro zaś pojmana,
Bez sądu masz być ukamienowana!

(do Marty.)

Zamknijcie pomnik; późniéj go poświęcę...

(do Lewitów.)

Naczynie z wodą...

MAGDALENA.

Myj twe krwawe ręce,
Nie zmyjesz brudu z duszy twéj, poczwaro!...

(Kajfasz wychodzi z Malchusem i Lewitami.)

SCENA VIII.

MAGDALENA, NATANAEL, MARTA, MARCELLA, JAN, DANIEL, JONASZ, WYROBNICY.

MARTA.

Zgubieni, wszyscy...

MAGDALENA.

Nie! miłością, wiarą,
Nadzieją silni!

NATANAEL.

Przez te niecne dusze
Świat się da zmylić; lecz faryzeusze
Nie zmylą Boga!

JONASZ.

Czemuż ich nie traci!
Tułactwo, nędza, czeka nas i braci.

MAGDALENA.

Odpowiedz za mnie, ty zastępie świetny,
Asmonejczyków rodzie, już bezdzietny!
Czy ma zwątlona uczyć ich niewiasta,
Z niebezpieczeństwem jak odwaga wzrasta?

NATANAEL.

Choć Pompejusza orły by prowadził,
Ten miecz, jak dotąd, ręki méj nie zdradził.

JONASZ.

Myśmy bezbronni.

NATANAEL.

Do walczenia dzielnie,
Topory macie, i bułatne kielnie;
A nawet bez nich, krzepkie te ramiona
Któremi dotąd słynie ród Samsona...
Mym wodzem Łazarz, mię uznacie waszym.

DANIEL.

Heroda lwami my się też nie straszym:
Do broni!...

JAN.

Stójcie!... miecz tu nic nie zdoła;
Rycerski zapęd nie dla apostoła!...
Mistrz nam powiedział, patrząc w ich jaskinię:
« Kto bronią walczy, ten od broni zginie! »
Nie stal zabójcza, zbrodni to narzędzie,
Z pod władzy Rzymu naród nasz dobędzie;
Lecz miłość bratnia, wschodząc na rozłogu
Przez nią zasianym, plon odniesie w Bogu!

NATANAEL.

Co, jéj dostatków, jéj wolności strata...

MAGDALENA.

Oręże złóżcie pod stopami brata!

(Natanael rzuca miecz.)

DANIEL.

To wyrok śmierci.

MAGDALENA.

Nie trwóż się, Danielu;
Dziś Jezus umrze, lecz po dniach niewielu,
Wstąpiwszy w niebo, wolność nam wyjedna!

(Daniel, Jonasz i Wyrobnicy wychodzą.)

SCENA IX.

CIŻ, EMILJA, JOANNA, GOŁĄBKA, GALL, JÓZEF Z ARYMATEI i BARUCH.

GOŁĄBKA.

Na progu klękam, ja, grzesznica biedna...

MAGDALENA.

Gołąbko, siostro, poznaj mię... co tobie?
Emilja i Joanna, w naszym grobie!...

EMILJA.

Zbawiciel mówił, kojąc twe rozpacze:
« Kochałaś więcéj, więcéj ci przebaczę; »
Ten boski przykład kogoż nie poruszy?
Rzymianki serce zna twą wielkość duszy.

MAGDALENA.

Wyście w żałobie, kiedy ja w czerwieni...
Joanna ze mną płaszczyk swój zamieni;
Dla niéj ten szkarłat... mnie siermięgi trzeba...
Gdzie wasze dziatki?

JÓZEF Z ARYMATEI.

Tęsknią już do nieba...
Ich główki wątłe jak wiosenna lilja...

MAGDALENA.

Jak też się zowią?

JÓZEF Z ARYMATEI.

Rafał i Cecylja.

MAGDALENA.

Anielskie nazwy... dla nich ta zasłona...
Weź ją; Chrystusa raz dotknąwszy łona,
Wnet je orzeźwi.

JÓZEF Z ARYMATEI.

Jakże ci zawdzięczę...

MAGDALENA.

Nie mnie, lecz jemu...

(do Barucha.)

Ojcze, niech ci wręczę
Rubena puhar...

BARUCH.

Już w nim pić nie będę.

MAGDALENA, do Marcelli.

Dla twéj Gołąbki pereł tych pozbędę...

(kładzie jéj perły.)

Pamiętaj o mnie... Ty, piastunko droga,

(biorąc nożyce.)

Masz moje włosy.

MARCELLA.

Stój! ach, stój, dla Boga!
Co czynisz, Maryo!... zginę, nim te sploty
Z twéj głowy spadną! ten kędziorek złoty,
Jam go trefiła... ty chcesz, Boże wielki!...
Weź, uderz pierwéj w pierś twéj karmicielki!
Ach! pomnij, dziecię, że te włosy święte
Jezusa łzami jeszcze są przejęte!...

MARTA.

Miéj litość...

MAGDALENA, szlochając.

Matko... z jednym choć pierścieniem,
Ten uścisk... w grobie, będą mém odzieniem...
Wy, siostro, bracie, złączcie się na wieki;
Niech Bóg was chroni skrzydłem swéj opieki,
Niech wasze dziatki skarbem łask obdarza
Pod imionami Maryi i Łazarza...
Żegnajcie!...

MARTA.

Dokąd idziesz?

MAGDALENA.

W kraj Adama,
Do Galilei. Teraz, chcę być sama...
Przed mém odejściem, wkrótce, przy ołtarzu...

(Wszyscy wychodzą, oprócz Magdaleny.)

SCENA X.

MAGDALENA sama, klęcząc przed grobem.

Odzywam się do duszy twéj, Łazarzu,
Łazarzu, mój Łazarzu... otwórz oczy,
Lub niech nas w trumnie wieczny sen zjednoczy...
Jam twoja Mirra... w jednym dniu, godzinie,
Zrodzona z tobą... w dwóch tych sercach płynie
Krew jednéj matki... czy się mnie wyrzekasz,
Że na skonanie siostry twéj nie czekasz?
Że już na czole masz tę barwę smętną,
Anioła śmierci to straszliwe piętno!...
Zaledwieś ujrzał młodych lat pamiątki,
Twój dom złupiony, twéj drużyny szczątki,
Ten dąb szemrzący nad ojcowskim progiem
Złowieszcze groźby... ogród nasz odłogiem,
I psa wiernego, który za przybyciem
Dawnego pana, padł z radosném wyciem...
Gdy ja, niepomna Boga i Ojczyzny,
Pokryłam sromem twe rycerskie blizny...
O! gdybym mogła, nim odżyjesz w niebie,
Pod łzami twemi spocząć tu za ciebie,
Lub krwią i życiem się podzielić z tobą...
O Panie! wszak on ziemi twéj ozdobą!
Za niego przyjmij mię tułaczkę biedną;
Niech głos usłyszę... choć westchnienie jedno,
Choćby mię zgromił tym przydomkiem wzgardy:
« Precz, Magdaleno!... » Nie, sen śmierci twardy...
Już serce tam nie bije... Biada, biada!...
Twój ród przeklęty: wróżka mi powiada!

(Judasz staje w głębi.)

Ach! czy to cudu, czy miłości siła?
Cóś jękło w grobie... Wiara go wskrzesiła!

SCENA XI.

MAGDALENA, JUDASZ.

JUDASZ, na stronie.

Trzydzieści groszy za Jezusa życie!
Mnie trzeba zemsty... śpiąca, czy w zachwycie?

(postępując.)

Dziś, albo nigdy. Maryo!

MAGDALENA.

Kto mię woła?...
Głos Iskarjoty...

JUDASZ.

Nie, głos apostoła.
To imie którém zwano mię za młodu,
Pamiętne od Ischary, matki rodu
Machabeuszów siedmiu, tu złożonych,
W płomieniu, w smole, przed nią umęczonych...
Choć różną z dawna los nam wskazał drogę,
Zapomnieć Mirry, choćbym chciał, nie mogę!
Jakbądź mię zowią, zawszem syn Rubena;
W szkarłacie, w czerni, tyś jest Magdalena!

MAGDALENA.

Wyjdź!

JUDASZ.

Jedno słowo. Przeszłość, już nieżywa,
Z Łazarza ciałem w grobie tym spoczywa;
Szczęśliwszy, byłbym kochał go, jak brata...
Z przeważną wieścią wracam od Piłata.
Uznając męztwo i nadludzką cnotę,
Wysyła przecie mistrza na Golgotę,
Za Barabasza, który straż prowadzi.
Umywszy ręce, woła do czeladzi:
« Niech na zabójców krew niewinna spadnie!... »
Piotr, wpośród ludu kryjąc się przykładnie,
Trzykroć zaniemiał przed koguta śpiewem;
Dozorcy więzień ucho ściął odlewem,
I zniknął.

MAGDALENA.

Boże! nie dość ciało dręczyć;
Tę wzniosłą duszę trzeba im umęczyć!
Piotr, uczniów głowa!

JUDASZ.

Z trwogi wpół umarli,
Prócz Jana, wszyscy po nim się zaparli;
Ja z nim zostanę... Judasz nie ucieka!
Chodź do pretora... sam na ciebie czeka.

MAGDALENA.

Ty się ujmiesz za tak świętą sprawą?...
To niecny podstęp.

JUDASZ.

Któż ci daje prawo
Do tych podejrzeń?... Choć méj wzgardy celem,
Cezara Piłat dziś jest przyjacielem;
Mam wziętość u Prokuli, jego żony.
Groźnemi snami duch jéj przerażony,
Za odroczeniem cały świat porusza;
Chcę z Gallem wysłać mię do Tyberjusza:
Ja, wyrok łaski, życiem mu zawdzięczę!
Za wszystko z tobą, sam za nic nie ręczę;
Chodź... ty go kochasz...

MAGDALENA.

Ty go nienawidzisz!

JUDASZ

Ja?

MAGDALENA.

Chcesz go zdradzić!

JUDASZ.

Gdzież tę pewność widzisz?

MAGDALENA.

W spojrzeniu twojém.

JUDASZ.

Wszak się mistrz ogłasza
Judei królem...

MAGDALENA.

Cóż ztąd, dla Judasza?

JUDASZ.

Co? niczém dla mnie berło, tron udzielny...
Lecz, gdyśmy sami, jako brat rzetelny,
Chcę być dla ciebie szczery i otwarty.
Jam synem książąt, których ślad niestarty

W Solimy murach po dziś dzień jaśnieje.
Kto mógł odnowić jéj wielkości dzieje?
Czy syn Dawida po ubogiéj matce,
Z Józefa cieśli król zrodzony w chatce?
Czy wróg Antypas, dla poddanych ostry,
Dla siebie łatwy... mąż wyrodnéj siostry?
Czy Łazarz wreszcie, tułacz bez obrony,
Co rad był skruszyć berła i korony?...
Nie; ja, nikt inny! Zamiar ten ukryty
Dla wszystkich, dla mnie już na wpół zdobyty,
To tron w Syonie, mym dziedzicznym grodzie,
Gdzie z tobą stworzę drugi Rzym na Wschodzie.
Kto władnie ludem? kto rycerstwem naszém?
Ja, Machabejczyk, zwiący się Judaszem!

MAGDALENA.

Ty, królem? taka nęci cię pokusa?
Tu, Iskarjota, Judasz u Chrystusa,
Izaak w Morjah... ty trzykrotnie podły!
Nilowe gady w serce cię ubodły;
Ich żądłem syczy twa szyderska warga...
Na tron Judasza potwór ten się targa,
On, syn cyganki!

JUDASZ, odchodząc.

Dość już!... w téj godzinie,
Twój Bóg na krzyżu, i przez ciebie zginie!

MAGDALENA.

On w sercach czyta... lecz, cóż ciebie zmusza
Do téj przemiany?

JUDASZ, wracając.

Wiek, sumienie, dusza;
Wspomnienia dawne... nadto mię zniewala
Nienawiść wrząca, sroga, dla rywala,
Za którym stąpam zgięty pod łańcuchem,
Jak potępieniec za piekielnym duchem.
Znużony jestem wlec za sobą wszędzie
Przekleństwo braci, męki méj narzędzie;
Mam wpływ, mam złoto... chcę w swobodnym bycie
Odetchnąć... wreszcie, tyś mi winna życie.

MAGDALENA.

Weź... pójdę z tobą; lecz na boską księgę,
Na krew Łazarza złożysz mi przysięgę,
Żeś jego zgonu w duszy twéj niewinny.

JUDASZ, z wysileniem.

Ty chcesz... przysięgam...

MAGDALENA.

Zbliż się!

JUDASZ.

Ze kto inny...
Barabasz...

MAGDALENA.

Dość!... krew tryśnie z jego serca...
Barabasz nożem, a tyś jest morderca!

JUDASZ.

Znieważasz mię!

MAGDALENA.

Nim brata mi zgładziłeś,
Rubena, przy mnie, śmierć mu zapłaciłeś!

JUDASZ.

Kto! ja?

MAGDALENA.

Truchlejesz... ja przysięgnę śmiało!

JUDASZ, ochłonąwszy.

Z twych ust przysięgę prawo by wyśmiało,
Świadectwo twoje, Maryo, nic nie znaczy;
Tyś jest... Syryjska branka.

MAGDALENA, załamując ręce.

O rozpaczy!

JUDASZ, poł-głosem.

Bądź moją... daj mi chociaż cień nadziei...

MAGDALENA.

Nie, nigdy!

JUDASZ.

Słuchaj...

OKRZYK, za sceną.

Na krzyż, król Judei!

JUDASZ.

To głos narodu!

MAGDALENA.

Tyś mię zwiódł nikczemnie!

JUDASZ, postępując ku niéj.

Po raz ostatni...

MAGDALENA, chroniąc się przy grobie Łazarza.

Zdrajco, precz odemnie!

WOŹNY, na czele Pochodu w głębi, staje i czyta.

« Syn Maryi, Jezus, z pod Nazareth rodem,
Żydowski król, ma przed Solimy grodem,
Dziś, na Golgocie, znieść krzyżową mękę. »

JUDASZ, przy bramie.

Czy widzisz ku nam jak podnosi rękę?
Buławą trzcina, cierń królewskim wieńcem...
Krew ślady znaczy za zemdlonym jeńcem!...

WOŹNY, za bramą.

Na stronę, oto pretor!

JUDASZ, chwytając rękę Magdaleny.

Chodź do niego!
Za mém skinieniem straże się rozbiegą!

MAGDALENA, żałośnie.

Mój bracie... przebacz!

JUDASZ, wiodąc ją do bramy.

Ja ci przystęp zrobię...

SCENA XII.

CIŻ, JAN, NATANAEL, DANIEL, MARTA i MARCELLA.

MARCELLA, wbiegając.

Gdzie jesteś!

JAN, tuż za nią.

Judasz, przy Łazarza grobie,
On, co Jezusa swym uściskiem zdradził!
O Boże! grom twój jeszcze go nie zgładził?
Ci wielcy ludzie, śpiący pod całunem,
Nie zgnietli zbiega klątwy swéj piorunem?..
Patrz, co nasz pan ci pisze z pod Syonu!

JUDASZ, czytając.

« Mój synu... na śmierć idę dziś, przez ciebie;
Jam znał cię dobrze, lecz pragnąłem zgonu...
Mistrz cię żałuje, Bóg przebacza w niebie... »

(z rozpaczą.)

Mój synu...

(upuszcza list.)

DANIEL, sznur mu rzucając.

Zbójco, weź ten sznur do ręki :
Idź się powieść!

JUDASZ, dobywając trzos.

Maryo... za twe wdzięki!

JAN.

Zgryzota wieczna niech za tobą kroczy,
Gdzie stopą ruszysz, gdzie poniesiesz oczy;
Za śmierć Chrystusa, ojca i Łazarza,
Twój wzrok zabija, imie twe przeraża ;
Spoczynek w grobie będzie ci odjęty,
Judaszu, trzykroć zdrajco i przeklęty!

JUDASZ, z ręką na czole.

Miecz skroń uderza... tu się piekło lęgnie...
Tam śmierć... w nicości Bóg mię nie dosięgnie!

(chwyta sznur i wybiega. — Dzień zapada.)

SCENA XIII.

CIŻ, prócz JUDASZA.

JAN, do Daniela.

Ten trzos mu wręczysz nim Solimę rzuci;
Judasza uścisk, szatan mu powróci.
By go nie zabił ktobądź twarz obaczył,
Duch bożéj zemsty czoło mu naznaczył,
I potępieńca nań wypisał imie
Dla wszystkich straszne : « Gdzie twój brat, Kaimie?
Twój Bóg, Judaszu?... »

(Daniel wychodzi ; Pochód się zbliża.)

MAGDALENA.

Słyszysz głos téj dziczy?

OKRZYK, w głębi.

Na krzyż, syn Maryi!

MARTA.

Więc twój sen zwodniczy...

MAGDALENA.

Nię! wnet się spełni!

JAN.

Co za cień z daleka
Śmiertelnym kirem nieba krąg obleka?
Z otwartéj ziemi pod Chrystusa krokiem,
Plemiona wstają bladych mar potokiem;
On z krzyżem stąpa... za nim lud, jak morze...
Czy to zniszczenia, czy wieczności zorze?
Potrójne słońce nad Golgotą świeci :
Bóg, Życie, Wiara!

SCENA XIV.

CIŻ, BARABASZ, STRAŻE, późniéj SYHORA.

BARABASZ.

Czas upłynął, dzieci!

MAGDALENA, czepiając się grobu.

Nie! w całun brata pierwéj się obwinę;
Chrystusa ręką wskrzeszę go, lub zginę!

BARABASZ.

Wychodźcie wszyscy!

NATANAEL.

Na krew Zbawiciela,
Śmierć nas połączy!

SYHORA, w głębi.

Nicość was rozdziela!

BARABASZ.

Znów ta szalona... Wiedźmo, wróć do piekła!

SYHORA, odtrącając go.

Precz, łotrze!... Magdaleno, com ci rzekła
Przed trzema dniami?... A czy jest Bóg w niebie
Co by Łazarza wskrzesić mógł dla ciebie?
Krew moich dzieci na twą głowę spadła!
Tu leżą skarby któreś nam wykradła!
Dziś, córko Lota, włosem twym owiana,
Bez sądu masz być ukamienowana!
Tak i twój ród rozpadnie się na ćwierci ;
Bo Syon zginie po Jezusa śmierci!...

(do Natanaela.)

Chodź ty! nie czekaj klątwy méj ostatka!

NATANAEL.

Ty ją przeklinasz, tyś nie moja matka!

(Pochód staje przed bramą ; krzyż nad nią się rozpłomienia.)

SYHORA, biegnąc ku niemu.

Żydowski królu, wieczny i niezmienny!
Messyaszu, witaj... Ach! ten krzyż płomienny!...

(Grób się otwiera ; widać ciało Łazarza leżące na tablicy z czarnego marmuru.)

GŁOSY NIEWIDZIALNE, w głębi.

Hozanna!
Chwała Tobie w niebie,
Pokój wam na ziemi;
Za świat, syn Maryi chciał poświęcić siebie!
Oto z dziećmi swemi
Wraca dziś do Ciebie!
Hozanna!

MAGDALENA, klęcząc przy Marcie

O synu Maryi! na ten znak zbawienia,
Ty coś mię wskrzesił z grzechu i zwątpienia,
Naszego brata wskrześ w młodości kwiecie,
By płomień wiary szerzył się po świecie!
Bądź wola twoja w niebie i na ziemi!
O Chryste, zbaw nas! myśmy dziećmi twemi!

GŁOSY NIEWIDZIALNE, nieco bliżéj.

Hozanna!
Na Golgoty szczycie,
Oto król wszechświata,
Zwycięzca śmierci, w męki swéj zachwycie!
Módlmy się za brata :
Niech mu wróci życie!
Hozanna!

SCENA XV.

CIŻ, KAJFASZ, LEWICI, LIKTORZY, ŁUKASZ, JÓZEF Z ARYMATEI, DANIEL, JONASZ, HIRAM i WYROBNICY.

BARABASZ.

Ustąpcie, Kajfasz!

KAJFASZ.

Jeszcze grób otwarty?
Wykonać rozkaz i rozstawić warty!
Na śmierć, grzesznica!

(Liktorzy z obu stron osadzają grobowiec.)

JAN.

Stójcie!... Bóg tu włada!
Żyjąca gwiazda na zmarłego spada...
Jéj promień świeci z pod zamglonych powiek...

MAGDALENA, z krzykiem radości.

Mój bracie!

JAN.

Na kolana!

(Wszyscy, prócz Kajfasza, przyklękają.)

BARABASZ, wskazując na bramę.

« Oto Człowiek! »

GŁOS, w głębi.

« Łazarzu, powstań! »

(Łazarz podnosi rękę do krzyża nad bramą.)

JAN.

Za nas, Bóg ofiarą;

(do Magdaleny.)

Jak on, przez ciebie, świat odżyje Wiarą!

(Pochód idzie ku Kalwaryi.)

AKT TRZECI.

NADZIEJA.

Pieczara w skale, w Oliwnym gaju. Po jednéj stronie, puszcza Martwego-morza; po drugiéj w oddali, Solima i Golgota z krzyżem.— Dzień świtać zaczyna.

SCENA I.

MAGDALENA sama, z ciężkiego snu ocknięta.

Rok siódmy spłynął... Sama, wśród pamiątek
Przeszłości grzesznéj, dni przeliczam wątek,
Aż Jan wyzwoli tę gasnącą duszę!
Z rozkazu jego żyć i cierpieć muszę...
Jak Abel niegdyś, Bóg z niewiasty łona
Miał zbawić ludzkość... i na krzyżu kona!...
Codzień z tą myślą budzę się boleśnie...
Nadziei anioł dziś mię zwiedził we śnie;
Dotknąwszy palmą mych przyćmionych oczu,
Pokazał matkę w rannéj mgły przezroczu :
« Sieroto, rzekła, przed jutrzejszą dobą,
Na wieki, w niebie, Bóg mię złączy z tobą;
Błogosławieństwo jego ci oddaję... »
Wtém, groźna wiedźma tuż przedemną staje;
Drgającym jękiem szału i rozpaczy,
Wśród zbiegu ludzi, woła do siepaczy :
« Śmierć Magdalenie!... » Lud za kamień chwyta,
I wszystko niknie... lecz w méj duszy świta
Niezwykła radość po Chrystusa stracie...
Głos Jana może... Kiedyż, o mój bracie,
Przy mnie się zjawisz?

(wychodzi z pieczary.)

Już rumiana zorza
Nad śpiącą ziemią złoci brzeg przestworza;
Już ptak zbudzony pierwszym dnia powiewem,
Napełnia gaje swéj modlitwy śpiewem;
Cedronu strumień wtórzy mu radośnie...
Tam, nad Golgotą, blask poranny rośnie
I rozpromienia krzyż jasnością słońca...
Ztąd, w niebo wstąpił boski nasz obrońca!
Gdym to świadczyła, zwano mię szaloną...
Ach, czemuż mię z twym duchem zespoloną,
Wyprzedzić miałeś, mój Łazarzu, w grobie!
Ten smętny pomnik został mi po tobie!...
Maksymin, Marta... wy nierozłączeni,
Bom niewidziała przez sen waszych cieni...
Bliźniątek dwoje wieńczy to zamęźcie,
Jam się modliła tyle za ich szczęście!...
Mych kolan w skale czas wycisnął piętno;
W méj piersi życia już ustaje tętno :
Cierń ją zakrwawia, łzy spojrzenia mroczą,
A krew, łzy moje, do dziś dnia się toczą?
Jak rdzą strawiona, ta bezwonna czara,
Ja, pokutnica, méj przeszłości mara,
Na tęskne łono gdy zakładam ręce,
Głos serca mówi : « Jutro kres twéj męce! »
Litości, Boże! niech twa łaska skróci
Ten sen okropny, ciało w proch obróci!
W pokorze wzdycham za ulżeniem twojém,
Jak jeleń w puszczy za cienistym zdrojem!
Wróć nam Ojczyznę, wskrześ jéj dawne cnoty,
Jéj dzieci wyzwól z jarzma i sromoty;
Niech one przejrzą : na mnie złóż ofiarę...
Z radością skonam, dając im twą wiarę!

(po pauzie.)

Z zachodu orzeł przebił się przez chmury,
I pędem spada na Syonu mury;
Dzień je rozświeca... Gdyby mię poznano,
Mię, bezpowrotnie z ziemi téj wygnaną,
Mię, com włosami zwłoki te pokryła,
Mię, dziś żebraczkę, gdziem królową była,
Śmierć lub tułactwo... Ach! dziś umrzeć wolę
Nim znów opuszczę tę ojczystą rolę,
Ten gaj gdzie boskie świecą mi przykłady,
Gdzie Zbawiciela tkwią niestarte ślady!...

(klęka modląc się w pieczarze.)

SCENA II.

MAGDALENA, JAN.

JAN.

W Oliwnym lasku to Chrystusa godło..
Za orłem serce do niéj mię przywiodło.
Ten cień klęczący... Maryo ! co za zmiana!
(postępując.)
Bóg z tobą, siostro... czy poznajesz Jana ?

MAGDALENA.

Tyś duch nadziei we śnie mi zjawiony...
Jan? zwiastun szczęścia!... bądź mi pozdrowiony,
Przybycie twoje dzień swobody zbliża!

JAN.

Odkąd Zbawiciel rzekł nam z tego krzyża,
Męczeńskiéj chwały wieńcząc nas wawrzynem :
« Bądź Jana siostrą... bądź méj matki synem! »
On sam w jéj sercu złączył nas na wieki.

MAGDALENA.

Niegodnam była do niéj wznieść powieki!
Dziś, odrodzonéj tą pokutą długą,
Zaledwie wolno zwać się Maryi sługą...
Wszak jeszcze żyje? gdzie dziś mieszka?

JAN.

W niebie...
U stóp Jezusa modli się za ciebie.

MAGDALENA.

Umarła!

JAN.

Nie... w raj żywcem odleciała!
Duch śmierci nie tknął jéj świętego ciała!...
Do swego syna wzniosła się przy dźwięku
Anielskich lutni, na cherubów ręku,
Królową niebios w locie swym wieńczona...
Ten dar dla ciebie : twarzy jéj zasłona.

MAGDALENA, biorąc zasłonę.

Bądź mym całunem, ty pamiątko droga...
Czy słyszysz?... głos jéj woła mię do Boga!

JAN.

Miałżem cię zastać samą, w téj niedoli?

MAGDALENA.

Gdzie syn jéj skonał, umrzeć mi pozwoli.
Wiesz że wygnana z kraju, bez nadziei,
Z Emaus poszłam z nią do Galilei,
Dwakroć kolebki ludzkiéj, przez Adama
I przez Chrystusa. Po téj drodze, sama
Tułaczkę wiodłam, smętną i znużoną,
Aż Józef przybył do Sarepty z żoną.
Donieśli mi że Łazarz dogorywa,
Że chce pożegnać, że do siebie wzywa;
Walczyłam z sobą długo, lecz daremnie:
Któż to wyrazi co się działo we mnie!...
Uległam wreszcie. Przez Cezarję, morzem,
Wróciłam do Judei. Już nad łożem,
Jak dawniéj w grobie, krzyż zbawienia świecił;
Gasnącym głosem Bogu mię polecił,
Golgoty ziemią oczy mu zawarłam...
Ach! po raz drugi wtedy z nim umarłam!...
Nazajutrz, wiedząc co w istocie znaczy
Braterska litość obcych dla tułaczy,
Tu się schroniłam, w skały téj otworze,
Zkąd widać obszar, aż po Martwe-morze.
Tam świat się kończy, nicość się zaczyna;
Po dniu płomiennym, noc ponura, sina,
Gdzie mgły nabitéj nie prześwieci gwiazda;
Tam kwiat nie rośnie, ptak nie ściele gniazda,
Nurt jak przed burzą, groźny i milczący:
W pośrodku, widmo... Lota słup sterczący!
Zgorzałe brzegi, z życia już wyzute,
Owoce płodzą dzikie i zatrute,
Jak to jezioro i tych skał urwiska,
Pokrywające pięciu miast zwaliska...
To grób Sodomy!... Tak, za ludzkie plemie,
Gniew boży spada na Wybraną ziemię,
Gdzie raj był niegdyś, gdzie dziś czytasz wszędzie:
« Za śmierć Chrystusa, tu pustynia będzie! »

JAN.

Przygasłe życie w niéj rozbudzi wiara!...
Wysłany przezeń z pismem do Cezara,
Za orłem szedłem, który w dniu i w nocy
Wiódł mię na Zachód, w kraj pogańskiéj mocy.
Rok trzeci mijał, gdy znienawidzony
Tyberjusz przez Makrona był zgładzony;
Lecz Chrystus ginie jak Zbawiciel świata,
On, jak rozbójnik pod powrozem kata.
Za poprzednika mszcząc się, Cezar nowy,
Nakłada cenę na Brutusów głowy;
Ich wspólnik, Piłat, szle do Kaliguli
Łódź pełną złota, z listem od Prokuli.
Łódź się rozbija pod Judasza wodzą;
Więzienia w Rzymie podróż mu nagrodzą,
A niecny Piłat, nad Rodanu brzegiem,
W rodzinnéj Gallji, dziś dozgonnym zbiegiem.
Antypas, mąż wsławionéj Herodiady,
Wygnany do Hiszpanii; w jego ślady
Wstępuje wnuk Agryppa : ich narzędzie,
Krwiożerczy Kajfasz, dziś zgniecionym będzie.
Tak zgon ofiary, sprawców już dosięga;
Tak wśród katuszy rośnie serc potęga,
krzyż rozświeca dniem wiecznego słońca,
Obecność, przyszłość, ziemię, świat bez końca!
Do pierwszéj męki Szczepan był wezwany;
Pod Kapitolem Piotr ukrzyżowany,
Podobnie Andrzéj, u stóp Egeasza;
Za niemi Paweł, wzór i chluba nasza,
Wschodzące żniwo płodną krwią zrosili:
Nareszcie Jakób, brat mój... do téj chwili
Męczeński poczet wyrósł na tysiące...
Naprózno liczę lata i miesiące,
Nie ja od śmierci, śmierć odemnie stroni...
Ta dłoń rozkłuta od pogańskiéj broni,
Niech powie czylim godzien ich spuścizny!

MAGDALENA.

Ach, pozwól łzami zlać te święte blizny...

JAN.

Nie tobie, Maryo, klękać przed twym sługą;
Pokuta szczera jest świętością drugą,
Męczeństwo wyższe nad anioły w niebie...

W pokorze twojéj widzę wzór dla siebie,
Ja, nadto skłonny do urojeń pychy!
Tyś córką królów, jam wyrobnik lichy;
Gdyś ty z Łazarzem celu już dopięła,
Ja sam, truchleję przed wielkością dzieła!
Wy mi pomóżcie z krzyża wznieść odłamu
Efezu kościół, Smirny i Pergamu;
I Ewangelję, pod natchnieniem waszém,
Z Maciejem skreślić, Markiem i Łukaszem...
Dopełnim w Patmos to co dziś podjęte;
W méj myśli wre już « Objawienie święte: »
Solima wieczna, lud nasz odrodzony,
Z poddaństwa Rzymu świat oswobodzony!
Już Wschód i Północ więzy swe rozmiata;
Gallowie, Celty, Wandal i Sarmata
Strącają twarde swéj niewoli brzemie;
Duch boski wstąpił w ich dziewicze plemie:
Wezwanie nasze śpiący płód rozbudzi,
Ty twórz wyznawców, ja z nich stworzę ludzi!
Z rodziną Marty pomoc nam przybywa:
Chodź ją powołać!

MAGDALENA.

Co, więc Marta żywa?

Jéj mąż, jéj dzieci...

JAN.

Tam gdzie zdrój Cedronu
Na wschód się zwraca, wśród bujnego plonu
Dziś Maksymina, ojcem i żniwiarzem,
Ujrzałem z dziećmi, Maryą i Łazarzem.

MAGDALENA.

Więc ich obaczę... poznam ich zagrodę...
Co mówię... Kajfasz!...

JAN.

Sam ich tu przywiodę.
Odżyjesz, siostro, w ich objęciu błogiém,
I wnet zostawisz kątek twój odłogiem:
Bądź zdrowa...

MAGDALENA.

Burza nad obszarem świeci...
Niech cię sprowadzę!

JAN.

Chodź więc.

MAGDALENA, na brzegu skały.

Moje dzieci!
Tam ich mieszkanie...

JAN.

Maryo, za godzinę,
Ich dom i serca przyjmą cię w gościnę.

(Oboje schodzą; Magdalena wynosi czarę.)

SCENA III.

JUDASZ sam, w podartém odzieniu i z kijem w ręku. — Błyskanie w chmurach.

Wśród burzy dźwięczył jakiś głos, tu blisko...
Nareszcie witaj, pierwszych lat siedlisko!
Tu, dom ojcowski; tam krzyż, nad Golgotą...
Gdzie zakopany skarb twój, Iskarjoto?
Krew z rany cieknie... to jak szpona sępia,
Naciska czoło, pamięć mi przytępia...
W Gancarskiém polu... czy w Łazarza grobie?...

(grzebiąc kijem w ziemi.)

Tu jest!... dół próżny... dziś przypomnę sobie.

(siada.)

O ty, szyderski, ty zawistny losie,
Coś porwał mię w kolebce, jak pokłosie
Rzucone w powódź... któż jéj prąd zatrzyma?
Wciąż ściga mię krzyk ojca... nie, ojczyma:
« Niech głos twój straszy, oko twe zabija!... »
Mam siłę, wiek... odważnym szczęście sprzyja,
Więc mogę walczyć. Łazarz był mym wrogiem;
Lecz Magdalena... ta za swoim bogiem
Zapewne zmarła. Bóg... to nicość głucha.
Lecz kto mię stworzył? kto dał cząstkę ducha?
Kto? pewnie szatan; skutek wart przyczyny.
Złe płodzi złe: w tém świata klucz jedyny.
Lecz kto szatana stworzył?... znów zagadka...
Zdarzenie ślepe, czy przyroda matka?...
Nic przecie samo z siebie nie powstaje;
Roślina schnąca ziemi proch oddaje...
Włos mi się jeży, gdy myśl moja spadnie
W tę otchłań groźną... bo tam piekło na dnie!

(po pauzie.)

Mam trzy imiona, jak trzy skóry węże...
Zachowam Judasz... tamte dwa zpienięże;
Wszak tyle u nas bezimiennych dzieci!
Najtrudniej zacząć; grosz do grosza leci...
Majątek pierwszy; skrucha... to na potém.

(powstając z wysileniem.)

Ten sznur mię więzi, jak stu gadzin splotem!
Puść mię!... Gdzież uciec, gdy mię śmierć nie imie,
Przed tém zaklęciem: « Gdzie twój brat, Kaimie? »
Przed marą która rzuca mi pytanie [nie?...»
Wciąż za mną grzmiące: « Gdzie twój Bóg, szata-
W ten Wielki piątek, ja, niewdzięczna dusza,
Sprzedałem go siepaczom Tyberjusza;
Lecz jeśli jest Messyaszem z krwi Noego,
Niech zstąpi z krzyża... dziś uwierzę w niego!
Do Rzymu wrócić?... gdzież ja, przeniewierca,
Schronienie znajdę przed męczarnią serca,
Rok, dwa przeczekam, aż ten głos ustanie
W méj duszy wołać: « Gdzie twój Bóg, szatanie?...»
Pod jego ręką szarpię się daremnie,
Niezgasłe żary już wstąpiły wemnie,
Choćbym pokuty chciał je zalać chrzestem...
To wiem że cierpię; wnoszę ztąd że jestem.
O tronie śniłem; urok już złamany:
Dziś, gdy się budzę, nędza i łachmany,
Trąd zaraźliwy... jeśli to dar Boga,
Czém jego dobroć? czém opieka błoga?
Mam nóż gotowy... duszy nie zabiję!
Więc będę żył i walczył, póki żyję!...

(postrzega chleb na rogoży.)

Chleb napoczęty... zakał mię nie brzydzi.
A, niezły. W piersi niech się biją Żydzi,
Niech trzy dni poszczą, kiedy krwi kropelka
Ich jadło strefi... głód, potęga wielka...

(wychodząc, napotyka czaszkę Łazarza.)

I czaszka trupia... lichy ród Adama!

Ja takim będę... ta zczerniała jama
Niech też mi powie czy jest Bóg i dusza...

(nogą czaszkę odtrąca; piorun błyska, uderza przy nim drzewo i rozrzuca kamienie.)

[sza.
Grzmij, ty wszechmocny! Twój gniew mię nie wzru-
Nie ja, grom ztruchlał!... Któś wszedł, z miarą wody:
To gospodyni, godna swéj gospody.

SCENA IV.

JUDASZ, MAGDALENA.

MAGDALENA.

Za chwilę przyjdą... Znów ta nieszczęśliwa
Zabiegła drogę, jak hyena mściwa;
Od siedmiu lat, błądząca przy tym grobie,
Dlaczego wciąż mi woła: biada tobie!
To Maksymina matka... zkąd być może
Tak nienawistną... Czarę tu, w komorze...

(stawiając czarę, postrzega Judasza.)

Któś obcy!

JUDASZ, wskazując krzyż nad pieczarą.

Jeśli znak ten mię nie myli,
Twa wiara cię naucza, w każdéj chwili
Nieść pomoc bratu...

MAGDALENA.

Wejdź, w imieniu Pana...

JUDASZ.

Cierniowy wieniec... trzcina krwią skąpana...
Nie mogę... nie śmiem.

MAGDALENA.

Chory, czy w obłędzie?
Ten głos mię straszy...

JUDASZ.

Straszy? tu i wszędzie
To samo słyszę... prawda, płaszcz podarty.
Z daleka wracam, na tym kiju wsparty:
To mój przyjaciel... wciąż się zemną tuła.
O! czemuż matka piersią mię nie struła!...
Więc daléj!

MAGDALENA.

Zostań... burza znów się wzmaga.

JUDASZ.

Najwyższą cnotą ludzką jest odwaga;
Z nią można wszystko... burzy się nie lękam,
Przed gromem nawet nie drżę i nie klękam;
Lecz twéj gościny przyjąć nie mam za co...
Przeklęci goście którzy nic nie płacą!

MAGDALENA.

Ach! obłąkany!... Przyjm zakąskę chleba,
I czarkę wody.

JUDASZ.

To jak manna z nieba!
Klaudyusza dary niosę dla Heroda;
Królewska za to czeka mię nagroda:
Lecz, nie wiem czemu, szał mię często chwyci...
Pragnienia mego morze nie nasyci!
Krew! wszędzie krew!...

(pada bezwładny.)

MAGDALENA.

Zdrój święty myśl ostudzi,
Chleb z Haceldamy, dar litosnych ludzi,
Posili ciało.

JUDASZ, zbierając zmysły.

Co za sprzęt wspaniały!
Rzeźbione złoto... marmur jak śnieg biały...
Wzór pewnie z Tyru; skarb najwyższéj ceny!
Lecz zkądże... na nim imie Magdaleny?
Ten zdrój... te drzewa... to gaj Gethsemany!

MAGDALENA.

Gdzie na męczeństwo Jezus był pojmany
Za sprawą zbiega...

JUDASZ.

To jéj głos uroczy,
Jéj skroń oblana złotem jéj warkoczy!
Jéj boska piękność skrzydłem lat nietknięta!
Tyś Marya... żywa! w grobie tym zamknięta!

MAGDALENA.

Lecz... gdzie mię znałeś?

JUDASZ, odgarniając włosy.

Patrz!

MAGDALENA.

Ach! Iskarjota!

JUDASZ, z dziwnym uśmiechem.

Ja, com ci święcił pierwszy kwiat żywota;
Ja, com pod klątwą wiecznie śnił o tobie,
Jak dziś, promiennéj w rajskich cnót ozdobie:
Ja, królem jutro! Duch mój cuda stwarza!
Anielską wieczność chwila ta przeważa!...

MAGDALENA.

On! w jaką głębię skryję się podziemną?...
Niech umrę teraz!

JUDASZ.

Nie! żyć będziesz, zemną,
W swobodzie, w szczęściu, na kochanka łonie!
Jam też chciał umrzeć po Chrystusa zgonie;
Śmierć mnie się lęka! Gdym ten sznur zarzucił
Na kląb osiny, wicher ją wywrócił,
Na czole strzaskał... włos mój nie zakryje
Palącéj szramy... a ja dotąd żyję!...
Gdym zbiegł do Rzymu, chciałem, wśród igrzyska,
Gdzie twoich braci krew strugami tryska,
Na kły tygrysów rzucić się bez broni;
Pierzchnęły wszystkie, widząc na méj skroni
Ten wrzód otwarty... a ja dotąd żyję!
Dziś nawet, pewien że mię grom zabije,
Wyzywam Boga... piorun mię nie ruszył;
Ten pień, te głazy pod stopami skruszył,
I wrócił w otchłań... a ja żyję przecie!
Czyż mogłem zginąć pókiś ty na świecie?
Nie! z tą miłością Judasz nie umiera!...
Lecz inna przyszłość dla nas się otwiera:
Mój skarb ukryty znajdę i wygrzebię;
Dla świata zmarli, będziem żyć dla siebie,
Dostatki, złoto, z ręki méj posiędziesz...
Tyś moją wiecznie, ty mię kochać będziesz!

MAGDALENA.

Tak... świat byś sprzedał za szatana złoto,
Jak niegdyś Boga... tyś jest Iskarjotą!

JUDASZ.

Znasz mię, tém lepiéj; ja się z tego chlubię.
Tak jest, choć kruszec ów błyszczący lubię,
Odłamek słońca, co jak rosa żywa
Lub śnieg wiosenny w dłoni się rozpływa,
W nim widzę środek... celem jest niewiasta,
Ten kwiat z Edenu co wśród nas wyrasta,
Jak błędne gwiazdy mieniąc się przed okiem,
W téj chwili jasne, w drugiéj za obłokiem...
Niecierpię ludzi... nawet są godziny
Że radbym w gnieździe zdeptać te gadziny...
Agryppa z siostrą jutro mi zapewni
Następstwo tronu... niech przepadną krewni!
Ja mu przynoszę, ja królewskie plemie,
Solimy berło i Samarji ziemie...
Od jutra, biorąc ojców mych nazwisko,
W książęcy pałac zmienię to siedlisko,
I w czerwień Tyru tę siermięgę płową;
Wdziękami, rodem, wszakżeś już królową!
Magdalę kupię, zamek twój wydarty,
Gdzie czczoną będziesz wyżéj od Astarty;
Piękności wybór ołtarz twój otoczy,
Tam, rój poddanych bujny i ochoczy,
Znów Galilei nazwie cię bożyszczem;
Stracone lata w jednym dniu odzyszczem:
Łowczyni serc, do broni! ranek świta!
Wszechwładną panią Syon cię powita;
Wpośród radosnych służby twéj okrzyków,
Podzielisz zemną tron Asmonejczyków:
Królować będziesz jak Judea długa,
To wszystko sprawi mąż twój, brat i sługa!

MAGDALENA.

Ty, moim bratem? chcesz, ty, zgubo nasza,
Bym po Chrystusie spadła do Judasza?
Bym zapomniała, przy wyrodnym synie,
Że w moich żyłach krew Łazarza płynie?
Jak dawniéj wątłe, myślisz że to serce,
Te oczy zadrżą, patrząc na mordercę
Tych których kocham... Sądzisz mię po tobie!
Duch mój zpotężniał we łzach i żałobie;
Jam teraz mężna! Widzę pod zasłoną
Zmyślonéj pychy, że Judasza łono
Nurtuje rozpacz i wieczności trwoga!

JUDASZ.

Milcz!

MAGDALENA.

Radbyś wątpić o istnieniu Boga...
O, żal mi ciebie! bo jak szatan, w duszy
Sam sobie kłamiesz.

JUDASZ, smętnie.

Milcz!... już dość katuszy!
Tyś mię odgadła... odkąd żyć zacząłem,
Zawistna ręka cięży mi nad czołem;
Gdzie próg przestąpię, grom uderza w sieni,
Dąb uschnie w polu, gdy mię raz ocieni...
Rwię włosy, łkając, klątwy nie odgarnę!...
Szał, cnota, zbrodnia, słów igraszki marne:
Od bratobójstwa ludzkość się zaczyna,
Tak też się kończy... Abel nie miał syna.

MAGDALENA.

O przebacz, Panie!

JUDASZ, błagając.

Gdybyś ty kochała!
Gdybyś to czucie co w méj piersi pała
Do duszy twéj dosięgło, Bóg wie czyli
Twój brat i Chrystus do dziś dnia by żyli;
Tyś niém wzgardziła, dumna i bezwiedna...
Kto, Magdaleno, zgubił nas? Ty jedna!
Gdyś u Szymona, drżąca, wpół omdlała,
Z téj czary wonią jego skroń oblała,
Jam śmiał się... śmiech ten był objawem piekła;
W nim wrzała rozpacz i zgryzota wściekła!
Od ciebie klątwa na mój ród spłynęła;
Tyś ojca nawet serce mi odjęła,
A ja cię kocham!... W imie téj ofiary,
Jak miłość moja wiecznéj i bez miary,
Bom w niéj poświęcił cały świat i siebie,
Na ziemi szczęście i zbawienie w niebie,
Miéj litość... klękam, roniąc łez ostatki,
Ja com nie płakał przy skonaniu matki!
Nie, ty nie zechcesz abym ja, po zgonie,
Zamieszkał w piekle, ty w aniołów gronie;
Twą cnotą silny, wszystko złe naprawię,
Rodzinie, dzieciom, zgody wzór zostawię;
A jeśli niebios próżne jest przestworze,
Ja, z méj miłości, szczęścia raj ci stworzę!

MAGDALENA.

Uklęknij, módl się... Bóg cię słuchać raczy.

JUDASZ.

Nie, nadtom grzeszny, prędzéj grom przebaczy.

MAGDALENA.

Na ojca twego, na rodzicę w niebie!

JUDASZ.

Nie!...

MAGDALENA.

Precz! nie mogę zbawić cię, bez ciebie!

JUDASZ.

Czy tak? dość tego... jam przeczuwał w duszy
Że mię odtrącisz, że cię nic nie wzruszy...
A przecież, niegdyś, kwiatem twéj miłości,
Wieńczyłaś możnych i majętnych gości,
Z pogardą w sercu... dziś, ty mię odpędzasz,
Gdy ja, żebrzący, błagam cię jak nędzarz...
Ni jedno słowo? Dla mnie, krwi Rubena,
Tyś Maryą tylko... dla nich, Magdalena!

(odkrywa puszkę złotą u szyi Magdaleny.)

MAGDALENA, chroniąc się pod krzyżem.

Bluźnierco!... pomnij żeś niewiasty synem!
Że matkę hańbisz tym zbrodniczym czynem,
Gdyż twa zniewaga nas dosięga razem...
Patrz!

(pokazuje mu puszkę otwartą.)

JUDASZ.

Matko...

MAGDALENA.

Czy przed żywym jéj obrazem,
Niewdzięczny, zdołasz podnieść twą prawicę
Na siostrę Marty!

JUDASZ.

Matko!

MAGDALENA, dając mu obraz matki.

Proś rodzicę
By ludzką myślą, w twém istnieniu rzadką,
Natchnęła serce... Ach, ty płaczesz!

JUDASZ, szlochając.

Matko!...
Macochy zawiść, na twe lata stare,
Wygnała cię z rodziny, jak Agarę...
Jam był Ismael, ja przyczyną zguby,
Ja cię pomściłem... precz, powtórne śluby!...
Co noc ją widzę... chyli się nademną,
Wskazując puszczę, tę jaskinię ciemną
Gdzie z głodu zmarła... lecz to wszystko w grobie;
Bądź moją, chcę zapomnieć ją przy tobie...
Chodź!...

MAGDALENA.

Na twém czole, widzę znak niestarty...

JUDASZ, zrywając się.

Dość, Magdaleno!

GŁOS, z daleka.

Maryo!

MAGDALENA, biegnąc ku głębi.

To głos Marty!

JUDASZ, chwytając sztylet.

Duch Iskarjoty we mnie się odzywa...
Ty zginiesz!

MAGDALENA.

Z Martą Jan i mąż przybywa!
Ratujcie!

JUDASZ, rzucając sztylet.

Mam Agryppę i Kajfasza;
Przez nich zgniecioną będziesz, jak ta czasza...

(rzuca czarę o ziemię i wybiega.)

MAGDALENA, słaniając się.

Umieram...

(omdlewa i upada.)

SCENA V.

MAGDALENA, MARTA, JAN, NATANAEL, GOŁĄBKA.

MARTA.

Judasz! to zjawisko z piekła!

NATANAEL, podnosząc sztylet.

Ach! patrzcie, śmierci bladość ją powlekła...

GOŁĄBKA.

Ocuca się.

MAGDALENA, z wolna powracając do zmysłów.

Gdzie jestem... sny złowieszcze...
Jan... Marta z mężem... czy ja marzę jeszcze?
Pamiętam... wczoraj... duch mię w otchłań wabił..
Ach! moja czara... czemuż mię nie zabił!
Stłuczona! potwór!... samą mię zostawcie...
On będzie mścić się... wasze dzieci zbawcie!...

MARTA.

Co mówisz! śmiercią groził ci ten zbójca!
I to krew nasza, krew rycerza, ojca...
Po twém odejściu, dostał z rąk Piłata
Braterskie mienie; zbiegów to zapłata!
Lecz je roztrwonił zbytkiem, syn wyrodny...
Chodź, ten przytułek ciebie już niegodny!

MAGDALENA.

Gdzie są twe dzieci?

GOŁĄBKA, wskazując dolinę.

Gdzie Marcelli gleba,
Nad zdrojem... bliżej...

MAGDALENA, powstając.

Widzę je... o nieba!...
Znów sił mi braknie...

(upada na kolana.)

MARTA.

Tu więc, pustelnicą,
Samotna żyłaś, pod tą włosiennicą,
Ty, któréj Chrystus, gdy wśród nas przestawał,
Po własnéj matce cześć najwyższą dawał!
W miłości boskiéj masz twój dział niezbędny,
Jak ona wiecznotrwały; mój, podrzędny,
Zwie się powinność: ta pozioma praca
Co nam, wygnańcom, dnie tęsknoty skraca...
Ja cię uwielbiam!

MAGDALENA.

Kocham cię, aniele;
Twym działem szczęście... gdyż to wróżę śmiele
Żeście szczęśliwi...

NATANAEL.

Tam gdzie Cezar rządzi,
Kto się szczęśliwym lub swobodnym sądzi:
Gdy srogi Kajfasz, władcow swych rozkazem,
Nasz ród wytępia ogniem i żelazem!
Nie dość dla niego że Jezusa zgładził;
Ktobądź ze łzami na krzyż go prowadził,
Haniebnéj śmierci musi się spodziewać:
Aż kat się zmęczył naszą krew przelewać!
Przy Matce-boskiéj sądząc żeś umarła,
Do kraju wrócić Marta się naparła;
Tu więc najałem, pod krynicą, w dole,
Łan Haceldamy, lub Gancarskie pole.

MAGDALENA.

Więc ja z wami żyłam?

NATANAEL.

Tam, jak mówią ludzie,
Jest skarb zaklęty; lecz po dziennym trudzie,
Gdy kłos uzbieram i opielę ziarna,
Mam chleb dla dzieci... zbytek, to rzecz marna.

MAGDALENA, do Marty.

On ludem już nie gardzi?

NATANAEL.

Ja? broń Boże!
My wszyscy z niego, jak ze skiby zboże.
Lud, to potęga, to narodu ramie,
Którego przemoc ani czas nie złamie;
Z uboższym od nas dzieląc się serdecznie,
Tę cześć dla ludu w dzieciach mych uwiecznię!

Najczystsza miłość troski ma codzienne;
Lecz miłosierdzie z Boga, więc niezmienne.
Zamieszkaj z nami, z wierném ci rodzeństwem;
Dla naszéj dziatwy bądź błogosławieństwem
I drugą matką!

MAGDALENA, jak we śnie.

Jeden dzień na ziemi,
Po tylu smętnych, być szczęśliwą z niemi;
Pod ich spojrzeniem gdzie się raj uśmiecha,
W miłości odżyć...

MARTA.

Patrz... ojcowska strzecha...
Tam je uściśniesz!

MAGDALENA, podnosząc się z wysileniem.

Idźmy... Ach! upadam;
Kolana wątłe... sobą już nie władam...
Tak bluszcz na skale, choć listkami świeci,
Zdjąć go nie można... bo się w proch rozleci...
Zapóźno... słońce na Golgotę spada,
Ja pójdę za nim...

MARTA, prowadząc ją z Natanaelem.

Z nami...

(przechodzą scenę do wyjścia.)

SYHORA, w głębi.

Biada! biada!...

GOŁĄBKA.

To Czarna-Cma, Syhora!

SCENA VI.

CIŻ, SYHORA, później BARABASZ.

SYHORA.

Magdaleno!
Libanu wiedźma stała się hyeną
Przy twoim grobie... Kiedym ci wróżyła
Śmierć po wygnaniu, tyś mi nie wierzyła;
Spełnione wszystko... nicość twym udziałem.
Napróżno marzysz, duch umiera z ciałem;
Jak twoje życie wiara twa szaloną:
Kamienowaną będziesz i spaloną!..
Astarte, przebacz! Ty, bogini krwawa
Podziemnych swiatów; jam na twoje prawa
Zgnieść ją przysięgła!...

NATANAEL.

Matko!

SYHORA.

Milcz, nędzniku,
Niewierny synu, godny jéj wspólniku!...
Toś ty, piękniejsza w téj włosiennéj szacie,
Niż dawniéj byłaś, w perłach i szkarłacie;
Odziana ledwie włosów twych bisiorem,
Udanéj skruchy wdzięczysz się pozorem;
Grzesznico, gwałtem wdzierasz się do nieba,
Bo serc anielskich twéj czułości trzeba!
O, jam cię strzegła w głębi téj pieczary;
Lecz się zaklęłam na piekielne żary
Oboje w jednéj sięgnąć was godzinie!

(wołając, w głębi.)

Setniku! zbliż się; uwięź ją, niech zginie!

BARABASZ, wchodząc.

Królewna moja! z nią prześwietna Marta!

SYHORA.

To Magdalena uderz!

BARABASZ.

Idź do czarta!

MAGDALENA, na stronie.

Mój sen spełniony...

SYHORA.

Spiesz się, póki żywa!

BARABASZ, odtrącając ją.

Milcz, lub przepadnij, ty pokuso krzywa!...

(Syhora się chroni za skałę.)

To ja, Barabasz, ten rozbójnik dawny,
W karczemnym lochu «*pod Tygrysem*» sławny.
O! wy nieznacie téj czeluści piekła,
Gdzie mieszka nierząd, gra szalona, wściekła;
Gdziem wszedł uczciwy, zkąd wyszedłem zbrodzień!
Tam zgraja łotrów mię wabiła codzień;
Tam Judasz, głowę gdy mi trunkiem zalał,
Bydlęce żądze w piersi méj rozpalał;
Zgrał mię do szczętu... okradł mię, poczwara!
Chcę się odegrać, on mi krzyknął: «Wara!
Piłata topór lub Kajfasza złoto!...»
A właśnie Piłat, stojąc pod Golgotą,
Odkrywszy zemną dawne już rachunki,
Z krzyżowym cieślą bliskie miał stosunki.
Więc, uderzyłem... On prowadził rękę!
Lecz skorom ujrzał święty zgon i mękę
Boskiego syna, gdy ostatniém tchnieniem
Świat błogosławił... głos ten, jak promieniem
Przeświecił duszę... ja, Barabasz, zmiękłem;
Łzy z oczu trysły; modląc się, uklękłem:
O Chryste! przebacz!...

(pada na kolana.)

JAN, chrzcząc go.

Więc już nie ma zbójcy;
Jest brat, wyznawca... Wstań, w imieniu Trójcy,
Masz Matyasza urząd i nazwisko!

SYHORA.

Znów świetna zdobycz!... do pretora blisko;
Z Kajfaszem tryumf sprawią wam przykładnie!...

(odchodzi w głąb.)

BARABASZ.

Nikomu za mnie z głowy włos nie spadnie!
Liktorów setnik, biorę ich na siebie;
Z Kajfaszem też, odbijem się w potrzebie.
Na dworze Łukasz ma dłużników sporo;
Joanna, Józef, będą mu podporą,
Agryppy łaskę oni wam przychylą.

MARTA.

Tak; Józef, Łukasz, ci nas nie omylą;
Lecz wyrok zapadł... los nasz bez naprawy.

BARABASZ.

Dość dwóch walecznych dla uczciwéj sprawy!
Jan będzie trzecim... zróbcie co wam radzę.

Ja, wzdłuż Cedronu, dziś was przeprowadzę
Aż do Ephraim... tam, przytułek pewny.

MAGDALENA.

Ach, dość tułactwa!

JAN.

Gall, Heroda krewny,
Z Emilji żony... pomoc ich silniejsza
Dla waszych dzieci...

MARTA, wskazując na Magdalenę.

Dla niéj, to pilniejsza!

NATANAEL, do Barabasza.

Ty, strzeż jéj, bracie... a my dwaj, do czynu!

BARABASZ.

Bądźże spokojny.

SCENA VII.

CIŻ, oprócz JANA i NATANAELA.

SYHORA.

Leć, niewdzięczny synu,
Na zgubę z niemi.

MAGDALENA.

Słowa te, macocha,
Nie matka rzekła!

SYHORA, do Marty.

Więc go jeszcze kocha!
Patrz, jak się sroży... On, opieka wasza,
Twój mąż...

MARTA.

Miéj litość!

SYHORA.

Synem jest... Kajfasza!

MAGDALENA.

Maksymin... bluźnisz!

SYHORA.

Wreszcie go poznałaś,
Ty co mu duszy cały skarb oddałaś,
Z miłości nieba spadłaś aż do wzgardy!
Gdy kraj nasz upadł; gdy zwycięzca hardy,
W kapłana zbójcy rzucił mię poddasze,
Musiałam karmić jego płód, za nasze
Stracone dzieci, w nocy, wśród pożaru...

MAGDALENA.

Jak ja, z Łazarzem...

SYHORA.

Czy to skutkiem czaru,
Czy przeznaczenia, ten chowaniec drobny
Do mego syna z twarzy był podobny;
Głos, uśmiech jeden... wnet od piersi dziecię
Do serca wbiegło... gdy po trzeciém lecie,
Za moją miłość płacąc mi zniewagą,
Z łupieżcy domu chciano mię wpółnagą
Żebraczką wygnać... wściekłość mię napadła;
Odwetu prawem, jam to dziecię skradła...
O czemuż pierwéj z niém się nie zabiłam?
Pod górą Nebo klejnot mój schroniłam,
W Ammonów puszczy... tam, rosnące żywo,
Pachole bujne, już igrało z grzywą
Chaldejskich lwiątek, lub oszczepem w pędzie,
Trafiało lotne kanie i łabędzie;
Lecz w sercu sławy wnet zawrzały tętna:
Młodzieniec zniknął... jam została smętna,
Z rozpaczą, zgrozą... Od téj chwili, w łonie
Zawiści piekło... czasem szał zapłonie;
Łzy ani jednéj: żar oddechem czerpię!
Miłości nie znam, sama się nie cierpię!
Doścignęłam zbiega, jeńcem twym i sługą!...
O biedne matki!... My je karmim długo
Krwią, mlekiem, duszą... noc i dzień z radosną
Święcim ofiarą; aż gdy z nas wyrosną,
Co tylko w życiu winne swym rodzicom,
Za marny uścisk dają wam, sprośnicom!...
Rozumiesz teraz, zguby méj przyczyna,
Zkąd ciebie, siostrę i Kajfasza syna
Jam jego ręką razem zgnieść przysięgła?
Że gdybym jeszcze dziś was nie dosięgła,
Ja się zabiję! bo méj zemsty celem
Ty, Magdalena; ojciec ich, mścicielem!...

MAGDALENA.

Ja nie mam siostry... Marta jest przyrodnią;
Twa zawiść dla niéj jest obłędem, zbrodnią!
Jam też przeżyła méj Ojczyzny klęski...
Szlachetny Ruben, zbawca nasz zwycięzki,
Z Łazarzem wziął mię do Solimy grodu,
I przysposobił...

SYHORA.

Tyś nie z jego rodu?

MAGDALENA.

W Sarepta się zrodziłam, nie w Solimie.

SYHORA, w zamyśleniu.

Z Eucharji może...

MAGDALENA.

Zkądże znasz to imię?

SYHORA.

Wasz ojciec... Syrjusz...

MAGDALENA.

O! na miłość Boga!

SYHORA.

Milcz... niech przypomnę... wszędzie rzeź, pożoga...
Tam, dwoje bliźniąt... w płomień dach zapada...
Ach! córka moja! syn mój... biada! biada!

MAGDALENA.

To krzyk méj matki!... Pomnisz o pierścieniu
Sierocie danym, z krzyżem na kamieniu?

SYHORA.

Przez ojca...

MAGDALENA.

Oto jest!

SYHORA.

Ten znak Astarty
U Magdaleny, córce méj wydarty!

MAGDALENA.

Jam twoja Mirra!

SYHORA.

Ty... ja śnię... ja roję...

(bierze jéj ręce i wpatruje się w nią z zachwyceniem.)

Daj ręce... tyś jest krew i życie moje!

MAGDALENA.

O matko!

SYHORA.

Mirra! Ja cię widzę jeszcze!
Po tylu latach raz się nią napieszczę!
Z radości łzami tulę cię do łona...
Bogini Tyru, bądź ty pochwalona!...
Patrz, dom się pali... walka wre w około...
Iskrząca głownia spada mi na czoło,
Lecz nie zabija... oto ślad płomienia...
Ztąd, szał okropny... wszystko w sen się zmienia...
Zbudzona jestem... Jam to dobrze czuła,
W téj srogiéj zemście co mi serce truła,
Żeś ty jest moją... żal mi piersi łamał
W przekleństwie nawet... głos mój tylko kłamał!
A syn mój, Syrjusz... jam go lżyła w grobie...
Jam waszym zbójcom dała znać o tobie!
Nieszczęsna!... przebacz: matka cię zaklina!

(pada na kolana.)

MAGDALENA.

Błogosław córkę!

SYHORA.

Na męczeństwo syna,
Małżonka, braci... Czemu drżysz?... Chodź zemną
W Libanu lasy, w tę świątynię ciemną
Gdzie wonią cedrów błogie tchną przestworza,
Gdzie słychać w nocy szum daleki morza...
Tam raj, swoboda... nie usuwaj ręki...
Dlaczego szlochasz?

BARABASZ, przybiegając z głębi.

Precz... liktorskie pęki!
Uchodźcie! Kajfasz...

MARTA.

O! na moje dziatki,
Wstań i chodź z nami... litość miéj dla matki!

MAGDALENA, stanowczo.

Uprowadź ją: zostaję.

(Kajfasz z Orszakiem w głębi.)

SYHORA, słaniając się.

Biada! biada!...
Gdzie Mirra... nie wiem... dłoń Astarty spada
Na Magdalenę...

(przyklęka osłupiała i bezmyślna.)

SCENA VIII.

CIŻ, KAJFASZ, JUDASZ, MALCHUS, LIKTORZY.

KAJFASZ, do liktorów.

Niech pilnują straże;
Na pierwszy przystęp ja sam się narażę.

(spostrzegając Magdalenę i Martę.)

Najwierniéj nam doniosłeś, Izaaku,
O Magdalenie w godnym jéj orszaku.
Za rząd Samarji, za pomyślne wieści,
W Piłata grodzie Herod cię umieści.

BARABASZ, do Malchusa.

Więc u wisielca służyć masz, ciemięgo!
Patrz! jeszcze stryczek widać pod siermięgą!...
Rzuć miecz, Judaszu, twe pretorskie znamie,
Sznur ci wynajdzie skarb twój, w Haceldamie!

JUDASZ.

W Gancarskiém polu?

BARABASZ.

Tam gdzieś się powiesił
Na osiczynie, nim cię szatan wskrzesił.

JUDASZ, z radosnym wykrzykiem.

Mam wreszcie skarb mój!

KAJFASZ, postępując do Magdaleny.

Z dawnaśmy wiedzieli
Że się ukrywasz w téj samotnéj celi,
Choć sąd cię skazał na śmierć lub wygnanie.

MAGDALENA.

Na śmierć gotowam: domęcz mię, tyranie!

MARTA.

Jam starsza siostra, jéj wspólniczka, Marta!

KAJFASZ, z cierpkością.

Rodzina zbiegów, ślepa i uparta.

(do Magdaleny.)

Zrzecz się twéj wiary, porzuć ten zakątek,
Odwołam wyrok, zwrócę ci majątek.

JUDASZ.

Co! dom ojcowski!...

KAJFASZ.

Ma być im oddany.

MAGDALENA.

Za podłość? nigdy!

KAJFASZ.

Okuć je w kajdany!

BARABASZ, podnosząc złamane drzewo.

Abraham syna chciał poświęcić Bogu,
Izaak ojca... dziwna moc nałogu!

(do Liktorów.)

Kto z was, poganie, drogę mi zagradza,
Mój chrzest odbierze!

JUDASZ.

Więc Barabasz zdradza?

BARABASZ.

Jak ty, Chrystusa... to ci paszczę stula...

KAJFASZ, gromkim głosem.

Pretora rozkaz, jest rozkazem króla!

BARABASZ, zrywając swój łańcuch złoty.

Ten pies pretorem? Włóż mu tę obrożę!

(ciska pod stopy Judasza.)

Nim weźmie strawę, smyczą mu pogrożę!
Po siedmiu latach na katowskim chlebie,
Dziś jestem wolny... nieznam go i ciebie.

JUDASZ.

Liktorzy, do mnie!

BARABASZ, między nim i Magdaleną.

Precz! ty krwawy sępie!
Lub skał gruzami wszystkich was wytępię!

KAJFASZ.

Uderzcie!

(Liktorzy rzucają się na Barabasza, który pierwszych ściele na ziemię; gdy się schyla po kamienie, Malchus go z tyłu w głowę uderza.)

BARABASZ, padając na przodzie.

Boże!

JUDASZ.

Masz za zbrodnię stanu!
Do piekła, łotrze!... ciało do Jordanu!

GOŁĄBKA.

Nikczemny!

KAJFASZ.

Taka czeka was nagroda...
Ukamienować!...

(Magdalena, Marta i Gołąbka łączą się ramionami; Liktorzy chwytają za kamienie.)

SCENA IX.

CIŻ, NATANAEL, ŁUKASZ, GALL, JOZEF Z ARYMATEI, DANIEL, JONASZ, LUD.

JÓZEF Z ARYMATEI, w głębi.

Stójcie, przez Heroda!

BARABASZ, umierający.

Danielu, bracie... com rzekł, ty wykonasz...
Jéj siostrę zbawisz... podnieś mię... to Jonasz!
Wy mię pomścicie... oto wróg... ten zbójca...
Do broni...

(pada i kona.)

MAGDALENA, do Marty.

Mąż twój niech nie pozna ojca,
Wstyd by go zabił!...

KAJFASZ.

Co was tu sprowadza?

GALL.

Głos serca, słuszność i Agryppy władza!
Ułaskawienie wydał, z méj przyczyny,
Dla Magdaleny i dla jéj drużyny:
« Rzym wielki, mówił, swéj wieczności wiarą,
Dla bogów żywą brzydzi się ofiarą.
Krew ludzka droga, trwonić jéj nie trzeba,
Dość jest modlitwy dla wszechmocy nieba;
Więc Magdalena z kraju się wydali,
Tak z dziećmi Marty życie swe ocali.
Niech arcykapłan dłoni swéj nie krwawi;
Liktorom topór a mnie miecz zostawi! »
To rzekł Agryppa, prawa stróż obrończy;
Prócz tego, nad nią władność twa się kończy:
Niewieście obcéj wszak się wrócić godzi
Tam gdzie Kajfasza ręka nie dochodzi.

KAJFASZ.

Emilji pewnie radził się natchnienia...
Gdzież ma się schronić?

ŁUKASZ.

Miejsca nie wymienia.

KAJFASZ.

Sąd ja dopełnię, gdyż powinność nagli.
W przystani Askalonu, łódź bez żagli,
Na któréj spiski mogą knuć bezkarnie,
Z Judei brzegów rój tułaczy zgarnie.
Ja sam, z pretorem, odjazd ich przyrządzę.

NATANAEL.

Ty?

KAJFASZ.

Ja!...

NATANAEL.

Potworze! za twe srogie żądze,
Przekleństwo tobie!...

GALL.

Ja sternikiem będę;
W Marsylskiéj ziemi wpośród was osiędę.

MAGDALENA.

Tułactwo wieczne po nieznanéj strefie!
Wśród obcych ludzi! Możeż być, Józefie,
I ty, Łukaszu, byście tę sromotę
Dla mnie przyjęli?... Raczéj na Golgotę!

MARTA.

Co mówisz! Gallja jest gościnna, żyzna...

MAGDALENA.

A czy wy wiecie co to jest Ojczyzna?

MARTA.

Patrz, twoje dzieci!

(Jan wchodzi z Marcellą i dziećmi; Kajfasz chce się oddalić.)

JAN.

Zostań!...

SCENA X.

CIŻ, JAN, MARCELLA, DZIECI MARTY.

MAGDALENA, przyjmując je w objęcia.

O zachwycie!...
Ja, cobym za nie dała krew i życie,
Gdy je całuję z tém serdeczném drganiem,
W uścisku pierwszym darzę je wygnaniem!...
Więc król Agryppa tak przebaczać umie?
Czy dość, Kajfaszu, twéj okrutnéj dumie?
Dziś nas powoła ten co sądzi w niebie!

KAJFASZ.

Wychodźcie!

MAGDALENA.

Dzieci... żegnam was, i ciebie
Nieszczęsna matko!... drogo śmierć opłacam...
Za słońcem idźcie... ja do Boga wracam!
Patronko święta, pod zasłoną twoją...

(omdlewa, całując matkę.)

MARTA.

Łukaszu, do mnie!

ŁUKASZ.

Już jéj czoło stroją
Niezwiędłe palmy...

SYHORA, zbierając zmysły.

Głos jéj, Magdaleny,
Słyszałam we śnie, jak anielskie treny...
Wstań, Mirro, zbudź się... tyś omdlona, chora...
Przy córce, Kajfasz?

KAJFASZ.

Matką jéj, Syhora?

SYHORA, odsłaniając czoło.

Czy znasz to piętno?

KAJFASZ.

Tyś Eucharja!

SYHORA.

Rzekłeś,
Ja, ksieni Tyru, którą w dom przywlekłeś,
Ja, com przez zemstę syna ci wydarła!

KAJFASZ.

Ach! wróć mi go za corkę!

SYHORA.

Patrz, umarła...
Za cały ród mój przeklnie cię Izrael,
Jak syn cię przeklął!...

KAJFASZ, wyciągając doń ramiona.

Tyś jest... Natanael!...

NATANAEL.

Kajfasza synem, ja?... to być nie może!
Ach! raczéj śmierć!...

SYHORA.

To prawda!

NATANAEL.

Przebacz, Boże...

(chce się przebić; po strasznéj walce rzuca sztylet, i pada na kolana między dwoma dziećmi, przed Magdaleną.)

Nie! jam wasz ojciec!...

(Kajfasz wychodzi z Orszakiem, twarz płaszczem zasłaniając.)

MAGDALENA, budząc się.

Siostro, żyj dla matki...
Nie płaczcie po mnie... cierpień mych ostatki
Nagrodzi niebo, wśród Wyznawców grona,
Gdzie boskiéj Maryi czeka mię korona...
Tam nasz Zbawiciel!... Syn mężnego rodu
Gall was prowadzi do Marcelli grodu,
Gdzie mieczem Rzymian już uprawna ziemia
Siew boski przyjmie... niech się w niéj rozplemia
Rodzina Marty...

(czoło jéj się rozpromienia; w zachwycie.)

Widzę ją, to ona!
Solima wieczna i błogosławiona!...
W niéj cała ludzkość kir śmiertelny strąca,
Jak Łazarz niegdyś... wolna i wierząca!
Na gruzach Rzymu co za jasność płonie?
Schylone widzę trzech Cezarów skronie
Przed znakiem krzyża... Daléj, ku Północy,
Lud-Słowo Boże, padł ofiarą mocy;
Lecz dnia trzeciego, z łez i krwi powodzi,
Nadzieja świata, mir wieczysty wschodzi!
Ojczyznie ciało, duch do Ciebie, Panie!...
W podobnéj chwili Chrystus wszedł w otchłanie,
Dziś do wiecznego wzywa mię ogrojca,
I sadza z Matką, po prawicy Ojca!...

(kona; Syhora przy niéj pada.)

JAN.

Żegnajcie!

(składa na niéj zasłonę Bogarodzicy.)

JUDASZ.

Czekaj... z tobą duch mój bratni...

(chce się rzucić na miecz.)

JAN, chwytając go za ramię.

Nie! żyj tułaczem, aż po dzień ostatni!
Aż oba dojdziem do wieczności progu,
Z rozpaczą Judasz, Jan z Nadzieją w Bogu!

CHÓR ANIOŁÓW.

Hozanna!
Świeć, Nadziejo błoga
Nad umarłéj ciałem;
Tyś jéj wskazała gdzie zbawienia droga!
Dziś, twém skrzydłem białém,
Zanieś ją do Boga!
Hozanna!

(Anioł Nadziei się zjawia pod trójbarwną światłości tęczą; dusza Magdaleny ulatuje w niebo.)

AZAEL

CZYLI SYN ŚMIERCI

DRAMAT LIRYCZNY.

(MUZYKA FERDYNANDA DULKENA.)

« Abime contre abime. »
BALZAC, *Séraphitus*.

W ogromnym czworoboku słupow i sklepień, na których Panteonu (dziś kościoła Śtéj Genofewy) kopuła się opiera, jest jedno z najcelniejszych malowideł Gérarda. Śmierć, królowa niewidzialnych światów, dotyka wyciągniętą ręką skroń młodzieńca, padającego pod jéj stopy z dziwnym wyrazem omdlenia i zachwytu. Łatwo pojąć, że ta chwila jest ostatniém przesileniem uchodzącego życia. — Ten obraz, głębokiém uczuciem natchniony, już wiele lat temu po pierwszy raz widziałem; silne wrażenie jakiego wtedy doznałem, różnemi przygodami życia mego dopełnione, dało początek téj drugiéj części Dramatu ludzkości, całe jéj duchowe dzieje w zamyśle moim obejmującego. — Podług księgi Enocha, Azael był jednym z aniołów za grzech nieposłuszeństwa na doczesne wygnanie przez Boga skazanych: « Jest on przykutym do skał dzikich i bezludnych, wśród niezmierzonéj pustyni, aż do chwili skonania naszéj ziemi. » Można ztąd wnosić, że pierwotne biblijne podanie, odbite na tle mitologii greckiéj, zrodziło eschylesowego Prometeusza. — Azael, podług hebrajskiego języka, znaczy: « Widzący Boga. »

OSOBY

AZAEL, duch narodu Sławy.
ELOHIM, duch narodu Wolności, brat jego.
ASTARTE, królowa cieni.
BEATA, ulubiona Danta.

CHÓR { prawy, wygnańce.
lewy, potępieńce.

BOŻA ZEMSTA.

Scena w otchłani.

Pustynia smętnego lecz spokojnego wejrzenia. Olbrzymie drzewa kolczaste; sklepienie z przezroczystych głazów. — Po każdéj stronie, grobowiec; w pośrodku, tron żelazny. — Dzień świtać zaczyna.

SCENA I.

ASTARTE, AZAEL, CHÓR LEWY, CHÓR PRAWY.

CHÓR LEWY.

Królowo wiecznéj nocy,
My, słudzy twéj wszechmocy,
Przychodzim hołd ci nieść;
Twym tronem, otchłań cała:
Astarte, tobie chwała,
Astarte, tobie cześć!

Gdy skiniesz, w koło ciebie
Blednieją gwiazdy w niebie
Jak pod orkanem kwiat;
A piorun, duch obłoku,
Rozpala się w twém oku,
Nim grzmiąc obleci świat!

DUCH Z LEWÉJ.

Synowie światła, dziś ciemności duchy;
Nasz król strącony za godzinę skruchy,
Pod Etną dyszy wciąż:
Szatana córka, dziś królowa piekła,

Macocha nasza, ojca się wyrzekła,
I Zamęt jest jéj mąż!

Sześćdziesiąt wieków głosi jéj zwycięztwo,
Tę straszną walkę, gdy przez nasze męztwo,
Chór niebian śmiała zgnieść;
Dziś dzień biesiady, piekła dzień świąteczny.
Z puharów dźwiękiem brzmi nasz okrzyk wieczny:
Astarte, tobie cześć!

(Astarte wchodzi i staje przed tronem; Orszak w głębi.)

CHÓR PRAWY.

Nadchodzi groźna... w oczach gniew i trwoga;
Podnosi mściwą dłoń:
Wygnańce tęskni, dusze wznieść do Boga,
A pod jéj stopy skroń!

CHÓR LEWY.

(Razem.)

Dzień chwały, dzień zwycięztwa!
Dziś roskosz, córa męztwa,
Da pamięć raju znieść;
Dziś piekła dzień świąteczny.
Niech brzmi dlań okrzyk wieczny:
Astarte, tobie cześć!

CHÓR PRAWY.

Dzień żalu, dzień rozpaczy!
Niech Bóg nam ulżyć raczy,
Lub da niewolę znieść;
Cherubów braci lutnie
Kwilące dziś tak smutnie,
Ogłoszą jego cześć!

(padają na kolana; za Chórem prawym widać Azaela uśpionego na grobie Uriela.)

DUCH Z LEWÉJ.

Tam Azael śpi na skalistym grobie...
To wzgardy naszéj cel;
O raju marzy! on tu sam w żałobie!
Niech zginie!

CHÓR.

Azael!...

ASTARTE, z tronu.

Szatany! precz od łoża gdzie spoczywa
Światłości syn, mój więzień, Azael!
I cóż wspólnego między nim, a wami?
W kajdany ten kto przerwie sny anioła!
Słyszeliście, nikczemni! wróćcie tam
Gdzie huczna piekieł czeka was biesiada!
Niech nad uśpionym brzmią roskoszy dźwięki,
Miłosne pieśni, złotych arf odgłosy;
Pląsami, śmiechem, cieszcie się i bawcie:
On mój, on święty!... Samych nas zostawcie!

CHÓR.

Królowo wiecznéj nocy,
My, słudzy twéj wszechmocy,
Przychodzim hołd ci nieść;
Twym tronem, otchłań cała:
Astarte, tobie chwała,
Astarte, tobie cześć!

SCENA II.

ASTARTE, AZAEL.

ASTARTE, zbliżając się.

On wiecznie mój!... zapewne śni o niebie,
O tych wybranych, których tam zostawił...
Na jasném czole jaki wdzięk uroczy!
Ja chciałabym... o, nieśmiem... ja, królowa
Rozpacznych cieni, złudzeń i przestrach
By jeden wyraz, jedno me spojrzenie
Anielskiéj twarzy rysów nie zaćmiło!...
Mój Azaelu, kocham cię!... Co mówię?
Jam jest przeklętą, miłość ma zabija!...
Bądź zdrów, spoczywaj... niechaj kwiat marzenia
Błogiemi snami twoją skroń uwieńczy...
Czy dzienny świt w powietrzu rozpościera
Tęczowe barwy?...

(Potrójna tęcza zjawia się na grobie Uriela; wkrótce potém Elohim.)

Duch z ognistym mieczem!
Archanioł!... skryj się w łonie mém, zgryzoto..
Posłańcze nieba, czego chcesz?

SCENA III.

ASTARTE, ELOHIM, AZAEL.

ELOHIM.

Astarte!
Wolności-rodu jam odwiecznym stróżem;
Rozkazy boskiéj władzy ci przynoszę:
Czy będziesz im posłuszną?

ASTARTE.

Ja? być może;
Cóż więc?

ELOHIM.

Astarte! masz tu jeńców dwoje,
Miłością grzesznych i przez nią zbawionych;
Narodu-Sławy jeden był obrońcą:
Dziś jego pęta miecz braterski skruszy.
Ta druga martwa,

(wskazując drugi grobowiec.)

z niebian krwi zrodzona,
Z pomiędzy ludzi zeszła bez kochania;
Astarte! życie zbudzić masz w jéj łonie!

ASTARTE.

Ja, życie?...

ELOHIM.

Zanim w kraj ojczysty wrócą,
Miłości próbę winni znieść oboje;
Na grodzie Wiary póki dzień się bieli,
Pochodnia ta ma świecić trój-promienna:
Gdy minie północ, on lub ona, zemną
Uleci w niebo...

(zapala pochodnię na grobie Uriela i znika; tęcza powoli się rozpływa.)

SCENA IV.

ASTARTE, AZAEL.

ASTARTE.

Co, ja ciebie stracę?
Mam żyć bez ciebie, tu, przez wszystkie wieki!
Nie... Bóg z mych ramion wydrzeć cię nie zdoła!
Przysięgam, nigdy!...

AZAEL, we śnie.

Brat mój... Elohim...
W objęciach twych, jam wolny!...

ASTARTE.

Co za blask
Na jego licach... budzi się!...

AZAEL.

Astarte?
Ty, zawsze przy mnie!...

ASTARTE.

Zostań... jedno słowo!
A ty, czy zawsze stronić masz odemnie?...
Czym straszna tobie?... Patrz na te obszary;
Piekielnéj puszczy nic tu nie zwiastuje,
Bo każdy duch ma niebo w samym sobie...
Wszak miłość niebem a nienawiść piekłem?...
Wszak nieba godne święcę ci ołtarze?...
Wszak i w otchłani żyje mirt roskoszy?...
Dla ciebie kwitną lilje, bzy i róże;
Dla ciebie śpiewne stu niewolnic chóry
Z puharów dźwiękiem, z tchnieniem ziół zmięszane:
Używaj szczęścia, bądź biesiady królem!

AZAEL.

O szczęściu mówisz?... dla mnie szczęścia niema!
Cierpienu przeczyć, jestże być szczęśliwym?...
Czy jest i w niebie miłość bez nadziei?...
Nie! łzy mi zostaw; łzy, mój skarb jedyny!

ASTARTE.

Te łzy niezgasłych żarów nie zaleją!
Aniele tęskny, chcesz-li bez przestanku
Płonnemi jęki truć twe młode lata?
Naśladuj raczéj nas, odwagą silnych,
Od sześćdziesięciu wieków tu strąconych;
Z męczarni szydzić, rozpacz kryć uciechą,
Na kaźni śmiać się, to jest nasza cnota!...
Już dość tych żalów! wznieś pogodne czoło,
Niech skra weselsza wzrok twéj rozpromieni,
A będziesz równym, jak podobnym jesteś
ynowi Twórcy...

AZAEL.

Bluźnisz! stój, piekielna!
Kto, ja, stworzenie wątłe i przelotne,
Synowi Boga miałbym być podobnym?
Ja, lichy promień słońca bez zachodu,
Ostatni z duchów z jego łask zrodzonych,
O wszechwiedzącym, wiecznym i niezmiernym,
Usilną wolą ledwie to zgaduję
Że on przyczyną pierwszą i konieczną,
Ja, żywym skutkiem władzy i miłości;
Że mi pozwala wierzyć weń i kochać,
I mnie, kornemu, wznosić się do niego,
Skrzydłami dwoma, czuciem i modlitwą:
Lecz dla rozumu jego twarz zakryta.
On jest, bo myślę; dobry, bo wszechmocny;
On sprawiedliwy, karze i nagradza;
On źródło ducha nigdy nie przebrane,
Przenika wszystko, zawsze był i będzie:
My w nim i z niego... kiedyż ja, śmiertelny,
Na wieki z Twórcą życia się połączę!...

ASTARTE.

On, sprawiedliwy... dziwię się dobroci
Co z nieba szczytu spędza cię, aż w piekło!...
Czy wszystko z niego? więc i błąd, niedola...
Lecz wiem, obłudny, zkąd ten smutek w tobie...
Nie żal wygnańca łzawi twe spojrzenia:
To miłość... przyznaj!

AZAEL.

Co za myśl bluźniercza!
Lecz któż ty jesteś?

ASTARTE.

Ja!...

AZAEL.

Ty milczysz?

ASTARTE, na stronie.

Śmiało!...

(w głos.)

Jam jest najpierwszą w świecie dusz, po Twórcy!
Ja daję wszystko co żyjącym zbywa;
Poległym w boju za swobodę braci,
Marzenia wiecznéj sławy przy skonaniu;
Tułaczy nędznych wracam do rodziny,
Przykutym kruszę zamków drzwi żelazne;
W pogańskim świecie starsi mię wzywali
Imieniem siostry, matki lub kochanki;
W krainie śmierci zowią mię «Astarte,»
Lecz wśród żyjacych: «Wolność!»

AZAEL.

Ty, co słyszę!
Ty, córą nieba, tą dziewicą boską
Niedoścignioną lecz pragnioną wiecznie,
Ty, któréj wdzięki w sercu mém jaśniały
Gdym ujrzał ziemię, pierwszy raj młodości?
Od pięknéj sławy ty piękniejsza jeszcze,
Bo wszystkie ludy żyją twém spojrzeniem?...
Nie! jam twój więzień... ja się tobą brzydzę...
Tyś jest Niewola!... kłamiesz!

ASTARTE.

Stój, zuchwały!

(Skała się rozdwaja; Azael znika.)

SCENA V.

ASTARTE, sama.

Niewdzięczny... nieugięty... bez litości!
Ja też jéj mieć nie będę, od téj chwili...
O, biada mu!... Jak Uriel niech zginie!...
Podobny przecież twarzą i wyrazem
Do mego syna... on? to być nie może!

Gniew boski musiał z ojcem go pochłonąć,
A czas pokuty dla mnie już stracony...
Lecz jeślim go zbadała, młode serce
Do rozkochania jest aż nadto skłonne;
Ta branka moja...
(wskazując grobowiec lewy.)
zbiegnie dziś przed nocą:
On tu zostanie! On pod moją mocą!
(uderza w drzwi spiżowe grobowca Uriela.)

SCENA VI.

ASTARTE, CHÓR.

CHÓR.

Ty wołasz nas?
Szatanów rój
Na rozkaz twój
Przybiega wraz!
Ich bogiem złość,
Roskoszą gniew;
Biesiadą krew,
I trupia kość!

Wychudły wieszcz
Co sieje rym
A zbiera dym
I laurów deszcz;
Męczennik-mąż,
Gdy całe dni
O żonce śni,
Co jeździ wciąż;

Bohater-lud
Gdy życie swe
Dać innym chce,
A zamrze wprzód;
I śpiący duch
Na pączku róż:
Rozrywaj, burz
To wszystko w puch!

I gwiazda-kwiat,
W błękicie tam;
I Twórca sam:
Niech zginie świat!
Przybiega wraz
Na rozkaz twój
Szatanów rój;
Śmierć woła nas!

ASTARTE.

Nie śmierci żądam; innéj chcę posługi,
Choć nowéj dla was i niezwykłéj dla mnie:
Téj niewolnicy chcę powrócić życie!

CHÓR.

Coś rzekła?

ASTARTE.

Życie jest lennikiem śmierci!
Nim zgasną te trzy światła, jeden z was
Lub moim będzie, lub z tym dniem uleci.
Brat Azaela, Elohim ognisty
Dopiero przyniósł rozkaz ten, od Pana...
Zły przykład zgubną stałby się zachętą;
Lecz wy mię znacie, ja groźbami gardzę!
Wy wierni słudzy, los mój, waszym losem.
Chcę tą niewiastą wstrzymać tu kochanka;
Waszemi czary dać jéj najpiękniejsze
Dziewicze ciało z twórczych rąk zesłane:
Heleny postać i Beaty duszę,
Eldżeni serce miłość im przyniesie...
Słyszycie!...
(zbliża się do grobowca; słychać nad nim arfy i głosy niewidzialne.)
Oto w grobie tym leżąca,
Powabna w śmierci, wdziękiem snu wszechmocna!
Artysty-Boga twór najdoskonalszy!...
O córko Ledy... jak śnieżystą szyję,
Drzemiący łabędź pod skrzydłami kryje,
Tak pod całunem bieli się bezwładna...
Zacznijcie więc!

GŁOS PIERWSZY.

Wy, rodzące plemie,
Pierwsze życia krzewy,
Co niesiecie w ziemię
Płodne gwiazd zasiewy;
Z nieba nam przynieście
Dusze dwie niewieście
Dwóch piękności pań;
Niech te dusze obie
Złączą się w jéj grobie:
Na cień Heleny, wstań Eldżeni, wstań!

ASTARTE.

Czy żadna siła, żadna
Jéj nie rozbudzi?... mogęż dać jéj życie,
Ja, nienawistna!...

GŁOS DRUGI.

Na wszechmocne słowo
Co przez boskie ciało,
Nad Solimy głową,
W dawny Rzym zleciało;
Co przy schyłku świata
Jak śmiertelna szata
Z krzyża spadnie nań,
Rzym i Troję skruszy:
Na wcielenie duszy,
Na duch Beaty, wstań Eldżeni, wstań!

ASTARTE.

Tam, na piekieł szczycie,
Błękitna gwiazda... na jéj czoło spada...
Rumieni się i gaśnie... biada, biada!
Dokończcie dzieła, niech się spełni czar!...

GŁOS TRZECI.

Gwiazdo ty szczęśliwa,
W Azaela łonie
Jak twój promień żywa
Miłość niech zapłonie!
Ty niebieski kwiecie,
W łez podziemnym świecie
Przyjm piekielną dań;
Wieszcza masz amanta:
Przez Homera, Danta,
Przez Azaela, wstań Eldżeni, wstań!

ASTARTE.

Dość, niewolnicy!... Już tlejący żar
Wstępuje w pierś; źrenice światło ronią:
Już z ramion spływa jéj grobowa szata...
Zwycięztwo! serce drga pod moją dłonią!
Helena znika... Oto jest Beata!...

(Cienie Homera i Danta przechodzą w głębi; kwiaty grobowe zwolna się rozchylają; nad niemi unosi się postać biała i przezroczysta jak obłok promienny, w zarysach coraz wyraźniejszych świecąca: Astarte zrzuca jéj zasłonę, kwiaty znów się zbliżyły, grób zapada w ziemię.)

CHÓR.

Chwała nam i tobie;
W jednéj, dusze obie:
Piękna w swéj ozdobie
Jak żadna z Ewy cór!
Skroń jak róża biała;
W oku miłość pała:
Nam i tobie chwała!
Niech brzmi zwycięzki chór!

SCENA VII.

ASTARTE, BEATA, Chór.

BEATA, wpółsenna.

Gdzież jestem!... Arno, ty rodzinna rzeko,
Nazwiskiem Danta w biegu twym dźwięcząca,
Wiosenne twoje chcąc mu nieść równianki,
Usnęłam, szumem twoich fal pieszczona,
W roskosznym raju Fiezole...

ASTARTE.

Wstań, dziecię!
Patrz w koło siebie!... Groźne te pieczary,
To nie jest raj co nad Florencyą kwitnie;
Ten zdrój, wśród spiekłych skał płaczący wiecznie,
To nie jest Arno... tu równianek niema!

BEATA.

Ten głos... te rysy... ta korona rdzawa!...
To sen okropny... zbudzić się nie mogę...
Kto jesteś?...

ASTARTE.

Zmarłéj, jam oddała życie!

BEATA.

Mnie, zmarłéj?... groby... noc ponura, straszna!...
To była śmierć?

ASTARTE.

Tak, wieczna śmierć, bezemnie!

BEATA.

O Boże! piekło!... to marzenie Danta...
Ach! bądź przeklętą, za twój dar...

ASTARTE.

Niewiasto!...
W uśpieniu twojém, niceś nie widziała?

BEATA.

Nic... krom anioła z wieńcem gwiazd na czole...
Smętnego jak mój wieszcz... dwa nasze serca
Jak z jednéj matki zdały się zrodzone...
Złudzenie, sen!...

ASTARTE.

Tu wszystkie sny prawdziwe...
(pokazując jéj Azaela w głębi.)
Patrz, tam!

BEATA.

Wśród jodeł, jasny duch przechodzi!...
To on, mój anioł!... Nie, to mara tylko...
Tak zawsze znika...

ASTARTE.

Słuchaj, co mi dasz
Za serce jego?

BEATA.

Życie, raj, zbawienie!...

ASTARTE.

Przyjmuję wszystko!

BEATA.

Czym ja zasłużyła
Na wieczną miłość, ja, poddana śmierci...

ASTARTE.

Patrz w tę krynicę...

BEATA.

O widzenie śliczne!
To cień... Heleny!... ściąga do mnie ręce...
Ja chciałabym ją dostać... już przepadła...
Ach, ta piękniejsza!...

ASTARTE.

To twój cień, Beato!
Zbliż się; z tym wieńcem przyjm wieczyste życie!
(kładzie jéj wieniec na głowę.)
W krainie duchów masz się zwać Eldżeni...

BEATA, na kolanach.

Nieznana władza ściele mię przed tobą...
Za tyle szczęścia, czego chcesz odemnie?

ASTARTE.

Masz Azaela tu zatrzymać, w piekle,
Przez boskie wdzięki, łez niewieścią siłę,
Przez wszystkie marne ziemskich cór ponęty;
Gdy dzień przeminie, wolna i żyjąca
Do nieba wrócisz, lub do Włoch, na ziemię:
(Azael powraca.)
Lecz pomnij że zwyciężyć masz dziś jeszcze,
Lub zginiesz!

CHÓR.

Zginiesz!...

ASTARTE, wychodząc.

Bądźże mu łaskawa.

CHÓR, w głębi.

Chwała nam i tobie;
. . . .
Niech brzmi zwycięzki chór!

SCENA VIII.

BEATA, AZAEL.

BEATA.

On, Azael!...

AZAEL.

Tum złożył moją lutnię...
Jak bluszcz, do ruin więźnia myśl przyrasta...
Ktoś obcy...

BEATA.

Azael!!..

AZAEL.

Czy duch piekielny,
Czy rajskie snu zjawienie?

BEATA.

Azael!!!.

AZAEL.

Co chcesz odemnie?

BEATA.

Nic... i niewiem sama
Kto jestem, tylko że cię kocham z duszy...
Przybycie twoje w sercu mém zaćmiło
Pamiątki wszystkie, słodki dźwięk przeszłości...
Zrodzonam z ludu wiary i harmonii;
Tam wieszcz, wygnaniec, lecz największy z ludzi,
Pokochał mię, nieczułą i niewdzięczną...
Już mi się śniło, że w nieznanym świecie,
Po moim zgonie, będę mieć w zamianę
Za miłość ludzką, miłość twą bez końca...
Umarłam dzieckiem, budzę się przy tobie :
Nic więcéj nie wiem...

AZAEL.

Imie twe?

BEATA.

Beata...
Eldżeni drugie...

AZAEL.

Głos jéj, to wspomnienie
Zgasłego szczęścia... kwiat włoskiego słońca,
Śmiertelném tchnieniem nigdy nie owiany...
Beata!

BEATA.

Powiedz, co twych łez przyczyną?
Czy gwiadza twoja, rajskich cór jutrzenka,
Runęła w odmęt, zmarła i zbłąkana,
Gdyś ty na ziemskie patrzał się obszary?
Czy miłość?... dawniéj, wiem że równi tobie,
Stracili niebo dla niewieścich oczu...
Czy nic nie kochasz?... o jak żal mi ciebie!...

AZAEL.

Na ziemi kocham, lud, Ojczyznę moją!

BEATA.

Gdzie twa Ojczyzna?.. czy niewolna jeszcze,
Jak moja przedtém?... Jeśli śmierć Beaty
Jéj pęta skruszy, chętnie dla niéj zginę;
Mém życiem jeśli zbawię ją lub ciebie,
Chcę żyć, na wieki!

AZAEL.

Słuchaj więc, litosna!
Syn Uriela, wtedy już wgnańca,
Narodu-Sławy jam był opiekunem.
Bóg wybrał go, jak syna Zbawiciela,
Na trzy dni męki od zbójeckich rąk;
I trzy jastrzębie, krzywy dziób i szpony
Krwawiły w sercu, w troje szmat rozdartém.
Chcąc życie moje dać mu nieśmiertelne,
Wyzwolić od katuszy, z głębi nieba
Natchnąłem wieszczym duchem te miljony,
Ratunku krwią i łzami wołające.
Patrz, tam!... Tułaczy roje od Zachodu
Wracają na Wschód, z krzyżem i modlitwą,
Do Boga wznosząc wielki himn błagalny;
Nieznanych synów, braci, kraj przyjmuje,
Do piersi ciśnie, jak stracone dzieci;
Łzy męczenników, dziewic i kapłanów,
Zlewają się w olbrzymi głos boleści,
Bijący w niebo jak piorunów gromy.
Łańcuchy pękły pod wolności słowem,
Pod pieśnią : « Jeszcze Polska nie zginęła! »
Już gwiazda życia nad jéj grobem świeci!...
Wydaję walkę straszną, bez wytchnienia,
Królowi czartów co Północą rządzi,
Piorunem, słowem, czuciem, serc potęgą;
Lud zmartwychwstaje! wznosi krzyk zwycięzki!
Lecz boski wyrok na mnie się przelewa,
Żem naród kochał nad zbawienie duszy,
Żem go wyzwolił przed wskazaną chwilą;
I Bóg mię strąca w łez otchłanie wieczne,
Gdzie ta najsroższa serc wygnanych męka,
Gdzie śmiech szatański wiecznémdrga cierpieniem...
Zbawiłem lud mój, własném potępieniem!

BEATA.

Wygnanie bez powrotu, bez nadziei...

AZAEL.

Wyroki nieba dla nas niezgłębione!

BEATA.

Czy wzbrania wierzyć w litość i swobodę?

AZAEL.

Czy chcesz litością zgubić się daremną?

BEATA.

Czyś ty zgubiony, a twój naród żyje?

AZAEL.

Ach, dość!... ja niechcę śmierci twéj, Beato!

BEATA.

I cóż mi z tego żem powstała z trumny,
Że wierzę, kocham... gdy nadzieję tracę?
Nie lepiéj było wiecznie śnić o tobie?...
Bądź zdrów... mój Azaelu!... Ja nieszczęsna!

SCENA IX.

AZAEL, sam.

I ona płacze... cierpi z méj przyczyny!
Tak! wszyscy cierpią dla mnie, lub przezemnie!...
A przecież czysta jak jéj sny dziewicze,
Jak najświetniejszy z braci mych, przed Bogiem!...
Na łzy czy nędzarz może być nieczuły?
Ja kocham ją!... Co, jeszcze? O mój ojcze!
I ty za ziemską miłość... precz z tą myślą...
Jeżelim zgrzeszył, syn jasności wiecznéj,
Syn Uriela, to miłością ducha,
Że w rodzie ludzkim zbył się rozkochałem...
Wszak moja matka była też niewiastą,
Miłości córką, Ewy już występnéj...
Lecz Bóg i w piekle modlić się pozwala...
Tak... na kolanach... w krzyż składając ręce!
Modlitwo święta, tęsknych serc potrzebo,
Zaśpiewaj w duszy, nim ulecisz w niebo!...

Modlitwa[1].

Z bezdennéj głębi żalu i ciemności,
Do ciebie, Panie, drżący głos mój woła!
Gdy będzie sądzon wedle twéj słuszności,
Kto z nas od grzechu być niewinnym zdoła?
Lecz jak potęga, dobroć twa bez końca;
Na twych poddanych oczy rzuć łaskawsze:
Wróć nam Ojczyznę!... Tyś nasz pan, obrońca,
Czy nasze łzy trwać mają zawsze?

ECHO.

« Zawsze!... »

AZAEL.

Litości, Ojcze!... jak twój syn, Bóg-człowiek,
Dla moich braci życie dam z ochotą;
Lecz na Golgocie, przy zawarciu powiek,
On Bóg, miał matkę... a jam jest sierotą!...
Niech krzyż jéj męki wieczny blask odzieje;
Za lud mój zniosę śmierć, ja syn tułaczy,
Lecz daj mu Wiarę, Miłość i Nadzieję...

ECHO.

Nadzieję! ha, ha!...

AZAEL.

Słyszę śmiech rozpaczy!...

CHÓR, niewidzialny.

Baśnią jest nadzieja!
Wiara snem złodzieja,
Nim go zbudzi kat;
Żywa roskosz tylko,
Choć jest jedną chwilką,
To młodości kwiat!

AZAEL.

Bezbożne śpiewy! duchów złych igrzyska!
Tam... drżące widma snują się w żałobie...
Z ognistéj paszczy grom po gromie błyska!...
Czy wolność dla mie tylko w grobie?

ECHO.

« W grobie!... »

SCENA X.

AZAEL, Chór, Wróżki, Ćmy, Jętki
z drzew i skał wychodzące.

CHÓR.

Córa gwiazd, Beata,
W twe objęcia zlata;
Ty jéj życie daj!
Uśmiech jéj, rumieniec,
To różany wieniec,
W oku, szczęścia raj!

Ramion twych łańcuchem
Nad niewieścim duchem
Twoją władzę ztwierdź;
W dwojga serc zachwycie
Kochać się, to życie,
A nie kochać, śmierć!

1. Psalm CXXIX.

AZAEL.

Czy mam ich słuchać? biedz w szatańskie ślady?
W potoku mętnym uciech i roskoszy
Z wytartém czołem, jak niewolnik podły,
Upoić się trucizną zapomnienia?...
Ach! zanim stracę pomnik ten ostatni
Przeszłości w raju, wieniec mój promienny,
Niech w martwéj piersi serce bić przestanie
Tak czyste, wzniosłe, jak je mam od Boga!
Powiewy święte, wy wieczności tchnienia,
Na skrzydłach śmierci wolność mi przynieście!
Przybiegaj, ratuj, bracie mój zbawiony...
Na łonie Ojca, czyś zapomniał o mnie?...

GŁOS, z nieba.

Mój Azael!...

AZAEL.

Daleki głos mię wzywa...
Złudzenie błogie!... W téj skonania chwili,
Głos brata w niebie imie me wspomina!...
Znów cicho...

GŁOS, bliżéj nieco.

Azael!!...

AZAEL.

To nie złudzenie...
On zbliża się, bo czuję łzę na czole...
Ta łza, czy jego?... przez ogromy świata,
Czy mogła spaść aż do mnie?...

GŁOS, nad jego głową.

Azael!!!.

AZAEL.

Ach! słyszę tuż anielskich skrzydeł bicie!
Cherubów lutni dźwięki mię dochodzą!
Słoneczny promień spada przez otchłanie...
To on, mój brat, mój zbawca!...

CHÓR, pierzchając.

Elohim!

SCENA XI.

AZAEL, ELOHIM.

AZAEL.

Swobody gończe, więc cię widzieć jeszcze,
Uścisnąć mogę... chociaż raz ostatni!...

ELOHIM.

Bądź pozdrowiony, bracie, bądź szczęśliwy!
Przynoszę piekłu mir i wyzwolenie!

AZAEL.

Co mówisz?

ELOHIM.

Zanim ta pochodnia zgaśnie,
Wygnane duchy ztąd ulecą w niebo.
Bóg ci zwiastuje koniec twéj pokuty...
Ach! patrząc na te groźnych skał urwiska,
Bezdrożne pola, krwawych łez otchłanie,
Pojmuję coś ucierpiał...

AZAEL.

Tak, bez miary!
Najsroższą męką był ten żal, ta trwoga,

Że cię już nigdy w życiu nie zobaczę!...
Ojczyzno matko, droższa nad zbawienie;
Wolności święta, wzniosłych dusz kochanko,
Co trujesz serca wiecznie cię pragnące,
Jak zdrój roskoszy z któréj się umiera :
Tom wszystko znosił, tak boleśnie, długo,
Że aż zwątpiłem o dobroci Boga!
Myślałem, bracie, przebacz méj rozpaczy,
Żem z twego serca także był wygnany!...

ELOHIM.

Ty, z mego serca? duszy méj półowo!
Ty, współzrodzony!... ach, to myśl niegodna...
Nikczemny tylko własną krwią pomiata!...
Nad ogniem wiecznym dniem i nocą zgięty,
Szukałem cię, wzywając po imieniu;
I przed Wszechmocnym korząc się ze łzami,
Mówiłem : « Panie, odbierz mi twe dary;
A pozwól dziś otworzyć bratnią dłonią
Grób Azaela, zbawić go, lub zginąć!...
— Idź, rzekł nasz Ojciec! » Otom jest przy tobie!
Uchodźmy z tego duchów złych siedliska!...

AZAEL.

Daj rękę... mdleję... chciałbym ztąd wyzwolić
Tych także braci, dawniéj nam podobnych...
Dreszcz mię przenika... wspieraj mię... w tym cieniu
Dokoła wszystko cieniem się wydaje...
Wspólnicy męki, żegnam was... na zawsze...
Czy słyszysz śpiewy?

BEATA, w głębi.

Gdzieżeś ty?

ELOHIM.

Beata!

SCENA XII.

ELOHIM, AZAEL, BEATA.

BEATA.

Cud niesłychany! przed wrotami piekła,
Trzy święte siostry pędem tu zleciały,
Różańce nucąc do Rodzicy-Boga,
Rzucając wianki, w locie swym tworzące
Pieśń każda gwiazdę, każdy kwiat anioła!...
Astarte groźna, słowem i spojrzeniem
Zachęca duchów do stanowczéj walki;
Chwyciwszy broń, wołają : « Elohim!
On zbieg, on zginie!... » Lecz, co widzę... łzy?
Ty płaczesz! czemu?... Któż tu jest, przy tobie?

ELOHIM.

Beato, siostro... masz tu zostać, sama...

BEATA.

Ty zwiesz mię siostrą?... Ja cię nie rozumiem!

ELOHIM.

Masz sama zostać, aż do dnia bez końca...
To wyrok boski!

BEATA.

Tyś posłańcem jego?...
Ja mam, niewdzięczny, zostać tu, bez ciebie,
Z Astartą, straszną tą królową piekła!
W otchłani wiecznéj... ach, to zbyt okropnie!

ELOHIM.

Czas mija!...

BEATA.

Nie! zlitujcie się nad biedną!
Weź mię, na miłość moją cię zaklinam!
Lub ja przed tobą sama się zabiję!...

AZAEL.

Okrutny losie!... więc ja, sam nieszczęsny,
Mam zgubić marnie tych co mię kochają?
O nigdy!... jeśli jeden duch ubędzie,
Świetniéjszych tylu w raju jest aniołów;
A jeśli wrócę, czyli pod przychodniem
Poznają bracia mię, równego sobie?
Te kilka lat więzienia i katuszy,
Jak wieczność długie, ciężą na méj skroni;
Tu, blisko serca, czuję ból tajemny,
Lecz niezbłagany i codzień silniejszy :
To ręka śmierci co po duszę sięga,
I już chwyconą, z piersi méj wyrywa...
Nie, już zapóźno... idźcie, tam, bezemnie!
Jam dawno zmarły w gronie méj rodziny...
Bo czemu zresztą miałbym dbać o życie,
Śmierć mi łatwiejszą będzie... Już to serce
Na wieki zgasło... Los mój niech się spełni...
Zostaję!...

SCENA XIII.

CIŻ, CHÓR uzbrojony, ASTARTE w głębi.

CHÓR, przybiegając.

Śmierć tym zbiegom!

ELOHIM, podnosząc miecz.

Precz, przeklęci!

CHÓR.

Do broni!

AZAEL, do brata.

Zbaw ją!

ELOHIM.

Niech ten miecz ognisty
Piorunem błyśnie!

CHÓR, rozbiegając się.

Biada nam!... Astarte!

ASTARTE, postępując.

Szatany podłe, oto jest wasz król!
(wskazuje na Azaela.)
Wszak zabroniłam zbliżać się ku niemu;
Czy tak, bezczelni, woli méj słuchacie?
Precz! na kolana! lub spojrzeniem jednem,
Astarte gniewna w nicość was obróci!...
(do Azaela.)
U stóp twych składam tę koronę smętną,
Strzaskane berło, twoich rąk niegodne. .
Tyś panem teraz... jak Astarte sama,
Niech wszystkie duchy korzą się przed tobą!...
(do Elohima.)
A ty, posłańcze światła i pokoju,
Co w moje rządy niesiesz zgiełk wojenny,

Czy się nie lękasz skrzydła twe łabędzie
Przy wiecznym ogniu w czarny pył zamienić?
Ulatuj więc, lub chroń się méj rozpaczy!

ELOHIM.

Twa rozpacz wściekła litość we mnie budzi.
Chodź, Azaelu, już godzina bliska!

ASTARTE.

Chcesz mi go wydrzeć? ty! o znam ja ciebie!
Tyś duch niezgody!... Wszak mówiłeś sam
Że on lub ona z tobą dziś uleci?

BEATA.

Co słyszę! on lub ja!... więc jeden tylko?
Ja dzisiaj wolna, on Astarty jeńcem?
Nie, to nie będzie!...

ASTARTE.

Słyszysz więc, cherubie;
Weź ją, Beatę!

BEATA.

Stój, na miłość Boga!
Tyś jego brat!... Ja, gdybym miała żyć
Przy tobie w piekle, lub z Astartą w niebie,
Wolałabym...

ASTARTE.

Cóż więc?

BEATA, stanowczo.

Być potępioną!

ASTARTE.

Nieszczęsna, milcz! ty niewiesz kto ja jestem!
Zjadliwa żmijo z prochu dziś wyjęta,
Dotknięciem jedném w proch cię znów obrócę!...
Śmierć tobie!

ELOHIM, podnosząc miecz.

Krzyż ten drogę ci zagradza!

BEATA, chroniąc się na łono Azaela.

Tu mię nie sięgniesz, na kochanka łonie...

ASTARTE, ztrwożona.

Ach! zbiegła mi... truchleję!...

BEATA.

Cóż, Astarte?
Ja czekam... uderz... zemsta twa spłonęła?
Zazdrosna jędzo, ty piekielna, straszna,
Tyś blada, drżąca?... przed nim czy przedemną?
O, ja twéj złości tu się bać nie będę!
Więc sama sobie zadaj cios rozpaczy!...
Myślałaś pewnie żem go kochać mogła,
I nie poświęcić nawet méj miłości?...
Patrz, tę koronę rzucam pod twe stopy,
Rozrywam, depczę... tyś mię zabić chciała?
Ja tobą gardzę, ja cię lżę, wyzywam...
Ty, śmierć, kajdany, ja mu dam swobodę!...

ASTARTE, zasłaniając twarz rękami.

O zgrozo!...

BEATA.

Azaelu, wróć do nieba,
Zapomnij o mnie... ja zostanę, zginę...
Mnie dosyć na tém żeś przezemnie wolny,
Żem cię kochała... że nam Bóg udziela,
Mnie, grób, kobiecie, tobie raj, zbawienie!

AZAEL.

Ach! czy mię niebo, czy mię piekło wzywa?
Czy śmierć lub życie?

ELOHIM.

Patrz, na téj pochodni
Już pierwsze światło gaśnie!...

AZAEL.

Chodź, mój bracie!
Ja po nią wrócę!

BEATA.

Żegnam was!

AZAEL.

Bądź zdrowa!

(Azael wychodzi z Elohimem i Chórem prawym.)

BEATA, z radością.

Już wyszli!

ASTARTE.

Zostań!... Do mnie, wierne duchy!
Ty mię wyzywasz!... Okuć ją w łańcuchy!...

(Chór lewy więzi ręce Beaty.)

O biada, biada!... piekło wre w mém łonie!
Astarty zemsta niechaj świat pochłonie!...

SCENA XIV.

ASTARTE, Chór lewy.

ASTARTE.

Osłońcie mię, Zamętu czarne dzieci,
Wieczyste cienie, mroźnych piór całunem;
A wy, służalce moi, tam, na ziemię!
Na Wschód, na Zachód, Północ i Południe!
Niech jéj mocarze, jedną część ludzkości
Przeciwko drugiéj w srogi bój wprowadzą;
Niech Rzeź, Pożoga, Pomór, Błąd, Niewola,
Jak zwiędłą trawę koszą wsie i miasta;
Niech Żal, Zwątpienie, Głód z gardzielą sępią,
Zwycięzców, zwyciężonych w pień wytępią;
Niech ludzką krew wypije martwy puch,
Dziś, bogiem świata Car, zniszczenia duch!

CHÓR.

Podnieśmy czoła zgięte;
Niech ludów ćmy przeklęte
W Astarty wrócą moc,
A świat w Zamętu noc!

ASTARTE.

Tam, orły moje! tam narodów trupy!
Zlatujcie na nie! krwawcie dziób i szpony!
Niech ani żebrak, ani król w szkarłacie,
Ni wątłe dziecię o aniołach śniące,
Ni kapłan przed ołtarzem, ni kochanek
Przy swéj kochance, nie unikną śmierci!
Niech każdy mści się za mnie, i za siebie;
Świat pozna wreszcie żem zazdrosna, wściekła!
Tam, ziemia wasza! sam się w grob zapędzi

Ostatni człowiek na ostatniéj piędzi :
Umarłe słońce wejdzie bez promieni,
I syn nicości w nicość się zamieni!...

CHÓR.

Tam, tam, posłańce Śmierci,
Na cztery świata ćwierci!
Tam krew, tam szczodry łup :
Zniszczenie, ziemi trup!

SCENA XV.

ASTARTE, sama.

Znów jestem sobą... jak w téj pierwszéj nocy,
Kochanka mściwa, gdym przez bratobójcę
Zgładziła brata, ja Kaima siostra!...
O ileż odtąd łez i krwi spłynęło!...
Tak boską klątwą ściga mię krew bratnia;
Co on zaczyna, kończę ja, ostatnia!
Co z prochu wstaje, wraca w proch koniecznie :
On wiecznie płodzi, ja zabijam wiecznie!...

(Azael zjawia się w głębi.)

Ktoś idzie... Azael!... niech otchłań cała
Zwycięzki krzyk podniesie!... Jam wygrała...

SCENA XVI.

ASTARTE, AZAEL.

AZAEL.

Astarte!

ASTARTE.

Słucham.

AZAEL.

Gdym uchodził z braćmi,
Złowrogie znaki, słońca krwią zalane,
Grożące zgubą światu i ludzkości,
U progu piekieł kroki me wstrzymały.
Wiedziony trwogą, błagać cię przychodzę
O litość dla Beaty i dla ciebie;
Bądź miłosierną chociaż raz, Astarte,
By się nad tobą Bóg zmiłować raczył!
On, ojciec życia, nasze łzy wysłucha...
Wszak dziś mówiłaś : « Ja Wolnością jestem! »

ASTARTE.

Dźwięcznemi słowy myślisz mię przejednać,
Mię, którą świat nazywa : « Niezbłaganą! »
Dla twéj Beaty żebrzesz méj litości,
I wręcz ostatnią rzucasz mi zniewagę!
Lecz tym podstępem łudzisz się daremnie;
Przed moją zemstą chcesz-li ją zasłonić,
Masz jeden sposób wrócić jéj swobodę :
Zrób mi przysięgę zostać tu na wieki!

AZAEL.

Ach! téj przysięgi czemu chcesz, Astarte?
Czy dla twéj pychy nie dość już, ty groźna,
Że drżące piekło słucha twéj przemocy?
Cóż jedna znaczy z grobu dziś wskrzeszona,
Gdy krwawe berło twe pół-światem rządzi?

ASTARTE.

Ty śmiesz mię pytać? Masz odpowiedź w tobie!
Zapytaj raczéj : cóż mię świat obchodzi,
Bez ciebie...

AZAEL.

Mnie? Co mówisz!...

ASTARTE.

Azaelu!
Tyś nie zrozumiał spojrzeń mych ognistych,
Bijącéj piersi... Przecieżeś aniołem,
Światłości synem... Wyjdź nareszcie z łona,
Ty straszna tajemnico, ty bolesna!
Ja kocham ciebie, kocham od lat wielu;
Jak nikt nie kochał, więcéj niż miłością,
Z rozpaczą i zgryzotą! Kocham cię
Bez miary, jak się sama nienawidzę!

AZAEL.

Ty... mię... coś rzekła!... O, za jaką zbrodnię
Astarty miłość... Boże!... mię dosięga!...

ASTARTE.

Ach! drugie światło gaśnie!... Ty, niewdzięczny!
Zbawienie, wieczność, wkrótce nas rozdzieli;
Lecz pozwól raz wyjawić mi przed tobą
Tę miłość długo w piersi méj tłumioną...
O gdybyś poznał duszy méj męczarnie,
Gdyś ty, piękniejszy niż nadzieja w niebie,
Zamieszkał z nami w téj dziedzinie łez!
Z miłości mojéj niosąc ci ofiarę,
Dla twego szczęścia duchem mym wskrzesiła
Homera bóstwo i dziewicę Danta,
W Beaty wdziękach w jeden twór złączone;
Sądziłam tylko że ta niechęć twoja
W litosną skłonność kiedyś się zamieni...
Chcąc z mém uczuciem zrównać mą potęgę,
Ten raj podziemny z piekła ci stworzyłam;
A tyś mną gardził... ty, coś płakał rzewnie
Nad każdą męką dusz, niewolnic moich,
Tyś nienawidził mię, najnieszczęśliwszą,
Bo najwinniejszą przed obliczem Boga!...

AZAEL.

Nie, ja wygnaniec, ja nie gardzę tobą;
Nienawiść, wierz mi, duszy méj nieznana...
Lecz Bóg mię woła, bracia mię czekają :
Co chcesz odemnie?

ASTARTE.

Chcę cię kochać jawnie!
Czcić cię jak Boga, jak ty czcisz twojego,
Tak, na kolanach!... Miłość twa nie dlamnie,
Litości niechcę... lecz pozostań z nami,
Z poddaną, sługą!... Chcę byś był szczęśliwym,
Bo nikt i w niebie tak cię nie pokocha!...
Ty nie wiesz jaka twéj miłości władza!
Świat przeżył się... sześćdziesiąt wieków zbrodni
Nad ludźmi ciężą... zemsty dzień się zbliża...
Twa miłość jedna rękę mą rozbraja,
Gdy mam ich zniszczyć, ja cię błogosławię!

AZAEL.

Ach! znam cię teraz!... we śnie cię widziałem,
W objęciach twoich... Tyś jest... Precz, szatanie!

ASTARTE, smętnie.

Tak, mnie się lęka wszelki duch żyjący...
(wskazując grób Uriela.)
I ten, przed laty, stronił téż odemnie...
Podobnie piękny, jak ty sam kochany,
W mém ręku zgasły, leży tu, w téj skale...
Syn mój, syn jego, w niebie dziś aniołem,
W dniu pierwszym życia zniknął mi na wieki...
Tyś ich obrazem...

AZAEL.

Ja? Wszechmocny Boże!
Mój ojciec!

ASTARTE.

Coś powiedział?

AZAEL.

Nieszczęśliwa!
Nazwisko jego?

ASTARTE, pokazując mu napis na grobowcu.

« Uriel! »

AZAEL.

Astarte!...
Przeklinam cię... okrutna!...

ASTARTE, dając mu uściśnienie.

Ja cię kocham!

AZAEL, na grobie Uriela.

Ach!... przebacz jéj... mój ojcze!...

SCENA XVII.

CIŻ, BEATA, ELOHIM, CHÓR PRAWY.

BEATA, wbiegając.

Azaelu!
To Śmierć... uciekaj!...

GŁOS.

Północ!

ELOHIM.

Już się stało!...
(Piorun uderza w grób Uriela; pochodnia gaśnie, Azael pada na schodach. — Ciemność głęboka; widać tylko nazwisko « URIEL » ognistemi literami na grobowcu wypisane.)

CIEŃ URIELA, powstając z grobu.

Macocho krwawa, bądź przeklętą!...
(schyla się nad Azaelem, i znika.)

AZAEL, konający.

W łonie,
Rażony gromem, duch i serce płonie...
Tyś mię zabiła... Bóg nas sądzi w niebie...
Śmierć pożądaną będzie mi, przez ciebie...
Beato, bądź szczęśliwa... weź tę lutnię,
W tułacza ręku brzmiącą dziś tak smutnie...
Ty, bądź jéj bratem... dłonie mi podajcie...
Błogosławieni... Wierzcie i kochajcie...
(umiera.)

CHÓR.

O! zlituj się nad jego duszą,
Ty coś ukochał świat!
Niech nasze łzy twe serce skruszą,
Niech wskrzeszą zwiędły kwiat!

ELOHIM.

Mój Azaelu! śpij na łonie ojca...
Bóg do wiecznego przyjmie was ogrojca!...
(składa Azaela na grobie.)
Ty, siostro wieszcza, córo gwiazd, Eldżeni,
Z tą pieśnią w niebo!...
(Beata skrzydła rozwija.)
Wiecznie tam złączeni!

CHÓR półgłosem, wychodząc.

Jak twoja krew na krzyżu ciekła,
Za twój rodzinny kraj,
On braciom swym otworzył piekła...
Ty mu zbawienie daj!...

SCENA XVIII.

ASTARTE, sama.

Zniknęli wszyscy... wszędzie noc... milczenie...
Kto ja... Gdzie jestem?... Jak mi w sercu ciemno!...
Gdzie Azael?... on śpi... to grób... zniszczenie!...
On martwy, zimny!... Bóg się mści nademną!...

CHÓR ANIOŁÓW, w oddaleniu.

Już siostra dnia, jutrzenka biała,
Rozświeca ziemi krąg;
Twą chwałą brzmi przyroda cała,
Z woniami gór i łąk!

ASTARTE, ściskając Azaela.

Wstań! Ja cię kocham... chcę ci być usłużną...
(roztwierając mu oczy.)
Patrz na mnie!... Boże! wzywam cię napróżno!
O biada, biada, biada, mnie i tobie!
Ja chcę się zabić na kochanka grobie...
Ach!... w mojém ręku zgasła moc piekielna!
Ja, śmierć dająca, jam jest nieśmiertelna!...

SCENA XIX.

ASTARTE, BOŻA ZEMSTA.

BOŻA ZEMSTA, w oddali.

Astarte!...

ASTARTE.

W nocy, jaki cień się zbliża?
Ktoś woła mię...

BOŻA ZEMSTA.

Astarte!!..

ASTARTE.

Znamie krzyża
W powietrzu... drżę, po pierwszy raz!

BOŻA ZEMSTA, zjawiając się z całunem i łańcuchami w ręku.

Astarte!!!.

ASTARTE.

Poznaję.. całun... więzy wpół otwarte...
Tyś Boża Zemsta!... Uderz!

BOŻA ZEMSTA.

Weź te pęta,
Ty pyszna, ty złośliwa, ty przeklęta...
To Azael, twój syn...

ASTARTE, padając na kolana.

Mój syn!...

(po rozpaczném i długiém wstrząśnieniu, pada zgnębiona; Boża Zemsta pokrywa ją całunem.)

BOŻA ZEMSTA.

Dla ciebie
Litości boskiéj niema tu, i w niebie!...
Beaty miłość piekło dziś otwiera!...
Dla wszystkich Życie... sama Śmierć umiera!...

CHÓR OGÓLNY.

Z tą pieśnią łez, niech święte grono
Ulata w rajski próg;
Miljony gwiazd w przestrzeni płoną:
A nad przestrzenią, Bóg!

Miłujmy się, On nas wysłucha;
On jest Miłością sam:
On przyjmie w raj Miłości ducha,
Swobodę wróci nam!

WIESŁAW

CZYLI KRAKOWSKIE WESELE

Sielanka Ludowa w Jednym akcie

PODŁUG KAZIMIERZA BRODZIŃSKIEGO

(MUZYKA FERDYNANDA DULKENA.)

LUDOWI POLSKIEMU

I niestłumionéj jego żywotności.

OSOBY

STANISŁAW, kmieć proszowski.
BRONISŁAWA, jego żona.
BRONIKA, ich córka.
WIESŁAW, ich wychowaniec.
JAN, ich sąsiad, sołtys.
DOROTA, wdowa.
HALINA, jéj mniemana córka.
MUCHA, organista wiejski.
WOJTEK, pan młody.
RÓZIA, panna młoda.
DRUŻBOWIE, SKRZYPKI, KRAKOWIACY I KRAKOWIANKI.

Rzecz w okolicy Krakowa, przy chacie Doroty.

« Assiduo lucus resonat cantu. »
VIRGILIUS.

Zagroda wiejska, w okolicy Krakowa. — Na prawo, chata Doroty z ławą przed oknem i pasieką. — Wesele. — WOJTEK z RÓZIĄ tańcują w pierwszéj parze. — Na wzgórzu po lewéj stronie, stary dąb z obrazem Matki Boskiéj. — Pod dębem na darninie, Skrzypki. — Przy stole z dzbanem i kuflami, JAN i MUCHA. — Kraków w oddaleniu.

SCENA I.

WOJTEK, RÓZIA, JAN, MUCHA, późniéj DOROTA, HALINA, DRUŻBOWIE, SKRZYPKI, KRAKOWIACY i KRAKOWIANKI.

CHÓR OGÓLNY.

Żywa Różo, póki służą
Twéj piękności kwiecie,
Niech ci bracia szczęście wróżą,
Jedyne na świecie.

Przyjm wieśniaka Krakowiaka,
I teściową chatę;
Dyć to miło, za chłopaka,
Warkocz dać w zapłatę!

MUCHA wstając, do Rózi.

Jak tak róża dzisiaj hoża,
Jutro w głóg porośnie,
Tak i młodość, życia zorza,
Spłynie w jednéj wiośnie.
Nie uciekaj, nie narzekaj,
Dola twa spełniona;
Szczęścia twego nie odwlekaj,
Tyś Róża, jak ona!

(Halina wchodzi z Dorotą.)

JAN.

Lecz oto chata wdowy się otwiera...
Jak zorza piękna i jak prawda szczera,

Halina idzie, kwiat proszowskich dziew;
Więc będzie słodki miód i słodszy śpiew.

HALINA, stawiając kosz na stole.

Skroń młodzieńczą kwiaty wieńczą,
Kłosów pełna strzecha;
Świetna przyszłość, niby tęczą,
Zdala się uśmiecha.
Lecz ja wolę niż niewolę,
Chatkę miłą moją;
Tam w rodzinném żyłam kole,
Szczęśliwą dziewoją.

Gdy zarobię, śpiewam sobie
Jak słowik na wiosnę,
Kiedy nuci w nocnéj dobie,
Piosenki radosne.
Nad młodzieńce, kraśne wieńce,
Milsza mi swoboda;
Bo gdy zwiędną ich rumieńce,
Ona zawsze młoda!

RÓZIA, WOJTEK.

Nasza niwa kwiatem pływa,
Pod promieniem słonka;
Tak dzieweczka jest szczęśliwa
Miłością małżonka.
Kto pasterce zabrał serce,
Rękę niech zabierze;
Jego w szczęściu, w poniewierce,
Kochać trzeba szczerze!

RÓZIA, WOJTEK, HALINA

Dziatwa błoga, to dar Boga,
To są skarby nasze;
Z niemi nigdy głód, pożoga,
Nie zajrzą w poddasze.
Chociaż nędza, krwawa jędza,
Ludźmi dziś pomiata,
Już dzień jasny noc rozpędza,
Brat poznaje brata!

CHÓR.

Tam gdzie zgoda, tam swoboda,
Tam są i dostatki;
Wspólne szczęście, to nagroda
Dzieciom jednéj matki.
Kiedy wszędzie miłość będzie
Serc naszych zwyczajem,
Nad Ojczyzną Bóg osiędzie,
Świat zakwitnie rajem!

MUCHA.

Bracia Krakowiacy,
Taniec to rzecz wasza;
Do kufla, pałasza,
Wyście téż junacy.
Daléj, ręka w rękę,
Chłopcy i dziewoje;
Niech organ wystroję,
Utnę wam piosenkę.
Do tańca dawnego
I starszych zaproście;
Niech mi wtórzą goście,
Zaśpiewam polskiego!

(zażywa tabaki.)

Taniec polski.

Nie dla mnie szwabska tabaka,
Francuzkie stroje, rozmowy;
Polak niech tańczy polaka,
Bo to taniec narodowy.
Tak niegdyś synowie Piasta,
Z kwiatem zwycięzkich rycerzy,
Zdobywszy twierdze i miasta,
Pląsali w polskiéj odzieży.

Tak nasza rodzinna rzeka,
Wisła poważna i hoża,
Odkąd ze szczytu gór ścieka,
Polaka tańczy do morza.
Kolebką jéj, śnieżne Tatry,
Jéj wieńcem, pradziadów dzieła;
I wiecznie grają jéj wiatry:
« Jeszcze Polska nie zginęła! »

Z tą pieśnią zwiedza nasz Kraków,
Wawel, trzy święte mogiły,
Warszawę, serce Polaków,
Gdzie nowe budzą się siły.
Niezgięta jarzmem szatańskiém,
Dwieście mil skrapia w swym pędzie;
I w morze wpada pod Gdańskiem,
Który był naszym, i będzie!

O rzeko nasza ojczysta,
Tobie cześć wieczna i chwała;
Ty zawsze bystra i czysta,
Jak dusza ojców bywała!
Przeto, gdy dziś pora taka,
Jak do Bałtyku twe wody,
Polacy, tańczym polaka,
Dążąc do wiecznéj swobody!

CHÓR.

Gdy się pora zdarza taka,
Póki wieńce stroją głowy,
Polacy, tańczmy polaka,
Bo to taniec narodowy!

(Wszystkie dziewczęta oddają Rózi swoje kwiaty; Wojtek je zanosi przed obraz Matki Boskiéj.)

MUCHA, ocierając sobie czoło.

A co! czy miodu nie ma już w téj chacie?
Przy śpiewie zatém i nauczkę macie:
Że nasi starzy, choć lubili wojnę,
Zabawy mieli zgodne i przystojne;
I może lepsze niż ci tam zaklęci,
Co tańczą w koło aż się w głowie kręci...
Chłopacy, w pole, będzie czas na pląsy;
Z Krakowa jedzie jakiś gość bezwąsy.

(Słychać brzęk i trzaskanie z bicza za sceną.)

JAN.

To Wiesław! słyszę jak po drodze śpiewa.

SCENA II.

CIŻ, WIESŁAW.

WIESŁAW.

Przybycie brata niechaj was nie gniewa;
Z Kleparza właśnie, zkąd do domu jadę,

Sprowadzam ojcu dwa koniki gniade.
Słyszałem zdala kiéj przyjemne granie,
Ochocze pląsy, zdrowia i śpiewanie;
Ztąd wraz odgadłem, bez namysłu wiele,
Że się odbywa w domu tym wesele!
Sąsiadem waszym jestem, bo z téj wioski
Co ją ta widać przez ten staw i brzozki;
Pozwólcie przeto, matki i ojcowie,
I wy przezacni goście, wy drużbowie,
Bym pannie młodéj lat stałego szczęścia,
I wszystkim druchnom życzyć mógł zamęźcia.

MUCHA.

Przybytkiem dobrym polski dom nie traci!
Wszak tylko głupce źle przyjmują braci.
Jan, wasz przyjaciel, rządcą jest wesela.

JAN.

Oj, dobrze to mieć w każdym przyjaciela;
Bo człowiek nie wie, choć w królewskim rzędzie,
Którego kiedy mu potrzeba będzie.
Krakowskim wolno przyjrzeć się dziewojom,
Wesołym twarzom i przecudnym strojom;
I w pary stanąć także nie zaszkodzi,
Bo choć ztrudzeni, snać jesteście młodzi.

HALINA podając wstydliwie Wiesławowi w koszyku kwiaty, owoce i ciasta.

Wędrowcze miły, przyjmcie to co z nieba,
Owoce, kwiaty, kęs naszego chleba;
Gościnność u nas, dyć to nie nowina:
Więc bierzcie z łaski, prosi was Halina.

WIESŁAW.

Któż by nie oddał duszy za te kwiecie...
(na stronie.)
Mię musi kochać to miluchne dziecię!

MUCHA, niosąc mu kubek z miodem.

Łaskawy gościu, gdy ci zdrowie służy,
Co żywo pij na wiwat pannie Róży.
Krajowy miodek, lubię go, jak Mucha,
Bo mię odmładza i przemienia w zucha.
Na stołach dawniéj mieli go królowie;
Lecz skoro panom się zmąciło w głowie
Po wszelkie licho jeździć aż za morze,
Ojczysty trunek schował się w klasztorze:
Gdzie były miody, dziś francuzkie wina,
A takie kwaśne że aż krew się ścina.

DOROTA.

Im lepiéj od nas...

JAN.

Nie, kochane dzieci;
Nie wszystko w kraju złoto co się świeci.

WIESŁAW.

Gościnność wasza mię zniewala tyle
Że bardzo chętnie czarę tę wychylę...

MUCHA, zażywając tabaki.

Moździerzy nie ma, prochem nos nabiję.

WIESŁAW.

Za zdrowie panny młodéj!

MUCHA, kichając donośnie

Trzcha!

WSZYSCY.

Niech żyje!
(Muzyka.)

WIESŁAW.

Bym lepiéj spłacił dwa serdeczne długi,
Pozwólcie kubek spełnić po raz drugi,
(wskazując na Halinę.)
W podziękę za jéj ciasta i równianki;
W krakusa potém, za mną, Krakowianki!

JAN.

Pierwszeństwo juźci winno się obcemu;
Niech idzie w tany, niech też po swojemu
Zanuci skrzypkom, parę swą dobierze:
Uczciwie z gościem trzeba żyć i szczerze.

MUCHA.

Ze słońca kwiaty, z kwiatów miód rumiany,
A z miodu radość, a z radości tany,
A z tańcow zmowa, uścisk... i tam daléj.

JAN.

Mój mości Mucho, nie brzęcz ale naléj.

WIESŁAW, do Haliny.

Sąsiadko piękna, za twe miłe zdrowie:
I wasze, zacne matki i ojcowie!

MUCHA, kichając coraz mocniéj.

Trzcha, trzcha!

WSZYSCY.

Niech żyją!
(Muzyka.)

WIESŁAW.

Do krakusa w koło;
Ja wam z podkówek miarę dam wesołą.
(bierze Halinę w taniec; a skłoniwszy się przytomnym, tupa nogą i śpiewa.)

Krakowiak.

Niechże ja lepiéj nie żyję,
Dziewcze, skarby moje,
Jeśli kiedy oczka czyje
Milsze mi nad twoje!
Patrzająże mi prosto w oczy;
Bo widzi Bóg w niebie
Że mi ledwo nie wyskoczy
Serduszko do ciebie!

Czemuż ja w mojéj rodzinie
Małe zaznał dziecię?
Byłbym z wami, przy Halinie,
Najszczęśliwszym w świecie!
Krew nie woda, ludźmi włada;
Bo któż sercem rządzi?
Człowiek myśli i układa,
A Bóg wszystko sądzi!

MUCHA.

Uważasz, Janie! nie chcę wróżyć wiele,
Lecz tu na drugie składa się wesele.

JAN.

I mnie się zdaje żeć to nie przelewki;
Cha! niech Bóg szczęści, wart nadobnéj dziewki.

WIESŁAW, goniąc za Haliną.

Nie uciekaj, dziewcze lube,
Moje sto tysięcy;
Dogonię ja moją zgubę,
I nie puszczę więcéj!

Krąży ptaszek w ciemnym lesie,
Gałązek się czepia;
Aż dognany piórka niesie,
Gniazdeczko ulepia.

Gospodarzu, nie dasz wiary
Jak konie opłacę;
Wydałem ci twe talary,
Moje serce tracę!
Grajcie skrzypki, bo się smucę;
W opłakanym stanie
Z konikami do dom wrócę,
Serce tu zostanie!

(Halina zapłoniona ucieka do Doroty.)

MUCHA.

A jakem Mucha i wasz organista,
Z przyjęcia dobrze sąsiad nasz korzysta.
Nieźle krakowskie nucisz waść piosenki!

JAN.

Imienem braci niosę ci podzięki!

HALINA.

Mnie jakoś w sercu miło i boleśnie;
Ten śpiew słyszałam niewiem gdzie... jak we śnie...

WIESŁAW.

Gdzie? każda wioska ma swój śpiew osobny,
Wesoły czasem, rzewny lub żałobny;
Tą pieśnią bliska cieszy się gromada...

HALINA, zamyślona.

O, całe życie słuchaćbym ją rada!

WIESŁAW.

Zabawić miło tak przyjaznych gości,
Lecz już nie mogę dzielić téj radości;
Mój ojciec, matka, mogliby się smucić.
Choć mi tu błogo, muszę was porzucić;
Jak tu godzina płynie za godziną...

(Stanisław z Broniką i Bronisławą nadchodzą z lewéj strony.)

Ot i rodzice... żegnam cię, Halino.

MUCHA odchodząc, do Jana.

I chrzciny będą, wszak to nas nie smuci;
Przyjechał dwójką, a we czworo wróci...

(Halina z Dorotą żegnają gości i wchodzą do chaty. Wiesław z Janem idą ku rodzicom.)

SCENA III.

JAN, WIESŁAW, BRONISŁAWA, STANISŁAW i BRONIKA.

BRONISŁAWA.

Jak się masz, synu?

STANISŁAW, skłoniwszy się przed obrazem Matki Boskiéj.

Witaj nam, Wiesławie!

Na wiejskiéj z Janem widzę cię zabawie.
W świątecznym stroju, bo w niedzielnéj dobie,
Bronika z matką chciały wyjść ku tobie.
Użyte mądrze dane ci talary:
Koniki śliczne, dziarskie i do pary:
Maść skarogniada, i na czole gwiazda...
Hej, cha! toż będzie do Krakowa jazda!

BRONISŁAWA.

No, mój Wiesławie, jak służyła droga?
Jak ci się wiodło?

WIESŁAW.

Nieźle, z łaski Boga.

BRONISŁAWA.

Gdy dziadek wczora dzwonił na pacierze,
I zastawiałam dziatwie méj wieczerzę,
Mówiłam, czy gdzie piwa nie nawarzył?
Czy mu przypadek jaki się nie zdarzył?
Bo choć pracowny, choć posłuszny w domu,
I szpakiem też być umie pokryjomu
Zajechać drogę choć i wojewodzie,
Réj nad muzyką w każdéj wieść gospodzie,
Wyrzucić z karczmy kto zwyczaje zmienia.
Bo młodzian zwykle rządzi się z natchnienia;
I dotąd rady starszych nie usłucha,
Aż palce sparzy : potém na lód dmucha.

WIESŁAW.

Nie, matko, dla mie to zbyteczna troska;
Kto z Bogiem, zawsze z tym opieka boska.
Gdziekolwiek jadę, nim rozpuszczę wodze,
Przed końmi biczem robię krzyż na drodze;
Więc Bóg od wszelkiéj chroni mię przygody.
I dziś jak dawniéj, wracam do zagrody.

BRONIKA.

Więc nic, Wiesławku, ci się nie zdarzyło?

WIESŁAW.

Nic.

BRONIKA.

Przecie smutny...

STANISŁAW.

Coby mu ta było!
Czy mu pierwszyzna jechać do Krakowa?
Od czego rozum i na karku głowa!
Dzieciną małą wleciał w staw przy młynie,
A sam wypłynął... tak i dziś wypłynie.
Gdy jedynaka w boju mi zabili,
A mię do grobu wiek codziennie chyli,
W niemocy nie mam i zaufać komu :
Ty prawą ręką i podporą domu,
Co mam, to twoje, tyś moj syn i basta.
Ot, dzięki Bogu, córka mi dorasta;
Wszak możesz czekać, dyć jéj nie zapieszczę :
Ma lat dwanaście, i tyś młody jeszcze.

BRONISŁAWA.

Tak jest, dla ciebie, niech ci ojciec powie,
Téj córki strzegę kiéj spojrzenia w głowie;
A cóż droższego możesz mieć od matki?
Toć jedne moje w świecie tym dostatki!
I drugą miałam... o wszechmocny Boże!
Wypłakać oko za nią się nie może.
Zaledwie piąty kwiat opadał sadu,
Gdy mi zniknęła bez żadnego śladu;
Już to dwunastym liściem wiatr pomiata,
Jak matkę dręczy ta bolesna strata.

BRONIKA.

Ten czerw, matulu, wciąż wam serce toczy;

Bo z dawna toną we łzach wasze oczy.
W tym oto gaju, gdy przychodzim razem
Przed Matki Boskiéj modlić się obrazem,
O zdrowie ojca kiedy ją prosicie,
Wciąż jéj zlecacie to stracone dziecię...
Więc miałam siostrę? nie płacz już i powiedz
Kto ci ją porwał, cygan czy wędrowiec?

BRONISŁAWA.

Gdy ciężar wojny spadł na polskie plemie,
Wsie stały w pustkach, a odłogiem ziemie;
W około lasów zbiegły się pożary,
Bożego gniewu zbyt widoczne kary!
Przybyły z wiatrem co te dęby walił,
Wróg wściekły wioskę złupił i zapalił;
Wśród ciemnéj nocy, wichrów i pożogi...
Dzień to był sądu, dzień rozpaczy, trwogi!

Rolnicy z pola ku obronie bieżą,
I razem wojsko leci za grabieżą.
Z pożaru dymem szła ojcowska strzecha;
W téj walce córka, duszy méj pociecha,
Bez śladu znikła... Jan przez długie czasy
Mię za nią wodził na wsie i na lasy;
Lecz jako kamień w rzeki toń rzucony,
Stracona dla mnie... głuche wszystkie strony!

WIESŁAW.

O matko! może to stracone dziecko,
Porwane niegdyś z waszych rąk zdradziecko,
Znalazło litość; żyje też u kmieci,
Przyjęte przez nich między własne dzieci!

BRONISŁAWA, ze łzami.

W téj ja to myśli, po twych ojców stracie,
Chowałam ciebie od małości w chacie;
Bo gdzie sierotę przyjmie się pod strzechę,
Tam z niebem bliżéj, tam Bóg szle pociechę!
Tyś ją zastąpił... boska snać opieka
Nagradza tajnie dobrą myśl człowieka;
Bo jeśli ziemia była jéj niegodna,
Dziecięca dusza, czysta i swobodna,
Igrając w niebie przy anielskiéj Matce,
Jéj łaskę zwabia swéj rodzinnéj chatce!

WIESŁAW, u stóp rodziców.

Matulu droga! za wasz trud i pracę,
Czém ja sierota, czém ja wam odpłacę?
Chęć bez uczynku, mdły to upominek;
Wszelako, przyjmcie chęci za uczynek:
A gdy nie starczą za tak liczne długi,
Zarobek cały dajęć wam w usługi!

STANISŁAW, podnosząc go.

Aniołów cnotą wdzięczność jest, mój synu,
I często w niebie lepsza chęć od czynu;
Nie jesteś przeto dłużny nam, broń Boże!
On nie chce więcéj jak co każdy może.

WIESŁAW, dając Bronice wstążkę czerwoną.

Przyjm więc, Broniko, wstążkę tę z Warszawy.

BRONIKA, pląsając radośnie.

Ach, jaka śliczna! jakiś ty łaskawy!
O tyś najmilszy z wioski téj młodzieniec!
Czerwona cała, jak różany wieniec!
Motyle skrzydła nie są takie świetne!...
(przymierzając wstążkę.)
Na pół do włosów i do szyi przetnę;
O jak zazdrościć będą mi dziewoje,
Gdy się w niedzielę wstążką tą przystroję!
Jagusia, Zosia, to mię wzrokiem zjedzą!...
Ja będę stąpać jak wójcianka miedzą,
(chodząc z powagą.)
Aż wstęga z wiatrem zfrunie na ramiona;
Ja z tego niby zła i zapłoniona,
Na wszystkie strony będę się wykręcać,
I wszystkie serca, tak, za sobą znęcać!...
(całuje Wiesława i wybiega w skokach, wywijając wstążką.)

SCENA IV.

CIŻ, prócz BRONIKI.

JAN.

Za twój gościniec piękną masz podziękę!

STANISŁAW.

W twych oczach, synu, widzę srom i mękę.
Milczący zwykle sobie sam zaszkodzi;
Młodemu nigdy skrytość się nie godzi,
A najmniéj z ludźmi, którzy cię kochają.

JAN.

Tak, trza być szczerym z temi co chleb dają;
Nieźrzałej młodzi starce wnet wybaczą,
I mądrą radę zawsze dać jéj raczą.

STANISŁAW.

Ot Jan, nasz sołtys i nasz kum łaskawy,
Do rady dobry, dzielny do zabawy;
Był też na wojnie, wie jak, gdzie co było,
A co wywróży, zawsze się ziściło!
Wszak on za stołem już niejednym siedział,
Co mądrze myślał, panom wręcz powiedział;
A że jak w rozum, w cnoty jest dostatni,
Więc w każdéj chacie ma przytułek bratni.

BRONISŁAWA.

Toć on guślarzem...

JAN.

Ej, gadacie, siostro;
Z nałogu prawdy, mam wymowę ostrą.
Kto drugich zwodzi, ten sam siebie zdradza;
Że cnota zawsze szczęścia plon sprowadza,
Że ztąd co wczora wiem co jutro będzie,
W tém gusła moje, nie w szatańskim błędzie!

BRONISŁAWA.

Was ojcem zowią, w téj dolinie całéj!

JAN.

Tak, ojcem chrzestnym... dzięki za pochwały.
Rodzina wasza moją mi się zdaje;
U jakich gości, takim człek się staje.
Na świecie każdy tyle też użyje
Gdy z przyjacielem zmówi się, wypije;
W tém się poradzi, lub o tamtém dowie,
Jak tam urodzaj, dziatwa, dom i zdrowie;
A gdy serdecznie smutkiem się podzieli,
Toć człeku raźniéj, toć mu i weseléj.

BRONISŁAWA, biorąc Wiesława na stronę.
Powiadał ojciec żeś się łepsko sprawił,
Żeś czasu, grosza mu nie zmarnotrawił,
Żeś kupił dwa źrebaki co się zowie...

WIESŁAW.
Przeciwnie, matko; bom utracił zdrowie,
Zaprzedał duszę i zniewolił ciało!

BRONISŁAWA.
Oj, Chryste Panie! cóż to ci się stało?
Nie darmo tobie tak pobladło lice...
Dla Boga, mówże!...

WIESŁAW, z uczuciem.
Żegnam was, rodzice!
Pozostać w domu było mi na wieki...
Łask waszych wdzięczen, pracy i opieki,
Przy waszym pługu chodziłbym spokojny,
A z sercem ciężkiej nie zapoznał wojny;
Bez wieści spada na nas wyrok boski!
Do miasta jadąc, przy gościńcu wioski,
Ujrzałem druchnę, której wdzięk uroczy
Odebrał serce i zachwycił oczy;
I zrobił tyle że jak liść w olszynie,
Myśl, serce, dusza, zawsze przy Halinie...

STANISŁAW.
Co za Halina?

WIESŁAW.
Dyć to córka wdowy
Co tujaj mieszka, w środku téj dąbrowy;
Zwie się Dorotą: choć wieś nasza bliska,
Zaledwie braciom znane są z nazwiska...
Nieszczęście widząc, byle zkąd pochodzi,
Pomagać trzeba... pytać się nie godzi.

BRONISŁAWA.
A ty ją kochasz?

WIESŁAW.
Ja... od niéj dopiero
Jam poznał miłość, i dozgonną, szczerą!...
Nad kamień cięższa ludziom jest sierota;
Wyście litośnie mi otwarli wrota,
Nie żałowali waszych rąk i chleba:
A mnie porzucić drogich was potrzeba!
Lecz bez Haliny, nic już nie zarobię...
Niezdatny ludziom i niemiły sobie,
Chcę znaleść koniec życiu i tęsknocie;
Pobłogosławić chciejcie więc sierocie!
Bo ten przed nędzą nigdzie się nie schroni,
Którego klątwa za niewdzięczność goni!
Przebaczcie! za to będzie Bóg nad wami...
O to ze wstydem proszę was, i łzami!

STANISŁAW.
Wiesławie! ojciec twój gdy kończył życie,
Dał cię w me ręce jak za własne dziecię;
Tak też cię kocham... i Bóg widzi w niebie
Żem ci milszego nie miał nic, nad ciebie...
A ty, niepomny że mię starość gniecie,
Chcesz na przygody puszczać się po świecie?
Chcesz mię opuścić, za to żem cię chował,
Uczciwą przyszłość żem ci przygotował?
I to dla kogo? dla nieznanej dziewki,
Powabnych oczu lub ulotnej śpiewki...
Lecz rady niczém, gdy Bóg niedozwoli;
Zostawiam zatém twéj synowskiéj woli.
Jeżeli przyszła serce ci poświęci,
I poznasz jéj rodziny dobre chęci,
Sąsiada uproś, niech dobierze swaty;
Jak syn synowę przywieź mi do chaty.

WIESŁAW.
O matko, słyszysz, umrę z téj radości!

BRONISŁAWA.
Dla twego, synu, szczęścia i miłości,
Najchętniéj całą dzielim się chudobą.

JAN.
A zatém proszę mój Wiesławie z sobą;
Serdecznym chęciom waszym chcę dogodzić.
I choćby przyszło po sto razy chodzić,
Nie żal mi będzie ponieść trud i znoje,
Bylem wychodził ślub i szczęście twoje.
Nim nocna zorza zgasi dnia promienie,
Z drużbami wrócim o twe zaręczenie...

BRONISŁAWA.
Milcz, niech Bronika o tém nie zasłyszy.

SCENA V.

CIŻ, BRONIKA.

BRONISŁAWA.
Zkądże powracasz? Jak to dziecię dyszy!
Masz dwa rumieńce jak fontazik brata.

BRONIKA.
Już go zgubiłam.

BRONISŁAWA.
To zbyt rychła strata:
Gdzie? jak?

BRONIKA.
Po łące za motylem biegłam;
I miałam chwycić, kiedy...

BRONISŁAWA.
Cóż?

BRONIKA.
Postrzegłam
Ptaszynę biedną, która za pagórkiem
W jezioro wpadła... Już omdlałém piórkiem
Trzepocąc ledwie, wśród ziół wodnych ginie;
A matka nad nią suwa po głębinie,
Z tak rzewnym płaczem wijąc się dokoła,
Iż mi cóś mówi że ratunku woła.
Zarzucam wstążkę; już ostygłe prawie
Przyciągam piskle, składam na murawie;
Gdy się oddalam, widzę z po za drzewa
Jak dobra matka skrzydłem je rozgrzewa...
Ptaszyna żyje, wstążka na dnie rzeki.

JAN.
A motyl?

BRONIKA.
Motyl uciekł do pasieki
Dorociéj chaty... lecz mię to nie smuci,
Drugiego złowię, zanim ten powróci.

JAN, całując ją.
O! bez wątpienia.

STANISŁAW.

Chodź, Broniko, zemną,
Czas iść do domu, już po drodze ciemno.

JAN.

Żegnajcie; życzę wam spokojnéj nocy,
I zrobię dla was wszystko co w méj mocy.

STANISŁAW, odchodząc.

Szczęść Boże, synu!

WIESŁAW.

Bądź zdrów, ojcze miły!
Niech błogi sen pokrzepi wasze siły!

(odprowadza rodziców i śpiewa.)

Choć dostatnia chata,
W koło bujne plony,
Czemuż myśl ulata
W te samotne strony?
Tęskni dusza moja,
Dnie bez słońca cieką,
Bo anioł dziewoja
Od serca daleko!
O jak Bóg na niebie,
Jakem chłopiec młody,
Nie wrocę bez ciebie
Do szczęsnéj zagrody!

Rośnie kwiat przy kwiecie
W naszéj okolicy;
Lecz nie ma na świecie,
Nad Halkę dziewicy!
Kto ją raz postrzeże
Wiecznie zapamięta,
I pokocha szczerze
Błękitne oczęta.
O jak Bóg na niebie,
Jakem chłopiec młody,
Dziewcze, wezmę ciebie
Do szczęsnéj zagrody!

(Dorota wychodzi z chaty za Haliną.)

Lecz oto widzę wdowę i Halinę;
Ta będzie moją, lub od jutra zginę!

SCENA VI.

HALINA, DOROTA.

Wieczór.

HALINA, wynosząc z chaty kołowrotek.

Już dzień blednieje; mrok zapada chłodny,
Jak nasze życie cichy i pogodny.
Na dębie ptasząt się zbiegają krocie...
I ja zaśpiewam z niemi, przy robocie.

(siada i przędzie.)

Widziałam we śnie anioła stróża,
Gdy do mnie mówił cichym wyrazem:
« Niech twoje serce kwitnie jak róża
Przed Matki Boskiéj świętym obrazem.
Patrz na anielską naszą królowę:
Choć w skromnéj chatce życie zaczyna,
Bóg wiecznym blaskiem wieńczy jéj głowę,
I Zbawiciela daje za syna.

« Niech cię nie nęci próżna swawola,
Obce zwyczaje, plotki złośliwe;
Tam gdzie złe matki, tam wstyd, niewola,
A naród silny, tam gdzie cnotliwe.
Biada niewieście uczącéj dzieci
Że bogiem świata jest bałwan złoty;
Że nad uczciwość lepsze te śmieci,
Że z niemi wolno wyrzec się cnoty.

« Bo gdzie jest miłość, wiara, nadzieja,
Ten cnót dziewiczych potrójny wieniec,
Tam się roztrąca losu zawieja,
Tam z polskiém sercem dąży młodzieniec.
Przeto niech praca smutek zwycięża;
Miéj duszę prostą, serce bez skazy,
A Bóg zacnego zeszle ci męża... »
Temi mię anioł żegnał wyrazy.

DOROTA, siadając obok Haliny.

Tak, moje dziecię, rząd i skrzętność matek,
W najgorszéj doli służy za dostatek;
O, gdyby znały młode te świegotki,
Dla których życiem pusty śmiech i plotki,
Jak to niepięknie drogi czas marnować,
Starałyby się lepiéj z nim rachować,
Bez rozrzucania tego co im dajem;
I nie zbierały mądrych głupstw, za krajem...
Lat wiosna zniknie jak na wodzie piana;
A gdy na wiosnę niwa nie zasiana,
W jesiennéj porze nie ma na niéj chleba:
O, wierz téj prawdzie, jak duchowi z nieba!

HALINA, rzucając się w objęcia Doroty.

O droga matko, święte są twe rady,
I świętsze jeszcze twoich cnót przykłady!
Bóg nasze modły niech uwieńczy skutkiem...

DOROTA.

Któż tam za naszym krząta się ogródkiem?

DRUŻBOWIE za sceną.

Grzęda kwiatami osuta,
Kwitnie rozmaryn i ruta;
Na okienku wianek leży,
Jest tu córka dla młodzieży.

Przyjdzie młodzian z obcych błoni,
Ojcu, matce się pokłoni;
Zerwie panna swoje kwiaty,
Do teściowéj pójdzie chaty.

HALINA, przynosząc wianek z okna.

Ach, matko; jakiż to prześliczny wieniec!
Czy wieczór jasny dał mu swój rumieniec?

DRUŻBOWIE Z WIESŁAWEM, w głęb

Skromna chatka choć uboga;
Za rządnością, pomoc Boga.
Sroka skrzeczy na jaworze,
Panna stroi się w komorze.

Otwierajcie, przyszli goście,
I ochoczo w dom zaproście;
Chociaż obcym, bądźcie radzi,
Dobra nas tu myśl prowadzi.

HALINA.

To głos Wiesława!...

DOROTA.

Odnieś mu te kwiaty;
Drużbowie zwykle nucą tak na swaty.
Choć idąc ze wsi trop musieli zmylić,
Z ludzkości trzeba czoła im uchylić.
(otwierając wrota.)
Gość w dom, Bóg w dom.

SCENA VII.

WIESŁAW, JAN, DOROTA, HALINA, DRUŻBOWIE.

JAN.

...Niech będzie pochwalony!

DOROTA.

Na wieki wieków.

JAN, spojrzawszy na Halinę.

Jako świat przestrony,
Tu nam najmiléj; bo najbardziéj godne
I starca drogi, lica tak urodne.

DOROTA.

Nad jéj zasługi słowa te łaskawe.
Halino, zwiń się, przysuń gościom ławę;
Podróżny koszyk odbierz od młodziana,
Palicę, czapkę, od starszego pana.

WIESŁAW do Haliny, na stronie.

Jam z twoich kwiatów wieniec ten utworzył,
I na okienku z Janem ci położył.

JAN.

Wszak méj sąsiadki przeto nie obrażę,
Gdy tak postąpię jak obyczaj każe;
Zwyczaje ojców, toć krewieństwo nasze.
Wiesławie, zatém daj z koszyka flaszę,
A gospodyni kubka nam udzieli.
Użyty miernie trunek myśl weseli,
Śmielszemi czyni serc ukryte chęci,
Roztkwili duszę i na jaw wyświęci.
A gospodarna jak na wiosnę pszczoła
Gdy sad się bieli, gdy wonieją zioła,
Swéj siostrze niesie w ul zebrane miody,
Tak rażny młodzian, z ojców swych zagrody,
Przynosi miód najsłodszy swéj pasieki,
Téj z którą ślubem złączył się na wieki.
Bo równa pszczółce miłość ich wieśniacza,
Jéj zgodę, jemu pracę rąk oznacza.
(Wiesław wyjmuje z koszyka flaszę, Dorota podaje kubek.)
Zbliż się i nalej nam, Wiesławie, miodu.

WIESŁAW, podając napełniony kubek Halinie.

Tę woń z bratniego przyjąć racz ogrodu,
Halino piękna; jak ci Wiesław życzy
Na całe życie pociech i słodyczy!

HALINA.

W gronie świadków pierwszy z datków,
Miód z ojczystych błoni,
Czy tę rosę świeżych kwiatków
Przyjąć mam z téj dłoni?
Pszczółki wasze, pełną czaszę
Wiosennéj słodyczy,
W tęskne niosą nam poddasze,
Brat mi szczęścia życzy!

HALINA i WIESŁAW.

Niech Bóg w niebie darzy ciebie,
Za tak szczere słowa;
Błogosławi nas w potrzebie
Anielska królowa!
W sercu mojém płyną zdrojem
Radość i wesele;
Więc rodzinnym tym napojem,
Z tobą się podzielę!

(Halina pytającém okiem patrząc na matkę, trwożliwie odbiera kubek, odwraca się bokiem, zakrywa pół twarzy fartuszkiem; a wypiwszy do połowy, drugą połowę podaje przez ramie Wiesławowi: ten ją z największą radością wychyla.)

JAN.

No, gdy tak córka chęć życzliwą dzieli,
Jan do was, matko, mówić się ośmieli.
Zacnego domu tu widzicie syna;
Pod ziemią chociaż jego śpi rodzina,
Znam przecież ojców co litością zdjęci,
Kumostwa prawo mieli na pamięci;
Zarabiał godnie, że go synem zowią,
I część chudoby z woli mu stanowią.
Nie jest ci u nich gospodarstwo liche;
Sierpowa praca nie szle się pod wichę,
Co tydzień wniesie, nie zje im niedziela:
Bóg też rządności darów swych udziela...
Zna Wiesław łaskę i niełaskę nieba;
Że użył biedy, wie o cenie chleba:
Jak słowik nuci, pięknie gra na flecie,
Równego w tańcu nie ma w całym świecie.
Z ramiena starszych do was ja zachodzę;
Z Haliną Wiesław poznał się przy drodze,
Wziął mię na swaty, drużbom wręcz wyjawił
Że swoje serce w sercu jéj zostawił.
Ich zezwolenie wiernie wam odnoszę,
I w imie ojców o Halinę proszę.

DOROTA, ocierając łzy z oczu.

Rozrzewnia matkę tak niezwykłe szczęście;
Lecz nie dla Halki świetne to zamęźcie.
Dziecina ta bez ojca i bez matki,
Ni wiana nie ma, ni rodzinnéj chatki;
Ja zaś nie mogę, choć to serce boli,
Jéj losem rządzić bez ojcowskiéj woli.

JAN.

Co, waszą córką nie jest ta niebogą?

DOROTA.

Nie, lecz ją kocham jako dar od Boga;
W szczerości zatém, choć się wam narażę,
Tak odpowiadam jak sumienie każe:
Halina moja co w ubogim bycie
Przepracowała dotąd ze mną życie,
Nie wierzy słonku co tak niespodzianie
Przez owdowiałe świeci jéj mieszkanie.
Nie dla sieroty kmieca jest zagroda,
Na stan jéj niski bujna to jagoda:
Niech innym dziewkom sypią się pierścienie;

Tam gdzie stodoły, gdzie bogate mienie,
Tam zalotnicy: córka zaś bez wiana
Choć i piękniejsza, ani zna młodziana!
Oj, w ziemi naszéj nie tak to bywało
Gdy sama cnota wianem dziew i chwałą:
Lecz teraz!... przeto, niech was Bóg poświęci
Za dobre serce i przyjazne chęci.

JAN.

Więc jest sierotą wasza ta Halina?
Ojcowie zmarli?... ależ jéj rodzina,
Pokrewni jacyś bez wątpienia żyją?
Jest wam oddana za poręką czyją?

DOROTA.

Gdy wróg najechał Litwę i Koronę,
Szedł mąż mój z kosą braciom na obronę
I już nie wrócił... obcy, bez litości
Grabili dwory, paląc wsie i włości...
Niewiasty, starce, snuły się tłumami...
Trzy dni patrzałam na tę rzeź, ze łzami!
Aż zastąpiła mi dziecina drogę,
Do serca płacząc. Tuląc ją jak mogę,
O matkę pytam, ojca i mieszkanie;
Lecz nadaremna prośba i pytanie,
Zaledwie mogła swe pamiętać imie:
Halina... mówiąc że w okropnym dymie
Nieznani ludzie wiedli ją do lasu...
Nic więcéj nie wiem, aż do tego czasu.

HALINA.

Jam zapomniała wszystko, od téj chwili...
Z rodzicem zbójcy matkę mi zabili!

JAN, niecierpliwie.

Cóż daléj, siostro?...

DOROTA.

Że i to krew bratnia,
Sierotę wzięłam, choć téż niedostatnia;
odjęłam troski, wszak ich była godna,
Wyrosła zdrowa, skrzętna i urodna.
Trzy lata temu, w dzień Zielonych Świątek,
Odludny widząc w puszczy téj zakątek,
Osiadłam przy was, ufna że Bóg da mi
Rodziców znaleźć tu, pomiędzy wami.
Nikt się nie zjawił... już zapewne w niebie...
Stracone szczęście dla mnie i dla ciebie;
Lecz za to, póki niemoc mię nie strawi,
Samotnéj w domu Halka nie zostawi.

HALINA.

O, ja bez ciebie bym przeklęła życie!

DOROTA, całując ją.

Bóg będzie ci nagrodą, lube dziecię!

JAN.

O ważne, ważne tu się snują rzeczy!
Jest Bóg co ludzkie sprawy ma na pieczy;
Moc jego wieczna, wieczna też mu sława!
Halinę pozna zacny dom Wiesława...
Wróć ojca z drogi; idź, poszukaj wszędzie,
Ni chwili nie trać aż tu sam przybędzie!

(Wiesław z Drużbami wychodzi.)

SCENA VIII.

CIŻ, prócz WIESŁAWA i DRUŻBÓW.

DOROTA.

Cóż ty zamyślasz?

JAN.

Szczęsna jéj rodzina!
Litości boskiéj zbliża się godzina:
Pomagaj, Panie, coś to dziecko zbawił,
W dzień mojéj śmierci bym cię błogosławił!
Te dwie powieści tak podobne sobie
Jak dwa zagony, jak te ręce obie;
I dwoje sierot, plemion dwóch ostatek,
Do łona tę knych dziś powrócą matek:
Stanisław córkę znajdzie w twéj Halinie...

HALINA.

Stanisław... wiecie cóś o méj rodzinie?

JAN, biorąc ją za rękę.

Chodź tu, na wzgórze... tam się wioska bieli...
Tu las był dawniéj; dziś ją błonie dzieli,
Gdzie z pola schodzą wspak zwrócone pługi;
A gniazdo całe jak ogródek długi
W kwitnących sadach swe lepianki kryje,
Z nad których w niebo kręty dym się wije...
Jak ci się zdaje wiejskie to siedlisko?
Wiesława chata, patrz jak stoi blisko!

(W oddaleniu słychać przygrywkę na flecie, na nutę krakowiaka śpiewanego przez Wiesława; głos fletu coraz się zbliża.)

HALINA.

Czy słyszysz, matko?

DOROTA.

Ach, mój drogi Janie,
Jak ją porywa to dalekie granie,
Jak jéj do serca tony te trafiły!

HALINA, zamyślona.

Tak nucił na weselu Wiesław miły...

JAN, wskazując okolicę.

O spojrzyj, Halko, tam!... czy zapamiętasz
Z twych lat dziecięcych kościół, dąb i cmętarz;
Ten krzyż na wieży, co świat na dwa końce
Oświeca z góry, jak promienne słońce:
Ten dzwon którego jęk aż tu donosi,
Piątemu pogrzeb już potomstwu głosi...
Lecz cóż to ciebie, Halko, tak zachwyca?
Co znaczą we łzach i w płomieniu lica?
Ta rzewna smętność, to bijące łono...
Z jéj oczu spadnij, przeszłych lat zasłono!...

(Słychać dzwon z pobliskiéj wioski.)

HALINA, w mocném wzruszeniu.

Tam, tam daleko, gdzie te lipy stoją,
To był śpiew matki nad kolebką moją...
Gdzie jest mój ojciec? ja go widzieć muszę...
Jam się modliła tyle, za ich dusze!...

(wpatrując się w okolicę.)

Tu się bawiłam, tu zbierałam kwiaty;
Lecz już nie widzę méj rodzinnéj chaty,

Bo tutaj wszystko nie tak dawniéj stało,
I nieraz mi w pamięci się zjawiało!...

JAN.

Bóg, droga Halko, który cię ratował,
Rodziców twoich życie ci zachował;
Stracili z córką w jednéj dom potrzebie,
Lecz w nowéj chatce dziś uścisną ciebie:
Podziękuj Świętéj co cię doń sprowadza,
Co ich miłością miłość twą nagradza!

HALINA, padając na kolana przed obrazem Matki Boskiéj.

Królowo polska, któréj nam korona
Od wieków świeci w siedmiu gwiazd ozdobie,
Nadziejo nasza, Bogiem Ty zwolona,
Bogarodzico, cześć i chwała Tobie!
Ty co mię cudem zbliżasz do rodziny,
Przyjm serce Polki co Cię kocha szczerze;
Ten wieniec kwiatów, to mój skarb jedyny:
Z nim całe życie składam Ci w ofierze!

SCENA IX.

CIŻ, BRONISŁAWA, BRONIKA, STANISŁAW i WIESŁAW.

BRONISŁAWA poznając córkę, w radosném uniesieniu.

Cudowna matko!... tyżeś to, Halina,
Najdroższa córka, moich łez przyczyna!

HALINA.

O matko moja!... żyć tak blisko siebie,
Od lat tak wielu... Jest Opatrzność w niebie!...

BRONIKA.

Tyś moja siostra... sercem cię poznaję!

STANISŁAW, błogosławiąc.

Broniko, Halko... niech wam szczęście daje
Zbawiciel świata!

(do Jana.)

Mój serdeczny kumie,
Dopiero dzisiaj wiem co przyjaźń umie!

WIESŁAW.

Tę radość, matko, którą w dom zanieście,
Zawdzięczyć macie zacnéj téj niewieście!

(wskazując na Dorotę.)

Jan dobrze mówił: w tém jest boska władza,
Że cnota zawsze szczęścia plon sprowadza.

BRONISŁAWA.

Za tyle łaski nadtom ja uboga;

(wskazując na serce i niebo.)

Tu wieczna wdzięczność... więcéj tam, u Boga!

DOROTA.

Własnemu sercu jam czyniła zadość;
Nagrodą dla mnie wspólna wasza radość.
Bóg w jednéj chwili bierze mi Halinę,
I z trojga dzieci daje wam rodzinę;
Za waszą cnotę wam pobłogosławił,
A mię w starości samą tu zostawił!

STANISŁAW.

Zostańcie z nami jak nasz syn zostanie!

(wskazując na obie matki.)

Tyś dała życie, ty zaś wychowanie:
Na mojéj przeto was osadzę grzędzie,
Halina odtąd matek dwie mieć będzie.

(Słychać skrzypki za sceną.)

JAN.

Gromadzie całéj niech otworzą wrota.

SCENA X.

CIŻ, MUCHA, WOJTEK, RÓZIA, DRUŻBOWIE, KRAKOWIACY i KRAKOWIANKI wchodzą z muzyką tańcując.

WSZYSCY.

Niech żyje Halka, Wiesław i Dorota!

Finał.

MUCHA, z pękiem róż.

Tam w dolinie strumyk płynie,
Nuci słowik pośród wzgórz:
Niesie Wiesław swéj Halinie
Młode serce z wieńcem róż.
Bóg na drzewa rosę zlewa,
Z rosy wstaje bujny kwiat;
Niechaj starzec wam wyśpiewa
Długie pasmo złotych lat!

Kochać trzeba, to dar nieba,
To najczystszy życia zdrój;
Nie dla zysku, nie dla chleba,
Lecz by podnieść naród swój!
Mąż dla żony zbiera plony,
Dzeciom daje cnoty wzór;
Bądź nam Boże pochwalony,
Wskaż im prawy szczęścia tór!

(Słychać organy w oddaleniu; za skinieniem Jana, wszyscy przyklękają.)

CHÓR.

Błogosław Boże dzieciom téj ziemi,
Błogosław Boże rodzinnéj glebie;
Nasza krew polska niech się rozplemi,
Jak piasek w morzu, gwiazdy na niebie.
Pracujmy z Bogiem; Bóg, nasz obrońca,
Daje nam łany miłością żyzne:
Żniwa dojrzeją pod okiem słońca,
I praca świętą zbawi Ojczyznę!

MUCHA.

A teraz, Maćki, kiedy Bóg udziela
Radości tyle, szczęścia i wesela,
Gdyśmy gromadną tu zebrani zgrają,
W podkówki państwo młodzi niech zagrają.
Ja wam przy ślubie jutro, dla uciechy,
Rozpuszczę organ, nadmę pierś i miechy;
Veni Creator jak wam huknę basem,
Świątynią wstrząsnę kiéj pioruny lasem!

WIESŁAW, płacząc z radości.

Ojcowie zacni, niech wam Bóg nagrodzi!

MUCHA, zażywając tabaki.

Przy zaręczynach płakać się nie godzi.
Wóz zaprzężony... grajki, nuż do smyka!
Krakowska dziatwa niechaj też pobryka;
Mazura, hejże, rznijcie mi od ucha!...
Cóż to? ten sapi, ten w obłoki dmucha,
Ten śpi na dobre... a jak z nosa strzelę...

(kicha z łoskotem.)

WSZYSCY.

Niech żyją!

(Muzyka.)

MUCHA.

Słyszy waść że tu wesele?
Dawajcie miodu!... Jest nad Polską Bóg!
Do naszych pląsów nie żałować nóg!

(siada i pije; młodzież szykuje się do tańca.)

Mazur.

WIESŁAW na przodzie sceny, bijąc w podkówki.

Nuż daléj, Krakowiacy!
Albośwa nie Polacy,
Nie bracia, nie junacy
Do tańca i do pracy?
Choć dzisiaj trochę smutno,
Przecież nam łba nie utną;
Rozpacz odwagą głupców:
Kto żyje, do hołubców!
Hop, ha! raźno, ha!

HALINA.

Ty święta choć uboga,
Ojczyzno nasza droga,
Jedności duchem błoga,
Odżyjesz w imie Boga!
Gdy bracia dziś w rozterce,
Radabym dać to serce,
By miłość którą płonie
Złączyła wszystkie dłonie!
Hop, ha! zgodnie, ha!

WOJTEK.

Praca naszym udziałem;
Kocham ją sercem całém,
Z miłością i zapałem,
Jak Rózię pokochałem!
Już teraz z łaski nieba
Pańszczyzny nam nie trzeba;
Niezgoda już nie zaćmi
Jedności między braćmi!
Hop, ha! razem, ha!

RÓZIA.

W mym koszu polne kwiatki,
Są róże, są bławatki;
Gdy Bóg nam zeszle dziatki,
Przybędą i dostatki!
Równianki z téj doliny,
To dziś mój skarb jedyny;
Lecz z wami, przyjaciele,
Tym skarbem się podzielę!
Hop, ha! szczerze, ha!

STANISŁAW.

Dłoń z dłonią, wszyscy razem,
I sercem i wyrazem;
Staniem się cnót obrazem
Od woli, nie rozkazem!
Niech pan rolnika wspiera,
Niech brata brat nie zdziera;
Kraj obcy kto zbogaca,
Niech do nas nie powraca!
Hop, ha! zasie, ha!

BRONISŁAWA.

Wierz w Boga w prostéj wierze,
Kochaj bliźniego szczerze;
Krew matce nieś w ofierze,
A łotrów czart zabierze!
Módl się, gdy serce budzi,
Dla Boga nie dla ludzi;
Czyn dobry zawsze cichy,
A głośny, kiedy lichy.
Hop, ha! skromnie, ha!

MUCHA.

Dziś każdy, żal się Boże,
Wypłacić się nie może;
A gęsi nasze zboże
Wynoszą het, za morze!
Co się ze światem dzieje!
Królami są złodzieje!
A przechrzty górą wszędzie;
Lecz u nas tak nie będzie!
Hop, ha! nigdy... trzcha!

DOROTA.

Gdzie cnota ludźmi włada,
Tam wolność wnet osiada;
Lecz takiéj wiosce biada
Gdzie sąsiad rwie sąsiada!
Niech każdy z nas przestaje
Na tém co Bóg mu daje;
Uczciwy życia wątek,
Toć lepsze niż majątek!
Hop, ha! pewnie, ha!

JAN.

Nasz Kraków już zgrzybiały,
Lecz i nasz Orzeł biały;
A żyje, bo świat cały
Pełen jest jego chwały!
Jan trzeci, święte imie
W Krakowie, polskim Rzymie;
Gród jego niechaj słynie,
Aż Wisła nie przepłynie!
Hop, ha! wiecznie, ha!

(Wóz parokonny z pochodniami zajeżdża w głębi; Wiesław, Halina i rodzice wsiadają.)

CHÓR OGÓLNY.

Nie czcijmy obcych bogów;
Zgodą zwyciężym wrogów.
Do Twórcy wznośmy pienie
O Jedność i Zbawienie!

ŚWIĘTY WOJCIECH

MĘCZENNIK

POWIEŚĆ LIRYCZNA W TRZECH CZĘŚCIACH

(MUZYKA WOJCIECHA SOWIŃSKIEGO.)

Rodzonym Braciom

CZECHOM

Nieskażonego słowiańskiego ducha.

OSOBY

MIECZYSŁAW, król polski.
WOJCIECH, biskup gnieźnieński.
GŁOS Z OŁTARZA.
AZAEL, duch polskiego narodu.
ASTERY, PROMIEŃ, } duchy światłości.

BORUS, król myśliwców.
MATKA.
BRANKA.
CHÓR GWIAZD, CHÓR DUCHÓW NIEBIESKICH, CHÓR NIEWOLNIKÓW, CHÓR WIERNYCH, CHÓR POGAN.

Rzecz w Pradze, później w Krakowie, w Prusach i Gnieźnie, w dziesiątym wieku.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

POWOŁANIE.

WSTĘP.

CHÓR GWIAZD.

Zastępie święty, nieś podziękę chwały
Panu życia i wszechmocy;
W gwiaździstej szacie śpiewa mu świat cały,
Przeddzień go zwiastuje nocy.

AZAEL.

O Boże, Ojcze Ducha i Narodu!
Sam przedwieczny, sam bez końca;
Twa jasność nie zna wschodu i zachodu,
Cieniem twym, oblicze słonca!
A czas, twój sługa, bystrym dni potokiem,
Zgasłych gwiazd unosi plemie,
I w toń wieczności rzuca, rok za rokiem,
Świat, niebiosa, ludy, ziemie!

CHÓR.

Anielski chórze, wznoś dziękczynne pienia
Panu życia i wszechmocy;
Już blask zorzany, budząc ją z uśpienia,
Szczęsny dzień zwiastuje nocy!

AZAEL.

Tak śpiewa przed nim archaniołów grono,
I słonecznych gwiazd,
Nad mdłą dzieciną, z czeskiéj krwi zrodzoną,
Wśród słowiańskich miast...
Lecz, co za cud się zdarza!

Gdy Bóg tę duszę stwarza,
Z otwartych bram ołtarza
Piorunny głos przemawia doń...
Zaniemiał obszar cały
I roje gwiazd zadrżały,
By grom przedwiecznéj chwały
Nie wtrącił je w nicości toń!

GŁOS Z OŁTARZA.

Astery! Promień! duchy méj oświaty,
Z łaski méj stworzone,
Wy coście nieśli do Piastowéj chaty
Berło i koronę;
Otwórzcie skrzydła! wróćcie tam, na ziemię,
W pomoc téj dziecinie:
Słowiańskich Czechów gdzie pasterskie plemie,
Wojciech nasz zasłynie!
Krwią jego żyzna, niech ma Wiara święta
Cały świat odnowi!
Z tą błogą duszą lećcie, wy bliźnięta:
Sława Wojciechowi!

ASTERY, PROMIEŃ.

Nad naszym bratem świeć, jutrzenko święta,
Wpływ go twój uzdrowi!
Nieś boską Wiarę, duszo w niéj poczęta;
Niechaj świat odnowi!
Z północnych ludów zdejm niewoli pęta:
Sława Wojciechowi!

AZAEL, PROMIEŃ, ASTERY.

Śpiewajcie Panu, słońca i anieli;
K'niemu dusze wznieść!
Spojrzeniem Twórcy niebo się weseli:
Świat ogłasza cześć!

AZAEL.

Schyliwszy skronie, dwaj posłańce w bieli
Na radosną wieść,
Jak Piasta królem gdy powitać mieli,
Spieszą rozkaz nieść.
A jak w błękicie śnieżne dwa gołębie
Lub iskrząca gwiazda,
Już nieprzejrzane w lot rozpruli głębie,
Do bratniego gniazda.
Pozbywszy w pędzie jasnéj piór odzieży
I promieni z czoła,
Już siedli oba na stołecznéj wieży
Czeskich trzód kościoła.

CHÓR OGÓLNY.

I głos anielski chórem świat powtarzał,
Jak niegdyś Boga, gdy tę ziemię stwarzał:
« Hozanna! Przedwiecznemu cześć! »

I.

AZAEL.

Wstępują z rankiem do rolniczéj chatki,
Kędy ród pobożny
Choć z dawnych książąt, więcéj niż w dostatki,
W cnotę był zamożny.
« Witajcie z Bogiem! » Widzą dwaj tułacze
Skromnych prac ognisko;
Pod Matką Boską w głos niewiasta płacze,
Zgięta nad kołyską.

MATKA.

Zbudź się, mój synku! daj choć znaczek życia,
Chaty méj ozdobo!
Gdy śmierć mi wydrze duszę twą z powicia,
Pójdę w grób za tobą!

ASTERY, PROMIEŃ.

O matko biedna! modląc się ze łzami,
Klęknij przy gromnicy;
U stóp ołtarza, chodź zaśpiewać z nami
Pieśń Bogarodzicy!

ASTERY, MATKA, PROMIEŃ.

Boska dziewico!
Spojrzyj na kwiat,
Co mdłą źrenicą
Żegna ten świat!
Uproś niebiosy
O kroplę rosy:
Miéj litość, miéj!
Matko miłości,
Z nadziemskich włości,
Ręką dwóch gości,
Duszę mu wléj!

Anielska Pani,
Skłoń rękę twą!
Święci wybrani,
Módlcie się z nią!
Pociecho matek,
Składam ten kwiatek
U twoich nóg:
Daj choć godzinę!
Niech tę dziecinę,
Przez twą przyczynę,
Zachowa Bóg!

ASTERY.

Patrz!

MATKA.

Moje dziecię!

PROMIEŃ.

Drugi raz się rodzi!

CHÓR.

Błogosławiony kto niedolę słodzi
Brata i tułacza;
Bo z gościem anioł w dom rodzinny wchodzi,
Grzechy Bóg przebacza;
Ofiarę jego duszy skarb nagrodzi,
Ludzka cześć otacza:
Lecz gdy ze łzami tułacz brat odchodzi,
Hańbą go naznacza!

II.

AZAEL.

Już młodzian wzrasta, rok za rokiem płynie;
Sam, puszczony w świat,
Bezbożném okiem patrzy na świątynie,
Brnie w pogański ślad!
Anieli, skryjcie pod skrzydłami lica,
Łzy niech zleją twarz;
Radości szałem duchów złych zachwyca
Bratni smutek wasz!

Lecz Bóg co we snach groźbę swą objawia
Nim dojrzeje plon,
Wojciecha oczom na przestrogę stawia,
Potępieńca zgon!

WOJCIECH, we śnie.

Gdzież jestem? witaj, młodych lat uciecho!
Widzę światła zdrój:
Toś ty, Ojczyzno! ty, rodzinna strzecho!
Stary dębie mój!
Tam ślub!... dla kogo ta królewska córa?
Stułą ręce wiąż!
Tam czeka na mnie miłość i purpura:
Jam kochanek, mąż!
Uściskiem żądzy, czczych miłostek płoszę
Zbyt lękliwy szał;
Rozpalcie serce, błogie sny, roskosze!
Tron mi szczęście dał!

GŁOS Z NIEBA.

Wojciechu!

WOJCIECH.

Matko! wzywasz mię do skruchy?
Mię potępił Bóg!
Tu w sercu, piekło!... tam, zbawione duchy,
Wchodzą w rajski próg!
Te pierwsze białe, jak łabędzi stado,
W blasku śnieżnych piór;
U stóp Maryi swe różańce kładą:
To Wybranych zbór!
Szkarłatne drugie, jak jesienna zorza,
Na błękicie gór;
Pod znakiem Wiary świecą z nad przestworza:
To Męczeński chór!

CHÓR DUCHÓW.

Wojciechu, powstań! pójdź do Boga z nami,
Przez wygnańczy trud!
By zasiąść przy nas w niebie, z aniołami,
Umrzeć trzeba wprzód!
Dla ciebie wieczne życie się zaczyna;
Krew za Wiarę daj:
Gdzie Męczennicy, tam twoja rodzina,
Tam twój dom i kraj!

WOJCIECH.

Jam gotow umrzeć! Matko serc jedyna,
Ty mi siłę daj!
Gdy zniosę śmierć i mękę twego syna,
Przyjmij duszę w raj!

III.

AZAEL.

Nim pójdziesz w drogę, wschodnie chrzcić pogany,
Pełniąc święty ślub,
Pożegnaj braci, dom twój ukochany,
I rodzinny grób!

WOJCIECH.

Ojczyzno... matko! zgroza pierś przenika!
Słyszę broni szczęk!...
Nie wita nikt wygnańca, męczennika...
Wciąż jak zmarłych jęk...

AZAEL.

Ni brat, ni krewny, nie odpowie tobie;
Śmierć to niemy duch!
Rodzice, słudzy, tu są wszyscy w grobie:
Nas tu żywych dwóch!
Sędziwy ojciec patrzał bez obawy,
Na twych braci zgon;
I z twego grodu Sas, łupieżca krwawy,
Wziął rozboju plon!
Niewiastę hańbił, z rąk wyrywał dziecię,
Szerząc mord i srom...
Wygnańcze! tyś pozostał sam na świecie!
W gruzach jest twój dom!

CHÓR ZMARŁYCH.

Wojciechu! Chrystus większe zniósł katusze;
Krzyż ten pański weź!
Modlitwy zmarłych zmów za nasze dusze:
Idź i wiarę nieś!

IV.

AZAEL.

Wonczas Mieczysław, pan Słowiańskich ludów,
Uświetniał dom Lecha;
Na gród Wawelu, już słynnego z cudów,
Zaprasza Wojciecha.

MIECZYSŁAW.

Jam ślepy; jeśli twe nadziemskie czary
Boską mają moc,
Z rycerstwem całém przyjmę znak twéj wiary;
Zdejm z mych oczu noc!
Od szczytu Tatrów aż do wód Baltyku,
Gdzie pomorska błoń,
Te żyzne pola, ludy te bez liku,
Oddam w twoją dłoń!
Bo kto ślepotę, z piekieł mi zesłaną,
Cudem zdjąćby mógł,
Na ziemi temu snać od niebos dano
Rządzić jak sam Bóg!

WOJCIECH.

Potężne książę! dusza twa w obłędzie;
Bóg sam Bogiem jest!
Jam jego sługą: niosę tu i wszędzie
Zdrój zbawienia, chrzest!
Wierz, wnuku Piasta! klęknij, módl się zemną,
Złącz słowiański kraj:
Maryi Synu, zdejm tę łuskę ciemną,
Polszce światło daj!

MIECZYSŁAW.

Już widzę!... Słońce! jasny dzień na niebie!
O jak wielki świat!...
W Chrystusa wierzę! chwała mu przez ciebie;
Panuj, tyś mój brat!
Cóż tam nad Wisłą bieli się w rozdole,
Wśród płaczących drzew?
Tam nasi brańcy... dziewcze czy pachole?
To Dąbrówki śpiew!

BRANKA.

Gdy Ojczyzna pod broń woła,
Ja mam biedna tylko płacz;
Nędza, rozpacz tu dokoła :
Boże, ty nas pomścić racz !
Od wieczora do poranka,
Próżno błagam cię, ja branka ;
Z kraju szlesz mi ptasząt śpiew :
Przyjmij w ich kwilącym głosie
Moje łzy wypite w rosie,
I twój święty złagodź gniew !

Jaskółeczki wędrownice,
Nieście moje żale tam,
Gdzie me siostry, rówiennice,
Gdzie mój luby został sam !
Nad brzegami obcéj rzeki,
Lud od braci swych daleki,
Tęskni do rodzinnych pól ;
Czas upływa jak te wody,
Tocząc nieba i narody,
A nie spłonie serca ból !

WOJCIECH.

O książe! słyszysz głos twych czeskich brańców!
Jam dał ci Wiarę, ukój żal wygnańców ;
Ty nam wolność dasz!

MIECZYSŁAW.

Tyś moje serce natchnął ich miłością ;
To dziewcze kocham, lud jest mą własnością :
Przy mnie dom jest wasz !

WOJCIECH.

Lud dziatwą Boga ! gdy jéj pęta skruszę,
Wawrzynem świętym, za twą grzeszną duszę,
Sam uwieńczę skroń !

MIECZYSŁAW.

Więc śmierci szukasz ? ja z twych nauk szydzę ;
Chcesz mię porzucić ? idź, niech cię nie widzę :
Orły me, za broń !

CHÓR BRAŃCÓW.

(Razem.)

Litości, ojcze ! pomnij o rodzinie !
Przez krew męczeńską co w twych żyłach płynie,
Zbawić braci chciéj !

ASTERY, PROMIEŃ, AZAEL.

Zaprawdę, szczęsny kto na ziemi płacze;
Bóg mu nagrodzi niebem dni tułacze,
Po pielgrzymce téj!

WOJCIECH.

Ten Bóg co światło ci przynosi w darze,
Złych książąt ciężéj za łzy bratnie karze ;
Panie! litość miéj !

MIECZYSŁAW.

Litości nie znam, twoich rad nie znoszę;
Dziś u Peruna, brańców krwią wyproszę
Pomoc w doli złéj !
Na zgliszcza !

(Piorun zapala zgliszcza.)

WOJCIECH.

Stójcie ! Boże, racz ich zbawić !
Za miesiąc wrócę, by cię błogosławić,
Lub cię klątwą zgnieść !
Dąbrówko ! święcę cię Bogarodzicy :
Przez cię odzyszczą kraj swój niewolnicy ;
Panu chwała, cześć !

CHÓR OGÓLNY.

I głos Wojciecha w niebie się powtarzał,
Jak niegdyś Boga, gdy to słońce stwarzał :
« Hozanna! Przedwiecznemu cześć! »

CZĘŚĆ DRUGA.

HIMN DO BOGARODZICY.

WOJCIECH.

Bogarodzica
Dziewica,
Bogiem sławiona, Marya!
U Twego Syna
Hospodyna,
Matko zwolona, Marya!
Ziści nam
Spust winom,
Kyrie eleison!

WOJCIECH, MIECZYSŁAW.

Twego Syna Chrzciciela zbożny czas!
Usłysz głosy, napełnij myśli człowiecze;
Słysz modlitwę, jenże cię prosimy,
To dać raczy, jegoż prosimy :
Daj na świecie zbożny pobyt,
Po żywocie rajski przebyt,
Kyrie eleison!

CHÓR.

Narodził się dla nas Syn Boży;
W to wierzaj, człowiecze zbożny,
Iż przez trud,
Bóg swój lud
Odjął djabłu straży!
Przydał nam zdrowia wiecznego;
Starostę skował piekielnego ;
Śmierć podjął,
Wspominął
Człowieka pierwszego!
Adamie! ty boży kmieciu!
Ty siedzisz u Boga w wiecu;
Domieści
Twe dzieci,
Gdzie królują anieli!

WOJCIECH, MIECZYSŁAW i CHÓR.

Tam radość, tam miłość,
Tam widzenie Twórca
Anielskie, bez końca;
Tu się nam zjawiło
Diable potępienie!
Dla ciebie, człowiecze,
Dał Bóg przekłuć sobie
Bok, ręce, nodze obie;

Krew święta z boku szła,
Na zbawienie tobie!

W to wierzaj, człowiecze,
Iż Jezu Chryst prawy,
Cierpiał za nas rany;
Przelał swą krew świętą,
Za nas chrześciany!
Już nam czas, godzina,
Grzechów się kajaci,
Bogu chwałę daci;
Ze wszemi siłami,
Boga miłowaci!

Marya dziewica,
Prosi Syna swego
Króla niebieskiego,
Aby nas uchował
Ode wszego złego!
Tegoż nas domieści,
Jezu Chryste miły,
Byśmy z tobą byli,
Gdzie nam się radują
Już niebieskie siły!

Wszyscy święci proście,
Grzesznych nas wspomożcie,
Byśmy z wami przebyli,
Jezu Chrysta chwalili!
Amen, amen, amen,
Amen; tako Bóg daj,
Byśmy wszyscy poszli w raj
Gdzie królują anieli [1]!

AZAEL.

O Wisło matko! tobie cześć i chwała;
Od źródeł twoich ob pieśń ta brzmiała
Po za Dźwiny brzeg,
By z krwi męczeńskiéj co się miesza z tobą,
Lud wolny powstał, ziemi téj ozdobą:
I swobody wiek!

CZĘŚĆ TRZECIA.

MĘCZENSTWO.

I.

WOJCIECH.

Panie! gotów na katusze,
Rozkaż w jaki pójdę kraj?
Oświeć tęskną moją duszę,
I męczeństwa siłę daj!
W rodzie bratnim, u Lechity,
Już daremny był mój trud;

Tu cnotami kraj obfity,
Wiarą silny Piasta lud!
Polak sam twą chwałę głosi;
Klęcząc u Maryi stóp,
Dawne swe bożyszcza znosi:
Tu zamknięty dla mnie grób!

GŁOS Z OŁTARZA.

Za mną, synu! twoja gwiazda
Świeci od północnych stron;
U Borusów dzikich gniazda,
Tam chwalebny znajdziesz zgon!

WOJCIECH.

Zgon to dla mnie życie wieczne!
Idę, kłos twój, Panie, żąć:
Zbawić ludy te waleczne,
Lub anielską palmę zciąć!

AZAEL.

Nad brzegiem Wisły, za Wojciecha śladem,
Już się szerzy wieść
Że lud przyjmuje, z jego cnót przykładem,
Chrystusową cześć.
I z Prus zachodnich aż po bratnią Litwę,
Dzicz za kapłanem korną szle modlitwę:

CHÓR POGAN.

Wojciechu, ojcze nasz!
Bożyszcza nasze krusz;
Ty wieczną prawdę znasz,
Twój Bóg jest Panem dusz!
On sam, ten prawy Bóg,
Przez usta twe przemawia;
Niech każdy z wiernych sług
W pokorze go wysławia:
Gdyż to litości Bóg,
Co dziś się nam objawia!

Lechicki dzielny ród,
Już wziął od niego chrzest;
Tam pasterz wiernych trzód,
Nad króle wyższym jest!
On sam, ten prawy Bóg,
Z Wojciecha ust przemawia;
Hołd nieśmy, jako dług,
Świętemu, co nas zbawia:
Gdyż to wolności Bóg,
Co dziś się nam objawia!

WOJCIECH I CHÓR.

Niech wszelki żywioł jego moc wysławia!

II.

AZAEL.

Jaśnieją gwiazdy nad Bałtyku brzegiem.
Nurt śpiący szumi pod czółenka biegiem;
Myśliwców król jął wiosło w dłoń,
Dał znak i silnym nadął róg oddechem:
Las, pola, morze, brzmią rozgłośném echem,
Przybiega dzicz i błyszczy broń!

CHÓR MYŚLIWCÓW.

Lechicki zbieg przeklęty zginie,

1. Pieśń ta św. Wojciecha, z chorału gnieźnieńskiego dosłownie tu jest wypisaną.

Szatański syn ze zgrają sług!
Niech podła krew na niego spłynie;
Niech jego pierś rozedrze kruk!
Śmierć zdrajcy!

BORUS.

Stójcie! kto tu z miejsca ruszy,
Pod mojem wiosłem padnie sam bez duszy!
Twe imie?

WOJCIECH.

Wojciech; jam jest sługa sług.

BORUS.

Kto panem twoim?

WOJCIECH.

Pan wszechświata, Bóg!
On mię wysyła do was, apostołem,
Z tym znakiem Wiary, z krzyżem jego Syna.

BORUS.

Ty kłamiesz! przed nim ja nie biję czołem;
Rząd jego niknie, gdzie się mój poczyna!

WOJCIECH.

Czas, przestrzeń, wieczność, jego wzrok przenika.

BORUS.

Służalcze podły! wszak dla nawrócenia,
Dałby nam króla!

WOJCIECH.

Chrystus, Pan stworzenia,
Dla ciebie, królu, dał krew męczennika!

BORUS.

Bluźnierco nędzny, drżyj!
Przed gniewem mym się skryj!
Precz ztąd! tu święte gaje!
Idź twoje gusła nieść
Tam gdzie lechickie kraje;
Śmierć tobie!

CHÓR.

Śmierć!

WOJCIECH.

Zostaję.

BORUS.

Więc oddaj bogom cześć!

WOJCIECH.

Twą wzgardę im oddaję,
Prawemu Bogu cześć!

BORUS.

Twych czarów nam nie trzeba:
Śmierć krwawą masz tu znieść!

WOJCIECH.

Smierć dla Chrystusa, droga dusz do nieba!

AZAEL.

I Borus chwycił oburącz za wiosło;
Potrzaskał w miazgi na Wojciecha czole:
« Idź, rzecze, w piekło; piekło cię przyniosło!
Spełniony wyrok! my za branką w pole! »
Konając Wojciech, padł u stóp anioła;
Słów boskich księga z jego rąk wylata,
A dzicz rozjadła, depcząc go, zawoła:
« Niech tak przepadnie polski bóg, pan świata! »

III.

ASTERY, PROMIEN.

Wojciechu, zbudź się! nie spełniłeś czary,
Ulubieńcze mój!
Nad czołem gwiazda; w głębi téj pieczary,
Płynie życia zdrój!

WOJCIECH.

Jakiż śpiew tajemnie
Budzi nocną ciszę?
Duch wstępuje we mnie;
Głos méj Polski słyszę!
Pierś pragnienie dręczy;
Tam gdzie strumień brzęczy,
Lutni dźwięk mię woła:
Przy kwiecistym zdroju,
Widzę w jasnym stroju
Dziewczę, czy anioła?

BRANKA.

Nie pij téj wody, jeśli dbasz o życie!
To zatruty wrzos!

WOJCIECH.

Aniele... księżno! nieba! czy słyszycie?
To méj matki głos!

BRANKA.

Jam polską branką... ojciec zmarł w niewoli,
Jeńcem jak ty sam;
A wdowia chatka przy wiślanéj roli:
Chodź wypocząć tam!

WOJCIECH.

Ach! jedną kroplę pierwéj niech wypiję;
Niech ochłodzę skroń!

BRANKA.

Czy widzisz w stoku te święcone żmije?
Żądła ich się chroń!

WOJCIECH.

Nasz Bóg silniejszy niźli te potwory;
Spojrzyj w nieba głąb!

BRANKA.

Śnieżysty orzeł przebił chmur zapory,
Wpadł w błyskawic kłąb;
Na źródło zlata, wodę krwią rumieni,
Chwyta w szpony płaz:
I jak zwycięzca buja po przestrzeni,
Z łupem swoim wraz!

WOJCIECH.
(Razem.)

Ach! na ten widok, niechaj błąd się stanie
Prawdą, w oczach twych!
Przez ciebie światło ujrzą dziś poganie,
W dzikich puszczach tych!
Jam twoim ojcem z Wiary i swobody,
Z duszy zdejmę cień;
Przyjm, niewolnico, chrztu świętego wody:
Wierz w zbawienia dzień!

BRANKA.

Ach! na ten widok, czuję moc, kapłanie,
Boga braci mych;
Przezemnie kiedyś Polska zmartwychwstanie,
W dzikich puszczach tych!
Bądź naszym ojcem z Wiary i swobody,
Srogie serca zmień;
Błogosław ze mną bratnie dwa narody :
Zbliż zbawienia dzień!

WOJCIECH.

O Synu Boży! umrzeć chcę dla ciebie!

BRANKA.

O Matko Boska! daj mi życie w niebie!

IV.

CHÓR MYŚLIWCÓW.

Daléj, przy odgłosie trąb,
Przez parowy, błonia, las!
Tur nie przemknie za ten zrąb,
Łania wpław nie zmyli nas!
Tylko z brańców zbiegłe chat,
Dziewcze nam napsuje krwi;
Zrywa serce jakby kwiat,
I z pogoni naszéj drwi!

JEDEN Z MYŚLIWCÓW.

Chrześcianin pies ją zwiódł!

CHÓR.

Niech przepadnie obcy ród!
On tu wleci w naszą sieć;
A blask słońca zgaśnie wprzód,
Nim wróg nasz ją będzie mieć!
Pierwéj skona wiatrów dech,
Morze sunie się aż tu,
Nim jéj czoło chytry Lech
Zlać potrafi wodą chrztu!

BORUS.

Patrzcie, tam! wszak to wróg nasz?

BRANKA i WOJCIECH

Matko Boska! z ręki twéj
Zeszlij nam anielską straż;
Na łzy jeńców litość miéj,
I Ojczyzny drogę wskaż!

BORUS.

Czyli to słowika śpiew,
Brzmiący rzewnie pośród skał?
Nigdy z pod majowych drzew,
Tak uroczy głos nie grał!

BORUS i CHÓR.

Niech przepadnie obcy ród!
On tu wleci w naszą sieć;
Słońce, ty zagaśnij wprzód,
A złoczyńcom tym nie świeć!

BRANKA i WOJCIECH.

Chryste! przebacz ludziom złym!
Palmę nam zbawienia daj!
Matko Boska! wzrokiem twym,
Oświeć ten pogański kraj!

V.

MATKA.

Gdzież jest moja miła
Tęsknéj duszy chluba?
Czemuś dom rzuciła?
Gdzieżeś ty? o luba
Maryo!

ECHO.

Luba... Maryo!...

MATKA.

Smętne dni się wiją;
Pytam, gdzie ma zguba?
Czy cię zbójcy kryją?
Ozwij się, o luba
Maryo!

ECHO.

Luba... Maryo!..

WOJCIECH.

Nie płaczcie, matko!

MATKA.

Boże, tyś to sprawił!
Ty, w mych objęciach!

BRANKA.

On mię cudem zbawił.

MATKA.

On zbawił życie?

WOJCIECH.

Nie, zbawiłem duszę.

BRANKA.

Ja naszych braci z nim wyzwolić muszę!

MATKA.

On chrześcianin?

BRANKA.

Boski duch wybrany,
Mój chrzestny ojciec!

MATKA.

Na Chrystusa rany,
Tu rozbójnicy! zginiesz od ich ręki!

WOJCIECH.

Kto żyć ma wiecznie, gotów jest na męki.

BORUS, wpadając.

Tu się schroniła!

MATKA.

Widzę czerń zbójecką...
Ach! wydrzyj serce, lecz uratuj dziecko...

BORUS.

To nasze branki.

WOJCIECH.

Wolne są przed Bogiem.

CHÓR.

Śmierć, śmierć obcemu!

BORUS.

Tak się dzielę z wrogiem!
(oszczepem go przebija.)

WOJCIECH.

Jam waszym bratem; ja wam błogosławię!

ASTERY i PROMIEŃ.

Duch w niebo, zwłoki w dom twój, Bolesławie!

CHÓR.

Cóż to za mąż, co dla swéj wiary
Przyjmuje śmierć od ludzi złych?
Po pierwszy raz widzim ofiary
Modlące się za katów swych!

. . . .

AZAEL.

Stokroć szczęśiwy, kto za wolność braci
Zniósł Chrystusa zgon;
Ten żywot wieczny krwią męczeńską płaci,
Boski zbierze plon!
Opasuj biodra, polski mój narodzie,
Do niebieskich dróg;
Za Wiarę ojców mężnie walcz na przodzie:
Wolność da ci Bóg!

Anielski chór na Piasta dwór
Niesie Wojciecha;
Niech jego zgon da sławy plon
Potomstwu Lecha!

VI.

CHÓR ANIOŁÓW.

Niechaj zagrzmi nad obłoki,
Głos cherubów, lutni brzęk;
Niech ocuci święte zwłoki,
Wiekuistéj chwały dźwięk!
Kołysany przez anioły,
Rzucaj łez i krwi padoły,
W górę leć, jak brzmiący śpiew;
Już twe skronie światło wieńczy,
Jak różany kwiat młodzieńczy:
Boś za Wiarę przelał krew!

ASTERY.

Kiedyś był dzieciną małą.
Jam ci boskie tchnienie dał;
Twe zwycięztwo cię złamało:
Na mém łonie będziesz spał!
Twą prawicą nieśmiertelną
Pokonałeś moc piekielną,
Wstępuj ze mną w rajski próg:
Tam gdzie życia poświęcenie
Wieczne ma wynagrodzenie,
Wiecznym blaskiem świeci Bóg!

PROMIEŃ.

Słowian ojcze i patronie,
Hołd ci niesie bratni lud;
Bo w cierniowéj twéj koronie,
Tyś mu wskazał pierwszy trud!
Ciało twe oddajesz ziemi;
Duch skrzydłami płonącemi
Ponad słońca leci ztąd!
Czas i przestrzeń tobie niczém;
Boskiem ciesząc się obliczem,
Czekasz na ostatni sąd!

Finał.

AZAEL.

Nad Gnieznem kościół wznosi się potężny;
Król Chrobry zaczął, kończy go lud mężny.
Z tego Polski gniazda
Rozwija skrzydła stróż jéj, Orzeł biały;
I przez ośm wieków wiedzie ją do chwały,
Jak wolności gwiazda!

CHÓR WIERNYCH.

Bogarodzica
Dziewica,
Bogiem sławiona, Marya!
U Twego Syna
Hospodyna,
Matko zwolona, Marya!
Ziści nam
Spust winom,
Kyrie eleison!

GŁOS Z OŁTARZA.

Dzień mój się zbliża! Ludy, kruszcie pęta;
Bratniemi wznoście kościół ten siłami,
A czartowska moc przeklęta,
Pęknie przed jego bramami!

BOLESŁAW, CHÓR WIERNYCH.

O Polsko, ciesz się! zniknie twój morderca!
Męczeństwem Wojciech zdobył ci zbawienie;
Jego duch szle w nasze serca,
Wiecznéj swobody natchnienie!

CHÓR OGÓLNY.

I śpiew Wojciecha będzie świat powtarzał,
Jak niegdyś Boga, gdy niebiosa stwarzał:
« Hozanna! Przedwiecznemu cześć! »

ŚWIĘTA ELŻBIETA

WĘGIERSKA

CZYLI CUD ROŻANY

POWIEŚĆ LIRYCZNA W DWÓCH CZĘŚCIACH

(MUZYKA FR. LISZTA.)

Przyjaznym

WĘGROM

najstarszym Polski sąsiadom.

OSOBY

ŚWIĘTA ELŻBIETA.
MARGRABIA HERMAN.
LUDWIK, syn jego,
MARGRABINA ZOFIA.
PAN WĘGIERSKI.

STAROSTA ZAMKU.
CESARZ FRYDERYK II (Hohenstauffen).

CHÓR ANIOŁÓW, CHÓR DZIEWIC, CHÓR RYCERZY, CHÓR BISKUPÓW.

Rzecz w okolicy Wartburgu, w Turyngii, w czternastym wieku.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

I.

PRZYBYCIE ELŻBIETY DO WARTBURGU.

CHÓR LUDU,

Witajmy ten dziewiczy kwiat
Zesłany nam z węgierskiéj ziemi,
Co podnieść ma zachodni świat,
I nasz książęcy ród rozplemi.

W kolebce już dziecinie mdłéj
Śni się ta chwila błoga,
Gdy miłość ma dopełnić w niéj
Błogosławieństwo Boga !
Witajmy wśród nas
Nadziei ten kwiat;
Z wybranym jéj wraz,
Niech żyją sto lat !

MARGRABIA HERMAN.

Córeczko luba, tobie cześć !
Ten uścisk dajęć ja, twój teść.

PAN WĘGIERSKI.

Najmilszy plon węgierskich łąk,
W zawoju róż tę lilję białą,

Łaskawie przyjm od bratnich rąk.
O, strzeżcie wy z wiernością stałą
Dziecięcéj skroni, jak te kwiatki
Wyrwanéj już z objęcia matki,
Z rajskiego naszych pól uroku ;
By kiedyś, w przyszłych dni pomroku,
Schowana w Wierze ojców swych,
Daleka od przykładów złych,
Nie brakła nigdy serc opieki
Doznanéj tam gdzie żyła wprzód.
Szczęść Boże teraz i na wieki,
Pozdrawia cię Madżiarów lud !

HERMAN.

Co zdoła nasz ojcowski trud,
Z Hermana rąk już dziś posiędziesz ;
Byś mogła śnić o szczęściu wprzód,
Nim z mężem twym szczęśliwą będziesz.
A jak nasz syn całuje kwiat
Podany mu z anielskiéj rączki,
Tak będzie ci nad cały świat
Cenniejszym ślubny dar obrączki.

LUDWIK.

Elżbieto, patrz! ten ziemski raj,
To wszystko nasze, lud i kraj !

ELŻBIETA.

Pozdrówcie tam rodzinny próg...
Niech matkę mą pocieszy Bóg !

CHÓR DZIEWIC.

My, twoje dziewy,
Będziem ci nieść
Wieńce i śpiewy
Na twoją cześć !
Ta wie, gdzie w głębi drzew,
Wiewiórki gniazdo ;
Ta, gdzie jarzębi krzew
Z motylków jazdą.
Pójdziem gdzie w maju łąk
Świeci krąg tęczy;
Gdzie lśni w ruczaju pstrąg,
A pszczółka brzęczy !
Gdzie las i rzeka, tam
Pląsają łanie ;
Smutek ucieka sam,
Uśmiech zostanie !
Gdy zbiegnie rączy czas,
Z Nadzieją, Wiarą,
Miłość połączy was,
Szczęśliwa paro !
Dziewy, młodzieńce,
Spieszym ci nieść
Śpiewy i wieńce,
Na twoją cześć !

II.

CUD RÓŻANY.

MARGRABIA LUDWIK.

Na dolinach i wzgórzach, wśród rogów i trąb,
Niech myśliwskie rozbudzą się głosy ;
Niech radosne ich granie powtórzy ten zrąb,
A wiatr puszczy poniesie w niebiosy !
Ochocze gdy zoczę koźlęta wśród skał,
Napinam łuk żywy
Co w ręku mi drżał,
I puszczam z cięciwy
Skrzydlaty mój strzał !
Ten myśliwy szczęśliwy,
Kto umiał, kto śmiał !
Ojczysty kraju, ty walecznych gniazdo,
Tyś piękny jak słońce na niebie ;
Rodzinny zamku, pod wieczorną gwiazdą,
Jak lubo mi wracać do ciebie !
Lecz patrzcie ! tam, gdzie lipy dwie
Przedziela zdrój jak srebrny wąż...
Elżbiety głos !

ELŻBIETA.

O biada ! to mój mąż !

LUDWIK.

Cóż tobie dziś ? Jak płoną lica twe !
Zapewne biegłaś, skroń perląca lśni...
Dlaczego sama ? gdzie niewieścia służba ?
Tam, pod oponką, cóż to kryjesz mi ?

ELŻBIETA.

Nie pytaj, mężu mój...

LUDWIK.

To smętna wróżba.
Twe drżenie mię ostrzega, że daremnie
Błagałem cię, w orszaku mych rycerzy,
Byś już przestała, w puszczy téj, bezemnie,
Ubogim nosić chleba i odzieży.
Więc proszę, pokaż je...
Ty milczysz ? każę !

ELŻBIETA.

Stój ! posłusznam już...
Uzbierać chciałam wiązkę róż ;
Za kwiatem kwiat z doliny znęcił mię
Aż do tych skał...

LUDWIK.

I ztąd ci braknie słów...
Ty drżysz ?

ELŻBIETA.

Zbyt ostre słońca blaski...

LUDWIK.

Dlaczego kryjesz mi te róże ? mów,
Elżbieto!

ELŻBIETA.

Łaski ! łaski !
U twoich stóp mię widzisz zgiętą,
Ze wstydu drży to serce mdłe ;
Zgrzeszyłam, kryjąc prawdę świętą,
I w duszy méj przemogło złe !
Nie róże, biegnąc tą doliną
Zbierałam, lecz bez moich sług,
Dla chorych niosłam chleb i wino :
Grzesznicy dar, litości dług !
(odsłania i rozsypuje kwiaty.)

LUDWIK.

Co widzę! róże ?... daj mi w dłoń ;
Z ich serca tchnie cudowna woń !

ELŻBIETA.

Wszechmocy boska... róże !

LUDWIK.

Anielski chór by zleciał doń!
Ach! co za blask ci wieńczy skroń,
Jak tęcza w śnieżnéj chmurze!

ELŻBIETA.

Zwiedziwszy nasz zamkowy sklep,
Wyniosłam wina dzban i chleb;
Z nich same kwiaty... to jak sen!
Z rąk boskich cud się ziścił ten!

LUDWIK.

To istny cud, lecz z twojéj ręki,
Bo swoją władzę dał ci Bóg...
Ach! przebacz mi, żem wątpić mógł!

ELŻBIETA.

Nie mnie, nie mnie, lecz jemu dzięki!

LUDWIK i ELŻBIETA.

(Razem.)

O Boże, sercem naszém rządź,
Wzywamy cię z pokorą;
Błądzącym wśród ciemności bądź
Świecznikiem i podporą!

CHÓR LUDU.

Żyjąca różo,
Przez ludu głos
Nieba ci wróżą
Nadziemski los!
Światłości zdroje
Schodzą na próg,
Gdzie stopy twoje
Przysyła Bóg!
Tak blaskiem cnoty
Święta dziś już,
Wieńczą cię sploty
Wieczystych róż!

III.

KRZYŻOWNICY.

CHÓR RYCERZY.

W męczeński Wschód, w palmowy gród,
Gdzie jaśniał krzyż Chrystusa wprzód!
Niech zamiar nasz podziela
Kto z nami chce poświęcić miecz
Na boską cześć i Wiary rzecz,
Nad grobem Zbawiciela!
Święty dług
Spłaci wróg;
Z nami Bóg! z nami Bóg!

LUDWIK.

Wezwałem tu mych ziem potęgę,
Ostatni raz nim się oddalę,
Byście wznowili mi przysięgę,
Chcąc użyć nam rozstania żale.
Niezgasła cześć, krainę świętą
Wyzwolić od pogańskich rąk,
Powszechną była nam zachętą;
Choć tęskno mi, gdy spojrzę w krąg,
Że serca skarb zostawiam tu.
Przysiążcie mi na wodę chrztu,
Na wszystko co pod niebem czcicie,
Na ojców grób i wieczne życie,
Elżbietę strzedz jak waszą panią;
Przysiążcie żyć i zginąć za nią!

CHÓR LUDU i RYCERZY.

To rajski kwiat wśród świata cierni;
Ślubujem wraz i z dobréj woli,
Małżonce twéj pozostać wierni,
Żyć dla niéj w szczęściu i niedoli.

LUDWIK.

Elżbieto żegnam cię!

ELŻBIETA.

O, jeszcze!
Nie skracaj chwili szczęścia;
Niech nią się dziś napieszczę,
Jak w pierwszym dniu zamęźcia!
Głos słyszę w serca głębi,
Że spędzę dni we łzach;
Że śmierć tę skroń oziębi,
Nim wrócisz pod mój dach!
Dziś jeszcze chcesz... o nieba!...

LUDWIK.

Tyś sama mię uczyła
Co dlań poświęcić trzeba,
Gdyś pierścień mój włożyła
Oddając mi twe serce...

ELŻBIETA.

Ach! w uczuć mych rozterce
To jedno tylko wiem,
Że w téj rozstania chwili
To serce głośno kwili,
Że rozpacz włada w niém!
Ulegam jéj przemocy;
Na wieki żegnam cię!
Bo wśród nieszczęścia nocy,
Nadziei gwiazda, gdzie?
Daremne prośby, jęki,
Stracony życia plon;
Ach! czuję, że te męki,
Zakończy tylko zgon!

LUDWIK.

Gdzie duszy moc, ten boski dar?
Gdzie Wiary twéj młodzieńczy żar?

ELŻBIETA.

O daj mi płakać na twém łonie...
Niech skruszy cię twych dzieci głos:
Patrz, jak do ciebie wznoszą dłonie,
Jakby przeczuły już swój los!...

CHÓR RYCERZY, w oddaleniu.

W męczeński Wschód, w palmowy gród,
Gdzie jaśniał krzyż Chrystusa wprzód!
Z nami Bóg! z nami Bóg!

LUDWIK.

Czy słyszysz okrzyk ten? Już czas!
Bądź zdrowa... Bóg rozłącza nas!

Wy dziatki, duch mój wam zostaje...
Opiece nieba was oddaję.

ELŻBIETA.

Porzucasz mię!

LUDWIK.

Przy tobie anioł stróż...
Nasz święty zamiar musi dojść do końca.
Raz jeszcze, żegnam was!

ELŻBIETA.

Ach!... wyszedł już...
Stracony dla mnie.... Bóg jest wasz obrońca!

CHÓR RYCERZY, coraz daléj.

Święty dług
Spłaci wróg:
Z nami Bóg! z nami Bóg!

CZĘŚĆ DRUGA.

I.

MARGRABINA ZOFIA.

MARGRABINA.

Wejdz, zamknij drzwi! Czy znasz okropną wieść?
Twój pan, mój syn, miał śmierć rycerską znieść.

STAROSTA.

Niestety, prawda.

MARGRABINA.

Odkąd się oddalił,
Co noc duch jego, budząc mię z uśpienia,
Złowieszczą zgrozą myśl i serce palił;
Dziś, to przeczucie w pewność się zamienia.
Do czynu więc! Dziś ci wyjawić chciałam
Co w głębi duszy dotąd kryć musiałam:
Chcę mieć ten kraj, chcę mieć udzielny rząd!
Precz z tymi, którzy władzę mi wydarli!

STAROSTA.

Co! wdowa księcia... miéjże pani wzgląd...

MARGRABINA.

Wszak już nie wstaną z grobów swych umarli!...
Ta pasierbica, wróżka ta obrzydła,
Czy ciebie téż wplątała w swoje sidła,
I z głowy twéj odjęła zdrowy sąd?
Lub, jeśli tajne łączą was ogniwa,
Wygnaniem spłacisz twój sromotny błąd:
Idź za nią! Zofia zdrajcą cię nazywa!

STAROSTA.

O pani! w każdéj służę ci potrzebie:
Jak dotąd żyłem, umrzeć chcę dla ciebie!
Rozkazuj więc!

MARGRABINA.

Ty przysiąg mi nie szczędzisz.
Przysięga niczém; czyn cóś więcéj znaczy:
Elżbietę z domu, dziś, ty sam wypędzisz!

ELŻBIETA.

O dniu żałoby, dniu rozpaczy!
Wśród obcych zmarł mój drogi mąż!
Więc już cię nigdy nie zobaczy,
Ta, co twym duchem żyła wciąż!
Zgnębiona myśli téj katuszą,
Śmiem bluźnić, kląć na boską straż...
O Panie! świeć nad moją duszą!
Czyś od nas już odwrócił twarz?

MARGRABINA.

Daremny płacz, daremny trud!
Rozstrzygnął los, ty go nie miniesz;
Opuścić masz książęcy gród,
A jeśli wrócisz, zginiesz!

ELŻBIETA.

Więc, jak żebraczkę nędzną, chcesz
Wyrzucić mię z własnego domu?
Z Arpada krwi jam księżną też,
Me imie nie zna sromu!
Zachowaj twą nienawiść krwawą,
Rodzinna cześć, to moje prawo!
Macoszym kłem to serce szarp,
Koronę chętnie ci oddaję;
Lecz oto mój ostatni skarb:
Ojczyzna męża mi zostaje!

MARGRABINA.

Milcz! ja tu władam!... Przed jutrzejszą dobą,
Wartburgu bramy zamkną się za tobą!

ELŻBIETA.

O moje dziatki... o sieroty biedne!
Patrz, groźna burza nad obszarem świeci;
Ach, zostaw nam tę noc, godzinę jednę,
Nie dla mnie, pani, litość miéj dla dzieci!
Odejdę jutro, rzucę dom i kraj:
Na miłość Boga, noc nam jeszcze daj!

MARGRABINA.

Ja w kraju tym chcę mieć udzielny rząd:
Precz z tymi, którzy władzę mi wydarli!
Pozorna świętość ich wprawiła w błąd;
Nikczemni, przez cię własny grób otwarli!
Nad tobą burza grzmiąca
Wydaje słuszny sąd;
Grom berło ci wytrąca,
Ty musisz odejść ztąd!

STAROSTA.

O Boże! w srogą duszę
Litości promień zléj;
Gdyż ja, poddany, muszę
Wypełnić rozkaz jéj!

ELŻBIETA, rozpaczliwie.

I tyś jest matką, wdową,
Masz serce w piersi twéj!
Na śmierć jam jest gotową,
Dla dzieci litość miéj!

MARGRABINA.

Precz ztąd! lub za skieniem ręki...

ELŻBIETA.

Tu zamarł już ludzkości głos...
Ty nie znasz co wygnania męki;
Lecz nieba cię dosięgnie cios!
Przytułku mój, więc tobie dzięki,
Za szczęścia dni wśród wiernych sług!
W strumieniu łez konają jęki...
O dzieci! jest nad nami Bóg!
(wychodzi z dziećmi.)

STAROSTA.

Za niemi brzękły bram wrzeciądze...
Zapadli w noc!

MARGRABINA.

Nareszcie... ja tu sama rządzę,
W méj dłoni moc!

STAROSTA.

Moc w ręku Boga... wśród szumiących drzew,
Grom błyska, ziemia drży, pękają dęby...
To bożéj zemsty gniew!
Nad szczytem wież, chmur czarne kłęby
Z płomieniem leją krew!...
Zerwane zręby!
Tam, rój przeklętych mar
Szaleje...

MARGRABINA.

Biada! biada!...
Ty, módl się!

STAROSTA.

Piorun spada!
Już w ogniu sień!

MARGRABINA.

Ach!... to piekielny żar!

. . . .

II.

ELŻBIETA.

ELŻBIETA nad progiem chatki, w ubiorze wieśniaczym.

Przebrzmiały gniewne burze,
A w sercu trwa żal mój...
Gdy skonał, wszystkie róże
Zczerniały, jak ten strój!
Gdzież są te chwile szczęścia,
Ty duszo młodych lat,
Gdy z tobą, w dniu zamęźcia,
Zerwałam życia kwiat?
Dziś, jeśli rajskiém tchnieniem
Przemawiać do mnie śmiesz,
Ty, z lubym gwiazd promieniem,
Pociechę nędznéj szlesz!
Bądź pochwalony, Boże, za ten krzyż!
Dla mnie, dla moich, wzywam twéj opieki;
Niech lud mój zbawię... lecz godzinę zbliż
Gdy w tobie złączym się na wieki!
Sieroty nasze przyjm w ojcowską dłoń;
Wskaż im tór prawy wśród ucisku, zbrodni,
Od gromów życia te mdłe kwiaty chroń,
Wygnańce, tronu niech się staną godni!

Dziecięce sny, wspomnienia raj...
Gdy pierwszych lat przebiegam wątek,
Jak w złotéj mgle rozkwita kraj,
Powstaje cały świat pamiątek!
Rodzinna ziemio! jak łabędzie,
Chmur śnieżnych lot mię niesie tam,
Do Węgier, gdzie mój duch żyć będzie,
Gdzie tęskny ojciec umarł sam!
O Boże! zléj twój promień żyzny
Na drogie błonia méj Ojczyzny!

CHÓR LUDU.

Tu mieszka, pod rolniczą strzechą,
Opatrzność ludu, skarb ubóstwa,
Co chorym radą i pociechą,
Dla wszystkich jest objawem bóstwa!

MATKA.

Łaknącym dzieciom tyś przyniosła chleb!

ŻEBRAK.

Nagiemu dałaś ten książęcy strój!

OJCIEC.

Mnie życie wrócił twéj winnicy szczep!

WSZYSCY.

Z twéj ręki płynie łaski zdrój!

PIELGRZYM.

Gdy pielgrzym wstąpił w twój gościnny próg,
Z nadzieją wyszedł... niech ci szczęści Bóg!

DZIECIĘ.

Gdy ojciec konał, krzyż podałaś w dłoń,
Święconą ziemią tyś przykryła skroń!

ELŻBIETA, ze łzami.

Ach, bierzcie wszysko co tu mam...
Ten chleb ostatni daję wam!

CHÓR LUDU.

Elżbieto, skarbie serc ubogich,
Kto nas nakarmi, kto pocieszy
Wpośród udręczeń życia srogich,
Gdy wzlecisz do anielskiéj rzeszy?
Duch boski mieszka w piersi twéj;
W modlitwie, pamięć o nas miéj!

ELŻBIETA.

Cóż to? ciemnieje wzrok,
Nad skronią mroźne wieńce chmur zawisły...
Nie, to nie ziemski mrok!
Krew stygnie, gasną zmysły...
To nie chłód nocny, to śmiertelny dreszcz!
Zrzuciwszy ciała brzemie,
Duch wolny leci tam, nad ziemię...
Jak wiosny deszcz
Rozwija kwiaty, wzrok i słuch otwiera

Śpiew rajskich cór...
Ha! co za blask przedziera
Zasłonę chmur?
Tam Bóg! U jego stóp mój anioł stróż...
Głos woła mię... To on! przybiegam już!
O Panie! tyś po życia męce
Pocieszył żal, ukoił płacz;
W ojcowskie twoje ręce
Mą duszę przyjąć racz!
(umiera.)

CHÓR ANIOŁÓW.

Uśpiony ból, zerwane pęta!
Powłokę skrył milczący grób;
Z małżonkiem swym, Elżbieta święta
Przyjmuje dziś wieczności ślub!
Bo pański krzyż nosiła wiernie;
Cierpienia ciał są szczęściem dusz,
I ziemskich dróg znikome ciernie,
Wydają kwiat niezwiędłych róż!

III.

CESARZ FRYDERYK II.

CESARZ.

Elżbiety wnuk pozdrawia was,
Wielmożni, szlachta i wasale,
Na świętéj cześć wznoszących wraz
Pochwalny śpiew i głośne żale.
Jéj praw zaborcy, jak złoczyńce podli,
Skarani mieczem wśród złupionych miast;
A dusza jéj, promienna wieńcem gwiazd,
Za nas, u Boga, wstawia się i modli.
Przy niéj małżonek, ten co w kwiecie lat
Męczeńską śmiercią legł pod obcém niebem.
Więc idźmy, bracia; niech zachodni świat
Wspaniałym uczci ją pogrzebem!

CHÓR LUDU.

My starce, my młodzieńce,
Elżbiety chwałę głosim;
Żałobny śpiew i wieńce
Ze łzami jéj przynosim.
O Święta! w szczęściu i potrzebie,
Twym dzieciom bądź opieką w niebie!

CHÓR RYCERZY.

Ty coś w Chrystusa ziemi
Padł u Solimy bram,
Żyj duchem z braćmi twemi,
By zmarli jak ty sam!
Wléj w naszą pierś niezłomne męztwo;
Pod znakiem krzyża daj zwycięztwo!

CHORAŁ BISKUPÓW.

Z Twoim Synem Hospodynem,
Matko Boska, to nam daj,
Byśmy wszyscy poszli w raj,
Gdzie królują anieli!
Kyrie eleison!

ZŁOTE GODY

CZYLI UNIA LUBELSKA

(1569)

HIMN DZIEJOWY W TRZECH CZĘŚCIACH

(MUZYKA WOJCIECHA SOWIŃSKIEGO.)

Rodzonym Siostrom

LITWIE i RUSI.

OSOBY

JAGIEŁŁO, wielki książe litewski.
LIZDEJKO, wielki kapłan.
ZYGMUNT-AUGUST, król polski.
KRYSTYN PRANDOTA.
DĄBRÓWKA, księżna czeska, królowa polska.
JADWIGA, księżna węgierska, królowa polska.

ALDONA, wielka księżna litewska.
OLGA, księżna ruska.

CHÓR RYCERZY, CHÓR KAPŁANÓW,
CHÓR LUDU,
GŁOSY Z NIEBA, GŁOSY Z OTCHŁANI.

Rzecz w puszczach litewskich, Krakowie i Lublinie, w czternastym i szesnastym wiekach.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

LITWINI.

WSTĘP.

DĄBRÓWKA, ALDONA, OLGA,
GŁOSY Z NIEBA.

DĄBRÓWKA.

Polsko, dzielna twém plemieniem,
Wielka rycerskiemi trudy,
Dziś, wolności świętéj tchnieniem
Łącz, oświecaj bratnie ludy.
Boże, spełń Dąbrówki dzieło;
Wschód przesądu jarzmo dźwiga:
Niechaj przejrzy z nim Jagiełło,
Gwiazdą Wiary jest Jadwiga!

GŁOSY Z NIEBA.

Przejrzy z ludem swym Jagiełło,
Gwiazdą Wiary jest Jadwiga!

ALDONA.

Z Lechią, ziemio Gedymina,
Żyj w braterstwie nierozdzielném;
Co dziś w Bogu się poczyna,
To na wieki nieśmiertelném!
Gaśnie znicz stuletniéj bitwy,
Twój, Aldono, dzień się zbliża;
Miłość, wśród pogańskiéj Litwy,
Wznosi święte godło krzyża!

GŁOSY Z NIEBA.

Miłość, wśród pogańskiéj Litwy,
Wznosi święte godło krzyża!

OLGA.

Rusi, śpiew twój tak swobodny
Jak ta jasność twego słońca,
Jak ten Dniepr twój złotopłodny
Lśniący wpośród pól bez końca!
W pieśni żyje Olgi dusza,
Ona mężnym raj otwiera;
Nawet wrogów łzy porusza...
Głos Nadziei nie umiera!

GŁOSY Z NIEBA.

Śpiew jéj wrogów łzy porusza...
Głos Nadziei nie umiera!

Poranek. — Łowy w puszczach litewskich: słychać w dali granie myśliwskich rogów. Ołtarz znicza na przodzie.

JAGIEŁŁO, LIZDEJKO, Chór rycerzy.

JAGIEŁŁO, z oszczepem w ręku.

Dziś zaczynam od zwycięztwa!
Patrz, Lizdejko, na ten łup;
On jest świadkiem mego męztwa:
Oto żubr u moich stóp!
Godził w pierś dzikiemi rogi,
Rykiem brzmiała puszczy głąb;
Lecz Jagiełło nie zna trwogi,
We krwi padł, jak zcięty dąb!

LIZDEJKO.

Poczynasz dzielnie męzkie gonitwy,
Ucieszne łowy;
Lecz od tych żubrów sroższym dla Litwy
Zakon krzyżowy!
Z hydrą stugłową piekła służalce,
Mongolskie hordy,
Dokoła szerzą w okropnéj walce
Zgliszcza i mordy!
Gdy wróg twéj Litwie grozi zagładą,
Ty młody, śmiały,
Wciąż się myśliwską bawisz biesiadą,
O kraj niedbały!
Oszczepem wątłym nie zwalczysz, panie,
Zgrai Krzyżaków;
Spraw na nich łowy... przy tobie stanie
Hufiec Polaków!

JAGIEŁŁO.

O wiem starcze, wiem bez ciebie,
Jak jest dzielnym sąsiad Lach;
I w pokoju, i w potrzebie,
Jak gościnnym polski dach!
Lecz co powie lud, kapłanie,
Co rycerski zastęp mój?
Wszak Polacy, chrześcianie,
Znicz i krzyż wciąż toczą bój!
Już od wieku, od Mendoga,
Pławi się w krwi naszej wróg:
Polak czci jednego Boga,
A tym jest germański Bóg!

LIZDEJKO.

Z krzyżacką tłuszczą już nie ma rady;
Krzyżak modląc się zabija!
Duch jego pełen zawiści, zdrady,
Wiecznie pragnie krwi ta żmija!
Chcesz-li porównać do Lachów dzielnych
Niemców stek o zbójczéj broni,
Żyjących łupem, chytrych, bezczelnych:
Orzeł bratem jest Pogoni!

JAGIEŁŁO.

(Razem.)

Starcze, tyś obudził w duszy
Wielką myśl i wielki czyn;
Czyjaż dłoń ten łańcuch skruszy,
Co przesądem wiąże gmin?
Łatwiéj zgnieść tysiączne grody,
Dzień promienny zmienić w noc,
Niż pojednać dwa narody
Gdy je bogów dzieli moc!

LIZDEJKO.

Książe, jam obudził w duszy
Wielką myśl i wielki czyn;
Twoja dłoń ten łańcuch skruszy,
Co litewski wiąże gmin!
Wnet zakwitną twoje grody,
W jasny dzień się zmieni noc;
Jak dwa morza, dwa narody
Spłyną wraz w olbrzymią moc!

JAGIEŁŁO, do Rycerzy.

Najwyższy kapłan radzi, rycerze,
Jak w proroczych snów zapale,
Niezgasłe z Polską zawrzeć przymierze,
Zbratać się ku wspólnéj chwale.
Czyli żądacie, kraju obrońce,
Mężni sercem, silni dłonią,
By wiecznéj zgody błysnęło słońce
Między Orłem i Pogonią?

CHÓR RYCERZY.

O władco nasz,
Jak rzekłeś, czyń;
Ty serca znasz,
Ty mieczem skiń!
Wszak Polak zuch,
My męztwo czcim;
Więc bratni duch
Nas łączy z nim!
On z nami wraz
Podniesie broń;
Nie zdradzi nas
Lechicka dłoń!
O władco nasz,
Jak rzekłeś, czyń;
Na wierną straż
Z ufnością skiń!

JAGIEŁŁO.

Więc kapłani, wy rycerze,
Spełnią się tak zacne chęci;

Syn Olgierda to przymierze
Głośnym czynem wnet uświęci.
Na Piastowym świeci tronie
Duch niebieski, czy dziewica;
Blaskiem gwiazd jéj oko płonie,
Świeższe są od róż jéj lica.
Perłą w hełmie mym bezcenną
Ona błyśnie mi nad czołem;
Jutrznią będzie stupromienną,
Litwy z Polską archaniołem!

CHÓR.

O władco nasz,
Jak rzekłeś, czyń;
Ty drogę wskaż,
Chorągwią skiń!

LIZDEJKO, z mocném wzruszeniem.

Mir wieczny z Polską jam radził stary,
Ja, niepomny że nas czeka
Upadek może... zagłada wiary...
Bogów płonna dziś opieka!
Lecz tam gdzie sprawa o kraju losie,
Wszystkie znieść ofiary trzeba;
Zapalcie zgliszcza!... Spłonę na stosie,
By za was przebłagać nieba!

CHÓR.

Leć ku Wiśle, leć sokołem,
W trop za tobą wierna straż;
Górą Polska z Litwą społem,
Niech Jagiełło żyje nasz!
Z niezwalczonym bratem Lachem,
Stłumim gwar mongolskich hord;
I napełnią świat przestrachem
Żmudzki róg i polski kord!
Śmierć więc wrogom
Spieszmy nieść;
Chwała bogom,
Tobie cześć!

(Piorun uderza w ołtarz znicza i gasi; ciemność się rozpościera.)

CHÓR POTĘPIEŃCÓW, z otchłani.

Wiecznie niszczyć, wiecznie burzyć,
Giąć pod jarzmem ciemny lud,
A zawiści bratniéj służyć,
To roskoszny piekła trud!
Niech szatańska żyje władza!
Dziś jéj zbierzem krwawy plon;
A śmierć temu kto przeszkadza
Wznieść niewoli wiecznéj tron!
Śmierć więc wrogom
Spieszcie nieść;
Chwała bogom,
Zdradzie cześć!

DĄBRÓWKA, ALDONA i OLGA, przelatują nad puszczą w postaci trzech aniołów.

ALDONA.

Miłość niebian jest udziałem;
Wy, w miłości żyjcie sami,
Aż się Słowo stanie ciałem,
I zamieszka między wami!
Lecz nawracać wrogów każe
Ten co tchnieniem stworzył świat,
Aby nieść ludzkości w darze
Wiecznéj zgody boski kwiat!
Pokój wrogom
Spieszcie nieść;
Wzgarda bogom,
Prawdzie cześć!

CHÓR.

Wiedź, aniele białoskrzydły,
Tam gdzie Piasta mężne dzieci;
Niech przepadnie błąd obrzydły,
Wiara cały świat oświeci!
My, za twym polotem rączym,
Gedymina silny krzew,
Z polską krwią na wieki złączym
Nasze serca, naszą krew!
Pokój wrogom
Spieszmy nieść;
Wzgarda bogom,
Prawdzie cześć!

DĄBRÓWKA, ALDONA, OLGA i CHÓR.

Niech zakwitną w bratniéj zgodzie
Litwa, Ruś i ziemia Lecha;
Bóg nas wesprze w tym zawodzie,
W nim nadzieja i pociecha.
On sam w piersiach budzi męztwo
Chroniąc przeciw duchom złym,
I wśród walki da zwycięztwo
Pod najświętszym znakiem tym!

(Krzyż płomienny jaśnieje nad puszczą.)

CZĘŚĆ DRUGA.

ŚLUB JAGIEŁŁY.

JADWIGA, KRYSTYN PRANDOTA, późniéj JAGIEŁŁO, CHÓR RYCERZY, CHÓR KAPŁANÓW, CHÓR LUDU.

JADWIGA, budząc się.

Sen czarowny, sen tak błogi!
Głos Wilhelma, czy anioła?
Czy z radości, czyli trwogi,
Pierś oddychać ledwie zdoła?
Lud w ciemnocie i kajdanach,
W błędzie, który świat rozdziela,
Oto widzę na kolanach
U stóp Boga Zbawiciela!
Pomrok duszy, cień oblicza,
W rajskie barwi się promienie;
Widzę krzyż na gruzach znicza...
Czy to prawda? czy złudzenie?

KRYSTYN.

Nie marny, sen królowo,
To był proroczy głos!
Dziś, jedno twoje słowo,
Pokoleń zmieni los!
Jagiełło nam przybywa;
Zostawił kraj i tron,
Tu boski duch go wzywa...
Otóż z rycerstwem on!

JAGIEŁŁO, wchodząc z Orszakiem.

Jam jest Jagiełło... przy mnie poddani...
Życie, berło i potęgę,
Dziś wszystko składam przed tobą, pani,
Pełniąc wiernéj czci przysięgę.
Już dawno sława twych cnót i wdzięków
Brzmi rozgłosem w naszéj Litwie;
Jadwigi obraz, wśród broni szczęków,
Jaśniał w sercu i w modlitwie.
Dziś, otoczony drużbą godową,
Staję wśród Krakusa grodu,
Pragnąc otrzymać dłoń tę, królowo,
W któréj wielkość jest narodu.
Ty się odwracasz, drżysz trwogą zdjęta...
Litość miéj nad dawnym wrogiem;
Jam twoim jeńcem... zdejm ze mnie pęta,
Mym aniołem bądź i bogiem!

JADWIGA, podnosząc go.

Co mówisz, książe! Bóg nasz obrońca!
K'niemu serce zwróć i oczy
Jako kwiat wątły do blasku słońca...
On jasnością cię otoczy!
Na ziemi Piastów gość nie jest jeńcem;
Witam cię jak siostra brata,
Lecz moim mężem i oblubieńcem
Ten kto zna Wszechstwórcę świata!

CHÓR.

Przestań być jeńcem
Ludzkości wroga;
Bądź oblubieńcem
Prawego Boga!

JAGIEŁŁO.

O Jadwigo, w twojém niebie
Lśni nademną duch zbawienia;
Bo ten Bóg co stworzył ciebie
Sam jest godzien uwielbienia!
Z moich zwycięztw drogim plonem
Ścieląc się do twoich stóp,
Zchylę skroń przed jego tronem,
Z Wiarą przyjmę chrzest i ślub!

CHÓR.

Z Wiarą przyjm narodu ślub!

JADWIGA.
(Razem.)

O Wilhelmie, ty mój luby,
Ciebie czy zapomnieć muszę?
Zerwać te ojcowskie śluby,
Wszystkie życia znieść katusze?
Lecz gdy Bóg sam cierpiał tyle,
Czémże troski, serca blizny?
Ach! poświęcam szczęścia chwile
Dla zbawienia i Ojczyny!

JAGIEŁŁO.

O Jadwigo, kwiecie luby,
Chrzest dla ciebie przyjąć muszę,
Zerwać te dozgonne śluby,
Może piekieł znieść katusze!
Lecz gdy zwycięztw czeka tyle,
Niczém troski, niczém blizny;
Ach! poświęcam życia chwile
Dla Jadwigi, dla Ojczyzny!

KRYSTYN.

O nie wróci już twój luby,
Na twe łzy ja patrzeć muszę;
A gdy spełnisz wieczne śluby,
Pożegnania znieść katusze!
Lecz gdy Bóg sam cierpiał tyle,
Czémże troski, serca blizny?
Ach! poświęcam drogie chwile
Dla najdroższéj nam Ojczyzny!

JAGIEŁŁO I KRYSTYN Z CHÓREM.

W jéj oczach skra zachwytu,
Zwycięztwem płonie skroń;
Wiedź nas do chwały szczytu,
I przyjm Jagiełły dłoń!
Twa miłość matką cudów;
Choć Niemen dzieli nas,
Dla mężnych serc i ludów
Braterstwa nadszedł czas!

JADWIGA, z ofiarą.

Jagiełło, jestem twoją!

JAGIEŁŁO.

Ach, co za błoga wieść!
Pierś drży pod twardą zbroją,
Nie może szczęścia znieść!
Jadwigo, dziś, w kościele,
Pod klątwą boskich kar,
Ruś, Litwę z tobą dzielę,
Za krzyż, twój ślubny dar!
Otwórzcie więc podwoje
Gdzie Bóg sam Bogiem jest;
Niech nas i ludów dwoje
Zbawienia złączy chrzest!

CHÓR LUDU, w kościele.

Bogarodzica
Dziewica,
Bogiem sławiona, Marya!
U Twego Syna
Hospodyna,
Matko zwolona, Marya!
Ziści nam
Spust winom,
Kyrie eleison!

CHÓR KAPŁANÓW, przyjmując Jagiełłę.

Przyjm chrzest od Boga i ślubny wieniec...
Swiatło w duszy twéj błysnęło;

Niech żyje z Polską jéj oblubieniec,
Nasz Władysław król Jagiełło!
Niech potomkowie dwóch wielkich rodów,
Pod Chrystusa praw puklerzem,
Zaszczytem będą kwitnących grodów,
Jawném naszych serc przymierzem!
Błogosław, Matko, królewskiéj parze;
Ziść nam, zorzo jéj poranna,
By krzyż uświęcił Litwy ołtarze...
Kyrie eleison, hozanna!

CHÓR LUDU, w kościele.

Narodził się dlas nas Syn Boży;
W to wierzaj człowiecze zbożny,
Iż przez trud
Bóg swój lud
Odjął diabłu straży!

CHÓR RYCERZY.

Gdy naszych władców Bóg łączy dłonie
Pod skrzydłami swéj opieki,
Niech Polska z Litwą, w Piastów koronie,
Rosną w moc przez wszystkie wieki!
Za ich przykładem, Dnieprowa ziemia,
Bujny kraj płynący miodem,
Rycerską dziatwą niech się zaplemia,
Z polskim zleje się narodem!
Niech im zabłysną wśród żyznych błoni,
Jako sztandar jednéj chwały,
Rusinów Anioł z godłem Pogoni,
A nad niemi, Orzeł biały!

(Huk dział i odgłos trąb.)

CHÓR LUDU i RUSINÓW.

Ludów gody, pełne zgody,
Rusin umie czcić;
A więc szczerze, w jednéj wierze
Z wami będziem żyć.
Hospodynie, wielki w czynie,
Tobie sztandar nieść;
A my z tobą, każdą dobą,
Cześć Jagielle, cześć!

DĄBRÓWKA, ALDONA i OLGA.

(Razem.)

Bóg was łączy znakiem krzyża,
Niech wam szczęsne dni jaśnieją;
Wiara serca wasze zbliża,
Miłość ludów jest Nadzieją!

JAGIEŁŁO i JADWIGA.

Bóg nas łączy znakiem krzyża,
Niech nam błogie dni jaśnieją;
Wiara serca nasze zbliża,
Miłość ludów jest Nadzieją!

CHÓR LUDU i RUSINÓW.

Póki Dniepru szumi fala,
Na pohańca, na Moskala,
Bo to jeden wróg:
Ruś i Polszcza wiecznie razem,
Pieśnią, sercem i żelazem,
Ura! z nami Bóg!

Przysięga.

JAGIEŁŁO, z krzyżem w ręku.

« Przysięgam, w obec praw i chrześciaństwa,
Przed Ojczyzną i przed światem,
Dziś chrztem uświęcon, wyrzec się pogaństwa,
Waszym wodzem być i bratem!
O Zbawco ludów! na tę boską księgę,
Na to godło twéj ofiary,
W Urbana ręce składam tu przysięgę,
Żyć i zginąć dla twéj Wiary!

« Przysięgam lud mój złączyć z tym narodem
Dla wspólnego wyzwolenia,
By jednym z Polską Litwa szła zawodem,
W najpóźniejsze pokolenia!
Méj wiernéj Rusi, co tak silnie życzy
Z Piastów zbratać się dzierżawą,
Być jéj pawężą od moskiewskiéj dziczy,
Jednym trudem żyć i sławą!

« Przysięgam, Polsko, jak mi Wiara droga,
Jak chcę niebo mieć otwarte,
Twych granic bronić, danych ci od Boga,
Od fal Dniepru aż po Wartę!
A przekazuję to niezłomne dzieło
Mym następcom i rodzinie,
By każdy spełnił co dziś rzekł Jagiełło,
Aż ich nazwą nie zaginie!

« Przysięgam zgodę z Węgrem i Czechami,
W imie stanów i rycerstwa;
Ich krwią nasz Orzeł nigdy się nie splami,
Gdyż on godłem jest braterstwa!
Co daj nam Boże na zbawienie duszy;
A kto ludów trzech małżeństwo
Ztwierdzone krzyżem, złamie lub naruszy,
Temu hańba i przekleństwo! »

CHÓR OGÓLNY.

Co daj nam Boże na zbawienie duszy;
A kto ludów trzech małżenstwo
Ztwierdzone krzyżem, złamie lub naruszy,
Temu hańba i przekleństwo!

CZĘŚĆ TRZECIA.

UNIA LUBELSKA.

DĄDRÓWKA, ALDONA, OLGA, GŁOSY Z NIEBA, GŁOSY Z OTCHŁANI.

DĄBRÓWKA.

Jakaż cudna jutrznia świta
W zorzy szczęścia i swobody?
To Jadwigi duch nas wita,
To jéj ślubu Złote gody.

Pokój wam, ojczyste cienie
Córy Piastów i Jagiełły;
Wasze wieńce i pierścienie
Świeżym blaskiem dziś błysnęły!

GŁOSY Z NIEBA.

Ślubne wieńce i pierścienie
Świeżym blaskiem dziś błysnęły!

ALDONA.

Mocą duszy, nie oręża,
Polska, Słowian ta strażnica,
Sercem braci swych zwycięża,
Wdziękiem chwały swéj zachwyca!
Ciesz się myślą twéj Aldony
Wielki duchu Kazimierza;
I niech będzie pochwalony
Ten potrójny zbór przymierza!

GŁOSY Z NIEBA.

Niechaj będzie pochwalony
Ten potrójny zbór przymierza!

OLGA.

Siostry, w imie waszych matek,
W imie Rusi méj rodzicy,
Złotych kłosów plenny datek
Szle wam Dniepr nasz jasnolicy.
Świeć, Jadwigo, nad hromadą
Ziem podolskich i Kijowa;
Serca bratnią łącz biesiadą,
I niech Polszczę Bóg zachowa!

GŁOSY Z NIEBA.

Bratnią łączcie się biesiadą,
I niech Polskę Bóg zachowa!

(znikają.)

CHÓR POTĘPIEŃCÓW, zbiegając się.

Złowrogi dzień!
Do zemsty czas!
Jadwigi cień
Zwycięża nas!
My stłumim śpiew
Piorunem zdrad,
Tchnąc w polską krew
Zawiści jad!
By w późnych dniach
Dziś pełen sił,
Zgnębiony Lach
Łzy własne pił;
By słyszał brat
Swych braci jęk,
Zgrzytanie krat
I kajdan brzęk!
Złowrogi dzień!
Do zemsty czas!
Jadwigi cień
Wypłasza nas!

(uchodzą.)

***

W Lublinie. — Pomnik Unii, ozdobiony chorągwiami i herbami ludowemi.

ZYGMUNT-AUGUST, CHÓR RYCERZY, CHÓR KAPŁANÓW, CHÓR LUDU; nad niemi JADWIGA, DĄBROWKA, ALDONA i OLGA.

ZYGMUNT-AUGUST.

« Was Polaków i Litwinów,
Gdy nam Bóg te gody sprawia,
Was Pomorzan i Rusinów,
Zygmunt-August dziś pozdrawia.
Wy, trzech siostrzyc wierne dzieci,
Moc w jedności niespożyta;
Jedno słońce w niebie świeci,
Jedna Polska niech zakwita!

« Dwieście lat już blisko liczym
Jak Bóg spoił trzy narody,
Przeciw hordom niewolniczym,
Węzłem światła i swobody.
Téj przeszłości, Bogu chwała,
Jagiellonów ród nie zmniejsza;
Gdyż po każdym z nas powstała
Polska większa i silniejsza!

« Wielbią dzieła jéj prawnuki,
Zniknął mrok przed prawdy świtem;
Polska, krzewiąc szczep nauki,
Ludów stała się zaszczytem!
Matka trzech potężnych braci
Duchem swym ich pierś ogrzewa;
Miłość ich miłością płaci,
Męztwem wrogów swych zdumiewa!

« Lublin świadkiem dziś jéj czynów;
Światu ztąd ogłosi sława
Równość wszystkich Polski synów
W obec Boga, w obec prawa!
Litwo! W Unii współzbawienie!
Przysiąż sercem i żelazem,
Na Barbary święte cienie,
Z Polską żyć, lub zginąć razem!

CHÓR.

W Unii nasze współzbawienie!
Ślubujem ci tym wyrazem
Na Barbary święte cienie,
Razem żyć, lub zginąć razem!

JADWIGA, DĄBRÓWKA, ALDONA I OLGA.

Więc spełnione nasze dzieło;
Matko Boska, tobie cześć!
Odżył w synie swym Jagiełło:
Nieśmy Bogu dobrą wieść.

(odlatują.)

ZYGMUNT-AUGUST, wznosząc sztandar Unii.

Lubelską Unię, dziś, pod jéj sztandarem,
Król wasz i ojciec w grodzie tym ogłasza :
Ruś, Polska, Litwa, z miast i siół obszarem,
To nierozdzielna jest Ojczyzna nasza!
Od dziś więc z nami, aż po dni ostatnie,
W przygodzie, w szczęściu, drogą łez i chwały;
Niech z krzyżem wioną trzy znamiona bratnie :
Archanioł, Pogoń, i nasz Orzeł biały!

(Chorągwie się łączą; ludy rzucają się w bratnie objęcia.)

MODLITWA

WEDŁUG PIEŚNI ŚWIĘTEGO WOJCIECHA.

CHÓR OGÓLNY.

Bogarodzico, matko nieskalana,
Oto dziś przed twoim tronem
Trzy ludy w jednym, zgodnie gnąc kolana,
Darzą cię swéj chwały plonem!
Przyjm te proporce, z wieńcem stu wawrzynów;
Niech się blaskiem twym okryją,
Błogosław śluby twych rycerzy synów :
Zdrowaś, pełna łask Maryo!

Ty co Piastową świecisz nam koroną,
Z boskim Wiary twéj zwiastunem
Spraw, byśmy dla niéj stali się obroną,
A dla wrogów twych piorunem!
Wśród naszych grodów, naszych pól przestworza,
« *Wolni niech dla wolnych żyją!* »,
Niech twéj miłości nam jaśnieje zorza :
Zdrowaś, pełna łask Maryo!

A gdy za nasze i za ojców grzechy,
Zjawią się tak straszne lata
Że krwią przesiąknie próg rodzinnéj strzechy,
I że brat nie pozna brata,
O! zeszlij z nieba zastęp twych aniołów;
Z nami matki grób odbiją,
Zwycięzki Orzeł wstanie z jéj popiołów,
Głosząc tobie cześć, Maryo!

Ziści nam
Spust winom,
Kyrie eleison, hozanna!

KRÓLEWSKIE GODY

NA DZIEŃ ŚWIĘTÉJ CECYLJI

PODŁUG DRYDEN'A *ALEXANDER'S FEAST*

(MUZYKA J. F. HŒNDEL'A.)

I.

W królewskich godach, dzień Darjusza klęski,
Obchodził Grek zwycięzki.
W orszaku zbrojnych sług
Filipa syn, jak bóg,
Siadł na wszechwładnym tronie.
Do koła ścian, rycerzy kwiat;
Zpleciony z mirtem laur im wieńczy skronie :
Tak zbawców swych nagradza świat.
Przy nim Taida, jego branka;
Jak wschodnia zorza, dnia kochanka,
Rozkwita w blask dziewiczych lat.
O szczęsny król i szczęsny lud!
Miłości plon za męztwa trud!
Tymotej, w róż koronie,
Przygrywa w śpiewném gronie;
Milczących strón zbudzony duch,
Zachwyca myśl, raduje słuch,
I wznosi się w nadziemskie błonie.
Śpiew od Jowisza sięga
Co światu życie dał i ruch...
Wszechczucia taka jest potęga!
W postaci smoczéj, z mkłym promieniem gwiazd
Spłynąwszy bóg do greckich miast,
Olimpii swéj, w roskosznym śnie,
Obwija pierś, do serca lgnie,
Swój boski żar w jéj łono tchnie :
Tak wśród Hellady pól,
Miał zrodzić się wszechświata król!
Słuchaczy tłum podziwia lotny śpiew :
« Królowi bogów cześć! »
Brzmią chóry dziew;
« Królowi śpiewu cześć! »
Gra echo skał i drzew!
Z radością ducha
Król wieszcza słucha;
Podnosi doń
Łaskawą dłoń,
A między gwiazdy skroń!

II.

« Bachusa śpiewam! rzekł lutnista stary.
Lecz, otóż on! otwórzcie drzwi :
Niech trąbka dmie, niech bęben grzmi!
Oblana twarz rumieńcem,
Skroń pod bluszczowym wieńcem
Z gałązką winnych gron...
Oboje, wznieście ton :
To on! to on! to on!
Bachus wiecznie hoży, młody,
Uczył wino pić bez wody;
Winny krzew to szczęścia zdrój!
Winny liść biesiady strojem,
Żołnierz krzepi się napojem :
Po spoczynku, słodszy znój! »
Na taki śpiew, z uśmiechem dumy,
Król wszystkie dawne walki zwiódł;
Trzykroć pokonał wrogów tłumy,
Trzykroć poległych zgniótł.
Mistrz widząc jak źrenicą wściekłą,
Wyzywał niebian, świat i piekło,
Jak mściwy miecz pod ręką drżał,
Odmienił ton i zgromił szał.

III.

Wtém, złotéj lutni brzęk
W żałobny schodzi dźwięk :
Darjusza wieszcz opiewa zgon
Co pod brzemieniem zdrad,
Skoszony w kwiecie lat,
Utracił ojców tron.
W ostatnim dniu, bohater król,
Od sług i braci swych daleki,
Krwią zlany legł wśród obcych pól,
I nikt nie przymknie mu powieki!
Z pochyłą brwią, zwycięzca smętny
Rozważał ludzkiéj sławy kres;
Na tyle strasznych klęsk pamiętny,
Niekiedy westchnął... śmiech namiętny
Zakończył się wśród łez...
Mistrz cieszył się, że Cypru bóg
Już wstąpić miał w Marsowy próg;
Więc przejście to wyśpiewał gładko,
Gdyż litość jest miłości matką.
W pieśń lidyjską z równych miar,
Zwolna wlał roskoszy czar :
« Wojna, rzekł, to płód niezgody,
Honor, wątła bańka wody;
Wojna tchnie zabójstwem braci,
Wiecznie trwa i niszczy wszędzie;
Czyli świat za wojnę płaci,
Powie ten kto świat posiędzie!
Milsze są Taidy wdzięki :
Przyjm ten dar z Jowisza ręki! »
Aż w niebo wre poklasków grzmiący chór :
« Zwycięża Cyprys, wieszcz rozsądził spór! »
Król, rad odegnać rój niemiłych snów,
W niemym zachwycie,
Wzdycha doń skrycie,
Spogląda, wzdycha i spogląda znów;
Nareszcie, zmysłem gdy już duch nie włada,
Zwycięzkie czoło na jéj piersi składa.

IV.

Uderzmy w złotéj gęśli włos,
Rozdźwięczmy ją w nawalnéj burzy głos;
Niech bitwy zgiełk napełni dom,
Niech zbudzi go jak stu piorunów grom!
Patrz, patrz! na straszny dźwięk
On, jakby rzucał grób,
Powstaje, oczy w słup,
I w piersi drga stłumiony jęk!
« Mścij się za nas! Tymotej woła :
Patrz! jędze tam dokoła
Szaleją; z gniewnych rąk,
Splot wężów syczy w krąg!
Patrz jak się tlą iskrzące czoła!
Tu ćmy piekielnych mar
Z pochodni trzęsą żar :
To cienie Greków zbiegłe z fal Erebu,
Zabitych bez pogrzebu
Za ciebie i za kraj! »
Okrzyki grzmią ku niebu :
« Ty dziś nam zemstę daj!
Patrz! głownie ich z płomieniem leją krew,
Wskazują ci siedliska wrogów,
Ołtarze lśniące nam zawistnych bogów! »
Wodzowie klaszczą na mistrzowski śpiew
Król zrywa świecznik, chwyta miecz i zbroję :
Z nim Taida w lot
Ognisty ciska grot,
I wśród Heleny cór zapala drugą Troję!

V.

W dalekich dniach,
Nim wstąpił dzwon w świątyni dach,
Nim organ dał jéj duszę,
Tak niegdyś wieszcz Tymotej
Przy dźwięku lutni złotéj
Rozniecał w sercu roskosz lub katusze.
Nareszcie się Cecylja zjawia;
Z natchnienia swych anielskich cnót,
Zarysy rytmu już wznioślejsze stawia :
Wyzwala śpiew z pierwotnéj cieśni,
I składa wzór nabożnych pieśni
Z przyrody wiecznych praw i sił nieznanych wprzód.
Z jednego więc rozdzielić trzeba
Na dwoje naszą cześć;
Ten bogów śmie przyzywać z nieba,
Ta nas do Boga wznieść!

ŚMIERĆ UGOLINA

POCZĄTEK XXXIII PIEŚNI BOSKIÉJ KOMEDYI DANTA.

(MUZYKA KAJ. DONIZETTEGO.)

Odjąwszy szczęki od ohydnéj strawy,
I ocierając je zlepionym włosem
Strupiałéj czaszki, rzekł ów upiór krwawy :

Ty chcesz, litując się nad moim losem,
Bym wznowił srogie śmierci méj męczarnie,
Chcesz być, wśród żywych, skargi méj odgłosem!

Lecz, jeśli w słowach, jak w zatrutém ziarnie,
Jest wstyd dla zdrajcy z tą strzaskaną szyją,
Wysłuchaj wszystko... zgroza cię ogarnie.

Nie wiem kto jesteś, ni za sprawą czyją
Zaszedłeś do nas; lecz tém brzmieniem słyną
Florencyi dzieci, co dla śpiewu żyją.

A najprzód, jam jest hrabia Ugolino,
To arcybiskup, spólnik mój, Ruggieri;
Ten łotr był pierwszą zguby méj przyczyną,

Ztąd mszczę się nad nim. Prałat ów nieszczery
Zwiódł mię przyjaźnią, wśród rodziny zchwytał,
I w turmę wrzucił, mię i synów cztery.

Tu są ich kości... gdyby kto zapytał
Czy mi ta dzika zemsta się należy,
Niech wie, a będzie wnet zębami zgrzytał.

Precz ciasny otwór, w téj sokoléj wieży
Odemnie dziś przezwanéj wieżą głodu,
A gdzie dla wielu znajdzie się grób świeży,

Dzień w dzień widziałem od naszego wchodu
Miesięcy sporo; kiedy sen złowrogi
Objawił mi mój los i mego rodu.

Marzyłem, że mój pan i władca srogi
Szczuł wilka z czworgiem wilcząt, na téj górze
Co Lukki gród zasłania nam w pół drogi.

Za złają gończych o wychudłéj skórze,
Gualandy i Lanfranki z Sysmondami,
Na czele strzelców szli w sobaczym chórze.

Po krótkiéj walce, gdy wilk z wilczętami
Uszczwane, zgadły że im zginąć trzeba,
Ich głodne wnętrza zdarły psy mordami...

Gdym ocknął się, a noc nie zeszła z nieba,
Słyszałem jak przez sen szlochały dzieci,
Na mnie się żaląc, i prosiły chleba.

O jeśli tobie z oczu łza nie zleci,
Gdy wspomnisz na to co mi serce ściska,
I sam nie jękniesz, co twój płacz roznieci?

Powstały smętne; już godzina bliska
O któréj nam rzucano chleb codzienny,
Lecz każdy wątpił... dziwne snów igrzyska!

Wtém łoskot jakiś... otwór ów promienny
Zamurowano... ja, źrenice obie
Wlepiłem w twarz ich, stojąc jak wpółsenny.

I tak ztężałem w tym kamiennym grobie,
Żem nie mogł płakać. Gdy Anzelmek mały
Rzekł do mnie : Ojcze, nie patrz tak, co tobie?

Jak zimny głaz milczałem przez dzień cały,
Bezmyślny, głuchy; aż po nocnym cieniu
Nad szczytem gór zaświtał znów dzień biały.

A że blask wątły snuł się po więzieniu,
Gdym dojrzał, patrząc w twarze te dziecięce,
Mój własny obraz w martwém ich spojrzeniu,

Z rozpaczy gryzłem do krwi własne ręce.
Synowie myśląc, że mi jeść się chciało,
Zerwali się i rzekli : W naszéj męce

To by nam, ojcze, ulgą być musiało,
Gdyby krew nasza śmierci cię wydarła;
Tyś je wykarmił, zjedz to nędzne ciało!

I głos i dusza w piersi méj zamarła:
Dwa dni tłumiłem w sobie żal uparty,
Nareszcie... ziemio, tyś się nie otwarła!

Gdy już nad nami wschodzić miał dzień czwarty,
U stóp mych Gaddo ścieląc się z niemocy:
Ach, ratuj, ojcze! wołał, o mnie wsparty,

I wkrótce skonał; drugi syn wśród nocy,
I wszyscy... piekła był ich zgon widziadłem. .
W dniach sześciu przy mnie zmarli, bez pomocy!

Pełzając ślepo, sam na trupy padłem,
Klnąc Boga z wyciem by te męki skrócił;
Głód przemógł żal mój, wściekłem się i jadłem.

To wymówiwszy, oczy w słup wywrócił
Ow potępieniec, i zębami psiemi,
Na wskróś przeżartą czaszkę znów się rzucił.

O Pizzo! hańbo téj uroczéj ziemi
Gdzie *si* współdźwięczy z jéj mieszkańców duszą,
Przeklęty ród twój między braćmi swemi!

Niech się Kapraja i Gorgona wzruszą,
Skalistym wałem zamkną bieg twéj rzeki,
Zatopią miasto, i co żyje skruszą!

ULOTNE JAMBY

« O! felice chi mai non pose il piede,
Fuori della nativa dolce terra! »

PINDEMONTE.

I.

DO HALINY.

SONET.

Kwiat mego życia wcześnie się nachyla;
Choć w młodéj piersi duch płonący mieszczę,
Już długich cierpień mię przejęły dreszcze,
I do zachodu zbliżam się co chwila.

Tak Wisła ledwo majem się umila,
Już od Północy burze grzmią złowieszcze;
Choć dla mnie wiosna nie kwitnęła jeszcze,
Już lato życia gromy swe wysila!

Krynico dźwięczna! spływaj po dolinie,
Niech potok leci na bezludne skały;
Dla ciebie słońce, jemu noc, pustynie...

On mętny niechce czernić twe kryształy:
Już nad przepaścią, pozwól mu, nim zginie,
Gasnącym nurtem szumieć twe pochwały!

Tomaszów, 1829.

II.

NA GÓRZE RIGHI.

SONET.

« Ty cierpisz! » rzekłaś, gdy nad mojém czołem
Stał cień przeszłości... o roskoszy źródło!
Choć pierwsze życia szczęście mię zawiodło,
To większe, dzielić moje łzy z aniołem!

Sam byłem z myślą, smętnych dusz żywiołem;
Przedemną potok, mych przeznaczeń godło,
W obłokach orzeł, nad alpejską jodłą,
Tam, u stóp moich! — modląc się, klęknąłem:

O Boże! tęskne moich lat ostatki,
Niech będą do jéj życia policzone;
Gdy syn wieczności, wrócę do méj matki,

Niech widzę z nieba moje sny spełnione:
I nieśmiertelne na mym grobie kwiatki,
W gwiaździstą dla niéj zwiją się koronę!

Altorf, 1830.

III.

ZŁUDZENIE.

Pamiętam... kościół, wiernych tłum, jak morze...
Nadziemski promień w twém spojrzeniu błyska;
Czy młoda rzucasz braci twych siedliska,
By żywcem stanąć tam, w anielskim zborze?

Za kraj, przy tobie, niech modlitwę złożę;
U Boga łaskę pewniéj tak uzyska...
Twa jasna postać, gdy podchodzę z bliska,
Nademną pływa, jak poranne zorze...

I cóżem winien, że twój obraz tkliwy
Gdy aż do bóstwa wznoszę me pojęcie,
Tajemna władza w méj pamięci kreśli?

Że gdy tém widmem łudzę się szczęśliwy,
Raj, wieczność, bóstwo, w uczuć mych zamęcie,
I ciebie łączę, przed oczyma myśli?

Fryburg, 1830.

IV.

JÉJ OBRAZ.

Któż na Haliny obraz się zdobędzie?
Na te piękności, ruchy te łabędzie,
Ten uśmiech, którym nęci nas, niewinna?
O gdyby wieszcz jéj miał wszechmocnym zostać,
Czy stworzy drugą jéj podobną postać?
Halina gdzież jest inna?

Nad czystym zdrojem wdzięcznie gaj szeleści;
Wpół odsłonięta zorza z nim się pieści,
Rzucając wianki złotych róż po niebie:
Gdy z twoim blaskiem gra wiosenny strumień,
Najmilszym, zorzo, wstydem się zarumień,
Piękniejszą znam od ciebie!

W niéj boska myśl odbija się wydatnie;
Jak dzieło Twórcy szczytne i ostatnie,
Jak pierwsza Ewa w pierwszym śnie Adama,
Gdy wzrok czaruje, duszę gdy zachwyca,
Gdy świat ją wielbi, młodzian czy dziewica,
O sobie nie wie sama!

Miłosne żary, co rodzinie ziemian
Raj szczęścia niosą, albo łzy naprzemian,
Jéj serca żadnym nie dosięgły ciosem;
Jéj rysy tchnące wiarą i nadzieją,
O wieczném życiu świadczą, i jaśnieją
Anielskich arf odgłosem!

Podobna duchom co je gwiazdy wieńczą,
Z prostotą dziecka łączy moc młodzieńczą,
Bijące społem z jéj świetnego czoła;
W zachwycie tylu wrażeń i mamideł,
U ramion szukam dwóch płomiennych skrzydeł,
Co spełnią w niéj anioła!

Znać że śmiertelna, po wzruszeniu wieszczém,
Po łzach tkliwości co perłowym deszczem,
Na odgłos lutni, jéj spojrzenia zroszą;
Lecz przez te ludzkie, te znikome łezki,
Jak promień tęczy, uśmiech jéj niebieski,
Nadziemską lśni roskoszą!

Jéj pierś natenczas, śnieżne jéj ramiona,
Powiewem czucia głowa wpół schylona,
Jéj włos podobny do złotego wianka,
To jak z Fidiasza twórczych rąk naczynie,
Na którém pełna róża się rozwinie
Pod pierwszą łzą poranka!

O burze! chrońcie serce jéj niewieście!
Na skrzydłach raczéj zwiędły bluszcz unieście,
Że zbyt wysoko wspinał się po niebie!
O wy, słoneczne młodych lat upały,
Wy gromy, coście w nią uderzyć miały,
Wyzywam was na siebie!

Niech stary Kronos, na jéj głosu pieśni,
Strudzony zdrzemie, i niech lata prześni,
Dni szczęsnych urnę do jéj stóp schyliwszy;
Niech potok czasu w źródle się zatrzyma,
I płodna ziemia śni pod jéj oczyma
Swój dawny wiek szczęśliwszy!

Lecz jak uchwycić jéj piękniejszą duszę?..
Nie! rzucę farby, pendzle sam pokruszę;
Lub mękę doznam, ale bez nadziei,
Pigmaliona, jeńca swych omamień:
Gdy zimny tuląc do swéj piersi kamień,
Dał życie Galatei!

Los Apellesa kończyć mi zabrania;
Bo gdy Pankasta wdzięki mu odsłania,
Zawistne oczy ich spólczucia strzegą;
Bo Prometeja żar płonący wemnie,
Co w oba serca przelał się tajemnie,
Pochłonie mię, — samego!

Drezno, 1830.

V.

PRZED JÉJ OBRAZEM.

O stokroć piękna! duszy twéj przymioty
Jaśnieją wszystkie z rysów twych obrazu;
Dziecięcy wyraz szczęścia i prostoty...
Miłości jednéj niema w nim wyrazu!
Nad roskosz samą milsza łza tęsknoty,
Czy nie zrosiła oczu twych ni razu?
O, temu święci niech zazdroszczą w niebie,
Kto pierwszy ujrzy taką łzę, u ciebie!

I jam też śpiewał, wzrokiem twym natchniony,
Choć bez nadziei, — twe czarowne wdzięki;
I jam też marzył, w blasku twéj korony,
O wieszczéj sławie, — za to miéj podzięki!
I jam też kochał... dziś mój sen skończony;
Dziś milczeć muszę, — za rozkazem ręki:
Najdroższych życia wyrzec się uniesień,
Zamienić wiosnę na przedwczesną jesień!

Pod włoskiém niebem, w pięknych sztuk dziedzinie,
Gdy twór uroczy błyśnie przed powieki,
Wszak wolno chwalić, nim ten urok spłynie?
Gdy bard wygnaniec idzie w kraj daleki,
Nim bratnie słowo znajdzie w swéj rodzinie,
Czy musi milcząc, żegnać ją na wieki?
I mię też losy w świat nieznany wiodą;
I mnie ostatnią uśmiech twój nagrodą!

Nie igraj z ogniem co w twém oku płonie,
Gdy ci nie miłe ofiar twych męczarnie,
Lub dla twéj sławy krwi rozlane tonie...
Bo któż do ciebie zbliżył się bezkarnie?
Przez ciebie rozpacz wre w niejedném łonie;
Niezgiętych jeszcze, ty zgubiłaś marnie...

Ach, pomnij na to, że twe boskie wdzięki
Masz je dla szczęścia, nie dla naszéj męki!

Znać żeś królowa, po wspaniałym chodzie;
Twe czoło z młodém już wyściga drzewem.
Tak lekkie czółno suwa się po wodzie,
Tak senne widma nikną za powiewem.
Strzeż się by niosąc winny hołd urodzie,
Oczarowani twym słowiczym śpiewem,
Gdy przed obrazem chylą skroń i serce,
Nie dali ludzie boskiéj czci pasterce!

Drezno, 1830.

VI.

NAGRODA POETY.

Gdy w młodém stu przyjaciół gronie
Z myślami myśli swe zestrzeli,
I żaru którym pierś mu płonie
Zimniejszym duchom część udzieli;
Gdy lutnia raz chwycona w rękę
Przyjaźni roskosz im obwieszcza,
Serdeczny puhar na podziękę,
Wspaniała to zapłata wieszcza!

On sławy syn i sławę stwarza,
Jéj blaskiem królów skroń obwodzi;
Czy wszystkie złoto z rąk mocarza,
Za nieśmiertelność mu nagrodzi?
On gardzi tém bożyszczem gminu,
W swobodzie szczęście swe umieszcza;
Lecz jeden swieży liść wawrzynu,
Godniejsza to zapłata wieszcza!

A gdy miłością znów natchniony,
Wieszcz ozwie się najtkliwszém pieniem;
Gdy wdzięczniéj brzmią żyjące stró ny
Anielskiéj Halki méj imieniem,
Ściśnienie rąk lub kwiat jedyny,
Co skryte czncie dlań obwieszcza:
Nad wszystkie skarby, nad wawrzyny,
Najmilsza to zapłata wieszcza!

Wrocław, 1830.

VII.

TO POLKA.

Ozdobna w strój majowy,
Nad gaj rodzinny wyższa o pół głowy,
Płodniejsza pod żelazem,
Swobody żywym stała się obrazem
Topolka.

Tak bujna i wspaniała,
Nad życie Halka wolność ukochała;
Jak tamta nad wawrzyny,
Ta głową, sercem, wyższa nad dziewczyny
To Polka!

Ta więdnie wpośród lata,
Za listkiem listek z czoła jéj oblata;
I nakształt śmierci ducha,
Bezwłosa stoi, drżąca, mdła i sucha
Topolka.

Lecz gdy wśród śnieżnéj zimy
Na licach róże, w oku raj widzimy;
Gdy lada dzień piekniejsza,
Ni żal, ni smutek wdzięków jéj nie zmniejsza:
To Polka!

Wplątany w sieć gałęzi,
W uścisku płochym bluszcz kwitnący więzi;
Jéj strumień gra miłośnie,
Wśród lubéj wrzawy stu słowików rośnie
Topolka.

Lecz pochwał gdy nie chciwa,
Prostotą piękność duszy swéj okrywa;
Przed miłym jéj młodzieńcem,
Jak zorza jasnym płoni się rumieńcem:
To Polka!

Ta wiecznie liść zielony
Z powiewną skronią gnie na wszystkie strony;
Zkąd świeży wiatr zawieje
Tam pierś nachyla, wdzięczy się i chwieje
Topolka.

Lecz gdy w miłości stała,
Swych ust jednemu tylko raz podała,
I tak niezmienna w duszy
Że przysiąg serca sama śmierć nie skruszy:
To Polka!

Ujazd, 1830.

VIII.

ŚPIEW WOJENNY

(NA NUTĘ DĄBROWSKIEGO.)

« Arma furor ministrat. »
VIRG.

Głosem ludu Bóg przemawia,
Zemsta siły daje;
Duch swobody nam się zjawia,
Polska zmartwychwstaje!
Gdy z bronia w ręku
Moskali stu położę,
Duszę przyjm, o Boże,
W mym ostatnim jęku!

Stało się! młodzieży męztwo,
Rwie zabójcze pęta;
Wrogom śmierć, a nam zwycięztwo,
Nam Ojczyzna święta!
Niech ziemia cała
Zaburzy się do szczętu,
Byle z jéj zamętu
Polska nam powstała!

Chłopki, miejcie się do kosy!
Kraj obrony wzywa;
Najpiękniejsze rodzi kłosy
Krwią oblana niwa!
Wyście niezłomni,
Naczelnik wasz jest dzielny;
On wam nieśmiertelny
Bój Racławic wspomni!

Patrzcie tam! pod znakiem krzyża
Wśród promieni słońca,
Cień Kościuszki w lot się zbliża:
Oto wasz obrońca!
Moskwę wysieczem;
Kto zginie, przy nim siędzie:
On nas bronić będzie
Archanioła mieczem!

Każda skiba polskiéj ziemi,
Grobem stu rycerzy;
Każdy pług, nim ją zaplemi,
Ojców kość uderzy!
Wolnością żyli,
Umarli dla wolności;
Któż im nie zazdrości
Jednej życia chwili!

Potępieńców tam ród z piekła,
Naszą krwią zbryzgany;
Tam pożoga, dżuma wściekła,
Caryzm i kajdany!
Bóg będzie z nami,
Przekleństwo jest u wroga;
I Rodzica-Boga
Walczy z Polakami!

Więc do broni! na co zwlekać,
Radzić z sobą marnie;
Czy nam lepiéj w domu czekać
Aż nas wróg zagarnie?
Oj biada, biada!
Nim złączy się powstanie,
Już przed nami stanie
Sybir i zagłada!

Czy niewoli rdza przeklęta
Tak upadla męże
Iż haniebne Moskwy pęta
Lżejsze niż oręże?
O, niech z wyrodków
Świat cały się nie śmieje
Żeśmy jak Pigmeje
Z krwi olbrzymich przodków!

Że tyranów wszystkich zgładzim
Trzeba nam zaprzysiądz;
Choć jednemu dziś poradzim,
Wróci gorszych tysiąc!
Bo w te straszydła,
Rodzina carów płodna;
Od pnia nieodrodna
Gałąź ta obrzydła!

Jeśli wiecznie w jéj potęgę
Przejdą wnuki Piasta,
Spalmy dziejów naszych księgę,
Nasze wsie i miasta!
Niech ruska mowa
Zastąpi język dumny;
Spalmy stare trumny,
Wieczną cześć Krakowa!

Niechaj Polski dawnéj syny
Nazwy swéj nie wiedzą;
A jeżeli z pod ruiny
Ojców grób wyśledzą,
Te krwawe szczątki
Niech dręczą ich boleśnie,
Jak zbrodniarza we śnie
Pierwszych lat pamiątki!

Wtenczas jéj uciskiem hardy
Z obcych ziem wędrowiec,
Do nas powie słowem wzgardy
Depcząc jéj grobowiec:
« Ród wasz na świecie
Dzielności wzór tak długo,
Stał się carskim sługą,
I zaginął przecie! »

Wtenczas każdy syn Warszawy
Zmieni się w mordercę;
Precz natchnienie, żądza sławy,
Złota wór, to serce!
Krew siostr i dzieci
Sprzedamy jak Tatary;
Krzyż moskiewskiéj wiary,
Nad Zygmuntem świeci!

Polsko, Polsko, tak nie będzie!
Ty męczeńska, żywa;
Dziś oświata, wolność wszędzie,
Wstań, i bądź szczęśliwa!
Jest Bóg na niebie!
Młodzieży, tobie chwała!
Oto ziemia cała
Patrzy się na ciebie!

Warszawa, 29 grudnia 1830.

IX.

DO CAREWICZA.

PRZYSIĘGA.

Gdy niewolniczą brzydząc się żałobą,
Weselne Polska znów odziała farby,
Ty, carski bracie, nic nie wziąłeś z sobą;
Nic, oprócz więźniów... to są twoje skarby!
Widziano wtenczas, na ludzkości zakał,
Jak Łukasiński szedł w moskiewskich szykach;
Słyszano wtenczas jakeś w głos zapłakał:
Czy po twéj władzy? nie... po niewolnikach!

Bo ci nad sławę, nad rycerskie roty,
Nad uśmiech cara i puharów dźwięki,
Milszemi były krwawe łzy sieroty,
Przekleństwa matek i łańcuchów brzęki!
Tak z pustyń Sahry hyena złośliwa,
Gdy błysk piorunu strzeli przez jaskinię,
Najmilszą zdobycz w paszczę swą porywa,
I zbójczym krokiem niesie ją w pustynie.

Lecz jeśli szukasz kąta na tym świecie
Gdziebyś ją ukrył przed obliczem Boga,
Napróżno szukasz... bo czy mąż, czy dziecię,
Wilhelmem Telem stanie się dla wroga!
Bo jeśli kiedy wilcze twe spojrzenie
Na moje padnie, o jak Bóg na niebie,
Na stal téj szabli, duszę i zbawienie,
Przez tysiąc śmierci przedrę się do ciebie!

Belweder, 1 stycznia 1831.

X.

DO BRONI!

WARSZAWIANKA.

Do broni! minął dzień przemocy,
Zajaśniał nam swobody raj!
Jak długo dziki syn Północy
Ciemiężyć ma ten wolny kraj?
Słyszycie tam, na waszéj roli,
Gdzie wszędzie dziś pożoga, mord,
Zabójczy krzyk tysiąca hord,
Rozpaczy jęk i płacz niewoli?
Pochwyćmy zemsty broń!
Podnieśmy zemsty śpiew!
Na koń! na koń! niech Moskwy krew
Wytoczy polska dłoń!

Do broni! czego wy tu chcecie,
Wy których gna dwugłowy kruk?
Dla kogo więzy te niesiecie,
Zerwane z rąk tatarskich sług?
Dla nas, dla ciebie, o Warszawo,
Gdzie Moskwy car był więźniem wprzód;
Dziś gnębi nas ten obcy ród,
I własną hańbi cię niesławą!
Pochwyćmy zemsty broń! i t. d.

Do broni! podli ci służalce
Panować chcą wśród naszych miast!
Wytępić lud w okropnéj walce!
Tam Moskwa dziś gdzie rządził Piast!
O wielki Boże! dzicz ta wściekła
Zbroczyła krwią modlitwy dom!
Czy z ręki twéj nie błyśnie grom
By wtrącić ją w otchłanie piekła?
Pochwyćmy zemsty broń! i t. d.

Do broni! drżyjcie, wy niegodni,
Wy coście trzéj rozdarli nas!
Już dość ucisku, klątw i zbrodni;
I dla was przyjdzie zemsty czas!
Choć Polskę wciąż trupami ściele
Tajemnych zdrad potrójny cios,
I z ziemi na Ojczyzny głos
Powstaną z prochów jéj mściciele!
Pochwyćmy zemsty broń! i t. d.

Do broni! w Moskwę gdy wejdziemy
Gdzie wiedzie nas wygnańców tór,
Ich święte kości tam znajdziemy,
I polskich cnót rycerski wzór!
Podobnie chcąc odwagą słynąć
Lub godnie zejść w ojczysty grób,
Uczyńmy wraz niezłomny ślub
Za braci zemścić się, lub zginąć!
Pochwyćmy zemsty broń! i t. d.

Do broni! droga nam Ojczyzno,
Spotęguj siłę dusz i rąk;
Wolności! twą wszechmocą żyzną,
Ogarnij cały świata krąg!
Niech z nieba zeszle nam zwycięztwo
On ojciec nasz, ludzkości Bóg;
I niech z rozpaczy skona wróg
Na tryumf twój przez nasze męztwo!
Pochwyćmy zemsty broń! i t. d.

Do broni! żyj, o Polsko święta,
Masz wieczną w sercach ludów cześć;
Daj synom wzór jak zrywać pęta,
Jak sławę twą pod nieba wznieść!
Jednością ducha i wytrwaniem
Gdy łez i krwi zatrzemy ślad,
Swobodą gdy zakwitnie świat,
Dopiero śpiewać mu przestaniem:
« Pochwyćmy zemsty broń!
Podnieśmy zemsty śpiew!
Na koń! na koń! niech Moskwy krew
Wytoczy polska dłoń! »

Praga, 15 stycznia 1831.

XI.

PRZEGLĄD ZMARŁYCH.

Z niemieckiego

(DIE NACHTPARADE.)

I.

Północ bliska... ziemia pryska,
Z ziemi wstaje dobosz-trup;
Z trzech zagonów płomień błyska...
To piechoty zmarłéj grób!
Pałki chwyta... bęben zgrzyta,
Drżą piszczele suchych rąk;
To pobudka... już wybita,
Potém apel głosi w krąg.

Znów przestaje... szumią gaje,
Echa dziwny wtórzą grzmot;
Wśród parowu zmartwychwstaje
Sto wyciętych strzelców rot.
Ta co leży bez odzieży,
Gdzie ją skrył Kremlinu śnieg:
Ta z Południa... pędem bieży,
Aż pod górnéj Wisły brzeg.

Ci co razem pod Kaukazem,
Lub w Nilowy padli muł,
Wszyscy w marsz jak za rozkazem,
Tam na Tatry ciągną wspól!
Samo-Sierra się otwiera,
Madryt, Rzym, paryzka błoń,
Wschód i Zachód tam się zbiera,
Każdy lud i każda broń!

Tuż pod jodłą, koń i siodło;
Z ziemi wstaje trębacz-trup,
Na trzech kopcach krzyża godło...
To konnicy zmarłéj grób!
Zarżał wrony w cztery strony;
Miedź ryknęła środkiem pól:
« Na koń! na koń!... » przed szwadrony
Staje szef, Italski król!

II.

Północ bliżéj... coraz chyżéj
Rój szkieletów pędzi w czwał;
Orły przodem, a poniżéj,
Kości trzask i turkot dział!
Na skorupie czaszki trupie,
W ręku grot lub ostry miecz;
Ci przez lasy w zbrojnym słupie,
Ci powietrzem lecą precz!

Tam na grobie, wódz w żałobie...
Czy ten sam co w Moskwie był?
Królów orszak ma przy sobie,
Wolny chód, prawica w tył;
Kołpak skroni ledwie chroni,
Smętny wzrok i szary strój;
O bok lewy szabla dzwoni,
Co z carami wiodła bój!

Księżyc mroczy łzawe oczy,
W siném świetle duchów ćma.
Mąż ten straszny, mąż uroczy,
Przegląd zmarłych odbyć ma...
Króle karły ruch otwarły;
Olbrzym skinął: pęka głaz,
I trzy góry się rozdarły...
Z nich trzy wojska schodzą wraz.

Znów noc głucha... każdy słucha,
W koło wodza sztab się zbiegł:
Do włoskiego króla-ducha,
Cichém tchnieniem słowo rzekł.
Tchnienie zgasło... król zdał hasło:
« Polska godłem naszych rot! —
« Polska! miljon głosów wrzasło; —
« Polska!... » w niebie wtórzy grzmot!

III.

Północ prawie... cud na jawie!
Niemym szmerem z głębi płuc,
Rozkaz dzienny swéj wyprawie
Tak oznajmia cesarz-wódz:
« Dziatwa! Zorze, czy krwi morze,
Na Kościuszki spływa grób?
To moskiewskie błyszczą noże,
To pożarów groźny słup!

« Do nich lećmy! bój rozniećmy
Tam gdzie matek jęk i mord;
Gdzie się pastwi car nad dziećmi,
Niszczy kraj tysiącem hord!
Za żywota, jak despota,
Jam wysączał Polski krew;
Ztąd po śmierci żal, zgryzota...
Za niewdzięczność, boski gniew!

« Syn w niewoli klnie swéj doli;
Mnie zamknięty nieba próg,
Póki skibą polskiéj roli,
Włada car, ludzkości wróg!
Broń jéj nieście, dział ze dwieście;
Gdyż odrodny Franków lud
Leje tylko łzy niewieście,
I zapomniał czém był wprzód!

« Za mną dzieci!... » Z wiatrem leci,
Wrą potoki zbrojnych mar;
Nad Tatrami piorun świeci...
Drży jak liść potężny car!
W ziemi kryje krwawą szyję
Moskwy szatan, czarny kruk!
Już nad carem północ bije...
Już go z tronu strąca Bóg!

Grochów, 25 stycznia 1831.

XII.

TRZY LILJE.

A znasz ty te strony, gdzie Krępak zielony
Dosięga do chmur;
Gdzie San srebrnowody, kwiecisty i młody,
Wypływa z pod gór?
Edeńskie trzy kwiaty zdobiły przed laty
Czarowny ten brzeg;
Trzy jasne dziewice : jak zorza ich lice,
Rączęta jak śnieg.

Nad Sanem jest źródło; ich kroki tam wiodło
Milczenie i cień :
Przez liście tam cudnie, zaledwie w południe,
Uśmiecha się dzień.
Trzy lilje wśród zdroju, w śnieżystym zawoju,
Kąpały się wraz ;
Najmłodsza z tych dzieci ujrzała i leci,
I leci przez las.

« Ach siostry, widzicie! ja dałabym życie
Za kwiatów tych splot ! »
I mówi i bieży, i z białéj odzieży,
Rozkryła się w lot.
Oj! losów i nieba doświadczać nie trzeba,
W poranku twych lat;
Nie wiankiem weselnym, lecz strojem śmiertelnym
Jest biały ten kwiat!

I bielsza jak one, po lilji koronę
Już sięga jéj dłoń ;
Już zrywa i ginie w bezdennéj głębinie,
Popchnięta w jéj toń!
I druga co siła za siostrę chwyciła,
Już płynie na ląd;
Nim brzegu dopędzi, jak dwoje łabędzi
Pochłania je prąd...

Została Halina; w rozpaczy przeklina
Okropny swój los;
Chce bieżyć — upada : chce wołać, — lecz biada,
Umiera jéj głos!
Nazajutrz od rana, ich matka stroskana
Szukała trzech cór;
Pasterze szukali, daleko i daléj,
Wśród lasów i gór.

Halino wołały, Halino te skały,
Halino gaj ten;
Halino wiatr niesie : lecz w górach i w lesie
Zniknęła jak sen.
Nad Sanem przy zdroju, gdzie w kwiatów zawoju
Zieleni się brzeg,
Gdzie stoi dąb wzniosły, trzy lilje wyrosły
Tak białe jak śnieg...

Widziałeś wśród Tatrów, zerwany od wiatrów
Kwiecisty ich strój?
Jak wonny deszcz kwiatków, fiołków, bławatków,
Opada na zdrój?
Tak ginie dziewica, gdy bledną jéj lica
W poranku jéj lat;
Gasnącém spojrzeniem świat żegna z westchnieniem,
Bo nie zna co świat.

Bo piękność niebianka, zabłyśnie z poranka
I kryje się już;
Jéj życiem jest chwila, jak zorzy, motyla,
Dziewicy i róż.
W tych stronach mawiano, że w górach widziano
Kochanka jéj grób;
Lecz chodzą pogłoski, że zniknął z téj wioski,
A w drugiéj wziął ślub.

Kraków, 1 stycznia 1832.

XIII.

OSTATNI MĄŻ.

Gdy z piersią krwawą i z rozpaczą w sercu,
Wygnaniec spojrzał na rodzinny kraj,
Gdy raz ostatni wzrokiem i westchnieniem
Pożegnał wszystkie skarby na tym świecie,
O Wiaro święta! tyś mu się została;
On ciebie uniósł z raju swéj młodości,
I ciebie najprzód po Ojczyznie czcił.
Gdy wszystkie gwiazdy zgasły na błękicie,
I anioł stróż ze łzami odlatywał,
Tyś była gwiazdą dla tonącéj łodzi;
Twój boski blask przyświecał jéj na niebie,
I pośród fal kierował ją na Wschód :
Jak dzieciom Izraela słup ognisty
Wskazywał drogę przez syryjski step.

Ojczyzno matko! z tobą się rozstając,
Ze wszystkiém w świecie rozstać się potrzeba.
Rodzinną cześć, dzieciństwa słodkie łzy,
Pragnienie szczęścia, miłość i nadzieję,
I tysiąckroć nad życie droższą Wiarę,
Rzuciłem wszystko w twój ziejący grób;
Jak Indyanka rzuca swe ozdoby,
Rozwiane włosy, perły i klejnoty,
I siebie żywcem, na śmiertelny stos,
Na którym płoną jéj lubego zwłoki.
Edenie boski, w którym się zrodziłem,
Gdzie mego życia tak płynęła wiosna,
Jak dziecka sen o niebie i aniołach,
Dla czego wiecznie ściga mię twój cień,
Jeżeli tęsknić mam za tobą wiecznie?
Edenie boski, w którym się zrodziłem,
Gdzie w matce ziemi, matki proch spoczywa,
Czym już na zawsze z chwały twéj wygnany?

Szczęśliwi ci co nigdy nie wątpili!
I ja marzyłem o swobodzie ludów,

I ja marzyłem o aniele stróżu,
I ja marzyłem o nadziemskim świecie!
Dziewicza myśl tak łatwo wznosi się
W pogodne niebo, tak jak ona sama!
Nie znając ludzi, jam nie wierzył w zbrodnię.
Gdy w méj dąbrowie, nad zielony las,
Wieczorne słońce już się nachylało,
I w koło słońca krąg ognisty chmur,
Jak w koło Boga dusz promienny chór,
Barwami tęczy wdzięcznie się pozłacał,
Milczenie było w niebie i na ziemi;
I tylko w woni ziół, w szemraniu wód,
Świat senny modlił się do Boga twórcy;
Gdy stare dęby wśród głębokiéj ciszy
Zdawały czekać, aż się zjawi cud;
Przyroda cała stała się świątynią,
I stopy bóstwa z gwiazd uroczym brzaskiem
Spływały niewidome na ołtarze:
Ach, wtenczas! wtenczas z tą wszechświata duszą,
Jam duszę mą jednoczył! brzmiący śpiew
Wyrywał się z mych ust. O, ileż razy
W połowie pieśni sen mię ukołysał,
Marzenie me kończyłem jeszcze we śnie;
A gdym się zbudził na słowika głos,
Już księżyc lśnił na samym nieba szczycie!...

O słodkie dni! o słodsze jeszcze noce!
Pamiątka wasza wiecznie tu zostanie
Wyryta w sercu mém; i jakibądź
Wycierpieć muszę los, wy rozlejecie
Czarowny wdzięk na me posępne dni:
Jak nieśmiertelny kwiat, złocistym wieńcem
Zdobiący dziecka już zarosły grób.
Winieniem wam jedyne chwile szczęścia,
Jedyne i ostatnie w mojém życiu.
W skalaném sercu mém powątpiewaniem
Już mieszkać nie chce zagniewany Bóg,
W niém ziemska miłość nigdy nie płonęła;
Świątynia ducha bez ołtarzy stoi:
I już wygnaniec modlić się nie może!

. . . .

Tak wdziękiem sztuk jaśnieje dumny gmach,
Gdzie Michał-Anioł i Rafael boski
Twórczego pendzla ślad nam zostawili;
A złoty krzyż zdobiący wzniosły szczyt,
Rannego słońca wieńczy się promieniem;
Aż z pod kopuły jeden głaz wylata,
Sklepienia klucz: i kościół ów wspaniały,
Co pieścił wzrok i duszę rozprzestrzeniał,
Rozpada się i znika jak widzenie...
Lecz biada temu kto poruszył głaz!

. . . .

I jak się modlić gdy narody giną,
Dżyngiskan z czaszek ich buduje góry,
I miasta wielkie wzmacnia ich kościami?
Gdy w oczach świata bez pamięci, car
Zwycięzca, depcze grób zwyciężonego,
I bluźni w swém bezbożném, dzikiém sercu:
« I cóż mu z tego, że on wierzył w Boga? »
Gdy podłość jest na tronie, cnota w więzach,
I pokolenia dzieci schną w kolebce?
Gdy wszystkie ludy leją krew i łzy,
Do nieba wznoszą dłonie i łańcuchy,
I pokazując mu rozdarte wnętrza,
Wołają wciąż ratunku i słuszności:
A tylko zbrodnię zwykł uświęcać los!
Ach! gdybym z braci sam był nieszczęśliwym,
Słuszności boska! składałbym ci hołd;
Lecz w czémże grzeszne dziecię to niewinne
Przy piersi matki, ta dziewica drżąca,
Żołdaka niecnym już splamiona wzrokiem?
Ojczyzno ty najświętsza! gdybym mógł
Cierpienia twe męczeńskie wziąść na siebie,
I przyjąć w pierś tysiące srogich ran
Zadanych ci od bratobójczych rąk,
O z jaką wtenczas umarłbym roskoszą!

Widziałem jak ostatni wolni męże,
Strudziwszy dłoń i wyszczerbiwszy miecz,
Szlachetnéj krwi ostatek przelewali.
Nadludzki przy skonaniu szczęścia blask,
Rozświecał wzrok i zdobił mężką twarz.
Mówili swym żołnierzom: « Jeśli Bóg
Nad światem czuwa, nie opuści nas,
I da nam jeszcze wolność i Ojczyznę!
My wskrzesim ją! » Mówili, bo wierzyli;
Bo prędzéj duszy, raju by się zrzekli,
Niż dawnéj wiary w ludzkość i swobodę.
Żołnierze zaś konając: « Nasza śmierć,
Nieśmiertelnością kraj nasz niech obdarzy! »
Z pomiędzy nich zostało się niewielu;
Ci nie chcąc przeżyć braci i Ojczyzny,
Do kropli krwi przysięgli toczyć bój.
I długo po nich Białowiejski las
Powtarzał śpiew wojenny legionów,
Wolności głos i huk moskiewskich dział.
Choć zastęp ich zcieśniała każda noc,
I każdy dzień wschodzący pośród dębów
Oświecał grób nowego wojownika,
Co dzień, co noc, ich męztwo się wzmagało.
Upadłych braci duch przechodził w tych
Co pozostali; siłę ich podwajał
I wiecznéj zemsty żar przelewał w serca.
Pozostał się z nich Jeden. W Jednym tym
Ojczyzna cała żyła; on zaś wierzył,
I czekał walcząc na zbawienie jéj.
W nim było tysiąc dusz, on też był silnym
Jak całe wojsko. Nieraz go widziano
Jak rzucał się w obozy nieprzyjaciół;
I drogę mu torował jasny miecz,
I potém jako duch zapadał w las.
Moskalom zbójcom widzieć się zdawało
Cień Chodkiewicza; tam Pułaskich braci
Powstałych z grobu, lub anioła śmierci,
Zbrojnego mieczem, którym o północy
Sennacheryba śpiący lud wytępił.

Burzliwa noc widziała go sennego
Pod starym dębem téj litewskiéj puszczy,
Otoczonego w krąg morderczą zgrają.
Gdy zbudził się i poznał bliski zgon,

I zniknął miecz, skradziony przez Moskala,
Ramieniem swém otoczył bratni dąb,
I w uściśnieniu tém pożegnał kraj :
« Uderzcie! mówił; lecz pociski wasze,
Méj nieśmiertelnéj duszy nie zabiją! »
Moskale wściekli własném mu żelazem
Przybili pierś do skrwawionego drzewa,
Wzrosłego nad nim jak zbawienia krzyż.
I dotąd wznosząc rękę swą ku niebu,
Zbielały szkielet stoi bez pogrzebu;
A stado kruków krąży nad nim wciąż...
Tak zginąć miał ostatni wolny mąż.

Paryż, 1832.

XIV.

REN I ŻYCIE.

POWIEŚĆ.

Stokroć mówiono : « Życie jest to rzeka,
Co po dniu burzy w morską toń ucieka. »
Choć ta powiastka liczne ma dowody,
Tyś sprawdził treść jéj, Renie srebrnowody.
Jak hoże dziecię, kwiat rodzinnéj niwy,
Wypływasz z lawin, jasny i szczęśliwy;
Liljami snute brzegów twych kobierce
Przychodnia nęcą i radują serce.
Dziewicze zdroje lot bystrzejszy biorą,
I już w Konstancyi garną się jezioro.
Wezbrany ciasném śnieżnych gór więzieniem,
Jak syn pod matki zbyt lękliwym cieniem,
Rozrywasz więzy, brzeg niezłomny bodziesz,
Masz głębsze fale i strojniejszą odzież.
Namiętny młodzian, miękkim snem gardzący,
Na próg skalisty rzucasz się pieniący,
I rozmiatając raf zwalonych gruzy,
Z łoskotem spadasz w stromy wir Szafuzy.
Silniejszym pędem zrywasz się z łożyska ;
Na szersze walki potok twój wytryska,
By stać się odtąd, wśród obronnych grodów,
Granicą wieczną bitnych dwóch narodów.
Straciwszy z oczu twéj kolebki leże,
Katedry zwiedzasz i gotyckie wieże ;
Wędrowny malarz, pod germańskiém niebem,
Odbijasz w nurtach kraj zamożny chlebem ;
Lub śniąc pod gajem, pasterz wpół niewieści,
Dziewczętom głosisz dawnych lat powieści.
Z legendą wieszczów co przez wieki słynie,
Cień turm zaklętych po twych falach płynie ;
Lecz już ich szczyty w głębie twe zapadły...
Mniéj zachwycony marzeń twych widziadły,
Jak my, pół życia gdy przeminął wątek,
Już twéj przeszłości chronisz się pamiątek,
Uczuciem gardzisz, a pożytku sięgasz,
I do przemysłu jarzma się zaprzęgasz.
Nad śpiew alpejski lub nad laur młodzieńczy,
Przenosisz grono co ci skronie wieńczy,
Zgiełk parostatku, szorstki krzyk wyśpiarzy,
Lub targ w Kolonii, z gwarem stu kramarży.
Cokolwiek daléj, o sędziwy Renie,
Jak mąż podeszły, wątłe to stworzenie,
Gdy wzrok strudzony kir starości zaćmi,
Zbłąkany tułacz, sam pomiędzy braćmi,
Nurt mętny kryjesz przed oczyma słońca ;
I wyglądając dni ztęsknionych końca,
W wieczności morzu zanim się rozpłyniesz,
Pod ziemią, Renie, chowasz się i giniesz.

Nad Renem, 1844.

XV.

MORZE I OKRĘTY.

POWIASTKA.

Walczyły floty o wszechwładzę morza.
Aż w niebo czołem pięły się zuchwale,
A dumną piersią tak tłoczyły fale
Jak gdyby żeglarz panem był przestworza.

Bóg wie na flagach jakie ćmy się kręcą !
Tu sęp dwugłowy, sowa, kruk i wrona ,
Nad wilkiem carska wdzięczy się korona,
Tu stary rogacz mitrę ma książęcą...

Wulkany morskie, srożąc się półżartem ,
Dzień w dzień ciskały kule i granaty;
A w noc, na masztach, bił się dla oświaty
Z niedźwiedziem orzeł, hardy kur z lampartem.

Wtém orkan zagrzmiał w trąby swe piekielne;
Z otwartéj głębi gromów sto zawyje :
« Kto dziś nademną, jutra nie dożyje,
Ja tu zwyciężam, jam jest nieśmiertelne ! »

Nazajutrz, słońce złoci fal odmęty ;
Tu, wieczne morze... ale gdzież okręty?...

Paryż, 1846.

XVI.

CHŁOP I SZLACHCIC

BAJKA.

W Mazowszu, siedział szlachcic na zagrodzie.
Już trzy razy dom się walił;
On dach rozebrał, aby spód ocalił,
Kłodę przybijał na kłodzie.
Wiatr wściekły powstał, giął najwyższe dęby ;
A że dom na rozcierz stoi,
Z czartami wicher po klepisku broi :
Trzeszczy mur, pękają zręby.

Cóż na to szlachcic? głową i ramiony
Wspiera swéj rudery brzemie,

Jak Atlas dźwigał na swych barkach ziemię;
Wreszcie pod nią padł zgnieciony.
Nazajutrz Bartek drzewo wiózł tym lasem,
I tak ozwał się nawiasem:
« Z dębiny staréj gdybyś miał dom nowy,
I grzęda cała, i kark byłby zdrowy. »

XVII.

DO POLSKICH DZIATEK.

NA DZIEŃ WIELKONOCNY.

SONET.

Nie wierzcie dzieci gdy wam mówią matki,
Że dni swobody niebo wam zazdrości;
Że Polska grobem sławy i wolności,
Jak te mogiły, jéj zniszczenia świadki.

Zaprawdę, dzień ten wam zwiastuje, dziatki,
Że zmartwychwstaną jéj obrońców kości;
Że duch Kościuszki co w jéj łonie gości,
Rozbudzi w ludach zwiędłych serc ostatki!

Z Chrystusem dziś odżyje męczennica;
Do tęsknéj piersi was przyciśnie jeszcze,
I wiecznym blaskiem zatlą się jéj lica.

Lecz gdy się sprawdzą klątwy te złowieszcze,
Że niema z ludem zbratać się sposobu,
Już nie zbawienia szukać nam, lecz grobu!

Kraków, 23 kwietnia 1848.

XVIII.

HIMN ZMARTWYCHWSTANIA.

(1855.)

Car Północy, dumny z mocy,
Rzekł: « Ja z Bogiem, zemną Bóg!
Gdy rozkażę, wnet mocarze
Muszą paść u moich nóg!
Niech od Wschodu do Zachodu,
Prawo ludom głosi knut;
Siejąc klęski, mój zwycięzki
Nad Europą wzniosę ród!
Hej, wy draby! Turczyn słaby
Czeka na śmiertelny cios;
W Carogrodzie, nasze łodzie
Niech Warszawy wznowią los! »

Ku zdobyczy, płowéj dziczy
Już wezbrany leci prąd;
Dżumę wlecze... gdy Bóg rzecze:
« Stój, nie pójdziesz daléj ztąd! »

Na te słowa, Francya nowa
Rzuca w nurty dwieście naw,
I za sobą, jedną dobą,
Świat zachodni wiedzie wpław!
Pan nad pany, krwią zbryzgany,
Drżąc, do boju hasło dał;
W zgiełku wojny, kosą zbrojny
Polski naród żywy wstał!

Patrz! to ona, wyzwolona,
Krzyż swéj męki bierze w dłoń!
Wy, jéj wrogi, Niemce z drogi!
Przed odżyłą chylcie skroń!
Hej, orlęta! spadły pęta!
Szczytem Tatrów lećcie wraz!
Wolność w pędzie wieść was będzie,
Z godłem: « DLA WAS I DLA NAS! »
Madżiar dzielny, himn weselny
Wznosi: « ELJEN SABADSZAG! »
Świat jak wielki, Zbawicielki
Wita pieśnią święty znak!

Bo łańcuchy, węzeł kruchy
Dla roboczych silnych rąk;
Duch swobody, zwiastun zgody,
Obszar ziemi zwiedza w krąg!
Każde słońce, na dwa końce
Żywszym dniem oblewa świat;
W dziatwie Boga niema wroga,
Brata w nim poznaje brat!
Wszystkie ludy, bez obłudy
Miłość łączy w jeden lud;
Pokój wieczny, dom bezpieczny:
To przyszłości wzniosły trud!

Przyjm, o Panie, krwi wołanie:
Słowem twém Ojczyznę zbaw!
Przez jéj życie w cnót zaszczycie,
Wznieś potęgę twoich praw!
Orzeł biały, blaskiem chwały
Niech odstraszy sępow złych;
Wsie i miasta w roli Piasta,
Niech powstaną z gruzów swych!
Więc do czynu, Polski synu!
Bóg ją wskrzesi naszą krwią:
W jéj całunie Moskwa runie,
Zmarły świat odżyje z nią!

XIX.

POWRÓT.

SONET.

Cóż to za niebo z dala tam jaśnieje?
Ach, to Karpaty! to mój kraj, rodzina!
Czy nowe życie dla mnie się zaczyna?
Czy w piersi méj rozpaczy żar nie tleje?

Już gdym powrotu stracił i nadzieję,
Gdy skroń wygnańca szron przedwczesny zgina,
Promienna szczęściem bije mi godzina...
Lecz słońce życia martwych serc nie grzeje.

Widziałem was oczyma tęsknéj duszy,
W samotnych nocach lub wojennym chrzęście,
Tam gdzie lud wolny swe kajdany kruszy;

O, nieraz w łonie mém skrwawione pięście
Przybliżyć chciały koniec méj katuszy:
Męczarnie zniosłem... a czy zniosę szczęście?

Kraków, 1 stycznia 1860.

XX.

POŻEGNANIE.

SONET.

Wy chcecie śpiewów, gdy mi serce pęka
Na widok waszych błędów i swawoli;
Gdy już zwątpiłem o szczęśliwszéj doli,
A wspólnéj w sercu wre sromoty męka!

Wy chcecie śpiewów, gdy macosza ręka
Niezgodę sieje na ojczystéj roli;
Gdy matkę naszą chyba cud wyzwoli,
Bo gdzież zbawienia wschodzi jéj jutrzenka?

Jam zbyt was kochał... duch co we mnie gości,
Śnił kwiat nadziei po męczeńskim głogu;
Jam w ziemi ojców chciał zostawić kości...

Nikt mię nie poznał na rodzinnym progu:
Za tyle cierpień ani łzy litości...
Więc idę daléj... mój spoczynek w Bogu!

Kraków, 5 kwietna 1860.

XXI.

ROZCZAROWANIE.

SONET.

Marzyłem nędzny że są serca bratnie,
Znoszące próbę czasu i cierpienia;
Jak złoto w ogniu ceny swéj nie zmienia,
Jak z mroźnych wiosen lata są dostatnie.

Marzenie boskie, dla mnie już ostatnie!
Czas w duszach wątłych czucia kwiat wyplenia;
Poznaję dziś, ja tułacz bez schronienia,
Że cierń męczeński nie rwie się bezpłatnie!

Cóż począć? z tymi co się mnie zaparli,
Jak zbieg spartański pić roskoszy czarę?
Już i natchnienie z piersi mi wydarli...

Czy nieść wygnańcom z mojéj krwi ofiarę,
Strzedz by za krajem żyli i umarli,
W nadzieję, w miłość, chcąc dochować wiarę?...

Kraków, 1 stycznia 1861 r.

XXII.

DWIE SIOSTRY.

Ty, moją Siostrą? dosyć téj potwarzy!
Za jakie ludzi lub narodów zbrodnie
Bóg to nazwisko nadał ci niegodnie,
I mię kłamaném twém braterstwem darzy?
Wzajemne krzywdy jeśli raz policzym,
Ty, pyszna w hańbie, wierna-li w złéj wierze,
Zerwałaś pierwsza dawnych lat przymierze...
Tyś dla mnie teraz niczém!

Ty, moją Siostrą?... wciąż usłużna tobie,
W przygodzie każdéj piersią cię zasłonić,
To moja miłość; twoja zaś... łzy ronić,
Jak syn Islama na Chrystusa grobie.
Mąż wielki nadszedł; słowem swém zwodniczém
Wsie, miasta, ziemie, w jednym dniu wyplenił:
O jak dzień chwały w grubą noc się zmienił!...
Tyś dla mnie teraz niczém!

Ty, moją Siostrą?... ileż lat od nocy
Gdyś ty spoczęła po trzydniowym tanie;
A ja, za ciebie rzucam się w otchłanie,
Wzywając Boga, żebrząc twéj pomocy!
W natchnieniu wszystko dałam ci dziewiczém,
Pierścionki ślubne, wieńce i zasłonę;
A ty, cierniową wciskasz mi koronę...
Tyś dla mnie teraz niczém!

Bo gdy strumieniem moja krew uderza,
Gdy żal i rozpacz łez wysącza źródło,
Ty, moja Siostro, ty jałmużnę podłą
Litośnie zbierasz, w stary hełm rycerza!
Choć jeden miecz w twém ręku wojowniczém
Zwycięztwo moje lub mój zgon stanowi,
Ty, wiarołomna, rzucasz mi grosz wdowi...
Tyś dla mnie teraz niczém!

Gdy z mą nadzieją ścieląc się ostatnią,
Szukałam Boga na zaćmioném niebie,
Wołając: « Siostro, ginę dziś dla ciebie,
Lecz moim synom daj twą pomoc bratnią! »
Los mój przed jego ważył się obliczem;
Bóg miecz Brennusa ci pokazał zdala:
Lecz próżna w przepaść mię strąciła szala...
Tyś dla mnie teraz niczém!

Ach! dawniéj!... dawniéj, niosłam ci wesoła
Co tylko mi zostawił car morderca,
Chleb, sławę, miłość... wszystko dziś, prócz serca;
Dziś przeciw światu staw bezemnie czoła!
Tyś mi przysięgła przed gościnnym zniczem
Że narodowość moja nie zaginie;
A krew mych dzieci po kościołach płynie...
Tyś dla mnie teraz niczém!

O, przestań łudzić twą litością płochą!
Kolejno zgubna mię przenosi fala
Od twych uściśnień aż do stóp Moskala;
Tyś nie jest Siostrą moją, lecz Macochą!
Iż nie wiem jeszcze, pod katowskim biczem
Lub w twych objęciach sroższe-li katusze;
Za ciebie wstydzić się i cierpieć muszę...
Lecz dla mnie jesteś niczém!

Ufajmy, bracia! jutro my swobodni;
Zbawienia zorza nam z Północy świeci:
Bogarodzica karmi już swe dzieci
Wolności mlekiem, które świat zapłodni!
Gdy się nad nami ręce jéj rozpostrą,
Gdy nowe, świętsze z nią zaczniemy życie,
Ty, na Romanów, ja na Słowian szczycie,
Znów cię powitam Siostrą!

29 Listopada 1860.

XXIII.

MIGNON

(PODŁUG GŒTHEGO.)

Znasz-li ten kraj, gdzie kwitną cytryn drzewa?
Gdzie gładki liść ich złoty plon odziewa?
Gdzie luby wiatr unosi wonie ziół?
Tam cichy mirt z wyniosłym laurem wspól;
Czy znasz ten kraj?
Ach, tam! ach, tam!
Za jeden dzień, ja ci me życie dam!

Znasz-li ten dom? na białych słupach strzecha,
Błyszcząca sień z daleka się uśmiecha;
Z niéj matki głos do ciebie woła wciąż:
« Odbiegłaś mię, a w trumnie śpi mój mąż! »
Czy znasz ten głos?
Ach, tam! ach, tam!
Zaprowadź mię, ja ci me serce dam!

Znasz-li ten szczyt na którym burze drzemią?
Gdzie czarny sęp ulata po nad ziemią?
Tam krwawy smok utaił dzieci swe...
Patrz, runął głaz, a nad nim potok wre!
Czy znasz ten szczyt?
Ach, tam! ach, tam!
Mię czeka grób; ty żyj szczęśliwy sam!

1861.

XXIV.

OSTATNI SŁOWIK.

POWIASTKA.

W złupioném gnieździe, kędy z płową dziatwą
Osiadła wschodnia kukułka,
Pozostał ptaszek: zięba ci jaskółka,
Przed latem zgadnąć nie łatwo.
Zaledwie pierzem złoci się ptaszyna
W promieniach kwietniéj jutrzenki,
Dziecięcym głosem nucić już poczyna,
I rajskie marzy piosenki.

Kukułcząt głodnych liczna już czereda
Z pasierba śmiała się codzień:
« To jakiś tułacz, z obcéj wsi przychodzień;
Idź precz! śpiew jadła nam nieda!
Wielmożne panie! raczcie się nie gniewać;
Niech tylko przeżyję wiosnę,
Natchnioną piersią ja wam będę śpiewać
Pieśni wesołe, miłosne!...

« — Co, śpiewać? komu! co się tobie nieśni!
Na co świat baśniami durzyć!
A to włóczęga! nam nie trzeba pieśni;
Idź sobie żebrać, lub służyć!
— Czy drzewa majem zaczną się odziewać.
Czy późna zagrzmi nam jesień,
We dnie i w nocy, ja wam będę śpiewać
Wróżbę nadziemskich uniesień...

« — Co za głos dziki! co za szorstkie pióra!
A won do lasa, nieuku!
To wróbel! dusić wróbla! bić go, hura!
A kuku (wrzeszczą), a kuku!
— Tęsknoty słodzić, sławą pierś ogrzewać,
Czuwać nad wami w ukryciu;
Przez całą zimę ja wam będę śpiewać:
Zostawcie tylko przy życiu...

« — To nasze gniazdo, łany te są nasze;
Na drogę masz trochę zboża:
A zasie! z wróżbą idźże sobie wasze
Na góry, lasy, bezdroża!
Idź, zkądeś przyszedł!
— Pojdę więc do nieba,
Kiedy mię świat ten odpędza;
Te dary weźcie: zboża mi nietrzeba,
Mię żal zabije, nie nędza!... »

I raz ostatni, chyląc się ku ziemi,
Zanucił pieśni wygnańców;
I raz ostatni tony słowiczemi,
Zachwycił gaju mieszkańców.

Spłonęła róża, wtórzą mu powiewy,
Wdzięczniéj się ranek uśmiecha;
Snać nigdy jeszcze tak słodkiemi śpiewy
Śpiące nie grały nam echa.

O, płacz wygnańcze z rodzinnego gniazda,
Niech śpiew ukoi cierpienie;
Nad czołem póki lśni natchnienia gwiazda,
I głosu płyną strumienie.
Bo wkrótce żwirem zajdą ci oczęta,
Obca cię trawa pogrzebie;
Bo twa piosenka ledwie tu poczęta,
Jutro zakończy się w niebie

. . . .

Wygnaniec (słowik, jak powiastka niesie)
Już nie zaśpiewał w tym niewdzięcznym lesie
Lecz na wyrodnych jego żal przed Bogiem,
Uwieńczy przyszłość, choć męczeńskim głogiem.

1862.

WSKRZESZONEGO Ś. P.

JÓZEFA PRAWDOMIRA

(HERBU PRAWDZIC.)

NOWE FRASZKI

CZYLI PRZESTROGI I KOLĘDY.

« Wiecznie Wam służę, nie służę na chwilę;
Bezpiecznie wierzcie : nie rad ja omylę. »

JAN KOCHANOWSKI : *Fraszki.*

BRACI POWSTAŃCZÉJ

z 1863-1864 roku.

KSIĘGI PIERWSZE.

« Incorrupta fides, nudaque veritas. »

HORATIUS.

« Co Prawda to nie grzech. »

*
* * *
*
*

1. *Prawda.*

Niech Prawda naga wyjdzie raz ze studni,
A w jéj źwierciedle przejrzą się obłudni.

2. *Moje godło.*

Mém godłem Wolność, a rozrywką Praca :
Szalbierstwo żadne u mnie nie popłaca.
Od lat najmłodszych, Prawda mym nałogiem
I czcią jedyną : Bóg jest Prawdy Bogiem ;
Ztąd śmiem nazywać w śpiewce téj, przechodnio,
Co święte, świętém; co zbrodnicze, zbrodnią.

3. *Odwaga i Rozwaga.*

Nad przyszłą Polską jeśli Bóg się zbłaga,
Żywotném hasłem jest ta Prawda naga
Że nad Odwagę wyższą jest Rozwaga.

4. *Dlaczego?*

Naczelną władzą Rozum jest w człowieku;
Swoboda więcéj z ducha, niż z oręża.
Nie kto najśmielszy, w tym myślącym wieku,
Lecz kto najmędrszy zwycięża.

5. *Trzy zagadki.*

Dla czego Moskal nas pokonał dumnych?
— Bo słucha Niemców podłych lecz rozumnych.
Dla czego Prusak za Moskalem chodzi?
— Bo pierwszym zbójcy jest ministrem złodziéj.
A czemu Francuz liże dłoń Moskala?
— Bo na niéj ruble świecą mu się z dala.

6. *Napoleońska przepowiednia.*

« Za lat pięćdziesiąt, ktoś powiedział gracko,
Europa z wolnéj stawszy się sołdacką,
Rzeczpospolitą będzie lub kozacką. »
Ja zaś dodaję : — « Że jak nas rozcięli,
Europą Kozak z Żydem się podzieli ;
Za życia jeszcze będziem to widzieli. »

7. *Wróżba.*

Choć nie jestem wróżką,
To powiadam szczerze :
Jak nasz wódz Kościuszko,
Francyi nic nie wierzę!
Zkąd mych sióstr serduszko
Jéj obronę bierze?

8. *Polityka współczesna.*

Moskal podły, Szwab rozumny,
My szlachetnie głupi;
Francuz chciwy, Anglik dumny,
Na nas więc się skrupi.

9. *Dzieje prawdziwe.*

Polak drasnął,
Moskal trzasnął,
Francuz zasnął,
Anglik zgasnął,
Niemiec wrzasnął,
Czart przyklasnął.

10. *ON.*

Chcesz by despota co trzy ludy zdławił,
Rzym, Francyę, Meksyk, Polskę dziś wybawił?
ON by jak Judasz na krzyż ją wyprawił,
Lub za miljony Żydom swym zastawił.

11. *Historja polska.*

Pobożne Mośki, co nam Polskę zdobią,
Wygryzły szlachtę i majątki robią.
To w naszych dziejach godném jest ohydy,
Że zagnieździły się wśród Lachów Żydy.

12. *Historja moskiewska.*

Od dzikich sępów Moskwa nieodrodna,
Pożarła Polskę, itembardziéj głodna;
A jak wilk wściekły co rozbojem płonie,
Połknąwszy Słowian, sama się pochłonie.

13. *Testament Piotra.*

Europy prawem jest testament Piotra;
Nie dziw, grzesznica musi pójść za łotra.

14. *Jezyk prawosławny.*

Katkowski język piękny, na to zgoda;
Lecz w nim brakuie Cnota i Swoboda.

15. *Śmierć i Życie.*

Niejeden dzielny w sercu, nie w rozumie;
Potrafi umrzeć, ale żyć nie umie.

16. *Pozory.*

Najczęściéj Szatan strój anioła bierze,
Jak Święta Moskwa, lub Święte-przymierze.

17. *Taida.*

Taida stara dwie zalety skupia;
Zła po francuzku, a po polsku głupia.

18. *Stare wdzięki.*

I róża szczypie, gdy na głóg przerośnie :
Jak zalotnica po straconéj wiośnie.

19. *Niestety!*

U drugich, głupce są gatunkiem wieprzy;
U nas, kto głupszy, byle pan, ten lepszy.

20. *Pobożność.*

W rodzinie, w kraju, gdzie Miłości nie ma,
Tam Wiara ślepa, i Nadzieja niema.

21. *Dewotka.*

Patrz, do ołtarza jak jéj skroń przyrasta,
Jak do modlitwy duch jéj się wytęża;
Wiesz o co Boga prosi ta niewiasta?
O śmierć trzeciego męża!

22. *Do pewnéj pani.*

Cóż ztąd, że pani cały dzień się modli,
Gdy jéj synowie są zawzięcie podli?
Przysłowie stare stwierdzasz jak na dłoni,
Że zgniłe jabłko trzyma się jabłoni.

23. *Do pewnych panów.*

Więc u was honor jest tak niskiéj ceny,
Żeście sprzedali Polskę za guldeny?
Że nad Ojczyznę milszy wam majątek,
Choć w zdradzie kraju piękny ma początek?
Lecz niczém lichwa, podłość i grabieże,
Gdy lud na szkoły dobra wam zabierze;
Niewoli naszéj wcale się nie dziwię,
Bo chcąc być wolnym, trzeba żyć uczciwie!

24. *Nowa Targowica.*

W najcięższych chwilach walki dla narodu,
W Kijowie, niegdyś Ruskich ziem stolicy,
Garść pewnych panów, mniéj pewnego rodu,
Chce wznowić bunt i zdradę Targowicy.
Patrz, jak podziemne snują się intrygi,
Przed lada zbirem gną się twarde grzbiety ;

Piotr krzywy z długim Janem na wyścigi,
Chcą pierwsi stanąć u podłości mety.

Ów chce zaskarbić względy u Moskala;
Ten radby dowieść, że wśród polskich dzieci
Bóg niecnym chwastom krzewić się dozwala,
I że nie wszystko złoto co się świeci.
Zwołują radę, jakimby sposobem
Przekonać cara, że Ruś w nim się kocha;
Że bunt warszawski stawia kraj nad grobem,
Że Moskwa dla nas tkliwa... jak macocha.

Więc już wielmożni kręcą się panowie,
Polują, tańczą, proszą na obiady,
Wieczory, ranki trawią na rozmowie
U swéj kumoszki od stulecia, zdrady.
Lecz że z podłością wciąż głupota w parze,
Magnactwo nie wie z jakiéj zacząć beczki
By się uczepić za twe nogi, carze,
Gdy się ty wiecznie chwiejesz, od wódeczki!

Aż w tém powstaje jakiś pan bogaty,
Rakuzki poseł, mędrzec i orator,
Karmazyn znany, choć nieznanéj daty;
I woła: « Niech nam żyje Imperator!...
— Niech żyje! chórem świetny tłum powtarza:
Precz z czerwonymi, wsteczność, to zbawienie!
Bóg najlepszego zesłał nam cesarza;
O honor mniejsza... nie daj rwać kieszenie! »

Gdy młodzież polska ginie pod kul gradem,
On w olimpijskim pyszni się obłoku,
I to przysłowie stwierdza swym przykładem:
« Że mętną wodę zawsze czuć w Potoku... »
Wtém jękły ściany... ofiar głos dolata...
Ten głos co nawet wnętrza skał poruszy,
Głos krwi przymarzłéj na obliczu kata,
Zaledwie trącił o wielmożne uszy!

Gdy zaś napisał dla nich, z rozrzewnieniem,
Poddańczy adres do pseudo-Ruryka,
Redaktor-poseł, jakby przed sumieniem,
Gdzieś, pod Karpaty, z dworem swym umyka.
Nie tracąc czasu, dalejże z adresem!
« Na stryk Narbutty, Ćwieki, czy Bosaki;
Nam butów trzeba... » Hańba wam z kretesem,
I niech wykrzyknie cały świat: « Łajdaki! »

25. *Dzisiejszy Kraków.*

Chcesz wiedzieć czém dziś nasz odwieczny Kraków?
Przed złotym cielcem głodny tłum żebraków;
Trup miasta z rynkiem na wielmożne trupy,
Mąż prawy rzadki, a szachrajów kupy;
Żydowski Kaźmierz był Kaźmierza błędem,
Dziś cały Kraków tchnie żydowskim swędem;
Kto nie chce duszy dziś w Krakowie zgubić,
Być musi żydem lub żydowstwo lubić.

26. *Dzisiejszy Lwów.*

Środkiem rów
Jak dla krów;
Spacer ów
Dla szczurów:
W rynku znów
Stos brudów,
Próżnych kuf,
Pijaków;
Tłum Żydów
Bezwstydów
I Niemców
Bezziemców;
Strzeż się kłów
Błędnych psów
Całusów!
Lwowskich sów,
Dzikich snów,
Rusinów
Warchołow
Grymołów;
Zwłaszcza zmów
Salonów
Sapiehów
I Szmulów.
Plotki łów
Dla paplów,
W pełni mów
Że to nów,
Zyskasz *ruf*
U gburów
Półhrabiów
Półprzechrztów,
Lampartów
Bękartów
I szołdrów.
Dzieci huf
Bez ojców,
Żon i wdów
Bez mężów,
Bankrutów
Bez butów,
Studentów
Bez centów,
Potok słów
Bez czynów,
Huk strzałów
Z antałów:
Pif, paf, puf,
Bez trupów;
Ile głów,
Tyle... łbów,
Oto Lwów,
Bywaj zdrów!

27. *Znaczenie.*

Choćbyś miał duszę
Jak Bolesław Chrobry,
Kto ma fundusze
Ten u was jest dobry
Kto zaś bogatszy,
Choć o centów kilka,
Już groźnie patrzy,
Jak ów pies na wilka

28. *Sybirska dżuma.*

Mór przy biegunie,
Bawi się z Olesiem;
Gdy Moskwa runie,
To my się podniesiem.
Nie zginiesz marnie
Dzielny mój narodzie;
Już twe męczarnie
Kończą się w swobodzie!

29. *Przekleństwo.*

Tam gdzie grasuje caryzm i powietrze,
Tam jest przękleństwo. Moskwa w puch się zetrze.

30. *Cztery proroctwa.*

(*a*) Nim Orły wrócą do Lechitów gniazda,
Utonie we krwi Czartoryskich gwiazda.
(*b*) Nim Czartoryski królem u nas będzie,
Król czartów, Szatan, Boga tron zdobędzie.
(*c*) Synowie staną na Ojczystéj roli,
Gdy Bóg od czartów Matkę nam wyzwoli.
(*d*) Gdy dwaj Stryjowie szczerze się pokłócą,
Sieroty jarzmo swéj Macochy zrzucą.

31. *Trzy przeszkody.*

Do Polski wolnéj, to mi każdy przyzna,
Przeszkodą pierwszą jest czartoryszczyzna;
Zamoyski drugą, sławny ów jenerał,
Co w strój kozacki polską młódź przebierał;
Pan Ludwik trzecią, zwiący się dyktator,
Wódz *in partibus* i ex-agitator:
Choć ten znośniejszy, bo wiem że nie złodziéj,
I nawet w boju na piechotę chodzi.
Aż nie odłączym ludzi tych od siebie,
Nieszczęsna Polska w gruzach się zagrzebie!

32. *Nasi Jenerałowie.*

Dwóch jenerałów mamy z diabléj łaski,
Zamoyski jeden, drugi Mierosławski;
Dwóch z łaski cara, Berek i Wieszatel,
A dwóch od Boga, Chłop i Obywatel.

33. *Zkąd zdrajcy.*

Obrzydłe rzeczy dzieją się na świecie!
Zwątpieniem wszakże nie grzesz, mój kolego;
I w domu bożym znajdziesz brud i śmiecie:
Czy Bóg świątynią gardzić ma dla tego?
Odkąd żyd Judasz wziął za Zbawiciela
Trzydzieści marnych groszy, czy srebrników,
Ten, kraj swój zdradza, ten zaś przyjaciela,
Ten ludzkość... mnóstwo czart ma czynowników.

Rzecz dziwna, straszna, godna twéj uwagi!
Łotr ów, bezdzietny, na powrozie zdycha,
Bo żyć w spodleniu nie miał dość odwagi;
Zkąd tyle dzieci wzięło się u licha?
Podanie głosi, że ów Iskarjota
Kał z drzewa zrzucił... otóż z téj zgnilizny
Robactwa pełnéj, lęgną się jak z błota,
Złodzieje, szpiegi, zdrajce swéj Ojczyzny.

Zjadliwy pomiot, za zrządzeniem cudu,
I w naszą z wiatrem wdarł się okolicę;
A Moskal lgnący do wszelkiego brudu,
Ukleił z niego wrzód nasz... Targowicę!
Do tego dzieła, z po za Katarzyny,
Judaszokracya wnet przykłada rękę
(Ma się rozumieć za moskiewskie czyny);
I tak wydaje kraj na rzeź i mękę...

Odtąd nie jeden pan, czy demokrata,
Co pułkownikiem pisze się,dla wróbli,
Przedaje ojca, matkę, za dukata,
Ojczyznę całą... za trzydzieści rubli.
Lecz dzięki Bogu że dziś u nas mało
Paniczów takich, z sercem wskróś rozprutém;
Bo się carowi w handlu nie udało,
I choć nas okradł, świat go zwie... bankrutem!

« Car bankrut! Aj waj! jakże to żałośnie
Poczciwe serca trwoży i zakrwawia!
O Polskę mniejsza... ona znów odrośnie... »
Tak pan Olszewski z kumem swym rozprawia.
Cóż im po kraju z nędzą i niewolą?
Po gruzach płyną krwawe łzy, jak zdroje...
Oj, ci panowie nad Ojczyznę wolą
Obiady smaczne, winka i dziewoje!

Lecz tu w Paryżu, gdzie mózg wciąż się suszy,
Pracować trzeba by nie umrzeć z nędzy;
A na cóż przecie Bóg dał ludziom uszy?
By « podsłuchiwać », Moskal da pieniędzy!
Zapewne sądzisz, że ten łotr ostatni,
Z powicia głuchy, wprzód z rozpaczy pęknie;
Szpieg ten jest tylko głuchym na jęk bratni,
Lecz wszystko słyszy, co mu złotem brzęknie.

Na ludzkiém ciele gdy wystąpią wrzody,
Jest obrzydliwie, lecz niekiedy zdrowo;
Bo z niemi chorób niszczą się zarody,
A wyleczony miewa płeć różową;
I my też bracie, kału się pozbywszy,
Co krew zarażał i nurtował kości,
Dożyjem aż się zjawi dzień szczęśliwszy,
Dzień odrodzenia, chwały i wolności!

34. *Nie dzielne kazanie.*

Car Aleksander Polskę rznie i pali,
Ksiądz Aleksander diabła z niéj wypędza;
Czy nie dość, biedna, cierpi od Moskali,
Że musi słuchać mów nie dzielnych księdza?

35. *Kanonizacya.*

« Bij się ze mną, rzekł Tyszkiewicz,
Lub bądź mnichem... » Januszkiewicz
Dał mu biblją mistrza swego,
Aptekarza Towiańskiego;

A Kowalski, sławny krawiec,
Suknię z chwostem, jak latawiec.
Dając w zamian frak wytarty...
(Z Tyszkiewiczem bo nie żarty),
Ksiądz w proroka tak się wczytał,
Że mu w głowie bzik zaświtał:
Odtąd, na mszy, co niedziela,
Z kazalnicy gromem strzela,
Brednie plecie, i przed tłumem
Ciągle bije się... z rozumem;
Odtąd, chcąc biskupem zostać
(Choć ma staréj wiedźmy postać),
Z wdów i sierot, co się zetrze,
Zdziera grosz na Święto-pietrze;
A gdy daje rozgrzeszenie,
Z boku patrzy na kieszenie:
Aż Narbutta biedna wdowa...
(O tém poźniéj będzie mowa).
Słowem, don Żuan w rewerendzie,
Był lampartem, jest i będzie.

36. *Do młodych Polek.*

Poleczki biedne, główki bez pojęcia,
Najmilszą dla was jest przybyszów zgraja;
Niejedna liczy na serduszko księcia,
A przez pomyłkę pójdzie za lokaja.

37. *Źli Ojcowie.*

Ten nie wart nazwy ojca i rycerza,
Kto babskim rządom dziatwę swą powierza;
Bo chociaż szlachcic, nie szlachetnie działa,
Rodzinę niszcząc dla roskoszy ciała.

38. *Polowanie.*

Uczciwych ludzi czart babami ściga,
I jezuicka szczeka nań intryga;
Już nie jednego wściekłe te gadziny
Wyszczuły z kraju, mienia i rodziny!

39. *Nierząd Narodowy.*

Baby rządzą nami
A księża babami;
Czart nas wszystkich mami,
Złotem i baśniami.
Kłótni co się zmieści,
Jak u dzikich zwierząt;
Bo gdzie rząd niewieści,
Tam panuje nierząd.

40. *Nierówna walka.*

Przebiegły Moskal gnębi nas przekupstwem;
A my z Moskalem czém walczymy? głupstwem.
Tą bronią nigdy wroga nie zwyciężym,
Choć nawet z ludem łącznie się wytężym;
Silniejszéj dźwigni chce dziś ta robota:
Tą dźwignią Rozum, a podporą Cnota.

41. *Dobre przysłowie.*

Zginie ten bez chyby,
Kto się radzi bab;
Z głupim pójdź na na ryby,
Wnet nałapiesz żab.

42. *Majątek.*

O.....scy czynni, M......scy bierni;
Ztąd ci tuczniejsi, tamci dziś mizerni,
Ci prawom ludzkim, ci żydowskim wierni:
Bo choć mechesy, *purim* i *koszerni.*

43. *Nierówny podział.*

Młodszemu wszystko, a starszemu nic,
To ani słusznie, ani też rozumnie;
Tam dwieście grzybów, tu samotny rydz...
Wy macie grzyby, rydz zostaje u mnie.

44. *O co idzie.*

Majątek mniejsza; lecz i wpływ na losy
Ojczyzny drogiéj, wyście mi wydarli;
Chcąc zaokrąglić źle nabyte trzosy,
Nazwisko świetne zdrojem łez zatarli;
Tak wiatr północny rwie wiosenne kłosy,
Tak żywych trują dechem swym umarli;
Tak dzicy ludzie, małp mający postać,
Zcinają drzewo, chcąc owoce dostać.

45. *Rozbrat.*

Panowie z Mośków, razem iść nam trudno,
My prostą drogą, wy chodzicie krzywą;
Czy szczera Prawda stąpa za obłudną?
Czy głóg męczeński łączy się z pokrzywą?
Krew czysto polska czy ma przejść na brudną,
Z niecnego chwastu czy wyrasta żniwo?
Więc nam najlepiéj rozejść się do koła:
Wam, gdzie majątek, nam, gdzie ludzkość woła.

46. *Kobieca zemsta.*

Gdy kto nie umie cenić ich zalety,
Czasami krwawo mszczą się złe kobiety;
A wilcza wściekłość ma mniéj twarde szczęki
Niż gniew kobiecy, za wzgardzone wdzięki.

47. *Diabeł i Dewotka.*

Chcesz wypłatać komu psotkę?
Użyj diabła i dewotkę;
Choć bez rogów i ogona,
Co ten zaczął, ta dokona.

48. *Dobrzy i źli bracia.*

Przez wyższą szlachtę, głupią lecz ambitną,
Upadła Polska, jéj wrogowie kwitną;
Przez lud i ciebie, ty lechicka młodzi,
Powstanie z grobu, i świat oswobodzi.

49. *Hotel Lambert.*

Hotel Lambert co grał zucha,
Przeniósł Polskę w sferę ducha;
Jeśli Bóg jéj łzy wysłucha,
Będzie kiedyś sprawa krucha!

50. *Forma rządu.*

Dla pasibrzucha, jaki rząd najlepszy?
— Rząd monarchiczny, do tuczenia wieprzy.
— A dla rolnika? — Tam najwięcéj żyta
Gdzie są równiny... więc rzeczpospolita.

51. *Wieczysty pokój.*

Chcesz dla ludzkości mieć wieczysty pokój?
Koronnych zbójców wprzód w kajdany okuj.

52. *Gdzie nasza nadzieja.*

W zwaleniu tronów jest nadzieja nasza,
Lecz niech i Moskal carów swych wypłasza;
Inaczéj z Niemcem że sam car skorzysta
I świat owładnie, to rzecz oczywista.
Jak syn Kartagi co na Rzym się zaciął,
Przerzućmy walkę tam, do nieprzyjaciół;
Rozniećmy pożar zemsty i wolności,
Tam, gdzie bieleją cnych pradziadów kości...
To zrozumieli bracia i wygnańce,
Porwani w jasyr, na Sybiru krańce;
Dla czego my też, dotąd jeszcze wolni,
Téj wielkiéj Prawdy pojąć by nie zdolni?

53. *Kontrasty.*

Najwyższa Mądrość, to prawdziwa Cnota;
Tu są zplecione chytrość i głupota.
To jak bicz boży nam zesłany z nieba:
Rozplątać trudno... rozciąć go potrzeba.

54. *Prawdziwe szlachectwo.*

O wolność walka gdy się raz zaczyna,
Dziedzictwem spada z ojca krwią na syna.

55. *Żydowska moralność.*

Wygnańca, brata, nam nie trzeba szczędzić;
Majątek wykpić, wyśmiać i wypędzić.

56. *Do M...ośkowiczów.*

Niekiedy róża w błocie się rozwinie,
I woń wydaje, aż ją zjedzą świnie.

57. *Salonowość.*

Gdy wyjdziesz, pani błotem cię opryska;
To salonowość zowie się paryzka.

58. *Wędrowne Polki.*

Wędrowne Polki lubią żyć rozrzutnie;
To pszczoły w kraju, a za krajem trutnie.

59. *Do biednego artysty.*

Chcesz je pozyskać? w trzos mazura utnij;
Brzęk złota dla nich milszy jak dzwięk lutni.

60. *Zabobony.*

Dla czego żydzie nie jesz wieprzowiny?
— By nie zjeść diabła, przodka méj rodziny.
— A brodę nosisz? — By przedrzeźniać kozły;
Do kóz nasz Jakób miewał smak rozwiozły.
— A lubisz czosnek? — Aj waj! gdy go czuję,
Jak Ruchła moja, pachnie i smakuje!

61. *Żyd i Przechrzta.*

Już wolę żyda z brodą i pejsami
Niż tego przechrztę, co z chytrością węża
Fałszywych pereł strojąc się wieńcami,
Nazwisko polskie hańbi lub zpienięża.

62. *Galicyanie.*

Zpolszczony Niemiec cześć powszechną budzi,
Zniemczony Polak jest ostatnim z ludzi;
A cóż gdy przylgnie do moskiewskiéj dziczy?
Już do ludzkości wcale się nie liczy;
Ci dwaj spadają, tamten się podnosi,
Najlepszy krąży na swéj własnéj osi:
Bo czy cię pan Bóg czy Jehowa spłodził,
Żyj i umieraj jakeś się urodził.

63. *Różnica.*

Wszak Prawda zawsze piękna dla młodziana
Choć w żartobliwe szaty jest odziana;
Zaś tym co Wolność liczą za swawolę,
Gdy wzrok się stępił, Prawda w oczy kole.

64. *Głos Prawdy.*

Obłudnik niechaj Prawdy wam oszczędza,
Aż was dosięgnie późny żal i nędza;
Gdy Polska tonie w krwawych łez powodzi,
Wam o majątek, o znaczenie chodzi!
Jéj sprawie służąc, lecz na wzór Judasza,
Wmawiacie w siebie że to rzecz nie wasza!
Czy wy myślicie, że wam Bóg przebaczy
Łzy biednych sierot, głodną śmierć tułaczy?
Czy może istnieć tam błogosławieństwo
Gdzie niczém bratnia miłość i krewieństwo?
Znieść takie krzywdy wcalem dziś niezdolny;
Zapomnę wszystko, kraj gdy będzie wolny.

PRZYPISEK.

65. *Do Jana.*

Ten sam szalony kto szalonym radzi,
Głupocie ludzkiéj Bóg sam nie poradzi.
Ty kochasz Prawdę, mój serdeczny Janie,
Więc ta drobnostka po mnie ci zostanie.

1864 roku.

*
* * *
*
*

KSIĘGI WTÓRE.

« Æternumque tenet per sæcula nomen. »

VIRGILIUS.

1. *Nad grobém księcia d'Harcourt.*

Gdy naród polski pod ciężarem krzyża,
Z rąk trzech złoczyńców upadł bez pomocy,
Młódź zrozpaczona biegła do Paryża,
Wskazując światu łunę krwi z Północy :
« O Francyo, witaj, ty sztandarze ludów!
To my, twe dzieci z Orła i Pogoni ;
Dla ciebie Polska nie szczędziła trudów,
Gdy szliśmy razem, dłoń w twéj bratniéj dłoni!
Patrz na te gruzy, te spalone włości...
Tysiące legły wśród okropnéj klęski;
Lecz już nam równy z prawa i miłości,
Cośmy zaczęli, skończy lud zwycięzki ! »

Na to wezwanie twych przyrodnich synów
Zaledwie wolnych z rąk zbójeckich wroga,
Czyliś odrzekła pieśnią łez i czynów?
Czyliś podniosła zemsty głos do Boga?
O! lepiéj z dziejów wydrzeć by tę kartę
I w płomień rzucić, jak ohydne brzemie,
By słowo Prawdy straszne, w niéj zawarte,
Nie spadło klątwą na twe własne plemie!
Jak nas przyjęto w tym gościnnym kraju?
Ten rzekł : « Szaleńce! » ci, żałością zdjęci,
Tułaczom nieśli grzecznie, dla zwyczaju,
Złocone słówka lub odgrzane chęci.

Ci znów raczyli, w izbach lub gazecie,
Oświadczać litość nad Ojczyzny stanem;
Moskiewskie księżne włóczą się po świecie,
A car zapija polską krew... szampanem!
Nie... to nie wszystko! wszak wynikły jeszcze
Nad te poziome, wyższe trzy postacie ;
Na samą wzmiankę wstyd obudza dreszcze...
To są markizy... krzesła ich w senacie [1]!
By sprawę ludów raz domęczyć w grobie,
Co jak Bóg wielka więc i nieśmiertelna,
Uczcili rozbój w łotrów trzech osobie...
I ma słuchaczy zgraja ta bezczelna!

Lecz wśród indyjskich tych służalców zbrodni,
Jak lubo spotkać zacną twarz człowieka...
Tak na cmentarzu, cichy blask pochodni
Grobowe głazy światłem swém obleka.
Któż z nas, o bracia! tu, na poniewierce,
Gdzie z naszéj nędzy drwią przedajne pióra,
Nie doznał tego czém jest ludzkie serce?
O, dosyć wspomnieć błogi próg d'Harcour'a!
Choć od pradziadów ma książęcy wieniec,
On jest człowiekiem... wierny nam i sławie,
Latami zgięty, walczy jak młodzieniec,
Gdyż całe życie dał najświętszéj sprawie!

1. Larochejaquelein, Morny, de Boissy i t. d.

Rzuciwszy nieraz wiejskie swe ustronie,
Gdzie cnota nęci swym cudownym czarem,
Usypia tęskny, choć w biesiady gronie,
Jak dziecię śniące pod niewieścim gwarem.
Wśród pokolenia szału, zdrad, podłości,
Po niezliczonych klęskach i zawodach,
On zda się cieniem dawnéj już przeszłości
Pokutującym na weselnych godach.
Bo nim go poznał, któżby z nas odgadnął
By tu, gdzie pozór cześć uliczną budzi,
Tak wątłém ciałem duch tak silny władnął,
By drobny starzec wyższym był od ludzi!

On obojętny wśród światowéj wrzawy...
Lecz gdy zasłyszy ciężki jęk z więzienia,
Gdy go doleci grzmiący himn Warszawy,
Młodzieńczy zapał wzrok mu rozpromienia!
Wtenczas natchniony jak nadludzką mocą,
Rzucając Moskwie gniewny cios przekleństwa,
Jak brat nam spieszy z radą i pomocą,
Jak rycerz z nami dźwiga krzyż męczeństwa!
Gdy się despoci przed caryzmem korzą,
Dla nas otwarty jego dom i ręka;
Bo Polska wolna dlań braterstwa zorzą,
Tłem przyszłéj Wiary, jak Chrystusa męka!

Za marną sławę wieszcz poświęca życie;
Dla kraju żołnierz w kwiecie lat umiera :
Król, radby stanąć na potęgi szczycie...
On kocha nędzę, on ją czynem wspiera!
Gdy pierś mu stygnie, serce już nie bije,
Konając woła naszych praw obrońca :
« Umieram, dzieci... lecz niech Polska żyje!...
Pod jéj sztandarem walczcie aż do końca!...
Za grzechy ojców znosząc krzyż tułaczy,
Wstępujcie mężnie na śmiertelne zgliszcza!
Niech was nie znęka dziki głos rozpaczy :
Narody skruszą krwawe swe bożyszcza[1].

« O polskie syny! ja wam błogosławię!
Któż wam odwagą, kto wytrwaniem sprostał?
Pociechy słowo nieście méj Warszawie... »
I kona... z nami jego duch pozostał...
Imiona wielkie świat wiecznością mierzy,
Na słupach stawia widma ich olbrzymie;
Lecz ciebie Polska w poczet swych rycerzy
Już zapisuje, w swym Krakowskim Rzymie!
O Francyo! jeśli Bóg poszczęści tobie,
Że zrzucisz całun, ty wolnością żywa,
Ze łzami rzekniesz na d'Harcour'a grobie :
« Tu wróg tyranów, tu mój syn spoczywa! »

2. *Przerwane Gody.*

Niech niedowiarek pyszni się i błądzi,
Jest Bóg nad ludźmi... tak nam głosi Wiara;
Choć sama zbrodnia dziś bezkarnie rządzi,
Grom ją dosięgnie... aż w przybytku cara!
Lecz nim ta ręka co kieruje światem
Złoczyńcę zgromi, w dzień śmiertelnéj kaźni,

1. Słowa powiedzanie przez księcia d'Harcourt w izbie parów, roku 1846, po rzezi galicyjskiéj.

Jak długo rozbój skryty pod szkarłatem
Jest celem hołdów... nawet i przyjaźni!

Ow gminny złodziéj, gdy nań sąd zapadnie,
W podziemnym lochu jęczy pod batogiem;
Lecz ów despota co półświatem władnie,
Nim Bóg go skarze, ten już jest półbogiem!
Ba, znajdzie nawet korny tłum czcicieli
Co w blask męczeński mu przybierze skronie;
Świat się sromotą chętnie z nim podzieli,
I ucałuje krwią zbroczone dłonie!

Niech dziś ta Prawda stwierdzi się przykładem.
Patrz, tam! na błogich Nicei wybrzeżach,
Trójbarwne wieńce sypią się pokładem;
Tam carskie orły na francuzkich wieżach!
Wśród tryumfalnych ark i wojsk szeregów,
Czwałuje orszak rojem gwiazd okryty;
Pancerne floty brzmią salwami z brzegów,
Witając gościa... gość to znakomity!

To on, co pastwiąc się na buntownikach,
Wlókł młodzież polską na haniebne sznury;
Co niemowlęta kazał nieść na pikach,
Lub też druzgotać o kościołów mury!
To on, co mszcząc się za przegranę Krymu,
Chce z Francyi zrobić cóś jak Moskwę drugą;
Co z prawosławiem radby wejść do Rzymu,
I Murawiewa zwie się « *wdzięcznym sługą!* »

Raz, na Północy, w turmie swéj z granitu,
Zatęsknił mocarz do włoskiego nieba,
Gdzie słońce jaśniéj świeci wśród błękitu,
Gdzie mniéj szubienic, więcéj żniw i chleba.
Że do podróży car ma duszę skłonną,
Więc już w piękniejsze się wybiera kraje;
Chce znać tę ziemię: « gdzie z cytryną wonną
Winnica kwitnie, lśnią mirtowe gaje. »

To drugi Eden, choć go czarci bronią.
Lecz car by nierad milczkiem, jak artysta,
Swe zmysły poić łąk wiosenną wonią;
Więc i carowa z chęci téj skorzysta,
Z nią i carzęta... mdłe te latorośle
Przeziębłe mrozem, słońce je pokrzepi;
Przechadzki ranne, jazdy choć na ośle,
W żywotne soki wzmogą je najlepiéj.

Więc do Sabaudyi, nad Śródziemném morzem!
Lecz któż ów młodzian... czy to wódz orszaku?
To syn Wszechwładcy, za sprawieniem Bożém;
Przez tłumy książąt, spieszy na rumaku
I prosto dąży tam, do willi, w gaju,
Gdzie narzeczona mile go powita:
Prześliczne dziewcze, kwiat duńskiego raju,
Co na carowę w zorzy lat rozkwita!

Za tron moskiewski choć rodzinę traci,
Choć wiary ojców jawnie się wyrzekła,
Tém łatwiéj zyszcze wzgląd u carskich braci,
Brylanty ślubne... niechaj tam i z piekła!

Po ślubie gody, tańce, zgiełk, wesele;
Pałace błyszczą sztucznych wód potokiem,
Świat się jak długi pod jéj stopy ściele,
Owiany tchnieniem róż, — i krwi obłokiem!

O lube szczęście, tyś udziałem wiosny!
Gdy syn przy twojéj grzeje się pochodni,
Car do swéj hordy wraca, mniéj radosny,
By rzeź uświęcić, dać zachętę zbrodni.
Żelazny pociąg przez pustynię bieży;
Pękają czaszki na warszawskim bruku...
A car wciąż woła: « Daléj, do grabieży!
Krew polskich dzieci pij, moskiewski kruku!

« Niech śmierć haniebna plemie to wytępi,
Stryk lub kajdany!... » — Bóg snem odpowiada:
« Już dosyć ofiar; drżyj, tyranie sępi,
Za ich rodziny, twéj rodzinie biada!
Przesiękły ziemię łzy niewinnych dziatek;
Po niéj szaleją zdrajce i oszusty,
Więc twój syn zginie pod przekleństwem matek,
Haniebną śmiercią szału i rozpusty! »

Zbudzony pijak, oczom swym nie wierzy...
Żałobnéj cerkwi bramy się roztwarły,
Na marach trumna... w niéj młodzieniec leży...
Car się domyślał że to syn... umarły!
On co krociami zbójcze siał wyroki,
Rwie włosy, łkając, jak zgryzoty jędza;
Lecz to niedosyć... bo te martwe zwłoki,
Moskiewska ziemia nawet je odpędza!

Parowiec niesie przez Bałtyku fale
Książęce ciało, tam, w krainę śniegów;
Sybirskie wichry burzą się zuchwale,
I bronią wstępu do rodzinnych brzegów!
A Męczennica co pod krzyżem rośnie,
Co z mieczem w piersi nowy byt zaczyna,
Za zbrodnie ojca modląc się litośnie,
Garść ziemi rzuca na carskiego syna!

3. *Do Polki wygnanki.*

Czy zwać cię kwiatem? to zbyt pospolicie,
Bo wszystkie róże zgasłyby przy tobie;
Tak pełne czarów twe młodzieńcze życie,
Tak jesteś wielką, siostro, w twéj żałobie!
Lub czy słonecznym nazwę cię promieniem?
Nad promień słońca milsza łza tęsknoty
Co się roztęcza jasném twém wejrzeniem,
Gdy w niém lśni niebo twéj dziewiczéj cnoty!

Skowronek dźwięczny wśród majowych błoni
Witając zorzę co mu rosą płaci,
Nad lubém gniazdem pieśń weselną dzwoni...
Ty łzami śpiewasz o nieszczęściu braci!
Więc archaniołem dziś już nazwę ciebie,
Co białém skrzydłem serc osłania blizny;
Lecz rajskiéj rzeszy tak jest błogo w niebie,
A twojém niebem, — zgliszcza twéj Ojczyzny...

Choć mniéj uroczą ty nie jesteś przecie...
Ty słońcem, różą, wśród rówiennic grona;

Ich promień wątły, wdzięk, znikome kwiecie,
Wygnanki piękność, cierpień jéj korona!
Tyś powabniejszą nad to wszystko razem
Co pieści wonią, co nad poziom wzrasta;
Bo duch twój bóstwa żywym jest obrazem,
Bo widna w tobie z polskiéj krwi niewiasta!

4. *Bóg i Ojczyzna* (Chorał wygnańczy).

CHÓR.

Gdy byt i wolność myśmy stracili,
Ziemię zalało krwi polskiéj morze,
Wróg nas ujarzmił, bracia zdradzili,
Bądź naszym Ojcem, Ty wielki Boże!
Ty coś męczeństwa dał nam spuściznę,
Karz nas, o Panie, lecz zbaw Ojczyznę!

Co nie zginęło na polu sławy,
W tęsknocie pędzi żywot tułaczy;
Pokarmem naszym jest piołun krwawy,
Modlitwą, straszne jęki rozpaczy...
Ty coś męczeństwa dał nam spuściznę,
Karz nas, o Panie, lecz zbaw Ojczyznę!

GŁOS.

Bez bluźnierstwa, bracia młodzi;
Mężnie znośmy krwawy trud;
W dziejach święta zorza wschodzi:
Lud olbrzymi, polski lud!
Lud młodzieńczy, dziarski, hojny,
Jak obszary złotych niw;
Czy do pracy, czy do wojny,
Wiedzie go nadziemski wpływ!

Wzniosłe serce pod siermięgą,
W dzielném łonie wrząca krew;
Pierś natchniona lwią potęgą,
A na ustach, lotny śpiew!
Bohaterskiéj Polski dziecię
Matce, sławie spłaci dług;
Jego hasło brzmi po świecie:
Cześć, Ojczyzna, Ludzkość, Bóg!

TRIO.

O Boże wielki! narodów Ojcze!
Wejrzyj na lud twój, bądź nam pociechą;
Odwróć od niego ciosy zabójcze,
Niech dzień zabłyśnie nad Piasta strzechą!
Ty coś męczeństwa dał nam spuściznę,
Karz nas, o Panie, lecz zbaw Ojczyznę!

A gdy się niebo znowu zachmurzy,
Gdy z grobu wstaną pradziadów kości,
Bądź mu sternikiem wśród czarnéj burzy,
Zeszlij anioła z gwiazdą wolności!
Ty coś męczeństwa dał nam spuściznę,
Karz nas, o Panie, lecz zbaw Ojczyznę!

CHÓR.

Powstań, powstań, Polsko dzielna:
Większa niżli byłaś wprzód;
Niezwalczona, nieśmiertelna
Zgodna, silna jak twój lud!

5. *Do Karnota.*

Członka Izby Poselskiéj.

Gdy żyjem dzisiaj w tak posępnéj dobie,
Że z nas niejeden zwątpił już o Bogu,
Gdy widzim ludy we łzach i w żałobie,
A rozbój, kradzież na cesarskim progu;
Gdy dziś bezczelność jest tyranów hasłem,
A obojętność, tłem ludzkości mętnéj,
Dopijającéj, z sercem w pół zagasłém,
Ostatnie krople hańby bez pamiętnéj,

Choć w Girardinów lub Katkowow sferze,
Tak nam okropnie, że aż duch się ścina,
Karnocie zacny! w cześć i wolność wierzę,
Gdy widzę w tobie ich prawego syna!
Wśród ludzi stanu, wskróś przejętych trwogą,
Lub zakupionych wręcz od moskiewszczyzny,
Ty stąpasz Prawdy i sumienia drogą,
Podnosząc mężnie sprawę méj Ojczyzny!

Ty chcesz by Francya, siostra jéj odwieczna,
A dziś... nieszczęsna nie ma już rodziny...
Chcesz by ta Francya, silna i bezpieczna,
Zgromiła słowem tak potworne czyny!
Lecz głos twój bratni, jak ów głos proroka,
Bolejącego nad Pergamu gminem.
Na dzwięk którego zmiękłaby opoka,
W porządku dziennym skonał... przed Holsztynem!

Kardynałowie, stróże praw, książęta,
Z budżetu płatni, nie chcą żyć w kłopocie:
Z pod praw ludzkości Polska jest wyjęta,
Więc oni milczą... płaszcząc się despocie.
Cóż ich obchodzi, że gdzieś tam, w oddali,
Krew męczenników toczy się strumieniem;
Że cały naród Moskal rwie i pali...
Przymierze z Rossyą, wieczném ich marzeniem!

« Bóg jest dla wszystkich, każdy sam dla siebie! »
To dziś ich godłem i wyznaniem wiary;
A przecież Francya silną jest w potrzebie!
Więc z potężnymi iść powinna w pary.
Ci zaś, w giełdowym tłocząc się przybytku,
Z bilansem w ręku, żalą się nieznośnie
Że wojna niszczy ludy bez użytku,
Że renta spada, a podatek rośnie!

A zatém pokój, choćby ze sromotą,
Brat zgody, szczęścia i dobrego bytu;
Ten trwały pokój, co im daje złoto,
Co do wszelkiego wiedzie ich zaszczytu...
Tymczasem Moskwa, we krwi i płomieniach,
Pijana szałem mordów i kradzieży,
Na cudzych śmiało pastwiąc się kieszeniach,
Już głosi: « Do mnie cały świat należy!

« Ten świat sędziwy, zgniłe te narody,
Testament Piotra gnie pod moje prawo;

Jak dżumę trzeba skarcić duch swobody... »
Cóż na to Francya? zbroi się Wystawą!
A wściekły Katków, coby wart być katem,
Wysącza piórem polskiéj krwi ostatki;
I wciąż powtarza przed zgłupiałym światem:
« Że każda droga wiedzie do Kamczatki!... »

Ach! dosyć hańby!... Niech co bądź się stanie
Z Europą starą gdzie już car panuje,
Spełniłeś w niéj twe święte powołanie,
Karnocie zacny, Polska ci dziękuje!
Jéj dusza jasna jak wolności słońce,
Co dziś nad światem gaśnie wśród piorunów,
Zalicza ciebie, naszych praw obrońcę,
W rząd nieśmiertelnych, godnych jéj trybunów!

6. *Bożyszcze* (l'Idole).

JAMB.
podług Augusta Barbier.

Korsarzu włoski! gdy miał wolne skrzydła,
Jak wielkim był francuzki lud!
To klacz stepowa, bystra, bez wędzidła,
Co ludzkich rąk nie znała wprzód!
Postawą piękna dziką lecz waleczną,
Na piersi ma królewską krew;
Kopytem trąca Gallję tę odwieczną,
Gdzie wszędzie brzmi marsylski śpiew!

I żadna jeszcze uzda jéj nie wiodła
Z rodzinnych pól w książęcy dwór;
Jéj grzbiet nie zbielał od obcego siodła,
Nie zhańbił jéj niewoli sznur!
Z nietkniętą grzywą buja po obszarze,
Pod słońcem lśni dziewiczy włos;
Gdy stanie dębem, drżą przed nią mocarze,
Truchleje świat gdy zarży w głos!

Zaledwieś ujrzał wdzięk i rącze zwroty,
Skradając się do silnych bark,
Centaurze groźny! aż do stóp despoty
Ugiąłeś jéj swobodny kark!
A że ochocza do wojennéj wrzawy,
Że lubi proch i bębnów grzmot,
W piorunne walki pchnąłeś, dla zabawy,
Na ziemski krąg puściłeś w lot!

Od téj już chwili nie ma dlań wytchnienia;
I w dzień i w noc pędząca w czwał,
Po biodra we krwi, depce pokolenia,
Druzgocze stos rozbitych ciał!
Przez lat piętnaście z jeźdzcem swym na grzbiecie,
Przebiega bruk zwalonych miast:
Przez lat piętnaście wciąż narody gniecie,
Tratuje lud jak polny chwast!

A gdy zdyszona i od znoju drżąca,
Żaliła się wśród obcych łąk
Że dwa półświaty w bój codzienny wtrąca,
Że morze krwi rozlała w krąg;

Gdy klękła wreszcie na Kremlowym rynku,
Opadła już z ostatnich sił,
Błagając jeźdzca choć o dzień spoczynku,
Na skargę jéj tyś głuchym był!

Rozjadłą mocniéj koląc bok ostrogą,
Nieczuły na śmiertelny jęk,
Do nowéj walki spiąłeś ją tak srogo,
Żeś wyrwał kły z obojga szczęk!
Powstała wszakże, pieniąc się z rozpaczy,
Niezdolna już wędzidła znieść;
Lecz nim poległa w łożu swém z kartaczy,
Padając, pierś ci śmiała zgnieść!

7. *Kolęda* (na rok 1866).

ON!

Póki ON będzie
Na swym urzędzie,
Niewola wszędzie;
Francya w obłędzie
Meksyk zasiędzie;
Niemcowi zrzędzie
Przy zwykłym szczędzie,
Mienia przybędzie
Jak po kolędzie;
Bismark w kurrendzie
Miecza dobędzie,
I w jednym pędzie,
Danię zdobędzie;
Austrja, przy Brendzie;
Na Włochy wsiędzie;
Madżiary, Lendzie,
W szwabskiéj arendzie;
Polska nie siędzie
W narodów rzędzie;
Sławny w legendzie
Orzeł jéj zbędzie
Skrzydła łabędzie;
Magnat w Ostendzie
Z workiem osiędzie;
Śniąc o prowendzie
Przy starym rzędzie,
Szlachcic na grzędzie
Konopie przędzie;
Chłop, we dwie piędzie
Zbiera żołędzie;
Ksiądz w rewerendzie
Pół mszy odbędzie
W ruskim obrzędzie;
Żyd kraj posiędzie
Na złotéj wędzie;
Przechrzty, za dziędzie,
W carskiéj komendzie;
Sejm Lwów obsiędzie
W sierpnia kalendzie;
Naszéj kwerendzie
Nic nie przybędzie:
Po reprymendzie
Dworskie orędzie,
Czosnek w lawendzie;

W Krakowie wszędzie
Szmul na urzędzie;
W bankach ubędzie
Na dywidendzie;
Skorupka Bendzie
Płacić nie będzie;
Przedajne sędzie,
Łotr na prebendzie,
Dewotki jędzie
Piekła narzędzie;
Przy takim swędzie,
Moskal nabędzie
W szalonym pędzie
Świata krawędzie:
Że aż w Taszkendzie
Knut się rozsiędzie!
Po téj gawędzie,
Lachu czy Wendzie,
Miéj to na względzie
Zawsze i wszędzie,
Póki ON będzie
Na swym urzędzie.

8. *ONomania.* [Napoleono-manii]

Szaleństwo takie, prawda że rozumiem;
Lecz jam nie doktor, leczyć go nie umiem.

9. *Jeszcze On!*

Żydowski bękart jest Napoleonem,
Więc nic dziwnego, że handluje tronem.
ON już od dawna stał mi w gardle kością;
Co zaczął zdradą, skończy wnet podłością.

10. *Słuszny Odwet.*

Z prostoty naszéj złość francuzka szydzi,
A teraz mędrsi od Francuzów Żydzi.

11. *W salonie księżnéj* ***

Bóg wolnym ludom pięknych cór nie szczędzi;
W służalczym rodzie, wiatr ich nie dopędzi.
Że kraj przez książąt dostał się w kajdany,
Dowodem jasnym są te koczkodany.

12. *Do W*** O****

Rozumne dziecię! żal mi ciebie bardzo;
Co dzień, co chwila, walczyć masz przed zgonem
Z głupiemi ludźmi; ci rozumem gardzą,
Bo tyś jest jeden, oni są legionem.

13. *Smutne Wyznanie.*

Nie lubię Francyi, żadna w tém nowina,
Choć to kraj słońca i dobrego wina;
Lecz ludzie małpy... spytaj się Darwina:
Że żyć w niéj muszę, to złych Polek wina.

14. *Pożegnanie.*

Któż biedną Polskę będzie czcił na świecie,
Gdy wy się sami kochać nie umiecie?
Lud i rodzina co nie kocha siebie,
W niezgodzie własnéj rychło się zagrzebie.
Przed burzą zwykle bydło się gromadzi;
Wam, roztrąconym, lada wilk poradzi...
Nie sztuka było mię wygnańca złupić,
Lecz jam nie cygan, by mię można kupić;
Z ojcowskich łanów, z tylu miast i włości,
Ni jeden zagon, na mój grób i kości...
A takie zbrodnie szpetnym są wyjątkiem
W rodzinie wyższéj cnotą niż majątkiem.
Ja zbyt was kocham bym was łudził słowem
I do was kłamstwem wdzięczył się jałowém;
Jak w Czarnolesiu stary Jan przemawiał,
Co język polski nad wszystkiemi stawiał:
« *Wiecznie wam służę, nie służę na chwilę;*
Możecie wierzyć: nie rad ja omylę. »
Ja też wam powiem Prawdę bez ogródki,
O gniewy mniejsza gdy ma dobre skutki.
Pojmuję bardzo żeście nieszczęśliwi;
Ja z wami płaczę... lecz mię to nie dziwi,
Gdyż ten jest godzien szczęścia na téj ziemi
Kto myślą, duchem, świeci nad innemi.
Wy nic nie macie, prócz namiętnéj chęci
W majątek wzrastać, żyć jak ci przeklęci
Co z obcéj szkody ciągną zysk nieprawy,
I do Paryża jeździć, na zabawy...
Wdzięczności od was ja się nie spodziewam,
Lecz nad głupotą straszną się zdumiewam;
Płacicie zdzierstwem za posługę bratnią...
Więc ta Przestroga będzie już ostatnią.

1866 roku.

*
* * *
*
*

KSIĘGI TRZECIE.

« Un lobo a otro no se muerden. »
(po polsku):
« Kruk krukowi oka nie wykłuje. »

1. *Murawiew II.*

Wśród upiorów obłoku
Na śmiertelnéj pościeli,
W nocy mglistéj pomroku,
Jakieś widmo się bieli.
Chłodnéj wzywa jutrzenki,
Pragnie zwilżyć pierś rosą;
A śmierć głucha na jęki,
Mściwą brzęczy mu kosą.
Płyną w szaréj mgły odmęcie
Groźne ćmy z łoskotem fali;
Na złowrogie ich zaklęcie,
Puszczyk budzi się w oddali...

« Umieraj!... » dzwon żałobny odpowiada
Na ostatniéj głos katuszy;
A wściekła rozpacz i szatanów stada
Szarpią wnętrze czarnéj duszy.

Lecz oto z głębi chmur powstaje zorza,
Jak litości posłannica;
Na skrzydłach śmierci, do trupiego łoża
Spływa blady cień księżyca...

Okropne widmo!... bo na tym całunie
Jakiś straszny starzec kona;
Wzrok błyszczy szałem jak w piekielnéj łunie...
Pierś rozdęta, dłoń skrwawiona,
Nabrzmiałe cielsko, ramie drży rozwarte
Jak przybite do pręgierza;
I już ztrupiało czoło to wytarte...
To był czart w powłoce zwierza!

Ach! to Murawiew, kat naszego Wilna,
Prawa ręka zbójcy cara;
Lecz dziś złamana śmiercią i bezsilna,
Jak męczeńska jéj ofiara!
Znikł siepacz Litwy, za nim wróg Warszawy
Zniknie pod przekleństwa gromem;
Lecz dotąd straszy świat ten upior krwawy,
Wiecznym dzieł zbrodniczych sromem!

On był okropnéj tuszy,
Bo krwią się poił smok;
O żądzach wściekléj duszy,
Hyeny świadczył wzrok.
Rozlany jak topielec,
Ohydną postać miał;
« Wieszaciel, nie wisielec! »
Tak się przed carem zwał.
On istnym był Mogołem;
Kark zgięty, tępy nos,
A nad zaklęsłém czołem,
Miedziany, rdzawy włos.
Myśl wolną, wolne słowo,
Zabijał starca dech;
Zwyczajną jego mową,
Był śmiech, szatański śmiech!
Lecz pod powłoką mętną,
Już od pokoleń dwóch
On stłumił serca tętno...
W nim żył zniszczenia duch!

Pierś jego wrzała gwałtem i rozbojem;
Karmił się niemowląt mlecżem:
Łzy matek, boskim były dlań napojem,
Ostry knut, galowym mieczem.
On nieśmiertelność zdjął pod szubienicą.
Zrobił z niéj caratu godło;
Niech się Moskale swym ogromem szczycą,
Nazwa ich na zawsze podłą!

Bo ludy przeklną tę krainę społem,
Ten Kaima ród bez serca,
Co Murawiewa zwie swym apostołem,
W którym rządzi nasz morderca!
Lecz stało się! godzina łez wybiła,
Trumny już przybite wieka;
Milcząca, ciemna kryje go mogiła,
Już go sąd ostatni czeka!

Jéj mistrz i kapłan stał się śmierci łupem...
W krzyż Andrzeja wystrojony,
Car aż do grobu szedł za krwawym trupem,
Jakby winien mu korony!
Chciał cóś przemówić, stanął o dwa kroki,
Usta wielkie doń otworzył,
Potrząsnął pięścią, i na martwe zwłoki
Pierwszy kamień sam położył.

A na świetnéj pohulance,
Przyjaciela, Murawiewa,
Przy kipiącéj ponczu szklance
Duszkiem carski żal zalewa.

Tam, gdzie dostojnik śpi w jodłowéj trumnie,
Chcąc zbrodnię podnieść do zasługi szczytu,
Służalce w szlifach, czerń zebrana tłumnie,
Śnią o kaplicy z bronzu lub granitu...
« I ze złota, to za mało!
Najżarliwsi wciąż wołali;
To nasz duch, to nasze ciało:
Drugi Chrystus dla Moskali!
— Nie! on był większym od samego Boga!
Obwieszcza Moskwa głosem swych biskupów;
Świątynię wznieść mu z kości świeżych wroga,
Ołtarze z czaszek, bruk z wileńskich trupów! »
Do roboty więc, do czynu!
Aby uczcić Murawiewa,
Już te ciemne tłumy gminu
Kopią zręby, walą drzewa,
Ciosają słupy w łamie skał krzemiennych;
I spieszą z niemi na cmentarne pola,
By stworzyć z ofiar męką swą promiennych
Bóżnicę z godłem: « Caryzm i Niewola! »
Drżyjcie wy, swobodne ludy!
Oto stoi kościół wschodni,
Dom szaleństwa i obłudy;
A w nim car, kapłanem zbrodni!
Jak duch oprawcy, wśród kopułek roju,
Archanioł z mieczem siadł na złotéj wieży;
A krzyż, ten symbol Prawdy i pokoju,
Ozdabia pomnik gwałtu i grabieży!

Cherubie carski, ty co stoisz w parze
Z orła dwugłowego cieniem,
Precz! godła Wiary wyższéj nad mocarze,
Nie znieważaj twém ramieniem!
Ten znak zbawienia święty zgon wyraża
Na męczeńskiéj życia drodze;
Więc do złoczyńcy grobu i ołtarza
Po skradziony krzyż przychodzę!

Szatanie skryty w rajskich cór postaci,
Tyś piekielnych kar zwiastunem;
Precz! lub w imieniu mych straconych braci,
Klątwy złamię cię piorunem!
Twój nóż katowski nic ci nie pomoże,
Ani czerń z Północy brudu;
Ja sam, bezbronny, zwalczę cię, potworze,
Jedną łzą mojego ludu!

Po za mną stąpa bratni szyk powstańców,
Matek z rozczochranym włosem,
Szeregi zmarłych więźniów i wygnańców,
Klnących cię rozpaczy głosem!
Precz! trup nad którym stoisz dziś w zachwycie
Skrzydłem wieńcząc tę świątynię,
Wziął nam nietylko wolność, dom i życie,
Lecz zamienił kraj w pustynię!

Spójrz na te płodne rzek litewskich brzegi,
Na ten wieszczy raj Adama;
Dziś, jak szarańcza tam się gnieżdżą szpiegi,
Wszędzie śmierć i zbrodnia sama!
Kraj cały wielka rana, wskróś otwarta,
Krwawą dymi się posoką;
To nasza Litwa, nasza Ruś wydarta!...
Na nich rośnie car wysoko!

Bo łatwiéj zliczyć roje gwiazd na niebie,
Niż co łez ten kat wycisnął;
Stos umęczonych piętrzy się do ciebie...
A tyś mieczem nań zabłysnął!...
Narbuttów matko, ty na wieki święta,
Wznieś piękniejszą skroń w żałobie;
Ty Litwo żyjesz, wierna i niezgięta,
A twój podły siepacz w grobie!

Co zgniotło starca, wiek czy złe sumienie?
Różnie wieść roznosi głucha;
Tysiące zbrodni, naszéj krwi strumienie,
I polskiego tryumf ducha.
Od tła smętnego tylu klęsk i trudów,
Dziś odstaje cudna postać
Przedmurza Wiary i strażniczki ludów,
Którą wróg ten miał zachłostać.

Za Suworowem pełza wśród jéj dziejów,
Aleksander krwią pijany,
I on, apostoł zbójców i złodziejów,
Te caryzmu trzy kapłany!
Nad niemi, zamiast krzyża i świątyni,
Wy, pobożni czynownicy,
Postawcie, jak na łotrów trzech jaskini,
Krwawe widmo szubienicy!

A na jéj szczycie, niechaj dłoń Katkowa,
Wszak to wierny ich przyjaciel,
Katowskim strykiem zwiąże te trzy słowa:
« Car — Suworów — i Wieszaciel! »
Obrzydła Moskwa zginie z jéj bożyszczem,
Nie spełniwszy swego dzieła;
A naszą Ruś i Litwę my odzyszczem,
Jeszcze Polska nie zginęła!

Śpij łotrze, jeśli ziemia twa spodlona,
Co sybirską dżumę pieści,
Znów cię upiorem nie wyrzuci z łona,
Z jękiem wzgardy i boleści!
Zostawmy śmierci co się jéj należy;
Jego wściekła myśl szaleństwem,
A głąb szatańskiéj duszy Bóg sam zmierzy,
I uwieńczy ją przekleństwem!

2. *Zielona muszka.*

LEGENDA.

Na tylnym progu tajnych biór Wydziału
Zwanego trzecim, przez północne kruki,
Jak kat drzemiący we drzwiach kryminału,
Naczelnik siedział, łotr ów Dołgoruki.
Twarz brzydka, trupia, wzrok iskrzący zdala,
Rozpadłe szczęki, w kłąb ściśnięte palce;
Miotając zwykłą klątwę u Moskala,
Mat... i tam daléj... marzył o Rozalce;

Rozalce zmarłéj, co przez długie lata
Aniołem była dla rodziny szpiegów;
Co jéj znosiła, jakby ćma skrzydlata,
Pogłoski, baśnie, aż z Italskich brzegów.
« *Finis Moscoviæ!*... dla dynastyi szwabskiéj,
Orłowa stryczek czuć już nie daleko;
Sam czart zgłupieje bez pomocy babskiéj...
Rozalio święta, bądźże nam opieką!

« Minęły dla nas te weselne żniwa,
Gdy mię frejlina radą swą wspierała;
Nasz trzeci Wydział bez niéj dogorywa...
Tak mija szpiegów i caryzmu chwała!
Już nic nie wiemy co się przy nas dzieje;
A cóż dopiero w Rzymie, a w Paryżu,
Gdzie nasze zwiady osły lub złodzieje...
Żyd Budberg z owsa nie wymiele ryżu!

« Lubiła wprawdzie carski grosz babula,
Lecz za to wszystkie mieliśmy nowinki;
Jak skrzętna pszczółka niosła miód do ula...
Chcę rzec do żółtéj mnie wiadoméj skrzynki.
Cóż to za rozum był w téj białogłowie!
Gdy w sieć łowiła starca czy młokosa,
Nikt zręczniéj od niéj, w salonowéj mowie,
Lachom nie umiał much wyciągać z nosa!

« To anioł Moskwy!... dziś, za te usługi,
Sam car wychwala cnoty jéj z przekąsem... »
To mówiąc, rycerz zerwał się jak długi,
Zielona muszka brzękła mu pod wąsem.
Czy chciał się topić, czy ochłodzić błotem
Łysinę gniewną, tego wieść nie rzekła;
Lecz o stos gruzów potknął się z łoskotem,
I padł w kałużę, klnąc na wszystkie piekła.

Wtém jak z komina, z pod zielonéj pianki
Kałuży mętnéj, słup ognisty rośnie;
I czarna postać wróżki czy cyganki
Nad wodą spływa, ciesząc go litośnie:
« Wasilu, rzecze, strata twa bolesna,
Lecz nie rozpaczaj... zostaw łzy niewieście;
Dła carów niemców troska twa zawczesna...
Za jeden całun, masz spódniczek dwieście.

« Daj prawą rękę... ja ci z niéj wywróżę
Świetniejsze losy... na cygańskie słowo...

Za głóg zimowy dam ci letnią różę,
Z szatana sercem, i Rozalki głową.
Staruszki fama zbyt już głośna w kraju;
Jéj węch nadpsuty, zdrowszym był przed czasy :
Ta ci wyśpiewa, jak kukułka w maju,
Co wie, co nie wie... za bilecik z kasy.

« Czy chcesz z nad Wisły mieć dokładne wieści,
Czy świeże plotki z Wiednia do Berlina,
Tu z miłém słówkiem, tam ze łzą boleści,
Do wszelkiéj jazdy skłonną jest hrabina.
A nad Sekwaną, ach, co tam roboty!
Wygnańców gapiów łatwo wziąść na wędę;
Wyszydzić tego, z tym się wdać w zaloty,
A zimą do nas wrócić na kolędę.

« Znam jak zły szeląg zacną jéj macochę;
Tak strasznie skąpa że koszulki pierze...
Ta do miłostek choć dojrzała trochę,
Ta i da zręcznie i z dowcipem zbierze.
Dziś już z Warszawy garnie się do ciebie;
Ze wózka nie ma, wsiada do wagonu,
Ba, i dewotkę umie grać w potrzebie :
Z nią masz poselstwo do Rzymskiego tronu!

« Niech partacz Budberg od zazdrości pęknie;
Bo to i sprytna i tak wyszczekana
Że czart najśmielszy przed nią się zalęknie...
To skarb dla piekła, chluba dla waćpana!
Takiego w córce daję ci ajenta;
Miéj więc gotowe ucho i fundusze,
A że o rublach w piekle aż pamięta,
Daj dwa, na pacierz za macosi duszę.

« Oj, bo na tamtym świecie car nie włada;
Rozalka jęczy w tym iskrzącym słupie,
Choć arcymądra, diabłów nie przegada...
Tam szpiega chłoszczą po wielmożnym trupie! »
Kniaź pobladł nieco; klnie na starą wróżkę
Że mu dwa ruble znikły z rąk jak para;
Cyganka zmienia się w Zieloną muszkę...
Z nią trzeci Wydział kwitnie znów dla cara.

3. *do Witołda P****

Rózeczki żonie, wszak to rzecz najprostsza;
Mąż bez rózeczki, to jak nóż bez ostrza :
Rózeczka nigdy zdrowiu... et cetera...
Inaczéj będzie kweres i kozera.

4. *Paź i Szambelan.*

Paź i Szambelan, to dwa psy na sforze,
Ten ma psi łańcuch, tamten psią obrożę;
Ten ledwie szlachcic, ten niespełna hrabia,
Herbowym kluczem tyłek swój ozdabia.

5. *Messyanizm.*

W Napoleona snem jest wiara wasza,
Wierzycie weń, jak Żydzi w Messyasza;
A ON, Wschód cały, wdzięcząc się rywalom,
Na pastwę rzucił Niemcom i Moskalom.

6. *In me ipsum.*

Jam wskróś Polakiem; ztąd mam bodziec pierwszy
Do próżnowania i klecenia wierszy.

7. *Sztuka dramatyczna.*

Tragedia, dramat i komedia razem,
Głupoty ludzkiéj wiecznym są obrazem.

8. *Zły przykład z góry.*

Kto wdał się z Mośkiem, pójdzie wnet o kiju;
To nasze dzieje, mój szanowny stryju.

9. *Suum cuique.*

Nie ten występny kto wytyka zbrodnię,
Lecz ten kto przed nią płaszczy się niegodnie;
Kto zaś przechował jéj nieczyste ziarno,
Ten zbrodnię sieje, czyniąc ją bezkarną.
Sam Chrystys mówił wchodząc do bóżnicy :
« Rozdzielić trzeba kąkól od pszenicy. »

10. *Szkoda.*

Czart wielką szkodę bez wątpienia spłatał
Gdy M..... skich z O...skiemi zbratał :
Te dwie rodziny wprost przeciwne sobie,
Są różne w celu, różne i w sposobie;
Dla téj, majątkiem Wolność i Ojczyzna,
Ojczyzną tamtéj, trzos i gotowizna.
Jak ich początek tak i wątek inny,
Więc nigdy w jednę zlać się nie powinny.

11. *Barwy Szatana.*

W poczwórną barwę Szatan się przybiera :
Świętoszki, żydzi, caryzm i cholera.

12. *Różny obyczaj.*

Że Szatan tchórz, nie lubi samotności :
Więc prawie zawsze wśród obłudnic gości;
Żem stary wiarus, ja samotność lubię,
A z babskiéj klątwy śmieję się i chlubię.

13. *Piate Proroctwo.*

Gdy grom Wolności raz nad nim zabłyśnie,
Jak bańka wody car despota pryśnie.

14. *Instynkt polityczny.*

Pan Emigrancki jak zakręci wąsa,
Swych wrogów głaszcze a przyjaciół kąsa;
A gdy przypadkiem ktoś mu klepie Prawdy,
Z uwagą słucha, lecz nie pojmie zawdy.

15. *Przedświt.*

Nad nami niebo trochę się rozwidnia,
Nie od Zachodu, lecz gdzieś tam, od Wiednia.

16. *Książe A****

Choć książe A*** działał na podstawie
Dla Polski zgubnéj, Klaczko go wychwala;
Jak mógł pojęcie mieć o naszéj sprawie,
On, co był synem Niemki i Moskala?

17. *Kto zgubił dawną Polskę?*

W zeszłym wieku, Czartoryscy,
Jagiellonów rodu bliscy...
(Jak opiewa ksiądz Praniewicz,
Choć mu przeczy nasz Mickiewicz),
Chcąc ozłocić brudne czyny
Brali żołd od Katarzyny.
Złemu, niby, mieli radzić,
I *Reformy* przeprowadzić;
A w istocie, książe Michał
Do korony polskiéj wzdychał.
Zamiast grzecznie ich wyprosić
Lub zdrajcami wręcz ogłosić,
Sas nagradzał ich obłędy,
Dawał krzesła i urzędy.
Tak im nawet się powiodło
Że krajowi, sztuką podłą,
Narzucili swego króla
(Herbu *czosnek* i *cebula*);
Który dawniéj, pod stolikiem,
Był carowéj czynowinkiem,
A na tronie, zwał się z gustem,
Stanisławem i Augustem.
Kasia pomoc im nastręcza,
I Repninem się wywdzięcza
Z którym księżna Adamowa...
O tém późniéj będzie mowa.
(Tylko wspomnę tu nawiasem,
Że w podróży z tym Lowlasem
Izabella Flemmingówna
Któréj cnocie nic nie zrówna,
Miała różne awantury,
Mnóstwo dzieci z rąk natury,
I uczone konwersacye
Jak się łowią Ordynacye).
Po nich się znalazło wielu
Co chcąc dojść do tegoż celu,
Czy w komeszce, czy w żupanie,
Czy z buławą, mociumpanie,
Zwłaszcza téż hrabiowie ruscy,
Poniatowscy i Rzewuscy,
I Branieccy i Potoccy...
(Nie *Branicey* białostoccy
Z których Klemens był ostatni,
Lecz przybysze grubo płatni
Z tatarszczyzny, żydowszczyzny,
Bez honoru i Ojczyzny);
Łapigrosze słowem wszyscy
(Jak za Sasa Czartoryscy)
Oburącz pieniądze brali
Od Prusaków i Moskali.
Kto rozdawał? mniejsza o to,
Byle w garści było złoto.
Ztąd zakwitła za Augusta
Targowica i rozpusta;
Ztąd sprzedano, przez ich winę,
Wisłę, — Niemen, — Dniepr — i Dźwinę;
Ztąd kraj cały, krok za krokiem,
Zapadł się pod krwi potokiem...
A to wszystko, że Kościuszko
Chował stryczek pod poduszką;
Że wciąż walczył w imie króla
(Herbu *czosnek* i *cebula*):
I że nie śmiał, ich ofiara,
Jasnym zdrajcom krzyknąć: wara!
Oj, dziś jeszcze tak się dzieje,
Górą nasi dobrodzieje,
Czartoryscy, Sapiehowie,
Z lichwiarzami w bratniéj zmowie:
Pieczeniarzy tłum przeklęty
Jak sułtanom liże pięty,
A lud Boży ani pyta
Zkąd majątek... jest i kwita!
Co zgubiło Polskę zatém?
— Czołobitność przed dukatem.

18. *Kto Polskę zbawi.*

By naród Polski raz na zawsze zbawić,
Do szczętu trzeba Moskwę zgnieść i zdławić;
Zadanie trudne, lecz mu lud wydoła,
Nie sama szlachta, dziś okropnie goła.

19. *Do Jaśnie Wielmożnych Szalbierzy.*

Nas Prawda łączy, was obłuda zgania:
Nie dziw że mamy dwa przeciwne zdania.

20. *Do K*** O****

(Z powodu mszy żałobnéj za duszę ś. p. jego Ojca, d, 4 Grudnia 1866 r.)

Wspomnienie tęskne łączy nas w żałobie
Po twoim Ojcu, drogi nasz Krystynie;
Choć rok trzydziesty z nim spoczywa w grobie,
Choć rok ten straszny zmienił kraj w pustynię!
Rok poświęcenia, rok haniebnéj zdrady,
Co niepamiętny na stuletnie męki,
Z moskiewskim smokiem bawił się w układy,
Pomocy żebrał od niewiernéj ręki!

Zkądże ta litość dla grzesznika zgonu,
Wśród serc obczyzny już skalanych brudem?
Przy synach zdrajców pnących się do tronu,
Nie carem zbójcą, lecz gardzących ludem?
Bo każda walka z tym odwiecznym wrogiem
Jest nam zarazem chlubą i boleścią;
Bo jéj pamiątka łączy nas przed Bogiem
Z tym co najwyższą był narodu treścią!

Ten chrzest powstańczy, to jak brzask zimowy;
Choć krwią zabiegły, lecz nadzieją żyzny;
Więc karcąc zbrodnie, kłamstwa i narowy,
Wielbimy Ojców zmarłych dla Ojczyzny.
Wzniosłością ducha piękne ich postacie
Jak dawnych Rzymian, wieńczy liść wawrzynu,

W opromienionéj, bo męczeńskiéj szacie,
W czamarach zacnych, lub siermięgach gminu!

Rycerski zastęp legł z orężem w dłoni,
Dla Polski matki, dla strażniczki Wschodu;
Lecz nie wycisnął hańby na jéj skroni,
Nie zmniejszył chwały własnéj i narodu;
Choć rok trzydziesty nie mógł zdjąć łańcucha,
Jest on niejako dziejów jéj puklerzem,
Objawem szczytnym jéj wolnego ducha,
W śmiertelnéj walce z tronów trzech przymierzem!

Bo w nim myśl polska co krwią naszą płaci,
Myśl co klęskami tryumf swój wyraża,
Przyświeca ludom z grobów siostr i braci,
Jak zapoznane bóstwo wśród ołtarza.
Bez przewodnika dziś na poniewierce,
Myśmy zaledwie godni téj spuścizny;
Są jednak chwile gdy nam mówi serce
Że w naszéj piersi żyje duch Ojczyzny!

Dziś przed ołtarzem Boga i człowieka,
W dzień czwarty Grudnia (smutny dzień dla świata)!
W stolicy Franków co się nas wyrzeka,
Z modlitwą stajem, na wezwanie brata.
Tym naszym Ojcem, za którego społem
Wznosim błagalne ku niebiosom dłonie,
Twój zacny rodzic, mąż z promiennėm czołem,
Za życia tułacz... nawet i po zgonie!

I zmarły zda się wstaje dziś z mogiły;
Pierś przebolałą w polski strój uzbraja,
A pełen Wiary i młodzieńczéj siły,
Już woła do nas: « *Nie ma Mikołaja!* »
Na opóźniony jego głos, niestety,
Sejm cały, wreszcie, budzi się z uśpienia;
A choć go stłumią działa i bagnety,
Detronizacya w boski grom się zmienia!

A jak proroctwo brzmiące na pustyni,
Ten okrzyk straszny dla naszego wroga
Dziś nas dolata w cichéj téj świątyni,
Gdzie kilku braci wznoszą myśl do Boga...
Dlaczego kilku? czy mię wzrok nie myli?
Czy na tułactwie pamięć już stracona
O tych co dla nas życie poświęcili?
Nie... cała tu jest Polska umęczona!

Przed tym ołtarzem, w słudze tym kościoła [1],
Wyznawcę witam wszech narodów sprawy;
Myśl odrodzenia lśni z kornego czoła,
Świetniejsza jeszcze świeżą krwią Warszawy!
Powstaniec kapłan, naszych praw obrońca,
Jest godzien modlić się za tego duszę
Co się dla Polski zrzekł polskiego słońca,
I co wygnania mężnie zniósł katusze.

Ustami jego wznosi zań pacierze
Ojczyzna cała męką swą złamana,
Lecz niezwalczona w swych pradziadów Wierze,
Jak na pielgrzymce dusza jéj kapłana.
Oto i starzec, tuż przy naszym boku,
Jak dawny rycerz, wierny i waleczny,
Z miłością bratnią, ze współczuciem w oku,
Pamięci drogiéj składa hołd serdeczny.

Skroń jego męzka pod sędziwym włosem,
Wystaje chlubnie wśród tych dziatek grona,
Zwołanych przy nas jakby matki głosem,
Choć nie znających jéj świętego łona!
To są sieroty, duch polskiego ducha,
Wskrzeszonéj Polski wolne już sokoły,
Z modlitwą w sercu, którą Bóg wysłucha,
Wygnańców dzieci, i z wygnańczéj szkoły!

Dziś nas gromadzisz u świątyni progu,
Gdzie nam przedstawiasz cały ród z zaszczytem;
Modlitwa twoja jest najmilszą Bogu,
Bo ty ją stwierdzasz twym pracownym bytem.
Choć czarna zdrada gnębi cię z ukrycia,
Jéj złość najlepsze chęci twe osławi,
Cień Ojca twego, aż do schyłku życia,
Tym znakiem Wiary niech cię błogosławi!

*
* * *
*
*

KSIĘGI CZWARTE.

« It is a pretty mocking of the life. »
SHAKESPEARE.

1. *Car Aleksander II.*

Chcesz bym ci postać nakreślił cara...
Patrz! oto w jaskrawéj łunie,
Na zgliszczach kraju, jak Boża kara,
Z wilczém spojrzeniem, okropna mara,
Powstaje w krwawym całunie!
I nocne widmo błądzi nad tobą,
Po śnieżnych stepach bez końca;
Aż zdjęty wreszcie serca chorobą
Padasz pod wieczną duszy żałobą,
W dali od naszego słońca!

I wołasz, patrząc w niebo z tęsknotą,
O twéj Ojczyzny ratunek;
A tu do koła przepych i złoto,
Paryż się korzy przed swym desotą,
Tam rzeź, pożoga, rabunek
Długą męczarnią pierś twa złamana,
W niebie nie znajdzie odporu;
Próżno zażegnać chciałbyś tyrana,
Bo krzyż, przed którym drży moc szatana,
Bezwładny w obec potworu!

[1] Ksiądz Kazimierz Żuliński, brat straconego w Warszawie.

A duch zniszczenia w carskiéj postaci,
Ściga cię we dnie i w nocy,
Cały zbroczony krwią twoich braci;
I świat się podli, klęczą magnaci,
Przed tém bożyszczem Północy!
Łzy polskich matek dla niego niczém,
Zdrada, bezczelność, orężem;
To wnuk Iwana z dzikiém obliczem:
On, jak Dżyngiskan, ludzkości biczem,
Zbrodni kochankiem i mężem!

Z téj zacnéj pary na świat wynika,
Jak z łona piekieł otwartych,
Za sprawą kata, jéj pomocnika,
Na hańbę dziejów, na cześć Ruryka,
Nowy szczep Iwanów czwartych!
Wszakże są dotąd wolne narody,
Gardzące Moskwy straszydłem;
Choć za niém pędzą Bismarka trzody,
Mamy Francuzów, synów Swobody:
Ta nas osłania swém skrzydłem!

Francya nas kocha jak siostra tkliwa,
I wiecznie pomoc przyrzeka;
A wróg nas niszczy, i czas upływa,
Jéj oręż za to Meksyk zdobywa...
Polska niech jeszcze zaczeka!
Na co te skargi, żale i gniewy
Na zdrady obcych mocarzy?
Myśl naszą struły fałszu wyziewy,
Namiętnych wieszczów bluźniercze śpiewy,
Zaprawne żółcią potwarzy.

Car Aleksander drugi z porządku,
Zapytaj ludzi poważnych
Co się panoszą w obcym majątku,
Jestto monarcha znany z rozsądku,
Pełen pomysłów odważnych!
Bywały w carskiém gnieździe wyrodki;
Lecz ten podobny do stryja,
Jak on potulny, uczciwy, słodki
Gwałtem się brzydzi, a ostre środki
W cienką bawełnę obwija.

Ja, com go widział z bliska i z dala,
Skreślę ci jego postawę:
Kozacki hetman z miną kaprala,
Twarz ma powabną, jak na Moskala,
Oko szerokie i łzawe
A zatém mętne... dla tego właśnie,
Myśl nigdy nie lśni w tém oku;
Lecz na przeglądzie, kiedy wąs głaśnie,
Mars dumny przed nim pełza i gaśnie...
A wam ktoś mówił o smoku!

Wiecznie w mundurze, co go tak dławi
Jak rodzinny stryk Orłowa,
W nim śpi, poluje, z dworem się bawi,
Bo w nim się zrodził, w nim świat zostawi...
To jego duszy połowa!
A co za zuchy, owi dworacy,
Adlerbergi, Baronowy!
Hulankę lubią, wprawdzie po pracy;
Więc rabusiami zwią ich Polacy,
Zawsze skorzy do obmowy!

Z czynownikami car się nie wdaje,
Znanymi z płaskich wykrętów;
Uczonym chętnie rękę podaje,
Lecz za niesforne, złe obyczaje,
Nie bardzo lubi studentów.
Serce ma ludzkie, rumiane lica,
Usta skłonne do kielicha;
Odkąd krwią zmokła jego stolica,
On wyschnął, spłowiał, jak szubienica...
Czasami płacze i wzdycha.

Gdy mu frejlina, lub dworska pani,
O Polce jakiéj powiada,
Któréj mąż zginął, bracia skazani,
A ona sama, w życia otchłani
Z rozpaczą w duszy przepada,
Wtedy monarcha, litością zdjęty,
Na współczucie się zdobywa;
Lecz kat Murawiew, moskiewski święty,
Grozi mu szarfą... a car podcięty
Grafem go za to nazywa.

Jakiego zwykle bąz ten koloru?
Nie łatwo zgadnąć od razu;
Zmienna w nim barwa, według humoru:
Jest to *nic* w gruchie, *wszystko* z pozoru,
Osobistość bez wyrazu.
Tak, przed śniadaniem, w kawior obfitém,
Aleksander jest służbistą;
Gdy dwa półmiski zje z apetytem,
Już jest czerwonym... gdy łyknie przytém,
Staje się aż komunistą!

I to co Prudhon bajał przed gminem,
Mieniąc plagą Stworzyciela,
Własność kradzieżą... car stwierdza czynem,
Czułéj wdzięczności zdobiąc wawrzynem
Rzezimieszka Wieszaciela!
Jednak on szczerze Polaków kocha;
Toć przybrane jego dzieci!
A Moskwa nasza wierna macocha...
Chociaż się na nią żali młódź płocha,
I odgadują poeci.

Naczelnik wiary w carskim obrzędzie,
Myśli o naszém zbawieniu;
Panslawizm głosi zawsze i wszędzie...
A karać musi tych co w obłędzie
Widzą przyszłość w zaburzeniu.
Gdy nawet karze tych wichrzycieli,
Długich im cierpień oszczędza;
Rodziców z dziećmi on nie rozdzieli:
Nigdy jednego, lecz z cytadeli
Krocie na Sybir zapędza!

Bo też młodziuchny jedynak matki
Sam, mógłby zginąć od nudów,

Jak tęskny orzeł wzięty do klatki,
Gdzieś tam, w bajecznych stepach Kamczatki,
Gdzie nie ma słońca i ludów!
Przeto już dzisiaj osadę mamy
Z łaski cara na Sybirze;
Tam więźniów strzegą spiżowe bramy...
W podziemiach silniéj kraj nasz kochamy,
Razem nam lżejsze są krzyże!

Wierz mi, że nie jest krwiożerczym wcale
Ten olbrzym świata... gliniany,
Którym miotają w złowrogim szale
Dzikie bałwany... raczéj Moskale,
Dziś już wolni jak Brytany...
Car ma dla Polski ojczyma chęci;
Lecz go zrozumieć nie mogą,
I nawet nie chcą, słudzy przeklęci,
Ludzie zwierzęta, na łup zawzięci,
Żyjący krwią i pożogą...

Fałsz więc że niby ten car stuoki
Jest samowładnym despotą;
Nim rządzą świętéj Moskwy proroki:
On podpisuje tylko wyroki,
Kto zginie, mniejsza już o to!
On sam by zginął... Posłuchaj przecie
Co też Moskwa mu powiada:
Polska ją krzywdzi, znieważa, gniecie,
Więc ją w Katkowskiéj grzebią gazecie,
A trup wciąż straszy sąsiada!

Słowo bez czynu nie ma zalety:
Car pozwala swéj czeladzi
Starce i dzieci brać na bagnety;
Tak rozum stanu każe... niestety,
Tak cień Katarzyny radzi!
Car miłosierny idzie za zdaniem
Swéj wielkomyślnéj prababki;
Lud kłócić, wszak to rządców zadaniem,
Usprawiedliwiać mordy powstaniem,
Myśl godna moskiewskiéj Szwabki!

Tak zawsze w dobréj wierze, despota,
Lud na Litwie, Ukrainie,
Podniecał żartem, jak psa i kota...
Nie zrozumiała tego hołota,
Myśl spełzła na drobnym czynie!
Jednak miejscami gawiedź podszczuta
Podniosła noże i ołów
Na Padlewskiego, Kruka, Narbutta,
Co lud uwolnić chcieli od knuta,
Słowiańszczyznę od Mogołów!

Gdy się carowi przy tym zaborze
Jakoś nie gładko udało,
Gdyż prosty Rusin ma światło Boże,
I Moskwy strawić, jak my, nie może,
Tak pełne trądu jéj ciało,
Spiesznym ukazem na tych bluźnierców
Wysłał monarcha łaskawy,
Przebrane tłumy swych ludożerców,
Hordy Baszkirów i starowiercow;
Nie dla zysku, dla zabawy!

Lecz dziś wiadomo jak wykonano
Ojczyma cara pomysły:
Bezbronną młodzież wymordowano,
Wieszano księży, kraj zrabowano,
Od brzegów Dniepru, do Wisły!
Gdy tak łagodnie car nas obdziera,
Zwyczajem wszystkich despotów,
Rad wyjść przed światem na bohatera;
W imieniu wiary, sam składkę zbiera
Dla walczących Kandiotów.

Ta szczodrobliwość, dla obcych ludzi
Nie podobna do zbadania,
Gdy tu, powszechny wstręt w sercach budzi,
Tam, za górami, prostaczków łudzi,
I zachęca do powstania.
W ten sposób nawet Stambuł owładnie,
Już Carogrodem nazwany;
Z królikiem greckim zakończy snadnie,
A Zachód przed nim pokotem padnie,
Uzna go panem nad pany!

Tak niknie z dymem zawziętość nasza,
Przed wschodnio-północnym tronem;
Wyrok nasz cara wszak nie zastrasza...
A Thiers z trybuny dziś go ogłasza
Słowiańszczyzny Salomonem!
Salomon sądzi ludy żelazem:
Więc Polskę rozciął na dwoje,
Jak tamten dziecko śmierci rozkazem,
Gdy się dwie matki stawiły razem,
Chcąc każda mieć je za swoje!

Salomon lubi równość pod batem:
Uwalnia więc i niedźwiedzi...
Za lat pięć bartnik, z Moskalem bratem,
Obywatelem, później magnatem,
Może sam Paryż odwiedzi!
Tak zrównał z bydłem swój lud kozaczy,
Dla większéj caryzmu sławy...
Ten mały ustęp niech mi wybaczy,
I ze mną słuchacz powrócić raczy
Do Wilna i do Warszawy.

Kijów ominąć możemy śmiało,
Tam gdzie nasz jaśniał Batory;
Wszystko zginęło co kraj kochało...
Z polskiéj zarazy nic nie zostało,
Oprócz dumek Wernyhory...
Bo Judasz Bezak nie śpi na Rusi;
Murawiewskim idąc torem,
On z krnąbrną szlachtą dziś skończyć musi...
Więc Lach zwalczony już krwią się krztusi,
Pod niezbłaganym liktorem.

Do litewskiego zajedźmy grodu;
Z nim sprawa może trudniejsza,
Moskwa tam więcéj dozna zawodu,

Boć trudno zpodlić duszę narodu,
Gdy ją męczeństwo nie zmniejsza!
Próżno Murawiew, archirej katów,
Przy pomocy swego syna,
Nowych Siemiaszków i apostatów,
Moskiewskiéj wiary godnych prałatów,
Jął zdzierać skórę z Litwina;

Uparty Litwin nie bity w ciemie,
Nieraz Mazura zawstydzi,
Wytrwaléj znosząc ucisku brzemie;
Trudniéj wytępić Olgierda plemie,
Moskal z Litwina nie szydzi!...
Gdy tak Wieszaciel Wilno nawraca
Na wiarę knuta i stryka,
Gdy buntowników krocie zatraca,
A wdowim groszem Moskwę zbogaca
I swą kieszeń Namiestnika,

Co czyni wtenczas w swém Carskiém-Siele
Aleksander zbawca ludów?
Rozdaje chresty, klęczy w kościele,
Lub z dworzanami, nie myśląc wiele,
Rad być myśliwcem, od nudów.
A cóż się z naszą dzieje Warszawą,
Z tą polskiéj ziemi pochodnią?
Tam codzień słońce zachodzi krwawo...
Tam zbójcy, wszelkie zdeptawszy prawo,
Zwią miłość Ojczyzny zbrodnią!

Tam nie ma ojców, matek i synów,
Tam cześć rodziny zatarta;
Z pomocą Berków i Milutynów,
Katkowa w Moskwie katowskich czynów,
Car zawstydza nawet czarta!
Kto pod ich rządem żył jedną chwilę,
Ten był na własnym pogrzebie;
Bo tak przebolał, przejęczał tyle,
Że ostygł sercem, jak trup w mogile,
Że prawie zwątpił o niebie!

Warszawa! na to jedno wspomnienie,
Straszna zemsta duszą miota;
Warszawa! to krwi bratniéj strumienie,
To niestłumione ludu sumienie,
To méj Ojczyzny Golgota!
Do zmarłych synów krzyża przykuta,
Modli się za swych siepaczy;
Lecz jéj modlitwa żółcią zatruta..
A zbiry pragną pogwizdem knuta
Zagłuszyć jęk jéj rozpaczy!

Głos jej nareszcie doszedł do ucha
Petersburgskiego pół-boga;
I pomazańca napadła skrucha...
« Precz z szubienicą! rzekł z miną zucha,
Wszak wytępiliśmy wroga!
Trzy lat grabieży... mam na to świadków...
To godna Moskwy zapłata;
Zostawmy przecie, choć dla podatków,
Dobrze myślących, jak mówi Katków,
Niech też wypocznie dłoń kata!... »

W tém nieskończenie rozumném słowie,
O jaka dla nas zachęta!
Car w swéj opiece ma ludzkie zdrowie;
On nawet myśli o swym Katkowie,
O naszych katach pamięta!
Monarcha w łasce niewyczerpany!...
Choć krwią przesiąkła purpura,
Chciałby zagoić zbyt świeże rany;
Więc kazał jeńcom puścić się w tany,
Z hołubcem uciąć mazura!

« Polska się z Moskwą chętniéj zespoli
Jak za czasów Mikołaja;
Młódź się z przesądów gminnych wyzwoli;
A niech też piękna płeć poswywoli,
Gdy świat się w igły uzbraja! »
I patrz! nad Wisłą, po tym wyroku,
Zgraja służalców bez duszy,
W koło szubienic, wśród łez obłoku,
Hula i tańczy, z uśmiechem w oku,
Gdy lud nasz kona w katuszy!

Czyż to Polacy w carskich galonach,
Na poległych skaczą grobie?
Zkądże te larwy z kwiatem na łonach?...
Ja wiem kto buja po twych salonach,
Biedna Warszawo w żałobie!
Kilka zalotnic i kawalerów,
Do których młódź się nie zbliża;
Grono hrabiątek, rój oficerów,
Garść neofitów i bohaterów,
Z Petersburga i Paryża!

Bo jakże nazwać tłum ten stugłowy,
Okryty hańbą i złotem?
On nie ma nazwy wśród ludzkiéj mowy!
Nie! to wcielony bezwstyd krajowy,
Zmięszany z Moskwy pomiotem!...
Gdy ci twa horda stawia ołtarze,
Za méj Ojczyzny męczeństwo;
Gdy ci Wschód Francya przynosi w darze,
Moim podarkiem, wszechmocny carze,
Wzgarda i ludów przekleństwo!

1867 roku.

2. *Kolęda* (na rok 1868).

Faraon marzył o żelaznym wilku...
Nie, to Gedymin, w Litwie, nad Wilejką;
Lecz król i książe miał tłómaczów kilku:
Tam wróżył Józef, u nas, wieszcz Lizdejko.
Kto z nich bieglejszy? wróżby świat pamięta,
I w téj i w owéj tli się Prawda szczera;
Nad Nilem ludzie gorsi niż bydlęta,
A wilk żelazny Litwę znów pożera...
Więc król Faraon usnął przy zabawie.
Wtém, siedm krów tłustych z Nilu wód wypada,
A siedm wychudłych czerni się na trawie;
I głodna trzoda tę tuczniejszą zjada.
Król, po wieczerzy, znowu sen miał inny:
Siedm snopów plennych, o złocistym włosie,

A tuż, siedm wiązek suchych jak liść winny...
I te pożarły tamte, kłos po kłosie.
Pan, choć potężny, przeląkł się okropnie;
Bo nikt z kapłanów i guślarzy grona
Wstąpiwszy z dreszczem na trójnożne stopnie,
Nie mógł odgadnąć snów tych Faraona.
Aż się żyd zjawił, Józef, ten sam właśnie
Co został za to namiestnikiem króla;
I ja też Józef, oba sny wyjaśnię,
Choć mię nie nęci czosnek ni cebula :
Siedm krów i snopów plennych, to my sami,
My też wygnańce wśród niewiernych ludzi;
Wy, przegłodzoną trzodą i kłosami...
Myśmy zdławieni, wy na zawsze chudzi.

3. *Toast Konfederacki.*

DO KSIĘŻNY GIEDROICIOWEJ

w dniu 29 Lutego 1868 r.

(*Improwizacya.*)

Z myślą w której wiecznie płonie
Wolności przyszłéj otucha,
Przedstawiasz, siostro, w tém gronie,
Niewiastę polskiego ducha.
O, nie dla marnéj zabawy
Zwołałaś nas wśród obczyzny;
Lecz pragniesz, wspomnieniem sławy,
Ukoić serc naszych blizny.

Twe prace godne nagrody
Chcąc uświęcić krzyża znakiem,
Powstaje Marek na gody,
Z Pułaskich dzielnym orszakiem.
Niezwiędłe są ich wawrzyny,
Bo pełne ludowéj chwały;
Przezeń Barskich wielkie czyny
Po stuleciu zolbrzymiały!

Ich to spiżowym postaciom
Składając hołd nasz tułaczy,
Poniesmy łzę wszystkim braciom
Których już kraj nie zobaczy!
A z ludem rosnąc w potęgę,
W imie Polski, w imie Boga,
Barską powtórzmy przysięgę :
« Zginąć, lub zwyciężyć wroga! »

4. *Do Strzechy.*

« O rus! quando ego te aspiciam! »
HORATIUS.

Z wygnańczéj ziemi, gdzie pamiątka kraju
Starca chlubą i pociechą,
Kolebko Piasta, lat młodzieńczych raju,
Witaj mi, rodzinna strzecho!
Choć siostry we łzach, bracia w poniewierce,
Męczennicy lub tułacze,
Choć rozum przeczy, wciąż mi wróży serce
Że ja kiedyś cię zobaczę!

O, ja cię widzę, mój Ujeździe żyzny,
Świetny w złotych żniw ozdobie,
Bom uniósł w duszy, jakby cień Ojczyzny,
Życiotrwały żal po tobie!
Wygnaniec tęskny, dzieckiem już sierota,
Widzę domek ten uroczy
Gdzie cicha brzoza kryje próg i wrota
Drżącym liściem swych warkoczy!

Ten dąb odwieczny, i ten staw na dole,
Czysty, w białych róż zawoju,
Gdzie nocnym blaskiem srebrząc włos topole
Kąpią się w światłości zdroju...
Dokoła niwa w sennéj lśni powłoce;
A na dębie, jak na czatach,
Poważny bocian w gnieździe swém klekoce
Dawną wieść o dawnych latach...

Tam, za lipami, co na wzgórzu siadły
Gwarząc, niby kum przy kumie,
Kościołek wiejski, w trawę w pół zapadły,
W smętnéj bieli się zadumie...
Lecz w tym kościołku jest samotny kątek
Gdzie rodziny méj ostatki;
Tam dla mnie żyje cały świat pamiątek...
Tam, pod głazem, grób méj matki!

A kiedy błysną nad ruczajem zorze
Zwiastujące rychły dzionek,
Modlitwy śpiewem całe brzmi przestworze;
W niebie wtórzy mu skowronek!
U progu chaty, skoro dzień zaświeci,
W pole wyszli już rolnicy...
Pracują starce, kwiat zbierają dzieci,
Nucąc pieśń Bogarodzicy!

O polska strzecho, pod bluszczowym wieńcem,
Tyś obronny mur Zachodu:
Tyś mię poznała, dzieckiem i młodzieńcem,
Z ludem, siłą sił narodu!
Dla nas tułaczy, słońce gdy zciemniało,
Żywym zdobi cię promieniem;
Twój dach słomiany jest Ojczyzny chwałą,
Prawych synów jéj schronieniem!

Jam też ukochał pod ojczystém niebem,
Kmiecia, brata pod siermięgą,
Którego ręka, świat karmiąca chlebem,
Pierwszą kraju jest potęgą!
Bogdzież się podział zamek ów z kamienia,
Grody ojców i pradziadów?
Czas je nachylił, w gruzy wróg zamienia...
Dziś nie znajdziesz ani śladów!

Te, jak świątynie wśród Warszawy szańców,
Z łaski cara i wszechmocy,
Są dziś katownią, piekłem dla powstańców,
Lub jaskinią hord Północy!
Gdzie kwitło życie, dziś pustynie, groby,
Obryzgane krwią ołtarze,
Zniszczenie wszędzie, głośny jęk żałoby
Na lechickich pól obszarze!

Ty jedna tylko, ty lepianko błoga,
Gdy nam grozi wróg zagładą,
Zwycięzko stoisz, pod opiega Boga,
Z niezwalczoną twą gromadą!
Z pozoru wątła, łotry cię nie mogą
Zruszyć krokiem z jéj dzielnicy;
Bo ty nie wzywasz w pomoc już nikogo...
Prócz jéj serca i prawicy!

To też na tobie przyszłość się opiera...
Gdy wśród walki złych żywiołów
W rozpaczy, hańbie, dawny świat umiera,
Ty powstajesz z twych popiołów!
Tyś niezdobyta... car wie dobrze o tém :
Zawiść kryjąc pod szyderstwem,
On chce cię skusić swém skradzionéem złotem,
Moskwy spodlić cię braterstwem!

Jak wilk ów groźny, nad brzegami Niemna,
Wpośród ruin i cmentarzy,
Kraj nasz pustosząc, zgraja ta nikczemna,
Synów twych przyjaźnią darzy!
O car ten czuje, choć się Prawdą brzydzi,
Jak nad Dnieprem, Wisłą, Wartą,
Klnie go lud polski, jak go nienawidzi,
Piętnem znaczy skroń wytartą!

Za miast pożogi, za tysiączne mordy,
Za rozsiane z wiatrem kości,
Za wszystkie zbrodnie téj zbójeckiéj hordy,
Nieznającéj praw ludzkości!
Nastraszyć królów, zwieść ich dyplomatów,
Carscy zręczni w to kuglarze;
Lecz lud nasz zbratać z tém plemieniem katów,
Tego czart sam nie dokaże!

Panslawizm Moskwy, smocze łzy, uściski,
Po tych rzeziach jéj pogańskich,
Dla etnografów to sromotne zyski,
Śmierć dla wolnych dusz słowiańskich!
O bracia Czesi! nie chcę tu piorunów
Klątwą dziś na was rozpalać,
Lecz na przedajnych mędrców i trybunów,
Chcących was caryzmem skalać!

Gdy kilku zdrajców, za tą dziczą hardą,
Pląsa depcząc grób Warszawy,
Nasz kmieć, z pod strzechy, patrzy się ze wzgardą
Na bezczelne ich zabawy!
Bo choć był jeńcem na zagonie własnym,
Choć sześć wieków żył w pomroku,
W nim słowo Boże lśni promieniem jasnym,
Jak tęczowy łuk w obłoku!

Strażnico wiejska! chłopków te uczucia,
Tę dziewiczość ich natchnienia,
Przechowaj święcie, zasłoń od zepsucia,
Od zatrutéj rdzy zwątpienia!
« Męczeństwem silna i swobody duchem,
Których zaden car nie zmniejsza,
Odżyje Polska, zbrojna swym łańcuchem,
Większa stokroć i piękniejsza! »

Tak mówił Czacki w chwilach już ostatnich...
I ja też, w rodzinném gnieździe,
Pod ziemią polską, wśród zastępów bratnich,
Z matką spocząc chcę w Ujeździe!
Zanim po krwawéj bliskich walk ofierze
Wejdzie nam Wolności słońce,
Bodaj pod strzechą, w téj niezgasłéj Wierze,
Rośli młodzi jéj obrońce!

1868 roku.

5. *Anagramat* (M......wska).

« Samica mściwa jak Moskwa ».

albo :

« Macosia miła jak osa ».

6. *Rok* 1831.

Pod babskim rządem tak zaprzańców szczędził,
Że zamiast wroga, siebie w świat wypędził.

7. *Jeszcze ON!*

Jak prędko lud zgłupieje pod despotą,
Przykładem Francya... wolność da za złoto.

8. *Kolęda* (na rok 1869).

O moja Polsko! mówią że Ty w grobie,
Robactwa Moskwy już się stałaś łupem;
Że żal narodów kończy się po Tobie,
A słowo « *amen* » brzmi nad twoim trupem.
A ja ci mówię z niezachwianą Wiarą
Że wyzwolenia Twego dzień się zbliża;
Bo lud słowiański, wolny Twą ofiarą,
Już *zmartwychwstała* Cię zdejmuje z krzyża!

9. *Odpowiedź.*

Zwiesz mię kogutem, a słowikiem siebie;
« *Laus propria sordet...* » lecz, jak Bóg na niebie,
To bez przechwałki mogę ci zaprzysiądz :
Mój jeden wiersz przeżyje twoich tysiąc ;
Bo ty wciąż gonisz za fantazyi cieniem,
A wieczna Prawda mojém jest natchnieniem.
Tak szych, za tydzień, w popiół się rozleci,
A szczere złoto po stu latach świeci.
Choć Moskal Kryłów spryt ma kolosalny,
Do waszéj bajki dodam sens moralny :
Że choć mu pycha mózg na wskróś przewierci,
Kto głupiec, będzie głupcem aż do śmierci.

10. *Początek języków.*

Raz Prawda się potknęła; jéj źwierciadło
Przy wieży Babel, na kamienie spadło.
Z okruszyn które złączyć się nie mogą,
Języki ludzkie się wylęgły mnogo :
Ztąd, słów tysiącem nam wyrażać trzeba,
Co jedną zgłoską ta zwiastunka nieba.

11. *Pan Mydłaszewski.*

Pan Mydłaszewski goli nas bez mydła;
Gdyż od mydlenia tak mu żona zbrzydła,
Że chcąc zamydlić wzrok swojskiego bydła,
Zmydlone jakieś stawia nam straszydła.

12. *Ostatki.*

Wy co tniecie kotyljona
Gdy pół świata we krwi kona,
Wyście tańcząc już się stali
Pastwą Żydów i Moskali.

13. *Do księcia W****

Ja mam trwałe przedsięwzięcia,
Duszę do kłamstwa niezdolną;
Więc na zaproszenie księcia
Odpowiedzieć mi nie wolno.
Jak Garibaldi lub Manin,
Których niezgaśnie pamiątka,
Jam stary republikanin,
I nie wiem co to książątka.

14. *Do doktora S****

Umarłych wskrzeszasz, nie chcę temu przeczyć;
A własnych butów z dziur nie umiesz leczyć.

15. *Do pewnych Słowianofilutów.*

Niech zginę z nędzy, niech się z głodu wściekne,
Niech świat zgłupieje pod caryzmu znakiem,
Nazwiska Ojców ja się nie wyrzeknę:
Zrodzony w Polszce, umrzeć chcę Polakiem.

16. *Sedańczyk.*

Na pole, ON?
Woli w Sedanie
Zjeść za swój tron
Z Niemcem śniadanie.

17. *Pochodzenie.*

Badacze różnie nasz początek śledzą;
Ten z Indyi, ten z Kaukazu nas wywodzi...
Gdzie, jak i kiedy? o tém nic nie wiedzą:
Lecz najpodobniéj Lachów ród pochodzi
Od *Samojedów*, bo się sami jedzą.

18. *Do niewiernych.*

Choć ród żydowski srodze mu dokuczył,
Ojczyznę kochać Chrystus mię nauczył.
Za krzyż, niewiernym, Bóg zawdzięczył niebem.
Jam tylko człowiek... więc odrzucę chlebem:
Tym chlebem Prawda szczera, bez ogródki,
Zazwyczaj gorzka, lecz ma dobre skutki.

DODATEK

NIE PRZYSIĘGAJ

KOMEDIA W TRZECH AKTACH, PODŁUG ALFREDA DE MUSSET

OSOBY

VAN BUCK, były rękodzielnik.
WALUŚ, jego siostrzeniec.
PLEBAN wiejski.
TANCMISTRZ.

BARONOWA DE MANTES.
CESIA, jéj córka.
DWÓCH SŁUŻĄCYCH, PIWNICZY, POSŁANIEC.

Rzecz we Francyi, koło Paryża.

AKT PIERWSZY.

Pokój Walusia.

SCENA I.

WALUŚ na krześle, VAN BUCK wchodzi.

VAN BUCK.

Mości siostrzanie, dzień dobry.

WALUŚ.

Mości wujaszku, najniższy sługa.

VAN BUCK.

Nie wstawaj, mamy z sobą do pomówienia.

WALUŚ.

Racz więc usiąść na tém krześle ; z uwagą słucham.

VAN BUCK.

Mości siostrzanie, najdłuższa cierpliwość, równie jak najsilniejszy upór, ma swoje granice, i prędzéj czy później musi się wyczerpać. Kto dwadzieścia razy ratował tonącego szaleńca, może być zmuszonym puścić go nareszcie, albo z nim razem utonąć.

WALUŚ.

Otóż i wstęp nie lada, zwłaszcza na tak ranną godzinę ; zobaczym domówienie.

VAN BUCK.

Milcz wasze, i nie pozwalaj sobie zwykłych żarcików. Daremnie więc od lat kilku daje ci najzdrowsze, najzbawienniejsze rady... to jak groch na ścianę. Gdzież ty mię ciągniesz za sobą? boś tak zapamiętale uparty...

WALUŚ.

Wujaszku, zaczynasz się unosić...

VAN BUCK.

Bynajmniéj ; proszę mi nie przerywać. Boś tak zapamiętale uparty, jak ja, na moje nieszczęście, byłem dla ciebie wyrozumiałym i życzliwym. Czy to nie zgroza, by dwudziestopięcioletni młokos, tak rozrzutnie czas i życie marnował? Na cóż się zdały moje przestrogi, jeżeli nic w tobie nie skutkują? Jesteś hołyszem, bo bezemnie nie miałbyś złamanego grosza przy duszy ; ja zaś nie myślę wcale umierać, i żołądek mam zdrowszy niż twój. Cóż ty myślisz począć zanim się doczekasz méj śmierci?

WALUŚ.

Wujaszku, gniewasz się, i możesz się zapomnieć bezwiednie.

VAN BUCK.

Ja wiem, co robię i co mówię. Jeżeli sam jeden z całéj rodziny rzuciłem się do przemysłu, proszę nie zapominać że mnie tylko zawdzięczacie uratowanie zniszczonego majątku. Bardzo ci do twarzy, śmiać się, kiedy ja cię strofuję! Gdybym nie był sprzedawał sukna i flaneli w Antwerpii, byłbyś może leżał w szpitalu, właśnie pod tym kwiecistym szlafrokiem! Bo żal się Boże twoje przeklęte diabełki...

WALUŚ.

Wujaszku, wujaszku, to zbyt pospolicie : początek był daleko lepszy.

VAN BUCK.

Do licha, czy ty sądzisz, żem już do niczego niezdatny, jak do spłacania twoich wierzycieli ? dziś znowu twój oblig niespodzianie mię zaskoczył, sześćdziesiąt luidorów ! bardzo ci przystoi udawać dandysa (bodaj tam te angielskie wyrazy), kiedy krawiec od roku do drzwi kołacze. Co innego zsiąść z dobrego rumaka i wejść uczciwie do dworku, gdzie zastaniesz majętną rodzinę, a co innego wylecieć z fiakra i skoczyć na drugie lub trzecie piętro. Rzucony w świat bogatszy od ciebie, czerpiesz u twych dumnych przyjaciół wstręt i pogardę własnego stanu. Gryzmolisz po gazetach. Do kata, pisarz uliczny godzien większego szacunku. Wiesz na czém to się skończy ? Że ci już nic nie dam, i głodną śmiercią umrzesz pod strychem.

WALUŚ.

Mój dobry wujaszku, kocham cię i szanuję ; racz więc posłuchać. Zapłaciłeś dziś z rana oblig przezemnie wystawiony. To szczytnie i wspaniale. Gdyś tutaj nadchodził, stałem przy oknie, wiedziałam więc z góry na co się zanosiło. Układałeś homelję właśnie tak długą jak ztąd do domu... mniejsza o wysłowienie. Co myślisz, to mi wiadomo; co mówisz, to nie zawsze myślisz; co czynisz, to mię wdzięcznością przejmuje. Że mam dłużki, to prawda; żem do niczego, i to być może; cóż na to poradzić ? Masz sześćdziesiąt tysięcy dochodu...

VAN BUCK.

Pięćdziesiąt !

WALUŚ.

Sześćdziesiąt, wujaszku. Jesteś bezdzietny, a pełen dobroci dla mnie. Cóż złego czynię, że z niéj korzystam? Masz przecie sześćdziesiąt tysięcy...

VAN BUCK.

Pięćdziesiąt, pięćdziesiąt, ani feniga więcéj.

WALUŚ.

Ale sześćdziesiąt ! wszakże mi to sam powiedziałeś.

WAN BUCK.

Nigdy ! gdzieżeś o tém słyszał ?

WALUŚ.

Dajmy na to pięćdziesiąt. Jesteś młody, zuch jeszcze lubiący życie. Czy sądzisz, że mię to martwi, żem chciwy twojego majątku ? Téj zniewagi mi nie czynisz, bo wiesz, że pusta głowa i złe serce rzadko kiedy chodzą w parze. Strofujesz mię za kwięcisty szlafrok, a sam nosiłeś przerabiane złotem. Mówisz mi żem biedny, a moi przyjaciele majętni. Tém lepiéj dla nich, nie moja w tém wina. Wyobrażasz sobie że mię psują i że ich przykład zrobił mię pogardliwym; ja gardzę tylko tém co mię nudzi; a ponieważ płacisz moje długi, rzecz jasna że od nikogo nie pożyczam i nikomu nie jestem dłużny. Wyrzucasz mi, że jeżdżę fiakrem; bardzo naturalnie, bo nię mam karety. Chciałbyś żebym wszedł w obowiązki : każ mię tylko zamianować ministrem, a zobaczysz jak daleko pójdę. Bo gdybym został praktykantem u jakiego prawnika, chyba tego się nauczę, że świat stoi na bezprawiu. Jeżeli gram w diabełka, to dla tego, że wygrywam mając dobre plije; a skoro przegram, bądź pewien, że się o to nie zastrzelę. Dobrze jest, mówisz, zsiąść z ładnego konia i zawitać do uczciwéj rodziny... to nie tak łatwo jak się zdaje. Można sobie nogę zwichnąć na kobiercu. Szczycisz się z tego żeś sukno i flanelę sprzedawał; to dowodzi, że cię stać było na wełnę. Wiesz co wujaszku, mnie cóś mówi, że jeszcze śniadania nie jadłeś. Ten przeklęty oblig, spłacony na czczo, został ci kamieniem na sercu. Dajmy mu razem zakąskę, bo właśnie przynoszą czekoladę. (Służący wnosi na tacy śniadanie, stawia drugie nakrycie i wychodzi.)

VAN BUCK.

Co za śniadanie! daj go katu, ty żyjesz jak udzielny książe.

WALUŚ.

Kto nie ma grosza przy duszy, musi się jakoś rozweselić.

VAN BUCK, siadając.

Ale ty nie myśl żem ci przebaczył, dla tego że siadam przy tobie.

WALUŚ.

Uchowaj Boże ! to mię tylko zasmuca, że gdy się zaczynasz gniewać, jakieś kramarskie wyrażenia niechcący ci do ust przychodzą. Tak jest, pozbywasz się tego kwiatu grzeczności, który cię szczególnie zaleca. Lecz kiedy sam na sam ze mną, to fraszka.

VAN BUCK.

No, już dobrze. A, niezła czekolada; wolę twoją zakąskę, jak twoje przekąsy. Co to jest ! pasztet strasburgski? Szczęście że go Prusacy nie zjedli. Gadajmy o czém innném. Powinien byś się ożenić.

WALUŚ.

Ożenić, ja? Co mówisz, mój wujaszku !

VAN BUCK.

Mówię, że lata płyną, i że czas by sobie żonkę przysposobić.

WALUŚ.

Ależ, drogi wuju, cóżem ja ci zawinił?

VAN BUCK.

Zawiniłeś mi obligami, najprzód. Lecz gdybyś był nawet całkiem niewinny, i cóż tak strasznego ma w sobie stan małżeński? Mówmy na serjo. Wielka dla ciebie krzywda, gdyby cię dziś wieczorem poślubiono z ładniutką, dobrze wychowaną panienką, a jutro budząc się, gdybyś pod wezgłowiem namacał jakie sto pięćdziesiąt tysięcy posagu... Jest o co się srożyć, jak Bóg żywy!... Masz długi, ja zapłącę, byleś się ożenił; bo się poprawisz i zostaniesz porządnym człowiekiem. Panna Cecylja de Mantes łączy w sobie to wszystko...

WALUŚ.

Panna Cecylja de Mantes? to są żarty.

VAN BUCK.

Ponieważ jéj nazwisko mi się wyśliznęło, wiedz, że ja nie żartuję. O niéj to mowa, i jeżeli chcesz...

WALUŚ.

I jeżeli ona chce. Jak mówi piosenka:

« Jeżeli chcesz, pobierzem się,
A bywaj zdrów, jeżeli nie. »

VAN BUCK.

To od ciebie tylko zależy. Podobasz się, jesteś przyjęty.

WALUŚ.

Lecz ja w życiu jéj nie widziałem.

VAN BUCK.

To nic nie szkodzi, jeżeli się jéj podobasz.

WALUŚ.

Doprawdy?

VAN BUCK.

Daję ci słowo.

WALUŚ.

A, wtedy ona mi się wcale nie podoba.

VAN BUCK.

Dlaczego?

WALUŚ.

Dlatego właśnie, że ja się jéj podobam, będąc nieznany.

VAN BUCK.

Ależ, Walusiu, namyśl się tylko. Nalej mi kroplę wina. Przecież raz w życiu trzeba się upamiętać.

WALUŚ.

I raz w życiu trzeba umrzeć.

VAN BUCK.

To jest trzeba obrać sobie jaki stan pożyteczny, uczciwy. Co z ciebie będzie? Ostrzegam cię, że lada dzień mogę cię mimowolnie porzucić. Nie stoję o to wcale, żebyś mię zrujnował; a jeżeli masz być moim spadkobiercą, przecież na to trzeba pewnego czasu. Wiem, że twój ślub mię dużo kosztować będzie, lecz to na raz tylko, a z resztą mniéj jak twoje szaleństwa. Czy chcesz lub nie dostać ładną żonkę, widzieć długi zapłacone i żyć porządnie?

WALUŚ.

A któżby nie chciał żyć porządnie, mając tak jak wujaszek sześćdziesiąt...

VAN BUCK.

Nie, pięćdziesiąt!

WALUŚ.

Zgoda, pięćdziesiąt tysięcy dochodu. Lecz skoro tak nalegasz wujaszku, i mówisz na serjo, ja też na serjo ci odpowiem.

VAN BUCK.

Słucham; no cóż?

WALUŚ.

Że nie sięgam zbyt odległych czasów i nie chcę cię nużyć długim wywodem, mamże ci przypomnieć, jakiego losu doznał pewien mąż bardzo cnotliwy, i tak potulny w swém domowém pożyciu, że występnéj żonie przebaczył, że ją przyjął z rąk zwodziciela, pomimo widocznego jéj zpreniewierzenia? Był on rodzonym bratem potężnego monarchy i sam nie poślednią nosił koronę...

VAN BUCK.

Kto taki?

WALUŚ.

Tym mężem był ów nieśmiertelny Menelaus...

VAN BUCK.

A niechże cię czarci porwą za te brednie; mię także, za to że je słucham.

WALUŚ.

Brednie? wszakże to historyczna prawda.

VAN BUCK, powstając.

Przeklęty ladaco! szalona głowa! Dwóch słów do rzeczy nie powie. Dość już tego; jak mi Bóg miły, dzisiejsza młodzież niczego nie szanuje.

WALUŚ.

Wujaszku, wujaszku, znowu się unosisz.

VAN BUCK.

Powiedz raczéj, że się wynoszę. Czy można pojąć, aby taki niedorostek, śmiał się natrząsać z poważnego starca? Czy ty mię bierzesz za podobnego sobie wietrznika, i trzeba ci zawsze przypominać...

WALUŚ.

Jakto, wujaszku, czy może być, żebyś nigdy nie był czytał Homera...

VAN BUCK.

No, choćbym téż i czytał... w gazecie. (siada.)

WALUŚ.

Mówisz mi o małżeństwie; rzecz prosta, że ci przytaczam najsłynniejszego męża w starożytności...

VAN BUCK.

Dajże mi pokój z temi baśniami. Chcesz odpowiedzieć jak się należy?

WALUŚ.

Chcę, lecz mówmy otwarcie. Zrozumiesz mię dopiero, gdy mię do końca wysłuchasz. Jeżelim ci wymienił wielkiego króla Sparty, to nie dla popisania się z moją erudycyą, lecz aby nie zdradzić nazwiska tysiąca znakomitych ludzi... mamże mówić jeszcze wyraźniéj?

VAN BUCK.

Mów, albo natychmiast wychodzę.

WALUŚ.

Miałem wtedy lat szesnaście, i ledwie co kończyłem szkoły, gdy piękna pani, nasza znajoma, raczyła się mną po raz pierwszy zatrudnić. W takim wieku któż może wiedzieć, co jest godziwém, a co występném? Pewnego dnia już nad wieczorem, siedzieliśmy we troje przy kominku, ja, jéj mąż i ona. Nagle mąż powstaje i oświadcza, że musi wyjść za interesami. Na tę nowinę i na spieszny rzut oka ubóstwionéj, serce mi zadrżało z radości. Nareszcie sami zostaniem. Oglądam się i widzę, jak ów męczennik wdziewa rękawiczki; albo raczéj pochwy zielonkowate, z łosiowéj skóry, rozciągnięte i poprute na dłoni. Gdy się z niemi szamotał wciskając palce i krocząc po salonie, ledwie dostrzeżony uśmiech przeleciał po jéj ustach, i zarysował, jakby lekkim półcieniem, dwa wyżłobione dołki na jéj obliczu. Oczy kochanka jedynie podobny uśmiech dopatrzą, i to uczuciem więcéj niż wzrokiem. Ten mię przejął do głębi duszy. Lecz co dziwniejsza, wspomnienie téj chwili roskoszy złączyło się nieodstępnie w méj myśli z obrazem dwóch rąk czerwonych i pękatych, tłoczących się zapamiętale do powłoki z zielonéj skóry; i sam nie wiem czemu, te dwie ręce, w bezmyślnéj swéj robocie, tak opłakanie wyglądały, że skoro je sobie przypomnę, zaraz mi się zjawia ów potulny mąż, ta wpółuśmiechnięta żona, i przysiągłem sobie raz na zawsze, że żadna mię w takie łosiowe rękawiczki nie ustroi.

VAN BUCK.

Co ma znaczyć, że jako sam niecnota, nie wierzysz w cnotę niewieścią; że lękasz się, aby ci drudzy nie oddali złego, któreś im wyrządził.

WALUŚ.

W saméj rzeczy. Boję się diabła i łosiowych rękawiczek.

VAN BUCK.

Wstydź się; panna Cecylja jest skromna i dobrze wychowana; to bardzo zacna panienka.

WALUŚ.

Broń Boże abym miał inaczéj sądzić. Nie ma zacniejszéj na świecie. Jest dobrze wychowana, mówi wujaszek? A jak ją wychowano? Czy chodzi na reduty, na bale cesarskie, na wyścigi konne? Czy wyjeżdża sama w południe, zasłoniętym fiakrem, i powraca sama wieczorem? Czy ma pokojówkę zręczną i pokątne schody? Czy ją bawią odcinkowe romanse? Czy po wykwintnym obiedzie,

o szaréj godzinie, ocieplonéj południowym wiatrem, dąży na pola Elizejskie, przypatrywać się walce dziesięciu wpółnagich pleczystych zapaśników? Czy puszcza się w walca z ufryzowanym młodym tancerzem, niby dyplomatą, o niezmordowanych łydkach, i daje sobie ściskać rączkę po pierwszéj szklance ponczu? Czy przyjmuje gości sam na sam koło drugiéj, w przezroczu różowéj firanki? Czy ma nad zamkiem złotą zasówkę, która ją dzieli od świata, lekkiém dotknięciem paluszka, natychmiast przysłoniętą miękkim, głuchoniemym kobiercem? Czy wkłada rękawiczkę w kieliszek, przy deserze, skoro podają szampana? Czy się nauczyła, kiedy Marjo śpiewa, wywracać oczy w zachwycie, jak rozkochana turkawka? Czy jeździ do kąpieli morskich? Czy miewa migreny?

VAN BUCK.

Wielki Boże! co też ty wygadujesz!

WALUŚ.

A, jeżeli tego nie umie, to jéj wychowanie całkiem chybione; bo skoro pójdzie za mąż, nauczy się od ludzi... a wtenczas Bóg wie, co to będzie.

VAN BUCK.

Dziwne masz pomysły o wychowaniu kobiet; możechciałbyś, aby twoich zasad się trzymano.

WALUŚ.

Nie, ale chciałbym, aby młode dziewczę było raczéj kwiatem leśnym, niż kamelją w cieplarni. Idźmy w świat wujaszku i nie myślmy już o tém więcéj.

VAN BUCK.

Odmawiasz więc rękę panny de Mantes?

WALUŚ.

Co mi po jéj ręce, jeżeli serca nie dostanę.

VAN BUCK.

Oszaleć można. Jesteś nieugięty. Najsłodsze miałem nadzieje! Taki piękny majątek! Ty mię zubożysz do szczętu; będziesz najlichszym żebrakiem, oto co cię czeka. Czego chcesz nareszcie?

WALUŚ.

Chcę ci podać kapelusz i laskę, abyśmy się przeszli po lasku, jeżeli łaska.

VAN BUCK.

Niedbam o przechadzkę z tobą. Wydziedziczam cię i basta.

WALUŚ.

Ty wujaszku, mię wydziedziczasz?

VAN BUCK.

Ja, zobaczysz sowizdrzale. Upartszym będę od ciebie.

WALUŚ.

Czy wydziedziczasz mię ustnie, czy piśmiennie?

VAN BUCK.

Co ci do tego, zuchwalcze.

WALUŚ.

A komu majątek zapiszesz? czy na kawalerów Maltańskich? zakon już nie istnieje; czy otworzysz konkurs gramatyki chaldejskiéj? język mało co znany.

VAN BUCK.

Sam wszystko wyrzucę, dla własnéj przyjemności.

WALUŚ.

Gdzie tam, już rulety nie ma; a wszystko przepić, to niepodobna.

VAN BUCK.

Opuszczę Paryż i ciebie, ożenię się w Antwerpii, dam ci sześciu braci wujecznych.

WALUŚ.

A ja wyjadę do Algieru, zostanę trębaczem dragonów, zapoznam się z murzynką, i dam ci dwa tuziny wnuczków czarnych jak smoła, dzikich jak szakale.

VAN BUCK.

Ty ladaco, jak ścisnę moją laskę...

WALUŚ.

Zwolna, wujaszku; bijąc mię, uważaj, abyś nie złamał podpory twéj starości.

VAN BUCK.

Malcze, ty nadużywasz méj dobroci.

WALUŚ.

To co innego. Mam wstręt do żeniaczki, to prawda; lecz dl ciebie gotów jestem na wszystko. Jakkolwiek dziwacznémbędzie ci się zdawało to co zamierzam, przyrzeknij mi, że się na to zgodzisz najzupełniéj, a ja ci słowa dotrzymam i pójdę za twoją radą.

VAN BUCK.

Jakiś nowy koncept; mówże jasno.

WALUŚ.

Przyrzeknij pierwiéj, potém ci powiem.

VAN BUCK.

Nie mogę, nie wiedząc, o co idzie.

WALUŚ.

Przyrzeknij wujaszku, przysięgnij, jak w Hamlecie.

VAN BUCK.

Przy... to jest przyrzekam.

WALUŚ.

Jeżeli mam się ożenić z panną do Mantes, muszę pierwéj się upewnić, że mię nigdy nie ubierze w owe łosiowe rękawiczki.

VAN BUCK.

Co chcesz, abym ja o tém wiedział?

WALUŚ.

Są na to pewne wskazówki, które łatwo nas do pewności doprowadzą. Wszak gdybym się przekonał, że ją można zbałamucić w przeciągu tygodnia, anibym powinien myśleć o małżeństwie?

VAN BUCK.

W istocie, lecz co za pozory...

WALUŚ.

Nie żądam dłuższego czasu. Baronowa mię nie zna ani panna Cecylja; pojedziesz do nich w odwiedziny, oświadczysz, że niestety twój siostrzeniec chce pozostać wolnym... Przybędę do zamku w godzinę po tobie, udasz że nie wiesz kto jestem: o to tylko cię proszę, reszta do mnie należy.

VAN BUCK.

Ty mię przerażasz. To zakrawa coś na intrygę. Jakże chcesz się przedstawić bezemnie?

WALUŚ.

To moja rzecz. Nie poznawaj mię tylko, to całe twoje zadanie.

VAN BUCK.

Szalejesz. Co za podstęp, starać się pod cudzém imieniem! a to mi wynalazek! Nie ma powieści czarodziejskiéj, gdzieby się podobne zmyślenia nie powtarzały. Czy masz mię za słomianego wujaszka?

WALUŚ.

Bynajmniéj; mam cię za prawdziwego, a co więcéj za najlepszego wuja i dobroczyńcę. Oto pójdziem na pola Elizejskie; po dobrém śniadaniu i malutkiéj sprzeczce,

miło się przejść po słońcu. Chodź; opowiem ci moje projekta, wynurzę moje myśli. Będziesz mię strofował, a ja wytoczę moją sprawę; będę się bronić, a ty będziesz sadził morałami; a przecież musi nadjechać piękny koń lub wystrojona dama, dla naszéj wsp'lnéj rozrywki. Będziemy gwarzyć, każdy sam dla siebie, tak się najłatwiéj porozumiemy.

VAN BUCK.

Byleś mię nie brał na fundusz.

WALUŚ.

Biorę cię za rękę i służę.

AKT DRUGI.

W pałacu na wsi. — Salon otwarty. — W głębi ogród.

SCENA I.

BARONOWA, CESIA, PLEBAN, TANCMISTRZ, dający lekcyę CESI.

BARONOWA.

Ale to szczególne, że gdzieś mi się zawieruszył mój żółty kłębuszek.

PLEBAN.

Trzymałaś go pani przed kwadransem; musiał się pod stół zatoczyć.

TANCMISTRZ.

Skoro panienka zechce powtórzyć trzecią figurę kadrylu, to już sobie wypoczniem.

CESIA.

Naucz mię pan walca na dwa pas.

TANCMISTRZ.

Pani baronowa na to nie zezwala. Chciéj pani obrócić głowę i przychylić się nieco.

PLEBAN.

Co pani sądzisz o wczorajszém kazaniu? Wszak byłaś na niém obecna.

BARONOWA.

Haft różowy i zielony na tle czarném, jak umeblowanie pierwszego piętra.

PLEBAN.

Kazanie?

BARONOWA.

Przepraszam, myślałam o czém inném.

PLEBAN.

U świętego Rocha, wczoraj w niedzielę.

BARONOWA.

A prawda. Wszyscy płakali; baron aż się zakatarzył. Wymknęłam się przez przez drzwi boczne, bo pani prezesowa miała szal oblany pachnidłem, a ja w téj chwili leczę się homeopatią.

TANCMISTRZ.

Panienka nic nie uważa, trzeba robić opozycye. Proszę nachylić główkę tak, i zaokrąglić ramiona tak.

CESIA.

Ja muszę patrzeć przed siebie tak, bo inaczéj upadnę.

TANCMISTRZ.

Ale gdzie tam, to szkaradnie. Patrz pani na mnie, cóż łatwiejszego? czy ja upadam? idziesz pani w prawo, a spoglądasz w lewo; idziesz pani w lewo, a spoglądasz w prawo, to rzecz najprostsza.

BARONOWA.

Ależ gdzie się zapodział mój żółty kłębuszek...

CESIA.

Mamo, dla czego mi nie wolno walcować na dwa pas?

BARONOWA.

To nieprzyzwoicie. Czytałeś pleban Żyda wiecznego?

PLEBAN.

Czytałem; są niektóre ustępy bardzo ładne; a co do tła, przyznam się pani...

BARONOWA.

Tło czarne, jak umeblowanie pierwszego piętra. Drzewo będzie palisandrowe.

CESIA.

Lecz mamo, miss Clary uczy się walca na dwa pas, i panna de Raimbaut także.

BARONOWA.

Bo miss Clary jest Angielką. Plebanie, ręczę że na niéj siedziałeś.

PLEBAN.

Na miss Clary, ja?

BARONOWA.

Ależ na mojéj włóczce. Otóż jest! nie, czerwona. Gdzież tamta poleciała?

PLEBAN.

Niektóre sceny są bardzo zajmujące. Jest tam niezaprzeczona twórczość, wiele talentu, łatwości...

CESIA.

Mamo, czy że ktoś jest Angielką, to już przyzwoicie walcować na dwa pas?

BARONOWA.

Czytałam też nowy romans, wydany w zbiorze Charpentier; szkoda że nie pamiętam tytułu, ani nazwiska autora. Czy pleban też go czytałeś?

PLEBAN.

Tak, pani.

BARONOWA.

Dość gładko napisany.

PLEBAN.

Choć na tle czarném, jak umeblowanie... Zdaje mi się, że otwierają wrota. Czy jakie odwiedziny?

BARONOWA.

W saméj rzeczy. Słuchajże, Cesiu.

TANCMISTRZ.

Panno Cecyljo, pani baronowa ma cóś powiedzieć panience.

PLEBAN.

Nie widzę pojazdu; to pewnie konie wyprowadzają.

CESIA.

Czy mama do mnie mówiła?

BARONOWA.

Nie, — Ale tak, do ciebie. Ktoś ma nas odwiedzić. Schylże się trochę, niech ci powiem po cichu. Partia dobra. Jeszcześ nie uczesana.

CESIA.

Partia, dla kogo?

BARONOWA.

Bardzo dobra. Dwadzieścia pięć lat, do trzydziestu...

a może i młodszy, sama nie wiem; krewny pana Van Bucka.

CESIA.

Krewny?

BARONOWA.

Pana Van Bucka; jeszcze go nie znamy, ma być przystojny. Teraz możesz tańczyć moje dziecko.

CESIA.

Ale mamo, radabym cię zapytać...

BARONOWA.

Rzecz niesłychana, kto mi zabrał mój żółty kłębuszek. Jeden miałam tylko, i ten mi gdzieś ucieka. Ja téj kanwy nigdy nie dokończę.

SŁUŻĄCY, u drzwi.

Pan Van Buck się melduje.

BARONOWA.

Prosić.

SCENA II.

CIŻ, VAN BUCK.

VAN BUCK.

Dzień dobry pani baronowéj. Siostrzeniec mój nie mógł przybyć ze mną, ale najmocniéj przeprasza panią za niedotrzymanie słowa.

BARONOWA.

Czy już? mniejsza o to. Właśnie Cesia uczy się tańczyć; pozwolisz pan żeby skończyła? kazałam jéj zejść do salonu, bo u niéj za ciasno.

VAN BUCK.

Nie przeszkadzam, i owszem. Gdyby ten sowizdrzał był zemną...

BARONOWA.

Może sąsiad co przekąsi. Jak zdrowie? Siadajże pan.

VAN BUCK.

Pani baronowa, prawdziwie byłbym szczęśliwy oznajmić jéj...

BARONOWA.

Ale zostańże, plebanie. Cóż ci jest, Cesiu?

TANCMISTRZ.

Panienka trochę zmęczona.

BARONOWA.

Bajki! gdyby to było na balu, tańcowałaby do czwartéj z rana, i ani razu by nie siadła. To jasne jak dzień. (do Van Bucka.) A więc wszystko zerwane?

VAN BUCK.

Obawiam się tego; brak dojrzałości, małżeńskiego powołania...

BARONOWA.

On sam odmawia? to pięknie.

VAN BUCK.

Nie sądź pani, że moja w tém wina; klnę się na duszę świętéj pamięci ojca mego, że to tylko...

BARONOWA.

Ale nakoniec on odmawia. Cóż robić.

VAN BUCK.

Ach, pani, gdybym mógł szczerze wyjawić...

BARONOWA.

Coż to za hałas na dworze... spojrzyj no, plebanie.

PLEBAN.

Widzę powóz wywrócony przed bramą. Słudzy niosą tu jakiegoś młodzieńca zemdlonego.

BARONOWA.

Otóż masz! zamiast żywego, umarły nam przybywa. Co prędziéj przygotować gościnny pokój na górze. Panie Van Buck, proszę podać mi rękę, a ty Cesiu, zostaniesz tutaj aż powrócę. (wychodzą.)

SCENA III.

CESIA, sama.

Umarły! Boże, co za nieszczęście! a ranek tak się wesoło zaczął, jam się tak dobrze bawiła! Chciałabym widzieć, nie śmiem, nie mogę. Prawda że mi Henrysia mówiła, że to dzień feralny, i że musi się zdarzyć jakiś wypadek... Któż on jest? O nieba! to ten sam nieznajomy, któregom na balu widziała przeszłéj zimy... ależ on wcale nie umarły... rozmawia z mamą i wchodzi, kulejąc trochę. To on, ja się nie mylę; ale pocóż on tu przyjeżdża? Zobaczym.

SCENA IV.

CESIA, BARONOWA.

BARONOWA.

Nie trzeba ci tu zostać, w podobnéj chwili. Chodź Cesiu.

CESIA.

Mamo, czy on ciężko ranny?

BARONOWA.

Cóż ci do tego. Chodźże, kiedy ci każę. (wychodzą).

SCENA V.

VAN BUCK, WALUŚ, z podwiązaną ręką.

VAN BUCK.

Nieszczęsny chłopcze! czyś ty sobie na prawdę rękę złamał?

WALUŚ.

Prawdopodobnie, być może, i na to się istotnie zanosiło; ale na prawdę to co innego. (uwalnia sobie rękę.)

VAN BUCK.

Jakto! więc ty się nigdy nie poprawisz?

WALUŚ.

A jakżem mógł inaczéj wejść do zamku? przecież szturmem wziąść nie mogłem. Trzeba mi było jakiegoś niezwykłego zdarzenia, bym się mógł przedstawić incognito rodzinie narzeczonéj. Dałem pocztyljonowi luidora, polecając, aby mię wywrócił przed samym dworkiem. Uczciwy foryś co się zowie, i sumiennie się sprawił. Zajechał kołem do rowu z taką akuratnością że mogłem sobie na prawdę kark skręcić. Lecz wypadłem jak z procy i dobrze się stało: gdyż to daje całéj przygodzie jakieś interesujące piętno rzeczywistości.

VAN BUCK.

Cóż daléj? co ty zamierzasz?

WALUŚ.

Nie przybywam tu wcale żenić się z panną de Mantes,

ale przeciwnie, aby ci dowieść, żem tego nie powinien uczynić. Plan ułożony, dotąd wszystko idzie jak z płatka. Dotrzymałeś danego mi słowa jak Regulus, lub Hernani; nie nazwałeś mię siostrzeńcem, to najgłówniejsze i może najtrudniejsze. Trzeba oddać słuszność pani baronowéj, że mię tak dobrze podjęła, jak pocztyljon mię dobrze wywrócił. Teraz idzie o to, czy reszta równie gładko się powiedzie. Najprzód trzeba mi się oświadczyć, potém napiszę list...

VAN BUCK.

Mości siostrzanie!

WALUŚ.

Jedno słowo więcéj, biegnę natychmiast na pocztę i wracam do Paryża. Nie ma zmowy, nie ma żeniaczki; możesz mię wydziedziczyć i przekląć, jeśli ci się podoba. Podam cię do gazet Zobaczysz!

VAN BUCK.

A na cóżem dał się wciągnąć w to sprzysiężenie! Lecz nareszcie powiedz co masz na myśli?

WALUŚ.

Pamiętaj, wuju, co między nami stanęło. Jeżeli cię przekonam, tym lub owym sposobem, iż moja narzeczona w pewne rękawiczki może mię przystroić, sam zgodziłeś się na to, że byłbym szalonym, gdybym ją pojął za żonę.

VAN BUCK.

Ależ, mospanie, są pewne granice, pewne względy... proszę uważać, że jeżeli szukasz nowéj zabawki... Do licha, co za opętaniec!

WALUŚ.

Jeżeli zaś jest w istocie taką, jak o niéj sądzisz i mówisz, wszelkie niebezpieczeństwo znika, jéj cnota tém świetniejszy tryumf odnosi. Wyobraź sobie, że jestem pierwszym lepszym wędrowcem, żem zakochany wściekle w pannie de Mantes, czwartoroczné już małżonce jakiegoś tam znajomego ci Walusia. Domyśl się reszty, wiesz jak młodzież dzisiejsza jest śmiałą i przedsiębiorczą. Kto kocha, na cóż się nie odważy? Jakie wyprawy nocne, jakie arkuszowe listy! jakie potoki łez! jakie stosy cukierków! nic go nie odstrasza. O cóż pytać kochanka, cóż złego czyni i za co odpowiada? O mój wujaszku, kocha, więc mu będzie przebaczono; przypomnij sobie te czasy w których ty sam niemiłosiernie się kochałeś.

VAN BUCK.

Ja zawszem był przyzwoity w moich stosunkach z płcią piękną; spodziewam się że i ty przyzwoicie się zachowasz, inaczéj będziesz miał ze mną do czynienia!

WALUŚ.

O ja nic nie zamyślam co by niebyło przyzwoitém. Lecz ponieważ mam się kochać w pannie Cecylji, muszę się najpierwéj oświadczyć; potém napiszę kilka listów miłosnych; następnie zjednam sobie pokojówkę; daléj tułać się będę po kurytarzach i powyciskam na wosku wszystkie dziurki od kluczów; późniéj urządzę drabinę sznurową i powycinam szyby brylantem; nareszcie klęknę, deklamując jéj ustęp z Nowéj Heloizy; a jeżeli to wszystko nie wystarczy, utopię się na niby w sadzawce: ale przysięgam ci, że będę przyzwoitym aż do końca, nic niegrzecznego nie powiem, nic nieprzystojnego nie uczynię.

VAN BUCK.

Dla Boga! co za urwisz i niecnota! ja nic takiego nie zcierpię.

WALUŚ.

Ale pomnij no wujaszku, że to wszystko co ci powiedziałem, to ktoś inny za trzy lub cztery lata uczyni, jeśli panna de Mantes zostanie moją żoną; bo któż mi zaręczy na jaką zdobędzie się obronę, jeżeli sam się o tém nie przekonam? Drugi może o coś więcéj się pokusić, i będzie miał do tego więcéj czasu odemnie; żądając ośm dni tylko, dałem ci dowód wielkiego umiarkowania.

VAN BUCK.

To podstęp zbrodniczy; jam się tego nigdy nie spodziewał.

WALUŚ.

A czegoż innego miałeś się spodziewać, gdyś przyjmował naszą umowę?

VAN BUCK.

Ależ Walusiu, ja mniemałem, to jest sądziłem, że będziesz się zalecał... po ludzku... do panny... że jéj powiesz przypadkiem... że jéj zrobisz... i to jeszcze... tfu, do kaduka, ja się ciebie lękam. (Cesia przechodzi ogrodem w głębi.)

WALUŚ.

Otóż i nadobna Cesia do nas się zbliża, niby z niechcenia. Stój w odwodzie, będziesz świadkiem pierwszego spotkania i osądzisz.

VAN BUCK.

Ożenisz się z nią, jeżeli cię wyprawi z kwitkiem?

WALUŚ.

Zostaw mię i siedź cicho. Obaczysz co przynoszą szlachetne blizny, odniesione dla przypodobania się płci pięknéj. Nadewszystko proszę milczeć, bo chwila stanowcza nadeszła: zaprzysiężone słowo krewnemu jest podwójnie świętém. (Van Buck wchodzi do sąsiedniego pokoju.)

SCENA VI.

WALUŚ i CESIA.

WALUŚ.

Panienko...

CESIA.

Nie poznałam pana, przepraszam... jak się ma pańskie okulawienie?...

WALUŚ, na stronie.

Okulawienie, co za wyraz! (w głos.) Ja nie kuleję, panienko, tylko ramie trochę draśnięte. Są pewne blizny, które nam roskosz przynoszą, jeżeli ręka która je opatruje...

CESIA.

Zamówię dla pana czarkę buljonu. (wychodzi.)

SCENA VII.

WALUŚ, VAN BUCK.

VAN BUCK.

Ożenisz się i to zaraz. No cóż, prawda, że doskonała? Co za prostota! co za boska skromność, wybór najlepszy w świecie!

WALUŚ, osłupiały.

Pozwól, wujaszku, niech odetchnę; bardzo ci pilno w téj sprawie?

VAN BUCK.

Cóż trzeba ci więcéj? Widzisz jasno z kim masz do

czynienia, to anioł! Jakże będziesz szczęśliwy z taką małżonką! Idźmy wszystko wyznać przed baronową; przejednać ją, to do mnie należy.

WALUŚ.

Okulawienie, czarka buljonu! Tego przełknąć nie mogę. Takie wyrazy w ustach narzeczonéj! Wcale mi się nie podoba, brzydka i głupia. Do widzenia, wujaszku, odjeżdżam.

VAN BUCK.

Bluźnisz; a gdzie przysięga? czy ty szydzisz ze mnie albo mię bierzesz za podobnego sobie lamparta, że mię chcesz użyć do twoich niecnych zamiarów? Więc tu istotnie przybyłeś w nadziei uwiedzenia téj dziewiczéj duszy? Na Boga, gdybym to wiedział!...

WALUŚ.

Cóżem winien, że mi się nie podoba? ja za to nie odpowiadam.

VAN BUCK.

A dlaczego ci się niepodoba? Ja ci mówię, że bardzo ładna, ma śliczne oczy, pięknie oprawne, pyszne włosy jasnozłote, figurka niczego. Przytém starannie wychowana, umie po włosku, po angielsku, będzie miała do trzydziestu tysięcy rocznie, i do tego sutą wyprawę. Cóż jéj możesz zarzucić i czego więcéj wymagasz?

WALUŚ.

Jéj przymioty biją w oczy, lecz nie trafiają do serca. To pewna, że mi wcale nie do smaku jéj buljon i okulawienie.

VAN BUCK.

Miłość własna obrażona, nic więcéj. Gdybym nie był obecnym waszéj rozmowie, byłbyś mi tysiączne bajki prawił o łatwowierności twéj urojonéj zdobyczy. Sądziłeś ze w mgnieniu oka odniesiesz zwycięztwo, i to właśnie ci dolega. Zdaje ci się brzydka, bo zaledwie raczyła na ciebie zwrócić uwagę; zdaje ci się głupia, bo ci zniknęła z oczu, kiedyś jéj zaczął się oświadczać. O znam cię lepiéj niż ty sam siebie, i tak łatwo ci nie ustąpię. Nie ruszysz ztąd ani kroku.

WALUŚ.

Jak zechcesz; powtarzam ci, że twoją siostrzeńcową nie będzie. Ma ładne oczy, to prawda, lecz bez wyrazu. Co do jéj figury, to może jedno co najpiękniejsze, choć ci się inaczéj wydaje. Winszuję, że mówi po włosku, zapewnie w tym języku dowcipniejsza, niż w swoim własnym. Jeżeli ma sutą wyprawę, niech ją sobie zachowa.

VAN BUCK.

Co za warjat! już nie wytrzymam. Słuchajże com ci mówił dziś rano, to czysta prawda. Tyś do niczego i nie chcę się tobą dłużéj opiekować. Ożeń się z praczką, jeżeli ci do smaku. Skoro mię do tego zmuszasz, bywaj zdrów; może ci gra lepiéj poszczęści niż moje rady. Bóg mi świadkiem, że moja cierpliwość od trzech lat była taką, na jaką nikt się jeszcze nie zdobył...

WALUŚ.

Czy ja się mylę? Patrzaj, ona powraca...

VAN BUCK.

Gdzie, zkąd, co takiego?

WALUŚ.

Czy nie widzisz białéj sukienki, migającéj przez te bzowe krzaczki? To ona z pewnością. Żywo skryj się wujaszku. Nie trzeba żeby nas razem zastano.

VAN BUCK.

Ożenisz się łotrze, jeżeli wytrwa?

WALUŚ.

Ciszéj, otóż i ona.

SCENA VIII.

WALUŚ i CESIA.

CESIA.

Mam polecenie od mamy zapytać się pana, czy pan myślisz jeszcze dziś odjechać.

WALUŚ.

Tak jest: zamówiłem właśnie podwodę.

CESIA.

Będziemy grać w wista; mama bardzo prosi, aby pan raczył grać za dziadka.

WALUŚ.

Bardzo przepraszam, ale ja grać nie umiem, za dziadka.

CESIA.

Jeżeli pan dasz się zaprosić na obiad, będzie bażant z truflami.

WALUŚ.

Bażanty w téj porze roku? to wielka szkoda.

CESIA.

Wieczorem schodzą się goście, będziemy tańczyć mazurka.

WALUŚ.

Ja nigdy nie tańczę.

CESIA.

Nawet w téj porze roku? To wielka szkoda.

VAN BUCK, uchylając drzwi.

Co ty pleciesz Walusiu, wierutny kłamco!

CESIA, na stronie.

Walusiu? więc to jego siostrzeniec. (wychodzi.)

SCENA IX.

WALUŚ, VAN BUCK.

VAN BUCK.

Żenisz się lub nie żenisz? Na co te wykręty? Mówiłeś jéj żeś prosił o podwodę, czy to prawda?

WALUŚ.

Miałeś racyę wujaszku, ma w sobie cóś wcale niepowszedniego... twarzyczka wesoła, oczy figlarne, choć niewinne. Czyś zauważał drobniutki pieprzyk tu, przy ustach, zaledwie widzialny? czy figurka nie składna?

VAN BUCK.

I owszem, we wszystkiém doskonała.

WALUŚ.

Nie lubię tak rano grać w wista. Wszak dobrze grasz, wujaszku?

VAN BUCK.

Dlaczego?

WALUŚ.

Mógłbyś mię zastąpić.

VAN BUCK.

A więc zostajesz?

WALUŚ.

Być może, lecz nie przyrzekam. Jeżeli zostaję, to dlatego, żem się założył i nie chciałbym przegrać. Mam ochotę wypić ten buljon zamówiony przez Cesię; pójdę do siebie, i będę pisał aż do obiadu.

VAN BUCK.

Byleś nie do niéj pisał.

WALUŚ.

Jeżeli do niéj, to dla dotrzymania naszéj umowy.

VAN BUCK.

Sprzeciwiam się temu formalnie; co za potrzeba pisać, kiedy mogłeś jéj się ustnie oświadczyć. Chełpiłeś się z odwagi, a przecie...

WALUŚ.

Patrz, oto po raz trzeci się zjawia... widzisz ją tam, w alei.

VAN BUCK.

Krąży koło tarasu...

WALUŚ.

Nie, koło ognia krąży, nieroztropne dziewcze, jak olśniony motylek. Uważajmy na nią; jeżeli się ku nam odwróci, pokocham ją; jeżeli nie, wracamy do Paryża.

VAN BUCK.

Ja ręczę że ani spojrzy na ciebie.

WALUŚ.

Ja ręczę, że spojrzy, choćby ukradkiem. Pilnujmy tylko.

VAN BUCK.

Zdaje się czytać z uwagą... spojrzała, nie spojrzała... Zachodzi za szpaler. Wiedziałem, że się nie odwróci.

WALUŚ.

Musi nas przecie widzieć; drzwi otwarte i niezasłonięte. A, teraz się obejrzy.

VAN BUCK.

Już zniknęła, przegrałeś.

WALUŚ.

Napiszę do niéj, niech mię piorun trzaśnie. To rzecz niesłychana, żeby taka podlotka miała ludzi za ba i bardzo. Czysta obłuda, sztuczki niewieście. Poszlę jéj bilecik, dobitnie skreślony; powiem żem złamał sobie rękę, aby ją widzieć, że umieram z jéj miłości; że jeś li mię odtrąci, w łeb sobie strzelę, a jeśli na to zezwoli, wykradnę ją jutro z rana.

VAN BUCK.

Hola, siostrzanie, cóż ci głowę zajechało! Jeżeli tu jaką psotę wyrządzisz...

WALUŚ.

A czy kilka liter nic nieznaczących, mogą ją przekonać że ją kocham? Dość jéj dałem poznać że mi jest obojętną; cóż dziwnego, że się nie obejrzała. Sam siebie zwodzę, mówi wujaszek, unoszę się dumą i miłość własna mię zaślepia, być może; lecz nim co bądź postanowię, ja muszę czytać w jéj duszy.

VAN BUCK.

Dalipan, gadasz jak zakochany. Gdzie idziesz i co ci się stało?

WALUŚ.

Nic się nie stało; idę pisać list miłosny, zapalczywy; treść już mam ułożoną.

VAN BUCK.

Ja tu na żadne listy nie pozwalam, zwłaszcza na takie; lecz oto baronowa z plebanem. (wychodzą.)

SCENA X.

BARONOWA i PLEBAN

BARONOWA.

Mów co chcesz, plebanie, ale grać z dziadkiem to rzecz nieznośna; ja dla tego wsi nie cierpię.

PLEBAN.

Ale gdzież jest pan Van Buck?

BARONOWA.

Jest u tego jegomości, co to wyleciał z powozu; a prawdę mówiąc, to wcale niegrzecznie, że nam na obiad nie zostaje.

PLEBAN.

Jeżeli ma jakie pilne interesa...

BARONOWA.

Interesa! a któż ich nie ma? śliczna wymówka. Kto widział zawsze myśleć o interesach, nawet w podróży? To do niczego nie prowadzi. Wiesz co plebanie, zagrajmy trochę w pikieta; muszę sobie humor naprawić. (siadają.)

PLEBAN.

To pewna, że dziś młodsi ludzie nie grzeszą zbytnią grzecznością.

BARONOWA.

Zbytnią? bardzo wierzę. Gdzież jéj się mogli nauczyć? Pewno nie tam gdzie całe życie przepędzają. A być grzecznym, to nie dosyć. Marszałek mój jest grzeczny. Za moich czasów, plebanie, bywali ludzie uprzejmi.

PLEBAN.

Dobre to były czasy, pani baronowo.

BARONOWA, rozdając karty.

Interesa! A gdyby mój brat nieboszczyk, który był na urzędzie w królewskim domu, był wypadł z kolasy przed jakim pałacem, i był gościnnie przyjęty, byłby wolał cały majątek stracić, niż wymawiać się interesami od pierwszego zaproszenia! Każdy przecież ma swoje, ja także... Ale, ale, bal dzisiejszy... czas by się nim zająć a niepodobna... Otóż i ból głowy.

PLEBAN.

W tak ważnym wypadku, czyżby nie można odłożyć...

BARONOWA.

Odłożyć? bredzisz, mój plebanie. Sprowadziłam z Paryża całe przedmieście Saint-Germain, a teraz mam je przeprosić i za drzwi wypędzić. Zastanów się nad tém co mówisz.

PLEBAN.

Mniemałem, że w podobném zdarzeniu, można to było uczynić, nie obrażając nikogo.

BARONOWA.

A prócz tego kłopotu, świece nie nadeszły! Obaczże plebanie, czy jest tam Dupré.

PLEBAN.

Podobno się zaprząta chłodnikami.

BARONOWA.

A prawda! te przeklęte sorbety, to aż nudności biorą. Już tydzień jakem o nie pisała, a dopiero co przyniesiono. A jakie! chyba spragniony do upadłego wypije. Na plebana karty dobierać. Czy wszystkie?

PLEBAN.

Wszystkie; ani jeden as w ręku. Oto pan Van Buck.

SCENA XI.

CIŻ i VAN BUCK.

BARONOWA.

Nie przerywajmy sobie. Mógłby myśleć że na niego uważam; proszę zadawać.

VAN BUCK z cicha, do Baronowéj.

Proszę pani, dwa słowa, ale nadzwyczaj pilne.

BARONOWA.

Dobrze, po obliczeniu.

PLEBAN.

Pięć kart, warte czterdzieści pięć.

BARONOWA.

To niedostaje. (do Van Bucka.) Cóż takiego?

VAN BUCK.

Upraszam panią o chwilę posłuchania; nie mogę mówić przed trzecią osobą, a co mam powiedzieć nie cierpi żadnéj zwłoki.

BARONOWA, powstając.

Trwożysz mię pan. O cóż idzie?

VAN BUCK.

Jest to sprawa bardzo ważna... Pani może się na mnie rozgniewać, lecz więcéj się lękam jéj frasunku. Konieczność mię zmusza uchybić przyrzeczeniu, do którego mię zbytnie zaufanie skłoniło.

BARONOWA.

Nareszcie radabym wiedzieć...

VAN BUCK.

Młodzieniec przez panią w gościnę przyjęty, jest moim siostrzeńcem.

BARONOWA.

Ale co za fortel...

VAN BUCK.

Chciał się zbliżyć do pani niby przypadkowo, niepoznany. Rad nie rad przychyliłem się do jego zmyślenia, które w podobnych razach nie jest nowiną...

BARONOWA.

To pewna; dawniéj jeszcze lepsze bywały.

VAN BUCK.

Ale uprzedzam panią, że w téj chwili napisał list do panny de Mantes, i to w stylu najmniéj wstrzemięźliwym. Ani moje groźby, ani błagania nie zdołały go upamiętać, i jeden z dworskich ludzi, z żalem to wspominam, podjął się wręczyć jéj Walusia pismo. Jest to oświadczenie miłosne, i muszę dodać, najdziwaczniejsze.

BARONOWA.

Czy tak? to dosyć zwinnie. Główki mu nie brak, panu siostrzeńcowi.

VAN BUCK.

Jakim żyw, to prawda. Nie dopiero na tém się poznałem; więc od pani zależy obmyśleć środki i zaradzić temu co się stało. Pani jesteś u siebie; masz w ręku wszystkie nici téj intrygi; co do mnie, wyznaję że zaledwie dyszę, i że nogi aż mi się trzęsą. (upada na krzesło.)

BARONOWA.

Cóż ci jest, sąsiedzie? pobladłeś jak skazany wyrokiem śmierci. Co żywo, opowiedz mi całe zdarzenie.

VAN BUCK.

Wszystkom wyznał, szczerze, bez ogródki.

BARONOWA.

Więc to wszystko? bądźże spokojny. Jeżeli pan Walenty napisał do Cesi, Cesia mi list pana Walentego pokaże.

VAN BUCK.

Czy pani baronowa tak sądzi? To może być bardzo wątpliwém.

BARONOWA.

Nie dla mnie. Tego by jeszcze trzeba, żeby moja córka nie pokazała mi listu od obcego kawalera.

VAN BUCK.

Jabym się o gardło nie założył.

BARONOWA.

Co to znaczy, panie sąsiedzie? W jakim że to świecie żyjesz, że śmiesz o tém powątpiewać? Już nie wiem co się dzieje w kraju, ani jak tam wasze mieszczaństwo się rządzi; ale jakem baronowa de Mantes, tego nadto. Właśnie Cesia nadchodzi, obaczysz że mi list przynosi. Na ciebie, plebanie, gra nieskończona. (siada.)

SCENA XII.

CIŻ, CESIA.

PLEBAN.

Czterdzieści pięć nie dostają?

BARONOWA.

Ani oko. Czternaście z asa, sześć i piętnaście, to dziewiędziesiąt pięć u mnie. Teraz na plebana.

PLEBAN.

Żołądź. Zdaje mi się, żem przegrał.

CESIA na stronie, siadając w głębi.

Wujaszek z mamą? to dobrze.

VAN BUCK z cicha, do Baronowéj.

Dotąd panna Cecylja jakoś się nie odzywa.

BARONOWA z cicha, do Van Bucka.

Nie wiesz sam co mówisz. To pleban jéj zawadza. Jestem jéj tak pewną jak siebie saméj. Stoimy na równi, plebanie; markuję sto siedmnaście. Proszę o karty.

SŁUŻĄCY, wchodząc.

Proszę jegomości, ktoś czeka na dworze.

PLEBAN.

Kto taki?

SŁUŻĄCY.

Organista i kościelny.

PLEBAN.

Czego im trzeba? powiedz żem zatrudniony.

SŁUŻĄCY.

To nasza mleczarka, znowu powiła bliźnięta.

BARONOWA.

Sąsiad niech karty odbierze; będzie grał za plebana. (Pleban odchodzi za Służącym.)

SCENA XIII.

VAN BUCK, BARONOWA, CESIA.

BARONOWA.

Proszę tasować, zbieram. Podobno znaczysz króla. Cóś palce nie dopisują.

VAN BUCK, z cicha.

Powiem pani, że nie jestem spokojny; córka dotąd milczy.

BARONOWA.

Bo wstydzi się mówić przed panem. Widzę jak mruga na mnie z ubocza.

VAN BUCK.

Doprawdy mruga? nie widzę.

BARONOWA.

Cesiu, chodźże do mnie. Czemu tak daleko siedzisz? Cesia się przesiada.) Czy masz mi co powiedzieć, moje dziecię?

CESIA.

Ja, mamo? Nic wcale.

BARONOWA.

Nic? to szczególnie. Cztery karty wszystkiego, panie Van Buck. Na pana stawka; mam trzy walety.

VAN BUCK.

Czy mam panie same zostawić?

BARONOWA.

Ale nie, to nic nie szkodzi. Cesiu, możesz mówić w obecności pana.

CESIA.

Ja mamo, o niczém nie wiem.

BARONOWA.

Nic nie masz mi do powiedzenia?

CESIA.

Nie, mamuniu.

BARONOWA.

To niepojęte; cóżeś mi dopiero gadał, sąsiedzie?

VAN BUCK.

Najszczerszą prawdę, baronowo.

BARONOWA.

To być nie może. Cesia nic nie mówi, rzecz jasna, że nic nie odebrała.

VAN BUCK.

Do kaduka, widziałem na własne oczy.

BARONOWA, powstając.

Cesiu, co to ma znaczyć? Wstań, trzymaj się prosto. Patrz na mnie. Co tam masz w kieszeni?

CESIA, wyjmując list.

To nie moja wina, to ten panicz do mnie napisał.

BARONOWA.

Pokaż. (Cesia podaje list.) Ciekawam bardzo poznać styl tego panicza, jak go nazywasz. (czyta.)

« Łaskawa panienko,

« Umieram z miłości dla ciebie. Widziałem cię raz tylko przeszłéj zimy, a wiedząc że jesteś na wsi, postanowiłem znowu cię ujrzyć lub zginąć. Dałem luidora pocztyljonowi... »

Czy też nie żąda aby mu zwrócono? Bardzo to nam potrzebne wiedzieć.

« Pocztyljonowi, za to żeby mię wywrócił przed samym dworem. Dwa razy panią spotkałem z rana, lecz nie mogłem słowa powiedzieć, takem był zmięszany jéj obecnością. Teraz obawa stracenia jéj na zawsze, konieczność nagłego wyjazdu... »

To lubię! któż go wyganiał? to przeciwnie on sam nie chce zostać na obiedzie.

« Ośmielają mię prosić panią o chwilowe zejście. Wiem że nie zaskarbiłem sobie prawa do jéj zaufania... »

Trafne spostrzeżenie i w samą porę.

« Ale miłość wszystko uświęca. Więc dziś wieczorem o dziewiątéj, podczas balu, ukrytym będę na folwarku pod laskiem. Domowi sądzić będą żem już daleko, bo pożegnam się przed obiadem, lecz o parę kroków się zatrzymam. »

O parę kroków! ktoby powiedział, że cały gościniec zajęczym susem przeskoczy.

« Jeżeli dziś wieczorem raczysz mię uszczęśliwić jedną chwilką rozmowy, postaraj się o to, abym zastał furtkę od pawilonu otwartą; jeżeli nie, to w łeb sobie wypalę... »

A, to nie źle.

« Wypalę. Jak sądzę twoja matka...

Twoja matka; to się do mnie stosuje.

« Nie bardzo tobą zajęta. Mówią, że ma głowę jak chorą...

VAN BUCK, na stronie.

A do diabła.

BARONOWA.

Mości Van Buck, co to znaczy?

VAN BUCK.

Ja nie słyszałem, pani.

BARONOWA, podając mu list.

Przeczytaj sam; bądź łaskaw powiedzieć twojemu siostrzeńcowi, żeby natychmiast się wynosił i nigdy nie wracał.

VAN BUCK, czytając.

« Giewka na dachu... » giewka...

BARONOWA.

Nie, cokolwiek wyżéj.

VAN BUCK.

A! « Głowę, jak chorągiewka na dachu... » Masz tobie. Lecz jam tego nie widział, na sumienie, a przecież mi list przeczytał, nim go złożył i zapieczętował.

BARONOWA.

Przeczytał list, a pan pozwoliłeś oddać go moim ludziom? Pan jesteś stary ciemięga, i nie chcę odtąd z nim przestawać. Ty, Cesiu, wejdź tu i nie wychodź, aż cię uwolnię.

CESIA.

Lecz, moja mamo...

BARONOWA.

Proszę nie odpowiadać. Ja cię nauczę... (wprowadza ją do sąsiedniego pokoju i zamyka.)

SCENA XIV.

BARONOWA, PLEBAN, VAN BUCK.

PLEBAN.

Przychodzę oznajmić pani, że ludność wiejska znowu się zwiększa...

BARONOWA, chowając klucz w stoliku.

Dzięki Bogu, Cesia pod kluczem.

PLEBAN.

Pod kluczem? cóż się dzieje? (do Van Bucka.) Cóż ci jest, panie...

VAN BUCK.

Co mi jest? Że już mam tego po uszy.

BARONOWA.

Ja podobnie.

VAN BUCK.

Że opuszczam ten dom bezpowrotnie, żałując tylko, żem kiedykolwiek pański próg przestąpił.

BARONOWA.

A ja, żem w nim pana przyjęła. (wychodzą.)

SCENA XV.

PLEBAN, CESIA, w bocznym pokoju.

PLEBAN.

Co za dziwne zrządzenie... (Cesia puka do drzwi.) Proszę.

CESIA, w pokoju bocznym.

Nie mogę, jestem zamknięta.

PLEBAN.

A prawda. Musiały się tu dziać rzeczy niesłychane, przewrot zupełny.

CESIA.

Plebanie, plebanie, chciéj mi otworzyć.

PLEBAN.

Bardzo radbym, panienko, ale bez pozwolenia wyższego...

CESIA.

Klucz jest tam, w szufladzie.

PLEBAN.

A zkądże pani wiadomo...

CESIA.

Patrzałam przez dziurkę; proszę bardzo wziąść ze stolika i otworzyć.

PLEBAN.

A, masz pani słuszność; jest klucz, lecz użyć go nie powinienem, choć mi to bardzo boleśnie.

CESIA.

Ach, mój Boże, omdlewam !

PLEBAN, wyjmując klucz.

Co słyszę! Zbierz Cesiu zmysły, biegnę po panią baronową. Czy podobna ! Tak nagła słabość ! Co tu robić? Na Boga, odpowiedz mi Cesiu, czy ci lepiéj ?

CESIA.

Mdleję, umieram...

PLEBAN.

Czy mogę zostawić bez ratunku, tak miłą wszystkim osobę?... Biorę to na siebie i otwieram; niech sobie gadają co chcą. (odmyka drzwi.)

CESIA, wylatując.

Biorę to na siebie i uciekam, niech sobie gadają co chcą. (ucieka.)

AKT TRZECI.

Domek pod laskiem.

SCENA I.

VAN BUCK, WALUŚ.

VAN BUCK.

Jeszcze drugi list? to szaleństwo.

WALUŚ.

I dziesięć i dwadzieścia innych, jeżeli trzeba. Skoro ta zajadła baronowa wytropiła naszezejście, musiałem sobie powtórne zabezpieczyć, i czekam właśnie na odpowiedź. Jest tam kto ?

PIWNICZY, wychodząc z domu.

Może panowie każą sobie nakryć do wieczerzy ?

WALUŚ.

Daj nam tylko szampana, jeżeli dostanie.

VAN BUCK.

Pewnie octu przyniosą, zamiast wina.

PIWNICZY.

Przepraszam, mamy w domu co tylko można sobie życzyć.

WALUŚ.

Doprawdy? w takiéj dziurze? zkądżeby to się wzięło.

PIWNICZY.

Tu bywa zjazd myśliwski; piwnica lepiéj zaopatrzona niż w mieście. (przynosi wino w lodzie i odchodzi; Van Buck popija sobie podczas rozmowy.)

WALUŚ.

No, wujaszku, cokolwiek więcéj stałości.

VAN BUCK.

Nie odstąpię cię na chwilę; przysięgam na to światło słoneczne, na duszę szwagra nieboszczyka, że póki będę stał na nogach, póki mam głowę na karku, nie dopuszczę tego zbrodniczego czynu; będę się opierał aż do śmierci.

WALUŚ.

Upór na upór; przysięgam na tę noc, która nas niebawem otoczy, na ten mój gniew słuszny równie jak zawzięty, że póki będę miał piór i atramentu, wypełnię mój zamiar i dokonam, choćby się ziemia podemną zapadła.

VAN BUCK.

Gdybyś to jeszcze kochał się na prawdę; gdybym mógł sądzić że to dziwactwo ma jakieś pobudki ludzkie i szlachetne; lecz nie! tyś jest drugi Lovelace, tyś niecny zwodziciel, bałamut : najokropniejsza zemsta jest jedynóm twém pragnieniem i miłością. Nie, tyś nie jest moim siostrzeńcem !

WALUŚ.

Gdybym cię jeszcze widział gniewnym na prawdę; gdybym mógł cieszyć się myślą, że przeklinasz tę baronowę i całą jéj czeredę; lecz nie! lękasz się tylko zaczętéj wojny, nie czujesz obelgi jaką nam wyrządzono. Nie, nie! tyś nie jest moim wujaszkiem ! Ja téj dziewczyny nie kocham; lecz gdybym nawet i kochał, zemsta byłaby silniejszą, i tłumiłaby miłość w méj duszy. Przysięgam że będzie moją kochanką, lecz nigdy żoną. Już nie ma zakładu, ani obietnicy, ani możliwéj przemiany. Zapłoń się wujaszku, lecz zapłoń się sromem oburzenia. Zowiesz mię Lovelacem, przebóg, to nazwisko wcale mi nie ubliża! Jak jemu, zamykają mi dumne i herbową tarczą warowne wrota; jak jemu, nienawistna rodzina rzuca mi ostatnią zniewagę; jak jemu, jak sokołowi, trzeba mi krążyć w pobliżu cudzego gniazda: lecz jak jemu, wypatrzona zdobycz mi nie ucieknie, i jak Klaryssa, udane rajskie niewiniątko do mnie należeć będzie.

SCENA II.

CIŻ, POSŁANIEC.

POSŁANIEC.

Oto jest odpowiedź.

WALUŚ.

Daj. Zwinąłeś się, bratku.

POSŁANIEC.

Zastałem właśnie pokojówkę, przy furtce pawilonu odniosła list i ten mi za jednym obrotem wręczyła.

WALUŚ.

Masz luidora i zmykaj.

POSŁANIEC.

Bóg zapłać. (odchodzi.)

SCENA III.

VAN BUCK, WALUŚ.

VAN BUCK.

Jest za co płacić; odprawa pewna.

WALUŚ.

Co, ten bilecik?

VAN BUCK.

Ani wątpić nie można; po drugi raz dostajesz odkosza. Otwórzno tę kartkę, wiem już co ci piszą.

WALUŚ.

I ja wiem także.

VAN BUCK.

Półgłówek! żalisz się na obelgę, a drugą na siebie ściągasz.

WALUŚ.

Obelga! tu, w tym liście? O zbyt młody, niedoświadczony wujaszku! ale przypatrz się jaki ładny, a chociaż tak spiesznie napisany, jak się mile wdzięczy!... Patrz nadewszystko jak ślicznie złożony!... Widzisz te trzy różki z wyciśniętym pierścionkiem w pośrodku? To się nazywa u nas kapelusik. Tak się nie pisze ani do rejenta, ani do prababki, ani do plebana, ani do przyjaciołek od serca. Obelga? Wierzaj mi, wujaszku, nigdy list pałający gniewem tak się nie składa.

VAN BUCK.

Rozwińże twój kapelusik, jak go tam sobie nazywasz, i czytaj.

WALUŚ.

Zawiera tylko jedno słowo.

VAN BUCK.

Tylko jedno?

WALUŚ.

Jedno słowo.

VAN BUCK.

To lakonicznie, jak na dziewczynę... A to słowo, co też mówi?

WALUŚ.

To słowo mówi: « Przyjdę! »

VAN BUCK.

Przyjdę?

WALUŚ.

Sam obacz.

VAN BUCK.

Czy podobna!

WALUŚ.

A podobna, jak się zdaje. Podobna do wszystkich. Wychylże śmiało ten kielich, i przestań się dziwić.

VAN BUCK.

To prawdziwie niepojęte! A tyś pisał do niéj o drugą schadzkę?

WALUŚ.

O cóż miałem pisać? chyba o brzoskwinie z ogrodu. Pijże, wujaszku. Choćbyś sto razy ten bilecik obejrzał, innego słowa nie wyczytasz.

VAN BUCK.

Taki list pisany *ex abrupto*, taka odpowiedź jednosłowna, a to jedne słowo: « Przyjdę! » Na uczciwość, to słowo mąci wszystkie moje wyobrażenia, nic podobnego w życiu mi się nie zdarzyło. Jam cię dotąd miał za szaleńca, samo uczucie przyzwoitości burzyło się we mnie na widok twego zuchwalstwa; lecz wyznaję że to słowo: « Przyjdę! » mózg mi zawraca i gnębi; to słowo jest więcéj niż dziwném, jest bezprzykładném: i gdybyś nie był moim siostrzeńcem, myślałbym prawie że masz słuszność. (Mrok zapada.)

WALUŚ.

Co by nie dowodziło że się mylisz. Hej, piwniczy! przynieś drugą. Na tym świecie każdy się rządzi, jak najlepiéj sądzi. Jedno słówko mniéj lub więcéj nic nie stanowi. Wiesz co, wujaszku, zgoda; zamiast surowości, pojednanie; zamiast gniewu, miłostka; zamiast kłótni, kochajmy się!... To słówko które cię zdumiewa, nie tak płonne jak się zdaje. Téj dziewczynce nie brak dowcipu i nawet czegoś więcéj; w tém słowie: « Przyjdę! » jest cóś serdecznego i śmiałego, jest prostota i męztwo. Jak wielkim mistrzem jest serce! Ono samo jest tak ścisłém, wymowném; i co znajdzie bez namysłu, tego nikt z największym trudem nie wyszuka.

VAN BUCK.

Pamiętam że będąc w Hadze, miałem podobną awanturę. Była to sobie okazała dziewczyna, pięć stóp i kilka cali wysokości nad poziom morza; a wdzięki, kwieciste jak róże. Co to za boginie te Holenderki! One stworzyły Rubensa; wy młodzi ani wiecie co to kobieta. Wszystkie wasze Paryżanki, to pół ciała pół bawełny.

WALUŚ.

No, wujaszku, zdrowie twéj bogini!

VAN BUCK.

Wiesz że jak na karczemkę, to wino niezgorsze. Trzeba mi było trochę wypocząć, teraz mi jakoś lepiéj.

WALUŚ.

Zawieramy więc ugodę. Najprzód, zezwalasz na naszą schadzkę.

VAN BUCK.

Co do tego, nigdy.

WALUŚ.

Przysięgam że nic nie zrobię, czegobyś sam nie uczynił na mojém miejscu. Wszak to wszystko wypowiada? Widzisz wujaszku jak ci ulegam, i jak we wszystkiém stosuję się do twéj woli. Bo w istocie, poznaję że gniew czasami źle radzi. Zezwalasz więc na półgodzinną pogadankę, a ja z méj strony wyrzekam się wszelkiéj zemsty. Cesia wróci do domu, my do Paryża, i wszystko będzie skończone. Co do pani baronowéj, puszczam ją w zapomnienie i najzupełniéj przebaczam. (Noc zupełna.)

VAN BUCK, podcięty.

No, chłopcze, zgoda na to. Ba i bardzo, żenić się z trusiami piszącemi tak lakonicznie: « Przyjdę! » A skoro mi obiecujesz, Walusiu, sprawić się grzecznie, rób sobie co tam chcesz i gadaj zdrów. A przecież ci żony nie zbędzie za tę jedną głupią odprawę. Spuść się na mnie. Świat nie powie że jedna stara fiksatka, jak ona, skrzywdziła dwóch przystojnych ludzi, jak my, wzbogaconych skutkiem własnéj pracy, a nie jakiemiś tam urojonemi dyplomami na oślej skórze. Kiedy kto ma sześćdziesiąt tysiączków intraty pewnéj...

WALUŚ.

Pięćdziesiąt, wujaszku.

VAN BUCK.

Sześćdziesiąt, do licha! « *In vino veritas!* »

WALUŚ.

Wiwat!

VAN BUCK, pije i śpiewa.

Temu nigdy nie braknie ani żony, ani butelki.

Patrz jak mile księżyc świeci;
Dla kochanków noc to dzień,
Bo żar słońca w sercu nieci,
A rumieńce skryje cień.

WALUŚ.

Zdaje mi się że widzę jakieś światełka błądzące po lesie. Czyby nas chciano wytropić?

VAN BUCK.

To pewnie muszki świętojańskie... tak za moich czasów jaśniały...

WALUŚ.

Albo bal dzisiejszy u baronowéj. Rozejdźmy się, dla ostrożności. Wrócisz do gospody, każesz sobie dać herbaty, będziesz ćmił flamandzki tytoń i marzył o flamandzkich boginiach. Tak będzie ci jeszcze lepiéj; za półgodziny się zobaczym.

VAN BUCK.

Dobra rada. Szczęść Boże, chłopaku! opowiesz mi twoją pogadankę, zrobimy z niéj sielankę. Tak ongi zawsze bywało! Co sukienka, to piosenka; co szczebiotka, hajże zwrotka! (śpiewa.)

« Mów Zosiu miła,
Czyś ty z gubiła
Podwiązkę w lesie?
Podobno tam...
Dasz wianek świeży
Temu z młodzieży
Kto ją przyniesie?...
Dam, pewnie dam. »

Że da, o tém ani wątpić...

SCENA IV.

BARONOWA, PLEBAN z latarką, później VAN BUCK.

BARONOWA.

Oczywiście zwarjowała; to jakiś urok jéj się czepił.

PLEBAN.

Ja wchodzę, ona zaczyna krzyczeć : « Omdlewam! » Wystaw sobie pani moje położenie.

BARONOWA.

I właśnie w téj chwili zajeżdża powóz. Zaledwie zdążyłam zawołać na pana Dupré. Otóż pan Dupré nie był w domu. Wysiadają i wchodzą; była to margrabina Valangoujar z córkami i baron Villebouzin z ciotką.

PLEBAN.

Gdym jéj wołanie zasłyszał, struchlałem i nie wiedziałem co począć. Zdawało mi się ją widzieć bezprzytomnie leżącą na ziemi; krzyczała w niebogłosy, a ja miałem klucz prawie pod ręką.

VAN BUCK, śpiewa w gospodzie.

« Różowa, wązka,
Moja podwiązka
Wpadła do wody,
Już nie wiem gdzie;
Lecz mam z doliny
W koszu maliny,
Śliczne jagody
I gruszki dwie. »

BARONOWA.

Kto tam śpiewa w téj gospodzie? Zdaje mi się że jakiś głos znajomy.

PLEBAN.

Pewnie to chrzciny dzisiejsze... na co się zdały moje przestrogi? musi być dobrze podcięty.

BARONOWA.

Czy téż to się godzi, plebanie! Córka w lesie, trzydzieści powozów za bramą. Nie, ja takiéj chwili nie przeżyję.

PLEBAN.

Jeszcze, gdybym miał był czas, byłbym ją może powstrzymał za mantylkę... lub przynajmniéj mojemi prośby, w imie własnéj godności...

VAN BUCK, wychodząc z gospody.

Jasio przynosi
Podwiązkę Zosi;
Za świeży wianek
Daje pęk róż..
Lecz gdy przypięła,
Ona krzyknęła :
« Gdzie mój kochanek ?
On zemknął już! »

Ale gdzież jest ten Waluś? On zemknął już!

BARONOWA.

To Van Buck! Ach, zginęliśmy, sąsiedzie. Cesia oszalała, uciekła gdzieś do lasu. Czyś jéj nie widział przypadkiem w gęstwinie? Uciekła; to jak sen okropny. Wywróciła plebana, który ją chciał powstrzymać, i przeleciała przez niego. Trochem była ostra dla sąsiada... nie mówmy już o tém. Pomóż mi ją wynaleść i zgoda. Jesteś moim starym przyjacielem, nieprawda? Jam jest matką, panie Van Buck. Ach, nieszczęsna godzino! Zawistny losie, jakże cię przebłagać!

VAN BUCK.

Czy może być, pani baranowo? sama i piechotą, szukająca zgubionéj córki? Wielki Boże! Ja na łzy jéj patrzeć muszę. Tego przenieść nie mogę. (płacze.)

BARONOWA.

Cóż się to z nim dzieje?

PLEBAN.

Zdaje się być mocno rozrzewniony. Czy miałbyś pan jaką wiadomość, lub tylko wskazówkę? Racz nas oświecić, jeśli łaska.

VAN BUCK.

Weźmy tę latarkę, baronowo, i szukajmy. Daj Boże byśmy jeszcze ich oboje bez uszkodzenia znaleźli! Opowiem pani wszystko : Waluś jest człowiek honorowy, może da się to jakoś naprawić.

BARONOWA.

Więc to była schadzka? Widzicie tę filutkę! Na kogóż tu się można spuścić, jeżeli ona... (Wychodzą.)

SCENA V.

WALUŚ i CESIA.

WALUŚ.

Cesiu, Cesiu, czy to ty?

CESIA.

To ja. Widzisz że dotrzymuję słowa. Co znaczą te światełka w lesie?

WALUŚ.

Nie wiem. To gdzieś tam daleko.

CESIA.

Zbliż się tu, gdzie księżyc świeci.

WALUŚ.

Nie, chodź tu raczéj, gdzie ciemno. Może być że cię szukają, trzeba się nocą zasłonić.

CESIA.

Twéj twarzy bym nie widziała. Panie Walenty, proszę słuchać.

WALUŚ.

Gdzie tylko chcesz, najmilsza; gdzie ty pójdziesz, ja będę twoim cieniem. (siadają na darninie.)

CESIA.

Nie mogłam wcześniéj przybyć do ciebie. A ty, czy już od dawna czekasz?

WALUŚ.

Od samego zmroku. Widzisz ten list łzami zroszony: to twój bilecik.

CESIA.

Łzami? powiedz że deszcz i zawieja ten papier zwilżyły.

WALUŚ.

O nie, droga Cesiu, to moja radość i kochanie. Cóż cię to niepokoi? co szukasz w koło siebie?

CESIA.

Jakoś się tu nie poznaję, choć co dzień prawie tu przychodzę. Jam spodziewała się zastać wujaszka, pana Van Bucka.

WALUŚ.

Wujaszek się uraczył szampanem, jak za dawnych czasów.

CESIA.

Uraczył? co to ma znaczyć?

WALUŚ.

To jest, podochocił sobie porządnie.

CESIA.

Wujaszek sobie podochocił? To jakieś dziwne wyrazy.

WALUŚ.

Chcę mówić że łyknął, dla przysporzenia sobie animuszu... Mniejsza o to. Mama przyjmuje gości, jesteśmy bezpieczni.

CESIA.

Tém lepiéj. Dlaczego dziś z rana wujcio chował się w bibliotece?

WALUŚ.

Dziś z rana?

CESIA.

Tak jest, gdym z tobą mówiła, on stał za drzwiami; czyś ty nie wiedział o tém?

WALUŚ.

Bynajmniéj; to przywidzenie.

CESIA.

Ale widziałam go, jak ciebie widzę, bo właśnie drzwi odmykał kiedym wchodziła do salonu. Chciał może nas wyśledzić?

WALUŚ.

On? gdzie tam; to przez sen ci się zdało. Zresztą to rzecz obojętna. — Podaj mi rączkę.

CESIA.

Z całego serca, mój drogi. — Dlaczego w twoim liście wczorajszym, źle się wyraziłeś o mojéj matce?

WALUŚ.

Przebacz mi tę chwilę obłędu, nie byłem panem sam siebie.

CESIA.

Mówiła mi o ten list, a jam pokazać go nie śmiała. Łatwo było przewidzieć skutki. Jéj gniew wybuchnął jak burza, i odtąd nie miałam innéj nadziei ratunku jak ta wycieczka. Lecz uchybiając méj matce, mogłeś pamiętać że mnie saméj uchybiasz.

WALUŚ.

Nie mówny o tém, skoro mi przebaczasz. Ach, moja Cesiu, jakiémże zaklęciem mogę ci zawdzięczyć za tyle zaufania?

CESIA.

Tak jest, Walusiu, serce moje szczere. — Dlaczego wchodząc do nas, utaiłeś swoje nazwisko?

WALUŚ.

Nie mogę ci tego powiedzieć; byłto zakład, dotąd jeszcze nie rozegrany.

CESIA.

Zakład, a z kimże? o co?

WALUŚ.

Już nie wiem. Drobnostka nie warta wspomnienia. Lecz dlaczego tak jesteś ciekawa? na co wszystkie te pytania Czy mię nie kochasz? Ach, odpowiedz mi «kocham,» a w tém jedném słowie cały świat będzie zawarty.

CESIA.

Tak, mój Walusiu, Cesia cię kocha, i chciałaby godniejszą być kochania; lecz dość jéj na tém jeżeli to czém jest, dla ciebie wystarcza. Dlaczego mi odmówiłeś, kiedym cię prosiła na obiad?

WALUŚ.

Chciałem odjechać, różne miałem przeszkody.

CESIA.

Nie wielkie, jak się zdaje, ani zbyt dalekie; boś wysiadł przy skręcie gościńca. Dlaczego mi mówiłeś że nie tańczysz mazurka? przecież tańczyliśmy razem.

WALUŚ.

Gdzie? nie pamiętam.

CESIA.

U pani de Gèvres, na ślicznym balu maskowym Byłam przebraną za Rzymiankę. — Jakto, czy zapomniałeś? A w liście wczorajszym pisałeś mi żeś mię widział téj zimy. — To właśnie tam.

WALUŚ.

A tak, prawda, pamiętam. O spojrzyj jak ta noc jest pogodna! Wszystko spoczywa, oprócz serca kochanków. Pozwól niech tę zasłonę odchylę, niech ją zastąpię mojém ramieniem.

CESIA.

Mój Walusiu, chciałabym ci się wydawać piękną; lecz nie odbieraj mi ręki. Ja mam serce na dłoni, i tą drogą do twojego dąży. — Tańcowałeś zemną; gdyśmy drzwi przebiegali, spinka z włoskiego czepca wypadła, i wszystkie włosy na stanik mi się rozwinęły. Czy teraz odgadłeś, niewdzięczny? ścisnąłeś mię za rękę; a jam się zapłoniła, ze wstydu czy z radości, nie wiem: lecz od téj chwili wiedziałam że mię też kochasz, i pierwszy wyraz twego listu mię o tém upewnił. O jak serce bić mi zaczęło! wierzaj mi, to dowodzi niezachwianą miłość, i dla tego jestem tu, przy tobie. Lecz dlaczego chciałeś odjechać, i udawałeś że wracasz do Paryża?

WALUŚ.

Konieczność, lub mój wujaszek... może oboje razem... Czym śmiał zresztą przewidzieć że przyjdziesz do mnie, chociażbym to szczęście mojém życiem opłacił?

CESIA.

Czemużbym nie była przyszła, skoro wiem że mam być twoją żoną? (Waluś wstaje i odchodzi o parę kroków.) Cóż ci jest? co cię zasępia? chodźże i siądź przy mnie.

WALUŚ.

To nic. Zdawało mi się słyszeć... tak, zdawało mi się że ktoś w tym kierunku...

CESIA.

Ale sami jesteśmy; to przywidzenie. Chodźże tutaj; czy trzeba żebym do ciebie wstała? (powstaje.) Czym cię jakiém słowem uraziła? Może dla tego żem nie zdjęła mantylki, jakeś sobie tego życzył! (zdejmuje.) Lecz co ci się stało! nie odpowiadasz, jesteś smutny! Cóżem ci mogła powiedzieć? Ach, to moja wina, jam taka niezręczna...

WALUŚ.

Nie, na honor, mylisz się pani. To jakaś myśl niezwykła przeszła mi przez głowę.

CESIA.

Pani? przecież mi ty dopiero mówiłeś, i może być trochę poufale. Cóż to za niedobra myśl tak cię nagle zmieniła? Podaj mi rękę. (przechadzają się tu i owdzie.) Wiesz co, dziś rano posłałam ci do pokoju czarkę buljonu przyrządzoną przez Henrysię, i sama dałam ci znać o tém. Sądziłam że ci się to niepodobało i że go nie wypijesz. Po trzy razy przeszłam wzdłuż chodnika, czyś mię zobaczył? późniéj wstąpiłeś do siebie, jam się zaczaiła przy altanie, i widziałam cię przez okno; trzymałeś oburącz naczynie, i wypiłeś duszkiem. Czy to prawda? Czy ci się smacznym wydawał?

WALUŚ.

O drogie dziecię, najsmaczniejszym w życiu.

CESIA.

Gdy będę twoją żoną, potrafię ci lepiéj dogadzać. Lecz powiedz mi czy to pięknie wywracać do rowu przed bramą? dlaczego życie narażać? Wiedziałeś że będziesz dobrze przyjęty. Żeś sam chciał przyjechać, to rozumiem; lecz tego nie, coś potém uczynił. Może lubisz romanse?

WALUŚ.

Jak niektóre. Jeżeli chcesz, siądziemy.

CESIA.

Muszę ci wyznać że mię wcale nie bawią. Te którem czytała nic a nic nie znaczą. Zdaje mi się że to same bajki, że tam wszystko jak we śnie. Wszędzie jest mowa o zdradzie, podstępie, wykradzeniu, wszystko rzeczy niesłychane. Wolę już te które mi Henrysia opowiada nim zasnę. Naprzykład, dziś wieczorem, gdym odebrała twój list przez umyślnego, wyznaję że wielką chętkę miałam przyjść na tę schadzkę, trochę podobną do romansu. Lecz było w niéj coś rzeczywiście na moją korzyść. Jeżeli matka się o tém dowie, a dowie się niebawem, pojmujesz że trzeba będzie romansik ślubem uwieńczyć; czy jest lub nie poróżnioną z wujaszkiem, trzeba będzie przyjść do ugody. Wstyd mi było być uwięzioną, i pytam się za co? Nadszedł pleban, jam udała zemdlenie; on otworzył, jam zbiegła do lasku; oto cały mój podstęp: osądź sam czy bardzo naganny.

WALUŚ, na stronie.

Albo mam do czynienia z najchytrzejszym szatanem otchłani, albo głos który słyszę jest głosem anioła, i podwoje nieba mi otwiera.

CESIA.

No cóż, jeszcze milczysz? czy ten smutek trwać będzie zawsze?

WALUŚ.

Bardzo umiejętną jesteś, w tak młodym wieku; a do tego płochą jak ja, którym jeszcze nie mógł się zdobyć na jedną myśl rozsądną.

CESIA.

Żem płochą, to rzecz pewna; lecz mój drogi, to dla tego że cię kocham. Umiejętną, to co innego; miałam różnych nauczycieli, lecz com tylko spamiętała, i to najlepsze, pochodzi od mojéj matki.

WALUŚ.

Od baronowéj? Tegom się nie domyślał.

CESIA.

Nie znasz jéj, panie Walenty. Pokochasz ją, gdy będziesz z nami gospodarował, i dzielił opiekę nad ubogiemi. Nie waż się uśmiechać, kiedy o niéj przemawiasz. Będziesz ją błogosławić i naśladować w każdym kroku.

WALUŚ.

Miłosierna! ja serce twe zgaduję. Ty niesiesz biednym jałmużnę i pociechę.

CESIA.

Matka mię tego nauczyła; nie ma lepszéj kobiety na świecie.

WALUŚ.

Wierzę ci, ty kłamać nie umiesz.

CESIA.

O mój drogi, ani ty, ani wielu innych nie miarkujecie nawet co ona warta. Kto ją widział raz przez pół godziny, ośmiela się ją sądzić po kilku słowach na wiatr rzuconych. Dzień spędza na graniu z plebanem, a wieczorem haftuje. Nie wstałaby od pikieta dla powitania księcia; lecz byle Dupré powiedział jéj cóś na ucho, natychmiast się zrywa, bo pewnie żebrak lub wygnaniec jest za progiem. Ileż razy widziałam, w kościele, łzawiące się oczy biednych ludzi, gdy matka na nich spojrzała! Wierzaj mi, ona ma prawo być dumną, i ja sama nie raz się chlubię że jestem jéj córką... Zdaje mi się że ktoś koło nas się krząta...

WALUŚ.

Nie, wszędzie cicho. Czy ty się nie lękasz? Czy ty nie drżałaś przychodząc do mnie?

CESIA.

Czegóżbym miała się lękać? ciebie, czy ciemnéj nocy?

WALUŚ.

Dlaczego nie mnie? Cóż cię chroni? we mnie kipi krew młodzieńcza, w tobie kwitnie najwyższa piękność, jesteśmy sami...

CESIA.

I cóż w tém złego być może?

WALUŚ.

Nic... o nic, to prawda. Czy jak lis w moją pastkę się złowiłem, czy jak szaleniec budzę się z obłędu?... Słuchaj mię; patrz, klękam przed tobą.

CESIA.

Cóż ci jest? Ty drżysz cały...

WALUŚ.

Tak, drżę z radości i z obawy, bo serce moje rozkrywam ci do głębi. Byłem dotąd najzjadliwszym złoczyńcą, chociaż to co ci mam wyznać o sobie, zaledwie warte politowania. Czytałem wiele romansów, właśnie tych które ci się zdają niesłychane, i najgorszy chciałem w życie wprowadzić. Jest to Klaryssa Harlowe, dam ci go do przejrzenia gdy moją będziesz na zawsze. Lovelace kocha piękną jak ty bogdankę, chce ją zaślubić, lecz pierwéj chce się o niéj przeświadczyć. Porywa ją i sprowadza do Londynu; ona mu się opiera, potém przybywa pewien Bedford... to jest kapitan Tomlinson... chcę mówić Morden... nie, mylę się... Słowem Lovelace wy-

chodzi na głupca, i ja także chcąc go naśladować. Bogu dzięki, tyś mię nie zrozumiała. Kocham cię, pragnę cię mieć za żonę... Bredzić od serca, to jedyna prawda na świecie.

SCENA VI.

WALUŚ, VAN BUCK, PLEBAN, BARONOWA, CESIA.

BARONOWA.

Uchowaj Boże abym ci wierzyła, plebanie. On za młody na taką szkaradę. Uwieść moją Cesię! to już dziś nie uchodzi. Patrz, oto są oboje, zgodne jak dwa gołąbki. A dobry wieczór, mój zięciu; gdzie też wy się kryjecie?

PLEBAN.

Wielka szkoda że nasze poszukiwania tak opóźnionèm wieńczą się powodzeniem. Wszyscy goście już się rozjechali.

VAN BUCK.

No cóż, mości siostrzanie, zakład ów niezłomny...

WALUŚ.

Wujaszku, przysłowie mówi: « Nie wyzywaj szaleńca. »

VAN BUCK.

Walusiu, przykazanie mówi: « Nie przysięgaj! »

NOTA DO RZĄDU NARODOWEGO

W PRZEDMIOCIE POWSTANIA I WOJNY W ROKU 1863.

« Non intermisso vinces. »

Ta Nota przesłana Rządowi narodowemu w r. 1863, może być ogłoszoną obecnie, kiedy otwarty bój chwilowo przerwany i zastąpiony przez katusze, nie może być wznowionym, chyba w innych okolicznościach i z innemi żywiołami walki. W pracy tej kierowaliśmy się za pomocą doraźnych pism jenerałów J. Bema, Chrzanowskiego, J. Wysockiego, i własnego doświadczenia; może ona jednak posłużyć, jako użyteczny zbiór pomysłów, dla narodów ujarzmionych, które podobnie jak Polska, będą usiłowały odzyskać swoją niezawisłość i swobodę.

WSTĘP

Dopóki powstanie w Polszce, zostawione swoim tylko siłom, w śmiertelnéj walce przeciw moskiewskiemu barbarzyństwu, nie będzie mogło formować regularnych zastępów na własnéj ziemi, dopóty jednym możliwym sposobem uwolnienia się z pod obcego ucisku, jest wojna partyzancka. Powstanie narodowe ograniczone w swych środkach i zasobach, ściśnięte między trzema nieprzyjacielskiemi mocarstwami, nie zajmujące jeszcze ani żadnéj twierdzy, ani głównego centralnego miasta, i zmuszone uzupełniać osobistém męztwem walczących niedostateczność liczebną żołnierzy, nie może i niepowinno w ogóle przybierać innego charakteru jak tylko *odporny*... Ten charakter powinien być zachowany niezmiennie, dopóki inne okoliczności, które trudno ściśle określić, ale które łatwo przewidzieć, nie wystąpią z pomocą skuteczną powstaniu i nie zmienią na jego korzyść położenia dwóch stron wojujących. Aż dotąd należy tylko wytrwać w rozpoczętéj walce, bez względu na bohaterskie poświęcenia, jakichby ona wymagała od obecnego pokolenia; należy tak długo utrzymać się pod bronią, żeby pozwolić Europie przyjść w pomoc powstaniu, albo żeby przykładem i wytrwaniem pociągnąć całą ruchomą massę mieszkańców kraju. W tym celu, nie mogąc dosięgnąć ogniska obcéj administracyi, zasłonionego i ubezpieczonego działami cytadelli warszawskiéj, należy druzgotać jéj mechanizm na prowincyi, nie dopuścić mu działać, uderzać kolejno na różnorodne członki hydry moskiewskiéj, zanim będzie można wymierzyć stanowczy cios przeciw jéj głowie. Tę to pierwszą stronę naszéj wojny o niepodegłość zamierzamy roztrząsnąć, streszczając w kilku stronnicach nasze postrzeżenia i uwagi w tym przedmiocie.

I.

WOJNA ODPORNA.

GŁÓWNY CEL.

Wojna partyzancka (podjazdowa) czyli mała wojna, jest to nieprzerwany szereg niespodzianych ataków i utarczek. Głównym jéj przedmiotem, którego nie należy nigdy tracić z oczu, jest zmuszanie nieprzyjaciela żeby się rozdzielał na małe oddziały, aby można bić go częściami, nigdy nie dozwalając mu koncentrować w jeden punkt swoje siły. Wojna taka jest niewątpliwie bardzo trudna w kraju tak odkrytym jak nasz, i wymaga od dowódzców oddziałów powstańczych ciągłéj baczności; ale w braku gór i zapadłości gruntu, mamy doskonałą sieć rzek, głębokie lasy, nieprzystępne bagniska, a co więcéj warte niż to wszystko, niepokonaną odwagę mieszkańców.

W téj wojnie, któréj głównym warunkiem powodzenia jest jak najdłuższe jéj trwanie, rzadko tylko należy walczyć i to jedynie *na pewno*, to jest przynajmniéj przy równych siłach; nieustannie stawiać zasadzki, uderzać niespodzianie, w nocy albo wpośród pochodu, umieć unikać spotkania którego skutek nie jest pewny, trzymać w kupie cały oddział nawet po niepomyślném starciu, a nadewszystko nic nie przedsiębrać na los szczęścia. Ofiarować lub przyjmować bitwę na otwartém polu, lub

w niekorzystném stanowisku, jest obłędem. Szybki odwrót udany w celu rozciągnienia linii nieprzyjacielskiéj, i żeby potém módz nań uderzyć z boku lub z tyłu, oto taktyka jakiéj zwykle trzymać się należy w wojnie partyzanckiéj.

W innéj epoce walka Horacyuszów powinna jéj służyć za wzór i przepis. W ten to sposób postępowała większa część powstań które za naszych czasów powiodły się; mianowicie Serbów, Greków i Włochów. Powstanie węgierskie w 1849 i nasze w 1831, dla tego zwłaszcza upadły, że chciały staczać walne bitwy i działać tak jak wojska regularne.

Rozdzielać armię nieprzyjacielską, żeby ją potém pojedyńczo dziesiątkować, szarpiąc ją co chwila i bez ustania, niepokojąc na każdym punkcie, nie zostawiając jéj najmniejszego kawałka gruntu gdzieby mogła sądzić się bezpieczną, to powinno być obecnie hasłem każdego dowódzcy powstańców, to stanowić będzie pierwszy szczebel do ostatecznego zwycięztwa.

ZASTÓSOWANIE.

Z tych ogólnych zasad wynikają dla nas dwie następne reguły:

1° Żebyśmy zawsze byli dokładnie zawiadomieni o pozycyach i ruchach nieprzyjaciela, i żeby nieprzyjaciel jak najmniéj mógł wiedzieć o nas.

2° Żebyśmy byli panami kraju wszędzie gdzie nie ma przewagi wojsk obcych.

Aby zadość uczynić pierwszemu z tych dwóch warunków, należy wytworzyć sobie, ile możności, jak najpewniejsze i najrozciąglejsze stosunki na wszystkich punktach kraju, a przedewszystkiém w tych miejscowościach gdzie zamierzamy przedsięwziąść pierwsze działania. Jest to część administracyjna i cywilna powstania narodowego, niezbędna pod każdym względem, dla uniknienia omyłek i postępowania na ślepo, a ztąd cząstkowych klęsk, którym zawsze łatwiéj zapobiedz, aniżeli późniéj naprawić. Bez téj głównéj ostrożności, którą potrzeba niezwłocznie zrządzić i nigdy jéj z oka nie tracić, ani zręczność naszych wodzów, ani męztwo żołnierzy nie zdołają doprowadzić do pożądanych, stanowczych rezultatów. Potrzeba więc nasamprzód uorganizować stałą policyę na usługi powstania, działającą czynnie we wszystkich miejscowościach, tych nawet które nieprzyjaciel zajmuje, pokrywającą cały kraj obszerną siecią badań i postrzeżeń, a któréj wszystkie nitki koncentrować się powinny w rękach Rządu narodowego.

ORGANIZACYA CYWILNA.

Ta organizacya tajna ma za powołanie:

1° Przygotować drogi dla powstania;

2° Udzielać mu jak najdokładniejszych wiadomości o pozycyach, ruchach, liczebnéj sile i duchu wojsk nieprzyjacielskich, tudzież o zasobach moralnych i materjalnych, któremi rozporządzać może w każdéj prowincyi.

Czynni jéj członkowie wybierani będą między odważnemi i pełnemi poświęcenia mieszkańcami każdego miasta lub wioski, którzy dali dowody patrjotyzmu i gotowi są poświęcić majątek i życie dla sprawy narodowéj. Ci ajenci mają mieć pod swemi rozkazami dwa rodzaje posłańców; jedni będą za pomocą umówionych cyfr, a najlepiéj ustnie, składać raporty władzy centralnéj, drudzy dostarczać dowódzcom oddziałów wiadomości i zleceń jakie im będą potrzebnemi. Każdy z nich będzie mógł, w każdym razie, dać się poznać za pomocą znaków poprzednio umówionych. Wszelkie wiadomości przesłane nie od wskazanych ajentów i nie za pośrednictwem ich posłańców, mają być uważane jak niebyłe.

Należy zatém przygotować i rozpoczynać walkę w tych miejscowościach, gdzie znakomita większość mieszkańców, jeżeli nie cała ludność, przychylną jest powstaniu. Na taką większość możemy z pewnością liczyć we wszystkich miastach; ale trzeba jeszcze przyciągnąć ją sobie wszelkiemi rozporządzalnemi środkami, po wsiach. W tym celu należy w oddziałach powstańczych utrzymywać najsurowszą karność, bez któréj nie tylko wojsko regularne ale nawet partyzantów istnieć nie może; karcić wszelkie przekroczenia, nie dopuszczać żadnych czynów zemsty, nie brać nic nad niezbędną potrzebę i za wszystko zaraz płacić. Tym sposobem można sobie zapewnić także współdziałanie żydów, co jest ważnym punktem, na który należy zwracać całą uwagę. Postrach nie zda się na nic z niemi, wywołuje tylko szpiegostwo i zdradę; lepiéj daleko jednać ich sobie łagodnością, przekonywaniem, a nadewszystko prawością w dotrzymywaniu umowy: jedném słowem, pieniędzmi. Daléj, dla dokładnéj znajomości pola działań, oddziały przeznaczone do zajęcia pewnego okręgu, powinny być dowodzone, ile się to da, przez oficerów z tych miejscowości, którzy naturalnie lepiéj mogą być poświadomieni niż inni, co do ducha ludności i pozycyi dogodnych do walki. Dowódzców tych należy często przenosić z jednych oddziałów do innych w taki sposób, żeby ci sami oficerowie walczyć mogli prawie zawsze w tych samych okolicach. Będą oni także więcéj mieć łatwości usunięcia się w danym razie z pod oka nieprzyjaciela, w chwilach przerwy walki.

Mając dokładne wiadomości i skuteczną pomoc tych rozmaitych posiłkowych żywiołów, najprzód wypadnie usunąć urzędników, ajentów i stronników obcego rządu, i znieść małe oddziały zostające pod ich rozkazami i wykonywające policyę po wsiach, a zastąpić to wszystko tajną a stałą administracyą rządu centralnego. To należy przedewszystkiém do żandarmerji narodowéj, która się tém zajmować będzie wyłącznie.

Cywilni ajenci powstania starać się będą, prócz tego, wprowadzać w błąd nieprzyjaciela, niweczyć jego kombinacye, rozsiewając zawczasu sprzeczne wieści o ruchach oddziałów polskich; czyniąc naprzykład udane zamówienia żywności i furażu w punktach wprost przeciwnych położeniu tych oddziałów. Powinni przejmować poczty, kurjerów, przerywać druty telegraficzne, aby przeszkodzić nieprzyjacielowi w przesyłaniu rozkazów i otrzymywaniu wiadomości, przez co utrzymywać go będą w ciągłém wahaniu się i nieustannéj obawie. Każdy wysłannik nieprzyjaciela przekonany, ma być karany śmiercią, według prawa wojennego. Tym sposobem będzie można prędko podkopać organizm jego administracyi, z którą należy prowadzić nieustanną wojnę, w tym samym czasie co z jego wojskiem.

ORGANIZACYA WOJSKOWA.

Po tych pierwszych rozporządzeniach, które wymagają jak największéj staranności i daleko potrzebniejsze są w wojnie niespodzianek niż w jakiejkolwiek innéj, wypadnie zająć się utworzeniem i zorganizowaniem korpusów i oddziałów ochotników.

Ponieważ w tym pierwszym okresie wojny zadaniem jest jaknajprędsze upowszechnienie powstania, nadanie mu raczéj rozciągłości niż siły miejscowéj, przeto oddziały ochotników powinny być, ile tylko można, ruchome i rozrzucone, aby mogły pokryć całą przestrzeń ziemi polskiéj, za obrębem punktów zajmowanych przez massy wrogów. Za główną regułę służyć im powinien ten pewnik wojny partyzanckiéj : Być wszędzie i nigdzie; czyli innemi słowy : Być wszędzie gdzie nie ma przeważnéj siły wojsk moskiewskich.

Aby odpowiedzieć temu najgłówniejszemu warunkowi, należy utworzyć znaczną liczbę grup niezawisłych jedne od drugich, ale które wszystkie mają być posłusznemi rozkazom dawanym z góry przez Rząd narodowy, a pośrednio przez naczelników wojennych każdego województwa.

W każdéj z tych grup, odwaga jednostek winna zastępować liczbę; należy więc przyjmować jedynie ludzi silnych i doświadczonego męztwa. Dziesiątek powstańców czynnych i gotowych na wszystko może służyć za pierwszy zawiązek grupy dostatecznéj do wystąpienia w pole. Siła tych grup może być bardzo rozmaitą stosownie do miejsca, pory i innych okoliczności. Z razu bardzo nieliczne, po sześćdziesiąt do ośmiudziesiąt ludzi, mogą one następnie podwoić i potroić tę liczbę, kiedy wypadnie wykonać jaki stanowczy zamach, a po osiągnięciu rezultatu rozdzielić się znowu. Zbyt w ogóle liczne oddziały powstańców, jakie dotychczas wprowadzono w działanie (jak naprzykład pod dyktatorem Langiewiczem i jenerałem Taczanowskim), nie mogły się utrzymać głównie z tego powodu.

Ponieważ najważniejszym przymiotem każdéj takiéj grupy powinna być szybkość, najodpowiedniejszą dla osiągnięcia tego celu organizacyi jest piechota, opatrzona w konie włościańskie i zsiadająca z nich do walki; bo konie służyć tylko mają do prędszego przenoszenia żołnierza z miejsca na miejsce. W prowincyach gdzie o konie trudno, trzeba przewozić powstańców na wózkach. Właściwa jazda, któréj organizacya wymaga wiele czasu, trudności i kosztuje dużo, czego ostatnie powstanie dotykalne dało dowody, zawsze musi być niższą od dawnéj regularnéj jazdy; a przytém powołana do działan a ciągle na płaszczyznach, nie mogąca w żaden sposób być użytą w lasach i wąwozach, nie odpowiada ona bynajmniéj obecnemu celowi powstania. Nie mówimy tu o czatach konnych, których szczupła liczba znajduje się zwykle przy każdym oddziale, dla straży obozu i zwiadów, i o żandarmerji narodowéj, dla służby administracyjnéj i policyjnéj. Piechota odbywająca marsze konno albo na wozach, a walcząca pieszo, daleko lepiéj odpowiada żądanym warunkom; i ta jéj forma, według naszego przekonania, będzie najwłaściwszą do uwolnienia Polski z pod obcego jarzma. Te grupy mające przebiegać znaczne odległości, powinny mieć jaknajwiększą mozliwą siłę spójności; potrzeba więc absolutnéj władzy u dowódzców i niezachwianego zaufania u żołnierzy; to oboje nie może wytworzyć się tylko z nieograniczonego poświęcenia dla Ojczyzny i najzupełniejszéj ofiary z życia i wszelkiéj osobistości.

UZBROJENIE.

Główném uzbrojeniem powstańców powinny być :

1. Strzelba dalekonośna albo karabin żłobkowaty, aby doskonałością broni można było wynagrodzić szczupłość liczby walczących ; dodając w razie potrzeby strzelbę myśliwską opatrzoną w bagnet;

2. Kosa tak straszna w ręku naszych kmieci, a w najgorszym razie pika, najłatwiejsza do ukucia;

3. Narzędzia potrzebne do rąbania drzew i kopania ziemi, jakoto siekiery, topory, piły, tasaki, łopaty i rydle okute; wytkniemy następnie niezbędną potrzebę tych przedmiotów. Każdy oddział powinien posiadać te trzy rodzaje uzbrojenia. Piechota zatém dzielić się będzie na tyraljerów, strzelców i kosynierów, w stosunku który zależeć będzie od miejscowych zasobów. Tyraljery czyli strzelcy celni, korpus wyborowy, składać się będą z najzręczniejszych strzelców, i pluton ich przyłączony będzie do każdéj kompanii w oddziale. Każdy strzelec, który da dowody celności i nieustraszoności, wejdzie do korpusu tyraljerów, w którym wszyscy mieć będą stopnie kaprali i za jedyne uzbrojenie mieć będą strzelbę. Wszyscy inni, prócz strzelby albo kosy, nosić będą narzędzia powyżéj wymienione. To rozporządzenie przedstawi tę niezmierną korzyść, że podniesie gorliwość żołnierzy, nastręczając ich współzawodnictwu sprawiedliwy sposób awansu. Dodać do tego można honorowe znaki, ograniczające się z początku na prostéj wstążce, a które rozdawane będą przez dowodzców najwięcéj zasługującym, po każdém spotkaniu pewnéj ważności. Wszyscy żołnierze tych trzech rodzajów broni mają mieć małe konie (mierzyny), choćby bez siodła, z derą przypasaną rzemieniem, z dwoma sznurami w miejsce strzemion i workiem z tyłu; jest to wygodne osiodłanie, nie kaleczące konia i pozwalające mu z łatwością przeprawiać się przez rzeki lub stawy. W chwili bitwy, jeden jeździec wystarczy do potrzymania na uzdziennicy pięciu lub sześciu koni, z którémi schroni się za jaki budynek, płot, lub inny rodzaj zasłony, jaką miejscowość przedstawi.

OFICEROWIE.

Oficerowie wyżsi, aż do stopnia majora, włącznie, będą wybierani wprost przez Rząd narodowy; oficerowie niżsi, kapitanowie, porucznicy, podporucznicy, przedstawiani przez dowódzców oddziałów, potwierdzani będą w stopniach przez naczelników wojennych wojewódzkich. Prawa i obowiązki tych naczelników, jak równie komisarzy rządowych przy każdym korpusie powstańczym, będą jasno oznaczone i określone, dla uniknienia wszelkich możliwych zajść w wykonywaniu ich władzy. Naczelnik wojenny mieć będzie nieograniczoną władzę co do wszelkich ruchów strategicznych w województwie, co do naznaczania kierunku każdemu oddziałowi, punktów jakie one mają zajmować, pozycyi w czasie walki, koncentrowania lub rozdzielania chwilowego rozmaitych oddziałów, jedném słowem we wszystkiém co dotycze prowadzenia walki przeciw nieprzyjacielowi. Komisarz mieć tylko będzie missyę zaopatrywania oddziałów w ży-

wność, przybory, dostawy broni i amunicyi, dyrekcyę i nadzór ajentów cywilnych, jawne i tajne korespondencye, jednèm słowem ogólny dozór operacyi powstańczych, nad czém najwyższa kontrola zachowaną jest dla Rządu narodowego, któremu on przesyłać będzie raporty. Mięszanie się komisarza do rozporządzeń naczelnika wojennego województwa mogłoby tylko niweczyć organizacyę oddziałów partyzanckich, pozbawiając je jedności rozkazów, i sprowadziłoby, jak się to zdarzało, najzgubniejsze skutki. Dwaj ci urzędnicy powinni się wzajemnie wspierać i przykładać się, każdy w wyznaczonych mu czynnościach, do wyswobodzenia kraju.

UŻYCIE WOJSKA.

Trzeba wyswobodzić wsie, nim będzie można pomyśleć o odebraniu miast i warowni; gdyż te nie mogą być ani łatwo zdobyte ani długo utrzymane : nieprzyjaciel bowiem z zwiększoną siłą nie zaniedba powrócić, aby je odebrać. Należy je zatém uważać tylko jako miejsca chwilowego przejścia, dla zabrania broni, amunicyi, kas, archiwów, nigdy nie tracąc z oczu głównego celu wojny partyzanckiéj,' którym jest, bić nieprzyjaciela cząstkowo, zmuszając go do rozdzielania sił swoich na drobne oddziały podobnie jak powstańcze.

Pierwsze działania dowódzców zwrócone będą na oswobodzenie granic przez które będzie można wprowadzać oddziały ochotników do wnętrza kraju. Na wzór nieśmiertelnéj konfederacyi barskiéj, należy urządzić główne ogniska działań w dość znacznych odległościach od punktów zajętych przez nieprzyjaciela: dla uniknienia jego straży bezpośredniéj; dla dopełnienia ile możności w spokojności i bezpieczeństwie pierwszych kroków organizacyi. Miejsca przejścia granic wybierane będą zwykle w okolicach lesistych bronionych przez bagniska, i przedstawiających trudny przystęp dla regularnego wojska. Punktów takich trzeba jak najwięcéj na jednéj granicy, żeby być pewnym powodzenia. Dziesięciu lub dwunastu oficerów, każdy z zawiązkiem dziesięciu do szesnastu powstańców, każdy opatrzony poleceniem rekrutowania z podpisem Rządu narodowego, wystarczy na rozpoczęcie czynności, która odbywać się będzie w następujący sposób.

OTWARCIE GRANIC.

Ci oficerowie porozumieją się względem zebrania się na dwóch lub trzech punktach granicy, ze swemi żołnierzami, którzy pojedynczo zejdą się w pewnym dniu i o danéj godzinie. Z nienacka napadną i zabiorą małe posterunki kozaków lub straży granicznéj i opanują urzędy cywilne najbliższe. Poniszczą natychmiast wszelkie komunikacye między korpusami nieprzyjacielskiemi, jakoto, linie telegraficzne, koleje żelazne a niekiedy i mosty. Ponieważ zadaniem ich jest najprzód rekrutować i zbierać po drodze konie i broń, wezwą zatém młodzież do przyłączenia się do nich i utworzą trzy oddzielne grupy : dwie do posuwania się wzdłuż granicy w dwóch przeciwnych kierunkach, a trzecią do postąpienia w głąb kraju. Każda uprowadzi wziętych jeńców pod ścisłym dozorem, dla uniknienia ucieczki a następnie denuncyacyi. Rozumie się, że ci którzy oświadczą gotowość służenia sprawie narodowéj, zostaną zaciągnięci, po złożeniu przysięgi na wierność, i rozdzieleni między trzy grupy, aby ich przykładem zachęcić innych żołnierzy wziętych w niewolę ; sami tylko kozacy od tego się wyłączają. Tak samo postąpić należy z urzędnikami cywilnemi i starszemi w gminach.

Grupy te powinny być w ogóle nieliczne, żeby mogły pozostawać we wsiach nieogładzając mieszkańców. Reszta ludzi wysyłaną będzie w sąsiednie okolice dla szerzenia w nich powstania, przez co w jednym dniu będzie można posuwać się na kilka mil we wszystkich kierunkach. Ale niezbędném tu jest napadać i zajmować wsie i miasteczka tak szybko, żeby wiadomość o tém nie mogła wcześnie dojść do nieprzyjaciela. Nie będzie to trudném zmieniając często konie, używając podwód, zastępując ludzi znużonych przez nowo zrekrutowanych, a tamtym wyznaczając inny punkt zborny. Zająwszy jaką wioskę, należy zaraz ogłosić Rząd narodowy, kazać złożyć przysięgę wierności dla niego, zrekrutować nowe grupy i wysłać je w okolice dla wywołania w nich powstania. Dowódzcy tych grup powinni chwytać poczty, patrole, przejmować transporty, starając się nadewszystko stropić wroga i jak tylko można najdłużéj nie dać mu dowiedzieć się o bytności partyzantów w okolicach przystępujących do powstania. Wszystkie posterunki odosobnione i słabe należy koniecznie z nienacka napadać i znosić.

ROZWÓJ.

Byłby to już niezmierny krok naprzód, gdyby się udało zniszczyć te wszystkie posterunki, zwykle utworzone z kozaków i celników, i oswobodzić jeden punkt granicy, ułatwiając przez to wejście ochotników, którym bezwłocznie posłać wypadnie odpowiednie zawiadomienie. Naturalnie, w Nocie téj streszczamy tylko ogólne dane, pomijając ile możności szczegóły, które zależeć będą od czasu, miejsca i okoliczności, a nadewszystko od przezorności dowódzców powstania. Pod względem grup i oddziałów udających się wewnątrz kraju, uczynimy tu uwagę, że prawy brzeg Wisły, jako mający komunikacyę z powstańcami Litwy i Ukrainy, jest najważniejszym ; na tę więc stronę skoncentrować należy największe wysilenia, nie ogałacając jednakże województw sandomierskiego, kaliskiego, mazowieckiego, które najpierwéj mogą otrzymać pomoc Zachodu. Wywołując ruch w prowincyach południowo-wschodnich, powstanie szybko by doszło do stepów ukraińskich i brzegów morza Czarnego, i tu mogłoby podać rękę rozmaitym ludnościom, zawsze nieprzyjaznym Moskwie i gotowym zrzucić jéj jarzmo.

Nie naznaczając bynajmniéj ściśle drogi postępu powstania w tych okolicach, postawimy tylko za zasadę że potrzeba przebiegać je jak najprędzéj, posuwając się wzdłuż lasów i brzegów mniejszych rzek, prawie przelotem, pozostawiając za sobą wszędzie ludności powstałe i gotowe do walki. Naczelnicy wojenni województw, nowi oficerowie, wybierani będą ze wszystkich klas i wszelkiego stanu obywateli gorliwych dla sprawy, a wybór ich ulegać będzie zatwierdzeniu ze strony Rządu narodowego. Naczelnicy wojenni, w których ręku łączyć się będzie wszelka władza wojskowa powstania, mieć będą te wszystkie prawa i obowiązki co ich koledzy w Królestwie, to jest : organizacya wojska, zaopatrywanie go we wszelkie potrzeby i rozporządzanie niém; oficerowie zaś będą przedstawiani przez dowódzców oddziałów a potwierdzani

w stopniach przez naczelników wojennych. Między wieśniakami prowincyi południowych, po największéj części **rusinami**, nie łatwo wprawdzie znaleść ludzi zdolnych na oficerów regularnego wojska; ale znajdą się dość uzdolnieni do wystąpienia na czele grup powstańców i poprowadzenia ich na wroga, jak to miało już miejsce na Żmudzi i Litwie. Dość będzie udzielić im niejakich przepisów, pokazać jak trzeba zakładać obóz w lesie lub w pozycyi zasłoniętéj bagnami, jak znieść z nienacka posterunek, jak formować zasieki lub przykopy, jak przygotować zasadzkę albo zasłonić się od dział; jedném słowem należy usposobić ich na partyzantów. Należy tylko zalecić im stanowczo aby unikali zbierania się massami w jednym punkcie, gdyż by to zmuszało do rozsypywania się po chwili dla braku zapasów; aby nigdy nie walczyli w otwartém polu, i wreszcie aby się rozdzielali na ruchome oddziały piechoty, a opatrzone w niewielkie wieśniacze konie, w które ten kraj obfituje. Podobnie jak wszyscy powstańce, powinni nie przyjmować do swoich szeregów tylko najdzielniejszych i najczynniejszych ludzi. Na zwiady jezdne i żandarmerję narodową, wybierać należy z klassy wykształconéj w każdéj prowincyi; służba ich odbywać się będzie według przepisów powyżéj określonych, mając za zadanie tę niezbędną potrzebę wojny partyzanckiéj : **Napadać niespodzianie na nieprzyjaciela, a nigdy nie dać mu się niespodzianie zaskoczyć.** To samo rozumie się o ajentach cywilnych i komisarzach rządowych. Wszyscy wiedzą już i pojmują, że ajenci moskiewscy Murawiewów i Anienkowów są ich nieubłaganymi nieprzyjaciołmi. Skoro ich wezmą w niewolę, obchodzić się z niemi mają tak, jak wojsko moskiewskie obchodzi się z naszemi. To wszystko czynić się będzie szybko, nie zabawiając się szczegółami, zdając się na patrjotyzm i roztropność nowo mianowanych urzędników.

Skoro za pomocą tych rozporządzeń, powstanie uczyni znaczne postępy, wypadnie zająć się nadaniem więcéj siły i spójności osobnym oddziałom, nie odstępując wszakże od zasad jakieśmy wyłożyli. Trzeba będzie tworzyć korpusy zbrojne liczniejsze niż dotąd, i starać się opanować kilka małych miast, porozumiawszy się poprzednio i wszedłszy w stosunki z mieszkańcami. Ponieważ w ten sposób cały kraj będzie w zupełném powstaniu, z wyjątkiem i za obrębem większych miast w których Moskale mają garnizony, ci będą zmuszonymi rozdrabniać się aby stawić czoło powstaniu, przebiegać okolice nielicznemi kolumnami, które wtedy można atakować, niszczyć lub brać w niewolę : i tym sposobem założenie wojny partyzanckiéj w pierwszym perjodzie będzie w zupełności osiągnięte. W nowym perjodzie, w którym wojna staje się zaczepną zamiast odpornéj jaką prowadzono aż do téj chwili, wypadnie trzymać się zasad pokrótce przedstawionych w następującym rozdziale.

II.

WOJNA ZACZEPNA.

Kiedy powodzenia i rezultaty osiągnięte za pomocą powyższych środków, pozwolą przystąpić do działań zaczepnych, to jest uderzać na wroga otwarcie, z dostatecznemi siłami, zdolnemi kusić się o zwycięztwo, wypadnie zająć się organizowaniem w powstałych prowincyach regularnéj armii narodowéj. Tu oficerowie z 1831 roku i ci którzy wyszli ze szkół wojskowych we Francyi lub we Włoszech, ci nakoniec którzy zmuszeni byli służyć w wojsku nieprzyjacielskiém, zanim przeszli do szeregów powstańczych, będą mieli przeważny głos i najważniejszą część prac organicznych. Można będzie także z wielkim pożytkiem korzystać z pełnych zalet dzieł Chrzanowskiego, Bema, Wysockiego, a nadewszystko Stolcmana, które zawierają nader szczegółowe zastosowania przepisów wojny narodowéj; dodając do nich drogocenne owoce doświadczenia nabytego w naszém nieśmiertelném powstaniu 1863 r. Przedewszystkiém trzeba będzie starać się o ulepszenie uzbrojenia, przyborów żołnierskich, zaopatrzenie wszelkich potrzeb, a szczególniéj żywności wojska, które jak poprzednio składać się będzie z wyborowych celnych tyraljerów, strzelców i kosynierów, używających koni i podwód do odbywania prędkich pochodów, a walczących pieszo. Broń będzie taka sama jak dawniéj, to jest karabiny, kosy i narzędzia potrzebne do rąbania drzew i kopania rowów. Za podstawę organizacyi, jak poprzednio, służyć będzie wartość indywidualna żołnierzy więcéj niż ich ilość.

FORMACYA I MANEWRY.

Pięćdziesięciu tyraljerów manewrujących w jednéj linii ze stu strzelcami w dwóch szeregach, i dwieście kosynierów w trzech szeregach, to jest razem trzystu pięćdziesięciu ludzi, nie licząc oficerów, mogą stanowić bataljon. Manewry będą o ile możności jak najprostsze, jakoto :

1. Rozwijać się w szyk bojowy, kosyniery w środku, strzelcy i tyraljery na skrzydłach; ta linia stanie się kolumną pochodową, przez jeden zwrot na prawo albo na lewo, i odwrotnie ;

2. Gromadzić się w ściśniony bataljon około jednéj z kompanii skrzydłowych albo środkowych, aby stawić głębszy porządek jeździe nieprzyjacielskiéj, i następnie rozwinąć się w odwrotnym kierunku ;

3. Umieć urządzać zasadzki i zasłaniać się od dział za pomocą zasieków i przykopów, ponieważ dla wojska jeszcze nie ostrzelanego należy się najbardziéj obawiać wrażeń moralnych jeżeli nie strat materjalnych od nieprzyjacielskiéj artylerji.

ZASADZKI. ZASIEKI RUCHOME.

Powiedzieliśmy że każdy żołnierz, z wyjątkiem wyborowych celnych strzelców, powinien być opatrzony w narzędzia potrzebne do cięcia drzew i kopania ziemi, jakoto : topory, piły, tasaki, motyki i rydle okute. Jedne służą do zasieków, drugie do przykopów. Zajmiemy się najprzód zasiekami.

Odpowiednia liczba drzew powalonych na ziemię z ostro obcinanemi gałęziami zwróconemi naprzód i utwierdzonych palikami silnie zabitemi w ziemię, stanowią zasiek. Urządza się je zwykle w poprzek drogi którą chcemy przeciąć, w górzystych odpowiednich ustępach lub naturalnych obwarowaniach których chcemy bronić; ale tu idzie także o to, żeby one mogły służyć do przerywania kolumn pochodowych w chwili ich przej-

ścia przez lasy, za pomocą drzew przygotowanych poprzednio w tym celu, które padając na nieprzyjaciela będą go druzgotały. Drzewa te przygotowują się w następujący sposób. Obcinają się konary i gałęzie ze strony przeciwnéj nadchodzącéj kolumnie, aby cały ciężar drzewa przypadał na tę stronę gdzie ono ma upaść; następnie, piłuje się pnie blisko ziemi na cztery piąte części grubości. U góry, gałęzie drzew między sobą powiążą się silnemi sznurami, drutami telegraficznemi, albo skręceniem gałęzi, tak żeby każde drzewo padając pociągało swego sąsiada, który znowu pociągnie następne. W szparze przepiłowania jednego z tych drzew, jednego z najgrubszych i mniéj więcéj w środku linii, umieści się kilka funtów prochu w skórzaném albo blaszaném naczyniu w formie flaszy, z otworem obróconym ku wnętrzu lasu, z knotem, który zręczny i zdeterminowany żołnierz podpali gdy nieprzyjaciel najdzie na przygotowaną linię. Za knot posłuży gruba nić bawełniana naciągniona prochem rozpuszczonym w spirytusie. Jeżeli można, dobrze będzie to samo urządzić z drugiéj strony drogi którą kolumna ma przechodzić.

Po wybuchu i upadku drzew, oddział powstańców, ukryty w pobliskości, korzystając z zamięszania w kolumnie pochodowéj nieprzyjacielskiéj, może na nią uderzyć i rozbić. Ponieważ takie czynności najlepiéj mogą się udać przy pomocy ciemności, należy zatém starać sięo jaknajdokładniejsze wiadomości względem nocnych marszów wroga, i wybierać miejsca gdzie droga jest ściśnioną z dwóch stron przez wielkie drzewa a szczególnie sosny. Takiemi to podcinanemi drzewami wojsko polskie zostało ciężko porażone w roku 1497 w lasach Bukowiny.

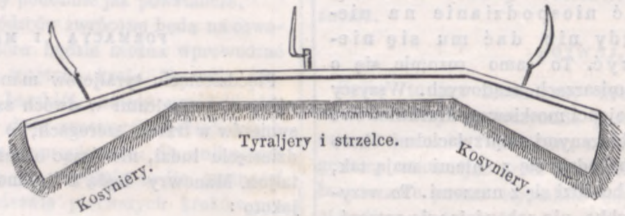
ROWY (przykopy.)

Rowy te są przeznaczone:

1° na obronę w okolicach odkrytych, obozów powstańczych, którym zastępować mogą tymczasowe fortyfikacye;

2° na zasłonę przeciw działom w czasie bitwy, dla zmniejszenia moralnego wrażenia na żołnierzy.

Będą one miały zwykle 1^{m},20 (dwa łokcie) głębokości a dwa metry szerokości, ze schodkiem na 0,40 u przodu; ziemia bowiem ma być odrzuconą w tył za rów a nie na przód. Nasyp ziemi świeżo poruszonéj nie zabezpiecza bynajmniéj od dział polowego kalibru, a tém mniéj od żłobkowatych, których pociski mają wielką siłę przebijającą; nasyp podobny mógłby tylko zpowodować częste skaleczenia przez odłamy kamieni i piasku zbitego przez mróz. Powierzchnia ziemi jest szańcem nieprzebitym dla kuli, która odskakuje dotykając ją ukośnie i przechodzi po nad rowem. Ludzie w rowie najzupełniéj będą w ten sposób osłonieni, a wstępując na schodek do strzelania i tak jeszcze nie bardzo będą narażeni. W tych rowach umieszczeni będą tyraljery i strzelcy w odległości jednego metra jeden od drugiego, według miejsca poprzednio wyznaczonego dla każdego plutonu; kosyniery umieszczeni będą częścią w drugim szeregu, z bronią opartą na kolanach, częścią skupieni po bokach albo w naturalnych zagięciach gruntu, częścią w leżach czyli wydrążeniach szerszych i głębszych, z których ziemia wyrzucona w tył lub na boki osłonioną będzie gałęziami lub pniami drzew. Te wydrążenia będą lekko pochylone w tył względem rowu, z którym tworzyć będą podobieństwo dwóch kolb karabinów położonych na ziemi i złączonych lufami, według załączonéj figury.



Nie określonéj formy kotlina, na jakie piędździesiąt kroków z tyłu, służyć będzie jako schronienie dla rezerwy kosynierów tudzież dla bagaży i amunicyi. Skrzydła tego przykopu powinny być oparte o przeszkody naturalne, któreby było trudno obejść, jak naprzykład bagna, stawy albo strumienie, na których mosty zniszczono, przy zbliżaniu się nieprzyjaciela. W razie tylko zupełnego braku takich przeszkód, przykop mieć będzie kształt pólkolisty a kotlinę wewnątrz, dla zapobieżenia żeby go obejść było można, i przedstawiać się będzie w postaci podkowy. Zbytecznèm jest prawie wykazywać użyteczność tak ufortyfikowanéj pozycyi do walki; zatrzyma ona nieprzyjaciela dłużéj niż jakakolwiek inna, mimo wszelkich wysileń jakieby czynił dla jéj zdobycia. Działa nieprzyjaciela niewątpliwie strzelać będą do tego rowu, niezrządzając żadnéj szkody tyraljerom, nie zaś do schronień, w których kosyniery ukrywać się będą w pogotowiu rzucenia się na niego, jak tylko jego szeregi zostaną przerzedzone przez kule tyraljerów. Ale potrzeba dać mu się zbliżyć na krótką odległość, kazać najprzód strzelać małéj tylko liczbie tyraljerów, dając reszcie wystąpić dopiero kiedy wróg całą massą pójdzie do ataku. W niektórych razach, strzelcy umieszczeni będą w drugim szeregu za tyraljerami, i będą im broń nabijali. Każdy strzał ma być dobrze wymierzony, celując bez żadnego pospiechu, tak żeby każdy strzał trafił; co zdemoralizuje nieprzyjaciela, jakkolwiek liczni byliby jego żołnierze. Ten ważny przepis, w naszéj wojnie szczególnie gdzie amunicya jest tak drogą jak życie, stosuje się do każdego spotkania z wrogiem. Te rowy mogą także służyć do obrony wsi, kopiąc je po drogach do nich prowadzących.

Aby przeciąć drogi bite przechodzące przez bagna, należy skopać znaczną ilość ziemi i odrzucić ją daleko po obu stronach, żeby było trudno naprawić. Tyraljerzy ukryci w rowach i kotlinach strzelać będą do czoła kolumn i do robotników nieprzyjacielskich. Aby ich wyparować, wróg będzie musiał rozchodzić się po trzęsawiskach, gdzie tyraljerom łatwo będzie go dosięgnąć. Można będzie także przeciąć drogę na jednym końcu wcześnie urządzonym zasiekiem, a drugi zatarasować w ten sam sposób jak tylko kolumna przejdzie. Kombinując te dwa sposoby, będzie można na długo wstrzymać pochód nieprzyjaciela, a nawet jeżeli szosa jest długa, można go głodem zmusić do poddania lub wziąść w niewolę. Te przepisy szczególnie stosują się do bagnistych okolic nad Prypecią na Polesiu.

Tak w naszym kraju równin i lasów, potrafimy zastą-

pić te dwie naturalne obrony wojen partyzanckich, szczęśliwszym choć mniéj godnym wolności ludom udzielone : góry i wąwozy.

PROCH Z BAWEŁNY.

Ta bawełna piorunująca, nie sprawiająca ani wielkiego huku, ani płomienistego błysku, ani dymu, z któréj fabrykacyą i użyciem oficerowie nasi powinni się oznajomić, bardzo będzie użyteczną w wojnie niespodzianek i zasadzek. Przednie straże, rekonesanse i tyraljerzy nieprzyjacielscy, tracić będą odwagę i nie będą śmieli iść naprzód, widząc padających swoich żołnierzy od niewidzialnych strzałów. Wrażenie moralne sprawione w ten sposób na przesądnéj, zabobonnéj ciemnocie tych barbarzyńców, nie mało może się przyłożyć do przerażenia ich i zmuszenia do ucieczki. Starać się należy koniecznie mieć zapas bawełny strzelniczéj w każdym oddziale. Granaty ręczne mogłyby także bardzo być użyteczne.

Bawełna strzelnicza przygotowuje się w następujący sposób :

Zanurza się bawełna w kłakach w mięszaninie $\frac{2}{3}$ kwasu saletrzanego i $\frac{1}{3}$ siarkowego, obu w stanie zkoncentrowanym, i pozostawia przez piętnaście do dwudziestu minut; następnie płucze się i obmywa w wielkiéj ilości wody i wysusza. Suszenie wymaga ostrożności, kiedy się robi hurtownie. Tak otrzymany produkt piorunujący wygląda jak wata żółtawa, i wybucha podobnie jak proch od iskry lub silnego uderzenia. Jest on nieco droższy niż proch, a jeżeli nie starannie wyrobiony, zanieczyszcza broń i napełnia ją wewnątrz wilgocią; ale za to posiada siłę rzutu cztery razy większą niż proch zwyczajny. Bawełna strzelnicza (pyroxylina) wyborną jest do wysadzania min i może korzystnie służyć do napełniania granatów, które rozsadza na większą liczbę części niż proch. Czyszcząc lufę po trzech lub czterech razach i strzegąc ładunków od wilgoci, można być pewnym strzałów.

Granaty ręczne mogą być wyrabiane z piastów żelaznych lub innego metalu, albo jeszcze lepiéj z kawałków rur gazowych ciętych w czworogran i zamkniętych z obu stron grubą blachą przynitowaną w kuźni; lonty osadzone będą jak w zwyczajnych granatach.

Co do dział drewnianych, sądzimy że są zupełnie nieużyteczne i niebezpieczne tylko dla tych którzy się niemi posługują. Działa zdobyte na nieprzyjacielu powinny być zagwożdżane, a co lepsza zakopywane w naznaczonych miejscach.

III.

ZAKOŃCZENIE.

Prawidłem obecnéj wojny, powiedzieliśmy już i nie możemy dość nacisnąć na tę zasadę, jest żeby trwała jaknajdłużéj, bo każdy dzień jéj trwania coraz niszczy urok Rossyi w oczach Europy, a przez to podwaja siły materjalne i moralne powstania. Nie dość jest zwyciężyć nieprzyjaciela, trzeba jeszcze starać się zniszczyć go, nieprzestając nigdy walki w zimie czy w lecie; bo tylko najwyższe ostatnie wysilenie może zapewnić wygranę naszéj sprawie.

Rezultaty osiągnięte przez kampanię letnią są już ogromne, i obficie wynagradzają straty i ofiary poniesione przez naród. Armia moskiewska zmniejszona, zniechęcona, nie mogąc zwyciężyć jeden tylko ma cel, kradzież i rabunek; ludność wiejska wzburzona łupieztwem, prześladowaniem religijném i systematyczném mordowaniem naszego plemienia, gotową jest chwycić broń jaką ma pod ręką i powstać na całéj przestrzeni kraju; ostatnie złudzenia Europy co do działań dyplomatycznych znikły, droga negocyacyi wyczerpana; prawo Moskwy do nieograniczonego posiadania Polski jawnie i otwarcie zaprzeczone przez gabinety; ludność Ukrainy, Kozaków dońskich, Kaukazu, tknięte elektryczną iskrą powstania; nakoniec pewność jaką zyskała Polska, że sama zdolną jest partyzancką wojną stawić czoło najobszerniejszemu mocarstwu świata : oto owoce téj już dziesięcio-miesięcznéj walki, dłuższéj niż w 1831 roku, ogólniejszéj niż powstanie Kościuszkowskie, więcéj bohaterskiéj niż konfederacya barska. Ten coraz korzystniejszy i wzrastający postęp każdego zbudzenia się ducha narodowego, jest najpewniejszą rękojmią ostatecznego zwycięztwa.

Teraz idzie przedewszystkiém o utrzymanie kampanii podczas zimowéj pory, i przebycie jéj, choćby najostrzejszą była, bez złożenia broni. Ponieważ nieprzyjaciel będzie musiał zkoncentrować się w miastach, powstańcy korzystając z tego powinni rozmieścić się po wsiach, gdzie będą mieli więcéj swobody i bezpieczeństwa, aby się zająć organizacyą i uzbrojeniem. Unikać jednak należy pozostawania zbyt długo w jednych pozycyach i mieć się ciągle na baczności, żeby się nie dać zejść niespodzianie. Oddziały jak można najmniéj rozrzucone, zgromadzone o ile się da w jedném zabudowaniu, powinny być gotowemi do marszu za pierwszym znakiem; a konie odpoczywające za dnia będą kiełznane w nocy, w gotowości do wyruszenia. « Najlepszym sposobem spania spokojnie, mówi Chrzanowski, jest nie dać nigdy spać spokojnie nieprzyjacielowi. » Atakować go ile się da w nocy, a jeszcze lepiéj przed świtem, ściągać go w miejsca nieprzystępne dla artylerji i bagaży, na zamarźnięte bagna albo trzęsawiska śniegiem pokryte i wydające się jak płaszczyzny. Jeżeli drogi są poprzecinane, nie będzie on mógł poruszać się tylko bardzo powoli, a lekkie oddziały powstańców będą nad nim miały ciągłą wyższość warunków działania. Najlepszą strategią w każdéj porze jest działać z obu stron, z przodu i z tyłu linii operacyjnych, szczególnie z tyłu, gdzie nieprzyjaciel mniéj się strzeże i gdzie wszelka klęska pociąga za sobą prędszą rozsypkę; do tego potrzeba żeby oddziały powstańcze mogły porozumiewać się z sobą za pomocą poprzednio zaprowadzonych stosunków. Z każdéj przerwy walki korzystać należy aby rekrutować, organizować i ćwiczyć w manewrach regularne bataljony. Jeśli utrzymywać będziemy te rozporządzenia, kampania zimowa może stać się dla nas daleko pomyślniejszą niż jesienna, i doprowadzi nas z bronią w ręku aż do początku wiosny.

Długo jeszcze trzeba będzie nawet z temi oddziałami lepiéj uzbrojonemi i wyćwiczonemi niż poprzednie, prowadzić małą wojnę, wykonywać wiele ruchów, udawać cofanie się, uderzać tylko niespodzianie na nieprzyjaciela, albo wciągając go w zasadzkę; unikać wszelkich nierównych spotkań, tępić mu żołnierzy cząstkowo; a dopiero kiedy go dostatecznie zmęczymy, doprowadzimy do

ostatecznego zwątpienia, zniechęcimy, zadawać stanowcze ciosy. Skoro ochotnicy nabędą pewności w siebie i zmienią się prawie w starych żołnierzy przez długi szereg pomyślnych walk, wtedy, ale dopiero wtedy będzie można pomyśleć o opanowaniu militarnych i politycznych centrów zaboru, przez zdobycie śmiałym a dobrze przygotowanym zamachem jakiego miasta lub warowni, zjedanwszy jéj dowódzcę albo zdziesiątkowawszy garnizon wszystkiemi powyżéj wymienionemi środkami.

W ten to sposób trwając w walce, pomimo oziębłości przemysłowéj Europy i jawnie nieprzyjacielskiego postępowania naszych sąsiadów, powstanie polskie zapewni tryumf świętéj sprawie któréj broni. Sumienie publiczne, zbyt długo uśpione przez niegodne pieniężne rachuby, zbudzi się nakoniec i sprawa Polski stanie się sprawą ludzkości. Głos opinii powszechnéj zagłuszy krzyki prasy zaprzedanéj Moskwie, i przełamie opór nawet najbardziéj interesowanych w zniszczeniu naszém despotów. Po téj rozpaczliwéj walce rozpoczętéj przez garstkę młodzi bezbronnéj, prawie dzieci, przeciw starym armiom caryzmu popieranym całą dzikością przywódzców hord azyatyckich, Polska podniesie się spójniejsza i silniejsza niż kiedykolwiek, wyższa niż którykolwiek z dawnych lub tegoczesnych ludów. W obec tego najwyższego celu, wszystkie drugorzędne względy stronnicze, rodzinne, ambicye i dążenia osobiste powinny zniknąć, ustępując miejsca głównéj potrzebie obecnego położenia, streszczającéj się w tych słowach : **Wytrwać jeszcze trzy miesiące**, nie przerywając walki, utrzymując wszelkiemi sposobami istnienie Rządu narodowego, który jest świątynią i chorągwią naszego powstania. Tym sposobem ujrzymy urzeczywistnioną, uroczystą dewizę zapisaną na czele obecnéj pracy : « *Non intermisso vinces.* » (W wytrwaniu zwycięztwo).

Samo z siebie wynika, iż Polska powinna walczyć naraz tylko z jednym z trzech swoich wrogów;

Że powinna przyzywać zbrojną a nie dyplomatyczną interwencyę Zachodu;

Że nie powinna powierzać kierunku ruchu narodowego stronictwu reakcyjnemu, które już go zniweczyło w latach 1831, 1846 i 1848 ;

Że niepowinna poprzestać na militarnéj demonstracyi ale podnieść cały naród, i jako główny punkt podpory powołać do broni Lud polski.

22 września 1863.



SKOŃCZONO DRUKOWAĆ

U J. CLAYE

PIERWSZEGO STYCZNIA 1876 ROKU

DLA A. LEMERRE, WYDAWCY.

DZIEŁA TEGOŻ AUTORA

Œuvres choisies. Le Théâtre, — les Livres d'Exil, — les Légendes du Sud, — les Lettres Slaves; chez Alphonse Lemerre, éditeur, 31, passage Choiseul.

Œuvres poétiques complètes de ADAM MIÇKIEWICZ, traduction française en deux volumes, 5e édition; chez MM. Firmin Didot, 56, rue Jacob, 1859.

Les Révolutions de Pologne, par CL.-C. DE RULHIÈRE, édition revue sur le texte et complétée, en 3 volumes; chez les mêmes, 1861.

Les Trois Démembrements de la Pologne, par C.-A.-F. FERRAND, édition revue sur le texte et complétée, en trois volumes; chez les mêmes, 1865.

Essai sur l'Unité de la Science ou la Mathèse, 1 volume; chez A. Franck, 69, rue Richelieu, 1849.

Hymnes et Chants nationaux polonais (1797-1867); à l'École polonaise de Paris-Batignolles, 1867.

PARIS. — J. CLAYE, IMPRIMEUR, RUE SAINT-BENOIT, 7. — [2109]